PISARSTWO JADWIGI KUCIANKI NA ŁAMACH "GOŚCIA NIEDZIELNEGO"

OPOLE 2016

PISARSTWO JADWIGI KUCIANKI
NA ŁAMACH „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”

PISARSTWO JADWIGI KUCIANKI
NA ŁAMACH „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”

Zebrał, zredagował i opracował
Józef Pixa

OPOLE 2016

Wydanie książki możliwe było dzięki finansowemu wsparciu Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana Oddziału w Opolu w ramach projektu „Ocalić od zapomnienia”.

Wydawca wyraża podziękowanie Redakcji „Gościa Niedzielnego” za umożliwienie bezpłatnego przedruku artykułów Jadwigi Kucianki publikowanych na łamach tego czasopisma w latach 1945 – 1970.

© – copyright, Józef Pixa
wszelkie prawa zastrzeżone

– Oddział Katolickiego Stowarzyszenia *Civitas Christiana* w Opolu

Projekt okładki: Józef Pixa

ISBN 978-83-941244-1-0

Nakład: 50 egzemplarzy numerowanych

Egzemplarz nr ...

WPROWADZENIE

Autorka felietonów

Jadwiga Kucianka urodziła się 11 października 1924 r. w Chorzowie jako córka Pauliny z domu Bernhard i Józefa, robotnika kopalni Chorzów. Do szkoły podstawowej uczęszczała w latach 1931 – 1938, potem do Miejskiego Liceum i Gimnazjum Ogólnokształcącego w Chorzowie. Czynnie działała w harcerstwie, co stało się przyczyną jej kłopotów w okresie okupacji. W 1942 roku zesłano ją na roboty do fabryki sprzętu wojennego do Zgorzelca. Po roku, dzięki staraniom rodziny, udało jej się stamtąd wrócić. Od 1943 roku brała udział w tajnym nauczaniu. Po wyzwoleniu kontynuowała naukę w ówczesnej Trzyletniej Szkole Średniej w Chorzowie, gdzie w 1946 roku uzyskała świadectwo dojrzałości. Następnie podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, głównie pod kierunkiem prof. Stanisława Pigonia. W 1950 roku na podstawie pracy o twórczości Juliusza Ligonia Jadwiga Kucianka uzyskała stopień magistra. Skierowana nakazem pracy w latach 1950 – 1952 uczyła języka polskiego w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Mysłowicach.

Od 1952 roku pracowała w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. W 1962 roku podjęła pracę naukową wstępując na seminarium doktorskie prof. Jana Zaręby przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach. 18 listopada 1964 Rada Wydziału Filologiczno-Historycznego WSP w Katowicach otwarła jej przewód doktorski i zatwierdziła temat rozprawy *Wśród pisarzy samorodnych Górnego Śląska XIX i XX wieku*. Obrona pracy odbyła się 10 grudnia 1965, a promocja 18 kwietnia 1966. Z dniem 1 października 1966 Kucianka otrzymała etat adiunkta w katedrze Historii Literatury Polskiej WSP w Katowicach i rozstała się z Biblioteką Śląską.

Na balkonie budynku Biblioteki przy ul. Francuskiej
Od lewej m.in.: Erna Morawiec, Irena Nitsche,
Danuta Musioł, Jadwiga Kucianka, Bogumiła Woś

Jako adiunkt uzyskała możliwość popularyzowania wśród studentów tematyki śląskiej. Wkrótce została członkiem Komisji Historyczno-Literackiej Oddziału Krakowskiego PAN. Prowadziła zajęcia z literatury ludowej i regionalnej, romantyzmu i pozytywizmu. W 1968 roku Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu wydał książkę *Śląscy pisarze ludowi 1800-1914*: *antologia poezji i prozy*, opartą na jej dysertacji doktorskiej, która stała się wydarzeniem na skalę nie tylko regionu.

Współpracowała z redakcjami *Polskiego słownika biograficznego*, *Słownika pracowników książki polskiej* oraz *Śląskiego słownika biograficznego*. Publikowała na łamach „Zarania Śląskiego", „Kwartalnika Opolskiego", „Dzwonka Maryji", „Naszej Drogi", „Literatury Ludowej" i „Poglądów". Najwięcej miejsca zajmują publikacje ogłoszone w „Gościu Niedzielnym"[1] – 125 prac. W tym ostatnim publikowała pod pseudonimem Jadwigi Bernhardt (nazwisko rodowe matki) do roku 1955. W roku 1957 publikowała zarówno pod pseudonimem jak i własnym nazwiskiem, by od roku 1958 podpisywać felietony już tylko własnym nazwiskiem.

Lustracja na Uniwersytecie Śląskim

Pierwsze informacje o zainteresowaniu się SB działalnością Jadwigi Kucianki pochodzą już z 1968 roku (sygn. IPN Ka 014/374). Brak wiedzy, kto prowadził sprawę operacyjnego opracowania Jadwigi Kucianki ze strony SB. Informacje na jej temat pochodziły od tw „Zenek" i tw „Marek".

Powodem szczególnego zainteresowania się Jadwigą Kucianką była jej żarliwa religijność i utrzymywanie szerokich kontaktów z hierarchią kościelną. Na zlecenie biskupów miała opracowywać i wygłaszać odczyty o tematyce religijnej. SB kontrolowało jej korespondencję. W informacjach dostarczanych przez tajnych współpracowników znaleźć można bardzo negatywne opinie o jej działalności, która – jak wykazywano – miała źródło w jej głębokiej wierze i zaangażowaniu w życie kościelne. SB dokładnie analizowała jej dorobek naukowy.

Prowadzono inwigilację otoczenia, znajomych, jej spotkań, miejsc odczytów. Sprawdzano czy w czasie wygłaszania przez nią referatów znajdowali się tam księża. Za pomocą przymusu administracyjnego

---

[1] Opracowano na podstawie: http://encyklo.pl/index.php?title=Kucianka_Jadwiga (8 I 2016).

nakazano zmianę nazwiska w dowodzie osobistym z Kucianka na Kucia. Po śmierci J. Kucianki SB dokonało rewizji w jej mieszkaniu[2].

Pogrzeb Jadwigi Kucianki 12 marca 1970 r. traktowano jako zagrożenie i demonstrację religijną. Poddano obserwacji całą ceremonię, profesjonalnie przeanalizowano homilię pogrzebową ks. Józefa Gawora i wystąpienie biskupa Herberta Bednorza. Policzono też ilość wieńców i wiązanek, a także liczbę osób: 60 księży, w tym biskupi Bieniek i Bednorz, 30 zakonnic, 10 kleryków i 3 tyś. osób świeckich, wśród których około 30 proc. stanowiła młodzież. Stwierdzono też, że na cmentarzu trzy minuty przemawiał ks. Czesław Domin, całość trwała godzinę i 40 minut, a trumna wieziona była samochodem Warszawa - Pickup.

W zakończeniu sprawozdania pisano: „Kościół katolicki usiłował wykorzystać ceremonię pogrzebową dr Kucia Jadwigi w celu zademonstrowania swoich wpływów wśród inteligencji naukowej i młodzieży studenckiej. Dlatego też zarówno wystąpienia ks. Gawora, jak i bpa Bednorza wyraźnie akcentowały jej pochodzenie robotnicze, religijność zmarłej i jej związek z hierarchią kościelną. Sama obecność dwóch biskupów na pogrzebie – nadawała tej ceremonii aspekt szczególnego wyróżnienia". Potem założono sprawę o kryptonimie „Anna", całe województwo objęto siecią podsłuchów, odnotowywano wszelkie rozmowy na temat zmarłej, zwłaszcza wśród duchowieństwa[3].

Niespodziewana śmierć

4 marca 1970 r. wracając z posiedzenia Rady Wydziału Humanistycznego Jadwiga Kucianka została zamordowana w Siemianowicach-Bytkowie nieopodal Ośrodka Telewizji Katowice. Lekarz sądowy stwierdził, że zamordowana została dnia poprzedniego. Miała silne obrażenia głowy i została obnażona.

W tym czasie na terenie Śląska i Zagłębia grasował morderca, którego powszechnie nazywano „wampirem z Zagłębia". Przypisywano mu 21 zabójstw.. Sposób postępowania sprawcy był zawsze taki sam: szedł za

---

[2] Opracowano na podstawie pracy Tomasza Szymborskiego: http://tosz.blogspot.com/2009/10/ii-raport-senackiej-komisji.html (30 XII 2015).

[3] Krystyna Heska-Kwaśniewicz *Jadwiga Kucianka w oczach Służby Bezpieczeństwa. Rozmowy Kontrolowane,* w: „Gość Katowicki" z 6 I 2008 nr 1/830, s. 12.

upatrzoną ofiarą, podbiegał do niej z tyłu, a następnie uderzał w głowę ciężkim tępym przedmiotem. Gdy ofiara upadła, bił ją wielokrotnie powodując zgon, po czym dokonywał czynności seksualnych z denatką. Szerzyła się plotka, że celem Wampira było zabicie tysiąca kobiet na tysiąclecie państwa polskiego, co miało dodatkowo unaocznić społeczeństwu nieudolność władz, niezdolnych do schwytania mordercy. Kobiety bały się chodzić same wieczorami, a ich mężowie lub bracia zaczęli je eskortować w drodze do domu.

Przełomem w sprawie było wydobycie z Przemszy zwłok 18-letniej Jolanty Gierek, bratanicy Edwarda Gierka, ówczesnego I sekretarza KW PZPR. Wtedy to sprawa nabrała pełnego rozmachu. W 1968 roku wyznaczono ogromną jak na ówczesne czasy nagrodę w wysokości 1 miliona zł dla tego, kto wskaże zabójcę. Jadwiga Kucianka zamordowana 4 marca 1970 r. była ostatnią ofiarą „wampira z Zagłębia".

Zdzisław Marchwicki na sali sądowej

Dwa lata później, 6 stycznia 1972 w Dąbrowie Górniczej, został aresztowany Zdzisław Marchwicki po tym jak jego żona Maria złożyła zawiadomienie do MO o znęcaniu się nad nią i dziećmi. W kilka miesięcy później aresztowani zostali bracia Zdzisława: Jan i Henryk, jego siostra Halina Flak oraz jej syn Zdzisław[4].

Jan Marchwicki był wyjątkiem w rodzinie Marchwickich. Intelektualnie górował nad rodzeństwem. Jako jedyny skończył studia i pracował jako kierownik dziekanatu na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego. Okazało się jednak, że był zamieszany w aferę łapówkarską, którą miała odkryć właśnie Jadwiga Kucianka. Pani docent wiedziała także o jego orientacji seksualnej. Jan był homoseksualistą. Zdaniem Marii Marchwickiej to on namówił brata do pozbycia się Kucianki.

Śledczym brakowało bezpośrednich dowodów winy Marchwickiego, mieli jednak mnóstwo obciążających go poszlak. 6 stycznia 1972 roku

---

[4] http://forum.gazeta.pl/forum/w,49353,122860637,122860637,4_03_1970_Jadwiga_Kucianka_Marchwicki_i_czas_.html (30 XII 2015).

o godzinie 5.20 rano na przystanku autobusowym w Dąbrowie Górniczej zatrzymano Zdzisława Marchwickiego. Nie stawiał oporu. Nie był nawet zaskoczony. Do milicjantów powiedział tylko jedno słowo: „Nareszcie”[5].

W morderstwie Jadwigi Kucianki brali udział dwaj bracia Zdzisława – Jan i Henryk Marchwicki. Jan Marchwicki (ur. 1929, skazany na karę śmierci za kierowniczą rolę w ostatnim zabójstwie Zdzisława. Stracono go w garażu milicyjnym w Katowicach, godzinę po Zdzisławie. Henryk Marchwicki (ur. 1930, zm. 1997) został skazany na 25 lat więzienia. Już w czasie pobytu w więzieniu rozpoczął walkę o oczyszczenie siebie i braci z zarzutów, kontynuował ją również po wyjściu na wolność (więzienie opuścił w listopadzie 1992). Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach – oficjalną przyczyną jego śmierci był upadek ze schodów. Śledztwo w tej sprawie zostało umorzone[6].

Do tej pory trwają spory historyków w tej sprawie. Wiele osób uważa, że Zdzisław Marchwicki był niesłusznie skazany. On sam, jak zarówno jego bracia nigdy nie przyznali się do winy. Prawdopodobnie prawdziwy Wampir z Zagłębia dokonał samospalenia. Miał być nim Piotr Olszowy – chory psychicznie rzemieślnik, który przyznał się do winy i przed samobójstwem zabił swoją żonę i dzieci[7].

Treść publikacji w „Gościu Niedzielnym”

Treść publikacji w „Gościu Niedzielnym” jest różnorodna i wielce zróżnicowana. Można je podzielić na następujące grupy tematyczne:

1. Opowiadania oparte na motywach biblijnych z Nowego Testamentu
2. Opowiadania oparte na historii i legendach śląskiej ziemi z czasów dawnych i nam bliższych
3. Legendy hagiograficzne
4. Szkice poświęcone pracownikom nauki polskiej
5. Szkice na temat rozwoju sceny amatorskiej na Śląsku
6. Artykuły o katolickich pisarkach

---

[5] Przemysław Semczuk, *Czarna wołga. Kryminalna historia PRL*, Kraków 2013.

[6] http://forum.gazeta.pl/forum/w,49353,122860637,122860637,4_03_1970_Jadwiga_Kucianka_Marchwicki_i_czas_.html (30 XII 2015).

[7] Jak wyżej.

7. Szkice poświęcone twórczości i życiu samorodnych pisarzy śląskich
8. Prace poświęcone duszpasterzom: biskupom i proboszczom śląskich parafii

Pierwszy artykuł Jadwigi Kucianki pod pseudonimem Jadwigi Bernhardt (nazwisko rodowe jej matki) ukazał się w 7 numerze „Gościa Niedzielnego" datowanym 25 marca 1945 r. Ostatni opublikowany został już po jej tragicznej śmierci 8 listopada 1970 w numerze 45 tego czasopisma. W sumie ukazało się w „Gościu Niedzielnym" 125 artykułów.

Pierwsze jej publikacje to typowa beletrystyka oparta na motywach biblijnych, legendach i opowiadaniach śląskiej ziemi. Wykazała tutaj Kucianka swój wielki talent pisarski dostosowując język do przedstawianej epoki.

Niestety od 1963 roku, czyli od momentu ukazania się jej pierwszej publikacji naukowej, zarzuciła pisarstwo beletrystyczne, czego bardzo żałowała. Świadczy o tym fragment listu do Józefy Hennelowej, w którym skarży się na brak czasu na „pisarstwo dla ludu", ale jednocześnie planuje powrót do beletrystyki na emeryturze[8]. – Niestety emerytury tej nie doczekała. Miała w planach napisanie powieści „Żywot i sprawy Stanisława Pigonia" oraz „Saga rodziny górnośląskiej sięgająca końca XVIII wieku"[9]. Nie dokończyła też rozpoczętej pracy habilitacyjnej na temat „Obraz Śląska w oczach podróżników polskich XVIII i XIX w."[10]. Nagła i niespodziewana śmierć spowodowała, że te ambitne plany nie zostały nigdy zrealizowane.

Największym osiągnięciem pisarskim Autorki jest książka opublikowana przez wrocławskie Ossolineum w roku 1968 pt. *Śląscy pisarze ludowi 1800-1914. Antologia poezji i prozy*, która jest efektem jej pracy doktorskiej.

W 1971 roku ukazała się *Bibliografia prac Jadwigi Kucianki* opracowana przez Krystynę Heskę-Kwaśniewicz, która zamieszczona została w IV roczniku „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych"[11]. We

---

[8] Katarzyna Tałuć, *Jadwiga Kucianka – badaczka literatury śląskiej*, w: „Śląskie Miscellanea" tom 9, s. 93.

[9] Jak wyżej.

[10] Jarosz Adam, *Jadwiga Kucianka*, w: „Biuletyn Polonistyczny" 13/39, 1970, s. 107.

[11] „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne" IV (1971) s. 299 – 308.

wstępie Autorka tego opracowania pisze, że „Ze względu jednak na rozproszenie dorobku Uczonej po wielu czasopismach i wydawnictwach istnieje możliwość niedotarcia do kilku publikacji”.

Autor niniejszego opracowania przejrzał dokładnie wszystkie numery „Gościa Niedzielnego” od 1945 do 1970 roku i odnalazł kilka nieujętych w powyższym opracowaniu artykułów pióra Jadwigi Kucianki. W zamieszczonym na końcu spisie treści artykuły te oznaczone zostały gwiazdką (*).

Uwagi wydawcy

W niniejszym zbiorze felietony Jadwigi Kucianki umieszczone zostały chronologicznie od 1945 do 1970 r. Przy każdym felietonie podano miejsce jego umieszczenia w czasopiśmie. (nr zeszytu/rok i numer strony w zeszycie, z tym, że numer strony dotyczy zawsze pojedynczego numeru, a nie numeracji ciągłej całego rocznika, jak to jest wydrukowane w poszczególnych numerach „Gościa”).

W większości felietonów nazwisko i imię Autorki podane jest na wstępie. Niektóre podpisane są również na końcu, aczkolwiek są i takie, które podpisane są tylko inicjałami. W jednym przypadku nie ma ani nazwiska ani inicjałów Autorki[12]. W niniejszym zbiorze jest to wydrukowane tak jak w czasopiśmie.

Na końcu umieszczone zostały dwa spisy treści: jeden alfabetyczny spis tytułów felietonów ułatwiający szukanie poszczególnych materiałów i drugi chronologiczny tak jak jest to umieszczone w książce.

Przy poszczególnych artykułach są przypisy, które pochodzą od Autorki, ale są i dodatkowe umieszczone przez wydawcę. Dotyczy to w szczególności zwrotów obcojęzycznych, których Autorka nie tłumaczyła.

W niektórych artykułach umieszczono zdjęcia lub ilustracje. Niniejsza publikacja umieszcza je również. W jednym wypadku z powodu bardzo nieczytelnego zdjęcia, portret prof. Stanisława Pigonia zamieniono na lepszy, publikowany w internecie.

---

[12] Chodzi o artykuł „Karta z dziejów współczesnych pewnego sztandaru” z 1964 r. Pozycja ta jest ujęta we wspomnianej *Bibliografii prac Jadwigi Kucianki* autorstwa Krystyny Heski-Kwaśniewicz.

Felietony Jadwigi Kucianki
drukowane w „Gościu Niedzielnym”
w latach 1945 – 1970

ROK 1945

JADWIGA BERNHARDT

Triumf i łzy...

Elim stary, gładząc siwą brodę i mrużąc zaspane oczy, z rozkoszą wdychał rzeźwe powietrze poranku, co w różową szatę przystrojony, u wschodnich nieba bram nadejścia słońca wyglądał.

Niedługo trwało, a złota władcza tarcza, odebrawszy u wschodu czołobitny pokłon różowego poranku i łaskawie skinąwszy chórom ptactwa, co powitalną wykonały fanfarę, skierował się ku południowym regionom nieba, miłośnie ziemię ogarnąwszy złotem swego spojrzenia.

A gdzie to spojrzenie pobiegło, tam dziwnie piękne rodziły się blaski. Radosne i świeże.

Takie blaski kładły się na śnieżnych murach niedalekiego Jeruzalem, w które Elim zapatrzony, modlił się. Błogie uczucie wypełniało mu serce, bo za tydzień i jego stare nogi przekroczą bramy świętego miasta, boć wielkanocne nadchodzą święta.

Judyt, jego córa umiłowana, która często do swej przyjaciółki Weroniki w Jerozolimie zachodzi, opowiadała już, jako liczna i różnoraka rzesza ludu nagromadziła się w stolicy i jako wszędy świąteczny panuje nastrój. Nastrój, zabarwiony niepojętym a wszechwładnym oczekiwaniem tego, co przyjść miało, o czym prorocy mówili.

Imię Mistrza z Nazaretu na wszystkich gości ustach.

Któż Go nie zna?

Każdy z tych licznych wędrowców, którymi zaroił się już rozległy gościniec, albo znał i czcił Tego, co wszystkim dobrze czynił — albo też nie chciał znać i nienawidził Tego, co walkę złu wypowiedział.

I Elim Go znał. Jakżeby Go znać i miłować nie miał, kiedy mu Judyt tak często, z dziwnymi blaskami w oczach, postać Jezusa odtwarzała, piękną, szlachetną, umiłowaną?

Ach, Judyt! — Bywało, że na kilka dni z domu wychodziła, by gdzieś daleko, mimo upałów, chłodu i głodu, razem z Weroniką wędrować w gronie wiernych Nazareńczyka.

W zadumie pochyla się starcza głowa. Ręka szuka laski i, wspierając się na niej, opuszcza Elim; swoje schludne domostwo. U bramy przywiązana stoi oślica, którą chłopak na paszę pogna.

Elim wychodzi za bramę, kierując swe kroki na polną drogę, ale oto przystaje, bo wyraźnie w kierunku jego osady dwóch zdąża wędrowców. Snadź droga ich nie była daleka, bo krok ich raźny, szata niezbyt zapylona, a twarze pogodne, niezmęczone.

Przystanęli, pozdrowili.

– Panie, czy to twoja oślica przywiązana u bramy? — zapytał jeden z nich.

– Moja — odpowiedział Elim zdziwiony.

– Czy nie mógłbyś nam jej użyczyć? Mistrz nasz potrzebuje jej na swój wjazd do Jerozolimy. Jutro przyprowadzimy ją z powrotem.

– Kto mistrzem waszym?

– Jezus z Nazaretu.

– Jezus z Nazaretu! — powtórzył Elim wzruszony — Jezus z Nazaretu!

A po chwili, zwracając się do apostołów, rzekł:

– Czyńcie, jako Mistrz wasz rozkazał.

Uczniowie odwiązali oślicę i, pożegnawszy się, ruszyli w drogę powrotną.

Na stopniach domostwa ukazała się postać młodej dziewczyny, która, dostrzegłszy ojca, szybko ku niemu pobiegła:

Powiedz, ojcze, z kim mówiłeś o Jezusie z Nazaretu? — pytała gorączkowo.

– Judyt, dziecko drogie, uspokój się. Czemu już nie śpisz?

– Nie mogę! Zbudziło mnie brzmienie tego świętego imienia, które wiatr poranny zawiał do mojego okna. Ach, powiedz, kto mówił o nim?

– Jego uczniowie. Przyszli po oślicę, której Mistrz ich potrzebuje, aby mógł odbyć swój wjazd do Jerozolimy.

Judyt stała w bezruchu, oczarowana, wzruszona. W jej oczach szeroko rozwartych malował się zachwyt, a usta na pół uśmiechnięte zdały się szeptać jakieś radosne, dziękczynne słowa.

Po chwili, jak człowiek, któremu przytomność wraca, zatrzepotała powiekami, na których, nie wiem kiedy, rosa łez osiadła, a uchwyciwszy za-

troskane spojrzenie ojca, u rąk jego rozpalonymi usty zawisła, szeptając namiętnie:

– Ojcze, ja znów odejdę z domu! Ja muszę być przy jego triumfie, tam, w Jerozolimie, gdy dziać się będą te dziwne rzeczy, które On przepowiadał, a których nikt z nas pojąć nie zdołał. — Powiedź matce, że poszłam do Weroniki, aby z nią razem pośpieszyć Mu naprzeciw.

I poszła.

Nie, nie poszła! Elim widział, jak biegła, jakoby, jej skrzydła urosły.

Niosły ją skrzydła miłości.

A im bliżej była miejskich bram, tym gęstszym stawał się ten pielgrzymi tłum, co jak barwna wstęga wysuwał się z wszystkich uliczek miasta. Dolatywał już do niej zapach oliwnych gałązek i zielonych palm, trzymanych w ręku przez pielgrzymów, co sunęli wolno i uroczyście szlakiem, którym miał przybyć Dawidów Syn.

Judyt spieszy. Nie słyszy głośno i z swadą rozprawiających o Jezusie, ani też widzi tych straganów bez liku, co mienią się przepychem spływających z nich tkanin i bogactwem klejnotów.

Dosięgła już domu Weroniki. Wraz też zoczyła ją zstępującą spiesznie z stopni tarasu z naręczem rozwitych róż.

– Pokój tobie, Weroniko! Czy już uszu twych doszła wieść, że...

– Och, tak, Judyt! — Chodź! Spieszmy! Te kwiaty zerwałam dla Niego.

Złączyły ręce w radosnym upojeniu i wmieszały się w tłum. Serca biły im przyspieszonym tętnem, a oczy pałały...

Ale nie tylko z nimi tak się działo. Cała ta wielobarwna, różnoraka rzesza wokół nich, rzesza, w której nie brakło niemowląt na ręku matek i starców, wspartych na ramionach synów, biła jednym tętnem i pałała jednym uczuciem uwielbienia ku królewskiemu Wybawicielowi.

Radosny gwar unosił się w powietrzu, brzmiały śpiewy i nawoływania, aż naraz wszystko ucichło, by w następnej chwili zlać się w jeden potężny okrzyk, który nadchodził z oddali:

„Hosanna Synowi Dawidowemu! Hosanna! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie!”

Przychodził cichy i skupiony, na oślęciu siedząc, po drodze, zasłanej kobiercem kolorowych płaszczów i kwiatów.

Przychodził cichy i skupiony do swojego królewskiego miasta, wielce umiłowanego, a stanąwszy na Górze Oliwnej, z której widok na Jerozolimę niewysłowioną pięknością swą oczarowywał każde serce — zapłakał.

Zapłakał w obliczu swego triumfu.

Judyt, która już dawno z bolesnym przeczuciem na smutek Nauczyciela spoglądała, zadrżała, jak pod podmuchem zimnego wiatru.

Jej Mistrz zapłakał... jakże jej się weselić?

— Weroniko! — Weronika zwróciła na nią oczy zasnute łzami — czemu On płacze?

Skądże Weronika wiedzieć mogła, że Jezus płacze nad królewskim miastem, tak umiłowanym, a zatwardziałym w niewierze?

Na nic zda się temu miastu znojny trud Jego wędrówek, światło Jego nauki, cuda Jego miłości. Na nic zdają się owoce Zbawienia, bo z nich korzystać [będzie] męka, która rozegra się za jej białymi murami. A przyjdzie czas, że z tego dumnego miasta kamień na kamieniu się nie ostanie!

Oto ta wizja całkowitej ruiny Jerozolimy wycisnęła łzy z oczu Syna Człowieczego.

Tego nie wiedziała Judyt i Weronika wiedzieć nie mogła — ale ty wiesz!

Ty wiesz, że nie nad ruiną budowli i murów płakał Jezus, boć ta obrazem była jeno ruiny stokroć gorszej.

Ty wiesz, że ruina jednej duszy gorszą jest od zburzenia Jerozolimy, od zburzenia tysiąca Jerozolim.

Ty wiesz, że Jezus płacze nad ruiną duszy, spętanej więzami niewiary, nad ruiną serca, zakrzepłego lodem obojętności o zbawienie, nienawiści bliźniego — występku.

Ty wiesz, że Jezus płacze nad duszą, której na nic zdają się owoce Zbawienia, bo z nich korzystać nie chciała.

Nie wiedziała tego ani Judyt, ani Weronika, ale ty wiesz, dlaczego wśród triumfu płyną Jezusowe łzy.

„Gość Niedzielny” nr 7/1945, s. 3 – 5.

JADWIGA BERNHARDT

Boże Ciało w Emmaus

Niepokojem napełniały Rachel te dni wyczekiwania. Jeden, drugi i trzeci przyćmiony tą samą troską, troską o męża. Poranki budziły w niej nadzieję: a może dziś wróci? Wieczory zaś każdy pociechą: napewno wróci jutro!

Lecz Kleofas nie wracał. Już tydzień minął, jak wybrał się z jej bratem, Nikodemem do Jerozolimy i dotąd nic o nim nie słychać.

A miał przecież zaraz powrócić! Chciał tylko w triumfalnym wjeździe Mistrza z Nazaretu do miasta świętego uczestniczyć i po dokonanej uroczystości do domu wrócić.

Rachel gniewa się cośkolwiek. Jeśli już ważne sprawy skłoniły go do dłuższej nieobecności, to mógłby przynajmniej Nikodema z wiadomością posłać.

I Rachel troska się. W mieście ludnym, do którego na święta zewsząd pielgrzymi ściągnęli, o złą przygodę nie trudno.

Zamyślona, nie spostrzegła córki, która wbiegła do pokoju i skradając się cicho za krzesłem, zarzuciła jej rączki na szyję:

– Ty nie masz być smutna, matuś droga, bo tatuś wróci!

– Miriam, figlarzu mały, gdzieżeś to była? Całaś rozpalona!

– Biegłam tak prędko. — Powiedz matuś, że to nieprawda, co kobiety u studni opowiadały! To nieprawda, że dobry Rabbi umarł!

Rachel wstrząsnęła się gwałtownie.

– Miriam, co ty wygadujesz? Kto miałby umrzeć?

— Mówiły kobiety, że dobry Rabbi szedł skrwawiony z ciężkim krzyżem, one mówiły — tu głos jej przerwało głośne łkanie, a po małej twarzyczce zaczęły płynąć łzy — że Go na tym krzyżu źli ludzie zawiesili, a potem w grobie zamknęli.

Zgroza objęła Rachel. Tego najlepszego człowieka mieliby na śmierć skazać, na hańbiącą śmierć krzyża? Jezus z Nazaretu miałby już umrzeć, chociaż tylu ludzi wierzy w Jego wielkie posłannictwo? Uczniowie widzą w Nim Wodza Izraela, Mesjasza. Wszakże i Kleofas do grona ich należy...

Na wspomnienie męża zbladła jeszcze silniej. On przebywa w Jeruzalem, a jeśli Jezusa naprawdę ukrzyżowali, to i uczniów jego wolno nie puszczą, to i Kleofas może... ale myśleć dalej, nie! To złe urojenie!

Spojrzała na smutną twarz dziecka, jeszcze mokrą od łez, na tę twarz, którą gładziła kiedyś dobra ręka Przyjaciela dzieci.

– Miriam, pozostań w domu, ja skoczę ku studni, by porozmawiać z niewiastami. Muszę języka zasięgnąć! Nie może być, aby to, coś powiedziała, prawdą było! I pogłaskawszy małą głowinę, spiesznie skierowała się ku wyjściu.

Słońce przygrzewało już mocno, z wysoka rządząc świeżą wiosną, co rozsiadła się u każdego płotu, na polach zieleniejących i po ogrodach rozkwitłych.

Przy studni stała grupa rozprawiających żywo kobiet. Jedna z nich, spostrzegłszy zbliżającą się Rachal, podbiegła ku niej załamawszy ręce. To była Salome, siostra jej i Nikodema.

– Jezusa ukrzyżowali, Rachel, Jezusa z Nazaretu! Cóż On im zawinił, ten człowiek bez winy? I pomyśl, Rachel, On umarł w Jeruzalem, a nasi tam pozostali!

— Nie rozpaczaj, Salome, niezbadane są wyroki Boże, a nieskończone Jego miłosierdzie. — Opowiedzcie mi wpierw, jak ta straszna zbrodnia dopełnić się mogła.

Poczęły opowiadać. Przed oczyma jej przesuwał się żałobny orszak Najświętszego Skazańca, skrwawionego i cierniem ukoronowanego. Potem wznosi się nad ziemią straszny krzyż, teraz zdejmują martwe ciało, składają je w grobie skalistym...

Gdy wolnym krokiem do domu wracała, słońce ciemniejszym się jej wydało, a uśmiech wiosny — szyderczym.

Jak codzień, tak i dziś weszła na górny taras domu, skąd roztaczał się widok na całą okolicę. Smutnym wzrokiem błądziła po wijącej się wśród wzgórza drodze jerozolimskiej, wypatrując powrotu męża.

Tymczasem Kleofas z Nikodemem[13] znajdowali się już w drodze. Opuścili oni o świcie Jeruzalem, gdzie byli świadkami Jezusowej Męki. Stąd

---

[13] Niektórzy sądzą, że owym drugim uczniem był Łukasz ewang., ale to nieprawdopodobne, bo Łukasz był wtedy jeszcze poganinem.

i rozmowy, które wiedli, niewesołe były, a na twarzach ich malowało się zgnębienie.

— I tak w niwecz obróciły się nasze nadzieje. iż Jezus Nazareński wskrzesi królestwo Izraelskie. Chciałem być wojownikiem Jego — cóż, kiedy Wódz zawisł na krzyżu, nie próbując nawet oprzeć się przemocy.

— Goryczą zaprawione są twoje słowa, Nikodemie, żal ci je dyktuje.

— Tak, bo żal duszę mi ściska, żal za ukochanym Mistrzem, sromotnie zdradzonym i umęczonym. Nawet Jego ciało zniknęło — czy to nie do zwątpienia?

— Co prawda niewiasty, które dziś rano u grobu były, mówiły, iż Anioł powiedział: Jezus zmartwychwstał. Ale co tam niewiasty prawią!

Dzieląc się tak smutnymi myślami, nie zwrócili uwagi na samotnego wędrowca, który kroczył wedle nich. Ten zaś łowił ich słowa. I ogarniał ich dobrotliwym spojrzeniem. Jezus szedł z nimi, a oni Go nie widzieli, bo ślepota niewiary i zwątpienia zaćmiła im wzrok.

Aż naraz podszedł ku nim samotny Pielgrzym.

— O czymże tak smętnie rozprawiacie? — zapytał.

Kleofas przystanął zdziwiony, bo mu się niepodobnym zdawało, aby ktoś, kto z Jerozolimy powracał, o straszliwej zbrodni na Golgocie wiedzieć i nad nią ubolewać nie miał. Odpowiedział tedy:

— Pielgrzymie, z Stolicy wracasz, a nie wiesz co tam w tych dniach zaszło?

— Co takiego?

Wyglądem i obejściem swoim Nieznajomy zdobył sobie zaufanie obydwu mężów. Otworzyli więc przed nim swe zgnębione serca, opowiadając o życiu i śmierci Jezusa, skarżąc się i ubolewając.

A on słuchał uważnie i wreszcie sam mówić począł. O Jezusie Chrystusie, który to wszystko cierpieć musiał, jako Prorocy przepowiadali. „Izali nie trzeba było, aby to wszystko cierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały swojej?"

— Bez męki i śmierci krzyżowej nie byłby spełnił dzieła zbawienia — wyjaśniał im.

„A począwszy od Mojżesza i wszystkich Proroków, wykładał im we wszystkich Pismach, co o nim było”. Wtajemniczał ich w Boży plan zbawienia świata.

Wielka cisza leżała w naturze, chylącej się ku spoczynkowi. Wielka cisza kładła się na wzburzone umysły Kleofasa i Nikodema. Wypływała ona ze słów Nieznajomego, budząc nową wiarę, nową nadzieję. Serca im pałały.

— Czy nie zechciałbyś dłużej z nami pozostać, nie chcesz zaszczycić domu mojego twoją obecnością? — zapytał Pielgrzyma Kleofas.

— Zostańże z nami, Panie, bo się już ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił — prosił Nikodem.

Nieznajomy nie odmówił. Skręcili więc zaraz w boczną ścieżkę, co jasnym pasmem pięła się między skalistymi wzgórzami. Na tejże drodze odkryło ich stęsknione spojrzenie Racheli. Natychmiast rozpoznała postać Kleofasa i Nikodema. Ale, kto zacz ów trzeci pielgrzym być może?

Szybko, z radośnie bijącym sercem, zbiegła na dół, by jeszcze prędko poczynić przygotowania do godnego przyjęcia drogich osób.

Napełniła wonną wodą duże misy, by mogli obmyć się po podróży.

— Głodni będą — myślała, kładąc świeży chleb i wino na stole.

I Miriam nie próżnowała. Zerwała w ogrodzie naręcz kwiatów, które teraz oburącz niesie, idąc wraz z matką na spotkanie podróżnych. Dojrzawszy ich wreszcie, podbiegła ku nim — i stanęła jak wryta. Jej oczy utonęły w oczach Nieznajomego, Niewinne oczy dziecka, odkryły Boga, Przyjaciela Dzieci.

— Tyżeś to, dobry Rabbi, Ty? — trzepotała radośnie jej dusza, — więc nieprawdę mówiły niewiasty, jakobyś umrzeć miał!

Jezus, nie mówiąc nic, wziął Miriam za rękę i poszedł z nią śladem swoich towarzyszy, którzy dochodzili właśnie do domu.

Miriam zaś, nagłą myślą tknięta i olśniona, poczęła kwiaty zerwane rzucać pod stopy Pana Jezusa. Zasłała nimi całą ścieżkę aż po sam próg domu, który za chwilę miał stać się Wieczernikiem. W domu Kleofasa powtórzyła się tajemnica Wielkiego Czwartku[14]. Jezus wziąwszy chleb, błogosławił go, i podał im najwspanialszy dar Wielkanocny — Swoje Boże Ciało. Wtedy jakoby łuski opadły z oczu ich i poznali Zmartwychwstałego Mistrza z Nazaretu.

---

[14] Wielu ojców Kościoła jest zdania, że w Emmaus Jezus dokonał po raz wtóry tajemnicy Eucharystii. Na zdaniu tym opiera się autorka opowiadania.

Zaś On zniknął z ich oczu.

Drżąc z wrażenia wypadli przed próg domu, jakoby chcieli zatrzymać jeszcze najdroższego Gościa, lecz nie dostrzegli już nikogo.

Jedynie ścieżka, kwiatami zasłana, jaśniała uroczyście.

„Gość Niedzielny”, nr 8/1945, s. 12.

JADWIGA BERNHARDT

Majowa Panienka w kuźni hutniczej

Wspomnienie z ubiegłych lat

— Wstawaj. Bronka, już po szóstej!

— Już? — nadleciał od łóżka przeciągnięty ziewaniem i zniechęceniem głos. — A czy Ania śpi jeszcze?

— Nie, Ania jest w kuchni. Szykuje chleb do roboty.

— Okropna rzecz, ta robota — i znowu na noc! skarży się Bronka. — A niech tam Ania dużo kromek przygotuje, bo noc długa — mruczy półgłosem. gramoląc się z łóżka.

Z kuchni dochodzi ją śpiew Ani.

— Cóż tej tak wesoło na duszy? — myśli rozgoryczona, łowiąc mimowoli słowa, co płyną rzewną melodią:

„Chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki...”

Prawda, przecież to maj! — A dziś Trzeci Maja! Nasze święto!

Tęskna myśl przebiega w okamgnieniu daleką przestrzeń od obczyzny do kraju.

O tym czasie zbierają się wszyscy na nabożeństwo majowe... Antek kłóci się z Zosią. Pan Bóg wie, o co znowu... Basia poprawia mirtowy wieniec na włosach, bo pójdzie w bieli, ze świecą... Matka krząta się jeszcze koło obiadu dla ojca, który wrócił z fabryki. — A ona, Bronka, dopiero idzie do fabryki. Nie na majowe, bo ona nie w domu, lecz poza krajem, na robotach.

Wtem strzeliła jej do głowy wspaniała myśl. W mig podskoczyła do swej walizki i wygrzebała z niej „Skarbiec”, wołając radośnie w stronę kuchni:

— Aniu, zrobimy sobie majowe we fabryce! Musimy przecież uczcić dziś Królową Korony Polskiej. Zabieram ze sobą „Skarbiec” — słyszysz?

— Słyszę! a jakże! Cudownieś to wymyśliła!

Gdy wyszły na ulicę, przeniknęło je wieczorne, majowe powietrze. Wszystko wionęło majem. I duże, czerwone kamienice, i świeże, delikatne liście ulicznych drzew i pyłem okryte pasmo jezdni i gorączkujące się, kłótliwe tramwaje. Bronce widziało się nawet, że ciemne zazwyczaj kłęby dymu, unoszące się z fabrycznego komina umiały [snuć] się dziwnie mile.

— Tylko w naszej kuźni nie odmieniło się nic. Ten sam gorący zaduch, ten sam łoskot i ostre światło elektrycznych lamp, tak jak wczoraj i przedwczoraj — żaliła się głośno Bronka.

— To prawda; ale może uda nam się i z tej hałaśliwej kuźni wyczarować majowy urok, gdy tu Loretańską zaśpiewamy?

— Pewnie! zaśpiewamy, aż hej! Gdy się tylko cośkolwiek opróżni i uciszy.

Było koło północy, gdy Ania z Bronką, dobywając „Skarbca” spod robotniczej bluzki, a dla pozoru chleb na kolanach rozkładając, usiadły na skrzynce obok wysokiego pieca, który raz po raz wysypywał snopy migocących iskier.

Wśród miarowego stukotu maszyn i metalicznego dźwięku opadających młotów popłynęło błagalne Kyrie elejson, Chryste elejson...

W ślad za nim zaś poszły gorące wezwania Matki najśliczniejszej, Panny wiernej, Róży Duchownej, a w końcu trzykrotne: „Królowo Korony Polskiej – módl się za nami”.

Majowa Panienka posłyszała tę litanię, która pięła się do niej nie kościelną strzelistą wieżą, ale grubym, zadymionym kominem fabrycznym. Wzruszyła ją ta melodia, rozedrgana tętnem życia maszyn, poszczerbiona u brzegów zębatymi kołami, których się czepiała — melodia załzawiona tęsknotą dziewczęcych serc.

Maryja upodobała sobie w tej osobliwej litanii, chce posłyszeć ją z bliska i schodzi na ziemię, prosto do kuźni hutniczej.

Bronka dostrzegła pierwsza jej niebieski płaszcz. Gwałtownie chwyciła się za serce, które zatętniło radością.

— Aniu, Aniu, widzisz ją? Widzisz Panienkę? Zatrzymała się tuż koło dużego paleniska!

Boże drogi, byleby tylko jakiś płomień nie rzucił się na Nią! O, tamten od okna. ten złoto-niebieski, kręty, długi już Jej dosięga swoim języczkiem. Cóż to? — co się dzieje? Płomień całuje stopy Najświętszej Panienki, a Ona nachyla się i głaszcze go...

Może wysoki piec również poznał Bożą Matkę, bo w tej chwili posypało się z niego tyle jasnych iskier, jakby na powitanie...

Iskry, jak gwiazdy niebieskie uhaftowały ciemne sklepienie kuźni nad głową Maryi, osiadły srebrnym rąbkiem u fałdów jej płaszcza: parę z nich zawisło u jej świętych rąk, zdobiąc je jak najdroższe klejnoty, a jeszcze inne tajemniczym blaskiem zamigotały w puklach włosów i cudną koroną przystroiły skroń — a nagle... — czy zwidziało się rozmodlonym? — w koronie tej zalśnił orzeł — Biały Orzeł!

Radość, pociecha i nadzieja wstąpiły w serca oddalonych od ojczyzny.

„Królowo Korony Polskiej — módl się za nami” — szeptały usta raz jeszcze ostatnie wezwanie litanii.

I tak stała Gwiazda zaranna pośród hutniczych gwiazd, Dom złoty w płomieniach hutniczych palenisk, Pocieszycielka utrapionych, słuchając z uśmiechem świętej litanii.

Polski Królowa przyszła odwiedzić wygnane, stęsknione serca na obczyźnie.

„Gość Niedzielny”, nr 12/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

I uczynił jej sprawiedliwość...

Wszyscy w mieście wiedzieli o okrutnej niesprawiedliwości sędziego Gamaliela. Wszyscy znali pysznego bogacza, co Boga w sercu nie miał.

— Cóż też nieszczęsnej Tawetis wpadło do głowy szukać poratunku u Gamaliela? — pytali się ludzie, ramionami wzruszając.

I spoglądali z niemym podziwem na biedną wdowę, która, nie bacząc na rady innych, szła raz obraną drogą.

Tawetis nie pamiętała, ile to już razy przedstawiała Gamalielowi swoją prośbę. Zawsze napróżno. Inna zwątpiłaby na j ej miejscu — ona wytrwała przy swojej sprawie.

Chodziło o ten skrawek pola za domem, na którym tak pięknie wschodziła pszenica. Gdy mąż jej w ciężką popadł niemoc i rąk zabrakło do orki, oddała go sąsiadowi w dzierżawę. Teraz zaś, gdy mąż już odszedł w zaświaty, niecny sąsiad pola oddać nie myślał. Drwił sobie z bezbronnej wdowy.

Jakże ona sobie radzić miała bez środków do życia?

Postanowiła niestrudzenie domagać się pomocy możnego Gamaliela. Znała, jak każdy inny pychę jego i nieprawość, ale niemniej znała i jego wpływy. Gdy on sprawę rozsądzi — któż mu sprzeciwić i oprzeć się zdoła? Tak zresztą święcie przekonaną była o słuszności swej sprawy, że była pewna, iż sam Gamalieł rzecz rozpatrzywszy, sprawiedliwość oddać jej musi.

Do drzwi ktoś zakołatał. Tawetis ocknęła się z zadumy i pospieszyła otworzyć. Do izby weszła młoda niewiasta, sąsiadka z przeciwka.

— Tawetis, Tawetis, wiesz, czyje karoce minęły mnie teraz w drodze? — wołała zaraz od progu.

— Skądżebym wiedzieć miała, Seonio?

— Wiedz tedy, że Gamaliel z dworem swoim powrócił z letnich wywczasów! — Seonia wiedziała dobrze, co wiadomość ta dla Tawetis oznacza. Stąd nie zdziwiła się wcale, gdy ta nagłym, zdecydowanym głosem rzekła:

— Idę do niego! Idę natychmiast!

— Oho, moja droga, jakoś ci pilno! Zważ, że już dzień ma się ku wieczorowi, że droga daleka — próbowała tłumaczyć Seonia.

— Cóż z tego? Żadna godzina nie jest dla mnie późna, żadna droga zbył daleka, jeśli chodzi o moją sprawę przed panem!

— Idź tedy z Bogiem! Będę strzegła twego domu.

Tawetis zarzuciła na ramiona lichą chustę — chłodno już było — i raźno ruszyła w drogę.

W domu pozostała Seonia. Rozmyślała nad męstwem i wytrwałością biednej wdowy.

— Że też nie lękała się ona okrutnego sędziego Że też nie zrażała się bezowocnością swoich zabiegów, drogą daleką! Taka nieustępliwa, taka harda!...

— Okna pałacu Gamaliela jarzyły się jasnym światłem Z głębi domu dochodziły tony muzyki i wesołe głosy. Służba zwijała się raźno, roznosząc dymiące potrawy i wino w dzbanach.

— To uczta powitalna — pomyślała Tawetis.

Na chwilę opadły ją bojaźń i zniechęcenie. Gotów przepędzić, że nie wczas przychodzi. A wysłuchać, i tak nie wysłucha...

Ale ta niemoc nie trwała długo. Tawetis prostuje swoją postać, poprawia wyszarzałą chustę i mężnie wstępuje w otwartą bramę pałacu.

Odźwierny poznał ją. Wszak zachodziła tu tak często! Ale nie myślał jej wpuścić. Miałby się z pyszna!

Tawetis zaś nie myślała odchodzić. Owszem, podniosła swój głos, aby ją tam, u góry, usłyszano.

Istotrie Gamaliel posłyszał głośną sprzeczkę i wiedział od razu, kto zacz była ta niewiasta i po co przyszła. — Posłyszeli ją też ucztujący z nim i ze zdziwieniem spoglądali na gospodarza. Ani się rozgniewał, ani wołał sługi, aby natrętną przepędzili. Zachował się jakoś dziwnie Czyż mogli się domyśleć, że Gamaliel, przed którym wszyscy w proch padali, bał się tej niewiasty?

I jak się jej bał! Jej niestrudzonego błagania! Jej nieustępliwości! Co za odważna kobieta!

Tawetis tymczasem usunęła gwałtownie oporne sługi i wpadła rozogniona do weselnej sali. Powstało zamieszanie, a po tym nagła cisza, przedarta jej błaganiem:

— Panie, uczyńże mi sprawiedliwość z przeciwnikiem moim!

Gamalieł zląkł się jeszcze bardziej. To błaganie zabrzmiało mu groźbą. Wiedział on, że niewiasta ta zacznie zaraz przedkładać swoją sprawę. A on już pięć, a może i więcej razy słyszał tę historię! — To jej nie zraża. Będzie opowiadać żywo, coraz gwałtowniej — któż wiedzieć może, czy ona go w końcu nie zelży i nie sponiewiera przed tak licznym gronem, jeśli prośbie jej zadośćuczynić nie zechce? Trzeba temu natychmiast zapobiec! Choćby kosztem własnej porażki. Przystrajając tedy twarz w wesoły wyraz, zwraca się do biesiadników:

— Cóż to za groźna niewiasta! Judyt wojująca! Odważna i uprzykrzona. Wbiła sobie coś w głowę i nie ustąpi! Więc „chociaż Boga się nie boję i ludzi się nie wstydzę, ponieważ naprzykrza mi się ta wdowa, uczynię jej sprawiedliwość".

I uczynił.

Skrawek pola falującego złotą pszenicą należał znów do Tawetis. — Nie były daremne jej zabiegi.

Słyszeliście, co mówił niesprawiedliwy sędzia?

„A Bóg, czy nie uczyni sprawiedliwości wybranym swoim, wołającym do niego we dnie i w nocy, i będzie zwlekał w ich sprawie?.

Powiadam wam, że rychło im sprawiedliwość uczyni”.

„Gość Niedzielny”, nr 13/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Chrzest ognia i krwi

— Jest list dla ciebie, Estero.

— List? Któż pisze, Adonias?!

— A któżby? — Ciesz się, ciesz, niedługo, a ujrzymy go! Pisze, że mamy niezwłocznie wybrać się w drogę. Tak zresztą i ja zamierzałem. Jutro tedy ruszamy.

— Jutro? naprawdę, ojcze? Ogromnie cieszę się! — A nie odwlecze się coś jeszcze? Może w urzędach nie wszystko jeszcze załatwione?

— Płonne obawy. Już wczoraj wszystko było gotowe. — Tylko, czy i ty poczyniłaś już przygotowania do podróży?

— Tak, jestem od dawna gotowa z domem całym i służbą.

— Ano, skoro tak, nie stoi nic na przeszkodzie. Ruszymy w drogę wczesnym rankiem. Ja już udam się na spoczynek, by nabrać sił przed długą podróżą. Ty wydaj służbie ostatnie polecenia i idź też spocząć.

— Dobrze, ojcze. — Śpij spokojnie.

Estera została sama.

— Jutro, już jutro — myślała radośnie — opuścimy Rzym. Morze szerokie zaniesie nas na błękicie swych fal do miasta świętego — i do Adoniasa!

Z jakąż niecierpliwością wyglądała rokrocznie nadejścia lata! Ojciec co roku wyjeżdżał na uroczystość dziękczynienia za żniwo do Jeruzalem i zabierał ją z sobą. Za nic nie byłby zaniechał tej dorocznej pielgrzymki. Zbożnej tej praktyki nie wyrwały mu z serca ani długi pobyt w Rzymie, ani bogactwa, w które opływał. Wpływ obcego kraju nie zgasił w nim starej wiary. — Rad był, iże syn jego Adonias na stałe osiedlił się w Jerozolimie i nie myślał o powrocie do Rzymu. Ale jej, Esterze, tęskno było bez brata...

— Ależ ja zupełnie zapomniałam o jego liście! — ocknęła się z zadumy.

I już rozwija gęsto zapisany zwój pergaminu. Czysta twarz jej przybiera wyraz głębokiego zamyślenia.

— Znowu pisze o swoim nowym nauczycielu, do którego tak przylgnął, który zachwycił go czynami i nauką swoją. Donosi o jego tryumfalnym wjeździe do Jeruzalem... ciekawam naprawdę wyglądu tego człowieka, który tak zasłynął w naszej ziemi... lecz cóż to? czy to być może? Ów wielki Rabbi umarł? I umarł śmiercią hańbiącą, na krzyżu? poprzednio jak łotr biczowany i cierniem koronowany...

Adonias pisze o wszystkich tych przejściach dokładnie, i z pisma jego spoziera ku Esterze oblicze, pełne boleści. W oczach zakręciły jej się łzy...

Jeszcze świt nie zaróżowił nieba, gdy zbudziła się z rozpaloną twarzą, mocno wstrząśniętą.

Miała niezwykły sen. Śnił jej się ten Nazareńczyk. Widziała, jak stał przed pałacem Piłata, odziany purpurą, z trzciną w ręku, z cierniową koroną na głowie. A spod tej korony spływały duże krople krwi. Słyszała dzikie okrzyki tłumu. który zapełniał obszerny plac przed pałacem namiestnika, tam gdzie ona, dzieckiem będąc, gołębie karmiła. Teraz lękliwe ptaki, spłoszone krzykiem ciżby, odfrunęły i siadły na gzymsach domów. Jeden tylko śnieżny ptak kołował nad głową Nazarejczyka — aż zawisł nad nią w bezruchu. Esterze zdawało się, że jakaś jasność promienieje od skrzydeł gołębicy, jasność, która przeniknęła spadające krople kiwi, przemieniając je w ogniste płomyki.

— Dziwny, dziwny sen — myśli dziewczyna — opowiem go Adoniasowi.

Ulice stolicy kipiały życiem. Ze wszech stron kraju, nawet z Azji. Kapadocji i z Egiptu, przybywali Izraelici na święto Pięćdziesiątnicy do Jeruzalem. Nie brakło i pogan, i przybyszów z Rzymu.

Adonias coraz niespokojniej wyglądał przyjazdu ojca i siostry. Każdego wieczora, zanim skierował się do wieczernika, gdzie wierni Jezusowi schodzili się społem na modlitwę, wychodził przed bramę miasta i wypatrywał.

Aż wreszcie nadeszli

Pomęczeni, ale weseli. Witają się radośnie.

Przyszli do mieszkania. Ojciec musiał zaraz odchodzić. Miał sprawę ze starym Natanaelem.

Estera spogląda badawczo na brata.

Czy ma mu zaraz opowiedzieć swój dziwny sen, o którym nie może ani chwili zapomnieć?

Ale Adonias wygląda tak, jakby już wcale nie myślał o swoim Rabbi, którego — zdało się — tak mocno był ukochał. Esterę ogarnia jakieś rozgoryczenie i żal do brata. Lecz oto wystarcza jedno słowo Adoniasa, a wszystek żal i rozgoryczenie pryska.

— On zmartwychwstał!

Estera nie pyta kto, nie spogląda zdumiona, nie kiwa powątpiewająco głową. Bo z słów brata bije ku niej potęga wiary i prawdy, tak, że i ona wierzy — że On zmartwychwstał!

Zaś Adonias mówi dalej:

— Widzieliśmy Go kilkakrotnie — rozmawialiśmy z Nim. Dziś atoli tydzień mija, jak nas opuścił. Powrócił tam, skąd przybył.

— Opuścił was tedy? — pyta szeptem. głęboko przejęta dziewczyna.

— Opuścił, ale sam mówił, że zostaje z nami po wszystkie dni. I zostawił nam tajemnicę Swego Ciała i wróci kiedyś w chwale i w majestacie. Obiecał też zesłać Swego Pocieszyciela — Estero, wiele ci jeszcze mam do opowiedzenia o Jezusie. On jest Chrystusem, Synem Bożym! — Chcesz, a zaprowadzę cię do grona tych, którzy w wieczerniku przygotowują się na zesłanie przyobiecanego Ducha Pocieszyciela? Otrzymali taki nakaz od niego,

— Chcę, prowadź mnie tam.

- -

Estera przylgnęła duszą i ciałem do świętego zgromadzenia, które śród modlitw, gorącą tęsknotą przeniknione, sposobiło się na przyjęcie Świętej Siły, co miała zstąpić z wysokości.

Przyłączyła się do świętych niewiast skupionych wokoło Bożej Matki. Ich tęsknota udzieliła się i jej. Ich wiara i ją przesiąkła.

Chwilami pytała zdumiona:

— Skąd mi to wszystko? Ani znam Jezusa, anim Go kiedy widziała!

Ale równocześnie odżywał w jej pamięci obraz dziwnego snu i szept jakiś zakradał się w jej ucho:

— Widziałaś Go, znasz Go, nie pamiętasz?

- -

Aż zbliżył się dzień oczekiwany. Wieczernik spowiła święta cisza. Apostołowie zgromadzili się wokoło Najświętszej Panny. Estera wraz z bratem stanęła z boku; sala cała była przepełniona rozmodloną rzeszą uczni.

Naraz jakiś szum ogromny, jakoby nadchodzącego wichru, ogarnął dom cały. Wdarł się przez okna. zatargał murami i... sercami. Estera upadła na kolana. Przed jej oczyma rozwijała się wizja jej snu. Oto widzi znowu tę śnieżną gołębicę z rozpostartymi skrzydły... mieni się, promieniuje. Zawisła nie nad ukoronowaną głową Chrystusa — nie, tej Estera nie dostrzega — ale nad gronem Apostołów i Matką Świętą. Spod jej skrzydeł płynie blask, sączy się kroplami rubinowej krwi, jak wtedy spod cierniowej korony, przemienia się w rozdzielne płomyki, jakby języki ognia, które osiadają na głowach uczni i Maryi.

Estera zamyka oczy. Czuje w sobie jakąś nową, świeżą siłę. Czuje, iż oto zbliżyła się chwila jej chrztu, z tamtego ognia i krwi.

- -

Radość święta zapanowała w sali wieczernika. Wesele nieziemskie bije z każdej twarzy. Siła i moc zda się przelewać z wszystkich serc.

— Estero — mówi Adonias, ściskając dłonie siostry — już wiesz wszystko! Już cię oświecił Duch prawdy! Już jesteś Chrystusową!

— Czym zasłużyłam sobie na takie szczęście niewymowne?

— Patrz, Piotr gromadzi uczniów wokół siebie... Wychodzi z nimi na miasto!... I ja przyłączę się do nich, tam moje miejsce! A ty, siostro, spiesz

do ojca, powiedz, że nie tak prędko wrócę, opowiedz mu, coś widziała, może i on uwierzy...

Atoli tego dnia nie tylko ojciec Estery, lecz i tysiące innych uwierzyło i dało się ochrzcić.

Potęga Ducha Świętego, przemawiająca przez usta Apostołów, wstrząsnęła Jerozolimą.

„Gość Niedzielny", nr 15/1945, s. 12.

JADWIGA BERNHARDT

Ostatnie słowo powie Bóg...

„Niech nas nie dziwią powodzenia złych i przeciwności zacnych ludzi. Życie bowiem – to księga, w której omyłki prostuje się dopiero na końcu, choć nie zbywa jej na każdej karcie".

Na jerozolimską świątynię kładły się długie, ukośne promienie zachodzącego słońca. Niczym niezamącona cisza przechadzała się po opustoszałym dziedzińcu. Zwykle o tej porze gwar młodzieńczych głosów niósł się między wysokimi kolumnami. Dzisiaj cicho już było. Czcigodny nauczyciel Joatym wcześniej wypuścił swoich słuchaczy, bo jutro święto.

Naraz z za tylnych filarów ganku wyłoniły się postacie dwóch uczniów. Coś ważnego snadź ich zatrzymało, że nie poszli razem z innymi.

Młodzieńcy mogli być równi wiekiem. Jeden z nich wysoki i blady, o szczerym spojrzeniu jasnych oczu, skromną nosił odzież. Drugi, niski i krępy, o dumnym wejrzeniu, dostatnio był ubrany.

Kroki ich zbliżają się. Już można słyszeć oderwane słowa ich ożywionej dyskusji W chwili, gdy dochodzą do głównego krużganku, rozmowa ich dobiega końca.

— Właściwie nie ma o czym rozprawiać — mówi z pewnością siebie krępy Finees, syn jerozolimskiego magnata. Nie trzeba być prorokiem, żeby ci przepowiedzieć, Eleazarze, że nie masz żadnej przyszłości przed sobą. Jesteś biedakiem i biedakiem zostaniesz, mimo całej bystrości twojego

umysłu, mimo twojej dobrej woli, mimo twej uczciwości... Wybacz, że ci to mówię, ale...

— Dobrze już, dobrze! Wiem, że ty masz lepsze horoskopy.

— Co znaczy horoskopy? Ja mam pewność, że mi świetny los pisany! Obaczysz, że świat bogatych i możnych, a nie szarych, bezimiennych nędzarzy, zaszczytami i szczęściem zwykł darzyć — powiedział twardo Finees.

— Świat! Świat! — przedrzeźniał rozgoryczony nieco Eleazar — świat — to nie wszystko! Ostatnie słowo powie Bóg!

Śmieszny jesteś — rzekł pobłażliwie Finees. Przekonasz się, że i Bóg bogatym sprzyja i możnym. Rozejrzyj się po świecie, a przyznasz mi słuszność.

Zdarzenia lat następnych zdały się potwierdzić prawdę tych słów.

Finees odziedziczył po ojcu rozległe włości i naczelne stanowisko w radzie starszych.

Dla Eleazara los nie był łaskawym. Wpierw obumarł go ojciec, potem matka, w końcu krewni z chaty wyrzucili. Poszedł w obce strony, ale i tam mu się nie wiodło. Nabawił się na obczyźnie strasznej choroby, na którą nie masz lekarstwa. Teraz powraca do Jeruzalem; chce umrzeć na rodzinnej ziemi.

Wychudła postać, łachmanem okryta, zatrzymała się w bramie miasta.

Nogi uginają się, żebrak klęka — usta całują rodzinne, święte progi.

— Dzięki Ci, Boże, że jeszcze żywym wrócić dozwoliłeś.

Eleazar powlókł się dalej. Napotkanych przechodni pyta o drogę do pałacu Fineesa. Wskazują mu ją, spoglądając z podejrzliwym zaciekawieniem.

— Oho! Śmiele sobie poczyna, — myślą — pałacu mu się zachciewa!

— Ucieszy się Finees z dostojnego gościa — zaszydził ktoś, spoglądając wymownie na strzępy i łachmany wędrowca.

Gdy Eleazar stanął przed wspaniałą budowlą, opuściła go reszta sił. Upadł omdlały u wrót pałacu.

Nazajutrz i w dni następne nikt nie zatroszczył się o nędzarza. Leżał u bramy wychudły i sczerniały. Psy jeno przychodziły i lizały wrzody jego.

Nikt nie zapytał: „Ktoś ty?” lub „skąd przybyłeś?” Nikt nie podał wody w dzień upalny, ani przyniósł okruszyny z bogatego stołu.

Zaś stoły aż uginały się od rozmaitości potraw. Każdego wieczoru spraszał Finees gromadę gości, z którymi bawił się do późnego rana. Eleazar spoglądał na to wystawne życie z swego nędznego legowiska. Spoglądał na przepych królewskich purpur i delikatną biel lnianych materii, w które stroili się bogacze. Ale obojętnym był wobec tego przepychu. Inne byłby miał życzenie: żeby mu ktoś z biesiadników bodaj kromkę chleba podał. Ale nikt się z tym nie kwapił.

Aż pewnego dnia sam pan, wychodząc z domu, przybliżył się do żebraka, na którego dotąd uwagi nie zwrócił. Spotkał się z wejrzeniem jasnych, badawczych, choć chorobą nacechowanych oczu.

— Znam skądś te oczy— myślał — ale nie znam wstrętnej, chorobą zniekształconej postaci.

— Znasz ją — zdały się mówić tamte jasne, mądre oczy — znasz ją, przypomnij sobie.

— Mam sobie przypomnieć? — Mocny Boże! taki wzrok miał kiedyś... powiedz, człowieku, czy tobie nie Eleazar na imię?

— Poznałeś mnie, Fineesie.

Myśl bogacza powędrowała w dawne lata. Stanęła mu żywo przed oczyma rozmowa dwóch młodzieńców na ganku jerozolimskiej świątyni. Jeden z nich stał się wielkim w świecie, drugi leżał teraz na nędznym barłogu, jałmużny żebrząc. — Tak! spełniły się jego, Fineesa, przepowiednie.

— Widzisz, Eleazarze, że bogatym przyznane jest królowanie na ziemi!

— Ostatnie słowo powie Bóg! — odrzekł słabym głosem Eleazar.

Następnego dnia słudzy znaleźli martwe ciało nędzarza u bramy i usunęli je. Jak żył nieznany, taki umarł.

Niedługo potem przed pałacem Fineesa poczęły gromadzić się wielkie tłumy. Rozlegają się płaczliwe skargi niewieście i zawodzące tony żałobnych fletów. Umarł wielki i bogaty Finees. Już go odprowadzają do nowego, pięknego grobu, z tym samym przepychem, który go za życia otaczał.

I oto przyszła godzina, w której ostatnie słowo wyrzekł Bóg.

„I pogrzebion jest bogacz w piekle”.

Okropna rozpacz szarpie duszę Fineesa, wyrzuty sumienia palą nieznośniej od straszliwego płomienia.

Wtem dojrzał Eleazara w wiecznej chwale.

— Tyżeś to, nędzny człowieku, którego wrzody psy lizały, a teraz jasnością promieniejesz? Tyżeś to, Eleazarze, dopiął tej chwały? Ach! czemum tobie i innym głodnym chleba nie podał?

— Tak, Fineesie, sprawiedliwości stało się zadość. To, co byłbyś rozdał potrzebującym, teraz byłoby twoją własnością. A tak utraciłeś wszystko. Bóg wyrzekł ostatnie słowo.

— Ty teraz możny, prośże za mną Abrahama — pokornie prosi Finees. — W tej chwili sam dojrzał postać patriarchy.

— „Ojcze Abrahamie” — błagał — „zmiłuj się nade mną, a poślij Eleazara, aby umoczył koniec palca swego we wodzie i ochłodził język mój, bo cierpię męki w tym płomieniu”.

I rzekł mu Abraham:

— „Synu, wspomnij, że za życia twego otrzymałeś dobra, a Eleazar przeciwnie, złe; a teraz on ma pociechę, a ty męki cierpisz. A nad to wszystko, miedzy nami a wami wielka przepaść jest utwierdzona, aby ci, którzy chcą przejść stąd do was, nie mogli ani stamtąd tutaj się przeprawić”.

Finees widział wyraźnie, że dla niego nie ma już ratunku.

Gdyby udało się przynajmniej drugich, bliskich, przed tak straszną uchronić dolą!

„Proszę cię tedy, ojcze, abyś Eleazara posłał do domu ojca mego, bo mam pięciu braci, aby ich przestrzegł, żeby też i oni nie przyszli na to miejsce mąk”.

Lecz Abraham nie zgodził się.

— „Mają Mojżesza i proroków — mówił — niechże ich słuchają”.

— „Nie, ojcze Abrahamie, ale gdyby kto z umarłych przyszedł do nich, będą pokutę czynili” — upierał się Finees.

— „Jeżeli Mojżesza i proroków nie słuchają — tu głos Abrahama uniósł się gniewem — choćby też kto z martwych powstał, nie uwierzą!”

Zapanowało głuche milczenie. Tylko gdzieś z oddali dochodziły dźwięki hymnu wiecznej chwały, zgotowanej dla cichych, biednych i wzgardzonych.

„Gość Niedzielny”, nr 17/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Król galerników

Po szerokich stopniach gmachu paryskiego oratorium schodzi dwóch duchownych: Wincenty á Paulo, kapelan księżnej Małgorzaty de V alois i ksiądz Berulle, kierownik oratorium.

Ks. Berulle nie należy już do młodych. Siwy włos zdobi jego skroń, a ramię ciężko wspiera się na ramieniu towarzysza.

Towarzysz jego podtrzymuje go z uszanowaniem. Radosna młodość spoziera z jego twarzy otwartej.

Ks. Wincenty jest podniecony; jego słowa są gorące, urwane.

— Już jutro, Ojcze, pójdę do księżnej... przedłożę, prosić będę... nie ustąpię. Nie mogę tu dłużej pozostać!... coś pcha mnie naprzód, daleko stąd... jakaś siła, jakieś pragnienie... Wyście, ojcze, wzbudzili we mnie tę siłę! Wasza nauka wznieciła ten ogień!

Nie ja, synu, nie, ale Pan Bóg. On cię woła na posterunek.

Słyszę... widzę... rzesze, które trzeba przyodziać, nakarmić — rzesze, którym trzeba pokazać Boga. Najwyraźniej jednak widzę grozę życia w kajdanach — mękę skazańców na galerach... jeszcze noszą ślady batów na ramionach... między tych pójdę, ochłodę nieść i wzmacniać nadzieję!

— Błogosławię ci z serca, synu!

- -

Księżna Małgorzata de Valois przechadza się zdenerwowana po komnacie.

Coś podobnego! Ten młody kapłan Wincenty á Paulo wypowiada jej służbę! — Może to być? — Taką służbę zaszczytną, rokującą świetniejsze jeszcze stanowiska? Nawet jej długo nie sprawował, bo ani rok nie minął, jak wrócił z Tunisu, zaprzedany tam przez piratów w niewolę...

Nie, księże, ja Was zrozumieć nie mogę. Nie rozumiem, coby Was miało skłaniać do tego kroku.

— Miłościwa Pani, rwę się do pracy miedzy biednymi! Chcę dla nich pracować, niczym nieskrępowany...

— Ależ to możecie i u mnie czynić! Wszak Wam poleciłam troskę o biednych! Nigdy nie stawiałam granic Waszej dobroczynności, nigdy Was nie kontrolowałam.

— To była dobroczynność Wasza, Pani! Atoli ja znam nędzę sroższa, której nie mogę dosięgnąć ramieniem Waszej dobroczynności, której ulżyć mogę jeno własną prawicą, własnym trudem...

— O jakiej to nędzy mówicie?

— O nędzy galerników...

W komnacie zapanowało milczenie. Księżna Małgorzata przystanęła u okna. Walczyła ze sobą... nie puści od siebie tego młodego księdza... pokochała jego słoneczną duszę, tak czułą na nędzę bliźnich... lecz czy wolno jej stanąć w poprzek obranej drogi? drogi bohaterskiej? Nie, nie wolno! Byłoby grzechem... ciężkim grzechem...

Gdy znowu swą twarz do ks. á Paulo zwróciła, uśmiechała się:

— Przekonaliście mnie, księże. Nie zatrzymuję Was. Idźcie dokąd Was Bóg woła. Powiedzcie tylko, w która stronę ruszacie.

— Do Marsylii pojadę. Lecz wpierw, zanim wszystko się ułoży, zatrzymam się w Clichy, w tym najsmutniejszym kącie naszego miasta.

— Proszę tedy, korzystajcie jeszcze z moich dochodów. I na drogę zabierzcie, ile wam potrzeba.

— Bóg Wam to wynagrodzi, miłościwa Pani!

Clichy, najsmutniejsze przedmieście Paryża. Najbrzydsze, najbiedniejsze. Ludzie z ciasnych ulic, po których ścieka cuchnąca woda, z domów niskich, odrapanych, nie znają słońca. A dla dzieci półnagich, biegających po nierównym bruku chleb jest nieznanym prawie przysmakiem...

Kilka kobiet, zmizerniałych, biednych, przystanęło na rogu ulicy.

— Mały ci on, ale jak huknął kazanie, to w kościele dudniało!

— Takie to chudziątko, ale jakoś bystro patrzy. Zda się, że człowiekowi do sumienia zajrzy...

— A żebyście wiedziały, jak pięknie prawił! Na płacz się zbierało, na płacz...

— Nawet chłopy jakoś podejrzliwie chrząkali, tak, tak, sama widziałam.

O czymże to mówił, powiedzcie, Elżbieto?

— Bo ja wiem — o wszystkim... tylko jakoś inaczej, tak prosto, od serca... o naszej nędzy i o Bogu, który wszystko widzi, o wszystkim pamięta... że dobry jest...

— Wiecie, że on był wczoraj u Luizy? u tej, co to jej mąż...

— Co wy też mówicie? — wykrzyknęły prawie wszystkie naraz, ogromnie zdziwione — u Luizy?! Czyżby się już był zwiedział, co mąż jej, Wiktor przewinił? Ale pocóżby tam chodził? Trzebaby się dowiedzieć u Luizy!

Elżbieta znała Luizę najlepiej. Pamięta jeszcze, jak za mąż wychodziła, młoda, ładna, jak pierwsze dziecko na świat przyszło — ona była mu kumą — teraz jest ich więcej, pełna izba. A nakarmić nie ma czym. Wiktor, to dobry chłop — ale miał takie nieszczęście!.. — mój Boże — po cóż wspominać tak straszne rzeczy?! Aż dreszcze człeka przechodzą.

Luizę zastała w domu. Krzątała się, żwawo po izbie, myła, szorowała i była nad wyraz wesoła.

— Siądź, Elżbieto! Dobrze, żeś przyszła, mam ci wiele do opowiadania — wołała, spiesznie podając krzesło.

— Cóż ci się przydarzyło, że się tak ochoczo zwijasz?

— Żebyś ty wiedziała! — Widziałaś już tego nowego księdza?

— Aha, — szepnęła Elżbieta, głośniej zaś dodała: — pewno, pewno, słyszałam w niedzielę jego kazanie!

— Prawda, że mu dobrze z oczu patrzy?! — Jaki to miłosierny człowiek! Dowiedział się skądś, że mojego Wiktora przymknęli i przyszedł tu wczoraj. Do tej izby... przyszedł pocieszyć, chleba dzieciom przyniósł i bawił się z nimi... tu, na podłodze... wzruszenie przerwało jej mowę. — Taki święty człowiek! Jeszczem takiego w życiu nie spotkała. Powiedział, że wstawi się za Wiktora, że go uchroni z Bożą pomocą od zesłania na galery...

Atoli Wincentemu nie powiodło się w tej sprawie. Gdy jego prośby dotarły do urzędów, Wiktor był już galernikiem. Z ciężkim sercem szedł do biednej kobiety, rozmyślając, jakby ją pocieszyć. I chociaż tak ciężką troskę ma na sercu, uśmiecha się do wszystkich.

— Dobrzy są ci biedacy. Żal mi będzie opuścić ten kąt, tą dziatwę. — A przystawał, brał dzieci za ręce, śmiał się z nimi i sięgał po chleb do płaszcza.

W izbie Luizy czysto było, schludnie, nie tak, jak za pierwszym razem, gdy tam wstąpił.

Wincenty modlił się w myśli.

— Panie Boże, spraw, niech jej to nie złamie.

W oględnych, serdecznych słowach powiedział wszystko. Nie rozpaczała, jeno z cicha popłakiwała, tuląc najmniejsze dziecko.

— Na pociechę powiem Wam, że ta sprawa jeszcze nie stracona. Za niedługi czas wyruszę do Marsylii — na moje miejsce dostaniecie bardzo dobrego księdza, znam go. — W Marsylii zajmę się losem biednych galerników. Może kiedyś odnajdę tam waszego Wiktora? — wtedy Wam napiszę! I może da się coś zrobić!

— Wasza Królewska Mość, list z Marsylii.

Król Ludwik XII sięgnął po list, który podawał mu sługa na srebrnej tacy.

Uśmiechnął się.

— To już trzeci list... co za człowiek z tego Wincentego á Paulo! — Rozerwał pismo i czytał w skupieniu. Gdy skończył, z trudem hamował wzruszenie.

— Prosi o pomoc dla swych „wychowanków" — galerników! Nie mogę mu odmówić! Posłucham męża świątobliwego!

Zadzwonił na sługę.

— Niech sekretarz natychmiast przyjdzie.

Przyszedł po chwili.

— Proszę pisać!

Król dyktował. Dyktował list do Wincentego á Paulo.

Tego dnia odeszło pocztą królewską pismo, mianujące ks. Wincentego naczelnym duszpasterzem galerników.

Wincenty otrzymał wielkie pełnomocnictwa. Został „królem galerników".

W starej dzielnicy portu, St. Jean zamieszkał ks. Wincenty. Znało go już całe miasto. Znali go wszyscy galernicy, którzy do portu dobijali, bo każdemu z nich rękę podawał, każdego o imię pytał, obdarzał.

Kiedyś przybyła kupiecka galera z Aleksandrii. Wincenty swoim zwyczajem chodził po pokładzie, nie szczędząc chleba i słów pociechy. Pytał o imiona, o kraj rodzinny.

— A twoje imię, bracie? — zwrócił się do młodego jeszcze niewolnika o smutnej twarzy.

— Wiktor.

— Wiktor? — powtórzył, jak echo ks. Wincenty i dziwne uczucie go ogarnęło. Niejeden już galernik wymienił to imię, żaden z nich nie był mężem Luizy... ale ten... jest nim na pewno!

— Jesteś ty z Clichy?

Galernik otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— To ksiądz mnie zna?

— Znam, znam ciebie — wołał radośnie ks. Wincenty — znam twoją Luizę! — Jesteś nareszcie i Bogu chwała! Dziś jeszcze napiszę Luizie!

Na rogu ulicy w Clichy przystanęły kobiety, opowiadając z ogromnym ożywieniem.

— Luiza wczoraj dostała list od ks. Wincentego!

— Wiec to jednak prawda, Elżbieto? Więc Wiktor się odnalazł?

— Nie tylko, że się odnalazł, ale i powróci!

— Dziwy! Dziwy! Niebywałe rzeczy!

— Czegóż nie dokona nasz ks. Wincenty?! Ten dobry, święty człowiek!

— Niech go Bóg darzy jak najdłuższym zdrowiem!

— Niech go kiedyś sowicie wynagrodzi!

Praca na galerach — to tylko fragment dobroczynnej działalności Wincentego. Jego przytułki dla starców, ratowanie podrzutków, opieka nad żebrakami, reforma szpitali, szeroko zakrojona akcja w czasie klęski głodowej — to różnorodne zwierciadła, w których odbija się duch męża, który pawłowy hymn o miłości wprowadził w czyn.

Św. Wincenty á Paulo jest założycielem zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, znanych, u nas pod nazwą „Wincentek”. Panienki, któreby pragnęły poświęcić się pracy charytatywnej w duchu św. Wincentego

á Paulo i służyć w osobach ubogich, chorych i sierot Chrystusowi, mogą zgłosić się do Domu Centralnego SS. Miłosierdzia św. Wincentego á Paulo (Chełmno nad Wisłą, Pomorze, ul. Klasztorna 40) lub do SS. Miłosierdzia św. Wincentego w Katowicach (Szpital Bracki, ul. Francuska 24). Od kandydatek nie wymaga się dużej wyprawy, natomiast konieczna jest uczciwość, przeszłość bez zarzutu i miłość ku ubogim.

„Gość Niedzielny", nr 23/1945, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

U złotych wrót

Wyszli z świątyni i zbliżali się do złotych wrót. Przystanęli w nich, w szczęścia zadumę spowici, młodzi oboje i piękni.

Patrz, Anno, złota brama prowadzi nas z świątyni na drogę życia. Oby to życie nasze było ozłocone blaskiem tych jasnych wrót!

— Tak, Joachimie, ta złota brama nieraz jeszcze rzuci swe blaski na nas, bo nie zapomnimy nigdy drogi, wiodącej do tego przybytku, z którego błogosławieństwo Pana na sprawiedliwych spływa.

— Ale teraz śpieszmy, bo goście weselni czekają!

— Czy zrobimy postój u grobu Racheli? — pytała Anna, czerwieniąc się z lekka.

— Dobrze, Anno, mały postój nie opóźni zbytnio naszego powrotu.

Z historii świętej było im wiadomo, że Rachela, Jakubowa małżonka, dwunastu synom życie dala, sama umierając przy ostatnim, Benjaminie. Stąd żadna niewiasta, pozbawiona potomstwa, nie omieszkała u grobu Racheli o Boskie zmiłowanie prosić.

Wstąpiła i Anna do małej kapliczki z kopułą, i nad grobem matki dwunastu synów zaniosła do Boga modły o liczne potomstwo...

Na betlejemskiej drodze orszak weselny czekał nadejścia oblubieńców. Słońce zachodziło nad judzką krainą, żegnane dzwonieniem pastuszych trzód. Wreszcie nadeszli. Drużki, przyjaciółki Anny, towarzyszki jej lat dziecięcych, pozapalały swoje lampy i pośpieszyły naprzeciw młodej pary.

— Jacy oni piękni! — szeptały.

— Patrzcie, jak promienieją szczęściem!

- -

Tak, szczęściem tym po brzegi napełniony został dom nowożeńców. Rok za rokiem mijał, a ono trwało, niczym nienaruszone.

Niczym nienaruszone? To nieprawda! Dlaczego po twarzy Anny nieraz spływała łza? Czemu smutek wyzierał z jej jasnych oczu, gdy w drodze mijały ją dzieci, dzieci miłe, wesołe? Kurczyło jej się serce, gdy w oczach Joachima dostrzegała troskę i nieme pytanie.

— Nie dał mi Bóg potomka — mówiła z żalem. — Może nie jesteśmy dość sprawiedliwi?

Ale to być nie mogło! Czyż w całej okolicy nie stawiano ich za wzór prawości? — Czyż nie przeznaczyli jednej trzeciej swego majątku na rzecz ubogich? — A o świątynię Pańską któż więcej się troskał, niż oni? — A jednak Bóg im nie błogosławił! Wszak liczne potomstwo było widomym znakiem Bożego błogosławieństwa!

Często pielgrzymowali do Jeruzalem i przez złote wrota wchodzili do Pańskiej świątyni. Wrota te miały ozłacać swym blaskiem drogę ich życia, tymczasem droga ta stawała się szarą. Atoli Anna nie ustawała w modlitwie, ani nadziei w Boże miłosierdzie nie traciła, choć młodość jej dawno już minęła.

Ale cięższa jeszcze czekała ich próba. Przyszedł dzień, gdy złote wrota cień złowrogi na drogę ich życia rzuciły. Było to wtedy, gdy Anna spotkała na dziedzińcu świątyni Sarvias, córkę najwyższego kapłana. Ta od dawna już niesprawiedliwą urazę do Anny chowała. Znały się już długo.

— Nie poznajesz mnie, Sarvias? — spytała Anna życzliwie, przystając.

— Nie znam ciebie już dawno — rzuciła tamta, a oczy jej wróżyły nieszczęście. Myśli jej niecny knuły spisek.

I uknuły. Poszła do ojca swojego i rzekła:

— Czemu ty, ojcze, przyjmujesz ofiarę Joachima? Czy nie widzisz, że przekleństwo Boże na nim i na żonie jego ciąży? Wszak potomstwa nie mają! Niewątpliwie tajemnej jakiejś dopuścili się zbrodni!

I nie przyjął kapłan Isakar ofiary Joachima, którą przyniósł na dzień poświęcenia świątyni. Odsunął bogobojnego męża od ołtarza. Co za hańba wobec wszech obecnych! Co za cios!

Nie chciał teraz Joachim wracać do domu. Żal i wstyd targały mu duszę. Szukał samotności.

Anna poszła sama. A gdy stanęła przed złotymi wrotami, zdawało jej się, że brama rzuciła na jej drogę cień ponury... Aliści nie rozpaczała, lecz gorętszą jeszcze zaniosła w niebo modlitwę za Joachima i... za tamte złe oczy Sarvias.

Joachim poszedł na łąki rozległe, by tam, ukryty przed światem, uskarżyć się Bogu...

Tam też znalazł go anioł, z wieścią radosną posłany od Boga.

Który rzekł:

„Modlitwie twojej, Joachimie, zadość się stało! Żona twoja, Anna, powije ci córkę wielkiej zacności u Boga, nad którą innej błogosławieńszej między niewiastami nie będzie i Maryja imię jej dane będzie. A na znak tego pójdziesz do świątyni i tam za tę nowinę wesołą Panu Bogu dziękując, znajdziesz Annę, żonę twoją we wrotach złotych, której się toż, co i tobie zwiastowało”[15].

Wesele wielkie ogarnęło Joachima. Pośpieszył co tchu do Jeruzalem i zastał wszystko, jako anioł powiedział.

— Cud uczynił Bóg nam, starym ludziom! — witała Anna Joachima.

— Spieszmy Mu dziękować!

A gdy, wyszedłszy z przybytku, znowu stanęli u złotych wrót, droga przed nimi wiła się wstęgą, blasków pełną, jak w dzień ich zaślubin.

„Gość Niedzielny”, nr 24/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Krystka z Odrowążów

Przez grube mury i wysokie okna biskupiego pałacu przedzierał się do mrocznej komnaty przyciszony gwar mnóstwa ludu. Świątobliwy biskup,

---

[15] Wedle „Żywotów” Skargi.

Iwo z Odrowążów, głowę wsparłszy na poręczy rzeźbionego krzesła, z uśmiechem wsłuchiwał się w te odgłosy.

— Zda się, jakoby morza fale wzburzone kłębiły się gdzieś w oddali.

— Moc ludu zgromadziło się przed pałacem Waszej Świątobliwości — mówił szlachetny rycerz Piotr, dziedzic z Proszewa — już od rana tłumy ściągają ze wszech stron na wieść o przybyciu Waszego krewniaka,

— Skąd zwiedzieli się ludzie tak rychło?

— Dawno już krążą przeróżne, bardzo osobliwe nowiny o Jacku, naszym krakowskim kanoniku, o br acie jego Czesławie i o Hermanie z Niemiec, budząc zbożną ciekawość i na dworach rycerzy i po chatach kmiecych. Trudno dać wiarę tym wieściom.

— Zaiste, trudno im dać wiarę — powtarza biskup w zamyśleniu — atoli uwierzyć trzeba, boć to żadne baśnie, ni klechdy pieśniarzy. Wiecie, że sam byłem w Rzymie i własnymi oczyma oglądałem cuda, które działy się za sprawą ojca Dominika. I tegom był świadkiem, jak krewniak mój miły, Jacek, w towarzystwie Czesława i Hermana, z rąk jego białą mniszą szatę przyjmował, składając swe suknie bogate na ołtarzu... Hermanus po drodze w Tyrolu się ostał, gdzie klasztor zakłada, Czesław na Pragę poszedł, Jacek zdąża do Krakowa... nie jako wysoki dostojnik Kościoła, pan z możnego rodu, liczną świtą rycerstwa otoczony, ale jako pielgrzym biedny, bosy...

Ciężkie drzwi komnaty otworzyły się z cicha. Do pokoju weszła młoda jeszcze dziewczyna, dziecko prawie, o licu urodnym, zadumana wielce. Była to Krystka z Odrowążów, Jacka daleka krewna.

— Cóż, Krystko — pyta biskup Iwo dobrotliwie, gładząc jasną główkę co się skłoniła na rzeźbioną poręcz krzesła — jeszcze nie widać naszych gości?

— Nie wiem, ojcze, nie spoglądałam na drogę. Byłam w kaplicy — szepce z cicha.

— Nie smućże się, dzieweczko, wszystko będzie dobrze, obaczysz!

Krystka podniosła główkę i wlepiła błagalne oczy w dobrą twarz biskupa.

— Gdyby szlachetny rycerz Bolko... — tak trudno wymówić te słowa... — jeśli Bolko też przyjął białą szatę zakonnika, to byłabym wolna?

— Cichaj, dzieweczko, cichaj...

Za oknami podniósł się gwar. Gdzieś zagrały rogi. Dzwony zabiły. Z okien na ulicy i z wystających przystawek wychyliły się głowy niewieście, strojne

w czepce, i odkryte głowy dziewcząt, zdobne tylko wieńcami z róż i chabrów. Na dużym placu przed pałacem i na ulicy, która biegła hen, ku bramom miasta, zafalował strojny tłum. Kraśniały kunsztownie wyszywane kierezyje[16] i w kwiaty malowane spódnice, połyskiwały w słońcu zbroje rycerzy i pachołków, a wiatr swawolny igrał grzebieniami pawich piór na hełmach. Zaś nad ową zbitą masą głów ludzkich niosły się radosne nawoływania:

— Idą już! Już widać śnieżne habity! Boże, błogosław słudze Twemu, Jackowi z Odrowążów!

Uciszyło się cośkolwiek. Na ganku pałacu pojawił się odświętnie przybrany biskup, otoczony gronem rycerzy. Z boku przystanęła Krystka z drużką swoją, Juttą z Kościelca.

Na twarzy Krystki płoną rumieńce. Oczy wpatrują się gorączkowo w ciasną uliczkę między pstrzącym się tłumem. Kroczy tam kilka białych postaci. Naraz łzy zabłysnęły w oczach dziewczęcia. Ręce złożyły się, jak do modlitwy.

Dzięki Ci, Boże, dzięki! Już nikt mi nie wzbroni welonu mniszki...

Po chwili, spokojniejszym już głosem mówi do Jutty:

— Widzisz, tam idzie rycerz Bolko z Kazimierza, któremum z woli ojców za żonę poślubioną być miała. A mnie śnił się mniszki welon... i nie odmówią mi go więcej, bo oto rycerz Bolko złożył miecz, a przyjął zakonny habit.

Tłumy ucichły zupełnie. Tylko dzwony grały w krakowskich kościołach i ptactwa chmary świegotały po gzymsach domów.

Jacek Odrowąż stał na stopniach biskupiego pałacu. Spoglądał na rzeszę, wpatrzoną weń, wyczekującą... Modlił się.

— Ducha Twego ześlij, abym mógł pociągnąć ku Tobie te serca polskie. Tak tęskniłem, Panie, do ziemi ojczystej, do ziemi polskiej, zwól, niech praca na jej niwie, plon przyniesie! Niech kres nastanie swadom zemstliwym między panami, niech kmieć prawy lżej oddechnie na swoim

---

[16] Kierezyja – odmiana męskiej sukmany krakowskiej z obszernym, ozdobnie haftowanym kołnierzem w kształcie trójkąta, wykładanym na plecy; nadal używana w ludowym stroju krakowskim; nazwa od sukna produkowanego niegdyś w Kersey (Anglia).

zagonie, niech kupca nie gniecie prawo niesprawiedliwe. Zwól, Panie, by młodzież polska, tak skora do bohaterskich wyczynów, nie tylko miecz, ale i krzyż ukochała!

Padły pierwsze słowa z ust kaznodziei. Za nimi drugie i trzecie, łańcuchem nieprzerwanym, mocnym, płomiennym...

Słońce zaszło za górami, a tłum stał nieporuszony. Dzwony już dawno umilkły i ptactwo ucichło, a tłum zasłuchany, niepomny na głód, na zmęczenie, na chłód wieczoru...

Już cienie nocy snuły się ulicami Krakowa, gdy tłumy sprzed pałacu biskupa Iwona z Odrowążów, w długiej, skupionej procesji, ruszyły w stronę kościoła św. Trójcy. Ołtarz rozgorzał setką świec. Kościół napełnił się po brzegi ciżbą rozmodloną, poruszoną głęboko Jackowym kazaniem. On sam uklęknął u stopni ołtarza. Przy nim Bolko z Kazimierza, Staszko z Dębowiny i Spytko z Kamienia, jego pierwsi towarzysze.

Wokół zaś stanęła strojna młodzież rycerska, tu i ówdzie pacholęta w książęcych, złotem wyszywanych płaszczach. Postacie to były rosłe, prościutkie, jako dęby w lesie, choć twarze młode jeszcze, z włosem, nad brwiami równo uciętym, a spuszczonym na ramiona. Teraz bije powaga wieku dojrzałego od tych młodzieńczych twarzy...

Pierwszy z brzegu, rycerz Sadok z Dębnika, podchodzi do ołtarza, kładzie miecz swój na śnieżnym obrusie i odbiera błogosławieństwa Jacka — przeora... Za nim drugi piękny młodzian, Hanko z Kozielca, potem trzeci i czwarty... biskup spogląda przez łzy na ołtarz, na którym błyszczy się stos rycerskich mieczy. Naraz powstaje zdumiony, wraz z nim inni możni, bo do ołtarza podchodzi Krystka z Odrowążów i kładzie tuż obok mieczy rycerskich swoje pierścienie złote, sprzączki misterne, łańcuchy... Potem klęka u stóp Jacka, prosząc:

— Daj mi welon mniszki, welon białej szaty ojca Dominika!

Jacek z Odrowążów błogosławi klęczącą. Rozradowane oczy wzniósł w niebo i dziękuje za tak cudowne plony swojej rozpoczętej siejby.

„Gość Niedzielny”, nr 27/1945, s. 12.

Strażnik doskonały

Sprawiedliwy, wiekiem sterany Malluch umierał. Leżał wyprostowany na skórą krytej ławie i wzrokiem spokojnym spoglądał hen, w zaświaty. Żadna już myśl, żadna troska nie wiązała go z ziemią. Dziedzictwo bogate w ziemie rodne, woły i wielbłądy, stada owiec niezliczone i niewolników zastępy objął już w posiadanie syn najstarszy, Nabot.

Nabot nie zaprzepaści dziedzictwa. Jest mądry, chytry — spokojny wzrok umierającego pochmurnieje. — Nabot jest chciwy, Nabot nie ma serca... Jefte poczuje teraz cały ciężar życia. Wzrok z zaświatów spłynął znów ku ziemi i ogarnia miłośnie postać młodszego syna. Jefte... dobry, bojący się Boga i taki młody! — Kto się nim zaopiekuje? Malluch szuka i nie szuka długo. U drzwi stoi wierny sługa.

— Seti, przybliż się woła z cicha. Zdziwiony Nabot podnosi głowę. Ojciec jeszcze przytomny? jeszcze rozkazy wydaje?

Jefte, oto twoje dziedzictwo — zwraca się konający z wysiłkiem do młodszego syna.

— Seti, mój wierny sługa będzie ci opiekunem. Słuchaj rad jego; szanuj jego wiek.

Słabnącym już głosem dodaje:

— Uczyń go wolnym — to wielki kapłan obcego boga...

Blask lamp pada na twarz umarłego. Jest cicha, spokojna, jak twarz sprawiedliwego. Jefte klęczy; usta zacisnął boleśnie; opodal stanął Seti — wielki kapłan, jego opiekun. Nabot już się oddalił. – „Trzeba sług dopilnować przed wieczorem”, myśli przezornie
— „nie czas opłakiwać zmarłych”.

- -

— Jesteś kapłanem obcego boga. Zali bóg twój może dorównać Bogu naszemu?

— Ojciec twój mówił, że nie ma Boga potężniejszego nad Jehowę. I moi przodkowie pamiętają potęgę jego ramienia.

— Gdzie leży kraina przodków twoich? — pyta Jełte dalej.

— Kędy krainą niezmierzoną toczy swe życiodajne wody ojciec rzek, Nil błogosławiony. Kędy ziemie bogate plony znoszą nagradzając prostego

ludu pracę. Kędy miasta w złota ozdobie płoną, a na najwyższych terasach świątyń kapłani wiedzy tajemnice odkrywają.

— A bóg twój?

— Bogiem moim i przodków moich jest wszechwładny pan świata, Ra, bóg słońca i życia wszelkiego. Bóg dobry, choć zagniewany gwoli wiarołomstwa ludu swego. Opuściłem ojczyznę, bo ostrza mieczów wymierzono w serca wyznawców prawdziwego boga. Umrę w twojej ziemi.

— Powiedz, Seti — nie boisz się śmierci? — nuta młodzieńczej czci i podziwu przebijała w pytaniu.

— Twój ojciec odchodził spokojnie — pamiętasz? Takoż odejdę i ja.

— Skąd ci ten spokój? gdzie źródło jego? Kto dawcą jego?

Zamyślił się Seti. Wspomnienia uniosły go w jego lata młode, w tajemniczość spowite, gdy jako uczeń spragniony pil wodę wiedzy z ust kapłanów świątyni.

— Posłuchaj, co moja pamięć zachowała z ust mojego nauczyciela, a znajdziesz odpowiedź na twoje pytanie. Pierwszym ludziom źle było na ziemi. Moce chciwości i łakomstwa opanowały dusze, a serca gorące skuła nienawiść. Ludzie bronili się przed tymi mocami, lecz daremnie. Najcięższa zaś walka odgrywała się w ostatniej chwili życia — bo ludzie bali się śmierci. Lecz znalazł się bohaterski młodzieniec, który głosem wielkim prosił boga o pomoc. Bóg go wysłuchał. Zesłał dla każdego człowieka strażnika doskonałego — o obliczu bolesnym, smutnym, pokornym... nazwano go Mara, co znaczy gorzkość i żal. I każdy, który go przyjął do swego boku, zwyciężał złe moce. Każdy, który z strażnikiem doskonałym przestawał często — nie bał się śmierci; umierał przygotowany i spokojny, jako twój ojciec.

— Tyś, Seti, czerpał tę wiedzę nad Nilu wodami. Mój ojciec nad Jordanem słuchał nauki męża o pokucie, o żalu — o strażniku doskonałym.

— Żywie on jeszcze, Jefte?

Nie. Lecz przyszedł większy od niego, jak mówią nasi uczeni w skrytości, i lud gromadzi nauczając. Nauka jego jest nowa, inna. — Seti, zaprowadzę cię do niego.

Bogaty Nabot nie próżnował. Ojcowskie dziedzictwo powiększył stokrotnie, niepomny na krzywdę innych. Poślubiwszy małżonkę, rozpoczął budowę wspaniałego pałacu.

— Cóż mi wypada uczynić ze złotem, które nagromadziłem? — myślał w pysze serca. — Mieszkanie sobie doskonałe nagotuję, niechaj widzą wszyscy, jakim bogaty.

Spichrze pobudowane przez Mallucha okazały się już za małe na zbiory Nabota. Zgromadziwszy więc pewnego dnia robotniki swe, mówi im:

— Zburzycie coprędzej stare spichlerze a większe zbudujecie, abym mógł w nich zgromadzić plony pól.

Sługi zabrały się do pracy. Pośród złotych pól stanęły wielkie spichrze, do których Nabot dobra swe wnosić kazał.

Pałac wspaniały też był gotowy. Tam wśród częstych uczt Nabot spędzał dni. Przy winie i dźwiękach harf zastał go Jefte. Nadszedł poważny, smutnym wzrokiem mierząc bogactwo brata. Nabot nie ukrywał niezadowolenia z jego odwiedzin.

— Cóż cię znowu prowadzi w mój dom?

— Widzę, że ci niemiła moja sprawa, aliści nie ustąpię prędzej, aż sprawę moją wygram.

— Nie odstąpię ci połowy mojego dziedzictwa! — zawołał Nabot zapalczywie.

— Uspokój się. Mam inną myśl. Słyszałeś już pewno o nowym Rabbim?

Nabot skinął głową niezdecydowanie, nie wiedząc do czego brat zmierza.

— Otóż — podjął Jefte dalej — pójdziemy do niego obydwaj. Mądrość jego nie zna granic — jemu tedy przedłożymy nasz spór. A jak on osądzi, tak niechaj będzie.

Nabot uśmiechnął się drwiąco. Jakiś wędrowny Rabbi ma jemu nakazywać, co czynić?! Pójść z bratem nikt mu nie zakaże — pójdzie, jak na ciekawe widowisko — ale do nierozważnego kroku nikt go nakłonić nie zdoła.

Tego dnia zastali Jezusa z Nazaretu za murami miasta. Wielka rzesza była przy nim. Przepychając się przez nią, dotarli do pierwszych rzędów. Seti towarzyszył Jeftemu. Nabot rozglądał się ciekawie, z tym samym drwiącym uśmiechem. Na licach Jeftego płonęły rumieńce. Zbliżyli się do Proroka.

— Nauczycielu, powiedz bratu memu, aby się ze mną podzielił dziedzictwem! — zaczął Jefte.

Jezus z Nazaretu popatrzył dobrotliwie i poważnie na młodą, rozgorączkowaną twarz.

— Człowiecze, któż mnie ustanowił sędzią albo rozdzielcą nad wami? — zapytał spokojnie.

Potem zwrócił się do obydwu głosem władczym, że naraz uśmieszek znikł z ust Nabota.

— Uważajcie, a strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo niczyje życie nie polega na obfitości tego, co posiada.

Jefte opuścił głowę zasmucony. Seti rozważał posłyszane słowa, myślał o strażniku doskonałym. Jeno Nabot nie zachował spokoju. Nie żegnając się z bratem, zawrócił i zniknął w tłumie.

Jezus począł opowiadać:

— Rola pewnego bogatego człowieka obfite plony zrodziła. I rozmyślał sam w sobie, mówiąc: Cóż uczynię, bo nie mam dokąd zgromadzić plonów moich? I rzekł: Oto co uczynię: Zburzę spichlerze moje, a większe pobuduję i tam zgromadzę wszystko, co mi się urodziło, i dobra moje. I powiem duszy swojej: Duszo, masz wiele dóbr zgotowanych na wiele lat; odpoczywaj, jedz, pij, używaj. I rzekł mu Bóg: Szalony! Tej nocy duszy twojej zażądają od ciebie; a coś nagotował, czyjeż będzie?

Zamilkł Rabbi i powiódł wzrokiem po zasłuchanych, zatrzymując go na twarzy Jeftego. Młodzieniec był wzruszony.

— Tak bywa z t ym — dodał Jezus, nie spuszczając wzroku z młodzieńca — który sobie skarby zbiera, a nie jest ku Bogu bogaty.

Wracają w milczeniu, wolno, wpatrzeni w własny świat. Naraz Jefte woła zduszonym głosem.

— Jeżeli Nabot dziś umrze?! Wszak o nim opowiadał Rabbi! Jeżeli dzisiaj powie mu Bóg: „Szalony! Tej nocy duszy twojej zażądają od ciebie?!” Seti, ja biegnę do niego! Czyż u jego boku nie stoi strażnik doskonały?! Jeno, że Nabot zapomniał o nim! Biegnę, by mu przypomnieć! Biegnę na ratunek!

W pałacu nie zastał brata. Sługa oznajmił, jako wyjechał, zagniewany i zniecierpliwiony, nie mówiąc dokąd.

Jefte powlókł się przygnębiony do domu. Przez noc całą oka nie zmrużył. Troska o brata go gryzła. I skoro świt, skierował się ponownie do domu Nabota.

Zgiełk i krzyk przed pałacem napełniły go złym przeczuciem. Spiesznie roztrącił hałasujących i wbiegł na obszerny dziedziniec. Nagłe przerażenie zatrzymało go w miejscu. Na noszach leżała jakaś zwinięta skrwawiona postać. Twarz była chustą nakryta.

Jefte zakrył oczy ręką i wolno zawrócił w stronę bramy. Minionej nocy bogatego Nabota przywaliła skala.

Czy też pamiętał w ostatniej chwili o strażniku doskonałym?

- -

Sprawiedliwy, wiekiem złamany Seti, umierał. Leżał wyprostowany na skórą krytej ławie i wzrokiem spokojnym spoglądał w zaświaty. Starcza ręka spoczywała na głowie klęczącego Jeftego.

— Nigdy nie zapomnij o wiedzy mych przodków z nad Nilu, ani nie omieszkaj naśladować twego ojca, pouczonego nauką pokutną nad brzegami Jordanu.

Glos mu się łamał, życie uchodziło z sprawiedliwego serca. Nagle spotężniał cichy glos:

— Jefte, Rabbi z Nazaretu posiadł wszystką naukę! Idź w jego ślady! — i skonał.

Młodzieniec podniósł się z kolan. Silne postanowienie rzeźbiło Jego rysy:

— Pójdę za Nim — powiedział mocno.

„Gość Niedzielny", nr 31/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Jak św. Tomasz kury kradł

Dworska służba kręci się po podwórzu, wodząc niespokojnym wzrokiem za Barledą. Stara gospodyni, przed którą drżą i rośli pachołkowie, głośno i gniewnie stąpa w swoich drewniakach.

— Znowu zaginęły dwie sztuki drobiu — mruczy rozeźlona — dwie duże, wykarmione kury. Jak tak dalej pójdzie, nie będę wiedziała, co podać do stołu. Żeby tak nakryć złodzieja!

Badawczo spogląda po sługach...

— Między tymi na pewno go nie ma. Znam ich wszystkich od dawna. Pozostaje więc tylko Tomasz.— stara gospodyni wzdycha skrycie. — Ale może mu ktoś pomaga? Może któryś ze sług wie o postępkach panicza? — wpada jej naraz do głowy. — Ponownie wodzi okiem po zziębniętych twarzach. — Francesco? — czego on się tak chytrze uśmiecha? Barleda przypomina sobie naraz, że Tomasz już nieraz zabierał ze sobą do miasta tego sprytnego chłopaka, równego mu wiekiem.

— Idźcie na wieczerzę! — woła rozkazująco. — Ty, Francesco, zostaniesz tutaj! — Wszyscy spoglądają zdziwieni na młodzieńca. — Czy Barleda jego posądza? To niemożliwe! Zawsze radosny i dobry dla każdego Francesco nie mógł uczynić nic złego.

Chytry uśmiech na twarzy chłopaka ustępuje prawdziwemu zmartwieniu. — Jak wybrnąć z tej awantury, aby panicza nie zdradzić? Cóż może wiedzieć stara Barleda?'

— Francesco — głos gospodyni brzmi surowo — wiem, że pomagasz Tomaszowi, tej szalonej głowie. Powiedz natychmiast, bez krętactwa, co panicz robi z t ymi... z t ymi... skradzionymi kurami! — woła gwałtownie, z widocznym wysiłkiem.

Chłopakowi serce młotem bije. Jak tu wybrnąć, aby panicza nie wydać i bezpiecznie ujść przed gniewem Barledy? Co powiedzieć? co powiedzieć? — myśli zrozpaczony.

— Jeżeli mi zaraz nie odpowiesz, poskarżę wszystko pani de Villanova — grozi Barleda, udając, że zabiera się ku wyjściu.

— Powiem już wszystko, jeno nie mówcie nic pani dziedziczce!— woła chłopak, czepiając się jej ręki. — Panicz zabronił o tym rozpowiadać, zabronił surowo — stęka żałośnie...

— Mów, mów, nie mam czasu — przynagla gospodyni.

— Panicz jest dobry — głos chłopaka zniża się do szeptu — on zanosi te kury do miasta i rozdaje biednym.

— Szalona głowa! — Kucharka wybucha gwałtownie, z udanym gniewem, aby pokryć wzruszenie. — Niepoprawny! Jeszcze nie odrósł od ziemi, a już rozdawał swoje zabawki i ubranka. Raz wrócił do pałacu boso, w koszulinie... —

Stara stoi zakłopotana na dziedzińcu i nie wie, czy powiedzieć o tym rodzicom panicza. Tomasz de Villanova, radość i duma rodziców; wiele

sobie obiecują po swoim jedynaku... Wszyscy przepowiadają mu świetną karierę...

- -

W Walencji biją radośnie dzwony. Król Karol z dworem swoim zajeżdża do pięknego miasta, wprowadzając nowego arcybiskupa, swego dotychczasowego kaznodzieję. Wszyscy go znają, a kto go nie zna, szuka zdziwionym wzrokiem, nie znajdując go w złota blaskach. Tomasz kroczy w szarym habicie.

Weseli się Walencja. Nowy arcypasterz jest ojcem ubogich — ulży niedoli! Wspomoże w nędzy, obroni przed grabieżą i pokarze grabieżców! Poskromi złych i chciwych panów. Ci się nie weselą. Spoglądają nieprzyjaźnie spod ściągniętych brwi na szarego człowieka.

Fernando de Mendoza — ich przywódca, co grabieżą wzniósł się na szczyty bogactwa, patrzy drwiąco.

— Tego nam się obawiać?! Nie żartujcie, panowie! Ten nie podniesie przeciwko mnie głosu!

Słuchający powątpiewają. Wiedzą dobrze, że za lichym habitem kryje się mocny człowiek, za którym stoi dwór królewski i niezliczona armia biedaków.

— Pohamuj się, Fernando! — ostrzegają — nie znasz Tomasza de Villanova i nie wiesz, czego on już dokazał!

— Mnie nie zwycięży!

A jednak zwyciężył. Po niedługim czasie, po bezskutecznych, dobroci pełnych napomnieniach arcybiskupa, by Fernando de Mendoza zaprzestał grabieży a zrabowane dobra zwrócił, posypały się na jego głowę z katedralnej ambony otwarte groźby. Nie przeląkł się ich niegodziwiec, ale zapłonął nienawiścią ku odważnemu pasterzowi.

Francesco, wiemy sługa biskupa, już nie raz dostrzegał nocną porą podejrzanych ludzi, kręcących się kolo domu Tomasza de Villanova. Wiedział, że są nasłani przez Fernanda. Lecz nie wiedział, że wkrótce przyjdzie mu umrzeć za swego panicza. Pewnej nocy, wyszedłszy przed bramę, został zamordowany przez pachołków pana de Mendoza, którzy wzięli go za arcybiskupa.

Na Fernanda de Mendozę spadła klątwa. Uszedł, nikt nie wiedział dokąd. Ludzie odetchnęli swobodnie. Jeno stara Barleda nie miała spokoju.

— Nastawają na życie mojego dobrego panicza — Panie Boże — szeptała w pacierzach — daruj mu to, że kradł kiedyś niewinny drób i strzeż tej odważnej, szalonej głowy.

Cztery tysiące złotych dukatów darowała kapituła arcypasterzowi na budowę pałacu biskupiego.

— Bóg wam zapłać! — wykrzykiwał uradowany Tomasz — tyle pieniędzy! Stanie dom duży i piękny, jakiego jeszcze świat nie oglądał.

I stanął. Piękny i duży dom — szpital dla wszelkiej biedoty. Dom, jakiego dotąd nie widziano. Biedacy spoglądali nań wzruszeni, śląc modły dziękczynne za tego ojca w szarym habicie — o szalonej głowie.

On zaś chodził od łóżka do łóżka, uzdrawiając niemocą złożonych swoim dobrym słowem. Dużo ich było. Tak dużo, że dom wielki okazywał się za mały dla tej biedoty.

Aż pewnego dnia przywieziono człowieka na poły umarłego; ludzie znaleźli go w lesie. W szpitalu nie znalazło się ani jedno wolne łóżko dla tego biedaka. Pytająco patrzano na arcypasterza. A on stał pochylony nad leżącym, wpatrując się weń natężonym wzrokiem.

— To ty jesteś? — tak, nie mylą mnie oczy, bo serce to potwierdza. Z trudem cię poznaję, boś się odmienił przez te długie lata. Cieszę się, że cię jeszcze spotkałem, cieszę się, że nie masz już mściwie zaciśniętych ust. Oczy twoje łagodne, jakoby łez dłutem wygładzone...

— Idźcie do mojego domu — zwraca się do ludzi — i przynieście moje łóżko dla tego biedaka. —

Nie trwało długo, a dobry arcybiskup zachorował. Blady i wynędzniały, choć serdecznie uśmiechnięty, leżał na lichym posłaniu. Król, który był posłyszał o niemocy wielkiego dobroczyńcy, przyszedł go nawiedzić.

— Gdzież jest łoże twoje, arcybiskupie? — pytał zdziwiony wielce.

— Darowałem pewnemu biedakowi — odpowiedział niestropiony wcale, uśmiechając się osobliwie, czym króla bardziej jeszcze zaciekawił.

— Któż był tym biedakiem?

— Fernando de Mendoza! — zawołał radośnie Tomasz de Villanova.

Dobrze, że nie słyszała już tego stara Barleda, która była pomarła przed laty, bo miałaby znowu o co gderać.

„Gość Niedzielny”, nr 363/1945, s. 5.

JADWIGA BERNHARDT

Wojsko śląskiej monarchini

Stromo w górę piął się skalisty chodnik, ostrymi kamykami raniąc bose stopy. Żelazem zakończony kostur uderzał z cichym jękiem o skalisty grunt. Spracowane płuca dyszały ciężko, z wysiłkiem.

— Boża Panieneczko, adyć już się nie dowlokę — wzdychała płaczliwie — adyć końca nie widać tej drodze. Odpoczywam co krok, bo ledwo zipię, i pewno nie wcześniej, jak na południe, stanę w zamku. Uf, a chciałam być na górze z rannym dzwonieniem.

I szła dalej sterana praczka Konstancja — przyśpieszając kroku i troskliwie poprawiając śnieżuchne obrusy, w zgrzebnym fartuchu ułożone.

— A nasza święta księżna — Boża Panieneczko, daj jej zdrowie — każdego dzionka idzie tą drogą. Nieraz bywa, że więcej razy tędy schodzi do naszej wioski. Baczę, jak wtedy, gdy powódź zabrała nam chudobę, potem, jak zaraza szła od chaty do chaty, ona wszędy była... Boża Panieneczko, daj jej zdrowie — biegła tu, tą dróżką skalistą, do zamku, raz po odzież, raz po chleb, raz po leki, sama nie obuta, choć taka wielka pani... nasza święta ksieni.

Ponownie przystanęła. Głębokie zmartwienie odbiło się na jej pomarszczonej twarzy.

— Adyć znowu zapomniałam, na śmierć zapomniałam — skarżyła się zakłopotana. — ...i odpuść nam nasze winy... nasze winy — jak to było dalej?... nasze winy odpuść... Boża Panieneczko, zapomniałam, jak to było dalej?...

- -

Księżna Anna niecierpliwie chodzi po zamkowych korytarzach. Raz wraz spogląda przez uchylone drzwi do wysokiej komnaty, A potem znów przez wąskie okna na dalekie błonia, które, jak okiem sięgnąć, zabłysnęły srebrem hełmów w kwietniowym słońcu. Przez uchylone drzwi komnaty dochodzi ją spokojny, słodyczy pełen głos:

— Nie tak, Konstancjo, posłuchajcie jeszcze raz: „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...” — A potem starcze, drżące usta powtarzają te same słowa — i utykają w połowie. I znowu spokojny, cierpliwy głos zaczyna żmudne nauczanie od początku.

— Jej cierpliwość nie ma granic — szepce Anna w zamyśleniu. Dziesiąty tydzień mija, jak uczy tę kobiecinę „Ojcze nasz” — biedną praczkę, ona, wielka monarchini... Księżna Anna zamyka oczy, osobliwie poruszona, lecz wraz wyrywa się z zadumy, biegnie do uchylonych drzwi komnaty i woła od progu:

— Szanowna pani matko! już nam iść trzeba. Już czas najwyższy. Pan nasz Henryk, dwukrotnie już słał gońca, byście, nie mieszkając, przybyli.

— Dobrze, Anno, już śpieszę. Wy, Konstancjo, idźcie do kuchni. Dają wam ciepłą strawę. I nie martwcie się o syna. Da Bóg, Bogusław powróci. Widzicie, iż i mój syn idzie na pogany, u ja cieszę się, boć chwalebną jest rzeczą bronić świętej wiary.

— Chodź, córko, śpieszmy — zwraca się do Anny, żony swego syna, Henryka Pobożnego, — by księcia pana nie niepokoić opóźnieniem.

W zamkowym podwórzu czekała już kolasa. Opodal niej stała grupka wieśniaków z odkrytymi głowami.

— Anno, jeszcze chwilkę musisz poczekać. Jeszcze muszę tych ludzi wysłuchać, by po darmo nie przyszli.

Zbliżyła się do gromadki kmieci. Oni z głęboką czcią całowali kraj jej sukni i otwierali serca, troską przepełnione. Ona, ich dobra matka, pocieszy i zaradzi wszelkiej nędzy.

Wreszcie ozdobne koła kolasy sunęły od zamkowej góry ku błoniom, kędy w karnych szeregach stanęło jej wojsko. Jej wojsko! bo śląskich synów mężne serca biły pod tymi błyszczącymi zbrojami, a ona śląskiej krainy matką była!

Książe Henryk zbliżył się ku kolasce.

— Na pewno wy, pani matko, znowu mieliście utrapienie z tą biedotą.

— To nie utrapienie, synu, nie — mówiła księżna, rozradowanym wzrokiem błądząc po żołnierskich twarzach.

Tam, z boku, stanęli Pogarelanie, których trzy czerwone wieże wyglądały z poza warownego muru na białym polu tarczy herbowej. Z tamtej strony jaśniały herby Burzywojów, orzeł w złotej koronie na

niebieskim, biało-czerwono-kratkowanym polu, a tuż obok Klemens z Palenicza, wierny towarzysz jej syna, z którego tarczy rodowej spoglądał złocisty jeleń na czerwonym polu.

W tej chwili biskup Wawrzyniec z Wrocławia przybliżył się do monarchini, która głębokim witała go ukłonem.

— Da Bóg, czcigodna pani, a będzie pokonany Tatarzyn sprośny przez wojska nasze.

— Ojcze, jeździliście już pod Lignicę? — moc wojska tam stoi,

— Niezliczone zastępy! Ze wszystkich stron Polski przybyli książęta z odsieczą.

— Błogosławcie tedy, ojcze, mojej śląskiej armii, mojemu synowi, który jej przewodzi.

Zabłysnął w słońcu krzyż biskupi, wzniesiony nad morzem pochylonych głów, podniosła się w niebo modlitwa monarchini, by Bóg wojsko jej w bój poprowadził — ku zwycięstwu.

Noc głęboka trzymała wartę na murach w śnie pogrążonego dworzyszcza. Wypłoszyła wszelkie światła z komnat wysokich, jeno jedno, małe, czerwone światełko migało w oknie. Księżna Jadwiga czuwa na modlitwie w kaplicy. Wierna służka Demundis zdrzemnęła się, znużona głowa opadła na ciemny pult[17] ławki.

Naraz budzi się Demundis. Zdało się jej, że pani woła. Rzeczywiście, księżna podniosła się z klęczek, stoi wyprostowana, spogląda hen w dal, i mówi coś zdławionym, przejmującym szeptem: — ...na polu lignickim płynie krew z tysiąca ran... tysiące serc moich synów zamilkło na wieki... i Henryk zamknął oczy...

Białe mgły, jak całuny pośmiertne, otulają do snu wieczystego walecznych żołnierzy. Lecz oto z tych białych oparów podnosi się nowe wojsko — wojsko ziemi śląskiej zmartwychwstało! Książę Henryk jedzie na przedzie, już krew nie płynie mu z skroni, buńczuki trzepocą zwycięsko na wietrze — naraz — rycerskie miecze podnoszą się w górę, jak na świętą Ewangelię — ostatnie pozdrowienie śle swej monarchini — i zapada się w podziemiach.

---

[17] Pult (niem.) – pulpit.

Zachwiała się księżna... rozpaloną skroń przyciska do chłodnego krucyfiksu...

— Zabrałeś hufce moje, Panie — zabierz i mnie, bo cóż może monarchini bez swego wojska? — Milczysz, Panie? Sąż inne Twe zamysły? — Jadwiga podnosi wzrok. Tam, gdzie z srebrnych mgieł wyszedł zmartwychwstały zastęp rycerzy i zapadł się w podziemiach, tam teraz z niskich, szarych chat i od pól falujących zbożem, idą zastępy kmieci. Idą nękani zarazą, biedą, ciemnotą i troską, zastęp za zastępem, jak wielkie wojsko idą ku swojej monarchini.

Jadwiga patrzy i uśmiechem rozpromienia się jej oblicze.

— Jeszcze dla tego wojska chcę żyć!

Prędko rozeszła się wieść o krwawym boju. Księżna Anna popadła w rozpacz. Rozdzierająco płacze nad śmiercią męża. Księżna Jadwiga nie rozpacza.

Naraz przypomina sobie święta Pani, że przecież i Konstancja będzie niepocieszona, kiedy nie doczeka się powrotu Bogusława. Wiec śpieszy stromą, skalistą ścieżką do chaty praczki. Stara kobieta była nieutulona.

— Widzę, Konstancjo, że zapomnieliście „Ojcze nasz", mówi Jadwiga łagodnie.

Nie zapomniałam, dobra pani, nie, — łkała kobieta — ady wciąż się modlę za Bogusia.

— Mówię wam. żeście zapomnieli — powtarza księżna stanowczo — inaczej nie rozpaczalibyście tak srodze. Przyszłam, by wam przypomnieć tę modlitwę, by modlić się razem z wami. Przecież i mój syn poległ.

Uklękły obydwie na twardej ziemi chłopskiej izby, monarchini obok praczki i w niebo, wiosennym słońcem uśmiechnięte, szły słowa modlitwy Pańskiej:

— Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi.

„Gość Niedzielny", nr 36/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Człek miły, pełen wesela...

Wracali z nieszporów.

Przed nimi, w odświętnej sadów zieleni, śpiewało ptactwo swoje niedzielne pieśni. Za nimi grało echo drewnianego kościółka, co przysiadł wśród drogi, grobowych krzyżów, otoczonych wieńcem, i leciutko pachniał dym srebrnego kadzidła.

Mateuszowi grało jeszcze w uszach, potężnie, głośno jak na organach: „Człek miły, pełen wesela, gdy drugim swego udziela..."

— Jużci, że to szczera prawda, a nie żadna taka tylko zbożna śpiewka — myśli sobie. — Hej! żeby tak wszyscy ludzie ze wsi o tym pamiętali! Nie byłoby tak ciężko na świecie!

On, Mateusz, wie o tym dobrze. — Czy to u niego w domu nie pełno tego wesela? Ale też — chwalić Boga — ani on, ani Zośka, jego córka, nie odegnali jeszcze nikogusieńko spod proga. — Godzi się więc i teraz ręki przyłożyć... Tu Mateusz Kępacz zafrasował się tęgo. Zwolnił kroku, czoło zmarszczył i mruczał półgłosem:

— Zleży z jakie ćwierć roku, może i dłużej... że też akurat w nogi mu się dostało. — Dziecek czworo — nie, pięcioro: Mania, Kazek, Stach... Józefowa rady nie da. Stach co prawda, ma już swoje osiemnaście lat, ale toż to takie chude, nieporadne w gospodarskich sprawach, no i...

— Pochwalony! A cóż to się tak frasujecie, Mateuszu?

— Na wieki wieków — ano, zawsze jest o czym myśleć... Anim was nie widział, Walku!

— Bo też idziecie zamyśleni, jak sam pan sekretarz gminny. Nad czymże tak ciężko medytujecie?

— Po prawdzie, nie o moją biedę tu chodzi, jeno o Józefową.

— Józefową? Mazurową kobietę? Tego Mazura, któremu onegdaj nogi przejechało?

— O tę właśnie, o tę. Trzeba jej jakoś pomóc. Dziecek tam mnogo, drobnych, wątłych, chudoby nijakiej...

— Mateuszu, Mateuszu! Że was też zawsze głowa boli o cudzą biedę! — Nie tak dawno, jak budowaliście Łucznikowi nową stodołę, bo mu się stara spaliła. Zaś Anna od młyna, której chłopa do wojska wzięli, mówiła mi, żeście jej siano darmo dali. A zresztą, czy ja nie widzę, jak wasza Zosia prawie co wieczora pełną zapaskę do tych biedaków nad rzeką niesie? — Zejdziecie wy na dziady, Mateuszu, jak sobie dalej tak nieroztropnie poczynać będziecie.

— Będzie, jak Bóg da. Dotąd szło wszystko z Bożym błogosławieństwem. Nijakiej stąd szkody nie miałem i rad dawałem, jak prawemu chrześcijaninowi przystoi. — Ale żegnajcie, skręcę do obejścia Józefowej.

Wszedł między opłotki. Pachniało tu miętą i rezedą. Słońce spoglądało przez zielone okulary młodych jabłonek na chudą od kóz poobgryzaną trawę.

Cicho tu było, jak w kościele. A w Mateuszowych uszach znów grało: „Człek miły, pełen wesela...”

— Cóż ten Walenty tak się uwziął? — Sam mógłby niejednej biedzie we wsi zaradzić. Jest ci nawet zasobniejszy ode mnie, zagrodę ma, jak nie przymierzając sam pan wójt. Jeno, że w tej zagrodzie nie ma miejsca dla Pana Jezusowych gości. Dla biednych, gołych, opuszczonych... A wiadomo: „Gość w dom, Bóg w dom”.

— Jakże z ojcem, Stachu? zwrócił się do szczupłego chłopaka, co z książką w ręce na progu niskiej chaty siedział.

— Mówił lekarz, że nie lepiej — odpowiedział chłopak, podnosząc się i z uszanowaniem miejsce w drzwiach robiąc.

Szanował on gospodarza Kępacza, szanował!

— Drugiego takiego nie znajdziesz prędko — powiadał — któryby mu sercem i rozumem dorównał. Stach, — o czym jednak nikt wiedzieć nie śmiał, — więcej nawet kochał gospodarza Mateusza, aniżeli rodzonego ojca... gospodarz Mateusz był ojcem Zosi... Zosi, ku której paliło się młode serce chłopaka! I gospodarz Mateusz zezwalał czasem na spacer z Zosią, lub na czytanie jej książek, tam, pod jabłonką, na tej właśnie chudej, od kóz poobgryzanej trawie... Gospodarz Mateusz spoglądał z szacunkiem na książkę, zaś ojciec rodzony nieraz już w gniewie za owe książki z chaty wyrzucał.

— Czy ojciec pytał kiedy, co za myśli jemu, Stachowi, po głowie chodzą? Czy pytał, czym by chłopak chciał zostać? Gospodarz Kępacz, to co innego!...

I teraz Mateusz spogląda badawczo na niego, nie wchodzi do izby, wsparty o przyzbę..

— Byłeś, Stachu, w mieście, jako ci zaleciłem?

— Byłem, gospodarzu.

— I cóż? pytałeś w uczelni, kiedy są wpisy?

— Pytałem... wiecie... wiecie... pytałem też o... te studia. Kosztują dużo pieniędzy!

Mateusz żachnął się.

— Nie o to pytać kazałem! Powiedz lepiej, czy dasz radę z nauką.

Na twarz chłopaka wystąpiły rumieńce. Ręce mocniej splotły się wokoło książki.

— Dam radę, dam, gospodarzu!

— W takim razie — sprawa załatwiona. Szykuj się, choćby jutro. Tylko nie zapomnij przyjść się pożegnać!

Ojcowskim ruchem poklepał Stacha po ramieniu, który stał niemy od tak wielkiego szczęścia — i wszedł do izby. A z nim razem wchodziło w mrok biednych ścian wesele sprawiedliwego człeka.

Stachowe studia miały się ku końcowi. Jeszcze tylko kilka miesięcy, i pan inspektor Mazur rozpocznie swoją pracę. Na wiosce wszystkie gospodynie, i młode i stare, o tym rozprawiały, spoglądając, już to życzliwie, już to zazdrośnie na Zosię.

A ona chodziła rozpromieniona. Tyle się przez te kilka lat w ich rodzinnej zagrodzie zmieniło, jeno ojciec pozostał ten samiuteńki. Oto wraca z nieszporów, jak co niedzieli, a echo, które zasiadło w kościele do zamilkłych już organów, gra mu w uszach pieśń o człeku miłym, pełnym wesela, który drugim z swego udziela...

— Święta prawda! — myśli Mateusz — święta prawda, chociaż Walenty powiada inaczej. Bo Walenty sądzi, że on, Mateusz, utraciwszy swoją chudobę, jest ogromnie nieszczęśliwy. Myli się Walenty, bardzo się myli, bo Mateusz nie czuje tak bardzo swoich strat.

— Nieroztropnie gospodarzyłeś, troszcząc się o wszystką biedotę — mówi Walenty.

— Miłosierny byłem, litosny i sprawiedliwy, sądzi Mateusz. — Jużci i w tym Boża wola, że dom się wali, że obory i stodoły pustką stoją, — prawy chrześcijanin we wszystkim dostrzega Boże błogosławieństwo.

Nie inaczej orzekł Stach, który pewnego pogodnego wieczoru zapukał do Mateuszowych drzwi. Powiedział nawet więcej:

— Nie utraciliście wszystkiego. Największe bogactwo wam się ostało — wesele wasze. Na tym trwałym fundamencie rozpoczniemy my z Zosią nowe życie. Prawda, Zosiu?

— Prawda, prawda, Stachu!

Przez barwne okna kościelne, co w krąg złocistego ołtarza stanęły, sączyły się czerwone, modre i zielone blaski na dwie pochylone głowy. Tej trzeciej, starczej, co trwała w bezruchu, już nie dosięgały.

Mateusz słuchał... i choć organy Veni Creator śpiewały, w jego uszach Dawidowe cudne psalmy grały: „Człek miły, pełen wesela, gdy drugim swego udziela”.

„Gość Niedzielny”, nr 39/1945, s. 5.

* * *

JADWIGA BERNHARDT

Kazanie umierających dzwonów

Był cichy, upalny dzień czerwcowy roku 1845. Na bezchmurnym niebie słońce spieszyło ku zenitowi. Wzniosło się tuż, tuż ponad wieżę starobieruńskiego kościoła, w którym Bartłomiej święty, w głównym ołtarzu, potężnym słowem pogańskie bożki gruchotał.

Małgosia, urodna i jedyna córka mistrza krawieckiego Jana Śmietany, coraz ociężale przewracała pachnące siano. Spod białej chusteczki wymykały się zlepione kosmyki ciemnych włosów, a na opalonym czole perliły się kropelki potu. Czarne oczy dziewczęcia nie tyle zważały na grabie, ile błądziły rozmarzone w rozsłonecznionym przestworzu.

Tereskę zaproszę, Anielę, Mańce powiem — niech przyjdzie wraz z Antkiem, zabawimy się wesoło. — Odrzuciła grabie i usiadła opodal,

w cieniu karłowatej gruszy. Zapatrzyła się w domki miasteczka, w wieżę kościoła — tak, jutro zerwie się w czas; wpierw pójdzie na mszę św. — przecież tak trzeba w dniu imienin — potem, powróciwszy, izby odświętnie przystroi, na ganku wyporządzi — hej, jeszcze ma dużo roboty przed swym świętem! jeszcze jej dziś kołacze piec trzeba! — Zerwała się szybko. Już pójdzie, nie będzie czekała na Anioł Pański, pewno i tak niedaleko południa, bo słońce pali mocno. — Podnosi porzucone grabie; miedzy drewnianymi zębami zaplątało się kilka drobnych, czerwonych kwiatuszków. Uśmiecha się..

Są takie czerwone, jak te matczyne korale, które mi jutro ojciec na imieniny podaruje — myśli rozmarzona.

Poprawiając chustkę nad czołem, śpieszy łąkami ku drodze, nucąc z cicha. Naraz daleki, przeraźliwy krzyk dobiegł jej uszu; zatrzymuje się wystraszona.

— Boże, cóż to jest? — pyta lękliwie. — — — Jezus, Maryja! — pali się! — Przerażeniem zaokrąglone oczy wpatrują się jak urzeczone w słup dymu, co wzniósł się złowrogą, ogniem błyskającą chmurą nad północną stroną miasta.

Pali się, Boże drogi, w naszej stronie się pali! — A ojciec, ojciec jest sam w domu! — opamiętała się, zapomniała o lęku.

— Ojca trzeba ratować! Starego, kochanego ojczulka! — Pognała na przełaj przez pola, prosto tam, gdzie fale płomieni zalewały starobieruńskie, ciche domki.

Mistrz krawiecki, Jan Śmietana, jak tylko córka z rana wyszła na łąki, zerwał się z posłania, ochędożył się prędko i usiadł pod oknem z robotą. Do jutra musi dokończyć ten aksamitny kaftanik. Małgoś nic nie wie, ucieszy się dziewczyna, wystroi — pięknie będzie wyglądał sznur korali na tym ciemnym aksamicie.

Godziny mijały szybko; zbliżało się południe. Stara ręka mistrza pracowała jeszcze sprawnie. Oczy wyblakłe z uwagą śledziły ściegi igły. Lecz w pewnej chwili oderwały się od roboty.

— Patrzcie! a co się tam stać mogło? -- Ludzie biegną ulicą wystraszeni, rękami wskazują, krzyczą coś — wyjdę, bo przygłuchłem i nie dosłyszę, spytam — oj, to coś niedobrego... Nie musiał iść daleko. Przez okno w słońcu ujrzał stodołę sąsiada pod numerem 58, z której dachu waliły

kłęby dymu i ognia. Przez chwilę nie wiedział co czynić; czuł, jak mu nogi drżą. Za kilka minut ogień może przenieść się na dach jego domostwa.

— Ratuj, Panie Jezu! — westchnął ciężko i grube łzy potoczyły się po zwiędłych policzkach. — Wrócił do izby, rozglądnął się bezradnie — sięgnął po płaszcz na kołku — porzucił; wyciągnął buty z za pieca — porzucił; wtem, jakby sobie coś przypomniał, otworzył szufladę komody, wygrzebał mały, zielono malowany koszyk z wieczkiem, i wyjął sznur korali.

— Małgoś ma jutro imieniny... jeno kaftanik nieukończony...

Potem wyszedł z domku — sąsiadowa stodoła stała już cała w płomieniach — i skierował się w opłotki. Tam, za ogródkiem, pasła się ich krowa, jedyna żywicielka.

— Nie bój się, bydlątko, nie bój — gadał łagodnie do ryczącego ze strachu zwierzęcia — adyć się nie bój, i pójdź, pójdź za mną. — Ale krowa iść nie chciała; ciągnęła do tylu, jakby przeczuwając, że tam, w opłotkach, czeka ją śmierć. — Lecz stary mistrz Jan nie przeczuł tego. Opierające się zwierzę pociągnął w ciasne przejście między dwiema zagrodami — i naraz, naraz ujrzał się ze wszech stron otoczony morzem ognia. Z przodu wznosiła się czarna ściana dymu, z boków strzelały ogniste języki, za sobą czuł żar płomieni...

— Ratuj, Panie Boże, ratuj! — upadł na kolana, przyciskając do piersi sznur korali — ratuj, ratuj — skamlał rozdzierająco. — A krowa ryczała żałośnie **i** głucho...

— Ratuj, Panie Boże! — przez miłość Pana Jezusa i krwi Najświętszej przelanie! Przez konanie Boskiej Matki siedmioma boleściami pod krzyżem zdjętej. Ratuj, Panie... a oto ucichło rozpaczliwe wołanie... ustąpiło przerażenie z twarzy starca, okolonej siwym włosem, który już lizały strzępiaste wężyki ognia...

Weź, Panie, duszę moją w pokoju — weź, już długo trudziła się na świecie — jeno bądź mi miłosierny przed Twym tronem. Otwarła się zaciśnięta dłoń, zabłysnął na niej sznur korali. Starzec gładził ze czcią purpurowe paciorki i szeptał na nich ostatnie pacierze, jak na świętym różańcu... A krowa ryczała żałośnie i głucho...

Wiatr, który przyciągnął od zachodu, rozrzucił szalejący żywioł nad całym miastem. Nie było miejsca, gdzieby między skłębionymi tumanami dymu nie było widać błyskawic ognia, gdzieby nie było słychać

trzaskających i walących się belek. Ludzie Starego Bierunia, jako szczenięta na wsze strony rozproszeni, stanęli z daleka, patrząc z rąk załamaniem i żałosnym krzykiem modlitewnym na swe płonące miasto.

Straszny żywioł nie oszczędził nawet domu Bożego. Oto wszystkich oczy zwróciły się na wieżę, która raz po raz wyłaniała się z snujących dymów, jaśniejąc koroną, blachą krytą, ślicznie uformowaną, — oto wszyscy słuchają po raz ostatni pieśni dzwonów swego kościoła. Słuchają i dziwują się, bo te dzwony nie biją na trwogę, nie płaczą wcale, nie zawodzą, lecz gromko wołają i upominają, aby w ucisku wielkim o Bogu pamiętać, a karzącą rękę Jego sprawiedliwości całować.

Takie to kazanie głosiły umierające dzwony nad płonącym miastem.

- -

Nazajutrz dopiero odnalazła Małgosia swego ojca. Błądziła pomiędzy dymiącymi gruzami, rozełkana, blada — wszystko spłonęło, wszystko. Ostał się jeden tylko dom w rynku, pod numerem 9.

Małgosia w opłotkach odnalazła ojca; leżał uduszony, na poły w proch obrócony — razem z krową, ich żywicielką. Małgosia przyklękła przy zwłokach ojca.

— Ciężko doświadczasz nas, Jezu, ciężko — łkała żałośnie... Zapłakany wzrok padł na mocno zaciśnięte dłonie ojca — coś tam miga czerwono — — sznur korali!

Dziewczyna wyciągnęła rękę po swój dar imieninowy i podniosła do ust paciorki, na których ojciec, jak na różańcu, ostatnie odmawiał pacierze.

Zdarzenie to opisano na podstawie kroniki Cechu Krawieckiego w St. Bieruniu.

„Gość Niedzielny", nr 42/1945, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Herold Wielkiego Króla

— Bracie Tomaszu! Bracie Tomaszu! odbija się przytłumionym echem o niskie sklepienia klasztornego krużganku. — Bywajcie! Bracie Tomaszu!

Z głębi doleciał czyjś przyspieszony krok.

— Wołają mnie? Cóż? — sapał brat Tomasz, niosąc dużą, zaśnieżoną miotłę w ręce — czego chcą? Jeszczem nie odmiótł śniegu od furty...

Na zakręcie ukazała się drobna, skulona postać w szarym habicie.

— Dużo śniegu nasypało nocą. co, bracie Tomaszu?

— A tak, ojcze Franciszku, ażem się zasapał przy robocie.

— Ciesz się, bracie, że widzisz piękny Boży śnieg i podziękuj zań Panu! Tam, na dole, śniegu nie znają. — Słuchaj, bracie, wołałem cię. Zejdziesz do wioski i spytasz u Messera Giovanni Velitta, czy już jutro z rana możemy sobie przyjść po osła i wołu, no i po żłób.

— No i po dzieciątko wtrącił Tomasz karcąco — przecież to rzecz najważniejsza przy naszych jasełkach!

— Nie, o dzieciątko nie pytaj...

— Nie pytać? — dziwił się brat. — Wszak Messer Giovanni obiecał mu je kupić. Powiedziałem mu, że nie trzeba, że już mamy.

— Co, mamy? zawołał Tomasz niedowierzająco — ałe gdzie, ojcze Franciszku?

— Zaraz, zaraz się dowiesz, tylko nie przezywaj — śmiał się Franciszek ubawiony. — Załatwiwszy sprawę u Messera Giovaniego wstąpisz do stolarza Benedetto, dowiesz się, czy już ukończył...

— Aaa — wiem! Benedetto wyrzeźbi świętą figurkę! — zatriumfował brat Tomasz. — Ale — zaniepokoił się nie na żarty — co powie Messer Giovanni, dowiedziawszy się o tym? Gotów nam swych zwierzątek nie pożyczyć — wszak wiadomo, jak z ukosa patrzy na nas zego mistrza stolarza.

— Niech cię o to głowa nie boli — braciszku! — spiesz do wioski, i wracaj rychło!

Skoro brat Tomasz odszedł, Franciszek zamyślił się głęboko.

— Nie może być, aby Tomasz miał słuszność, nie! — kręcił energicznie głową. — Messer Giovanni nie może się pogniewać, bo inaczej na nic się zda piękny mój plan... chcę pogodzić starych, a młodym dopomóc. — Ale cóż ja się tak kłopoczę! — strofował się głośno — przecież dobry Bóg wie, czego trzeba! — W promiennym uśmiechu rozpogodziła się wyniszczona twarz — jeszcze będziecie szczęśliwi, wy młodzi, — jeszcze się pobierzecie! — zawołał wesoło.

A więc tak, tak to urządził wasz Ojciec! Dobrze! Dobrze! popamiętam to sobie! — gniewał się Messer Giovanni Velitta, biegając z kąta w kąt i wymachując rękami. — Ja, osła i wołu, a ten nędzny dziad, którego syn włóczy się za Beatą i w głowie jej zawraca. Dzieciątko święte!

— Przebaczcie nam, miłościwy dobrodzieju odzywa się pokornie — nie chcielibyśmy was obrazić. Nasz ojciec Franciszek, zapewne wyjaśni wam całą sprawę. — A teraz już pójdę — i przyjdę rano po osła i wołu — dodaje szybko, nadrabiając miną, bo znowu go lęk uchwycił, że Messer rozmyśli się.

— Róbcie, jak chcecie! — rzucił Giovanni gniewnie. — Ja już z waszym Ojcem pogadam!

Brat Tomasz spiesznie opuszcza dom bogacza. Stanąwszy na drodze, otrząsnął się, jakby był wyszedł z wody i rękawem ociera spocone czoło.

— Uf, mogło być gorzej! Chwała Bogu, że bydlątka są! inaczej nie miałyby dzieci uciechy — a może — może i Dzieciąteczku byłoby zimno... A teraz zajrzymy jeszcze do pracowni mistrza Benedetto! — Zawrócił raźno w przeciwnym kierunku, tam, gdzie na widnokręgu czerniło się pasmo lasu. Raz po raz zachodziły mu drogę rozbawione dzieci, otaczając go w kółko.

— Powiedzcie ojcu Franciszkowi — prosiła jedna z dziewczynek, że nasza mała Marcela umie już kolędę.

Zdradźcie nam, bracie Tomaszu, przymilał się żywy, nieduży chłopaczek — czy osioł i wól będzie naprawdę żywy, jak nam Ojciec opowiadał.

— A co?! smyku jeden! miałby Ojciec kłamać?! — czmychajcie, łobuzy, pókim dobry! I rozbawiona gromada rozlatywała się z piskiem.

Brat Tomasz doszedł do zagrody mistrza Benedetto. Młody Luigio, syn rzeźbiarza, wybiegł mu na przywitanie.

— Nie zabłądziliście w tym śniegu, bracie Tomaszu? — zakrzyknął wesoło. Widzę, że macie jeszcze młode nogi!

— Życzyłbym ci takich, chłopcze, na twoje późniejsze lata! — Ach, kogóż to widzę? Beata tu?

— Nasłuchałam się tyle od Luigio o piękności owego Dzieciątka, że już nie chciałam czekać do jutra! Wstąpcie, obaczcie sami.

W jasnej, prostej izbie, na półce pod oknem, leżała duża, w drzewie rzeźbiona figura Jezusa betlejemskiego. Z dziecięcej twarzyczki uśmiechały się oczy, jak żywe, a ręka, jak żywa, wznosiła się do błogosławieństwa.

— Wiecie, Benedetto, to takie piękne! — bratu Tomaszowi aż głos rwał się z zachwytu — że mógłbym uklęknąć... jak przed tabernakulum.

— Mówicie, że piękne? że się spodoba ojcu Franciszkowi? — cieszył się rzeźbiarz.

— Jeszcze pytacie?! Głowę daję za to, że nasz Ojciec aż podskoczy z uciechy, gdy ujrzy to cudo! — Lecę co tchu, opowiedzieć mu o tym!

— Odprowadzimy was, braciszku — prosi Beata.

— Ależ proszę, proszę, moje dzieci! Będzie raźniej! Opowiem ci po drodze, jak się twój ojciec rozgniewał..

— Ach, bracie Tomaszu, byliście już u mojego ojca? — przerwała wystraszona. — Już wie o wszystkim? — ach, braciszku, on zawsze jednaki. On zawsze zagniewany — skarżyła się zmęczonym głosem — bo nie chce, abym kochała Luigio. Luigio mu za biedny... ale ja go zawsze kochać będę! — zawołała z ogniem w oczach i żoną jego będę, jak ojciec Franciszek powiedział!

Tak, tak, moje dziecko, będziesz jego żoną, ojciec Franciszek nigdy nie kłamie.

Nad górską wioszczyną Greccio, w dolinie Rieti, noc zapadała. Srebrem śniegów mieniąca się ziemia spoglądała ku gwiaździstemu niebu, jakby szukając najjaśniejszej gwiazdy — betlejemskiej! — Zaś na srebrnych śniegach wiły się z nieszczelnych okiennic niskich chat, złote smugi światła, po których biegły w ciszę wigilijnej nocy, skoczne melodie kolęd.

Naraz zaczął się dziwny ruch w całej wiosce. Gdzieś skrzypią rdzawe zawiasy domów, gdzieś furtki opłotków chrzęszczą, gdzieś psy, ze snu spłoszone, ujadają... na opuszczonej drodze pojawiają się grupki ludzi, w ciepłe kożuchy otulonych z latarkami w ręku. Wychodzą z wszystkich chat i domów, idą długim szeregiem wąskimi ścieżkami pól i drogą szeroką w świętym milczeniu, w stronę lasu... a na śniegu tańczą, jak gwiazdki z nieba spadłe, żywe światełka latarek. Tylko dzieci nie mogą powstrzymać radosnych okrzyków i biegną gromadkami, nawołując się ciągle.

— Słyszałem, że jednak będzie żywy osioł i wół — szepce tajemniczo jeden chłopak drugiemu na ucho.

— Tak? Skąd wiesz?

— Brat Tomasz dziś nam zdradził!

— Powtórz jeszcze raz, Marcela — napomina duża dziewczynka swoją mniejszą siostrę, którą wiedzie za rękę.

Pójdźmy wszyscy do stajenki,
Do Jezusa i Panienki,
Powitajmy maleńkiego
I Maryję, Matkę jego — śpiewa drżący, cieniutki głosik dziecięcy.

— Dobrze, Marcelo, dobrze umiesz.

Północ bije z pobliskiego klasztoru. Poważne dźwięki biegną pod ciemną ścianę lasu, kędy w świętej ciszy stoją ludzie. Dzieci, co się były wspięły na głazy i pniaki, patrzą, patrzą i oczu nie mogą oderwać od tego cudu... leży w żłóbku, w skalnej pieczarze, między osłem i wołem, uśmiecha się i błogosławi rączyną...

Patrzy Messer Giovanni, a jego gniewem skute serce topnieje pod tym Boskim uśmiechem...

Patrzą Beata i Luigio, i wierzą, że ta błogosławiąca rączka pobłogosławi i ich związkowi...

Patrzą wszyscy biedni ludzie — a troski ich milkną w obliczu tego świętego Dziecięcia...

Nad żłóbkiem wznosi się ołtarz w promieniu świec. Od tego ołtarza biegnie z ust kapłana radosne Gloria in excelsis. W serca rozmodlonych... Franciszek w pokorze wielkiej służy do mszy św. swemu Wielkiemu Królowi. Potem wstępuje na skalną ambonę, i jak herold tego Wielkiego Króla, głosi światu przeradosną nowinę, o miłości Boga, który zesłał swego Syna na świat

— Bóg jest miłością! Z Miłości przyszło do nas to małe Dzieciątko! Niechaj i w naszych sercach zrodzi się miłość w tę świętą noc!

- -

Pogasły już światła na ołtarzu. U żłóbka stoją jeszcze gromadki starszych i dzieci. Na wszystkich twarzach maluje się rzewność i zachwyt.

— Piękne jest to wasze Dzieciątko, Benedetto, wygląda, jako żywe — powiada Messer Giovanni z pewnym zakłopotaniem do biednego stolarza.

— To wy, Messer Velitta? — zdumiewa się Benedetto i cieszy się wielce. Mówicie, że wam się podoba?

— Podoba się i naszym młodym. Patrzcie, stoją tam opodal, trzymają się za ręce — — — a wasze Dzieciątko błogosławi tym połączonym dłoniom — i ja im błogosławię.

Św. Franciszek z Asyżu urządził w górskiej wiosce Greccio pierwszą pasterkę.

„Gość Niedzielny”, nr 46/1945, s. 12.

ROK 1946

JADWIGA BERNHARDT

Krzyż mysłowickiej księżniczki

Książę Myślimir, pan na Mysłowicach, nie rozumie tej zwłoki; gniewa się i niepokoi mocno.

— Czyż nie mieli już w Popielec przybyć? Gdzież są? Za dni kilka niedziela Palmowa, a ich jeszcze nie widać! — myśli wzburzony. — Za oknami płyną pasma mgieł. Książę przystaje w framudze okna i patrzy na czarne kontury borów, wyłaniających się z sinych przestworzy.

Mogli łatwo pobłądzić, obcy są w tych stronach... o dobrych przewodników trudno. — Że też prędzej o tym nie pomyślałem! — zżyma się książę.

— Hej, tam. Piotrze! — woła przez otwartą sień — niech Dzierzysław zaraz do m nie przyjdzie! — Po chwili staje na progu młody rycerz, w którego twarzy płoną czarne, zapalczywe oczy.

— Jestem, ojcze.

— Dobrze; weź kilku konnych, i jedź w stronę Krakowa. W drodze bacz pilnie dookoła i pytaj napotkanych, czy kędy nie widzieli szarych mnichów. Już dawno winni tu być...

— Czy to wszystko, ojcze? — pyta Dzierzysław, gotowy do odejścia, a jakiś drwiący uśmieszek przewija mu się wokoło ust.

— Tak, to wszystko, co ci chciałem powiedzieć... gdyż myślę, że nie trzeba ci przypominać, z jaka czcią winieneś przywitać...

— Pamiętam, ojcze — przerywa mu młody rycerz. — Idę zwołać konnych i zaraz wyruszamy. — Zamknął za sobą ciężkie drzwi. Przystanął.

Ojciec myśli, że nic nie rozumiem! A ja wiem wszystko, wszystko! — gniewem kipiał stłumiony głos, gniewem gorzały czarne oczy. — Mógłby i Zdzisław pojechać tym mnichom naprzeciw — nie —- ojciec chce, abym ja z nimi przestawał... bo ojciec chciałby i mnie mnichem widzieć! Nigdy! — Młody rycerz porwał się, jakby rozpalonym żelazem tknięty. Przebiegł obszerną sień, świetlicę jasną i już chciał wybiec na zamkowy podwórzec, gdy posłyszał swe imię. Zatrzymał się.

To ty, Machna? — z trudem opanował swój gniew, zbliżył się do siostry i delikatnie położył rękę na jej ramieniu. — Ubranaś, jakbyś wychodziła w drogę. Tak? wychodzisz? — Księżniczka nie odpowiadała. Badawczo spoglądała w czarne oczy rycerza, w których ukrył się gniew. Nie ukrył się jednak przed jasnym wzrokiem siostrzanej troski.

— Skąd wracasz tak szybko, taki gwałtowny — — od ojca?

— Tak. Machna — potwierdził przez zaciśnięte zęby.

— I cóż, cóż, Dzierzek? Mów wszystko! — nalegała łagodnie.

Rycerz milczał... potem odwrócił się gwałtownie:

— Chodź ze mną, opowiem ci po drodze.

Od strony Przemszy szedł świeży, wiosenny powiew. W rozległych trzęsawiskach zamkowych przeglądało się niebo blade z bladowzeszłym słońcem. Głębokim jarem, od bramy krakowskiej, posuwał się w stronę mysłowickiego, wysoko wzniesionego grodziska, nieliczny pochód; dwóch mnichów na przedzie i kilku konnych rycerzy z tylu. Przeszli ostrożnie przez wąski nasyp, wzniesiony na niebezpiecznych trzęsawiskach, przez częstokół warowny, zwany „pańską bronką” i wkroczyli w obszerny dziedziniec zamkowy.

— Witajcie nam — powiedział książe Myślimir, i pierwszy, wraz z starszym synem, Zdzisławem, pochylił głowę przed mnichem. Stojąca obok księżniczka Machna podała przybyszom chleb i sól, i wskazując drogę, powiodła do świetlicy.

Na podworcu jeźdźcy poili pomęczone konie. Dzierzysław stał na uboczu, nie wiedząc, czy ma również pójść do świetlicy.

— Ani chcę ojca gniewać, ani więcej na tych mnichów patrzeć — myśli zachmurzony. — Wtem książę Myślimir pojawił się ponownie na dziedzińcu.

— Będziesz nam towarzyszył przy wspólnych naradach? — zwraca się do syna.

— Zwolnij mnie, ojcze, z tego obowiązku — prosi szybko — jestem zmęczony podróżą!

Książę skinął głową i wszedł do zamku. Właściwie nie spodziewał się innej odpowiedzi. Znał syna.

— Będziesz miał, ojcze, ciężką przeprawię z naszym zapalczywym rycerzem — odezwał się Zdzisław, stojący w drzwiach — nie na mnicha on wygląda, nie...

— Obaczymy! — rzucił książę Myślimir krótko.

Jeszcze tego samego dnia uradzono w świetlicy, że kościół stanie w pobliżu grodziska, kościół piękny, drewniany, kościół św. Krzyża.

— Robotników już zgromadziłem — mówi książę. — Mogą rozpocząć z budową.

— Czy zdolni? — pyta starszy z mnichów. — Czy znajdzie się między nimi taki, który wyrzeźbi piękny, kunsztowny krzyż do głównego ołtarza?

— Myślę, że znajdzie się taki — odpowiada książę z wahaniem.

— Bo krzyż musi przemawiać, musi porywać, musi nawracać! — ciągnie dalej mnich.

— Będzie! — woła naraz milcząca dotąd księżniczka — Czyż Dzierzysław nie wyrzeźbił jej już cudownie pięknych kwiatów i posążków? Czy jej ostatnio nie podarował malutkiej, kunsztownej podobizny zmarłej matki, rzeźbionej w ciemnym i jasnym drzewie? — myśli rozpłomieniona. — Zrobi i krzyż, taki właśnie krzyż...

— Ja się postaram o krzyż do ołtarza — dodaje głośno.

— Ty, Machna? — dziwi się książę. — Dobrze, cieszę się, że mnie pozbawiasz tego kłopotu.

— Atoli pozostaje jeszcze jeden, ważniejszy kłopot, miłościwy panie — kapelan zamkowy do kościoła św. Krzyża.

— Będzie, — mówi książę twardo — już dawno o tym pomyślałem.

Machna opuszcza nisko głowę... rozumie. Jakieś złe przeczucie chwyta ją za serce... pójdzie do brata... żeby tylko zrobił ten krzyż!

Dzierzysław leży na skórami krytej ławie lecz nie śpi. Patrzy na zapadający za oknami zmierzch, na ciemną sylwetkę zamkowej baszty...

— Chciałem być panem tego zamku, rycerzem silnym, co orężem włada — nie księdzem... takim cichym, bezsilnym mnichem, co stoi w służbie Boga, który dał się zamordować na krzyżu... cóż to za Bóg? — myśli drwiąco — gdzie jego moc? — — — nie, nie będę księdzem! pójdę w świat! — zerwał się z ławy i wydał lekki okrzyk przestrachu — tam ktoś stał...

— Machna! — w swej zadumie nie zauważył, kiedy dziewczyna do izby weszła.

— Wracam z świetlicy...

— Tak?! co uradziliście? — — nie odpowiadasz? — ech, wiem! Nie mów nic! Wiem wszystko — położył się znowu; — Skoro świt — odezwał się naraz — opuszczam zamek! — obco i groźnie odbiło echo pustej komnaty słowa rycerza.

— Nie, Dzierzek! jutro jeszcze nie wyruszysz! — prosi Machna gwałtownie, przypadając do rąk brata.

— Jutro jeszcze nie? — dlaczego?

— Dzierzek, ty musisz coś wyrzeźbić! Dzierzek — na pożegnanie!

— Dobrze, siostrzyczko... jeśli koniecznie tak chcesz. — Cóż mam ci wyrzeźbić?

— Krzyż!

— Krzyż?! — Machna! — zakrzyknął i poderwał się z miejsca.

— Tak, Dzierzek! duży, cudny krzyż — do głównego ołtarza naszego kościoła!

Dzierzysław usiadł ciężko na ławie. Księżniczka lekko głaskała jego pochyloną głowę...

Kościół św. Krzyża przyrósł Mysłowiczanom do serca. Kochali go i rozpowiadali wszędy z dumą, że krzyż na ołtarzu jest cudowny, krzyż księżniczki Machny. Ona go przyniosła niewiadomo skąd... i niejeden szeptał stłumionym głosem, że pobożna księżniczka uprosiła sobie ten krzyż z samego nieba.

Księżniczka Machna była panią grodziska. Już dwa lata mijały, jak Zdzisław poległ w walce, zaś ojciec, chorobą złożony, nie opuszczał swej komnaty.— O Dzierzysławie zaginął wszelki słuch.

Gdy mrok zapadał i cichła gorączkowa praca dnia, Machna spieszyła do kościoła. Tam, klęcząc u stóp krzyża, modliła się za Dzierzysława.

— Niech go ten krzyż wybawi, który własnymi wyrzeźbił rękami, ten krzyż, który już tyle serc ludzkich nawrócił ku Bogu! niechże nawróci i jego serce...

Modląc się tak pewnej wieczornej godziny, poczuła naraz na ramieniu czyjeś ręce... ktoś się pochylił nad nią i szeptał jej jakieś słowa... zna ten głos! Podniosła się szybko — rozczarowanie odbiło się na jej twarzy... mnich, jakiś obcy mnich, z chudą, wyniszczoną twarzą — lecz w tej twarzy płoną oczy, czarne, płomienne oczy!

— Dierzysław!

Stali obydwoje u stóp krzyża.

— Poznałem, Machna, że ten umęczony Bóg nie jest Bogiem bezsilnych, lecz Bogiem mocarzy! Zostałem jego sługą — boć chciałem być zawsze rycerzem — a przecież On jest największym Wodzem! — Słyszysz, Machna?

Słyszę, Dzierzek, słyszę! Wiedziałam, że twój krzyż przyciągnie i ciebie!

— Mój krzyż? — nie, Machna, to twój krzyż! Tyś go wyrzeźbiła twoimi modlitwami! To twój krzyż, księżniczko!

Jadwiga Bernhard

Kościół św. Krzyża w Mysłowicach został wystawiony już w pierwszej połowie XIII wieku przez książąt z rodu Myślimira.

„Gość Niedzielny”, nr 2/1946, s. 5 – 6.

JADWIGA BERNHARDT

U ruin chorzowskiego zamku

Wysokim, dźwięcznym tonem odezwały się na Anioł Pański dzwony w San Michele in Borgio; wnet zawtórowały im grubym, poważnym wołaniem dzwony w San Niccola, a na końcu pospieszyli Santa Cecilia i San Pierino z anielskim pozdrowieniem. Rozdzwoniła się Piza, wspaniałe miasto Italii.

Papież Innocenty II stoi w otwartym oknie pałacu; od rzeki Arno idzie zimny, świeży powiew i chłodzi wysokie czoło Chrystusowego Namiestnika. Wiele na nim zmarszczek... ciężkie było życie tułacze we Francji... wiele zmartwień przysporzyły nieprawe rządy antypapieża Anakleta... dobrze, że cesarz Lotariusz zmógł Normanów, wspierających antypapieża, bo inaczej nie mógłby był jeszcze wrócić na zhańbiony tron Kościoła ..

Ostatnie blaski słońca palą się jasną czerwienią na białych marmurach romańskiego baptisterium, wyczarowując tajemnicze cienie w mrocznej komnacie papieża. Wniesiono światło.

— Wrócił już kardynał Aegidius de Tusculum? — pyta Inocent.

— Tak, świątobliwy panie, czeka na wasze rozkazy.

— Niech wejdzie.

Papież usiadł przy dużym stole, na którym piętrzyły się grube foliały i leżały porozkładane listy z barwnymi pieczęciami. W drzwiach ukazał się kardynał de Tusculum.

— Proszę wejść i zając miejsce: Sprawy są pilne i dosyć ważne — mówi papież energicznie. — Chodzi mi o sprawy Kościoła w Polsce. Trzeba ustalić granice między diecezją gnieźnieńską a krakowską oraz dochody arcybiskupa Jakuba z Gniezna. Postanowiłem mianować was legatem dla spraw Polski.

Papież wziął jeden z zapisanych arkuszy i opatrzył go pieczęcią. Po raz ostatni przebiega go oczyma.

— „... item villa ante Bitom, que Zuersow dicitur...” — czyta głośno i uśmiecha się. — Powtórzcie no, kardynale, tę trudną nazwę: Zuersow — ciężko idzie, co? — śmieje się papież. — Nie tak łatwo wymówić te polskie

nazwy — cóż też słowo takowe oznaczać może? Dowiecie się może na miejscu, kardynale? — ciągnie papież rozweselony.

Dobrze, Wasza Świątobliwość, nie zapomnę i o tej misji — odpowiada kardynał niemniej ubawiony.

— Matko, a Sławek gdzie?

— Czy ja wiem. Michale? — stęka gospodyni — cięgiem gdzieś goni, nie usiedzi w chacie.

— Co z nim począć? — frasuje się gospodarz Michał.

— Weźże go z sobą na kopalnię[18] — wtrąca się gospodyni energicznie — przyniesiecie obydwaj więcej kruszcu do chaty — no i spokój będzie.

— Kiedy się boję, że Sławek, taki żywy i gwałtowny, znów coś zepsuje, jako za pierwszym razem...

— Więc niby na co, Michale? — zżyma się gospodyni.

— Na co? A to nie wiesz, matko? Siłę ma chłopak jak młody dąb, a oko sokole — hej! matko, byłby z niego rycerz chrobry! — Cisza zapanowała w izbie. — Wiem, matko, że cię litość za serce chwyta, gdy o tym słyszysz, bo jeszcze nie odżałowałaś śmierci Bolka, co legł od niemieckiego miecza — ale ja wiem, że Sławkowi też się nic innego nie śni, jak rycerska sława!

— Cicho no, Michale, cicho! — przerywa gospodyni, nadsłuchując, i biegnie do okna. Słyszysz?

— Ani chybi, łowy w puszczy! — woła gospodarz. — Trzeba zaraz pójść do gospody, wszystko przygotować! Nijak, jeno do nas zwalą się przed nocą całą chmarą.

— Już widać pierwszych konnych pod lasem! Za chwilę tu będą. Ano, trza się zwijać!

W dwu dużych gospodach, co były własnością arcybiskupa gnieźnieńskiego[19], a które gospodarz Michał dzierżawił, ustawiono liczne stoły z jadłem i napojem. Niebawem dziedziniec zaroił się od strojnych i hucznych rycerzy.

---

[18] Chorzów Stary jest kolebkę górnictwa polskiego. Już w dokumencie z r. 1136 jest wzmianka o chorzowskich kopaczach srebra.

[19] Gospody te stały na miejscu, gdzie dziś znajduje się Kat. Dom Związkowy.

— Gospodarzu! gospodarzu! — rozlega się po dziedzińcu — nasz miłościwy pan was woła! — Wskazano Michałowi drogę. Gronem polskich rycerzy otoczony, stoi legat papieski, kardynał Aegidius de Tusculum. Gospodarz kłania się z szacunkiem.

— Gospodarzu — zwraca się jeden z rycerzy do Michała — nasz dostojny gość pyta, jaka to miejscowość.

— Charzow. Jaśnie Panie!

— Charzow? — podchwytuje kardynał z błyskiem w oczach. — Byłożby to to samo co Zuersow? — pyta nagle i pogląda po rycerzach.

Tak. Miłościwy Panie — wtrąca się gospodarz nieśmiało. — W dokumentach mego dziada tak zwią naszą wieś.

Kardynał śmieje się radośnie!

— Najtrudniejsza misja spełniona! — Rycerze spoglądają zdziwieni. Nie rozumieją. Opowie im zaraz. Niech no jeszcze dalej wszystkiego się dowie.

— A od czegóż wywodzi się nazwa tej wsi?

— Ano, pono od tego — opowiada Michał — iż u nas dużo zwierza[20], inni zaś gadają... — przerwał, bo na gościńcu pojawiło się kilku rycerzy na zziajanych koniach.

— Nie odnaleźliśmy księcia Władysława — wołają już z daleka.

W gronie rycerzy powstaje zamieszanie.

— Co tu robić?

— Zwołam Charzowian, pójdziemy szukać — odzywa się gospodarz, miarkując, o co chodzi. — Nam nasze bory nie obce. — Hej! ludzie, tu do mnie! konie kulbaczyć i do puszczy! Łuczywa zabrać!

Niczem nie zamącona cisza unosiła się nad ruinami wspaniałego niegdyś zamku myśliwskiego króla Bolesława Chrobrego. Wojny z germańskim najeźdźcą zburzyły mocne mury. — Sławek stoi opodal zwalonej bramy wjazdowej, oparty o pień sosny. Duma, o świetnej, stuletniej przeszłości tych ruin, o rycerzach zbrojnych, łowach rozległych, bojach zwycięskich.

---

[20] Chorzów spotykamy w kronikach pod nazwami: Zuersow (Zwierzów), Cargow, Karzuff, Charzów.

— Hej! i mnie być rycerzem! Mnie mieczem wywijać i w zbroi rycerskiej na bój iść! — Przebrzmiał gorący okrzyk, tysiąckrotnym echem niesiony przez bory. — Sławek ogląda się niespokojnie.

— Ktoś blisko! Słychać tętent konia! — Ot, tam, rycerz jakiś obcy!

— Hej, chłopcze, tyś to wołał?

— Ja, panie — odpowiada Sławek, i chociaż z zawstydzenia twarz mu płonie, nie chyli głowy.

— Ktoś ty, i skąd? — pyta dalej książę Władysław.

— Zwą mnie Sławek, jestem synem Michała, dzierżawcy gospody z Charzowa.

— A te ruiny tu?

— Po zamku króla Chrobrego.

— Co tu robisz, o tak późnej porze? droga w puszczy niebezpieczna — mówi Władysław ostro, lecz wzrok jego z lubością mustruje dzielną postać Sławka.

— Nie boję się, panie, nikogo!

— Nie? — a rycerzem chciałbyś być? mieczem wywijać i w zbroi rycerskiej na bój iść?

Pod Sławkiem uginają się kolana.

— Chcę, rycerzu! — książę Władysław wyjmuje powoli miecz z pochwy.

— Weź, Sławku, chrobry synu Charzowa, mój miecz. Noś go wiernie przede mną, giermku mój, abym cię kiedyś mógł pasować na mego rycerza.

Błyszcząca stal spoczywa na dłoniach chłopaka.

Znów tętent... nagle milknie... tam, na skraju drzew stoi gospodarz Michał... podnosi się wysoko w strzemionach, i wzrokiem szeroko rozwartym, w którym jest radość i wzruszenie, patrzy...

— Sławek, chłopaku mój, cóż to? — miecz złożyli na twych rękach? Sławek, giermkiem księcia Władysława jesteś? O synku! Chrobrym będziesz kiedyś rycerzem!

W ruinach królewskiego zamku zerwał się nagły wiatr... duch wielkiego króla spłynął na młodzieńczą postać giermka.

„Gość Niedzielny”, nr 3/1946, s. 5.

JADWIGA BERNHARDT

Dziw przy opolskiej skale

Na drodze leśnej, wyboistej, skrzypią rozgłośnie ciężko obładowane wozy. Konie idą powoli, bardzo pomęczone; snadź uciążliwą mają poza sobą drogę. Zmierzch, co wychodzi szary i milczący spomiędzy drzew i wciska się między wozy, na k onie siada i na bar czyste postacie ludzi patrzy — przepada nagle: wyjechano z lasu. Przed nimi wznoszą się łagodnie stoki pagórka, u którego stóp przysiadły domki niskie, drewniane.

Pierwszy wóz, przy którym kroczy Sędzimir, wielki, w ramionach szeroki mężczyzna, zatrzymuje się.

— Zatrzymajcie chwilę! hej! tam! przystańcie! — woła gromko, przyłożywszy rękę do ust, — Umilkł skrzyp: wozy stoją długim, cichym łańcuchem.

— Ino zajrzę do starego Grzegorza i wnetki powrócę — mówi do nadeszłych od wozów ludzi — odpocznijcie zatem.

Tuż przy drodze, boczną ścianą o las wsparta, chyli się biedna chata. Szarpnięte gwałtownie od wewnątrz drzwi, krzywo wiszące w zawiasach, otwierają się z jękliwym zawodzeniem.

— Tatko wrócili! — cieszy się chłopak — duży, gibki, o jasnych, śmiejących się oczach i wybiega na drogę.

— Kazek! Tyś znów tu?! — Sędzimir marszczy czoło.

— Darujcie, tatko! nie gniewajcie się! — prosi chłopak. — Stary Grzegorz opowiada takie cudowne...

— Wiem — przerywa Sędzimir i podchodzi do starca, co wyszedł na próg chaty. Suknia na nim szara, pątnicza, broda pasa sięga, ręce wsparte na kosturze.

— Witajcie z podroży — odzywa się starzec śpiewnym, drżącym głosem — proszę, wstąpcie do chaty. — Sędzimir schyla się wpół, bo drzwi są niskie i wchodzi w półmrok izby. Kazimierz, by nie drażnić ojca, wsunął się cicho za nim i przystanął w kącie.

— Grzegorzu, byliście w świecie, powiedzcież, coście słyszeli o onej wierze w Boga Chrystusa?

— O to tatko pyta? — myśli Kazimierz z radosnym zdziwieniom Skąd się zwiedział? W Pradze? — O! on umiałby mu dużo naopowiadać — rzeczy dziwnych, cudownych — on zna już wszystkie historie o Chrystusie! Nie darmo spędza długie godziny u starego Grzegorza.

— Com słyszał o wierze w Boga Chrystusa? — powtarza starzec w zadumie — wiele słyszałem, panie, wiele widziałem. — Czyście wy, panie, w Pradze o tej wierze posłyszeli?

— Tak, w Pradze! Tam na wszystkich ustach jedno jest tylko imię: imię wielkiego apostoła onego Boga Chrystusa — imię Wojciecha!

— Wojciecha? — nie, nie słyszałem — przeczy starzec.

— A ja go widziałem! widziałem, jak kazał do ludu! — Sędzimir poderwał się z ławy. — Za niedługi czas przyjdzie tu do nas! mówi z przejęciem — spotkaliśmy go, wracając z Pragi. Naucza wszystkich o Chrystusie — niezadługo będzie u nas w Opolu.

Kazimierz uśmiecha się bezwiednie.

— Niezadługo będzie u nas w Opolu — powtarza szeptem za ojcem.

Co dnia wybiega Kazimierz na w zgórze i wygląda przybycia Wojciecha. Już wszystko o nim wie! Podróżni, co od Pragi idą, opowiadają z przejęciem o młodym misjonarzu z wielkiego rodu Sławków, co niedawno dopiero wyświęcony na kapłana, już piastował godność praskiego arcybiskupa.

— Taki młody — myśli Kazek — dwadzieścia siedem lat — a taki wielki! — Niechby już przyszedł! Straszniem go ciekaw!

I przyszedł; tłum ludzi postępował przed nim i za nim. Stanął na opolskim wzgórzu[21] i poczyna mówić...

Słucha go Grzegorz stary, słucha pan Opola, Sędzimir barczysty, i syn jego, Kazek. Płonącym wzrokiem śledzą postać młodego apostoła.

Zbliżył się dzień chrztu opolskich mieszkańców.

— Kazek, powiesz ojcu, by wodę naszykować rozkazał do świętego obrządku — zwraca się arcybiskup Wojciech do nieodstępującego odeń Kazimierza.

— Wodę? — zląkł się Kazek. — Dla tyla luda? — u nas brakuje wody! — Co to będzie? — martwi się głośno.

---

[21] Obecnie stoi tam kościół Matki Boskiej.

— Nie martw się, i nie mów nic ojcu — mówi Wojciech — jakoś zaradzimy...

Naokoło wzgórza tłum faluje; czeka z napięciem chwili wielkiej — chrztu świętego. Kazimierz stoi blisko Wojciecha.

— Wody nie ma! Skąd weźmie wodę? — gorączkowymi oczyma wodzi za świętym apostołem.

— Zejdźmy tam, ku tej skale! — zwraca się Wojciech do towarzyszących mu kapłanów. — Kazek toruje drogę przez zbite tłumy: przystają przed szarym głazem, patrzą — cisza zawisła w powietrzu... Wojciech dotyka ręką skały: oczy ma przymknięte i twarz bladą...

— Woda! — krzyczy nagle Kazimierz. — Woda! Woda! — zachłysnął się radością, radość rozpiera mu serce. — Woda! — Zakołysał się tłum, zaszumiał.

— Woda! Woda w skale! — Oczy cudem rozpromienione, patrzą, kędy z twardej skały srebrny bije strumień[22].

Kazimierz klęka u źródła:

— Wierzę, ojcze święty, w Boga Twojego, który mocen jest! — Chyli się kornie głowa... chylą się czoła starego Grzegorza, pana Macieja i wszystkich innych. Woda chrzcielna z opolskiej gleby spływa na duszę opolskiego ludu.

Dawno minął rok tysiączny. Na opolskim wzgórzu stoi gród i kaplica, źródło, wskrzeszone ręką Wojciecha, bije żywym strumieniem. Starzy ludzie pamiętają, jak to było wtedy — dziw się stał! A w kilka dni potem, gdy odszedł apostoł Wojciech, znikł Kazimierz, Sędzimira syn, Sędzimir wpierw się gniewał, szukać nakazywał, karą groził — lecz z czasem darował, przebolał.

— Kazka pociągnął za sobą nowy Bóg — mówił, gdy umierał.

Wyboistą drogą wlecze się stary dziad. Suknia na nim szara, pątnicza, broda pasa sięga, ręce wsparte na kosturze. Przystaje u na poły zwalonej chaty starego Grzegorza.

— Tu zamieszkam — mówi trzęsącymi się wargami — tu moje miejsce.

---

[22] Tak opowiada legenda o powstaniu źródła.

Dojrzeli go z dala ludzie.

— Czyżby to był stary Grzegorz? czyż nie pomarł ongiś? — pytają lękliwie poniektórzy i podchodzą nieśmiało do starca, co siadł na kamieniu podle chaty. — Zapatrzył się na gród na wzgórzu, na kaplicę...

— Tam stał naonczas Wojciech — tak, tam: a tuż koło niego stałem ja, Kazimierz, Kazek, młody i radosny... opodal ojciec i Grzegorz...

— Powiedzcie, Opolanie, dawno jest, jak pomarł Sędzimir, pan wasz? — zwraca się do ciekawie patrzących ludzi.

— Dawno, bardzo dawno — odpowiadają zdziwieni.

— A Grzegorz stary?

— Dawno, pierwej niżli Sędzimir.

Starca wzrok znów błądzi po pobliskim wzgórzu.

— Gród i kaplicę nowy pan wybudował?

— Tak, nowy, jeno kaplica jeszcze nie gotowa.

— Nie gotowa?! — w oczach starca coś błyska. Uśmiecha się:

— Powiem wam, komu kaplicę poświęcić trzeba... Wojciechowi! Wojciechowi, co nas chrzcił — i śmiercią męczeńską pomarł...

Zasłuchali się Opolanie, zadumali. Przez usta starca przewija się powieść o bohaterskiej śmierci Wojciecha w prusackiej ziemi.

„Gość Niedzielny”, nr 4/1946, s. 4.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Historia niebieskiej koperty

Hania wychodzi za mąż: dzisiaj, w wiosenne niedzielne popołudnie odbędzie się jej ślub. Delikatny uśmiech igra na twarzy zadumanej i w melodię dzwonów zasłuchanej dziewczyny. Na sumę dzwonią, na mszę św. w jej i Jerzego intencji.

Hania rozgląda się po jasnym pokoiku.

— Tyle pięknych rzeczy naznosili! — myśli z radosnym wzruszeniem. Tyle ślubnych upominków! To białe, lśniące płótno jest od cioci Marii, te dwie barwne poduszki dziewczęta wyszywały, a ów duży obraz

Częstochowskiej Pani przyniósł kolega Jerzego. — Hania ogląda bogate upominki, z lekka dotykając w złote listki rzeźbioną ramę obrazu. — Tam, na stoliku, to dar chrzestnych! — Dziewczyna bierze w rękę dużą niebieską kopertę.

— Ale gruba! — woła z śmiechem — musieli długo oszczędzać.

— A do kościoła nie ochota?! — rozlega się od otwartych drzwi — z czego się tak cieszysz, Haniu?

— Patrz, Jerzyk! Ta niebieska koperta, od chrzestnych, a jaka gruba!

— Nic nie szkodzi! — przyda się w sam raz!

Sądzisz?! — przekomarza się Hania. — Ale nie marudźmy! Już dawno oddzwonili. — — —

Usiedli w pierwszych ławkach. Na ołtarzu palą się świece, łącząc swój ciepły blask z błyskami złotych, słonecznych promieni. Zadzwoniły dzwonki, zagrały organy, rozśpiewali się ludzie; ksiądz proboszcz rozpoczyna mszę św. Po ewangelii milknie kościół. Ksiądz proboszcz wchodzi na ambonę i głosi głowo Boże. O zastępach biednych, którzy ni okrycia, ni jadła nie mają. O twardej biedzie, co wyziera z za potrzaskanych szyb okien, z za drzwi mieszkalnych, — o biedzie, co głodnymi oczyma spogląda z pustych garnków, z dziurawej odzieży, i z tych niezliczonych wyciągniętych dłoni, jałmużny skamlących. Cisza panuje w kościele... a w głowie Hani jest burza.

— Trzeba pomóc tym biednym! Trzeba! — Może to białe płótno? — a może — ach! Ta niebieska koperta! — Nagłym ruchem odwraca głowę w stronę Jerzego, spotyka jego wzrok i wzrokiem pyta:

— Czy tak? — zgodzisz się? — ta niebieska koperta! — Jerzego oczy uśmiechają się.

— Tak, Haniu, tak będzie dobrze.

Stara gospodyni proboszcza jest oburzona, choć właściwie powinna się cieszyć.

— Taki smyk! przyleciał, wcisnął do ręki, coś tam zakrzyknął, że dla biednych — i tylem go widziała! — Stara gospodyni jest niezadowolona: ona radaby się była dowiedzieć, kto to posyła tę grubą kopertę, zawszeć przecież dobrze, wiedzieć o takich rzeczach — mógł łajdak ukraść ladaco? — ale chyba nie, kiedy na ubogich daje... A może dla przygłuszenia sumienia?...

Tak zrzędząc, puka do drzwi księdza proboszcza.

— Cóż, Katarzyno, już poczta nadeszła?

— A gdzie tam! To nie z poczty! Ot, jakiś chłopak przyleciał, wcisnął mi to do ręki, — niby dla biednych — i już go nie było!

— Patrzcie! Jakiś chłopak — dziwił się proboszcz, otwierając kopertę.

— Sporo grosza, nie ma co, — ano dobre serca mają ludzie. — Zakleił z powrotem kopertę i włożył do księdza Skargi „Żywotów", które leżały obok innych ksiąg na stole. Na podłodze stała duża, drewniana skrzynia, a w niej sporo, równiutko poukładanych ksiąg. Ksiądz proboszcz od maja idzie na inną parafię, do pobliskiego miasteczka, i po maleńku zaczyna już pakować swoja obszerną bibliotekę. Na końcu wędrują do drewnianej skrzyni „Żywoty" Skargi. Z pomiędzy czerwonych brzegów księgi wygląda niebieski paseczek dużej koperty.

— Będzie dla moich nowych biednych dzieci, w nowej parafii — raduje się ksiądz proboszcz.

Ale wieczorem już nie pamiętał o niebieskiej kopercie, ani na drugi dzień sobie o niej nie przypomniał, ani potem, w maju, kiedy skrzynka z książkami stanęła w komodzie, bo na nowej plebanii nie było tak dużej szafy, która by pomieściła wszystkie książki księdza. — Niebieski paseczek koperty, wyglądający z za czerwonych brzegów „Żywotów", posmutniał i pobladł w ciemnej, drewnianej skrzyni.

Przed niskim, białym domkiem, w ogródku, siedzi Hania z dzieckiem na kolanach. Maleństwo ruchliwymi stopkami tupie w rozpostartą dłoń matki, a w wyciągnięte rączki łapie rozedrgane promienie słoneczne.

— Piękne dziecko macie, Haniu — odzywa się Grzędowa, sąsiadka z przeciwka, przystając w rozwartej furtce.

— Chwałaż Bogu, zdrowo się chowa! — Usiądźcie, Grzędowo. Jak tam? po obiedzie?

— Już, już dawno; Józek poszedł od południa do pracy.

— Chciałam was prosić, byście z wieczora wraz z Józkiem — wstąpili do nas, na kawy garnuszek i placka kawałek.

— Ho. ho, patrzcie! Któż to ma imieniny?

— Nie, nie, to nie z powodu imienin, lecz dlatego, iż dziś przypada nasza pierwsza rocznica ślubu.

— Już rocznica? — jak prędko ten czas mija! — A wiec już rok mieszkacie w naszym miasteczku?

— Ano rok — Hania spogląda ku furtce. — Któż to do nas zmierza? — pyta zdziwiona, podnosząc się z dzieckiem.

— Czy Pani jest żoną sztygara Jerzego Warniaka? — zwraca się do Hani.

— Tak — odpowiada Hania, dziwnie przestraszona.

— Chodźcie, proszę, ze mną na kopalnię. Waszemu mężowi przydarzyło się nieszczęście. — Hani uczyniło się słabo — Nieszczęście spotkało Jerzego! — przed oczyma jej pociemniało: łzy wciskają się pod powieki i łkanie dusi krtań, nie śmie wybuchnąć… musi być dzielną! Musi!

— Grzędowo, dopilnujcie mi dziecka. — Całuje maleństwo i oddaje Grzędowej. Potem szybko przynosi płaszcz, narzuca go na ramiona. —

— Chodźcie — mówi do obcego górnika — chodźcie prędko!...

- -

Grzędowa nie może dłużej patrzeć na to nędzne życie Hani.

— Trzeba jakoś zaradzić! Trzeba — ale jak? — Żeby były pieniądze! Już radio sprzedali — nie starczyło. Sprzedali różne cenniejsze sprzęty — wciąż jeszcze mało! wciąż jeszcze nie starczy na gruntowną kurację. Sztygar Jerzy Warniak, po wypadku na kopalni, nie podnosi się z łóżka. Parę miesięcy płacili z kopalni, teraz przestali.

Grzegorzowa myśli i myśli.

— Wiem! — woła naraz — pójdę do księdza proboszcza! O pomoc poproszę! On już niejednej biedzie zaradził! — Ogarnęła się gibko i pobiegła. Wieczór był późny; z oświetlonego okna probostwa płynęły na drogę smugi światła.

— Do chorego? — pyta proboszcz, witając zadyszaną kobietę.

— Nie, księże proboszczu, nie — przeczy szybko. — Ja w innej sprawie. O pomoc chciałam prosić — księże proboszczu — o pomoc dla mojej sąsiadki — wyrzuca z siebie słowa drżące z przejęcia, bezładne — ona w nędzy żyje, bo męża jej spotkało nieszczęście na kopalni. Pieniędzy brak, na leki, na jadło...

— Dobrze, usiądźcie, — Proboszcz podchodzi ku dużej, z jasnych desek heblowanej szafie, pełnej książek.

— Osobliwie się składa — myśli uradowany — akurat przedwczoraj wpadła mi w ręce ta niebieska koperta.

— Tu macie — zwraca się do Grzędowej — niech wam i waszym sąsiadom Bóg błogosławi — Grzędowa biegnie szybko do domu; nie czuje, że po jej twarzy płyną łzy.

Hania przysiadła u łóżka męża z robotą w ręku. Lecz nie pracuje. Ręce leżą bezwładne na kolanach, igła z nawleczoną nitką uczepiła się rąbka spódnicy, naparstek upadł na podłogę i przepadł gdzieś w ciemnym kącie. Hania patrzy na bladą. śpiącą twarz Jerzego.

— Żeby tak mieć pieniądze! leki kupić, jadło dobre — o Boże, Boże, pomóż nam!

Żałosnym ruchem kryje twarz w dłoniach: łkanie wstrząsa skuloną postacią .

Drzwi uchylają się cicho. Do pokoju na palcach wchodzi Grzędowa, kładzie coś na łóżko, tuż za plecami Hani, i odchodzi niezauważona. Stary zegar począł wybijać 10-tą godzinę. Hania zerwała się z krzesła.

— Już tak późno? — przestraszyła się — miałam jeszcze przyrządzić herbatę!

— Haniu, Haniu...

— Nie śpisz, Jerzy? jak się czujesz? —troskliwie pochyla się nad mężem.

— Haniu, co tam za list leży, skąd?

— Gdzie, Jerzy? — Ach! — Co to jest?! Gwałtownym ruchem podnosi do oczu dużą, niebieską kopertę — patrzy na nią z najgłębszym zdumieniem... ręce jej drżą... Boże, co to znaczy?... Dzień ich ślubu błyskawicą mignął przed jej oczyma...

— Widzę, Haniu, widzę, iż Bóg nas nie opuścił.

— Jerzy... to jest... widzisz, co to jest?

A Hani przypomniały się słowa zakonnika, co przed laty misyjne u nich głosił kazania. Że każdą jałmużnę, biednemu daną, wraca się jakoby do własnej skarbonki. Otworzy ją Pan Bóg na Sądzie — nieraz otwiera ją już tu — przed zdumionymi oczyma człowieka...

„Gość Niedzielny”, nr 7/1946, s. 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Nad Pogonią płoną łuny...

— Nie tak miał uczynić, nie tak! — narzeka smętnie Bogusław i spogląda w okno wprost na drewnianą wieżyczkę kościoła.

— Już on mądrze zrobił, Boguś — odpowiada na to stary Piotr, trzęsącą ręką dokładając drew do ognia — przecież on król!

— Co mi tam król! — woła butnie Wisław, syn starego Piotra — nie miał oddać śląskiej ziemi czeskiemu królowi! Bić się miał!

— A ja ci mówię, że mądrze uczynił, odstępując Śląsk dla milej zgody! — karci Piotr gwałtownego syna.

— Jeszcze będzie wojna, zobaczycie, ojcze — upiera się Wisław.

— Już dość wojen! — gniewa się Piotr- stary — już dość kraj wyniszczony i nędza w nim wszelaka! Sprawiedliwie uczynił nasz wielki król Kazimierz!

Milczenie zapanowało w chacie.

Gospodarz Piotr siadł ciężko na ławie. Wisław stoi przy ognisku i patrzy w czerwone płomienie. Na młodej twarzy igrają jasne blaski.

— Anienka powiedziała — odzywa się Bogusław — iż wstąpi tu jeszcze po kościele.

Anienka, to siostra Bogusława.

— A i cóż? — pyta Wisław chmurnie.

— Nie wiem, tyle tylko powiedziała. Może dziewce zachciało się weselnego gościńca z Krakowa? — mówi Bogusław speszony.

— Jużci, jużci! — przytakuje Piotr — należy się Anience. — A zabierasz kogo z sobą — zwraca się do Wisława — albo sam pojedziesz?

Wisław zastanawia się przez chwilę.

— Bogusław będzie mi towarzyszył! — woła naraz, tknięty jakąś myślą. Zachmurzona co dopiero twarz promienieje.

- -

Jeszcze daleko było ku wieczorowi, gdy na dziedziniec gospodarza Piotra wtoczył się wielki, mocny wóz. Dzieci rozkrzyczaną chmarą biegną koło niego.

— Jakże to? Sam powracasz? — dziwi się Piotr, widząc tylko Bogusława, gramolącego się z wysokiego wozu — A Wisław gdzie?

— Zaraz wam wszystko opowiem, zaraz! Niech no wejdę do chaty.

Zasiedli u stołu. Z ulicy dolatywał krzyk rozbawionych dzieci.

— Widzicie, tak to było: zaczyna Bogusław powoli, z wysiłkiem — już w drodze do Krakowa opowiadał mi Wisław, że zanosi się na wojnę, że trzeba, abyśmy i my, Mysłowiczanie, szli na wroga. Nie chciałem mu wierzyć, ale tak było. Bo gdyśmy przyjechali do Krakowa, to tam już wszędy wojsko stało. Widzieliśmy niejednego chłopaka z Mysłowic, napotkałem nawet moich krewniaków z Chełmu.

— I cóż? Cóż Wisław? — nagli Piotr.

— Wisław zaraz pierwszego dnia poszedł do wojska. Chciał i mnie z sobą zabrać, namawiał, ale...

— Miałeś też pójść — mówi starzec wolno, a ręce drżą mu silniej niż zwykle — miałeś pójść razem z Wisławem — bo gdzie król sprawiedliwy wojska gromadzi, tam o sprawiedliwą wojnę chodzi. — Miałeś, iść...

Jest gorące południe. Ksiądz Maciej siedzi w szerokim krześle i wzdycha ciężko nad parafialnymi księgami.

— Pustki w kasie — mruczy frasobliwie — a tu trzeba jeszcze na budowę nankierowskiej katedry do Krakowa składkę posłać. Co tu robić?

Ktoś zastukał. Drzwi się otwierają i na progu staje Anienka.

— Chodźże bliżej, chodź, dziecko, cóż cię prowadzi?

— Wielebny ojcze, trzeba... trzebaby — jąka się dziewczyna — nasze zapowiedzi cofnąć. Wisław nie wrócił...

Anienka kryje twarz... łzy po niej płyną.

— Wisław nie wrócił — powtarza pleban — a co mówią ci, którzy powrócili? — pyta nagłe.

— Opowiadają, że u raciborskiego grodu krwawe były walki i tam im Wisław zniknął sprzed oczu...

— Pocóżeś ty, Anienka, Wisława przed ślubem do Krakowa puszczała? — mówi proboszcz żartobliwie — trza było wpierw wesele sprawić!

— On jechał po weselny gościniec...

Za oknami dał się słyszeć jakiś hałas. I naraz do pokoju proboszcza wpada gromada mężczyzn.

— Księże proboszczu! woła któryś — czeskie wojska, co pod Krakowem stały, uciekają w popłochu!

— Ino patrzeć, a król Kazimierz pokaże się za uciekającymi! — triumfują inni.

Przed plebanią zatrzymał się jeździec jakiś, na zziajanym koniu. Był to sołtys z Pogoni, wioski, należącej do Mysłowic[23].

— Słuchajcie, ludzie! — oznajmia radośnie — nasz król stanął już z wojskiem w Pogoni i tam ma dojść do walnej bitwy między nim a czeskim Janem! — Hurra na wroga!

— Hurra! — poniosło się radosnym okrzykiem przez wąskie uliczki Mysłowic, aż do cichego kościółka św. Krzyża, gdzie klęczała Anienka...

Rok 1345. Na nocnym niebie łuny płoną. Od mysłowickiej Pogoni niosą się pieśni zwycięskie.

— Wielki król Kazimierz pogromił wojska czeskiego Jana!

W kościele św. Krzyża świece słabo oświetlają tłumnie zebranych ludzi. W powietrze wzbija się żar modlitw... niech no chłopaki wrócą z pola wałki, a zaśpiewają wszyscy wspólnie Te Deum za wielkie zwycięstwo!

Anienka przeciska się przez ciżbę. Musi jeszcze zajrzeć do ojca Wisława. Stary gospodarz Piotr został sam, gdyż Bogusław poszedł z innymi pod Pogoń. Wchodzi cicho do chaty. Stąpa ostrożnie, bo ciemno. Przystaje. Słyszy głosy rozmowy.

— Któż mógł nawiedzić starego Piotra? Kto nie jest pod Pogonią, ten jest w kościele... — Domacała się klamki otwiera — Boże! Jakiś obszarpany, skrwawiony człowiek siedzi na ławie u ogniska, jak widmo... lęk schwycił Anienkę... Boże! przecież to — Wisław! — z krzykiem wpada do izby, przyklęka u ławy i kryje twarz w twardych, poranionych rękach.

---

[23] Bliżej Sosnowca.

— Anienka... Anienka... przywiozłem ci twój weselny gościniec — szepce cichym, przejmującym głosem — patrz to on... utraciłem go pod raciborskim grodem, lecz pod Krakowem znów go zdobyłem, a u nas, tu, pod Pogonią, musiałem oń najbardziej walczyć... dlatego taki potargany... na kolanach rozłożył trzęsącymi się rękami, nie dużą, amarantową chorągiewkę; czyjeś niezgrabne ręce wymalowały na niej białego orła[24]... na skrzydłach jego lśniły kropelki krwi, jak gdyby on, biały orzeł, ranny był...

— Anienka, to jest gościniec dla ciebie... z Krakowa... śliczny, atłasowy kubraczek... na wesele. Wzięli go nasi żołnierze, rękawki poobcinali, białego orła wymalowali, wysoko na drzewcu zawiesili i odtąd prowadził on do boju mysłowickich chłopaków. A gdy powiewał na wietrze, to zdał mi się, jako te wstęgi barwne weselnych drużek — wtedy myślałem o naszym weselu ...

Stary Piotr chlipał głośno... Anienka spoglądała przez łzy, na skrwawiony amarantowy strzęp i bladą twarz Wisława.

- -

Ksiądz Maciej znów wzdycha nad parafialnymi księgami. Ktoś zastukał. Drzwi się otwierają.

— Anienka!

— Ojcze wielebny, na mszę przynoszę...

— Weselną, co? — zakrzyknął wesoło pleban.

— Nie, na pogrzebową...

— Przecież Wisław wrócił!

— Wrócił, tak, wrócił, ale ciężko ranny... Wczoraj umarł... a to, wielebny Ojcze, to zawieście w kościele... — i Anienka ułożyła troskliwie na stole amarantowy strzęp atłasu z białym, krwawiącym orłem.

„Gość Niedzielny”, nr 9/1946, s. 5.

[24] Kazimierz Wielki, który stworzył pojęcie państwa narodowego, zapoczątkował godło i barwę państwa polskiego.

JADWIGA BERNHARDT

Klasztor nad rybnicką wodą

Drewniane krzyże cmentarza rozbłysły w słońcu misterną koroną zamarzniętego śniegu, co nierówną warstwą leży na ich czarnych ramionach. Na nagich gałązkach drzew zalśniły paciorki topniejącego lodu, za lekkim podmuchem wiatru spadające jak drobny deszcz na ziemię. Między grobami kryje się jeszcze śnieg, trwożliwie w cień umykając przed wiosennym słońcem. Za to na grobach podnosi się już słaba zieleń, z twardej, czarnej gleby.

Dobrochna idzie raźno, omijając większe zaspy śniegu. Wełniana chusta zsunęła się jej na ramiona, ukazując cienki, jasny warkoczyk dokoła głowy i drobną, bledziutką twarz, w której błyszczą duże, niebieskie oczy. Nie może poprawić chusteczki, bo oburącz trzyma naręcz pierwszych, wiosennych kwiatków.

— Wianek uwiję z pierwiosnków, jeśli mi wszystkie kwiaty nie wejdą do dzbanka — myśli uspokojona, miłośnie spoglądając na kolorowe płatki. — Wianek uwiję i starego Jana uproszę, by go Panience Świętej na głowę włożył. Sama nie dosięgnę.

— No bo, widać, że Dobrochna nie zapomniała o święcie Bożej Matki — wyrwał ją z zadumy głos starego kościelnego. Szedł pochylony, lecz ogromny, w plecach szeroki, z wielką, baranią czapą na głowie. W siwej brodzie wiatr mu igrał, a słońce zaglądało swawolnie w zmrużone, wyblakłe źrenice. Duży pęk kluczy, zawieszony u szerokiego, skórzanego pasa, pobrzękiwał z cicha, w takt starczego kroku.

— Nie zapomniałam, dziadusiu, nie! — odpowiada Dobrochna wesoło, rada, że napotkała starego Jana, choć do południowego dzwonienia jeszcze daleko. — I jakżebym zapomnieć mogła, kiedy w święto Zwiastowania, zmarłej mateczki są urodziny?

— Kiedy to matuś pomarli?

— Oj, dawno, dawno! będzie temu z dziesięć roków!

— I ty myślisz, że to dawno?! — Oho, pamiętam dawniejsze czasy! Pamiętam, jak te poczerniałe od deszczów ściany naszego kościółka jaśniały jak świeżo wybielona izba. Pamiętam, jak każda deseczka żywicą

pachniała — siadałem na wieży, a zdało mi się, że w lesie siedzę, takie zapachy szły od tych nowiuteńkich ścian... milkł starzec, zapomniał o świecie, zapatrzony w kościół drewniany[25], co osiadł na najwyższej kępie cmentarza.

— Prawda to, Janie, że nasz kościół stoi już sto lat?

— Prawda, za kilka roków będziemy obchodzić jego stulecie.

— A dawniej, gdy tego kościoła nie było, to ludzie wcale do kościoła nie chodzili? — wielka ciekawość brzmi w głosie Dobrochny.

Kościelny Jan odgarnął czapą resztki śniegu z stopni i przysiadł na kamieniach. Klucze u pasa zadzwoniły głośno.

— Gdy tego kościoła nie było, inny tu stał — zaczął powoli — już przed tysiącznym rokiem wybudowali Rybniczanie swój pierwszy kościół, na tym tu wzgórzu — tak opowiadał mi dziad mój, gdy sam jeszcze byłem chłopcem — na tym samym, z którego Wojciech apostoł głosił świętą wiarę... ale o Wojciechu już ci mówiłem, co?

— Mówiliście, dziadku — przytaknęła — ale co się stało z tym pierwszym kościółkiem?

— Ano, wojna go zniszczyła!

— Dziadku, tyle pięknych rzeczy umiecie opowiadać — oczy Dobrochny błyszczą jakimś gorączkowym światłem, rumieniec barwi lica. — Dziadku, gdy ja będę taka stara jak wy...

— Ty, dziecko?! — Jan śmieje się cicho. —- Ty, Dobrochna, nie będziesz wiekowała.

Z serdeczną litością patrzy na zdziwioną dziewczynkę, na jej twarz bledziutką, a piękną, Jak ta z świętego obrazka, na oczy niebieskie, jak te niezabudki z boru, na rączkę drobną. — Pańskie dziecko — mruczy niewyraźnie — nie chłopska dla niej chata, jeno inna, kraśniejsza kraina — Podniósł się powoli z kamiennych stopni, klucze odezwały się znowu...

— Już mnie ziąb bierze, chodźmy do kościoła. Przecie kwiaty przyniosłaś.

---

[25] Na cmentarzu, na miejscu, gdzie obecnie wznosi cię kaplica cmentarna, stał kościół pod wezwaniem N. P. Maryi, zbudowany około 1112 roku.

Dobrochna, która przykucnęła na pniu podczas opowiadania dziadka, pochyliła się, by podnieść kwiatki, co się jej niepostrzeżenie z kolan obsunęły.

— Gdzieżeś ich tyle nazbierała?

— Tam, w borze, nad rzeką, koło Wielopola — wiecie! Tam niedaleko od strąkowieckiego młyna.

— Wiem, wiem, za młodych lat młynarczykiem byłem w strąkowieckim młynie.

Weszli do kościoła. Od głównego ołtarza uśmiechnęła się do nich Najświętsza Panienka.

Pobożna księżna Ludmiła, żona górnośląskiego księcia Mieszka, siedzi zamyślona nad krosnami.

Czemu Miłosława jeszcze nie przybyła? czemu zwleka? Miały przecież ustalić miejsce, gdzie nowy klasztor stanie. — Twarz księżnej smutek przesłania. — Tyle jest niezamężnych, osieroconych przez wojnę córek rodzin szlacheckich, a znikąd nie mają opieki — Kościół jeno bezpiecznej może udzielić im pomocy — klasztor stanie, duży, mocny... czyjeś gwałtowne kroki u drzwi:

— Miłoslawa! dziecko! Jesteś wreszcie!

— Księżna dobrodziejko, cioteczko — przypadła do jej rąk, zadyszana, zaczerwieniona, przejęta.

— Wiesz, dlaczego cię tak nagle wezwałam?

— Wiem, wiem, Jejmość Pani — już wiem, gdzie ma klasztor stanąć! — radość z niej bije, żywa, gwałtowna — niech stanie, jeśli moja ma być wola, dobrodziejko najmilsza, nad Rybnicką Wodą!

— Cóż to za miejsce sobie upodobałaś?

— Gdyśmy od Cieszyna jechali, w tamtej okolicy był postój. Cioteczko, jak tam ślicznie! Rozległa osada, Rybnikiem zwana, od mnóstwa ryb w tej miejscowości, leży w dolinie nad rzeczką, Rybnicką Wodą, która wraz z Olszą wpada do naszej Rudy. Wszędy jest mnóstwo wzgórz, jest góra Smolna i góra Ruda — a woda w rzece taka czysta, młyny na jej brzegach stoją — i bory są wszędy, i kościółek na stromym pagórku — pani dobrodziejko — tam niechaj klasztor stanie!

— Dobrze, Miłosławo — niechaj ci po woli będzie. Niech klasztor[26] nad Rybnicką Wodą stanie — księżna Ludmiła tuli serdecznie rozpaloną głowę klęczącej dziewczyny.

- -

Na próg niskiej chaty rybackiej wyszedł barczysty mężczyzna. Rozgląda się wokoło, z niezadowoleniem patrzy na pusty stołek przed rozwieszoną, podziurawioną siecią rybacką.

— Znowu gdzieś poleciała! — groźnie marszczą się ciemne brwi. — Dobrochna! — wołanie niesie się echem daleko, rozgłośnie, het z za boru powtarzane. — Dziewczyna wybiegła z lasu; trzyma coś w podniesionej zapasce.

— Tatko, kwiatuszków poszłam uzbierać — tłumaczy cicho — z za rąbka fartuszka wyglądają złote kaczeńce i modre niezabudki.

— Pójdziesz do klasztoru, ryby odniesiesz. — Janisław patrzy chmurnie na córkę. — Jak się to cieszy, że ją do klasztoru wysyłam! Ona by tam cięgiem siedziała! Chłopska dziewka, a klasztoru jej się zachciewa! Z szlachciankami przestaje — cóż z tego, że zakonnice? zawsze to inna krew. Nie dla chłopki takie zabawy — lepiejby męża patrzyła... kiedy ona o tym ani myśleć nie chce! — spluwa zadzierżyście, wielce rozgoryczony. — Bierz ryby i idź! a rychło mi wracaj! — Wzięła duży kosz. Zgięła się pod ciężarem. Na bladych policzkach zakwitły czerwone plamy. Niebieskie pręgi żył wystąpiły na delikatnych rękach...

- -

— Dobrochna! usiądźże, dziecko! — ledwo dyszysz! Moj Boże, kto widział na tak słabe ramiona, taki wkładać ciężar! — siostra Miłosława z oburzeniem stawia przyniesiony kosz na ławie.

— Już mi dobrze, Pani Dobrodziejko.

— „Siostro”, Dobrochno, „siostro”! — poprawia łagodnie zakonnica.

— Kwiaty też przyniosłam. co dopiero w lesie zerwane. To w fartuszku tak się pomięły...

— Dobrze, dziecko. Zanieś je do kaplicy — zaraz tam będę.

---

[26] Klasztor z kościółkiem klasztornym wybudowano na miejscu obecnego sądu powiatowego.

W klasztornym kościółku chłód panował. Dobrochnę dreszcze chwyciły. Pewno chora będę — myśli zmartwiona. Usiadła w ławce i zapatrzyła się w zakonnice, modlące się przed ołtarzem.

— Taki piękny, biały welon mają na ramionach... sukienkę długą, fałdzistą... różaniec taki duży, z krzyżykiem srebrnym, z błyszczącymi paciorkami... Dobrochna przeciera oczy... czy to być może? przecież to ona, Dobrochna, klęczy przed ołtarzem, ma piękny, biały welon, długą sukienkę, różaniec błyszczący i dużo, dużo kwiatów w rękach... głowa dziewczęcia z głuchym łoskotem uderza o pult ławki. Modlące się zakonnice podbiegają wystraszone. Biorą dziewczynę, lekką jak piórko, na ręce i wynoszą z kaplicy.

Lato minęło i zima miała się ku końcowi, a Dobrochnie nie było lepiej; leżała w chacie, tuż pod oknem, bo tęskno jej było za widokiem nieba i boru. Suchy kaszel wstrząsał drobnym, dziewczęcym ciałem. Janisław, jak ten cień, sunął po chacie i patrząc na chorą córkę, ręce łamał w bezsilności.

— Dobrochno, chcesz, a wyniosę cię przed chatę? Wiosenne słonko już mocno przygrzewa.

— Chcę, tatko, wynieście.

Wyniósł ją na próg, okrył ciepło i przysiadł na przyzbie.

— Tatko, dziś święto Zwiastowania!

— Dziś, Dobrochno. — Smutek padł na bladą twarzyczkę.

— Kto w kwiaty przystroi Świętą Panienkę! — myśli zmartwiona.

Z boru wyszedł Jan stary. Jego postać przygarbiła się jeszcze mocniej, krok stał się wolniejszy, chwiejny... w siwej brodzie igra wiosenny wiatr. Słońce przekornie zagląda w starcze oczy.

— Dziaduś idzie, tatko, Jan stary...

— Dobrochno, pierwiosnków uzbierałem — wiesz — tam, w borze nad rzeczką, koło Wielopola — Janowi głos drży tak mocno — może ze starości...

— Kwiatki dla Panienki, na święto Zwiastowania, tak, Dziadku?

— Tak dziecko... ale i dla ciebie. — Białe, drobne kwiatuszki posypały się w wyciągnięte dłonie dziewczyny.

Siostra Miłosława zbliżyła się niepostrzeżenie.

— Już na słoneczko wyszłaś?! ino patrzeć, a uciecze nam do boru! — woła wesoło. — Dobrochna uśmiecha się słabo: do boru już nie pójdzie —

po co? stary Jan przyniósł jej przecie kwiatuszki. Do klasztoru pobiegłaby — ach, do klasztoru! Wlepiła oczy w różaniec zakonnicy, podniosła się, ręce doń wyciągnęła, gwałtowny atak kaszlu wstrząsnął całą postacią — opadła z powrotem na wezgłowie.

Miłosława odpięła różaniec: położyła go na rękach dziewczęcia. Dobrochna uśmiecha się. Słabe palce przesuwają duże, błyszczące paciorki.

— Siostro dobrodziejko — siostrzyczko — Mały welon jeszcze... gorącym szeptem płyną słowa z ust chorej. Zakonnica zdejmuje białą zasłonę. Delikatnie nakrywa nią Dobrochnę — w jej oczach stoją łzy... łzy błyszczą w siwej brodzie starego Jana... łzy sączą się przez zaciśnięte palce Janisława...

Duszyczka Dobrochny w święto Zwiastowania biegnie w niebo na wiosennych promieniach słońca, niosąc kwiaty dla Świętej Panienki.

Jadwiga Bernhard

„Gość Niedzielny", nr 12/1946, s. 5 – 6

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

O czym prawił wodzisławski pleban

Gorący dzień lipcowy szedł polnymi miedzami pod wodzisławski kościół. Witały go dzwony odpustowe, Matce Boskiej Szkaplerznej grające. Radosny ich śpiew mieszał się z barwną krasą strojów, w szerokiej procesji wypływał z kościoła. Gwałtowny wiatr targał chorągwiami, szamotał się z wstęgami dziewcząt i podnosił wysoko chmury złocistego pyłu.

Na plebanii zgromadziło się dostojne grono gości — dziedziców z okolicy; Panowie od Pszowa, Rybnika a nawet od Cieszyna. Chociaż obiadowy stół był już nakryty, potraw jakoś nie wnoszono. Wodzisławski pleban zabawia gości i stara się jak może ukryć swe niezadowolenie.

— Bo kto to widział — zżyma się — by Jadwiżka akurat dzisiaj, przy tylu znacznych gościach, z obiadem marudziła!

— Może ksiądz dobrodziej z łaski swej opowie historię tej cudownej figury, o której coś niecoś doszły mnie słuchy — prosi grzecznie młody pan

Jarosław od Cieszyna. — W drodze do was wstąpiłem do onej kapliczki i zadziwiłem się tęgo, bo ludu w niej, jak w kościele na mszy, a świec zapalonych, że aż oczy od patrzenia bolały.

— Jużci, jużci — potakuje pleban — okoliczni ludzie wielką czcią otaczają tę statuę. A i świec tam nigdy nie zbraknie, jako żywo! Stara jakaś pogwarka głosi, że zawsze będą płonąć świece przed Panem Jezusem Frasobliwym. — Historii posłuchać chcecie — opowiem, jużci — historia to grzeczna, dalekich czasów sięgająca — usiadł wygodniej; zapatrzył się chwilę przed siebie, uśmiechnął się mądrze i jął opowiadać.

„Już w XIII wieku, gdzieś po napadzie Tatarów, stanął u nas drugi kościół — klasztorny, ojców minorytów. Pewnego dnia do klasztornej furty zastukał chłopak, może szesnastoletni. W zgrzebnym radnie niósł coś dużego, nieforemnego.

— A ty tu czego? — zagadnął brat Leon chłopaka, co stał, przestępując z nogi na nogę w zakłopotaniu.

— Wybaczcie, wielebny ojcze — rzecze młodzik, całując rękę brata — mamuliczka skazali, cobym wam oddał tę figurę — niech stanie w kościele — prosi nieśmiało. — Brat Leon odsłonił radno. Zachwyt odbił mu się na czerstwej twarzy.

— Skąd ty to masz, łobuzie?! — powiedz, kto to posyła?

— Nikt mnie nie posyła. Jeno mamuliczka skazali, cobym oddał — to jest moja figura...

— Twoja?! ejże, chłopcze, gadaj prawdę! — szare oczy ojca furtiana spod nastroszonych brwi mierzą groźnie bosego wyrostka — gadaj, gdzieżeś figurę okradł, smyku jeden!

— Nie ukradłem, wielebny ojcze, nie okradłem — broni się chłopak rozpaczliwie, płaczu bliski — ja sam ją wystrugałem...

— Co?! Tyś sam wystrugał?! — bratu Leonowi aż dech zaparło. — Taki smyk, nie może być! Jakżeby mógł, takiej śliczności figurę wyrzeźbić? — Smyku jeden, czemu ty kłamiesz? — sapie brat ciężko.

— Nie kłamię! — upiera się wyrostek — sam ją zrobiłem, tak, jakem ją w kościele ujrzał.

— W kościele? w jakim kościele?

— A tu, w ojców kościele. Zeszłej niedzieli przy sumie, siedziałem z matulą tam, w bocznej ławie; naraz jakieś światło oślepiło mi oczy, a w tym świetle zwidział mi się Pan Jezus. Matula dali mi w bok kułakiem,

bo myśleli że śpię. Abo to ja spałem? Dziwowałem się dobrą chwilę temu dobremu Jezusiczkowi, aż mi się z oczu nie stracił. A jak przyszliśmy z kościoła, to wyszukałem sobie gładki kęs dębowego drzewa i zacząłem strugać Pana Jezusa, tego, co mi się w kościele zwidział. Teraz wam go przyniosłem.

Zdało się, że brat Leon przestał oddychać; stał nieporuszony, z ustami na poły otwartymi, wlepiwszy wzrok w szczerą twarz chłopaka.

— Prawdziwy Pan Jezus mu się zwidział — mruczy jak zaczarowany — takiemu smykowi! — pochylił się ku figurze, którą był postawił na kamiennej ławce pod murem klasztornym, uklęknął... gdy się znów do chłopca zwrócił, szare oczy spod nastroszonych brwi patrzyły jakoś łzawo.

— Twoja figura, chłopaczku, zostanie u nas w kościele. Wybudujemy jej piękną kapliczkę, obaczysz! Ludzie będą przychodzić i będą się modlić do twojego Jezusa Frasobliwego, a świece nigdy nie przestaną palić się przed nim”.

- -

Ksiądz pleban odsapnął; dużą chustą otarł pot z czoła i popatrzywszy po zaciekawionych twarzach gości, opowiadał dalej.

„Przyszła sekularyzacja. Nasz klasztor przeszedł w ręce luteranów, ostał nam się jeno kościół farny. Ale wierni ludzie nie zaprzestali modlić się przed figurą Pana Jezusa Frasobliwego, co stała pośrodku wielu świec w kapliczce. Kapliczka była ta sama co dziś, nie duża, tuż pod wieżą kościoła, który protestanci zagarnęli.

Pastor niełaskawym okiem spoglądał na tłumy, wędrujące do kaplicy.

Wreszcie miał tego dość:

— Szymek! — krzyknął raz na parobka — chodźże tu do mnie.

Szymek zaciekawiony podchodzi do pastora, stojącego na stopniach, prowadzących do kaplicy:

Czego też pastor szuka przy kaplicy?

— Szymek, weźmiesz tę figurę z kaplicy i zaniesiesz do katolickiego kościoła! — rozkazuje. — Nic tu po niej! No, ruszże się, Szymek, co stoisz?!

Parobek nie ruszał się z miejsca. Czy zląkł się ludzi, co zgromadzili się dookoła, groźnie milczący? — Po chwili jednak nabrał ducha. Przebiegł prędko stopnie...

— Cóż tam! miałbym się iście bać tego kawałka drewna?! Nic, ino ludzie bajki plotą — myśli. — Przewracając świece, co mu stały w drodze, wziął świętą figurę i wyszedł z kaplicy.

Obecni stali jak skamienieli... Potem pochodem ruszyli za Szymkiem w stronę kościoła.

W parę pacierzy Szymek wrócił — przecie to bliziutko. Pastor wydał ostatnie polecenia.

— Szymek, pogaś te świece, zbierz i zanieś do mojej izby. — Parobek zrobił, co mu kazano. — Teraz zamknij kaplicę, klucz dawaj zaraz, nałóż jeszcze zasuwę — ot, będzie nareszcie spokój.

Drugiego dnia z rana zbudziło pastora gwałtowne dobijanie się do drzwi.

— Ki licho cię ugryzło, Szymek! czego się drzesz? — woła przez drzwi na parobczaka, poznawszy go po krzyku.

— Chodźcie skoro, panie! hań, z kaplicy, przez okna, taki blask bije, jakby się tam sto świec paliło, a przeciem wczoraj wszystkie świece powynosił. Może to pożar? — Pastor był już na nogach. Otworzył skrzynkę, leżącą na stole.

— Jest klucz! — odetchnął z ulgą — tak, jak go wczoraj położyłem. A drugiego nie ma! Cóż to więc za czary?! Nijak, ino Szymek bredzi w gorączce — może prosto z karczmy wrócił i przywidziało mu się? — Wziął klucz, narzucił okrycie i wyszedł na dziedziniec.

Szymek nie bredził; z okien kaplicy, na szare, kamienne płyty dziedzińca kładł się jasny, ciepły blask... Pastor drżącą dłonią zdjął żelazną zasuwę, przekręcił klucz, pchnął drzwi, te rozwarły się na ścieżej i upadł bez czucia na stopnie... wnętrze kaplicy gorzało światłem niezliczonych świec, a w świetle tym czerwieniła się jedwabna sukienka Pana Jezusa Frasobliwego.

Powiadają, że to samo powtarzało się parękroć. Wynoszono raz po raz figurę do katolickiego kościoła, a figura wciąż wracała do swojej kaplicy...”

Urwał ksiądz proboszcz. Z dołu, od kuchni doleciał przeraźliwy krzyk kucharki i dziewek służebnych. Od podwórza podniósł się niebywały rwetes i głośne wołanie: pali się! ludzie, ratujcie, pali się!

Szlachetne grono gości rozbiegło się na wsze strony, jedni siadali szybko do kolasek, odjeżdżali, co koń wyskoczy, z płonących zabudowań,

drudzy, wraz z panem Jarosławem od Cieszyna i z księdzem plebanem, spieszyli na ratunek. Gwałtowny wiatr, co się jeszcze bardziej wzmógł od rana, rozniósł iskry po całym mieście — Pan Jarosław nie mógł oczu oderwać od płonącej kaplicy.

— Księże dobrodzieju, księże dobrodzieju — prosi gwałtownie — chodźmy ratować figurę!

— Na nic się zda, panie, życie na szwank wystawiać. Ino patrzeć, a runie wieża, grzebiąc kaplicę.. niech nam Bóg będzie miłościw!

Wieża protestanckiego kościoła runęła: snop iskier i tumany szarego kurzu wzbiły się w niebo.

Wieczór kładł się na rozełkane miasto, gdy pan Jarosław, wraz ze swoim pachołkiem, ukazał się znowu przy kaplicy.

Może strop kaplicy nie zawalił się? może jednak figura ocalała — myśli uparcie.

— Tomek, szukaj jakiegoś wejścia do kaplicy, między tymi gruzami! Szukaj! Nie bój się obsuwających kamieni, nagrodzę cię szczodrze — Jarosław zachodzi to z tej, to z owej strony, zagląda badawczo w szczeliny, aż naraz — mocny Boże! istne dziwy! aż się o ścianę wsparł, taka go niemoc chwyciła ze wzruszenia...

— Hej. Tomku, bywaj, bywaj tu z drągiem — woła na pachołka. Przybiegł, ostrożnie pousuwali gruzy, poszerzyli szczelinę, tak, że mogli się wepchnąć do środka.

Na tle czarnej, osmolonej ściany kaplicy, jaśniała drewniana figura Pana Jezusa Frasobliwego. Nie było na niej śladu płomienia, jeno strzępy zetlałej, czerwonej sukienki zwieszały się smutnie z białego drzewa. Z kamiennej, popękanej posadzki podnosił się jasny blask płonących świec, cudacznie powykręcanych i pokurczonych, złotą aureolą układając się naokoło Frasobliwego Pana.

Jadwiga Bernhard

„Gość Niedzielny”, 15/1946, s. 5 – 6.

Gdy w roku 1942 zauważono, że z wieży protestanckiego kościoła wypadają cegły, zwołano komisję budowniczych, którzy oświadczyli, że wieża runie. Wtedy ks. prob. Smolka kazał wynieść figurę do katolickiego kościoła. Dokonano tego około godziny ósmej rano, zaś w południe wieża runęła.

JADWIGA BERNHARDT

Knurowskiego pana zmartwychwstanie

Wracali gliwickim gościńcem. Błyszczeli strojem bogatym, suto drogimi kamieniami okrytym. Konie pod nimi piękne, z uprzężą kunsztownej roboty. Wieśniak, co w polu pracował, niechał orki i stał z odkrytą głową, dziwując się im, jak cudnemu widowisku, długo, póki ich obłok kurzu nie zakrył.

Przodkiem jechał kanclerz krajowy, hrabia Jerzy Wilczek, pan Knurowa; twarz ostra, oczy świdrujące, przenikliwe i usta wąskie, zacięte, znamionowały magnata srogiego. Zasumował się czegoś i nie baczy na ożywiony dyskurs towarzyszy.

— Spodziewałeś się, Imć sąsiedzie, takie ujrzeć wojsko? — grzmi pan Wacław Pilchowicki.

— Klnę się na dziada mojego, że nie! — entuzjazmuje się imć Smolnicki. — Anim we śnie sądził, aby nasz król miłościwy z taką siłą pancernego wojska zjechał!

— Dalibóg, potężne ma rycerstwo! — pokrzykuje inny — na jakich koniach! Co za rynsztunek!

— A on sam, co za rycerz! Prawdziwie królewska postawa! Niech jeno Turki sprośne woja takiego zoczą, a pokażą pięty! — Pilchowicki pan, dawny stary wojak, aż wąsa targa z wielkiego ukontentowania.

— Mówiłeś, hrabio, z królem panem — cóż? — jest ci pewien wygranej? — zwraca się Smolnicki do knurowskiego pana.

— Nie inaczej — odpowiada tenże krótko, niechętnie jakoś.

— A cóżeś się więcej zwiedział. Mości kanclerzu? Opowiadajże Ichmość! — nalega stary Pilchowicki

— Długom to z nim gadał? — sierdzi się hrabia Wilczek, który mianem tutejszej ziemi witał króla Jana Sobieskiego. — Tyle, żem poznać mógł, jako z niego rycerz mężny — i pobożny — dodaje wolno. — Rzekł, że isto swemu wojsku ufa, ale więcej niż wojsku, Bożej Opiece się zleca i że jeno Boża Pomoc zwoli mu zgnieść pohańca... umilkł, nie chce mówić dalej, jak poszedł z królewskim orszakiem, jak widział króla w kościele,

z chłopstwem na dziedzińcu... — Pogarbił się w siodle; patrzy niewidzącym wzrokiem na wysoką ścianę lasu, co dwoma prostymi ramionami ogarnia drogę; wspomina przejasnego pana; w jakie zdumienie wprawiła go ta szczera pobożność królewska! Owo obejście łaskawe i ręka szczodra względem prostego chłopstwa. — Ostra twarz hrabiego pociemniała od nagłego, wewnętrznego wstydu... nie takim znali go jego poddani, nie takim!

Ramiona lasu rozwarły się szeroko. Na widnokręgu, nad wysokim, stromo ściętym brzegiem stawu, wyrosła spośród lip cmentarnych sylwetka knurowskiego kościoła. Złote krzyże, jeden na szczycie dzwonnicy, a drugi na sygnaturce nad dachem, widziały się w słońcu, jako płomyki ogniste.

— Panowie łaskawie wybaczą, że zboczę na moment z drogi — zwraca się nagle hrabia do towarzyszy — zajrzę jeno do Knurowa i w parę pacierzy was dopędzę.

Nie czekając na odpowiedź, uchylił kapelusza, spiął konia ostrogą i pognał z wiatrem w zawody.

Wstrzymał się dopiero przed rozwartą bramą kościółka. Zeskoczył z okrytego pianą rumaka, uwiązał go u płotu i wszedł w mroczną nawę kościoła. Zadzwoniła ceglana posadzka... a potem znów święta cisza spłynęła od drewnianych, malowanych ścian... Hrabia stoi przed dużym obrazem, patrzy z natężeniem...

— Mówili mi zawsze pan ojciec, że wasze noszę rysy... żem na was się podał... Mylili się wielce... Z pradziada mego pan był zbożny i szczodry, jak ten król nasz! A ja — ja jestem, jak ten niecny żołdak, ten z boku, co zbladłą, stchórzałą twarz kryje przed zmartwychwstającym Chrystusem — — ugina się dumne kolano magnata pod tajemniczą mocą, ca bije z postaci Zmartwychwstałego... z poczerniałych ram obrazu spoglądają na skruszoną głowę wnuka pradziad i prababka, fundatorzy knurowskiego kościoła[27].

---

[27] Kościół knurowski wybudowany został w I599 r., (stoi obecnie na Górze Wyzwolenia w Chorzowie) zaś wotywny obraz Zmartwychwstania Pańskiego w styla barokowym, na którym przedstawiono również fundatorów, szlachcica knurowskiego z żoną, z rodu Wilczków, powstał około roku 1600 (znajdował się przed wojną w muzeum Śląskim w Katowicach).

Ks. Michał Płonka, proboszcz knurowski i gierałtowicki, wraz z swym bratem Baltazarem, nauczycielem i organistą knurowskim, siedzą nad parafialnymi księgami.

— Nie wybrniemy z tej opresji, nie — wzdycha organista. — Trzeba płacić, już nadeszły ostateczne terminy.

— A naprawa kościoła?! A wybudowanie plebanii?! A inne pomniejsze wydatki? — Ks. Płonka nagłym ruchem zrywa się z krzesła i gwałtownym, podrażnionym krokiem mierzy izbę od okna do drzwi i od drzwi do okna.

— Gdyby nasz patron, jaśnie pan hrabia Wilczek..

— Tak, nasz patron! — przerywa pleban gorzko i drwiąco — toć to żaden patron! Grosza nie da! — Chodziłem do niego jak ten dziad, aby farę wybudował, co się była w wojnie spaliła. Zwlekał, zbywał obietnicami, aż w końcu powiedział, że nic nie da, że to z mojej winy nastąpił pożar, z mojego jakiegoś tam niedbalstwa! Taka czelność!

Ks. proboszcz stanął przy oknie. W zamyśleniu bębni palcami po szybie. Z dworu dolatuje skrzyp żurawia — kobiety wodę ciągną na odwieczerz, pachołki bydło poją — i gwar dziecięcych głosów. Jakiś chłopak śpiewa hałaśliwie:

Powiedzże nam, żaczku nasz,
Tyś jest żaczek uczony,
Nade szkoły wybrany,
Powiedzże nam, co jest jeden? —
Jeno jeden Jezus nad nami króluje,
Ze wszystkimi Świętymi
Sam Pan Bóg na niebie.

Mała, dziewięcioletnia dziewczynka, co siadła na wąskim paseczku trawy pod płotem, wtóruje piskliwie:

Powiedzże nam, co jest dwa!
Są dwie tabliczki Mojżeszowe,
Co ich pisał Bóg o Sobie
Przy Bożym Stole –
Jeno jeden Jezus...

W sionce zadudniły drewniane chodaczki. Gwałtownie, bez pukania, pchnięto drzwi — do izby wpadła z impetem zadyszana Zuzia, młodziutka klucznica knurowskiego zamku.

— A czego tam? — zżyma się proboszcz rozeźlony niepożądaną wizytą.

— Księże dobrodzieju, pismo niosę od pana hrabiego! — trzęsącymi się z przejęcia rękoma rozwiązywała chusteczkę, gdzie list ukryła, nie stropiona wcale niechętnym wzrokiem księdza. — Wielebny, istne dziwy! nie wyrozumiem, jak się to wszystko stało! — gada prędko, w nieładzie, podniecona bardzo.

— I my, Zuzko, nic z tego nie wyrozumiemy, jak nie będziesz mówiła uczciwie — miarkuje organista dworkę, swoją narzeczoną — po porządku, proszę, powiedz, co się stało.

— Od dnia, jak pan hrabia z Gliwic powrócił, gdzie to jeździł naszego króla witać, jest jak nie ten sam, a jakiś inkszy, dobry, łaskawy. — Mówiła mi stara Krystyna, że widziała, jak w ten sam dzień, gdy hrabia z Gliwic jechał, do naszego kościoła wstąpił i krzyżem tam leżał przed obrazem Zmartwychwstania Pańskiego, z którego biło jakieś światło... — A gdy mi dziś to pismo do was dawał, to uśmiechnął się tak, że aż cosik za serce chwytało... I duchem lecieć nakazywał! A potem mi powiedział, że na naszym ślubie będzie! — woła rozpromieniona w stronę organisty — i już mi dal coś na wyprawę! — Słuchali zdumieni.

— Zuzka, ty chyba sobie żarty stroisz, lebo ci się w głowie przewróciło — bąka proboszcz skonsternowany.

— Jużci, jużci — droczy się dziewczyna! Rozewrzyjcie pismo, a obaczycie sami!

— Ano, obaczymy, co pan hrabia pisze. — Ksiądz pleban złamał pieczęcie; zaczyna czytać półgłosem i — urywa! coś go ściska za krtań... — pan hrabia ofiaruje 2000 talarów dla knurowskiej parafii... prosi, niechby obraz Zmartwychwstania, ufundowany przez jego pradziadów, był odnowiony... prosi... niechbym mu darował złe słowa, gwoli tej spalonej fary... — Za oknami cichł gwar dziecięcych głosów: pod ciemniejące niebo, gdzieś z za opłotków, niosą się ostatnie cichnące dźwięki ludowej piosenki:

Powiedzże nam, co jest trzy —
Trzej są patriarchowie,
Są dwie tabliczki Mojżeszowe,
Jeno jeden Jezus...[28]

---

[28] Cytowane z „Historii Knurowa” ks. J. Kosselka.

Klęcznik, czerwonym suknem kryty, jest już pusty. Z pogaszonych żółtych i grubych świec ołtarzowych idą sine, plączące się w pukle, pasemka dymu. Roztrzęsione dźwięki Veni Creator wsiąkają w wnęki ciemno belkowanego stropu kościelnego. Zaś przez kolorowe szybki okien, na smugach słonecznych, płyną z zewnątrz tony weselnego marszu.

Młoda para, dworka zamku knurowskiego, Zuzia, i nauczyciel knurowski, pan Baltazar Płonka, prawie co byli wyszli z kościoła. Pozostał w nim tylko kanclerz krajowy, hrabia Jerzy Wilczek. Stoi przed obrazem przodków; ostrą twarz opromienia wyraz dobroci a usta wąskie zdobi uśmiech.

— Patrzcie, nie mylił się rodzic mój — mam wasze rysy — jednak jestem do was podobny! Nie jestem już, jak tamten żołdak, co kryje twarz przed Bogiem — ja patrzę w jego przejasne Oblicze!

A Pan Zmartwychwstały z kręgu tęcz, co pięły się nad jego głową, zdał się mówić:

— Weź mą chorągiew, kanclerzu! Jesteś jej godnym, boć i ty zmartwychwstałeś!

Jadwiga Bernhardt

„Gość Niedzielny", nr 16/1946, s. 13 – 14.

JADWIGA BERNHARDT

Spór

Przed Bytomiem, pod krakowską bramą, stoi szpital Ducha Świętego, który tu ze wsi Chorzowa przeniesiony został. Nieduży kościół wspiera się o szpitalne mury, otoczony wkrąg zieloną ścianą lip i kasztanów, pod którymi przysiadły czarne i krzywe, albo li też bieluśkie i proste krzyżyki cmentarne. W kościele przeor szpitala, proboszcz chorzowski, Stanisław Stępkowski, z braciszkami nowennę do Ducha Św. kończy.

Duchu Święty rady — zmiłuj się nad nami!
Duchu Święty męstwa — zmiłuj się nad nami!
Abyś nas od nieżyczliwości i zazdrości braciom wybawić raczył.
Abyś nas sprawiedliwości i dobroci nauczyć raczył
Prosimy Cię, Duchu Święty Boże!

Dwóch braciszków przechadza się pod woniejącym baldachimem drzew. Brat Michał kraciastą chustką ociera spocone czoło.

— Gorąc taki, że i tu w cieniu nie zdzierżysz!

— A deszczu ani widu! Zboże poschnie się w polu. Znów bieda będzie, bracie Michale, bieda!

— Jużci, jużci — — żeby tak piwa krysęczkę — wzdycha ciężko chustą chłodząc czerwoną, pucułowatą twarz.

— Piwa się wam zachciewa? Poczekajcie, niech jeno przeor z czeskiej Pragi pomyślne pismo otrzyma, a nie poskąpi nam ni piwa ni jadła. Byle jeno to pismo przyszło — bo jeśli nie... moglibyśmy snadno spór ten z chłopami przegrać...

— Przegrać?! Niedoczekanie ich! Po czyjej stronie jest słuszność, he, po czyjej? — sierdzi się brat Michał, groźnie wymachując kraciastą chustą. — Przyszli to z wiosną na naszą rolę?! Abo ten Wojciech Kawka! zapłacił już obiadowe? Nie byłoby sprawiedliwości Bożej, gdyby te leniuchy i niecnoty wygrały! — zasapał się; siadł na ławie pod murem. — Już tam Duch Święty nie dopuści, aby nas skrzywdzili... nowennę ksiądz przeor nie na darmo nakazał — kończy złagodniałym głosem.

— Oho, a brata furtiana kto goni? giez go kąsił? — Od szpitala biegł szybko młody braciszek, prosto ku zakonnikom spoczywającym na ławie.

— Bracie Michale, ojciec przeor prosi — woła zadyszany — śpiechajcie, pismo nadeszło z Pragi!

— Chwała Świętemu Duchowi! Teraz im pokażemy! Teraz poznają! — urwał w pół zdania, zaniepokojenie odbiło się na jego okrągłej twarzy — a przeor co? Zadowolony, abo się sierdzi — pyta podejrzliwie.

— Nieciężko mi było wymiarkować, że w piśmie dobre wieści są. Ani chybi, wygraliśmy spór z chorzowskimi chłopami.

Brat Michał już go nie słuchał. Jak wprzódy brat furtian, tak teraz on biegł ku bramie szpitalnej zapomniawszy o gorącu.

Ksiądz proboszcz Stępkowski zwolna przechadza się po jasno szorowanych deskach swojej kancelarii. Na zwilżonej twarzy rysuje się wyraz troski; twarz to piękna, choć już niemłoda, podłużna i gładka, z oczami jasnymi, dobrotliwie i mądrze spoglądającymi spod wysokiego czoła. Raz wraz zatroskany wzrok biegnie ku biurku, gdzie leży wyrok sądu

królewskiego w Czeskiej Pradze w sprawie sporu pomiędzy szpitalem Ducha Świętego a wsią Chorzowem, do tegoż szpitala należącą[29].

— Zniewolili mnie do tego procesu; myśleli, że wygrają. Wojciech Kawka ich podburzył — cóż, chłop taki dobry, jak każdy inny, jeno dał się zwieść przez tego Niemca, Heincla...

Czoło proboszcza marszczy się groźnie; dobre oczy błyszczą surowo. — Od tego czasu, jak ten się tu przywlókł, nie obeszło się bez waśni... Ksiądz proboszcz bierze pismo w rękę; czyta po raz wtóry.

— Gdybym egzekucję wyroku sądowego przeprowadził — myśli ciężko — zrujnowałbym wszystkich kmieci... i Wojciecha Kawkę, i Wojciecha Nowaka, Pawła Krawca, Franciszka Bargła, Machę, Roncoszka... przed jasnymi oczyma przesuwają się starsze i młodsze twarze chorzowskich gburów...[30] — tego przecież nie mogę choć i zawinili... jakoś inaczej to trzeba przeprowadzić...

— Jestem, ojcze przeorze, jestem — alem się zmachał — brat Michał zziajany stoi u progu — no, to i przyszło wreszcie to pismo — ciągnie dalej, z trudem łapiąc powietrze — niedoczekanie ich, tych nicponiów.

— Cichajcie, bracie Michale! — głos proboszcza brzmi nakazująco i surowo, choć oczy jasne dobrotliwie patrzą na sapiącą postać w progu — pójdziecie do Chorzowa, zaraz, nie zwlekając i powiecie gospodarzom, żeby się na odwieczerz u sołtysa zgromadzili, że tam przybędę — rozumiecie?

— Jużci, wiem co powiem! Ja im pokażę! Tak ich nastraszę, że... — Braciszek zaciera ręce.

— Ani się ważcie — mówi proboszcz spokojnie, lecz braciszek aż zadrżał od tego spokoju — powiecie to, co wam powiedzieć kazałem.

— Ano, powiem, co robić.— Brat Michał skonfundowany całuje rękaw proboszcza. — Wybaczcie, ojcze, ale mnie się widzi, co sprawiedliwie byłoby pokarać kmieci, aby nie byli jeszcze butniejsi. Ady i Pan Bóg jest po

---

[29] Spór taki miał miejsce około roku 1726. Wymienione nazwiska autentyczne, wedle kroniki.

[30] Według ilości posiadanej roli dzielono chłopów na gburów, zagrodników i chałupników. Najbogatszym był gbur, który nieraz niegrzecznie odnosił się do biedniejszych, stąd nazwa „gbur” przeniosła się z czasem na każdego niegrzecznego człowieka.

naszej stronie, kiej gwoli naszej nowenny do Ducha Świętego takie pismo przyszło.

— Mylicie się, braciszku. Nie o wygranie procesu prosiliśmy Ducha Świętego, jeno o zgodę między nami a wsią.

Brat Michał jeszcze dyszy ciężko; teraz już nie z gorąca, ani szybkiego biegu, ale z wielkiej alternacji. Radby wiedzieć, co proboszcz uczynić zamierza... Lecz proboszcz Stępkowski jeszcze nie wie, co zrobić. Klęczy w kościele, wpatrzony w srebrną gołębicę nad ołtarzem

— Duchu Święty Rady, Duchu Święty Męstwa — abyś mnie sprawiedliwości i dobroci nauczyć raczył... Abyś nam wszystkim ducha miłości i pojednania udzielić raczył...

W widnej świetlicy sołtysa gromadzą się chorzowscy kmiecie. Przez rozwarte naścieżaj okna bucha na drogę gwar głosów, raz wznoszący się krzykliwie, raz milknący gwałtownie. Dzieci, biegające po drodze, drapią się na płot sołtysowego ogródka i zaglądają do wnętrza świetlicy, aż ich któryś z gospodarzy nie spłoszy grzmiącym słowem lub grożącą ręką.

Na pierwszej ławie siedli Franciszek Bargieł i Jędrzej Rancoszek. Obydwaj przekroczyli juz sześćdziesiątkę: trzymają się jeszcze prosto a spośród siwych włosów wyglądają twarze czerstwe, od słońca i wiatru spalone. Pogadują spokojnie, choć w oczach ich nie trudno wyczytać troskę.

— Ani chybi, ksiądz proboszcz sprawę wygrali, choć brat Michał o tym gadać nie chciał — mówi Bargieł, wytrząsając popiół z fajki i napełniając ją znowa — nie raz przedkładałem tym młodzikom, by swarów zaprzestali, boć słuszność tam akuratnie po naszej stronie nie jest — kończy niechętnie.

— Gadałem i ja im do rozsądku, ale czy to posłuchają starych? widzą się od nas mądrzejsi! — Rancoszek rozeźlony sękaczem o podłogę stuka. — Teraz, miast radzić, jak wyjść z opresji, do gardła gotowi sobie skoczyć. — Sękaczem wskazał do ciemnej sionki, gdzie młody i zapalony Wojciech Kawka swarzył się z młodym Wojciechem Nowakiem.

— A co wy, Jędrzeju, myślicie: oszczędzi nas pleban, abo i złupi, jak na to zasłużyliśmy?

— Dobry ci on był zawsze — zawsze ludzki, ale ostatnimi czasy wieleśmy piwa gorzkiego nawarzyli... a wszystkiemu winien ten niemiecki zaprzaniec, co nie wiadomo skąd do nas przylazł i młodym głowy bałamuci.

Głuch Antoni, mocny wielki chłop, nie mający jeszcze czterdziestki, stał w oknie i krzyczał coś na hałasujące dzieci. Ale za oknem i bez tych pogróżek nagle ucichło.

— Ksiądz proboszcz idą — odzywa się Głuch, patrząc karcąco na młodych w sionce — wejdźcie do izby, a nie rajcujcie tela.

Pleban Stanisław Stępkowski stanął w drzwiach. Jasne oczy z niezmierną dobrocią biegną po kmiecych twarzach.

— Widzi mi się, że nasz przeor coś schudli i zbledli — szepcze Głuch w stronę Roncoszka.

— Tak i mnie się zdaje — mruczy zagadnięty.

Ksiądz proboszcz pochwalił Pana Boga i stanął w pośrodku dużej świetlicy. Odpowiedzieli mu głośnym, uroczystym „na wiek wieków, Amen".

A potem zapadło głuche milczenie.

Pleban wyjął z zanadrza wyrok sądu królewskiego. Czyta, głosem równym, spokojnym, o wysokich sumach odszkodowania, o podniesionym podatku i liczniejszych daninach...

Młody Wojciech Kawka ściska pięście.

Rzuci się na plebana, wyrwie mu ten nieszczęsny papier z ręki, podrze na kawałki! — Rosły, barczysty Głuch skulił się w sobie, że na dziada patrzy, a nie na gospodarza.

— Taka kara, Jezuści Maryjo, z torbami pójdziemy. — Na wszystkich twarzach widna żałość obok gniewliwych błysków oczu. Gryzą wąsy... Ksiądz proboszcz skończył czytanie; powoli składa pismo; papier szeleści złowrogo w uszach kmieci — jest tak cicho w świetlicy, że słychać much brzęczenie za oknami — potem, nagle suchy szelest targanych kartek... pleban z uśmiechem wodzi po zdumionych twarzach gospodarzy... zwolna, ci spod ścian podchodzą bliżej i patrzą na skrawki pisma — wyroku sądu królewskiego w Czeskiej Pradze, co upadają zwolna na deski podłogi.

— Nie waszej krzywdy chcę, jeno zgody.

— I my! I my! — krzyczą jedni przez drugich coraz głośniej, coraz radośniej, rozumiejąc, że klęska co nad ich głową zawisła, znikła bez śladu i że zawdzięczają to temu kapłanowi z piękną, dobrą twarzą... Starzy

gospodarze całują ręce księdza i chrząkają jakoś dziwnie... na wąsach Głucha błyszczy coś, jak rosa w polu o świcie...

— A tego niemieckiego hycla — Heincla przegnam ze wsi — jak mi Bóg miły! — krzyczy Wojciech Kawka jakby pijany z radości.

Brat Michał, co stał w podwórzu a wejść do świetlicy nie chciał, na chłopów rozsierdzony i księdzu niechętny, wgląda ciekawie do wnętrza.

— A to co? — Aż mu dech zaparło! Taki rwetes i gorąc jak w bójce! na toż li była nowenna do Świętego Ducha? — — A ojciec wielebny gdzie? — Co?! Wojciech Kawka, ten burzyciel na ręce Ojca wziął?! — Ja im pokażę, ja im pokażę, niech no odsapnę... kraciasta chusta ociera spocone czoło i policzki pucułowate, po których płyną grube łzy...

Potem mruczy nieco ciszej:

— Nie darmo odprawiało się nowennę. Jak to cudownie Duch Święty spór nasz zakończył!

Jadwiga Bernhard

„Gość Niedzielny", nr 23/1946, s. 3 – 4.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Narodziny śląskiej Jerozolimy

Ks. Leopold Nerlich od niedawna jest proboszczem Piekar[31]. Ma już pół wieku życia za sobą, życia pracowitego, którego trud i znój srebrem posypał pasma włosów; ma pogodną, uśmiechniętą twarz, z której z dobrocią niezmierną spoglądają na ciebie szare oczy.

Ksiądz proboszcz siedzi w czarnym, wysokim krześle, wodząc zamyślonym wzrokiem po dużych, barwnych portretach wiszących na ścianie.

— Tak, tak, ten „piesek Matki Boskiej"[32], ks. Ficek nieboszczyk, taką prześliczną wybudował świątynię — myśli ks. proboszcz — a ks. Purkop z Rudy — wzrok proboszcza Nerlicha zatrzymując się na twarzy

---

[31] Ks. Leopold Nerlich został proboszczem Piekar 20 marca 1886 r.

[32] Świątobliwy ks. Ficek sam siebie mianował „wiernym pieskiem Najświętszej Panienki".

energicznej, na czole wysokim — sprawił do kościoła ołtarz piękny, z włoskiego, czerwonego marmuru... Nawet Kalwarię rozpoczął budować. Cóż, kiedy tylko kilka kaplic postawić zdołał, czasy były ciężkie, czasy walki kulturnej...

Palce ks. proboszcza w zamyśleniu wygładzają pokurczony, żółty papier dokumentu[33] leżącego na rozwartym brewiarzu. Papier szeleści, czerwieniąc się dużą pieczęcią... jest bardzo stary i bardzo drogocenny. Tak oto przemawia zeń ks. Andrzej Wiercioskowicz z odległości dwustu lat:

„Ja, niżej podpisany, świadczę sumieniem moim i wiarą kapłańską — ksiądz proboszcz półgłosem wymawia słowa dokumentu nie patrząc nań wcale, zna go przecież na pamięć, — *że przed piętnastu laty, około trzeciej godziny w nocy, w przytomności przewielebnego ks. Jakuba Roczkowskiego, proboszcza natenczas* w *Piekarach, widziałem światła dwa, na kształt świec, które z górki, Cerekwicą zwanej, spadały ku kościołowi w Piekarach i znowu wznosiły się w górę, zstępując i wstępując przez całą godzinę..."* Ksiądz proboszcz przymknął oczy; pod zsuniętymi powiekami widzi wyraźnie zstępujące od Kalwarii i wstępujące pod nią światła, nie dwa, lecz dużo, dużo więcej, może dwieście, a może jeszcze więcej...

— Jeden postawił świątynię, drugi zbudował dla niej ołtarz wspaniały, a ja... — czemu tak rwie się i drży głos księdza proboszcza? — ja chcę, za Bożą pomocą i pomocą ludu śląskiego, założyć Kalwarię Jerozolimską na śląskiej ziemi, na górce Cerekwicy, po której chodzą niebieskie światła...

Od chwili, gdy ksiądz proboszcz wrócił z Ziemi Świętej, myśl o piekarskiej Kalwarii nie daje mu spokoju.

— Księże proboszczu! — kucharka Marta ostrożnie zagląda przez drzwi — jużci zasnął dobrodziej kochany, jużci, bo to nie dba o zdrowie, jeno kole wszystkiego od rana do nocy zachodzi.

— Co powiecie, Marta? — ksiądz proboszcz podnosi ciężkie powieki.

— Zdało mi się, że Wielebny śpią! — dziwi się kucharka. — Otóż ojciec Władysław Szneider chcieliby z Dobrodziejem pomówić.

— Ojciec Władysław?! już to wrócił?! — ksiądz proboszcz aż się z krzesła poderwał na tę nowinę — zaraz do niego lecę! już, już idę! — Ojciec Wła-

---

[33] Dokument ten, spisany w polskim języku, ma znajdować się u OO. Jezuitów w Krakowie, nosi datę 5 sierpnia 1678 r.

dysław przyjechał — gderze uradowany składając żółty dokument i wsuwając go w brewiarz — nareszcie przyjechał ze swej pielgrzymki do Jerozolimy! Teraz, zaraz jutro, a może już dzisiaj rozpocznie się budowę naszej Kalwarii! — Ksiądz proboszcz nie może powstrzymać drżenia rąk, nie może również ukryć radosnego uśmiechu w oczach i na całej twarzy — ojciec Władysław powie, gdzie ma stanąć ta kaplica, a gdzie następna, powie, jak ma jedna wyglądać a jak druga; Ogórka się zawoła, co jest mistrzem murarskim w Szarleju, robotników się zgromadzi — o Święta Panienko Piekarska, błogosław naszej pracy!

Jeszcze w kościele Najświętszej Maryi Panny nie oddzwonili na pierwszą mszę św., a już przed domem mistrza murarskiego, pana Ogórka, proboszczowego szwagra, stoją liczne gromadki ludzi, z różnorakim narzędziem roboczym w rękach. Obok młodych, silnych górników z taczkami i kilofami, obok murarzy z kielnią, widziałeś starszych wiekiem, którzy też jeszcze chcą ręki przyłożyć do zbożnego dzieła. Nie brak i kobiet z łopatami i wiadrami, i młodych dziewcząt, którym się oczy śmieją do roboty. Gwarna rozmowa toczy się około wczorajszej procesji, kiedy to kamień węgielny położono pod budowę Kalwarii, około sumy uroczystej i wzruszającego kazania księdza proboszcza.

— Wychodzę główną bramą po mszy św. — opowiada jedna z kobiet — a tu słyszę z boku jakiś znajomy głos: „Nie opuszczajcie żebraka”. Myślę sobie: któż też to prosić może? jużci, jakiś znajomek, bo ten glos — i patrzę przez ciżbę — a tu stoi sam ksiądz dobrodziej z biretem w ręce, a ludzie sypią mu złote talary!

— A co ja się nadziwowałam — mówi inna — wyszłam bocznymi drzwiami i wpadłam z miejsca na ojca Władysława, co stał z koszyczkiem w rękach i...

— A przy tych drugich bocznych drzwiach — przerywa jej z piskiem jedno z dziewcząt — stał budowniczy Ogórek z dużą, murarską misą, w której miast cementu miał talary! — dziewczęta parsknęły wesołym śmiechem, lecz wnet umilkły; od strony kościoła zbliża się szybko ojciec Władysław, serdecznie wita zebranych, rozmawia o czymś półgłosem z mistrzem murarskim.

Za chwilę długi pochód posuwa się ku kościołowi. W tej też chwili odezwał się z wieży dzwon na mszę wołający.

W bramie kościoła stoi ks. proboszcz Nerlich; dobre, radosne słowa biegną naprzeciw procesji robotników, a drobne kropelki wody święconej spadają na twarde, ciemne ręce; na kilofy, łopaty i kielnie.

Po mszy św. pochód rusza na górę Cerekwicę. Na jej szczycie wznosi się duży krzyż.

— Tam stanie kościół Przemienienia Pańskiego — ks. proboszcz wskazuje dłonią na krzyż.

— Tak, Dobrodzieju — piękny, gotycki kościół — budowniczy z całą powagą przytakuje proboszczowi.

— W tym zaś kierunku pójdą kaplice Drogi Krzyżowej — Ojciec Władysław szerokim ruchem ręki zakreśla koło — a tu wybuduje się kaplice różańcowe i inne.

— I wszędy posadzi się drzewka, dużo drzew — mówi ks. Nerlich. — Nasza Śląska Jerozolima musi być piękna!

Księdzu proboszczowi coraz większą trudność sprawia wejście na górę Kalwarii, coraz ciężej wspiera się na swej lasce, coraz częściej szuka ramienia Ojca Władysława. Dopiero siedem lat mija od rozpoczęcia prac około Kalwarii, a już stoi kilkadziesiąt kaplic, już wznosi się piękna świątynia na szczycie wzgórza. Jeszcze tylko kilka miesięcy pracy, a dzieło będzie gotowe i będzie można uroczystym aktem poświęcania oddać Kalwarię na służbę Bożą. Ks. Nerlich przysiada w cieniu drzew. Nieznośny ból w głowie i w całym ciele szepcze mu, iż on tego wielkiego dnia nie dożyje.

— Twoja wola, Panie Jezu — na ustach księdza gości ten sam co zwykle pogodny uśmiech, a szare oczy z dobrocią patrzą na uwijających się przy pracy ludzi. Tam murarze kończą zdobienie bramy wchodowej, gdzie indziej malarz złotą farbą zdobi sukienkę Świętej Panienki, zaś ruchliwe dziewczęta szorują kamienne posadzki kaplic i myją barwne witraże.

— Cieszy się niebo całe waszą pracą i błogosławi wam. — Proboszcz otwiera brewiarz; z za czarnej, skórkowe] okładki wysuwa się żółty papier dokumentu sprzed dwustu lat. Wsuwa go z powrotem. Kreśli znak krzyża św. i rozpoczyna prymę:

„Iam lucis orto sidere..."[34]

---

[34] Teraz światło wypełnia niebo.

Przez gęstwę drzew przedziera się promień słońca i patrzy prosto w oczy proboszcza. Powieka zsuwa się na źrenice, i pod nią płoną dwa światła zstępujące i wstępujące na górę Kalwarii. Tylko dwa, a potem jest ich już trzydzieści pięć, tyle, ile jest kaplic na Kalwarii, a potem jest ich już setki i tysiące, tyle, ile pątników w ciągu lat pielgrzymować będzie na górę Śląskiej Jerozolimy.

Jadwiga Bernhard

„Gość Niedzielny", nr 29/1946, s. 3 – 4.

JADWIGA BERNHARDT

Wędrówki Piekarskiej Panienki

Ulicami bogatego miasta krąży głucha, straszna pustka. Przechodzi przez duże, wymarłe place, na których stoją kamienne pomniki, zatrzymuje się u progu wspaniałych świątyń, w których organy i dzwony milczą jak zaklęte, zagląda w okna domostw, gdzie uwija się śmierć...

Zaraza nawiedziła ludną, bogatą Pragę.

U bram hradczyńskiego zamku krótkim, a rozgłośnym dźwiękiem odzywa się kołatka.

— Kto przybywa? wartownik z okienka baszty podejrzliwym okiem mierzy przybyłych.

— Mnichy z Polski, ze Śląska, do Jego Cesarskiej Mości. —

Głowa wartownika znikła z okienka, z baszty dochodzi tupot ciężko okutych nóg, a potem znów cisza na murach. Nie na długo, bo już po kilka pacierzach z chrzęstem i chrobotem otwierają się stare wierzeje; dwaj strudzeni pielgrzymi weszli do zamku.

Słucha cesarz Leopold I, słucha, a otucha wstępuje do jego serca.

— Jakże mogłem zapomnieć o tej przemożnej, cudami słynącej Pani? — pyta się raz poraz w myśli..

— Ktokolwiek zaś z zarażonych mieszkańców Tarnowskich Gór[35] — opowiada mnich — ślubował pąć do Piekarskiej Panienki, natychmiast

[35] Zaraza ta wybuchła *w* roku 1676 w Tarnowskich Górach.

uzyskiwał zdrowie. Tak ocalało miasto nasze od powietrza, tak też i wasza stolica ocaleje, skoro... Cesarz już nie słucha. Już wydaje rozkazy. Wnoszą pióra i inkaust, cesarski cancelarius czeka u okna, na podwórzu rwetes i krzyki, bo konie poją, kulbaczą. Cesarz Leopold uśmiecha się radośnie, z wiarą...

— Skoro Ona przybędzie, przeminie pustka, śmierć, zaraza... Ona, Przemożna, Piekarska Lekarka. — Jeszcze tego samego dnia ruszyły posły cesarskie z Pragi do krakowskiego biskupa Andrzeja Trzebnickiego z prośbą, by zezwolił na przeniesienie obrazu Piekarskiej Pani do Pragi na srogi czas moru[36].

- -

Prażanie z uliczek i rynku Starego Miasta znają brata Antoniego, co jest zakrystianem w kolegium św. Klemensa. Kochają go wszyscy. Wyczekują o każdej porze. Gdy się jego drobna, skulona postać zarysuje u wylotu ulicy, pustka uchodzi z ulic Starego Miasta, bo dobry brat, wieńcem dziecięcych główek otoczony radość sieje i nadzieję w chore serca mieszkańców. Brat Antoni ma ciało ułomne - uschnięty kark nie zezwala na odwracanie głowy — za to dusza jego promieniuje zdrowiem.

— Stanek weźmie ten chleb dla ojca — — rozkazuje brat — Żenka zaniesie babusi te zioła, a ty, Jaruszku. rozdasz jabłuszka i pójdziesz ze mną, kaplicę przystrajać; dziś przybędzie obraz święty, dziś... — wzruszeniem drży głos zakrystiana.

— Dziś przybędzie obraz święty! — wykrzykują dzieci. —

— Dziś? — pytają starsi niedowierzająco, a z oczu ich wyziera żywa nadzieja. Boć niemasz między nimi ani jednego, któryby nie słyszał o cudach Piekarskiej Pani, niemasz takiego, coby całej ufności nie złożył w Jej ręku. Ona uzdrowi chorych, pocieszy strapionych, Ona ocali ich miasto.

Jaruszek rozdaje jabłka. Ośmioletni chłopczyk jest ulubieńcem Starego Miasta. Każdy mu ojcem, bo prawdziwego ojca zżęła zaraza, każdy mu matką, bo matka już też nie podnosi się z łoża. Lecz Jaruszek u cudownej Pani wyprosi dla mamy zdrowie — a dla siebie — o tym wie tylko brat Antoni — taki sam habit, jaki nosi braciszek. .

— Jak wygląda obraz Piekarskiej Panienki? — dopytują się Prażanie.

---

[36] Miało to miejsce w 1680 roku; wtedy cudowny obraz z Piekar zawieziono do Pragi.

— Święty Obraz — mówi zakrystian — ma być bardzo stary — coś trzysta lat! — i bardzo piękny. Czytałem o tym dokładnie. Jest namalowany na tablicy lipowej, na dwa łokcie długiej. Święta Pani swoimi miłosiernymi oczyma patrzy na wszystkich i do każdego uśmiecha się łagodnie, jak matka. Na lewej ręce piastuje maleńkiego Jezusa w długiej sukience; Dziecię ma książkę w ręce i zdaje się nie na ludzi patrzeć, ale w górę, ku Ojcu swojemu w niebiesiech. W prawej ręce trzyma Piekarska Panienka jabłko...

— Jabłko? — Jaruszka oczy stają się okrągłe ze zdziwienia — jabłko? tylko jedno? — spogląda do dużego kosza. Na dnie pozostały już tylko dwa piękne owoce... — Matka Boża ma tylko jedno jabłko — myśli z uporem — i naraz radosny uśmiech wykwita na twarzy chłopaka — będzie miała więcej! — i w kieszonce dziecka znikają ostatnie owoce.

Późnym wieczorem w kolegiackiej kaplicy św. Klemensa płonie mnóstwo świec. Matka Boża Piekarska spogląda na swe nowe dzieci, co wznoszą ku niej załzawione, proszące twarze. Tylko ta jedna twarz, twarz brata Antoniego, nie jest wpatrzona w święty Obraz... bo obraz umieszczono wysoko, a dobry zakrystianin ma kark uschnięty... patrzy nań Boża Matka, na ten chory kark, patrzy tak przenikliwie...

— O dobra, święta Matko! — w piersi Antoniego wyrywa się radosny, wzruszeniem nabrzmiały okrzyk. Jego twarz jest zwrócona w górę, płyną po niej łzy, jego głowa w tył odchylona, bo — kark jest zdrowy! — Jedno głośne łkanie zerwało się w kaplicy, radosne, dziękczynne.

— Można Lekarka nam przybyła! Święta Opiekunka! Jaruszek stoi przy bracie Antonim; dziecięce serduszko wzbiera radością.

— Brat Antoni uzdrowiony! I moja mama będzie zdrowa!

Kolegium św. Klemensa znajdowało się w Starym Mieście. Przed obrazem Matki Boskiej, od pierwszego brzasku, aż do późnego południa, odprawiały się msze św. Tam też najpierw skończyła się zaraza. Wtedy na cesarza prośbę cudowny obraz przeniesiono do jego nadwornej kaplicy w Nowym Mieście, gdzie plaga moru jeszcze nie sfolgowała. Skoro to się stało, zaraza i tej części miasta zniknęła. Zdawało się, że cała stolica już ocalona, kiedy nagle gruchnęła wieść, że do Starego Miasta ponownie wróciło powietrze.

Pobożny cesarz woła do siebie biskupów. Trzeba radzić, jak wygnać tego straszliwego wroga z miasta.

— Urządzimy uroczyste nabożeństwo — radzi biskup de Loaga Villa, sufragan praski — Szanowny magistrat, rada miejska, wszystkie nasze cechy i bractwa i wszystkie stany obywatelskie przystąpią do Stołu Pańskiego. — Tak, tak — przytakuje arcybiskup Jan Fryderyk z uznaniem — ale ku temu odprawimy publiczną procesję błagalną z obrazem Matki Boskiej Piekarskiej przez całe miasto. Niechaj Jej miłościwe oczy spoczną na wszystkiej nędzy naszej stolicy i niech ją leczą.

Nazajutrz na wszystkich kościołach Pragi przybito list pasterski arcybiskupa Jana Fryderyka, oznajmujący Prażanom wielką uroczystość dla odwrócenia gniewu Bożego za przyczyną Piekarskiej Pani.

Niezadługo potem, w piękny, słoneczny dzień, ulicami stolicy, po których dotąd złowroga pustka krążyła, rusza nie kończący się pochód ludzki, rozmodlony w pokorze, w ufności. Na wałach miasta grzmią kotły i trąby; dzwony biją w kościele św. Ignacego Societatis Jesu na wołowym rynku, skąd wyrusza procesja, dzwonią u Najświętszej Panny Śnieżnej, gdzie ojcowie Franciszkanie na pochód czekają, u św. Pawła i Wacława, nawet w starym romańskim kościółku św. Jerzego. Lecz najpotężniej biją dzwony w sławnej katedrze św. Wita, gdzie ma być odprawiona uroczysta msza św. z wspólną wszystkich komunią świętą.

Obraz Święty niesie dziesięciu dostojników kościoła: arcybiskup, biskupi, prałaci — i drobny, uśmiechnięty brat Antoni. Tuż za obrazem postępuje cesarz z całym dworem.

Procesja kieruje się już na rynek starej Pragi, gdy nagle dostojnicy, niosący obraz, przystają. Nieduży chłopczyk wypada z tłumu, kroczącego brzegiem drogi, wspina się do cudownego wizerunku, i kładzie coś między złote materie, przyozdabiające ramy obrazu.

— Jaruszek — szepta brat Antoni — Jaruszek, co ty tu chcesz? — Chłopaka już nie było. Zdziwieni dostojnicy, sam cesarz, pochylają się ku ramom obrazu, gdzie w złotogłowiu leżą dwa przywiędłe jabłuszka.

Jaruszek biegnie szybko; teraz napewno zastanie mamę zdrową, bo już wszyscy w ich dzielnicy wyrwali się z rąk śmierci, a tylko ona choruje. Trzeszczą drewniane schody pod bosymi stopkami; trzeszczą drzwi otwierane gwałtownie — w małej izdebce na niskiej pryczy, leży kobieta. Cicho, spokojnie...

Mamo! Mamo! — słabe ręce chłopczyka targają matczynym ramieniem, zaniepokojone oczy zaglądają pod zamknięte powieki. — Mama umarła! Boża Matka mnie nie wysłuchała!

Mrok panuje w małej izdebce na Starym Rynku. Brat Antoni z trudem dostrzega chłopca skulonego u łóżka zmarłej. Chłopak śpi.

— Jaruszek — brat pochyla się i z czułością bierze malca na ramiona — Jaruszek, to ja, Antoni. — Chłopak patrzy smutnym, zapłakanym okiem dziecka.

— Boża Matka mnie nie wysłuchała — skarży się cicho.

— Wysłuchała, Jaruszku, wysłuchała! — mówi braciszek radośnie.

— Jako? Toć matusia pomarli...

— Matusia pomarli, ale krzywdy na t amtym świecie, pod opieką Świętej Panienki mieć nie będą. A tobie Matuchna Boża piękną przyszłość gotuje.

— Co powiadacie?

— Przysłał mnie po ciebie sam arcybiskup, wiesz, spodobały mu się twoje jabłuszka — pytał o ciebie, Jaruszku! Jaruszku, ty dostaniesz habit, Jaruszku, ty będziesz kiedyś więcej niż twój brat Antoni, będziesz kapłanem.

Oczy chłopca rozwarły się szeroko. Jakieś światło w nich błyszczy...

Matka Boża Piekarska wysłuchała mnie!

„Gość Niedzielny”, nr 32/1946, s. 3.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Bronisława, Jacek i Kinga

— Jacku! Jacku! — nieśmiałe a radosne wołanie biegnie za białą postacią zakonnika, otuloną w ciemną pelerynę płaszcza. — Jacku! nie poznałeś mnie? — Młoda, wysmukła dziewczyna podnosi wzruszoną twarz ku zakonnikowi i zachwyconym okiem dotyka jego śnieżnego, nigdzie dotąd niespotykanego habitu.

— Bronia! Tyżeś to? Nie poznałem cię, siostrzyczko! — Dominikanin wita z radosnym zdziwieniem Bronisławę, którą pożegnał był przed kilkunastu miesiącami. — Wyrosłaś — wnet sięgniesz mojego ramienia — spoważniałaś, przecie dopiero co taką, o, dziewuszką byłaś!

— Jacku, tak czekałam Twego przybycia! — Tęsknotą tchną słowa dziewczęcia, tęsknota wyziera z oczu spoważniałych — muszę ci wszystko opowiedzieć! Ty mnie, Jacku, radą wspomożesz...

Dobrze, Broniu, nie martw się — Jacek gładzi dobrotliwie drżące ręce dziewczyny — powiedz, co porabiasz w Krakowie? gdzie Twoi czcigodni rodzice?

— Są tu w mieście wraz ze mną... na moją prośbę przybyli do Krakowa... Jacku, niezadługo i ja przywdzieję habit...

— Bronia! Siostrzyczko[37] kochana! — wesele zrywa się w piersi zakonnika, że Bóg woła to piękne dziewczęce serce na swoją służbę. — A pani matka? a ojciec?

— Nie są mi przeciwni... jeno umiłowana pani matka smutna...

— Pan Bóg ją pocieszy. Patrz, Broniu, myślałem o upominku dla ciebie z Miasta Świętego — przez palce Jacka przesuwa się sznur dużych, z jasno-brązowego drzewa rzeźbionych perełek — to będzie prawdziwą ozdobą Twojej zakonnej szaty. Nie wierzysz. Broniu? — Jacek patrzy z figlarnym uśmiechem na dziewczynę, co stara się ukryć rozczarowanie na widok sznura drewnianych paciorków. — Myślisz, że to naszyjnik? że cię mam za płochą białogłowę?

— Nie wiem, co to za sznur, Jacku.

— Widzisz, Broniu, to jest różaniec, to jest najpiękniejsza modlitwa do Bożej Matki! Ona sama ją wymyśliła! Nasz ojciec Dominik z jej rąk wziął święty różaniec! — Rozogniła się twarz zakonnika. Zapał jaśnieje w jego oczach i udziela się oczom Bronisławy. — Nauczę cię tej modlitwy, Broniu, a ty nauczysz innych. Nauczymy jej wszystkich, biednych i bogatych, wszystkich ludzi w Polsce!

Przed mury krakowskiego grodu wyległy tłumy ludu. Barwne, ruchliwe plamy migocą wśród kurzu drogi, pośród miedz, na pobliskich polach, a z listowia niejednej lipy i topoli wyzierają krasne pawie pióra chłopięcych

[37] Błog. Bronisława była siostrą stryjeczną św. Jacka.

czapek i barwne kwiaty wieńczące głowy dziewcząt. Szum idzie w niebo, wsparty na skrzydłach rozkołysanych dźwięków dzwonów, spotęgowany muzyką rozlicznych instrumentów. Kraków czeka swej pani, swej królowej.

Z węgierskiej ziemi jedzie młodziutka królewna, Kinga, a obok małżonek jej przyszły, Bolesław sandomierski. Jedzie smutna; z oczu piętnastoletniej królowej wyziera lek — nowy kraj, obcy, nowi ludzie, obca mowa... lecz wszędy jest jeden i ten sam Bóg — mała rączka zaciska się mocno wkoło srebrnego wizerunku krzyża na łańcuszku. Zalęknione oczy z większą ufnością zatapiają się we wzroku księcia Bolesława i usta uśmiechać się poczynają ku tym szumiącym, krasnym tłumom, ku tej wieżami poprzecinanej i w słońcu płonącej złotem blach, linii na horyzoncie...

— Patrz, pani, tam nasza Wisła płynie, a nad brzegiem nasz zamek się wznosi — Bolesław dumnym okiem spogląda na swój gród.

— A tam to co za zamek? — Kingi wzrok biegnie ku wzgórzom zielonym, na których tle rysują się mury wysokie, w baszty zbrojne.

— Nie, pani, to nie zamek, to zwierzyniecki klasztor — śpieszy z odpowiedzią krakowski biskup Prandota — klasztor norbertanek, z ksienią Bronisławą z Odrowążów. — Zasępiła się na nowo młoda królowa.

— Jakże tam cicho być musi, spokojnie, za tymi grubymi murami — myśli tęsknie — tam, byłoby mi dobrze, nie na zamku — czy wolno mi czasem, wielebny panie, w tym zwierzynieckim pobyć klasztorze? — zwraca się nagle do biskupa.

— Tak będzie, jak sobie ty, pani, życzyć będziesz. — Głowa biskupa pochyla się z szacunkiem przed młodą panią, o której w kraju węgierskim, jako o świętej wspominają. — Ucieszy się ksieni Bronisława z tak wielce szanownej i miłej towarzyszki.

— Zdaje się, że już jadą — siostra Jarosława, stojąca wraz z siostrą Małgorzatą na klasztornej baszcie, patrzy z natężeniem, oczy gwoli słońca przysłoniwszy na gościniec wiodący do miasta.

— Nie może być! To za wczesna pora. Ksieni jeszcze nie powróciła z kaplicy.

— Nie powróciła? A to siostra Małgorzatka dobrze się pospała — żartuje Jarosława — przecie nasza ksieni już od godziny modli się na

swoim Sikorniku[38]. A przed odejściem kazała, by akurat siostra Małgorzata przybiegła po nią, skoro księżna Kinga przybędzie! Cóż, siostrzyczko? — młoda mniszka z figlarnym uśmiechem spogląda na zawstydzoną, starszą od siebie towarzyszkę.

— Fraszki siostrze w głowie, a tam gościńcem na prawdę ktoś jedzie — odcina się siostra Małgorzata.

— O święty Gerwazy! To nasi goście! Najwyższy czas, by wołać ksienię Bronisławę! — W cichym zawsze klasztorze zrobił się ruch. Siostry śpieszą się z ostatnimi przygotowaniami na przyjęcie królowej, nawołują się głośno, cieszą się.

— — — Cieszy się i młodziutka królowa, skoro widzi wkoło siebie białe mniszki, myśli, że należy do ich grona, że ma na głowie nie koronę, lecz zakonny welon.

— Słyszałam, jak biskup nasz powiadał do ksieni, aby godziwy podarunek dla księżnej pani obmyśliła — szepce tajemniczo siostra Małgorzata.

— Widziałam już ten podarunek — orzeka siostra Jarosława z triumfem. — Mniszki spoglądają zgorszone, choć z niemałą ciekawością, na swą wścibską towarzyszkę. Każda chciałaby wiedzieć, co to za podarunek, lecz żadna nie spyta, żadna nie chce zdradzić się z swoją ciekawością. — — —

Zaś na stole, w celi ksieni Bronisławy leży na białej chusteczce duży różaniec. Jasne perły zdrowasiek wiją się wkoło ciemniejszych, przedziwnie rzeźbionych paciorków ojczenaszów.

— To podarunek naszego klasztoru dla ciebie, jasna pani, to różaniec, to modlitwa najcudniejsza, modlitwa samej Bożej Matki... księżna Kinga słucha wzruszona poważnego głosu ksieni; jej palce z lekka dotykają różańcowych paciorków. — Gdy byłam w twoim wieku, pani, zapoznałam się z tą modlitwą i nie minął mi ani jeden dzień w ciągu lat dziesiątka, przez który nie przewinął by się ten sznur pereł, znacząc jasny ślad na szarym

---

[38] „Bronisława, solitudinis amore flagrans, montem Sikornik, prope asceterium positum odibat" (wyjątek z brewiarza rzymskiego) — Bronisława, umiłowaniem samotności pałając, często chodziła na wzgórze Sikornik, położone niedaleko klasztoru (w pobliżu Kopca Kościuszki).

trudzie dnia. I ty, królowo, weź tę modlitwę w swoje życie, naucz się jej, innych naucz, wszystkim twoim poddanym nieś słodycz i pociechę świętego różańca.

Wielki Tydzień roku 1241. Hordy tatarskie ciągną od wschodu szerząc mord i pożogę. Zalały już Ruś, teraz dążą na Kraków sprzątnąwszy po drodze Lublin i Sandomierz. Gromadzi się szlachta krakowska pod wodzą wojów doświadczonych, Włodzimierza i Pakosława, książę Bolesław werbuje żołnierza zaciężnego za klejnoty swej żony Kingi. W słoneczną Białą Niedzielę toczy się krwawa bitwa na błoniach pod Chmielnikiem. Hordy Batu-Chana dziesiątkują kwiat rycerstwa polskiego, łupią Polski sioła i grody.

Jedną broń, oręż błyszczący, wytrącono z polskiej ręki. Lecz drugiej broni, oręża stokroć silniejszego, nie zdołano wytrącić z wiernej, polskiej ręki.

Dwór księcia Bolesława, jego ocalałe rycerstwo, idą na tułaczkę. Przy gościńcu na Morawy, rozbito namioty. Pod zgrzebnym płótnem, zdobnym w stare herby możnych rodów, klęczą biskupi, rycerze, szlachcianki. Na przodzie klęczy księżna Kinga... wkoło wszystkich rąk wiją się perły różańca świętego, broni niezwyciężonej...

Pod stropem wieśniaczej chaty, na wzgórzu Sikorniku, klęczą szarzy, biedni ludzie Krakowa. Dzieci kwilą w kątach izby. Na przodzie bieleje habit ksieni Bronisławy. Między grubymi, spracowanymi palcami wieśniaków przesuwają się paciorki różańca świętego, broni niezwyciężonej...

„Gość Niedzielny”, nr 35/1946, s. 3.

* * *

JADWIGA BERNHARDT

Legenda o Matce Boskiej Starowiejskiej

W górzystej okolicy Kłodzka gromadzą się zbrojne bandy husytów. Czekają wiosny. Czekają jasnych, ciepłych dni, aby ruszyć na Śląsk. W ruinie legły już bogate miasta Moraw i Austrii, łuny pożarów, wznieconych żagwią husycką, płoną na niebie Saksonii i Frankonii, a przez Nysę, Koźle,

Opawę, aż pod mury Raciborza pędzi strasznoblada wieść, że husyci są tuż, tuż...

Raciborski książę Mikołaj ma dopiero dwadzieścia lat, lecz ozdobą jego imienia jest bohaterstwo, wiara silna i odwaga niewzruszona. Pod jego sztandarem prężą się piersi raciborskich synów, jasne, czujne oczy spod hełmów żelaznych wypatrują wroga...

— — — W rynku, w kamienicy dużej i szarej, mimo nocnej godziny, plonie światło. Naokoło stołu, co stoi w pośrodku izby, siedzi troje ludzi: dziad stuletni, niewiasta młoda i młody mężczyzna. Za plecami młodego, na ławie pod ścianą, leży zbroja. Błyszczą srebrne naramienniki, błyszczy klinga miecza, a na jej rękojeści złoci się ryngraf Częstochowskiej Pani.

Tym samym mieczem, którym siekłem Tatarów — wzrok starego Mateusza spoczywa z dumą i miłością na orężu — Ty, Staszku, będziesz trzebił husytów. A za dwóch, pamiętaj, za dwóch, bo i za mnie bij się z tymi rozbójnikami! — ręka starca uderza w stół, a pod siwym wąsem rozpłomienia się twarz zwiędła.

Poszedłbym z tobą, jak Bóg na niebie! gdyby w rękach była dawna siła, gdyby się nogi nie trzęsły, poszedłbym za naszym księciem Mikołajem na husytów jak wtedy, w 1382 roku za księciem Władysławem Opolskim na Tatarów! Wszak to jeden wróg, jedno diabelskie nasienie... — trzęsie się ręka Mateusza, wzniesiona nad głową, jak ręka rzucającego klątwę proroka.

— Wtedy to, ojcze, w tej wojnie, wiodła was Częstochowska Matka Boża? — pyta Stanisław.

Tak. wtedy; zdobyliśmy zamek Bełzki na Rusi, gdzie się ów cudowny obraz przechowywał i gdzie strzała z łuku sprośnego Tatarzyna raniła Matkę Bożą w szyję. Blizna, taka, o — palec starego wojaka kreśli na stole mały znak — do dziś pozostała.

— Cudowna, święta Panienka... — szepta młoda niewiasta, żona Stanisława patrząc z zachwytem na opowiadającego starca.

A tak, Agnieszko, jest ci Ona cudowna, przecudowna — obaczysz sama. Pojedziesz ze Staszkiem do Częstochowy, gdzie obraz został z woli samego Pana Boga, bo przecież książę Władysław chciał go mieć w swoim obronnym zamku w Opolu — tak, ale wóz, baczę dobrze, jak to było, ten wóz, na którym obraz spoczywał, nie chciał ruszyć spod Jasnej Góry, choć konie ciągnęły, duże, mocne bachmaty... — no, spać, dzieci — Mateusz otrząsa się z roju wspomnień — Staszku, o świcie trzeba ci wyruszać...

— Wiem, ojcze. — Stanisław zbliża się do żony, kładzie ręce na jej ramionach — chodź, Neszko, nie smuć się, nie martw..

— Staszku! — Agnieszka podnosi się gwałtownie — przyrzeknij mi, że skoro z wojny powrócisz, pojedziemy bez odwłoki do Częstochowy!

— Tak, Neszko, pojedziemy, przyrzekam ci!

Bystre gwiazdy kwietniowego nieba świecą nad Raciborzem. W rynku, w kamienicy dużej i szarej, w izdebce Agnieszki, świecą się dwie migające gwiazdy dwu grubych świec. Świece palą się przed małym wizerunkiem Bożej Matki, Matki Nieustającej Pomocy.

Agnieszka klęczy, modli się, placze... gorące słowa modlitwy biją w mały wizerunek Bożej Matki, a łzy gorące spływają po perłach różańca na kolorowy dywanik i błyszczą na jego czerwonopluszowych kwiatach jak rosa..

— Matko Nieustającej Pomocy, Ty cudowna Pani Jasnogórska, zachowaj Stanisława od śmierci! Zachowaj go od wszego złego!

— — — Te same bystre gwiazdy kwietniowe, co świecą nad rynkiem, świecą też nad długim szlakiem drogi, co lasem głębokim wiedzie do Opawy. Wszędy jest cisza, lecz czasem sucha gałązka załamie się z trzaskiem pod mocną, męską stopą, czasem ozwie się głos zduszony — to żołnierze księcia Mikołaja, wysłani na zwiady, bo wróg zbliża się od Opawy...

Stanisław odłączył się od swoich towarzyszy. Idzie zwolna polną dróżką, myśli o Neszce, o pielgrzymce do Częstochowy, nie widzi pięciu ciemnych postaci, ukrytych za konarami drzew...

Jezu! cichy okrzyk wyrywa się z ust Stanisława. Pięciu zbrojnych husytów otacza go ze wszech stron. powala na ziemie, ubezwładnia. Jeden z nich, wysoki, smukły, z białym pękiem piór u hełmu, bierze miecz Stanisława, stary, zwycięski miecz, i przygląda się bacznie emaliowej Matce Bożej.

— Ty, Standa zwraca się do krępego, niskiego żołdaka wydobądź z jeńca, co się da: potem go puść i uchodź z żołnierzami — wysoki rycerz z piórami odwraca się i znika w lesie, wraz z orężem Stanisława, a krępy żołdak, Standa, śmieje się dziko, strasznie.

— Już ja cię puszczę, ptaszku! Hej, chłopcy, uważajcie, pobawimy się! Stanisław zaciska skrępowane ręce i usta zaciska, a całym rozwartym sercem woła do Boga o moc, o siłę!

— — — A przed małym wizerunkiem Bożej Matki prosi Agnieszka różańcowymi tajemnicami za mężem, aby go Częstochowska uchroniła od wszego złego... — —

— Ty katolik? — pyta Standa świszczącym głosem.

— Katolik! — mocno brzmi odpowiedź Stanisława.

— Wyprzyj się swej wiary, a puszczę cię wolno!

— Nigdy! Raczej śmierć!

— Więc będziesz ją miał! — złowróżbny śmiech, jak śmiech złego ducha wydobywa się z krtani husyty, przez żółte, krzywe zęby — no, chłopcy, pokażemy temu katolickiemu psu, co znaczy zadzierać z nami. — Ciężkie razy żołdackich pięści i żołdackiego, żelazem podkutego buta, spadają na twarz, głowę, na całe ciało Stanisława... grube przekleństwa ranią boleśnie jego duszę... lecz serce się modli — do Częstochowskiej! a modlitwa, męczeńską krwią przesiąknięta, płynie pod tron Cudownej Pani tym samym szlakiem, którym biegną łzy i różańcowe perły Agnieszki... — —

— Ma dość — Standa sapie ciężko — już nie stanie na nogi.

— Ale mogą go jego ludzie znaleźć, może — na drzewko? — jeden z żołnierzy, wymownym ruchem podrzuca rzemienną pętlicę w górę — o, na to, jest dość wysokie.

— Dobra, wieszajcie. — Za chwilę opustoszała leśna polana... na wschodzie nieba poczyna chodzić świt siną, lekką smugą... a na tle tej smugi zwisa ciężko z ramienia dębu postać Stanisława...

Wtem rozchylają się krze gęstwiny, białe pióra hełmu majaczą na tle ciemnego listowia,... wysoki, smukły żołnierz rozgląda się dokoła.

— Trawa potratowana, z rdzawymi plamami krwi, a ten, na drzewie... — O wy zbóje! — Twarz rycerza wykrzywia bolesny grymas. — Nie wrócę do nich więcej! Oni nie walczą za wiarę, za wolność, to nie rycerze, to zbójcy! — Ostrze starego Mateuszowego miecza przecina pętlę na szyi Stanisława... z blaszanki husyckiego rycerza leje się wino w zmartwiałe gardło...

— Ktoś ty? — słaby szept dobywa się z ust Stanisława.

— Obcy — w husyckim wojsku, ale nie husyta! — białopióry hełm podnosi się wysoko w górę, pręży się pierś rycerza — dziś poznałem!

poznałem! — radosny okrzyk niesie się ponad wierzchołki drzew i czepia się sinych smug nadchodzącego świtu — wracaj do swoich — rycerz pochyla się nad Stanisławem — w mojej sakwie znajdziesz pokarm, maście i płótna — lecz daruj mi twój miecz — oczy rycerza spoczywają z dziwnym wyrazem czułości na emaliowym obliczu Częstochowskiej — daruj mi go... Ona do mnie przemówiła. —

— Bierz. Niech ci Ona błogosławi...

W raciborskim rynku, przed dużą kamienicą Stanisława, gromadzą się ludzie. Październikowy deszcz przenika ich płaszcze, ziębi, ostry wiatr dmucha wąską, północną uliczką, a oni stoją, czekają, skoro otworzą się drzwi Stanisławowej kamienicy.

— Wrócili z rana, — Stanisław bardzo blady, ale zdrowiuteńki jak ryba — stara kumoszka opowiada cichutko, tajemniczo — a przecie go jeszcze choroba nękała, gdy wychodzili...

— I co, przywieźli obraz? Taki samiuteńki? — niecierpliwi się któraś.

— Przywieźli, jużci; czemu nie miałby być taki samiuteńki, kiedy im go sama Boża Matka darowała?

— Co też nie opowiadacie! Jezusieczku, a jakże to było?

— Mówiła Agnieszka, że prosili pewnego malarza, aby im taką samą Częstochowską, jak ta na cudownym obrazie namalował. Malarz zabrał się do roboty. Malował jeden i drugi dzień. A drugiego dnia w nocy, coś Stanisławowi spać nie dało. Wyjrzy oknem — mieszkał w tej samej kamienicy co i malarz — i widzi struchlały, jako okna w pracowni malarskiej goreją. Pobiegł więc szybko po malarza, razem z Agnieszką, co się też zbudziła, a potem wszyscy troje weszli do pracowni. I tu ujrzeli dziw: obraz, co z wieczora był tylko do pół namalowany, stał całkiem wykończony, a z twarzy Bożej Matki i Dzieciątka biły takie promienie, iż zdawać się mogło, że gore. Potem — kończy staruszka — przyszli ojcowie Paulini z klasztoru, zanieśli obraz do kaplicy, poświęcili go[39], a t eraz, ludzie kochani, my go t u mamy — rozełkała się staruszka; słuchające kobiety wycierają nosy w mokre chusty, mężczyźni chrząkają — jeno dzieci patrzą dużymi, uśmiechniętymi oczyma: sama Matka Boża z nieba przyszła i dla nich obraz namalowała!

---

[39] Tak opowiada stara kronika i legenda.

Przy raciborskiej drodze, co długim leśnym szlakiem wiedzie do Opawy, przy owym dębie, gdzie Pani Częstochowska rycerzowi w białopiórym hełmie duszę, a Stanisławowi życie uratowała, wznosi się Jasna Góra raciborskiej ziemi[40]. W drewnianym kościółku na ołtarzu tronuje obraz Częstochowskiej, jej ręką malowany... patrzy spośród świec i kwiatów na mnogie serca ludzkie...

A tuż obok, po prawej stronie cudownego wizerunku, wisi miecz szeroki, z e maliowym ryngrafem Jasnogórskiej Pani. Miecz zwycięski Mateusza — i rycerza w białopiórym hełmie, co opuścił hordy husytów i w szeregach księcia raciborskiego Mikołaja. przelewał krew, na okup swych win.

Lśni złoto obrazu; błyska stal miecza: płoną świece u ołtarza. Srebrzystym głosem woła dzwonek u drzwi zakrystii, że kapłan wychodzi do mszy świętej. Idzie spokojnie, radośnie, jakaś święta moc płynie z tej wysokiej, smukłej postaci, święta duma zdobi to czoło, nad którym nie błyszczy już rycerski hełm z białym pękiem piór... ręka rycerza zawiesiła miecz zwycięski u ołtarza, a wzięła święty kielich bezkrwawej ofiary, na wieczną wdzięczność Częstochowskiej Pani.

„Gość Niedzielny”, nr 39/1946, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Intrygi brata Brunona

Trudno jest słońca promieniom dostać się do potężnego grodziska, co się ukryło za wałem wysokim i tylko wąskim gotykiem głęboko w murze osadzonych okien spogląda na świat. Trudno jest jasnemu światłu dnia

---

40 W Raciborzu (Stara Wieś) w roku 1432 wybudowano ten kościół, w którym kopia cudownego obrazo Częstochowskiej zasłynęła licznymi cudami. Niemcy nazywali ten kościół: „die Matka Boża-Kirche".

rozgościć się w wysokich i wielkich komnatach, za których obelkowaniem ścian i sufitu czai się gruby mrok.

Mała księżniczka boi się tych mroków.

— Tomiro dobra, wyjdziemy przed gród, na słońce? — prosi.

— Już zaszło słońce, księżniczko, już na spoczynek kłaść się trzeba — stara niania przestaje furkotać kołowrotem i patrzy w ogień buzujący na kominie. — Wtedy księżniczka lekkim krokiem biegnie ku ciężkim drzwiom wiodącym do następnej komnaty. W komnacie tej stoi duży stół, a przed nim krzesło z rzeźbionymi poręczani. Gdy książę zajeżdża do żegańskiego dworzyszcza, pachołek zapala świecznik trójramienny i stawia go na dużym stole, pośród ksiąg grubych i szeleszczących pergaminów. Bo książę Przemysław, pan ziemi gnieźnieńskiej, poznańskiej i śląskiej, obeznany w łacinie, rozczytuje się w starych rękopisach.

— Już słońce zaszło i na spoczynek iść trzeba — szczebiocze księżniczka i jasną główkę kładzie na kolanach księcia. — A ciężka, w boju wypróbowana ręka władyki z niezmierną czułością gładzi miękkie loczki nad czołem dziecka.

— Idź spać, mała. I niech Bóg czuwa nad tobą. — Księżniczka cicho opuszcza komnatę: tylko płomienie świec pochyliły się w przewiewie, a szare zwoje pergaminu zaszeleściły, jak zwiędły liść jesieni.

Stara niania czeka, starą głowę wsparłszy o ramę kołowrotka.

— Chcę jeszcze pięknej, dawnej pieśni posłuchać, Tomiro — mała księżniczka siada u stóp niani. Słucha. Słucha klechdy sprzed stu, dwustu, a może i czterystu lat.

— Gdzie nasze grodzisko stoi, stał kiedyś ołtarz pogański. I przybyła tu daleka krewna czeskiej księżnej Libuszy. Zagonna było jej na imię — i kazała zamek zbudować na miejscu pogańskiego ołtarza. Potem sprowadziła zakonników, którzy o wszystkim pouczali lud wieśniaczy[41].

— Zakonników? — księżniczka widziała już w Gnieźnie mnichów w białych habitach. — Gdzie są ci zakonnicy?

— Pewno w inne poszli strony, księżniczko. To było tak dawno... nauczyli lud prawdziwej wiary, nauczyli uprawy roli i poszli... a osiedle z grodem nazwano po księżnej Zagonne Zagonem, a później Żeganiem...

---

[41] Tak głosi legenda; zaś kroniki mówią o założeniu Żegania przez słowiańskie plemię Wenedów, około roku 1000, względnie 1149.

— Istne klechdy prawisz, Tomiro — Przemysław stoi w uchylonych drzwiach komnaty — nie było tu żadnej księżnej Zagonny; nijak, tylko Czesi lubo też Niemcy wymyślili tę bajkę — książę przemawia trochę zniecierpliwionym głosem. Tyle razy przyszło mu już prócz miecza, słowem i żółtym pergaminem bronić polskości swoich ziem.

— Nie trzeba nam żadnej Zagonny, bo nazwa grodziska wywodzi się od zagonu, który w krwawym trudzie uprawiał chłop przy pomocy zakonników.

— Sprowadźcie znowu zakonników, panie ojcze — księżniczka pieszczotliwie tuli się do księcia — będą nam pięknie o Bogu prawili, pójdą do chaty Bogusza i uleczą jego chore dzieci, potem naprawią zepsute radła — sprowadźcie takich mnichów, jakich w Gnieźnie oglądałam...

Książę wyszedł do swojej komnaty. Usiadł przy dużym stole.

— Niedaleko stąd — myśli, głowę wsparłszy na rękach, nad tą samą rzeką Bobrawą, w Naumburgu, stoi klasztor augustianów. Są to polscy zakonnicy, choć Konrad mówi, że już tam niejednego niemieckiego zoczył mnicha... Niemców za nic nie sprowadzę do Żegania! Nie zgodzą się z moim ludem! A jeno w zgodzie można ku chwale Boga i Ojczyzny pracować!

Do późnej nocy płonęły świece w książęcej komnacie. Nad ranem kazał Przemysław dwóch wiernych pachołków wołać.

— Ty pojedziesz z listami do książęcego grodu mego brata Konrada, niech przybywa do Żegania na czas mojej nieobecności. A ty — zamyślony wzrok księcia przenosi się na drugiego woja — oddasz te listy wielebnemu ojcu opatowi w Naumburgu; miałżebyś otrzymać odpowiedź, zatrzymasz ją aż do mojego powrotu.

Naumburskie kroniki mówią szeroko o świetnych początkach augustiańskiego opactwa z roku 1029. Wtedy bosi zakonnicy w czarnych habitach, przepasani pasem rzemiennym, nie znali nędzy. Teraz patrzą jej prosto w oczy; teraz po tylu dziesiątkach lat, czują, że w zubożałym klasztorze skazani są na wymarcie. Dlatego gotują się na opuszczenie Naumburgu; jedni chcą na wschód, a drudzy, zwiedzeni pochlebstwami niemieckiego mnicha Brunona, prą na zachód. Zdawało się, że ta przykra niezgoda braciszków smutno się zakończy, aż tu naraz brat furtian mówi, że za osobliwie łaskawym zrządzeniem Bożym — sprawy inaczej się ułożyły.

Od księcia Przemysława z Żegania doszły listy do przewielebnego ojca opata — i już dwóch zakonników udało się w drogę do żegańskiego grodziska. Niech no powrócą i wieści pomyślne przyniosą, a skończy się biedowanie mnichów.

Brat Brunon przechadza się markotny i zły po wąskich krużgankach klasztoru. Nie w smak mu to, na co się zanosi.

— Niedaleki byłem wygranej — jątrzy się — coraz więcej braci chciało iść ze mną na zachód, nad Ren i gdyby nie te nieszczęsne posły książęce... a może jeszcze nie wszystko stracone? może między księciem a opatem nie dojdzie do porozumienia? — Doszedł do furty; otworzył ciężkie wierzeje i patrzy na drogę, co biegnie równolegle z wodami Bobrawy.

— Ino co wyglądałem — mruczy brał furtian, który nie cierpi niemieckiego mnicha — muszą wrócić na odwieczerz. A skoro jeno wrócą, każe ojciec wielebny ostatnią beczkę piwa wytoczyć — dodaje, z śmiechem spoglądając na mroczną twarz Brunona.

— Niewieda, z czym przyjdą — odcina mnich krótko.

Powrócili przed nocą. Pomęczeni, ponurzy. Skierowali się do opata, lecz w całym klasztorze było zaraz wiadome, że smutne wieści niosą. Pierwszy zwiedział się o nich Bruno.

— Książę zadrwił z was! polskiemu księciu nie w głowie wasze dobro! czy przyjął naszych braci? ani ich dopuścił przed swoje oblicze! — zakonnicy w ponurym milczeniu słuchają słów tryumfującego Brunona. Jeszcze mu nie wierzą. Jeszcze opat nie wyrzekł ostatniego słowa. Wtedy butny mnich waży się na ostatni krok.

— Nie chcecie mi wierzyć woła — otóż ja was przekonam! Jutro, skoro dzień wstanie, udam się w stronę Przemysławowego kasztelu. Ażeby zaś nie stało się ze mną podobnie, jak z naszymi zakonnikami, zrzucę mniszą szatę, i w ten sposób uzyskawszy dostęp do księcia, będę go prosił o pisemne zatwierdzenie tego, czemu wy wierzyć nie chcecie! Że książę rozmyślił się! że nie potrzebuje was wcale! — głuchym echem odbijają się gwałtowne słowa mnicha w naumburskim klasztorze...

- -

Mnich Bruno od niedawna jest zakonnikiem. Jeszcze przed rokiem brał udział w turnieju rycerskim w Frankfurcie. Tam też widział wiele polskich książąt, między nimi dwóch braci, panów na Żeganiu,

Przemysława i Konrada. Przemysław słynął z pobożności; był to człek rycerski, pan prawdziwie dobry i szlachetny. Konrada cechowała szlachetność. Był jako i brat chrześcijaninem, lecz umiał nienawidzieć. Nienawidził zaś Niemców, wszystkich bez wyjątku. Rozumowanie mnicha jest proste: zakonnicy naumburscy, skoro do Żegania przyszli, nie zastali księcia Przemysława, lecz Konrada, ten zaś, wietrząc w nich Niemców, nie dopuścił do grodziska. Mnichowi wydaje się, że nic łatwiejszego, jak wymóc na księciu dokument, że pan na Żeganiu zakonników nie potrzebuje. Bruno nie przypuszcza, że w tym samym dniu, kiedy książę Konrad nie przyjął zakonników, Przemysław wrócił na gród.

Dziwi się Przemko, że opat naumburski nie śle posłów, jak przyrzekł przez jego pachołka. Chciał o to Konrada pytać, zanim ten odjechał, lecz przepomniał.

— Nie przyjdą dziś, przyjdą jutro — pociesza małą księżniczkę, wypatrującą u okna mnichów, co umieją pięknie o Bogu opowiadać, chore dzieci leczyć, zepsute narzędzia naprawiać — jeszcze przyjdą, maleńka, obaczysz!

— U bram stoi obcy wędrowiec i prosi o posłuchanie u księcia Konrada — mówi wchodzący pachołek.

— Czy przyjąć? Przemysław zastanawia się. Może załatwić miast brata? — Niech wejdzie — zwraca się do sługi — i światło przynieście do mojej komnaty. Stanął w oknie. Na tle żółtawej błony, za którą gasną blaski dnia, rysują się jego plecy szerokie i głowa potężna, kruczym pokryta włosem. Mnich Bruno, wchodzący do książęcej izby, dostrzega tę męską silną sylwetkę w oknie. Nie wie, że to książę Przemko, przecież prosił pachołka o dostęp do księcia Konrada.

— Bądźcie pozdrowieni, panie! — Przemysław odwraca się gwałtownie. Jego twarz tonie w zupełnym mroku.

— Pójdźcie bliżej. Z czym przychodzicie?

Bruno zaczerpnął oddechu. Mówi powoli, dobitnie, nie czuje żadnych wyrzutów sumienia... w t ej chwili wchodzi sługa z zapalonymi, grubymi świecami woskowymi na dużym, trójramiennym świeczniku... światło świec pada na groźnie zmarszczoną twarz księcia...

Książę Przemysław! — pod mnichem zachwiały się nogi...

- -

Dzieci Bogusza, do niedawna ciężko chore, bawią się już na łąkach nad Bobrawą. Żegański pachołek nowosprawionym radłem orze czarną glebę, zaś mała księżniczka żegańskiego grodziska nie słucha już klechd starej Tomiry, ale pięknych opowieści zakonników naumburskich[42] o cudach Dobrego Boga.

„Gość Niedzielny", nr 44/1946, s. 4.

JADWIGA BERNHARDT

Gwiazdy skrzą się w Bogucickiej kuźni

Na dębowym atole w izbie pana Włodzimierza leży list. Czerwieni się lśniącą pieczęcią. Błyszczy czernią inkaustu na grubych laseczkach kunsztownie namalowanych literek. Literki zdają się podskakiwać z radości — wszak radosną zwiastują wieść! Pan Kazimierz, książę cieszyński pisze do pana Włodzimierza Rudzkiego, kameralnego dzierżawcy włości i dóbr Mysłowice: „zwarzywszy potrzebę Waszą i poddanych Waszych z włości Bogucic, Katowic, Brynowa, Dembu, Chorzowa i innych, do nich przynależnych, udzielamy Wam niniejszym pismem pozwoleństwa na założenie kuźnicy we wsi Bogucice. Zaś w dowód Naszej łaski, hutnikom, w tejże kuźnicy pracującym, dajemy wieczną wolność od pańszczyzny, od wszystkich opłat i danin, które jak wiadomo, przysługują naszemu Państwu, a mianowicie od pługa, od nierogacizny, od kopalnictwa, od zaprzęgu..."

Na odwieczerz przywiózł książęcy pachołek to pismo. Potem w nocy światło w izbie pana Włodzimierza nie gasło. Mistrz hutniczy, Jerzy Kleparski z ka towickiego przysiółka, po raz ostatni radził z panem Włodzimierzem nad planami kuźnicy. Jaki wielki stanie piec odlewny, kędy będzie komora na rudę, a kędy komora składowa na żelazo i naczynia. A na drugi dzień z rana stanęli robotnicy do pracy. Radzi, weseli, przecie z dnia na dzień wyczekiwali jeno tego książęcego zezwolenia; przecie już i drzewo

---

[42] W roku 1284 przeniósł Przemysław I klasztor augustynianów z Naumburgu (gdzie zakonnikom głód groził) do Żegania.

i kamień zwieźli, a co gorliwszy chłop chorzowski przywiózł i kruszec ołowiano-srebrny i rudę żelazną. Proboszcz od św. Bartłomieja w Bogucicach towarzyszy mistrzowi kleparskiemu.

— Zwijajcie się, chłopcy! a raźno, a gibko! — pogaduje wesoło. — Jak nie będziecie mitrężyć, skończycie robotę przed pierwszym przymrozkiem.

— Skończymy, dobrodzieju, skończymy — odpowiada Szczepan Bierzyk, starszy kmieć z Brynowa. — Jako zaczęliśmy w święto Narodzenia Najśw. Panienki, tak na gody już skry polecą z naszej kuźnicy!

— Prawie gada — odzywają się inni — dobrodziej już na gody czytać będzie za nas, hutników, uroczystą wotywę!

Dobrze się składa — myśli proboszcz rozradowany — że na święta Narodzenia Pańskiego przypadnie ich pierwsze hutnicze święto. Syn Boży przyniósł przecie równość ludowi swemu, jedno jest pastuch i bogacz. Święte Dzieciątko w tym roku Pańskim 1486 wolność i swobodę przyniesie w darze hutniczemu ludowi...

Grudniowy mróz wyrównał i twardo udeptał rozmiękłe w listopadzie drogi. Uchwycił w swe tęgie obcęgi szeroko po nizinie rozlaną Rawę, uchwycił tak mocarnie, że zbladła na płótno i stwardniała na kamień. Furmanki chorzowskie wiozące rudę do kuźnicy Bogucickiej nie grzęzną już w błotach i wykoleinach.

— Trzeba ino konie w ręce twardo trzymać, aby nie ujeżdżały kopyciskami, i tak ani się obejrzysz, jak jesteś przed kuźnicą — mawiał Stanik Drzyzga.

A Stanik to umie. Młody jest przecie, idzie mu dopiero na osiemnasty rok, ale przy robocie i sprycie nikt go jeszcze nie wziął.

— Będzie z niego gospodarz całą gębą — bąkają we wsi. — Jak wywinie cepem raz jeden, to korzec ziarna usypie.

Ale Stanikowi nie w głowie gospodarka. Kuźnia mu się spodobała. Bywało, że przywiózł rudę, wyładował i zamiast do domu obrócić, przepadał na długie godziny w kuźnicy.

— Szczepanie, dajcie młota, niech ino spróbuję!

Szczepan daje. Lubi chłopaka, lubi go cala kuźnia.

— Wal, Stanik, a mocno, niech gwiazdy idą — i gwiazdy szły, srebrne, migotliwe i siadały na ciemnym stropie kuźni...

— Dość, smyku! — Szczepan podchodzi szybko. — Mistrz idzie! Stań tam w kącie!

Stanik siada na złomie rudy. W oczach ma gwiazdy i w — sercu. Pełno srebrnych, migających gwiazd.

— Nie będę gospodarzem — postanawia. — Ten machnie cepem i zakurzy całą stodołę, a tu młotem się uderzy i skry idą jako te gwiazdy niebieskie!

— Co ty tu robisz?

Mistrz Kleparski nie pierwszy raz widzi młodego Drzyzgę. Nie ślepy, żeby nie poznać, jak ręce i serce chłopaka rwą się do młota.

— Kto ci pozwolił chwytać się tu roboty? — głos mistrza jest ostry, ale jego oczy patrzą z uciechą na mocną postać młodego, co zerwał się wystraszony ze złomu.

— Przeboczcie — jąka się Stanik — rudę rozwiozłem i...

— I co? Spodobała ci się kuźnia, co?!

— Zgadliście!

— Widzicie, chłopy, co za smyk!... Marsz mi stąd! Jak urośniesz, może i będzie z ciebie hutnik! A teraz do domu!

Konie idą stępa. Stanik wraca powoli. Nie spieszno mu. Smutno. Gorzko. Gwiazdy w sercu mu gasną, jedna po drugiej — wszystkie. Nie, ostała się jedna, malutka, iskierka nadziei.

— Daj, Panie Boże — modli się ta ostatnia migotliwym płomieniem — niech Stanik zostanie hutnikiem.

Na dużym placu przed bogucicką kuźnicą gromadzą się ludzie, wracający z kościoła. Rozprawiają głośno o uroczystej wotywie, o kazaniu.

— Powiadam wam, gdyby nasz dobrodziej był księciem panem — prawi Szczepan Bierzyk, — to każdy najlichszy kmieć byłby wolny.

— Jużci, dla niego wszyscyśmy równi, jak u Pana Boga!

— Dobrze by było na świecie, gdyby wszystkie pany były jako on! Obaczymy, jak nasz książę z Cieszyna patrzy na nas hutników. Doszło mnie, iż nasza hutnicza brać ma być uwolniona od wszystkich ciężarów...

— E, Szczepan, dalibyście pokój! — mistrz Kleparski mruga znacząco na Bierzyka. — Po co mają zwiedzieć się przed samą uroczystością, kiedy dotąd dla wielkiej radości zmilcza to przed nimi pan

Włodzimierz... Pan Rudzki z dobrodziejem już idą. Ustawcie się w koło hutniki, w pierwszych rzędach i cichajcie!

Na placu stoi dużo luda. Od Bogucic i Katowic. Od Dębu i Chorzowa. Przyszli i z Mysłowic i z Bierunia. Są i od Bytomia. Stoją w uroczystej ciszy. Jak tam, w kościele, na sumie. Wtedy ksiądz dobrodziej czytał z świętej ewangelii o aniołach, co zwiastują pokój ludziom dobrej woli... Teraz pan Włodzimierz czyta o łasce książęcej, co hutnikom zwiastuje wolny, swobodny byt... W pierwszych szeregach podnoszą się radosne okrzyki na cześć księcia. Szczepan widzi, że niektórym dziwnie lśnią oczy... jakby w nie te srebrne płatki powpadały, co lecą z nieba, tak błyszczą... jeno Stanikowe oczy są ciche smutkiem... ale w jego sercu wciąż jeszcze pali się iskierka nadziei. Jasno się pali. Dzieciątko w stajence ożywiło jej blask. Mistrz Kleparski widzi Stanikowy smutek. I cieszy się.

Ksiądz dobrodziej nakazuje ciszę. Pan Włodzimierz nie skończył jeszcze wszystkiego. Jeszcze ogłosi, którzy z kmieci zostaną przyjęci w hutniczy stan. Padają nazwiska: Kaszyca, Janda, Gałdas, Kulik, Szafraniec, tu i tam zrywa się krótki, radosny okrzyk, bo to serce człowiecze nijak strzymać nie umie wielkiej radości — mistrz Kleparski nie odrywa wzroku od Stanika; cieszy się i czeka. Jest! Pan Włodzimierz czyta ostatnie nazwisko: Drzyzga Stanisław z Chorzowa.

Gwiazdka nadziei w Stanikowym sercu buchnęła nagłym płomieniem i zapaliła wszystkie inne gwiazdy, które wtedy, gdy Stanik wracał po raz ostatni z kuźni, pogasły. — Strzeliły blaskiem przez oczy chłopca i biegną myślą jego do stajenki. Zawisły na słomianym dachu szopy i migocą Dzieciątku dziękczynienie młodego hutnika.

„Gość Niedzielny”, nr 52/1946, s. 6.

Rok 1947

JADWIGA BERNHARDT

Historia żorskiej pieczęci

Ksiądz Otrupka, wikary pszczyński, jedzie stępa. Nie spieszno mu. Wyruszył w drogę zaraz po odprawieniu mszy św., ani tej kawy nie dopił, chleba nawet nie skosztował. — Ks. wikary otrząsa się na myśl o śniadaniu. Gospodyni Marta, odkąd proboszcz zachorował, cięgiem ino zioła warzy, za lekami goni i gospodarstwa nie dopatrzy. Dziewka kuchenna chleb upiecze z zakalcem na trzy palce, a kawy takiej naszykuje, że się wnętrzności skręcają.

Wiatr dmie od północy. Mroźnym, szczypiącym oddechem owiewa twarz wikarego i mokrym śniegiem sypie mu za kołnierz. Ksiądz zapina szczelniej futrzaną kurtkę. Pod kurtką zaszeleścił pergamin...

— Ach, pismo — księże! — wyobraźnia wikarego przez chwilę śniadaniem zajęta, niesie znów myśli ponure, troską czarne — ach, księże! Ten nie wysłucha! Nie okaże sprawiedliwości, choć go proboszcz zaklina, proboszcz, co nad grobem stoi. — Na twarz księdza występuje smutek, usta krzywią się goryczą i ironią. — Ten człek nie wie, co sprawiedliwość! Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się być sprawiedliwym! Książę Wacław zna jeno grabież, zna rozbój — tak, słusznie szeptają sobie ludzie, iż marnie skończy ten książę, co nie rycerzem a rozbójnikiem jest. — Ksiądz wikary czuje, jak wzrasta w nim oburzenie na niedobrego pana. Szarpie konia, bodzie strzemionami — mierzi go teraz powolny trab, niechże leci, niech się ostudzi oburzeniem kipiąca krew.

Na szarym niebie zimy rosną ciemne mury Żor. Z za ich wysokiego pasa wypatruje wieża kościelna i niższa ratuszowa wieżyczka. A dalej, szerokim, czarnym kołem, stoi bór. Stuletni bór, którego nie tknęły płomienie wielkich ognisk, wznieconych ręką kolonistów[43]. — Zaśnieżony jeździec

---

[43] Koloniści, którzy przychodzili z Niderlandów wypalali lasy i na tych pogorzeliskach osiedlali się. Stąd właśnie wywodzi się nazwa Żor i innych miast o podobnych nazwach, jak: Żegan (Segan), Gorzów (Landsberg), Zgorzelec (Goechte). Według kroniki A. Welczka.

stanął przed bramą miasta. Była zamknięta, mimo jasnego dnia. Tak mocno zamknięta, jak bramy Pszczyny, Raciborza, Pszowa, Gliwic i innych śląskich miast, w onych, zawieruchą wojenną wypełnionych czasach.

— Hej! Malowiec, bywajcie! — jeszcze okrzyk księdza nie przebrzmiał, a już zatrzeszczały żelazem kute drzwi.

— Duchem puszczam księdza jegomościa! — barczysty, nie młody już mężczyzna, otwiera bramę szeroko — rozpoznałem, a jakże, na kilkanaście metrów przed murami rozpoznałem księdza dobrodzieja!

— E, ta wyście mojego konia, Malowiec, rozpoznali! — żartuje wikary. — Człek jeden z drugim równo patrzy, a na koniach sierść różna!

— Niech wam będzie! — śmieje się strażnik. — A wolno pytać, gdzie droga wiedzie? do naszego wielebnego jużci...

— Nie. Do księcia pana mam sprawę. — Pogodna przed chwilą twarz księdza znowu chmurnieje. — Słyszelim, że zjechał do Żor na te ostatnie dni — potem ciągnie na nową wyprawę... niech by rozporządził sprawiedliwie naszymi sprawami. Mógłby więcej nie wrócić, a tu sama krzywda...

— Jużci, krzywda jest, kędy jeno spojźreć. Wszędy płakanie albo pomstowanie. Ale niedługo temu koniec — dodaje cicho, tajemniczo i patrzy za siebie. W wąskiej, Garncarskiej uliczce bawiło się tylko dwoje dzieci, świeżym, mokrym śniegiem. — Niech dobrodziej przy powrocie wstąpi do mojej izdebki — Malowiec wskazuje palcem na małe okno nad bramą — powiem więcej, powiem co rozprawiali kupce z Mocameru.

- -

Książę Wacław zwija powoli przeczytany pergamin. Wikary Otrupka widzi, jak drwiący, złośliwy uśmiech wychodzi z kątów wąskich ust księcia. Ten uśmiech stanowi dostatecznie jasną odpowiedź. Ksiądz wikary dostrzega wielką, książęcą pieczęć na stole. Wpatruje się w nią z jakimś wysiłkiem...

— Pieczęć, która tyle krzywdy wyrządziła... tyle dokumentów pieczętowała, które niosły łzy, skargi, klątwy — myśli w głowie księdza wikarego idą jedna za drugą, różne myśli, jak kolorowe paciorki na sznurku. — Ta pieczęć mogłaby naprawić wszystką krzywdę... mogłaby pieczętować inne dokumenty, co sprawiedliwość przyniosą, dobrobyt biednym... mieć tę

pieczęć na dzień jeden, nie, tylko na pól dnia, na godzin parę... Ksiądz wikary otrząsa się gwałtownie. — Nie myśleć, to zło, nie myśleć... Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... — Jak z dali dochodzi go drwiący głos księcia.

— Powiedzcie wielebnemu księdzu proboszczowi z P szczyny, Baccalaureusowi Mikołajowi, iż prośby jego wysłuchać nie mogę. Nie zwyczajnym zwracać dobra, którem zabrał. Czy one mnie się prawnie należą, czy wam, waszemu kościołowi, to wykażemy później, gdy powrócę z wyprawy.

— Jak on szydzi, jak strasznie drwi — myśli ksiądz wikary, nie odrywając oczu od pieczęci. A potem, nagle, przenosi wzrok, błagalny, udręczony wzrok na twarz księcia,

— Nie! — odpowiada książę zimno, zrozumiawszy prośbę. — Nie! — widzicie? — wezmę ją ze sobą — i niedbale, umyślnie igrając z bólem księdza, wkłada pieczęć za swój szeroki pas rycerski.

— — — Ks. Otrupka dosiada konia. Niewidzącym wzrokiem rozgląda się po rynku, bezwiednie uchyla czapki przed figurą św. Jana Nepomucena, przed kościołem, zapomina wstąpić na plebanię...

— Mieć tę pieczęć książęcą! Na dzień, na godzin parę... Strażnik Melowiec otwiera bramę miasta jakmś zbrojnym jeźdźcom. Dwom, czterem — pięciu ich jest. Tamten, co rozmawia z strażnikiem, wydaje się wikaremu znajomym.

— Widziałem go gdzieś — natęża myśl — to jest książę — Wictorius z Monasteru! Tak, to on, przyjaciel węgierskiego króla Mateusza! — Widziałem go przed rokiem na raciborskim zamku! — Rycerze odjechali galopem w stronę rynku. Malowiec dostrzega wikarego i podchodzi doń szybko.

— Chodźcie, wielebny, chodźcie do mojej izby na górę. Ważne wieści wam powiem, ważne... — Usiedli w niskiej izbie baszty strażniczej. Tuż przy palenisku, bo ziąb zbierał coraz większy.

— Otóż jeszcze latem — rozpoczął Malowiec przyciszonym głosem — ciągnęły tu kupce z Monasteru, winem węgierskim handlujące. Zatrzymały się na godzin kilka, bo konie były zdrożone. Wyniosłem im piwa dla ochłody i posłyszałem od nich dziwne wieści. Wiadomo, że takie kupce wszystko wiedzą, bo ciągnąc przez tyli świat i tu i tam posłyszą trochę i własnym rozumem nie trudno im potem reszty dorobić. Otóż mówili, że na Węgrzech nie tajnym jest, jako król Mateusz niechętnym okiem patrzy na

księcia Wacława, za jego rozboje, za swady, które między książętami wznieca. Zaś w Monasterze zwiedzieli się, że ich książę pan Wiktorinus, tudzież Jan Raciborski, otrzymali rozkaz uwięzienia księcia Wacława.

— Czyj rozkaz? Mateusza?

— Tak, jego. Za jakąś wojenną zdradę księcia Wacława. A teraz, przed chwileczką ci jeźdźcy! przecież to był sam...

— Książę Wiktorinus! — kończy ksiądz wikary — wiem, poznałem go...

— Wezmą księcia? jak sądzicie? uwiężą? — o, nazad jadą! — Strażnik podskoczył gwałtownie do okienka, wąską uliczką biegło głośno echo galopu — lecę bramę otwierać! Obaczę, czy król między nimi. — Drzwi trzasnęły. Ksiądz wikary wstaje zwolna od komina. Patrzy przez grubą, szarą szybę.

— Dwa. cztery, sześciu — liczy — książę Wacław między nimi... książę i... pieczęć książęca. przepadnie... krzywda się ino ostanie...

— Widzieliście? — wyrywa go z zadumy głos strażnika — zabrali z sobą naszego księcia!

— Widziałem...

— Ale, byłbym zapomniał! — strażnik grzebie za pazuchą — patrzcie wielebny, zawieram za nimi bramę, i potykam się o coś twardego, co dzwoni o kamień, podnoszę — widzicie?

— Chryste, pieczęć książęca!

— Juści, ona. Jaśnie pan musiał zgubić.

— Pieczęć książęca — szepcze ksiądz wikary pieczęć, co zło siała, a teraz, teraz...

— Cóż by z nią zrobić? — Malowiec skrobie się frasobliwie po głowie — może plebanowi zanieść? A może dobrodziej weźmie ją jego wielebności księdzu proboszczowi Baccalaureusowi?

Dajcie. Wezmę... i ostańcie z Bogiem! Czas mi w drogę... — Strażnika uderza nieco dziwny głos wikarego, jego bladość, ale nie domyśla się niczego.

Zegar na kościelnej wieży wybija sennie pierwszą i drugą nocną godzinę. Dźwięk sunie ociężale nad uśpioną Pszczyną. Cicho. Ciemno. Tylko jedno okno płonie przyćmionym blaskiem świecy. Okna na plebanii, te

w szczycie, gdzie ksiądz wikary Otrupka ma swoją izdebkę. Ksiądz wikary siedzi przy stole. Przed nim kilka zwojów pergaminu, kubek z inkaustem, wielka, książęca żorska pieczęć... Ksiądz wikary sięga po ostatni rulon... pióro skrzypi... potem przytłumione stuknięcie... czerwony, okrągły znak: miecz i krzyż... potem głębokie westchnienie — westchnienie człowieka, co ciężko pracował i w końcu zbył się ciężaru.

— Antoni Durynek — zwrot młyna, Andrzej Trembla — zezwolenie na wyrąb lasu. Jan Czakan — przywrócenie tkackiego warsztatu — ksiądz wikary czyta półgłosem porządkując pergaminy. — Ten dotyczy jeszcze zwrotu naszych kościelnych dóbr, a ten majątków Murzyńskiego... Bogu dzięki, zrobione: rano pośle organistę z tymi aktami do Malowca. Ten już będzie wiedział, jak się z tym rozporządzić. Wikary klęka do krótkiego pacierza. Gasi świecę. Za chwilę skrzyp łoża — potem głucha cisza nocna. Powieki zapadają na zmęczone oczy wikarego. Ale sen nie przychodzi... bicie serca cichnie, ale gdzieś odzywa się głośniejsze bicie, alarmujące, na trwogę... to sumienie księdza wikarego się budzi. Wyszło ciężkim oskarżeniem spod serca i stoi w ciemności izby.

Nie wolno ci było tego robić — nie wolno. Nie twoja to pieczęć, nie twoja władza... — to fałsz, to kradzież, to grzech...

Na czole księdza wikarego perli się pot... pod czołem krzyczą myśli...

— Nieprawda, to nie grzech! uczyniłem zadość sprawiedliwości! uczyniłem to dla dobra jego duszy, dla dobra tych, którym stała się krzywda. Uczyniłem zadość sprawiedliwości.

— Nikt ci ku temu władzy nie dawał, nikogo się nie radziłeś, skrycie działałeś, jako złoczyńca... Zegar na kościelnej wieży wybija godziny... piątą, szóstą... potem budzi się sygnaturka... śpiewa nierówno, raz mocniej, raz ciszej, jeszcze na poły śpiąca. Ksiądz wikary wstaje ciężko... przez oczy patrzy mu gorączka. A twarz jest blada.

— Widzisz, synu, inaczej wyglądają uczynki nasze w świetle naszego ludzkiego rozumu, a i naczej in specie aeternitatis[44]. Boże oczy nie tak patrzą jak nasze — ksiądz proboszcz dyszy ciężko, głos mu się rwie. Po izbie przechadza się śmierć. Cicha, spokojna. — Stąd przychodzi, że nie Bożą, jeno swoją kierujemy się wolą. Ale Bóg jest dobry i rządy Jego, choć

[44] ...w świetle wieczności.

nieraz wydają się nam zagadką, naszego tylko chcą dobra. — Widzisz, Synu, chciałeś Pana Boga poprawić, chciałeś ulgę przynieść pokrzywdzonym — w sposób niegodny, przeciwny Bożemu przykazaniu, a przecie Opatrzność Boża bez naszej pomocy zdoła pocieszyć, co smutne, zło w dobro przemienić, — sprawiedliwość uczynić.

Ksiądz wikary klęczy u łoża. Twarz kryje w dłoniach. Nad jego głową kreśli krzyż konający kapłan. — A gdy powróci, oddasz mu... a gdy nie powróci, przyjdzie nowy władca i temu dasz...

Książę Wacław nie powrócił więcej. Zmarł w więzieniu w Kłodzku Roku Pańskiego 1479. A w trzy lata później zjechał do Żor nowy pan, książę Kazimierz, król polski. Sporządził liczne akty darowizn, uwalniał od opłat. słał privilegia[45] do Brzezinki, do Lendzin, pieczętując pergamina żorską zaginioną pieczęcią.

„Gość Niedzielny", nr1/1947, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Upominek św. Bonawentury

Jasne światło bije z okien w mroczny, zasypiający park. Weselne granie wpada między milczące drzewa i niesie się przez pola, aż do przygarbionych chat. Dwór książęcy Władysława w Gołkowicach, niedaleko Godowa, dyszy radością. Liczni goście snują się po pokojach, kielichy krążą przy zastawionych stołach.

— Zdrowie nowego książęcego potomka!

— Zdrowie księcia Kazimierza!

— Niech nam żyje rodzicielka jego czcigodna. księżna Wiola! Głośne okrzyki ucztujących słabym tylko echem docierają do komnaty księżnej. Panuje w niej półmrok. Blask świecy nie sięga dużego książęcego łoża, ni

---

[45] Przywileje.

kołyski, co stoi z boku. Wiola nie bawiła długo między gośćmi. Jeszcze niemocna. Jej blada, piękna twarz unosi się lekko na wezgłowiu.

— Czy wszystko, mój panie, tak rozporządziłeś, jakeśmy przódy postanowili?

— Stało się wedle twojej woli. Bądź spokojna. — Książę Władysław stoi u łoża, a mocna jego dłoń trzyma delikatnie ręce żony.

— Opowiedz, książę, opowiedz, co zrobiłeś — oczy księżnej patrzą prosząco. — Może tego jeszcze mało będzie? — Prawda, prawda, że się Bogu za dobrodziejstwa Jego, którym miary nie masz, nigdy nie wypłacimy! Ale czyńmy przynajmniej to, co w naszej leży mocy, aby okazać mu swą wdzięczność! — Na blade lica Wioli występuje rumieniec. Czarne oczy bułgarskiej księżniczki płoną żarem. — Powiadaj, książę, nie zabawisz zbyt długo — i tak gościom wina nie zbraknie.

— Nie potrzeba, abyś mnie tak długo o to prosiła. Rzeknę ci wszystko. Jeno wzgląd na twoją słabość...

— Mocna będę, gdy posłyszę.

— Tak tedy słuchaj. — Książę przysunął sobie krzesło do brzegu łoża. — Pamiętasz, Wiolo, bytomski gród? Nadałem mu magdeburskie prawa. Opodal leżącą wioskę, Łagiewniki, przyłączyłem do grodu. Rządcy Bytomia pozwoliłem zakładać młyny wedle uznania, z których dochód ma płynąć do skarbu miejskiego. A wszystkich tamtejszych chłopów i kolonistów zwolniłem z czynszu na sześć lat. Niech się wzbogaci ten piękny gród i niech w nim upodobanie znajdą ubodzy bracia.

— A klasztor ich stoi już cały?

Cały! Od piwnic do wieży! Nic nie zbraknie bytomskim franciszkanom[46].— Myślę, że i miechowici będą zadowoleni; wielebnemu opatowi Henrykowi darowałem dwie wioski: Chorzów i Białobrzezie. Nie zapomniałem też o braciach dominikanach w Raciborzu; obdarowałem ich nową fundacją. Wreszcie nasz klasztor w Radach. Vladislavia, nasi cystersi — książę uśmiecha się do rozpłomienionych oczu księżnej — tym nadałem

---

[46] Księciu Władysławowi, panującemu na Górnym Śląsku od r. 1247—l282 wiele śląskich klasztorów zawdzięcza swoje powstanie. I tak np. klasztor OO. Cystersów w Rudach, OO. Franciszkanów w Bytomiu i Wodzisławiu.

najszersze prawa i privilegia. — I cóż, najmilejsza, jesteś zadowolona? — Ciężka głowa księcia pochyla się do rąk Wioli.

— Tak, książę... chyba i Bóg będzie z daru naszego kontent? Nie skąpmy Mu nigdy z naszych bogactw! Wszak z Jego wyszły ręki... Będziemy pamiętać o biednych z naszych wiosek i o naszych klasztorach. A wtedy Bóg będzie nam jeszcze bardziej błogosławił... — oczy księżnej biegną ku kołysce, gdzie spoczywa drugi z rzędu książęcy syn.

— Oby tak było! Oby nam Bóg nie skąpił swego błogosławieństwa — zdrowych, licznych dzieci — a teraz śpij spokojnie.

— Powiedz jeszcze, panie, kiedy ma przybyć ów mąż światły z dalekiej Italii?

— Wielebny ojciec Bonawentura? Generał franciszkańskiego zakonu? — Oczekuję jego przybycia w najbliższych dniach. Ale już śpij, północ bliska.

Trzydziesta czwarta prowincja franciszkańska — Górny Śląsk! Po ludnych, bogatych prowincjach południowych, Włoch, Francji i Nie miec, cicha, daleka kraina śląska. Ciemne oczy Bonawentury błądzą po nowej ziemi. Jakże ona inna od jego ojczyzny, od słonecznej, roześmianej Toskanii! Co za święta cisza płynie od tych lasów, których okiem nie zmierzysz. Od tych pól, co małymi kwadratami przykucnęły przed czarną linią puszczy. I niebo jest jakieś inne, ciemniejsze, skupione — jak cała ta ziemia, jak kościoły, poczerniałe od deszczów, jak chaty, ukryte wśród topoli.

— Inny wasz kraj... dziwnie spokojny, poważny —

— Nie podoba się Wielebnemu Ojcu? — książę patrzy z niepokojem na młode oblicze generała.

— O tak! Czuję, że bliską będzie mi ta ziemia, co błogą ciszę sączy w ludzkie serce. Czuję, że dobrze tu będzie braciom św. Franciszka.

— Rozglądnijcie się dobrze, czcigodny generale, osądźcie, gdzie miałby stanąć klasztor. — Konie posuwają się stępa nad brzegami Wodzisławki. Wody jej rozlewają się szeroko, bo dalekie tchnienie wiosny topi śniegi, leżące na polach. Oczy Bonawentury patrzą z zachwytem na głęboką dolinę rzeczki, ukoronowaną licznymi pagórkami. Patrzą na wiekowe dęby, u których stóp szumią cicho jeziora. — W tamtej stronie —

książe wskazuje ręką przed siebie — stoi mój gród, Wodzisław. Nie tak dawno, jak nadałem temu biednemu osiedlu rybackiemu prawa miejskie. Teraz to już gród piękny — obaczycie. Jechali jeszcze sporą chwilę. Aż nagle Bonawentura wstrzymuje konia. Oczarowany spogląda na piękny obraz. Zamek strzelisty warownego grodu, ze wszech stron leśnymi wzgórzami otoczony, z boku srebrny pierścień wody, a niebo niskie, ciche, bliskie — nie tak dalekie, jak błękitne, jak gdyby namiętną barwą krzyczące niebo Toskanii.

Tu, pod tymi murami, w tej leśnej ciszy stanie nasz klasztor — Bonawentura mówi szeptem, jakby się bał spłoszyć spokój, co płynie ku niemu z śląskiej ziemi.

— Jako ta kraina, tak i ten lud stał mi się bliski, bliski, jak ziemia rodzona i brat rodzony — myśli ojciec Bonawentura, a oczy jego z miłością biegną ku krzątającym się ludziom. — Jakże pracowici... ledwo rozpoczęli, a już wznoszą się mury na chłopa.

— Bonawentura wchodzi między pracujących. Między wodzisławskich chłopów i brać zakonną, co budują pospołu z rzemieślnikami. Tu i tam rzuci słowo radosne — wszak już zna nieco mowę ich. — Tu i tam weźmie kielnię murarską, podniesie kozioł[47] z cegłami. Jaka szkoda — myśli smutnie — że nie doczekam końca budowy! Kościół Trójcy Świętej stanie piękny, mocny — szkoda, trzeba wracać do Rzymu, tam czekają...

Ojciec Bonawentura wchodzi do kościółka Panny Maryi. Dobrze mu w tych murach ciemnych, stuletnich. Zakonnik podnosi głowę na obraz Bożej Matki. Obraz jest już stary, ciemny ...

— Dam im nowy, świeży, jeden z tych, które są u nas po kościołach. Dam im obraz naszej Madonny włoskiej, barwnej, uśmiechniętej — będą mieli pamiątkę po mnie! — cieszy się Bonawentura. Ale po chwili smutnieje, przecząco porusza głową.

— Nie, nasza Madonna nie jest stworzona do ich kościołów... Tu, w tych ciemnych, cichych murach, w tej krainie lasem odwiecznym szumiącej, między tym ludem pracowitym musi pozostać obraz tej Bożej

---

[47] Kozioł – konstrukcja do noszenia cegieł.

Matki, co poważnie spogląda, z dziwnym smutkiem... muszę im dać inny upominek taki, co zgodnym tonem złączy się ze spokojnym pięknem tej ziemi, taki, co nigdy nie zniszczeje... Bonawentura zamyka oczy. Co to?! Jasna, słoneczna droga, potem górski wierzchołek, ze wszech stron lasy, cisza szczyt góry Alverna... każdy kwiatek, każde źdźbło trawy, kamyk każdy pamięta św. Franciszka, mówi o nim... Bonawentura siedzi na kamieniu. Myśli o Bożej Matce. Bo kocha ją. Chciałby ją w szczególny sposób uczcić. I naraz myśl, myśl z nieba: trzykrotne pozdrowienie Maryi! Angelus! Pieśń chwalebna dzwonów, o wschodzie, w południe: o zachodzie[48]. Bonawentura otwiera oczy. Uśmiech rozjaśnił mu twarz, zda mu się, że wszystkie dzwony grają z wszystkich włoskich kościołów, a wtórują im srebrnymi głosy sygnaturki śląskich kościółków Angelus, Angelus Domini nuntiavit Mariae et concepit de Spiritu Sancto![49] — Już wiem co pozostawię im w upominku!

Ojciec Bonawentura powrócił do Rzymu a w warownym grodzie Władysława ludzie odmawiają Anioł Pański. Dzwony biją w kościele Maryi Panny i w kościele Trójcy Świętej. Muzyka ich płynie doliną rzeki nad bezmiarem lasów, muzyka ich sławi Bożą Matkę i przypomina ojca Bonawenturę, co takim podarunkiem obdarzył śląską krainę.

„Gość Niedzielny", nr 5/1947, s. 5.

JADWIGA BERNHARDT

Płaszcz Panny Maryi powiewa nad Gliwicami

Ciemne niebo zniża coraz bardziej swe ciężkie, zachmurzone czoło nad miastem. Wolno, ospale pochyla się nocna skroń przestworza, jak

---

48 Przypuszcza się, że na górze św. Franciszka, św. Bonawentura umyślił, by przez „Anioł Pański" czcić Pannę Maryję. W roku 1257 wizytując prowincje franciszkańskie zawitał na Górny Śląsk, do Wodzisławia.

49 Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego.

głowa człowieka usypiającego nad stołem. Nigdzie gwiazdy. Jeno hen, w czarnej próżni zawieszone, migoce blade światełko. Promień świecy z wartowni Marcina Barwentego. Stary wartownik od kilku już dni nie schodzi z kościelnej wieży. Przesiaduje u okienka małej izdebki, wybudowanej w szczycie zielono krytej wieży, tuż pod żelaznym, dużym krzyżem. Wypatruje wroga, co zdobywszy Pszczynę i Żory, idzie na Gliwice. Oczy starego wojaka ślizgają się czujnie pod czołem chmurnego, usypiającego nieba. Może wydobędą z ciemności daleki błysk obozowych ognisk nieprzyjacielskich? Wtedy zahuczałyby dzwony kościelne, a place i wały zaroiłyby się od męża zbrojnego...

— O Mansfeldzie, chytry kuzynku Belzebuba, nie dostaniesz ty nas śpiących w swoje łapy! — Barwenty zaciska żylaste dłonie. — Oszydzisz się, waszmość, choćby guzikami, a będziemy strzelać do twojego spitego żołdactwa. A nasze baby wrzątek będą lały na wasze kapuściane głowy! A nasze dzieci kamieni naznoszą, co pogruchotają wasze drabiny! Tak, tak, buntowniku! — Marcin maszeruje gorączkowo po małej izbie i wymachuje groźnie pięściami. Naraz przystaje. Wzrok pada na obrazeczek Świętej Maryi zawieszony nad drzwiami. Twarz starego pokornieje. I zgina się żołnierskie kolano... — A nasza Święta Patronka osłoni nas swym płaszczem. — Barwenty uchyla okienka. Wciska głowę na mroźne powietrze i patrzy w dół. Wąskimi ulicami biegnie przytłumiony gwar ludzkich rozmów i odgłos licznych, mocno stąpających męskich nóg.

— — — Parafialny kościół gliwicki Wszystkich Świętych zapełniały co wieczora niezliczone tłumy. Co żyło, spieszyło na nabożeństwo błagalne. Ci, którzy dopiero lat kilka liczyli od wyjścia z kołyski i ci drudzy, których już ino dnie dzieliły od grobu. Trzech tylko ludzi ostawało się poza murami świątyni: dwóch wartowników przy obydwóch bramach miasta i trzeci — Marcin Barwenty.

W pięknie rzeźbionych stallach siedzą radni miejscy. Burmistrz Stephetius klęczy na klęczniku ciemno czerwonym suknem krytym, tuż przed balaskami. Najgodniejszy z radnych, Michał Strzoda prowadzi siwiuteńkiego plebana do ołtarza. Trzęsące się ręce staruszka ustawiają dużą, złocistą monstrancję na ołtarzu. Z białej hostii patrzy Król Niebieski na dzielne zastępy. Na tkaczy i garncarzy zgromadzonych przed maryjnym ołtarzem. Na członków cechu szewskiego i piekarskiego stojących w głównej nawie. Na brać kowali i na cesarskie wojska uszeregowane przed

ołtarzem Michała Archanioła. W ławkach klęczą dzieci i niewiasty. Czoła niewiast zdobią śnieżne koronki. Spod barwnych chust wyglądają atłasowe kabotki. Jedwabne kwiaty na fartuchach ścielą im się wieńcem u kolan.

W pierwszej ławie klęczy Elżbieta Stephetius, młodziutka burmistrzanka. Powabne oczy skierowane są ciągle na monstrancję. Tylko czasem, na króciutki moment zawisną na jednej głowie, tam w cesarskich szeregach, przed archanielskim ołtarzem. Syn radnego Michała Strzody, Jerzy, jest jej przyszłym mężem. — Niedaleko burmistrzanki siedzi Anna Szymura — przybrana córka radcy Strzody, młoda i piękna, może piękniejsza nawet od burmistrzanki... ale w jej czarnych oczach migają złe płomyki — jej oczy nie widzą Boga w monstrancji, widzą tylko głowę Elżbiety i Jerzego — w oczach Anny Szymury odbija się cała walka namiętnych uczuć: złości, zazdrości, nienawiści, a w końcu bezdennej rozpaczy, która nie zna pociechy i nie wierzy w moc modlitwy...

A wszyscy inni, co wokół niej klęczą, rozmodlili się w prośbie serdecznej do N ajświętszej Panny. I skoro wyjdą z kościoła, choćby już wróg był pod murami miasta, nie ulękną się go, ufni w opiekę Bożej Orędowniczki.

Młody komendant oddziałów cesarskich, Jan Welczek stoi na wałach. Podle niego radca Michał Strzoda, zdaje się liczyć i mierzyć potęgę nieprzyjacielskiego obozu.

— Chyba samo piekło wydało aż tyle tego diabelskiego nasienia! — grzmi radca Strzoda.

— A tak, siłać wroga nadciągnęła, Będzie z jakie dwanaście tysięcy.

— Do stu tysięcy! A nas tu jeno garstka — i to do kupy z babami. Ale nie damy się!

— Słusznie prawicie. Pokażemy już tym zdrajcom i zaprzańcom, co znaczy wierność i honor śląskich miast! Dwa szturmy już zwycięsko odparte, choć teraz — komendant zawahał się nieco — będzie ciężej. O, tam — wskazuje dłonią — na zachód od klasztoru franciszkańskiego, ustawili swoją ciężką artylerię.

— Da Bóg, kule poniosą w inną stronę.

— Tak, ale i nam trzeba się będzie jeszcze lepiej zabezpieczyć. Myślę, żeby zaciągnąć już niewiasty do obrony.

— Słusznie, niech warzą proso, niech przygotują kadzie z wrzątkiem na tych plugawców.

— Tak, jeno że dotąd nie wiem, której by z nich powierzyć dowództwo nad niewieścią armią. Musi być energiczna, mężna, musi umieć porządek utrzymać

— Znam taką. Bierzcie Annę Szymurę.

— Dziewczyna dzielna, istne chlopaczysko. Wziąłem ją w dom przed laty — ot, sierota — i mam za córkę, chociaż jeszcze jej nie adoptowałem. — Obaczycie, da sobie radę z babską chorągwią.

— Dziękuję waszmości. Poślijcie ją do mnie z wieczora.

— — — Jeszcze tej samej nocy, pod energicznym przewodnictwem Anny, stanęło kilkadziesiąt starszych kobiet przy ogromnych kotłach gorzelni i miejskich łaźni.

— My zaś — Anna zwraca się do młodszych dziewcząt — pójdziemy na mury. Tam czeka nas niebezpieczniejsza robota. Będziemy wrzątek lały na głowy szturmujących. Wy pójdziecie ze mną ku bytomskiej bramie — Anna urwała nagle. W tłumie dziewcząt dostrzegła burmistrzankę. — Ona tu — myśli gwałtownie — nie wezmę jej ze sobą... nie... byłaby zbyt blisko Jerzego — zły śmiech krzywi usta Anny — wyślę cię na drugi koniec miasta — nie obaczysz go... ja będę przy nim... i obyś więcej nie wróciła!

Zda się, iż sam djabeł zawładnął sercem dziewczyny.

— Druga grupa dziewcząt — odzywa się twardo — wraz z burmistrzanką, niech idzie do drugiej bramy. Niech każda pamięta o swoim stanowisku. Ruszamy!

Mansfeld, co dotąd na swej drodze nie napotkał tak wytrwałej obrony, jest wściekły. Dopuszcza na miasto najstraszniejszy szturm. Wysyła wszystkie pułki. Grzmią wszystkie działa. Już w kilku miejscach miasta wybucha pożar. Starzy, co już nie zdatni byli do służby na murach i wyrostki gibkie, gaszą ogień. Praca zda się, beznadziejna. Zduszą groźny żywioł w jednaj uliczce, a oto już w kilku innych wybucha. Twarze mężczyzn czarne od prochu, twarze niewiast rozpalone do czerwoności od gorąca wylewanego wrzątku. — Anna Szymura stoi niedaleko Jerzego Strzody. Spogląda nań często... czuwa nad nim...

— Jezus, Maryja! — wyrywa się w pewnej chwili przyduszony okrzyk z jej ust — trafiony! W paru susach dopada zranionego. Pochyla się.

Zarzuca bezwładne ciało na swoje barki i wpół zgięta pod ogromnym ciężarem wlecze go do najbliższego domu. Tam w sieni opatruje głęboką ranę Jerzego... łzy płyną jej po twarzy... usta trzęsą się w głośnym łkaniu i w sercu coś rwie się, coś szarpie, coś pali — to twoja wina... tyś jest jego morderczynią... chciałaś, aby ona zginęła, Elżbieta, chciałaś zająć jej miejsce... teraz on ginie... za twój grzech... Anna ciśnie pięści do skroni, żałosny jęk wydobywa się z jej krtani.

— Boże ulituj się! Zgrzeszyłam! Bądź mi miłosierny! Zachowaj jego życie — weź moje. Boże, za moje grzechy! Jego zachowaj — dla niej... — Anna podnosi się z ziemi... całuje bezwładną, skrwawioną rękę żołnierza, a potem oddala się coraz twardszym, mężniejszym krokiem w drugą stronę miasta, tam gdzie stoi na posterunku Elżbieta. Nie baczy na świszczące kule, na ogień, co pali jej stopy, owładnięta jedną myślą: naprawić krzywdę!

Dojrzała Elżbietę. Podchodzi do niej.

— Elżbieto! Leć do pierwszego domu przy bytomskiej bramie! Ale prędko! Jerzy jest ranny — dodaje cicho — spiesz. Bóg sprawi, że go uratujesz — i Anna w tej chwili wie, że Jerzy będzie żył, że Bóg przyjmuje jej ofiarę, jej pokutę... ja zostanę na twoim posterunku.

- -

Pod wieczór tegoż dnia, nieprzyjacielska kula przebiła serce mężnej duchem i ciałem dziewczyny.

„Gość Niedzielny”, nr 7/1947, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Apostolskie święcone

Mrok gęstnieje coraz bardziej. Szarą barwą maluje białe jerozolimskie domy, a na zielone krze i drzewa zawiesza czarne zasłony. Po ulicach snują się ostatni przechodnie. Dwie niewiasty spieszą szybko drogą ku Syjońskiej bramie. Potem skręcają na prawo.

— Semeo, stań chwileczką. Ten kosz cięży mi bardzo.

— Pozwól, niech ja go teraz poniosę — mogłaś wcześniej powiedzieć, że taki pełny.

— Nie, Semeo, zostaw, przecie i twój koszyk nie lekki. Widzisz, nakupiłam ryb, bo myślę, że tam teraz w wieczerniku wielu uczniów się zebrało.

— Te same myśli miałam, dlatego właśnie niosę te kilka plastrów miodu. To nasz miód... nieraz go Rabbi chwalił..

— Semeo, a może to prawda; że Szymon rozkazał uczniom, by ciało z grobu wyjęli i ukryli? Przecie to ciało najdroższego Nauczyciela... — oczy Lii napełniają się łzami.

— Nie wiem, nie wiem. Ojciec temu wierzy, i dlatego śle mnie ze słowami ostrzeżenia do Szymona. Ale ja — nie wierzę... ja wciąż myślę o tym, co Rabbi raz powiedział... mówił coś o zmartwychwstaniu!

— Cicho, Semeo, nie mów tak głośno! — Młoda niewiasta ogląda się trwożliwie. — Biegnijmy! Już tylko parę kroków.

Stanęły przed domem Marii, matki ucznia Marka. Z głębi nie dochodził żaden głos. Zdać by się komu mogło, że nikt tam nie mieszka. Na duże okna wieczernika spuszczono widocznie zasłony, bo ani jeden promień światła nie padał na ulicę.

— Zakołataj, Semeo, ale nie za ostro, bo się przelękną. — Drewnianym, suchym jękiem odezwała się kołatka. Minęła długa chwila, zanim uchylono drzwi.

Kto zacz?

— Puszczajcie. To my, Semea i Lia.

Weszły do ciemnej sieni. Potem do wieczernika. Dwie lampki oliwne skąpo oświetlają dużą salę;. Płomyki ich drżą. uderzane falą przyciszonych, lecz licznych głosów.

— Zaprowadźcie mnie do Szymona — prosi Semea — mam dlań słowa przyjacielskie od mego ojca.

— Zbliż się, Semeo, tu jestem. Mów.

— Ojciec mój w trosce o was wszystkich, prosi cię, Szymonie, byś nie przepominał o surowym edykcie cesarskim naznaczającym karę śmierci za znieważenie grobu. I prosi, byś dobrze ukrył ciało Mistrza... Jeśliś je wziął... — dodaje Semea od siebie, a serce jej woła: nie, nie, tyś go nie ukryli powiedz, że on zmartwychwstał! — Ojciec mój każe wam powiedzieć ciągnie cicho dalej — byście się nie ukazywali kapłanom, bo oni...

— Już dobrze, Semeo — przerywa jej Piotr — wróć do ojca i powiedz mu, że próżno się troska — Pan z m a r t w y c h w s t a ł, żywie!

— Rabbi zmartwychwstał?! — Semea wznosi ręce radośnie — wiedziałam, serce mi mówiło! I nie wierzyłam ojcu... Powiedzcie, skąd ta nowina? może, możeście sami Go widzieli?

— Widzieliśmy, Semeo — promienna twarz Marii z Magdali wychyla się z grona niewiast — Maria Jakubowa i Salomea spotkały Go na drodze, gdy od pustego grobu wracały, przystąpiły i ujęły nogi jego i pokłon Mu oddały, a on im powiedział; Witajcie! — I Szymon Pana widział! I ja Go spotkałam w ogrodzie. Myślałam, że to ogrodnik. Pytał, czemu płaczę, kogo szukam, i dopiero kiedy zawołał: „Mario!", poznałam, że to Rabboni.

Radosny gwar bije o ciemne ściany wieczernika. Nikt nie słyszy, że kołatka u drzwi mocno i niecierpliwie woła. Kleofas i Nikodem, co z Emmaus wracali, stojąc pod zamkniętymi drzwiami dziwią się tym radosnym głosom, którymi dyszy ciemny dom w ciemną noc.

— Co to się stać mogło, Kleofasie? Czyżby i oni Pana widzieli?

Weszli szybko do sali. Natychmiast otoczono ich kołem. Ogorzałe, pomarszczone twarze rybaków promienieją weselem, oczy niewiast błyszczą zachwytem, dziękczynieniem, nikt nie pyta uczniów z Emmaus: „czemu już powracacie? co się stało?" Zewsząd biegną mocne, jasne, słowa:

— Pan prawdziwie zmartwychwstał!

— Szymonowi się ukazał!

— Niewiasty go u grobu spotkały!

— Z Marią Magdaleną mówił

Nikodem patrzy skropiony na Kleofasa. Tak się cieszył, iż oni pierwsi przyniosą im tę nowinę. I na nic.

— A teraz nas posłuchajcie, bracia — odzywa się Kleofas donośnie. — Dlatego powróciliśmy do was, bo widzieliśmy Nauczyciela i mówiliśmy z nim. — I znowu cicho było w wieczerniku. Ciekawie słuchano, z sercem w podzięce rozmodlonym, jak Rabbi chleb wziął, błogosławił i łamał...

— A wtedy otworzyły się nam oczy i poznaliśmy Go. A On zniknął...

— Zniknął... — delikatnym szmerem odbijają się słowa uczniów o sklepienia sali. — Zniknął... delikatnym drżeniem płomyka dygoce lampka.

Naraz płomyki obydwu lampek olejnych pochylają się gwałtownie, jakby pod naporem nowej fali powietrza... przez izbę powiało, jakby kto drzwi i okna pootwierał.. oczy wszystkich zwracają się ku drzwiom...

zamknięte, nikt ich nie otwierał. A przecie jakaś jasna postać kroczy ku nim...

— Pokój wam! — Czyżby nie słyszeli? odsuwają się powoli w głąb izby, z oczu wyziera im przerażenie, oddech świszczy zaparty trwogą...

— Jam jest, nie bójcie się. — Lecz nikt się nie zbliża. I Szymon, i Nikodem z Kleofasem, i Semea z Lią, mniemają, iż ducha widzą.

— Czemu jesteście zmieszani, a zwątpienie wstępuje do serc waszych? — Pan Jezus wzrokiem pełnym dobroci pogląda po twarzach swych wiernych — Oglądajcie ręce moje i nogi, że ja ten sam jestem. Dotykajcie się i przypatrujcie, bo duch nie ma ciała ani kości, jako widzicie, że je mam — i ręce swe wyciąga ku apostołom i niewiastom. Uśmiech przewija mu się po obliczu, gdy widzi, jak trwoga znika z ich oczu, jak radość ogarnia ich serca, a krótkie, szczęściem rwane słowa powitania lecą mu do nóg, jak wonne kwiaty.

— Panie nasz!

— Rabboni!

— Nauczycielu!

— Jezusie zmartwychwstały! — Już cisną się wkoło niego, oczy zatapiają w jego oczy, na dłonie przebodzone z czcią patrzą, lecz jeszcze dotknąć nie śmią ani rąbka u szaty...

— Macie tu co do jedzenia? — pyta w końcu Jezus widząc, że się jeszcze wahają.

Stropił się Szymon.

— Nikt z nas do miasta nie zachodził, nic nie mamy...

Wtedy Semea z Lią radośnie poskoczyły do swych koszy.

— Są ryby pieczone i miód jest! — Lia drżącymi rękami podaje Panu kawałek ryby.

— A tu plaster miodu, Mistrzu, miodu. któryś nieraz pochwalił.

Złotem mieni się pokarm szlachetny w rękach Semei.

— Pamiętam, niewiasto — mówi Jezus i podnosi do ust słodki plaster.

A gdy zjadł wobec nich, wziąwszy ostatki, dał im.

I spożywali z weselem pokarmy, które Mistrz dotknięciem rąk swoich poświęcił.

„Gość Niedzielny”, nr 14/1947, s. 9.

JADWIGA BERNHARDT

Trudna droga

— Franka, tyżeś to? — spod cienia pochylonej szopy wyskakuje na ścieżkę jakaś niewyraźna postać.

— Ja. A cóż? Po co kazałeś nocą przychodzić za wieś, w tej zawierusze? — niech nas kto obaczy — lekki wyrzut brzmi w c ichym, trwożnym pytaniu dziewczyny.

— Nie mogłem inaczej. — Andrzej mówi dziwnie zduszonym głosem, jakby go gniew trzymał za gardło — Franka, chodź tu bliżej, tu tak nie wieje, muszę ci coś powiedzieć, ale... nic dobrego.

— Co, Andrzeju, mów?

— Znowu nic nie będzie z naszego ślubu za dwie niedziele! Ojciec chodzi rozeźlony z powodu tej krowy i ani słyszeć chce o weselu! Złość mnie wczoraj zebrała. Przemówiliśmy się ostro — gdyby nie matka, bylibyśmy się pobili.

— I co teraz? — Frania z trudem dusi łkanie — znowu wszystko przepadło, a tyle zachodu kosztowało, zanim pozwolili ci na żeniaczkę — z córką pijaka — grube łzy błyszczą na zaczerwienionych licach.

— Cicho. Franiu, nie jest tak źle. On przeciwko tobie nic nie gadał, ino go ta kradzież rozeźliła. Ta wielka strata, boć tę krowę chował na nasze wesele! Nie, nie mógł nic na ciebie wymyślać, przecie twój ojciec jest mu teraz sprzymierzeńcem!

— Co ty mówisz? jak? — Frania z niezmiernego zdumienia zupełnie zapomniała o swojej boleści. Błyskawicznie przypomniała sobie, jak stary Puchała, ojciec Andrzeja, jej ojcem poniewierał, iż pijakiem był, jak nie chciał zezwolić na ślub syna z tą dziadówką, jak ją nazywał, z tą dziewką pijanicy, a teraz — sprzymierzeńcy!

— To ty nic nie wiesz, Franka? Nic ci ojciec nie mówił?

— Nic.

— Widzisz, zaraz drugiego dnia, jak nam tę krowę z obory skradli, przyszedł twój ojciec i powiedział, że wie, kto jest złodziejem. Że widział Pawła Sojkę...

— Pawła Sojkę z Gierałtowic?! — Franka przeraziła się.

— Tak, Sojkę — ciągnie dalej Andrzej — jak wiózł nocą, wtedy, w piątek po Trzech Królach, coś zakrytego na saniach. No i co dalej gadać — potem, jak przyszli ci z sądu, szukali i znaleźli świeże mięso w chacie.

— Przecie mógł zabić swoją krowę?!

— Tak też i on mówił, nie przyznawał się do niczego, ale twój ojciec...

— Mój ojciec miał z Sojką stare porachunki. Zawsze był jego wrogiem. I matuś mówili nieraz, że nad Sojkę z Gierałtowic nie ma lepszego na świecie człowieka — za to ojciec bił matusię i do grobu doprowadził.

— Uspokój się, Franiu. Drżysz cała, przytul się, bo zmarzniesz — Andrzej ogarnia ramieniem skuloną dziewczynę.

— Już lecę do domu — Frania odsuwa się gwałtownie od Andrzeja. Nie myśli teraz o nim, nie czułości jej w głowie. Jedno tylko wyraźnie tętni jej w żyłach i jaskrawym obrazem maluje się w wyobraźni: że Paweł Sojka jest niewinny, że ojciec... przez zemstę go oskarżył. Paweł Sojka tyle razy poratował ich w nędzy, wstrzymywał ojca od trunku, nie dał matusi bić i dzieci... coś ty, ojcze, zrobił?!

Przerażenie gna Frankę, najstarszą córkę Macieja Chudka, przez ośnieżone opłotki, między niskie chałupy knurowskich gospodarzy, a gwałtowne psie ujadania brzmią w jej uszach jak śmiechy złego ducha.

Dobiegła do lichej zagrody na końcu wsi. Cicho odmyka drzwi sionki. Wchodzi do niskiej izby. W nozdrza uderza ostry zapach wódki. Niedogasłe na kominie polana oświetlają słabo postać chłopa leżącego w nieładzie na ziemi.

— O Boże, znowu się spił! — Franka odwraca głowę z odrazą i przemyka się do komory. Tam zawsze śpi z młodszym rodzeństwem. Naraz przystaje zdumiona. Coś błyszczącego potoczyło się pod próg z metalicznym brzękiem.

— Zloty pieniądz! — dziewczyna podnosi go i wtedy dostrzega koło nóg leżącego jeszcze dwa, nie, cztery mieniące się talary.

— Widocznie wysypały się mu z kieszeni, gdy upadł — myśli rozgorączkowana — ale skąd ma tyle pieniędzy? — Wstrząsnęła się gwałtownie. Pijak zaczął mamrotać we śnie... Nieświadoma tego, co czyni, Franka chyli się niżej nad ojcem — jej ucho prawie że dotyka twarzy ojca.

— Nie ja będę wisiał, ale ty — słyszy wyraźnie urwane, senne słowa — ja kradłem, lecz ciebie, bratku, ukarzą — ja jestem bogaty, a ty będziesz

gryźć deski... obiecałem ci to dawno, wtedy, kiedyś mnie jeszcze chciał rozumu uczyć przed moją kobietą... Teraz będziesz z nią razem w grobie gnił... dobrze ci tak... — Franka prostuje się powoli. Jak błędna wodzi wzrokiem po ciemnej izbie. Ręką przeciera oczy. Ręka jest mokra, bo na twarzy dziewczyny błyszczą krople potu.

— Wiedziałam, że Paweł Sojka jest niewinny... ale nie wiedziałam, że ojciec jest złodziejem... — chwiejnym krokiem przechodzi Frania próg komórki. Nie zdejmuje mokrej chusty, nie kładzie się do szerokiego łóżka, gdzie z szeleszczącej słomy podnoszą się głośne oddechy dzieci. Zbliża się do maleńkiego okienka, na którym księżyc budzi ze snu mrozem haftowane kwiaty.

— Teraz już wszystko przepadło... na ślub z córką pijaka jeszcze zezwolił, ale na ślub z córką złodzieja nigdy się nie zgodzi. Nigdy... — głowa opada na splecione, lodowate ręce. Kolana gną się, jak do rozpaczliwej modlitwy. Lecz naraz Franka odżywa. Oczy błyszczą osobliwym blaskiem. Uśmiech głębokiej ulgi rozchyla usta — przecie nikt nie wie, że mój ojciec jest tym złodziejem! Przecie wszyscy uwierzyli, że Sojka ukradł! Nikt nie wie, nikt nie przeszkodzi, by się pobrali z Andrzejem... teraz jest przecie jeszcze lepiej. Andrzej sam to mówił, stary Jan Puchała uważa mojego ojca za sprzymierzeńca!...

Twarz dziewczyny barwią krwiste rumieńce. W gorączce dygocą wargi... a potem znowu bladość na licach, przerażenie w oczach i dotkliwy ból w piersi. — To grzech, to ciężki grzech — umrze niewinny, gdy nie powiesz prawdy — gdy zataisz, co wiesz, gwoli własnego szczęścia... to grzech!

Jeszcze pierwsze kury nie zapiały, kiedy drogą z Knurowa do Gliwic, w śnieżnej zadymce, szła młoda dziewczyna. W zziębniętych palcach przesuwały się drewniane ziarna koronki.

Wiele gości sprosił gierałtowicki ksiądz proboszcz na drugie święto wielkanocne. W obszernej świetlicy siadają do stołu co zamożniejsi kmiecie gierałtowscy i knurowscy; jest i bogaty Szewioła z Krywałdu i stary Mniszek z Żernicy. U szczytu stołu siedzi wielmożny i dobry pan Mateusz Bujakowski, pan na Knurowie, a obok niego ksiądz Jerzy, wikary od kościoła Wszystkich Świętych w Gliwicach, przyjaciel gierałtowickiego proboszcza.

— Powiadajcie, co jeszcze nowego zdarzyło się u was — pyta ciekawie wikary gliwicki. — Nie byłem tu, jak łońskiego roku na odpust.

— To pewnie ksiądz dobrodziej i o kradzieży w Knurowie nie słyszał?

— O kradzieży? Nie baczę.

— Ano, to było tak. W piątek po Trzech Królach skradziono Janowi Puchale w Knurowie krowę. Krótko potem wzięto do więzienia Pawła Sojkę z Gierałtowic, bo drugi knurowianin Maciej Chudek, wskazał nań jako na złodzieja. I byłby zginął niewinnie uczciwy człowiek, ale naraz okazało się, że właśnie oskarżyciel, ów Maciej Chudek, pijanica zawołany sam jest złodziejem. Gliwicki sąd nie mieszkając cesarski dekret wykonał: „aby złodziej każdy szubienicą karany był", za jego winy i na postrach i opamiętanie innych złoczyńców[50].

— Tak, tak, przez kata na szubienicy obwieszon był — potakuje smętnie stary Mniszek z Żernicy — słuszna kara za krzywdy na bliźnich swoich.

— Jeno, że dotąd nie wiemy — podnosi znowu głos pan Mateusz — kto odkrył prawdziwego złodzieja. Sąd imienia tego człowieka nie wspomniał. Ponoć ów zastrzegł to sobie.

— Zdaje się, iż wiem, kto to był — odzywa się stłumionym głosem ksiądz Jerzy z Gliwic.

— Jak to? Przecie mówiliście, żeście nic nie słyszeli o tej sprawie?

— Prawdę rzekłem. Nie słyszałem. Ale usłyszałem coś innego... Powiedzcie, miał ten złodziej młodą, dorastającą córkę?

— Jużci, to Franka.

— Otóż słuchajcie. Przypominam sobie, że o tym samym czasie, kiedy to wszystko u was się działo znalazłem kiedyś w kościele, w kruchcie, zapłakaną, zmarzniętą dziewczynę. Zaprowadziłem ją do zakrystii i wtedy ona pytała mnie z rozpaczą w głosie, czy musi oskarżyć własnego ojca, jeśli ten zbrodnię popełnił i jeśli ktoś drugi, niewinny, ma zginąć za niego... Cóż miałem jej rzec, jedno, co sumienie nakazywało. Ale jej rzekłem nad to, że Bóg wszystko ku dobremu przemienia, nawet to, co widzi się nam największym nieszczęściem... Uspokoiłem ją. Odeszła umocniona.

---

50 Ów sąd nad knurowianinem odbył się 16 stycznia 1596 r. w Gliwicach.

— No, patrzcie, patrzcie! Nasza dzielna Franka! — księdzu proboszczowi z Gierałtowic trzęsą się wargi ze wzruszenia.

- -

A w Białą Niedzielę Franciszka Chudek i Andrzej Puchała uklękli przed ołtarzem do małżeńskiej przysięgi.

„Gość Niedzielny", nr 15/1947, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Uratowani ogniem

Nikogo nie było, kto by go nie znał. Ani w Żorach, ani po wsiach okolicznych, krytych łanami zbóż i gęstwiną lasów. Gdy szedł polnymi drogami, spracowane grzbiety chłopów i niewiast podnosiły się krzepko znad rozkopanej gleby, a ręce ziemiste uchylały szerokich słomianych kapeluszy lub wyciągały się przez zgrzebną zapaskę do starego człowieka.

— Witajcie, Andrzeju! — Pochwalony! Kędyż was Bóg prowadzi? — pozdrowienia serdeczne leciały mu naprzeciw, jak te dzieci rozbawione na miedzach, z których co śmielsze chwytało go za ręce lub czepiało się wytartej sukmany.

— Boże ci pomagaj, Witoszku! A ciebie. Niechoj jeszcze to choróbsko trapi? Waszego najmłodszego, Halaczko, nieraz w kościele widzę — i on znał ich wszystkich, ich dolegliwości i radości. Prosili go też do każdej chaty, biednej i bogatej. Prosili go na każde chrzciny, na każde wesele, radzi go mieli i przy pogrzebowej stypie, bo umiał prostymi słowami pocieszyć i pokazać, że ten ludzki krzyż akuratnie przez Pana Boga do każdych pleców jest dopasowany. Mądry był starością swoją, co w zmarszczkach wyryła się na twarzy i srebrem włosów siwych wiła się w długiej brodzie. Dla tej jego mądrości szanowali go, niejeden więcej niż żorskiego plebana. A kochali go gw oli tej dobroci cierpliwej i pogodnej, co z ócz wyblakłych wyzierała i w słodkich uśmiechniętych słowach wpływała do zgnębionych serc ludzkich. Stary Andrzej na wszystkie kłopoty radę miał, wszystkie swary uśmierzał, wszystkich jednał...

— Nie, nie wszystkich — przykra, kłująca myśl budzi rozmarzonego Andrzeja. W słodkich wspominkach pogrążyło starca wino słodkie, którym go częstowali na weselu i ta noc cicha, majowa. Idzie sobie wolno ku widnym w księżycowym świetle murom Żor, nie chciał, by go odwozili, dobrze mu samemu polami wędrować, nogi jeszcze czerstwe, nocka ciepła; dobrze zbóż szeleszczących dotykać i snuć myśl o wszystkich ludziach, o tym, jak im pomóc...

— A im, tym dwom, pomóc nie umiem — smutek i żal brzmią w tych półgłosem wymówionych słowach — tylem razy do nich zachodził, raz do Szolca, raz do Stoka, com się naperswadował, naprosił, nagroził — groził i ksiądz dobrodziej z ambony — nic nie pomaga. Dalej trwają w nienawiści, wszystkim ku zgorszeniu, Marcin Szolc burmistrz i Adam Stok radny miejski. I o co im poszło? — o biedni ludzie pysznego serca!

— Stok nie życzy Szolcowi godności burmistrza, bo sam się o nią ubiegał, a Szolc zawiści Stokowi tej kamienicy w rynku, bo myślał, że jemu się ona dostanie... i jeszcze inne, pomniejsze historyjki, za które jeden drugiemu do gardła by skoczyć gotów, niepomny na Boską obrazę i grzech.

Zegar żorskiego kościoła bije jedenaście razy. Stary Andrzej przyśpiesza kroku zarzucając sobie ciężką sakwę na plecy. Jest w niej placek weselny i duży zając.

— Dobra będzie z niego pieczeń — podśmiechuje się Andrzej i zapomina na chwilę o dwu nieprzejednanych wrogach — jak przyjdę do domu, a Anna nie będzie jeszcze spała, musi usmażyć kawałek. Będzie jej smakować.

— — — Anna, córka Andrzeja, nie spała. Czekała na ojca. I skoro przyszedł i prosił, by sobie naszykowała kawałek pieczeni, nie spierała się, ogień rozpaliła i teraz krząta się koło zająca. Stary Andrzej spoczywa na ławie. Zmęczenie odzywa się w strudzonych nogach i ciężkim snem zwala się na powieki. Chrapliwy oddech podnosi pierś starca.

A pod zamkniętą powieką budzi się nowe życie. Oto zdołał nareszcie przemówić do Szolca i Stoka. Uwierzyli mu, iż nienawiścią najbardziej Boga obrażają i niechybnie piekło sobie gotują. Uwierzyli, że wszystkim zgorszenie dają i przyrzekli na oczach wszystkich podać sobie rękę do zgody. On, Andrzej, tak bardzo jest tym ucieszony, że bierze swojego zająca i chce ich tą pieczenią częstować. Tylko że pieczeń coś za bardzo czuć spalenizną, pewnie Anna nie dopilnowała. — Andrzej budzi się gwałtownie.

Zrazu nie widzi nic. Czuje tylko, że go coś dusi i że na stopach coś go coraz bardziej parzy. A potem...

— Anna! Anna! pali się!!

Izba pełna dymu, a po podłodze ślizgają się już niebiesko-złote płomienie.

— Anna, gdzieżeś jest!! pali się!

Andrzej wybiega przed dom. W tej chwili dostrzega córkę, która wyszła do piwnicy — równocześnie czerwony huczący ogień wywalił się przez okno chały, jak język strasznego potwora.

— Adam, słyszysz? dzwony biją! Wstawaj! Pewno się pali! — Stokowa kobieta zerwała się szybko i żegnając się drżącą ręką, raz po raz biegła przed dom i znowu wracała.

— Adam, dyć wstawaj! — szarpie męża śpiącego, jak kłoda i zdziera z niego pierzynę. — wstawaj, cały rynek w ogniu! idź ratować, przecie tam nasza nowa kamienica może się spalić! Wstawaj, lećże już!

— Nie krzycz tak. Już idę. Co mówisz, gdzie się pali?

— Cały rynek w ogniu! ludzie wołają, że już i na dach kościelny się przeniósł, że już wieża się pali.

— Cały rynek, mówisz? — to i Szolcowe domostwo...

— Co tam Szolcowe, mnie obchodzi nasza kamienica!

— A mnie nie — chłop mówi twardo, zawistnie — my obejdziemy się bez tej kamienicy, ale Szolc nie wygrzebie się tak prędko, gdy mu wszystko ogień strawi... dobrze mu tak — dyszy przez zęby odwieczną nienawiścią ludzką.

— Nie marudziłbyś tak długo! Idźże już, wszyscy poszli ratować, co się da.

— Idę też, ale Szolca nie myślę ratować. O nie! chcę go tylko ujrzeć w tej nędzy, widzieć. że spotkała go kara Boża za to, że... w ogóle, że jest taki, taki...

W ciasnych uliczkach tłoczyli się ludzie. Jedni przeciskali się z konwiami i wiadrami drudzy stali bezczynnie lamentując. Srebrne światło księżycowej nocy majowej mieszało się z czerwonym blaskiem płomieni — a nad całym tym groźnym widowiskiem płakały farne dzwony.

Radny Adam Stok przedarł się aż do burmistrzowskiego domostwa. Budynek mieszkalny, choć sam jeszcze nie płonął, otoczony był ze wszech stron ogniem.

— A burmistrz gdzie? — pyta uwijających się przed domem ludzi.

— W środku! gdzieżby miał być, ratuje, co może. — Z niechęcią patrzą na niego i z ciekawością.

— Czyżby przyszedł pomagać swojemu wrogowi? — z niedowierzaniem kiwają głowami.

Radny wchodzi do domostwa. Owiewa go swąd spalenizny. Widać, że straszny żywioł przedarł się już do wnętrza. Mija powoli jedną izbę i drugą. Są puste; wyniesiono wszystko, co się dało. Adam Stok rozgląda się za Szolcem. Wszędzie biegają ludzie, ale burmistrza nie dostrzega. Aż naraz widzi go! W rozwianej kapocie, z twarzą usmoloną, zbiega po krętych schodach do piwnicy,

— Pójdę za nim — myśli Adam — muszę mu powiedzieć, że to kara za mnie, że teraz nie jemu burmistrzować, nędzarzowi, ale mnie, bogaczowi — jakiś złowrogi uśmiech kurczy wargi Stoka, a jednak w sercu czuje on dziwny niepokój... jakiś niesamowity strach drżeniem przebiega mu po plecach, krętymi schodami schodzi do piwnicy... i widzi, że do izb wdzierają się coraz większe chmury dymu, że płomienie coraz śmielej zaglądają w okna... już jest w ciasnym przejściu widzi duże żelazem kowane drzwi uchylone, słyszy, jak się ktoś spiesznie poza nimi krząta, skrzynie i flaszki wywraca...

— Stok! A wy co tu robicie?! — Szolc dostrzegł radnego i ponurym wzrokiem patrzy nań.

— Co tu robię? Nic. Myślicie, żem wam pomóc przyszedł? nie, przyszedłem wam tylko coś powiedzieć... nie dokończył, bo jakaś straszna siła rzuciła nim o ziemię, straszny huk ogłuszył go, a dym czarny przesłonił wszystko przed oczyma. Ocknął się po dobrej chwili i z przerażeniem uświadomił sobie, gdzie jest.

— Szolc! Jesteśmy zasypani!

— Tak... Adam, jesteśmy straceni... — straszna cisza dzwoni im w uszach. Słyszą, jak w niej śmierć cichymi chodzi krokami. I jeszcze ktoś stąpa cicho, złowrogo. Ten, co czeka na nich po śmierci z zapłatą za grzech nienawiści.

— Marcin— jesteś daleko ode mnie?

— Nie, tu mam rękę...

— Podaj mi ją...

— Masz... — i złączyli dłonie uściskiem pojednania w godzinie śmierci.

- -

Dopiero drugiego dnia wieczorem dokopali się do nich. Już nie żyli, uduszeni. Wydobyli ich na wierzch połączonych silnym uściskiem rąk. Ludzie stali wokoło i patrząc na obydwu zabitych, słuchali wstrząsającego kazania ich połączonych dłoni i pojednanych serc.

Andrzej stary stoi z boku, a łzy kapią mu w siwą brodę. Tak mu się śnili, ręka w rękę, w zgodzie, ale żywi. Spieszył do nich z zajęczą pieczenią — a teraz tyle nieszczęścia się przez nią stało.

— Czy tylko nieszczęścia? — jakaś myśl błyska w oku starca — gdyby nie ta pieczeń, nie byłby wybuchnął pożar, w którego ognistych płomieniach pogodzili się ci dwaj wrogowie, a tak — ogień zniszczył wprawdzie ich życie doczesne, ale tenże ogień uratował im to drugie, prawdziwe życie... Uratowani ogniem...

Stary Andrzej podnosi roztrzęsioną głowę i już pogodnym wzrokiem spogląda po ludziach, jakby mówił: pocieszcie się; Bóg wszystko zło na dobre przemienia[51].

„Gość Niedzielny", nr 19/1947, s. 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Orężna pąć

Szeroko zarosłe gałęzie jabłoni skąpo wpuszczają światło do izby. Słońce dopiero co zaszło. Jego jasnym blaskiem dyszą jeszcze ściany

---

[51] Na pamiątkę tego zdarzenia z dnia 11. V. I702 r. po dziś dzień odbywa się w Żorach 11 maja uroczysta suma z wystawieniem i kazaniem, po czym procesja teoforyczna rusza na rynek, na którego czterech rogach kapłan udziela błogosławieństwa sakramentalnego.

domostw bielone, droga piachem szarym sypana i niebo skowronkami rozśpiewane. A w izbie mrok. Ciemnozielony, drżący, jak te listki jabłonki stojącej za oknem.

Szymon pochylił się w krześle. Ręka sięga po skórę owczą, co włosem długim grzeje chore nogi. Zsunęła się z kolan, ani zauważył, kiedy. Palce gładzą splątaną sierść. Żółte, skurczone palce. Oczy w siatce zmarszczek błądzą po stole, po arkuszach zapisanego papieru. Zielony mrok rozcieńczył i zamazał inkaustowe znaki. Mimo to starzec czyta — bo czyta z pamięci.

„Wtedy Hanuś niespodziewanie otoczył miasto. Barbara, księżna pani na Pszczynie, broniła się dzielnie ze swym rycerstwem. Kmiecie i cechy pszczyńskie nie wpuściły wroga do grodu. Sromotnie pobity musiał Hanuś uchodzić..." Przez okno rozwarte wpadły do izby dźwięki dzwonów. Potem zaś głośną falą wbiegać poczęły rozmowy ludzi, co gromadkami, nie spiesząc, szli drogą.

Szymon zwraca się do okna. Przez gałęzie drzewa widzi płot, za płotem drogę.

— Już po nabożeństwie. Zaraz tu będą — o. już idą.

Kilka starszych i młodszych włościan skręca ku niskiemu domkowi Szymona. Ciężkie kroki w sionce.

— Wejdźcie! Wejdźcie! Już was przez okno dojrzałem. Pietrze, zapal lampę. Tam, na półce. Dolej oliwy.

— Pochwalony! Idziem prosto z kościoła.

— Posłuchać idziem. Waszych opowieści.

— Kiedy to nie moje opowieści, nie moje, Janie. Ktoś inny przędzie tę opowieść nad światem, nad naszym grodem; ja ją jeno spisuję. Jestem jako to pióro ułomne w Pana Boga ręku...

— Ojcze Szymonie, zacznijcie czytać od początku — prosi Pietrzyk — przywiodłem Marcina, ten jeszcze nic nie wie.

— Nic nie wie? nie może być! Każdy zna te opowieści. Boże opowieści, boć ręka Boża światem włada. Wywyższa pokorne i poniża butne. Doświadcza umiłowane, a złe karze nierychliwie... Książę Mikołaj, małżonek naszej pani Barbary, nie puszczał z rąk miecza. Wacława, pana na Raciborzu, brata swego, nie oszczędził, choć ten mniejsze niż on wziął dziedzictwo. I umarł, a pan był wielki. A Wacław zemstliwy i chciwy rzucił się na Barbarę. Wydarł księstwo. Płonęła Pszczyna. Płonął Rybnik, Wodzisław

— Wacław zagarnął wszystko, co wprzódy w proch obrócił — i umarł i takoż prochem się stał. Lecz jeszcze nie nastały dla księżnej pani spokojne czasy. Boć długo dłutem mistrz pracuje, nim rzeźba gotowa... Samiście patrzeli na to: Hanuś rzucił się na dziedzictwo matki[52]. Obroniliście gród... przed człowieczą pychą, żądną panowania. Ale na jak długo?

Ojcze, a może już będzie lepiej? — Pietrzyk odzywa się nieśmiało. — Ksiądz pleban kazali, jako jeno modlić się trzeba i żyć sprawiedliwie, a Pan Bóg będzie nas miał w swej opiece. Calutki miesiąc chodziliśmy na te dziękczynne nabożeństwa — Bogu dziękowaliśmy, iż nasz gród ocalił, i prosiliśmy, by nas dalej strzegł...

— I będzie strzegł... choćby i Hanuś po raz drugi stanął pod grodem...

— Co wy powiadacie, ojcze Szymonie? Hanuś po raz drugi?

— Może i trzeci i czwarty. Burz nad nami nie zbraknie. Jeno pamiętajcie dobrze: burze słabych łamią. A mocno stają ci, co mocni są wiarą swoją.

Książę Jan, Hanusiem zwany, od dłuższego już czasu nie rusza się z zamku. Ani o łowach nie myśli, ani do młodej swej małżonki przemówi. Służba prześlizguje się cicho pod ścianami — księciem złość miota. Złość sroga a bezsilna. Nie zdobył Pszczyny. Ruszył z wielkim hufcem, a nie zdobył. Już Żory zagarnął, Rybnik i Wodzisław, a Pszczyna wciąż mu się opiera! Jak ją zgnieść? jak zgnieść?

— Jaśnie wielmożna pani powiedzieć kazała, iż bardzo prosi o chwilę rozmowy z księciem panem — dwórka mówi cicho i oczy ma spuszczone... Ile razy przychodziła już z taką prośbą, i zawsze nadaremnie.

Książę patrzy przez chwilę nieprzytomnie. W myślach pogrążony, nie dostrzegł wejścia służebnej.

— Księżna pani? czy chora? dobrze, idę. Gwałtownym krokiem idzie do komnaty małżonki.

Młoda małżonka księcia siedzi nad otwartą księgą.

— Tyś chora, Pani?

---

[52] Księżna Barbara Oriest była drugą matką Matusia. Tenże za pierwszym razem Pszczyny nie zdobył, dopiero za drugim, używszy podstępu.

— Nie choram, Książę, porozmawiać z Wami chciałam.

— Rozliczne sprawy nie pozwalają mi...

— Wiem, Panie, a jednak ośmielę się o coś Was prosić, coś Wam przypomnieć...

— Co takiego?

— Co roku, na odpust Przenajświętszej Trójcy, urządzaliśmy pąć do Wodzisławia. Śmiem was prosić o to, byście ze mną ruszyli... — jakieś niedomówione słowa drżą na ustach księżnej. Choć niedomówione, to jednak muszą być bardzo potężne, skoro książę głowę spuszcza i wzrokiem po kobiercu błądzi. A może słyszy te słowa? Może ściany tej komnaty krzyczą mu w uszy wyrazy, które tyle razy podchwytywały z gorących modlitw księżnej: niech zaprzestanie rozbojów, niech wróci na dobrą drogę, niech wspomni, że ojcem mu być, mężem dobrym i panem sprawiedliwym!

— A kiedy ma być ta pąć?

— Już za tydzień odpust — podchwytuje księżna radośnie, pełna nadziei — już wiele pątników przez okno widziałam, jak idą drogą na Pszczynę z krzyżami, z pieśnią nabożną.

— Drogą na Pszczynę, z krzyżami, z pieśnią nabożną... — książę powoli podnosi wzrok. Coś w nim błyska złym, dzikim blaskiem. Coś się w nim śmieje szatańskim uśmiechem — pójdę i ja drogą na Pszczynę, na pąć, pójdę...

Dzień 12 czerwca 1462, dzień wigilii Zesłania Ducha Św., ma się ku końcowi. Z pól powracają do pszczyńskiego grodu ostatni kmiecie. Mieszczanie, z zapasami jaj, masła i ryb dążą do swych domów; spóźnieni pątnicy, śpieszący do Wodzisławia na odpust Przenajświętszej Trójcy przy kościele ojców franciszkanów, szukają w grodzie schronienia przed nadchodzącą nocą. Zadzwoniły łańcuchy zwodzonego mostu. Most podnosi się wolno; żelazne zawoje zatrzasnęły się głucho. Na murach nawołują się czuwające straże. Mrok gęstnieje. Na niebie ciemniejącym gromadzą się czarne chmury — w powietrzu cisza wisi.

Naraz wołania strażników stają się gwałtowniejsze, wszyscy stróżujący zbiegli się w gromadę i patrzą w jeden daleki punkt.

— Widzicie? Tam! długi, ciemny wąż! — To wojsko! Nieprzyjaciel!

— Nie, nie wojsko. Widzisz te błyski wysoko w górze?

— Tak, jużci, to krzyże pątnicze błyszczą, to spóźnieni pątnicy! Słyszycie? śpiewają!

— Ale skąd idą? Tak ich dużo!

Pierwsze szeregi długiej, płaszczem ciemnego wieczoru okrytej procesji stoją już pod murami grodu. Strażnicy na murach wyraźnie widzą srebrem błyskające krzyże i złotem haftowane chorągwie. Widzą szerokie płaszcze pątnicze i głowy kapturami kryte.

— Jędrych, słyszałeś ten szczęk? — pyta szeptem jeden ze strażników swego towarzysza.

— Słyszałem... jakby od miecza... ale to może wiatr łańcuchy zatargał. — Patrz, komendant przyszedł!

— Dokąd idziecie? — zwraca się komendant gromko do stojących pod murami pątników.

— Do Wodzisławia idziem! — odpowiada jeden z blisko stojących pątników — do Wodzisławia na odpust Przenajświętszej Trójcy u ojców franciszkanów. Prosimy o schronienie na noc.

Otworzono dla pątników żelazne zawoje, most spuszczono. Przez otwartą bramę wkracza do grodu długa procesja. Pieśń pątników brzmi ponuro i coraz częściej jakieś złowieszcze, spiżowe dźwięki mieszają się z pobożną melodią. Wszyscy weszli.

I znowu szczęknęły łańcuchy podnoszonego mostu, trzasnęły żelazne zawoje — i nagle, jak na czyjś cichy rozkaz, opadły z pątników ciemne pątnicze płaszcze. Błysnęła zbroja pancerzy, spod kapturów wychylają się hełmy rycerskie, krzyże pielgrzymie upadły, a miecze rycerskie wznoszą się w ciemne, pochmurne niebo. Zbrojny hufiec Hanusia stoi w złowrogiej ciszy przed przerażonymi mieszkańcami grodu.

- -

Już z wielkim, z wielkim wysiłkiem kreśli Szymon literki Bożej opowieści na żółtych arkuszach papieru. Już przed rokiem pisał o tym, jak Hanuś podstępem dostał się do grodu. Jak stał się panem wielkim, księciem najmożniejszym.

Teraz pisze: „Tylko dwa lata panował zły książę Jan. Brat jego, Wacław, odebrał mu ręką zbrojną Rybnik, Pszczynę, Żory — odebrał władzę. Po księciu Janie, Hanusiem zwanym, ślad zaginął”.

„Gość Niedzielny”, nr 21/1947, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Błogosławiona pomyłka

Wąskimi uliczkami, między murami domostw zdającymi się chylić ku sobie, płynie na mały placyk przed kościołem Santa Maria del Carmine urok i cisza nocna. Nagle słychać jakieś głośne pobrzękiwanie, jakieś zgrzyty kutych w żelazie drzwi — to kościelny Santa Maria tak późno zamyka świątynię dzwoniąc kluczami i z wysiłkiem pcha ciężkie wrota. Czemu się tak zapóźnił?

Ciężki, wolny krok zlewa się z lekkim dzwonieniem kluczy zawieszonych u pasa. Kościelny schodzi z kamiennych stopni i idzie tą uliczką, która wspina się w górę, ku wzgórzom, a przecie co wieczora dąży w przeciwną stronę, tam w dół, gdzie jego domek stoi, gdzie mieszka od lat. Uśmiechają się usta ukryte pod nawisłym wąsem, a uszy łowią tony muzyki i śpiewu.

— Bawią się, wesoło się bawią — myśli kościelny — ucztę wyprawiają, co się zowie, jak przystało panom wielkim, bogatym, u królewskiego stołu zasiadającym. Książęta, możni — a łaskawi, gawiedź suto dziś obdarzyli — a nabożni, osobliwie on, najmłodszy Liguori... teraz do późna klęczał w kościele z nią razem, księżniczką Teresą, narzeczoną... — zamyśla się idący drogą kościelny. Już dawno zna Alfonsa Liguori. Teraz zna go co prawda cały Neapol, ale on, kościelny od Santa Maria del Carmine, znał go najpierwej. Pamięta, dobrze pamięta wesołego chłopca, który co dzień wracając z wykładów uniwersyteckich klękał przed ołtarzem Najświętszej Panny i modlił się tak żarliwie... pamięta, co niedzieli, na tej wczesnej mszy świętej, przystępował do stołu Pańskiego... — Teraz wzrusza się zakrystian. Przypomina sobie, że młodzian był już nieraz w jego domku, on, syn kapitana galer królewskich, obdarowywał rodzinę jego, dzieci, bawił się z nimi. Dziś, prosił i nakazał mu, by wieczorem przyszedł na jego ucztę zaręczynową!

Siedzą na tarasie a kolorowe światła zawieszonych między drzewami lampionów igrają na sukniach bogatych i twarzach młodych. Jest cicho, choć z okien rozwartych i drzwi bije gwar i płynie muzyka. Księżniczka

Teresa, córka księcia Pressicco, patrzy na niebo rozgwieżdżone, a potem zwolna przenosi wzrok na młodego Liguori. Jest taki poważny...

— Myślałby kto, że nie jesteś wcale szczęśliwy mówi z cichym wyrzutem.

— Ty wiesz najlepiej, Tereso.

— A jednak... jednak nieraz wątpię. Gdy na przykład wspomnę, że już zeszłego roku mogliśmy się zaręczyć, a tylko ty nie chciałeś...

— Nie chciałem, prawda, bo nie mogłem. Wiesz przecie, dlaczego.

— Wiem, ów ważny proces, dobro innych...

— Szydzisz? wszak wiesz, i sama wedle tego postępujesz, dobro bliźnich nad osobiste szczęście przekładasz?

— Tak, wiem, wszystko wiem, tylko się czegoś boję! Wydaje mi się, że znowu nie dojdzie w najbliższym czasie do naszego ślubu, do podróży do Hiszpanii, że znowu cię jakieś gwałtowne obowiązki zatrzymają i powiesz, jak już raz powiedziałeś: „Teraz nie pora na nasze szczęście, teraz obowiązek nakazuje co innego!” — księżniczka jest wzburzona i bliska płaczu.

— Uspokój się, Tereso — Alfons gładzi pieszczotliwie rękę księżniczki — zapominasz, że Pan Bóg kieruje wszystkimi sprawami na świecie. Tak, jak wielu ludzi w chwilach niepowodzenia i nieszczęścia, nie ufasz Bogu, odwracasz się od niego — i mnie nie ufasz, choć dobrze wiesz, że pragnę Twojego dobra. Pomyśl, czy mógłbym w takiej chwili, kiedy Pan Bóg wyraźnie mówi mi głosem sumienia, kędy droga i co czynić wypada, odpowiedzieć Bogu: nie, ja teraz muszę pilnować własnego szczęścia? Czy nie widziałabyś w tym samolubstwa? A czy to podobałoby ci się u mnie?

— Nie...

— Widzisz, moja droga, kochano Tereso! Jeszcze będziemy szczęśliwi!

— Tak, ale ja nie jestem taka silna, by wciąż nasze szczęście kosztem innych odsuwać, przekreślać...

— O, jesteś, jesteś, przecie cię znam! A poza tym znowu zapominasz, że Pan Bóg nie doświadcza nad siły! — Cóż to? każesz mi być dzisiaj kaznodzieją, czy też twoim spowiednikiem i przypominać rzeczy dawno znane? — woła młodzieniec ze śmiechem — nie chcesz się dalej bawić?

— Chcę, tylko...

— Już nic, nic, idziemy w tan!

Nazajutrz z wielkim pocztem sług i rycerstwa zjechał do Neapolu Duca di Gravina. Wielki pan kieruje się wprosi do Castel Nuovo, pałacu królewskiego. Tam pyta o najdoskonalszych prawników miasta, o mężów wiekiem dojrzałych... I padło wiele imion, imion sławnych, imion doktorów uniwersyteckich, a nad wszystkie wybiło się imię Alfonsa Liguori.

— Kto on? — pyta Duca di Gravina, zdziwiony i zaskoczony wziętością i mirem owego adwokata.

— Syn szlachetnego, wiernego nam rycerza Liguorego, kapitana naszych galer królewskich i A nny Cavalieri szlachcianki dostojnej, młodzieniec, który w szesnastym roku życia zdobył doktorat obojga praw.

— W szesnastym roku życia!... — szepcze Duca di Gravina zdumiony.

—...a teraz, po trzyletniej praktyce u sławnego mistrza naszych adwokatów, otwiera własną praktykę.

— Tego wybieram, by poprowadził moją sprawę — orzeka możny rycerz di Gravina.

— — — Wieczorem tegoż dnia obiegała neapolitańskie domki i pałace wieść, że Duca di Gravina wytoczył proces przeciwko Wielkiemu Księciu Toskanii, i że sprawę jego poprowadzi młodziutki doktór Alfons Liguori, sławny w wielu już procesach.

Zaś kościelny u Santa Maria del Carmine patrzy przez uchylone drzwi zakrystii na płaczącą u stopni ołtarza księżniczkę Teresę i dziwuje się wielce.

— Czemu płacze? przecie powinna się cieszvć z takiego wyróżnienia jej narzeczonego? — zakrystian kiwa głową ze współczuciem — że też ludzie zawsze muszą się o coś martwić! I to wszyscy ludzie: książęta i ubodzy. Ano, sprawiedliwie rozdziela Pan Bóg kłopoty...

A księżniczka płacze, bo zwątpiła w Bożą sprawiedliwą opiekę. To, czego się w przeddzień obawiała, nastąpiło tak szybko.

— Jak nieprzenikniony jest Bóg w zamiarach swoich, już po raz drugi odsuwa od niej i Alfonsa szczęście ziemskie, żądając pracy dla drugich! Nieprzenikniony Pan, ale Ty — oczy księżniczki podnoszą się z ufnością ku wizerunkowi ołtarza — jesteś dobrą Matką!

Promienie zachodzącego słońca odbijają się w szerokich, szczerozłotych ramach obrazu Madonny i słaby blask rzucają na głowę Alfonsa Liguori. W pracowni młodego doktora jest cicho; tylko pióro chodzi niestrudzenie po papierze, chodzi i skrzypi a papier szeleści. Prawnik kończy pracę. W dzisiejszy wieczór odbędzie się ostatnia, decydująca rozprawa.

Alfons Liguori przymyka na chwilę oczy. Czuje ból w głowie. Jest już bardzo zmęczony tą kilkumiesięczną żmudną pracą. Przestudiował dokładnie niezliczone akta i dokumenta procesu. Z zamiłowaniem wertował pożółkłe pismo, byle tylko wyłuszczyć wszystką prawdę. Cieszył się, widząc podziw w oczach swych profesorów, gdy przemawiał w sprawie Duca di Gravina, gdy słyszał potem na ulicy niemilknące oklaski ludzi. Dziś przemówi ostatni raz, a jutro, albo dopiero pojutrze — młody prawnik otwiera oczy, co goreją szczęściem i patrzy w oblicze Madonny — pomówię z Teresą o naszym ślubie!

— — — Na ulicach Neapolu, przed gmachem sądu — tłumy. Już noc głęboka, rzesza się niecierpliwi, ale nikt nie odchodzi. Naraz w drzwiach gmachu pojawia się doktór Alfons Liguori. Zrywają się oklaski. I szybko milkną. Młody adwokat jest bez togi, bez łańcucha, bez doktorskiego kapelusza. I bardzo jest blady w świetle pochodni i surowy, niby jakiś średniowieczny sędzia. Skinął głową tłumom i schodzi na plac. Masy ludzi w milczeniu rozsuwają się przed nim. Niesamowita cisza i strach osobliwy padł na tłumy. Liguori idzie w stronę Starego Miasta, tam, gdzie nad dachami domów wznosi się wieża Santa Maria del Carmine. Idzie, a myśl jego pracuje gorączkowo.

— Daremna praca... tyle włożyłem w nią wysiłku, tak dokładnie badałem wszystko i nadaremnie. Pomyliłem się. Broniłem sprawy z fałszywego stanowiska. Pokazali mi mój błąd, pokazali, czegom nie dojrzał w pismach i dokumentach — Liguori kroczy ze zwieszoną głową. Nie dostrzega, że za nim podąża powoli księżniczka Teresa, która w swym powozie oczekiwała końca rozprawy przed gmachem sądu, nie widzi idącego spiesznie po drugiej stronie zakrystiana od Santa Maria del Carmine. Dopiero tuż przed bramą kościelną dostrzega go, kiedy odmyka żelazne wrota i widzi księżniczkę stojącą u jego boku.

— Teresa, to dobrze — uśmiecha się — chodź ze mną — i bierze ją za rękę. — Stoją przed ołtarzem. Czerwony blask lampki lekko zabarwia ich twarze. Z zakrystii dochodzi odgłos kroków kościelnego.

— Tereso, dziś po raz trzeci powiem ci owe słowa, które dyktuje mi sumienie — Liguori nie puszcza dłoni księżniczki, nie, bierze jeszcze drugą jej rękę, jakby chciał w Teresę wlać siłę, którą w sobie czuje — znowu nie pora na nasze ziemskie szczęście, bo do czego innego woła mnie Bóg. Dziś poznałem, jak marna jest wszelka wiedza i sława, jak marne wszystkie ludzkie zabiegi, jak lichy umysł człowieczy, poznałem i już wiem, że nie ta jest prawdziwa droga, którą dotąd kroczyłem, ale ta, którą dziś mi Bóg ukazał. Dlatego, Tereso, znowu nie pora na nasze szczęście, na nasz ślub. Dopiero tam wynagrodzi nam Bóg to wszystko, tam będzie nasze szczęście — ręka młodzieńca puszcza rękę dziewczyny i wskazuje w górę — czy wierzysz, Tereso? ufasz Bogu? będziesz dość silną?

— Będę ciebie godną.

W trzy lata później, w grudniu 1726 roku, u Santa Maria del Carmine odprawia ksiądz Alfons Maria Liguori mszę św. U drzwi zakrystii klęczy kościelny i z radością wpatruje się w kapłana. A klęcząca opodal w ławce mniszka, z przymkniętymi oczyma, księżniczka Teresa, uczestniczy w ofierze, którą składa Bogu — jej dawny narzeczony.

„Gość Niedzielny”, nr 31/1947, s. 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Cegły są – brak cegiełek

Jasne, długie pasmo szosy to pnie się w górę, to spada w dół, to biegnie przez miasteczka, to znów przecina łąki i lasy. Początek tego długiego pasma szosy sięga otoczonej lasem kominów, zadymionej stolicy Śląska. Koniec zaś drogi rozpływa się w samym jasnym słońcu, co wędrując po górach zagląda wciąż w kotlinę, wesołą i rozśpiewaną. Bo w tej

kotlinie, w którą ciągle patrzy słońce, której od deszczów i wichrów strzegą kołem stojące góry, jest miasto dzieci — Rabka.

Niedziela. 10-ta godzina rano. Z kościoła wysypują się dzieci i czwórkami, w długich kolumnach, ze śpiewem i śmiechem wędrują do lasu, w góry. Dzieci z całej Polski, z krakowskiego, poznańskiego, warszawskiego. Lecz jest jeden zakątek w Rabce, gdzie przebywają Hanki, Karliki, Tereski i Z efliki, nasze śląskie dzieci. To Sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża dla dzieci całego województwa śląsko-dąbrowskiego.

Przy ulicy Dietla, parę kroków w górę, szeroka żelazna brama. W głębi jasny dom z werandą. Potem park, dużo, dużo drzew i drugi dom; opodal trzeci. A tam, na łące namioty. Pod namiotami łóżka. Bo dzieci jest dużo, bardzo dużo. Bawią się w „chodzonego lisa", gonią za piłką, skaczą przez sznur. To te większe. Mniejsze usiadły na leżakach wkoło ochroniarki: słuchają bajki i gryzą jabłka.

W dużych salach stoją rzędem łóżeczka; niskie, żołto-drewniane skrzynki, dar Szwecji. W tej sali śpią chłopcy, w tamtej dziewczęta. Tu z krzyża spogląda Pan Jezus, tam czuwa Częstochowska. A przez szerokie okna wchodzą do sal drzewa. Pachnącymi, iglastymi ramionami uderzają lekko o szybę. Hanka budzi się rano, patrzy i nie widzi fabrycznego komina, lecz zielone gałęzie drzew.

Pani doktor Gołaszewska prowadzi do białej sali. Pod ścianami małe wanieneczki odgrodzone ściankami. Woda ciepła, zimna, a trzeci kurek, to solanka. Pan doktor Romanowski pokazuje gabinet lekarski. Te duże lampy kwarcowe, to też dary zagranicy. Pan doktor objaśnia: na 721 dzieci leczonych w różnym czasie od maja 1946 r. do maja 1947 r., w tym dziewcząt połowa i chłopców połowa. 716 dzieci poprawiło swe zdrowie. Dzieci cierpiały na schorzenia błon śluzowych nosa, gardła, oskrzeli, gruczołów obwodowych. Osobno znajduje się gabinet dentystyczny. Ten pokoik przemierzyły prawie wszystkie dzieci, i to bez łez i bez strachu, jak objaśnia pan doktor.

Na końcu korytarza w jednym z pawilonów jest kapliczka. Mała, z obrazem Serca Pana Jezusa, z barwnymi postaciami aniołów na ścianach. Wokoło kropielniczki wianki z polnych kwiatów uwite przez dzieci.

Gdzieś na ścianie, zdaje się, że w sali szkolnej (dzieci, które w okresie szkolnym przebywają w sanatorium, tam również pobierają naukę) wisi tablica z dziesięciorgiem przykazań dla dzieci sanatoryjnych.

Jedno z tych przykazań brzmi: „Stwarzaj wszędzie radość i zadowolenie". Dzieci przyjeżdżają blade, smutne. Małe, ciemne izby w domach górniczych i hutniczych, w „familokach", nie dają zdrowia i niewiele stwarzają radości. Dopiero góry, słońce i las uczą dzieci radości. Dopiero troskliwa opieka lekarzy i opieka pana dr. Schebesty, kierown. P.C.K., o którym wiadomo, że kiedy się patrzy w jego oczy, to widzi się w nich sanatorium, darzy dzieci weselem i zadowoleniem.

Oprócz słońca, gór, opieki lekarskiej i opieki pana kierownika, jeszcze jeden wielki przyjaciel dzieci uczy je radości i daje im radość. Bo pan Kornel Makuszyński nosi serce na dłoni. Z tym sercem na dłoni siada pomiędzy dziećmi na leżakach, rozprawia z nimi i bez wytchnienia pisze autografy dla Karlików i Teresek. Kiedy braknie w piórze atramentu — pisze kawą byle nie zasmucać odmową dziecięcych twarzyczek.

Czy wszystkie śląskie dzieci pojadę do Śląskiego Sanatorium w Rabce? Na 534 tys. naszych dzieci 200 tys. koniecznie musi znaleźć się w Rabce, bo tyle dzieci jest zagrożonych. Obliczenia wskazują, że dla 780 dzieci rocznie konieczny jest wyjazd do Rabki. Jak temu zaradzić? Otóż tak, objaśnia pan dr Schebesta. Te trzy pawilony sanatoryjne, to tylko tymczasowe pomieszczenia. Właściwe sanatorium rozpoczniemy dopiero budować. Prawdopodobnie we wrześniu. Skończymy budowę za dwa lata. Jest już wapno, jest budulec drzewny i żelazny, a tu pomiędzy drzewami leży cegła. Czerwona cegła z Mikołowa. A więc nasza śląska cegła na nasze śląskie sanatorium dla naszych śląskich dzieci. Lecz sanatorium przedstawiające się okazale na planach budowlanych dopiero wtedy wzniesie się rzeczywiście wśród drzew, gdy drogą śląskich czerwonych cegieł napływać będą pieniądze — cegiełki na sanatorium. Bo wielu potrzeba jeszcze milionów, aby dać naszym dzieciom zdrowie i radość.

„Gość Niedzielny", nr 34/1947, s. 6.

JADWIGA BERNHARDT

O wrocławskiej krzywej wieży i o dwu murarczykach

— Teraz tu raczcie spojrzeć, jaśnie panowie! Ten malunek okna przedstawia; będą wąskie, wysokie, a tu w szczycie, jak nakazuje gotycka sztuka, złamane.

Siwe i łyse głowy rajców miejskich pochylają się nad stołem. Podzwaniają ciężkie, złote łańcuchy na czarnych togach. Wyciągają się chude i grube szyje i spod szkieł śledzą oczy żylasty palec mistrza murarskiego.

— A tu, na tym pergaminie, to wieża kościelna, co?

— Zgadliście, jaśnie panie, to wieża — mistrz Martulak Józef prostuje swą barczystą postać i z butą osobliwą spogląda na czcigodnych radnych. Widać, że jest z czegoś bardzo dumny.

— Może jeszcze wielmożny pan odgadnie, jak wysoka będzie ta wieża? — pyta z uśmieszkiem na ogorzałej twarzy.

— Jak wysoka? trudno odgadnąć. Może sześćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt pięć metrów, czy ja wiem? — radny wzrusza ramionami. Jest podenerwowany, bo zdało mu się, że burmistrz uśmiechnął się pogardliwie, gdy on powiedział sześćdziesiąt metrów.

— Otóż, moi panowie — odzywa się mistrz Józef z godnością — wieża naszego nowego kościoła, kościoła św. Elżbiety, będzie wysoka na dziewięćdziesiąt i pięć metrów.

Cisza zrobiła się w ratuszowej świetlicy. Tylko echo ostatnich słów mistrza murarskiego tłucze się od jednej białej ściany ku drugiej: dziewięćdziesiąt i pięć metrów! Radni, jedni z podziwem w mistrza Martulaka wpatrzeni, drudzy z zdumieniem i powątpiewaniem wodzą wzrokiem po pergaminie, na którym czarną i czerwoną farbą namalowano długi, chudy kształt, u dołu szeroki a w górze roztapiający się w spiczastej wieżyczce.

— Tak, wielmożni panowie — ciągnie dalej mistrz — niższą wieża być nie może, nasze miasto Wrocław musi mieć wieżę najwyższą!

— Ale jej mieć nie będzie — odzywa się nagle milczący dotąd burmistrz — jeśli zostaniecie, panie, tylko przy dziewięćdziesięciu pięciu metrach.

— Dlaczego, co to znaczy, wielmożny burmistrzu? — mistrz Józef czuje się bardzo dotknięty, a jego czerwienią nabiegła twarz świadczy o wielkim wzburzeniu.

— To znaczy, panie mistrzu, że wiedeńczycy będą mieli najwyższą wieżę — burmistrz mówi powoli, spokojnie i tak obojętnie, jak by nie dostrzegł wrażenia, jakie robią słowa jego na radnych. — Wasz nowy kolega, mistrz Vartini Bartłomiej — burmistrz spogląda badawczo na Martulaka, wie dobrze, jaka niezgoda panuje między obydwoma mistrzami — opowiadał mi, że w Wiedniu buduje się kościół św. Stefana, którego wieża sięgać ma stu trzydziestu metrów!

— Nie może być! — radny, któremu sześćdziesiąt pięć metrów było aż nadto wiele, podnosi się osłupiały z głębokiego, wyścielanego krzesła — nie może być! — szepcze do siebie.

— To mistrz Vartini przywiózł jaśnie panu burmistrzowi takie ciekawe wieści, mistrz Vartini, co dopiero rok jest w naszym mieście, zważcie wielmożni panowie — Martulak mówi urągliwie, z szyderstwem, ale pod tym szyderstwem kipi gniew i zawiść — to może mistrz Vartini raczy i u nas wybudować wieżę na sto trzydzieści metrów...

— Panie mistrzu — burmistrz surowo przerywa Martulakowi — właśnie chciałem was prosić o to, abyście mistrza Vartiniego wzięli do spółki przy budowie kościoła św. Elżbiety.

— Do spółki?! aha, mogłem się tego spodziewać! przecie odkąd ten tu jest, wszędzie mi bruździ! — Na czoło Martulaka wystąpiły grube żyły, a ceglasta twarz mieni się sino. — Nie chcę z nim spółki! — krzyczy z gniewem — niech sobie sam kościół stawia i sto trzydziestometrową wieżę buduje! — żylaste, gniewem roztrzęsione dłonie zbierają ze stołu pergaminy. Nie dźwięczą złote na szyjach rajców łańcuchy. Wszyscy siedzą nieporuszeni, nieprzyjaźni mistrzowi Józefowi za tę zawiść niezbożną, która nim owładnęła.

— De tribulatione invocavi Dominum, et exaudivit me in latitudine Dominus[53] — ksiądz pleban od św. Elżbiety podnosi głowę znad brewiarza, patrzy zamyślony na słoneczne plamy malowane na piasku przez ruchliwe liście, a potem z wielką troską w oczach podnosi głowę jeszcze wyżej... tam, spomiędzy wysokich cmentarnych drzew, ponad dachy domostw, pnie się ku niebu smukła kościelna wieża...

---

[53] W moim utrapieniu wzywałem Pana, a Pan mnie wysłuchał i wywiódł na wolność. [Ps 118 (117), 5].

— De tribulatione invocavi Dominum — powtarza pleban zwrotkę psalmu — dobry Panie Boże, spójrzże na mnie w nieszczęściu moim i pomóż mi, wywiedź mnie i owieczki mi powierzone na bezpieczne miejsce. Uchroń od zła, od nieszczęścia — oczy znad kart nabożnych jeszcze raz biegną pod niebo, gdzie wysoka kościelna wieża skośną linią błękit przecina.

— Jakże prosto wyróść mogła — myśli ksiądz pleban — kiedy towarzyszyła jej złość, zawiść, pycha, a nie troska o Bożą chwałę. Musiała krzywo wyróść, bo krzywe, złem spaczone są serca ludzi, którzy ją budowali. Mistrz Vartini myślał tylko o tym, by sztuką murarską zaćmić mistrza Martulaka; mistrz Martulak przeklinał dzieło, które miało powstać bez niego, a z r ęki jego rywala. A ludzie... — ksiądz pleban ma gorzki grymas na twarzy — jakże wielu było takich, których nie chwała Boża wiodła, ale chęć pyszna, by Wrocław, nie Wiedeń, miał najwyższą wieżę kościelną!... De tribulatione, tak, Panie, w podwójnym nieszczęściu proszę cię o pomoc: wpierw, żeby tych dwu wrogów pojednało się, a potem... żeby ta wieża nieszczęsna nie zwaliła się na ludzi. Oni ślepi, i ja też marny i lichy, Panie Boże — ksiądz pleban zniża głowę w pokorze — ale to, że ta wieża krzywo wzrosła, i że grozi zawaleniem, wielu już ludzi oświeciło w ich pysze, wielu przejrzało i w bojaźni modli się do Ciebie. Dobry Panie Boże, niech Twoi Anieli strzegą tej krzywej wieży, dopóki nasi mistrzowie nie pogodzą się i nie naprawią tej budowy,

— Kto widział tak wiele się turbować? — staruszka, nad kijem sękatym pochylona, stoi przed plebanem i uśmiecha się doń tysiącem żółtych zmarszczek. — A to zapomniał ksiądz pleban kochany — głos staruszki drży tak, jak te listków cienie na słońcem wyzłoconej dróżce cmentarnej — iż Pan Bóg dużo aniołów swoich na świat posłał? Jednych, by ludzi strzegli, drugich, by domów ich strzegli, trzecich, by nad całymi miastami i wsiami straż mieli. Myślę, że i tej krzywej wieży naszej aniołowie jacyś strzegą.

— Pięknieście to powiedzieli, Martulakowo, i prawdziwie. Ale widzicie ja się więcej martwię o ludzi, o tych dwu naszych zaciętych wrogów, niż o tę wieżę.

— A jednak, tak mój syn, jak i Vartini, swoich aniołów stróżów mają.

— Mają, pewnie że mają, ale cóż, kiedy teraz tylko złego ducha słuchają, który też nam nieodłącznie towarzyszy i konkuruje z niebieskim

stróżem. Prosiłem Vartiniego, by gwoli ludzkiego bezpieczeństwa zniżył wieżę, ale on nie chce i wszystkim czeladnikom swoim zabronił pracy tej się imać. Powiedział mi, że gdzieś w świecie też stoi krzywa wieża i nikt jej się nie boi; a k iedym dalej nalegał, powiedział mi ze złością: niech mistrz Martulak wieżę wam prości!

— Oj, niedobrzy ludzie, niedobrzy! — jęczy babinka.

— Prosiłem i waszego syna, mistrza Józefa, ale on i słuchać o tym nie chce; cieszy się z. nieszczęścia, mówi, że Pan Bóg pokarał Vartiniego... prosiłem jego czeladników, nie chcą, boją się, bo ich mistrz też im zabronił...

— Księże plebanie, coś wam zdradzę — Staruszka przysiada na ławie blisko plebana, jakby jeszcze bardziej roztrzęsiona tą radością, która błyszczy w jej oczach skrytych pod nawisłą, czerwoną powieką — znam dwu murarczyków, którzy chcą wieżę naprawić, dwu murarczyków, księże wielebny...

— Kto to taki? Skąd wiecie, że chcą? — ksiądz pleban poderwał się z ławy i zawisł oczyma na wąskich wargach staruszki.

— Kto to taki? — babina uśmiecha się błogo — Wawrzek Martulak, mój wnuk, i Tomek Vartini, syn mistrza Vartiniego.

— Święty Boże! Skąd o tym wiecie?

— Wnuk Wawrzek już od dawna kręci się niespokojnie w domu, wciąż gdzieś znika, ojca omija; onegdaj przyszedł do mojej izdebki i powiedział o swoich zamiarach. A powiedział, że nie sam pójdzie, jeno jeszcze jeden, ale miana tego drugiego rzec mi nie chciał.

— Skąd tedy wiecie?

— Wczoraj z w ieczora i teraz, jak szłam na cmentarz — staruszka patrzy chytrze na plebana — widziałam jak Wawrzek z Tomkiem Vartiniego kręcili się koło naszego kościoła. Odgadłam dobrze, księże plebanie?

— Tak, matko. Odgadliście dobrze i wielceście mnie pocieszyli. W tym wyraźny znak Boży, że synowie dwu wrogów przyjaciółmi są. Nie dziwneż to, matko?

— Dziwne, dziwne, ale oczy stare, które już bardzo długo na świat patrzą, nie dziwią się niczemu, bo wiedzą, że tak, czy owak Pan Bóg nad nami straż trzyma przez aniołów swoich.

— Panie burmistrzu, ksiądz pleban od św. Elżbiety przysyła zakrystiana z jakimś ważnym rozkazaniem — gosposia stoi w drzwiach

świetlicy z dymiącą misą w ręce — ma poczekać? mam zaraz wieczerzę podać?

— Niech wstąpi. Poczekamy z posiłkiem.

Burmistrz podniósł się od siołu, gdzie zebrała się cala jego rodzina i wchodzi do izby obok. Izba jest jasna, bo choć mniejsza od świetlicy, ma aż cztery wysokie, głęboko w murze osadzone okna.

Gospodyni wprowadza zakrystiana, dyga i zamyka drzwi za sobą.

— Cóż wam ksiądz pleban rozkazali?

— Jaśnie panie burmistrzu — zakrystian kłania się głęboko — ksiądz pleban proszą, abyście jutro z rana przyszli uroczyście z wszystkimi wielmożnymi rajcami miasta na wotywę, którą ksiądz pleban sprawować będzie za dwu murarczyków, co pójdą na kościelną wieżę.

— Wieżę pójdą naprawiać? Znaleźli się tacy? A kto?

— Jaśnie panie burmistrzu, to synowie naszych mistrzów murarskich, Wawrzek Martulak i Tomek Vartini.

— Co wy mówicie?! — burmistrz zapomniał o swej godności. O zwykłym mu spokoju. — Jak to być może? a ojce ich?! Przecie nie dopuszczą do tego!?

— Być musi, ze się nie sprzeciwią; byli przed chwileczką na plebanii...

— No i co?

— Ja nie wiem dobrze. Widziałem, że wychodzili zgodnie, a ksiądz pleban rozradowany z nimi. Potem mnie ksiądz pleban wołali. Mówili coś z weselem, czego dobrze nie rozumiałem, bo i po łacinie mówili, że już wrogów nie ma, że synaczkowie mocniejsi są nad ojce, a anieli nad złego ducha, że już teraz krzywa wieża nikomu nie grozi, bo ludzie są dobrzy, powiadali, że murarczyki spełnili już swoje zadanie, a nawet więcej zrobili niż zamierzali, czemu jednak wyrozumieć nie mogę boć krzywa wieża dalej jak stała, stoi...

— Zrobili więcej... tak, ojców, wrogów pojednali przez swą odwagę... — a po chwili: idźcie tedy i powiedzcie księdzu plebanowi, że będę jutro z radnymi moimi na nabożeństwie i powiedzcie księdzu plebanowi, że go z wielkim szacunkiem pozdrawiam.

Nocą burza szaleje nad Wrocławiem. Czarne niebo mieni się blaskiem błyskawic, jęczy i huczy grzmotem, płacze deszczem. A ludzie pod dachami domostw śpią spokojnie, choć dotąd, jak burza szła, z trwogą

myśleli o krzywej wieży. Tej nocy nikt nie boi się nieszczęścia. Wydaje się wszystkim, że skoro dwaj wrogowie się pogodzili, a synowie ich jutro pójdą wieżę naprawiać, tedy żadne już nieszczęście grozić im nie może.

- -

Rano słońce wstaje, a ludzie spieszą na nabożeństwo. Wieża kościoła św. Elżbiety jak grot przedłużony przebija błękit i... jak prosty grot, bo wieża nie jest już krzywa — ale za to krótsza. Na placu przed kościołem widzą zdumieni ludzie wierzchołek wysokiej wieży, ten wierzchołek, który chylił się i groził nieszczęściem. Spokojnie leży kamień na kamieniu przy kościelnym placu. Kościół stoi nienaruszony, nienaruszone są podkościelne domostwa. Spokojnie leży głaz przy głazie, jakby anielskie ręce nocą burzliwą kamień po kamieniu na ziemię niosły, aby snadź me wyrządził nieszczęścia ludzkiemu stworzeniu.

Kościół św. Elżbiety wybudowano około 1430 r. Stu trzydziestometrowa wieża rzeczywiście była krzywa i w kilkanaście lat później zwalił się jej wierzchołek, bez jakiejkolwiek dalszej szkody. Mówiono później, że to aniołowie znieśli wieżę na ziemię.

„Gość Niedzielny” nr 41/1947, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Jesienne troski

Jedzie powoli i z troską patrzy na małe, słabe kółka. Wyginają się, raz w tę, raz w tamtą stronę. Bo ciężar jest wielki; w głęboki, żółty wózek dziecięcy nasypano ziemniaków po same brzegi. Kobieta pcha wózek ostrożnie. A kółka piszczą przeraźliwie...

Obok wózka podskakuje czteroletni chłopaczek. Z jednej rączki do drugiej przekładając niesie nicianą siatkę z paru ziemniakami. Z okrągłej, umorusanej buzi dziecka nie schodzi radosny uśmiech. Przecie to atrakcja nielada — zwozić ziemniaki na zimę.

Drogą z przeciwnej strony, też wiozą ziemniaki. Na mocnym, ręcznym wózku piętrzy się kilka cetnarowych worków. Przy dyszlu idzie czterdziestoletni mężczyzna. W zębach trzyma mocno krótką, prostą fajkę. Pyka zawzięcie i dyszy ciężko. Wózek popędza w przód pochylona kobieta.

Nie widać jej twarzy. Widać tylko zlepione kosmyki włosów wymykające się spod chustki i palce ziemią uwalane wczepione mocno w deskę wózka. Z boku pomaga chłopak dwunastoletni, w krótkich, harcerskich spodenkach na bosych, zaczerwienionych od chłodu nogach. Patrzy żałośnie. Wolałby z chłopakami przy ognisku gonić i ziemniaki piec. Do kościoła jeszcze daleko. A prędzej ojciec nie pozwoli odejść, bo pod kościół droga pnie się stromo i naładowany wózek cięży mocno.

Z obydwu stron drogi — domki. Szare, mniejsze i czerwone, większe. Przed domkami wielki ruch. Wszędzie wre robota. Z pól zwożą ostatki. Na chodnikach wielkimi, jasnymi kupami leżą ziemniaki. Duże, żółte ziemniaki. Tam znowu piętrzą się główki kapusty: modre i białe.

Zwijają się ludzie raźno na drogach, chodnikach i podwórzach, bo niebo ciężkim ołowiem wisi nad ziemią. Już z rana dość mocno padało, w południe coś tam słońce poświeciło, a teraz pod wieczór znowu sipać zaczyna.

Ciężkim ołowiem wisi troska przed zimą na ludzkich sercach. Na sercach ojców i matek, troska o chleb codzienny na długi czas zimy, o ziemniaki, o kapustę, o węgiel ... zabiegają ludzie raźno o karmę dla ciała, frasują się ciężko, lecz dzień im nie minie, aby Pan Bóg złotym słońcem swej pociechy, łaski swojej, nie wsparł ich, nie oświecił w kłopotach — „Troszcz się o pokarm dla ciała twego, lecz nie za wiele, aby snadź przy tych zabiegach dusza twoja pokrzywdzoną nie była” — zda się mówić dobrotliwy Bóg.

Deszcz mży lekko, leciutko, jest jak szary, mokry pył rozsnuty w powietrzu.

Po obydwu stronach drogi, co stromo wiedzie pod kościół, za rzędami domostw, za stodołami, ciągną się pola. Nagie, odkryte pola, ogołocone ze zbóż złotych, z traw zielonych, z kwitnących kartoflisk... jasnomodre i żółte dymy snują się nad polami. Dymy palenisk, przy których hałasują gromady dzieci. Skaczą koło ogni, w żarze grzebią kijami, próbują, czy ziemniaki już się wypiekły i zawzięcie huśtają „kadzidłem”, na drucie umocowanym pudełkiem od konserw, w którym tli się mokra nać.

Opodal leniwo chodzą krowy i wesołymi jasnymi plamami na czarnych rolach skaczą kozy. Nad stawem kilku chłopców z siatkami na długich kijach łowi robaczki dla ryb. Każdy z nich ma mały słoiczek na

sznurku do połowy wodą napełniony, w którym roi się od złowionych robaczków.

Czas do domu czas.
Już wołają nas.
Dzwonek z wieży do pacierzy,
matka woła do wieczerzy,
czas do domu czas,
już wołają nas.

Pieśń, krzykliwie, nierówno śpiewana przez chłopców, przebija się przez nisko sunące dymy i dźwięcznym już, melodii pełnym echem biegnie pod niebo.

A tam, pod ciemniejącym, październikowym niebem, spotyka się z śpiewnym wołaniem różańcowych dzwonów. To różańcowe wołanie biegnie drogą, gdzie jadą wózki i wozy z ziemniakami, biegnie chodnikiem, gdzie leżą główki kapusty, wpływa w obszerne podwórza między krzątających się ludzi i przypomina, że człowiek nie jeno na to stworzony, by ziemskie żniwował plony, lecz by i do niebieskich gumien znosił płody obfite modlitw różańcowych, uczynków miłosiernych i zasług przeróżnych.

„Gość Niedzielny", nr 43/1947, s. 6.

JADWIGA BERNHARDT

Na krakowskich plantach jest niedziela

Po twardej, zmarzniętej ziemi wloką się ostatnie dni listopada, a po gładkim, czystym niebie chodzi sobie październikowe słońce. Ciepłe, promienne, złoto-jesienne. Nachyla ono twarz szczerozłotą ku smętnej listopadowej ziemi i zaraża ją swym uśmiechem. I oto, zniechęcona już do życia ziemia na nowo żyć poczyna. Poczyna się uśmiechać ku słońcu ostatnim listkiem, co drży na gołej gałęzi, uśmiecha się tą gałązką cienką, czarną, co bije o drugą na wietrze, uśmiecha się tą brązowożółtą kupą liści, co wkoło otoczyły gruby pień kasztana i śmieje się ku niebu tą trawą spłakaną od ostrego, porannego przymrozka.

Z dębowego konaru spadła puszysta, brązowa kulka. Zrazu nie rusza się. Potem wysuwa się spiczasty pyszczek, para błyszczących paciorków, i duża kita ogona prostopadle wyrasta z wilgotnej trawy. Wiewiórka z szelestem sunie wśród zeschłych liści. Zagrzebuje się tak, że tylko ogon widać. Myszkuje. A potem majestatycznie, bez strachu, spaceruje po asfaltowanej alei krakowskich plant. Tam, gdzie przystaje piątka. Wygląda tak, jakby czekała na tramwaj, by pojechać na Salwator. Gdzie mocnym snem śpi biała mniszka, gdzie wiślane fale szumią Bronisławie.

Tramwaj nadjeżdża; jest biały i modry, rozdzwoniony i radosny. Bo jest niedziela i ludzie jadący w tramwaju są uśmiechnięci. Cieszą się dniem świątecznym i październikowym ciepłem słońca w zimnych dniach listopada.

Z mariackiej wieży spływa dziesięć długich dźwięków. Dźwięki są mocne, ciężkie i dlatego nisko płyną nad miastem. Czepiają się gzymsów domów na rynku, mijają sukiennice, ratuszową wieżę... a w ślad za nimi lecz o wiele, wiele wyżej, biegnie hejnałowa melodia. Wylatuje z otwartego okienka wyższej mariackiej wieży i biegnie Floriańską ulicą ku Floriańskiej bramie, ku Barbakanowi, do ojców Misjonarzy na Kleparz. Potem wybiega z drugiego okienka ku kolegium, ku świętej Annie, na Piasek do Karmelitów. Z trzeciego okna ulatuje na Wawel, na Skałkę, i w końcu, z ostatniego okienka hejnałowa melodia przez Starowiślną koło Urszulanek, obok kościoła Bożego Ciała, biegnie pokłonić się Wiśle. Sine fale Wisły płyną powoli, wyniośle. Łaskawie pozwalają złocić swe grzbiety słonecznym promieniom. Sędziwa, majestatyczna Wisła... Sąż to fale tej samej Wisły, co widziała, jak za króla Kazimierza powstawał z drewnianego Krakowa Kraków murowany? — co patrzała na coraz piękniejszy Wawelski Gród za Starego Zygmunta i wyniośle spoglądała na hołdującego polskiemu królowi mistrza Krzyżaków? — co z dumą niosła do Bałtyku wieść o zwycięstwach Sobieskiego? Czy pamiętają te fale Kościuszkę? czy znają mękę stuletniej niewoli? Czy widziały siwowłosego Matejkę i młodziutkiego przy nim Wyspiańskiego?...

Może dla nich czas nie płynie... może na Wiślanym brzegu pod krakowskim grodem stoi czas i odpoczywa.

Tak, jak stoi posąg Maryi Panny u wylotu Jagiellońskiej ulicy, za Gołębią, na plantach. Wznosi się wysoko, na murowanym fundamencie

barokowa figura Najświętszej Panny. Szata rozwiana, głowa złotem koronowana wzniesiona. W prawej ręce berło; w lewej pęk strzał o złocistych grotach. Ta zwycięska Pani stoi w tym miejscu od kilku dopiero lat. Przedtem przez lat kilkadziesiąt stała przed kościołem ojców Kapucynów. Lecz tam, naprzeciw, w dużym gmachu w latach wojny zaczęli urzędować okupanci. Drażniła ich bliskość zwycięskiej Pani, co, zda się, patrzyła w ich okna, na ich biurka, na ich palce zapracowane w złem. A kiedy posłyszeli historię tego posagu. — — — Dawno przed laty, wróg napadł na miasto i wrogie strzały posypały się na bezbronnych mieszkańców. Wtedy święta Panna na ratunek pospieszyła, chwytając w dłoń swą świętą wszystkie nieprzyjacielskie strzały — — — gdy to usłyszeli, ulękli się w swych sercach tchórzliwych i przenieśli posąg na inne miejsce. Na planty. Gdzie go już co dzień nie widzieli. Nie chcieli pamiętać o tym, że Boża Pani ratuje od wrogich strzałów. Że w dłoń swą świętą chwyta każdy zatruty grot wymierzony w opuszczone, biedne serce ludzkie.

„Gość Niedzielny", nr 48/1947, s. 4.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Jak Mikołowianie nad świętowojciechowym kościołem radzili

Kryje się św. Mikołaj w cieniach grodu, chroni mury stare, od ognia wojny sczerniałe, orężem nieprzyjacielskim poszczerbione[54]. A Wojciech św. stoi dumnie opodal, za rzeczką. Nową, mocną drewnianogotycką wieżą bieleje nad grodem Nicopolis.

---

[54] W roku 1273 spustoszył wielki książę polski Bolesław Wstydliwy księstwo Władysława opolskiego, po Odrę, Racibórz, Koźle, Opole, bo książę opolski wszedł w spisek z panami krakowskimi przeciwko Bolesławowi Wstydliwemu. Wtedy to ucierpiał i gród mikołowski i kościółek św. Mikołaja — a w lat kilka Mikołowianie, choć bardzo zubożeli zbudowali nowy kościół.

Od grodu w stronę nowego miasta idą chłopcy. Idą doliną Jamny, nad stawem, nad strumykiem. Dwaj z przodu ślizgają się po twardym lodzie. Głośno, z śmiechem hukają. Ci z tyłu idą poważnie, bez śmiechu. Zasępione ich młode twarze.

— Walek, Paweł, nie marudzilibyście! — chłopak hukający wesoło w mroźny wieczór, ogląda się za pozostałymi w tyle towarzyszami. — Idziecie jak na ścięcie!

— Łatwo mu gadać — Walek Czech zżyma się na wesołka — mnie tam wcale nie spieszno.

— A może mnie, co? — Paweł Cieśla patrzy ponuro przed siebie. — Co to będzie? jak nas pokarzą? — myśli ze strachem. Mijają kościół św. Wojciecha. Brama jeszcze nie zamknięta. Dopiero co dzwonili na Anioł Pański.

— Walek, wejdziesz?

— Chodź, ale na krótko, bo na nas czas.

Św. Męczennik w głównym ołtarzu nie patrzy na zgnębionych czeladników. Zda się nie słyszeć ich krótkich, niezręcznych słów prośby.

Ale niezrażeni czeladnicy proszą. I mocno biją się w piersi, gdzie pod kożuchem serce drży ze strachu. Potem biegną przez rynek. Wskroś, ku jasno gorejącym okienkom gospody.

— Patrz, mieliśmy szczęście! Mistrz Matysek co dopiero przyszedł — Paweł ruchem głowy wskazuje na ogromną postać męża, któremu inni pomagają wydostać się z kożucha. Widzisz, jak mu się broda świeci?

— Niby drzewko wilijne srebrem posypane!

— A z wąsów to mu kapie jak z tamtej beczki, gdy jej Kasia dobrze nie zakręci.

— Widzi mi się, że złym wcale nie jest. Jakby nie na sąd przyszedł...

— Prawda... a może on nie dla sądzenia osobliwe zgromadzenie zwołał? może będzie coś cechom oznajmował?

— Może nam się jakoś upiecze tym razem...

— Cicho, będzie zaczynał!

Weszli do świetlicy.

Ciemny, belkowany sufit wspiera się na ścianach żółto i brązowo pomalowanych. Miedzy oknami, gdzie strop szerokim łukiem podnosi się od jednej framugi, by opaść ku drugiej, widnieje herb miasta Mikołowa. Srebrno mieni się rycerski hełm z czarną wnęką podniesionej przyłbicy a pióra stru-

sie, zda się, szumią, jak u woja, co w bój gna. Czerwono podnoszą się trzy baszty warownego grodu...

W środku świetlicy, za szerokim stołem, siedzą mistrzowie cechów. Ci dwaj ode drzwi, to mistrze piekarscy; po ich lewej siedzi mistrz kowalski, po prawej bednarski. W środku, z mistrzem Piotrem Matyskiem na czele, zasiedli mistrzowie rzeźniccy, cech najstarszy w grodzie. A tam, od pieca, rozparli się jeszcze dwaj mistrze krawieccy, trzech mistrzów szewców i dwóch mistrzów garncarzy. Wokół stołu poustawiano niskie zydle dla starszych czeladników. Zaś pod ścianami, w ścisku, stoją ci najmłodsi, uczniowie rzemiosła, co jeszcze nie byli na dwuletniej wędrówce w świecie. W oczach błyskają im jeszcze figle chłopięce, choć to i ze strachem i z szacunkiem spoglądają na swych mistrzów.

Mistrz Matysek podnosi się z ławy. Ciężką swą postać prostuje nad stołem, ręce duże wspiera na krawędziach. Spod czarnych, nawisłych brwi patrzy na zebranych, wąsa czarnego przygryza i chrząka groźnie.

— Cni bracia, cechmistrzowie, czeladnicy i u czniowie! — Piotr Matysek odchrząknął bardzo głośno i długo, jakby dla dodania sobie ostatecznego animuszu. My, mistrz bractwa rzemieślników zwołaliśmy was dzisiaj każdego z osobna, na osobliwą naradę. Powiemy krótko, o co nam chodzi, abyście długo radzić mogli nad tym, co usłyszycie. Otóż tak. Przed lat dziesiątkiem wybudowaliśmy ku większej chwale Bożej i ku czci świętego Męczennika, nowy kościół. Stary był nam już za ciasny. Wybudowaliśmy — i nic. Na więcej nas nie stać było, jeszcześmy się nie całkiem podnieśli po księcia Bolesławowym pogromie. Nie daliśmy św. Wojciechowi ani łanu, ani najmniejszej dziesięciny, nie odstąpiliśmy mu ni jatki, ni kuźni. Pamiętacie, cni bracia, jak nasz krakowski biskup Paweł musiał przyjść z pomocą św. Wojciechowi, który nie miał żadnej fundacji, żadnego dostatecznego uposażenia. Wiemy, że każdy z was z osobna wspomagał wedle możności wielebnego naszego plebana, w tym lat dziesiątku. I ksiądz Jeśko dotąd nic nam o fundacji jakiejkolwiek bądź nie wspominał, jest za litościwy na to, nie ukrzywdzi najlichszego — ale my za to musimy dzisiaj pomyśleć nad tym, jak się odpłacić księdzu plebanowi i jak po wieczne czasy zasłużyć się u św. Wojciecha. Cni bracia, cechmistrzowie, czeladnicy i uczniowie, to wam chcieliśmy oznajmić i nad tym będziemy dziś radzić.

Mistrz Matysek siada ciężko za stołem, pije z podanego garnka szumiące piwo i kraciastą chustą ociera spoconą twarz. W zasłuchanej świetlicy powoli rozwiązują się języki; już obliczają i kalkulują pod pofałdowanymi czołami, jaki jest dobytek i wiele z niego bez uszczerbku dla rodziny św. Wojciechowi oddać by można.

Pod ścianami, gdzie tłoczą się najmłodsi, nie marszczą się czoła, nie liczą pod półprzymkniętą powieką — w kieszeniach młodych czeladników, uczniów dźwięczą gwoździe, dratwy, połamane podkowy — nie talary.

— Paweł, a nie mówiłem, że się nam upiecze?

— Jeszcze się nie skończyło zgromadzenie. O patrz, mistrz podnosi się jeszcze raz i w naszą stronę spoziera! Walek, Jezus, co to będzie?!

— Oj, niedobrze...

— Cni bracia, jeszcze coś wam, powiemy, cośmy rzec chcieli. Tu obecni młodzi czeladnicy, Paweł Cieśla i Walek Czech, zasłużyli na karę. Jeden dlatego, że grał w kostki o pieniądze, a wiedział, że statut bractwa broni gry o pieniądze, czy to w karty, czy w kostki, drugi zaś za to, że dłużej o godzinę zatrzymał się w gospodzie, niż na to statut młodszemu czeladnikowi zezwala. Wiecie wszyscy, jak statut nasz te wykroczenia karze. My jednak tym razem inaczej postąpić zamierzamy. Owi wzmiankowani czeladnicy i wszyscy inni, którzy chcą się przypodobać mistrzom swoim, każdy w swoim rzemiośle wykonają coś, co przydać się może, czy to ku pożytkowi, czy ku ozdobie w kościele św. Wojciecha.

Słońce zimowego południa jasnymi plamami chodzi po skośnie układanych deszczułkach świętowojciechowego kościoła i krótkie, złote blaski krzesi w świeżych gontach kościelnego dachu[55]. Czasami natknie się na małe wąskie okno i wtedy cały snop światła klęka na drewnianej posadzce kościoła. pokłon składając św. Wojciechowi i Matce Boskiej Różańcowej. Św. Wojciech spogląda z głównego ołtarza, a Matka Różańcowa z bocznego patrzy miłosiernie po ludziach. Teraz widzi księdza plebana i jego gości, bliskich krewnych: Jana z Grabia, dziedzica Mikołowa i Borka, dziedzica Łazisk. Podziwiają ołtarz, ramy złocone, szerokie...

---

[55] Kościół św. Wojciecha z r. 1276 przypuszczalnie był początkowo z drzewa i dopiero w roku 1598 jest wspomniany po raz pierwszy jako murowany.

— A tam, na prawo od ołtarza głównego też stanie ołtarz? — pyta dziedzic Łazisk.

— Stanie ołtarz boczny, jako ten Różańcowej. Może będzie w nim św. Barbara patronowała...

— Borko, a widziałeś ty tę tu chrzcielnicę? — dziedzic mikołowski z upodobaniem spogląda i wskazuje na chrzcielnicę kutą w piaskowcu w postaci kielicha. Z jej podstawy czworobocznej wychodzi słupiec toczony spiralnie w górę i unoszący półkolistą miednicą rowkowaną w przeciwnym kierunku[56].

— Wcale ładny kościół, wcale bogaty — chwali dziedzic Borko — spodziewam się, że i fundacje przykościelne równie są bogate?

— Otóż to, kościół nie ma dostatecznych stałych dochodów — wyjaśnia mikołowski dziedzic — i już przyobiecałem naszemu plebanowi pewne fundacje.

— Jak ty, to i ja. Równie mnie on bliski, jak i tobie. A kościołowi pomoc się należy, bo piękny.

— Jestem wam bardzo wdzięczny, a parafianie moi nie omieszkają podziękować wam jak się należy — moi parafianie to ludzie bardzo dobrzy. Szczodrze i często mnie obdarowują. I oni nie poskąpiliby fundacji, gdyby nie ta ostatnia wojna.

— Wielebnego księdza plebana oczekują w świetlicy mistrz Piotr Matysek i starszy czeladnik, Jarek, — gospodyni farska nie fatyguje się do wnętrza kościoła, tylko głośno od drzwi zakrystii wykrzykuje swoją nowinę i zaraz przepada.

— No to chodźcie i wy już na plebanię — ksiądz Jeśko spieszy ku drzwiom — wymarzliście dosyć.

— Idziemy, idziemy powoli za tobą. — Lecz nie zaraz opuścili kościół i zanim doszli do plebanii, wybiegł ku nim ksiądz Jeśko z rozpromienioną twarzą.

— Wiedziałem, że moi parafianie to dobrzy ludzie, ale ta niespodzianka przechodzi moje oczekiwania...

- -

Kiedy w kilka niedziel potem książę Mieczysław i młodszy brat jego, Przemko, panowie na ziemi Cieszyńskiej, Raciborskiej, Rybnickiej,

---

[56] Chrzcielnica ta stoi dziś jako kropielnica u wejścia do kościoła.

Pszczyńskiej i Oświęcimskiej, zjechali do swej rezydencji w Rybniku, zjawili się w ich pałacu trzej szlachcice — ks. pleban mikołowski Jeśko, Jan z Grabu, dziedzic Mikołowa i Borko, dziedzic na Łaziskach, oraz delegacja rzemieślników mikołowskiego grodu. Oni to zeznali wobec książąt i świadków, że „ze względu na zbawienie dusz swoich podarowali i dali dobrowolnie i życzliwie na lepsze uposażenie mikołowskiego kościoła św. Wojciecha" różnorakie, liczne darowizny.

Borko z Łazisk darował Nowe Pole aż do lasu Popowe Kąty, i pole w Łaziskach ciągnące się w kierunku wsi Wyry, dziedzic mikołowski darował dwa ogrody położone pod starym grodem i kawał ziemi przy dolinie zwanej Głębokim Dołem, jeden z cechmistrzów jatkę odstąpił, aby w kościele nigdy łojowych świec nie brakło, drugi dochody z kuźni oddawał, trzeci dziesięcinę podpisywał...[57].

Książę Mieszko, „prawdziwy czciciel Chrystusa, pragnący pomnożyć cześć Bożą", dziwi się tym hojnym darom, a dziwi się jeszcze więcej, kiedy słyszy, że młody czeladnik kowalski, Walek Czech, ukuł i ładnie wyrzeźbił kadzidło dla kościoła, a Paweł Cieśla, czeladnik garncarski dwa krągłe wazony sprawił dla św. Wojciecha, a inni młodzi czeladnicy rozliczne pomniejsze rzeczy przemyślnie wykonali.

Książę Mieszko ze wzruszeniem potwierdza wszystko i każe, by całe to mienie szczodrych serc ludzkich bez jakichkolwiek ciężarów świeckich na wieczne czasy trwało przy mikołowskim kościele św. Wojciecha.

„Gość Niedzielny", nr 49/1947, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Betlejem na hałdzie

W bocznej nawie kościoła, przy ołtarzu Serca Jezusowego, jest niebywały ruch. Ministranci z zakrystianem i z księdzem wikarym ustawiają stajenkę. Jedni znoszą duże, barwne figury i ocierają je z kurzu, drudzy budują ze słomy dach szopy kładąc na nim białe pasemka i płatki waty. Ci

[57] Dokument tych darowizn zachował się z r. 1287.

więksi mocują się z świerkami, które trzeba prosto poustawiać i tam, gdzie ksiądz wskaże. Bo ksiądz stoi w oddaleniu, widzi wszystko dokładnie i wszystkim dyryguje. Ale nikt z chłopaków nie chcę rozwieszać srebrnych nitek na drzewkach! Nitki są cieniutkie, rwą się szybko i plączą w niezgrabnych, zziębniętych palcach chłopięcych.

— Proszę księdza — to zrobi Siostra Edyta, my byśmy to krzywo popowieszali i potargali!

— Siostra ma dużo innej roboty, już ty się do tego zabieraj, Heniu!

— Proszę księdza, a może to zrobią dziewczęta z sodalicji. Moja siostra mówiła w domu, że przyjdą dziś pomagać do kościoła — wstawia się Franuś za kolegą.

— Was już gdzie wziąć do jakiej roboty — wzdycha ksiądz z udanym niezadowoleniem — chodź tu, Heniu, będziesz mi figury podawał. Chłopak podskoczył żywo.

— Już, już się robi, proszę księdza! —Tak, tak, to jest robota dla mnie — myśli uradowany — nie tam nitki rozwieszać.

— Tylko uważaj, żebyś czego nie połamał — ksiądz wikary uklęknął pod dachem szopki i ustawia żłóbek pośród sianka. Potem kładzie weń błogosławiącą figurkę Dzieciątka. Obok z troską patrzy Maryja z modlitewnie złożonymi rękoma, z niebieską chustką na jasnych włosach.

— Henio, uważaj, przekrzywiasz św. Józefowi laskę! — Franuś ustawił już ostatnią choinkę i przygląda się figurkom. Tam stoi pasterz z fujarką, tu kręcą się owieczki, jakiś chłopaczek niesie koszyczek z serem, anioły klęczą przy osiołku, cała betlejemska ciżba jest pomieszana.

— Henio, patrz-no — ten osioł za chwilę całą głowę wsadzi do trąby anioła — Śmieje się Franuś po cichu.

— A ta owieczka to wyjada prosto z miski u tego pastucha!

— Cicho, chłopcy, nie gadajcie tyle — strofuje zakrystian, który przeprowadza przewody elektryczne do lampek na drzewkach.

— Proszę księdza — Henio patrzy na miskę pastucha i coś mu się przypomina — czy to prawda, że na wigilię trzeba na stole ustawić jeden pusty talerz ...że jakby tak kto przyszedł...

— To taki stary, piękny zwyczaj i trzeba go pielęgnować. Ale nie chodzi tyle o ten pusty talerz, tylko o to, by nigdy nikogo, kto o strawę prosi, od drzwi nie odpędzać. Ten pusty talerz w wigilię ma nam to przypomnieć.

— Pewnie, pewnie przytakuje zakrystian — ale kto by tam w wigilię żebraka nie wspomógł! To nie byłby już chrześcijanin!

— A jednak nie brak takich — stwierdza smutnie ksiądz wikary.

— Nasza babka opowiadała — mówi Franuś żywo — że w dzień wigilii święta Maryja z świętym Józefem chodzą za żebraków poprzebierani i szukają mieszkania. Proszę księdza, czy to prawda ?

— Może i prawda... — odpowiada w zamyśleniu wikary.

Białe płatki śniegu spadają z wiszącej nad miasteczkiem czarnej nocy, która wspiera się o kominy fabryki, o wysoki szyb kopalni, o wieżę kościelną, nocy, która zlewa się z masywnymi hałdami za miastem. Śnieg ubielił już dachy niskich domków rzędem stojących przy drodze do kościoła i tamte duże czerwone kamienice kopalniane. I drogę, co wiedzie za miasto, do kopalni, do tamtych hałd, wybrukował puszystymi płatkami. Światło latarń zawieszonych nad ulicą, z trudem przedziera się przez padający gęsto śnieg. Światło jest ciche i mdłe... ale za to tym jaśniej, tym radośniej promieniują okna domostw, za którymi spożywa się wigilijną wieczerzę. Gdzieniegdzie, na białych zasłonach okien rysuje się już sylwetka drzewka migocącego płomykami świec. Słychać śpiew kolęd.

Na domy zaśnieżone i na drogę kładzie się silny różowy blask. Niebo czarne nad czarną, niebieskim płomykiem gazu syczącą hałdą łuną się czerwieni. To ognistą szlakę wylewają z dużych, zgrzytających koleb.

Blask różowy pada i na twarze dwojga wędrowców zbliżających się do ostatnich już domków miasteczka. Barczysty mężczyzna wspiera niewieścią drobną postać, co z trudem się posuwa zmęczona snadź bardzo. Różowy blask ognistej szlaki pada na twarz pobladłą, pochyloną, na oczy spuszczone i cofa się pospiesznie jakby razić nie chciał swym światłem, jakby budzić nie chciał zadumanej. Osuwa się nisko, na śnieg, pod stopy niewiasty...

— Już nam tylko te trzy domy pozostały — mężczyzna z troską patrzy dookoła — może tu nas przyjmą.

— Idź, ja tu pozostanę, o płot się wesprę.

— Nie, chodź, daj ramię, tam widać sień otwartą, a w niej ławka. Chodź, spoczniesz na niej.

W izbie matka Henia nakrywa do wigilii. Spóźnili się nieco z wieczerzą, bo ojciec dopiero wrócił z kopalni. Dwie siostry Henia pomagają matce, a starszy brat rozmawia z ojcem, Henio stoi w kątku. Znad książki, którą trzyma w ręce, patrzy na matkę, na siostry. Liczy: jeden talerz, drugi, trzeci, — piąty. I nic więcej. A u Franusia będzie jeden talerz zbywał i krzesło puste będzie za tym talerzem — a u nich nic.

— Mamo, postaw jeszcze jeden pusty talerz — odzywa się naraz prosząco.

— Co? na co?

— U Franusia też tak robią. A ksiądz mówił, że to piękny zwyczaj i że trzeba go pielęgnować. Jak potem kto w wigilię przyjdzie...

— Kto by tam przychodził! nie plótłbyś!

— Cicho! zdaje się, że ktoś wszedł do sieni — ojciec podniósł się z zydla, ale Henio już do drzwi doskoczył, już je otwiera na ścieżaj.

— Mamo, jakiś pan... a tam na ławie kobieta...

— Pan, widzisz go, pan! żebrak nie pan — matka zagniewana, że przerywają jej pilną robotę, odsuwa chłopca od drzwi — nie wiecie to, że w wigilię się nie żebrze?! Kiedy indziej przyjdźcie, teraz nie mam czasu! — i zamknęła drzwi przed znużonymi wędrowcami. W izbie było cicho. Dzwoniły tylko misy stawiane na stole, chrobotały garnki na piecu przesuwane. Henio stał dalej w kącie. Matce zdawało się, że chlipie.

— Co, możeś chciał, żebym tych żebraków do wigilii zaprosiła?

— To nie byli żebracy... — odpowiada chłopak cicho.

— A kto by? widzicie go!

— Mogłaś im co dać, a nie tak zaraz... miesza się ojciec — ano stało się. Modlić się i siadać do stołu, bo już późno.

W milczeniu jedzą zupę. Wszyscy myślą o zdarzeniu przy drzwiach. Henio nisko spuścił głowę nad talerzem. Wciąż widzi przed oczyma tę zmęczoną twarz kobiety siedzącej na ławie. Naraz podnosi głowę. Uśmiech rozjaśnia mu twarz.

— Przecież poszli do następnego domu, do Frania! Tam ich przyjmą, tam mają pusty talerz — myśli gorączkowo i znowu smutnieje — że też u nas nie mogli zostać.

— Ja zaraz przyjdę — odzywa się nagle głośno i szybko, jakby się bojąc, że każą mu zostać, wychodzi z izby. Musi skoczyć do Franusia, musi

zobaczyć, czy tam oni są. Biegnie przez drogę, już jest w drugiej sieni, już puka do drzwi, gdzie mieszka Franuś.

— Franuś, Franuś! — Drzwi otwierają się zaraz. Zdziwiona głowa Franusia wychyla się przez szparę.

— Co chcesz? My teraz jesteśmy przy wieczerzy.

— A są oni u was?

— Kto?

— No, ten pan i ta pani — tłumaczy się Henio.

— Nic nie wiem...

— No, czy nikt do was przed wieczerzą nie pukał?

— A tak, ktoś pukał ale nie widziałem kto to był. Mama otwierała i zaraz zamknęła.

— Zamknęła — a wy przecie macie pusty talerz na stole... macie?

— Mamy... Henio, już muszę zamknąć bo wołają na mnie, że przeciąg.

— Zamknij, a chodź ze mną. Musimy ich szukać.

— Ale gdzie? kogo? Franuś wychodzi niezdecydowany i ze strachem drzwi za sobą zamyka. — Będzie mama wyzywać, że odchodzą od siołu.

— Pamiętasz, co ci babka opowiadała? - Henio mówi jakby w gorączce.

— Tak, ale to... bajka.

— Bajka?! A nie słyszałeś, co ksiądz ci odpowiedział?! Chodź, popatrzymy, gdzie ci poszli.

Wybiegli na drogę. Rozglądają się wkoło.

— Zdaje się, że tam, ku hałdzie ktoś idzie. — Franuś wskazuje palcem na drogę za domami, gdzie na białym śniegu wyraźnie rysują się dwa czarne cienie.

— Tak, to oni — woła Henio radośnie — lećmy za nimi!

— Ale po co?

— Po co? Wiesz, wiesz, Franuś — wybucha nagle Henio — zaprowadźmy ich do naszej szopy na hałdzie! Tam jest ciepło!

— Ale może oni gdzie mieszkają?

— Nie, nie mieszkają! — przeczy Henio gorąco — no, lecisz ze mną?

Pobiegli pędem. Zimny prąd powietrza wjechał im w odkryte włosy, zburzył je, mrozem powiał przez plecy i ręce nie osłonione niczym. Chłopcy

nie czują tego. Gorączka Henia udzieliła się i Franusiowi. Nie wie on nawet, że biegnie w sukiennych pantoflach, że śnieg zmoczył mu już pończochy.

— Patrz, oni stanęli! On się ogląda! Co im powiesz? — pyta Franek zadyszany.

— Czekaj! zaraz! — Chłopcy dobiegli do wędrowców. Stoją zadyszani i patrzą. Widać ich wyraźnie w różowym blasku. Bo znowu wylewa się ognista szlaka z żelaznych koleb. Mężczyzna trzyma kostur w ręce. Pomarszczoną ma twarz i włosy czarne w brodzie już mu siwieją, widać, że dużo starszy jest od niej... A ona uśmiecha się do nich. Blada, drobna twarz zaróżowiła się od blasku, oczy są takie promienne...

— Kogo wy szukacie, dzieci? — pyta cicho.

— Biegliśmy za wami... — Henio urywa, nie wie co powiedzieć dalej.

— Pokażemy wam szopę — pomaga mu Franuś nieśmiało.

— Tam, na hałdzie jest ciepło — odzywa się Henio szybko — tam można przenocować. Zatkamy szpary sianem — zaraz z domu przyniesiemy — tam jest ława, i stół, przyniesiemy i karbidkę i... i coś do zjedzenia... — Henio urywa, bo oni nic nie mówią, tylko się uśmiechają — a może wy gdzie mieszkacie? — pyta chłopak zmatowiałym głosem.

— Nie, nie mieszkamy — zaprzecza mężczyzna — zaprowadźcie nas do waszej szopy. Dziękujemy wam. Jesteśmy bardzo zdrożeni.

— Chodź, Franuś, prowadzimy! To niedaleko stąd — zwraca się do podróżnych — a potem, Franuś, polecimy szybko z powrotem i przyniesiemy chleb i co tam jeszcze! Dobra?

I karbidkę! nie zapomnij!

Chłopcy zwinęli się raźno. Wrócili po chwili. W szopie dziury pozatykali sianem i otrębami, postawili na stole karbidkę i przyobiecali, że jeszcze przed pasterką wrócą z ciepłą strawą.

W domu nic się ukryć nie dało. Zbyt długo ich nie było. Matka Franusia nic nie powiedziała. Henia najpierw zwymyślano, ale teraz wszyscy przygotowują mu znakomite rzeczy do koszyka. Siostry przyniosły nawet jakąś ciepłą chustę i poduszkę, żeby tej pani zimno nie było.

— Czekaj, gdzie lecisz? Muszę jej jeszcze herbaty ugotować, może ona chora — mruczy matka pod nosem.

— Franuś już czekał.

— Niech czeka.

— Ministrujemy przy pasterce.

— Toć wiem! Jeszcze czas! Najpierw nam wszystkim w głowie zawrócił tymi ludźmi, a teraz mu śpieszno! Urszula, gdzie moje buty? muszę iść z nim, bo ma ciężko — no i jeszcze im się co w nocy stanie — tłumaczy się jakby zagniewana, chcąc ukryć zmieszanie.

— To ja, mamo, też idę.

— A pomywać kto będzie?

— Pomyjemy i przylecimy.

— A ty może myślisz, że to tym ludziom przyjemnie będzie, jak przyjdziecie z procesją na nich patrzeć?

— Na chwilę! Ino zajrzymy przez szparę! Na nią popatrzymy! Henio mówi, że ona jest taka...

— No dobrze. A ty gdzie się zbierasz?

— Idę z chłopakami. Kłaść się nie będę, bo nie chcę się rozmazywać przed pasterką — ojciec wkłada kożuch, czapkę — spytam tamtego, co za jeden. Może mu się da pomóc, wyglądał uczciwie.

— Po nocach będzie ludzi niepokoił! No, Henio, idziesz?! Ale to dziś nabroiłeś, nabroiłeś.

Henio już biegł przodem z Franusiem. Matka z ojcem spieszą za chłopakami. Nic do siebie nie gadają. Czegoś im wstyd.

— A to co? — ojciec wskazuje palcem na łunę nad hałdą — przecie tam szlaki nie wywożą! Tamta hałda wygasła! — Chłopcy też się zatrzymali. Też patrzą zdziwieni.

— Tak, jakby się paliło — mówi Henio wystraszony — a tam, tam przecie stoi nasza szopa!

— Boże drogi! — woła matka przerażona — może się im od karbidki zapaliło! No lećże, co stoicie! — Pobiegli szybko, chłopcy jak wiatr, ojciec przed nimi. Już widzą szopę. Stoi cała w ognistej łunie. Złoty blask płynie z czarnego nieba na czarną hałdę ciepłem parującą, na drogę ośnieżoną, na pola pobliskie, złoty blask bije z otworzonych drzwi szopy...

— Co to jest, Jezusku? — szepcze matka przerażona i przystaje zadyszana... podchodzi powoli do męża, który stanął jak słup niedaleko rozwartych, złocistych drzwi — to przecie nie pożar...! prawda, że to nie ogień?

— Nie wiem...

— A co to jest?

— Nie wiem...

— A... co się stało z chłopcami?!

— Cicho bądź... weszli tam... Tam cud... — kończy cicho.

— Stanie im się co złego! — matka zlękła się o Henia. Przezwyciężając strach podchodzi do rozwartych drzwi...

— O Panie Jezu... — kobieta osunęła się na kolana. W ciasnej szopie skleconej z papy i z belek zbutwiałych, wspartej tylną ścianą o hałdę, na sianie rozścielonym na ławie leży malutkie Dzieciątko. Nad nim pochylona Święta Niewiasta; z boku mąż — Opiekun święty.

— O Panie Jezu... — kobieta bije się w piersi i załzawioną twarz wznosi ku Bożemu Dziecięciu.

Chłopcy klęczą na progu szopy. Patrzą roziskrzonymi oczyma. Chłopięce usta im drżą... może wymawiają słowa modlitwy u stopni ołtarza: ...ad Deum, qui laetificat juventutem meam[58], bo już dziś nie pójdą ministrować do pasterki... Tu służyć będą Nowonarodzonemu.

- -

Powiadasz, że to fantazja? — że pomieszały się w opowiadaniu zdarzenia dawne z czasami nowymi?

To właśnie szkoda wielka, że owe dawne wydarzenia, które światu nowy dały obrót, tak bardzo oddzielamy od życia, że przeniesione w dni nasze fantazją nam się zdają.

Rozejrzyj się dobrze dokoła, a spostrzeżesz, że wszystko, o czym natchnione wspominają księgi, i za dni naszych po sto, tysiąc i milion razy ze zdumiewającą powtarza się dokładnością.

„Gość Niedzielny”, nr 51/1947, s. 11 – 12.

[58] ... do Boga, który rozwesela młodość moją.

Rok 1948

JADWIGA BERNHARDT

O goździkowym proboszczu i diabelskim kamieniu

Żydówka Karmańska uwija się za szynkwasem. Podaje piwo grzane, dymiące, przyrządza herbatę z arakiem w szklankach z grubego sinomodrego szkła, tu i ówdzie w głęboki kieliszek koniaku nalewa.

— Pijcie, pijcie a duchem, bo zaraz zamykam — mówi raz po raz to jednemu, to drugiemu gospodarzowi podchodzącemu do szynkwasu.

— Spieszy wam zegar, pani karczmarko! Do sumy jeszcze daleko!

— Widzicie, daleko! — obrusza się Karmańska — księdza proboszcza ino co widać z Sadowia! Mój zegar wcale nie spieszy. Rozgrzaliście się, to fora ze dwora! Ja z wielebnym księdzem nie zadzieram!

— Ona zawsze taka? — pyta szeptem jakiś chłop z Kaliny olszyńskiego gospodarza.

— Zawsze — potakuje Olszyniak. — Zawsze na dobrą godzinę przed sumą wszystkich z szynku do kościoła przepędza i szynk zamyka. Stąd i z farożem naszym w zgodzie przykładnie żyje i na jego urodziny, jak sam wielebny ksiądz mówił, najlepszy mu koniak funduje.

— Dziwejcie się, ludzie! a to dopiero dziwna żydówka!

— Wy z Kaliny? — pyta olszyński gospodarz.

— Z Kaliny. Ten mój kamrat leż. A ci z Herb przychodzą.

— Aha, toście pewnie nie słyszeli, że znowu nam jakieś zbereźniki figurę św. Jana do stawu wrzucili? — widać, że gospodarz jest oburzony, bo palce trzymające kufel mocniej się zaciskają.

— Co gadacie?! Do wody z takimi! Skąd to się bierze taka banda?! Pogany, zbóje! Zaczaić się na takiego, a potem nauczyć go rozumu!

— Już bym to zrobił, och, zrobił — dyszy ciężko Olszyniak — ale upasujesz to, człeku, takiego nicponia? Przyjdzie to cudze bezbożne nasienie, niewieda kiedy i skąd, może to jaki poganin abo Turek plugawy — już my sobie inaczej poradzimy z tymi zbójami!

— A co, co zrobicie? coście wymyślili?

— Hm, cośmy wymyślili? — gospodarz olszyński podnosi nosa z wielką dumą — ano, wymyśliliśmy! Wiecie, w tej kapliczce, gdzie święta figura stoi... — przerwał, bo w tej chwili Żydówka Karmańska do nich przyskoczyła.

— A to dopiero chrześcijany! — pokrzykuje piskliwie — gadają o jakichś pogańskich Turkach a sami nie lepsi! Do kościoła im nie spieszno! Zaraz będą dzwonić a oni tu stoją i pogadują sobie, jak stare baby! Już was nie widzę!

Wielka izba opróżnia się szybko. Gospodarze chwytają za kapelusze, naciskają głęboko futrzane czapy i przeciskają się ku drzwiom.

Zimowe, ranne słońce bladymi promieniami ślizga się po czarnym pasie lublinieckich lasów. Nie dociera do wnętrza drżącymi promieniami, głaszcze tylko wierzchołki wysokich sosen i spiczaste wieżyczki jodeł. W leśnym mroku lśni i srebrzy się szron, co opadł nocą.

Końskie kopyta z krótkim metalicznym dźwiękiem uderzają o stwardniałą polną drogę. Droga latem kurzu pełna, na jesieni rozmokła, teraz zda się bitym, wspaniałym szlakiem. Droga prowadzi od Sadowia, koło Hadry, przy Jałowcach do Olszyny i het dalej.

Koła bryczki lekkim skrzypieniem wtórują tętentowi. Obracają się szybko, równo i lekko przeskakują twarde koleiny.

— Antoś, a może pojechalibyśmy trochę szybciej, a skręcimy za to do diabelskiego kamienia?

— Wiedziałem, że księżoszek tam będą chcieli jechać — odpowiada chłopak z chytrym uśmiechem — przeca jeździmy tam co niedziela, albo przed sumą albo po sumie!

— A tobie co do tego?! widzisz, nicpoń jeden, może ci się nie podoba? — obrusza się ksiądz Urban.

— Co by mi się miało nie podobać, wielebny księże? Ja tak tylko sobie myślę, że lepiej byłoby zabrać ten kamień, skoro on się już jego

wielebności tak podoba, do nas, do Olszyny, zamiast tak daleko do niego jeździć.

— A tobie kto o tym gadał? — proboszcz aż się podniósł w bryczce — a to dopiero mądrala! Żebyś nikomu o tym nie rozpowiadał, toć ja dawno o tym przemyśliwam.

— Wielebny księże, a czemu to ten kamień diabelskim przezwali? — pyta Antoś ciekawie.

— Bo ja wiem, chyba Lucyper prał takimi w bramę niebieską.

— Co nie powiadacie! — dziwi się chłopak — a wie ksiądz proboszcz, ten diabelski kamień... mogłoby się w Jałowcach postawić, bo ksiądz proboszcz i ten nasz lasek lubią...

— Będziesz ty wreszcie cicho, smarkaczu?! Będziesz ty mi moje własne myśli podsuwał? A może ja ci kiedyś o tym mówiłem, hę?

— Nie mówił ksiądz dobrodziej, ale tak mi się widzi...

— Widzi mu się! Widzi mu się, że diabelski kamień lubię, że mi się jałowcowy gaik podoba, może jeszcze powiesz, smyku zatracony, że lubię całą waszą Olszynę więcej od Sadowia, że wasz kościółek bardziej mi się podoba od sadowskiego, że Olszyniacy bliżsi mi są niż...

— Niech się wielebny ksiądz proboszcz nie gniewają, ale bym akuratnie wszystko to samo powiedział, co ksiądz proboszcz teraz mówią, bo to prawda i my by za was, księże wielebny, za to wszystko, za to żeście dla nas dobrzy, w wodę poszli!

— Antoś! — księdza Urbana aż zatkało — jedź mi prosto na Olszynę i słowa więcej nie gadaj!

Szybki tętent koni zlewa się w jeden, rytmiczny dźwięk. Mroźny prąd powietrza uderza w twarze jadących. Proboszcz milczy i w bok spogląda jakby zagniewany. Chce ukryć wzruszenie. Skubie w zamyśleniu świeży goździk w klapie kożucha, kwiatek, od którego nazwali go Olszyniacy goździkowym proboszczem.

— Co oni jeszcze wszystko o mnie wiedzą? — myśli proboszcz — i czyżby oni prawdziwie mnie... czy ten smarkacz ma rację? przecie wyzywam na nich, wymagam...

— Księże proboszczu, jeszcze coś chciałem powiedzieć — odzywa się Antoś nieśmiało.

— A co?

— Już nie o tamtym, ino o świętym Janie.

— Co, co znowu?

— Znowu go jacyś zbóje utopili, ale nasi wymyślili sposób na nich! Dziś po sumie mieli z tym przyjść do księdza proboszcza.

— No, gadaj, co uradzili!

— Chcą przywiązać trzy cegły pod dachem kapliczki, potem od nich sznurek umocują u świętej figury, jak znów ktoś ruszy świętego Jana, to te cegły polecą mu na głowę, aż uciecha!

— Ty się nie ciesz z cudzego nieszczęścia — strofuje proboszcz chłopca — choć sam z trudem powstrzymuje śmiech.

— Ale kiedy to o takich odrachów chodzi!

Dojechali do kościoła. Ukryty między drzewami, malutki, ledwo widać kopulastą wieżyczkę z krzyżykiem. Ludzie tłoczą się i na stopniach. Przyszli przecie i z Kaliny i z Herb. Ksiądz Urban wyskakuje prędko z bryczki i przeciska się między nimi. Przystaje w środku kościoła, z uśmiechem zwraca się do Wniebowziętej Panienki w ołtarzu. Pozdrawia ją. Potem przybiera surowy wyraz twarzy.

— Wiele was tu do spowiedzi? — i rozgląda się bacznie po kościele licząc podnoszące się tu i ówdzie palce. — No dobrze — i kieruje się do słuchatelnicy trąc zmarznięte od drogi ręce. Siwiejące włosy zwichrzone przez baranią czapkę opadają mu nisko na czoło, porysowane kilkudziesięcioletnią pracą kapłańską.

Po sumie czekają Olszyniacy na księdza proboszcza przed kościołem. Nie sami gospodarze. Są i co zawziętsze niewiasty, co z oburzeniem rozprawiają o poniewierce św. Jana. Na placu przed kościołem plączą się i dzieci, chłopcy, ciekawi, jak to ojcowie księdzu proboszczowi mówić będą o trzech cegłach i o sznurku.

Ksiądz Urban wychodzi z zakrystii. Jasny, strzępiasty kwiatek wychyla się wdzięcznie z sierści futrzanego kołnierza. Zda się kłócić z nastroszoną miną księdza proboszcza. Ale Olszyniacy wiedzą, że za tą surową miną kryje się serce ze złota. Zdejmują z uszanowaniem czapki i kapelusze i ciasnym kołem otaczają proboszcza.

— Już wiem, co mi chcecie powiedzieć — odzywa się ksiądz proboszcz — o figurze św. Jana i o waszym wynalazku. Ale teraz ja mam do was interes. Jest tu Banduch? — aha, jesteś, a Smoleń?

— Jest.

— A Bula? — rozgląda się ksiądz proboszcz — aha, tam stoisz. Ano, myślałem sobie, że będziecie stali każdy w innej stronie. Jak zawsze. Jak ten tam, to ten akurat w drugą stronę. — Dam ja wam, złośnicy. Otóż przyjdziecie jutro we trzech do lasu, tam koło Hadry, gdzie leży diabelski kamień. Przyjdziecie z waszymi końmi i przywieziecie ze sobą tęgie łańcuchy. Co, przyjdziecie?

— Przyjdziemy — odrzekli zapytani niewiele wiedząc, o co proboszczowi chodzi.

— Teraz przecie konie niepotrzebne do roboty. Ty zdaje się, Banduch, drzewo zwozisz twoimi końmi?

— To nic, przyjdę jutro.

— Widzicie... chodzi mi o to, żeby ten ogromny kamień, stary jak świat, nie poniewierał się tam gdzieś w lasach, ale stanął tu w Olszynie, na pagórku w jałowcach. No co, nie zda wam się? Będziecie jutro, Banduch, Bula i ty, Smoleń?

— Będziemy.

Zjawili się zaraz z rana koło diabelskiego kamienia. Banduch ma dwa konie i łańcuch setny. Bula podobnie, a Smoleń przywiódł nawet trzy konie i mocny duży drąg żelazny, Do siebie nic nie gadają. Nikt nie chce się do drugiego pierwszy odezwać. Gniewają się od dawna, choć po prawdzie sami już nie bardzo pamiętają, o co poszło.

Wie o ich zatargach ksiądz Urban i dlatego ich trzech do tej roboty wybrał.

— Jesteście, to dobrze. Witam wszystkich — ksiądz proboszcz zbliża się z drugiej strony, od Hadry i przystaje przy kamieniu. — A to dopiero kamyczek, co? Ruszymy go, czy nie? Stanęliście tak każdy z osobna, jak zawsze, to pewnie chcecie i każdy z osobna ciągnąć? No, — Banduch, popróbujesz pierwszy?

— Sam nie ruszę.

— A może, ty, Bula?

— W pojedynkę nie pójdzie.

— Widzicie, jacy naraz mądrzy. W pojedynkę nie pójdzie! A tak na co dzień w codziennych kłopotach, to chcecie iść samopas?! Nie chcecie jeden drugiemu pomóc. Na codzień to wrogi, choć wiedzą, że tylko razem dadzą

sobie zawsze radę. Ano, kiedy tak, połączcie łańcuchy, załóżcie je na kamień i zaprzęgnijcie konie.

Wzięli się do roboty. Proboszcz pomaga to tu, to tam, gderze, docina, ale czy go to nie znają?

— No tak, łańcuch siedzi mocno, teraz ciągnąć, w kupie, równo — no, w Imię Boże! — Naprężyły się łańcuchy, szczęknęły złowrogo, jakby pęknąć chciały, wyprężyły się końskie karki, nozdrza rozwarły — kamień diabelski ani drgnął.

— Siedzi mocno, jak sam diabeł — zrzędzi ksiądz Urban — o, jak ten diabeł nad ludzką duszą! Ani popuści! Widzicie teraz, sami poczuliście, jak to ciężko jest wyciągnąć diabła z człowieka, diabła gniewu, zawiści!

Chłopi pociągnęli jeszcze raz. Smoleń z boku drągiem kamień podważył. Ale kamień ani drgnął.

— Już ja widzę, nic z tego nie będzie — mruczy ksiądz Urban w dalszym ciągu — źle zrobiłem, że was do tej roboty wybrałem: w waszych duszach też siedzą takie kłótliwe diabły i jak tu macie ten kamień diabelski ruszyć, ani do siebie nie przegadacie, ani „hop” razem nie krzykniecie...

— Wielebny księżoszku, już nam nie przygadujcie, zrobimy, co się jeno da. Smoleń — Banduch zwraca się do Smolenia jakby nigdy nie hatrusili się między sobą o to pole — daj mi ten drąg, mocniejszym w barach, i stań sobie tu, na moje miejsce.

— A ty, Bula — odzywa się Smoleń, jakby tylko na to czekał — idź na drugą stronę, tu ja sobie poradzę.

Ksiądz Urban udaje, że nic nie widzi i nic nie słyszy. Ale Wniebowzięta Panienka z Olszańskiego kościoła słyszy jego dziękczynną modlitwę.

— No teraz, razem, równo — hop! — Brzękły łańcuchy, zadzwonił drąg o skałę, ziemia pod stopami ciągnących jęknęła jakoś głucho — diabelski kamień poruszył się, zachwiał, pochylił do przodu...

Blade słońce świeci nad lasem. Na polanie zgromadziło się już dużo Olszyniaków. Patrzą ciekawie. Na kamień i na trzech wrogich gospodarzy trudzących się ręka w rękę.

Trzej gospodarze wracają do swoich chałup. Idą w milczeniu. Naraz odzywa się Smoleń:

— Ano, pokazał nam farorz, że zgodą i wspólnymi siłami i diabłu rady dać można.

Drudzy dwaj przytaknęli.

Zdarzenie z „diabelskim kamieniem” sprzed wielkiej wojny. Nie wiadomo na pewno, w jakim celu ogromny kamień przewieziono. — Nazwiska gospodarzy wybrano dowolnie spośród zachodzących w tej okolicy.

„Gość Niedzielny”, nr 2/1948, s. 5 – 6.

JADWIGA BERNHARDT

„Trzy Maryje poszły”

Ktoś wszedł cicho w sień domu. Maria Jakubowa podniosła się z ławy, patrzy na kotarą zasunięte wejście, nadsłuchuje. Ale nikt nie wchodzi.

— Zdawało mi się — ręka ruchem znużonym przesuwa się po czole, jakby osuszała niewidoczny pot zmęczenia — znowu mi się zdawało, że ktoś nadsłuchuje... lękam się? kogo? —- niewiasta uśmiecha się lekko — chyba nie lękam się tych pachołków niecnych, — w wyobraźni powstaje obraz kalwaryjskiego wzgórza, po którego pociemniałych z nagła stokach tłuszcza złotem sanhedryńskim przekupiona w popłochu dzikim ucieka — biedni, ślepi ludzie... co oni zrobili? — przez łzy, którymi zaszło oko, widzi Jakubowa matka krzyż a na nim Jego...

Rozchyliła się kotara. Światło zachodzącego dnia krzesze blask złotawy w Marii Magdaleny włosach i w kruży z wonnościami. Tylko oczy są bez blasku, martwe smutkiem.

— Ach, to ty! — Maria Jakubowa po chwili dopiero dostrzega młodą towarzyszkę — zdawało mi się przed chwilą, że ktoś wszedł.

— Na progu stałam. Pamiętasz, On tu nieraz przystawał i długą chwilę na miasto patrzył...

— Pamiętam... — głuchym echem podnosi się odpowiedź Jakubowej Marii i przychodzi na myśl tysiące innych obrazów, które pamięta... oto w wieczornej ciszy naucza o Bogu Ojcu, który jest dobry, który jest Dobrem samym... oto odpoczywa u studni, dzieci wiankiem otoczony i słucha skarg matczynych... oto leczy ciała niemocą złożone, a gdzie tchnie jego oddech

święty, tam skóra liszajem skręcona pręży się nowym życiem, tam oko świata nieznające od urodzenia otwiera się, by ujrzeć Jego.

— Pamiętam, Mario, wszystko pamiętam... lecz proszę, wejdź dalej — otrząsa się Maria Jakubowa z przygnębienia — skąd wracasz? Z wieczernika?

— Tak.

— Wszyscy tam są? Jakub?

— Tak, wszyscy. Modlą się, smutni są, lękają się.

— Kruż niesiesz? — starsza niewiasta odsuwa na bok przeżycia, co duszę nurtują.

— Pusty. Wylałam ostatek na nogi Jego w Szymonowym domu...

— Trzeba kupić nowych maści.

— Dlatego przyszłam. Symeona kramik długo otwarty.

— Już biorę dzban. Wstąpimy i po Marię Salome?

— Tak, chodźmy.

Wyszły z mrocznej ciszy domu na ulice gwarne przedświątecznym wieczorem.

Obydwie Maryje przemykały się szybko między kramikami, kryjąc twarze w zasłonach, jakby się bały tych nawoływań krzykliwych, jakby uciec chciały od tego gwaru świata.

— Skręciły w mniej ludną uliczkę i weszły do niskiego domku Salome.

— Mario, weź swój dzban i chodź z nami olejki kupować — z cienia izby niskiej wyszła ku nim postać cicha, skupiona.

— Idziecie ciało Mistrza namaścić?

— Nie, dziś już za późno. Rankiem, po szabasie pójdziemy, ale dziś nagotujemy maście.

— A kto nam kamień odwali? — ze smutkiem cichym patrzy z chust zwoju twarz Marii Salome. — Ciężki kamień... ciągle o nim myślę... bo gdyby miał zmartwychpowstać, tak jak mówił, to ten kamień wielki...

— To ten kamień wielki rozpęknie się jak skały na Golgocie! widziałaś? — Maria Jakubowa mówi głosem przyduszonym a gorącym, wewnętrznym żarem przeżyć przepojonym.

Bazar Symeona od ulicy był już zamknięty. Niewiasty tedy weszły w głąb domu, gdzie sługa stary łuczywo palące się umocowywał w pierścieniu żelaznym.

— Chciałyśmy pomówić z Symeonem — odzywa się Maria Jakubowa.

— Jest jeszcze w bazarze — odpowiada sługa — tędy idźcie — i nachyla łuczywo w tamtą stronę, gdzie widocznie jest wejście do wpół jeno kotarą zasunięte. Poszły za blaskiem. Otoczył je mrok, pachnący mirrą, balsamem.

— Kto zacz tak późno? — biegnie ku nim męski głos niecierpliwy — sklep zamknięty, szabat.

— To my, Symeonie, nie poznajesz? — Maria Jakubowa podchodzi bliżej — zapal lampę.

— Już poznaję po głosie — Symeon wita się z niewiastami — Maria Jakubowa, Maria z Magdali i Maria Salome. Trzy Marie przyszły o tak późnej porze.

— Wonnych maści chcemy nakupić.

— Daj z tych najlepszych, z tych najdroższych — prosi Maria z Magdali — tu nasze kruże.

— Tak dużo chcecie? — dziwi się Symeon — dla ko... — przerywa wpół słowa i patrzy badawczo po smutnych twarzach niewiast — wiem... wiem, dla kogo... byłem na Kalwarii, potem wstąpiłem i do ogrodu Józefa z Arymatei.

Prosi niewiasty na ławę, a sam krząta się koło dużych dzbanów i nalewa w kruże misterne olej pachnący, po same brzegi nalewa myśląc o dobrym Rabbi.

Dzieci biegną szybko po schodach, wyprzedzają babkę, i z głośnym tupotem wpadają do izby. Kładą książki na półce, Józek zrobił to niezręcznie, przez głowę Franki, tak, że wszystkie obrazki wysypały się na podłogę.

— Cicho! — babka stoi w otwartych drzwiach bardzo zagniewana — tak się z „Gorzkich żalów” wraca? Co wam mówiłam przedtem? że macie się cicho zachować, że jest Wielki Tydzień.

Zamknęła za sobą drzwi, położyła książkę i różaniec na stole.

— Franka połóż Stasia i Klarkę do łóżka, a potem czytaj z Józkiem, albo się uczcie, tylko nie hałasujcie, bo zbudzicie mamę.

— Mama nie śpi, zajrzałam do izby.

— Pewnie, lecieliście po schodach jak stado koni, toście ją zbudzili — weszła do izby i zbliżyła się do łóżka córki — lepiej ci? Masz goryczkę? Spałaś?

— Spałam, jest mi dobrze. Napiję się czego.

— Franka zrobi ci herbaty. Ja już muszę iść.

— To jeszcze wychodzicie?

— Nie wiesz, że dziś Wielki Czwartek! grób trzeba zrobić?

— Nie mógłby to kto inny zrobić? ktoś młodszy, zawsze ino wy i wy.

— Nie martw się. Rada to robię. Maryjka Mańczykowa obiecała mi pomóc. No, śpij, uwinę się: będę w domu, zanim Paweł z szychty wróci.

Maria Sikora cicho zamknęła drzwi izby, i już wychodziła chustkę nakładając, gdy w progu stanęła Maria Mańczyk.

— Idę z wami do kościoła! Dzieci chłop przypilnuje — mówi wesoło.

— A to dobrze. Sporzej nam pójdzie przy robocie.

— Moglibyśmy wejść do Mani Jaroń, tej od krawca, wracałam z nią z Gorzkich Żalów, mówiła, że chętnie pomogłaby przy grobie.

— Dobrze, pójdziemy po nią, ale wpierw trzeba iść do ogrodnika, kwiaty pooglądać, wybrać, na wózku poukładać, żeby się nie połamały.

— Mania mieszka po drodze, na Kościelnej, zastukamy jej w okno. — Idą raźno przez ruchliwe ulice. Choć to już wieczór, nie ma jeszcze wieczornego spokoju, bo bliskie święta roboty huk przysparzają w domach.

— Tu mieszka Mania — odzywa się Maryjka — czekajcie, zawołam ją.

Wyszła po chwili z młodą dziewczyną, zapinającą jeszcze guziki płaszcza.

— A w domu nie będą ciebie potrzebowali? — pyta Maria Sikora

— Te parę godzin obejdą się beze mnie — odpowiada Mania ze śmiechem — zresztą jesteśmy już gotowi z robotą.

— Toście się pospieszyli — dziwi się Marylka Mańczyk.

Doszły do domu ogrodnika.

Maryjka otwiera furtkę podwórza i wchodzi do sieni.

— Gdzie jest ogrodnik? — pyta chłopca zamiatającego schody.

— W cieplarni; tam idźcie, koło tego niskiego płotu.

Idą, gdzie im chłopak wskazał. Otoczył je mrok zielony, pachnący fiołkami, konwaliami, różami.

— A cóżeście tak późno przyszły? — zżyma się ogrodnik — dawno zamknąłem.

— To ja, Antku, co się tak zaraz oburzasz? — strofuje Maria Sikora ogrodnika.

— Teraz dopiero widzę, wybaczcie, myślałem, że to cudze, a to przecie Maryjka Mańczyk i Mania od Jaronia — dwie Marie, patrzcie!

— Trzy, żebyś wiedział — oburza się Mania Sikora — bo i mnie Maria na miano. Ale pokazuj kwiaty, bo nam pilno.

— Tylko żeby były najładniejsze — wola Mania.

Pochyliła się nad doniczkami i w zamyśleniu gładzi palcami miękkie, zielone listki.

— Nie martwcie się. Będzie jak zawsze, przecie to do Bożego grobu — zakrzątnął się koło półek i podaje niewiastom co najpiękniejsze kwiaty, drobne konwalie, róże w pąkach i fiołki pachnące.

Za chwilę wzejdzie słońce i obleje złoto-czerwonym światłem białe domy Jerozolimy. Zbudzi się ptactwo wśród listowia, a potem zbudzą się ludzie do pracy codziennej, do kół turkotu, do krzyków przy kramikach, do ciężarów, co barki pochylą. Teraz, w bladym świtaniu, uliczki są puste. Cicho klaszczą sandały Marii Jakubowej i Marii z Magdali po kamiennych płytach. Tam, przed swym domkiem, czeka już na nie Maria Salome. Kierują się za miasto.

Kroki cichną w piasku, aby za chwilę żwirem zaszeleścić. Idą spiesznie, lecz ostrożnie niosą swe kruże, by nie uronić kropli. Idą a milczą, by nie zdradzać się z smutkiem, co serca tłoczy... Umarł, odszedł, zostawił ich samych...

Wchodzą w bramy ogrodu gdy słońce strzeliło pierwszymi promieniami poprzez smukłe cyprysy. Zaświergotały ptaki, liście zaszeleściły. W słonecznym blasku poranka jeszcze mroczniejszy jest smutek dusz, co rozpamiętywują Jego mękę, śmierć Jego i to, że odszedł... a taki był Dobry, taki Wielki... Bóg!

Tam, na końcu ścieżki, biało zaświeciła ściana grobu.

— Kto nam kamień odwali od drzwi grobowych? — głośno skarży się Maria z Magdali i kroku przyspiesza, by ukryć łzy przed towarzyszkami. Zbliżyły się do grobu, a spojrzawszy ujrzały odwalony kamień. A wszedłszy do grobu, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie ubranego w sza-

tę białą, i zdumiały się. A on im mówi: Nie lękajcie się: Jezusa szukacie Nazareńskiego, ukrzyżowanego? Nie masz go tu; albowiem powstał jak powiedział. Chodźcie, a oglądajcie miejsce, gdzie był położony Pan. A prędko idąc, powiedzcie uczniom jego, że powstał: a oto uprzedza was do Galilei, tam go ujrzycie.

I wyszły prędko z grobu z bojaźnią i z radością wielką, biegnąc aby opowiedzieć uczniom jego. A oto Jezus spotkał się z nimi. I mówi im:

— Witajcie! — A one przystąpiły i ujęły nogi jego i pokłon mu oddały. Wtedy im rzekł Jezus: Nie bójcie się, idźcie, oznajmijcie braciom moim, aby poszli do Galilei, tam mnie ujrzą.

I ustąpił smutek i lęk z ich serc. Bo Pan prawdziwie zmartwychwstał!

Dopiero co odezwały się dzwony na zmartwychwstanie, a stara Maria Sikora schodzi już po schodach z książką w ręku. Zbudziła Józka i Frankę: przylecą za nią do kościoła.

Na Kościelnej Maryjka Mańczyk dołącza się do Marii Sikory. Idą spiesznie, w milczeniu. W przedsionku przy kropielnicy, jeszcze trzecia dłoń wraz z ich rękami zanurzyła się po święconą wodę; dłoń Mani Jaroń. Weszły we trójkę do kościoła. Półmrok i chłód wielkopostny... dzwony słychać tak słabo, jakby z wielkiej oddali... z cieni gotyckich łuków płyną jeszcze urwane dźwięki Gorzkich Żalów.

„Jezu, przez Józefa uczciwie i Nikodema w grobie pochowany, Jezu mój kochany...“

Uklękły przy grobie. A grób był pusty... Tam, gdzie wieczorem stała złocista monstrancja, teraz jest pusto. Gdzie lampki płonęły i świece wśród powodzi kwiatów tam mrok. A jeszcze cięższy mrok w duszach trzech Marii. W tej grobowej pustce i ciszy głośno oderwały się ich utrapienia. Maria Sikora o chorej córce myśli, o tym że śmierć jej pisana, a dziatwa taka drobna... Maria Mańczyk opuszcza ciężko głowę na ręce spracowane, co z nędzą walczą, bo on zarabia mało, a co przyniesie, to przetrwoni w pijaństwie... Maria Jaroń z zamkniętymi oczyma rozpamiętywa tragedię rodziców, co święty związek małżeński zerwali...

W smutku utrapień pogrążone nie dostrzegają, że już na nowo płoną lampki i świece, że zajaśniały wokoło grobu ich kwiaty. A teraz podniosły głowy troskami pochylone i otwarły oczy od łez ciężkie i widzą kapłana w białej szacie co wysoko wznosi złotą monstrancję...

— Chrystus zmartwychwstan jest!

Zadrżały ludzkie serca w obliczu cudu, w proch upadły przed Zwycięzcą śmierci i szatana, a pokłoniwszy się głęboko, podnosić się jęły w weselu wielkim.

Więc nie daremny był krzyż, nie daremna męka Twoja, Panie. Pokonałeś śmierć, triumf nad złem odniosłeś. Może i te ludzkie krzyże i cierpienia nie daremne są, może i one owoc zmartwychwstania duszom umęczonym przyniosą.

I ustąpił smutek i lęk z serc trzech Marii i z serc tysiąca innych Marii, bo Pan prawdziwie zmartwychwstał!

„Gość Niedzielny", nr 13/1948, s. 6 – 7.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Trzy noce w Damaszku

— Patrz!

Krótki, wystraszony krzyk.

— Gdzie?! co? — mężczyzna przystaje, rozgląda się.

— Tam! To on! widzisz?! — dziewczyna przytula się do ramienia mężczyzny, kurczowo trzyma jego rękę;. Drży cala.

— Szaweł... tu... — nie bój się, dziecko. — Ananiasz ramieniem ogarnia wylękłą dziewczynkę — nie bój się — przemawia szeptem, a wzroku nie odrywa od przechodzącej obok gromady okrytej pyłem drogi dalekiej.

— Oni go wiodą. Patrz, jak idzie powoli, niepewnie... upił się? — Lija odwraca głowę i szeroko rozwartymi oczyma patrzy za oddalającymi się.

— Nie, on nie jest pijany — Ananiasz z wytężeniem śledzi przygarbioną postać Szawła — musiało się coś stać... może zaniemógł. Chodź, Lijo, obaczymy, dokąd go wiodą.

— Boję się — dziewczyna kurczowo ciśnie się do boku Ananiasza.

— Nie bój się. Czy nie widzisz, że on chory? że to nie ten Szaweł?

— Ale ci, co mu towarzyszą, to są ci sami! Poznaję.

Lija drży. Drży przed obrazem, który wyobraźnia maluje szybko, wyraźnie... uliczka w Jerozolimie... wymarła, tylko ze szpar okiennych, tylko zza kotar błyszczą przerażone oczy. A przed ich domem dużo żołnierzy — a on z nimi! Krzyczy, tupie nogami... wywlekli matkę, porzucili na stopniach... matka strasznie płacze... potem wzięli ojca... szarpią za szaty, za siwe włosy, zaciera się obraz w pamięci. Więcej Lija nie pamięta. Ocknęła się dopiero w domu Ananiasza, który przychodził do jej ojcu.

— Patrz, Lijo, tam wchodzą. Chodź, spytamy, czyj to dom.

Podchodzą bliżej, tam, gdzie zniknął orszak. Jeszcze konie Szawłowych towarzyszy stoją przed bramą. Słudzy zdejmują z nich sakwy podróżne, luzują uprząż kurzem pokrytą.

— Czyj to dom? — pyta Ananiasz starego sługi.

— Dom Judy. Czego pragniesz? — Stary człowiek ma mądre, spokojne oczy, które z dobrocią patrzą na bladą Liję. — Co jej jest? — czy chora?

— Nie, nic jej nie jest — i nic nie chciałem. Tylko — waha się Ananiasz, ale mądre oczy sługi uspokajają go — czy wiesz, co to za mąż, którego w dom wprowadzili?

— Wiem. A jeśli ty nie wiesz, to spytaj tych, co za tobą stoją. — Ananiasz odwrócił głowę. Szeroka ulica, dwoma rządami kolumn przecięta, pełna jest ludzi. Nie tłoczą się zbyt blisko. Kryją się w cieniu smukłych, białych kamieni, wylękli a wyczekujący. Ananiasz zna niektóre twarze, uśmiecha się do nich lekko, jakby im chciał otuchy dodać.

— Pytać nie musze, — I ja wiem, kto on — zwraca się Ananiasz powtórnie do starego sługi. — Ale powiedz, jeśli wiesz, po co przyjechał? na jak długo? i... co mu się stało...? — Sługa spojrzał za siebie.. Jego towarzysze oddalili się już z końmi w głąb zabudowań.

— Słuchaj, powiem szybko, co usłyszałem od tego, który przybiegł tu przed Szawłem. Mówił, iż Szaweł z nowymi dekretami do Damaszku przybywa — wiesz, przeciwko komu — iż tu nastanie ten sam popłoch, co w Jerozolimie. Ale — stary sługa obejrzał się powtórnie i głos jeszcze bardziej zniżył — w drodze coś im się przydarzyło. Ten, co pierwszy przybył, bardzo był wystraszony, mówił, że jakoby grom i ogień rzucił ich ku ziemi — a Szaweł zaniewidział...

— Ach! — Lija podnosi ręce do twarzy z przerażeniem w oczach. Ananiasz pochylił głowę, modli się... a potem długo patrzy na szare ściany domu, które kryją Szawła z Tarsu.

Chleb nietknięty leży na półmisku. Obok figi suszone pachną — nietknięte. Przy cynowym kubku dzban stoi z chłodnym winem po brzegi pełny. Zmrok i cisza. Potem czyjeś kroki. Czyjaś dłoń uchyla kotary.

— Panie, tu chleb, tu dzban — gospodarz troskliwie przysuwa pokarm do ławy, na której spoczywa podróżny. Z trudem dostrzega u niego lekki ruch zaprzeczenia.

— Światło przyniosę... — Ten sam ruch jest odpowiedzią na troskę Judy.

Gospodarz powoli opuszcza zasłonę, cichnie odgłos jego kroków. Cichnie dom i inne domy w ulicy Prostej. Noc schodzi do Damaszku szeroką piękną drogą między heleńskimi kolumnami. Wody Barady, co kilku ramionami obejmują i przecinają miasto, pluszczą w fontannach ogrodów. Mocno pachną kwiaty. Noc w Damaszku. Pierwsza noc Szawła w Damaszku. Na stole chleb, figi, dzban. Na ławie człowiek zgarbiony... szeroko rozwarte, nie widzące źrenice... czoło szerokie, błyszczące kropelkami potu...

Pierwsza noc w Damaszku... niewidzące źrenice widzą jasno. Dziesięć lat nauki. Filozofowie greccy, mądrość Sokratesa... że szczęście to cnota, piękno Platona o idei dobra, z której bierze początek nauka o duszy nieśmiertelnej, Arystotelesa szukanie prawdziwego szczęścia... Chwalebna przeszłość wybranego narodu. Mężowie potężni jak kolumny ze spiżu, Mojżesz, Izaak, Salomon, Machabejczyk, potem niewola... gorący Szaweł zrywa się od stóp mistrza, drżą mu usta i w płomiennych oczach błyszczą łzy — niewola! — oto mistrz Gamaliel spokojnym ruchem dłoni ciszy serce gwałtownego młodzieńca — Pierwsza noc w Damaszku... Szaweł opuszcza Gamaliela. Wraca do Tarsu. Z daleka dochodzą go odgłosy burzy, która ogarnęła Jerozolimę... Nazareńczyk... uśmiecha się Szaweł uśmiechem swego mistrza Gamaliela... przeminie, jak inni przeminęli... jest tylko z Nazaretu. I nie był w żadnej szkole filozofów. Lecz burza z Jerozolimy coraz szersze obejmuje kręgi... Wielki Czwartek — Wielki Piątek — Golgota — i trzeci dzień... Szaweł gna z Tarsu do Jerozolimy. Gniewny, zły, że szerzą się takie niemądre wieści o powstaniu ciała z martwych. Pierwsze

osłupienie, kolega z ławy u mistrza Gamaliela, Józef z Cypru — Nazareńczykiem! Uwierzył w Tego, co umarł na krzyżu — i przyjął imię Barnaby! Uwierzył w Tego, co cierpiał, nie walczył, pokorny był... Szaweł w gniewie na Chrystusa z Nazaretu pięści zaciska. I drugie osłupienie, u mistrza Gamaliela. Mistrz nie przemawia już pewnie, gorąco, nie uśmiecha się z wyższością, jest dziwnie poważny i bardzo, bardzo milczący... a na ulicach Jerozolimy setki żydów bogatych i biednych, uczonych i prostych ciśnie się wokół uczni Jezusa i słucha nauki o krzyżu.

Świeży chleb, świeża woda, figi świeże... nietknięte. Zalęknione spojrzenie gospodarza. Między kolumnami ulicy Prostej słońce poranku, war południa i chłód wieczoru.

A potem druga noc w Damaszku. Niewidzące źrenice młodego męża patrzą jeszcze szerzej niż pierwszej nocy... lecz plecy zgarbione prostują się, jak do nowej drogi, jak do nowej walki.

Druga noc w Damaszku... Synagoga w Jerozolimie pełna po brzegi. Na wzniesieniu stoi Szczepan, mistrz biblii, pewny, spokojny. Jemu naprzeciw gorąca, od wewnętrznego ognia rozpłomieniona postać Szawła z Tarsu. Toczą pojedynek. O Nazareńczyka! Szczepan zwycięża; Jezus był Mesjaszem, o Nim to mówili prorocy. Jezus zmartwychwstał, bo jest Synem Bożym, ten Jezus — pojedynek staje się trybunałem — „którego wyście zdradzili i zamordowali!” Tysiące pięści w górze... krzyk... burza... wywlekli go za miasto, ku bramie damasceńskiej. On jeden. Szaweł, z całego grona uczonych biegnie z tłumem, twarz zieje nienawiścią... przystaje blisko i czuwa nad białymi płaszczami, które zawadzały rzucającym kamienie. Sam kamieniem nie ciska, lecz, że czuwa nad płaszczami kamienujących, kamienuje najwięcej, bo jest z każdym z tych, który głaz wznosi. Szaweł kryje twarz... przed wzrokiem konającego, który patrzy nań uporczywie i modli się... modli się za swych katów, jak Nazareńczyk na krzyżu. I znowu zieje nienawiścią twarz Gamalielowego ucznia.

Minął dzień. Pokarmu ni napoju nie ruszył. Juda z lękiem opowiada o dziwnym zachowaniu się podróżnego. Zbliża się trzecia noc Szawła w Damaszku. Przed oczyma ślepca rozgrywa się krwawa walka, którą rozpoczął na ulicach Jerozolimy. Z mieczem w ręku na czele swych towarzyszy i żołnierzy z świątyni goni od domu do domu i wywleka Nazareńczyków. Niewiasty krzyczą, dzieci płaczą..., krew — a jemu ciągle mało! Brakło Nazareńczyków w Jerozolimie; słyszy Szaweł — wszak ma

swych szpiegów! — że schronili się w Joppie przy Piotrze, w Samarii przy Filipie, i że najwięcej jest ich w Damaszku... zbiera nowych żołnierzy, i rankiem, damasceńską bramą, koło miejsca, gdzie Szczepan umierał — pędzi do Damaszku... nienawiść go gna... wymordować wszystkich, którzy wierzą w Tego, co umarł na krzyżu!... Trzecia i ostatnia noc Szawła w Damaszku... Ślepy podróżnik podnosi się z ławy, powoli, z wysiłkiem, ręce przed się wyciągając i klęka... Trzecia noc Szawła w Damaszku... trzecia noc czekania i przeżywania... i „On" trzy dni leżał w grobie, zanim wstał silny...

...Pędzi Szaweł w stronę Damaszku na jeźdźców czele... już widać w oddali szare miasto w ciemno-zielonym wieńcu ogrodów... odpoczywające strudzone w słońcu... a jeźdźcy pędzą... naraz błysk, piorun, ogień z nieba! Walą się konie i jeźdźcy, uciekają na bok w popłochu — na ziemi przed bramami Damaszku gromem rażony leży Szaweł, i słucha, jak w gromie Bóg do niego mówi... w domu Judy, w Damaszku, w trzecią noc czekania. Krzyżem Szaweł leży, i słucha głosu Nazarejczyka, którego prześladował... widzi twarz, która patrzy zza bram wieczności a jest potężna i łagodna, gromowładna i dobra, wyniosła i bliska — w miłości i przebaczeniu... „Jam jest — Jezus! —"... modli się ślepiec, którego Bóg oślepił, aby przejrzał... Szaweł modli się do Tego, który umarł na krzyżu, Szaweł z Tarsu, uczeń filozofów — dla którego krzyż był zgorszeniem a cierpienie karą i przekleństwem...

Rankiem tej trzeciej nocy podniósł się podróżnik z klęczek i w nowy, jasny dzień sercem i umysłem powiedział — suscipe[59] — otom Twój!

Rankiem stuka sługa Judy do drzwi Ananiasza.

— Ananiasza prosi Juda do domu swego — Lija słucha i blednie... do domu Judy... tam, gdzie on mieszka! — Nie! — krzyczy lęk w dziewczynie. — Nie! nie może tam pójść, bo stanie się to, co z ojcem i matką...

— Zawołaj, dzieweczko, Ananiasza — niecierpliwi się sługa — a może już wyszedł?

— Wyszedł — powtarza Lija jak echo i ciężko wspiera się o framugę. Sługa Judy odchodzi powoli z niedowierzaniem patrząc na dziewczynę. A ona stoi dalej w drzwiach z zamkniętymi oczyma...

---

[59] Przyjmij.

— Lija, Pan z tobą; przepuść mnie — ręka Ananiasza spoczęła na głowie dziewczęcia.

— Dokąd idziesz?! — lęk wyziera z oczu Lii. — Słyszałeś?!

— Wiem... nie bój się, dziecko, nie bój się o mnie.

— Idziesz, do niego?

— Idę do Szawła. Tak chce Chrystus.

— Pójdę z tobą... — Idą między kolumnami ulicy Prostej. Jeszcze jest mało przechodniów a dużo wozów. Przed domom Judy przystają.

— Poczekaj. Lijo.

— Poczekam. Idź z Bogiem. — Znikł jej w głębi sieni, trochę przygarbiony, trochę niepewny i smutny. Lija opiera się o ścianę domu. Przykłada do niej ucho. Chciałaby usłyszeć, co się dzieje tam, w środku. Lecz ściana milczy.

Lija nie słyszy słów, które Ananiasz mówi do Szawła.

— „Szawle, bracie! posłał mnie Pan Jezus, który ukazał ci się w drodze, którąś jechał, abyś przejrzał i został napełniony Duchom Świętym".

Gdyby Lija słyszała te słowa, nie upadałaby coraz bardziej na siłach. Gdyby widziała, jak Ananiasz włożył na głowę Szawła ręce i jak z oczu ślepca natychmiast łuski opadły, nie bladłaby coraz więcej lękiem, który od serca przez całe ciało krąży i dreszczem je wstrząsa.

Dziewczynka przysiada pod ścianą. W dłoniach kryje twarz, po której przez palce na biały, gorący kamień spada pierwsza łza. Lija poczyna się modlić, gorąco, wbrew wszelkiej nadziei, wbrew lękowi, co nią trzęsie, modli się z ufnością, która przechodzi w niezachwianą wiarę, że Bóg ześle to, co dobre będzie.

— Llja! — dziewczyna zrywa się szybko i zdumiona z nieobeschłą od łez twarzą patrzy przed siebie. Z domu Judy wychodzi Ananiasz wraz z Szawłem... Ananiasz uśmiecha się i — Szaweł uśmiecha się do niej...

— Lijo, biegnij do Jakuba, Andrzeja, Maryi i innych, niech się zbiorą w naszym ogrodzie nad Baradą, niech przyjdą zaraz, biegnij szybko. — Lija biegnie; między kolumnami miga jej jasna sukienka i włos czarny. Po twarzy jeszcze płyną łzy, ale już nie łzy bolesne, lecz łzy uśmiechnięte do Boga.

Kiedy noc zawiśnie nad domami i ogrodami, nie będzie to czwarta noc Szawła w Damaszku. Szawła z Tarsu, prześladowcy Nazareńczyków,

lecz pierwsza noc Pawła, napełnionego Duchem Świątyni, Pawła, apostoła narodów.

„Gość Niedzielny”, nr 20/1948, s. 4 – 5.

JADWIGA BERNHARDT

Jak Florian święty do Polski przybył

Nie każe świateł wnieść książę Kazimierz. Blask świec raziłby wzrok zmęczony. Zaś mrok, co zasnuwa kąty komnaty, koi źrenice, ciszy serca bicie niezdrowe i myśli gwałtowność.

Na ławie skórą niedźwiedzią ścielonej siedzi książę. W mroku jasną plamą twarz majaczy i ręce. Ręce, zwykłe orężem władać, teraz bezsilnie splotły się na kolanach.

Złe, złe wieści docierają do uszu Kazimierza Sprawiedliwego na krakowskim grodzie. Zachodnio-pomorscy książęta hołd oddali cesarzowi, teraz znów Duńczyków zwierzchność uznali, srogi przez to prawowitemu panu polskiemu, Kazimierzowi, afront czyniąc. A na Wielkopolski stolcu brat rodzony, Mieszko, wichrzy przeciw księciu. Na południu Węgrzy się swarzą, od północy Jadźwingowie napadają... ręce księcia bezsilnie splecione zaciskają się mocniej, jak do modlitwy gwałtownej o poratunek w biedzie...

Cicho uchyliły się drzwi komnaty. Czerwony blask łuczywa pozatykanego w sieni długiej, wdarł się w mrok izby.

— Kto? — książę podnosi się z ławy i podchodzi do dworaka.

— Jego Dostojność, książe-biskup — usuwa się dworzanin, i miejsce robi dla Gedka, krakowskiego biskupa.

— Światła! — rozkazuje Kazimierz, a potem przyklęka i wita władzy duchownej dzierżcę.

W rozjaśnionej świetlicy dwóch mężów radzi do późnej nocy. Przez okna wąskie wpływa do komnaty marcowe chłodne powietrze i dalekie psów naszczekiwanie na grodzie. Pod drzwiami komnaty dworzanie drzemią. Łuczywo głośniej trzaska w nocnej ciszy.

—...radzęć, panie, ustawicznie więcej boskiej niżli ludzkiej dufać pomocy. Oręż zawiedzie, przyjaźń człowiecza zawiedzie, zaś adiutorium

nostrum in noinine Domini[60]. Radzęć posły do Rzymu słać o papieskie błogosławieństwo i o szczątki święte, które skoro w naszym grodzie spoczną — biskup mówi spokojnym, pewnym głosem — będą jako puklerz mocny przeciwko złu wszelkiemu. Od nich spokój spłynie na ziemie nasze, przez nie wrogi nasze upadną, one błogosławieństwa szczodre uproszą dla krainy całej, bo lud garnąć się do nich będzie z czcią głęboką, z prośbą ufną.

— Tak, ojcze — przytakuje książę w zamyśleniu — śniegi już opadły, poselstwo nasze może wyruszyć w drogę. Nie wiem jeno, o czyje święte ciało prosić rzymskiego biskupa.

— I ja nie wiem i niczego nie radzę. Niech Papież wybiera. Pozostawmy to jego woli — i nieba wyrokom.

W gorące dni latowe roku 1184 zawitały króla Kazimierza posły do Rzymu. Jedzie ciasnymi uliczkami przedmieść orszak bogaty a liczny. Włodzisław z Oraczewa dobrał sobie towarzyszy znacznych, Mikołaj, kasztelan na Sieradzu nie gorszych dobrał sobie. Rycerskie twarze z butą patrzą wokoło, a konie pod nimi w uprzężach kosztownych, dumnie prężą karki. Dzwonią ostrogi, brzęczą klamry złote, migocą kamienie drogie i jedwabie. Ludzi gromady tłoczą się na drodze i z zdumieniem pokazują na płonące rubiny w końskich grzywach, a z śmiechem patrzą na futra grube, co zwieszają się z ramion panów. Italskie słońce iskier tysiące krzesze w strojnym orszaku.

Nie starczyła jedna gospoda dla posłów i ich świty. Polscy panowie w kilku domach stanęli, przyjmowani gorąco. A płacili szczodrze. Bogato obdarzył Kazimierz swe posły, aby nie przyniosły ujmy jego imieniu. Bogate dary obmyślił dla rzymskiego biskupa za jego łaskawość.

Zażywają rycerze odpoczynku po drodze długiej, szykują dary dla papieża i szaty strojniejsze od tych, które mieli w drodze, by godnie stanąć przed głową chrześcijaństwa. Włodzisław i Mikołaj ćwiczą się w oracji kunsztownej, którą wygłoszą przed papieżem w króla polskiego imieniu.

Po mszy świętej, wczesnym rankiem, przyjmuje u siebie Lucjusz III, biskup rzymski, polskie poselstwo. Włodzisław z Oraczewa i Mikołaj z Sieradza przedkładają prośby króla polskiego, prośby całej Polski. Lucjusz

---

[60] Wspomożenie nasze w imieniu Pana.

nie odmawia swego błogosławieństwa wiernej krainie; łaskawie nakłania się i do drugiej prośby.

— A o czyje ciało męczeńskie prosi pan Kazimierz?

— O to, które Wasza Świątobliwość łaskawie wybierze.

Namyśla się papież, a po krótkiej chwili wspólnie iść każe do bazyliki świętego Wawrzyńca. Pod dachem pięknej świątyni spoczywają trzy święte ciała: święty Wawrzyniec obok świętego Stefana i Florian święty. Słudzy papiescy otwierają grobowce. Ręki skinieniem przywołuje Lucjusz do siebie polskich posłów. Podchodzi z nimi ku grobowcom. Modli się z przymkniętymi oczyma... posłowie klęczą w bezruchu wpatrzeni w twarz papieża... nagle otworzył oczy i spojrzał w tamten grobowiec, jakby coś widział... przytakuje głową, jakby coś słyszał... a w bazylice panuje głęboka, święta cisza, niby w obliczu cudu...

— Święty Florian chce iść do Polski —- mówi papież z uśmiechem do posłów z Krakowa.

- -

Jeszcze setki mil oddaleni są posłowie z świętymi szczątkami Floriana od bram Krakowa, lecz w grodzie wszystko, co żyje, rozpowiada już tylko o nowym Polski patronie. Na zamku, w gospodach i w chatach głosi się dziwy o świętym Florianie. Jak to orzeł strzegł jego ciała umęczonego, które rzeka wyrzuciła. Jak niewiasta nabożna w śnie ujrzała zwłoki święte i odnalazłszy je zawiozła w miejsce bezpieczne. Jak Florian święty do Rzymu z Austrii przywieziony, chronił miasta świętego od groźnych najazdów dzikich ludów.

— Potajemnie wzięli nasze posły ciało święte — opowiada Przemko, strażnik zamkowy — jeno papież o tym wie, bo ludzie z Italii nie pozwoliliby na wywiezienie świętego ciała. Wojnę by podnieśli przeciwko naszym posłom, bo kochają wielce Floriana za jego cuda rozliczne.

— Ale przecież święty Florian sam chciał iść do Polski! — oburza się pani Zofia, żona grodzkiego mistrza szewskiego na ludzi z Italii.

— Chciał, pewnie że chciał, przecież napisał!

— Napisał?! — w gospodzie jest podróżnik, który z rana przybył od Wielkopolski i jeszcze o tym wszystkim nie wie.

— Jakże! napisał, na karteczce napisał — przytakuje Przemko.

— Nie słyszałem — dziwi się pan z Wielkopolski — mówiono mi tylko o tym, jak papież- modlił się nad grobowcami, a nasi posłowie zauważyli, iż

święty Stefan i święty Wawrzyniec odwrócili od nich głowy, a skoro oni mocno posmutnieli, wtedy święty Florian wyciągnął ku nim rękę... [61].

— Tak, wyciągnął rękę, — przerywa mu Przemko gwałtownie — a w niej była kartka z napisem: „Ja pójdę do Polski”[62]. I dlatego papież powiedział, że święty Florian chce iść do Polski. — Milczenie zapanowało w gospodzie i ludzie modlili się do tego świętego, który dążył do Polski, pokochali świętego, który sam chciał iść do Polski.

Toteż gromadnie zbierają się na drodze do grodu w wietrzny dzień szóstego listopada. A wielu innych dąży naprzeciw świętemu męczennikowi kilka mil od Krakowa. Na ich czele podąża książę Kazimierz Sprawiedliwy w orszaku rycerskich panów i biskup krakowski Gedko z duchowieństwem. Wśród śpiewów nabożnych, które wiatr po polach roznosi, wśród świateł świec gasnących na listopadowym wietrze, wśród woni kadzideł zbliża się Florian święty ku wawelskiemu grodowi. Wóz bogaty, na którym spoczywają święte szczątki, jest już na polach Kleparza. Jedzie powoli wśród tłumów ludu i raptem przystaje. Konie zatrzymują się gwałtownie, jakby czyjaś niewidzialna ręka ściągnęła ich cugle. Przyskakują panowie krakowscy, jedni do dyszli, drudzy do kół, wspierają wóz barkami — wóz ani drgnie.

Biskup Gedko podchodzi do świętych szczątek. Klęka. A za nim tłumy. Kiedy powstaje, uśmiecha się... uśmiecha się tak, jak papież wówczas, gdy mówił do polskich posłów, iż św. Florian chce iść do Polski.

— Święty Florian nie chce spocząć w grodzie, ale tu, na Kleparzu, u bram grodu...

- -

W rok później stanęła na Kleparzu piękna romańska świątynia pod wezwaniem świętego Floriana. Był to rok 1185. Od tego czasu rozpoczyna św. Florian swój zwycięski pochód po całej Polsce. Wiele polskich miast oddaje się pod jego opiekę, buduje mu wspaniałe kościoły. Od płomieni wojny ustrzegł święty Florian swój kościół w Warszawie. Z Poznania opiekuje się św. Florian całą Wielkopolską, w nowym kościele Żywcu-Zabłocie błogosławi ludziom — tylko u nas, na Górnym Śląsku, nie ma

---

[61] Długosz pisze pod r. 1184 o tym podaniu.

[62] Translatio s. Floriani – Wincenty Kielecki w. XIII.

dotąd swojej świątyni. Jest patronem naszego hutniczego ludu, a jest bezdomny.

Ale pewnie nie minie rok, a na ziemi śląskiej tam, gdzie szare i czerwone kamienice Chorzowa nisko schodzą ku zielonym polom odciętym na widnokręgu zadymioną linią kominów, stanie dom świętego Floriana. Stanie świątynia pierwsza na Śląsku, jak ongiś stanęła pierwsza w Polsce na polach Kleparza.

„Gość Niedzielny", nr 23/1948, s. 4.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Gdy legenda prawdą się stała

W koło dworku lipy pachną. Lipcowe słońce rzuca jasne, rozedrgane plamy na ściany i ganek dworku. Wróble hałasują; na gałęziach, na gzymsach, w koleinach drogi wiodącej ode wsi. Przed gankiem pojazdów sznur. Służba kręci się przy koniach.

A żyrowski dwór dyszy gwarem i śmiechem tryska przez rozwarte okna. Hrabia Melchior Ferdynand Gaszyna, nowy pan na Żyrowie, sprosił krewnych i przyjaciół dla oglądnięcia swej posiadłości.

Dano znak. W gwarnej świetlicy uciszyło się nieco.

— Moi kochani, szlachetne panie i szlachetni panowie! — głos hrabiego brzmi donośnie — pozwólcie łaskawie, że wniosę strzemiennego. Pojazdy i konie gotowe do drogi. Już pora na naszą wycieczkę, o ile takowa — hrabia kłania się dostojnie — państwu odpowiada.

— Jedziemy! Jedziemy! — cienkiem okrzykom dam wtórują grube męskie. Gwar wzrósł. Odsuwają ławy i zydle, wołają na sługi, szukają okryć.

Na ganku rojno. Psy kręcą się wokół wozów.

— Pan hrabia pozwoli, że się pożegnam — duchowny, niestary jeszcze, z mądrą spokojną twarzą zbliżył się do żyrowskiego pana.

— Jego wielebność?! Ależ, księże proboszczu! — hrabia bierze księdza pod rękę — i księdzu kazałem przygotować wierzchowca!

— Nie mogę, panie hrabio. Czekają mnie w domu ważne sprawy. A pan hrabio, czy prędko zajrzy do Leśnicy?

— Aha, w sprawie Góry, klasztoru — młoda twarz hrabiego rozpala się jakąś wewnętrzną myślą — choćby jutro, księże proboszczu!

Damy w pojazdach, rycerze na koniach, wyjechali już na szeroką, żyrowską drogę. Droga prowadziła lekko w górę. Hrabiemu podano konia. Kiedy pojazdy stanęły na wzgórzu, gdzie drogi rozchodziły się na zachód i wschód, hrabia dopędził towarzystwo.

— A dokąd teraz nas powiedziesz? — Krzystof Zadora, druh hrabiego Gaszyny z rycerskich wypraw, podjeżdża do żyrowskiego dziedzica.

— Teraz powiedzie nas ktoś inny — hrabia szuka wzrokiem — o, zbliżcie się panie Mikołaju! Oto pan dziedzic z Poręby, Mikołaj Strzała! Do jego włości należy tamta góra, na którą chcemy zajechać — hrabia wskazuje ramieniem na wschód.

— A co to za góra? — ciekawe głosy pań wychylających się z kolas.

— To Góra Chełmska, inaczej Górą św. Anny nazywana — objaśnia dziedzic z P oręby. — Skąd się wzięła pierwsza nazwa tego dobrze nie wiadomo. Może od jej kształtu? popatrzcie, szlachetni państwo, istny hełm! A może... Stara legenda powiada, że na jej szczycie położył św. Michał swój hełm... Zasię druga nazwa naszej góry — Mikołaj Strzała odchrząknął, mówi głośno, i pręży się dumnie — pochodzi od kościółka poświęconego św. Annie, który tam stoi na szczycie. Wybudowali go moi przodkowie przed 150 laty.

— Teraz jeszcze, panie Mikołaju, powiedzcie co najważniejsze! — przypomina hrabia Gaszyna.

— Toć właśnie mówić miałem. Wiedzcież tedy, że góra ta Górą Świętą jest... — pan z Poręby patrzy w zamyśleniu na zielone wzgórze na widnokręgu — co roku, od stupięćdziesięciu lat pielgrzymują do św. Anienki tysiące ludzi... nie tylko z naszych dolin, ale i z daleka. Modlą się, tam w starym kościółku, przed małym, świętym posążkiem z bukowego drzewa... i dzieją się tam dziwy... cuda... Niewidomi — widzą, chorzy — zdrowo wracają...

— Dziwy? cuda? — niedowierzające pytania, oczy zdumione, ciekawe...

— E, bajki — Krzysztof Zadora krzywi usta w szyderczym uśmiechu — mrzonki i zwidy prostych, nieuczonych ludzi. Ty przecie temu nie wierzysz?! — w głośnym kpiącym śmiechu bluzgnęło pytanie w stronę hrabiego — ty nie wierzysz w duchy zaklęte!

— Zmilknij! — zduszony okrzyk, oczy rozpłomienione — nie byłeś tam, nic nie wiesz! Ja wierzę!

— Ty... wierzysz? — brwi w górę podniesione, usta rozwarte — Melchior! opamiętaj się, druhu! — Krzysztof przyskoczył do hrabiego — nic to, nad baje prostaków, wierz mi!

— Zmilknij! — ogień na twarzy hrabiego — nic nie wiesz... Krzysztofie! — oczy patrzą z wyrzutem na druha — znowu zapominasz, że jestem spod Częstochowy, że moja kołyska stała w cieniu Jasnej Góry... a ta tu góra — też jest Jasną Górą! — nagły, radosny krzyk. Hrabia zapomniał o towarzystwie, które zamilkło. Jedni patrzą z bojaźnią na zielone, wysokie wzgórze, drudzy wzrok zdumiony utopili w zachwyconej twarzy hrabiego. — Jasna Góra... — Gaszyna mówi znowu spokojnie — czy wiecie, że niejedne oczy, w niejedną ciemną noc światło nieziemskie widziały na tej górze? że niejeden człowiek, klął się, że widział szereg zakonników z płonącymi świecami w ręku wstępujących na górę? zakonników franciszkanów[63]... tak, zaiste, kochani przyjaciele — hrabia niewidzącym spojrzeniem ogarnia całe towarzystwo — to jest święta Góra i cuda, które się na niej dzieją, to nie bajki prostaczków, nie duchy zaklęte, i blask który z niej promienieje, nie jest zwidem, lecz Bożym znakiem, iżby ta góra stała się dla tutejszego śląskiego ludu ostoją wiary i źródłem Bożych łask, iżby ubodzy synowie św. Franciszka ten lud prowadzili...

- -

— Ale skąd, skąd wezmę zakonników?! polskich Franciszkanów? — hrabia niespokojnie gwałtownie przemierza świetlicę żyrowskiego dworu.

— Znajdą się, prędzej, czy później znajdą się — proboszcz leśnicki mówi pewnie, spokojnie — nie ma o co gwałtu robić. I tak wszystko powiodło się nader pomyślnie. A może nie? — Prawdziwie, ale...

— Wszystko ma swój czas — przerywa proboszcz dobitnie. — Pan Bóg ma go najwięcej. A my jesteśmy zapaleńcami, narwańcami. Co pana hrabiego mierzi? że z Gliwic nie nadeszły jeszcze wiadomości? że krakowski Ojciec Prowincjał zwleka z odpowiedzią? widać, że też ma czas, że długo obmyśla, aby wszystko najlepiej urządzić.

---

63 Mówi o tym dokument w archiwum miasta Leśnicy, pod przysięgą sporządzony z XV w. („Góra św. Anny" O. Barnaba Stokowy OFM).

— A tymczasem na Górze mogliby już pracować zakonnicy! Mogliby tysiącom ludzi głosić kazania, mogliby nauczać młodych, starych...

— To wszystko będą robili, gdy przyjdzie czas. Teraz, hrabio, dziękujcie Bogu, że w waszych rękach jest Góra św. Anny. Nie zapominajcie o wdzięczności w obliczu nowych trudów — ręka proboszcza wznosi się ostrzegawczym ruchem — aby snadź Bóg nie wziął od waszego dzieła swego błogosławieństwa.

Hrabia przystanął w swej gwałtownej wędrówce po świetlicy. Podniósł dłonie do płonącego czoła, patrzy na leśnickiego proboszcza, jakby go pierwszy raz widział.

— Prawdę mówicie — głośny szept — zapominam dziękować, a jeno proszę i proszę. I ciągle mi mało. Ciągle chcę więcej. Zbyt gwałtowna jest ta moja gorliwość... każe mi ona Boga popędzać, z Bogiem się swarzyć...

— A ufać mu macie...

— Ufać i dziękować. — Hrabia siadł na ławie. — Dziękować mam za co — myśli — ciężko było ze zdobyciem Góry. Długą, okrężną drogą stałem się jej właścicielem. Najpierw trzeba było kupić Centawę, tę majętność rycerską, potom tęże wymienić na Porębę. .

— Jaśnie hrabio, posłaniec z Gliwic!— w uchylonych drzwiach głowa pachołka.

— Gdzie?! Dawać go tu! — hrabia poskoczył na ganek. — Jest pismo?! gdzie? — Posłaniec gramoli się z konia, niezaradnymi palcami rozplątuje sznur sakwy; dobył list. Hrabia wyrwał mu go z ręki. Łamie pieczęcie, czyta.

— Niech go.. — przekleństwo ciśnie się na wargi czytającego. Twarz krwią nabiega. Ręce drżą oburzeniem. Hrabia wbiegł do świetlicy.

— Tu, czytajcie! — Gaszyna rzucił pismo na stół, przed siedzącego nieruchomo leśnickiego proboszcza — co teraz powie wasza wielebność?! — w gniew i oburzenie wkradła się gorzka nuta szyderstwa.

Proboszcz czyta bez ruchu, „...nie jesteśmy skłonni przyjąć tak odludnej Góry. Nie poślemy wam naszych zakonników. Synowie św. Franciszka nie są pustelnikami. Ich celem żywota nie jest życie samotne, kontemplacyjne, ale praca gwałtowna, obfita, wśród ludu, w duszpasterstwie...”

— Nie zbrakłoby im tej pracy, o nie — szepcze proboszcz i przez chwilę smutek i zwątpienie maluje się w jego dobrych oczach.

— Co teraz? — i co? — hrabia zatrzymał się w środku izby w swojej gwałtownej wędrówce, ręce zacisnął w pięści — przyjdzie mi chyba słać po niemieckich franciszkanów do niemieckich klasztorów, skoro nasi, polscy, nie chcą przybyć na tak odludną Górę!

— Panie hrabio, nie trzeba się unosić! — karci proboszcz gwałtownego rycerza — tak nie można, nie. W obliczu niepowodzenia, nie gniew, lecz roztropność rządzić musi. Roztropność, mądrość spokojna, ufna.

Hrabia dyszy ciężko. Milczy. Siada na ławę, prostuje palce, nie patrzy na proboszcza, gdy pyta.

— Co radzicie?

— Posłuchacie mej rady? — leśnicki proboszcz patrzy dobrotliwie, z litością na mocnego rycerza, którego zbytnia gorliwość unosi jak koń narowisty. — Posłuchacie?

— Rzeknijcie.

— Trzeba jeszcze raz posła słać.

— Co? — hrabia poderwał się z ławy. Biały gniew w oczach, na czole, wkoło ust.

— Trzeba jeszcze raz posła słać do krakowskiego Ojca Prowincjonała. I potem jeszcze raz trzeba słać, trzykroć, czterykroć, pokąd nie zrozumie, że polscy franciszkanie z Bożego rozkazu osiąść muszą na Górze św. Anny.

Hrabia Melchior Ferdynand Gaszyna, właściciel Góry św. Anny, przez osiemnaście lat uczył się cierpliwości i wytrwałości. Przez osiemnaście lat doświadczał Pan Bóg jego miłość ku świętej Górze Śląska. Hrabia Gaszyna uparcie trwał przy swym planie: przez osiemnaście lat, przy każdej sposobności, upominał się o polskich franciszkanów dla śląskiej Jasnej Góry. Wtedy, gdy śląskie miasta i wsie płonęły w wojnie 30-letniej. Potem, gdy na Śląsku bawili dostojnicy Kościoła z nuncjuszem papieskim na czele, i jeszcze później, kiedy król Polski, Jan Kazimierz, pisał w Opolu manifest do powstania przeciwko Szwedowi. Hrabia Gaszyna prosił, kołatał, o polskich franciszkanów dla śląskiej Góry. Już się nie zżymał, nie gniewał,

gdy przychodziła odmowna odpowiedź lub wręcz żadnej nie było. Uparł się. Znowu posła słał.

— Kiedyś muszą wysłuchać — mowa rycerza była twarda, oczy pewne.

— Prawda. Modlitwa szturmuje niebiosa — leśnicki proboszcz pochylił się, skurczył — przywędrują franciszkanie do św. Anienki czy chcą, czy nie chcą. Ona ich czeka.

— — — Aż kiedyś...

— Panie hrabio, panie hrabio! — proboszcz leśnicki jakby odmłodniał, zeskakuje zwinnie z konia przed gankiem żyrowskiego dworku — panie hrabio! no, jesteście! Ślijcie co prędzej posła do Gliwic! Pan Bóg nam w sukurs idzie! Słuchajcie, szczęście w nieszczęściu! — proboszcz wspiera się na ramieniu hrabiego, trzęsie się ze wzruszenia — klasztor franciszkanów w Krakowie Szwedzi zburzyli. Bezdomni zakonnicy ukryli się u nas, w Gliwicach. Jest ich tam, tak mi donieśli — sześćdziesięciu! A wiecie przecie, jaki to ubożuchny i rnaluchny ten gliwicki klasztor! Najwyżej 15 zakonników pomieści a reszta...

A reszta przyjdzie do na s i do św. Anny! — Szczęście, długo oczekiwane szczęście, krzyczy przez usta hrabiego.

— Tak, tak, nie inaczej! Ot palec Boży! — cieszy się proboszcz — Opatrzność Boska sama zadecydowała! Zawsze wam mówiłem, hrabio, że Pan Bóg ma swój czas, i wszystko w swym czasie, czy to przez biedę, czy przez utrapienie, do celu doprowadzi! Było Mu ufać! Wbrew ludzkiej nadziei!

Dzień Wszystkich Świętych 1655 roku. Zapada wieczór. Prószy pierwszy, ostry śnieg. Ku Górze św. Anny kroczy szereg zakonników w habitach św. Franciszka. Zsiniałe palce zasłaniają migotliwe płomyki świec. Zziębnięte wargi szepczą pacierze. Spod kapturów zdziwione oczy patrzą ku wysokiemu wzgórzu jaśniejącemu przedziwnym blaskiem...

— Patrzcie-no, patrzcie! — ludzie idą za zakonnikami, wskazują palcami górę, patrzą na szeregi zakonników — przecie to tak jak w owej legendzie! Tak samiuteńko!

— Doczekałaś się, św. Anienko — szepcze leśnicki proboszcz dobrotliwie.

— Doczekałaś się, śląska święta Góro, polskich franciszkanów! — hrabia Gaszyna w milczeniu, z sercem wezbranym dumą i radością, spogląda na Górę jaśniejącą w blasku franciszkańskich świec.

Jadwiga Bernhardt

„Gość Niedzielny”, nr 30/1948, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Węgiel czy chleb?...

Czterech jeźdźców jedzie borem gęstym, wysokim, kierując się nurtem biegnącej opodal rzeki. Przemsza rozlewa szeroko swoje wody, niosąc na wezbranych falach gałęzie drzew i krzewów, a nawet co potężniejsze konary. Słońce patrzy w ciemną modrą toń, na próżno szukając dna.

Jadą stępa, rozglądając się bacznie dokoła. Spojrzenia zdają się nie wroga szukać, lecz wypatrywać ciekawie nieznaną okolicę. Dwóch, przodem jadących, nie rozmawia wiele ze sobą; są zajęci badaniem rozmokłego gruntu pod nogami i szukaniem twardszej, pewniejszej drogi.

Dwaj, podążający za nimi, wiodą ożywioną rozmowę. Nierówni są sobie wiekiem, choć obaj jednako sprzężyście trzymają się w siodłach; comes castellanus z Wrocławia ma brodę siwą aż po pas i twarz woja, zaoraną zmarszczkami i bliznami, zaś królowi Kazimierzowi, co nie przekroczył jeszcze 26 roku życia, bujny włos ciemną falą wypływa spod lisiego kołpaka, okalając twarz mądrą i szlachetną.

— Nic, jeno bór, a w nim zwierza bez liku! A ptactwa rozmaitego — prawi młody król i patrzy w górę, na chwiejące się pod niebem wierzchołki drzew. — Kędy są ludzie tego kraju, kędy ich osady, o których opowiadaliście mi, kasztelanie? — niecierpliwi się Kazimierz.

— Rychło zajedziemy do nich, Miłościwy Panie! — uspokaja stary wojak — jeszcze przed zachodem! Niech no rzeka skręci raz i drugi w północną stronę...

— I mówicie, że pracują pod ziemią? — przerywa król — że kopią głęboko czarny kamień, co się pali?

— Zobaczycie sami.

Milknie i duma młody książę, co przed kilku laty, po nieszczęsnej śmierci brata Bolesława, porzucił ciche ustronie klasztorne, gdzie się chował, i wziął rządy królewskie w swoje ręce. Ręce były młode i słabe, a rządy ciężkie. Trzeba było podbić zbuntowane dzielnice, przyłączyć oderwane, i trzeba było odbudowywać zniszczony kraj, miasta, grody i siodła, stawiać kościoły, odnawiać biskupstwa...

Pomorze, Mazowsze, Wielkopolska i Małopolska — w umyśle króla odnowiciela migają obrazy tych krain, które na nowo zakwitły pod jego błogosławionym panowaniem — teraz jeszcze to Śląsko kochane, z tym ludem, co pod ziemią kopie...

W zagrodzie mistrza piekarskiego Marcina tyle nagromadziło się ludu, że niski płotek z trzaskiem łamanych żerdzi zwalił się na ziemię. Zgraja dzieci, które starsi od wrótni przegnali, pcha się teraz przez niespodziewane wejście do obszernego podwórza. Przeciskają się, jak zwinne wiewiórki, pod łokciami i między nogami stojących w skupieniu ludzi, aż do pierwszych rzędów i patrzą wielkimi, zdziwionymi oczyma.

Przy dużym, dębowym stole, wyniesionym przed chatę, siedzi król Kazimierz z swoimi towarzyszami, gasząc pragnienie chłodnym napojem. Usługuje mu mistrz Marcin, chłop ogromny, lecz gibki, z radosną dumą w oczach.

— Wszak do jego chaty zajechał sam król! Nie do kogoś innego, nawet nie do bogatego górnika Janka z Saksonii... ale czemu Janko jeszcze nie przychodzi? przecież już słali po niego! — myśli zafrasowany i patrzy z niepokojem na króla. Ten podniósł się od stołu i rozprawia o czymś z starymi górnikami z Szarlina.

— O czym też prawią? — próbuje odgadnąć. — Może proszą króla, by zezwolił tu wioskę założyć? Jeno pod jaką nazwą? — nagle, wyraźne zmartwienie odbiło się w oczach ogromnego chłopa — pod jaką nazwą? — powtarza w zamyśleniu targając jasne, obwisłe wąsy.

— Tatulu — bosy wyrostek szarpie Marcina za kapotę — Janko już przyszli! Już wchodzą we wrota!

Porwał się mistrz piekarski witać przybywającego. Była to postać niska, krępa i muskularna. W ciemnej twarzy gorzały oczy ciemne, zasłonięte czarnymi, rozrosłymi brwiami. Duża, żylasta ręka wyciągnęła się Marcinowi naprzeciw.

— A król gdzie? Czyżby prawdziwie chciał z nami do szybu zjechać?

— Chce. — Ot, tam rozprawia z waszymi ludźmi. Słuchajcie, Janko — Marcin stara się mówić spokojnie, lecz głos ma jakiś rwący się, gwałtowny — słuchajcie, gdyby król zezwolił na założenie wsi, to, to wieś musi się wedle nas, Piekary nazywać!

— Uspokójcie się, Marcinie; już wam raz, mówiłem, że nie może być inaczej, jeno podle nas, górników, których więcej tu siedzi...

— To nieprawda! nie naszych ludzi liczycie, ale tych, co tu niedawno z Niemiec przyciągnęli! Jeszcze raz wam powiadam — nie dokończył, bo podniosły się liczne głosy, wzywające Janka do króla. Odszedł szybko, rad przerwanej rozmowie. Marcin wszedł do chaty. Zwalił się ciężko na ławę. Rękami podparł brodę i patrzy bezmyślnie przez okno na podwórze, opróżniające się szybko.

— Ludzie ciągną za królem, w stronę Szarlina — myśli ciężko — przeważnie sami górnicy... postawią na swoim... niedoczekanie ich! — dosadne przezwisko ciśnie się na zaciśnięte wargi... a potem, potem mija gniew... — Panie Boże, pomóż nam. Broń od niezgody. Niech się dzieje z nami wedle Twojej woli.

Zmęczone i zaczerwienione od całodziennego biegu słońce spoczywa nad brzegami Przemszy, chłodną wodą gasząc pragnienie. Bór żegna się z nim przed nadchodzącą nocą skrzekliwymi głosami ptactwa. Na wzgórzu, tuż za laskiem brzozowym, którym droga do wąskich kopalnianych szybów prowadzi, płonie wielki ogień; piekarze kończą wypiek ostatnich chlebów. Mistrz Marcin uwija się raźno około stołów ustawionych niedaleko ogniska, a nakrytych do wieczornego posiłku.

— Ino patrzeć, a wyjdzie Pan Miłościwy z szybu. — Przysłonił oczy rękawem przed blaskiem paleniska i wypatruje w stronę brzozowego lasku. — Już ich widać, dalibóg, już idą, hej, chłopaki, zwijajcie się raźno!

Niedługo trwało, a wzgórze zaroiło się od przybywających górników. Król Kazimierz, kontent widocznie, z podziwem wskazuje na duże bochenki świeżego, pachnącego chleba.

— Widać, że ten lud, jak pod ziemią, tak i na ziemi pracowity. Pokosztujmy ich chleba. Zacznijcie modlitwę, kasztelanie.

Pozdejmowano kołpaki i czapki. Cisza zawisła nad wzgórzem, na którym jeno palące się szczapy trzaskają sucho raz po raz. Siwobrody kasztelan wrocławski modli się głośno, wyraźnie. Wraz z nim Janko, co stoi u jego boku i Marcin, stojący podle króla.

...chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj — płyną słowa modlitwy.

— Chleba naszego, chleba, chleba — powtarza Janko, — słowa plączą mu się, nie może modlić się dalej, mówi tylko: chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... nie o węglu mowa w tej modlitwie pańskiej, nie o owocach naszej, górniczej pracy — ale o pracy piekarzy. Gorączkowe myśli tłoczą się w głowie czarnego, krępego górnika.

Janko, nie śpijcie, król przemawia — szturcha go sąsiad Przecław; nastawił ucha — pozwalam tedy na założenie tu wioski — kończy król — pod nazwą, jaką obierzecie. O jakiejże nazwie przemyśliwacie? — Pytające spojrzenie króla i innych biegną do Janka. Na jego twarzy widoczna jest walka, a potem nagle, mocne postanowienie.

— Nasza wieś, niech się Piekary nazywa, Królu Miłościwy — mówi zwolna, podnosząc się z ławy — niech się Piekary nazywa od naszych piekarzy, od tego chleba powszedniego...

Marcin podskoczył do Janka; ściska mu ręce i bełkoce niezrozumiałe, radością nabrzmiałe wyrazy. Wszyscy powstali z miejsc, wszyscy rozprawiają. Wszczął się harmider, lecz skoro król podniósł się, umilkli.

—Nadaję waszej wsi wedle waszego życzenia przezwisko Piekary. Niech się wami Bóg opiekuje i niech wam nigdy nie poskąpi chleba.

Radosna salwa okrzyków odpowiedziała słowom króla Kazimierza Odnowiciela, odbijając się echem stokrotnym w śpiącym nad Przemszą borze.

„Gość Niedzielny”, nr 37/1948, s. 5.

❋ ❋ ❋

Kościół, który wyszedł na ulicę

Z kościołów chorzowskich jeden widoczny jest aż z Piekar. To staro-chorzowska Maria Magdalena. Kościół stoi na wzgórzu i ma efektowną

wieżę. Budowano go przed sześćdziesięciu laty. Kładziono już fundamenta, gdy naraz zdarzyła się rzecz osobliwa. Chorzowianie zauważyli, że nowy kościół będzie stał zbyt blisko ulicy, a właściwie stał już na samej ulicy. Wtedy wysłano delegację do biskupa we Wrocławiu, aby poradził w kłopocie. Nic z tego nie wynikło. Podjęto przerwane roboty i wybudowano duży kościół, którego część przedsionka i stopnie doń prowadzące wysunęły się na ulicę tak, że dziedziniec kościelny nie okala całej świątyni, a procesja w oktawie Bożego Ciała, czy odpustowa, musi wyjść na ulicę.

Kiedy przed kilku laty, w czasie okupacji, zaczęły się na wieży i na portalu kruszyć dachówki, spadały one nie — jak gdzie indziej — na przykościelny plac, tylko prosto na ulicę. A tu na chodniku wieczny ruch. Dzieci biegną do szkoły, matki znoszą chleby od piekarza, który ulokował się dokładnie naprzeciw głównej bramy kościelnej (gdy się stanie za oszklonymi drzwiami składu, widać aż do głównego ołtarza) a ojcowie idą do fabryki azotów.

Teraz już cegły z kościelnej wieży nie grożą chorzowskim głowom. Zabrano się do remontu kościoła. Sprawy zainicjował duszpasterz starochorzowski, ks. kanonik Koźlik. Z ambony odwołano się kilkakroć do ofiarności parafian. Potem księża chodzili z koszyczkiem po kościele. Siostra Edyta też. Nie nadaremno. Również panie z Caritasu i od Wincentek przyłożyły rąk do dzieła.

Zgromadzono fundusze. I zaczęto oglądać się za specjalistą od remontu wieży, troszczyć się o piasek, o cegły. Wikary, ks. Rożek, ma urwanie głowy. Chce przecież, aby wszystko wypadło jak najtaniej, ale pamięta o tym, że wszystko musi być mocne, trwałe. Nie, jak poprzednio, na wapnie, ale na cemencie.

Gdy niedawno temu ów gwałtowny huragan hulał na Śląsku, chorzowianie z trwogą spoglądali na kościelną, wysoką a kruszącą się wieżę. Nic się jej jednak nie stało. „Chodziła” bo „chodziła”, gdy wicher ją atakował, ale na ulicę nie osunęła się ani jedna belka z wieżowego rusztowania.

Pewnego dnia pokusiło mnie wejść na wieżę.

— Wieża jest solidnie, po staremu zbudowana — informuje mnie pan Długaj, kierownik remontu. Ten młody człowiek w okularach, to ten sam, na którego tam, z dołu, z ulicy, każdy patrzy z przerażeniem, gdy tylko głowę

do góry zadrze. Bo nasz „mistrz wieżowy” zawieszony jest między niebem o ziemią, tuż pod żelaznym krzyżem na szczycie wieży. Okłada wieżę cynową srebrną blachą, wieżę mającą 74 metry.

— Wieża ewangelickiego kościoła ma 72 metry — informuje budowniczy — a wieże św. Barbary i Jadwigi są o wiele niższe.

Wychylam się przez okienko. Nade mną, o kilka metrów w górze, ramiona żelaznego krzyża; z ulicy zda się nie większy od „kolędowego” krzyża na stole — a ma cztery metry wysokości. Pode mną miniaturowa ulica Bożogrobowców, Kasprowicza, z boku szare zabudowania fabryki, dalej rozległe miasto Chorzów, tam Łagiewniki, Bytom, a jeszcze dalej — kościół Piekarskiej Panienki.

Na bocznych murach kościoła też rusztowania. Tam się „fuguje”, aby uchronić św. Jadwigę i św. Katarzynę od podobnego losu, jaki spotkał św. Augustyna i św. Monikę. Te piękne, duże malowidła ścienne w bocznych nawach zupełnie poodpadały pod wpływem wilgoci.

Schodzimy po wąskiej drabinie. Czuję, że wieża lekko „chodzi”, bo dmie silny wiatr.

Odbudowa samej wieży pochłonie przeszło pól miliona złotych, ale przynajmniej dachówki nie będą spadały na chodnik, a zegar wskazuje i wybija dokładnie godziny, z czego by ktoś mógł słuszny chyba wniosek wyciągnąć, że odtąd już nikt ze starochorzowian nie spóźni się na niedzielną sumę.

Jadwiga Kucianka

„Gość Niedzielny”, nr 42/1948, s. 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Jak Pius X poznał się z Piusem XI

— Ekscelencjo, śniadanie...

— Dobrze, dobrze, potem.

— Ekscelencjo, kawa wystygnie...

— No dobrze, niech ją ksiądz do kuchni zaniesie, to nie wystygnie. — Biskup przechodzi szybko koło stołu zastawionego śniadaniem. — Potem się napiję. Najpierw napiszemy list.

Młody kapelan biskupi bierze dzbanek z kawą i niesie go do kuchni. To nie pierwszy raz, że biskup zaraz po mszy św. zabiera się do pracy, miast coś przekąsić i sił nabrać.

Biskup Mantui, Giuseppe Sarto, martwi się. Stoi przy oknie i patrzy na swoje miasto. Patrzy w kierunku rzeki, tam, gdzie niskie domki gniotą się w ciasnych uliczkach. Był tam dziś rano. Zaraz po mszy św. wymknął się tam sam jeden.

— Mój Boże, co za nędza! — wzdycha biskup — biedni, biedni ludzie... I cóż, księże, piszemy? — zwraca się do powracającego kapelana. — Niech ksiądz siada, już dyktuję. — Biskup przechadza się raz i drugi po pokoju. Ręce w tył założył, czoło zmarszczył.

— Niech ksiądz pisze: „Szanowny i kochany panie burmistrzu! Znowu zwracam się do pana z prośbą w imieniu naszych biednych. W starej dzielnicy nad Mincią jest kilka rodzin całkiem biednych. W rodzinach tych są chude, chore dzieci...” — pióro skrzypi, kapelan pisze szybko o nędzy, którą się wzrusza biskupie, troskliwe serce.

— Tak, a teraz na zakończenie niech ksiądz napisze: „Wasz nowy biskup jest bardzo biedny pod każdym względem, jedynie w miłość ku swojej trzodzie jest bardzo bogaty”.

— Skończyłem — kapelan odkłada pióro.

— To dobrze... Dziękuję księdzu. Czy byłby ksiądz łaskaw zaraz zanieść list burmistrzowi? Nikogo nie mam na podorędziu.

— Odniosę, ekscelencjo, tylko wpierw przyniosę kawę...

— Nie, nie — biskup zaprzecza energicznie i głową i ręką — kawę sam sobie przygotuję, a ksiądz niech z tym listem biegnie, aby jak najrychlej pośpieszono z pomocą tym biednym.

Czerwone, modre i żółte plamy słońca, ukrytego za gotyckim witrażem, drgają na białej koronce obrusa. Świece płoną blado w porannym świetle. Cienko odzywa się dzwonek na Komunię św.

Młody kapłan kończy mszę św. Ostatnie błogosławieństwo, ostatnia ewangelia.

— Ave Maria, gratia plena — energiczny pełny głos.

W zakrystii don Achilles Ratti szybkimi ruchami zdejmuje ornat, albę i przyklęka do gratiarum actio[64]. W zakrystii jest cicho. Stary zakrystian bezszelestnie składa ornat. Potem włoży go do szuflady. Teraz nie, bo szuflada skrzypi straszliwie, a ksiądz się modli.

Don Ratti powstał z klęczek i stoi w rozwartych drzwiach zakrystii, w pełnym słońcu.

Naraz zwraca się do zakrystiana z pytaniem:

— Czy ksiądz biskup przyjmie mnie o tak wczesnej porze?

Zakrystian uśmiecha się do młodego księdza:

— Nasz ksiądz biskup Sarto przyjmuje wszystkich o każdej porze dnia — mówi z przekonaniem.

— To dobrze. To idę zaraz — don Achilles Ratti wkłada na głowę szeroki kapelusz. — Do widzenia.

— Do widzenia księdzu! Proszę iść tą ulicą, tędy jest bliżej do pałacu — zakrystian idzie za księdzem i wskazuje boczną uliczkę.

Don Achilles Ratti wstępuje na szerokie schody biskupiego pałacu. Zdejmuje kapelusz, gdy otwiera duże, rzeźbione drzwi. Przy drzwiach nie ma nikogo. Nikogo również nie widać w długim, mrocznym holu. Młody ksiądz spaceruje chwilę niezdecydowany od drzwi wejściowych ku schodom, nakrytym ciemnoczerwonym suknem. Spaceruje tam i z powrotem. Głośno stuka butami po kamiennej posadzce, aby go ktoś posłyszał. I głośno chrząka. Ale w pałacu panuje cisza.

— Widocznie biskupa nie ma — myśli ksiądz — ale żeby w ogóle nikogo w całym gmachu nie było? — Przecież ktoś tu musi być — don Ratti wchodzi zdecydowany na schody, mija je, stoi w korytarzu, naprzeciw niego kilkoro zamkniętych, dużych drzwi.

— Hallo, czy tu nie ma nikogo?! — młody ksiądz odzywa się głośno, zniecierpliwiony pustką i ciszą. — Jest tu kto? — krzyczy.

— Tak, tak, jestem! — odzywa się słabo zza pierwszych drzwi — jestem! proszę!

Drzwi się otworzyły, na progu stoi biskup Mantui, ks. Giuseppe Sarto, z dzbankiem kawy w dłoniach, z uśmiechem na twarzy.

— Ekscelencjo!... — zdumiony wzrok don Ratti zatrzymuje się na dzbanku w rękach biskupa.

---

[64] Dziękczynienie po Mszy św.

— Niech ksiądz się zbliży, proszę, proszę wejść do pokoju — biskup wprowadza zaskoczonego księdza do komnaty — u nas takie porządki, widzi ksiądz, nie ma nikogo, więc bardzo przepraszam, że nikt księdza nie przyjął, bardzo przepraszam, że musiał ksiądz czekać...

— Ależ to nic, nic, Ekscelencjo! — młody ksiądz odzyskał już równowagę — to ja przepraszam, że śmiałem krzykiem niepokoić Ekscelencję.

— Dobrze, że ksiądz krzyczał — biskup jest zadowolony — inaczej nie wiedziałbym, że dostałem gościa. A wszyscy nasi ludzie są jeszcze w kościele — usprawiedliwia się biskup w dalszym ciągu — mojego kapelana zaś wysłałem z listem. Ale, ale, nie pytam wcale, jakiego mi to gościa Bóg w dom zesłał.

— Achilles Ratti z Desio.

— Ksiądz pewno niedawno wyświęcony?

— Przed dwoma laty, w 1879 roku.

— A teraz co ksiądz robi, podróżuje?

— Tak, przyjechałem na dalsze studia do Mantui i przy sposobności chciałem odwiedzić Ekscelencję. Niedługo wyjadę do Wenecji, by tam zakończyć podróż naukową.

— Jak się księdzu podoba Mantua? Nasza katedra?

— Właśnie przed chwilą odprawiałem w niej...

— To ksiądz pewno jeszcze nie jadł śniadania? — przerywa biskup nagle — a to ze mnie dobry gospodarz! Miast ugościć, męczę wypytywaniem! Już, już podaję kawę. — Biskup ogląda się za drugą filiżanką, podsuwa chleb, bułki — kawa jest gorąca, proszę pić, przed chwilą grzałem ją w kuchni.

Don Achilles Ratti sięga w milczeniu po chleb, popija kawę, nie czując, że parzy mu podniebienie. Wzruszenie ściska mu gardło. Naprzeciw niego siedzi biskup Mantui. Także sięga po chleb i pije kawę. Jego dobrotliwe oczy patrzą z radością na młodego, nieznanego gościa.

Za lat kilkanaście od owego śniadania w Mantui, dobry biskup Giuseppe Sarto został papieżem, Piusem X.

Zaś w trzydzieści lat od owego śniadania don Achilles Ratti mianowany biskupem rzymskim, przyjął imię Piusa XI, ku czci swego świątobliwego poprzednika.

„Gość Niedzielny”, nr 44/1948, s. 4.

JADWIGA BERNHARDT

Spotkanie na półpiętrze

— Hu-u-u, bu-u-u, mamo, bu-u-u!

Klatka schodowa pełna jest krzykliwego płaczu.

— Co?! co ci jest? — drzwi na piętrze otwierają się gwałtownie, duża kobieta w modrym fartuchu podbiega do rozbeczanego malca.

— Czemu płaczesz? — zaniepokojony wzrok matki ogarnia małą, okutaną postać.

— Bo Kazik, u-u-u, Kazik powiedział...

— Kto? Kazik? Co powiedział? — niepokój matki stężał w złości. W mroczną sień, przez okno na półpiętrze pada blask dnia na nagle spochmurniałą twarz Gurbasowej.

— No, gadaj, co on ci powiedział?

— Powiedział, u-u-u... my lepili z Kazikiem bałwana i on powiedział, że wyglądam tak samo... tak jak ten bałwan — po pucołowatej twarzyczce toczą się duże łzy.

— Co? jak bałwan? — ostry, wysoki krzyk oburzenia. — A to ci dopiero! Wygląda jak bałwan?! Widzicie go! Gałgan jeden! Ja mu pokażę! — przez wszystkie trzy piętra leci kobiecy, złością wyostrzony pisk.

Malec popłakuje z cicha. Z boku spogląda na matkę. Boi się jej krzyku.

— Nie mogłeś mu to powiedzieć — pod gniewnym wzrokiem matki chłopiec cofa się ku schodom — że on wygląda jak tyka, że jest osioł patentowy?

Wyżej, na piętrze, z hukiem otwierają się jakieś drzwi. Gurbasowa patrzy w górę. Na to czekała.

— Cicho bądźcie! Tylko sobie moim synkiem gęby nie wycierajcie! Wasz to dopiero złośnik! — przez poręcz, na drugim piętrze przechyla się chuda Mroczkowa.

— Mój Stasiek złośnik?! Co wy sobie nie myślicie! — Gurbasowa w modrym fartuchu podparła się pod boki. Dyszy ciężko. — A tak, jeszcze jaki! Wiecie, co on zrobił? Deptał po cieniu mojego Kazika! Tam, na podwórzu! Mógł sobie deptać po swoim cieniu! Smarkacz jeden!

— Widzicie ją, smarkacz! Jest o wiele mądrzejszy od waszego smyka! Na pewno nie będzie, taki jak wasz, dwa lata do pierwszej klasy chodził!

— Nie, dwa nie, ale trzy!

— Strzyga! — syknęła Gurbasowa tknięta do żywego. — Ja bym wam pokazała, jak się dzieci wychowuje!

— Wy mnie? — ha, ha, ha, jeszcze by was do szkoły posłać!

Cała kamienica pełna krzyku. Pełna złości. Pełna nienawiści. A poszło o błahostkę. Z małej, śmiesznej rzeczy, duża, płomienna nienawiść.

Gurbasowa z gniewem stawia talerze na stole. Łaje dzieci bez powodu. Złość w niej kipi na Mroczkową. Obiad nie smakuje.

— Wiesz — odzywa się w końcu do męża — co mi dzisiaj ta Mroczkowa powiedziała?

— No? — Gurbas podnosi wzrok znad talerza, usta ma zapchane ziemniakami.

— Że nie umiem dzieci wychowywać! — wybucha głośno — że mnie jeszcze do szkoły trzeba posłać! Powiedz, co ona sobie właściwie myśli?!

— A o co wam poszło? — jego głos jest spokojny. Ważniejszy zda mu się talerz z kapustą i ziemniakami, niż jej obraza.

— O co? no, Kazik powiedział na naszego Staśka... — urwała. Poczuła nagle, jakie to śmieszne i małe, to, co między dziećmi zaszło. On gotów się roześmiać... — co, to nie ważne, co tam sobie dzieci powiedziały, ale to jest ważne, że ona, Mroczkowa, śmiała mnie tak obrazić!

Jest zła. Tym bardziej, że gniewa się w tej chwili i na męża. Czy on ją już kiedyś zrozumiał? Wziął ją kiedykolwiek w obronę? — gorycz myśli potęguje nienawiść ku sąsiadce z drugiego piętra.

Wieczorem wrócił stary Mroczek z kopalni. Ściągnął buty, umył się, zjadł wieczerzę. Ogląda, niby bez zainteresowania, figurki, które Kazik

majstruje z drzewa. Figurki do stajenki. Hanka i Marta pomalują je potem za króli, pastuszków, za świętą Rodzinę.

— Dzieci, gazeta! — usiadł przy stole. Wygodnie. Lampę ściąga niżej. — A wy spać! już na was czas! — Zagłębił się w czytaniu

— Józek, słuchaj! Musisz kiedyś pogadać z tą Gurbasową. Ja już tego dłużej nie wytrzymam!

— Co zaś?! cięgiem się z sobą hatrusicie.

— No, a co byś ty zrobił, jakby ci ona w oczy powiedziała, że nasz Kazik to taki leń, osioł, że dwa lata chodził do jednej klasy?!

— Hm, prawdę powiedzieć, to i został w pierwszej klasie.

— Józek! wiesz, tyś jest... — zachłysnęła się złością.

— Co tam dużo gadać. Dobrze wiesz, że Kazikowi nie pilno do książki. Niesporo mu idzie z pisaniem. Ale tak bardzo źle z nim nie jest. Będzie z niego, jak Bóg da, dobry stolarz, jeśli nie więcej. — Wzrok ojca biegnie ku skrzyni, na której bieleją zgrabne figurki z betlejemskiej szopki. Potem głowa górnika znowu pochyla się nad gazetą.

— To nie będziesz gadał z Gurbasową? — głos jest napastliwy, nabrzmiały groźbą.

— A co jej mam powiedzieć? — powoli ogarnia go zniecierpliwienie. — Mogłoby cię być wstyd za te wieczne zwady! Mogłabyś być mądrzejsza i ustępliwsza!

— Już ty mnie nie pouczaj! Nie chcesz bronić mojego honoru, obronię się sama! Słowem nie odezwę się do niej. Już ja jej pokażę! Popamięta mnie.

Obfity śnieg, który spadł w pierwsze dni listopada, a z którego Stasiek Gurbas razem z Kazikiem Mroczkiem ulepili bałwana, dawno stopniał. Ale nie stopniała nienawiść między ich matkami. Rosła ona z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Rosła na małych, śmiesznie drobnych nieporozumieniach. Że Gurbasową obrali do zarządu w Caritas, a Mroczkowej nie. Że Mroczkowa Hanka grała na przedstawieniu sodalicyjnym, a Weroniki Gurbasównej do tego nie wybrali. Że matka Mroczkowej ma nową chustę, że Kazika pochwalił nauczyciel za jego cacka z drzewa...

Kazik i Stasiek bawią się jaszcze razem, ale tylko wtedy, gdy ich matki nie widzą. Bo ich matki zabroniły im wspólnej zabawy. Hanka

Mroczkówna należy do tej samej grupy sodalicyjnej, co Weronika Gurbasówna, ale dziewczęta nie rozmawiają ze sobą, bo ich matki też nie mówią ze sobą. Starsi trwają w nienawiści, więc i dzieci zmuszone są do życia w nieprzyjaźni.

Mija pierwsza niedziela adwentu, druga... Gurbasowa siadała w kościele w drugiej ławce, teraz siada w piątej, bo nie chce być tak blisko Mroczkowoj trzeciej ławki. Mija trzecia niedziela, czwarta — ksiądz proboszcz z ambony zaprasza, jak corocznie, wszystkich swych parafian do świątecznej spowiedzi...

W wieczór przedwigilijny spadł świeży puszysty śnieg. We wigilię dzieci zbudziły się wcześnie, ubierają się szybko, biegną do kościoła po ślicznym, wigilijnym śniegu. Gurbasowa patrzy za nimi przez okno. Już od wczoraj, nie, już od niedzieli, kiedy proboszcz mówił o świątecznej spowiedzi, czuje się nieswojo. Odwraca się od okna, podsyca ogień w piecu, zagląda do misy, gdzie ciasto rośnie. Robi tysiąc rzeczy, a myśli o jednej. O tej spowiedzi świątecznej... o tym, że corocznie o niej pamiętała... nigdy jej jeszcze nie opuściła... a dziś, a teraz... bo to przecież nie ma sensu, by szła do spowiedzi, kiedy się gniewa na Mroczkową. Kiedy trwa od kilku tygodni w złości, nienawiści... a dziś, akurat dziś, jest święto zgody, święto miłości...

Gurbasowa wyjmuje z kredensu ser, cukier. Drzwi pokoju są uchylone. Tam mąż ubiera się do kościoła... do spowiedzi... już nakłada ciężki zimowy płaszcz. Teraz bierze kapelusz... a teraz skrzypi szuflada, gdzie leżą książeczki do nabożeństwa... Gurbasowa energicznie przesiewa mąkę, gwałtownie miesza ser, cukier, chciałaby zagłuszyć sumienie, które ją gryzie. Mąż wychodzi z pokoju. Staje w kuchni, przy drzwiach. Gurbasowa jest odwrócona od niego, ale czuje na plecach jego wzrok.

— Spóźnisz się — głos męża jest spokojny, równy.

Gurbas naciąga rękawice, zamyka drzwi za sobą. Słychać jego kroki w sieni, na schodach, na skrzypiącym śniegu pod obcasami. I cisza. A w sercu Gurbasowej burza. „Spóźnisz się”, „spóźnisz się” — brzmią jej w uszach słowa męża.

Nie, nie spóźni się... nie idzie wcale do kościoła... do spowiedzi... na co zdałaby się ta spowiedź, jeśli brak jej dobrej woli do przebaczenia?

Dzieci wróciły z kościoła. Radosnym gwarem zapełniają dom. Weronika z młodszymi chłopakami, ze Staśkiem i Antkiem, plączą się po

kuchni. Pomagają matce. Trzeba biegać z blachami do piekarza. Potem trzeba mak zemleć. Chłopaki ciągle pochylają się nad wanną, gdzie pływają dwie duże ryby. Ojciec z Teresą, z najstarszą, jest w pokoju. Weronika wie... choinka!

Dzieci nie zwracają uwagi na milczenie matki. W koło widzą tylko radość. Usta im się śmieją i oczy. Matka widzi tą radość. Czuje ją głęboko, jak wyrzut.

Radość, radość! Tam, w izbie, gdzie ojciec ustawia drzewko. Gdzie błyszczy gwiazdka pod strzechą szopki. Tu, w kuchni, gdzie dzieci mielą mak na makówki, gdzie pachnie świeżym kołaczem. Tam, za oknem, gdzie pada gęsty śnieg z ciemniejącego już nieba. Wszędzie radość! Tylko w niej smutek. Tylko w jej sercu pustka. Bo nie przebaczyła...

Wigilijny stół. Biały obrus, gałązki świerku, barwne małe świeczki przed talerzem matki, ojca, Staśka, Weroniki, Teresy... w środku stołu krzyż. Pod krzyżem, na spodeczku, bieluchne opłatki. Ojciec bierze jeden z nich, podaje matce, dzieciom... matka opuszcza oczy. Biały płatek rani jej oczy, a potem dławi w gardle, jak kość. Pod powieką gromadzą się łzy, bo serce już bardzo nabrzmiało smutkiem.

— Mamo. dlaczego się je opłatek na wigilię? — niefrasobliwe a ciekawe pytanie Staśka.

— Bo taki jest zwyczaj — matce z trudem przechodzą słowa przez ściśniętą krtań — bo tak się już od dawna robiło... — nie chce dalej wyjaśniać.

— Ale czemu? — upiera się malec. Nie wie, że jest w tej chwili sędzią matki.

— Czemu? bo dziś jest święto zgody, miłości — Gurbasowa musi tłumaczyć, bo czuje na sobie badawcze spojrzenie męża, starszych córek — a ten opłatek ma nam to przypominać... ma nam przypominać chrześcijański obowiązek wzajemnej miłości, zgody... — na twarzy matki bladość. Czoło takie zimne. Ręce drżą.

Przy stole nagła cisza. Matka nie patrzy na dzieci, ale czuje, że dzieci zrozumiały... że teraz myślą o niej i o jej sąsiadce z drugiego piętra.

A może, może jej się tylko tak zdaje, bo dzieci znowu się śmieją, znowu pełno wrzawy, pełno radości... Tak, dzieci już zapomniały o niej i o sąsiadce, cieszą się choinką, podarkami, zaglądają do szopki. Ale sumienie nie zapomniało... nie daje spokoju. Gryzie. Wypomina.

Dzieci otwierają książeczki. Kolędy! Świeczki płoną jasne, migocą ozdoby. Kolędy! Ojciec rozpoczyna kolędowanie. Dzieci wtórują. Równo, głośno. Matka nie... nie umie. Otwarła książeczkę — sama nie wie, po co, przecie zna te pieśni na pamięć. Ale nie śpiewa. Słowa radosne o Dzieciątku uleciały w dal. W sercu pustka.

Nagle na rozwartą kartkę książeczki spadła łza. Coś pękło w sercu Gurbasowej. Wybuchnęła płomiennym, mocnym rozkazem: idź! idź!

Jeszcze się opiera, jeszcze w niej walczy nienawiść, miłość własna... a w sercu tętni, a w uszach dzwoni rozkaz miłości: idź! idź!

— Wyjdę na chwilę — nie poznaje własnego głosu: słaby, drżący — zaraz będę z powrotem.

Wyszła szybko z izby. Dzieci kolędują dalej. Wyszła z kuchni. Zamknęła za sobą drzwi. Jeszcze dobiega ją śpiew dzieci. Wbiega na schody. Słyszy, jak na drugim piętrze otwierają się jakieś drzwi. Na schodach mrok. Jest na półpiętrze, ktoś schodzi, usuwa się na bok. Nagle poznaje.

— Mroczkowa?!

— A to wy!

Cisza. Konsternacja. A potem...

— Idę po was, żebyście przyszli obejrzeć naszą choinkę — Gurbasowa mówi szybko, głos jej się rwie... radością... — przecież każdego roku przychodziliście oglądać...

— A ja akurat idę do was z opłatkiem!

— No, to chodźmy!

Śnieg skrzypi, śnieg pada, jest mrok w ulicy. Ulica żyje. O północy. Żyje stłumionymi rozmowami nocnych przechodniów. Wszyscy idą w jednym kierunku. Wędrówka nocna jedyna w roku. Pasterka.

Idzie Gurbas z Mroczkiem. Za nimi i przed nimi dzieci. Idzie Gurbasowa z Mroczkową. Gurbasowa nie wchodzi do piątej ławki. Weszła do trzeciej. Usiadła obok Mroczkowej. Niech Nowonarodzony Książę Pokoju ujrzy ich zgodę.

„Gość Niedzielny”, nr 52/1948, s. 11 – 12.

❋ ❋ ❋

Rok 1949

JADWIGA BERNHARDT

Styczniowa burza nad Brzezinami

Wysypali się na drogę. Na zaśnieżoną, grudniowym mrozem skrzypiącą. Wysypali się czarnym, ruchliwym kłębem ostro odrywającym się od bieli zimy. Głośno, ze śmiechem i krzykiem, jakby z chrzcin, albo jakiegoś wesela.

— Wacławek, czekajcie na mnie!

— Siwiec? a wy w którą stronę?

— Do kościoła. Pójdziemy razem. — Przez suchą, mroźną pustkę wołania niosą się rozgłośnie. Nie głucho, dudniąco, jak tam, w szybie.

Górnicy idą gromadkami. W trójkę, w piątkę. Idą szeroko, przez całą drogę.

— Michał, masz ogień? daj. — Poruszyły się dwa ogromne cienie. Trzasnęła zapałka. Zamigotał płomień, oświetlił dwie twarze, przygasł, zamigotał znowu: chłop pyka fajkę. Ciągnie mocno, głośno, cmoka.

— Idzie?

— A co by nie miało iść. Wszystko idzie, jak się chce — cichy, głęboki śmiech, jak ze studni. — Trzeba ino chcieć. — Iskra w fajce zamigotała jaśniej, ukazała ostrą, kościstą brodę a nad nią siwy, obwisły wąs. — Nie mówiłem to wam, że tak będzie, jak będziemy chcieli? jak się uprzemy, wszyscy dla jednej sprawy? — Sowisło Antoni mówi twardo, pewnie.

— Kto by się tego spodziewał, Maryjo! — Franciszek Duda nie może powstrzymać głośnego, radosnego śmiechu. — My im dopiero pokozali! ha, ha, ha.

— Należało się! Najwyższy czas, by poznali, kto tu przy prawie, my czy oni! — Sowisło przesunął fajkę w kąt ust, splunął. Kciukiem ugniata żarzący się tytoń, pyka. Patrzy w bok, ogląda się za siebie — farona, dużo nos. Nie ma się czego bać.

Ociec! — Chudy, wysoki chłopak przyskoczył do górnika. — Wyście to?

— Nie poznajesz? a co tu robisz? aaa! spamiętał się nagle — dyć ech całkiem zapomnioł. Co matka? źle? — przystanął wpośród drogi. Zatrzymali się i inni.

— Co ma być źle. — Wojtek mówi tak, jak ojciec. Twardo, pewnie. — Synek się urodził. Krzyczy na całą chałupę.

— A to wam się poszczęściło, Antoni!

— Wojtek, a matkę samąś zostawił?

— Ciotka tam są. Matka mnie wyganiali, bo już są wyborów ciekawi. Tak długo wos nie ma. A co, jak stoi? — Wojtek pyta, ale dawno już poznał po twarzach górników, po czyjej stronie wygrana.

— Tak stoi, jak się należy. Przegrali Germany. Na ogólną liczbą głosów 1947, na ich listę padło tylko 269, a na naszą polską listę...

— 1448 głosów! — zakrzyknęło kilku górników.

— Wiwat! Niech żyje Wojciech Korfanty!

— Niech żyje polski Górny Śląsk — Wojtek krzyczy razem z innymi. Śmieje się z uciechą wymachuje czapką.

— Wojtek, no to leć już do matki — ojciec łapie chłopca za ramię — a ja też zaraz przyjdę. — Wojtek nierad wysuwa się z krzykliwej, wesołej gromady. Idzie powoli, ogląda się za siebie.

— Sowisło, nie przyjdziecie dziś już do mnie?

— Nie, Kotucha, dziś już nie — górnik uśmiecha się pod obwisłym wąsem — muszę się przecież mojemu najmłodszemu przypatrzeć.

— A, rozumiem. No, to się w takim razie zobaczymy na posiedzeniu. Z Bogiem, Antoni.

— Z Panem Bogiem!

Pierwsze posiedzenie nowoobranej rady gminnej w Śląskich Brzezinach odbyło się 12 grudnia. Był to rok 1919. Sołtys Paweł Szafarczyk przewodniczył.

— Ich bin der Meinung — rozpoczął swoją przemowę — dass ich den Wünschen der Anwesenden entspreche, wenn ich versichere, dass wir hier,

auf den Sitzungen des Gemeinderates, nicht über Politik reden werden, sondern sich mit dem Wohl unseres Dorfes beschäftigen wollen[65].

Chwila ciszy. Potem niewyraźne mruczenie. Prześmiech na twarzach. Ironia w oczach.

— Słusznie prawicie, panie sołtysie — Sowisło Antoni podnosi się powoli z ławy. Mówi po polsku. Jakiś groźny uśmieszek kryją jego obwisłe wąsy — my też nie chcemy tutaj o polityce rozprawiać, o tym, co robi cesarz Wiluś, albo co śniło się lordowi George; o tym mamy czas po chałupach gadać. Ale tutaj, w naszej wolnej radzie, chcemy coś innego uradzić — stary górnik robi pauzę, nabiera w płuca powietrza — my chcemy u nas w Brzezinach polską szkołę — mówi wolno, dobitnie.

— Aber Herr Sowislo[66]... — sołtys jest purpurowy. —

— Tak, my chcemy polską szkołę! — krzyczy jeden przez drugiego. — I polską ochronkę! — powstają z ław, wysuwają się na środek sali. — I polską bibliotekę też chcemy mieć!

Tego dnia uchwalono na posiedzeniu rady gminnej jak najszybsze wprowadzanie języka polskiego w szkołach i ochronce. Uchwalono udzielanie lekcji polskiego języka dla dorosłych; nauczyciel z powiatu gliwickiego, pan Karol Skrabania, miał się tym zająć. Uchwalono 1000 marek na zakup polskich książek do biblioteki. Postanowiono wszystkie napisy niemieckie zamienić na polskie.

Sowisło wrócił dopiero po dziesiątej do domu. Choć ma szychtę na dzień, jeszcze się nie kładzie.

— Wojtek, skocz do chlewika po te długie, dębowe deski. I przynieś piłkę. A ty, Klarka, podaj mi tę skrzynkę spod ławki; uważaj, żeby farb nie porozlewać! — Sowisło usiadł pod piecem na stołeczku, zdejmuje przemoczone buty, wkłada pantofle — śpi mały?

— Śpi. Teraz będzie spał aż do północka — dziewczyna zagląda przez oszklone drzwi do izby. — Mama też już śpią od godziny.

— To dobrze. Zamknij izbę. Będziemy tu piłować, to mogliby się pobudzić. I skocz jeszcze za Wojtkiem do chlewika po hebel!

---

[65] Jestem zdania, że spełniam życzenia obecnych, kiedy chcę zapewnić, że jesteśmy tu nie po to by mówić na spotkaniach lokalnej rady, o polityce, ale o czynieniu dobrobytu w naszej wsi.

[66] Ależ Panie Sowislo.

Piłowali. Heblowali. Malowali. Zrobili kilka zgrabnych, podłużnych tabliczek. Po kilku dniach nie było już w Brzezinach Goethestrasse — była ulica Ligonia. I nie było Beuthenerstrasse — była ulica Bytomska I nie było Moltkestrasse — była ulica Poniatowskiego.

Znowu spadł śnieg. I mróz się srożył. Były ostatnie dni grudnia 1920 roku. Mały Janek u Sowisłów czołga się po kuchni; od ławy do stołu, od stołu do szafki, od szafki do węglarki przy piecu. Ale stamtąd przepędza go Klarka.

— Mamo, ja już go kładę spać, bo znowu go będę musiała dwa razy kąpać!

— No, no, już na niego czas. — Nagły, przeraźliwy wrzask. Klara wzięła malca na ręce. Chłopak nie chce spać.

— A będziesz ty mi cicho! — matka grozi dziecku palcem — widzisz go, wrzeszczy, jak zarzynany wieprzek. Malec ucichł. Teraz dopiero posłyszano jakieś krzyki z ulicy.

— A to co? — matka zbliża się do okna, odsuwa zasłonę, w tej chwili i drzwi się otwierają.

— Marta, mojego chłopa wzięli! — zapłakana, rozdygotana kobieta wpadła do kuchni. — Teraz po niego przyszli żandarmi! Aleksa Włoczka też wzięli, i Francka Kotuchę — mój Boże, mój Boże — lamentuje głośno.

— Usiądźcie... Klarka, podej stołek... — Marta Sowisło stoi przy oknie w bezruchu.

— Marta, chciałam wam poradzić, wasz jest na szychcie — Dudzina wstrzymuje łkanie — niech Klarka leci na kopalnię...

— Klarka, słyszysz?! — Marta Sowisło oderwała się od okna — idź, niech ociec nie wracają do domu! — Dziewczyna położyła wystraszonego chłopca na podłodze. Założyła chustę, już jest przy drzwiach — czekaj! — matka przyskoczyła do stołu. Szybko smaruje pokrojony chleb. Jedna kromka, dwie, trzy — masz, pod chustą skryj, a spiesz się. — Klarka rozwarła drzwi — Jezus! — krzyknęła przeraźliwie. Zderzyła się. Sień ciemna.

— Co się drzesz? — gniewny, zadyszany głos.

— Wojtek?! Ty?! aleś mnie wystraszył! No, puszczaj, lecę do ojca.

— Kaj?! po co?!

— Puszczaj, na kopalnię!

— Wróć się! ojca nie ma na kopalni — Wojtek tarmosi dziewczyną.

— Wojtek, co ty gadasz? — w oświetlonym prostokącie kuchennym drzwi stoi matka. — Wojtek, skąd wiesz? — w głosie trwoga, przerażenie.

— Sztygar mówił. Wracam z kopalni. — Wojtek wszedł do kuchni. Za nim Klarka. Bezwiednie zamyka drzwi — zaroz po południu przyszli po ojca. Z szychty go zabrali. Tu, jego torba. — Położył na stole szarą, sztywną teczkę. Była otwarta. Gwałtem. Zamek wisiał na strzępie skórki. W środku nieład — rewidowali ją.

— Chleb! — matka wyciąga z torby zawiniątko — nic nie jadł, mój Boże... — nie płacze, ale jej ręce drżą, a teraz dziwnie pobladła.

— Wychodzę jeszcze — Wojtek nie podnosi wzroku na matkę, czuje jej lęk o ojca, a teraz i o niego — trzeba coś z chłopami uradzić, trzeba coś zrobić, aby ich puścili!

— Wojtek! uważaj na siebie!

— No!

— A kiedy wrócisz?

— Hm, bo ja wiem. Nie starajcie się. Wrócę. Z Panem Bogiem!

— Z Bogiem... — trzasnęły drzwi. Głośne kroki. I cisza. Potem płacz; to Janek zapłakał żałośnie na podłodze.

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady gminnej. Uchwalono rezolucję: „W dniu dzisiejszym zgromadzeni członkowie Zarządu i Rady gminnej protestują energicznie przeciw aresztowaniu obywateli Brzezin i żądają w imieniu całej gminy ich natychmiastowego zwolnienia. Obywatele dzisiejszej nocy aresztowani są wszystkim znani jako spokojni i sumienni i nie może im być żadna zbrodnia przypisana. Prosimy pana Przewodniczącego Komisji Aliantów w interesie ogólnego spokoju o uwzględnienie powyższej rezolucji, w przeciwnym razie nie bierze Rada gminna żadnej odpowiedzialności za wypadki strajków i rozruchów”.

Przeczytano górnikom rezolucję. Jest ich dużo na placu przed gminą, z całej kopalni Szarlej Biały. Stoją cicho, a groźnie.

— Słuchajcie, kamraci! — ktoś nagle z gromady zabiera głos — ta rezolucja, to za mało! To ino papierek! Wrzucą go do kosza! A naszych nie puszczą. Trzeba nom coś innego uradzić! Trzeba...

— Strajk! Strajkować będziemy! Nie idziemy do roboty, aż ich puszczą! Sprawiedliwość musi być! My tu panami, nie oni! — Burza! Groźna burza zbuntowanych serc śląskich rozszalała się nad Brzezinami.

✳

Nazajutrz kopalnia stanęła. Nikt nie zjechał na dół. Było to 4 stycznia 1921 roku. Pusto na ulicach Brzezin. Cicho. Szyb wyciągowy stoi martwo na bladym, zimowym niebie. Nie porusza się koło, nie suną stalowe liny: nikt nie zjeżdża windą w dół, żadna szala z ładunkiem nie podjeżdża w górę. Kolebami powietrznej kolejki na hałdę tylko wiatr kołysze. Strajk. Górnicy strajkują za swych braci! Za sprawiedliwość! Za wolność!

Mija dzień. Idzie wieczór. Noc. Po domach jasno świecą okna. Ludzie nie śpią, czekają.

— Klarka, kładź już Janka, bo się rozmaże. Pacierz z nim zerzykoj. — Klarka idzie z malcem do izby. Klęka z nim przed czerwono płonącą lampką. Z obrazu patrzy Matka Boska Piekarska.

— Złóż rączki, tak, i przeżegnaj się. Nie tak, źle, najprzód do czoła — Klarka prowadzi rączkę chłopca. Jest gruba, krótka, nie chce sięgnąć główki. — W imię Ojca i Syna... — Klarka modli się głośno, powoli, Ojczenasz, Zdrowaś, Aniele Stróżu — i teraz prosimy Cię, Matko Piekarska, aby naszego tatę i wszystkich innych puścili z aresztu, amen.

Górnicy zwyciężyli. Sowisło Antoni, Aleksander Wloczek i inni wrócili z więzienia. Cieszyli się górnicy. A z nimi i Panienka Piekarska.

Oparte na kronice Hermana Biernota.

„Gość Niedzielny”, nr 4/1949, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Zakład przegrany z zyskiem

— Cześć, Zosiu!

— Cześć! No i co? Jak ci poszło, Hanka?

— Świetnie! Ani mi się śniło, że pójdzie tak gładko! Dręczył mnie coprawda całe czterdzieści minut, ale za to postawił „b”. — Chodź, usiądźmy. Tam pusta ławka.

— No widzisz. Masz więc tę groźną chemię odwaloną. Bardzo się cieszę! — Zosia ściska dłoń koleżanki. — Jedziesz więc do domu? Kiedy? Wiesz co, Haneczko? — Jedźmy razem!

— Nie wiem, czy pojadę do domu. Chciałam na święta być w Zakopanem.

— Ależ, Hanko! Co za dziki pomysł! Już w czasie ostatnich ferii dziwiłam się, że ci się chce w samą Gwiazdkę tłuc po górach. Do Zakopanego jedź sobie po Wielkanocy! Na święta powinnaś być w domu.

— E, co ja bym robiła w domu przez święta?

— To samo, co ja.

— Niby co? Nudzić się?

— Nie nudzę się wcale! Cieszę się domem, rodzicami... W domu jest tyle przedświątecznych, wesołych zajęć, że nie starczy ci czasu na nudę! Pomożesz mamie w kuchni, bazie powtykasz do wazoników, będziesz robiła kraszanki, odświeżysz waszego wielkanocnego baranka... Co, nie uśmiecha ci się to wszystko? — powiedz szczerze!

— Owszem, ale...

— Bez ale! Jedziesz jutro ze mną do domu i już! A potem będziemy chodziły na wielkotygodniowe ceremonie.

— Na to mnie już nie naciągniesz!

— A to dlaczego, łaskawa pani?

— Ano, przyznam ci się, Zosiu, że te wszystkie ceremonie nic a nic mnie nie ciekawią.

— Bo ich nie rozumiesz. Nie odczuwasz czaru wielkanocnych świąt, bo zaniedbałaś starych, pięknych zwyczajów, bo nie znasz zupełnie liturgii wielkanocnego okresu. A powinnaś znać. Pamiętasz ostatnią naukę z naszych akademickich rekolekcji? Słyszałaś, jak ojciec rekolektant mówił, że właśnie my mamy umieć sentire cum Ecclesia[67]...?

— Zosieńko, pomyliłaś się co do wyboru fakultetu! — Hanka śmieje się wesoło — powinnaś nosić sutannę!

— Śmiej się zdrowo!

---

[67] Czuć z Kościołem.

— No więc, już jutro jedziemy do domu, ałe nie ręczę, że będę...

— Ja natomiast idę z tobą o zakład, że zasmakujesz w tym wszystkim, że odnajdziesz wielkanocną radość, gdy weźmiesz udział w ceremoniach i postarasz się zrozumieć ich sens!

— To niebezpieczny zakład, Zosiu!

— Gdzie tam! Daję głowę za to, że przejmiesz się tym wszystkim, jeśli tylko zechcesz wprowadzić w ruch twoją dobrą wolę! Przynajmniej 20% ! No, co, zakładasz się?

— Dobrze! O co?

— O książkę!

— W porządku! — Dziewczęta podnoszą się z ławki.

Kwietniowe słońce zbliża się już ku kopcowi Kościuszki. Na plantach gonią jeszcze dzieci, z drewnianymi wózeczkami i z kolorowymi piłkami. Mamy siedzą na ławkach, czytają, robią na drutach, gawędzą. — Wiosna.

Zosia wraca z adoracji Grobu świętego. Jest wielkopiątkowy wieczór. Zosia przystaje przed wystawą z książkami. Oczy biegną od tytułu do tytułu. Smutne oczy. Bo Zosia była przekonana, że Hanka da się namówić i weźmie udział w ceremoniach. Zosia po prostu liczyła na to, że Matka Boża jakoś pomoże... Tymczasem, co tu dużo gadać, po prostu przegrała zakład. Co prawda, jutro są jeszcze wielkosobotnie ceremonie, ale jeśli dziś nie udało jej się Hanki z łóżka wyciągnąć, to co dopiero jutro, o tak wczesnej porze! Zosia wchodzi do księgarni.

— Proszę pani, czy mogę dostać „Zielone lata" Cronina?

— Owszem, mam jeszcze jeden egzemplarz, ten z wystawy.

— To poproszę. — Zosia wydobywa portmonetkę, przelicza pieniądze — ojej, proszę pani, proszę się nie fatygować! Bardzo przepraszam, ale nie mam w tej chwili tyle pieniędzy przy sobie. Czy może mi pani odłożyć tę książkę? Przyjdę po nią jutro rano.

— Ależ bardzo proszę, odłożę ja dla pani.

Na wschodzie, nad Siemianowicami, niebo rozpalone, jak ogromne, hutnicze palenisko. Zaniedługo wzejdzie słońce. Wzejdzie, i stopi jaskrawą czerwień swych blasków z czerwienią płonącego ogniska. Chłopcy rozpalili je na kościelnym dziedzińcu. W dobrym miejscu, tam, gdzie wysunięta

ściana kościoła chroni od zbyt gwałtownego wiatru. Ognisko płonie jasno, głośno, wesoło. Dzieci radują się! Stoją gęstym, ruchliwym kręgiem wkoło ogniska. Błyszczące oczy wpatrują się w kręte, migotliwe, złoto-niebieskie płomyki, by za chwilę zawisnąć wyczekująco na otwartej bramie kościelnej.

Za ciasnym kołem dzieci stoją starsi. Poważne, skupione twarze. Ale i w ich oczach rozjaśnionych blaskiem wielkosobotniego ognia migocą iskierki wielkanocnej radości. Nie pamiętają w tej chwili o swych rozlicznych troskach, ich troski utonęły doszczętnie w blasku nowego dnia, ustąpiły w cień przed jasnością nowego ognia. Świętego ognia, bo niezadługo pobłogosławi go kapłan i powie: „Boże, poświęć ten nowy ogień z krzemienia wykrzesany, ażeby służył naszym potrzebom, i dozwól, by nas te święta wielkanocne niebiańskimi pragnieniami tak zapaliły, byśmy z czystą duszą obchodzić mogli święta Twojej jasności wiecznej".

Hanka przystanęła bliziutko, tuż przy dzieciach. Dostrzega małą siostrzyczkę Zosi.

— Tereska, a czemu Zosi jeszcze nie ma? — nachyla się ku dziecku.

— Zosia przyjdzie dopiero na mszę świętą — odpowiada mała ważnie, głośnym szeptem — Zosię całą noc ząb bolał i mama kazała jej zostać w domu.

— Aha... słuchaj, Teresko, nie powiedz Zosi, żeś mnie widziała w kościele.

— Nie powiem... — mała patrzy bardzo zdziwiona na lekko uśmiechniętą koleżankę siostry.

— Zrobią Zosi niespodziankę — cieszy się Hanka — ona myśli, że nie biorę udziału w ceremoniach, bo nie spostrzegła mnie wczoraj w kościele. — I Hanka przypomina sobie. Jak to wczoraj rano, po odejściu Zosi, mimo usilnych starań, nie mogła ponownie zasnąć. Co tam, nie mogła po prostu w łóżku uleżeć, choć szalenie lubi to ranne leniuchowanie, musiała wstać, ubrać się, pamięta, że ubrała się nadzwyczaj szybko, a potem, nawet nie wie dokładnie, jak to się stało — znalazła się w kościele. No i... Zosia miała rację, dobrze jej na plantach prorokowała... urzekł ją czar wielkopiątkowych ceremonii, przemówił do jej serca słowami tekstu

liturgicznego, poruszył do głębi adoracją krzyża „in quo salus mundi pependit[68]..."

Już idą! — uszu Hanki dobiega szept i poruszenie między dziećmi. Z bramy kościelnej wychodzą księża i ministranci. Wzeszłe słońce krzesze iskry w złocistych kwiatach fioletowej kapy, w chwiejącym się kadzidle i w wysokim trójramiennym świeczniku. Hanka otwiera mszalik. Poranny wietrzyk igra cienkimi kartkami. Hanka czyta powoli, uważnie, jak czyta tekst skryptu, który chce zrozumieć i zapamiętać: „Boże, światłości nieustająca, Ty jesteś sprawcą wszelkiego światła, poświęć i to światło... oświeć serca i umysły nasze... wspomóż nas przeciw ognistym pociskom wroga, oświeć łaską z niebios". — Ręka księdza kreśli znak krzyża nad rozpalonym ogniskiem. Potem błogosławi tacę w ręku ministranta. Dzieci podnoszą się na palce, wyciągają szyje: ciekawe oczy dostrzegają pięć ziaren kadzidła.

— Te kulki wkręci się potem w tę grubą świecę przy ołtarzu — poucza jeden z malców półgłosem.

Ministrant z kadzidłem podchodzi do ogniska. Nachyla się, a wraz z nim cały krąg dziecięcych główek. Węgle z poświęconego ognia sypią się do srebrnej kadzielnicy. Za chwilę siny i niebieski dym kłębami podnosi się w górę. Pachnie mirrą. Procesja, z krzyżem na czele, znika w bramie kościoła. Na opustoszałym dziedzińcu trwa tylko zapach kadzidła, ciepło ogniska i blask słońca. W kościele mrok. Słońcem oślepione oczy nic nie widzą. Jeszcze ani jedna świeca nie zapłonęła. Dopiero teraz, gdy procesja przystaje w środku kościoła, gdy ksiądz przyklęka i intonuje radośnie: „Lumen Christi"[69] na trójramiennym świeczniku zabłysła pierwsza świeca. I tak po trzykroć powtarza się ten obrzęd, aż kapłani staną przed ołtarzem, gdzie czeka paschał — gruby, żółty, w barwiste wzory. Dzieci pokazują sobie wielką świecę. Hanka słyszy, jak Urszulka Kawczanka szeptem chwali się przed koleżanką, że to jej tatuś poniesie tę świecę w procesji...

Od ołtarza dobiega śpiew księdza. A na ołtarzu nie płoną jeszcze żadne światła. Tylko trójramienny świecznik rozprasza mrok, który się sączy z wysokich sklepień, tylko witraż ze wschodu ściany śle czerwone i modre

---

[68] „na którym zawisło zbawienie świata"
[69] „Światło Chrystusa".

blaski. Hanka zagłębia się w modlitewny tekst. Czuje, jak głęboko zapadają w jej serce mocne, piękne słowa:

„Ta więc jest noc, która blaskiem ognistej kolumny ciemności grzechów zniszczyła... ta więc jest noc, w której Chrystus, zerwawszy więzy śmierci, zwycięzcą wyszedł z otchłani...”

A serce Hanki nie jest nadzwyczaj pobożne. O nie. Jest częściej próżne, płoche, samolubne. A jednak otwiera się pod zasiew Bożych słów.

„Albowiem na nic by się nam zdało nasze narodzenie, gdyby odkupienie pożytku nie dało. O przedziwne względem nas zmiłowanie twej łaskawości! O niewypowiedziana tkliwości w miłowaniu, która, ażeby sługę odkupić, Syna własnego na śmierć wydałaś!”.

Hanka odrywa wzrok od książki. Oddycha głęboko. Wydaje jej się, jakoby jej tchu brakło. Ogarnia ją jakaś pełnia, jakaś siła... Całkowicie uległa urokowi świętej liturgii... A przecież ksiądz wcale tak ładnie znowu nie śpiewa, nie, nawet — prawdę powiedziawszy — wychodzi to trochę za głośno, krzykliwie, a jednak Hanka przeżywa coś głęboko, coś, co jej nie nawiedziło nigdy w żadnej sali koncertowej, na żadnym koncercie symfonicznym... wrażenie po „Requiem” Mozarta jest tak liche w stosunku do tego, co teraz Hankę rozpiera, co wypełnia całą jej istotę jakąś niepojętą a radosną mocą. Przebiega jej głowę myśl: Mówiłam Zosi, że w tym wszystkim nie ma nic ciekawego, że się na to nie dam naciągnąć... Hanka uśmiecha się litościwie. Nad sobą.

„Zaprawdę, potrzebny grzech Adamowy, co śmiercią Chrystusa zgładzony został. O szczęśliwa wina, co na takiego i tak wielkiego zasłużyła Odkupiciela!”

Śpiew księdza głośnym echem rozbrzmiewa w pustym prawie kościele. Bo tylko u przodu, przed balaskami, tłoczą się dzieci, ale ławki nie zapełnione nawet do połowy. Hanka patrzy po kościele ze zdziwieniem i myśli:

„Czemu tak mało ludzi przyszło? Gdzie pozostali ci wszyscy, którzy tu jutro przybędą na rezurekcję? Czemu nie przyszli już dziś posłuchać tych przepięknych i przeradosnych słów pochwały paschału?”

„Stąd święta ta noc precz oddala występki, zmywa grzechy, upadłym niewinność przywraca, a radość smutnym. Wypędza zawiści, gotuje zgodę a zgina potęgi”.

To zdanie Hanka odczytuje już po raz trzeci.

Myśl o świętej nocy, co precz oddala występki a radość przywraca smutnym, nie opuszcza już Hanki. Towarzyszy jej przy wszystkich dalszych ceremoniach, gdy już na ołtarzu płoną świece od nowego ognia; gdy paschał płonie zdobny pięciu ziarnami kadzidła a księża odczytują dwanaście proroctw, gdy rozpoczyna się święcenie wody chrzcielnej. Dzieci hałasują garnkami, dzbankami, szturchają się i pchają by dojrzeć, co tam ksiądz robi, pochylony nad wodą otwartej chrzcielnicy. A ksiądz dłonią rozdziela wodę w kształcie krzyża, a potem wylewa ją w cztery strony świata i wzywa mocy Ducha Świętego, by zstąpiła w to pełne źródło.

Po litanii do Wszystkich Świętych rozpoczyna się msza św. Cicho, żałośnie, postnie, aby potem, na Gloria, tym radośniej zagrały organy i zadzwoniły dzwony, aby tym triumfalniej zabrzmiało trzykrotne Alleluja...

Hanka prosto z kościoła idzie do księgarni. Idzie lekko, swobodnie, wesoło; miałaby ochotę biec razem z tymi krzyczącymi, hałasującymi dzbankami dziećmi! Idzie zadowolona, radosna, w takim samym nastroju, w jakim się wraca ze zdanego egzaminu. A przecież przegrała zakład! Przegrała książkę! Ale — przegrawszy, tak wiele zyskała! Hanka uśmiecha się do wszystkich. Zrozumiała tyle wzniosłych rzeczy naraz, a przede wszystkim to jedno, to najważniejsze, czemu powinna się cieszyć na wielkanocne święta! Pojechałaby do Zakopanego i nie pojęłaby tajemnicy wielkanocnej, tajemnicy tej błogosławionej nocy, która precz oddala występki a radość przywraca smutnym.

Hanka przystaje przed wystawą księgarni.

— O! jest Cronin! Zosia czuje do niego słabość! Ucieszy się! Nuże tedy! — Dzwonek u drzwi sklepu odzywa się piskliwie.

— Dzień dobry. Poproszę panią o „Zielone lata” z wystawy.

— Niestety, wczoraj wieczorem prosiła mnie jakaś pani, aby dla niej zostawić tę książkę. To już ostatni egzemplarz.

— Jaka szkoda! — martwi się Hanka.

— O, ta pani właśnie przychodzi!

W otwartych drzwiach księgarni stoi Zosia z twarzą przewiązaną chusteczką.

— Hanka! a ty co tu robisz?

— Ano, kupuję książkę dla pewnej panienki, która wygrała ze mną zakład. Ale właściwie... to ja więcej na tym wygrałam.

I Hanka całuje oszołomioną Zośkę w spuchnięty od chorego zęba policzek.

„Gość Niedzielny”, nr 16/1949, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Jerzy i Aleksandra

Zielono-czerwone papugi zakrzyczały z nagła głośno a ostro. Nieruchomo zawisły w srebrnych pierścieniach-huśtawkach. Paciorki błyszczących oczu utopiły we wchodzącym. Lekko zadzwoniły łuski rycerskie] zbroi, lekko powiały pióra rycerskiego hełmu w czci pełnym pokłonie.

— Kazałam cię prosić, rycerzu — cesarzowa unosi głowę ze złocistych poduszek — bo chcę, abyś mnie zabawił rozmową.

— Pani moja — rzymski oficer kłania się powtórnie — Jestem w służbie cesarza i cesarskie pułki czekają moich rozkazów.

— Wiem, szlachetny rycerzu. Widzę cię co dzień, jak na placu ćwiczysz żołnierza. Co dzień spoglądam z balkonu na wasze harce i gry, bo nie wiem, co robić, bo dzień taki długi, bo życie takie nudne i puste... — na młodej a pięknej twarzy Aleksandry leży cień smutku i zniechęcenia.

— Cesarzowo! Życie nie jest nudne i puste! Życie jest bogate, pełne, każda minuta jest drogocenna dla nas tu na ziemi, a j eszcze bardziej drogocenna jest ona dla nieba!

Dla nieba? — z twarzy cesarzowej znikł cień smutku. Oczy wpatrzyły się zdziwione w zapału pełne oczy żołnierza — dla nieba? Jak to rozumiesz?

— Wszak tu, na ziemi, żyjemy dlatego, by zapracować sobie na niebo! A pracy jest tyle, tyle pozostaje do zrobienia! Najjaśniejsza! Widziałaś w polu oracza, widziałaś żołnierza ciągnącego w bój, widzisz poetów wiążących rymy, widzisz matki przy dzieciach, może i widziałaś nędzarzy wyciągających dłoń po jałmużnę... to wszystko — to życie, to praca, to nasze obowiązki, to walka o dobro, o niebo.

— A jak ma walczyć o dobro i niebo, młody rycerzu, twoja cesarzowa?

— Rzymska cesarzowa, pani rozległych krain, swymi drobnymi dłońmi umiałaby odmienić cały świat, mogłaby uszczęśliwić tysiące ludzi...

— Jak, rycerzu?

— Pani! powstrzymaj dłoń cesarza, dłoń twego małżonka! — rzymski oficer, Jerzy, ukląkł przed Aleksandrą — niech ręka Dioklecjana nie podpisze żadnego więcej dekretu, niosącego prześladowanie i śmierć chrześcijanom! — Furkot i krzyk papug w napiętej oczekiwaniem ciszy.

— Przecież chrześcijanie — to złoczyńcy, to zdrajcy ojczyzny, to...

— Nie, najjaśniejsza! — Jerzy wyprostował swą piękną, rycerską postać — chrześcijanie — to słudzy Chrystusa. Słudzy Boga, który jest Dobrem i Miłością. Boga, który przyniósł ludziom dobro i miłość. Który ludzi ukochał i za nich umarł.

— Nie znam nauki Chrystusa i nie znam — Chrystusa —

— Ale on ciebie zna, pani! On i za ciebie umarł, bo on i ciebie ukochał! Jego nauka prosta, kochaj Chrystusa, kochaj bliźnich, walcz o dobro na świecie i w sercach ludzkich.

Cesarzowa pogrążyła się w zadumie.

Ziarno zostało rzucone. A gleba serca była chętna. I ziarno zaczęło zaraz kiełkować.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Dioklecjan wszedł do komnaty Aleksandry. Bezszelestnie wniesiono wino i owoce. Cicho odezwała się muzyka. Pierścienie błyszczą na palcach cesarzowej. Ale o wiele mocniej błyszczą jej oczy. Płoną. Płoną silnym, wewnętrznym blaskiem.

— Nareszcie zapanuje spokój — Dioklecjan wznosi puchar. W złotej czaszy wino czerwone, jak krew... — porozsyłałem dekrety na chrześcijan...

— Ach! — boleść i lęk. Przyćmił się blask promiennych co dopiero oczu. Trwoga zakradła się w serce Aleksandry... przecież dopiero od niedawna znała Chrystusa, jeszcze się chwiała, ziarno dopiero dojrzewało... — porozsyłałeś dekrety...

— Tak. Co się dziwisz, Aleksandro? Przecież ci już mówiłem nieraz, że wytępię chrześcijan, bo chcę mieć spokój w państwie. Jest ich coraz więcej. Już jutro wysyłam do Palestyny mojego najlepszego oficera, aby przypilnował ścisłego wykonania dekretu. Ani jeden chrześcijanin nie ujdzie śmierci!

— Którego oficera wysyłasz? — przeczucie serca potęguje trwogę.

— Jerzego. Tego młodego, wiernego mi żołnierza. — Serce zamarło w piersi Aleksandry. Okrutne zimno powiało zewsząd. Lęk zapanował...

— On umrze, on zginie za swego Chrystusa, on go nie zdradzi — i nagle, jak żywa stanęła przed oczyma zatrwożonej cesarzowej uśmiechnięta, jasna postać rycerza, zdało jej się, że słyszy gorące słowa: „Chrystus umarł za mnie, umrę i ja za niego...” A Ja? ja, rzymska cesarzowa, co ja mam uczynić? — Jeszcze nie przebrzmiało trwożne pytanie, a już na nowo zabiło serce, głośno, namiętnie, z wielkim pożądaniem czynu.

— Cesarzu, cofnij twoje dekrety na chrześcijan!

— Dlaczego? Co to ma znaczyć?

— Chrześcijanie są niewinni! Oni nie są nieprzyjaciółmi naszego państwa!

— Zamilcz, Aleksandro! — Twarz cesarza powlekła purpura gniewu — nie znasz chrześcijan! Nic cię z nimi nie łączy! To przestępcy i tchórze!

— Nie, panie mój! To bohaterzy! Oni walczą o dobro i umierają za dobro! — Aleksandra podniosła się. Stoi smukła i promieniejąca przed cesarzem. — Dioklecjanie, proszę cię, cofnij twe dekrety... — ręce cesarzowej składają się błagalnie...

— Aleksandro! — cesarz podniósł się również. Stoi ogromny i ciężki naprzeciw swej małżonki. — Ty bronisz chrześcijan, nieprzyjaciół państwa, moich nieprzyjaciół?! — Głos jest ochrypły powstrzymywanym gniewem. W oczach groźne fosforyzujące błyski.

— Tak. Dioklecjanie, bronię chrześcijan. Bronię ich, bo i ja wierzę w Chrystusa.

Ziarno dojrzało. Wydało bogaty plon. Oszalały gniewem cesarz wydał rozkaz zabicia cesarzowej.

W przystani stoją rzymskie pułki palestyńskiej prowincji. Żołnierze patrzą ciekawie na swego nowego, młodego dowódcę. Tego więc przysłał cesarz, aby ich powiódł do ostatecznej rozprawy z chrześcijanami?!

Cichy, nieuchwytny szept płynie z ust do ust, z szeregu do szeregu, szept, który przybył aż z Rzymu, zanim jeszcze młody, piękny dowódca zawitał na palestyńskiej ziemi.

— On sam ma być chrześcijaninem... — leci fama z ust do ust, z szeregu do szeregu, z pułku do pułku.

Jerzy skończył przegląd wojsk. Stanął naprzeciw wyprężonych, zamarłych w oczekiwaniu żołnierzy. Setki oczu zawisło na uśmiechniętych ustach dowódcy. Jerzy podniósł się w strzemionach. Słońce oblewa złotym światłem postać młodego jeźdźca.

— Żołnierze, posłano mnie do was, abym was powiódł na chrześcijan, abym ich doszczętnie wygubił — donośny, jasny głos sięga i ostatnich, oddalonych szeregów. — Ale ja sam, rzymski oficer, jestem chrześcijaninem i wierzę w Chrystusa! Żyłem dla Chrystusa i umrę dla Chrystusa!

Błyszcząca, ostra klinga miecza odcięła rycerską głowę. I nikt już nie zobaczył cesarzowej Aleksandry i rzymskiego oficera Jerzego.

„Gość Niedzielny", nr 17/1949, s. 3.

* * *

JADWIGA BERNHARDT

Szaleństwo Soni

Pierwszy dzwonek; za pięć minut rozpocznie się przedstawienie. W jasno oświetlonym korytarzu ruch. Przy szatni tłok, gwar. Obsługujące panienki uwijają się gorączkowo, mocują się z eleganckimi płaszczami, zwijają szybko szaliki i wpychają je w rękawy, kieszenie palt, wysoko zawieszają kapelusze, rwą bloczki, kasują pieniądze.

— Masz może drobne?

— Tam, w torebce, weź! — Renia stoi przed lustrem, poprawia włosy, obciąga sukienkę. — Znalazłaś? Stefan, a bloczki wziąłeś?

— Mam, mam, no chodź, jesteś gotowa?

— Już. A ty popraw sobie krawat. Masz go pod uchem.

Sala teatru przepełniona. Szekspir przyciąga. Parter, balkon i drugi balkon, same głowy, ruchliwe, jasne i ciemne głowy, tysiące błyszczących oczu, a nad tym wszystkim przytłumiony, równy i ciągły gwar, i zapach perfum, i ciepło, jakieś miłe nieuchwytne ciepło teatralnej sali.

— To tu, Stefan, tu jest piąty rząd — Renia sadowi się w czerwonym pluszowym krzesełku, ogląda się dyskretnie — och, przecież to Sonia. — Z dużej loży, z boku, wychyliła się jakaś jasna głowa, zabłysnął przez moment srebrny krzyżyk na czarnym atłasie sukni. — To przecież Sonia... Stefan, popatrz, tam, w drugiej loży... co? Ty się kłaniasz?! Ty ją znasz? Skąd?

— Ja? kogo? Kłaniałem się mojemu szefowi, inżynierowi Boruckiemu. Widzisz, siedzi tam z boku, za tą panią. Ją też znam. Z widzenia. Któż by jej nie znał... to jego sekretarka.

— Sonia? Nie wiedziałam, że ona pracuje u was, w fabryce — dziwi się Renia — zresztą, być może, już od roku jej nie widziałam. Wiesz, to była moja najlepsza szkolna koleżanka.

— No, ładną miałaś koleżankę!

— Czemu? o czym myślisz?

— Ty nie wiesz? Przecież Borucki żonaty! Ma nawet pięcioletnią dziewczynkę. A z tą swoją sekretarką, z tą Sonią, żyje jak... no, cicho, sza już ostatni dzwonek.

— Niemożliwe, Stefan! Sonia nigdyby... to plotki!

— Nie plotki. Patrz, Renia, kurtyna się podnosi.

Rozpoczął się pierwszy akt barwnej, fantastycznej poezji Szekspira. Romantyczny, przedziwny świat, który Renię tak zachwyca. Ale dziś czar nie działa. Renia myśli o swej szkolnej koleżance. Obydwie były pierwsze w klasie. Obydwie były ulubienicami nauczycieli. Wszędzie chodziły razem. O wszystkim ze sobą mówiły. Rozumiały się doskonale. Lata okupacji rozłączyły je. Renia musiała wyjechać na roboty do Rzeszy. Sonia też się gdzieś zawieruszyła. A potem, po wojnie, nie nawiązały już kontaktu. Renię pochłonęły studia, Sonię praca.

— Stefek, a może żona Boruckiego też tam jest, w loży? — Renia mówi szeptem, nie patrzy na scenę, ale w bok, do drugiej łoży, szuka oczyma twarzy, która by usprawiedliwiła Sonię, wymazała jej winę.

— O czym mówisz? nie rozumiem.

— No, może ten twój inżynier jest tu razem z żoną, a Sonia tylko im towarzyszy.

— Śmiesznaś. On jest tu ze swoją sekretarką a z żoną nie żyje od roku. Bo od roku ma tę twoją Sonię. Ale co ciebie to obchodzi? I teraz właśnie! uważaj, patrz na scenę, i nie przeszkadzaj. — Stefan lekko uścisnął rękę Reni, jakby dla złagodzenia strofujących słów.

Renia patrzy na scenę. Ale nie uważa. Przedtem dostrzegła na szyi Soni krzyżyk. Renia machinalnie sięga ręką do swego łańcuszka. Ma taki sam krzyżyk, jak Sonia. Renia przypomina sobie żywo tę scenę sprzed dwunastu lat, gdy im ksiądz Dobrzyński w szkole dawał te krzyżyki. Za to, że się pilnie uczyły religii. Ach, jak wówczas lubiły religię! Z jakim zapałem słuchały księdza nauk, jak chętnie uczyły się o łasce, o sakramentach. Sonia widocznie też jeszcze to wszystko pamięta, skoro nosi ów krzyżyk. Przecież, gdyby było naprawdę tak, jak Stefan mówi, to by ten krzyżyk przeszkadzał Soni w takim życiu, byłby dla niej ustawicznym wyrzutem...

Renia ocknęła się. Przebudziły ją głośne brawa. Kurtyna spadła. Na sali było znów jasno i gwarno.

— Podobało ci się? Ale, Reniu, co z tobą? o co ty się martwisz?

— Widzisz, Stefek, nie mogę zapomnieć tego, coś mi mówił o Soni. Że ona z tym inżynierem... może ona nie wie wcale, że on żonaty, może on ją okłamuje, zwodzi?

— Wie, na pewno wszystko dobrze wie; za rok mogła się już wszystkiego dokładnie dowiedzieć. Jeśli nie od niego samego, to przecież od ludzi. Reniu, co ciebie to tak ogromnie dziwi? Podobnych wypadków, teraz, w naszych czasach, jest masa. Nie słyszałaś?

— Owszem. Ale widzisz, Sonia była zawsze dobra, pobożna, patrz, jeszcze teraz nosi krzyżyk, na pewno nie jest z nią tak źle, jak mówisz!

— Krzyżyk o niczym nie świadczy. To znaczy, krzyżyk powinien o czymś świadczyć, powinien być widocznym świadectwem naszych uczuć i przekonań, ale nim nie jest. Przynajmniej u bardzo wielu ludzi. Popatrz, ile pań, tu, w teatrze ma krzyżyk na szyi. Pomyliłabyś się srodze, gdybyś sądziła, że wszystkie, które je maja żyją uczciwie, po katolicku, właśnie tak, jak to nakazuje ów widomy znak, krzyż. Ot noszą te krzyżyki jako ozdoby, jak się nosi koraliki na szyi. Zupełnie bezmyślnie

— Wiem, Widziałam kiedyś w kinie, u jednej aktorki krzyżyk, duży brylantowy krzyżyk na szyi. Dziwnie to wyglądało — strój baletowy i z krzyżykiem na szyli

— Tak, tak, to są takie aktualne, denerwujące bolączki, obok których niesposób przejść obojętnie.

— Dlatego też ja nie mogę zapomnieć o Soni. I nie mogę przejść koło niej obojętnie... Wierz, na przyszłej przerwie podejdę do niej i...

— I powiesz jej kazanie, Reniu?!

— Nie żartuj. Wiem, co jej powiem. Już wiem! — oczy Reni błyszczą myślą, która przyszła jej do głowy. Zaprosi ją na przyszłą niedzielę do siebie! Na zaręczyny ze Stefanem! Powie jej, że będzie i ksiądz Dobrzyński. Przypomni jej dawnego katechetę, którego tak chętnie słuchały. Może ksiądz Dobrzyński jakoś na nią wpłynie? Choćby nie miał słówkiem napomknąć o obecnym życiu Soni, mógłby przez samą swoją obecność, przez swój dawny wpływ katechety, wywołać u Soni jakieś refleksje. Reni płoną policzki. Patrzy na scenę, na sztukę Szekspira, ale myśli gorączkowo o innej sztuce, którą ona chce wyreżyserować, przy pomocy Bożej naturalnie.

- -

— Soniu, wstawaj! Idź do kościoła... niedziela...

— Ach, zostawcie mnie! Co niedzieli ta sama historia! Chcę się przynajmniej raz w tygodniu porządnie wyspać.

— Nie trzeba co dzień wracać o drugiej w nocy.

— Mamo! Nie złość mnie! Nie jestem dziesięcioletnią dziewczynką! Wiem, co robię!

— Wiesz, akurat wiesz... — pani Olczakowa zwiesza głowę. Zamyka drzwi sypialni za sobą — ciężki krzyż pański, ciężki... zawsze była taka dobra... ta Sonia, mój Boże!

Sonia nasuwa kołdrę na oczy, ale już nie może zasnąć. Jest zła. I coś ją dręczy. Od wczoraj, od tej rozmowy z Renią w teatrze. Coś uwiera w duszy. Renia zaprosiła ją na zaręczyny, na Zielone Święta będzie ślub. Jaka ta Renia szczęśliwa! A ona... tak, Władek mówi o rozwodzie, mówi o ślubie... cywilnym, ale to przecież nie to samo, nie to samo! Spod zamkniętych powiek płyną nagle łzy. Sonia wyciera twarz w kołdrę. Zagryza wargi. Chce opanować żałość; i tak nic już jej nie pomoże. Kocha Władka, i Władek ją kocha, cóż, że ma żonę... Sonia podnosi się. Coś ją gniecie na

plecach. Sięga ręką, to łańcuszek się przesunął, to krzyżyk uwiera... krzyżyk... coś o nim wczoraj Renia mówiła, coś przypominała. Aha, mówiła, że dzisiaj po południu ksiądz Dobrzyński będzie miał kazanie u św. Andrzeja... Jakieś poświęcenie krzyża ma się odbyć, Sonia myśli z wysiłkiem. Poszłaby chętnie, już tyle lat nie widziała dawnego ks. katechety, tak pięknie zawsze mówił, z takim przekonaniem — ale nie pójdzie na to kazanie! Wstydzi się. Wstydzi się tych wszystkich znajomych, którzy by ją w kościele widzieli. Nikt i nic jej nie obchodzi! Ani ci ludzie, ani ks. Dobrzyński, ani jakieś tam kazanie! Co by na to wszystko Władek powiedział?! Ot, zachciewa się jej jakichś sentymentów! Żałuje, nie wiem czego, beczy, nie wie o co. Istna histeria.

Nie poszła po południu na kazanie ks. Dobrzyńskiego. Zresztą, nie miała czasu. Odświeżyła sukienkę, poprawiła manicure, zrobiła ładną fryzurę. Na siódmą umówiła się z Władkiem w Europejskiej.

Sonia spaceruje przed kawiarnią. Nie ciągnie jej dzisiaj rozświetlone wnętrze. Jest tak piękny, zimowy wieczór. Tu poczeka na Władka i weźmie go na spacer. Przechodzący ludzie rozmawiają wesoło, głośno. Sonia zawraca. I teraz spostrzega, że doszła aż do końca ulicy, że stoi przed kościołem.

— To, zdaje się, święty Andrzej — podnosi głowę, wpatruje się w rozwarte, duże drzwi kościoła, w jasne wnętrze.

— Jest jakieś nabożeństwo — Sonia automatycznie kieruje się w stronę otwartej bramy. Już stoi w tłumie zasłuchanych ludzi. Obok jakiejś pani z małą dziewczynką. Zapomniała przyklęknąć. Stoi i słucha. Jeszcze nie rozróżnia słów; przypomina sobie z wysiłkiem ton znajomego głosu. Głosu, co przed dwunastu laty nauczał ją tak przekonywująco i tak pięknie Bożych prawd. Sonia podnosi się na palce, dostrzega ambonę, księdza...

— Tak, to nasz ksiądz katecheta! — szepce jakoś radośnie, z jakąś ulgą — jednak musiałam trafić na jego kazanie!

—...Krzyż jest naszym godłem, jest naszym herbem rodzinnym, herbem wielkiej katolickiej rodziny. W domu, gdzie krzyż wisi na ścianie, nie ma miejsca dla nienawiści i złości! Cóż to za paradoks, jaka okropna sprzeczność, gdy w mieszkaniu na miejscu honorowym wisi krzyż a w rodzinie panoszy się grzech, pijaństwo, niezgoda, lekceważenie Bożych zasad. Jeśli tak się dzieje w twoim domu, to zdejm krzyż ze ściany, bo on tam wisi bezprawnie! I bezprawnie noszą krzyżyk na szyi ci, którzy nie uznają

niedzielnej Mszy świętej, którzy występują przeciwko szóstemu przykazaniu, nie są godni tego przewspaniałego herbu...

— Proszę pani, rękawiczki — mała dziewczynka podnosi z posadzki rękawiczki Soni.

— Dziękuję... — Sonia patrzy na małą dziewczynkę, ale nie widzi jej; w głowie huczą słowa kaznodziei, huczą, dzwonią, wirują... „...Bezprawnie noszą krzyżyk”— i ona go nosi bezprawnie... jak w tej chwili pali ją ten srebrny krzyżyczek na piersi. Sonia machinalnie rozpina kołnierz płaszcza, chyba zdejmie łańcuszek, i ten krzyżyk, którego niegodna... Sonia próbuje przemówić sobie do rozsądku: czego ja się właściwie przejmuję? Wielu innych robi to samo, co ja, a nikt nie robi z tego dramatu — To jest po prostu życie... A kazanie — jak kazanie. Przecież inaczej ksiądz nie może mówić. To jego obowiązek. Teraz jeszcze brakuje, żebym się „nawróciła” po tym kazaniu — szydzi Sonia ze siebie — tożby to było zupełnie, jak w pobożnej nowelce w kalendarzu! Nie! Nie dam się! To taki nastrój, to przejdzie!...

Ale nie przechodziło. Szydzenie nie pomagało. Myśli Soni ustawicznie wirowały dokoła słów kaznodziei, krzyżyka i tej całej sprawy.

— Proszę pani, pani znowu upuściła rękawiczki — mała dziewczynka uśmiecha się.

— Ach, dziękuje, i przepraszam cię, dziewczynko — Sonia ocknęła się. Raptem wpatrzyła się w twarz dziecka — o Boże, skąd ją znam! Te czarne, płonące oczy.. — Sonia odwraca głowę, spogląda na panią, która stoi tuż obok małej — spogląda z jakimś lękiem na spokojną twarz dorosłej kobiety, i nagle, gwałtownie zamyka oczy — Boże, przecież to jego żona, i jego dziecko!...

Sonia wydostała się z kościoła i stoi przed zielona bramą prowadzącą na ulicę. Jest jak w gorączce. Tamte dwie twarze, twarz dorosłej kobiety i twarz małej dziewczynki zlały się w jedną groźną całość ze słowami kaznodziei, i straszą ją, i lękiem napawają do głębi. Uciec! Uciec daleko. Sonia wychodzi spiesznie na ulicę. Rozgląda się bezradnie. I nagle, całkiem zdecydowana, kieruje się w górę ulicy, skąd przyszła; ku Europejskiej. Jeszcze nie wie, po co, ale wie, że tam iść musi, że tak trzeba.

— Soniu, czekam prawie godzinę! — wysoki mężczyzna zatrzymuje Sonię na chodniku.

— Władek! To dobrze. Słuchaj... pójdziesz ze mną?

— Dokąd? nie wejdziesz do środka? zająłem stolik, wyszedłem w tej chwili na ulicę, bo się niepokoiłem o ciebie.

— Słuchaj, muszę z tobą pomówić.

— No to wejdźmy. Co tobie? Co się stało?

— Tak... Zaraz ci powiem. Ale nie tam, w tej kawiarni. Chodź, przejdziemy się.

— Proszę bardzo. Słucham cię, Soniu.

— Widziałam przed chwilą twoją żonę i twoją córkę.

— Co? żonę, córkę? gdzie? Ty ich przecież nie znasz!

— Znam. Poznałam z fotografii. Oglądałam kiedyś twój album. Władku — Sonia patrzy błagalnie na pochmurną twarz mężczyzny — Władku, ty mi musisz pomóc, jeśli, jeśli naprawdę mnie...

— Nie rozumiem ciebie, moja droga — męski głos drga ukrywanym zdenerwowaniem — mów jaśniej!

— Dobrze, powiem całkiem jasno. Tak jasno. Jak trzeba między dojrzałymi ludźmi — Sonia już się uspokoiła. Ma równy, mocny glos. Wyjęła rękę spod ramienia Władka i idzie obok, pewna i silna, skupiona w sobie — Władek, ty jesteś katolikiem, prawda?

— Sonia! żartujesz?! oszalałaś?!

— Nie, tylko pytam poważnie, czy jesteś katolikiem

— Chyba wiesz. Nie jestem przecież ani Żydem, ani protestantem...

— Tak. Widzisz, jesteśmy obydwoje katolikami, a postępowaliśmy przez cały rok tak, jakbyśmy byli poganami!

— Niby dlaczego?

— Dlaczego? Spytaj o to twoją żonę, twoje dziecko — przed oczyma Soni zamajaczyła spokojna kobieca twarz i czarne, uśmiechnięte oczy dziecka, co jej podawało rękawiczki — Władku, cośmy zrobili! Co ja zrobiłam! — Sonia zakrywa twarz ręką, — oderwałam cię od twojej rodziny, od twojej żony, twojego dziecka...

— Soniu, uspokój się, nie płacz.

— Ja nie płaczę. Teraz nie czas na płacz, teraz trzeba naprawić to, cośmy zepsuli! Trzeba zawrócić, póki jeszcze czas!

— O czym myślisz?! chcesz abyśmy się...

— Tak, chcę, abyśmy się rozstali. Tak nam nakazuje sumienie. Jeżeli nie tobie, to mnie, bo we mnie ono się odezwało i już go niczym innym nie uspokoję, tylko spełnieniem tego obowiązku. — Skąd w tej płochej Soni

wziął się taki surowy, mocny ton? — Obowiązku względem twej rodziny. Ty wrócisz do twojej żony, do twojego dziecka, Władku, ty musisz do nich wrócić! Ja ci w tym dopomogę...

— Soniu, przestań! Oszalałaś, ja mam do żony wrócić, po tym wszystkim, co zaszło?!

— Musisz.

— Nie. Zresztą, skończmy z tym. Ty jesteś zdenerwowana. — Sama nie wiesz, czego żądasz ode mnie i od siebie...

— Wiem, żądam wiele... — głos Soni załamał się, zadrgał — ale jeżeli byliśmy zdolni, by wiele grzeszyć — znowu mówi spokojnie, mocno — to musi nas być stać i na to...

— Przestań! Toż to czyste szaleństwo!

— To szaleństwo już mnie nie opuści...

— Bredzisz! Prawisz śmieszne morały... nie poznaję ciebie. Jutro w biurze porozmawiamy Inaczej. A teraz chodź, Soniu.

— Nie, Władku. Już nigdy, nigdzie z tobą nie pójdę — wiem, co mówię... mówię całkiem poważnie. Ty wracaj do twojej rodziny. Ja też wrócę tam, gdzie moje miejsce... — na moment rozwarła się przed nią jakaś przeraźliwa pustka — gdzie jest jej miejsce bez tego człowieka, którego kochała? — uczuła, jak serce zamiera w lęku przed samotnością... ale oto słaby promyk nadziei, jak słaby blask srebrnego krzyżyka, dodał jej nowych sił. — Jeżeli Bóg żąda ofiary, nie poskąpi i mocy lichemu człowieczemu sercu... sercu, które poznało błąd i pragnie poprawy.

— Czy już wszystko powiedziałaś? — gorzki, ironiczny ton.

— Wszystko... i nic już nie zmienię.

— Tedy do widzenia drogiej pani! — ból zranionego, ambitnego serca skrył się w krzywym, cynicznym uśmiechu — powtarzam, że jutro w biurze, gdy już minie to twoje szaleństwo, porozmawiamy inaczej.

Sonia patrzy za odchodzącym mężczyzną, długo, długo, aż zniknął, aż się zamazał w załzawionych oczach.

— Nie, Władku, moje szaleństwo nie minie do jutra, nie minie i za miesiąc, i za rok, i za dziesięć lat. Będzie trwało wiecznie... bo to święte szaleństwo, bo to szaleństwo krzyża, które, gdy raz ogarnie ludzkie serce, już nigdy, nigdy go nie opuści.

- -

Za tydzień, na zaręczynach Reni, powiedziała Sonia swej szkolnej koleżance, że zmieniła posadę.

— Księdzu też chciałabym coś powiedzieć — Sonia ścisza głos, niechby ją tylko jej dawny katecheta słyszał — że krzyżyk księdza strzegł mnie przez dwanaście lat i że teraz, przez dalsze lata, będzie mi pomagał. Mnie, i komuś jeszcze, który razem ze mną pobłądził... Pamięta ksiądz, jak ksiądz nam kiedyś na lekcji mówił o Duchu świętym i wyjaśniał nam ksiądz słowa: „Duch tchnie, kędy chce", a ja je miałam powtórzyć a zrozumiałam źle i powiedziałam: „Duch tnie, kędy chce", a ksiądz się śmiał i mówił żartobliwie, że to wcale nie jest tak źle powiedziane, bo jak Duch święty się na kogoś „uweźmie" i kogoś „tnie" swoim tchnieniem, to człowiek nie zdoła umknąć Duchowi świętemu. Widzi ksiądz, mnie się tak zdarzyło. Broniłam się przed tchnieniem Ducha, chciałam uciekać i nie udało się — chwała Bogu!...

— To dobrze — odpowiedział ksiądz Dobrzyński z tym swoim pogodnym uśmiechem sprzed lat dwunastu.

„Gość Niedzielny", nr 23/1949, s. 5 – 6.

JADWIGA BERNHARDT

Kanclerz i żebrak

Mała, rubinowym pierścionkiem migocąca ręka odsuwa ciężką, złotozieloną zasłonę. Za wąskim oknem późny wieczór. Deszcz, wiatr i gęsta mgła.

Czarne oczy Meg z niepokojem błądzą w siności mgły. Wśród stłumionych odgłosów wieczornego miasta szuka Meg znajomego, radosnego dźwięku — dźwięku kopyt końskich, głośną, rytmiczną melodię napełniających cichą ulicę.

— Jeszcze nie wraca — mała dłoń z rezygnacją opuszcza ciężko falistą zasłonę — rano pojechał do króla, a teraz noc niedługo...

Meg kuli się w czarnym, głębokim fotelu. Blask ognia na k ominku odbija się w dużych, smutnych oczach — klęczał rano w kaplicy tak bardzo, bardzo stropiony. Rękę przyciskał do skroni — pewno myślał, co powie królowi — mój najdroższy ojciec... — Meg zamyka oczy. Pod powieką uwypukla się obraz spokojnej, siwej głowy ojca i porywcza, gorąca twarz Henryka — ach, ten król, niechże już puści ojca do domu — na dziewczęcej twarzyczce kanclerskiej córki płaczliwy grymas.

Szum deszczu i wiatru za oknami komnaty. Meg marzy. Rubinowy pierścionek błyszczy tajemniczo.

Szum deszczu i wiatru za oknami karocy. Tomasz More zwiesza głowę. Gruby, kanclerski łańcuch cięży na karku i leciutko dzwoni. Nad Tamizą gęsta mgła. Wilgotne, sine pasma kłębią się w zaułkach nadrzecznych uliczek i strzępią się na ostrej koronce dachów. Deszczem błyszczące gałęzie drzew pląsają w takt wiatru. Tamiza szumi w dole. Stukot końskich kopyt stłumionym echem niesie się przez szeroki most.

Kanclerz podnosi głowę. Po szybie okienka spływają duże krople deszczu. Niczym łzy. Przez smugę tych kropel patrzy kanclerz na most Tamizy, na rzekę we mgle. W tej mgle jawi mu się niespokojna postać Henryka. Królewskie, uparte słowa wdzierają się w ucho kanclerza.

— Toczymy z sobą walkę, ciężką walkę — ale jak długo to potrwa... i jak się skończy? — Zloty łańcuch z głośnym dźwiękiem uderzył o szybę. Kanclerz przyciska czoło do zimnej tafli Z wysiłkiem patrzy w ciemny wieczór.

Z siwej mgły wyłania się niesamowita, długa postać... — Bill?! Przecież to Bill — lekki uśmiech rozchyla surowe usta. Za chwilę kareta kanclerza przystaje. Woźnica ukradkiem, przez ramię, zdumionym wejrzeniem ogarnia długą, niesamowitą postać żebraka.

— Bill, niewiele brakowało, a byłbym cię nie poznał! — Kanclerz otwiera szeroko drzwi karocy — zapomniałem, ze tu, na moście, jest twój posterunek...

Żywy, ciepły ton. Ten ton ściera nieufny, podejrzliwy wyraz z obrosłej czerwonym włosem twarzy żebraka.

— Znam cię, Bill. Meg, moja córka, mówiła mi o tobie — w oku kanclerza głębokie współczucie na widok chudej postaci zawieszonej na

dwu laskach, wspartej na jednej nodze i twarzy ożywionej jednym tylko okiem — Bill, wieczory są teraz chłodne, ciągle mamy deszcze, radzę ci po dobroci ogrzać się od czasu do czasu solidnie. Jutro ogrzejesz się u mnie. Zapraszam cię na obiad. Bill, pamiętaj, jutro jesteś moim gościem. Jeżeli cię zapytają, czego chcesz, powiedz śmiało: kanclerz zaprosił mnie do siebie.

Potężny kanclerz z filuternym uśmiechem patrzy w zdumioną, ogłupiałą twarz żebraka. Bill, tak zawsze skory do odpowiedzi na zaczepne lub współczujące pytania przechodniów — milczy dziwnie poruszony. Snem zda mu się wspaniała karoca, zjawą...

— Bill, do zobaczenia więc! Jutro na obiedzie!

Ale przecież... ten głos jest żywy, prawdziwy... karoca zniknęła we mgle, a żebrak wciąż jeszcze stoi na środku mostu i patrzy za nią. Spod nieforemnej czapki wysuwają się mokre kosmyki czerwonych włosów. Wiatr tarmosi obwisłą kapotą a w obszarpanym woreczku cicho dzwonią żebracze miedziaki.

Wygładziły się zmarszczki na twarzy Morusa. Uparta postać króla Henryka nie trapi już wspomnieniem.

Kopyta paradnej, białej czwórki zadzwoniły w pustej ulicy. W jednym z okien kanclerskiego pałacu podniosła się zasłona. Szczupła, czarna sylwetka na jasnym tle oświetlonego wnętrza.

— Meg czeka, biedactwo — kanclerz wkłada szeroki kapelusz. — Powiem jej, jakiego jutro mamy gościa. Ucieszy się. Albo — kanclerz przystaje na moment na szerokich, pałacowych schodach — nic jej nie powiem. Zrobię jej niespodziankę! — uśmiech nie schodzi z ust kanclerza.

W dużej komnacie jasno i ciepło. Na dwu potężnych kominkach płonie ogień. Rodzina kanclerza zgromadzona przy stole. Kryształowe i srebrne misy, błyszczące czerwienią wina puchary. Słudzy wnoszą dymiące, wonne dania. Oczy zebranych patrzą ciekawie na puste miejsce obok kanclerza. Oczy Alicy, żony kanclerza, oczy Meg i jej trzech sióstr, oczy ich trzech mężów i ruchliwe oczy błazna Patensona. Obiad podano do stołu.

— Oczekuję jeszcze jednego gościa — tłumaczy się kanclerz przed pytającym wzrokiem żony — przyjdzie z całą pewnością. — Na twarzy pani Alicy odbiło się wyraźne zakłopotanie, a nawet niepokój.

— Myślisz o tym żebraku' — Alica ścisza głos — o tym, zdaje się, że go nazywają Bill. Stoi zawsze na moście... przyszedł przed chwilą, jest w pokoju służby — Alica patrzy niepewnie na męża.

— Nie ma zwyczaju przyjmować gości w służebnym pokoju... — w spokojnym tonie, lekka wymówka.

Posłano po Billa. Po chwili lokaj w paradnej liberii odchylił kotarę.

— Najjaśniejszy lordzie-kanclerzu, oto oczekiwany gość.

Kanclerz podchodzi ku drzwiom. Bierze żebraka pod rękę. Z drugiej strony Meg, radośnie uśmiechnięta, prowadzi Billa do stołu. Odbiera jego laski, podsuwa niski stołek pod obwisłą nogę.

— Jakiś ty dobry! — gorący szept Meg w ucho ojca.

Porządek przy stole taki, jak co dzień. Jeden z zięciów kanclerza czyta ustęp z biblii. Po tym poważnym wstępie błazen Patenson zabiera glos. Wkrótce już wesoły śmiech biesiadujących dzwoni w wspaniałej komnacie. Wesołe, swobodne rozmowy unoszą się nad stołem. Przychylne, pogody pełne spojrzenia krzyżują się z niepewnym wzrokiem żebraka. Powoli nieśmiałość opuszcza Billa. Powoli szczęśliwy uśmiech zagościł na wychudłych policzkach.

— Bill, a może jeszcze z tego półmiska? — kanclerz nie spuszcza troskliwego oka ze swego gościa — weź jeszcze to mięso, zobaczysz, jakie dobre.

— Bill, nie za zimno ci teraz na moście? — Meg ogląda z troską przewiewną kapotę żebraka — przydałoby ci się futro na twoim odpowiedzialnym posterunku na moście!

— Przyzwyczaiłem się do zimna, jaśnie panienko — Bill śmieje się do kanclerzowej ulubienicy — nie czułbym się dobrze w innym okryciu. I jakiż byłby to żebrak w paradnym futrze?! Kto dałby mi wtedy miedziaka?

Wesołość na twarzy kanclerza. Wesołość na każdej twarzy biesiadujących. Nawet na dostojnych twarzach usługujących lokajów lata uśmiech.

— A teraz — kanclerz wysoko wznosi srebrny puchar — toast za nasz radosny, szczęśliwy dzień. — Usta żebraka po raz pierwszy smakują szlachetny smak wina. A serce żebraka o mało nie pęka z radości, której po raz pierwszy w takiej pełni doznaje.

Po obiedzie usadowiono Billa w dużym, wygodnym fotelu. Fotel przysunięto blisko kominka. Meg przyniosła kilka poduszek, jedną wsunęła

pod czerwoną, skołtunioną głowę żebraka, drugą za chude i krzywe plecy, trzecią nakryła długą nogę.

— Nie może być, aby w raju było mi lepiej — miła ociężałość wstępuje w członki kaleki. Głowa sennym ruchem opada na poręcz fotelu. Za chwilę miarowe chrapanie wywoła stłumiony śmiech u przykucniętej po drugiej stronie kominka Meg.

Po długiej drzemce jeszcze jeden posiłek czeka Billa. Meg zatroszczyła się o sakwy żebraka.

— A kiedy zbyt mocno przemarzniesz na moście — kanclerz serdecznym uściskiem żegna swego gościa — przyjdź znowu i powiedz: jestem zaproszony przez kanclerza. Ten zaś puchar — lord wciska w rękę żebraka błyszczące, srebrne naczynie — weź ode mnie na pamiątkę, na znak naszej przyjaźni.

Nazajutrz stał Bill na moście, we mgle i deszczu, z szumem Tamizy w uszach, a zdarzenia poprzedniego dnia zdały mu się snem.

Po upływie tygodnia pokusztykał w stronę kanclerzowego pałacu. I znowu przez cały dzień był gościem lorda.

Któregoś wieczoru wrócił Morus bardzo zmęczony od króla.

— Wiesz, Meg — ręka kanclerza z cichą pieszczotą gładzi głowę córki — o wiele bardziej lubię obiadować z Billem, niż z królem. — Odtąd żebrak Bill był regularnym gościem lorda.

Gwiazda mądrego, sławnego lorda kanclerza Tomasza Morusa blednie gwałtownie. Bo kanclerz nie milczy na k rólewskie przestępstwa. Henryk VIII rozpoczął wojnę z papieżem. Królewską, prawowitą małżonkę wygnał z pałacu. Anna Boleyn, piękna dama dworu Katarzyny Aragońskiej zawładnęła królewskim sercem.

— Nie wolno tak, królu, nie godzi się, najjaśniejszy panie! — Morus otwarcie wypowiada swe zdanie — Jeżeli u najmniejszego twojego poddanego grzechem jest wiarołomstwo, to i w królewskim pałacu uczynek taki jest zbrodnią, bo na ciebie, królu, zwrócone są oczy miliona twoich poddanych.

Za prawdę tych słów powędrował Tomasz Morus do więzienia. Mała celka w grubych murach Towru zamiast pięknej komnaty. Ponure twarze dozorców, zamiast słodkiej twarzyczki Meg. Stęchłe, wilgocią nasycone powietrze, zamiast szerokiej, wietrznej przestrzeni.

— Teraz Bill nad Tamizą jest w lepszym położeniu, niźli kanclerz Anglii... — smutek pierwszych tygodni, troska o los rodziny, przemieniły się w chrześcijańską pogodę ducha, w niezachwianą ufność w Bożą opatrzność. — Nie mogłem postąpić wbrew memu sumieniu, musiałem królowi powiedzieć prawdę...

A król przez piętnaście miesięcy więził swego kanclerza w ponurej twierdzy, czekając aż zmieni swe zdanie. Tomasz Morus zdania nie zmienił.

— Twoje wiarołomstwo najjaśniejszy panie, jest grzechem, jak grzechem jest wiarołomstwo najlichszego żebraka — powtarzał uparcie.

Dnia 8 lipca 1535 roku skazał król Henryk VIII kanclerza, Tomasza Morusa na śmierć.

Kanclerz w małej, więziennej celi przygotowywał się na ostatnią godzinę.

W duszny, lipcowy dzień gromadzą się mieszkańcy Londynu, żądni widowiska, na ulicach wiodących od Towru do miejsca stracenia.

Skazaniec, w zgrzebnej, luźnej sukni, z sznurem na szyi — na szyi, która dźwigała ciężki, złoty łańcuszek kanclerza — kroczy mocno i pewnie. Długa, siwa broda faluje na piersi, siwe kosmyki włosów nad czołem, karkiem, długie więzienie uczyniło kanclerza starcem. Mocny, pewny krok.

Nagle, czyjś głośny, bolesny krzyk. Potknął się skazaniec o ten bolesny krzyk, jak o wysoki, kamienny próg. Przystaje, ogląda się wolno...

— Meg... — rozdygotane, ojcowskie wargi... Potem znów spokój, mocny i pewny krok, wśród tłumów ciekawej, pustej gawiedzi, gdzie żadna dłoń nie podniesie się z serdecznym pozdrowieniem, i żadna głowa nie schyli się w czci pokłonie.

Raptem wysoka, chuda postać przepycha się energicznie ku pierwszym szeregom patrzących. Słychać zasapany oddech i charakterystyczny stukot drewnianych lasek, uderzających o bruk. Bill kusztyka ku skazańcowi. Lipcowe słońce złoci czerwoną, skołtunioną głowę. Wszyscy znają żebraka znad Tamizy.

Głębokie milczenie wśród gawiedzi.

— Lordzie, na upał dobry jest chłodny trunek — schrypiały, drżący głos.

— Dziękuje ci, Bill... — kanclerz podnosi do ust srebrny puchar, przygląda mu się przez chwilę, uśmiecha się, poznaje go, pewnie,

i przechyla migocącą się czaszę — dziękuję ci. Bill, twój napój jest lepszy niż wszystkie moje najszlachetniejsze wina.

— Do widzenia, lordzie — żebrak patrzy swym kalekim, zaropiałym okiem w pogodne oczy kanclerza i dostrzega, że płonie w nich światło tak jasne i piękne, jakiego nigdy dotąd nie widział.

I znowu mocnym, pewnym krokiem rusza kanclerz Morus w swoją ostatnią drogę.

„Gość Niedzielny", nr 34/1949, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Gdy ciężkie dni nawiedziły Lipiny

Nabożeństwo się skończyło. Od ołtarza rozchodzi się po kościelnych ławkach zapach kadzidła.

Ksiądz proboszcz jest już na ambonie. Pozdrawia głośno swych parafian i szeroko kreśli znak krzyża świętego.

Nowy, lipiński kościół jest pełny. Ludzie tłoczą się przy balaskach, w głównej nawie, pod ścianami, ciasno siedzą w ławkach i ciasno stoją w rozwartych, kościelnych drzwiach.

— Możecie mi wierzyć, moi mili, że jestem wam bardzo, bardzo wdzięczny. — Ks. Michalski, młody lipiński proboszcz, ma dobry, jasny głos. — W ciągu ostatnich lat pokazaliście, jak bardzo jesteście przywiązani do waszego kościoła. Nie skąpiliście grosza na dobre cele, choć wiem, że nikomu z was nie przelewa się w domu. Ale tym milsza jest w Bożych oczach wasza ofiarność! Za wasze marne grosze zakupiliście dla kościoła „drogę krzyżową", figury do grobu świętego i do stajenki, teraz znów ofiarowaliście tę piękną monstrancję... tak, zależy wam na Bożej chwale. Przed kilku dniami przynieśliście mi na plebanię dwieście talarów na biednych. Samiście nie bogaci, ale pamiętacie o biedniejszych! A tych biednych jest ciągle jeszcze bardzo dużo. Wielu z nich ponosi winę za swą biedę. Bo piją. Bo ostatni grosz niosą do karczmy. Bo nie wierzą, że wódka jest ich największym wrogiem! — Ks. proboszcz podniósł głos. Dźwięczy jasno i wyraźnie w kościelnej ciszy.

— Widzicie, moi drodzy, ta rzecz, pijaństwo w m ojej parafii, to moja największa zgryzota. Ale mam jeszcze jedną troskę. Wiecie, że kanclerz Bismarck zabronił nam, księżom, uczyć po polsku religii w szkole. Postanowiłem tedy tu, w kościele i na probostwie, udzielać naszym dzieciom pouczenia w świętej wierze. Już od miesiąca tak robię, ale dotąd mało dzieci przychodzi. Wzywam was, kochani rodzice, abyście posyłali dzieci na te nauki!

Ks. Michalski schodzi powoli z ambony. Dużą, białą chustką obciera spocone czoło. Ciężko przyklęka przed ołtarzem. Potem znika za drzwiami zakrystii.

— Pochwalony Jezus Chrystus — dwie męskie głowy pochylają się nad ręką księdza. W mroku zakrystii rozróżnia proboszcz twarz Piotra Stanika i Józefa Swobody.

— Witajcie! A czemu macie takie grobowe miny? — proboszcz uśmiecha się serdecznie do zafrasowanych mężczyzn.

— Widzicie, księże proboszczu, to o was nam chodzi...

— O mnie? A cóżem takiego zbroił? —

— Ano, wy, księże proboszczu, jesteście zbyt otwarci... nie uważacie na siebie... — jakoś ciężko gada się Stanikowi. Skrobie się za uchem, ale niewiele mu to pomaga — mówicie tak, jakbyście nie wiedzieli, w jakich to żyjemy czasach...

— Przecież musiałem powiedzieć o dzieciach i nauce religii. To mój duszpasterski obowiązek.

— Jakże, jakże, ale to trzeba tak inaczej powiedzieć... ja tam nie wiem jak, wiem ino, że już księdza proboszcza raz zaskarżyli w Bytomiu i że trzeba uważać.

— Skąd wiecie? może to tylko plotki?

— Nie plotki. Jest taki, co skarży.

— Kto?

— Morawiec Jan. Ten, co...

— Znam. Tak, znam dobrze... — młoda, jasna twarz księdza ściemniała smutkiem. Przed oczyma zamajaczyła czerwona, pijacka twarz, oczy przekrwione, zwierzęce, ręka ze wzniesioną butelką, wymierzoną wprost na księdza...

— Księże proboszczu, miejcie się przed nim na baczności — Stanik Piotr aż ręce składa...

— Trzeba go zawrócić z tej drogi...

— Kiedy się całą duszą diabłu zaprzedał! za gorzałę! Zdradził i język i wiarę! Boi się tylko pikelhauby[70] i wierzy ino w gorzałę! — Chude policzki Swobody poczerwieniały gniewem.

— A dziecko wychowuje „na obraz i podobieństwo" swoje — Stanik krzywi się szyderczo — na złodzieja i pijaka.

— Wiem, Tomasz ma już trzynaście lat, a jeszcze nie był u Komunii św. Ojciec nie chce go puścić na naukę. Mówiłem z Morawcem, nie raz i nie dwa... — ks. Michalski zadumał się ciężko.

Zamglony świt patrzy w okna cechowni szybu Marcina. Z mroku wyłania się nieduży ołtarz. Lekko połyskuje złocisty kielich w ręku św. Barbary na pociemniałym obrazie.

Drzwi cechowni otwarły się, zaskrzypiały głośno. Kilku górników weszło ciężko, hałaśliwie. Lampki karbidowe oświetliły wnętrze.

— Słuchajcie, Szybielok — Swoboda odzywa się półgłosem do kamrata — jak ma Morawiec szychtę? teraz na dzień, co?

— Tak. A co wy macie z tym pijakiem do gadania? — dziwi się górnik.

— Zobaczycie.

— Tylko stańcie przy drzwiach, Swoboda, jak chcecie go złapać, bo on nie klęka razem z drugimi do pacierza!

Wysoki, piskliwy krzyk syreny przedarł się przez mgłę poranku. Górnicy uklękli u stóp swej patronki do rannego pacierza.

— Te, Morawiec! — Swoboda złapał za rękaw przechodzącego obok drzwi górnika i wciągnął go do cechowni — chciałem z tobą pogadać.

— Co, teraz?

— Teraz, przed szychtą, bo kiedy indziej nie jesteś trzeźwy. — Górnicy klęczący przed świętą Barbarą odwracają się w stronę drzwi.

— Co jest? co się stało? — Morawiec przypina lampkę do pasa, ręce wkłada w kieszenie spodni. Spodnie przeświecają na kolanach. Czuć mocno wódką.

— Ty wiesz, Morawiec, co ci chcę powiedzieć, i nie ja sam, ale my tu wszyscy — Swoboda powiódł rękę poza siebie. Ten i ów przytakuje, tamten

---

[70] Pikielhauba – skórzany niemiecki hełm zakończony charakterystycznym szpikulcem.

chrząka na znak zgody. — Morawiec, zaprzestań swojej parszywej roboty! Inaczej... — pięście górnika zaciskają się.

— He, grozicie mi?

— Ostrzegamy! Wiesz, jak kończy każdy szpicel!

— Jak wy to wszystko wiecie! — twarz Morawca przekrzywia szyderstwo.

— Przestań! Gorzała pomieszała ci rozum! Nie wiesz, co robisz! Za to, że ci z pikelhauby leje się wódka, nie chodzisz do kościoła, skarżysz na farorza, dziecka nie posyłasz na katechizm...

— Nic was to nie obchodzi! Mogę robić, co chcę!

— Swoboda, cofnijcie się, bo go zdzielę w tę pijacką gębę!

— ...dziecka nigdzie nie puszczę! Nic mu nie przyjdzie z żadnej religii! Z religii nie użyje...

— Wyrośnie na takiego łajdaka i pijaka, jak ojciec!

— Niech tam! Ale nie będzie miał takiej ciemnej, zakutej głowy, jak wy! Nie będzie się kłaniał popom...

— Ino szkopom!

— A to wpadł! Gorzała na fest mu rozum wyżarła!

— Nie ma co gadać z takim gizdem — Szybielok splunął w kąt sali — grzmotnąć czymś ciężkim, to mu rozum oświeci.

— Cicho, chłopy! — Swoboda spojrzał poważnie po hałaśliwych górnikach — myślałem, że się jakoś dogadamy z Morawcem. Nic z tego. On już stracony. Diabeł go opętał. No, czas zjeżdżać. Szczęść Boże!

— Diabeł go opętał... stąd przyjdzie dużo biedy na Lipiny... — w drzwiach cechowni stanął niepostrzeżenie siwy dozorca kopalniany — bluźnił Panu Bogu... a Pan Bóg jest sprawiedliwy... — górnicy w ponurym nastroju idą ku windzie. Blade słońce wschodziło na niebie. — W tym dniu cholera wybuchła w Lipinach[71]. Wybuchła w Morawcowej izbie. Gorączka rzucała rozpalonym, chudym ciałkiem Tomasza. Zawołano księdza

---

[71] W roku 1874 wybuchła cholera w Lipinach. Cała parafia, by odwrócić epidemię, poświęciła się Sercu Jezusowemu. Jako podziękowanie za ocalenie, ofiarowali parafianie kościołowi 2 statuy, św. Piotra i św. Pawła. Zaś parafianie z gminy Chropaczów i z Piaśnik ofiarowali obraz Matki Boskiej z pamiątkową tablicą. Obraz wisi w kruchcie.

Michalskiego. Tomasz na łożu śmierci przyjął pierwszą Komunię świętą. Pod wieczór umarła schorowana, bojaźliwa Morawcowa. Gdy umierała, uśmiech miała na twarzy.

Wrócił w nocy. Pijany. Nie zauważył, że izba pusta, że wymiotła ją śmierć. A potem pil jeszcze więcej. I bluźnił jeszcze głośniej. Ludzie mijali go z daleka i żegnali się, jak przed złym duchem.

Straszna choroba szła od domu do domu. Za nią ksiądz proboszcz i ksiądz wikary z wiatykiem. W dzień i w noc. W dzień i w noc ludzie klęczeli w kościele. Codziennie odprawiano nabożeństwa do Najświętszego Serca Pana Jezusa. A potem, pewnego dnia, cała lipińska parafia poświęciła się Jezusowemu Sercu.

Epidemia wymarła. Ocaleni dziękowali w lipińskim kościele za uratowane życie.

Pewnej nocy kołatka u farskich drzwi zakołatała głośno, niecierpliwie. Ksiądz proboszcz odział się śpiesznie.

— Na szybie Marcina stało się nieszczęście — Szybielok dyszy głośno. Biegł szybko. Włosy skleiły mu się nad czołem — weźcie, księżoszku, wiatyk, szkoda każdej minuty... — Szybielok zapala karbidkę. Płomyk chwieje się na wietrze i niedużym, jasnym kołem wcina się w noc.

— Idziemy... Szybielok, a kogo tam...

— Morawca..

— Wiedziałem...

— Pogruchotało mu żebra i nogi., nie dożyje rana. Widać, zjechał na dół pijany i wpadł pod wózek.

Złożyli go w cechowni przed obrazem św. Barbary. Leży cichy, spokojny, z przymkniętymi oczyma. Trzy karbidki stoją za jego głową, oświetlają chudą, wyostrzoną twarz. Swoboda przykucnął tuż obok. Maca puls. Nagle dostrzega, że powieki rannego podnoszą się ciężko. Morawiec patrzy przytomnie a uporczywie w twarz Swobody. Porusza wargami.

— Księdza... księdza proboszcza... — gorący, przejmujący szept.

W drzwiach cechowni stoi już ks. Michalski z wiatykiem.

Na progu klęczą górnicy. Między nimi siwy, kopalniany dozorca.

— Wielka jest Boża sprawiedliwość, ale Boże miłosierdzie stokroć większe... — roztrzęsiony szept starca wkrada się w twarde serca górników i podnosi je ku Bogu w ufnej modlitwie.

„Gość Niedzielny”, nr 35/1949, s. 3.

JADWIGA BERNHARDT

O basinym tysiączku i weselnym kapeluszu

Kalwaryjski plac zalewa słońce. Nieszporne, jasnozłote słońce. W jego blasku jaśnieją jasnowłose i ciemnowłose głowy dziewcząt i kobiet rozśpiewanych psalmami. Migocą świecidełka na głowach dziewcząt w śląskich strojach, błyszczą krzyże i oznaki na sodalicyjnych sztandarach, złociście mienią się szaty księży. Z lewej strony grzmią trąby, a od ołtarza śpiewają organy. Tysiące dźwięcznych głosów dziewczęcych bije w bezchmurne, wysokie niebo: „O Maryjo, czemu biegniesz w niebo, z jaką spieszysz do Boga potrzebą?”

Janka śpiewa głośno, z ochotą, jakby wcale nie czuła zmęczenia po uciążliwej, pieszej wędrówce. Z lekką wymówką patrzy na starszą siostrę, która usiadła na trawie i przymknęła oczy.

— Basiu! nie śpij! — Janka dotyka ramienia siostry — czemu nie śpiewasz? boli cię głowa? — Basia nie odpowiada. Ale nie śpi. Kłopotliwe myśli kołują w głowie. Basia z tylu zmartwieniami przyszła do Piekar. Zlicza te swoje zmartwienia, bo boi się, że o którymś mogłaby zapomnieć przed ołtarzem Piekarskiej Panienki.

— Za zdrowie mamy i za ojca, aby przestał pić — myśli z natężeniem — to dwie najważniejsze prośby. Potem za młodsze rodzeństwo, aby dobrze uczyło się w szkole. Potem za moją pracę, za biurowe koleżanki, za przełożonych. I za wszystkich krewnych i znajomych. A w końcu, ta najgorętsza prośba... — Basia wzdycha cichutko — o mojego przyszłego męża... aby był dobry, abym go sobie znalazła przy Twojej pomocy, Święta Maryjo... — prawie wszystkie szkolne koleżanki Basi powychodziły już za mąż. A ona ciągłe jeszcze nie ma nikogo. Koleżanki mówią, że jest „przebierna”. Ale to nieprawda. Basia nie patrzy na zewnętrzną urodę i na bogactwo. Basia myśli o takim chłopcu, który byłby całkiem porządny: nie piłby, nie chodziłby za innymi...

— Basiu! obudź się! kazanie jest — niecierpliwi się Janka.

— Nie śpię wcale — usprawiedliwia się Basia. Prostuje ścierpnięte nogi i powstaje z ziemi. Do mikrofonu zbliżył się ksiądz. Basia widzi z daleka jego szczupłą twarz i ciemne włosy. Z głośnika dobiega jasny, rzeczowy głos.

— Jesteśmy wielką diecezją, a nie mamy katedry. Tak być nie może! Śląsk musi mieć wspaniałą katedrę! Ciągłe napływają grosze od śląskiego ludu, od górnika i hutnika, od urzędnika i nauczyciela. Ale ciągle mało tych groszy! Aby pod dach doprowadzić mury katedry, potrzeba nam jeszcze milionów złotych! — zasłuchanej Basi zawirowało lekko w głowie — każdy roboczy dzień przy budowie katedry pochłania wiele tysięcy złotych. Trzeba jeszcze dużo waszych ofiar, i modlitewnych, i pieniężnych, aby powstała piękna katedra Śląska. Niech każdy da, co może... — Basia myśli intensywnie, zasłuchana w słowa księdza.

— Czy ja już coś złożyłam na budowę katedry? — kontroluje siebie ostro — nic, właściwie nic. Nie pamiętam o niej w modlitwie i nie nadszarpnęłam wcale swojej kieszeni. Zarabiam całe szesnaście kawałków i dotąd nic z tego nie poszło na ten cel. Ładna ze mnie katoliczka, ba, sodalistka — strofuje siebie bezwzględnie. Nagle dostrzega kleryka przeciskającego się między rzędami stojących. Kwestuje na katedrę. W dłoniach trzyma kartonowe pudełko, na nim widnieje obrazek budującej się katedry. Kleryk jest już blisko Basi. Dziewczyna przeszukuje gorączkowo torebkę, portmonetkę i kieszenie płaszcza. Nazbierała tylko dwadzieścia złotych.

— Janka, masz coś przy sobie?

— Nie... wydałam na lody.

— Straszne! — policzki Basi płoną ze wstydu. Jest zła, że kupowała lody, pierniki, a teraz ma tylko głupie dwadzieścia złotych. Szybko wciska zmięte banknoty w otwór pudełka. Słyszy „Bóg zapłać” i wydaje jej się w tej chwili, że oszukała Pana Boga. Tak jej wstyd...

Nagle uspokaja się. Naprężone myśli cichną.

— Wiem, co zrobię! To jasne. Przy następnej wypłacie odłożę cały tysiąc na budowę katedry! — Patrzy rozradowana wokoło, uśmiecha się do Janki. Znowu cieszy się słońcem nad kalwaryjskim wzgórzem.

Na zakurzonych ulicach hutniczego miasta rozgościło się rześkie, niegorące popołudnie wrześniowe. Basia wraca z biura. Idzie raźno,

zadowolona. W teczce niesie wypłatę. Myśli o piekarskim kazaniu w dzień Wniebowzięcia, myśli o tym, że da tysiąc złotych na budowę katedry. Już nie będzie się musiała wstydzić za swoją opieszałość! Idzie radosna, dumna ze swego postanowienia.

— A może zataić przed ojcem tę sprawę? mógłby się sprzeciwić — twarz Basi pochmurnieje — może powiem, że potrzebuję na coś innego tych pieniędzy? — Basia zwalnia kroku. Namyśla się, jak wybrnąć. Dobrze zna ojca. — E, powiem. I tak, czy prędzej, czy później dowiedziałby się od mamy, i wtedy dopiero miałabym awanturę!

Do kuchni Nowaków wpada przez białe firanki wrześniowe słońce. Ojciec siedzi pod oknem na ławce i przegląda „Dziennik Zachodni". Mruczy coś pod nosem, nie wypuszczając fajki z ust.

— Mamo, a gdzie dzieci? — Basia usiadła przy stole, przed dymiącym talerzem jarzynowej zupy.

— Janka poszła do spółdzielni, a chłopcy polecieli gdzieś zaraz po obiedzie. Zdaje się, że do ogródka. — Nowakowa odgrzewa przy blasze smażone ziemniaki i kapustę.— A wypłata była? — patrzy pytająco na córkę.

— Owszem. Tu jest. — Basia wyciąga z teczki niebieską kopertę — Mamo, zostawię sobie tysiąc złotych — Basia mówi niepewnie, boi się ojca. Kątem oka spostrzegła, jak podniósł głowę i patrzy na nią badawczo.

— Chciałaś coś kupić? — matka machinalnie otwiera kopertę.

— Nie... chciałam dać ten tysiąc na budowę katedry — Basia wypowiedziała szybko te niebezpieczne wyrazy i czeka na odpowiedź ojca. Boi się podnieść oczy na niego. Patrzy w talerz przed sobą, na kapustę, kartofle.

— W głowie ci się pokręciło?! — stary Nowak podnosi gniewnie głos — kto ci każe dać tyle pieniędzy na tę tam jakąś budowę?

— Nikt mi nie każe. Jeszcze nic nie dałam. Przez ten tysiąc nie zubożejemy wcale — Basia sili się na odwagę, ale żałość sznuruje jej gardło. Wie już, że nic nie wskóra.

— Nie pleć. Potrzebne mi są buty na zimę, a ty chcesz rzucać pieniędzmi, jak jakaś milionerka!

— No, to przynajmniej dam pięćset złotych... — Basia szuka pomocy w oczach matki, ale spostrzega, że matka ma też żałosne spojrzenie, że boi się awantury, o którą z zapalczywym mężem tak łatwo.

— Skończ już. Nie wiedziałem, żeś taka głupia. — Basia wstaje od stołu, żegna się machinalnie i idzie do izby. Zamyka drzwi za sobą. W oczach kręcą się łzy. Spadają duże, nabrzmiałe goryczą na gładkie policzki Basi, na biały kołnierzyk sukienki.

— Potrzebne mu buty na zimę... jakże, mógłby mieć dziesięć par za te pieniądze, które przepił — bolące, gorzkie myśli trują młode serce — co mama ogląda z jego zarobionych na kopalni pieniędzy? figę! Żywi i przyodziewa nas wszystkich głównie za moje pieniądze! Janka nie ma ciepłego płaszcza, mnie potrzeba tyle rzeczy, Andrzej i Piotruś biegają w dziurawych butach, ale ojciec się tym nie przejmuje! Byle miał gorzałę! — łzy lecą ciurkiem z zaczerwienionych oczu. Nagle na mokrej twarzyczce wykwita uśmiech — ale na katedrę jednak dam! — Basia podchodzi szybko do swojej szafki, wygrzebuje spod bielizny płócienną torebkę. Tu są jej całoroczne oszczędności. W jej palcach szeleści banknot. — Nie będę miała na imieniny nowej sukienki — W oczach szybko mignęła wizja ślicznej sukienki w dużą, barwną kratę — ale na katedrę muszę dać!

Na drugi dzień żenił się Jaksik, młodszy kolega Nowaka, który robił z nim razem na dol e. Nowaka zaproszono na wesele. Siedzi teraz za stołem, między biesiadnikami i raczy się sutym obiadem. Niedaleko naprzeciw niego siedzą państwo młodzi i starostowie. Nowak dostrzega, że pan młody cicho a zawzięcie coś omawia z jednym ze starostów.

— Morowego sobie wybrał starostę — zwraca się Nowak do swego sąsiada — to kierownik z biura rachunkowego na naszej kopalni. Dobry chłop i niegłupi.

— Aha, będzie miał przemowę, słuchajcie!

Zamilkły rozmowy przy stole. Wszyscy patrzą ciekawie na inteligentną twarz weselnego starosty.

— W imieniu pary młodej a także w moim własnym imieniu, powiem wam, mili goście, parę słów. To, z czym się do was chcę zwrócić, nie jest wam rzeczą obcą. Bo przecież wszyscy słyszeliście już o tym, że w Katowicach buduje się śląska katedra i że budujemy ją sami, za nasze pieniądze.

Nowak chrząka głośno. Jest mu jakoś niewyraźnie, że ten szef z biura rachunkowego, którego wszyscy na kopalni szanują, mówi o tej sprawie.

— Przypuszczam, że nie znajdzie się między nami taki, który by nie dał ofiary na ten cel. Wiem, że są i tacy, których nic nie obchodzi budowa katedry śląskiej. Ale ci widocznie nie rozumieją, że tu chodzi także o honor katolików — Ślązaków. Nasza dzielnica jest taka bogata! Tyle w niej kopalń, hut i dużych miast! Tyle kościołów. A tylko własnej katedry nie mamy!

Wokół stołu podnosi się gwar.

— Prawdę mówi, to wstyd dla nas, że nie mamy własnej katedry!

— Najwyższy czas, żeby naprawić tę rzecz!

Nowak jeszcze się nie odzywa. Jeszcze słucha. Widoczne jeszcze na jego twarzy niezdecydowanie.

— Dlatego teraz, na prośbę młodej pary, zbierać będą na budowę naszej katedry w Katowicach. — Młody pan podaje swój weselny, nowiutki kapelusz staroście. Nowak widzi, jak wszyscy ochoczo, ze śmiechem rzucają pieniądze.

Nowak sięga do kieszeni. Sięga szybkim, zdecydowanym ruchem.

Nazajutrz była niedziela. U Nowaków siedzą wszyscy przy obiedzie. Stary Nowak jakoś nic nie gada. Aż nagle odzywa się głośno.

— Matka, daj Baśce ten tysiąc. No... na tę katedrę. Jutro dostanę zaliczkę, to znowu będziesz miała do gospodarstwa. — Janka i chłopcy spojrzeli pytająco. Nie wiedzą, o co chodzi. Ale matka ma rozrzewnioną twarz a Basia patrzy na ojca z radosnym uśmiechem.

„Gość Niedzielny”, nr 42/1949, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Gość turyńskiej księżny

— Nie mogłam, pani matko, nie mogłam...

— Co za śmieszne wykręty! Jeszcze gdybyś niemocna była, juścić, pojęłabym, ale w zdrowiu jesteś!

— Nie wykręty to, księżna pani, zrozumcież mój postępek i nie żywcie o to złości ku mnie.

— Nigdyć ja nie zrozumiem twojego postępowania i nigdy, dalibóg, nigdy go nie pochwalę! — Mocna dłoń szarpnęła uzdę. Rumak wspiął się lekko, a potem stanął w miejscu. — Jesteś z rodu królewskiego a zachowujesz się jak jakaś...

— Księżna matko! zaniechajcie! — Elżbieta podjechała blisko, schyla się do dłoni starszej księżnej — zaniechajcie gniewu, Boga nie obrażajcie.

— To gniew sprawiedliwy — oblicze Zofii, matki Ludwika, księcia turyńskiego a małżonka Elżbiety, węgierskiej królewny, ściągnięte jest złością — pomyśleć tylko, jak ty się niegodnie, ubliżająco zachowałaś przy uczcie! Przy tylu zacnych, wysoko urodzonych rycerzach! Nie pokosztowałaś żadnej potrawy, żadnego napoju w usta nie wzięłaś, siedziałaś milcząca i rychło opuściłaś biesiadujących. Czy ty nie rozumiesz, że ich wszystkich obraziłaś?

— Gdybym razem z nimi ucztowała, innego bym obraziła... Krysta Pana... — Elżbieta umilkła. Patrzy gdzieś daleko przed siebie, gdzie w ogniu utonęło słońce. Purpurowy blask zachodu krasi jej lico... — Już dawno, dawno postanowiłam, że nie wezmę w usta niczego, co skalane jest krwawym potem biednych ludzi. Co wyrosło na krzywdzie, na wyzysku. Nasi uciskani poddani pracują od świtu do nocy, i nie mają, co by w usta włożyli, bo wszystko zabiera im książęcy komornik... wszystko krwawo zapracowane dobro pochłania zamek, gdzie ucztuje się bez pamięci... Bez pamięci na Krysta Pana, który umiłował biednych. — Jakiś wewnętrzny żar rozpłomienił twarz Elżbiety, piękną twarz osiemnastoletniej księżnej. Księżna Zofia nie może wzroku oderwać od tej natchnionej postaci.

— Chciałabyś zmienić, sama jedna, prawa uświęcone lat dziesiątkami...

— Nie jestem sama, o nie! — Radosny uśmiech wykwita na ustach Elżbiety a czarne oczy podnoszą się w niebo wschodzące pierwszymi gwiazdami, jakoby szukały śladu Tego, który wspiera wszystkich zmagających się ze złem.

W ciszę wieczoru miarowo uderzają podkowy rumaków. Konie idą stępa, bo droga wiedzie w górę. Na jej szczycie rozsiadł się gród potężny — Wartburg. Służba książęca zdąża za księżnymi. Rozmawiają z cicha, tłumią głośne wybuchy śmiechu, by nie przerywać milczenia szlachetnych pań. Raptem jeden z pacholików odskoczył na bok drogi.

— Patrzcie no! o, tam! Rusza się między krzami!

— Kędy? Nic nie widać!

— Jest, jest! Tam pod tarniną! Nuże, bracia. wypłoszyć rabusia! — Zakotłowało się na wąskiej drodze. Słudzy dopadli krzaków.

— Szymek, zapal łuczywo! Może to zwierz jaki?

Obydwie księżne zatrzymały się. Elżbieta zawróciła ku rozprawiającej gromadce.

— Cóż się stało?— Słudzy rozstąpili się przed nią. Zamilkli. Smolna szczapa jasno oświetla zbitą gromadę: na niektórych twarzach wstręt. Odraza. Przerażenie. Na ziemi leży śmiesznie ze strachu skulony żebrak. Postrzępione łachmany nie okrywają całego ciała. Widać czerwone plamy i duże ropiejące rany. Nieznośny fetor wisi w powietrzu.

— Miły Jezu, toż to trędowaty! — księżna Elżbieta szybko zeskoczyła z konia i podchodzi ku nędzarzowi. Schyla się i w białe szczupłe ramiona bierze nędzny łachman ludzki. Nagle szmata zsunęła się z głowy żebraka.

— O Chryste Panie! — szmer grozy wyrywa się ze zduszonych piersi. Słudzy rozstępują się w popłochu. Spod szmaty wysunęła się nieludzko wielka głowa, z włosem skołtunionym, krwią i ropą zlepionym, z twarzą nabrzmiałą, z jedną wielką raną zamiast ust, nosa i oczu.

Miły Jezu, jakiś ty biedny, Ileś ty wycierpiał! — i piękna twarz księżnej schyla się nisko ku nieszczęśliwemu.

— Co się tak długo ociągacie? — w donośnym głosie księżnej Zofii dźwięczy zdenerwowanie — Elżbieto, noc nadchodzi. Coś tam znowu znalazła? Żebrak?

— Nędzarz lichy, księżna matko.

— To daj jałmużnę i nie marudź.

— Wszak ci go nie mogę na noc zostawiać wśród drogi. Zemrze rychło...

— Nie twoja rzecz. Wracaj.

— Nie mogę...

— To zostań! — okrzyk złości, gniewu. — Słudzy, w drogę! — I pogalopowała gwałtownie w górę. Na ścieżce, wśród ciemnej nocy została Elżbieta z trędowatym. Uklękła przy nędzarzu. Splotła dłonie i żarliwie prosi Boga o siłę, o wytrwanie w czynieniu dobrze — wbrew wszelkim ludzkim przeszkodom. Potem otula trędowatego w swój płaszcz, podnosi go ostrożnie z ziemi i pomaga mu usiąść w wygodne, szerokie siodło. Jedną

ręką przytrzymuje skuloną, chyboczącą się postać a drugą sięga po uzdę i wolno prowadzi rumaka.

Podwórzec grodziska jasno oświetlają pochodnie. Pachołki krzątają się przy koniach, warzą strawę i raz po raz wyglądają ku bramie, zali jeszcze nie wraca księżna Elżbieta. Ten i ów zatroskaną ma twarz i gdyby nie zakaz starszej księżnej, pogalopowałby wraz naprzeciw młodej pani.

— Idzie już! idzie! — rozlegają się nagle wśród czeladzi zduszone okrzyki. Przystają znieruchomieli i rozwartymi oczyma patrzą na księżnę prowadzącą wolno rumaka niosącego nędzarza. Jakaś służebna dziewka przyskoczyła ku Elżbiecie, podjęła ją za nogi.

— Pani miłościwa, zachorzeć gotowiście od tego ciężkiego trudu!

— Nie turbuj się o mnie, dziewko. Około tego biednego trzeba nam się zakrzątnąć. Idź, przyrządź wody ku kąpieli, i maści, i szmaty czyste. — Służebna wbiegła do dworca a księżna Elżbieta zdjęła z kulbaki trędowatego i zaniosła go do owej świetlicy. Tam umyła go, rany jego maściami obłożyła i szmatami lnianymi zawiązała. Potem wzięła go na ręce i zaniosła do bogatej łożnicy, którą razem z mężem dzieliła. Ostrożnie ułożyła nędzarza na miękkim posłaniu i opuściła jedwabne kotary, aby światło ognisk palących się na dworze nie raziło ropiejących oczu.

— Miły Kryste dziękuję ci z serca całego, iżeś dozwolił, abym w tym biednym Ciebie w dom przyjęła — modli się Elżbieta klęcząc u łoża — zwól, miły Jezu, abym cięgiem — w tenci sposób Tobie służyła...

— Jesteś wreszcie? — ode drzwi łożnicy zbliża się księżna Zofia — czemu nie przychodzisz do stołu? wszak nasze potrawy nie są skalane wyzyskiem — lekkie szyderstwo przebija w głosie księżnej — a coś zrobiła z twoim żebrakiem? Musiałaś pogrześć w drodze?

— Nie. Żywie. Tum go złożyła — Elżbieta ręką na łoże wskazuje i z pochyloną głową czeka, co powie surowa pani.

— Kryste! Rozum jej pomieszało! — krzyczy głośno Zofia — chcesz zarazę w dom wprowadzić?! chcesz nas wszystkich podłymi nędzarzami zrobić?! Pamiętaj, skoro tylko książę wróci, wszystko mu rozpowiem!...

Książę Ludwik wrócił przed świtem ze zmęczonym rycerstwem. Posłował, a teraz do małżonki dobrej spieszył.

— Elżbieta w zdrowiu, pani matko? — pyta stojącą w oddrzwiach księżnę Zofię całując jej ręce.

— Nie zdaje mi się — odpowiada księżna powoli a groźnie. — Co do ciała, jest ci ona zdrowa, ale umysł jej się iście popsował.

— Nie może być! Rzeknijcie, co się przydarzyło!

— Chodź, sam obacz, czy człowiek zdrowy na umyśle tako postępuje, jako twoja małżonka. — Zawiodła go do łożnicy. Elżbieta usunęła się od loża, stanęła w cieniu i cicho się modli. — Podnieś zasłonę — mówi księżna Zofia chłodno — a obaczysz. Hej, pachołek, sam tu z łuczywem!

Książę Ludwik chyli się nad pościelą. Ziąb ściska mu serce na myśl o zdradzie, lub innym jakowymś występku umiłowanej żony.

Ujrzawszy trędowatego nędzarza, już miał wybuchnąć gniewem, gdy nagle w wyobraźni jego stanęła postać Zbawiciela ubiczowanego, cierniem ukoronowanego, skrwawionego, i zdało mu się, że słyszy słowa Jego: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili...”

Minęła długa chwila, zanim książę Ludwik podniósł się z klęczek. Dłonią trze czoło i oczy, jakby go drażnił łuczywa blask. Dostrzega w progu stojącą wylękłą księżnę Elżbietę.

— Matko — zwraca się do starszej księżnej cichym głosem — proszę was gorąco, abyście pokutę czynili, bo szatan złość posiał w sercu waszym. — A potem zbliża się książę powoli ku pogrążonej w modlitwie Elżbiecie. Klęka przed nią i ręce całuje we czci wielkiej a uszanowaniu — Elżbieto umiłowana, nabożna moja małżonko — prosi pokornie — sprowadzaj często tak królewskich gości w nasze niegodne progi.

„Gość Niedzielny”, nr 47/1949, s. 2.

❋ ❋ ❋

Rok 1950

JADWIGA BERNHARDT

Sylwester i Konstanty

Zmarł papież Melchiades. Rzymska stolica czekała nowego biskupa. Nie czekała długo. Sylwester, syn starego Rzymu, wziął na swe barki Piotrowe brzemię. A brzemię to nie było lekkie w owych burzliwych czasach, a barki Sylwestra nie były już takie proste i mocne, jak w dniach młodości. Boć siwy włos pokrywa głowę nowego papieża.

Siwy włos rozbłysł złotoczerwienią na pochylonej głowie. Barwna mozaika na ścianach kaplicy odbiła pierwsze słoneczne promienie i obsypała nimi klęczącą postać rzymskiego biskupa. Chuda, ostra twarz tkwi w bezruchu. Tylko zsunięte powieki drżą nerwowo. Tylko czoło szerokie marszczy się coraz więcej pod wichrem wspomnień. Kiedy był młody — nie miał jeszcze wtedy dwudziestu lat — czytał na kamiennych Tablicach Kapitolu edykty Aureliana, które niosły prześladowanie na chrześcijan. A potem, w wieku dojrzałym, ogarnęła go krwawa fala Dioklecjanowego panowania. Sylwester otwiera oczy, podnosi głowę, zda mu się, że jeszcze słyszy uroczyste a potężne psalmy, którymi rozbrzmiewały katakumby w nocne godziny, gdy grzebano ciała męczenników. Te srogie a krwawe lata zahartowały młodego Rzymianina. Sylwester oddał się ciałem i duszą, nauce Chrystusa z Nazaretu.

Ciężka kotara poruszyła się u wejścia. Wysoka, sznurem ściągnięta postać mnicha cicho stąpa ku klęcznikowi papieża. Spod czarnego kaptura patrzą na modlącego się bystre oczy,

— To ty, Wit? — papież nie odwraca głowy, gdy pyta. Powieki znowu opadły na zmęczone oczy.

— Chciałem przypomnieć... dziś ma przyjść cesarz...

— Nie zapomniałem. Wiem o tym. Każ mnie wołać, skoro przyjdzie.

— Świątobliwość Wasza musi przedtem wypocząć... noc spędzona na czuwaniu osłabia ciało, a stąd i ducha — mnich choć pokornie pochylony, przemawia śmiało.

— Noc spędzona na modlitwie rozjaśnia umysł i serce... łaska sił przymnaża... a trzeba mi ich dużo przed tym spotkaniem. Wicie, każ mnie wołać bez zwłoki, gdy przyjdzie.

Sylwester zna Konstantyna. Zna dobrze zuchwałą, nieugiętą postać wodza. Pamięta mądre, lęku nieznające oczy polityka. Gorące słońce paliło ziemię w 306 roku, gdy Konstantyna wybrano Augustem w Eboracum[72].

---

[72] Eboracum – była twierdza i miasto w rzymskiej prowincji Brytania.

Wtedy to objął w posiadanie daleką Brytanię, burzliwą Hiszpanię i Galię, z Litwej wyparł Franków. Niedługo potem pobił Maksymiliana, który był ojcem jego żony, a nie minął nawet rok, gdy zwyciężył Galeriusza, by w końcu rzucić się na Maksencjusza. Krew strumieniami płynęła na Ponte Molle[73] u wrót Rzymu, a ciężkie fale leniwego Tybru zgotowały grób uciekającemu wodzowi i jego żołnierzom.

— Aurelian, Dioklecjan, Konstantyn. — Trzy nazwiska rzymskich cesarzy plączą się w głowie Sylwestra — pamiętam pierwszego, nie zapomnę drugiego, a ten trzeci, ten trzeci chyba nie należy do tego szeregu? — myśli papież. — Jakże mogę łączyć Konstantyna z jego poprzednikami, którzy prześladowali chrześcijan, wszakci on dał rzymskiemu Kościołowi wolność! Czyż nie Konstantynowi ukazał Bóg swe złociste godło krzyża w onej krwawej bitwie na Ponte Molle, czyż nie jemu obiecał: „in hoc signo vinces”[74]? — Słoneczne promienie zniknęły z mozaikowej ściany. Kaplicę zalewa mrok. Jaśnieje tylko blada twarz papieża podniesiona ku Chrystusowi rozpiętemu na krzyżu. — Oświeć mnie łaską swą, Synu Boży, aby umysł mój nie błądził — prosi Sylwester gorąco.

W onej to chwili dwaj młodzi zakonnicy przyszli z oznajmieniem ojca Wita, iż imperator wstąpił w progi pałacu rzymskiego biskupa.

Imperator czekał w paradnej, złotem a marmurem rozbłyskanej sali. Nie był sam. Towarzyszyli mu sławni w wielu bitwach wodzowie. Na ich żołnierskich, zuchwałych twarzach nie było śladu szacunku. Serca ich rozdymała pycha światowa, pycha krwawych, lecz zwycięskich podbojów. Konstantyna pierś zdobiła srebrnodruciana siatka z złocistym znakiem krzyża. Ale pod tą siatką biło serce samowładnego pogańskiego imperatora.

Cesarz odłączył się od grupy swych wodzów. Chciał na osobności porozmawiać z nowym rzymskim biskupem.

Sylwester siedział w dużym, rzeźbionym karle. Prócz mnicha Wita, stojącego u wejścia ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, nikogo nie było w komnacie.

Konstantyn wszedł z żołnierskim pokłonem. Sylwester wskazał mu miejsce sobie naprzeciw. Dobrym, spokojnym wzrokiem ogarnął twarz

---

[73] Most Mulwijski (wł. *Ponte Molle*) – jeden z najstarszych mostów na Tybrze, znajdujący się na północ od Rzymu.

[74] „W tym znaku zwyciężysz”.

cesarza. Nie trwożył się przed rozmową jako wprzódy. Noc spędzona na modlitwie uspokoiła serce i myśl ufnością ku Bogu natchnęła.

— Nasamprzód podziękować chcę tobie, cesarzu, w imieniu całego rzymskiego Kościoła, za wszystkie dobrodziejstwa, któreś chrześcijanom wyświadczył: za wolność Kościoła Świętego, którąś w minionym roku edyktem mediolańskim ustanowił. Za wszelkie immunitety, którymiś klasztory i kościoły od podatków uwolnił. Za jurysdykcję, którąś władzę sądzenia przelał na sługi Boże. Za dary, jakich nie skąpisz przy budowie domów Bożych — zadyszał się starzec i oddechu szerszego zaczerpnął — za wszystko dziękuję tobie, synu, a choć ich wiele już dałeś, jeszcze o więcej prosić cię usiłuję.

— Każdej prośbie rzymskiego biskupa zadosyć chcę uczynić, jeślić ona Bożą chwałę ma na uwadze — jakiś zimny a dumny uśmiech przewija się po twarzy Konstantyna.

— O niczym innym nie myślę, jeno o Bożej chwale, cesarzu, o czci, którą winien ziemski Kościół wiekuistemu Bogu w niebie. — Papież wzrok podniósł ponad głowę Konstantyna, na misternie w kości słoniowej rzeźbiony krzyż Chrystusa. Krótką modlitwą wzywa Boga, by nie opuścił go w tej chwili... — Dlatego zanoszę do ciebie oną prośbę... w imieniu rzymskiego Kościoła i w imieniu Chrystusa: przyjm, cesarzu Konstantynie, chrzest święty a zostań członkiem chrześcijańskiego kościoła, zostań chrześcijaninem...

— Czyliż jestem poganinem? — woła Konstantyn gwałtownie i zrywa się z krzesła — czyż nie ja dałem chrześcijanom wolność? Kto buduje świątynie Chrystusowi z Nazaretu? Kto chroni wyznawców Chrystusa przed napaściami pogan?

— Wybacz, cesarzu, daruj moje otwarte słowa, które troska o twoją duszę ciśnie na moje usta: wszystko to, co czynisz, a czym się chlubisz, to uczynki zewnętrzne, które nie odmieniają Twojego serca. Twoje serce jest pogańskie.

— Powiedz wyraźniej, o czym myślisz, rzymski pasterzu! — na czole głębokie bruzdy zwiastują burzę, a oczy roziskrzone zdają się ciskać pierwsze gromy na bladego starca, który śmie z taką odwagą stawać na niego, wszechwładnego imperatora.

— Myślę o tym, Konstantynie, że niedobrze czynisz, otaczając się pogańskimi kapłanami... wszak wszystkim wiadomo, że perskiemu bożkowi słońca bijesz pokłony...

— Tak, ale czyż nie wszyscy wiedzą o tym, że to ja ustanowiłem dzień święty, niedzielę, i zaprowadziłem publiczne modły do Chrystusa?

— Nie można dwom panom służyć, cesarzu, powiedział Chrystus Pan. I powiedział jeszcze więcej, że pyszny nie wejdzie do Bożego Królestwa, a Tobą pycha włada, gdy pieczętujesz się pieczęcią pogańską, Pontifex Maximus[75] i toż bić nakazujesz na monetach, choć wiesz, że jeden jest kapłan najwyższy na ziemi, Piotra następca na rzymskiej stolicy.

— Uczyniłem to wszystko dla rzymskiego Kościoła, co zdało mi się pożyteczne dla niego.

— Nie o pożytku Kościoła Ty myślałeś, cesarzu, gdyś złączył twoją imperatorską politykę z chrześcijańską religią, ale o umocnieniu twojej ziemskiej potęgi! — Sylwester podnosi ramię, bladą twarz barwi krwisty rumieniec. — Potrzebowałeś naszej chrześcijańskiej religii, bo wyczułeś, iż tkwi w niej potęga, która obróci się przeciw tobie, jeśli z nią nie połączysz losów twego imperium!

— Mowa twa harda i zuchwała, rzymski biskupie, bacz byś nie wypuścił niepotrzebnego słowa przez twe usta... — Konstantyn zbliżył się do świętym gniewem ogarniętego starca, jakby chciał mu nakazać milczenie potężną swą postacią i roziskrzonymi złością oczyma. Powiedz krótko, czego żądasz ode mnie?

— Przyjęcia chrztu świętego, odmienienia życia całego... — Twarz Konstantyna skamieniała w jakimś szatańskim uporze. Dumnym krokiem zbliżył się ku drzwiom.

— Będę o tym pamiętał, rzymski biskupie.

— A ja będę pamiętał w codziennej modlitwie o tobie, synu, będę za cię prosił Chrystusa, aby odmienił twe serce i ku sobie je obrócił.

Mnich Wit podszedł szybko ku świętemu starcowi, którego nagła ogarnęła niemoc.

Niemoc ta, dokuczliwa, starcza, nie odstąpiła już Sylwestra do końca życia. Bóg doświadczał sługę swego. Ostro, boleśnie, bo za lat parę fala

---

[75] Pontifex Maximus (łac. *najwyższy kapłan*; dosłownie: *najwyższy budowniczy mostów*) – najwyższy w hierarchii kapłan w starożytnym Rzymie.

ariańskiej herezji uderzy we wrota świętego Rzymu. A potem inne wieści na kształt ostrych włóczni rozerwą serce rzymskiego biskupa. Konstantyn, za którego modlił się w długie noce, za którego ofiarował wszystkie trudy, nie myślał wcale o chrzcie. Nadal przelewał niewinną krew goniąc za sławą wszechwładnego imperatora: Licyniusza pobił pod Adrianopolem i Chalce-donem, i mimo, że mu swym słowem cesarskim wolność zabezpieczył, ściąć go kazał siepaczom. Nie dość na tym, targnął się i na życie syna, Krispusa i żony swej, Fausty. Wszystkie te groźne wieści docierały do uszu starca, który niemocą złożony modlił się uparcie za nawrócenie Konstantyna.

A Bóg go doświadczał, Bóg zwlekał, długo, długo zwlekał, bo Sylwester umierał, a Konstantyna, który nad Dunajem zwycięsko bił Gotów, jeszcze nie tknęła łaska chrztu.

Ale święty starzec umierał z wiarą, że Bóg o modłach jego i trudach zapomnieć nie może, choćby i krwawe uczynki Konstantyna miary nie miały. Bo miłosierdzie Boże trwa wiecznie.

W dwa lata później Konstantyn przygotowywał wielką wojnę przeciw królowi perskiemu, Szapurowi II, gdy śmierć powaliła go znagła na łoże. Zanim jednak jego dumne serce bić przestało, obmyła je woda chrztu świętego, bo uparte modlitwy Sylwestra zobowiązały wszechmogącego Boga.

„Gość Niedzielny”, nr 1/1950, s. 2.

JADWIGA BERNHARDT

Ofiara Godulan

— Starko, będziemy mieli nowy kościół!

— Wielki kościół, cały z cegły i z wielką wieżą!

— Ksiądz proboszcz tak powiadali na kozaniu! — dzieci wpadły z hałasem do izby, a teraz krzyczy jedno przez drugie. Przez rozwarte drzwi chłodem powiało na skuloną przy piecu starą kobietę. Nieporadnie poprawiła wilczą skórę na pokręconych przez reumatyzm nogach i bystrymi, mądrymi oczyma zmierzyła hałaśliwą gromadkę.

— Niech tam który drzwi zawrze, bo ciągnie! — rozkazuje głośno — i przestańcie zaraz larmować, bo ogłuchna jeszcze bardziej! Maryjka przyłóż do pieca, bo przegasło. Jeszczeście nigdy tak długo nie siedzieli w niedziela w kościele...

— To skirz tego, starko, że nam farorz o tym nowym kościele...

— Czekej, Antek, czekej, wszystko po porządku. Najprzód mi powiedzcie jaka była święta ewangelia. — Stara Woźniakowa wodzi mądrymi oczyma po strapionych twarzyczkach wnuków. Tylko udaje surowość, bo i ją poderwała nowina o nowym długo wyczekiwanym kościele. — No, Maryjka tyś też zapomniała? Ale z wos wyrosną katoliki... a ty, Karliczku, tyż nie pamiętosz?

— Starko, dziś ksiądz proboszcz mieli całe kozanie o kościele i może zapomnieli przeczytać świętą ewangelię...

— Widzicie go! jaki mądrala! czekej, ino ojciec przyjdą, zaroz im rozpowiem, coś ty za jeden — starka grozi skrzywionym palcem najmłodszemu wnukowi, ale w fałdach jej pomarszczonej twarzy kryje się uśmiech.

— No jak nie pamiętocie świętej ewangelii, to powiedzcie o tym nowym kościele. Nie wszyscy naroz! Ty, Antek.

— Ksiądz proboszcz mówili, że w kaplicy w naszej szkole nie zmieszczą się już wszyscy ludzie, że muszą stać na dworze i nic nie mają ze mszy świętej i z kozanio.

— Święto prowda — potakuje stara Woźniakowa. — No dalej!

— Potem mówili o tym, że z pogrzebami trzeba tak daleko chodzić, aż do Bytomia. I że nojlepiej będzie, jak Godulanie będą mieli swój kościół na miejscu. Już na drugi tydzień będą kładli fundamenta.

— A cały kościół bydzie kosztowoł 71 tysięcy talarów! — krzyczy Maryjka.

— Nie, bo 71 tysięcy i pół — poprawia Antek siostrę. — Ojciec, Wawrzyn Kuczera, Matejczyk i inksi pośli zaroz po sumie do księdza

proboszcza na narada. Aha, i ojciec dali skozać, starko, że nie będą z nami obiadować. Przyjdą nieskoro.

— A o nieboszczyku Karolu Goduli nic nie było na kozaniu?

— Było, starko było! — cieszy się Maryjka — to samiućko, co wyście nam opowiadali — że choć był taki brzydki, no bo mu wtedy te rabusie w lesie kości połamali, to jednak bardzo ludziom przoł, wszystkim biednym pomogoł, ino nie pijokom, i chcioł, by wszyscy byli dobrymi Polokami i katolikami i dlatego nakozoł w testamencie, aby w Goduli wybudowano wielki kościół.

— No, dość-eście sobie spamiętali, ale żeby skirz nowego kościoła o świętej ewangelii zabaczyć...

W niskiej izbie aż cima od fajkowego dymu. Przez małe okienko zagląda pochmurny, zadeszczony dzień. Stara Woźniakowa pokaszluje przy piecu i troskliwie opatula się w chusty i skóry, bo w taki zadeszczony dzień ledwo — ledwo może wytrzymać na swe chore nogi. Maryjka skrobie ziemniaki na wieczerzę, a Antek i Karlik przysiedli nad starym kalendarzem. Nie czytają jednak, tylko ciekawie przysłuchują się rozmowie starszych przy stole.

— Co tu dużo godać, jakoś się nom nie szczęści przy budowie kościoła — Matejczyk grubymi, krótkimi palcami przebiera po stole — nie szczęści się i kwita.

— Na to trzeba coś poradzić.. — Woźniak pyka fajkę w ciężkim zamyśleniu — może nie momy Bożego błogosławieństwa przy całej tej budowie...?

— Już bezmała rok murujemy — odzywa się Józef Pawlik, krewniak nauczyciela — już mur zewnątrz na meter stoi nad ziemią, i teraz trzeba wszystko zaczynać od nowa, bo kościół będzie za mały.

— Nic to, tylko ten budowniczy, Linke, źle wykonoł wszystkie plany — Matejczyk uderza pięścią o stół.

— Nie ma co zwalać winy na budowniczego — mityguje go Woźniak — ale trzeba nom coś uradzić, aby kościół stanął rychło wielki i mocny.

— Powiem wom, słuchejcie, co trzeba zrobić — wszyscy odwrócili głowy w stronę starej Woźniakowej i wpatrzyli się ciekawie w jej świecące oczy — pamiętom dobrze co mówili świętobliwy ksiądz Fiecek u piekarskiej Panny Maryi na kozaniu. Dobrze pamiętom — starka trzęsie pomarszczoną

głową — jak powiadali, że wszystko zło na świecie, wszystkie nieszczęścia idą z pijaństwa, że zły duch nojbardziej przez gorzołka rządzi duszami ludzkimi. Bo człowiek w pijaństwie zdolny jest do wszystkich grzechów głównych. I świętobliwy ksiądz Fiecek mówili, że kto chce uprosić jaknojwięcej Bożego błogosławieństwa, ten musi się wyprzeć pijaństwa — zakaszlała się stara Woźniakowa, a chłopi przy stole ciężko się nad czymś zafrasowali.

— Chm, to i nom trzeba się wyrzec pijaństwa — odezwał się w końcu z głośnym sapnięciem Matejczyk.

— Dobrzeście powiedzieli — Woźniak poderwał się z ławy — wyrzekniemy się! Jak długo będziemy nasz kościół budować, tak długo nie weźmiemy do gęby ani kropli piwska, ani gorzołki! Ani kropli!

— Ale czy nom się udo? — Pawlik ciągle szarpie wąsy i Antek myśli, że już —już mu się oderwą, jak się to stało w tym roku św. Mikołajowi na szkolnym przedstawieniu.

— Musi się udać! — Woźniak głośnym uderzeniem w stół pieczętuje swoje słowa.

— Jutro na budowie wszystkim oznajmimy nasze postanowienie, a potem pójdziemy z tym do księdza proboszcza! Wyrzekniemy się grzesznego trunku. Pan Bóg nom za to pobłogosławi, i kościół migiem stanie!

Głośna radość zapanowała w ciasnej izbie. Za oknem był już ciemny, zimny wieczór, tylko czerwone płomienie od paleniska rozświetlają rozradowane twarze.

Karliczek nie rozumiał dobrze ważności postanowienia dorosłych: tylko raz w życiu skosztował potajemnie gorzałki i jeszcze teraz krzywi się z obrzydzenia.

— Z Kandziorą, z Nowokiem, z Pawłem Cygonem, no i z Kuczerą, to tam ciężko nie będzie — rozważa Matejczyk głośno — bo mają rozum w głowie i pamiętają dobrze słowa naszego księdza Szafranka z Bytomia: chcesz być dobrym Polakiem i katolikiem, nie chodź do karczmy. Ale gorzej będzie z takim Gruszczykiem, z Warzechą...

— Warzecha nie jest taki zły, i sóm nie ciągnie do karczmy, jeśli go tam ktoś inny nie wciągnie. A Gruszczyk, chm, Gruszczyk, kto by go tam nie znoł... przepija wszystko, do grosza, ale może jak obejrzy, że żoden z nos nie pije, to tyż się jakoś spamięto. Zajrzę tam do niego zaroz, teroz wieczór,

wyłożę mu wszystko dokumentnie, aby nom jutro na budowie chłopów nie podburzył.

Woźniak wdział szybko kabot, nacisnął czapkę na uszy, krzyknął na Antka, aby chlewiki pozamykał i wyszedł z kamratami w zadeszczoną ciemność.

Na ławie przy piecu stara Woźniakowa, bardzo rada sobie, mamrotała koronkę w intencji kościelnych murarzy.

- -

Wszyscy robotnicy zatrudnieni przy budowie godulskiego kościoła ślubowali, że nie wezmą do ust kropli wódki ni piwa, póki kościół nie stanie gotowy[76]. Od ślubowania nie wycofał się nawet Paweł Gruszczyk choć ci, co go znali, wiedzieli, że zrobił to tylko ze wstydu przed drugimi, a ni e z własnego silnego przekonania. Mury rosły teraz jak na drożdżach. Na budowie było wesoło, robotnicy pokrzykiwali radośnie dumni z swojego postanowienia. W całej okolicy, w Chebziu, w Orzegowie, w Lipinach mówiono o tym ślubowaniu Godulan. Mówiono z wielkim uznaniem, boć wszystkim było wiadomo, że to wcale nie fraszka, nie wziąć przy chrzcinach, lub weselu kieliszka do ust.

Antek Woźniak poleciał kiedyś przed nocą do karczmy bo brakło spirytusu na rozcieranie starczynych nóg. Gdy wrócił, zamiast iść spać, kręcił się jeszcze niespokojnie po izbie. Starka wodziła za nim przenikliwym okiem. Nogi jej silnie dokuczały, spać nie mogła. Czuła, że Antka coś gniecie.

— Starko, nie wiem, czy mom ojcu powiedzieć... — chłopak przyskoczył do babki, oczy mu świeciły, - że tam w karczmie... — zawahał się. Słoma w kącie, gdzie Woźniak leżał, zaszeleściła głośno.

— Idź, powiedz... ojciec nie śpi jeszcze. A radę, to ci on zawsze znajdzie, bo rozumny a bogobojny. — Antek zbliżył się do legowiska ojca. Zaraz zmiarkował, że ojciec wszystko słyszał, bo patrzył na niego bardzo surowo.

— Kogoś widział w karczmie? — Woźniak dźwignął się na łokciu — Gruszczyka?

— Echm, Gruszczyka ii... tylko on mi zakazywał, bym wom nic nie padoł...

---

[76] Według kroniki Goduli.

— I kogo jeszcze? Warzechę?

— Warzechę.. on się strasznie zląkł, jak mnie poznoł, i groził, i przykazywał, abych go ino nie przezdradził...

— Nie nowina mi o tych dwu zdrajcach. No, idź już spać. A starce pomogło smarowanie?

— Już drzemią. — Antek poszedł do swego kąta. Położył się koło Karliczka i wlepił oczy w gasnący żar na kominie. I długo jeszcze słyszał jak ojciec stękał i przewracał się z boku na bok. A babcyna koronka długo jeszcze szeleściła w ciemnej izbie...

Nazajutrz poszedł Woźniak na budowę z mocnym postanowieniem: musi się rozmówić z Gruszczykiem. Już od paru tygodni przebąkiwali robotnicy o tym, że Gruszczyk pije po staremu, że się wcale z tym nie kryje, że Warzechę zaciąga do karczmy, a z tych, co nie piją, drwiny sobie stroi. Gorzej, bo do uszu Woźniaka doszły nawet takie słowa: „Jak jeden może, to my też". Woźniak wiedział, że zły przykład działa i że szatan jest o wiele mądrzejszy, niż się ludziom zdaje.

— Paweł, słuchaj, chca z toba pogodać — podszedł do Gruszczyka. Dojrzał z bliska jego przekrwione i mętne oczy. Dojrzał wystające kości policzkowe a pod nimi głębokie dziury — Wiesz dobrze, o co mi idzie. Chca ci powiedzieć, żebyś przestoł pić. Jak inni umieją wytrzymać, to ty też musisz...

— Ale nie chca — Gruszczyk roześmiał się drwiąco, głupawo.

— Te, przestoń! — Woźniak zacisnął pięści a potem splunął na ziemię. — Nikt się ciebie nie pyto, czy chcesz, czy nie chcesz. Wszyscy my ślubowali że nie weźmiemy gorzoły do gęby, tyś tyż ślubowoł! to musimy dotrzymać! Nie rób sobie, ani nom gańby, rozumiesz? I pamiętej: Pan Bóg nie do z siebie długo błazna robić!

— Nie groźcie mi Panem Bogiem, dobrze wiem, co robia!

— Psinco wiesz! Głupiś! Bieda u ciebie w doma drzwiami i oknami wygląda! Nie mom ci więcej nic do powiedzenia.

Nadeszły pierwsze przymrozki i pierwsze wieści o wojnie Niemców z Francuzami. Na budowie godulskiego kościoła przebąkiwano, że tylko patrzeć, a do Lipin, Orzegowa, Bytomia nadejdą powołania do wojska. Spieszono z robotą. Dnie były suche, mroźne. Robotnicy wykańczali już

strzeliste gotyckie okna i zabierali się do łuków sklepienia. Smukła wieża poczęła się wspinać w szare, zimowe niebo.

— Aż uciecha patrzeć, jak nom sporo idzie robota! — Woźniak zaciera zmarznięte ręce — opłaciło się nom nasze ślubowanie.

— Jakoś opłaciło się nom, ino inkszym to się nie opłaciło! A możno jeszcze nie wiecie? — Pawlik wodzi po zaciekawionych twarzach — co? nie wiecie, że Gruszczyk i Warze... — przerwał. Z dołu, gdzie przesiewano piasek i ciosano belki podniósł się hałas, krzyki i śmiechy.

— Patrzcie! Patrzcie! Widzicie ich?! — robotnicy, co stali wysoko na rusztowaniach, spojrzeli na drogę, gdzie się robiło wielkie zbiegowisko.

— Maryjo, dyć to te dwa chacha... Gruszczyk i Warzecha!

— Przyszła kreska na Matyska!

— Ano, mają czego chcieli! Nie zdało im się po trzeźwemu z nami murować, to bydom teraz koniom ogony pucować!

Drogą ku Bytomiu maszerowali ciężko tobołami obładowani dwaj godulscy poborowi. Mieli opuszczone głowy i zwarzone miny. Leciały za nimi prześmiechy i kpiny. Leciała za nimi wesoła piosenka murarzy godulskiego kościoła.

Parafianie godulscy odnowili w ostatnich dwu latach z podziwu godną ofiarnością gruntownie swój kościół. Wnętrze przyozdobili polichromią piękną, naprawili dachy, pokryli wieże blachą cynkową.

„Gość Niedzielny”, nr 6/1950, s. 2 – 3.

❋ ❋ ❋

Ludzie idą „na stacje”

Droga do kościoła wiedzie koło starego cmentarza. O tym czasie jest rozmiękła, ugina się pod stopami, tu i ówdzie chlupocze błotem. A pod cmentarnym murem leży jeszcze śnieg, śnieg wielkopostny. Żałosny, bezbarwny, szary, jakby posypany popiołem popielcowej środy.

Tę przycmentarną drogą idzie się w maju, w promieniach zachodzącego słońca na majowe nabożeństwa. Przemierza się ją w wietrzne październikowe wieczory z szeleszczącym różańcem w kieszeni.

Biegnie się nią w chłodne, mroźne ranki na roraty a nieco później, w zaśnieżoną noc spieszy się do żłóbka, by kolędować Nowonarodzonemu. Potem, zawsze zbyt szybko, zawsze nieoczekiwanie, zaczyna się Wielki Post. Płatki mokrego śniegu wirują w powietrzu a wiatr szarpie nagimi gałęziami drzew, gdy o wieczornej porze rozdzwonią się nad domami dzwony wołające na Drogę Krzyżową.

Dzwonią tak inaczej, niż zwykle. Na majowe nabożeństwa wzywają z weselem, dźwięczy w nich pieśń Maryjna chwaląca Panią nieba i ziemi. W pieśni dzwonów wołających na pasterkę jest radosna a skoczna nuta kolęd i pastorałek. Sercami dzwonów wielkopostnych, targa boleść. Gdy się rozkołyszą, by wezwać wszystkich na Drogę Krzyżową, dźwięczy w nich żałosna skarga: Ach — mój — Jezu — jak — ty — klęczysz —

Ludzie idą „na stacje".

Przycmentarna droga wiodąca do kościoła zaroiła się. Dzieci wyprzedzają starszych, rozmawiają głośno, śmieją się. Dzieci są zawsze takie same. Z tym samym zapałem śpiewają „Chwalcie łąki", „Pośpieszcie pastuszki" jak i „Wisi na krzyżu".

Ludzie wchodzą do kościoła, niosą swe trudy i kłopoty i przyklękają z nimi przed stacjami Męki Pańskiej.

„Zastanów się, o człowiecze, na chwilkę małą", śpiewa kościół, a krzyż w ręku ministranta płynie nad głowami dzieci, by przystanąć przy pierwszej stacji.

„Mękę Pańską rozważać, za grzechy łzy wylewać", śpiewają ludzie, a myśl ich udręczona troskami miesza się z żałością nad upadkami grzechowymi.

Ludzie śpiewając idą Drogą Krzyżową. Od stacji do stacji niosą swe troski i żale. W obliczu Bolesnej Matki, w obliczu Szymona Cyrenejczyka, w obliczu Weroniki świętej i niewiast płaczących, w obliczu Chrystusowych upadków i męki na krzyżu i pogrzebu, myślą o swoich zmartwieniach, o swoich upadkach i niedociągnięciach i kajają się w sobie. Bo wielkopostna pieśń, pieśń Drogi Krzyżowej, jeśli nie zamknie się przed nią dusza i serce, wdziera się głęboko i porusza sumienie.

Każe zamilknąć troskom, aby serce wzniesione do krzyża rozpamiętywało Jego boleść i naszą złość, która tę boleść ciągle na nowo stwarza.

Pieśń Krzyżowej Drogi, wzywa do pokuty, za niezliczone uchybienia nasze i drugich.

Musimy przejść czternaście stacji Krzyżowej Drogi, jeśli pragniemy dojść do stacji piętnastej, radosnej.

Jadwiga Bernhardt

„Gość Niedzielny", nr 12/1950, s. 2.

JADWIGA BERNHARDT

Spętany Bóg

Cisza panowała w całym domu. Głucha cisza. — Czyżby już sen zmorzył Mistrza i uczni Jego? — myśli Marek, ostrożnie otwierając drzwi wieczernika. Duża sala była pusta, jasne światło księżyca oświetlało jej wnętrze, ławy, w wzorzyste dywany zasłane, oraz stół długi, na którym lśniły kielichy i misy.

— Już ich nie ma... ale dokąd poszli? Młodzieńcze rysy mroczy smutek, ręce opadają z rezygnacją na lnianą szatę — ach — on tak spieszył, bo wiedział, że Mistrz z Nazaretu tu paschę spożywać będzie — a teraz już Go nie ma. Już dzisiaj nie posłyszy słodkiej nauki Jezusa, którą tak chciwie piło jego młode serce.

Wtem wypogodziła się zasępiona twarz, oko zabłysło i głos drgający radością zabrzmiał w pustej sali.

— Już wiem, dokąd poszli! Na modlitwę do Getsemani! Wszak tam jest Jego ulubione miejsce!

Tedy nie ociągając się dłużej opuszcza dom i wymarłymi uliczkami bieży w tamtą stronę, kędy na niebie ciemny szczyt Syjonu się wznosi.

W pewnej chwili przystaje strwożony; z głębi mrocznej bramy zbliża się ku niemu jakaś postać, szczelnie w płaszcz otulona, co tam zdała się stać na czatach, i przyciszony ostry głos dobiega go.

— Marku, cóż cię prowadzi o tej późnej porze za miasto?

— Judasz! To ty? Przeraziłeś mnie. — Zaraz zbliża się młodzieniec do tego, w którym rozpoznał Jezusowego ucznia. Atoli nowy strach

odmalował mu się na twarzy, gdy dostrzegł zmienione oblicze Judasza, sine, o oczach zapadłych, gorączką płonących.

— Judaszu, co ty tu robisz? czemu nie jesteś razem z twoim Mistrzem?

Na dźwięk tego imienia skurcz przeleciał po judaszowej twarzy i wyrył na niej piętno grzechu. To była twarz zdrajcy.

Marek nie może znieść dłużej jej widoku i odwracając głowę biegnie ku bramom miasta. Tu dopiero oddycha swobodnej, ale ta twarz, ta twarz grzechu, męczy jego umysł.

— Nigdy, nigdy nie popaść w niewolę zła. — ślubuje gorące serce młodzieńca.

Droga przed nim wije się jasnym pasmem w srebrnej poświacie księżyca. Nie trudno mu dostrzec grupę ludzi, co wolno kroczą brzegami Cedronu. — To oni.

Marek przyspiesza kroku, już jest blisko nich — niedostrzeżony — już rozróżnia poszczególne postacie, Mistrza na przedzie, za Nim Jana, Jakuba, Piotra i innych. Już słyszy poszczególne, urwane słowa. To Piotra głos, podniesiony i gorączkowy:

— „Chociażby wszyscy zgorszyli się z Ciebie, ja się nie zgorszę”. — A Jezus, który z niewymowną dobrocią na niego spogląda i z tą samą dobrocią obejmuje wzrokiem żywo gestykulującą gromadkę, która woła, że jest gotowa na wszystko, mówi spokojnie:

— „Zaprawdę powiadam ci, że ty dziś, tej nocy, zanim kur dwakroć zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz”.

Lecz Piotr obstaje przy swoim:

— „Choćby mi trzeba było i umrzeć z Tobą, nie zaprę się Ciebie”. — Zaś wszyscy inni wtórują mu gorliwie.

Marek bezwiednie przyłączył się do tych głosów. I on chce pozostać wiernym Jezusowi z Nazaretu, jakkolwiek się stanie, on, Marek, który nawet nie jest Jego uczniem... w tej chwili myśl młodzieńca wraca do Judasza, do jego grzechem napiętnowanej twarzy. — Nie, ten już nie wróci w uczniów orszak czcigodny, ten nie! czy on, Marek, nie mógłby zająć jego miejsca?

Dreszcz wzruszenia przebiega młodą posłać, świętym zapałem płoną młode oczy. Tak, on pójdzie do Mistrza, zaraz gdy tylko wkroczą do ogrodu, i przedstawi Mu swoją prośbę. Wszak Jezus nie odpycha nikogo, wszak On taki dobry.

Wąską kładką przechodzą na drugą stronę potoku; już tylko kilkanaście kroków dzieli ich od podnóża Góry Oliwnej, na której stokach rozłożył się folwark Getsemani. Dosięgnąwszy go, przystają. Marek ukryty w cieniu drzew widzi, jak Jezus odwraca się do uczniów, słyszy, jak do nich przemawia:

— „Siedźcie tu, a ja pójdę tam i będę się modlił. Módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie".

Potem zaś kieruje się w głąb ogrodu — nie sam, ale z Piotrem, Jakubem i Janem.

Pozostali poukładali się na murawie, lecz miast oczy wznieść z prośbą gorącą do Ojca w niebiesiech, by raczył odwrócić pokuszenie, posnęli głęboko.

Marek przechodzi mimo śpiących, a serce kurczy mu się boleśnie gwoli całkowitego osamotnienia Jezusa, bo i ci trzej wybrani zasnęli. Tęsknie spogląda w tamtą stronę, kędy On poszedł, kędy On ukląkł do modlitwy — i zawraca powoli. Dziś już nie będzie mówił z Mistrzem.

Kieruje się powoli ku miastu. Naraz przystaje zdumiony. Jego oko dostrzegło niesamowity pochód, co sunął z bramy Jerozolimy cicho i złowrogo jak wąż, który upatrzył ofiarę i czai się, by ją pochłonąć.

Srebrne światło księżyca blednie przy krwawej łunie zapalonych pochodni, oblewającej upiornie mroczne twarze żołnierstwa i nienawiścią napiętnowane oblicza faryzeuszów, kapłanów i miejskiej tłuszczy. Suną ku Górze Oliwnej.

Pod Markiem nogi się ugięły, strach dech mu zaparł, bo wzrok dostrzegł to straszne oblicze, ohydą grzechu napiętnowane — Judasz prowadził ten tłum.

Marek chciałby biec ku śpiącym w Getsemani, chciałby ich ostrzec przed zbliżającą się hordą, chciałby razem z nimi bronić Mistrza, ale strach ogromny trzyma go na uwięzi.

Zbrojna rzesza minęła Marka, już może bezpiecznie wracać do miasta, atoli nogi niosą go w przeciwną stronę, z powrotem na Górę Oliwną!

Idzie niewolny, kryjąc się za każdym pniem, a wargi strachem mu dygocą. Wtem usłyszał Boskie słowa:

„Jam Jest".

A potem ujrzał Boga.

Stał wyniosły i piękny na gwiaździstym tle nieba a pod N im czerniła się bojaźnią wielką powalona zgraja.

Z czoła Mu biła Boska moc, ale oczy z niezmiernym współczuciem ogarniały ten zaślepiony nienawiścią tłum, który rzucił miecz i kij, pochodnie gorejącą, i w ziemskim prochu szukał schronienia.

Marek ukrył twarz w dłoniach i upadł na kolana, by uczcić Boga. Jego strach zamienił się w radość przeogromną, że oto On pokazał swoje mocne ramię, że wypowiedział Boskie słowo, które zdruzgotało pychę kapłanów i siłę rzymskiego żołnierza.

Szczęsny Marek, bo ujrzał Boga w Swej potędze!

Nie wiedział, że gdy głowę podniesie, ujrzy spętanego Boga...

Żelazny łańcuch gniecie Mu szyję i ramiona, powrozem związane są ręce, nogi obciążone kajdanami — Spętany Bóg.

Spętana szyja Najdobrotliwszego, którą miłośnie otaczały ramiona dzieci.

Spętane ręce Najczystszego, które leczyły każdy ból.

Spętane nogi Najświętszego, które nieznużenie wędrowały od sioła do sioła.

Naprzeciw spętanego Boga stanęła zgraja tryumfującego szatana, klnąc i złorzecząc.

Marek nie zniósł tego widoku, uciekł jako i inni.

Ale wnet znowu powrócił. Silne przywiązanie do Mistrza kazało mu iść z daleka śladami spętanego Boga. A gdy zgraja spostrzegła młodzieńca, rzuciła się na niego, by go pojmać, „lecz on rzuciwszy suknię, uciekł od nich".

„Gość Niedzielny", nr 13/1950, s. 4.

J. BERNHARDT

Feralna trzynastka

Liczby i symbole liczb odgrywają w życiu wszystkich ludów magiczną rolę. Liczby nie tylko poświęcano bogom, ale nawet czczono je jako samodzielne bóstwa. Pogańska Wenus znana była jako „Bogini 15", a babi-

lońskiego boga słońca, Sina, nazywano „Bogiem 30”. Liczba 4 poświęcona była słońcu; z tym to zabobonem, który był w ścisłym związku z ubós-twianiem słońca, walczyli Ojcowie Kościoła. Wielu ludzi przypuszcza, że liczby zawierają jakąś tajemniczą, czarodziejską moc. I rzeczywiście jest coś zdumiewającego a niesamowitego w dokładności liczb, które niby zębate koło jakiejś maszyny wdzierają się w życie ludzi i w życie przyrody.

Sfinks egipski i egipskie piramidy nie służyły wyłącznie kultowi zmarłych, ale przede wszystkim w swym rozkładzie i wymiarach były obliczenia nadające kierunek zdarzeniom w świecie. Opierając się na wymiarach starożytnych świątyń meksykańskich podobnych piramidom, podzielili kapłani słońca cały rok na 18 miesięcy po 20 dni, włączając w ten podział 5 dni feralnych, nieszczęśliwych.

Tak jak czczono, złe i dobre bóstwa, tak też wierzono w złe i dobre liczby. Szczególnie 13 uważano za wybitnie nieszczęśliwą liczbę. Lęk przed tę liczbą jest zgoła niesamowity. Nie brak na to przykładów. W pewnym mieście z powodu wielkich uroczystości zgromadziły się tłumy ludzi. Wszystkie hotele, gospody i pensjonaty zajęte. Pan Konstanty gonił za jakimś pomieszczeniem od domu do domu. Wszędzie słyszał tę samą odpowiedź; „wszystkie miejsca zajęte”. W końcu skierował się do „Monopolu” słynącego z komfortu i ze słonych cen. — „Czy jest jeszcze jakiś wolny pokój? Wezmę także trzynastkę, to obojętnie”. Portier w złocistej liberii popatrzył zdumiony na pytającego: „Trzynastki nie ma w naszym hotelu. Pokój nr 13 stałby zawszy pusty, nikt z gości nie zechciałby w nim zamieszkać”.

Inny przykład: W teatrze siedzi młodziutka panienka śledząc z zapartym oddechem i błyszczącymi oczyma wypadki toczące się na scenie. W czasie przerwy spostrzega nagle, że jej krzesło oznaczone jest cyfrą 13. Podnosi się momentalnie i bardzo wyraźnie przestraszona i zdenerwowana usuwa się z rzędu. Mimo, że światła gasną a orkiestra rozpoczyna uwerturę do II aktu, panienka opuszcza teatr myśląc ze zgrozą o swym pechowym miejscu i oczekując w niedalekiej przyszłości smutnych następstw tego zdarzenia.

To się dzieje w XX stuleciu!

Wiara w fatalne, nieszczęście przynoszące liczby i daty należy do pradawnej tradycji, należy do skarbnicy ludowych wierzeń i zabobonów. W niejednym z dużych miast znajdują się ulice, na których 13 numer zastą-

piono liczbą 12a. Również nader rzadko spotyka się tramwaje oznaczone trzynastką, (z wyjątkiem 13 kursującej na trasie Katowice — Siemianowice!) Nie brak natomiast ludzi, którzy raczej wolą pieszo pędzić, choćby nawet w deszczu, niż jechać wehikułem oznaczonym tą niesympatyczną cyfrą. Zazwyczaj nikt nie chce nr telefonu 13, albo też skrytki pocztowej z tą numeracją. W gronie 13 gości nikt chętnie nie zasiada. Bo któż o tym nie wie, że z tego grona trzynasty z rzędu musi koniecznie umrzeć w ciągu następnego roku?! Kupcy nie cieszą się wcale całodziennym zarobkiem, jeśli on przypadkiem w sumie przynosi 13. Nie ma takich ludzi, którzyby spokojnie odprawiali wesela w trzynastym dniu miesiąca, lub też trzynastego udawali się w podróż. W samochodwym sporcie trzynastka w ogóle nie znajduje uznania. Szoferzy stronią przed nią, nie chcą tego numeru na tabliczce wozu, którym kierują. W Ameryce przy wyścigach nie pojawia się na starcie żadna trzynastka po prostu dlatego, że jest całkowicie wyłączona z przyjętej numeracji.

Kiedy 13. 7. 1931 roku berliński Donatbank cieszący się wielką sławą zbankrutował, to na wszystkich ustach była złowieszcza cyfra 13, a wszystkie dzienniki na pierwszych stronicach w dużych rozmiarach drukowały tą nieszczęście przynoszącą liczbę. A jedno z czasopism umieściło nawet artykuł, w którym wskazywało na to, że w tej tragicznej dacie nie tylko z przodu znajduje się trzynastka. ale i z tyłu, choć odwrócona.

Czemu akurat „13” przypadła taka smutna, kopciuszkowata rola w niezmierzonym morzu liczb? Jaki to straszliwy zabobon, że bezdusznej liczbie przypisuje się niesamowitą moc wpływającą decydująco na losy człowieka! Na szczęście nie brak ludzi, którzy feralną „13” w ogóle się nie przejmują i drwią sobie zdrowo z tego zabobonu, żyją spokojnie i szczęśliwie. Przez życie sławnego kompozytora niemieckiego, Richarda Wagnera, jak czerwona nitka przewijała się „złowieszcza” trzynastka. Już jego nazwisko składa się z trzynastu liter. Rok urodzenia, to rok 1813, a data śmierci, to 13 lutego 1883 roku, W dniu 13 września ukończył Wagner swe wielkie dzieło, operę „Fliegender Holländer”, zaś prapremiera „Tannhäuser” odbyła się 13 marca 1861 r. Podobnie inne jego opery, „Pierścień Nibelungów” oraz „Parsival” ujrzały scenę w trzynastym dniu miesiąca, przynosząc kompozytorowi ogromną sławę. Węgierskiego geniusza, Liszta, poznał Wagner 13 września 1839 r. W kilkanaście lat później, 13 października 1856 r. odwiedził go Liszt w Szwajcarii, gdzie niemiecki

kompozytor przepędził 13 lat na wygnaniu. Z żoną swą żył Wagner przez 13 lat, a liczba dzieł, które stworzył wynosi — 13. Tak tedy przez życie tego człowieka opromienionego sławą przewija się bezustannie trzynastka, przynosząca rzekomo nieszczęście.

Kto wierzy w feralność trzynastki, kto odczuwa lęk przed tą liczbą, ten z czasem z własnej winy znajdzie się w chorobliwym stanie: jego lęk zamieni się w hypnozę, a hypnoza zawładnie nim tak dalece, że gdyby nawet zdarzyło się jakieś nieszczęście wypływające li tylko z jego własnej głupoty, on zawsze będzie je przypisywał magicznej sile „13".

Cała ta mistyka liczb, to zabobon, który stara się włożyć w bezduszne cyfry to, czego w nich wcale nie ma: życie. Zabobon chce ożywić martwe, abstrakcyjne znaki, chce, by światły rozum ludzki ukorzył się przed nimi.

Ta dziecięca wprost zabawa liczbami, a szczególniej trzynastką, ma swój początek w astrologicznych badaniach i obliczeniach, którymi słynęła przede wszystkim Babilonia. I tak na przykład siódemka była liczbą świętą, która dzięki swemu związkowi z planetami zasłynęła w całym ówczesnym świecie. Wszystkie większe gwiazdozbiory składają się z siedmiu gwiazd, np. mała i duża Niedźwiedzica, Orion i Plijady. Siedem wielkich, jasno świecących znajduje się na Drodze Mlecznej.

Feralność siódemki nosi późniejszą datę. Początkowo „7" oznaczała ład i doskonałość w przeciwieństwie do nieszczęśliwej „13". Także „12" była cyfrą szczęśliwą, żądaną. Z dwunastu miesięcy składa się cały rok, dwanaście jest symboli świecących przez które rzekomo słońce odbywa swą całoroczną wędrówkę, dwanaście lat potrzebuje planeta Jupiter na swą podróż. Tak więc „12" to cyfra jasna i harmonijna.

Nie trudno zgadnąć, że astrologia przyczyniła się ogromnie do rozszerzenia mistyki liczb. Astrologia również zgotowała tak smutną sławę „13". I sława ta trwa już od przeszło czterech tysięcy lat. Wkradła się ona i w nasz oświecony wiek i pokutuje zarówno między wykształconymi, jak i między prostymi ludźmi, jako jeden z bardzo popularnych zabobonów.

„Gość Niedzielny", nr 34/1950, s. 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Młodość Malleolusa

„Nie jest uczeń nad mistrza, ani sługa nad pana swego. Dosyć uczniowi, aby był, jako mistrz jego, a słudze, jako pan jego...". Lektor czyta powoli. Powoli i równo wypowiada każde słowo, jak uczeń, co na lekcji do trudnej wywołany został odpowiedzi. — „Jeśli gospodarza Belzebubem nazwali, jakoż daleko więcej domowników jego? Nie bójcież się ich tedy: albowiem nie jest nic skrytego, coby odkryte być nie miało, ani tajemnego, czegoby wiedzieć nie miano. Co wam w ciemności mówię, powiadajcie na świetle..." — Lektor przerwał nagle. Spojrzał trochę nieprzytomnie znad żółtych kart księgi, przetarł ręką załzawione oko — „...powiadajcie na świetle..." — zamruczał do siebie ostatnie słowa ustępu, a potem, jak gdyby sobie coś przypomniał, huknął głośno: „światła! światła więcej! Pospaliście się, czy co? Niech tam który doleje oliwy do lamp!"

Porwało się dwóch od stołu wywracając w pośpiechu dębową ławę. Głośny łoskot odbił się echem w sklepionej sali głusząc tu i ówdzie wybuchający śmiech. Ale lektor dosłyszał go i ostro spojrzał po młodych twarzach. Przybrały już znowu wyraz powagi i godności należny stanowi, do jakiego się młodzież owa gotowała.

Lampki podsycone świeżym paliwem oświetliły jasno całe wnętrze: kilkunastu młodych siedzących na stołkach i ławach wokoło stołu, oraz nauczyciela, co siwiejącą głowę pochylił nad grubą księgą Pisma Świętego. Z gotyckich luków sklepienia spoglądały na siedzących surowe twarze świętych migocące złoceniami ich szat. Pod ścianami sali stały wysokie pulpity a na nich leżały farby i pędzle, księgi i zwoje pergaminów.

„Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą, ale raczej bójcie się tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła". — Młodzieńcze oczy wiszą na ustach nauczyciela. Młodzieńcze serca z zapałem wchłaniają prawdę podawaną przez najwyższego Nauczyciela. Nikt też nie dosłyszał lekkiego skrzypienia drzwi, nikt nie spostrzega dostojnej postaci wysokiego męża stojącego w progu.

„Izali dwóch wróbli za pieniądz nie sprzedają, a jeden z nich nie upadnie na ziemię bez Ojca waszego? A wasze włosy wszystkie na głowie są policzone. Nie bójcie się tedy, lepsiście wy, niźli wiele wróbli" — przerwał nauczyciel i spojrzał wokoło po twarzach swych uczniów. Zatrzymał się na jednej twarzy, w której płonęły czarne oczy nad dużym wystającym nosem.

— Malleolus[77] powiedz, jak rozumiesz o tych wróblach?

Podniósł się wysoki chłopak z płonącymi oczyma. Czarne, obfite włosy odgarnął od czoła. Wzrok nieznajomego stojącego w drzwiach zawisł oczekująco na twarzy wywołanego młodzieńca.

— Mistrzu, myślę, że nasz dobry Bóg, który wie o wróblach sprzedawanych za pieniądz i bez którego wiedzy żaden z tych wróbli nie może upaść na ziemię, wie także o nas, o grzesznych ludziach i pamięta o naszym każdym kroku i o każdej naszej myśli.

Chłopak skończył i popatrzył wyczekująco na nauczyciela. Usta nieznajomego w progu rozjaśniał radosny uśmiech dumy.

— A teraz jeszcze powiedz — nauczyciel patrzy w dalszym ciągu surowo — skąd się wzięło imię księcia szatanów — Belzebub? — Tomasz Malleolus milczy chwilę. Jego myśl pracuje z natężeniem pod wysokim wypukłym czołem. Wreszcie sobie przypomniał, już wie.

— Imię Belzebub, znaczy pan much. Jest to nazwa boga Filistynów. Żydzi zaś z pogardy nazwę tę nadali księciu szatanów, bo chcieli...

Tomasz przerwał. Poczuł na sobie czyjś mocny wzrok. Spojrzał ku drzwiom, gdzie światło lampek nie docierało. Ale młode oczy w lot rozpoznały szlachetną postać nieznajomego. — Mistrzu — Tomasz z radosną twarzą pochylił się ku zaskoczonemu jego zachowaniem się nauczycielowi. — Mistrzu, mamy wielkiego gościa. Szlachetny Florentius Radewijns z Deventer...— Przerwały mu radosne okrzyki młodzieńców. Wszyscy wzorem nauczyciela poszli witać niespodziewanego, a wielkiego gościa.

Szanowali i kochali tego świętego i mądrego wielce męża. Był przecie ich pierwszym nauczycielem w szkole w Deventer przez długich sześć lat. Potem, po ukończeniu szkoły, założył dla nich zrzeszenie „Braci Wspólnego Życia" i przyjaciela swego, uczonego Gerarda Groota dał im za mistrza. Sam poszedł do Rzymu, gdzie rady jego i nauki czekali dostojni kardynałowie, a teraz oto nagle powrócił, powrócił do swoich uczniów.

Surowe twarze świętych z gotyckich sklepień patrzą wyrozumiale na głośną radość młodzieńców. Widzą, jak wszyscy ciasnym kołem otoczyli Florentiusa. Jeden Tomasz Malleolus przystanął z boku, w cieniu, bo wstyd

---

[77] Istotne nazwisko Tomasza a Kempis brzmiało: Hemmerken, a po łacinie Malleolus („młotek").

mu łez, które jakby na złość, ciągle na nowo zasłaniają płomień czarnych oczu.

Florentius zasiada za stołem. Udaje, że nie dostrzega Tomasza ukrytego w cieniu, ale w istocie dawno dostrzegł i przeniknął wzruszenie swego ukochanego ucznia.

— Jest takim, jakim go opuściłem przed laty — myśli z ulgą — ta sama gorąca, płomienna, do wzruszenia skora dusza na rozcież rozwarta przed Bogiem a chłonąca z zapałem Boże nauki. Trzeba ten młodzieńczy, na wsze strony buchający płomień uchwycić w karby skierować do jednego celu, trzeba Tomaszowi twardszej szkoły...

Noc z tysiącami gwiazd otoczyła śpiące miasteczko. Wąskimi uliczkami Kempsa idzie wolno dwóch ludzi, a nocne echo ich kroków sunie tuż, tuż za nimi. Jeden z nich tylko mówi, spokojnie i rozkazująco, drugi słucha z lekko pochyloną głową.

— Mówiłem z Twoim bratem, Janem. Wiesz już, Tomaszu, że mianowano go przeorem. Za moją radą chce cię przyjąć do klasztoru. Znam cię od dawna Tomszu. Masz duszę gorącą, namiętną. Trzeba jej cugli nałożyć... — rozumiesz mnie?

— Rozumiem, mistrzu. I zrobię to, czego ode mnie wymagasz, choć mi żal porzucać grono kolegów... i ciebie nauczycielu...

Tomasz Malleolus przemierza Holandię, swą rodzinną ziemię, od Kempen do Zwolle. Już z daleka widzi cel swej wędrówki. Chłodne, czerwone słońce zachodzi przecie za tę górę. Za tę górę św. Agnieszki, na której błyszczy krzyż klasztoru Kanoników Regularnych Reguły św. Augustyna. Tam jego starszy brat, Jan jest przeorem. A obok rozsiadło się duże miasto Zwolle. Tomasz zatrzymał się. Ciekawymi oczyma osiemnastoletniego chłopca patrzy na liczne maszty stojących w porcie statków i łodzi. Rzeka jest w tym miejscu tak szeroka, że trudno dostrzec jej drugie brzegi. Po ciemniejącej zachodem wodzie płyną białe żagle. Tomasza oczy więcej pociąga miasto, port i płynące statki, niż cichy klasztor na górze.

Nagle jego uszu dobiegło dalekie dzwonienie. Chłopak spoważniał, odwrócił wzrok od hałaśliwej dzielnicy portowej i nabożnie klęknął wśród drogi.

— Angelus Domini...

Ave Maria... — żarliwym szeptem popłynęły słowa pozdrowienia anielskiego.

Słońce zaszło. Tomasz przyspieszył kroku.

— Gdybym wziął osła, jak mi radzili koledzy — myśli wędrowiec — byłbym już u klasztornej furty. Ale brat mógłby być z tego niezadowolony, a tak ujmę go swą pokorną, pieszą wędrówką. — I Tomasz, aby nie myśleć o opuszczonych towarzyszach, począł się pocieszać marzeniami o cichym klasztorze, gdzie w białym habicie będzie spacerował w ogrodzie, czytał księgi w klasztornej bibliotece i malował złociste inicjały w nabożnych foliałach. A potem, może po dwóch trzech latach — Tomasz myśli o tym i z wielkim drżeniem wzruszonego serca — stanie u ołtarza, by sprawować najświętszą ofiarę.

Choć noc była późna, gdy Tomasz zapukał do bramy klasztoru, przeor czekał na wędrowca. W ogromnym refektarzu, ciemnym zupełnie bo oświetlonym jedną tylko lampką, nagły chłód ścisnął serce młodzieńca. Żal za opuszczonym życiem zapukał w to serce i napełnił je przeczuciem przyszłych ciężkich dni i lat. Tylko myśl o nauczycielu, o Florentiusu Radewijns, pokrzepiała strwożonego.

— Czekałem cię wcześniej — chłodny głos starszego brata jeszcze bardziej trwoży Tomasza — dlaczego przychodzisz dopiero dzisiaj?

— Odbywałem tę drogę pieszo — wyznaje Tomasz nieśmiało i nieśmiało oczekuje słowa pochwały.

— To było bardzo nieroztropnie z twej strony — słowa nieoczekiwanej nagany bolą mocno — trzeba było nająć osła i zjawić się tu o dwa dni wcześniej, silnym i wypoczętym, bo takim cię potrzebujemy — Tomasz spuszcza głowę. Żarliwie tłumi w sobie głos buntu, że nie takiego oczekiwał powitania, on, brat i on, Tomasz Malleolus — Hammerken, najlepszy uczeń wielkiego Florentiusa Radewijns. Nisko opuszcza głowę.

— Wielebny ojciec wybaczy mi ten nieroztropny krok. — Wielki wysiłek duszy ciemnym rumieńcem odbił się na twarzy młodzieńca. Ale przeor go nie dostrzega, bo nie patrzy na stojącego przed nim młodszego brata. Gdyby nań spojrzał, musiałby go przytulić do serca i nie umiałby opanować łez, które mocno powstrzymywane pieką powieki. Przecie wziął tego brata tu, do klasztoru, na ostrą próbę, na twarde życie, które z namiętnej a nieopanowanej duszy młodzieńca wyrzeźbić ma charakter mocny, nieugięty,

— Wybaczam ci, Tomaszu — przeor opanował wzruszenie, co dławiło boleśnie gardło. — Idź do kuchni, tam czeka cię posiłek. Potem wypocznij, boś zdrożony, a jutro musisz stanąć silny do pracy... — przeor przerwał niepewnie. Odczuł zdziwiony i pytający wzrok Tomasza. Ale nie mógł nie dokończyć, więc z wielkim przymusem wewnętrznym powiedział bardzo głośno i dobitnie: — Jutro staniesz do pracy przy budowie naszego nowego kościoła. Będziesz murarzem tak długo, aż ja i twój nauczyciel Florentius, uznamy, że jesteś godny szaty zakonnika, a później może i szaty kapłana. Odejdź na spoczynek.

Gdy za Tomaszem zamknęły się drzwi, przeor z ciężkim westchnieniem opadł na ławę. Wytarł chustą spoconą twarz i kark.

— Pot leje się ze mnie, jakbym pracował w upale na budowie — rzekł do siebie. — Tak, tak — pokiwał żałośnie głową — najcięższy wysiłek czeka człowieka wtedy, gdy chce iść wbrew własnemu sercu. A ja tak dziś zrobiłem. Przyjąłem mojego drogiego, młodszego braciszka surowo na surowe życie. Bo tak chce jego nauczyciel, Florentius, bo dobrze Tomasza zna i chce z niego zrobić prawdziwego męża. Boże, pomagaj Tomaszowi — westchnął przeor nabożnie i znużona głowa opadła mu na piersi. Niedługo głośny oddech śpiącego napełnił ciemną salę refektarza.

Przez sześć długich lat Tomasz z Kempen pracował jako murarz przy budowie kościoła na Górze św. Agnieszki, koło Zwolle. Przez sześć długich lat palce nawykłe do pędzelka i zwojów pergaminowych trzymały kielnię i chwytały ostre, chropawe kamienie. To były lata ciężkiej próby, gdy duszę gwałtownego młodzieńca dręczyły pokusy i zwątpienia. Nie raz myślał o ucieczce do Deventor, do kolegów zgromadzonych w gotyckiej sali, słuchających i objaśniających Pismo święte i pisma ojców Kościoła. Ale myśl o nauczycielu, o winnym mu posłuszeństwie, wracały Tomaszowi równowagę. Pochylał się znowu spokojnie nad zaprawą murarską, nie zważając na upał południa i chłód wieczora. Pokusy i zwątpienia odchodziły, a ich miejsce zajmowało światło Mądrości Bożej budząc w Tomaszu piękne i mądre myśli, które kiedyś, po latach, ksiądz Tomasz a Kempis ujmie w słowa proste najcudniejszej na świecie książeczki: „Naśladowanie Jezusa Chrystusa”.

„Gość Niedzielny”, nr 44/1950, s. 4 – 5.

JADWIGA BERNHARDT

I rosły serca pokrzepione pieśnią...

Krysia przebudziła się nagle. Podniosła głowę, szeroko otworzyła senne, nieprzytomne oczy. Wpatrzyła się w nieprzeniknioną ciemność dużej izby.

— Co to było? — myśli z wysiłkiem — czy mi się coś przyśniło?
Raptem usłyszała z dołu półgłośny śpiew: „Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem....” a potem już ciszej, niewyraźnie: ...„Wesołą nowinę”...

Krysia uśmiechnęła się w ciemności.

— Natalka znowu śpiewa przez sen!

— Z dołu dobiegło ją teraz głośne trzeszczenie słomy. Krysia przechyliła się przez poręcz łóżka. Łóżka były wysokie, piętrowe. Dojrzała pod sobą na bieli poduszki ciemnią, niewyraźną plamę. To głowa Natalki. Natalka spała na „parterze”, bo ciężko jej było wywindować na „piętro” swą pokaźną postać

— Natalka, śpisz? — pyta Krysia głośnym szeptem. — Z dołu odpowiedziało jej niechętne mruknięcie a potem głośne chrapanie.

Krysia położyła się znowu. Wysoko pod brodę podciągnęła kolana i szczelnie owinęła się w kołdrę. W izbie było zimne, ostre powietrze. W ciemności blado iskrzyły się okna zamarzniętą szybą. Chwilami ciszę zbyt napełnionej głośnym oddechem śpiących dziewcząt przerywał przenikliwy sygnał samochodowej trąbki. A potem, nad ranem, słychać było dzwonienie i dudnienie pędzących wozów tramwajowych.

Na zgorzeleckim ratuszu bije zegar.

— Raz, dwa, trzy, cztery — liczy Krysia i mocniej zaciska powieki, ale sen nie nadchodzi. W głowę wdarły się te cztery słowa, „Dzisiaj w Betlejem wesoła nowina”, i spać nie dają.

Bo dzisiaj jest wigilia. Krysia nie dostała świątecznego urlopu. Natalka też nie. Ani Jagusia. Właściwie z ich sali pojechała na święta do domu tylko Franka z Nowego Targu i Emilka z Lipin. A na sali drugiej w ogóle nikt nie dostał urlopu.

Krysia wzdycha ciężko. Pod zaciśniętymi powiekami jawi się izba w domu. Matka uwija się przy kołaczach. Najwyższy czas, aby je zanieść do

Sosny, bo potem gotów nie przyjąć. I trzeba by było pędzić z blachami do tego piekarza na Kościelnej, gdzie zawsze jest wielki ścisk. Wojtuś miele mak. Aż sapie z wysiłku. A Baśka kroi bułkę w równe kostki na makówki. Nagle — Krysia widzi wszystko wyraźnie pod zamkniętą powieką — otwierają się drzwi, i Jędrek, który jest ministrantem, krzyczy od progu, że stajenka w kościele już jest gotowa. I Baśka i Wojtuś porywają się, by lecieć obejrzeć stajenkę. Ale matka nie pozwala.

— Krysia! Krysia! wstawaj! — Krysia zrywa się, przeciera oczy, momentalnie znika obraz radosnej, wigilijnej izby. Natalka stoi już ubrana. W słabo oświetlonej izbie gwar krzątających się dziewcząt.

— Która godzina?

— Za dwadzieścia szósta!

— Oszalałaś?! — Krysia jednym skokiem jest na podłodze. — Czemuś mnie prędzej nie zbudziła?

— Zapomniałam. Zresztą nie jestem Twoim budzikiem. — Któreś z dziewcząt parsknęło śmiechem.

— Przestań, Natalka! — Krysia jest już zła.

— Proszę bardzo. — Natalka kroi chleb i smaruje go marmeladą. — Tylko mi jeszcze powiedz, ile chcesz kromek chleba.

— Dwie.

— Poza tym nie masz prawa się złościć, bo dziś jest wigilia, i będziesz cały rok...

— Wiem, że dziś wigilia — przerywa jej Krysia sznurując buty — boś ty już w nocy kolędowała!

— Co ty pleciesz?! — Natalka ma taką śmieszną minę, a przy tym na brodzie pomazała się marmeladą, że Krysia wybucha śmiechem i zapomina o złości.

Gdy Krysia stemplowała kartę, zegar fabryczny wskazywał minutę po szóstej. Na dole, w magazynie, czekały już na nią dwa wózki naładowane długimi i krótkimi klockami. Zajrzała do drugiego ganka. Na szynach stały też dwie „lory”[78] z deskami.

— Aha, Władka widocznie zaspała — mruczy Krysia szukając oczyma towarzyszki. Nagle posłyszała czyjeś tłumione łkanie. Rozejrzała się, dojrzała za stosem belek jasny czubek Władczynej głowy.

---

[78] Lora – odkryta platforma kolejowa.

— Władka? czemu płaczesz? — wdrapała się na belki, zeskoczyła i usiadła przy skulonej, trzęsącej się dziewczynce. — No, powiedz, co się stało?

Odpowiedziało jej jeszcze rzewniejsze łkanie. Otoczyła więc ramieniem zapłakaną Władkę i gładziła lekko jej mokrą od łez twarzyczkę.

— No, już cicho, uspokój się, no, Władka. Powiedz, co ci jest?

— Widzisz, dziś wigilia... — Władka łka głośno a łzy toczą się po jej okrągłej buzi — a ja nie jestem w domu... Tak bym chciała pojechać do domu... o Boże, Boże...

— Cicho Władziu, cicho. Patrz, przecież ja też nie pojechałam do domu. Ani Natalka. A z sali drugiej nikt nie pojechał. Widzisz, nie jesteś sama w swojej biedzie, jest nas tak dużo. A każda chętnie poleciałaby na skrzydłach do domu

Trudno jest uspokoić Władzię. Ma zaledwie czternaście lat i dopiero od miesiąca pracuje w „Wumag". Przyjechała na roboty przymusowe do Görlitz transportem z Warszawy. A na dobitkę dowiedziała się skądś, że jej ojca Niemcy zamknęli w Oświęcimiu i teraz ciągle płacze.

— Zbieraj się, Władka, pomogę ci zładować twoje wózki, bo majster zaraz będzie. No, chodź! Krysia pociągnęła Władzię za sobą, otarła jej zapłakaną twarz i poczęła zsuwać deski na kamienną podłogę ganku.

— Ty, Władziu, układaj deski według numerów na półkach. — Krysia pracuje szybko. Chce zagłuszyć myśli nurtujące duszę. Bo jeszcze gotowa rozbeczeć się, jak Władzia. Też coś! Przecież ta okropna wojna porozrzucała tysiące ludzi po całym świecie. Nie ona sama jest dziś, w ten najcudniejszy dzień w roku, poza domem. Myśli Krysi biegną daleko daleko na Wschód, gdzie w śniegu, z karabinem zimnym w dłoni, Karlik odprawia swą wigilię. I jego miejsce będzie dziś puste, przy wigilijnym stole. A matka przy pasterce popłacze się, że dwoje jej najstarszych dzieci wojna rozegnała po świecie.

— Guten Morgen, Madls![79] — Majster Witting stoi z boku i patrzy dobrotliwie na swe młode pracownice. Wygląda jak święty Mikołaj z siwą brodą z siwymi wąsami i z siwą czupryną. Dziewczęta go lubią. Lubią go zresztą wszyscy cudzoziemcy w „Holzabteilung"[80], bo jeszcze nikomu nie

---

[79] Dzień dobry, dziewczyny.

[80] Wydział drzewny.

wyrządził krzywdy. Ani tym, co noszą „P” na kitlu, ani Czechom, ani Francuzom, ani rosyjskim jeńcom. Stary Witting co niedzieli idzie ze swą małą, przygarbioną, żoną do kościoła na sumę, a tam Frau Meisterin[81] płacze, bo jej syn jedynak zginął na wojnie.

— Na, Madls, heut ha'm wir Weihnachten[82].

— Władzia przytakuje głową, choć nic nie rozumie. Krysia jej potem wszystko tłumaczy. — Ich hab euch etwas mitgebracht[83] — i stary majster, jak prawdziwy święty Mikołaj, wyciąga z kieszeni pokaźną torbę oglądając się przy tym ostrożnie — gebt auch etwas davon der kleinem Jagusza, die dort oben, bei der Bohrmaschine arbeitet[84].

— Po odejściu Wittinga Krysia wysypuje zawartość torebki. W wilgotnym ganku magazynu zapachniało jabłkami i piernikami.

- -

Siwy mrok wisiał nad Zgorzelcem, gdy dziewczęta wracały z fabryki. Duża izba, licho oświetlona, zapchana wysokimi pryczami, była dziś jeszcze bardziej ponura, niż kiedyindziej. Krysia usiadła ciężko na łóżku. Teraz, to już się naprawdę rozbeczy. Już nic nie pomoże. Widziała przed chwilką, jak w oświetlonym oknie dzieci krzątały się przy choince. I ktoś grał na fortepianie kolędę „Cicha noc, święta noc”. — Krysia opiera głowę na splecionych dłoniach. Łzy kapią przez palce na buty, na podłogę. Przeraźliwy smutek ściska serce.

— Krzyśka, wstydź się! — Natalki głos jest strofujący i szorstki, ale jej ręka, co głaszcze dłonie Krysi jest dobra i ciepła. — Patrz jak pięknie śnieg pada! Chodź, ubierz się, wyjdziemy trochę na pole!

— Zabieram się zaraz z wami! — i Jagusia z Kuźnic otula się szybko w swą baranią kurtkę.

Ulice miasta wymarły. Dziewczęta idą powoli trzymając się za ręce. Idą w kierunku dworca, bo tam, niedaleko, wspina się pod granatowe niebo czarna wieża gotyckiego kościoła. Natalka i Krysia chodzą zawsze do tego kościoła, bo on przypomina im Śląsk, taki sam kościół jest w Piekarach na

---

81 Pani majstrowa.

82 Cóż, dziewczyny, dziś mamy Święta.

83 Przyniosłem wam coś.

84 Dajcie niektóre z nich małej Jagusi, która pracuje tam przy wiertarce.

kalwarii, w Mysłowicach, w Chorzowie, w Szopienicach i w wielu innych śląskich miastach.

W kościele jest mrok. Dziewczęta klękają w bocznej nawie, gdzie dwie lampki płoną przed stajenką. Teraz, przed małym Dzieciątkiem w sianku, to i Natalka nie może łez powstrzymać.

— Dzieciąteczko — modli się Krysia żarliwie — dziękuję Ci za to żeś i tu się narodziło, w tym obcym mieście, że z nami, wygnańcami, dzielisz wygnańczą dolę. — Potem oczy Krysi oswojone z mrokiem rozglądają się po kościele. Tu i tam ktoś klęczy. Tam, w kątku, to na pewno Władzia. Bo aż się trzęsie od płaczu. A tam dalej, to Józek, który jeździ kranem i Andrzej z „Maschinenabteilung”[85]. Zaś obok ławki stoi Czech Široky z Czeszką Pawluczką, co pracuje przy tej samej maszynie, gdzie Jagusia.

Nagle — Krysia aż się poderwała — myśl radosna strzeliła w jej głowie.

— Natalka, słuchaj, słuchaj Natalka! — radość plącze jej słowa — zaśpiewajmy kolędę, zaśpiewajmy nasze kolędy! Patrz, tam jest Józek i Andrzej, tam Władzia, śpiewajmy! — Natalka mruga powiekami, nie zaraz pojmuje, aż w końcu wykrztusiła z radością:

— Śpiewajmy!

— Krysia podbiegła do robotników, potem poszeptała z Władzią, potem mówiła coś z Czechami, a potem pod strop kościoła popłynęły słowa kolędy „Wśród nocnej ciszy...”

Zrazu wzruszenie sznurowało gardło ale po chwili już równo i radośnie niosła się pieśń przez pusty kościół. Nikt już nie pamiętał o tym, że jest daleko poza rodzinnym domem, wśród obcych. Kolęda wygnała smutek z serc. Serca biły radośnie pełne wiary, że oto narodził się Bóg w stajence, że oto narodził się tak samo jak tam, w rodzinnym miasteczku w śląskich kościołach, w krakowskich, w warszawskich, i w kościołach całego świata.

Żywiołową radością, rzewną tęsknotą i serdecznym umiłowaniem rozśpiewały się polskie kolędy. A mury kościelne, co znały tylko niemieckie pieśni, zdumiewały się nad czarem tych melodii.

Tylko Dzieciąteczko w żłobie nie było zdziwione, bo ono dobrze znało polską ziemię, polskie tułacze dzieci i cudne polskie kolędy.

---

[85] Wydział maszynowy.

A polskim dziewczątkom serca rosły z przejęcia i z dumy, że urządziły sobie same taką „pasterkę — niespodziankę”.

„Gość Niedzielny”, nr 49/1950, s. 5 – 6.

Rok 1951

JADWIGA BERNHARDT

Spór o świeczkę

Ciemność nocy wisiała nad zawadzką hutą. Ligoń przeszedł bramę czapkę nacisnął mocno na uszy, postawił kołnierz kurtki, bo ziąb go brał. Wiatr od północy niósł ze sobą zimne i mokre powietrze. Pod nogami chlupotało błoto. Ligoń stąpał ciężko w wielkim zamyśleniu.

Pani Teresa Ligoniowa usiadła przy żelaznym piecyku na stołeczku i zdrzemnęła się. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy posłyszała kroki męża w sionce. Poderwała się szybko, pogrzebała w przygasłym żarze i nałożyła drewek. Zapaliły się wnet z suchym trzaskiem rzucając na ciemną izbę rozedrgane, czerwone blaski. Na blachę postawiła pani Teresa garnuszek z kawą i rondelek z ziemniakami okraszonymi skąpo słoniną.

— Pochwalony Jezus Chrystus — Ligoń wszedł boso do izby, bo zdjął buty w sionce, by nie zabłocić wyszorowanych dylin[86]. — Dzieci już śpią?

— Janka co dopiero przegnałam, uparł się, by czekać na ciebie.

— A cóż to siedzisz tak po ciemku? Nie ma świecy?

— Jest tyle, ile wczoraj zostawiłeś — pani Teresa mówi niechętnie, lekka złość przebija przez jej głos — o, tu masz. Tyle zostało. — Na glinianym lichtarzyku sterczy maciupeńki ogarek.

— Czemuś nie kupiła nowej świecy? — Ligoń patrzy z żalem na żonę

— Czemu? Bo mnie się pieniądze nie kocą! — wybuchnęła pani Ligoniowa z złością i z żalem — codziennie kupować trzeba świecę, a tu ani

[86] Dyliny – podłoga.

na omastę nie stanie! Janek nie ma butów, mnie trzeba chustki, a tu ciągle i ciągle trzeba kupować takie drogie świece, bo ty musisz po całych nocach coś pisać i czytać! Skaranie Boskie z takim chłopem! Żebyś przynajmniej coś zarobił tym swoim pisaniem, ale te twoje wiersze mi wyciągają grosz z chałupy! Od dziś nie będę już dla ciebie świec kupowała, ani sobie tego po cichu nie myśl! — I pani Teresa otwarła ze złością drzwi z drugiej izby, gdzie spały dzieci i zatrzasnęła je z hukiem za sobą.

Ligoń usiadł na stołeczku przy piecu i zaczął powoli jeść ziemniaki zapijając je kawą. W głowie huczały mu słowa żony. Już nieraz wymawiała mu te świece, ale jeszcze ani raz nie wybuchnęła z taką złością, jak dzisiaj, akurat dzisiaj chciał pisać. Już ma w głowie cały wiersz, tylko go jeszcze wygładzić, rymy uzgodnić, rytm skontrolować i gotowe.

Ligoń podniósł się energicznie. Odsunął pustą miskę, pogrzebał w piecu, dołożył drewek. Na kuchnię buchnął blask.

— Jest dość jasno. Widzę. A dziś muszę jeszcze spisać ten wierszyk! — powiedział z uporem i wyjął z dużej, malowanej skrzyni papier i ołówek. Naostrzył go porządnie i usiadł ponownie pod piecem. Głowę wsparł na ręku. Wiersz, który mu się plątał w myśli, który czuł sercem, trzeba było teraz wyrwać z siebie kawałami i przelać na papier. A to było ciężko, to nieraz wyciskało pot na twarde kowalowe czoło.

Drzwi z drugiej izby skrzypnęły. Do kuchni wsunął się mały, dziesięcioletni chłopak i podskoczył szybko i radośnie do zamyślonego Ligonia. Był tylko w kusej, pomiętej koszulce.

— Tato! czekałem, aż przyjdziecie!

— Co?! Janek! Ty jeszcze nie śpisz? — wystraszył się Ligoń.

— Zbudziłem się, jak mama przezywali. Teraz już śpią i dlatego wylazłem z łóżka.

— Ale już jest nieskoro, co tu będziesz marzł?

— Tato...

— No?

— Czemu siedzisz tak po ciemku?

— Bo nie ma świecy.

— Jest

— Kaj?

— Mama kupili, ale schowali.

— Co? Kaj?

— Na ramie! — Janek wdrapał się szybko na stół, sięgnął za porcelanowy dzbanek na kuchennej ramie i wydobył sporą świecę. Z triumfującym uśmiechem podał ją ojcu. Ligoń zawahał się chwilkę. Lecz potem spojrzał na ołówek, na czystą kartkę papieru, na przygasły ogień w piecu — i wziął świecę z rąk chłopca. Zapalił ją, postawił na stole i uśmiechnął się porozumiewawczo do syna.

— Tylko teraz siedź cicho — pogroził mu palcem — aby się mama nie zbudziła, bo ta by nam dopiero pokazała!

Janek przykucnął pod piecem i zapatrzył się w ojca. A kowal tarł czoło, sapał, wiercił się na krześle i pisał. A czasem skreślił coś i znowu pisał. Północ dawno minęła. Z drugiej izby słychać było równy oddech śpiących, za oknem gwizdał wiatr. Nagle zaszczekał gdzieś pies, głośno, uporczywie. Ligoń podniósł głowę i zapatrzył się w czarną noc za oknem. W tej chwili zastukał ktoś w szybę, jakaś niewyraźna postać zamajaczyła w okiennej ramce. Janek strwożony przytulił się do ojca. Dygotał ze strachu.

— Kto tam? — zapytał Ligoń głośno podchodząc do okna.

— Otwórzcie, dobrzy ludzie, przychodzimy z daleka, jesteśmy bardzo znużeni. Otwórzcie w Imię Boga.

— Już otwieram, czekajcie! — Ligoń skoczył do sieni, dojrzał jeszcze wychodzącą z izby strwożoną żonę i krzyknął do niej — Nie bój się, Teresko, to jacyś biedni Polacy!

Skrzypnęły drzwi sionki, głośno i ciężko rozległy się czyjeś kroki. Po chwili do kuchni weszli wraz z Ligoniem trzej młodzi podróżni. Byli to polscy wygnańcy, powstańcy z powstania styczniowego[87].

Ligoniowa i pobudzone dzieci z trwogą patrzyły na wędrowców. Mieli obszarpaną odzież, zarośnięte po zbójecku twarze, a jeden, ten najmłodszy, miał krwawe szmaty na nogach i kulał.

— No, Teresko, rozpal w piecu i przygotuj coś do zjedzenia — głos pana majstra jest jakiś rozedrgany, a w twarzy maluje się głębokie wzruszenie. Krzątał się koło młodych przybyszów, pomagał im zdjąć odzież, zzuć buty. — Dzieci, nie plączcie się tu! Spać! Niech zostaną tylko ci najstarsi, Janek i Adolf. Janek przynieś świeżej wody ze studni, a ty Adolf naręb w stodółce drzewa. — Jakaś dziwna radość, jakieś niepojęte wzruszenie ogarnęło twardego kowala, wraz z wstąpieniem tych polskich

---

[87] Zdarzenie autentyczne.

powstańców pod jego śląską strzechę. Mówią inaczej, niż on, bo jeden z nich jest z Wilna, drugi z Warszawy, a trzeci z Krakowa, ale przecież ich wszystkich rozumie! Przecież oni wszyscy są braćmi, Polakami! Myślą wraca Ligoń do swego wiersza leżącego na stole.

Zapisane, a pokreślone kartki leżące w świetle świecy spostrzegli również powstańcy. Z radosnym uznaniem patrzą na śląskiego robotnika, co pisze polskie wiersze na pruskim Śląsku.

— Przeczytajcie nam ten wiersz, bardzo prosimy.

Ligon wziął do ręki pokreślone kartki. Papier drży w jego silnych, do młota przyzwyczajonych dłoniach. Począł czytać wzruszonym, lecz silnym głosem.

Kaszubi, Staroprusacy,
Mazurzy i Warmiacy,
Wielkopolanie, Ślązacy,
Wszyscyśmy bracia Polacy.

Pani Teresa spochmurniała, gdy mąż zaczął czytać wiersz. Dopiero teraz zauważyła nową świecę na stole, którą przecież ukryła. Już zaczął się rodzić nowy gniew w jej sercu na marnotrawstwo męża, gdy nagłe dostrzegła, jak ów młody, w nogę ranny powstaniec zbliżył się do jej męża i uściskał go mocno. Zaś jego towarzysze mają łzy w oczach. Wtedy to pani Teresa poczęła słuchać wiersza, który w ciężkim trudzie powstawał pod palcami jej męża.

I dalej pod Karpatami,
Też jednym duchem tchną z nami.
Na Litwie, i Królewiacy,
Wszyscyśmy jedni rodacy!
Więc kochajmy się wzajemnie,
Bo tak Bogu jest przyjemnie,
Niech miłość z nami wciąż żyje
I jedno serce w nas bije!

Ligoń patrzy po twarzach swych gości i raduje się ich wzruszeniem. To mu starczy za największą pochwałę. Lecz zdumiał się poczciwy majster ogromnie, gdy dojrzał, jak jego surowa żona fartuchem łzy ociera. Nie może tego pojąć.

— Teresko, co beczysz, stało ci się co? może ci chodzi o tę nową świeczkę? widzisz, ja...

— A. idź, idź, głupi... o świeczkę będę beczeć...

Od nocy, gdy polscy powstańcy gościli pod dachem śląskiego kowala, co pisał wiersze, nigdy już pani Teresa Ligoniowa nie chowała świec na kuchennej ramie za porcelanowym dzbankiem.

Juliusz Ligoń, to samorodny poeta śląski urodzony w r. 1823 w Prądach pod Koszęcinem w powiecie lublinieckim. Był z zawodu kowalem. Przez pewien czas mieszkał w Królewskiej Hucie, potem w Zawadzkiem na Opolszczyźnie, a około roku 1870 wrócił znowu do Królewskiej Huty, gdzie umarł w r. 1889. Pochowany został przy kościele św. Barbary. Tam wznosi się, postawiony przed kilku laty, piękny pomnik tego śląskiego poety i działacza narodowego. Napisał bardzo dużo wierszy, z których niejeden znany jest jako pieśń (np. „Jestem śląskie dziecko"). Prócz liryki uprawiał i epikę. „Obrona Wiednia", a także dramat. Znane były dawniej jego komedyjki.

„Gość Niedzielny", nr 5/1951, s. 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA BERNHARDT

Swetoniusz

Przedświątecznym gwarem rozbrzmiewają ulice Jerozolimy. Wszędzie widać raźno krzątających się ludzi, o jasnych, uśmiechniętych twarzach. W ciasnych przejściach przy kramach jest najgłośniej. Kupcy nie zachwalają dziś swego towaru, bo ledwo nastarczą z obsługą kupujących. Tam wyciągają się czyjeś ręce z dzbanem na oliwę, tam znów piskliwy głos niewieści żąda suszonych śliw i daktyli. Kupiec wydaje towar, zgarnia brzęczące monety i od czasu do czasu groźnym głosem krzyknie na plączących się przy kramie uliczników. Jakiemuś małemu oberwańcowi udało się ściągnąć z drążka wianek suszonych daktyli. W ciasnym przejściu podniósł się pisk, wrzask i klątwy na małego rozbójnika, co zdążył już czmychnąć w bezpieczne miejsce.

Nagle — roześmiane twarze ludzkie zastygły w niemym przerażeniu. Oczy rozszerzyły się w niepojętym lęku, a nogi spętała wielka trwoga. Radosnym gwarem rozbrzmiewające miasto ogarnęło grobowe milczenie. Słońce znikło.

Ulice, domy i ludzi spowił nieprzenikniony mrok. Aż nagle, w przerażone oczy ludzkie zaświeciła błyskawica, jedna, druga i trzecia. Tuż nad głowami zahuczał grom. Jeden wielki krzyk nieludzkiej trwogi podniósł się nad miastem. Wszystko, co żyło, rzuciło się do ucieczki. Depczą się wzajemnie, przewracają kramy i przy świetle błyskawic szukają schronienia w bramach i domostwach. Pod stopami uciekających chlupocze oliwa i wino z rozbitych kruż.

Od bramy miejskiej, co prowadzi ku Golgocie, kroczy oddział pretorianów. D wóch z nich niesie zapalone pochodnie. Czerwony blask płomienia wyławia z ciemności trwogą zdjęte twarze rzymskich żołnierzy. Idą nierówno, spieszą, biegną prawie. Gdyby nie rotmistrz, co jedzie z boku na koniu, niejeden z wylęknionych żołnierzy poszukałby schronienia w bramie. Na twarzy rotmistrza nie znać lęku.

— Swetoniusz! — oficer odwrócił się na koniu. Jego ręce jeszcze mocniej ujęły cugle zatrwożonego rumaka.

Z maszerującego oddziału wysunęła się wysoka, barczysta postać wojaka.

— Swetoniuszu, zaprowadź oddział do pretorium! Bez popłochu! — Rotmistrz patrzy badawczo na młodą twarz żołnierza. Szuka na niej oznak trwogi, a nie znajdując, uśmiecha się lekko. — Widzę, że jesteś spokojny...

— Tak, jak i ty — głos jest młody i dźwięczny.

— Co myślisz, Swetoniuszu, o tym człowieku?

— Myślę... — młody żołnierz zawahał się —

— Myślę o tym, coś ty o Nim powiedział tam, na górze. Twoje słowa utkwiły mi w mózgu.

Rotmistrz nic nie odpowiedział. Zawrócił konia i pogalopował w kierunku pałacu namiestnika Piłata.

Swetoniusz poprowadził oddział pretorianów aż do ratusza. Sprawdził, czy nikogo nie brak i rozkazał rozejść się do izby nie wszczynając nigdzie popłochu. Potem skierował się ku własnej stancji, którą dzielił ze starym Klaudiuszem.

Klaudiusz siedział na zydlu i przy blasku łuczywa czyścił swą zbroję. Głowę miał łysą, ale nad oczyma zwisały grube, siwe wiechcie brwi. Spokojnie maczał szmatkę w naczyniu z oliwą i przecierał nią rzemienne pasy, jakby nie czuł wcale, że dom drży w posadach a nad miastem przewalają

się grzmoty. Podniósł głowę i starczymi, mądrymi oczyma spojrzał uważnie na twarz wchodzącego.

Swetoniusz podszedł do ściany, gdzie stało niskie, żołnierskie łóżko i zwalił się na nie. Nie dostrzegł, że przy tym ruchu wypadło mu spod płaszcza zawiniątko i potoczyło się pod stopy Klaudiusza. W izbie zapanowało milczenie przerywane hukiem gromów. Stary żołnierz w niezamąconym spokoju wodził naoliwionym gałgankiem po migotliwych łuskach zbroi. Tylko spojrzenie jego coraz częściej i coraz baczniej podnosiło się na spoczywającą w bezruchu postać Swetoniusza.

Naraz Swetoniusz poderwał się. Stanął ogromny przed skurczonym na zydlu starcem i zawołał głośno, gwałtownie.

— Klaudiuszu! Tyś Go też nieraz widział. Przecież tyś Go znal dłużej, niż ja! Tyś mi o Nim mówił, o jego dziwnych czynach... — głos, co brzmiał gorączkowo, krzykliwie, załamał się.

— Uspokój się Swetoniuszu. — Stary żołnierz mówi dobrotliwie, ale surowo. — Nie wiem, co ci się stało, i czego chcesz. Spocznij i mów, o kogo pytasz.

— Nie umiem mówić spokojnie, coś się ze mną stało...

— Widzę, że podziałała na twe młode nerwy ta burza — Klaudiusz mówi trochę szyderczo — prawdopodobnie nie przeżywałeś jeszcze w twoim młodym życiu zaćmienia słońca, a może nawet nie słyszałeś o nim.

— Nie szydź, Klaudiuszu! Nie szydź! Ty nie wiesz, że ta burza, to nie jest zwykła burza! Ty nie wiesz, że to zaćmienie słońca i to ziemi trzęsienie zaczęło się w tej chwili gdy On skonał. Słuchaj, widziałem jak skały pękały na Golgocie, widziałem, jak ogromne kamienie same odsuwały się od grobów otworów, z których wychodzili zmarli... widziałem...

— Bredzisz, Swetoniuszu. Napiłeś się wina i...

— Milcz! Spytaj drugich! Wszyscy widzieli. Spytaj rotmistrza! Rotmistrz... słuchaj, Klaudiuszu, co powiedział nasz rotmistrz! Przecież go znasz, jest surowy, mądry, odważny, prawdziwy Rzymianin! Otóż rotmistrz, gdy ten Rabbi skonał, tak zawołał: „Prawdziwie ten był Synem Bożym!” Pojmujesz, pojmujesz te słowa?

Stary żołnierz milczał. Zapatrzył się w płomień łuczywa. Ręce zwisły, z kolan obsunęła się zbroja.

Swetoniusz chodził po izbie gorączkowym, niespokojnym krokiem. Potem usiadł ciężko na łóżku. Popatrzył na milczącego Klaudiusza,

przymknął oczy i trwał w jakiejś wewnętrznej, bolesnej walce. Nad Jerozolimą ciągle jeszcze huczały gromy i świeciły upiorne błyskawice.

— On nie umierał, jak złoczyńca... — Swetoniusz mówi cicho, przejmująco — On umierał cichy, dobry... On modlił się za nas, za swych katów... rzucałem z towarzyszami kości o jego suknię. Nie chcieliśmy jej dzielić, bo była nieszyta, całodziana. Mnie się ona dostała. Potem podszedłem do rotmistrza. Stał blisko krzyża. Spojrzałem na twarz skazańca i dosłyszałem ciche słowo: „Pragnę”. Rotmistrz pokazał mi naczynie z octem stojące opodal. Wziąłem gąbkę, zanurzyłem w occie i podniosłem je na trzcinie ku Jego ustom. I wtedy... wtedy on na mnie spojrzał... Ty nie wiesz, Klaudiuszu. jakie to było spojrzenie! Dosięgło ono dna mego serca... przeniknęło wszystkie me myśli... ogarnęło mnie całego jakąś nieznaną dobrocią Klaudiuszu, to było Boskie spojrzenie...

— Poetą jesteś, Swetoniuszu — stary żołnierz sili się na żołnierski, twardy ton, ale w głosie jego drży coś i załamuje się...

—...Potem usłyszałem to mocne wyznanie naszego rotmistrza i nagle, nagle pomyślałem... — Swetoniusz ukrył twarz w dłoniach, mówi cicho, z łkaniem — ty wiesz, Klaudiuszu, że moja mała, jedyna córeczka nie umie chodzić... pomyślałem, że, jeżeli On naprawdę był Synem Bożym, to mógł i moją córeczkę uzdrowić... ale umarł... umarł i nie uzdrowi Sylwii...

Milczenie zaległo izbę. Klaudiusz myśli z natężeniem.

I nad Jerozolimą zapanowała martwa cisza. Uspokoiło się niebo. I ziemia stężała w bezruchu. Na placach i ulicach było pusto. W nieładzie walały się pstre dywany wśród skorup porozbijanych dzbanów, wśród połamanych kramów, wśród błotnych kałuż wylanej oliwy. Gdzieniegdzie chyłkiem, jakoby przerażony tą ciszą i tym spustoszeniem, przemykał się pies ciągnąc w pysku kawał suszonego mięsa.

Klaudiusz podniósł się z zydla, by założyć świeże łuczywo za żelazny pierścień. Nastąpił na zawiniątko, co przedtem wypadło spod płaszcza Swetoniusza. Nie patrząc nawet, kopnął tłumok pod ścianę. Wśród żelaziwa starych zbroi spoczęła nieszyta całodziana suknia, którą Swetoniusz wygrał losem pod krzyżem.

Nazajutrz, o świcie, rotmistrz kazał przywołać do siebie Swetoniusza. Rzymski oficer przemierzał swą stancję gwałtownym krokiem.

— Wyobraź sobie, Swetoniuszu — zwrócił się z miejsca do wchodzącego — że żydowska rada żąda straży u grobu Jezusa

Nazareńskiego! Straży żąda! Boi się, że zmartwychwstanie! I my żołnierze rzymscy, mamy się błaźnić pilnowaniem trupa! — Rotmistrz gniewnie zaciska dłonie. — Byłem u namiestnika. Zastałem tam wszystkich znaczniejszych kapłanów i faryzeuszy. Piłat nie ukrywał swego niezadowolenia. Nastawali nań ze wszystkich stron, by postawił straż u grobu. Namiestnik zwrócił się do mnie z rozkazem, bym uczynił według ich żądania. Słyszałeś coś podobnego? To obelga dla rzymskiego pretorianina! No powiedz sam, powiedz!

— Tak, podzielam twe zdanie. Widać, — dodał Swetoniusz w zamyśleniu — przywódcy Żydów jeszcze teraz obawiają się tego człowieka, choć już umarł.

— Myślą i to, że jego uczniowie, ci tchórzem podszyci prostacy, co się poukrywali, wykradną jego ciało! No, dość — rzekł rotmistrz spokojnie i sucho. Rozkaz został wydany i będzie wykonany. Weźmiesz, Swetoniuszu, kilku żołnierzy i pójdziesz z nimi do ogrodu Józefa z Arymatei. Tam złożyli ciało Jezusa. Dopilnujesz porządku w zmianie straży aż do dnia trzeciego. Jak chcą żydzi. Jeżeli zdarzyłoby się coś nadzwyczajnego... — Swetoniusz spojrzał bacznie na rotmistrza. W całej grozie stanęła przed nim wczorajsza scena na Golgocie i okrzyk jego zwierzchnika... — jeżeli więc doszłoby do jakichś nieprzewidzianych wypadków — ciągnął rotmistrz dalej — przyjdziesz i powiadomisz mnie. A teraz czyń według rozkazu.

Pretorianie z kpinami i z śmiechem oglądają pieczęcie zwisające ze sznurów okalających grobowy kamień.

— Snadź Żydzi i nam nie dowierzają, skoro opieczętowali grób! Pewnie sądzą, że damy się przekupić przez uczniów tego skazańca.

— Przez uczniów?! Kto wie, czy ci jeszcze są w Jerozolimie! Pamiętacie tego starego, co się na dziedzińcu Kajfasza w strachu wyparł swego mistrza, choć ten jeszcze żył?!

Swetoniusz nie brał udziału w tych rozmowach. Drażniły go. Nie miał duszy żołdaka. Gdy kilka miesięcy temu zgłosił się w Rzymie ochotniczo do służby wojskowej w okupowanych prowincjach, nie wiedział, jaka to służba. Gdyby nie rotmistrz, którego cenił i do którego się przywiązał, byłby już podziękował za tę pretoriańską misję.

Słońce zachodziło. Cyprysy rzucały wydłużone czarne cienie na ogrodową ścieżkę. Ptaki w spiesznym locie wracały do swych gniazd. Swetoniusz patrzył na grób bielejący w oddali. Już od tylu godzin dręczy go

myśl o tym zmarłym spoczywającym tam, za grobową, kamienną płytą. Z wewnętrznym dreszczem przypomina sobie jego bolesne a bos kie wejrzenie, z niesłychaną wyrazistością brzmią mu w uszach słowa rotmistrza: „Prawdziwie, ten był Synem Bożym". A potem jawi się przed oczyma Swetoniusza jego mała, ułomna córeczka...

Zapadła noc. Żołnierze rozpalili niedaleko grobu ognisko. Zrobiło się chłodno. Swetoniusz rozcierał ręce nad płomieniem. Postanowił spędzić tę noc u grobu. Dwóch żołnierzy w blasku ognia gra w kości. Dwóch innych pogrążonych w cichej rozmowie siedzi na kamiennej płycie. Swetoniusza dolatują słowa ich rozmowy: „...słyszałem, że jakaś kobieta, co długo na krwi płynienie cierpiała, dotknęła się tylko ręka jego płaszcza i natychmiast była zdrowa..."

Swetoniusz zadrżał. Przypomniała mu się skrwawiona suknia skazanego, którą wygrał w kości.

— Gdzież ją zapodziałem? — myśli z natężeniem. W drodze z Golgoty jeszcze ją miałem przy sobie... może położyłem ją gdzieś w izbie... może Klaudiusz ją schował... jakie to dziwne, co oni tam opowiadają... kobieta uzdrowiona za dotknięciem się szaty... Moja Sylwia... nie, nie majaczę! Jestem pijany, nie piwszy wina! — Swetoniusz zerwał się od ognia z głośnym przekleństwem. Był zły na siebie samego. Żołnierze spojrzeli nań zdziwieni. Niebo na wschodzie różowiało. Brał ostry ziąb świtania.

— Dorzucić tam szczap do ognia! — krzyknął na żołnierzy, a potem podszedł do grobu i oparł nogę na kamiennej ławce, gdzie przedtem siedzieli rozmawiający pretorianie. Widzi dokładnie grube sznury opasujące obły kształt kamienia, widzi ogromne pieczęcie zwisające na ich końcach. Nagle zdało mu się, że sznury naprężyły się jakoby je naciągnęła jakaś niewidzialna moc. W tym samym momencie poczuł Swetoniusz, że kamień grobowy, na którym wspierał nogę drgnął potężnie. Odruchowo odsunął się od grobu. Spojrzał poza siebie, spostrzegł, że ognisko dziwnie przygasło, a wokoło rozszerzała się jakaś ciągle wzrastająca jasność. Pretorianie skupili się w gromadkę w oczekiwaniu czegoś niepojętego. Święta groza wisiała w powietrzu.

Swetoniusz zbliżył się do żołnierzy, by ich uspokoić, ale zanim otwarł usta ogłuszył go ogromny huk i zaćmił wielki blask...

- -

— Potem już dobrze nie pamiętam co się działo... kończy swą opowieść Swetoniusz. Siedzi na ławie w izbie rotmistrza i widzi tuż przed sobą pobladłą twarz rzymskiego oficera. — Nie pamiętam, jak długo leżeliśmy na ziemi, powaleni jakąś niepojętą siłą. Gdyśmy się poderwali, pędziliśmy przed siebie, na oślep, jak szaleńcy. W drodze wpadliśmy na oddział sług Sanhedrynu. Poprowadzono nas spiesznie przed Radę. A tam — Swetoniusz sięga trzęsącymi się rękami do pasa — tam wypłacono nam złote monety! — napęczniały trzos spadł ciężko na ziemię. Z brzękiem posypały się srebrniki — Mamy głosić, żeśmy spali, że jego uczniowie przyszli i ukradli ciało... Swetoniusz bierze w ręce kubek wina, który mu rotmistrz podaje. Przy tym ruchu oczy żołnierza krzyżują się ze spojrzeniom oficera. Swetoniusz przywarł ustami do brzegu kubka, lecz nie odrywa wzroku od rotmistrza...

— Powiedz! powiedz! co myślisz! — krzyknął nagle odrzucając kubek od siebie. Rozlane wino głośno chlupnęło.

— Myślę, myślę Swetoniuszu — rotmistrz mówi spokojnie, pewnie — że on był prawdziwie Synem Bożym.

Swetoniusz ścisnął dłońmi głowę. W całej jego postaci znać ogromną walkę. Dyszy głośno.

— Co ci to, Swetoniuszu? — Rotmistrz kładzie swą rękę na ramieniu żołnierza — powiedz, co cię dręczy?

— Słuchaj... znałeś go dłużej... tego Jezusa — przez ściśniętą krtań Swetoniusza z wysiłkiem wydobywają się słowa — czynił cuda... prawda, że uzdrawiał chorych?

— Prawda.

— A czy słyszałeś i o tym, że jakaś chora niewiasta dotknąwszy się sukni jego uzdrowioną została? — Swetoniusz podniósł głowę i patrzył z natężeniem na rotmistrza.

Słyszałem o tej kobiecie, ale czemu ty...

Swetoniusz już więcej nie słuchał. Wybiegł z izby, pędem przemierzył dziedziniec pretorium i zadyszany wpadł do własnej stancji. Klaudiusza w niej nie było.

Swetoniusz rozejrzał się wokoło bezradnie a gorączkowo. Roztrącił nogą kupę żelaziwa leżącą w kącie. Spod starych zbroi wysunęło się szare zawiniątko. Żołnierz pochylił się, uklęknął, trzęsącymi się rękoma podniósł z ziemi zwiniętą, zszarganą suknię.

„Gość Niedzielny”, nr 12/1951, s. 4 – 5 i 8.

JADWIGA BERNHARDT

Nox magna

— Ty sam, rzymski biskupie, będziesz wiedział, co czynić trzeba. A ja, sługa twój, a brat w Panu, Proculus, chciałem Ci tylko powiedzieć, że czas nagli. Bo ja patrzę z bliska na poczynania cesarza. Widzę jego doradców... ja sam przestałem już należeć do grona jego zaufanych... — wprawna dłoń prowadzi krótki rylec po kamiennej tabliczce. Krągłe, równe literki żłobi ze zgrzytem ostre, ścięte żelazo. — W następnych dniach, a może już dziś, wyjdą edykty. Wielebny biskupie, wyślij diakonów, niech owi roztropnie, nie wzbudzając podejrzeń, przeniosą księgi święte od SS. Cosmae et Damiana i Campo Vaceino, w miejsce bezpieczne. A drudzy niech pozabierają ze wszystkich rzymskich kościołów naczynia święte i szaty, i niech idą z nimi ad catacumbas...

— Ad catacumbas... — powtarza Proculus szeptem — ad catacumbas, w podziemne, ciche sklepienie, gdzie trzymają straż umarli.

Wysoki, rzymski urzędnik, lekarz zaufany cesarza Septimiusa-Severusa, popadł w bolesne odrętwienie. Szerokie, twarde czoło przecięły dwie głębokie bruzdy. Twarz ściągnęła się boleśnie. Oczy rozwarte, a utkwione w gałęziach drzew kołysających się nad ogrodem, są jak oczy umarłego. Nie widzą nic, bo odbiegła je myśl. Poszybowała nad słoneczne ziemie Galii. Tam, przed dziesięciu laty poznał Proculus, młodziutki rzymski lekarz, Afrykańczyka Septimiusa-Severusa. Wysokiego namiestnika Gaili dręczyła wówczas bolesna choroba przywieziona z afrykańskich piasków. Proculus uleczył Severusa. A namiestnik pokochał go za to, jak syna. Kiedy po pięciu latach, w 193 roku, obwołano Afrykańczyka w Carmuntum cesarzem, Proculus zamieszkał przy nim na Palatynie. Wówczas to umarła Proculusowi żona. Pozostał mu maleńki synek.

— Sprowadź piastunkę dla twego syna — powiedział wtedy cesarz do młodego lekarza kładąc mu dłoń na ramieniu — w moim pałacu nie braknie miejsca dla tych, których kocham i cenię.

— Moj syn, cesarzu, wyrośnie na chrześcijanina, tak jak jego ojciec... mój syn musi mieć chrześcijańską niewiastę za piastunkę.

— Dobrze, sprowadź dlań chrześcijankę.

Od tego dnia nastały spokojne czasy dla chrześcijan w rzymskim państwie. Opuszczono katakumby. Gromadzono się otwarcie w kościołach na Aventynie, u św. Sabiny, u św. Balbiny, u św. Cecylii na Trastevere. Dużo Rzymian przechodziło na chrześcijańską religię. Znaczniejsi z nich mieli wielkie wpływy na cesarskim dworze. Mądry i energiczny władca cenił ich i nieraz zasięgał ich rady. Chrześcijaństwo rosło, rozszerzało się, sięgało głęboko — i rzymski cesarz zląkł się.

— Wiedziałem, że kiedyś się to stanie... — Proculus powiódł dłonią po sfałdowanym czole — widziałem, jak umiłowanie władzy wzrastało z dnia na dzień, z roku na rok w sercu Severusa. Nie zdradzał się z tym przede mną, ale ja czułem, że zachodzi w nim zmiana. Zaczął się obawiać, zaczął nas nienawidzieć. Wydawało mu się, że chrześcijaństwo sięga po jego cesarską władzę... i wtedy, by się obronić, uczepił się spuścizny Trajana. Jego okrutnych prawnych ustaw szafujących torturami i śmiercią za Chrystusową wiarę. Już go nikt z tej drogi nie zawróci, nikt nie... — Nagły, głośny wybuch śmiechu poderwał Proculusa ze stołka. Przetarł nieprzytomne oczy i spojrzał do ogrodu. Pod drzewami na białym piaskiem posypanej ścieżce bawił się piłką mały chłopak z wysoką, młodą kobietą. Obok, patrząc z uśmiechem na igrających, stała druga kobieta, znacznie starsza od tamtej. Zachodzące słońce rzucało swe złote blaski. Proculus zapatrzył się w ten sielski obrazek, potem klasnął w dłonie.

— Poproś do mnie Tryfozę — sługa znikł tak cicho, jak cicho się zjawił. Proculus dopisywał szybko ostatnie słowa na kamiennej tabliczce.

Zasłona podniosła się i opadła. Do cesarskiego lekarza zbliżyła się starsza kobieta, co wprzódy przyglądała się zabawie w ogrodzie. Była to piastunka Caracalli, małego synka Proculusa.

— Weź tę tabliczkę, Tryfozo, i ukryj ją w fałdach płaszcza. Pamiętasz domek, szary obdrapany na via Nomentana? Tuż za portą Pia?

— Pamiętam — niewiasta skinęła głową. Zrozumienie błyszczało w jej poważnych oczach.

— Tam mieszka obecnie nasz biskup Zefirynus. Niech cię dopuszczą przed niego. Oddasz mu tabliczkę. Idź prędko, ja zajmę się synkiem. —

Tryfoza otuliła się szerokim fałdzistym płaszczem. Skinęła głową Proculusowi i odeszła cicho.

Od ogrodu nie brzmiał już beztroski śmiech dziecka. Chłopak, zmęczony zabawą, zasnął w ramionach wysokiej, pięknej kobiety.

— Sylvio, może się nazbyt trudzisz przy małym — Proculus pochylił się nad śpiącym, pogłaskał jeszcze włoski i spojrzał wyczekująco w czarne tajemnicze oczy cesarskiej siostrzenicy.

Kocham twojego syna. — Głos Sylvii jest silny, dźwięczny. — I nie myśl, że trudzę się przy nim tyle, ile ty trudzisz się przy wstrętnych żebrakach nad Tybrem — piękna twarz skrzywiła się w bolesnej ironii.

— Sylvio...

— Tak, wiem, powiesz znowu, że tak Chrystus czynił — Sylvia mówi porywczo, gniewnie — że on otaczał się nędzarzami, że leczył ich rany, że kochał ich, jak braci. A ja, ja nienawidzę tę hołotę! Brzydzę się ich owrzodziałymi ciałami, ich ciekającymi oczyma skamlącymi o litość.

— I oni mają duszę nieśmiertelną, Sylvio. Chrystusowa nauka każe ich miłować.

— Chrystusowa nauka jest niepojęta! Słucham jej z twoich ust od kilku lat i zrozumieć jej nie mogę.

— Bo nie chcesz.

— Prawda, nie chcę! Nigdy nie nakłonię się ku nauce, która ubóstwia hańbiący znak krzyża. Która wysławia śmierć wśród cierpień, wśród krwi. Która za braci mieć każe niewolników i nędzarzy. Która gardzi pięknością, bogactwem, sławą.

— Wszystko to kiedyś przeminie — dobrotliwy uśmiech nie schodzi z twarzy Proculusa — czyż nie lepiej wyrzec się tego balastu wcześniej, by z lekkim, radosnym sercem kroczyć ku Chrystusowi?

— Wyrzec się... nie — twarz Sylvii płonie rumieńcem gorączki. Ręce przyciskające do łona śpiące dziecko — drżą mocno — nie wyrzeknę się piękności, ni sławy, ni dostatku...

— A ja się wyrzeknę. — Głos cesarskiego lekarza zabrzmiał mocno. Potem zgasł wielki patos mężnego serca — Ja, Sylvio, wyrzeknę się... wszystkiego... Tak chce Chrystus — dokończył cicho.

— Proculus! — Bolesny, krótki okrzyk. I przenikliwy ból w czarnych oczach cesarskiej ulubienicy — Proculus, o czym ty mówisz? o czym zamyślasz? — trwożny, przejmujący szept.

—Wiesz, Sylvio, po co pytasz? ..

Chłopak na rękach Sylvii załkał przez sen. Na skręcie białej ścieżki stanął czarny sługa.

— Boski cesarz wzywa dostojnego Proculusa — nagi kark zgiął się głęboko w pokłonie.

— Idę. Sylvio... Pax tecum[88].

— Boję się! — podbiegła doń gwałtownie, stanęła blisko cała drżąca. Dojrzał tuż przed sobą czarne oczy rozszerzone lękiem — boję się o ciebie.

— Nie bój się. Wracaj do domu, chłodno już. Złóż synka. — Śnieżysta toga czerwieniejąca szerokim szlakiem rozpłynęła się w zapadającym zmroku. Tylko oczy Sylvii tulące dziecko błyszczą silnie. Błyszczą lękiem i cierpieniem. Błyszczą ogniem walki, która się toczy w głębi miłującego serca.

Wśród tej walki, wśród tego cierpienia zaczęło kiełkować nowe ziarno.

— Nie przerywaj mi, Proculusie. Wiesz dobrze, że jestem do ciebie przywiązany, że cię potrzebuję. Niewiele wymagam od ciebie... — cesarz Severus przerwał. Odwrócił wzrok od spokojnej kamiennej twarzy — chcę tylko tego — kończył z przymusem, niepewnie — byś jutro, na uczcie, zwrócił się do mnie w te słowa: deus et dominus[89].

— Nigdy, cesarzu.

— Pamiętaj co mówisz! — gniew ogarniał Severusa. Jego sandały klaskają głośno, gdy gwałtownie przemierza salę.

— Pamiętaj, że mam nad tobą władzę... Proculusie, nie pozwól, bym groźbą płacił za twą wierną służbę — Severus mówi znowu, jak przyjaciel. Przypomniał sobie dawne dzieje, słoneczną Galię — sam widzisz, że chcę drobnostki. Wierz sobie nadal w twojego Chrystusa, ale kryj się z tym przed dworem, przed dworem mnie uznawaj za swego absolutnego pana.

— Wymagasz rzeczy niemożliwej, cesarzu. Chrystus chce całego człowieka. Nie mogę i tobie i Jemu służyć...

— Dość, zastanów się do jutra.

— Nie mam się nad czym zastanawiać, cesarzu. Możesz rozkazać, by mnie natychmiast uwięzili. Nie wyprę się Chrystusa.

---

[88] Pokój z tobą.

[89] Boże i panie.

— Czy wiesz — cesarz zniża głos do szeptu — że tym samym zrzekasz się nie tylko sławy i bogactw, ale i — Sylvii? Chcę ci dać piękną, cesarską siostrzenicę za żonę... — kuszący, gorący szept.

— Cesarzu! — przez twarz Rzymianina przebiegł bolesny skurcz — każ mnie uwięzić...

Milczenie zapanowało w sali. Światło lampek odbija się w smukłych, marmurowych kolumneczkach. W ogrodzie tajemniczo szumią drzewa.

— Nie wyciągnę ręki na ciebie — cesarz odzywa się matowym, zmęczonym głosem — pamiętam, że tobie zawdzięczam życie. Tylko opuść mój dom. Opuść Rzym.

Cesarz Septimius-Severus został sam. Proculus tejże nocy, wraz z synkiem i piastunką, opuścił pałac na Palatynie. Szli ulicami nocą spowitego miasta. Ale noc nie przyniosła snu strudzonym mieszkańcom. Wszędzie panował tajemniczy, w cieniach nocy ukryty ruch. Ludzie gromadkami, chyłkiem wychodzili za bramy miasta. Szeroka Via Appia, biegnąca rozległą niziną przyjmowała zbiegów jak dobrych, dawnych znajomych. Bo ta Via Appia wiodła ad catacumbas.

Tej nocy tłumy chrześcijan napełniły rzymskie katakumby Domicyli, Pryski, i Kaliksta. A gdy nastał świt, świt popielcowej środy, dzieci, niewiasty i mężowie sypali proch na odkryte głowy. W ciemnych, podziemnych grobach rozpoczynali Wielki Post 202 roku po Chrystusie. Nad ich głowami szalała burza. Prześladowanie rozpoczęło się w całym ogromnym państwie rzymskim... W Rzymie wyznał wiarę, a nie ugiął się Nataliusz, w Kapadocji Aleksander, Leonidas, Marcella i Basilides ponieśli śmierć męczeńską w Aleksandrii, a w Kartago przelały krew Felicita i Perpetua z towarzyszkami.

Cesarz Septimius-Severus pisał ciągle nowe, coraz sroższe edykty. Odezwał się w nim instynkt jego krwawych poprzedników: Nerona, Domicjana, Trajana.

A jego piękna siostrzenica, Sylvia, nie wychodziła ze swoich komnat, nie brała udziału w ucztach i w uroczystościach w Colosseum. Nawet w ogrodach nikt nie dostrzegał jej wysokiej postaci. Szepty i plotki krążyły po pałacu.

Pewnego dnia sługa cesarza prędkim krokiem wszedł w komnaty, zamieszkałe przez cesarską siostrzenicę.

— Boska pani, cesarz prosi o natychmiastowe przybycie.

Szła wolno przez wspaniale sale, krużganki. Ciekawe oczy sług biegły za nią. Miała smutną i chłodną twarz. Oczy nie błyszczały, jak dawniej.

— Sylvio, już cię od kilku tygodni wcale nie widuję — cesarz patrzy troskliwie na bladą, zamkniętą twarz — źle wyglądasz, może cię trapi jakaś choroba tajemna? Może wezwać lekarza?

— Lekarza? — obojętne oczy rozbłysły, martwa twarz ożyła. — Lekarza? — powtarza, a w duszy kołace nadzieja, że cesarz myśli o Proculusie.

Severus spojrzał przenikliwie w oczy Sylvii. Wyczytał w nich bez trudu całą prawdę. Ogarnął go nagły gniew.

— Przejrzałem twoją chorobę! Rozkazuję, byś odtąd była zawsze obecna przy wszystkich ucztach i uroczystościach! — Zamilkł. Opanował gniew i przywołał uśmiech na twarz. — Szczególnie dziś staraj się być miłą przy uczcie. Przyjeżdża miły nam gość z Kapadocji, Klaudiusz Herminianus.

— Aurelia z nim? — ożywiła się uśmiechem przygnębiona twarz Sylvii.

— Nie, przyjeżdża sam — Severus jest zakłopotany — przyjeżdża sam, bo nie ma już żony.

— Bogi litościwe! — Sylvia załamała dłonie — dobra, mądra Aurelia umarła?

— Aurelia została chrześcijanką.

Sylvia wsparła się o kolumnę. Była tak blada, jak marmur okalających ją ścian. Zamknęła oczy. Lękała się, by Severus nie wejrzał w głąb jej serca. Tam, gdzie w ciągu długich tygodni wśród bolesnych zmagań dojrzewało nowe ziarno.

— Aurelia, chrześcijanką! Mądra Aurelia, piękna i dobra, ubóstwiana przez wszystkich... — myśli, jak duże ptaki, trzepocą w głowie — chrześcijanka, rzuciła wszystko, wszystkim wzgardziła... zabrakło sił... tchórzem jestem.. Aurelia! Ale jeszcze czas, by pójść w jej ślady! Proculus mówił, że Chrystus nikim nie gardzi...

— Obudź się! — Severus mówi ostro — muszę ci oznajmić rzecz najważniejszą. Klaudiusz przyjeżdża, aby cię wziąć jako swą żonę. I będziesz jego żoną, taka jest moja wola.

— Nigdy nie zostanę żoną Klaudiusza!

— Zostaniesz! Bo taka jest moja wola! — cesarz zapomniał o swej godności. Przyskoczył do Sylvii, zdało się, że ją uderzy. —- A jeśli ciągle jeszcze myślisz o Proculusie, to wiedz, że dziś wygotowałem edykt niosący mu śmierć. Ten zuchwały człowiek śmiał wczoraj nad Tybrem głośno urągać mojej boskiej czci! — Żyły nabrzmiały na czole władcy — śmiercią zginie każdy bluźnierca! Idź, pomyśl o tym, co rzekłem.

Wysunęła się cicho. Nie powstał w niej lęk, ni trwoga. Głęboki spokój gościł w sercu i ufność. Ufność w nowego Boga. O zmroku przebrała się w szare, proste szaty. Głowę i twarz nakryła zasłoną. Przez małą furtkę w ogrodzie dostała się nad Tyber. Szła pewnie w coraz większym zmroku. Wiedziała, gdzie szukać Proculusa. Tyle razy widziała go w tej dzielnicy nędzarzy. Zatrzymała się w ciasnym przejściu między nędznymi lepiankami. Przykry zapach wwiercił się w jej nozdrza. Pochyliła się ku ciasnemu otworowi w murze, tuż nad ziemią.

— Czy jest tam ktoś? — odezwała się głośnym szeptem. Czekała długo, zanim w głębi zabłysło słabe światło. — Czy jest tam ktoś? — ponowiła pytanie.

— Kogo szukasz? — nieufność zabrzmiała w głosie zbliżającej się postaci.

— Szukam Prok... — zawahała się — szukam Tryfozy — powiedziała głośno. — Opiekunki małego syna Proculusa. Znasz ja?

— Znam. Czekaj. Ona zaraz wyjdzie, już jest gotowa do drogi.

— Do drogi? — zdziwiła się Sylvia. Ale człowiek, z którym rozmawiała, znikł w otworze. Sylvia wyprostowała zgarbione plecy. Rozejrzała się. Dopiero teraz dostrzegła, że w ciasnych uliczkach, bez najmniejszego hałasu gromadzą się grupki ludzi i idą w jednym kierunku. Zdziwienie ogarniało Sylvię i jakiś lęk.

— Kto pytał o mnie? — głośny szept dobiegł do ucha Sylvii i wyrwał ją z zamyślenia. Podeszła bliżej do pytającej, poznała Tryfozę, i spostrzegła na jej ręku dziecko.

— Caracalla! — krzyknęła radośnie i pocałowała główkę malca. Dziecko wyciągnęło ku niej ręce, zaśmiało się głośno, poznało po głosie towarzyszkę zabaw.

— Cicho! — Tryfoza dłonią zasłoniła usta dziecka — cicho, bo nas żołnierze usłyszą! Pani tutaj? — Tryfoza nie może zapanować nad zdziwieniem przechodzącym w lęk.

— Nie bój się mnie, Tryfozo — Sylvia wyczuwa trwogę piastunki — przyszłam ostrzec Proculusa. Niech się nie pojawia na ulicach miasta. Niech uchodzi z Rzymu. Cesarz wydał nań wyrok śmierci...

— Ciszej, na Boga! — Tryfoza ogląda się lękliwie. — Powtórzę te słowa Proculusowi. A ciebie, pani, niech Chrystus nagrodzi za dobroć, odwagę. Ale teraz uchodź szybko, aby cię tu rzymscy żołnierze nie znaleźli. Byłabyś zgubiona.

— Zostanę z tobą, Tryfozo. Zostanę z wami... już nigdy nie wrócę na Palatyn...

— Pani?! Sylvio droga! Czy to prawda? czy nie myli mnie serce? Chryste, jak wielkie są dzieła Twoich rąk! Ale chodźmy, chodźmy prędko — Tryfoza z trudem opanowała wzruszenie — już wszyscy poszli, trzeba się pospieszyć...

— Dokąd?

— Ad catacumbas! Dziś jest Święta Sobota, jutro Dominica Resurrectionis.

Mroki ogromnej sklepionej krypty rozpraszają setki olejnych lampek. Stoją one we wnękach murów, wiszą chybotliwym płomieniem nad niszami, w których złożono kości męczenników. Niektórzy z modlących się trzymają je w dłoniach. Ściany wykładane mozaiką błyszczą migotliwie.

Tryfoza przesuwa się między zgromadzonymi w głąb kaplicy. Za nią idzie Sylvia. Trzyma Caracallę na rękach. Przyciska chłopaka mocno do serca, Jakby przygłuszyć chciała jego głośne kołatanie. Jakieś uniesienie wzbiera w tym pogańskim sercu, gdzie kiełkowało, dojrzewało i w końcu zakwitło Nowe Ziarno, Ziarno Prawdy.

Tryfoza klęka przed wzniesieniem, na którym stoi śnieżnym obrusem nakryty stół. Obok goreją świece w trójramiennym świeczniku. Nad stołem rozpościerają się czarne ramiona krzyża. Wokoło przystanęli kapłani i diakoni. Sylvia dostrzega siwowłosego starca w złocistej kapie, z laską złocistą. A tam dalej, z boku, nad dużą ocembrowaną sadzawką widzi szereg klęczących w białych szatach, z zapalonymi świecami w dłoniach.

— To katechumeni — szepce Tryfoza i radosnym wzrokiem szuka między stojącymi na przedzie Proculusa.

Nagle dźwięczny, donośny głos męski zaintonował potężną pieśń: Exultet iam Angelica turba caelorum, exultet divina mysteria![90]

Pieśń odbiła się od grobowych sklepień, targnęła ludzkimi sercami i porwała je ku wielkiej, niepojętej chwale świętego misterium.

...Laetetur et mater Ecclesia, tanti luminis adornata fulgoribus[91].

Sylvia utonęła we wszechwładnych dźwiękach hymnu. Nie rozumiała jego sensu, nie wiedziała, co to za noc wielka, co to za wina błogosławiona, ale czuła, jak jej dusza spragniona wchłania te święte słowa i krzepi się nimi. Twarz jej zajaśniała jakimś blaskiem, oczy podniosły się ku Chrystusowi rozpiętemu na krzyżu.

Proculus dojrzał tę uduchowioną twarz. Dojrzał oczy błyszczące, wpatrzone w Chrystusa. Poznał Sylvię. Poznał z drżeniem serca cud, który Chrystus sprawił w duszy poganki.

— Zaiste, wielka i tajemnicza to noc, w której Ty czynisz tak niepojęte rzeczy! — modli się wzruszony — Nox magna! O vere beata nox[92], pozdrawiam cię!

„Gość Niedzielny", nr 13/1951, s. 6; nr 14/1951, s. 1 – 2.

❋ ❋ ❋

J. BERNHARDT

Przedziwny kaznodzieja

Stara Hajdukowa wychodzi powoli z kościoła. Na chwilę przymyka oczy oślepione blaskiem słońca, potem unosząc nieco szerokie spódnice schodzi ostrożnie ze stopni.

Na placu przed kościołem i na drodze jest już pusto. Hajdukowa, jak zawsze, zasiedziała się w kościele. Zawsze jej mało. Zawsze ma jeszcze tyle Panu Bogu i jego świętym do powiedzenia. Najpierw musi odmówić koronkę, potem litanię do Serca Jezusowego i litanię Loretańską. Potem

---

90 Weselcie się już, zastępy Aniołów, w niebie: weselcie się, słudzy Boga.

91 Zdobny blaskiem takiej światłości, raduj się, Kościele święty, Matko nasza!

92 Wielkanoc! O prawdziwie błogosławiona nocy.

modli się do Marii Magdaleny, bo to jej patronka. Potem prosi Barbarę świętą o opiekę nad wszystkimi górnikami a św. Izydorowi przypomina, że żniwa niedaleko, niechby ustrzegł pola od burzy i gradu. Świętego Józefa i świętego Antoniego wspomina krótko, lecz za to do św. Franciszka — jest przecie w trzecim Zakonie — ma specjalne nabożeństwo. Jemu opowiada o wszystkich zmartwieniach i radościach, jemu skarży się na swe starcze dolegliwości, na ciągłe bóle w krzyżach i na reumatyzm w kościach. Biedaczynie z Asyżu oddaje w opiekę wnuków, synową i syna. Tego syna jedynaka, który jej więcej dokucza, niż krzyże i reumatyzm, dla którego oczy wypłakała... Franuś...

A potem modli się Hajdukowa za duszyczki w czyśćcu cierpiące i za zmarłych. A ma ich tyle, tyle, że gdyby nie mróz w kościach i kościelny, co uporczywie dzwoni kluczami, Hajdukowa nigdy by nie wygramoliła się ze swej kościelnej ławki.

Słońce przygrzewa jeszcze mocno, choć to już odwieczerz. Czerwiec się kończy, niedługo lipiec, żniwa, i już po lecie.

Hajdukowa skręca w opłotki. Idzie powoli, bo jej nie spieszno, i uśmiecha się do siebie, bo myśli o tym nowym proboszczu.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rozległo się nagle głośno na drodze — Magda, a cóż ty tak dumasz? — Zaskrzypiała furtka z podwórza i do Hajdukowej podeszła stara Goczołowa, co to dwóch synów w francuskiej wojnie straciła. — Powiedz, Magda, no, powiedz, dostaliśmy dobrego farorza, no nie?

— Akurat o nim myślę — Hajdukowa popatrzyła na rozradowaną twarz sąsiadki — I dziękuję Bogu i świętemu Franciszkowi za tego nowego księżoszka. Zda mi się bardzo, bardzo dzielny, a kazanie, które powiedział...

— Jak długo żyję — przerywa Goczołowa i ręce z podziwu rozkłada — nie słyszałam takiego kazania. Maryjka i kowalowa Jadwiżka powiedziały to samiuteńko, a Agnieszka rzekła, iż widziała, jak jej chłop ukradkiem sobie oczy obcierał.

— Tak, tak, nie było jeszcze w Tychach a może i w całej okolicy takiego kaznodziei — Hajdukowa mówi to powoli i głową kiwa z wielkim uznaniem — przez całe kazanie nie mogłam od niego oczu oderwać.

— Takiego nam tu prawie farorza trzeba było! Zobaczycie, ten zrobi porządek, ten się weźmie do tych paskudnych pijaków... — Goczołowa ugryzła się w język i z boku spojrzała pomieszana na Hajdukową.

— Powiedz, powiedz, nie mam ci za złe — Hajdukowej twarz pociemniała nagle i postarzała jeszcze więcej — przecież już wszyscy o nim wiedzą, o tym moim Franku i wszyscy go palcami wytykają, jako tego najgorszego. Dzień w dzień przychodzi upity... jedna obraza Boska...

Głos Hajdukowej załamał się, w oczach zaszkliły się łzy.

— Widzisz, Magda, u wszystkich to samo — pociesza Goczołowa strapioną staruszkę — ta sama bieda! Zofia ma chłopa pijaka. Marta cięgiem swojego Józka i Antka w karczmie szuko!, a mój szwagier też się zaprzedał gorzałce.

— Wiem, wiem, że nie ja sama nad tym cierpię i dlatego Bogu dziękuję za tego młodego, gorliwego księżoszka. Wiesz, co mi się najbardziej z jego kazania podobało — zapłakane przed chwilą oczy błyszczą znowu jasno — jak powiedział, że przyszedł do nas, aby nam przynieść pokój. Ja tam tego nie umiem tak pięknie powtórzyć — usprawiedliwia się Hajdukowa — ale moja Urszulka ma dobrą pamięć i ona mi musi te słowa naszego farorza tak napisać, jak on je wypowiedział.

— Będziesz mieć pociechę z tej waszej wnuczki — przytakuje Goczołowa — nie umiałam jej się nadziwać, jak dziś ten wierszyk mówiła księdzu proboszczowi na powitanie. I jemu musiało się podobać, bo ją pogłaskał po głowie.

— Starko, pójdźcie już, mama czekają z wieczerzą! — dziesięcioletnia jasnowłosa dziewczynka wpadła z krzykiem między rozprawiające kobiety. — Byłam już u ciotki Maryjki, bo mama myśleli, żeście do niej poszli.

— No, to już idą. Zostańcie z Bogiem. — Hajdukowa podała sąsiadce rękę na pożegnanie i skierowała się razem z Urszulką ku własnej zagrodzie.

— Starko, widzieliście, jak mnie nasz nowy ksiądz proboszcz pogłaskał i pochwalił? — zaszczebiotała dziewczynka.

— Też by cię miał za co chwalić — Hajdukowa sili się na surowy ton — zaraz zobaczę, czyś uważała na kazaniu, alboś se szeptała z innymi dziećmi.

— Nie rozmawiałam, starko! Spamiętałam sobie całkuśkie kazanie, wszyściutko wam powtórzę — dziewczynka otworzyła furtkę, przytrzymała ją, aż Hajdukowa przeszła, potem wbiegła przez sień do izby. — Starka już są! — krzyknęła matce zlewającej z garnka zupę do stojącej na stole misy. Wokoło stołu siedziało troje dzieci młodszych od Urszulki wymachując drewnianymi łyżkami. W izbie było mroczno, bo przed oknem rosły krzaki bzów i jaśminów.

— Zapal świeczkę, Urszulko — rozkazała Hajdukowa wchodząc do izby — i weź ołówek i karteczkę.

— Zjedlibyście najpierw wieczerzę, starko — odezwała się synowa — zupa stygnie!

— Już, już jem, ino wprzódy musi mi Urszulka zapisać mało wiela z tego kazania to co mi się najbardziej spodobało. Słuchaj — zwróciła się do patrzającej uważnie wnuczki — przypomnij sobie, jak to ksiądz na początku powiedzieli i jak też zakończyli, że przyszli do nas z pokojem...

— Wiem, starko, wiem — przerwała jej dziewczynka — ksiądz powiedzieli o honorze i, że zawołają tak jak Pan Jezus.

— No widzisz, dobrze spamiętałaś — uradowała się staruszka — zapisz mi to zaraz tu, napisz. — Urszulka kucnęła przy ławce i przy świetle łojowej świeczki zaczęła pisać dużym nierównym, dziecięcym pismem. Pisała powoli, namyślając się i kreśląc. Wreszcie poderwała się.

— Już. starko!

— No to przeczytaj!

— ...Przyszedłem, aby wam przynieść pokój.

— Dobrześ utrafiła, dobrze — Hajdukowa jest wzruszona — daj mi tę karteczkę i idź już jeść, no idź.

Nocą Hajdukowa długo nie może zasnąć. Palcami przebiera ziarnka różańca i myśli o nowym proboszczu i jego kazaniu. Chwilami podnosi głowę i nadsłuchuje, czy na drodze, potem w podwórzu i sieni nie rozlegną się ciężkie, niepewne kroki, bełkot i przekleństwa pijanego syna.

Nowy proboszcz w Tychach, ksiądz Jan Kapica, też nie może długo zasnąć w tę upalną noc czerwcową roku 1898. Przez otwarte okno w nocną ciszę izby głośno i wyraźnie wpadają krzyki pijaków wracających z karczmy. Ksiądz Kapica przewraca się z boku na bok, łóżko trzeszczy pod jego po-

tężną postacią, w końcu, gdy nowa fala karczemnych wyzwisk przerwała ciszę nocy wstaje z łóżka.

— Wszędzie to samo — myśli szukając świecy po omacku — ale tu zdaje się, że jest gorzej, niż gdzie indziej. Nie na darmo ostrzegali mnie przed sławnymi browarami Tyskimi. — W izbie zapłonęła świeca rzucając olbrzymi, kanciasty cień księdza na gołą ścianę. Gdzieś na wsi rozległo się pierwsze pianie koguta.

Ksiądz Kapica narzucił na ramiona lekki surdut, przemył oczy zimną wodą z dzbanka i zabrał się do otwierania wielkiej, drewnianej paki stojącej podle drzwi. Powyjmował obcęgami kilka gwoździ i oderwał dwie deszczułki. Na podłogę wypadło kilka książek. Ksiądz Kapica dobył resztę i ułożył na stole ponad dwadzieścia tomów historii powszechnej Weissa.

Od tej czerwcowej nocy, zakłóconej krzykami pijaków, rozpoczęły się dogłębne, wnikliwe studia nad zasadami ekonomii społecznej. Ze względu na browary tyskie interesowała ks. Kapicę przede wszystkim kwestia alkoholowa. Ta kwestia nie pozwalała mu spać spokojnie, ta kwestia stała się jego drugim istotnym „ja”.

— Nie może być — mawiał ciągle — aby ten wróg, alkohol, zwyciężył lud śląski wierny zawsze Bogu.

W listopadzie, w piątym miesiącu swego pobytu w Tychach ogłosił ks. Kopica misje. W całej wsi nastąpiło wielkie poruszenie. Jedni się cieszyli, drudzy, związani z karczmą pili i szydzili.

Hajdukowa była niepocieszona. Reumatyzm gnębił ją tak srodze, że od kilku niedziel nie wychodziła z łóżka. Ani mogła pomyśleć o tym, by wziąć odział w misjach.

— Starko, nie frasujcie się — pocieszała babcię Urszulka — Ja wam wszystko, wszyściutko powtórzę.

W pierwszym dniu misji dziewczynka pobiegła wcześnie do kościoła i stanęła blisko, na wprost ambony. Przez całe kazanie nie odwracała bladej twarzyczki i szeroko rozwartych oczu od postaci kaznodziei. Ta postać przykuwała nie tylko jej oczy ale i oczy wszystkich zgromadzonych do siebie. Jakiś święty czar kładł się na dusze rozpalone żarem słów ks. Kapicy. W kościele panowała głucha cisza przerywana czasem westchnieniem i nagłym szlochem.

Zaraz po kazaniu Urszulka wróciła pędem do domu.

— Starko, śpicie? — pochyliła się nad leżącą w łóżku Hajdukową i ujrzała wlepione w siebie rozwarte oczy.

— Gdzie tam! Czekam na ciebie. No opowiadaj, uważałaś? spamiętałaś wszystko?

—Wszystko, starko, wszystko — zaręczała gorąco, zadyszana jeszcze od prędkiego biegu.

— No to siadaj tu na łóżku i mów. — W izbie było ciemno, tylko ogień z pieca rzucał czerwone kręgi na ścianę. Urszulka opowiadała szeptem, by nie budzić młodszego rodzeństwa i matki, która po powrocie z kościoła kładła się na ławie i zasypiała kamiennym snem spracowanego człowieka. Musiała harować na czworo dzieci, na starkę i na siebie gdyż mąż cały zarobek zanosił do karczmy.

— Ksiądz proboszcz tak zaczęli kazanie — opowiada Urszulka zapatrzona w czerwone kręgi ognia na ścianie. — Był letni wieczór, księżyc zaglądał do izby, w której siedział ojciec i trzymał na kolanach trzyletniego synka, a obok siedziała matka. Na stole stał kufel piwa, z którego ojciec ciągle pociągał, a gdy chłopczyk wolał: mnie też, tato! to wtedy ojciec podsuwał mu kufel do ust. Chłopczyk pociągał łapczywie ze szklanki, a ojciec radował się i mówił do śmiejącej się matki: to będzie tęgi chłopiec.

Po kilkunastu latach znowu zaglądał księżyc do tej izby. Był mroźny wieczór zimowy, a w izbie nie było ognia, nie było ładnych sprzętów, wszystko wyglądało nędznie. W łóżku leżał dwunastoletni chłopczyk, chory a obok siedziała matka. Nocą wrócił ojciec pijany z karczmy i począł wszystkich okropnie przeklinać.

Urszulka przerwała westchnąwszy głęboko, a Hajdukowa leżała bez ruchu, tylko łzy spływały w mroku po jej twarzy. Ani starka, ani wnuczka nie posłyszały skrzypienia drzwi i nie dostrzegły czarnego cienia, co przywarował w sieni. Franciszek Hajduk wrócił dziś wcześniej i trzeźwy do domu, bo karczmarz odmówił gorzałki, póki nie zapłaci długu.

— Znowu minęło kilkanaście lat — mówi Urszulka głośnym szeptem — znowu księżyc zagląda do tej samej izby Przy maszynie do szycia siedzi stara wynędzniała kobieta, a w zdrętwiałych palcach trzyma list. Księżyc zagląda ciekawie do listu, który czyta: „Kochano matko, wybacz mi, gdy otrzymasz mój list, ja już śmierć znalazłem w falach rzeki. Wszystkie twoje ofiarne umartwienia, twoja pracowitość, twoje troski były daremne. Nie uczyłem się, lecz przehulałem twe grosze zaoszczędzone. Byłem wiernym

synem swego ojca...” — Urszulka przerwała, bo starka rozszlochała się na dobre. I w ciemnej sieni też ktoś mocował się ze łzami, co paliły powieki.

W trzecim dniu misji stara Goczołowa przyszła odwiedzić sąsiadkę.

— Magda, dyć masz się z czego cieszyć — wołała od progu — i masz za co Bogu dziękować.

— Nie miarkuję dobrze o czym gadasz — zdziwiła się Hajdukowa.

— O czym? o twoim Franku! To ty nic nie wiesz?

— Nic nie wiem, gadaj prędko — Hajdukowa aż się podniosła na łóżku i nie spuszcza wzroku z sąsiadki.

— Ano widzieli go ludzie wczoraj i dziś na misjach świętych. Ja, bo tam dobrze nie dowidzę, ale widział go Walenty...

— Co też ty gadasz, co... To być nie może. Jezusiczku drogi... — Hajdukowa opadła ciężko na wezgłowie. Przymknęła oczy i trzęsącymi się wargami wymawiała raz po razie imię świętego biedaczyny z Asyżu.

- -

Duża klasa szkolna pełna jest ciemnych i jasnych, ruchliwych główek dziecięcych. Jest nauka religii. Ks. proboszcz Kapica spaceruje w ciasnych przejściach między ławkami i zadaje wszystkim dzieciom te same pytania:

Kogo kochasz więcej? a potem: dlaczego go najwięcej kochasz?

Dzieci odpowiadają różnie. Jakaś dziewczynka spod ściany mówi: ja kocham najwięcej Pana Boga, bo mnie stworzył. Chłopak siedzący koło niej tak odpowiada: ja kocham najwięcej rodziców, bo mnie żywią i przyodziewają. Nagle w ostatniej ławce podnosi się jasnowłosa dziewczynka z bledziutką twarzyczką.

— Ja kocham najwięcej księżoszka — mówi wyraźnie — bo mój tata już nie piją[93]. Urszulka Hajdukówna znowu usiadła na swym miejscu w ławce. W klasie zapanowała nagła cisza. Wszystkie dziecięce oczy wlepione są w dziwnie jakoś błyszczące oczy księdza proboszcza, który raptem pochyla się nad szkolnym dziennikiem, jakby tam ujrzał coś bardzo, bardzo ciekawego.

---

[93] Zdarzenie autentyczne. Materiał rzeczowy z książki ks. dra Emila Szramka: Ks. Jan Kapica.

Ks. Jan Kapica w latach 1900 – 1903 prowadził misje trzeźwościowe we wszystkich śląskich miastach i wsiach.

„Gość Niedzielny”, nr 27/1951, s. 4 – 5.

JADWIGA BERNHARDT

List do zmarłej matki

Kościół opróżnia się zwolna. Po kamiennej posadzce szurają dziesiątki nóg. Przy głównym wejściu tłok największy, wahadłowe drzwi skrzypią boleśnie. Z ulicy wdziera się do kościoła stłumiony gwar rozmów i nawoływań.

Kościelny pogasił światła w bocznych nawach, palą się tylko dwie żarówki przy pierwszym filarze.

Stara Jadwiga, farska gospodyni, siedzi w ławeczce u ołtarza Serca Jezusowego w zupełnym mroku. W palcach trzyma różaniec, lecz się nie modli. Myśli o kazaniu, które co dopiero słyszała.

Przypomina sobie słowa misjonarza i powtarza je szeptem. — Powiedział, że najwięcej cudów czyni Bóg na skutek modlitw matczynych. Gorącym a cierpliwym modłom matek Pan Bóg oprzeć się nie może.

Stara gospodyni podnosi nieco głowę i patrzy na ambonę. Zdaje jej się, że jaszcze teraz widzi kaznodzieję i słyszy jego słowa — „dzieci są największą radością matki i jej największą boleścią”. Jadwiga ma mokre oczy i mokre policzki. Drżącym palcem rozmazuje łzę łaskoczącą ją po brodzie. Bardzo ją wzruszyła ta dzisiejsza nauka misyjna. Bardzo.

Gdy ogłaszano misje i gdy potem przyjechał ten misjonarz, ojciec Stanisław — to Jadwiga była trochę rozczarowana. Misjonarz był chudy, mały — dosięgał księdzu proboszczowi do ramienia — i mówił cichym grosem. Dopiero, gdy wszedł na ambonę, gdy zaczął kazanie — stawał się zupełnie innym. Twarz mu się dziwnie mieniła, zależnie od tego, co mówił. Albo była jasna i pogodna, tak uśmiechnięta, że się nawet ludzie na

kościele uśmiechali, albo też chmurzyła się cierpieniem, a wtedy serca ludzkie ogarniała trwoga i bojaźń.

Drzwi zakrystii huknęły głośno, zatrzaśnięte przeciągiem. Stara gospodyni ocknęła się i rozglądnęła się po kościele, gdzieniegdzie klęczy jeszcze jakaś kobieta, a kulawy Mrozek głośnym szeptem odmawia koronkę przed obrazem Częstochowskiej. Za strzelistymi oknami stoi już czarna, wczesna noc jesienna.

— Czy też Anusia, tak jak nakazywałam, przyrządziła wieczerzę ojcu Stanisławowi? — zafrasowała się nagle Jadwiga. — Trzeba iść jeszcze dojrzeć wszystkiego! — Zgarnęła szerokie spódnice, chustę naciągnęła nad czoło i mocno skrzyżowała na piersiach. Wyszła z ławki i przyklęk-nąwszy na ostatnim stopniu balasek prosiła gorąco.

— Ulżyj wszystkim cierpiącym matkom, Panie Jezu, i wspomagaj naszego ojca misjonarza, amen. — Uczyniła szeroki znak krzyża świętego i szybko ruszyła ku bocznym drzwiom.

Przy furtce prowadzącej na plebanię głośno, z ożywieniem rozmawia kilka kobiet. Gospodyni zbliżyła się niezauważona ciekawie nadstawiając ucho.

— A co, co się z nim stało? — zapytała głośno usłyszawszy nazwisko inżyniera Szymury.

— Nieszczęście!

— Wypadł z windy, jak już ruszyła!

— Nie wyżyje, na pewno nie wyżyje! Obie nogi mu pogruchotało — kobiety otoczyły kołem farską gospodynię i jedna przez drugą informują ją o nieszczęściu.

— Boże ulituj się nad tym biedakiem! — Jadwiga załamała ręce i zafrasowała się głęboko. — Czy księdza proboszcza już powiadomiono o wypadku?

— Dzięgielowa, ta, co sługiwała u inżyniera, prawie co weszła na plebanię.

— Tak?! no to idę! Zostańcie z Bogiem! szkoda człowieka! — wzdychała żałośnie.

Gospodyni przemknęła się szybko przez podwórko, odepchnęła łaszące się do niej psy i wpadła zadyszana do kuchni.

Biało malowana, jasna izba jest pusta. Na stole stoi taca z niedojedzoną kolacją. Stara Jadwiga zagląda niezadowolona do pełnych półmisków.

— Klusek ani tknął, mięsa też nie — mruczy głośno. — Od samego chleba nie wyżyje, o nie! Czemu to ojciec Stanisław nie zjadł wieczerzy? — wola gniewnie do wchodzącej Anusi.

— Bo ojca zawołali do chorego. Jakiś wypadek na kopalni.

— Ach, przecież, zapomniałam! — Gospodyni zawiesza wełnianą chustę na drzwiach i wybiega z kuchni. Sapiąc głośno pnie się schodami prowadzącymi na górę.

Na półpiętrze zetknęła się z spieszącym misjonarzem.

— Proszę ojca, czy ojciec idzie do tego chorego? — pyta zadyszana i tarasuje sobą przejście.

— Idę, właśnie idę — Ojciec Stanisław próbuje wyminąć gospodynię — stało się nieszczęście, muszę spieszyć.

— Gosposiu, wiem już wszystko co trzeba. Ksiądz proboszcz mnie przed chwilą informował.

— A, to dobrze. To już nie zatrzymuję. Niech ojciec spieszy to niedaleko.

Stara Jadwiga schodzi powoli do kuchni. Starczymi wargami odmawia półgłosem modlitwę za konających.

Kobiety plotkujące u furtki plebanii rozsunęły się i poklękały na głos dzwonka. Ojciec Stanisław szeleszcząc nakrochmaloną komżą idzie prędko za biegnącym prawie ministrantem. Latarka rzuca krótkie migotliwe błyski przez swe kolorowe szybki. Mży listopadowy deszcz. Misjonarz rozgląda się po hutniczym miasteczku. Znany krajobraz Śląska otacza go ze wszystkich stron. Czarne zwaliska hałd, wydłużone cienie kominów i szerokie, nieforemne zabudowania kopalniane na łunami płonącym niebie. Jazgot migających w mroku tramwajów miesza się z sykiem pary, turkotem maszyn i gwizdem kolejek.

Już są poza miasteczkiem. Z lewej strony drogi połyskliwą czernią błyszczy się w świetle lamp kopalniany staw. Z prawej strony wśród rzadkich drzew ciągnie się szereg will. Ministrant skręca do pierwszej z brzegu.

Dzwonek ministranta woła głośno. Jękliwie. Ktoś otworzył drzwi na rozcież. Drewniana weranda, mały jasno oświetlony przedpokój i czerwony,

wąski chodnik prowadzący schodami na piętro. Na wprost schodów otwarte drzwi ukazują głąb pokoju: szeroki tapczan, na nim leżący mężczyzna nakryty do połowy kołdrą. W głowach stojąca lampka oświeca łysiejącą głowę, wysokie czoło, oczy zamknięte i ostry długi nos.

W pokoju jest tak cicho, że słychać krople deszczu spadające ciężko na drewniany dach werandy.

Ojciec Stanisław kładzie Sanctisimum i oleje na stole. W tej chwili drzwi z drugiego pokoju uchylają się i do misjonarza podchodzą spiesznie dwaj lekarze.

— Już po operacji — informują go szeptem. — Na żądanie inżyniera przewieźliśmy go do domu. Życia niewiele pozostało.

Lekarze wysuwają się z pokoju. Drzwi przymykają się skrzypiąc z lekka. Chory otwiera oczy. Zrazu patrzy nieprzytomnie, dopiero po chwili jasnym, rozumnym spojrzeniem ogarnia księdza.

— Dobrze, że ksiądz przyszedł...

Ojciec Stanisław pochyla się nad tapczanem i bacznie a dobrotliwie wpatruje się w twarz chorego. Widzi wyraźnie, jak śmierć swym ostrym dłutem rzeźbi te rysy.

— Proszę księdza, zanim się zacznę spowiadać chciałem o coś prosić, o małą przysługę...

— Chętnie panu usłużę, proszę bardzo.

— Napisałem wczoraj list do mojej matki i nie zdążyłem go wysłać. Chciałem księdza prosić, by ksiądz go wysłał. To bardzo ważny list — matka ucieszy się nim bardzo... bo widzi ksiądz donoszę matce w tym liście, że się zmieniłem — chory przerwał. Jego bladą, ostrą twarz rozjaśnił uśmiech. Ojciec Stanisław przysunął sobie krzesło i usiadł. Nie spuszczał wzroku z chorego.

— Moja matka była bardzo dobra. Miała tylko nas dwóch. Mnie i brata. Ja uciekłem z domu... nie podobała mi się opieka matki... i jak to bywa, zerwałem kontakt ze sprawami Bożymi... grzechy się mnożyły., a mój brat, dowiedziałem się o tym później, został księdzem... — Ojciec Stanisław wydobył chustkę z kieszeni. Energicznie wytarł nos i szybko przetarł oczy.

— O matce myślałem często w moim życiu — ciągnie chory dalej — stała mi ustawicznie przed oczyma, jak ciągły wyrzut sumienia... wszystko to opisałem jej w moim liście. Proszę księdza, proszę go wziąć, leży tu w stoliczku, w szufladzie.

Ojciec Stanisław podniósł się. Wydobył białą kopertę zaadresowaną ostrym, energicznym pismem. Ręka jego drży mocno.

— Czy to jest nazwisko matki? — pyta powoli, dobitnie.

— Tak, proszę księdza.

— Bo widzi pan, takie nazwisko miała również moja matka. Ale ona umarła przed rokiem. A całe życie pamiętała o swym drugim synu... a moim bracie... całe życie się modliła, by znalazł właściwą drogę...

— Było już dobrze po północy, gdy cicho zazgrzytał klucz w bramie probostwa. Stuknęły z lekka drzwi, zaskrzypiały schody. Stara Jadwiga ocknęła się z drzemki i chwiejnym krokiem wyszła na korytarz.

— Czemu to jeszcze nie śpicie? — zdziwił się ojciec Stanisław strzepując biret zroszony deszczem.

— Czekałam na ojca z wieczerzą. Przecież ojciec nic nie jadł. Jakże to tak można — mówi oburzona.

— Zjem jutro, to znaczy dziś, i to z wielkim apetytem — ojciec Stanisław żartobliwym tonem próbuje udobruchać gospodynię.

— Ojciec sobie żartuje, a tu żartować nie można, bo jedzenie jest tak ważną rzeczą że...

— Znam rzeczy ważniejsze... — misjonarz przerwał, a głos mu tak dziwnie zadrgał, że Jadwiga spojrzała zdziwiona.

— A co, co ojcze, jak się tam skończyło? — przypomniała sobie nagle — ojciec zasiedział się tam...

— Bo to był mój brat — powiedział misjonarz szybko — brat, o którym nic nie wiedziałem od kilkunastu lat.

Stara Jadwiga zaniemówiła. Dopiero po długiej chwili jej żółta pomarszczona twarz zajaśniała jakimś radosnym przypomnieniem.

— To ojciec dzisiaj na kazaniu o swojej matce wspominał...

— Tak, o niej...

Stara gospodyni wsparła się o odrzwia kuchni i śmiesznie zachliptała. Z podwórza przez szum deszczu doleciało poranne pianie koguta.

„Gość Niedzielny”, 44/1951, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

Rok 1952

JADWIGA BERNHARDT

O Atalii, żonie Helona z Betlejem

Ruben otworzył wieczko małej, hebanowej szkatułki i wydobył z niej kilka zwiniętych papierków. Przysunął olejną lampę i począł skrupulatnie oglądać skrypty swoich dłużników. Z dużej, przedniej izby zajazdu dochodziły go krzykliwe rozmowy i rubaszne wybuchy śmiechu. Nagle wszystko ucichło. Ruben podniósł głowę nadsłuchując. W jego ciemnych, szczupłych palcach drżał wąski pasek skryptu.

— Co się tam stało? — zapytał sam siebie zaniepokojony przedłużającą się ciszą. — Hej tam! Ahir! Co jest? — Na progu komory stanął chłopak z dzbanem w ręku.

— Podróżni przybyli, panie...

— Co za podróżni?! że aż wszyscy ucichli, jakby im mowę odebrało! Czy sam rzymski namiestnik zawitał pod mój dach? — zapytał drwiąco i włożywszy skrypty do szkatułki przeszedł do głównej izby.

Jednym spojrzeniem ogarnął dużą, licho oświetloną komorę. Winem podochoceni goście zabawiający się rozmową i rzucaniem kości szeptali między sobą spoglądając z ciekawością ku drzwiom. Ruben poszedł za ich wzrokiem. Wielkie zdumienie odbiło się na jego smagłej twarzy.

— Co za śliczna dzieweczka... — szepnął zachwycony. — Przebrana królewna... — jego kupieckie, przenikliwe oczy spostrzegły od razu lichą odzież podróżnych i skąpy podręczny tobołek.

Podszedł ku drzwiom gładząc dłonią swoją połyskliwą, miedzianą brodę. Powoli skłonił głowę.

— Pokój wam. Spocznijcie pod moim dachem. Skąd przybywacie? — zwrócił się ku podróżnym.

— Z Nazaretu, panie. Już trzeci dzień jesteśmy w drodze. Proszę o nocleg dla mnie i dla mojej małżonki.

Ruben zdziwił się jeszcze bardziej.

Ta piękna dzieweczka żoną tego prostego człowieka, który wygląda na rzemieślnika? — myślał.

Ruben skłonił się ponownie.

— Rozgośćcie się w moim domu. Słudzy moi zmyją proch z nóg waszych i namaszczą je wonną oliwą. Każą podać wino, owoce...

— Wybacz, panie — podróżny przerwał łagodnie mowę gospodarza — jesteśmy ludzie biedni... w naszym podróżnym tobołku znajdziemy wszystko, czego nam potrzeba. Proszę tylko o kąt spokojny, gdzieby spocząć mogła niewiasta moja.

Ruben skinął na pachołka

— Weź lampę i zaprowadź podróżnych do tylnej komory. Tam nie dochodzi żaden gwar. A potem zaczerpnij świeżej wody w studni i zanieś podróżnym. Gdzie maty słomiane leżą, wiesz.

Maryja podniosła znużone powieki i spojrzeniem podziękowała gospodarzowi za troskliwość. Serce Rubena zabiło żywiej. Nie mógł oczu oderwać od tej twarzy. Bił od niej czar niewinności, wdzięk dziewiczej pokory i słodycz kobiecej dobroci. Promieniał z niej blask pobożności, co jak promień raził hałaśliwych gości w zajeździe i kazał im zamilknąć w obecności tej dzieweczki.

— Chodź, Maryjo. — Józef wziął tobołek, kostur podróżny i wspierając Maryję ramieniem wyszedł za pachołkiem.

Ruben patrzył za odchodzącymi, a wokoło niego rósł gwar gości wracających do przerwanej rozmowy i do gry. Służebna kręciła się po izbie napełniając winem wypróżnione kubki.

Nagle Ruben podskoczył ku wejściu i dopędził Józefa z Maryją.

— Powiedzcie mi jeszcze, dokąd was prowadzi wasza dalsza wędrówka? Może wam będę mógł w czymś usłużyć?

— Idziemy do Betlejem, łaskawy Panie.

— A więc słuchajcie. W Betlejem będzie trudno o gospodę. Idźcie tedy do mojego brata, Helona, którego znajdziecie przy drodze prowadzącej do Jerozolimy. Powiedzcie mu, że posyła was brat jego, Ruben. Strzeżcie się tylko małżonki Helona, Atalii, która ma złe i chciwe serce. Niech ciebie i niewiastę twoją, a także twoje potomstwo potężny Jahwe ma w swej opiece.

Białe domki Betlejem spowijał wieczorny mrok. Chłodny wiatr zrywał ostatnie liście z drzew figowych. Nad krągłymi wierzchołkami pagórków iskrzyły się pierwsze gwiazdy.

W wąskich uliczkach miasteczka panował jeszcze wielki ruch. Podróżni, których dekret cesarza Augusta, z dalekich krańców Palestyny sprowadził do Dawidowego miasta, gromadzili się rozprawiając żywo o cesarskim nakazie, wokoło kramów z oliwą i wokół studni. Prorokowano, że zarządzenia Rzymu nie wróżą nic dobrego narodowi, szemrano po cichu przeciwko namiestnikowi i przeciwko staroście syryjskiemu, Cyrynowi, co pierwszy spis zarządził.

Maryja z Józefem minęli w milczeniu hałaśliwe gromadki. Nie myśleli oni o rozporządzeniach władzy. W sercach ich gościła słodka Tajemnica, której spełnienia oczekiwali z radosnym niepokojem.

Przed zagrodą Hełona, na drodze prowadzącej do Jeruzalem, stały wozy, kilka objuczonych osłów, i dwa wielbłądy. Liczna służba kręciła się wokoło wyprzęgając i pojąc zwierzęta.

Józef westchnął ciężko. Rozumiał, że niełatwo będzie znaleźć miejsce w gospodzie wśród tak licznych podróżnych.

— Chodź Maryjo, wejdziemy do środka i zapytamy o Helona.

Stanęli u wejścia. Wielka izba pełna była ludzi leżących i siedzących na słomianych matach zaścielających podłogę. Nikt nie zwrócił uwagi na nowych podróżnych. Każdy zajęty był sobą.

Józef zatrzymał pachołka przebiegającego z konwią wody.

— Powiedz, gdzie znajduje się Helon, gospodarz tego domu?

— Od dwóch dni leży w złej gorączce. Jeżeli chcecie tu noc przepędzić, to pytajcie o to Atalię, żonę Helona. Zbliża się ku wam, o tam! — Pachołek porwał szybko ciężką konew i czmychnął między gości poczuwszy na sobie groźny wzrok gospodyni.

Józef przypomniał sobie ostrzeżenie Rubena i z rezygnacją zwrócił się do stojącej przed nim potężnej niewiasty.

— Brat twojego męża, Ruben, śle tobie i twojemu małżonkowi pozdrowienia... W jego imieniu proszę o nocleg dla mnie i dla mojej małżonki.

— Skąd idziecie? — spytała ostro, badając wzrokiem podróżnych.

— Z Nazaretu.

— Mogłam się domyślić! — wybuchnęła krótkim śmiechem. — Czyż może być co dobrego z Nazaretu? Gospoda mojego męża nie jest dla włóczęgów i żebraków! Ruben mógłby o tem wiedzieć! Zna mnie przecież!

Józef spojrzał na Maryję. Dostrzegł jej leciutki uśmiech. Ale równocześnie zauważył, że twarz Maryi jest bardzo blada, że głęboki cień kładzie się pod jej oczyma. I chociaż bolesne mu było to, że wystawia Maryję na widowisko, bo coraz szersze koło ciekawych skupiało się wokół nich, zwrócił się ponownie do groźnej niewiasty.

— Słuchaj, nie chodzi wcale o mnie, ale o moją małżonkę. Powinnaś mieć litość nad nią, przecież widzisz, że...

— Widzę, o jakże! Ślepiec by dostrzegł! Czy sądzisz, że gospoda Helona jest przytułkiem dla nowonarodzonych niemowląt?! — pusty śmiech zabrzmiał w kole ciekawych. Teraz Maryja zakwitła rumieńcem. Podniosła powieki i smutnym spojrzeniem ogarnęła szeroką, drwiącą twarz Atalii.

— Chodź, Józefie. Poszukamy innej gospody.

Atalia była tego wieczoru tak zła, jak nigdy dotąd. Krzyczała na służebne, łajała pachołków, z chmurną twarzą usługiwała swym gościom. Gniewało ją to, że nie mogła zapomnieć o podróżnych z Nazaretu, których wygnała. Niepokoiło ją smutne wejrzenie młodziutkiej kobiety, wejrzenie, które utkwiło w jej sercu, jak cierń w palcu.

Była już blisko północ, gdy w gospodzie ucichły krzyki i hałasy. Głośne oddechy śpiących napełniły izby. Pogaszono światła. Atalia, zła i zmęczona zaczerpnąwszy świeżej wody do kruży i przyświecając sobie kagankiem udała się do komory męża.

— Śpisz?

— Nie mogę...ból rozsadza mi czaszkę.

— Już trzeci dzień leżysz, a tu ludzi huk! Już nóg nie czuję, od tej całodziennej bieganiny. Za co mnie Jahwe pokarał twoją chorobą?

— Nie złość się, Atalio...

— Jak się tu nie złościć, gdy wszystko na mojej głowie! A twój brat, Ruben, pewno zmysły postradał, bo posłał tu do nas podróżnych rodem z Nazaretu! Żebraki! Włóczęgi!

— Nie przyjęłaś ich?

— Czyż nie słyszysz, że to byli ludzie z Nazaretu? Gotowi nas okraść...

Zamilkła nagle. Stanęła jej przed oczyma jak żywa, piękna, dobrocią i smutkiem tchnąca twarz podróżnej. Ona miałaby coś ukraść? Atalia wstrząsnęła się. Ogarnął ją znowu wielki niepokój. Odezwał się głos sumienia, nieubłagany, niemilknący.

— Przecież ty, Helonie, też byś nie przyjął złych włóczęgów! — próbowała się bronić, by zagłuszyć wzrastający niepokój.

— Ruben, brat mój jest mądry. Jego oczy przenikają człowieka. Gdyby ludzie ci nie byli sprawiedliwi, Ruben nie byłby ich nam przysłał.

— Zawsze byłeś innego zdania, niż ja! Zawsze, wszystko robisz mi na przekór! — rozzłościła się znowu.

— Uspokój się. Co się stało, tego już nie odwrócisz. Połóż się.

— Odbiegł mnie sen. Muszę ciągle myśleć o tej kobiecie. Ona była w błogosławionym stanie, a wszystkie nasze izby zajęte, przecież nie mogłam jej wziąć do naszej komory... w głównej izbie, między innymi podróżnymi też nie mogła zostać, więc...

— Więc musiałaś ją wygnać!... źle uczyniłaś, niewiasto, bardzo źle.

Atalia nic nie odpowiedziała. Weszła do bocznej komory, zgasiła lampę i rzuciła się na ławę. Nakryła się koźlą skórą i mocno zacisnęła powieki. Ale obraz nie zniknął. Stał się jeszcze wyraźniejszy. Obraz niewiasty z Nazaretu.

Już pierwsze kury zapiały, a Atalia jeszcze czuwała. Dobroczynny sen nie przychodził. Nagle posłyszała głośne, szybkie kroki w podwórzu. Poderwała się. Stanęła na progu mężowskiej komory.

— Słyszałeś?!

— Tak! Kto to może być?

— Popatrzę. — Zapaliła lampę i zbliżyła się ku drzwiom.

— Czekaj? On idzie tutaj! — Kroki były coraz bliższe, głośniejsze.

— Hiram! Skąd się tu wziąłeś? — zawołała zdumiona.

— Co, Hiram? — Helon podniósł się na łokciu i z wysiłkiem wpatrzył się w przybywającego. — Czy stało się jakieś nieszczęście?! Mów!

— Panie, Mesjasz się narodził! Jahwe, niech twoje imię będzie pozdrowione. Hiram wyrzucił te słowa jednym tchem z zadyszanych piersi. Na jego młodej, szczerej twarzy malowała się radość!

— Hiram, co ty mówisz? oszalałeś? Czy masz gorączkę? — Atalia zbliżyła się do chłopaka i z bliska oświetliła jego twarz. — Kto ci to mówił? Czemu porzuciłeś trzody?

— Zostaw go, Atalio. — Helon usiadł na łożu. Czuje, że ogarnia go jakieś podniecenie. — Chodź tu bliżej, spocznij i opowiadaj. Kto ci mówił o Mesjaszu?

— Aniołowie nam mówili.

— Aniołowie?! — zawołali Helon i Atalia równocześnie.

— Tak, aniołowie. Spaliśmy wszyscy, tylko Eliab i Salamiel czuwali, gdy nagłe zbudziły nas jakieś śpiewy, jakieś granie, a na niebie taka była łuna, jakby całe Jeruzalem płonęło. — Chłopak przerwał, zaczerpnął tchu i opowiadał dalej. A oczy mu jaśniały jak gwiazdy. — Potem jeden z aniołów powiedział: „Nie bójcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi. Iż się wam narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym. A dam wam znak; znajdziecie niemowlątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie”.

— I znaleźliście, jako Anioł powiedział? — pyta Helon głośnym, gorączkowym szeptem.

— Znaleźliśmy, panie! Urodził się w waszej grocie, w żłobie, który zrobiłem zeszłej zimy! Była przy niemowlątku matka jego...

— Hiram, słuchaj, jak ona wyglądała?! — Atalia podskoczyła ku chłopcu, ścisnęła jego ramię. Serce wali jej młotem.

— Wyglądała jak... anioł z nieba... ale co to wam?! — przestraszył się chłopak widząc wybuchającą łkaniem Atalię.

— To ona, to ona, Jahwe, zmiłuj się nade mną nędznicą! Nie karz mnie za moją wielką nieprawość — rozpaczała Atalia głośno rwąc włosy i załamując ręce.

— Niewiasto, uspokój się, co ty mówisz? — Helon patrzy z niepokojem na nieszczęśliwą kobietę.

— Helonie, to ta niewiasta z Nazaretu, którą wygnałam z naszego domu! O ja nieszczęśliwa! Zgrzeszyłam przeciwko Matce Mesjasza!

— A jednak Mesjasz narodził się pod waszym dachem. Wszak się narodził w waszej grocie — Hiram spogląda ze współczuciem na Atalię

i mówi dalej swoim naiwnym, chłopięcym głosem. — Matka niemowlęcia jest tak dobra, tak święta, że napewno nie żywi ku wam żadnej nieprzyjaźni.

— Tak, prawda, jest dobra i święta, czułam to, i dlatego nie mogłam przez całą noc oka zmrużyć. Może mi wybaczy — westchnęła ciężko, a potem, nagle, rozjaśniła się jej twarz i zawołała radośnie: — Hiramie, prowadź mnie do niej, do świętego niemowlątka, abym mogła uzyskać jej przebaczenie!

— Dobrze. Ale trzeba coś zabrać dla dzieciątka. Wszyscy mu coś ofiarowali, Salomiel dał pełny koszyk fig, Elizeusz dzban oliwy, a ja nic nie miałem, więc przybiegłem tutaj, by zabrać moją nową suknię i dać niemowlątku, aby nie czuło chłodu.

— Dobrze, Hiram, dobrze! — Atalia klasnęła radośnie w ręce — zabierzemy wszystko, co się da. Krużę wina, chleba dwa bochenki, mięso wędzone, sery, suszone owoce, chodź, Hiram, chodź wszystko przygotować.

Helon osłabiony, rozgorączkowany usłyszaną wieścią opadł na łoże. Słyszał, jak Atalia krzątała się wydając jasnym, radosnym głosem rozkazy. Takiego głosu nigdy u niej nie słyszał. Zawsze była zła, gniewała się i łajała, i była skąpa. A teraz nagle stała się hojna, szczodra. Helon czuł, że wokoło niego dzieją się jakieś dziwne, niepojęte rzeczy. Czuł, że to prawdziwie urodził się Mesjasz, który miał wielką moc, tak wielką moc, że przemieniał ludzkie serca. Wszak przemienił twarde, nielitościwe serce Atalii.

Helon płakał.

A drogą wiodącą ku grotom i stajniom pasterskim stąpał objuczony osiołek popędzany hałaśliwie przez Hirama. Atalia zamaszyście kroczyła na przodzie wypatrując w słabym świetle poranka groty Narodzenia.

„Gość Niedzielny”, nr 1/1952, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

Mgr J. K.

Samorodni pisarze Śląska

Zagadnienie samorodnej literatury ludowej urosło do ważnego i ciekawego problemu dopiero w trzecim dziesiątku lat bieżącego wieku. Krytycy, badacze i sami nawet twórcy rozpoczęli systematyczne, naukowe badania samorodnego piśmiennictwa. Pojawiło się sporo rozpraw, artykułów i przygodnych notatek z tego zakresu. Do poważnych pozycji zaliczyć trzeba antologię K. L. Kamińskiego „Pisarze ludowi" z roku 1938, oraz prace Stanisława Pigonia. Gdy chodzi ściśle o literaturę śląską, to ogromne znaczenie ma dla badacza dzieło W. Ogrodzińskiego „Dzieje piśmiennictwa śląskiego".

Pisarz samorodny we właściwym znaczeniu, to syn robotnika lub rolnika, który pracuje w przemyśle albo na roli i pracę tę ma za swe główne zadanie życiowe.

Gdy chodzi o granice chronologiczne, to literatura samorodna rozwija się od początku wieku XIX do drugiego dziesiątka lat wieku XX.

Prace i osiągnięcia literackie ludu śląskiego pojawiają się bardzo wcześnie i dochodzą do znacznego rozkwitu. Kraj rozdarty na zabór austriacki i pruski nie zapomina swej ojczystej mowy, ale buduje jej trwały pomnik rękami własnych synów. Tych z roli i tych z hut i kopalń.

Śląscy pisarze samorodni wychodzą ze Śląska Cieszyńskiego i ze Śląska Górnego, z okręgu bytomskiego i opolskiego. Liczba ich dotąd nie jest ściśle określona, choćby z tego powodu, że o niektórych z nich nie ma żadnych bliższych wiadomości dotyczących ich życia oraz ich twórczości. Obraz ich dorobku literackiego daleki jest od dokładności, pełno w nim luk i ograniczeń.

Luki te wynikają z trudnej dostępności przynależnych tu materiałów. Trzeba wziąć pod uwagę, że utwory literackie pisarzy samorodnych w drobnej tylko mierze dostały się do druku. Sporo ich przepadło w rozproszeniu i poniewierce już za życia, a zwłaszcza po śmierci autora. Nie inny zresztą los spotyka i utwory drukowane, które pojawiały się w przeróżnych prowincjonalnych często krótkotrwałych czasopismach i kalendarzach. Roczniki tych wydawnictw są albo nie do odnalezienia, albo też o ile istnieją w bibliotekach stołecznych, to wykazują ogromne braki.

To samo da się powiedzieć o tomikach wydawanych przeważnie prywatnym nakładem autorów w prowincjonalnych drukarniach i w niewielkiej ilości egzemplarzy. Jeżeli niektóre z nich dotrwały do dziś, to są to najprawdziwsze białe kruki.

Samorodna literatura śląska rozpatrywana pod względem gatunków literackich wykazuje wcale bogate zróżnicowanie. Zarejestrować tu trzeba na pierwszym miejscu poezję, potem epikę i dramat.

Epika reprezentowana jest w stopniu znikomym Tylko poeci wyższego lotu uprawiali ten trudny gatunek wymagający znajomości kompozycji.

Publicystyka i pamiętnikarstwo wykazuje się bardzo bogatymi plonami. Nie brak również zawiązków prozaicznej twórczości beletrystycznej rozwijającej się zwłaszcza w dziedzinie gawędy, bajki i opowieści alegorycznej.

Główną formę poetyckiej wypowiedzi dla twórczości samorodnej stanowi poezja. Jest to oczywiście poezja dydaktyczna, poezja doraźnej potrzeby. Autor albo do czegoś wzywa, albo przed czymś przestrzega. Są to więc wskazania programowe i nawoływania do walki z karczmą, do oświaty, do działalności politycznej.

Charakterystyczną cechą literatury samorodnej jest więc przede wszystkim jej użytkowość. Jest ona ściśle związana z życiem realnym, jest orężem w walce, a nie narzędziem bezinteresownego zadowolenia estetycznego.

Przez cały ten samorodny dorobek literacki przewijają się dwie główne nuty: nuta patriotyczna i nuta religijna.

Gorące uczucia narodowe biją z utworów apoteozujących mowę ojczystą, oraz z utworów poświęconych znaczniejszym wydarzeniom dziejowym. Najwięcej wierszy patriotycznych wiąże się z Sobieskim i wyprawą wiedeńska oraz z bohaterem w chłopskiej sukmanie Tadeuszem Kościuszko.

Nuta patriotyczna w utworach samorodnych to fakt godny podkreślenia, gdyż mówi on o utwierdzającej się szybko dojrzałości narodowej samorodnych poetów. Fakt ogromnie ważny, szczególnie na Śląsku oderwanym przez setki lat od Polski.

Obok patriotycznych z równym nasileniom występują wątki religijne. W tej to bodajże dziedzinie poezji samorodnej zanotować wypadnie najwyższe osiągnięcia artystyczne. Zwłaszcza niektóre kolędy uderzają rzewnością tonu, bezpośredniością i czystością kompozycji.

Wszelako zaznaczyć trzeba że większość wierszy religijnych jest typowo okolicznościowa i wiąże się z świętami dorocznymi Kościoła, oraz

z parafialnymi uroczystościami. W tej dziedzinie rymy są raczej sztuczne i niewybredne.

Poczet samorodnych pisarzy śląskich otwiera Jerzy (Jura) Gajdzica (1777 — 1840) z Małej Cisowicy koło Ustronia. W swojej kronice cieszyńskiej opowiada on pamiętnikarskim stylem o wielkiej „mozgolskiej" (moskiewskiej) wojnie z 1812 roku.

Adam Sikora (1819 — 1871), tkacz z Jabłonkowa, to najwybitniejszy poeta śląski spod zaboru austriackiego. Na jego dorobek literacki składają się rzewne, artystyczne w swoim prymitywie kolędy i pastorałki.

Trzecim, który wchodzi w krąg pisarzy Śląska Cieszyńskiego, jest Jan Glajcar (1830 — 1899) z Sibicy. Zaliczyć go wypada do publicystów.

Opolszczyznę w poezji samorodnej reprezentują również trzej poeci Jakub Kania z Siołkowic (ur. 1872), Józef Matros z Grabczoka i Franciszek Wilczek z Małego Dobrzynia. Pierwszy z nich Jakub Kania, cieszy się dotąd pełnią sił żywotnych i twórczych. Spod jego płodnego pióra wyszły liczne i różnorodne wiersze okolicznościowe, a także niejedna komedyjka.

Natomiast dorobek dwóch ostatnich pisarzy opolskich zaginął niemalże całkowicie. Poczet górnośląskich pisarzy samorodnych z okręgu bytomskiego jest największy. Z wieku i z urzędu otwiera go Juliusz Ligoń (1823 — 1889). W jego spuściźnie literackiej dominują dwa tony: patriotyczny i religijny. Ten kowal z profesji dał nam zawiązki eposu, gawędę, komedyjki i liczne liryki. Spadkobiercą jego weny poetyckiej został syn, Jan Ligoń. Swoje patriotyczne uczucia wyśpiewał on w „Drukach z ojczystego kraju". Jan Gojda (1827 — 1911) z Cissnego w Lublinieckim para się pędzlem i piórem. Jego dorobek literacki jest bardzo skąpy.

Płodnym piosenkarzem okolicznościowym jest Daniel Szędzielorz (1836 — 1916) z Michałkowic. Uległ on zapomnieniu, choć za życia cieszył się wielkim wzięciem jako poeta.

Rozległym oczytaniem, ba, nielada jaką kulturą literacką może się poszczycić Jan Kupiec (1841 — 1909) z Łąki pod Pszczyną. Jest on jedynym śląskim bajkopisarzem na wielką skalę. Źródła jego baśni są różnorodne i one właśnie mogą być świadectwem wielkiej kultury literackiej autora.

Nazwisko Wawrzyńca Hajdy (1844 — 1923) z Piekar jest równie popularne, jak nazwisko Juliusza Ligonia. Jego górnicze legendy doczekały się druku, ale ulotne okolicznościowe wierszyki poginęły.

W Siemianowicach zmarł przed 21 laty Piotr Kołodziej (1853 — 1931). Jest on autorem kilkudziesięciu obrazków scenicznych. Posiadał w znacznym stopniu trudną sztukę kompozycji. Pod koniec XIX wieku cieszył się Kołodziej wielką sławą. Jego biograf stwierdza, że sztuki kołodziejowe w latach 1892 — 1899 ukazały się prawie dwieście razy na scenie.

Koło pisarzy górnośląskich okręgu bytomskiego zamyka Maksymilian Jasionowski. Żyje on dotąd w cieniu Mariackiego Kościoła w Piekarach szlifując i porządkując swoje literackie prace. Obejmują one i lirykę, i dramat, i zawiązki beletrystyki.

W numerach „Gazety Górnośląskiej" z lat osiemdziesiątych natknąć się można na ładne wiersze Walentego Winklera z Chropaczowa, Augusta Piecha z Świętochłowic i W. Walczucha z Rudy. O tych pisarzach śląskich nic bliższego nie wiadomo.

Literacka twórczość śląskich chłopów, górników i hutników ma nierówny poziom. Równa jest tylko pod względem szczerości wypowiedzi. I to jest ważne.

Do nieporadnych i często banalnych wierszy nie można oczywiście stosować ogólnie przyjętego estetycznego kryterium. To byłoby błędne. Sednem sprawy według Stanisława Pigonia jest to, że samorodni pisarze piszą po swojemu dla swoich.

Jeżeli Kania swymi wierszami, Kołodziej swymi komedyjkami, a Hajda swymi legendami znaleźli posłuchanie w gronie śląskich, prostych ludzi, to tym samym utwory ich stały się ważne i wartościowe.

„Gość Niedzielny", nr 41/1952, s. 6.

Rok 1954

JADWIGA BERNHARDT

Krzyż z wiejskiego kościółka

W jednym ze śląskich wiejskich kościołów znajduje się bardzo stary i bardzo dziwny krzyż procesyjny. Z jednej strony, jak na wszystkich naszych krzyżach, rozpięty jest Pan Jezus. Natomiast po odwrotnej stronie krzyża ukrzyżowana jest Matka Boża. Nie zwisa wprawdzie na przybitych ramionach, lecz stoi prosta, bólem niezmiernym wyprężona, jako prawdziwa Matka Boleściwa, chociaż płaszcz królewski spływa Jej z ramion, a korona królewska wieńczy czoło.

Czy rzeźbiarz nieznany, którego dłuto wyrzeźbiło ten dziwny krucyfiks popełnił pomyłkę? Dlaczego ukazał nam Maryję na krzyżu zamiast pod Krzyżem, jak to widzimy u innych artystów?

Zaiste bardzo mądry był ten nieznany rzeźbiarz z zapadłej, śląskiej wioski. Bez wątpienia światło Ducha św. wiodło dłoń jego, gdy rzeźbiła z jednej strony krzyża Syna Bożego, a z drugiej Bożą Matkę.

Jaka była myśl przewodnia tego artysty, który tak głęboko wniknął w tajemnice wiary świętej? Czy nie ta, że Maryja Panna jest Współodkupicielką świata?

A czy jest nią naprawdę?

Przez krzyż stało się nam zbawienie. A dzieła Odkupienia dokonał na krzyżu jedynie i całkowicie Jezus Chrystus.

Tak, lecz w tym dziele Odkupienia — nie zapominajmy o tym — i my mamy swą cząstkę. Niepojęta, przeogromna miłość Boża ku człowiekowi wezwała nas do uczestnictwa w tym dziele Odkupienia. Każdy z nas, w jakiś sobie dostępny i właściwy sposób, i w tym miejscu, na którym go Bóg aktualnie postawił, uczestniczy w Odkupieniu. Daje z siebie to, co może, a Bóg uznaje w pełni ten drobny, cząstkowy wkład.

Łaskawa, wielka Miłość, która nas, słabych i ułomnych, powołała do tak wielkich rzeczy! Miłość niepomna naszych ustawicznych błędów i upadków.

Lecz wśród słabych i grzesznych ludzi znalazła się jedna, jedyna istota, której nie tknęła grzechowa przewina. Niepokalana. I ona to właśnie w specjalny, doskonalszy sposób uczestniczy w dziele Odkupienia ludzkości

Lecz nie to, że Maryja jest Niepokalanie poczęta czyni z niej Współodkupicielkę rodzaju ludzkiego. Jest jeszcze coś innego, wspaniałego, zakrojonego na wielką miarę — a ukrytego w pokornej, prostej decyzji: Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie wedle słowa Twego.

Ta zwięzła, jasna decyzja Panny z Nazaretu jest prologiem do dramatu Odkupienia. Jest wstępem do dalszego Bożego działania. Bóg czekał na tę właśnie decyzję wypływającą z wolnej woli człowieka, świadomego swego posłannictwa i wszystkich wypływających zeń konsekwencji. Bóg od t ej decyzji Maryi na Wcielenie i Macierzyństwo uzależnił poniekąd i Odkupienie.

Tak tedy Panna Maryja przez pokorne słowa wyrzeczone do Anioła Zwiastowania stała się Współodkupicielką rodzaju ludzkiego.

I słusznie, i pięknie wyraził to ów nieznany rzeźbiarz na swym krzyżu z wiejskiego, śląskiego kościółka.

„Gość Niedzielny", nr 50/1954, s. 6.

❋ ❋ ❋

Rok 1955

JADWIGA BERNHARDT

W świetle roratniej latarki

Andrzej budził się zawsze pierwszy. Otwierał szeroko senne jeszcze oczy i słuchał. Ale w mrocznym zupełnie pokoju panowała cisza spotęgowana miarowym oddechem głęboko uśpionych ludzi. Wtedy Andrzej odwracał się ostrożnie, aby łóżko nie skrzypiało, wyciągał rękę spod ciepłej kołdry i sięgał ku stoliczkowi.

W ciemnym pokoju promieniał uśmiech dziecka gdy palce dotykały gładkich i sztywnych ścian tekturowej latarki.

— Janka, śpisz? — Andrzej nie może już znieść samotnie tej wielkiej radości oczekiwania, która rozpiera jego małe serce.

— Janka?! — Szept jest już głośniejszy, ale pozostaje bez odpowiedzi. Tylko w drugim końcu pokoju, gdzie stoi łóżko babci, głośno zaszeleścił siennik.

Andrzej kuli się prędko pod kołdrą i zamiera w bezruchu. Nawet zamknął oczy — babcia gniewa się zawsze, gdy zauważy, że nie śpi.

Ale Andrzej nie może już zasnąć. Ma co prawda zamknięte oczy, ale to tylko dlatego, że z zamkniętymi oczyma w ciemnym pokoju widzi się dużo lepiej. Wszystko jest jak w prawdziwej bajce... Na dworze zapada wieczór, płoną latarnie na ulicy i w izbie zapalono lampę. W izbie jest ciepło i gwarno. Andrzej siedzi między Józkiem Koczwarą i Antosiem Buglą i przygląda się wszystkiemu szeroko otwartymi oczyma. Na dużym kuchennym stole migocą skrawki czerwonego i zielonego celofanu, którym Basia wykleja otwory w latarkach. Pomaga jej Szymiczkowa Maryjka, która wszystkie te latarki powycinała z tektury. Trzy są gotowe. Dzieci oglądają je z zachwytem, zawieszają na długich drążkach i obnoszą powoli po pokoju.

— Babciu, proszę mi dać świeczkę! — woła Andrzej — moja latarka jest już gotowa! A czy wolno mi ją zapalić? Tylko na chwileczkę — prosi przymilnie.

Świeczkę zapalono i umocowano w latarce. Janka przekręciła kontakt. W ciemnym pokoju tajemniczo zapłonęła roratnia latarka rzucając wydłużone cienie na ściany i sufit. Dzieci zamilkły zapatrzone w kolorowy blask.

I wtedy babcia zaczęła opowiadać. Cicho i powoli, jakby sobie dopiero wszystko przypominała.

— Cztery tysiące lat czekali ludzie z wielką tęsknotą na przyjście Pana Jezusa. Cztery tysiące lat... A na świecie panowała noc grzechu pierworodnego, grzechu pierwszych rodziców i w tym wielkim mroku jedna tylko błyszczała gwiazda, gwiazda zwiastująca niedalekie przyjście Zbawiciela. Mówili o Jego przyjściu prorocy i wołali z tęsknotą przepełnionych serc: „Rorate coeli! Spuście rosę niebiosa i obłoki Sprawiedliwego spuście! Niech się otworzy ziemia i wyda nam Zbawiciela”. Tak i my teraz śpiewamy w czasie adwentu. Bo adwent jest pamiątką tego długiego oczekiwania naszych praojców. Adwent jest przygotowaniem na nowe przyjście Pana Jezusa na świat w dniu Bożego Narodzenia, w betlejemskiej stajence.

Andrzej aż podskoczył i oczy mu się zaśmiały, bo sobie przypomniał choinkę i szopkę i kolędy — ale potem słuchał dalej, bo babcia mówiła tak pięknie...

— Matka Boża zaś najbardziej oczekiwała przyjścia Zbawiciela. Kochała Go przecież najmocniej. I dlatego w adwencie każdego ranka, gdy wszystko jeszcze noc otula, przy ołtarzu Matki Boskiej zapala się świece. A jedna z tych świec jest świecą roratnią i wyobraża Matkę Bożą, która

razem z nami podczas roratniej Mszy świętej wędruje naprzeciw zbliżającego się Dzieciątka. Gdy jutro wcześnie rano zadzwonią dzwony...

Andrzej ocknął się nagle. Tuż za oknem rozległy się głośne dźwięki kościelnego dzwonu.

— Janka, wstawaj prędko, już dzwonią! Janka, słyszysz? — nagli siostrzyczkę wyskakując co prędzej z łóżka.

Wszystko idzie szybko i sprawnie. Ciepłe pończoszki, buciki, szalik, czapeczka. Gdy Andrzej otwiera z babcią drzwi, Janka mocuje się jeszcze z sznurowadłem u trzewika. Ale już w podwórzu dopędza ich.

Na dworze jest mroźno, ciemno i tajemniczo. Tak, jakby już jutro miała być wigilia i pasterka. Brzegiem chodnika biegną dzieci kołysząc latarkami. Najchętniej pobiegłby razem z nimi i byłby już w kościele, gdzie stary Michał zapala świece przy bocznym ołtarzu. W chwili, gdy Andrzej wchodzi do kościoła, zapala ostatnią świecę, tę w środku, przystrojoną w mirt i wstążkę, o której babcia mówiła, że wyobraża Matkę Boską.

Ruchliwy i ciepły blask świecy pada wprost na twarz Najśw. Panny Maryi, której spuszczone oczy patrzą na gromadkę dzieci z migocącymi latarkami, a potem ogarniają cały kościół, w którym zgromadzili się ci, co ruszą z Nią razem w roratniej pielgrzymce naprzeciw nadchodzącemu Zbawicielowi.

„Gość Niedzielny", nr 51/1955, s. 4.

Rok 1957

JADWIGA KUCIANKA

Jako Dobry Pasterz pod Złotym Groniem gazdowanie rozpoczął

Sekretarz kancelarii cesarskiej sięga po następne pismo. Już cały stos większych i mniejszych kart znaczonych czerwonym lakiem pieczęci i żółtobrązowym woskiem leży przed nim na stoliku. Oczy zza szkieł

podnoszą się na chwilę ku siedzącemu za biurkiem cesarzowi, a potem na nowo rozlega się w komnacie równy, ściszony głos czytającego sekretarza.

Karol zapatrzył się w ogień na kominie. Ale jego szeroko rozwarte oczy nie dostrzegają smolnych szczap, na których roztańczyły się czerwone języki płomieni. Do cesarskich uszu nie dociera huk i skwierczenie pękających polan ani też monotonny głos czytającego kanclerza. Myśli cesarza błądzą daleko poza pałacem, poza Wiedniem, poza granicami wiernopoddańczej Austrii, po szerokim szlaku wojennym, który prowadzi z Węgier do Serbii. Szlakiem tym maszerują wojska cesarza chrześcijańskiego, Karola VI, przeciwko tureckiej nawale. Książę Eugen von Savoyen wiedzie je od zwycięstwa do zwycięstwa. W ostatniej wielkiej bitwie pod Peterwardein poległ wielki wezyr Dschin Ali, a potem zaraz poddała się ostatnia twierdza na węgierskiej ziemi, Ternesvar. Pozostało jeszcze zdobycie Belgradu, a pogańska nawała spod znaku półksiężyca zniknie z Europy.

Ale czemu od onegdajszego dnia nie nadchodzą listy z obozu? — zastanawia się cesarz już po raz setny. — Wiadomo, zima chwyciła ostra, wielkie śniegi zawaliły drogi, górskie szlaki znikły w styczniowej zawiei. — Jakby na potwierdzenie cesarskich dumek podmuch wiatru uderzył w okna komnaty z taką siłą, że zamarznięte szyby głośno zadźwięczały, dziw, że nie wyleciały ze skrzypiących ram. Harce styczniowego wichru zbudziły cesarza. Karol drgnął i spojrzał półprzytomnie wokoło.

— Dużo jeszcze listów? — zwrócił sie do sekretarza, oprzytomniawszy zupełnie.

— Jeszcze jeden. Wasza Cesarska Mość.

— Skąd? czyj? ważny? — pytał Korol znużony podciągając futro na zziębnięte kolana.

— Jest to memoriał ojca jezuity Leopolda Tempesa, misjonarza na Śląsku. Pismo w ważnej materii — dodał spiesznie i niepewnie spojrzał na cesarza. — Dotyczy budowy kościoła w Istebnej — obcą nazwę wymówił powoli, z uwagą — w Istebnej na Śląsku, gdzie Leopold Tempes prowadzi misje.

— W I-ste-bnej? — przesylabizował cesarz — na Śląsku? Na Śląsku misje — jako wśród pogan? — dziwił się dalej.

— Tak, Wasza Cesarska Mość — przytaknął sekretarz skwapliwie, zadowolony że nareszcie cesarz czymś się zainteresował. — Istebna leży w niedostępnych górach i srogich lasach, donosi ojciec Tempes. Dwie mile z okładem dzielą Istebnę od kościoła parafialnego w Jabłonkowie — co za pogańskie nazwy — myśli sekretarz. — Ludność góralska pozbawiona przez rok cały nabożeństw, świętych sakramentów i słowa Bożego. Młodzież a czeladź, mieszkająca przy swych owcach w głębokich lasach, wyrasta jak bydełko, bez kapłana, bez spowiedzi... zima w tym górskim kraju trwa siedem miesięcy — sekretarz westchnął ciężko — a tam zimą wszystkie drogi na świat są zamknięte. Ojciec Tempes, wzruszony losem górali i przez nich ciągle molestowany, umyślił kościółek stawiać w Istebnej. Dlatego prosi Waszą Cesarską Mość o pozwolenie na wywóz drzewa budulcowego z cesarskich lasów i obiecuje wzamian mszy dwanaście odprawić w intencji Waszej Cesarskiej Mości, a także obiecuje...

— Do Jego Cesarskiej Mości!

Listy z Serbii! od księcia von Savoyen — na progu stanął poseł z obozu, srodze od mrozu czerwony i fioletowy, z sopelkami lodu na wąsach i brodzie.

— Deo gratias! — krzyknął Karol radośnie i poderwał się sprężyście zza biurka — kanclerzu, łam pieczęcie, a szybko, tamtą zaś sprawę — niecierpliwym ruchem głowy wskazał na pismo, które sekretarz trzymał jeszcze w dłoniach — sprawę kościoła w Ist... — w Istebnej — podpowiedział sekretarz — rozpatrzymy potem, później, później...

Kalendarz na biurku Karola VI wskazywał wigilię święta Gromnic, Roku Pańskiego 1717.

Wiosna ciepłym oddechem uprzątnęła śniegi z jodeł i świerków na Złotym Groniu, na Kubalonce, na Młodej Górze i na Ochodzitej. Pod spojrzeniem wiosennego słońca zazieleniła się dolina Olzy. Rzeka zaś wezbrała lodowatą wodą, rozpryskującą na kamieniach złoto i srebro, a jej brzegi zapachniały wielkanocnymi baziami.

Nad wiosennym krajem rozdzwoniła się sygnaturka. Jej wysoki, podniebny ton, jasny i radosny, ścigał się w błękitach z pieśnią skowronka, a potem leciał ku chatom istebniańskim rozwartym na ścieżaj, drzwiami i oknami. Dzieci wykrzykiwały w polu i na łące swą radosną wolność po długich i dusznych wieczorach zimowych w kurnych izbach.

Hanka krzątała się przy piecu. Głos sygnaturki poganiał ją. Zestawiła garnek z kipiącym wrzątkiem, zlała mleko do kamiennego dzbana. Zajrzała pod pokrywę bulgocących ziemniaków.

— Zuzka, a chodźże ino! — krzyknęła za młodszą siostrą — pilnuj ziemniaków. Lecim na naukę. — Ochlapała twarz i ręce z cebrzyka i mokrą dłonią przygładziła jasno skręcone włosy nad czołem. W mig zrzuciła zabrudzoną zapaskę i nałożyła świeżą. Wydobyła ze skrzyni jedwabną, mieniącą się chustkę i zwinnie związała pod szyją.

— Lecim, uważaj, Zuzka! — Wypadła na drogę i lekkim krokiem pobiegła za głosem sygnaturki. Ciepły oddech wiosennego wiatru budził na bukach, brzozach i dębach małe, zielone listeczki, lepkie i ciasno pozwijane. Olza podskakiwała w dole ochoczo. .

— Hanka, poczkej. Lecisz jako wiater, dogonić cię nie lza.

Dziewczyna przystanęła i obejrzała się za siebie.

— A cóż? — zwróciła swą jasną, szczerą twarz ku młodemu góralowi.

— Nie wydziwiej. Hanka! — rozzłościł się nagle — nikany cię nie widno, ani z tobą pogadać...

— Nie gwor, nie gwor, Michoł, wiesz, kany bywom.

— Wiem, wiem, ale co mi to za rozmowa i zabawa z tobą w doma, bez...

— A mnie co za uciecha z tobą w gospodzie? — przerwała mu prędko, gwałtownie. — Post jest, a ty żyjesz jako pogan, na naukę wielebnego nie przychodzisz, ino w karczmisku siedzisz, z drugimi się swarzysz, wódkę bez rozumu spijasz, a mamie grejcara nie dosz.

— O, jaki szumne kozani — zadrwił — ani welebny lepiej nie powie! Widać, że pilnie jego nauk posłuchosz.

— A ty ino posłuchosz gospodzkiego — podniosła dumnie głowę i odwróciła się, aż zafurkotała zapaska.

— Poczkej, Hanka, na chwilym aspoń! — Michał złapał ją za łokieć — Maryśka z Tokarzonki twoje mo roki, samaś mi rządziła — szło mu ciężko, nieskładnie — a teraz uż mo ogłoszki, drugie...

— Nie, bo trzecie — rzuciła ze śmiechem — nie chodzisz na nabożeństwa, to i nie wiesz.

— No to trzecie, niech będzie — sapnął gniewnie — a ty nic i nic, jakoż tak, Hanka?

— Jakoż? — zwróciła ku niemu nagle spoważniałą twarz — użeś zabył, Michoł, com ci rzekła po godach?

— A co?

— A o tym moim ślubowaniu... — powiedziała cicho i urwała zawstydzona.

— Nale, Hanka — roześmiał się hałaśliwie — dziwoki jakieś.

— Nie, Michoł, nie żodne dziwoki — głos miała równy, spokojny, twarz pobladłą wewnętrznym przeżyciem — ślubowałam, nie będę twoja, aż tu, w naszej Istebnej, kościół nie stanie, prawdziwy, duży, krasny — nie pamiętosz, Michoł? —- pytała miękko.

— Poczekosz ty na twój kościół — zadrwił gniewnie — poczekosz ze dwa, trzy roki, a i więcej. Ale mnie nie w głowie czekani, ani mi się śni. Rozwóż se to dobrze — rzucił groźnie. Wsunął kapelusz na oczy i gwiżdżąc zuchwale zbiegł krętą dróżką ku Olzie.

Hance zakręciły się łzy w oczach. Chciała odpowiedzieć Michałowi, że najpóźniej jesienią, a może zimą się pobiorą. Że przecież już trzy miesiące minęły, jak ojciec Tempes pismo do cesarza we Wiedniu pisał, ani chybi, cesarz odpisze po Wielkanocy i zaraz zaczną budować, przecież wszyscy na to czekają i o tym ino uradzają. — Nic nie powiedziała. Gardło miała ściśnięte, a pod powieką wzbierały nowe, piekące łzy.

Pobiegła prędko wznoszącą się lekko drogą, ale już nie słyszała skowronka i nie widziała młodych, zielonych listków na drzewach. Serce ciężyło jak kamienny dzban pełen lodowatej wody.

Na polanie, na Złotym Groniu, przed skleconym z desek namiotem, klęczała grupka młodych dziewcząt. Tu i ówdzie między burymi chustami, błyszczała śnieżnie biała, krochmalona bluzka. Na stopniach ubogiego ołtarza ojciec Leopold Tempes modlił się głośno przed katechizacją. Hanka uklękła z boku. Od wilgotnej trawy szedł przenikliwy chłód. Takiż chłód czuła w sercu.

— Panie Jezu Miłosierny i Ty, Matko Najświętsza — modliła się z zamkniętymi oczyma mocno naciskając powieki, aby zatamować natrętne łzy — może i Wam to moje ślubowanie zda się niemądre i na nic. Ale tak sobie umyśliłam ku własnemu umartwieniu a w tej intencji, aby Michał stał się pobożniejszy, na nabożeństwa i na naukę jako inni chodził a nie cięgiem w karczmie siedział. Aby żył jako chrześcijanin... — ukryła szybko twarz w dłoniach, aby nie dostrzeżono łez toczących się jak grochy — Matko

Boska, spraw, aby się Michał odmienił — ja Ci dotrzymam ślubowania, choćby mnie to miało dużo kosztować, choćby nasz kościół mieli dopiero za dwa albo i trzy roki budować — zlękła się tego, co powiedziała w gorączce modlitwy — trzy roki, Matko Najświętsza, to strasznie długo, ale jeśli tyle trzeba znieść, aby ino Michał się odmienił, to niech tak będzie.

- -

Michał Kohut pociągnął na jesieni z cesarskimi przeciwko Turkom. Zbrzydło mu życie w Istebnej.

Życie w chałupie, gdzie matka smutnie i z troską na niego spozierała, gdzie ojciec gniewnie i swarliwie się doń odzywał. Zbrzydły mu pohulanki w karczmie i dzikie wycieczki z kamratami do Jabłonkowa, na których wspomnienie wstydem płonęły mu lice. Uciekał w świat przed Hanki jasnym a pełnym cichego wyrzutu spojrzeniem.

Minęła długa i ostra zima, a od Michała nie było wieści. Przyszła wiosna, lato. Hanka stawiała kopce pachnącego siana na łące, potem wiązała ostre, kłujące snopy żyta u stóp Młodej Góry, potem kopała ziemniaki zgięta boleśnie, a imię Michała ustawicznie powtarzało się w jej pacierzach. Czekała listu, ale nie nadszedł przed zimą.

Czekał listu i ks. Leopold Tempes; najpierw listu z Wiednia, z cesarskiej kancelarii, potem zaś z biskupiej kurii we Wrocławiu.

W dalekim świecie grzmiały armaty a cesarskie pułki zmagały się z Turkiem. Z północy nadciągały zwały czarnych chmur brzemiennych śniegiem. Nad górską krainą rozhulał się mroźny wiatr, nowa zima białym skrzydłem nakryła Istebnę. Nie była w tym roku taka ostra, ale za to nie było jej końca. Kalendarz wskazywał pierwsze dni maja, a dni były chłodne i wilgotne. Ludzie nie zrzucali kożuchów i ogień podtrzymywali w izbach. Na Kubalonce spadł świeży śnieg, na pół chłopa. Wóz pocztowy, którego wyglądano we wtorek, przybył dopiero w środę na odwieczerz do dziedziny. Woźnica klął zaśnieżone, oślizgłe drogi i kąsający halniak. Przywiózł do Istebnej dwa listy z dalekiego świata, upstrzone kolorowymi znaczkami. Jeden był z Wrocławia dla ojca Leopolda Tempesa, a drugi, z Wiednia, dla Hanki Juroszek. Wzięła go w dygocące pałce i z zapartym tchem wpatrywała się w czarne, niezrozumiałe znaki.

— List od Michała — stukało jej serce radosnym przeczuciem — list od Michała. — Narzuciła z gorączkowym pospiechem chustę na ramiona,

wzuła kierpce — mamo, lecim do w ielebnego — krzyknęła w stronę pochylonej nad maślnicą kobiety — poproszę, coby przeczytali pismo.

— Poczekaj, dziewczę, do rana — matka przygląda się z troską rozgorączkowanej córce — czekałaś tela, to i tę nockę jeszcze przeżyjesz.

— O nie, mamo, — krzyknęła gorąco. Wzięła pismo i ukryła je pod chustą — zaraz będę nazad — lecim, hute, huteczki — i wybiegła jak wiatr.

— Ano, jako uż tam — stęknęła stara — tak ci pilno, a nie wiesz, co w liście stoi, może a i o nieszczęściu — mówiła do siebie. Nie wróciła do przerwanej roboty, ale uklękła ciężko przed obrazem Frydeckiej Panienki i zaczęła wieczorne pacierze. Modliła się za obie swe córki, za Zuzkę, która choć młodsza, jest już gaździnką, i za Hankę, co niełasa na zaloty innych chłopców, czekała Michała.

— Panienko Święta — prosiła — niech ten list ze świata przyniesie dobre wieści Haniczce. Niech jej Michał nazad się wróci i niech będzie stateczniejszy a pobożniejszy. — Posypały się zdrowaśki za najbliższych. A potem utrudzone dłonie wzniosły się jeszcze raz błagalnym gestem ku obliczu Bogarodzicy — Wstaw się za nami w naszej wspólnej potrzebie. Mateczko; niech w naszej wiosce stanie nareszcie dom Boży jako indziej, nasz kościół, parafialny.

Ojciec Tempes czyta uważnie długi list. Pisze go kapelan szpitalny z wiedeńskiego lazaretu, gdzie Michał Kohut leczy się od kilku miesięcy. Jezuita czyta list najpierw dla siebie, a w twarzy jego odbijają się różne uczucia. Hanka śledzi je z natężoną uwagą, to ciesząc się, to lękając.

— Widzisz, Hanka — nie daremne były twoje modlitwy, twoje umartwienia, twe ślubowanie — ojciec Tempes patrzy z d obrocią na dziewczynę, której twarz promienieje rodzącą się nadzieją — Michał zmienił się do imentu, jako tu pisze jego kapelan, jest nabożny, gorliwy w słuchaniu słowa Bożego, spoważniał bardzo — przerwał misjonarz, wzruszony łzami dziewczyny, a potem mówił dalej — Michał chce wrócić do domu jak najrychlej, bo wojna dawno się już skończyła, i pyta się, Hanko, czyś jeszcze swobodna — ojciec uśmiechnął się lekko — czyś się jeszcze za innego nie wydała, i, no, zgadnij, o co jeszcze się pyta, zgadnij.

— Isto o nasz kościół, czy już wybudowany — wyrwała się ze śmiechem.

— Zgadłaś, o to pyta. No i trzeba mu będzie odpisać, że pewnie przed godami jeszcze będziemy święcić nasz kościół w Istebnej — dodał tajemniczo i popatrzył z boku na Hankę.

— Co to mówią, welebny panie? — pytała nie rozumiejąc.

— A widzisz — podjął radośnie — ja też dzisiaj pismo otrzymałem, a nie ino ty. Podszedł sprężyście do stołu i podniósł z niego pismo z czerwonymi pieczęciami — biskup pisze, że możemy rozpoczynać z budową kościoła — dokończył z niezmierną ulgą.

— Nale się ludzie ucieszą — Hanka poderwała się z ławki — cięgiem ino o tym jednym uradzają od trzech zim. Ano to ja już pójdę, Welebny — zakręciła się żywo koło drzwi, rozradowana wieścią o Michale i o kościele.

— Zaczekaj jeszcze chwilę, Hanka, jeszcze nie wszystko ci powiedziałem, co w tym liście stoi — głos księdza Tempesa zabrzmiał troską, a w jego oczach spoglądających na jasną twarz Hanki odbił się głęboki niepokój. — Widzisz, Michał choruje, ciężko, choruje już od zeszłorocznej zimy...

— A cóż to mu jest? — spytała zduszonym głosem — nie mogą go wylekować?

— Na wojnie go postrzelili... — zamilkł i nie dokończył tego, co miał jeszcze powiedzieć — ale nie trap się, Hanka, da Bóg, że Michał wróci niedługo. A dam wam ślub w nowym naszym kościele. Ale jeszcze ciągle, musisz się modlić i za Michała, i za nasz Kościół.

Hanka cicho, w ogromnym skupieniu, przytaknęła głową. Ucałowała rękę misjonarza i wyszła w rozgwieżdżoną noc. Przed nią ciemną sylwetką majaczył ubogi namiot pasterski, w którym zamieszkał, zamiast w bogatym kościele, Pan Wszechświata pod postacią chleba. Hanka uklękła do samotnej z Nim rozmowy.

Na Tokarzonce, na Oleckach i na Pietrzonce ścięto co najsmuklejsze dęby i buki. Karki wołów prężyły się w straszliwym wysiłku, gdy wozy skrzypiąc i pojękując pięły się na stoki Złotego Gronia, gdzie kopano fundamenta pod kościół.

Pokrzykiwania woźniców odbijały się echem w zielonej dolinie Olzy.

Z Jabłonkowa i z dalekiego Cieszyna przywożono ciężkie, trzycalowe gwoździe. Kowalowi i jego czeladnikom ręce upadały od roboty, bo cieśle, co pracować mieli przy budowie, przynosili to piły, to znów młoty, to zaś sie-

kiery do naprawy. A tu żniwa w pełni i co wieczór trzeba było kuć a brusić popsowane za dnia sierpy i kosy.

Ojciec Leopold miał roboty huk: jeździł dwakroć do Jabłonkowa i naradzał się z jabłonkowskim plebanem nad dzierżawą pola, co to je zakupić miano na wyposażenie istebniańskiego kościoła. A potem, kilka wieczorów z rzędu, uchwalano świadczenia na rzecz nowego kościoła. W przestronnej świetlicy, w chałupie wójta istebniańskiego Jana Burego, siadali na ławach znaczniejsi gazdowie: Antoni Eyrt z dziedziny, Paweł Horatyk z Jasnowic, Jakub Kukuczka starszy i młodszy z Czerechli. Z Jaworzynki przychodził wójt, Jan Juroszek i jego teść, mądry i stateczny Szymon Czepczor.

— Tak mi się zdaje, że Istebna może dać siedem kop gontów rocznie — mówił z namysłem wójt Jan Bury — nie jest tego ani za dużo, ani za mało. — Czego zaś nie spotrzebuje się przy kościele i farze, to się sprzeda.

— My możemy dać tylko cztery kopy gontów rocznie — zastrzegał się wójt Juroszek z Jaworzynki. — Nasza gromada jest mniejsza i uboższa. Ale za to na nauczyciela i kościelnego łożyć będziemy tyle, ile wypadnie po sprawiedliwości.

— A jako będzie z posyłaniem wozu po welebnego przed każdą niedzielą i świętem? — pytał Kukuczka.

— Ano, będzie na zmianę. Jako uznocie, welebny panie? — Ojciec Tempes spoglądał kolejno po rozgorączkowanych twarzach gazdów i cieszył się ich troską i uwagą, z jaką zajmowali się sprawami przyszłego kościoła.

Krotko po świętym Augustynie zjechał z Cierlicka ksiądz proboszcz Paweł Mizia, który piastował urząd administratora komisariatu biskupiego. Razem z ojcem Tempesem i obydwoma wójtami ułożono i spisano wszystkie te ważne akta, podbito je pieczęciami i wysłano do biskupa we Wrocławiu.

Na święto Podwyższenia Krzyża Pańskiego, 14 września 1720 roku, rozpoczęto budowę kościoła. Na słonecznym stoku Złotego Gronia zaśpiewały piły, zastukały młoty. Siekiery migały w sprawnych rękach cieśli.

Wojciech Birt, ręka w rękę z Pawłem Juroszkiem, wiązał deski na południową ścianę kościoła. Jemu naprzeciw pracował Andrzej Bielosz z Franciszkiem Marekwicą. Jakub Bury doglądał rzemieślników z Jabłonkowa i żołnierzy z wielkich szańców mosteckich, którzy też się

zgłosili do budowy. Jura Kawulok sposobił co gładsze deski do ołtarzy. Kręcił się przy nim jego najmłodszy synek, co już sobie bardzo sprytnie poczynał z rzeźbą w miękkim, lipowym drzewie.

Ojciec Tempes z brewiarzem w ręce kręcił się po gwarnej i rojnej budowie, wśród wesołych twarzy majstrów i rzemieślników, którym robota paliła się w rękach. Tu i tam wystrzelało w słoneczne niebo głośne, radosne helokanie i długim echem pozdrowienia biegło ku pasterskim szałasom.

— Welebny panie, nasi juhasi od Jaworzynki zejdą jutro-pojutrze i też popracują przy kościele — Jałowiczor wsparł się na pieńku i patrzy w góry — przy owcach zastąpią je na ten czas nasze baby i dziewki.

— Uwidzicie, welebny — odezwał się Bestwina — że zanim śnieg spadnie na ten świerszczek, gonty zaświecą na kościelnym dachu.

— Nie na gody, ale już na święty adwent uporamy się z całą robotą — wołali z wielką pewnością siebie drudzy.

Gaździnki przynosiły warzę swoim mężom i synom, a niejedna z nich złapawszy za młotek lub siekierę machała nią niegorzej od chłopa. Któregoś południa, zamiast Gazurowej, przyleciał na budowę jej dwunastoletni chłopak, Pało, z poleśnikami dla taty. Cieślowie siedzieli na zwalonych pniakach pykając z fajek i zażywając ciepłego jeszcze słoneczka. Byli zadowoleni i w dobrych humorach — toć robota szła szparko naprzód — i figle im po głowie chodziły. Kawulok, gdy dojrzał Gazurowego Pawełka rozglądajacego się za tatą, mrugnął na Klepka i na Wojtka od Mików i naraz wszyscy trzej, łap Pawełka za kark, za ręce. Położyli wystraszonego chłopca na trawie obróciwszy go dnem do góry i wprawne w młócce owsa ręce zaczęły w młockarskim rytmie okładać nieboraka.

— Ujcu, jo to nie był! — darł się Palo — to Janiczek! On Wom porwoł te trzy gwoździe! Jo nie, puście mie! — wrzeszczał.

— Nie o te gwoździe idzie, Paleczku — wyjaśnił zziajany Kawulok — inoś dostoł po galotach, cobyś całe życie pamiętoł, a nie zabył, iżeś mioł honor tacie poleśniki przynosić, jak my robili przy Istebniańskim kościele — poklepał nastroszonego Pawełka po plecach i śmiejąc się ruszył z drugimi do przerwanej roboty. — Jeszcze w pól wieku później stary Paweł Gazur ze śmiechem opowiadał babom przy szkubaczce, jak boleśnie odczuł w dzieciństwie powstanie kościoła w Istebnej.

Hanka Juroszek, jak inne dziewki i gaździnki, co dnia stawiała dwojaki przed Pawłem Juroszkiem, co był jej ujcem a opiekunem od śmierci ojca.

Poglądała po wznoszących się coraz wyżej białych, pachnących ścianach, a potem patrzyła na góry płonące złotem i czerwienią wrześniowych liści.

— Dziewczę, nie dumaj próżno, ale rób co — strofował ją dobrotliwie Juroszek obcierając wąsy po zsiadłym mleku.

Brała puste garnki i zbiegała ku chałupie, gdzie razem z matką aż do zmierzchu haftowała obrus na ołtarz do nowego kościoła.

Na drugi dzień znowu stała z dymiącymi dwojaczkami w ręce na budowie i szukała wzrokiem ujca.

— Ujcu, pójcie hute na kartofle ze skwarkami! — zawołała dostrzegłszy go nareszcie — zimne są złe — Podeszła bliżej ku krewniakowi, który razem z drugimi rozmawiał z jakimś obcym i raptem kolana ugięły się pod nią a w oczach zaćmił się cały świat.

— Michoł, na zkielżeś się tu nabroł!? — zapiszczała jak dziecko i poderwała się ku niemu, rozpychając otaczających go.

— Ano, o wilku mowa — Juroszek szturknął łokciem Kohuta — a odwróćże się, Michol! — Odwrócił się jakoś niezręcznie. Hanka ujrzała bladą, zmizerowaną twarz i płonące oczy, w których prócz radości powitania drga dziwny niepokój. I wtedy spostrzegła, że z prawego ramienia zwisa mu pusty, wiotki rękaw. Z cichym okrzykiem bólu przylgnęła ku niema. Przygarnął ją bez słowa swą jedną zdrową ręką.

Wśród otaczających ich majstrów i czeladników zapanowała cisza taka, że słychać było plusk Olzy płynącej w dole.

— No, do roboty, chłopcy! — zawołał najstarszy cieśla. Marekwica, otrząsnąwszy z siebie ciężar smutku — musimy się chwacko sprawiać, aby jak najszybciej wypić zdrowie młodej pary.

— Michoł, a żebyś nie myślał, że się wymigasz od roboty — dorzucił raźno Juroszek — będziesz tak machał twoją zdrową ręką przy pile, że ci ani taki tur jak Jura Marekwica nie sprosta. — Na budowie uczynił się znowu radosny gwar. Zadźwięczały siekiery, zagrały piły. Michał też złapał ochoczo za piłę. Zaśpiewała cicho, a spod srebrnej klingi posypał się biały pył.

Hanka podniosła stojące na ziemi garnki. Zeszła na drogę ku chałupie. Na zakręcie odwróciła się i podniesioną ręką żegnała spoglądającego ku niej Michała. Zwiewna nitka babiego lata omotała się wokół jej wzniesionej ręki srebrnym śladem.

— Przędza Bożej Matki — szepnęła, i z dziecięcą ufnością zwróciła się ku Tej, która patronowała jej ślubowaniu — zwróciłaś mi go kalekim na ciele, ale zdrowym na duszy, a o to Cię przecie prosiłam i za to Cl dziękuję. — Pobiegła raźno przed siebie.

Na święto Niepokalanego Poczęcia spadł pierwszy śnieg. Dzień wstał mroźny i rześki. Promienie słońca ślizgały się po białych czubach jodeł i świerków strojących się już powoli na Gody.

Do istebniańskiego kościoła już od wczesnego świtu ciągną górale wszystkimi leśnymi szlakami: Od Wisły i Kubalonki, od Koniakowa, Jaworzynki, Zapasiek i ci najbliżsi od Jasnowic. Idą raźno za głosem dzwonów, które to ich wyprzedzają, to znów dalekim podniebnym echem grają za nimi. Ludzie z dalszych okolic, od Jabłonkowa i Cierlicka, a nawet od Cieszyna, przybyli już poprzedniego dnia i rozgościli się po chałupach w dziedzinie, u zamożniejszych gazdów albo u swoich krewniaków.

U Juroszków w Jasnowicach już od pierwszej niedzieli adwentu siedzi krewniaczka z Jabłonkowa i pomaga gaździnce w przygotowywaniu wyprawy dla Hanki. Trzeba sypać brzuchate pierzyny i zagłówki, szyć świeżym płótnem pachnące prześcieradła i ręczniki.

Teraz, przy wielkim święcie parafialnym, spracowane dłonie kobiet splotły się w modlitewnym geście, a oczy zmęczone nad igłą i kołowrotkiem mrugają olśnione blaskiem świec jarzących się na ołtarzach.

— Nasz kościół, nasz kościół — jednym radosnym i dumnym rytmem biją serca Istebniaków zgromadzonych w nowym kościele. A kościół pachnie jak las, świeżością dębowych ścian, lipowych ołtarzy i jedliną wieńców zwisających od stropu do pawlaczy.

Ksiądz Leopold Tempes święci nowy dom boży. Odmawia głośno modlitwy, porusza srebrną kadzielnicą i poprzez pachnące dymy spogląda raz po r az po z gromadzonym tłumie, szczelnie wypełniającym nawę. Czerwienią się brucliki mężczyzn przyćmione brunatnymi guniami, jaśnieją delikatną bielą koronki na czołach niewiast, mienią się jedwabne chustki, tu i tam spod rozpiętego kożuszka zabłyśnie srebrem haftowany żywotek lub pas ciężki, złotolity.

Hanka Juroszek stoi przed ołtarzem Matki Boskiej. Jeszcze wczoraj, wraz z matką, przypinała obrus do ołtarza. Kręte warkocze koronki splatają się w litery Imienia Bożej Rodzicielki. Brzegiem obrusa biegną promienne

gwiazdy, każda inna, odpatrzona z śniegowych płatków topniejących w cieple rozpostartej dłoni.

Od głównego ołtarza spogląda Dobry Pasterz na swoją nową trzódkę.

W dwa dni po Trzech Królach cała wieś wyległa na plac przed kościołem, by powitać orszak weselny. Pierwszy ślub w nowym kościele, pierwszy, najpierwszy. Drużki prowadzą młodą panią, drużbowie pana młodego. Ks. Tempes nakłada białą stułę, by nią przewiązać dłoń Hanki Juroszek z dłonią Michała Kohuta.

1. Budowę kościoła przeprowadzili miejscowi cieśle.

2. Według zapisek kroniki obrusy na ołtarz Panny Maryi ofiarowała Jadwiga Juroszkowa z Kohutów, gospodyni w Istebnej.

3. Kościół, o którym tu mowa, okazał się z czasem za mały, toteż w latach sejmu czteroletniego, 1792 — I794, buduje się w Istebnej nowy, murowany kościół, stojący do dziś i służący jako kościół parafialny. W niektórych chałupach istebniańskich pokazują w powale belki, które przetrwały z rozbiórki pierwszego kościoła. Drewniany kościół stał mniej więcej w tym miejscu, gdzie teraz stoi kamienna figura Bożej Matki, z tego kościoła przechował się duży rzeźbiony krucyfiks, widoczny nad bocznym ołtarzem obecnego kościoła.

„Gość Niedzielny", nr 8/1957, s. 5; nr 9/1957, s. 5; nr 10/1957, s. 5; nr 11/1957, s. 5.

JADWIGA BERNHARDT

Donna Francesca Romana

— Don Antonio, Don Antonio, dziś byłyśmy z Vannozą na via Struzzo, zaopatrzyłyśmy osiem rodzin — radosny, dźwięczny głos wybiega księdzu naprzeciw, gdy przekracza próg izby Franceski — nie mam już ani solda przy duszy. Patrz, wszystkie sakwy puste. Znalazłyśmy dwie opuszczone żebraczki, nieledwie na śmierć zagłodzone. Uprosiłam Arpinę, by miała o nie staranie, jeszcze pożyją kopę lat — roześmiała się mimowolnie. — Potem było aż czworo dzieci jęczących w malignie. A w podwórzu, w drewutni, za domkiem kulawego Andrzeja, leżała młoda matka; w moim wieku jest, Don Antonio, a obok niej spało smacznie niemowlę, co dopiero urodzone. Przypomniała mi się stajenka betlejemska, gdy patrzyłam na

uśmiechnięte przez sen dzieciątko nędzy nieświadome — mówiła wzruszona. — A potem odprowadziłam jeszcze do szpitala, do Don Sebastiana, młodego rybaka, któremu gnije noga zraniona przed kilku miesiącami w kolanie. — Franciszka opowiada żywo, głośno. W jej dużych, czarnych oczach plonie podniecenie, a smagłe, szczupłe policzki barwi ciemny rumieniec wewnętrznego przeżycia. — Ach, Don Antonio, chciałabym co dzień chodzić do moich biednych. Chciałabym się tylko nimi zajmować. Don Antonio, drogi Don Antonio, wstaw się za mną u ojca — bo matkę przekonam sama — wtrąciła pewnie, rezolutnie — niech mnie już puszczą do klasztoru. Do sióstr franciszkanek! W dzień i w noc będę im pomagała! Don Antonio, będziesz orędował za mną u rodziców, prawda? — W jej szeroko rozwartych oczach lśnią łzy apostolskiej żarliwości.

— Dziś, Francesko mam orędować u ciebie, byś prośbie i woli rodziców była powolną.

— Trwożysz mnie, Don Antonio — dziewczynka usiadła zalękniona na zydlu — jesteś taki poważny... o co proszą, co mi nakazują rodzice, jeżeli to czynią przez ciebie? A może, Don Antonio, może mi zakazują moich częstych wędrówek na Zatybrze? — poderwała się gwałtownie, aż zydel upadł z gruchotem na ziemię — przecież ci biedni ludzie nie zrobią mi nic złego! A czarna zaraza może przyjść na mnie równie dobrze tu w pałacu, jak tam, w ich walących się norach!

— Uspokój się, Francesko, nie o to chodzi.

— A o co, Don Antonio?

— Usiądź spokojnie i słuchaj — ksiądz patrzy zamyślony w błyszczące, wlepione w niego oczy. Dostrzega szczupłe palce nerwowo zaplatające czarnolśniące warkocze. Myśl kapelana pracuje z natężeniem, ostatnia, gwałtowna modlitwa o moc przekonania szturmuje niebo.

— Don Antonio, mów, czegoś się boję...

— I ja się boję..., że cię nie zdołam przekonać o słuszności planów rodzicielskich i Boskich zarazem... Francesko, pomóż mi i pomódl się też. Widzisz, zawsze ci powtarzałem, że kochać Boga, to znaczy to czynić, co On chce. Nic więcej. A ty, Francesko, chciałabyś więcej, dużo więcej. Ty chcesz uciec ze świata, z bogatego, spokojnego domu, od miłości matki i ojca, chcesz zrezygnować z tego, o czym marzą twoje rówieśnice, z własnego domu, z własnej rodziny, z męża i dzieci. A Bóg w tej chwili, przez usta rodziców, chce tylko jednej rzeczy od ciebie...

— Jakiej, ojcze? — zdławiony, trwożny szept.

— Byś miast klasztoru, męża wybrała.

— Ależ, Don Antonio, to niemożliwe! Wiesz dobrze, że to niemożliwe!

— Dlaczego, Francesko? Jeżeli kochasz Boga, jeżeli Go naprawdę kochasz, nie odmówisz Mu tej ofiary. Zrezygnujesz z powołania zakonnego, poślubisz męża, Francesko, a im większa, będzie twoja ofiara, tym większa będzie i łaska wytrwania.

— Ty wiesz najlepiej, Don Antonio, jak dawno już marzę o tym, by żyć życiem klasztornym, życiem świętym...

— Możesz i w małżeństwie żyć święcie. A niewiadomo zgoła, gdzie świętość ta trudniejsza — w klasztorze — li, czy w małżeństwie. Francesko, pomyśl, zastanów się, może jesteś powołana na to, aby być dobrą matką i dla Boga wychować dzieci? — Don Antonio mówi żarliwie, gorąco. — Znam tyle matek bogatych, wykształconych i szlachetnie urodzonych dam, które nieszlachetnie wychowują swe dzieci, bo są leniwego serca i gnuśnych rąk. Może ty im masz pokazać, co znaczy być dobrą matką? A to zadanie wielkie i święte, Francesko.

Dziewczyna milczy. Usta jej drżą od powstrzymywanego płaczu.

— Lorenzo Ponziani ma być twoim mężem. Już przed laty zostałaś mu przeznaczona. I teraz właśnie, właśnie teraz, zastanawiam się nad tym, czy i przez Opatrzność nie jesteś do tego przeznaczona, by zbliżyć tego człowieka ku Bogu — zadumał się Don Antonio i z niepokojem zmierzył drobną, dziewczęcą postać. Wąskie barki, szczupłe ramiona, ręce dziecięce. — Bo widzisz — Lorenzo, choć orężem Orsinich broni Kościoła, wcale nie żyje nabożnie. Obiecał wprawdzie nie bronić ci majątku swego dla biednych, ale... ile tego majątku pójdzie na zabawy i hulanki... Ty, Francesko, mogłabyś jego żołnierską duszę przemienić na prawdziwie rycerską a dom jego zamienić w Nazaret. Czy słuchasz mnie, Francesko, rozumiesz, o czym myślę?

— Słucham, Don Antonio, ale nie wszystko pojmuję, bo tak mi ciężko...

— Żadna ofiara, Francesko, nie jest daremna. I choć nie zawsze pojmujemy, jaki jej cel, uchylić się od niej rzecz niegodna.

Don Antonio powstał i uczynił nad ciężko zwieszoną głową znak krzyża.

— Zostawiam cię teraz, Francesko, pomyśl nad tym wszystkim, porozmawiaj z Bogiem, i nie zapomnij, że tam, na dole, czekają na twoje zdanie ojciec i matka. Że czekają w smutku, w trosce o ciebie.

Niełatwa to była walka, którą tej nocy i dnia następnego toczyła Franceska. Dopiero przed nocą przypadła do rąk rodziców, messtra Paolo de Bussi i donny Jacobelli całując je w świętym posłuszeństwie.

Był rok 1410. W jasny, słoneczny ranek rozdzwoniły się dzwony wszystkich rzymskich kościołów. Głoszą nowinę o wyborze nowego rzymskiego papieża, Jana XXIII[94].

Ulicami miasta ciągną procesje. Mienią się złotem szyte kapy i dalmatyki książąt Kościoła, migocą łańcuchy i medaliony na aksamitach i atłasach rzymskiej szlachty, skrzą się guzy diamentowe spinające szkarłatne płaszcze rycerzy. Promienne błyski strzelają z odkrytych kling długich szabel i krótkich mieczyków stalowych. Ciągną tłumy zakonników z zapalonymi świecami, bielą się kornety klarysek i sióstr od św. Benedykta, jasne głosy kleryków śpiewają łacińskie hymny. Na placach tłumy ludzi wiwatują na cześć nowego papieża.

— Mamo, podnieś mnie znowu — prosi czyjś dziecięcy głos — chcę jeszcze raz zobaczyć ojca i Giovanniego.

Młoda, piękna kobieta, z płonącymi oczyma w szczupłej twarzy, dostatnio, choć nie jaskrawo przybrana, podnosi chłopca ponad falujące głowy tłumu.

— Tam, Evangelisto, tam są. Koło pomnika, widzisz?

— Widzę, widzę Giovanni wymachuje swoją czapką z piórem. Mamo, czy ja też taką dostanę?

— Dostaniesz, Ale teraz już dość tego patrzenia, synku. — Postawiła chłopca na ziemi, obciągnęła na nim żółty płaszczyk — weź twój koszyk i chodź prędko — Wzięła chłopca za rękę i przepychając się przez tłumy patrzących skierowała się ku via dell Anima, minęła kościół św. Agnieszki i św. Apollinarego, minęła plac, na którym sterczały ruiny jakiegoś zawalonego domu, i znalazła się w labiryncie nadtybrzańskich uliczek.

---

[94] Chodzi o antypapieża Jana XXIII.

Było tu już pusto i cicho, Śpiewy i okrzyki wiwatujących zostały za nimi. Za to głosy dzwonów brzmiały tu, nad Tybrem, wśród niskich, chylących się ku ziemi domków, wyraźniej i dźwięczniej.

— To tu, prawda, mamo? Evangelista podskoczył ku uchylonym drzwiom zwisającym krzywo na wyrwanych zawiasach. Pogłaskał kota grzejącego się na progu i krzyknął do izby:

— Bongiorno, donna Vittoria! Przyszliśmy cię odwiedzić z mamą.

— Franceska Romana, o santa Madonna, jak to dobrze, że przyszłaś! — stary, astmą duszony głos dobiegł z kąta izby, gdzie na dr ewnianej pryczy słomą moszczonej siedziała wyschnięta staruszka — wszyscy polecieli rano, jeszcze było ciemno, do miasta. Procesja i procesja, a o mnie zapomnieli — zrzędzi staruszka. — Fillippo chciał zaraz wrócić, i jeszcze go nie ma, tego drapichrusta, a tu pewno już południe. Nie rozeznam, czy już po Angelus Domini, bo dzwonią i dzwonią... A może mi tak w uszach dzwoni?

— Nie, donna Vittoria, to naprawdę dzwonią we wszystkich naszych kościołach — objaśniał Evangelista.

— Tak sobie i myślałam, że przy tym święcie całkiem o babci zapomną — uśmiechnęła się Franceska — i dlatego przyszłam. Rozpakuj koszyk, Evangelisto. — W ciasnej izbie zapachniało świeżymi bułkami, pieczonym mięsem i słodkim winem.

— Ja też widziałem procesję, donna Vittoria, widziałem ojca i Giovanniego. A wieczorem będzie u nas na zamku wielka zabawa — przechwala się chłopczyk.

— Tak, Vittoria, będzie wielka zabawa — potwierdza Franciszka — i dlatego dobrze byłoby, by Fillippo przywiódł ze sobą jeszcze innych chłopców do pomocy w kuchni i na pokojach. Może powie synkom kulawego Andrea?

— Powie, powie — staruszka potwierdza żywo i łakomie wpycha do ust kawałek mięsa — chłopaki polecą chętnie, bo i zjedzą przy tej okazji, i łykną kubek wina zamiast wody, i napatrzą się a napatrzą godziwej zabawie.

— Poślij też Fillippa do głuchoniemego Gondoniego, niech się zgłosi u zakrystiana w kościele santa Maria Maggiore. Przez cały dzień będą tam dzwony biły, to i przyda się dzwonnikowi, zarobi kilka soldów.

— O santa Madonna, jak ty o wszystkich pamiętasz, ty nasza Donna Romana — stara Vittoria trzęsie głową w zachwycie a po jej brodzie spływają krople złotego tłuszczu.

Gwałtownie przerwało się życie rodzinne w pałacu Ponzianich.

Nie minęły dwie wiosny panowania Jana XXIII na Stolicy Piotrowej, gdy król neapolitański, Władysław, z swoimi wojskami uderzył na Rzym, wymordował, ograbił i wypalił pałace starorzymskich rodów rycerskich walczących pod znakami Gwelfów i Orsinich. Z wspaniałego zamku Lorenza Ponziani wykradziono wszelkie mienie, zrąbano i spalono szafy, skrzynie, stoły. Pozostały nagie, czarne od sadzy izby.

Pana domu, zranionego ciężko w ulicznej potyczce wzięto do niewoli i skazano na w ygnanie. Giovanniego uprowadzono jako zakładnika do Neapolu.

Wśród czarnoosmalonych ścian pozostała Franciszka z głodnymi dziećmi. Czarna zaraza wkradła się nocą przez wywaloną bramę pałacu: najpierw zabrała najmilszego syna Franciszki, Evangelistę, potem obie siostrzyczki, a w końcu najmłodszą Virginię.

Donna Franceska została sama. Ale nie na długo. Pozostały jeszcze jej dzieci najbiedniejsze, najnędzniejsze, z całego Nadtybrza. Zgromadziła je wszystkie w przestronnych izbach i sieniach pałacu, pielęgnowała w czas zarazy, karmiła i poiła czasu głodu, ogień dla nich rozpalała w czasie zimy.

W owych to trudnych dniach lud zamieszkujący nędzne uliczki Rzymu nadał swej opiekunce imię honorowe, chociaż tak prosto brzmiące: Francesca Romana — Franciszka Rzymska.

Co dnia wczesnym świtem szlachetna Donna Franceska Ponziani wyruszała na ulice Rzymu z wózkiem zaprzężonym w osła i żebrząc ludzkiego miłosierdzia, gromadziła dla swych nędzarzy żywność, odzież i drzewo na opał.

Wózek turkotał na wybojach, Fillippo pohukiwał na osła, a myśl zadumanej, młodej a tak ciężko doświadczonej kobiety biegła ku klasztornej furtce w bramie de'Specchi.

— Don Antonio, jak długo jeszcze przyjdzie mi czekać na kornet zakonniczek? — pytała frasobliwie wpatrując się w twarz swego ojca duchownego, zawsze pogodną i spokojną. — Bóg zabrał mi wszystko, dom,

dzieci, męża, tylko zostawił dawną, ciągle płomienną tęsknotę do życia klasztornego. Don Antonio, a może już pora na śluby?

— Pytasz mnie, Francesko, choć sama dobrze wiesz, że póki Lorenzo żyw na wygnaniu, ty go czekać winnaś. Teraz, kiedy sobór w Konstancji dobiega końca, ani chybi, zakładnicy i wygnańcy powrócą do kraju A wtedy, Francesko, wtedy dopiero poruszysz tę materię z twoim małżonkiem. Dufam, że po tylu ciężkich latach doświadczeń nie będzie ci przeciwny.

Nie, Lorenzo Ponziani, po swym powrocie z wygnania do Rzymu, nie był wcale przeciwny zamiarom żony. A mimo to, Donna Franceska nie poszła za furtę klasztorną. Bo spojrzawszy po raz pierwszy od długich lat rozłąki na twarz męża, a potem i syna Giovanniego, przeraziła się, a serce jej ścisnął ból. Dojrzała oblicza obce, stężałe w nienawiści i zapiekłej złości. Zajrzała w oczy, w których gorączką płonęła chęć zemsty, chęć odwetu za doznane krzywdy i upokorzenia.

— Wiem, że znowu nie myśleć mi o klasztorze — szeptała w modlitwie — wiem, że znowu czego innego ode mnie wymagasz, Boże, że inne, nowe stawiasz przede mną zadania.

Nie uchyliła się i od tego zadania. Przez 12 długich lat, aż do śmierci Lorenza, była mu wierną i cierpliwą żoną. Dla Giovanniego była dobrą, choć surową matką. Na nowo uczyła tych dwu zaprawnych w boju rycerzy, szlachetności, wielkoduszności, darowania win i uraz. Pleniła z ich mowy przekleństwa i złorzeczenia, a z myśli ich złe i bolesne wspomnienia niewoli. A gdy nareszcie doprowadziła do zawarcia zgody pomiędzy Lorenzo Ponziani a Colonną, pomyślała znowu o swym klasztornym powołaniu.

Śmierć męża, którego organizm wyczerpały lata wojny i wygnania, nadeszła wkrótce. Giovanni założył rodzinę. I choć prosił i błagał, by matka została w jego domu, Franceska obrała dom inny, za którym tęskniła cztery dziesiątki lat. Boso i w żebraczej sukni stanęła przed franciszkańską furtą. Z pustymi dłońmi, z sercem wolnym, swobodnym, a gorącym jak ongiś w dniach młodości. Ujęła za żelazną kołatkę, zakołatała parękroć i wsłuchała się w dźwięczny odgłos zwiastujący jej nowe życie.

„Gość Niedzielny”, nr 12/1957, s. 4 – 5.

JADWIGA BERNHARDT

Wielkanocny apokryf o skradzionej amforze

Nikodes otwarł oczy i nieprzytomnym wzrokiem spojrzał dokoła. Leżał w wysokiej trawie a nad nim nieruchomym, zielonym cieniem zwisały gałęzie drzew. W powietrzu trwał żar południowej godziny i cisza, przerywana świergotem ptactwa.

Nikodes znowu przymknął oczy zmęczone jaskrawym światłem słonecznego dnia. Pod ciężką powieką trwał jeszcze wyraźny obraz dziwnego snu: aleją ogrodu, wśród cyprysów złoconych wschodem słońca, szedł Nazarejczyk w białej szacie, w blasku promieni, stopami ledwo dotykając ziemi. Jemu naprzeciw, niepewnym krokiem ślepego dziecka posuwał się mały chłopczyk. Nazarejczyk dotknął swymi przejrzystymi dłońmi, na których Nikodes dostrzegł od razu rubinowe ślady ran, głowy dziecka, przesunął palcami po jego powiekach, a potem nagle dziecko odwróciło twarz — Nikodes ze zdumieniem rozpoznał małego Abironka — i rozwartymi szeroko oczyma spojrzało prosto w jego stronę. Żołnierskie serce Nikodesa zadrżało pod spojrzeniem tych dziecięcych źrenic. Był w nich wyrzut i prośba. Jakiś nieznany a dotkliwy ból opanował go. I wtedy właśnie się zbudził.

Nikodes ponownie otwarł oczy, podniósł głowę i skrzywił się w nagłym bólu. W skroniach waliły młoty, ogień łupał czaszkę. Dotknął ręką czoła, palce trafiły na lepką, czerwoną maź.

— Krew. Rozłupałem głowę — pomyślał — jak to było? kiedy? gdzie? — myśl pracuje ciężko, ospale.

Siedzi na kamiennym stopniu wsparty plecami o skalistą caliznę grobu. Patrzy na blednące gwiazdy, na różowiejące wschodem niebo. Głośne oddechy, pochrapywania śpiących towarzyszy dochodzą jego uszu. Potem świergot budzącego się ptactwa. Podnosi się, otula ciaśniej płaszczem bo ziąb przedrannej godziny coraz dotkliwszy.

I nagle łoskot, grom, błyskawica. Ziemia faluje gwałtownie pod stopami. Wywraca się, podnosi gwałtownie i wtedy właśnie dostrzega, że grób stoi w płomieniach, a olbrzymi kamień grobowy odsuwa się pchany niewidzialną siłą.

Gnany śmiertelną trwogą uciekał co sił w nogach nie bacząc na towarzyszy. Byle prędzej, byle dalej.

— A może to wszystko było snem — myśli — jak snem jest i to, że patrzył na mnie widzącymi oczyma Abironek, który przecie ślepcem jest od urodzenia

Raptem głośny szelest tuż-tuż przerażeniem zjeżył mu włos na głowie. Zmartwiał, czekając nowego gromu i ciosu. Mijały sekundy mierzone przyspieszonym pulsowaniem krwi. Cisza. Serce uspokaja się zwolna i zaczyna bić znowu spokojnym rytmem. Nikodes ostrożnie odwraca głowę w bok. Na ostrym, wystającym głazie siedzi jaszczurka. Patrzy nań paciorkami oczu. Rdzawe plamy barwią białą caliznę głazu.

Krew — odezwał się półgłosem — to tu rozłupałem głowę, gdy sadziłem jak kot. Więc to wszystko nie było snem... niespokojna myśl trzepoce pod rozpalonym czołem. Podniósł się ostrożnie prostując ścierpłe nogi. Zdjął z krzewu opodal swój żołnierski płaszcz rozdarty w ucieczce. Rozejrzał się. W ogrodzie pusto było i cicho. Daleko wśród drzew białą plamą jaśniała skała grobu Józefa z Arymatei.

— Muszę sprawdzić, czy grób naprawdę jest pusty — zadecydował nagle odważnie zapominając o poprzednim lęku — i muszę się rozejrzeć za moimi towarzyszami, czy nie spotkało ich co złego. — Pewnym krokiem skierował się ku skale.

Stanął opodal, nie za blisko. W jaskrawym świetle słońca czarnym otworem ziała grobowa pustka.

— Więc to nie był sen — myśl jak ptak więziony trzepoce. Podszedł bliżej. Na trawie leżą w popłochu rzucone miecze, hełmy i płaszcze żołnierskie. Cynowy dzban dnem odwrócony do góry. Nikodes potknął się o włócznię leżącą w poprzek skalnego progu. I nagle przypomniał sobie Longinusa. To, co mu Longinus onegdaj opowiadał i o czym mówił już cały garnizon. Iż gdy przebijał włócznią bok Nazarejczyka na kalwarii, kropla krwi trysnęła w jego półślepe oko i natychmiast przejrzał.

Nikodes tknięty nagłą myślą wszedł do grobu. Gdy schylił się nad pustym, skalnym żlebem, krew zatętniła mu ostrym bólem w rozłupanej czaszce. Potarł czoło o zimny kamień i wstrzymując oddech, czekał. Potarł jeszcze raz. I jeszcze. Ale w głowie nadal huczał płomień bólu, coraz dotkliwszy, przechodzący aż na barki.

— Błazen ze mnie — pomyślał szyderczo — cudu mi się zachciewa! Już tam Nazarejczyk wie, kogo uzdrowić. Gdzież mi tam do Longinusa! Żyje jak mędrzec ateński, umiarkowanie wina zażywając i od kości, swarów a bójek żołdackich, a także od kurtyzan stroniąc. — Skierował się ku wyjściu. Nagle, oczy oswojone z mrokiem grobu dostrzegły pod ścianą naczynia z wonnym, drogocennym olejkiem. Nie zastanawiając się długo wybrał największą amforę i ukrył pod płaszczem.

— Sprzedam i będę miał na kości — pomyślał bez śladu skruchy — Nazarejczykowi to już niepotrzebne.

Wyszedł z grobu i zdumiał się. Na skalnym progu klęczała kobieta do głębi rozmodlona. Spod przymkniętych powiek spływały łzy, ale chyba nie cierpienia, bo twarz jaśniała przedziwnym weselem.

— Joanno, co tu robisz? — rozpoznał ją od razu.

Kobieta podniosła się spłoszona i z lękiem spojrzała na żołnierza

— Ach, to ty? — rzekła z ulgą — nie poznałam cię, Nikodesie. Ale co to, jesteś zraniony?

— To nic ważnego! zagoi się do wesela. — powiedział lekceważąco i zaśmiał się hałaśliwie.

Patrzyła nań uważnie rozmyślając nad czymś i nagle spytała:

— Powiedz, trzymałeś tu straż dzisiejszej nocy?

— Trzymałem, — odpowiedział niechętnie.

— Powiedz, widziałeś Go? — podbiegła ku niemu blisko, dojrzał jej przepastne, promienne oczy — widziałeś?

— Nie wiem — bąknął, a potem, przypomniawszy sen, dodał prędko: no tak, widziałem.

— O Nikodesie — westchnęła głęboko z zachwytem. — Powiedz, jak wyglądał? jak to było, opowiedz! Już cała Jerozolima o tym mówi. Żołnierze opowiadali, i apostołowie, i niewiasty pobożne, którym On się ukazał — mówiła gwałtownie.

— Jeśli już wiesz, to po co pytasz? — odrzekł niechętnie i kryjąc pieczołowicie naczynie z wonnościami w fałdach płaszcza skierował się na drogę wiodącą ku bramie ogrodu — na mnie już czas, żegnaj.

— Nikodesie! — zastąpiła mu drogę. Ujrzał wlepione w siebie oczy, czarne, niepokojące. Oczy, które znał tak dobrze. Ileż nocy przepastnych, szczęśliwych, spędził w blasku tych urzekających źrenic. Nie dostrzegał zapadniętych policzków ni zmarszczek, widział tę twarz taką, jaką była trzy

lata temu, w owe dni, gdy co wieczora pukał do drzwi pięknej kurtyzany. A potem, nagle, wszystko się odmieniło. Joanna, podobnie jak jej przyjaciółka Maria z Magdali, przystała do Jezusa z Nazaretu. Wolała pracować ciężko jako dziewka służebna, niż drzwi otwierać z wieczora przed żołnierskimi denarami. Doszło go potem, że Joanna powiła kalekie chłopię, domyślał się, że jest jego ojcem, i czekał napastliwych żądań o pieniądze, ale Joanna o nic się nie upominała. Zapomniał o niej rychło.

— No to chodź, opowiem ci wszystko po drodze — rzekł po długiej chwili. Skierowali się ku bramie. Opowiadał powoli, barwnie, ale nie wszystko. Przemilczał przed nią swój potworny strach, który kazał mu pędzić na oślep i nadziać się na ostry głaz. Za to mówił długo o owym dziwnym śnie, w którym spoglądały nań tajemniczo oczy jej chłopaka. Słuchała z zapartym tchem niebaczna na ruch w cichych zazwyczaj uliczkach.

Stanęli przed domem Joanny.

— Czy masz jeszcze te maści, którymi mi kiedyś tak dobrze wylekowałaś skaleczone ramię? — spytał na odchodnem.

— Mam.

— Czy mogłabyś opatrzyć mi ranę na głowie?

— Mogę. Chodź — odparła po chwili namysłu. Weszli do chłodnej, dużej izby. Na podłodze pod oknem bawiło się kamykami ślepe dziecko. Joanna pochyliła się nad chłopcem i pogłaskała wzniesioną ku niej uśmiechniętą twarzyczkę nie rozjaśnioną blaskiem oczu. Potem zakrzątnęła się przy driakwii ucierając ją nad płomieniem lampki.

Nikodes złożył w kącie pod ścianą amforę z wonnym olejkiem nakrywając ją pieczołowicie płaszczem. Usiadł na ławie i zapatrzył się w ślepe dziecko.

— Joanno, dlaczego nie prosiłaś Jezusa, by zwrócił wzrok Abironkowi? — spytał po chwili — słyszałem, iż tylu ślepców przejrzało pod dotykiem jego palców. Nawet Longinusa uleczył, choć był już martwym.

— Słyszałam o Longinusie — odparła. A potem mówiła cicho: nie śmiałam Go nigdy prosić o ten cud. Czyż nie było dość jednego cudu, iż przejrzałam ja? iż uleczył moją grzeszną duszę? iż wyrwał mnie z więzów rozpusty? iż pozwolił sobie towarzyszyć? słuchać swoich boskich nauk — tony głębokiego uwielbienia brzmią w jej głosie. — Nie śmiałam Go nigdy prosić o Abironka, bo wiem, iż jego ślepota, to sprawiedliwa kara za moje grzechy.

— Dziwnie mówisz, bardzo dziwnie.

— Wiem, że mnie nie rozumiesz — odparła ze smutnym uśmiechem — nie znałeś Go, nie pojmujesz, jak On umie serce ludzkie odmienić i stworzyć na nowo.

— Powiedz, Joanno, nie żywisz żadnej urazy do mnie, iż zostawiłem cię wtedy bez...

— Nie, Nikodesie, nie — zaprzeczyła żywo — nieraz modliłam się za ciebie, byś i ty przejrzał.

— Przejrzał? toć widzę, nie jestem ślepy.

— Jesteś, bo żyjesz w nieprawości, nie czynisz dobra. Gdybyś Go znał, byłbyś uzdrowion.

Stała tuż koło niego, pochylała się nad nim nisko opatrując ranę, a nie śmiał jej dotknąć urzeczony głębią jej słów, których nie pojmował, ale które wnikały w jego serce.

W kącie izby coś głośno stuknęło. To mały Abironek zaplątał się w żołnierski płaszcz, wywrócił naczynie z olejkiem a teraz wonnym balsamem smarował sobie całą twarzyczkę.

Joanna spojrzała zdumiona w kierunku syna i nagle z krótkim okrzykiem rzuciła się ku niemu. Z ślepej dotąd twarzy Abironka spoglądały ku niej oczy jak dwie gwiazdy. Uklękła przy dziecku patrząc bez tchu w jego promienne źrenice, niezdolna słowa wykrztusić z krtani.

Nikodes podniósł się z ławy przytrzymując opatrunek na skroni i chwiejnym krokiem zbliżył się do Abironka. Serce waliło mu jak młot. Oto widział te same tajemnicze oczy dziecka wlepione w niego wymownie, te same oczy, które widział już we śnie. Sen stawał się prawdą.

— Nikodesie, skąd masz ten olejek? — usłyszał gorący szept Joanny.

— Z Jego grobu — odpowiedział tym samym szeptem.

Uklęknął ciężko obok kobiety i ogarnął ją ramieniem. Czuł, jak urywane łkanie wstrząsa jej postacią. Potem przygarnął i chłopca.

— Joanno, nie nadaremno modliłaś się za mnie — szeptał urywanym głosem — i ja przejrzałem tej samej chwili, co nasz ślepy synek. Bo to nasz syn, prawda? Chcę mu być odtąd ojcem, a tobie, Joanno, mężem. Bo chyba tego chce ode mnie Jezus z Nazaretu?

„Gość Niedzielny”, nr 16/1957, s. 6.

JADWIGA BERNHARDT

Bunt Tarnogórzan

Głośne siorbanie w niskiej, mrocznej izbie. Otwarte palenisko jarzy się złotoczerwienią dogasającego ognia. Rzuca słaby blask na krąg osób wokół stołu, w pokraczny sposób malując ich cienie na szarych ścianach. Reszta izby wraz z małym okienkiem, w którym wisi gwiaździsta zasłona nocy, tonie w mroku.

Na środku stołu duża, gliniana misa dymi warzą. Raz po raz uderza o jej brzeg drewniana łyżka, nabiera gorącej strawy i niesie ją ostrożnie w rozwarte usta.

Z mroku izby dobiegło kwilenie. Cieniutkie, cichutkie. Potem zaskrzypiała ława pod czyimś ciężarem, zaszeleściła słoma.

— Śpij, chroboczku, śpij, aaa... — starczy, niewieści głos lula do snu rozkwilone dziecko.

— Zasnął, babko! — od stołu podniosła się chuda, wysoka kobieta. Czerwony blask paleniska na moment oświetlił młodą, szczupłą twarz.

Przy stole pozostało dwóch mężczyzn i chłopak dziesięcioletni, może i starszy. Trzy twarze podobne do siebie, chude, kanciaste, surowe. Biedą rzeźbione. Tyle że na twarzy ojca więcej zmarszczek, niż na twarzy syna, a czoło i policzki wnuka jeszcze gładkie.

— Trzeba się zbierać. Już późno. — Maciej Pawlik odłożył łyżkę, otarł ciemne wąsy — będą na nas czekać.

— Tak, już czas — Szymon Pawlik w zamyśleniu gładzi siwiejącą brodę. — Dziś przyjdą wszyscy, co?

— Wszyscy. Tak powiedzieli. Wszyscy, daliśmy znać.

— No, to idź już, Maciej — ojciec podniósł się z ławy i zapatrzył się w żarzące ognisko — ja przyjdę zaraz za tobą, zajrzę tylko do szybu.

— Do szybu, teraz po nocy?

— Muszę — Stary nie odwraca oczu od ognia — coś za dużo kręci mi się Scholz koło mojego wyrębu.

— Widać zwąchał i spieszno mu do łatwego zarobku.

— Niedoczekanie! Szubrawiec taki! — w starych, wyblakłych oczach zatlił groźny ognik. — Jeszcze z nim pogadam!

— Zły człowiek. Niedobrze leźć mu w łapy po ciemku — syn patrzy wyczekująco w twarz ojca. Jest nierad tej nocnej wyprawie.

— Eee, miałbym się czegoś bać — górnik machnął ręką — nie ma większego tchórza nad Scholza.

— Jeno że Scholz ma swoich kompanów! — Maciej zdjął czapkę z kołka, nacisnął ją mocno na oczy, spojrzał w mrok izby.

— Marta, śpisz już?

— Ale! Poczekam, aż wrócicie.

— Nieskoro wrócimy. Nie czekaj, kładź się. A ty też — zwrócił się do syna — zaraz do łóżka. Przysyp ogień popiołem.

Otworzył drzwi. Chłodny, rześki oddech nocy wdarł się do izby. Obejrzał się jeszcze raz za ojcem i wyszedł.

Stary Szymon otulił się szczelniej kapotą. Stanął na progu. Patrzy w kierunku, skąd dobiega mocny, miarowy odgłos Maciejowych kroków. Wchłonęła go noc.

Tarnowskie Góry kładły się do snu po znojnym, zgiełkliwym dniu roboczym. Było cicho. Wysoko, wysoko migotały gwiazdy. Szymon sięgnął do kieszeni. Jest — hubka, krzesiwo... Zamknął za sobą drzwi.

Nierówna, wyboista, kręta droga. Jakieś belki, jakieś deski leżą w poprzek. Szymon idzie powoli, ale pewnie. Nieobca mu ta uliczka. Chodzi nią od piętnastu lat. Od piętnastego roku jest górnikiem. Od samego początku, jak wykopano pierwszy szyb. Tylko że wtedy był rębaczem, pierwszym rębaczem — stary Szymon uśmiecha się gorzko ku swoim wspomnieniom — a teraz, odkąd przyszli Niemcy, pracuje na wierzchu, przy marnej brudnej robocie, przy płóczce.

— Jeszcze się odmieni — Szymon spluwa głośno — wtedy pokażemy tym złodziejom!

Nad szybami wznoszą się stożkowate dachy z chrustu, z belek. Jest ich sporo. Czub wedle czuba. Jeden szyb graniczy z drugim.

— To „Świąteczna”. To „Boża Wola”, tam „Kalina” i „Skarby”, tu „Krzywa Lipa” — Szymon wylicza półgłosem mijane szyby — a tu „Boża

Pomoc” — Szymon uśmiecha się. Stoi nad „swoim” szybem. Nad tym opuszczonym, wybranym i zasypanym już szybem, w którym odkrył niedawno bogate pokłady i żyły kruszcu. Stary górnik mija wysoki wał kamieni, stwardniałej gliny, spróchniałego drzewa. Pochyla się nad czarnym otworem szybu — a możeby tak zejść na chwilę na dół? Jeszcze raz sprawdzić położenie żyły?

Szymon wydobywa z kieszeni krzesiwo i raptem podnosi głowę, nieruchomieje w bocznym nadsłuchiwaniu. Jest stary, ale słuch go nie myli. Słyszy wyraźnie czyjeś skradające się kroki — czyżby Scholz? — Ostrożnie kryje swoją długą, chudą postać za wał rupieci. Wytęża oczy. Na czarnym tle nieba dostrzega jeszcze czarniejszą sylwetkę niskiego, krępego człowieka.

Tak, to on, ten pieroński zbój — Szymon zgrzyta zębami. Ogarnia go fala złości na tego szpiega! I zapomina o ostrożności. Wysuwa się ze swej kryjówki i krzyczy gniewnym, ochrypłym głosem

— Scholz! Znowu się tu kręcisz? Już ci raz powiedziałem, że wara ci od tego szybu! — Czarna, krępa sylwetka na czarnym tle nieba znieruchomiała. Potem wykonała taki ruch, jakby chciała zapaść się pod ziemię. W końcu jednak zaczęła się zwolna zbliżać do Szymona Pawlika.

— To nie twój szyb. Mam do niego takie samo prawo, jak i ty — głos Niemca bezczelnością pokrywa nutę strachu. Scholz nie podchodzi blisko do Szymona: Przystaje po drugiej stronie szybu.

— Nie masz żadnego prawa do tego szybu! Wywąchałeś, że nie na darmo przychodzę tu od kilku dni, i chcesz mi sprzątnąć zarobek sprzed nosa. Złodzieju!

Stary górnik nie panuje nad swoim gniewem. Gwałtownie stają mu przed oczyma wszystkie krzywdy górników, których sprawcą jest ten pruski pies, dozorca Scholz.

— Czekaj — syczy głośno — jeszcze cię spotka zapłata za twoje niecne sprawki!

— Ale nie z twojej ręki — Scholz roześmiał się bezczelnie, złowrogo, potem gwizdnął krótko. Od stożkowatego dachu następnego szybu oderwały się dwie postaci, szybko z tyłu przyskoczyły do starego górnika. „Aufwiedersehen, Herr Pawlik! Der Schatz gehört doch mir!” — szyderski śmiech pruskiego dozorcy zagłuszył szamotanie się trzech postaci i bolesny jęk konającego.

Dziecko zakwiliło cieniutko, żałośnie.

— Co, dzieciątko, też nie umiesz spać? — roztrzęsiony głos babki szeptem zniża się nad kołyską — co cię boli, chroboczku, co?

Nie śpicie, babko — Marta wstała z zydla przy zetlałym palenisku. Drzemała chwilę. Zmęczona, tyle się w dzień narobi na kopalnianych wałach, tyle się naschyla przy sortowaniu kruszców. — Spijcie, babko, nie martwcie się o małego. On tak przez sen płacze.

— I ja miałam krótki, straszny sen — stara niewiasta podniosła się na barłogu, wsparła na łokciu: na więcej, by usiąść, nie pozwalały sparaliżowane nogi. — Śniło mi się, że Szymon... Marta, gdzie oni są tak długo? Czemu jeszcze nie wrócili? może doprawdy coś złego się przydarzyło, Marta?...

— Nie lękajcie się, babko! — młoda kobieta usiadła na krawędzi łóżka. Z trudem powstrzymuje drżenie całej postaci, mocno zaciska zęby, by nie dygotały. I ją gnębi jakieś niesamowite przeczucie, przerażenie...

— Mamo, ja polecę do Małdrzyka, powiem ojcu...

— To ty nie śpisz?

— Jakoś nie umiem zasnąć — chłopak wygrzebał się ze słomy w rogu izby, zbliżył się do Marty. — Mamo, ja pójdę po ojca i po dziadka. Prawda, babko, że mam pójść?

— A nie boisz się?

— Nie, nie boję się! — radosny, zadowolony okrzyk malca. Ubrał się szybko, trepy nałożył na bose nogi, zawiązał rzemyki.

— Pietrek, a weź czapkę, noc jest zimna. — Marta po omacku rękami poszukała w swojej skrzyni ciepłej chustki — masz, a to też weź. Zawiąż szyję.

— Ach, mamo, nie będzie mi zimno! — Prześlizgnął się przez ciemną izbę i już był za drzwiami. Lekki tupot chłopięcych stóp oddalał się szybko.

Do małdrzykowej izby nie wchodziło się prosto z dworu. Najpierw była obszerna, sklepiona sień z kamienną, nierówną podłogą, wykładaną mniejszymi i większymi granitowymi krąglakami. Domostwo małdrzykowe było zasobniejsze od domostw innych tarnogórskich górników. Bo Jakub Małdrzyk był gwarkiem. Kilka szybów na Blaszynie i na Lyszczu należało do

niego. Przedtem, przed rokiem 1528, zanim przyszli do tarnogórskich kopalń frankońscy górnicy, miał tych szybów znacznie więcej. Ale mu kilka zabrano. Bezprawnie. Prawem pięści. Bo nie był Niemcem, trzymał z polską biedotą i nie przeszedł na protestantyzm, na wiarę Jerzego, margrabiego brandenburskiego w Śląsku. A wszakci panowała zasada: cuius regio eius religio i już wielu bogatych gwarków dało się omamić nowym, obcym obyczajom.

— Szczęść Boże! — Maciej Pawlik wszedł do sieni, przywarł za sobą drzwi. Otoczył go ściszony gwar wielu głosów. Dwa polana zatknięte za grube, ołowiane pierścienie palą się jasno. I dymią żółto, i skwierczą pryskając iskierkami. Nieduże okno zasłonięte szmatami.

— Sam jesteś? a ojciec?

— Zaraz przyjdzie — Maciej przeciska się wśród zebranych górników. Stoją pod ścianami, siedzą na zydlach, ławach.

— Pawle, o Kozioł przyszedł? — Maciej wita znajomych kamratów. Na chudej twarzy — uśmiech. W oczach iskry. — Dużo nas, co? — radosna chełpliwość w głosie.

— Oho, będzie ze dwiesta, jeśli nie więcej.

Pawlik przepchał się do izby. Izba, mniejsza od sieni, takoż pełna ludzi.

— No, jesteście nareszcie — od stołu dobiega gruby, chropowaty głos starego Małdrzyka. Siwe kosmyki opadają na czoło, uszy, siwa, gęsta broda zasłania pół twarzy — Maciej? ty sam? a Szymon gdzie?

— Zaraz będzie. Możecie zaczynać — siadł przy stole, między młodszymi Małdrzykami, Jerzym i Łukaszem — ojciec poszedł zaglądnąć do swojego szybu, wiecie, prawda? do „Bożej Pomocy”.

— Aha, wiem. Boi się o swoje odkrycie?

— Scholz mu się tam plącze.

— Ten złodziej! Pilno mu zarobić dwadzieścia złotych. Bo według ustawy za odkrycie grubej żyły kruszczu komora książęca wypłaca dwadzieścia złotych. — Małdrzyk zna się na tym. Małdrzyk jest tęgim gwarkiem.

— Trzeba pójść co rychlej do Meiningera. Kiedy Meininger wróci?

— Jutro. I zaraz jutro pójdziemy do niego. Zaraz z rana — jakiś mocny, uparty ton dzwoni w mowie gwarka — teraz będziemy radzić. Słuchajcie — podniósł głos, pięści oparł ciężko na stole, powiódł oczyma

wokoło po ścichłych, skupionych twarzach — słuchajcie, będziemy radzić o naszych prawach i przywilejach, których pozbawili nas niemieccy urzędnicy i górnicy.

W sieni i izbie milczenie. Oczy wiszą na siwej głowie gwarka, uszy łowią mocny groźny ton. Nowy ton. Ton buntu. Spracowane, wielkie ręce zaciskają się w twarde, żylaste kułaki. Młoty.

— Dzieje nam się bezprawie, srogie bezprawie. Niemcy zagarnęli nasze szyby. Pousuwali nos z dobrych stanowisk. Już żaden Polak i katolik nie jest rębaczem! Dali nam pracę przy kołowrotach i płóczkach! Zaciągnęli do odwadniarek, jak robocze konie! Kazali naszym babom i dzieciom robić na wałach! Szukać kruszców! Za darmo! Pod batem dozorcy!

W sieni i izbie pomruk. Głuchy, daleki, jak pomruk zbliżającej się burzy. W ogorzałych, wychudzonych twarzach zawierają się twarde wąskie wargi. Pod niejednym posiwiałym już wąsem krótki, groźny błysk zębów i krótki zgrzyt zakamieniałej złości.

— Nie mamy swojego kościoła. Obcy przybysze wybudowali sobie w naszym mieście heretycki kościół za nasze krwawo zarobione grosze! I drwią z naszej świętej wiary! Każą się nam jej wyprzeć! Chcą z nas zrobić protestantów! Niemców i lutrów!

W sieni i izbie burza. Porwali się z zydlów i ław. Podnoszą zaciśnięte pięści. Grożą i krzyczą.

Otwarły się drzwi sieni. I znowu się zamknęły. Chudy wyrostek zniknął w tłumie zbuntowanych górników. Nikt go nie spostrzegł. Pietrek ogląda się bystrze. Szuka ojca. Wchodzi do izby, drapie się na przewróconą ławę.

— O jest! tam przy starym Małdrzyku — zeskoczył z ławy, pcha się w kierunku ojca. Złapał go za rękaw. Ciągnie mocno, bo ojciec nie zwraca na niego uwagi, wrzeszczy i wymachuje rękami jak drudzy.

— Tato! tato! — stara się chłopak przekrzyczeć gwar zbuntowanych — Tato! — mama i babka mnie posłali!

— Pietrek?! po coś tu przyszedł? — nareszcie ojciec dostrzegł syna.

— Mama i babka mnie posłali, bo... urwał, nie wiedział, czy powiedzieć, że się czegoś lękają — Tato — wspomniał sobie — a dziadek tu też są?

— Dziadek?! — Maciej opamiętał się raptem. — Ojciec?! gdzie może być ojciec? Tu go nie ma, nie przyszedł. A do domu nie wrócił?

— Nie. Dziadek wyszli zaraz za wami, tato. Szli w stronę kopalni. Tato — Pietrek ciągnie znów ojca za rękaw, bo mu się zdaje, że ojciec go wcale nie słucha. Taki zamyślony. — Tato, jak tu biegłem, widziałem dozorcę Scholza. Wracał ze swoimi kamratami z szybów.

— Scholz od szybów? a niech to... — przełknął przekleństwo — Hej, cicho tam! Małdrzyki słuchajcie! Ojciec został na kopalni! Scholz go widać zdybał! Kto idzie ze mną? Podajcie mi łuczywo! — Jerzy i Łukasz Małdrzykowie przysunęli się do niego. I Piotr Kozioł i Mężyk. Górnicy rozstąpili się przed nimi. Nie wszyscy rozumieją, o co chodzi. Pytająco patrzą na wzburzone twarze wychodzących.

Wyszli z gwarkowego domu. Łuczywo czerwoną, chwiejną plamą rozprasza ciemną noc. Wyboista, kręta droga wiedzie ku szybom. Dalekie gwiazdy świecą nad górniczym miastem.

Żółte słońce nad zakurzoną drogą, nad wzgórzami skąpo porosłymi trawą, nad głębokimi dołami z cuchnącą kopalnianą wodą. Na drodze od Starych Tarnowic do Tarnowskich Gór gromady ludzi: Wracają z pogrzebu Szymona Pawlika. Katolicki stary kościół w Tarnowicach ledwo pomieścił tyle chłopów, bab i dzieci. Na cmentarzu wybuchnął taki gwar, że pleban, staruszek bojaźliwie uspokajał wszystkich. Ale nie uspokoił pokrzywdzonych a w krzywdzie swej zapiekłych i zbuntowanych ludzi. Idą gromadami, głośno, pewnie, na tarnogórski rynek. Już się przed niczym nie cofną

Przed domem burmistrza i mistrza górniczego Jerzego Meiningera, który jest i najwyższym sędzią, stoi siwy gwarek, Jakub Małdrzyk w otoczeniu znaczniejszych górników. Naprzeciw nich stanęli niemieccy urzędnicy i sztygarzy, a wśród nich kryje się niejeden śląski gwarek, który na protestancką przeszedł wiarę.

Burmistrz wyszedł przed dom. Towarzyszy mu jego zaufany, zawiadowca Mikołaj Münzer. Dozorcy Wilhelma Scholza nie widać wśród zgromadzonych.

Gwarek Małdrzyk, Pawlik Kozioł, Mężyk, Tyrała wysunęli się naprzód.

— Was wollt ihr?[95] — napuszona mina i bezczelny ton pokrywają wewnętrzne tchórzostwo naczelnika urzędu.

---

[95] Czego chcecie?

— Przyszliśmy domagać się swego prawa. — Małdrzyk odpowiada po polsku, spokojnie, pewnie.

— Ihr habt keine Rechte. Ihr seid nur Arbeiter[96] — burmistrz chce jeszcze dodać: „ihr seid nur Sklaven[97]", tak, niewolnicy niemieckich panów, ale urywa wystraszony pomrukiem, co gwałtownie podniósł się nad rynkiem.

— Lepiej ich nie drażnić — cichy szept zawiadowcy Müntzera w uchu naczelnika — jest ich bardzo dużo.

— Gadajcie więc, z czymeście przyszli — Müntzer zwracał się do Małdrzyka.

— Przyszliśmy po nasze prawa, któreście nam zabrali — stary gwarek nie odczuwa lęku. Nie spuszcza wzroku przed mściwym spojrzeniem mistrza górniczego z frankońskiej ziemi. — Jesteśmy tu panami! — Burza głosów zawtórowała słowom Małdrzyka. Niemieccy urzędnicy poruszyli się niespokojnie. Miejscy strażnicy nastroszyli miny.

— Panie burmistrzu, żądamy zwrotu szybów, które były naszą własnością! — Małdrzyk wysunął prawą rękę. Mocnymi ruchami dłoni akcentuje swe słowa — żądamy lepiej płatnych stanowisk rębaczy; nowe szyby, które wybijamy, mają pozostać w naszych rękach, a nie przechodzić w ręce frankońskich rębaczy. Żądamy zwolnienia dla naszych kobiet i dzieci, które za darmo pracują przy płóczkach i taczkach, Żądamy, by dozorcom odebrano bat, bo jesteśmy ludźmi, nie bydłem.

— Precz z dozorcami! Precz z batem! — burza nad tarnogórskim rynkiem.

— Żądamy jeszcze własnego kościoła! — głos Małdrzyka wybija się nad gwar głosów.

— Przecież macie kościół! O, tu, zupełnie nowy! — Müntzer wściekłym ruchem wskazuje na nowy, kamienny zbór w rynku.

— Chcemy kościoła katolickiego!

— Ist doch alles egal, dumme Leut![98] — burmistrz sapie z przejęcia. Nie wszystkie żądania zrozumiał, ale zrozumiał, że żądają wiele i żądają słusznie... Ze słabo zamaskowanym lękiem ogląda się na swoich

---

[96] Nie macie prawa. Jesteście tylko pracownikami.

[97] Jesteście tylko niewolnikami.

[98] Ależ to jest wszystko jedno, głupi ludzie.

urzędników, potem patrzy na morze ruchliwych głów w rynku. Obciera spoconą twarz, kark.

— Mieć chorągiew dragonów i rozpędzić to tałatajstwo — myśli z mściwą rozpaczą.

— Dać tu Scholza!

— Śmierć mordercy!

— Sąd na zbójnika!

— Dziecko mi skatował!

— Wygryzł ojca z roboty! — żółte słonce zaszło za chmury. Mrok w rynku. W mroku krwawo płonie płomień buntu.

— Uspokójcie się! Cisza! — zawiadowca Müntzer kiwa kapeluszem. I w jego chciwą duszę wdziera się lęk przed tym zbuntowanym żywiołem. — Zrobimy sąd, zrobimy. Wtedy się okaże, że Scholz jest niewinny. Stary Pawlik sam wpadł do szybu, noc była ciemna...

— Ha, ha, ha, sam wpadł! — złowrogi, szyderczy śmiech — uważaj, byś też sam w ten sposób nie wpadł!

— Macht schluss, Herr Müntzer, macht schluss damit![99] — burmistrz nie panuje już nad strachem — powiedzcie im, że wszystkie ich żądania spełnimy, niechby tylko sobie poszli do domu i uspokoili się.

Rozchodzili się zwolna. Nie rozchmurzyli swych twarzy. Znali Niemców. Nie ufali im. Wiedzieli, ile znaczą ich obietnice.

Tejże nocy aresztowano starego Małdrzyka, obydwu jego synów, Tyrałę, Piełkę i Łukasza Swobodę. Pawlika Macieja i innych nie schwytano. Ostrzeżeni, ukryli się w okolicy.

Następnej nocy stara babka dogorywała w chacie Pawlików. W mrocznej izbie rzężenie starej i kwilenie chorego dzieciątka. Marta klęczy przy barłogu konającej. Czerwony blask ognia oświetla ostro rzeźbioną twarz, wpółprzymknięte oczy, zapadłe głęboko usta. Nagle rzężenie ustało. Marta podnosi głowę, wpatruje się w twarz babki...

— Co, lepiej wam, lepiej? — radośnie zdumione pytanie. Babka otwarła oczy i patrzy przytomnie na synową.

— Gdzie Maciej? — cichy, lecz wyraźny szept.

— Ukrył się, szukali go.

— A Pietrek?

---

[99] Kończcie z tym, panie Müntzer, kończcie z tym.

— Jestem, babko — chłopak odskoczył od paleniska, zbliżył się do łóżka — jestem, babko — pochyla się nad starczą twarzą.

— Pietrek, boisz się?

— Nie, babko, nie boję się.

— Pietrek, idź po księdza.

Było już dobrze po północy, gdy Pietrek wrócił z tarnowickim plebanem. Jasne włosy chłopca pot zlepił nad czołem, a płuca księdza pracowały ciężko.

Marta fartuchem obciera zydel i przysuwa go księdzu. Niech spocznie krzynę, babka jest teraz zupełnie spokojna.

Cicho jest w chacie. Dziecko nie kwili. Pietrek kładzie świeże polana na palenisko. Potem klęka pod ścianą. Marta kawałkiem lnianego płótna nakryła stół. Złote pudełeczko błyszczy i migoce: Pietrek nie może oczu oderwać od złotego puzderka.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — słowa modlitwy bezwiednie cisną się na usta Pietrka — święć się imię Twoje, przyjdź królestwo... o Boże! kto to? — chłopak zerwał się z klęczek, dojrzał cień za oknami skoczył ku drzwiom, zaryglował.

Napięta przerażeniem cisza. A w tej ciszy lekkie pukanie do drzwi.

— Pietrek! Marta! otwórzcie, to ja.

— Tata! — radosny krzyk. Chłopak odryglował drzwi, otworzył — chodźcie, chodźcie, ksiądz przyszedł do babki. Umiera babka.

— Umiera... — Maciej Pawlik wszedł do izby, zdjął czapkę, uklęknął — Pietrek, nie zamykaj, jeszcze przyjdą inni.

Za chwilę przyszli. Piotr Kozioł, Mężyk Paweł, Stary Żurek i Jakub Bryłka. Uklękli szeregiem pod ścianą.

Ze złotego puzderka wyjmuje kapłan małą hostię. Błogosławiącym ruchem wznosi ją nad pochylonymi głowami górników.

— Niech wam Bóg błogosławi... Niech was strzeże święta Panna Maryja... walczcie o sprawiedliwość, ale nie miejcie nienawiści w sercu... nie przelewajcie krwi nadaremno — roztrzęsione słowa błogosławiącego plebana zapadają w serca górników.

Koguty piały w miasteczku tego letniego dnia 1534 r., gdy Pietrek odprowadzał księdza plebana do Starych Tarnowic.

Niebo na wschodzie różowiało. Z cieniów nocy wychylają się kontury niskich domków krytych chrustem i stożkowate dachy szybów. Wąskie strugi dymów podnoszą się w jaśniejące niebo.

Na Blaszynie, między nieczynnymi od kilku dni szybami, zbierają się górnicy. Są uzbrojeni w kilofy, siekiery, widły i drągi. Milczą. Surowe skupienie na twarzach.

Pawlik naradza się z Żurkiem i Kozłem.

— Ruszymy na urząd górniczy[100], uwolnimy z piwnic naszych ludzi, starego Małdrzyka. A potem — Pawlik marszczy czoło i silniej zaciska palce na trzonku kilofa — potem jeszcze raz zażądamy swoich praw, już uzbrojeni!

Słońce wschodziło nad Tarnowskimi Górami, gdy krętą, wyboistą drogą od szybów Błaszyny posuwali się długim, długim szeregiem ku rynkowi. Widły, siekiery i kilofy błyskały w słońcu...

...Słońce zachodziło nad Tarnowskimi Górami, gdy wracali do domów pojedynczo i zabrudzeni, ale radośni odniesionym zwycięstwem[101].

— A teraz niech spróbują nie dać nam należnych praw! — Stary Małdrzyk wspiera się na ramieniu Pawlika. Wyczerpało go więzienie i ten znojny dzień. — Szkoda, że nam Scholz umknął...

— Umknął nam, prawda. — Pawlik spochmurniałym okiem wiedzie po widocznym zniszczeniu. Poobalane płoty, pozrywane dachy szybów, zburzone odwadniarki i płóczki — dużo czasu minie, zanim to wszystko doprowadzi się do porządku — smutne myśli chodzą po głowie górnika.

W izbie Marta polewkę leje do glinianej misy. Kraje bochen chleba. Nakarmione niemowlę śpi w kołysce. Obok, na barłogu, pod białym kawałkiem płótna śpi babka snem najspokojniejszym. Wiecznym. Polana skwierczą na kominie.

— Szczęść Boże! — siadł ciężko przy stole. Kilof wsunął pod ławę. Marta bezwiednie jednym spojrzeniem ogarnęła ciężkie narzędzie.

— Chwałaż Bogu! nie rdzawe... — wielka, wielka ulga w sercu. — A Pietrek gdzie? nie był z tobą? — troska w głosie i w rozwartym lękiem

---

[100] Dom Florczaka przy ulicy Gliwickiej.

[101] Według dawnych kronik do tego pierwszego powstania śląskiego doszło w Tarnowskich Górach w roku 1534.

oku. — Nie było go cały dzień w domu. Poleciał z innymi dziećmi, miałam go trzymać? — dodaje tonem usprawiedliwienia.

— Źle. Mogło mu się co stać. Już się ćmi. Wyjdę po niego. — Sięgnął po czapkę... raptem, jakoś niezręcznie uchyliły się drzwi. — Pietrek?! a ty co?! — skoczył ku chłopcu, wprowadził go do izby — co to smyczysz? kto to jest?

— To jest mały Ginter... — chłopak siadł ciężko na ławie. Dyszy głośno. Twarz **i** ręce skrwawione. Skrwawione też dziecko, którego nie puszcza z rąk.

— Ginter?! — twarz Pawlika kurczy się dziwnie — czyje to dziecko? — świszczący, zduszony szept.

— Scholza... — Pietrek obronnym ruchem tuli kilkuletniego, drobnego malca do piersi. Boi się ojca... ma takie straszne oczy... taką wykrzywioną twarz...

— Scholza dziecko... — Pawlik nie odrywa wzroku od spłakanego, wystraszonego dzieciaka — synek tego mordercy, mordercy mojego ojca... — palce górnika prężą się jakby do chwytu, do strasznego uścisku. Zadusić to niemieckie szczenię, jak zaduszono ojca...

Nagle coś się w nim załamało. Opadł na zydel, twarz skrył w czarnych, pokaleczonych dłoniach... gdzieś, z niezmiernej oddali, a równocześnie bardzo, bardzo blisko, jakby spod serca, tętni i dzwoni mu w uszach roztrzęsiony głos błogosławiącego plebana: „nie przelewajcie krwi nadaremno...” okrutny żal ściska serce górnika za ten moment nieludzkiej nienawiści...

— Tato — Pietrek wstaje z ławy, podchodzi do ojca, już się go nie lęka — tato, Ginter tak strasznie płakał, że go nie mogłem samego zostawić...

— Dobrze, Pietrek — na brudnej twarzy górnika dwie jasne strugi — dobrześ zrobił. Marta, weź dziecko. Daj mu jeść... daj mu chleba... zostanie u nas, aż przyjdzie kto po niego.

— Tato, po niego nikt nie przyjdzie... — Pietrek ma wystraszone oczy, lekko drżą mu wargi.

— Czemu to? — natężony, wyczekujący wyraz twarzy.

— Bo Scholzowa uciekła zaraz rano. Widzieli ją. A Gintera zostawiła. A Scholz, Scholz, tato — Pietrek przyciska się do ojca, dygoce — Scholz leży tam, w szybie...

— W szybie? w którym?

— W dziadkowym... cały strzaskany, nie żywy... wlazłem tam, bo słyszałem, jak Ginter płakał. Ginterowi nic się nie stało... wpadli tam, jak uciekali...

— Boże... — jakiś lęk ściska serce. Jakiś chłód mrozi członki.

— Boże, bądź mu miłościw. — Marta rozpaczliwym a gorącym ruchem splata dłonie. — Boże, bądź mu miłościw...

Mały Ginter nie zauważony zbliża się do stołu. Głodnym wzrokiem patrzy na chleb.

— Jeść! Jeść! — świeży dziecięcy głos i piąstka wyciągnięta.

— Masz! Bierz! — Pawlik sięga po chleb i wciska kromkę w wyciągniętą piąstkę. Druga jego ręka niezgrabnym, nieśmiałym ruchem gładzi włoski dziecka.

„Gość Niedzielny", nr 20/1957, s. 4 – 5; nr 21/1957, s. 5.

Królewska wizyta u Piekarskiej Pani

Lipiec 1697 roku obfitował w deszcze, Brynica szeroko rozlała swe wody topiąc pola i łąki piekarskich kmieci. W Tarnowskich Górach i w okolicznych wsiach rozkwaterował się dwór i wojsko saskiego kurfirsta[102] Augusta spieszącego na koronacje do Krakowa. Polska szlachta przybyła na powitanie przyszłego króla, nie znalazłszy już kwater, rozbiła niezliczone namioty na tarnowskich błoniach. Wszystko gwoli mokrej aury skupiło się pod namiotami, winem i rozmową skracając przykrą nudę.

1. Imć pan Antoni Gintowt, podkomorzy kasztelana wileńskiego Słuszki, ławę bliżej stołu przysunąwszy siadł na niej ciężko, aż zaskrzypiała. Jedną ręką sięgnął do gąsiora, drugą lampkę nadstawił.

— Po postnym obiedzie jestem, mości panowie, a jak wiadomo post pisces, vinum misces[103]. Rybka musi pływać.

---

[102] Elektor, udzielny książę dawnej Rzeszy Niemieckiej, mający przywilej obierania cesarza.

[103] Po rybie, trzeba wino pomieszać.

Zabulgotał węgrzyn szlachecki, wytrawny zieleniaczek w szlacheckim gardle. Pan podkomorzy otarł wąsy, lampkę odsunął, lecz spojrzawszy mimo woli w głąb brzuchatego a pełnego jeszcze gąsiora, pożałował dobrego trunku.

— E, grzechem byłoby gardzić takimi delicjami — zakonkludował i palnął jeszcze jedną i drugą lampkę.

— Jakże, asindzieju, pełny gąsior to niezwyciężony kusiciel — odezwał się pan Oszewski Łukasz, stolnik rodem spod Opola. — Któż nie doświadczył tego, że człowiek słaby jest, a wino mocne?

— Tandem, panowie dobrodzieje, pozwolę sobie odezwać się od razu ad rem[104] — pan Gintowt rozejrzał się dokoła, jakby badając twarze słuchaczy. Imci stolnika opolskiego znał kopę lat i miał go za wiernego druha. Nie znał natomiast wcale panów Miodońskich, Onufrego i Serwacego, co siedzieli po drugiej stronie stołu, pod ścianami przemokłego namiotu, a przyjechali pod Tarnowskie Góry z dworem kasztelana krakowskiego, Jabłonowskiego. Ręczył mu jednak za nich ojciec Henryk Witkowic, z piekarskiego klasztoru, którego pan Gintowt bardzo szanował poznawszy go swego czasu na świętych misjach.

— Tak tedy, mości panowie — rozpoczął podkomorzy wileński na nowo — żyjemy w przededniu wielkich rzeczy. Dziś z rana przyjmował Najjaśniejszy Pan w swym namiocie Jaśnie Wielmożnego Imci Jerzego Kryspina, biskupa żmudzkiego, który przybył, aby dać kurfirstowi wybór, gdzieby chciał wyznanie wiary uczynić i pakta przysięgą utwierdzić, czy w Częstochowie, czy w Piekarach.

— I co? Jaki wybór uczynił?

— Dotąd żadnego. Kurfirst prosił o drugi dzień dla deliberacji. Ot, co — odsapnął pan Gintowt.

— Ma bo m a nad c zym deliberować — młodszy pan Miodoński, Serwusiem zwany, przysunął się bliżej do podkomorzego. — Mówią, dobrodzieju, że on wcale katolikiem nie został ex intimo corde[105], tylko gwoli tego, by koronę uzyskać. Mnie się to płochością wydaje, ba, grzechem ciężkim, bo religii jako sukni zmieniać się nie godzi. Kto Bogiem frymarczy, ten i ludzi nie uszanuje.

---

[104] Do rzeczy.
[105] Z głębi serca.

— Święta prawda — przytaknął pan Gintowt — ale ma być stokroć gorzej. Słyszałem, jak kasztelan nasz, Słuszka, mówił zagniewany, że kurfirstowa wyznania ewangelickiego na żaden sposób się wyrzec nie chce, chociażby i dla niego koronę przyszło utracić.

— Żona męża słuchać winna, inaczej obraza Boska — odezwał się pan Łukasz statecznie.

— Obraza Boska, a jakże — zafrasował się starszy pan Miodoński, Onufry — ktoby się tam na saskim dworze o boską obrazę pytał! Bywałem po trzykroć w Dreźnie u Augusta i com się napatrzył, tom się napatrzył. Saski elektor bankietować lubi, w przepychach i zbytkach się kocha... krewki jest i młodość jeszcze z niego nie wykipiała. Z miłośnicami się nie kryje, a nieustannie je zmienia. U nas mu to ani serc, ani szacunku nie zjedna.

— Bóg wiedzieć raczy — pana Gintowta oblicze bardzo było ponure — czyśmy dobrze postąpili stanąwszy po stronie Sasa, zamiast elekta francuskiego, księcia Conti'ego.

— Nie czas turbacjami głowę suszyć — odezwał się pan stolnik Łukasz gromko. — Mamli rzec prawdę, to mnie się spodobał nasz Najjaśniejszy pan. Wszak sami wiecie, jaki z niego siłacz. Podkowy łamie jako sucharki, srebrne kubki jako papier w garści gniecie, a koniom jednym zamachem łby ścina. Pan to, jakiego nam było potrzeba. Ma siłę. I nie w dłoni tylko. Nie brakuje mu jej pewnie i w woli. Poskromi rozpasanie, stłumi rozkosze, nie dopuści rebelii, ukróci swawolę.

— Ależ, panie bracie — przerwał Gintowt szydersko — Sasowi spieszno do absolutum dominium, ale nic z tego! W Saksonii on szlachty pytać się nie potrzebuje, rozkazuje, co chce, ale nasza szlachta rezonować umie i nie da się w kaszy zjeść! Zamyka co prawda opornych w Königsteinie, ale my mamy przeciwko temu nasze neminem captivabimus[106].

Rwetes wszczął się dookoła stołu, brzęknęły winne kubki, zachwiał się nawet brzuchaty gąsior chlupocząc węgrzynem. Przez szpary namiotu wglądać zaczęły ciekawe twarze służby, która sądziła, że to pijatyka i bójka. Nagle ciężko od wilgoci obwisłe skrzydło namiotu odchyliło się zupełnie,

---

[106] Neminem captivabimus nisi iure victum – zasada gwarantująca w Rzeczypospolitej nietykalność osobistą szlachcie, a więc zapewniająca, iż posiadający takie prawo nie zostanie uwięziony bez wyroku sądowego.

oczom zaaferowanych dobrodziejów ukazał się zakonnik długi a chudy, w pelerynę odziany.

— Laudetur Jesus Christus.

— In saecula saeculorum![107] — krzyknęła szlachta raźno i radośnie zapraszać poczęła do stołu.

Był to właśnie ów ksiądz Henryk Witkowic z Piekar. Lata nie zgarbiły wysokiej postaci, ale zmarszczki twarzy pozwalały się domyślać siedmiu, może i więcej krzyżyków. Ci, co mało znali Ojca Henryka, wiedzieli o nim tyle tylko, że jest mądry. Ci, co go bliżej znali, wiedzieli, że jest także dobry.

— W sam raz przybywacie, najprzewielebniejszy ojcze — pan Łukasz pochylił się do ręki zakonnika — bo oto swarzyliśmy się o przyszłe regnum. Powiedzcie, jeśli łaska, co wy o tym trzymacie.

— Jestem, asindzieju, simplex servus Dei[108] — odpowiedział ojciec Henryk po c hwileczce — i w arkana polityki mieszać się nie kwapię. Augusta nam jedni przedstawili jako dla wolności Rzeczypospolitej bardzo niebezpiecznego, drudzy zasię jako pożądanego do zaprowadzenia ładu i porządku pana. Trzeba, jak zawsze w każdej rzeczy, i z tej, i z drugiej strony wziąć cząstkę prawdy, a resztę Bogu poruczyć. Kurfirst, szczerze wyznawszy, nie obudza i we mnie żadnej ufności, ale Stolica Apostolska myśli przez jego osobę pozyskać na nowo Saksonię, gdzie protestancka herezja zagnieździła się najsilniej.

— Daj Boże, niechby się stało, jako Rzym pragnie. Utinam! — Westchnął pan podkomorzy nabożnie i aby oszukać frasunek, co go dręczył, podniósł ku ustom lampkę pachnącego zieleniaczka. Ojca Henryka nikt nie próbował nawet częstować, bo znany był z tego, że się kubka wcale nie imał. Wszystkim powtarzał, choć nie wszyscy mu wierzyli, że na dnie każdego kubka — czy by złoty był alboli z drewna — diabeł się czai.

— Ale, ale, mości panowie, mam dla was nowinę! — zawołał ojciec Henryk radośnie. — Najjaśniejszy pan wybiera się jutro do Piekar...

— Nie do Częstochowy? — przerwał pan Gintowt trochę rozczarowany.

— A to już słyszeliście o tym? — zdziwił się ojciec Henryk.

---

107 Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Na wieki wieków.

108 Prosty sługa Boży.

— Nie, tylko to wiemy, że przed królem wybór: albo Piekary, albo Częstochowa.

— No i August wybrał Piekary — dokończył ksiądz — czołem tedy waszmościom, muszę spieszyć, by jeszcze przed nocą dotrzeć do klasztoru z tą wieścią. — Szlachta porwała się z ław i odprowadziła zakonnika poza ostatnie namioty obozowiska. Wszędzie panował ruch i gwar mimo siąpiącego deszczu i chlapiącego błota. Czyszczono konie, sprawiano wozy, gotowano strawę przy rozpalonych ogniach. Widać wieść o wymarszu do pobliskiej wsi Piekar, była już runęła przez obóz, bo wszędzie zwijano się raźniej, z większą ochotą, w oczekiwaniu wielkich uroczystości.

2. W sobotni, wczesny ranek 27 lipca, choć deszcz lał bezustannie, drogę do piekarskiego klasztoru na niezmierzonej przestrzeni pokryło mrowie ludzi. Wszystko, co żyło, biegło oglądać przejazd saskiego kurfirsta, przyszłego króla Rzeczypospolitej. Już od dawna stugębna wieść głosiła że August występuje z iście monarszym splendorem, że towarzyszy stodwadzieściapięć kolebek złoconych i srebrzonych, szeptano, że jedna laska marszałkowska, która przed królem niesiona być miała, cała brylantami wysadzona, na tysiąc dukatów szacowana była. Niektórzy głosili, ale nikt im wiary dać nie chciał, że kurfirst prowadzi z sobą jakieś dziwaczne zwierzęta, wielbłądami zwane, całe złotem objuczone.

Zbliżała się już godzina dziewiąta, gdy na placu przed klasztorem powstał gwar niezmierny a tumult.

Saska piechota stanęła szeregiem po bokach drogi baczenie dając na wszystko.

Najpierw ukazały się na drodze szeregi paziów, lokajów i hajduków w złotem szamerowanych sukniach. Potem szli trabanci, szwajcarowie i saskie gwardie. Za nimi jechały poczty wojewodów, biskupów i kasztelanów. Konie były postrojone oponami szytymi w złote herby, jeźdźcy w aksamity, w zbroje lśniące, w lamparcie skóry, skrzydła i złocone kopie. Siodła i końskie rzędy migotały kosztownymi kamieniami.

Kurfirst August w stroju polskim, z kołpakiem i kitą wspaniałą, jechał na koniu śnieżnej białości. Towarzyszyli mu najdostojniejsi panowie polscy, kasztelan wileński Słuszka, starosta wschowski Radoszewski, obaj Jabłonowscy, kasztelan krakowski i wojewoda wołyński. Za nim jechało liczne duchowieństwo, kanonicy, prałaci, oraz urzędnicy dworu kurfirsta

wraz z nieodstępnym Pflugem i generałem Trautmansdorfem. Królewska gwardia przyboczna i królewscy kirasjerzy zamykali pochód.

Oczy zgromadzonych tłumów urzekła czarująca postać Augusta. Bo też miał postawę rzeczywiście pańską. Średniego wzrostu, kształtnie zbudowany, przywodził na myśl posągi Apollina i Marsa. Twarz króla była łagodna, a krasił ją wdzięczny uśmiech, jakby dobroci pełny. Ludzie wpatrywali się z zachwytem w to monarsze oblicze sławiąc męstwo Augusta, siłę jego, rozum a razem uprzejmość i łagodność.

— Nie myliłem się wcale, asindzieju — mówił stolnik Łukasz Oszewski do swoich towarzyszy — gdy ręczyłem wam, że takiego nam akurat pana potrzeba. Wystarczy popatrzeć na jego oblicze...

— Ale, patrzno, acan na ojca Henryka! — zawołał nagle podkomorzy Gintowt — Ten ci się wświdrował oczyma w twarz Augusta, jakby go chciał przejrzeć do dna!

— I zapewne go przejrzy. Przed takim wzrokiem nic się nie ukryje..

Ojciec Henryk Wilkowic już z rana otrzymał od przeora rozkaz, by wysłuchał spowiedzi króla Augusta. Patrzył teraz na tego człowieka mądrymi oczyma starego duszpasterza i widział dużo spraw, o których istnieniu nie byłby pomyślał nikt.

Tymczasem biskup żmudzki, Jerzy Kryspin, wprowadziwszy kurfirsta do kościoła witał go wytworną łacińską mową „Najjaśniejszy i najodważniejszy królu! Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska, jedyny ów ojczystej wolności feniks, wielu wieków cudo, wielkiej krwi rodzaj, Ciebie, Najjaśniejszego Elektora i Księcia Saksonii wolnymi naszymi głosami obranego Polaków królem i wielkim książęciem litewskim, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Kijowa, Wołynia, Podola, Podlesia, Infant, Smoleńska, Siewierza i Czernichowa tytułuje i nazywa, Ciebie, potomku tylu cezarów królów i książąt, ozdobionego blaskiem cnót i przymiotów króla godnych, sama wolność nasza czci i szanuje”.

Ojciec Henryk stał w drzwiach zakrystii przebierając palcami ukrytymi w szerokich rękawach ziarna różańca. Zamykał uszy na przemowę biskupa, bo jego przesadne pochwały budziły w nim niesmak. Czasem podnosił powieki a wówczas oczy jego spoczywały na twarzy Augusta i czytały na niej kłam i zręcznie odegraną komedię. I wtedy zakonnik czym prędzej przenosił wzrok na cudowną twarz Bożej Matki, jakby u niej prosił przebaczenia za swe zuchwałe myśli:

„Czyż mogła pobłądzić Rzeczpospolita nasza — unosił się mówca — kiedy nad wszystkich innych Augusta przełożyła, kiedy po wielkim owym Janie, Ciebie następcą ustanowiła, żebyś słusznie i zgodnie tron tak zacnego tryumfatora zasiadł...”[109]

Zasmucił się ojciec Henryk, a z nim niejeden spośród szlachty na kościele, gdy padło imię Jana. Tylu go pamiętało i mimo woli cisnęło się przed oczy porównanie tych dwóch królów ze sobą. August był młody i piękny, ale brak mu było tego majestatu bohatera spod Wiednia, brakło mu jego nieposzlakowanej, męskiej prawości.

Tymczasem biskup żmudzki, wsławiwszy jeszcze w wielu kunsztownych zwrotach i porównaniach oręż Augusta, mądrość jego i łaskawość, zakończył mowę i zbliżywszy się do klęczącego króla głosem uroczystym przeczytał mu wyznanie wiary. Kurfirst tedy raz jeszcze ustnie i pisemnie odnowił swoje wystąpienie z kościoła protestanckiego i przyjęcie wiary katolickiej.

Na kościele słychać było ciężkie, przyduszone oddechy zgromadzonej szlachty. Tysiące gorejących źrenic wpatrzyło się w króla klęczącego przed głównym ołtarzem na szkarłatnym klęczniku.

— Patrz acan, ojciec Henryk podchodzi do króla — szepnął Gintowt panu Miodońskiemu — spowiedzi jego słuchać będzie, czy co? Dalibóg, stułę założył!

— Widzę, dobrodzieju, widzę! Nie chciałbym się w tej chwili za nic mieniać z królem, choćby mi nawet koronę dawano!

Po królewskiej spowiedzi biskup żmudzki mszę czytać zaczął, w czasie której August miał przyjąć świętą Komunię. Ojciec Henryk nie zauważony przez nikogo dostał się ku drzwiom zakrystii i już chciał kościół opuścić, gdy jakaś niepojęta siła kazała mu spojrzeć w górę, ku obliczu Piekarskiej Pani.

Zdumiał się ojciec Henryk, bo oblicze to z niewypowiedzianą słodyczą i miłością pochylało się nad wszystkimi zgromadzonymi a z szczególną miłością — jak się ojcu Henrykowi zdawało — zwracało się ku saskiemu elektorowi.

---

109 „Zwiastun Górnośląski“ 1869 r., nr 21/22.

Zakonnik opuścił szybko zakrystię, rozglądnął się po zadeszczonym, gwaru i ludzi pełnym placu przyklasztornym i skierował się ku stajniom i wozowniom. Pusto tam było i cicho. Czeladź wszystka wyszła na drogę patrzeć na króla i królewski dwór.

Ojciec Henryk usiadł na jakimś wyprzężonym wozie, pod okapem stodoły, co chronił przed deszczem. Przymknął oczy, wsłuchał się w mocno bijące serce i oglądał oczyma duszy przyszłe nieszczęsne dzieje matki — ojczyzny — które miał na nią sprowadzić ten król, spiskujący z Brandenburgią i caratem a klęczący teraz przed obrazem Piekarskiej Pani.

Jakiś dreszcz przeszedł po chudych plecach zakonnika. Przypomniał sobie słodkie wejrzenie Matki Bożej, którym ona ogarniała Augusta. Przecież Matka Boża wie to, co i on wie, że skalane i nieprawe jest serce tego króla, że umysł jego snuje myśl zdrady, zdrady najsroższej, zdrady ojczyzny — a jednak Piekarska Panienka nie tylko, że nie odwracała odeń wzroku swego, ale przeciwnie, patrzyła nań łagodnie, dobrotliwie...

Nagle ojciec Henryk przypomniał sobie pewną rozmowę. Ojciec Vota, znakomity uczony, przyjechał wówczas z Rzymu — było to przed dwudziestu laty — i mówił mu o tym, że przed Maryją Matką Chrystusa wszechwiedza Boska stoi otworem, że ta, co była przed wiekami, widzi i to, co przyszłe wieki przyniosą.

— Już wiem teraz, rozumiem Cię, Święta Pani — szepnął ojciec Henryk przez ściśnięte gardło — mogłaś nań patrzeć dobrotliwie, bo wiesz, że on naszej ojczyźnie prawdziwie zaszkodzić nie może. Ty widzisz dalej, dalej niż ludzka myśl sięga, widzisz niedolę Rzeczypospolitej, lecz widzisz również jej przyszłą chwałę, bohaterstwo jej synów i jej córek, co nie spodlą się żadną zdradą. Ty jesteś najwyższą Królową naszego narodu i nie dopuścisz, by on upadł przez zdradę króla snującego nieprawość.

Ojciec Henryk podniósł się, wyprostował i z pogodną twarzą skierował się napowrót ku klasztorowi. W tejże chwili ogromny, radością buchający krzyk podniósł się wokoło: vivat Rex! vivat!

Ojciec Henryk uśmiechnął się wyrozumiale i osłaniając się kapturem przed zacinającym deszczem wmieszał się w wiwatujące tłumy.

JADWIGA KUCIANKA

„Gość Niedzielny”, nr 32/1957, s. 6 – 7.

JADWIGA KUCIANKA

Jako imć Milewicz w peregrynacjach dalekich cudownej góry szukał

Bronisławie, córce Ziemi Śląskiej... ku wiecznej sławie!

1. Zachodzące słońce czerwonym blaskiem barwi białe ściany dworku w Niemenczynie. Z rozwartych okien bucha gwar głosów, podnoszą się gromkie wiwaty, raz po raz zrywa się cienko lub grubo zaintonowana piosenka, by za chwilę rozpłynąć się w radosnej wrzawie. Wyrostki niemenczyńskich chałup podglądają ciekawie u okien świetlicy i czmychają jak stado świergocących wróbli, gdy na ganku pojawi się stary Marcin, ochmistrz dworu, groźnie i surowo na wszystko baczący.

Dziś atoli imć pan Marcin niewiele uwagi zwraca na wiejską gołotę podpierającą ściany dworku. Co chwilę, przysłaniając oczy przed słońcem, pogląda na trakt wileński, czy nie dojrzy na nim wozu, i natęża ucho, czy nie posłyszy turkotu kół.

Szeroka droga błyska wśród wiosennych pól kałuży i koleinami błota. Wiosenne ciepło przyszło tego lata znagła, tuż przed Palmową Niedzielą, a śniegi były jeszcze niemałe, w mig wszystko roztajało, rozmokło, rozkisło, Wilja i Niemcza rozlały swe wody daleko po łęgach, aż ku wiejskim zagrodom.

Siedziałbyś lepiej acan doma, żonkę hożą wziął i nas, oną kompaniją, miast na pożegnanie, na wesele sprosił — pererował ktoś głośno. Marcin obejrzał się, a potem ustąpił na bok robiąc przejście wychodzącym z sieni szlachcicom. Stanisław Wojtyłło, dziedzic z niedalekiego Balingródka wiódł pod rękę pana domu, Kazimierza Milewicza.

— Słowo się rzekło, kobyłka u płotu, miły panie bracie — zaśmiał się niefrasobliwie pan Kazimierz — łuby już spakowane, talary odliczone, wozy nasmarowane, ino konie zaprzęgać a przed dobrodziejką panią matką klękać i o benedykcyją na drogę prosić.

— Owóż wyrozumieć nie mogę, że dla waści są te sprawy tak wielkiej importancji, mnie się zaś zdają, bez waścinej obrazy, zwidem pospolitym —

mówił Wojtyłło porywczo. — I nie żyw waść do mnie rankoru o tę szczerość, ale ośmielony długą naszą konfidencyją i tym, że przyszłego, miłego krewniaka w tobie upatrywałem...

— Darujcie, mości dobrodzieju, pofolgujcie sobie i mnie, niech żadne słowo krewkie nie padnie między nami — Kazimierz pochylił się szybko ku staremu, gniewnie sapiącemu szlachcicowi i ucałował głośno w policzek. — Na nic się zdadzą dalsze dysputy, to co dla waści zwidem, dla mnie faktem, jako ten dąb przy bramie. Factum non fictum[110] — Inaczej tego zdefiniować nie potrafię. I lubom niegodny Bożej łaski, za jawny cud to wszystko sobie poczytać muszę.

— Oj, mości Kaźmierzu, Kaźmierzu — westchnął Wojtyłło ciężko — żonkę ja taką dla ciebie chował jak wiśnia, jak chleb z miodem, i wszystko na nic...

— Co nie, to nie, drogi panie Stanisławie — krzyknął Kazimierz prędko — da Bóg, że załatwiwszy pomyślnie duszne moje sprawy, rad wielce i w sumieniu uspokojony z peregrynacji do domu czymprędzej powrócę, do Balingródka z homagium pospieszę i wielce dla mnie łaskawym rodzicielom panny Agnieszki do nóg upadnę, tusząc, iże mnie czarną nie potraktują polewką.

— Ili, takie mi tam nieźrałe gadanie waszeci — burknął pan Wojtyłło — ile lat może potrwać ta twoja peregrynacja, hę? Dziewka mi za ten czas w doma uświerknie. Myślę postawić waszeci ultimatum — zwrócił się z lekkim uśmiechem do niemenczyńskiego pana — albo miłujesz niebogę uczciwie i miasto puszczać się w podroż tak daleką, zadeklarujesz się wraz, albo też...

— Wybaczcie, jaśnie panie, ale ot, furkę słychać i widać na trakcie — stary Marcin zbliżył się z ukłonem do rozmawiających — widzi mi się, to tak długo wyglądany ojciec Piotr z Wilna.

— Ani chybi — zawołał Milewicz radośnie, zadowolony wielce, że przyjazd nowego gościa przerwał dyskurs w tak niebezpiecznej materii — ale ty, Marcinie, masz jeszcze ciągle żołnierskie oczy i uszy — zwrócił się z uznaniem do starego sługi — widać, że wojaczka ze Szwedem nie przyniosła ci żadnego szwanku. A teraz trzeba uprzedzić matkę dobrodziejkę, niechby zeszła razem z ciotką powitać przewielebnego ojca.

---

[110] Rzeczywistość nie urojenie.

W obszernej, choć niskiej, świetlicy niemenczyńskiego dworku zrobił się rumor. Szlachta siedząca nad gąsiorkami litewskiego złotego miodu i słodkiego wina rzuciła się ku drzwiom i sieniom witać sławnego i zacnego wielce jezuitę z wileńskiej akademii. Prawie każdy z obecnych tu ichmościów dłużej lub krócej siedział na ławach jezuickiego kolegium w Wilnie, i teraz, gdy z Niemiec i Włoch szły nowiny o diabelskich zgoła najazdach panujących książąt na zakon Jezusowy, zżymał się i bolał nad tym srodze.

Księdza Piotra Bilińskiego, wśród kordialnych uścisków i okrzyków, acz z rewerencją wielką, posadzono na honorowym miejscu za stołem, po bokach zaś jego usiedli starzy Milewiczowie, rodzice Kazimierza. Wojtyłło z Balingródka, Stankiewicz z Korwia, młodszy i starszy Kulesza z Pakiełószek i Michał Gucewicz, daleki krewniak z Miguńc w powiecie wiłkomierskim, obsiedli ławy po bokach z miejsca napełniając kubki i kielichy, aby wypić zdrowie nowego gościa, zacnego profesora.

Ksiądz Piotr odwzajemnił toast cienkuszem, który przed nim w dzbanie, już zawczasu przygotowanym, postawiono. Znany był z tego, że pił tylko wodę, albo ów cienkusz, od którego, jak mówił Wojtyłło, który go kiedyś niefortunnie chłepnął, szlachecka gęba rdzewieje, a mózg z kretesem jełczeje.

— Wielce to chwalebne ze strony ichmości panów dobrodziejów, że w tak zacnej kompanii żegnacie waszego młodego sąsiada, miłego nam pana Kazimierza gotującego się w długą a zbożną drogę. — Ks. Biliński powiódł okiem po zgromadzonych, uśmiechnął się do Kazimierza, który usiadł mu naprzeciw i sięgając w zanadrze, wydobył plik papierów. — Prosił mnie imć pan Kaźmierz, bym mu marszrutę nagotował, jakoże niemało świata zwiedziłem w mej młodości, i miałem już z rana przyjechać z Wilna, aby z nim na osobności te sprawy przedeliberować, wszelako wstrzymały mnie termina ważne i smutne bardzo, o których ichmościom potem wspomnę, na odjezdnym może, aby nie psuć miłej zabawy — westchnął nieznacznie i spuszczając głowę nad zapisaną kartką papieru, ukrył bladość, która wystąpiła na jego chudą i wyniszczoną twarz.

— Nie wiem atoli — podjął na nowo — czy ta zbożna marszruta będzie ichmościów ciekawiła, jakoże mowa w niej będzie o panieńskich klasztorach i świątobliwych zakonniczkach w cudzych krajach. Ani chybi, wypadnie to tak, jak kazanie u św. Katarzyny na sumie — uśmiechnął się

i mrugnął porozumiewawczo ku Wojtylle, który, jak to nieraz powtarzał, nie za bardzo przepadał za kazaniami u św. Katarzyny w Wileńskiej kaplicy, co trwały i ze dwie, a czasu wielkiego postu i ze trzy godziny.

Bardzo prosimy wielebnego ojca profesora, prosimy! Wszyscy jesteśmy ciekawi drogi i przygód, jakie czekają imć pana Milewicza. Prosimy ojca dobrodzieja, słuchamy! — podniosły się wołania poparte ochoczo miłym dla ucha brzękiem kubków i gąsiorków.

— Godzina już późna, słońce zaszło, noc idzie -— zaczął imć Wojtyłło stękająco, powoli a ostrożnie, aby nie urazić ani gościa z Akademii, ani gospodarzy — jutro też jeszcze dzień... — przerwał jednak, słysząc pełne dezaprobaty chrząkania i miarkując, że nie wybrał się w porę.

— Jutro do dnia muszę być w Wilnie z powrotem — wyjaśnił ks. Biliński — ale nie trap się waszeć, panie Wojtyłło, powiem krótko a nie długo, co rzec mam, jakoże dostrzegłem już przedtem — dodał ściszając konfidencjalnie głos — naszego poczciwego imć Marcina dyrygującego w kuchni wśród dymiących rożen i patelni, te zaś na czekanie skazywać, to niechybnie peccatum i w oczach szlacheckich i zwyczajnego gminu. Wojtyłło skonfundowany i zmarkotniały ukrył twarz w dzbanie, potem zaś przymknął oczy, jakoby szykował się do drzemki.

— Przystąpię od razu ad rem — zagaił Jezuita — owóż wiadomo ichmościom, w jakim celu peregrynuje imć pan Milewicz junior do obcych krajów. Mam w wielkiej rewerencji jego zbożny zamysł i tuszę, że jest on wielce miły Panu Bogu. Aby jednak podroż pana Kazimierzowa nie była zbyt przewlekła, ustaliłem te miejsca czcigodne i nabożne, do których winien dotrzeć, nie zbaczając nadaremnie do innych niezgodnych z materią jego dziwnego widzenia.

Ks. Piotr pociągnął łyk ze dzbana i mówił dalej:

— Otóż nasamprzód trzeba będzie przemierzyć świętą ziemię włoską od Wiecznego Miasta poczynając, kędy już w IV wieku po Chrystusie szlachetna i bogata Rzymianka, Marcella, pałac swój na awentyńskim wzgórzu w klasztor przemieniwszy, zamieszkała w nim jako zakonnica razem z matką swoją Albiną i córką Princypią. Druga zasię Rzymianka — a owe w odzieniu białym chadzały — to Romula, święta mniszka, co na górach prepestyńskich życie wiodła. Jako trzecia, choć godziłoby się ją jako pierwszą, najważniejszą wymienić, to matka benedyktynek wszystkich, Scholastyka święta, siostra bliźniacza Benedykta, dla której on klasztor wy-

budował na Monte Cassino, o milę od klasztoru dla braci. Z owych to benedyktynek wywodzą się panie cysterski habit biały noszące i wśród onych, jak sobie imaginuję, szukać wypadnie tej, co poznać się dała panu Kaźmierzowi — dokończył cicho i spojrzał na młodego Milewicza, który wzroku zeń nie spuszczał. Ognie biły z jego rozwartych szeroko oczu i z twarzy, młodej a urodziwej. — Ale być może, iż wśród dominikanek znajdzie się owa mniszka i dlatego trzeba się będzie z Romy na t rakt florencki zwrócić i w prowincji toskańskiej miasto Sjenę, na trzech pagórkach zbudowane odwiedzić. Ichmościowie imaginujecie już sobie, o kim myślę, tak, o onej białogłowie, mądrej nad stan swój niewieści, uczonej wielce i odważnej jak rycerz, co listy słała do Ojca Św. z reprymendą, aby z Awinionu nie mieszkając do Rzymu wracał, bo tam jego prawa stolica. W ziemi włoskiej mamy jeszcze jedną mniszkę świętą, Klarę spod Assyżu, córkę duchową Franciszka, aliści nie słyszałem nigdy, aby panie klaryski w białym przyodziewku uczęszczały. Tak tedy z ziemi włoskiej, przez góry alpejskie, potem zaś pirenejskie dojdziemy do starej, szlachetnej Kastylii, gdzie na grzbiecie skalnym, stromo na trzy strony opadającym, stoi miasto Avila, szczycące się dziesiątkiem sztuką romańską pobudowanych kościołów. W mieście tym czci szczególnej doznaje Teresa Karmelitanka, w młodości urodziwa wielce a krwie tak gorącej, iż z ukontentowania modlitewnego na klasztornym dziedzińcu śpiewała i pląsała razem z towarzyszkami swymi. Karmelitanki szatki białe mają, na nie zaś kaptur czarny narzucają — dodał objaśniająco — Teresa z Avili, równie mądra jak Katarzyna sieneńska, zostawiła po sobie listów i pism uczonych co niemiara, i stąd ją do doktorów Kościoła zaliczają.

Ojciec Biliński zamilkł na chwilę, potem sięgnął do dzbana i zwilżył gardło. Imć Wojtyłło uczynił to samo, zerkając markotnie ku rozwartym drzwiom po drugiej stronie sieni, gdzie już dworskie dziewki misy i talerze rozkładały.

— Zwróciwszy się zasie do ziemi Francuzów — mówił dalej ks. Piotr — rozpocząć nam wypadnie od Paryża, gdzie na Montmartre białe benedyktynki, przy wielkiej wspaniałości kościele gotyckim siedzą. Potem droga wiedzie do Reims. Tam niedaleko, w Premontre, Norbert z Xanten pierwszy swój klasztor zakłada, dla niewiast także. Nie znalazłem aliści mniszki znaczniejszego imienia, którą godziłoby się wymieniać. U ks. Skargi natomiast wyczytałem, że wielkiej czci doznaje we Fismandii, kolo Leodium,

które Francuzi Liege zowią, Julianna święta, co częste widzenia tarczy słonecznej z czarną plamą miewała. Jej to zawdzięczamy tak miłą sercu uroczystość Bożego Ciała, boć brak tego święta w Roku Bożym był jako ta czarna plama na słońcu.

— Pozwolę sobie i ja słowo dorzucić do tego znamienitego dyskursu — odezwał się imć Stankiewicz — skoro już wymieniono zacności wielkiej księdza Piotra Skargę. Owóż wyczytałem w jego Żywotach, iż heretycka ziemia Angielczyków była ongiś krajem permanentnie chrześcijańskim, jako nasza Rzeczpospolita i że wydała wielu świętobliwych mężów i niewiast bogobojnych.

Odsapnął, wąsa pokręcił i potoczył wzrokiem dokoła, azali nie zdumiewają się jego sciencji[111]:

— Nasampierw w wielkiej sławie żyła królewna angielska, Edyta święta, potem zasię Walburga, takoże rodu królewskiego, króla Ryszarda córa znamienita, co siostrą świętemu Bonifacemu była. Ten ci ją ksienią mianował, suponuję tedy, iż w naszej, to jest imć Kazimierza mataryi, może być nieodzowna.

— Być to może — potwierdził Jezuita z wahaniem — choć miałbym pewne obiekcje. Primo: Walburga, patronka Angielczyków, była ksienią benedyktynek, ergo, czarny habit miała. Secundo, nie wiem, azali nasz drogi pan Kazimierz i per mare[112] do Anglii zmuszonym będzie peregrynować.

— Uchowaj go, Boże, przed takimi niechrześcijańskimi wymysłami — burknął Wojtyłło — wiadomo wszem wobec, iż woda a żaglowanie w orzechowej łupinie, to dla naszej nacji, dla sarmaty z dziada pradziada, rzecz zgoła nie wskazana.

— A może miasto do Anglii obróci się nasz sąsiad ku niemieckim krajom? — odezwał się znowu imć Stankiewicz z Korwia. — Opowiadała mi kiedyś świętej pamięci matka moja, matrona nabożna nad wszelką imaginacyą, o swej siostrze stryjecznej, co do klasztoru poszła i cudaczne imię Hildegardy obrała. Ponoć owa Hildegarda opacichą mądrą a groźną była, której pastorału nawet cesarz niemiecki Fryderyk się lękał i o radę w niejednej ważnej sprawie zabiegał. Także Ojciec Święty ciągle do niej

---

111 Madrości.

112 Przez morze.

pisma odręczne słał żywiąc ku ksieni władnej niezmierną benewolencją. Owa to opacicha, pastorał swój ciężki do reki wziąwszy w podroż się z Niemiec do Paryża wybrała, aby tam lud pospolity, dobrze urodzony i kapłanów do pobożności napędzać. Poczem...

— Acan pozwoli, iż przerwę jego perorę — Wojtyłło podniósł się z ławy, popatrzył po zgromadzonych — widzi mi się, że wszyscy ichmościowie życzymy Kazimierzowi, aby raptus puellae[113] na jakimś znaczniejszym wzgórzu klasztornym dokonał — zażartował głośno, lecz widząc, że nie na czasie wyrwał się z krotofilą, bo twarze wszystkich były powagą nacechowane i w myślach zatopione, zwrócił się do jezuity:

— A coś nam wielebny prefekt na końcu powiedzieć zamierzał, miarkuję, rzecz nie wesołą?

— Nie, nie wesołą — westchnął ksiądz Piotr, a w głosie jego zadźwięczał ból srogi — cóż, powiem ichmościom, prędzej czy później nowina złowieszcza dotrze do wszystkich, maluczkich i możnych, nabożnych i wiarołomców... — umilkł i wsparłszy łysą głowę na dłoniach zapatrzył się w sad za oknem spowity w wieczornej ciszy — wiecie, iż miłościwie nam panujący Ojciec Święty, Klemens XIV, schorowany jest. I wiekiem i troską ciągle sterany — mówił zgaszonym głosem — wiecie i o tym, jako nacierają na niego dwory burbońskie, chwili wytchnienia nie dając, aby ich politykę akceptował. Ojciec Święty nie zdzierżył dłużej tego iście pogańskiego nacisku i — głos księdza Piotra załamał się, płaczem nasiąkł i Ojciec Święty breve[114] podpisał nasz święty zakon Societatis Jesu[115] kasujące.

Imć Wojtyłło sapnął głośno, Stankiewicz ścisnął kubek srebrny w dłoni, aż kształt swój utracił, a Milewicz porwał się od stołu rumor czyniąc. Potem zasię w świetlicy niemenczyńskiego dworku zapanowała nagła cisza. Zła nowina, jak zioła trujące, obezwładniała członki i gasiła myśl zdrową, radosną.

Stary Marcin stanął na wieczerzę prosić i zdumiał się srodze ujrzawszy tak ponure gęby. W ciągu długiego żywota i w przygodach

---

113 Raptus puellae – porwanie dziewicy, panny; jedno z najcięższych przestępstw w Polsce szlacheckiej, karane karą śmierci.

114 Breve – urzędowe pismo papieskie dotyczące spraw mniejszej wagi.

115 Societatis Jesu – Towarzystwo Jezusowe (Jezuici).

różnych nie zdarzyło mu się nigdy widzieć brać szlachecką przy pełnych dzbanach w tak smętnej komitywie.

— Imaginuj sobie waść — mówił nazajutrz z miną tajemniczą do zakrystiana Mikołaja — siedzieli społem jako żywcem pogrzebani, biali na licach i nieruchawi, choć od obiadu dobry trunek pili nie wodę z Wilejki. Po dwakroć rzec musiałem, iż sarny i zające do stołu podane, zanim się ruszyli z tej martwoty.

2. Z wiosną roku ł776, po raz drugi już w ciągu swego trzyletniego wojażowania, przybył Kazimierz Milewicz do Rzymu. Święte miasto zdało mu się jednym wielkim wirydarzem w swej wiosennej krasie, pachnącym, a tak barwnym, jak żadne ogrody litewskie. Stanął gospodą u ojców Pijarów, gdzie przemieszkiwał już od sześciu niedziel ziomek z Litwy, Wawrzyniec Gucewicz[116], krewniak Michała Gucewicza z Miguńc, uczący się u rzymskich mistrzów sztuki zacnej stawiania kościołów i pałaców, zwanej modnie architekturą.

— Powiedzże, acan, co tam u nas w domu, w Litwie, słychać? — zwrócił się Milewicz do architekta — nie neguję, iż mi już ostra nostalgia wątpia szarpie za domem, za swojakami, za puszczą litewską. Co słychać de publicis[117]?

Siedzieli w małym alkierzu przy stole, z którego frater tylko co zabrał resztki wieczerzy, zostawiając jeno szklanice i gąsiorek z winem.

— De publicis? — podjął Gucewicz — ano, głowy tęgie w polityce, a tych u nas, jak acan wiesz, nigdy nie brak, suponują wielką odnowę, wiele sobie obiecując po rządach Stanisława Augusta wespół z Radą Nieustającą. Sejm zniósł tortury i karę śmierci za czary; w Koronie, jak fama głosi, magnaci co światlejsi nie czekając rozkazu z góry nadają poddanym swoim wolność osobistą i zakładają fabryki sukien, kapeluszy, aby ulżyć doli pospólstwa a republikę ubogacić. Acan wiary może nie dasz, ale nareszcie znalazły się talary na to, aby nasz Niemen godziwie uporządkować, tu i ówdzie pogłębić, kamieniem umocnić. Imaginuj sobie waść — krzyknął zapalczywie — iż nawet w Balingródku most stawiają! Wzywał mnie imć Wojtyłło w sprawie owej, abym się planom i robocie przyjrzał.

---

[116] Wawrzyniec Gucewicz, 1753 —1795, dekoruje piękną kolumnadą katedrę wileńską (1777), jest też budowniczym ratusza w Wilnie.

[117] O sprawach publicznych.

— A cóż tam w Balingródku? Cóż imć Wojtyłło? — pytał Milewicz, a myśl jego pobiegła hyżo ku Agnieszce, o którą sromał się pytać.

— Stary zdrów jak rydz! Miód spija jak piasek wodę! Wiesz acan, iż to człek dobry, do serca przyłóż, choć nieraz sporny i zapalczywy ogromnie. Ostatnio uparł się córkę zamąż wydawać za starego Musiałkiewicza z Pikieliszek, choć nieboga wzbrania się jak może.

— Wzbrania się, mówisz waćpan — powtórzył Milewicz mimowiednie, poruszony tą nowiną do głębi serca. — Ano, nie może być inaczej — pomyślał ze smutkiem — trzy lata minęły, jakem Litwę opuścił. Wojtyłło się sroży...

— Teraz kolejka na waćpana — przerwał architekt dumania Milewicza — długo jeszcze zamierzasz waść podróżować? — O celu podróży niemenczyńskiego pana wiedział Gucewicz od dawna, wszak mówiono o tym w Litwie całej jako o wielkim curiosum. — Miarkuję, iż niczegoś acan w czasie swej długiej peregrynacji nie doszedł. Wybacz jednakże, jeżeli folguję niestosownej i zbytecznej ciekawości...

— Nie, nie szkodzi, miły bracie odezwał się pan Kazimierz łagodnie — jak słusznie wymiarkowałeś, może po mojej gębie zniechęconej, steranej — dodał z uśmiechem — nie doszedłem jeszcze do niczego. Zjechałem pół Europy, odwiedziłem dziesiątki klasztorów i wszystko nadaremno. Przyjdzie z niczem do dom się wracać — zwiesił smutnie głowę patrząc nieobecnymi oczyma w szklanicę mieniącą się przed nim — Zanim jednak ku Litwie się zwrócę, chcę Ojca Świętego moją supliką inkomodować[118]. Niechby on, Namiestnik Chrystusowy, raczył rozeznać i zdefiniować mój nieszczęsny casus. Tak mi radził pewien przeor we Francji, sławiący pod niebiosy sanctitatem atque scientiam[119] Piusa VI.

— Prawdać to — potwierdził architekt — i mnie doszły, zaraz w pierwszych dniach pobytu w Rzymie, nowinki o światłym umyśle i gorącym sercu nowego, od roku dopiero rządzącego papieża. Fama głosi, iż stare proroctwo mianuje go vir apostolicus moriens in exilio[120].

— Moriens in exilio? — zdumiał się Milewicz — toć to nic dobrego nie wróży.

---

[118] Niepokoić.
[119] Świętość i wiedzę.
[120] Człowiek zmarły na wygnaniu.

— Ano, Pius VI nie wyglądał na takiego, coby sobie w kaszę zwolił dmuchać. On ci na pewno nie dopuściłby do kasaty Towarzystwa Jezusowego. Nie ma w nim lęku ani bojaźni przed magnatami, stad łacno dojść może do konfliktu — pererował Gucewicz z wielką ochotą. — Onegdaj widziałem go u św. Piotra: postać okazała, pełna godności, nacechowana starorzymską dumą i wytwornością, jaką widzieć możemy na malowidłach starej szlachty rzymskiej. Musisz waszmość wiedzieć, iż wywodzi się on ze starego rodu szlacheckiego, de Breschi, osiadłej w Cezanie, i że bardzo gorliwie zajmuje się sztuką, tak malarstwem, jako i architekturą.

— Aha, stąd i acan się jego osobą tak żywo interesujesz i w takiej ją masz estymie — oświadczył Milewicz ze zrozumieniem.

— Jako żywo! — krzyknął architekt — niepomiernie interesują mnie poczynania Ojca Św. w dziedzinie sztuki. Imaginuj waść sobie, iż papież dopytuje się o stare zabytki rzymskich mistrzów, o których dziś już mało kto pamięta, że przy swoich rozlicznych zajęciach znajduje czas na osobiste doglądanie restauracji wielowiekowych kościołów i klasztorów w świętym mieście, nie żałuje zaś na to grosza z własnej szkatuły, z rodzinnych funduszów, mając jeno na uwadze powrót do dawnej świetności sanctae Romae. Prawił mi co ino mistrz Guido, iż Ojciec św. od niedawna obmyśla plany przyszłego, monumentalnego muzeum Pio-Klementyńskiego.

— Wszystko to arcyciekawe, co acan mi prawisz — zauważył imć Kazimierz — ale rzeknij mi też, jak sobie waść wykładasz to, co wszyscy wokoło o poprzednim papieżu mówią? azali to prawda? może łgarstwo pospolite? — pytał Milewicz. — Mnich jeden w Prémontré opowiadał mi, jako czytał książkę wydaną rok temu w Paryżu o życiu Klemensa XIV. Tamże pisano, iż papież ów, od dnia i godziny podpisania breve na jezuitów, chwili spokoju nie zaznał, straszliwe cierpiąc niepokoje duszne i wycieńczając ciało swoje pokutą i postami. Rzekomo jadła żadnego nie pobierał, okrom jaj na twardo, otrucia się cięgiem lękając. A miasto wina lub innego pożywnego trunku wodę pił zwyczajną!

— Owa! — machnął ręką imć Wawrzyniec, architekt — fama stugębna bieży, a człek ułomny skory do jej koloryzowania i przeinaczania. Baczysz dobrze: z igły widły. — Co rzekłszy łyk tęgi ze szklanicy pociągnął.

— A czy słyszałeś waść ową fabułę, iż Klemens XIV wcale włoskiej nie był nacji, ale niemieckiej, rodem z Luzacji, i że uczył się w młodości drukarstwa we Wrocławiu na Śląsku? Potem zasię dostawszy się do

Rzymu, mnichem został i papieżem — gawędził imć Milewicz — zasię wcale nie nazywał się Ganganelli, lecz z niemiecka Lange, które to miano dwa razy mieści się w wyrazie Ganganelli, jeśli się kunsztownie litery poustawia.

— Trudno orzec, czy to, co waści opowiadał ów zakonnik, prawdą jest vel łgarstwem podłym — powiedział Gucewicz z rozwagą — wiem atoli od tutejszych ojców pijarów, iż cud jawny zdarzył się u łoża umierającego papieża. W chwili konania bowiem był przy nim, jak sam tego gorąco pragnął, świątobliwy biskup od św. Agaty Gothorum, Alfons Liguori, cudem bilokacji. Znalazł się przy łożu Klemensa mieszkania swego zgoła nie opuszczając, miarkujesz waść?

— Ano, niby rozumiem, choć to materia na ludzki rozum twarda do przyjęcia — oświadczył Kazimierz — i ja w czasie mojej peregrynacji doznałem niejednej dziwnej przygody, o której waści, jeżeli będziesz łaskaw ucha nakłonić, opowiem sposobniejszą porą. Teraz zaś godziłoby się ochędożyć siebie i służbę przed jutrzejszą wizytą u Ojca Św. na Watykanie.

Nazajutrz, o wczesnej rannej godzinie, zaraz po pierwszej Mszy św. u pijarów, wybrał się pan Kazimierz Milewicz na Watykan. Miał na sobie kontusz aksamitny, delię karmazynową, złotą materią podbijaną i żupan atłasowy. Pas lity opasywał biodra, nad czołem młodym czapka sobola, przy boku zaś pobrzękiwała lekko karabela. Stanął na papieskich pokojach i zapatrzył się w sale przestronne, jedna za drugą bez końca biegnące, w krużganki długie, smukłymi kolumnami wytyczone, o których wspominał architekt Gucewicz, iż brał z nich wzór i miarę, aby kiedyś podobne w katedrze wileńskiej wystawić. Imć Kaźmierz zbliżył się ku ścianom, które całe obciągnięte były kosztownymi arrasami wyobrażającymi nimfy pląsające, radosne pogańskim weselem. Górą zaś, ponad arrasami, bielały twarze świętych, wąskie i długie. Na sarmatę z Litwy patrzyły oczy głębokie, świadome bólu i łez, znające tryumf i radość zwycięstwa nad złem i śmiercią. Zapatrzył się imć Milewicz w te twarze nieziemskie, szukając tej, która trwała pod powiekami od miesięcy, zapatrzył się w owe cienie i kształty mówiące, złotem starym tajemniczo połyskujące.

Wchodził z jednej sali do drugiej zdumiewając się coraz bardziej nad płótnami starych mistrzów zajmującymi ściany od podłogi ku sufitom. Przystawał przed posągami kutymi w marmurze, o których nie wiedział, czyli świętych Pańskich czy mędrców pogańskich wyobrażają.

— Zaiste, rację miał imć Wawrzyniec, architekt niepośledni — myślał sobie — sławiąc sensum esteticum nowego papieża, co tak bezcenne zabytki gromadzi i w pieczy je wielkiej ma, dążąc do podniesienia świetności starej Romy.

Rozmyślania pana Milewicza przerwał kanclerz papieski ogłaszający, że ojciec św. rozpoczyna audiencje. Pan Kazimierz poprawił deliję[121], obciągnął pas na biodrach i wąsa podkręciwszy wszedł na papieskie pokoje.

Laudetur Jezus Chrystus! — ozwał się głośno i głęboko skłonił podgoloną głowę przed tronem Bożego namiestnika.

— Polonus sum ex Lituania, catholicus Deum intimo ex corde diligens, sanctae Romanae Ecclesiae defensor fidelis, Dei Genitricis et Reginae Poloniae servus humillimus[122] — płynie gładko łacina wykuta na ławach jezuickiej akademii w Wilnie.

— Witaj, mój synu — odparł Pius VI, uśmiechniętym okiem musztrujący dorodną postać młodego szlachcica w sarmackim, barwnym przyodziewku — witam w tobie całą polską nację, ku której, jako i moi poprzednicy, niezmierną żywię benewolencję.

Imć Milewicz słysząc te łaskawe słowa powitania ponownie skłonił się głęboko, sobolim kołpakiem zamiatając marmurową posadzkę.

Cóż cię do nas sprowadza z tak odległej krainy?

— Wybaczcie, Ojcze Święty, iż ośmielam się moją niegodną supliką inkomodować Waszą Świątobliwość, ale gdzież mi znaleźć lek prawdziwy i remedium nieodzowne w dusznym moim strapieniu, jeśli nie u Chrystusowego Namiestnika, gdym już próbował nadaremnie w niższych instancjach? — Milewicz rozpostartą dłonią otarł kropelki potu, które od wielkiej emocji spływały mu na skronie. — Pozwólcie, Ojcze Święty, iż przystąpię, od razu ad rem, aby Waszej Świątobliwości nie nużyć a czasu cennego próżno nie zabierać. Owóż trzy lata temu widzenie miałem: ujrzałem górę otoczoną jasnością niezwykłą, a na jej szczycie ołtarz i zakonnicę w białym odzieniu

---

121 Delia – element ubioru męskiego szlachty noszony na żupanie. Rodzaj płaszcza, w odróżnieniu od kontusza nie przepasywana, czasami noszona jak opończa – rozpięta i jedynie zarzucona na ramiona.

122 Jestem Polak z Litwy, katolickiego Boga miłujący z głębi serca, wierny obrońca Kościoła Rzymskiego, pokorny sługa Matki Bożej i Królowej Polski.

mówiącą do mnie te oto słowa: „W tym miejscu, twoje zbawienie”. Uważając to w sercu moim i umyśle za wskazówkę Bożą, wyruszyłem z kraju rodzinnego i począłem tej góry i owej zakonnicy szukać po rozmaitych krajach. Obszedłem wszystkie znaczniejsze klasztory pobudowane na wzniesieniach, w których mieszkają mniszki w białych habitach. Przemierzyłem ziemię włoską nasamprzód, potem byłem w Hiszpanii, potem we Francji, w ziemi francuskiej nareszcie w Niemczech — na próżno. Nigdzie nie trafiłem na signum[123] z nieba, nigdzie nie poczułem, iż jestem na tym miejscu świętym, które w cudownym widzeniu oglądałem

— A czegóż oczekujesz waść po owym signum z nieba? — zapytał papież wsłuchany bacznie w opowieść polonusa — czy powziąłeś już może jakieś zbożne postanowienie o twych dalszych losach?

— Tak, Wasza Świątobliwość — potwierdził Milewicz — w ciągu długich miesięcy spędzonych w klasztornych refektarzach i kościołach, urosło we mnie postanowienie wstąpienia do zakonu. Myślałem też o życiu pustelniczym, cóż, gdy niepokój mam w sercu, i w rozterce dusznej się szarpię, iż nie wiem, gdzie, w którym miejscu, mam ślubów dokonać, iż nie wiem, co to za mniszka święta, wskazująca mi miejsce mojego zbawienia.

— A może to wcale święta nie była? — rzucił Pius VI — myślę o świętej kanonizowanej. Może to jakaś mniszka zmarła in odore sanctitatis[124] dopominająca się w tak osobliwy sposób o zainteresowanie się jej personą i o uznanie autorytatywne jej świętości — zastanawiał się Ojciec Św. głośno.

— No tak, to być może, ale jak i gdzie ją odnaleźć? — krzyknął prawie z rozpaczą pan Milewicz — twarz jej stoi mi przed oczyma jak żywa, jakbym ją co dopiero wczora oglądał! Twarz osobliwie urodziwa, młoda, przedziwnie jasna i promieniejąca. Od trzech lat nie schodzi mi to oblicze białej mniszki z oczu, lecz nadaremnie szukam jej na jawie i nadaremnie upatruję jej konterfektu[125] po krajach rozmaitych.

— A czy w twoim rodzinnym kraju jej nie znalazłeś? — spytał papież.

---

[123] Znak.

[124] Dosłownie: „umrzeć w zapachu świętości”, umrzeć z dobrą reputacją, w glorii osoby świętej.

[125] Portret, wizerunek.

— W moim rodzinnym kraju? — zatknął się szlachcic — ależ tam jej wcale nie szukałem, ojcze święty!

— A dlaczegóż to nie, drogi synu? — zdumiał się papież.

— Dlaczego, bo ja wiem..., ani mnie, ani też nikomu innemu nie przyszło to do głowy — tłumaczył się imć Kazimierz zaaferowany trąc czoło z wielkiej alteracji[126].

Bywszy jeszcze w szkołach, słyszałem o Polsce od jednego z moich preceptorów, któren po dwakroć do twojej ojczyzny jeździł, jako zakonu Dominika świętego prefekt — odezwał się Plus VI. — Ów światły zakonnik sławił Królestwo polskie za ludu nabożność i książąt świątobliwość, z której to nabożności i świątobliwości wyrosły setki kościołów i klasztorów na twojej ziemi. Ale uczony ten dominikanin powtórzył kiedyś proverbium[127] zasłyszane w Polonii charakteryzujące, i jak widzę, słusznie bardzo — uśmiechnął się papież — nację sarmacką. Brzmiało ono, o ile dobrze spamiętałem: cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie. I cóż, mój synu?

— Dziękować wypadnie Waszej Świątobliwości za tę reprymendę, na którą prawdziwie zasłużyłem — odpowiedział szlachcic spłoniony. — Myślę corychlej, nie omieszkając, wybrać się w drogę powrotną i w kraju rodzinnym szukać tej, której daremnie szukałem w krajach obcych.

— Dobrze postanowiłeś, mój synu — Ojciec Święty podniósł się prostując swoją wyniosłą, szlachetną postać — nasze modlitwy będą cię wspierać i orędować za pomyślność twej dalszej wędrówki. Żywię prawie że już wiarę, że chodzi tu, w całej tej cudownej materii, o nową świętą nacji polskiej, która w tak osobliwy sposób upomina się o wyniesienie na ołtarze. Idź w pokoju, mój synu i niechaj łaska Boża cię prowadzi.

Dłoń Chrystusowego namiestnika kreśli znak krzyża nad głową sarmaty z dalekiej Litwy.

3. Błoto pryska z klaskaniem spod kopyt koni, które idą powoli, utrudzone bardzo. Błoto czarną, lśniącą mazią oblepia koła bryki zapadającej się co chwila po same osie. Woźnica z twarzą gniewliwie zafrasowaną spogląda na rozkisły gościniec, na wyżłobione w nim koleiny.

---

[126] Wzruszeniu.

[127] Przysłowie.

— Pański wasąg[128] śmiga sobie gładko i po takim bajorku — oderwał się mrukliwie do siedzącego obok pachołka — o, choćby i teraz — wskazał przed się biczem na zwinną, lekko pobudowaną karetę jadącą przed nimi — przejechał przez tę płacheć wody, jak łódką przez Wilejkę, a nam tam pewnie przyjdzie osie połamać.

— Ee, Antoni, przejechalim tyli świat bez złej przygody, choć zawszeście się nadmiernie frasowali a biedę przepowiadali — odparł pachołek wesoło — popatrzylibyście lepiej na okolicę. Patrzę i patrzę, i cięgiem mi się zda, jakobym już do Niemenczyna zdążał — westchnął tęskliwie — i rzeka bystra, jako nasza, i pagórki zielone, i łęgi szerokie i mokre, i jezioro jako u nas, i...

— I gościniec we błocie jako u nas — przerwał swarliwie woźnica i w tejże chwili byłby zleciał z kozła i chlupnął prosto w błotko, gdyby nie przytomność pachołka, co go złapał w pół — No, i stało się, święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski — sapnął głośno uspokoiwszy się po nagłym wstrząsie — koło pękło pewnie do imentu, bo strzeliło jako z harmaty. Huknij-no na Maćka, niech zatrzyma wasąg i skoczy nam do pomocy — począł się ciężko gramolić z pochylonego na bok wozu i podciągając wysoko nogawki stąpał po rozmokłej drodze wokół złamanego koła.

Z obejścia pobudowanego dostatnio wśród drzew pobok drogi wyszedł człek jakiś, z szlachecka przyodziany, wysoki nad miarę, z czupryną gęstą, siwą, choć twarz zdała się młoda. Spojrzał na pochyloną mocno brykę, głową pokiwał, o potem podszedł ku karecie.

— Nie frasuj się waćpan, kuźnia niedaleko, o, za tym zakrętem — rzekł pogodnie wskazując ręką.

— Bóg zapłać za pociechę, ale raczże mi waćpan powiedzieć, jak daleko jeszcze do Krakowa i czy dojadę tam przed zamknięciem bram? Jestem Kazimierz Milewicz, z Litwy rodem — powiedział podróżny uchylając grzecznie kołpaka i wyskakując z karety na drogę.

— Poznałem po waścinej śpiewnej mowie, żeś acan nie z naszych stron — roześmiał się ochoczo — do usług waćpana, jestem Marcin Niewiarowski, tutejszej cegielni klasztornej dzierżawca. Ot, tym wasągiem

---

[128] Wasąg – czterokołowy powóz odkryty bez resorów lub na półresorach poprzecznych, z nadwoziem drabinkowym opartym bezpośrednio na osiach, z wyplatanymi bokami z wikliny lub jałowca, w. używany w Polsce jako pojazd bagażowy i podróżny.

acan do grodu dojedziesz przed nocą, ale co zrobisz z kulawą bryką? Radziłbym, jeżeli sprawa nie taka pilna, skorzystać ze skromnego naszego dachu, jeżeliś waćpan łaskaw. Moje niewiasty przygotują waści niezgorszą kwaterę. Bardzośmy radzi gościom, gość w dom, Bóg w dom, jako mówili starzy — perorował imć Niewiarowski.

— Wielcem waści zobowiązany za chrześcijańską poćciwość, ale nie śmiałbym nikogo trudzić przed nocą ani też nadużywać czyjejś łaskawości — tłumaczył się gęsto pan Kazimierz, choć uprzejmość obcego człeka była mu wcale na rękę.

— Nie certuj się waćpan, ino krzyknij na pachołków, niech wyprzęgają, znajdzie się i dla koni obrok, i podróżnym usłużym, czym chata bogata, tym rada.

Pan Kazimierz, zniewolony uprzejmością szlachcica, zwrócił się do pachołków, by wyprzęgali, bo tu przenocują. Antoniemu rozkazał zająć się połamanym kołem. Potem rozejrzał się ciekawie wokoło.

Na horyzoncie, na tle wieczornego, zmierzchem nasyconego nieba, rozsiadł się stary, królewski gród, z warownymi bramami, z wałem obronnym szerokim, z s trzelistymi, niezliczonymi wieżami kościołów i z zamkiem wysoko wyrosłym na skale nad Wisłą.

— Zacny gród, niejeden w ziemi włoskiej i francuskiej jemu nie sprosta w piękności a kształtności kościołów i pałaców — powiedział Milewicz zadumany.

— Waść bywałeś w obcych krajach? Może stamtąd co dopiero wracasz? — pytał imć Niewiarowski zaintrygowany.

— Ano, wracam.

— No to chodźmyż już tedy do domu. Aleś mi się waść udał! Ale się moi domownicy ucieszą, gdy im powiem, skąd waści Bóg prowadzi! — gorączkował się radośnie — biorę acana w jasyr i prędzej z dwora nie wypuszczę, póki nam wszystkich nowinek ze świata nie opowiesz.

Ogień trzaskał wesoło na kominie w świetlicy, wcale grzecznej, kilimami przystrojonej i barwnie wyszytymi makatkami niewieściej roboty. Pana Kazimierza usadowiono przy kominie suponując, że ziąb kwietniowy dał mu się we znaki, bo dzień był chłodny, a koło południa nawet śnieżyło. Przedstawiono tak zacnego, choć młodego gościa matce imć Niewiarowskiego, matronie jeszcze żwawej, choć w leciech daleko

posuniętej, żonie jego Annie, i siostrze młodszej Zofii, wdowie po krakowskim radnym.

— Zanim do wieczerzy poprosim, rzeknij waćpan, czy miodu wolisz, czy też piwa garniec, świeżego, ogrzanego.

— Uraczysz mnie asindziej po królewsku naszym polskim piwem, którego to trunku zacnego za granicą robić nie umieją — zapewnił z przekonaniem Milewicz.

— Ho, ho, obaczysz waść, jakie nasze zwierzynieckie piwo przednie!

— Wieś widać wcale zasobna, skoro ma swoją browarnię i cegielnię, jak waść nadmieniłeś. Zwierzyniec się zowie? — pytał Kazimierz.

— Zwierzyniec. Tak, słusznie acan wydedukowałeś, wieś to prawdziwie niebiedna, by nie powiedzieć bogata, przez klasztor rządnie gospodarowana. Nie uwierzysz, miły waszmość panie, iż prócz wyżej wymienionych obiektów, mamy tu jeszcze na Półwsiu zwierzynieckim dwa młyny, dwie karczmy, słodownię, folwark, tartak, wyborowe pastwiska na Błoniach, stawy rybne, jest też i szpital i dwie szkoły, klasztorną i parafialną — wyliczał imć Niewiarowski z dumą.

— Cuda waść prawisz — krzyknął Milewicz — toż lud okoliczny biedy, ani ciemnoty nie dozna. Gdyby tak wszędzie było w całej Republice, i w Koronie, i na Litwie, nie potrzebowalibyśmy od zagranicy się uczyć. A cóż to za klasztor gospodarujący tak sprawnie? — spytał, ocierając pianę piwną z wąsów.

— Panie Norbertanki, zacne wielce i mądre mniszki. Winien waść sobie obejrzeć klasztor za dnia. Drugiego takiego nie najdziesz w grodzie.

— Panie Norbertanki? — powtórzył Milewicz i zadumał się. Ileż to już razy słysząc tę nazwę zapalał się, nadzieją ożywał, a serce goręcej bić zaczynało. I zawsze nadaremnie. — Klasztor stary pewnie? — spytał starając stłumić w sobie budzącą się nadzieję

— Stary, z dwunastego wieku, przez Jaksę z Miechowa fundowany. Potem przez Tatarów z ziemią zrównany, i znowu odbudowany, i przez Szwedów splądrowany, historya wcale bogata — relacjonował Niewiarowski.

— Ależ. Marcinie, nie wspomniałeś przecie naszemu miłemu gościowi o dwóch jeszcze kościołach, co prócz klasztoru stoją na naszym Zwierzyńcu — obruszyła się starsza pani Niewiarowska — jest to święta Małgorzata i Salvator. Musisz waść wiedzieć, iż kościół świętego Salvatora

jeszcze za pogaństwa stanął, i musisz waść go sobie za dnia obejrzeć, iżbyś wiedział, że nie mamy się czego przed zagranicą wstydzić — rzekła z dumną powagą. — Chcesz waść słyszeć, co w tym kościele tak zacnego i z czego zasłynął?

— Bardzo rad posłucham ciekawego dyskursu łaskawej pani dobrodziejki — odpowiedział z wielką atencją pan Kazimierz, całując dwornie rękę matrony.

— Otóż w tym kościele za dni mojej młodości, był krucyfiks wielce cudowny, teraz wzięty jest do Włoch, do Syrolu, mila od Loretu — wtrąciła niechętnie, ze smutkiem — o tymci krucyfiksie taka jest historya, iż jest przysłany z Morawy pierwszemu w Polsce chrześcijańskiemu książęciu, ów zasię tenże krucyfiks z wielkiego nabożeństwa w szatę kosztowną, koronę złotą i w trzewiki perłami haftowane ubrawszy w kościele św. Salvatora postawił. Do krucyfiksu tego skrzypek biedny grać piosnki swoje nabożne przychodził. Temu oto skrzypkowi Zbawiciel Ukrzyżowany trzewik drogo zrobiony ze swej nogi opuścił i dał na poratowanie ubóstwa jego. Grajek potem frasunek wielki miał, bowiem mu ten trzewik wzięto, krucyfiksowi oddano a jego pokarano. Lecz Pan Bóg niewinnego prędko wybawił — westchnęła stara dama nabożnie — bowiem gdy skrzypek pod krucyfiksem powtóre grał, a ludzi w kościele natenczas dużo było, powtóre od Ukrzyżowanego trzewik perłami szyty otrzymał. Opowiadał mój rodzic nieboszczyk, mąż sciencji wszelkiej i nabożności wielkiej...

— Pani matko dobrodziejko, darujcie, ale może naszego miłego gościa nie ciekawią tak stare historie, może on nam coś ciekawego ze świata, ze swoich peregrynacji opowie? — odezwał się Niewiarowski zaniepokojony, iż stara niewiasta zabiera się z werwą do jednej ze swych dłuższych narracji.

— Nie, niech babcia opowiada! proszę babciu, proszę jeszcze o grajku! — zza fotela Niewiarowskiej wyskoczyła dziewuszka, ośmioletnia może, z oczyma roziskrzonymi ciekawością.

— Bronka, co ty tu robisz? — Niewiarowski zwrócił się z groźną miną do córki — co to znaczy? miałaś być dawno w łóżku. Znowu uciekłaś? I przeproś mi tu zaraz naszego gościa. — Dziewczynka spojrzała z boku na Milewicza, a potem szybkim ruchem ujęła jego rękę i cmoknęła głośno.

— A teraz, babciu, opowiadaj.

— Nie, dziś z tego nic nie będzie — Niewiarowski podniósł się ze stołka — chodź, na ciebie już pora.

— Ostaw ją, Marcinie, dziś przy gościu... — wstawiła się pani Anna nieśmiało za córką — niech do wieczerzy posiedzi.

— Pewnie, niech zostanie, nikomu nie wadzi, a i na zdrowiu nic ten jeden raz szkody nie poniesie — pospieszył w sukurs pani Annie imć Milewicz patrząc z lubością na roztropną buzię dziecka — to pewnie wasza najmłodsza pociecha?

— I najmłodsza i najstarsza, bo jedyna — odpowiedziała wolno pani Anna.

— Ach tak, pewnie inne dzieci pomarły — ciągnął Milewicz nieświadom kłopotliwej sytuacji.

— Innych dzieci nie było, tylko Bronka.

— Wybaczcie, dobrodziejko, moją niefortunną indagację — pomiarkował się Milewicz i zawstydził wielce.

— Ano, nie szkodzi — odparła pani Anna z uśmiechem — rozumiem waćpana zadziwienie, iż w chrześcijańskim domu bywszy, nie widzisz dziatek licznych. Ale nas Pan Bóg tylko Bronką, i to w późnej, waćpan widzisz, starości pobłogosławił.

— Ładne imię, w naszych stronach nie znane wcale.

— Daliśmy dziewuszce imię Bronisławy, bo za przyczyną tej świątobliwej mniszki na świat przyszła.

— Mniszki świątobliwej? — zaintrygował się Milewicz — czy może od tutejszych pań Norbertanek? czy żywie jeszcze?

— Nie, nie żywie już dawno, a prawdziwie była Norbertanką w zwierzynieckim klasztorze i in odore sanditatis z tego świata zeszła.

— Proszę, powiedzcie mi coś o niej, proszę, pani dobrodziejko łaskawa, to rzecz dla mnie wielce znamienna. — Milewicz poruszył się niespokojnie na stołku, ręce splatał i rozplatał, a twarz krasił mu rumieniec iście panieński. Wszyscy patrzyli ciekawie na młodego szlachcica, nie umiejąc wytłumaczyć sobie jego podniecenia. — Nie myślcie, iż folguję jeno niestosowanej ciekawości, o nie, to sprawy wielkiej dla mnie importancji każą mi pytać o tę mniszkę. Rzekliście wprzódy, iż Bronka za jej przyczyną na świat przyszła...

— Widzisz waćpan, panie Kazimierzu, to było tak — rozpoczął Niewiarowski, lecz przerwał, zoczywszy, iż służba wnosi już dymiące misy

do świetlicy — ot, i wieczerza. Siadaj waćpan do stołu, wraz, gdy się tylko posilim, wszystko ci opowiem.

W izbie pojaśniało, pachołek zapalił pięknie w srebrze kowane kandelabry, woń smakowita dobrego jadła napełniła świetlicę. Domownicy, nim stół obsiedli, zmówili nabożnie pacierz, potem zaś godnie i powoli zabrali się do jedzenia. Nakładali na misy krupniczek jaglany ze skwarkami i pieczeń cielęcą przyrządzoną w słodko-kwaśnej juszce[129]. Bronka sięgnęła od razu do leguminy pachnącej jabłkami. Imć Milewicz jadł w milczeniu pogrążony w głębokiej zadumie.

— Otoż wracam do przerwanej opowieści, skoro to waćpana ciekawi — odezwał się Niewiarowski obcierając siwe, obwisłe wąsy — żona mi słabowała, chodziłem z nią po krakowskich medykach, jeździliśmy nawet do znanego wielce eskulapa w Nowym Korczynie, widzisz acan, — wtrącił usprawiedliwiająco z wielką miłością spojrzawszy na żonę — chcieliśmy potomstwo, bo cóż to za dom szlachecki bez dzieci. Żona dobrodziejka driakwie[130] łykała, zioła warzyła, kąpiele brała, szły na to talary bite, a efektu żadnego. I wtedy to za pomocą pewnej zacnej matrony, która podobnej historii doświadczyła i cudownie przez Bronisławę poratowaną była, zwróciliśmy się do tej świętej mniszki.

— Ja im tak od dawna radziłam, ale czy to chcieli posłuchać starej? — stęknęła babka — woleli medyków. Czy to ja nie uświadczyłam młodą dziewką bywszy wstawiennictwa świętej Bronisławy? Pamiętam, o, dobrze pamiętam morowe powietrze roku pańskiego 1706. Ludzie padali od zarazy, gdzie kto stał. Wtedy kto żyw, kto jeszcze siły miał, biegł do Bronisławy. I z bliska i z daleka. I z miast, od Wieliczki, Bochni i Tarnowa, a nawet od Miechowa i Korczyna. I ze wsi, z Dębnik, Zakrzówka, Krowodrzy, z Łobzowa i Prądnika. Pamiętam, jak szli tą drogą w niekończących się dniem i nocą procesjach. Szli ludzie już tknięci zarazą i ci, co się jeszcze przed nią ustrzegli. I wszyscy oni, i ja, i rodzic mój z bratem swoim pułkownikiem, zdrowie swe i życie uratowali, bośmy się pod biały habit Bronisławy salwowali, do niej się z ufnością modląc i ją o wstawiennictwo u Pana Jezusa prosząc — głos starej niewiasty brzmi nutą niezachwianej

---

[129] Juszka to obok barszczu ukraińskiego i kapuśniaku jedna z najbardziej popularnych i tradycyjnych zup na Ukrainie.

[130] Roślina zielna w starożytności i średniowieczu: lek stosowany na wszelkie dolegliwości.

wiary, a jej oczy lśnią łzami wzruszenia. Ręka jej w zamyśleniu gładzi włosy Bronki.

Na świecach w kandelabrach narosły już duże, czarne grzyby, od których płomień przyciemniał, lecz nikt tego nie miarkował wsłuchany w opowieść matrony.

— Pamiętam i powódź srogą z lat późniejszych — odezwała się znowu — kiedy to nasza Młynówka wylała, i Rudawa, a Wisła zdała się jako jezioro wielkie, rozhukane, wtedy również cały lud okoliczny i z dalsza bieżał do kapliczki Bronisławy na Sikornik...

— Gdzie? na Sikornik? — Przerwał Milewicz nie spuszczający oka z opowiadającej.

— Jest to góra, na której Bronisława za życia swego najchętniej się modliła. I tam, w tym miejscu, ludzie najwięcej łask i cudów doznają. Niejednemu na górze onej ukazuje się święta mniszka jako zjawa niebiańska, wśród świateł i promieni...

— Gdzie owa góra? czy daleko? czy moglibyście mi ją wskazać? — głos drżący, przerywany, wydobywał się z trudem ze ściśniętej wzruszeniem krtani. Milewicz podniósł się, wyprostował, lecz czuł, iż kolana dziwnie mu dygocą, a serce w piersi tak się tłucze, jako szpak nieoswojony w klatce. Nie dostrzegał wlepionych w siebie ze zdziwieniem a nawet z lękiem niejakim spojrzeń, zajęty jedną myślą, jednym przeczuciem, co wypełniało go całego jakąś cudowną, niepojętą radością.

— Pozwól waćpan na ganek — przemówił Niewiarowski cicho i podszedł ku drzwiom — pokażę ci górę ową, księżyc jest na nowiu, i widno jak w dzień.

Wyszli na ganek. Światło księżyca srebrzyło krzewy, drogę i pola. Milewicz spojrzał we wskazanym kierunku i krzyknął głośno wyciągając ręce ku niebu. Bo oto dojrzał na jawie to, co mu ów sen cudowny przyniósł przed laty: górę otoczoną jasnością niezwykłą, jakoby zorzą płomienną, a na jej szczycie ołtarz i zakonnicę w białym odzieniu. Zwracała ku niemu twarz nasyconą nieziemską pięknością, promieniejącą blaskiem świętości. I usłyszał głos, co gnał go pragnieniem okrutnym rozwiązania zagadki i postanowienia o swym życiu, przez kraje cudze, dalekie: W tym miejscu twoje zbawienie.

Upadł ciężko na kolana, aż zaskrzypiały deski na ganku i ukrył twarz w dłoniach.

Wstrząśnięty do głębi Niewiarowski przeżegnał się szerokim znakiem krzyża świętego.

Był rok 1778. Kazimierz Milewicz, szlachcic z Litwy, osiadł na Sikorniku, przy kaplicy błogosławionej Bronisławy jako pustelnik. Pobudował sobie przy pomocy klasztoru i zwierzynieckich cieśli pustelnię wcale chędogą, w której czas na modlitwie i umartwieniu spędzał. Nieraz myśl tęskna bieżała ku ziemi rodzinnej, ku Litwie dalekiej, ku białym ścianom dworku w Niemenczynie, gdzie ku ściszonej starości chyliły się barki starych Milewiczów. Nieraz obraz umiłowanej Agnieszki jawił się w myślach, a wtedy modły pustelnika jeszcze chyżej biegły w niebo.

I nie minęły trzy lata, gdy Agnieszka Wojtyłło, primo voto Musiałkiewiczowa, z nagła owdowiawszy, do Krakowa pospieszyła i u pań Norbertanek na Zwierzyńcu habit biały przyodziawszy imię świątobliwej mniszki Bronisławy przyjęła.

Kroniki klasztoru zwierzynieckiego notują widzenie Kazimierza Milewicza, szlachcica litewskiego, który został pierwszym pustelnikiem na Sikorniku.

Jadwiga Kucianka

„Gość Niedzielny”, nr 35/1957, s. 3 – 5; nr 36/1957, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

Jacka Odrowąża chwalba na Rozbarku

W oknach autobusu migają wieże kościołów w Dębie, w Chorzowie, w Łagiewnikach, potem wydłużoną linią wielkiego przemysłowego miasta wita nas Bytom. Nad nim w dymach kominów, wieże Panny Maryi, Trójcy Świętej, kościoła garnizonowego. Autobus mija dawną granicę, potem kopalnię Rozbark i staje przy „Pogodzie”. To dawna, jeszcze sprzed plebiscytu, znana gospoda. A stąd już droga prosta. Wskazują ją dwie romańskie wieże, zielone szlachetną miedzią, za drogowskaz służą też kolorowe baloniki dzieci, odgłosy trąbek i piszczałek odpustowych. Dawna ulica Szarlejska wznosi się coraz wyżej.

Prawda, Rozbark był kiedyś wcale potężnym, skalistym wzgórzem, gdy przemierzały go sandały Dominikanina. I wzgórze to trzeba było solidnie zrównać, gdy stawiano na nim pierwszy murowany kościół ku czci Rodaka z Kamienia. To był rok 1831, epoka napoleońska. Ale kościół w sześćdziesiąt lat potem spłonął razem ze schludnymi zagrodami rozbarskich kmieci. Na Rozbarku rozpanoszyła się bieda. Przez długie lata wzgórze świętego Jacka straszyło ruinami spalonego kościoła. I wtedy właśnie rajcowie bytomskiego grodu radzący nad wyborem godnego miejsca pod kościół Świętej Trójcy zwrócili swe oczy na Rozbark wznoszący się ponad okolicą. Postanowiono — tu stanie nowy kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej. Ale rozbarscy chłopi postanowili inaczej: owszem, nowy kościół stanie, ale pod wezwaniem św. Jacka, jako pierwej. I stanął, z ruin podniesiony na nowo w latach siedemdziesiatych za sumę 1300 talarów. Rozbark pozostał wierny swemu Wielkiemu Ziomkowi.

„Każdy numer wygrywa, żaden nie przegrywa!!!" — w historyczne rozważania wdziera się wołaniem odpustowej loterii teraźniejszość. Po obu stronach ulicy budy z piernikami, dewocjonaliami, zabawkami. Rwetes, gwar, deptanie po n ogach. Wiadomo — odpust. Na placu przed bramą kościelną tłumy. Porządkowi daremno silą się, by zrobić przejście. Dopiero, gdy zajeżdża żółty samochód, przejście robi się automatycznie. I automatycznie nastaje cisza. Z samochodu wychodzi szybko, zręcznie pasterz opolski, ks. biskup Franciszek Jop. Młoda, pociągła twarz, bystre oczy pod grubymi, czarnymi brwiami. Jednym, żywym spojrzeniem ogarnął wszystkich, i tłum w ulicy, przyparty do odpustowych bud, i odświętnie, w regionalne stroje przybranych parafian gotujących się do przywitania arcypasterza, i grupę księży skupionych u kościelnych wrót.

Zegar na wieży wybija dziesiątą godzinę.

„Człowiek starego szlagu" — odzywa się ktoś z uznaniem dla biskupiej punktualności. — Jakiś chłopak pyta zdziwiony, dlaczego biskup ma „litową" sutannę. Matka po cichu zaspakaja ciekawość chłopca. Tuż obok nieduża dziewczynka martwi się o to, czemu biskup zostawił w aucie srebrną laskę i tę wysoką czapkę. Dziecko wzniesione na rękach ojca ponad tłumem obwieszcza zdumionym, zaintrygowanym głosem, że widzi pięćdziesiąt, nie, sto „księdzów". W istocie chyba z trzydzieści komż, tu i ówdzie zdobnych proboszczowskim kołnierzem, bieleje na tle potężnych odrzwi.

Ściszone rozmowy, pytania, objaśnienia. W gwarze lwowskiej i śląskiej. Ta ostatnia przeważa. No tak, Rozbark, stara, Polsce wierna dzielnica w zniemczonym ongiś bytomskim grodzie.

Wyciągają się szyje, przekrzywiają głowy, by dojrzeć, co się dzieje przed kościelną bramą. Ale nic nie widać, prócz bajecznie kolorowych wstęg śliskich strojów, nic nie słychać prócz łopotu sztandarów na wietrze. Dopiero, gdy biskup w kościele rozpocznie swą przemowę od podziękowania chłopom i górnikom rozbarskim za godne, tradycyjne powitanie, przypomni się ta chwila u bram kościoła.

U tych samych kościelnych bram witał przed laty, w pierwszym roku pierwszej wojny światowej, Kasper Tokarz biskupa wrocławskiego Bertrama, co był zjechał na konsekrację nowej świątyni. Witał w imieniu gospodarzy rozbarskich, witał w języku polskim. Wrocławski arcypasterz, który nie znal języka ojczystego Jacka Odrowąża, odpowiedział: „Deine sprache ist nicht meine Sprache, aber dein Herz ist mein Herz"[131].

W szczęśliwym położeniu znalazł się obecny arcypasterz, bo i serce jego i mowa, jest ta sama, co serce i mowa witających go diecezjan. Mowa ta sama, która rozbrzmiewała tu przed siedmiuset laty z ust kaznodziei w białym habicie.

Ecce sacerdos magnus[132] — wita chór kościelny pięknymi, czystymi głosy. Melodia skrzypiec wzbija się pod romańskie łuki świątyni. Wspaniałej, aż dech zapierającej świątyni. Niedużo takich romańskich kościołów wśród naszego śląskiego gotyku. Przypomina się klasztor panewnicki i św. Józef w Rudzie. Nie ulega wątpliwości, iż Jackowa rodzina parafialna na Rozbarku bardzo kocha swój kościół i nie szczędzi nań ofiar. Świadczą o tym nowe witraże, olbrzymie niebiesko-żółte rozety, świadczy nowa polichromia utrzymana w kolorze lekkiej i mocnej sepii przekreślanej kardynalskim bordo i starym złotem. Droga krzyżowa przykuwa wzrok na dłuższą chwilę: ponad romańskimi łukami złoty, szeroki pas a na nim krwawe stacje Męki Pańskiej malowane z rozmachem przez całą ścianę.

---

131 Twój język nie jest moim językiem, ale twoje serce jest moim sercem.

132 Oto kapłan wielki – pieśń na powitanie biskupa.

Od prezbiterium, spod witraża św. Odrowąża, dobiega głos gospodarza rozbarskiego kościoła. Ks. dziekan Szymała wita biskupa. Stwierdza, iż przywiązanie do biskupa jest przywiązaniem do Kościoła.

A potem wybucha pieśń. Śpiewa cały kościół. „O święty Jacku, wielki patronie, najdroższy kwiecie w ojczyźnie nam wonny, w twojej opiece, w twojej obronie niech będzie zawsze naród nasz zakonny".

Oczy podnoszą się ku białej postaci spoglądającej z obrazu majonego grubym zielonym wieńcem. (Obraz poniosą potem w procesji rozbarskie dziewczęta również umajone zielenią mirtowych wieńców).

Oto atrybuty Jackowe — monstrancja z e ucharystycznym Bogiem, wysoko wzniesiona, i do serca przytulony posążek Najświętszej Panny. A trzeci atrybut — różaniec u pasa, różaniec, którego perły rozsypały się po Rozbarku, powpadały między skały i zamieniły się w czarny, cenny kruszec wydobywany dłońmi górnika w podziemnych sztolniach.

To jedna z licznych legend związanych z miejscem, na którym stoimy. A drugą przypominają w tej chwili organy, które rozsypują po kościele delikatne dźwięki dzwonków — zda się, iż woda z pluskiem spada ze skały, woda z Jackowego źródła, do którego bytomski gród i cała okolica spieszyła po wodę przez sześć wieków z okładem. Bo woda była dobra, zdrowa, nieraz rany zgniłe gojąca i gorączkę zarazy uśmierzająca. Dopiero w latach trzydziestych ubiegłego wieku Jackowe źródło cofnęło się głęboko, głęboko pod ziemię.

Od ołtarza biegnie pełne, śpiewne gloria biskupa. Potem wysoki, dźwięczny tenor subdiakona podejmuje melodię Pawłowej lekcji. Ewangelia. Spojrzenie celebransa od ołtarza ogarnia główną nawę. Nie dostrzega jednak, że i kaplice boczne wybrukowane są głowami, jedna przy drugiej, nierównym, chwiejnym wzorem. A potem na ambonie zabielał habit dominikańskiej braci zakonnej ozdobny czarnym płaszczem pielgrzyma. Słowa Mateuszowej ewangelii utrzymane w tonie imperatywu mówią o działalności i mentalności św. Jacka. „Niemocnych uzdrawiajcie, umarłych wskrzeszajcie, czarty wyrzucajcie. Darmoście wzięli, darmo dawajcie. Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych. Ani torby podróżnej, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski". A potem z ust dominikańskiego kaznodziei popłynęła chwalba rodu Odrowążów, co dał Polsce i Kościołowi świętych.

W barwnych obrazach przesunęło się przed słuchaczami bogate w przygody, w podróże, w niesłychane emocje życie rycerskiego męża, co według słów papieża miał się stać światłem północy, a tymczasem stał się światłem wszystkich rubieży polskich: i wschodnich, i zachodnich, i północnych. Życie Jacka, to kawał polskiej historii. Bo Jacek swą działalnością przygotował unię lubelską, unie brzeską, bo Jacek stawiając klasztory dominikańskie we Wrocławiu, Gdańsku, Krakowie i Kijowie, budował twierdze polskości, stawiał bastiony wiary katolickiej, zakładał pierwsze podwaliny Polski, jako przedmurza chrześcijańskiego.

Tysiące oczu wlepionych w kaznodzieję. W ławkach ciasno zbici sami starsi ludzie. Niewiasty odsłoniły uszy by lepiej słyszeć. Wełniane chusty w szeroką, barwną kratę i chusty tureckie, które widzi się jeszcze w Piekarach, Chorzowie, Michałkowicach, zsunęły się na czubki głów. Siwe głowy. Woda chrztu spłynęła na nie jeszcze w starym kościółku. Tam też jeszcze przyjęli pierwszą komunię. Pewno dobrze pamiętają, jak w uroczystej procesji pięćdziesiąt lat temu niesiono kamień węgielny pod tę wspaniałą bazylikę.

Wtedy to piękne, uroczyste kazanie w języku polskim wygłosił proboszcz z Goduli, ksiądz Adamczyk. Może ksiądz Adamczyk również mówił o wielkiej misji dziejowej Jacka ciągle aktualnej w naszym narodzie? Czyż Śląsk i Polska stojąca u progu pierwszej wojny światowej znajdowały się na niebezpieczniejszym zakręcie historii niż dzisiaj? — Akordem optymizmu kończy kaznodzieja, iż nie zginie naród na swej historycznej drodze, trudnej jak zawsze i niebezpiecznej, bo wiedzie go rycerz przemożny, wódz-ziomek, krwi tej samej, mowy i ducha. Dotrzymajmy mu kroku.

Potoczyły się dalej uświęconym rytmem następne akty Bezkrwawej Ofiary. Credo, ofiarowanie, prefacja.

Chór kunsztownymi partiami solowymi luzuje potężnie śpiewającą parafię o „Wonnym kwiecie, który w świecie słynie cudami".

Szczyt świętego dramatu, bezkrwawa Golgota — przeistoczenie. Niedługo potem dzwonki wołają na komunię. Celebrans ze złotą puszką pochyla się nad gospodarzami, sztygarami i szleprami[133] z Rozbarku. Nad

---

[133] Sztygar – pracownik nadzoru w kopalni; szleper – ładowacz, pracownik dolowy.

matkami, dziewczętami i ruchliwymi łebkami najmłodszych. Przekomunikował pierwszy rząd, potem drugi, trzeci, czwarty — nie myśli wracać do ołtarza — i skończył dopiero na piętnastym, a może siedemnastym? Niejeden z komunikujących uświadamia sobie, iż po raz pierwszy w życiu otrzymał komunię z rąk biskupa.

Msza dobiega końca. Biskup zdejmuje ornat, nakłada kapę, mitrę, bierze do ręki pastorał i zmierza ku ambonie. Niewiasty, co kalwaryjskim zwyczajem obsiadły schody kazalnicy podnoszą się z rewerencją. I teraz oto mała dziewczynka sprzed kościoła, co martwiła się brakiem biskupich insygniów, może widzieć arcypasterza w całym splendorze.

„Nie ma zwyczaju, i nie ma również potrzeby wygłaszania dwu kazań w ciągu tego samego nabożeństwa, które i bez tego jest długie i pewnie nie jeden z was jest już bardzo zmęczony — tłumaczy ksiądz biskup jasnym, żywym głosem, ogarniając stroskanym spojrzeniem przedstawicieli starszego pokolenia na Rozbarku. — Ale jakby to było, gdyby nie przemówił do was wasz biskup? Jest to przecież moje pierwsze osobiste zetknięcie się z wami na terenie Bytomia. Dotąd znaliście mnie tylko z listów, które do was przysyłałem. A ja was nie znałem wcale. Teraz widzę was po raz pierwszy. Widzę was w tych pięknych, śląskich strojach. Szanujcie je, uświetniajcie nimi uroczystości kościelne. — Biskup mówi bezpośrednio jak w rozmowie z dobrymi znajomymi.

A serca słuchaczy rozpiera radość i duma. Szczególniej tych słuchaczy, którzy kolorową ciżbą zapełniają przód kościoła. Ile tam bufiastych rękawów wykończonych szeroką koronką! Ile biczów czerwonych, grubych korali! Wstęg haftowanych barwnymi kwiaty! Mieniących się fartuchów na niezliczonych spódnicach. A gospodarscy synowie w granatowych kapotach, wykończonych amarantem, w spodniach skórzanych białych wpuszczonych w wyglancowane cholewy. Jest na co patrzeć! Ale najpiękniej wyglądają te sześcio-, siedmio- i ośmioletnie drużki w miniaturowych śląskich strojach. A jest ich chyba z dziesięć par. O Rozbarku, Rozbarku, widać, iż ani rządy Hitlera, ani wojna, ani późniejsze, trudne lata nie zmieniły twego oblicza.

Ale krasa śląskich strojów nie przesłoniła biskupowi surowego piękna górniczych paradnych mundurów. I pod ich adresem padają dobrotliwe, biskupie słowa, od których ciepła aż ręce zadrżały trzymające kaski

z białoczarnymi pióropuszami, a płomyki w górniczych lampkach zapłonęły jaśniejszym płomieniom.

Teraz biskup radzi, jakie praktyczne postanowienia powinniśmy wynieść z tej odpustowej niecodziennej uroczystości. Przede wszystkim bliżej, konkretniej zżyć się z świętym Jackiem. Powierzać mu wszystkie nasze sprawy, przecież jest naszym świętym rodakiem i znając nas, najskuteczniej nam pomóc może. Chrzcić dzieci jego imieniem. Kościoły stawiać pod jego wezwaniem —- Jackowych świątyń jest we Włoszech ilość niezmierna — zauważa biskup — a u nas? — smutnym znakiem zapytania podnosi się nad amboną biskupi pastorał — „u nas. na Opolszczyźnie mamy zaledwie dwa kościoły poświęcone świętemu Odrowążowi. Tak, musimy się zarumienić, to trudno".

Jakie jeszcze postanowienia podsuwa mądrość pasterza? — „Pielgrzymujcie do miejsc uświęconych bytnością Jacka! I w ogóle, dużo pielgrzymujcie do miejsc świętych jak to czynili wasi ojcowie". A potem jeszcze ważne, surowe, dobitne, akcentowane nagłymi poruszeniami pastorału słowa o nakazie miłości bliźniego, o zaprzestaniu krzywd, których tak wiele nawarstwiło się w ubiegłych latach. — „W Jackowe dłonie złóżmy wszystkie nasze żale, krzywdy i strapienia. Prośmy go o miłość żywą".

I ostatnie akordy biskupiego kazania: „Dzisiaj przez cały świat imię Jacka płynie, cały świat wspomina nazwę Kamienia, wspomina śląską ziemię, która dostarcza światu nie tylko węgla i stali, ale i — świętych".

Ambona opustoszała. Na kościele ruch. Wszystko szykuje się do procesji.

Spod zielonych hełmów romańskich wież spływają dźwięki dzwonów. A zegary wskazują godzinę pierwszą — czyli trzecią odbywającego się nabożeństwa. Będzie o czym pisać w kronice parafialnej na Rozbarku. Oby kronikarz nie zapomniał o małym, żelaznym wagoniku leżącym na tacy w zakrystii. Darowali go górnicy kopalni Rozbark swemu biskupowi. Mały, żelazny wagonik napełniony czarnym kruszcem, który zrodził się z rozsypanych na Rozbarku Jackowych różańcowych pereł. — Tak chce legenda. Jest piękna, wzniosła, czemu jej nie dać wiary!

„Gość Niedzielny", nr37/1957, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

Księdza Norberta wizyta u lipińskiego sąsiada

Świeży, majowy deszcz przydusił czarny, węglowy pył na drodze i spłukał kurz z szerokich liści kasztanów rosnących po obu stronach gościńca. Na rozpogodzonym niebie świeci znowu słońce, wymyte, uśmiechnięte.

Drogą ku Lipinom idą ludzie, grupkami i z osobna, pogadując o tym i owym. Idą od Królewskiej Huty, od Chorzowa i Michałkowic, i z drugiej strony, od Bytomia, Rozbarku i Szombierek, Idą jak na odpust, choć Lipiniacy dopiero w sierpniu obchodzą święto swego wielkiego patrona.

Stateczne chorzowianki porządkują swe wełniane spódnice, które narzuciły na głowę w czasie przelotnego deszczu, wygładzają lśniące, barwne fartuchy. Niewiasty z Rozbarku patrzą z uznaniem na i ch bogaty przyodziewek, same ubrane strojnie i dostatnio.

— A kajście to kupili ten jedbow na fartuch, mieni się jak szczyre złoto? — pyta któraś.

— Cera łońskiego roku przyniosła mi z Bytomia. Zapłaciła bez dwadzieścia marek za meter.

— Wyboczcie, a ta chusta turecko mocie tyż z Bytomia? — dopytuje się druga.

— Ale kajtam, ta chusta przywiózł mi mój syn, ten sam — wskazała głową na rosłego kawalera idącego obok niej — z Wrocławia.

— Patrzcie, aże z Wrocławia! — krzyknęła kobieta z uznaniem.

— No, bo m ój syn jest za kolejarza, nie widzicie to? — spytała z przechwałką w glosie.

— Widza, widza dobrze, uniforma jak siandara! — uważnym wzrokiem musztrowała chłopaka.

— Ale wy możno pierwszy roz idziecie na majowe do Lipin, bo by mi była wcześniej podpadła ta wasza turecko chusta — dodała z uśmiechem.

— Dyć sie wiela nie pomyliliście, w tym roku ida pierwszy roz, na zakończenie, bo mnie cały moj w kościach łomało, a zaś łońskiego roku bylach na Opolskiem u synowej, to mi było troszka za daleko do Lipin. Już

dwie lata minęło, jakech ostatni roz słyszała ks. Michalskiego. A zdrowi to? powiedzą jeszcze egzorta jak downi?

— A coście myśleli? ho ho, jeszcze grzmią jak młodzik!

— Grzmią, grzmią — zaczęła przedrzeźniać jakaś młodsza niewiasta ubrana na poły po miejsku — przeca nie o to idzie, iż ks. Michalski głośno godają i poprzezywają na kozaniu, idzie o to, że mówią piyknie i mądrze, i że mówią prowdziwie po polsku, jak ci franciszkanie z Krakowa.

— Juści, prowda — przytaknęły tamte skonfudowane śmiałym odezwaniem się młodszej — a wy skąd jesteście?

— Od Szombierek. Ale mom tu w Piaśnikach chrzestną, paraliż ją chycił, to ją doglądam. No i to do Lipin na majowe mom blisko. A wiecie to już, że ksiądz proboszcz Michalski będą mieli kozanie na pierwszym latośnym odpuście i w Piekarach, i u św. Anny na Górze Chełmskiej?

— Jużech coś o tym słyszała. Trzeba się bydzie wybrać, i tu, i tam.

— Zocny kozatel, bardzo zocny, żeby się takich więcej rodziło — westchnęła chorzowianka nabożnie — niejeden po kozaniu ks. Michalskiego sie opamiętoł.

— I jo znom takiego, tu z Chropaczowa, robi na Matyldzie, żył z babą bez ślubu, ale jak roz wpod w ręce ks. Michalskiego, to już sie nie wywinął. Teroz należy do Towarzystwa Czeladzi i co ino.

— Słyszałach, iże ks. Michalski bardzo się tyż zasłużyli przy tych katolickich i polskich związkach.

— Mieliście widzieć dwanoście, nie, cztyrnoście lot temu, jak go żegnały towarzystwa u nos, w Królewskiej Hucie, jak odchodził na farorza do Lipin — wtrąciła się inna kobieta — bo to i Kółko Polskie prowadził, i Czeladź, i Alojzjanów, we wszystkich bractwach przemawioł, pouczoł, od rana do nocy. Odprowadzali go z chorągwiami i z lampionami aż do samych Lipin. A był u nos za kapelonka łoziem lot i nie jeden chłop spłakoł się przy jego odejściu jak baba — chlipnęła głośno na wspomnienie tego pożegnania. Potem przysiadła na kamieniu przy drodze, otarła skurzone stopy chusteczką i wdziała trzewiki, czarne i błyszczące. Inne poszły w jej ślady.

W dole, tuż obok gościńca, widać już było lipiński kościół. Świecił w słońcu srebrną blachą i nową, różową cegłą. Wybudowany przed kilkunasty laty, w 1872 roku, nie zdążył jeszcze nasiąknąć sadzą, pyłem i dymem Silesii i chropaczowskich kopalń. Boczne ściany kościoła kryło

rusztowanie. Ksiądz proboszcz Michalski poszerzał skrzydła świątyni o dwie kaplice, bo w czasie większych uroczystości ludzie musieli stać na dworze. Do odpustu miano się uporać z robotą.

— Do odpustu musimy skończyć — myśli ks. Michalski zapatrzony przez okno w belki rusztowania — a za Hadaszka, skoro się opuszcza w pracy, będzie trzeba przyjąć kogoś innego. Ale to nie takie proste, oj nie — zafrasował się nagle. Stanęła mu przed oczyma zbiedzona, zapłakana twarz starej Hadaszkowej wstawiającej się za synem: „Prosza Ich piyknie, księżoszku, nie gorszom sie na mojego Gustlika, to było pierwszy i ostatni raz". — Ach te matki, te matki — wzdycha ks. Michalski jedna w drugą same święte Moniki modlące się i płaczące nad swymi Gustlikami.

Odezwały się dzwony. Ks. Michalski spojrzał szybko na zegarek, podszedł do stołu i jeszcze raz przerzucił gęsto zapisane kartki grubego zeszytu. Wiedział, że na ostatnie nabożeństwo majowe ludzie liczniej przychodzą, i dlatego przygotowywał się pieczołowiciej niż co dzień do wieczornego kazania.

Ale nagle oderwał wzrok od zapisanych kart i zamyślił się głęboko.

— Tak, tak im to powiem szeptał do siebie półgłosem marszcząc szerokie czoło — tak będzie lepiej.

Gdy przebrzmiało ostatnie wezwanie litanijne, skierował się ku ambonie. Przed nim pomocnik kościelnego, Gonszczyk, długą buławą robi ciasny ganek w zbitym tłumie. Głowy pochylają się z szacunkiem przed sławnym kaznodzieją, oczy patrzą ciekawie, z bliska, na twarz pięćdziesięcioletniego męża, surową, twardą, o ustach mocno zaciśniętych, o brwiach grubych, nawisłych, kryjących wnikliwe spojrzenie jasnych źrenic. Stanął na ambonie, krępy, barczysty, groźny w swym skupionym milczeniu. Widzi po jednej stronie odkryte głowy mężczyzn, swoich parafian, lipiniaków, tych od Kopaniny i od B rzeziny, i tych, co przyszli z dalsza. Twarde chłopy twardej pracy, o sercach twardych, których caliznę kruszy i ściera moc Boża.

Po drugiej stronie widzi ich żony i matki...

— Moi mili. Wygłosiłem wam w tym majowym miesiącu już trzydzieści kazań. Dzisiejsze będzie trzydzieste pierwsze. Cieszę się, iżeście się zawsze tak licznie gromadzili, nie tylko z Lipin, ale i z dalsza, żeście mnie cierpliwie słuchali, choć nie raz przygadałem wam brzydko, choć jeździłem po was jak nie przymierzając brona po kartoflisku. Wiecie, iż czyniłem to dla waszego dobra. Iż grzmiałem na was, abyście się opamiętali. Gdy burza szaleje i piorun się błyska, to żegnacie się nabożnie i zawracacie do domów, pod bezpieczny dach. Grzmiałem na was i piorunowałem, abyście znakiem krzyża odegnali czarta od siebie i zawróciwszy do Domu Ojca, który jest najbezpieczniejszym naszym schronieniem, życie odmienili.

— Słuchaliście mnie nabożnie, ale teraz chodzi o to, abyście mnie posłuchali i usłuchali. Co matce z tego, gdy ją dzieci słuchają, a nie usłuchną? Powie matka córce: przynieś mi zaraz chleb od piekarza, słyszysz? — a córka powie, słyszę, i nie ruszy się ze stołka.

I tak mówiłem do was trzydzieści razy: nie przeklinajcie, nie pijcie gorzały, nie gniewajcie się na sąsiadów, nie obmawiajcie jedni drugich, ale bądźcie dobrzy dla wszystkich, miłosierni, szanujcie swoje żony i matki, a dziatki po Bożemu wychowujcie. Słuchacie mnie, ale czy mnie usłuchniecie? Możeście się jeszcze wcale nie ruszyli z waszego stołka w karczmie? Możeście jeszcze wcale nie pogodzili się z waszym sąsiadem, z którym drzecie koty o byle psinco? Może wcale nie wiecie, że wasze dzieci zamiast iść na katechizm, kąpią się w stawie przy Kopaninie? Może niejedna stateczna niewiasta jeszcze po staremu obgaduje swoje kamratki, choć była już o tym szpetnym grzechu osobna egzorta? — przerwał kaznodzieja i potoczył rozpalonym okiem po głowach niewieścich okrytych barwnymi chustkami, i po męskich, ciemnych i jasnych czuprynach. A potem głośno i mocno mówił dalej:

— Chcę dzisiaj, abyście mi przyrzekli, wy, moi parafianie, swojemu farorzowi. iż mnie usłuchniecie. Iż jeden z drugim przestanie pić, kraść, przeklinać i zawiścić. Iż jedna z drugą przestanie się gniewać, obmawiać i oszukiwać, a rozpocznie po bożemu dzieci wychowywać.

— O, wiem że to wcale nie takie łatwe. Nie musicie mi tego gadać, wiem ci ja dobrze po s obie, co znaczy walka z czartem. Ale my, chrześcijanie mamy broń, która pokona czarta! Mamy środek na to, aby

wytrwać w dobrym, aby nie na daremno przyrzekać poprawę. Otóż posłuchajcie pilnie, co to za środek niezawodny.

Ks. Michalski przymknął oczy, zastanawiał się chwilę a potem, tonem spokojnym i wyrównanym opowiadał:

— Gdy przed kilku wiekami wojska muzułmańskie podbiły chrześcijańską Hiszpanię, w jednym z miast wybudowano olbrzymią i wspaniałą świątynię mahometańską. W dniu poświęcenia tej pogańskiej świątyni, dla uświetnienia uroczystości, sprowadzono jeńca chrześcijańskiego i przywiązano go do jednego z filarów. Był śmiertelnie wycieńczony głodem i ranami, z których uchodziła krew. Ale trwał bez skargi przy sromotnym słupie w pogańskiej świątyni. Co mu dodawało sił? Mały krzyżyk, który wyrył w twardym kamieniu kolumny własnym paznokciem i wpatrywał się w niego bez przerwy niepomny na ból i hańbę. Z tego krzyżyka spływała nań siła i moc — kaznodzieja zrobił krótką przerwę i dodał: — Meczet ten zamieniono dziś na kościół katolicki, w którym na jednym z filarów widnieje mały, niepozorny krzyżyk Chrystusowego męczennika.

Fala westchnień i kaszlu przeszła przez nawę lipińskiego kościoła. Lipiński proboszcz obcierał pot z czoła. Witraże ciemniały majowym zmierzchem.

— Wrócicie do swoich domów — rozpoczął znowu mocnym, rześkim głosem — i powiecie drugim, iż byliście w Lipinach na majowym, aby posłuchać majowego kazania, ale proboszcz w Lipinach widać się pomylił, bo wygłosił kazanie wielkopostne miast maryjnego. Otóż, moi mili, nie pomyliłem się wcale. Kazanie o krzyżu, o jego mocy i sile można i trzeba głosić przez cały rok, a nie tylko w Poście! Bo zbyt łatwo zapominamy o tym, czym krzyż dla nas jest i czym być powinien. A szczególniej wy, zajęci bez przerwy znojną walką o chleb powszedni, musicie pilnie strzec się przed zapomnieniem krzyża Chrystusowego. A może — kończył kaznodzieja cicho — Jak ten jeniec chrześcijański przywiązany do kolumny w pogańskim meczecie, wyryjecie i wy na miejscu swego znojnego trudu mały krzyżyk — na caliźnie węgla w kopalni, na poszarzałym murze ściany cynkowni, na blacie warsztatu, przy którym zelujesz buty, wykuwasz klucze i inne narzędzia. Niech ten mały, niepozorny znak uświęci twą pracę i ciebie samego. — Amen.

— A teraz na zakończenie majowego nabożeństwa pomódlmy się do Majowej Panienki za wszystkich wiernych naszej parafii i innych parafii w naszym kraju Zdrowaś Maryjo...

— Chciałem też jeszcze przypomnieć, że teraz, po nabożeństwie, jest zebranie naszego nowego związku Stowarzyszenia Czeladzi, niech nikogo z mężów i młodzieńców nie braknie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W domu związkowym pana Morawca jest gwarno i rojno. Tylu ich się zebrało, że brakło ławek i stołków. Młodsi chłopcy siedzą na oknach, kilku z nich wdrapało się na niewysoki a szeroki piec, reszta podpiera ściany i kąty. Kręci się między nimi młody i wesoły jak szczygieł kleryk lipiński, Paulek Sigula, wychowanek ks. Proboszcza. Przyjechał z rana z Wrocławia, jest już po egzaminach, będzie w czasie ferii pomocnikiem ks. Proboszcza. Teraz wita się z dawnymi kamratami, z Grzombą, z Polikiem, z Pliszką i ze swoim rówieśnikiem, Gustlikiem Hadaszkiem.

— Kaj teraz robisz, Gustlik? — młody kleryk odzywa się gwarą, aby kamrat nie pomyślał, że tak spyszniał na studiach.

— Przy kościele robia, przy różańcowej kaplicy.

— Co nie padosz? byłech dziś w połednie na budowie, alech cie nie dojrzoł.

— A, bo dzisiej żech nie mógł — wykręca się Hadaszek.

— A wczoraj żeś też nie mógł? A przed wczoraj też nie, ty giździe? — Groźna, szeroka postać ks. Michalskiego wyrosła za nimi, ani się spostrzegli. — Dobrze, żeś tu jest, bo chciałem ci powiedzieć, że jak się tak dalej będziesz smykał, to już możesz sobie więcej nie przychodzić. Takiego nierobisza nie potrzebujemy przy kościele.

— Jo tyż już więcej nie przyda — mruknął Hadaszek, choć strach go zbierał przed proboszczem.

— Co? Co ty gadasz? — uniósł się ks. Michalski.

— A bo to skuli majstra... jak się co straci, to zaroz na mnie... Hadaszek ukrodł... — chłopak spuścił głowę, jest cały czerwony, wargi mu drżą, jakby za chwilę miał się rozpłakać — najprzód straciła się siekierka, zaroz na mnie. Potem młotek, zaś na mnie, a przedwczoraj, jak mi majster powiedzioł, żech wzion te trzycalowe gwoździe, toch już więcej nie mógł strzymać i...

— No, a czemu nie przyszedłeś z tym do mnie? — ks. Michalskiemu żal chłopca. Trzeba się będzie od razu rozprawić z tym majstrem z Zabrza. — Nie trap się. Już ja to załatwię.

Podszedł do stołu, gdzie już na niego czekali członkowie zarządu z sekretarzem Pliszką.

— Rozpoczynamy, proszę ks. Proboszcza?

— Rozpoczynajcie. — Usiadł ciężko za atolem, rozprostował nogi i raptem skrzywił się. W lewej nodze coś go dźgnęło boleśnie. W ostatnich tygodniach zdarzało się to coraz częściej, bywało, że przy Mszy św. łapał go taki kurcz, że aż pojękiwał.

— Trzeba jednak będzie pojechać do tych kąpieli, jak radzi doktor — myśli osowiale — choć ani czasu nie mam, ani pieniędzy. Tyle marek wydać na jakieś tam paskudztwa, gdy tu, w parafii, potrzebny jest każdy fenig.

Popatrzył po nabitej sali.

— Będzie ich chyba ze stopięćdzieciąt albo i więcej, a na pierwszym zebraniu było ich tytko dwudziestusiedmiu. Wawrzyczki przyszli w komplecie, Powroźnikowe chłopy też, Grobosze i Rączki z Kopaniny też są. Na drugi raz trzeba będzie zaprosić ks. Bonczyka, powie im co mądrego i ciekawego i przy okazji przekona się na własne oczy bytomski proboszcz, iż nie tylko w jego parafii chłopi garną się do stowarzyszeń — pomyślał z lekką przechwałką. Nagle do uszu jego wpadły słowa przemawiającego sekretarza Pliszki:

— Nazbieraliśmy na nasz sztandar 104 talary. Jest to bardzo dużo, kamraci. Z tego widać, że sobie bardzo cenicie nasze stowarzyszenie. Ponieważ sztandar będzie kosztować tylko 75 talarów, resztę przeznacza się na pielgrzymkę do Góry św. Anny i do Piekar. Prosimy ks. Proboszcza, aby wziął te pieniądze na chorągiew i przekazał je wielebnemu ks. proboszczowi Bonczykowi. Może niektórym nie jest wiadome, iż ks. Bonczyk jeździł do Nysy, do wielebnych panien boromeuszek, gdzie zamówił sztandar dla naszego stowarzyszenia. Sztandar będzie gotowy do odpustu. Tu, proszę wielebnego ks. proboszcza. są te talary — pan Pliszka podał ks. Michalskiemu spory woreczek dźwięczącego srebra. — A może ksiądz proboszcz chciałby teraz coś powiedzieć?

Ks. Michalski podniósł się ciężko. W lewej nodze strzykało coraz dotkliwiej. Uśmiechnął się do wpatrzonych w niego wąsatych i bezwąsatych twarzy.

— Cieszę się bardzo, że jest was tu tak dużo — powiedział szczerze. — Choć nie ma tu ani piwa, ani gorzały, przychodzicie licznie i ochoczo. Bardzo jestem z tego rad. Cieszę się, że doceniacie ważność naszego stowarzyszenia Czeladzi, któreśmy założyli dlatego, aby podnieść wasz poziom moralny, aby krzewić ducha narodowego i oświatę. Cieszę się, gdy widzę, że moje zabiegi o wasze zdrowie moralne nie idą na daremne. — Wsparł się cały o stół, aby ulżyć bolącej nodze. — Gdy odchodziłem przed laty z Królewskiej Huty, z parafii św. Barbary, gdzie byłem wikarym, to nasz poeta-kowal, Juliusz Ligoń, o którym pewnieście już słyszeli, ułożył wiersz, z którego przypominam sobie jedną zwrotkę. Tak mi oto życzył:

By Lipinianom zmiękły serduszka.
Jak miękkie drzewo lipowe.
Od najmłodszego aż do staruszka
Niech będą owieczki zdrowe.

I jak tu tak na was patrzę, młodych i starych, jak patrzę, gdy przychodzicie czytać gazety i książki, jak uradzacie nad wycieczkami, procesjami i pielgrzymkami zamiast siedzieć w karczmie, to sobie myślę, iż już może trochę zmiękczyłem wasze serca. Może im jeszcze daleko do drzewa lipowego — przerwał bo tu i ówdzie odezwały się wesołe śmiechy i pomruki. — No, ale nie chcę wam głosić drugiego kazania, dopiero co wysłuchaliście jednego na majowym, chciałem tylko na zakończenie, ponieważ jest mowa o naszym przyszłym sztandarze, na który z waszych marnych fenigów uzbieraliście tak dużo, chciałem na zakończenie zacytować wam piękny wiersz ks. Norberta Bonczyka napisany na uroczystość poświęcenia sztandaru Alojzjanów w Bytomiu:

Te, młodzieży, wznoś sztandary,
Broń języka, broń swej wiary!
Kto te ojców skarby spodli,
Darmo się do Boga modli.

Ks. Michalski usiadł, ostrożnie prostując zbolałą nogę. Uśmiechnął się do zebranych wiwatujących ku jego czci. Dojrzał i Hadaszka, i nagle, tknięty jakąś myślą, poderwał się od stołu, podniósł rękę, by uciszyć zgromadzonych i odezwał się głośno:

— A te talary na sztandar, razem z moim listem, weźmie jutro do Bytomia Gustlik Hadaszek, bo ja jestem teraz cięgiem zajęty przy budowie kościoła. — Spojrzał badawczo wokoło, dostrzegł zdziwione twarze, dostrzegł, jak nagle się nad czymś głęboko ten i ów zastanawia, wiedział — teraz myślą o starym Hadaszku, co pił i kradł, ile mógł, póki nie zgnił we więzieniu, teraz myślą o tym, że niedaleko pada jabłko od jabłonki, wszak i Gustlikowi zdarzyło się już zaglądać do kieliszka, a o tym wiedzą poniektórzy — chwilę się wahał a potem odchrząknął głośno, zdecydowanie, i powtórzył dobitnie — no to proszę, aby Hadaszek zaraz z rana przyszedł na farę po list i pieniądze dla ks. proboszcza Bonczyka.

Usiadł. Był zadowolony z siebie. Zapomniał o dokuczliwym strzykaniu w kolanie. A Hadaszek patrzył weń jak w tęczę. Zrazu był strapiony, nie pojmował, o co chodzi proboszczowi. Powoli jednak nadeszło zrozumienie. W sercu chłopaka wzbudziła się głęboka wdzięczność do księdza.

I młody kleryk Sigula nie spuszczał z ks. Michalskiego podziwu pełnego wzroku. I on wszystko rozumiał, i uczył się na przyszłość.

Na drugi dzień zaraz z rana przyszedł Gustlik Hadaszek na farę, zjadł zniewolony przez gospodynię trzy pajdy chleba ze skwarkami, wziął 75 talarów, list w niebieskiej kopercie i udał się w drogę ku Bytomiowi. Pokłonił się jeszcze łobuzersko, uniżenie, czapką ku ziemi majstrowi na budowie i gwiżdżąc „Karolinkę” znikł między chałupami.

Miał wrócić na odwieczerz. Ale nie wrócił. Ks. Michalski nie martwił się, myśląc, iż pewno bytomski ks. proboszcz zmiarkował, że z Hadaszka sprytny synek i niezgorszy cieśla i użył go po prędku do jakiejś roboty, której nigdy nie brak przy dużym kościele.

— Wróci pewno jutro — powiedział do gospodyni, która naszykowała dla zdrożonego wędrowca sutą wieczerzę.

Ale na drugi dzień Hadaszek też nie wrócił, ani na trzeci. Ks. Michalski chodził strapiony i rozeźlony kulejąc na lewą nogę, w której go coraz dotkliwiej strzykało. Nie mógł już wcale patrzeć na bezczelnie uśmiechniętego majstra z Zabrza, ani na spłakane oczy starej Hadaszkowej klęczącej w piątej ławce, ani na zaniepokojone twarze członków Towarzystwa Czeladzi. Domyślał się, że już w całej parafii mówią o tym, że Hadaszek ukradł tych 75 talarów i uciekł. A sztandar przepadł. Nie będzie go ani na pielgrzymkę do Piekar, ani na odpust. Tyle pieniędzy! Bez dwieście marek!

Na czwarty dzień, gdy ks. Michalski wrócił z pogrzebu Piotra Langra, kazał co żywo szykować bryczkę i konie.

— Jadę do Bytomia — oznajmił krótko gospodyni — wrócę zaraz po obiedzie, bo wieczorem mam zebranie towarzystwa św. Wincentego. Niech ks. wikary, gdy wróci z Chropaczowa — powinien tu już być — zajrzy na budowę.

Ale zanim jeszcze zaprzężono konie do bryczki, od bytomskiego gościńca doleciało głośne klaskanie z bata i pokrzykiwanie woźnicy. W następnej chwili na podwórze lipińskiej fary wjechała wielka, czarna landara ks. proboszcza od Panny Maryi w Bytomiu. Ks. Michalski podskoczył jak młodzik, uradowany wielce, do drzwiczek powozu.

— Powitać, powitać zacnego i miłego księdza Norberta — huczał w zapale i ściskał w swoich szerokich ramionach szczupłego i wytwornego proboszcza bytomskiego. Powitać naszego wielkiego poetę onorate altissimo silesi poeta[134].

— Laudetur Jesus Christus, carissime[135] — rzekł ks. Bonczyk prostując przekrzywione binokle — już cię nie widziałem, Józefie, od trzech niedziel, a tu materiału do gawędy de publicis i de ecclesiasticis[136] nazbierało się co niemiara. Ale co widzę, chciałeś wyjeżdżać? Przeszkodziłem ci? — zmartwił się dostrzegłszy bryczkę lipińskiego proboszcza wytoczoną z szopy.

— Ale gdzie tam! Spadłeś mi jak z nieba! Wyobraź sobie, co za traf, akurat chciałem do ciebie jechać — pokrzykiwał wesoło. Ale nagle spoważniał — bo widzisz, chciałem cię spytać o tego gizda, Hadaszka — no, wybacz — usprawiedliwiał się dostrzegłszy karcącą minę ks. Bonczyka — ale już mi się tyle żółci na tego synka zebrało, a może ty nie wiesz o niczym? Może on u ciebie wcale nie był?

— Był, był, wszystko ci wyjaśnię — powiedział ks. Bonczyk uspokajająco. — Wybieram się z tym do ciebie już od dwóch dni, ale zawsze były jakieś nieprzewidziane przeszkody: onegdaj przyjechał przeor franciszkanów z Rzymu i gawędziliśmy do białego rana, wczoraj zaś gościłem dwu niespodziewanych, bardzo zacnych gości, redaktorów nasze-

---

[134] Honorowy najwyższy poeta śląski.

[135] Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, najmilszy.

[136] O sprawach społecznych i kościelnych.

go „Katolika", Napieralskiego i Koraszewskiego. Nasłuchałem się dużo ciekawych rzeczy, którymi chcę się z tobą podzielić, abyś nie siedział jak tabaka w rogu w tych twoich Lipinach. Ale zaraz — począł się za czymś rozglądać — gdzie to ja zostawiłem tę paczkę? Może w bryczce? A nie, tu ją mam — uspokoił się dobywając z kieszeni niedużą paczuszkę. Rozwinął papier i podał ks. Michalskiemu książeczkę w ciemnozielonej oprawie ze złoconym napisem. — To dla ciebie, proszę.

— Dla mnie, Norbert? Co to jest? Ach, już wiem — uderzył się w czoło, aż klasnęło. — Twoje nowe wiersze! Wiwat śląski Homer!

— No, no, nie przesadzajmy — ks. Bonczyk usiadł w wysokim krześle z poręczami i spod oka patrzył na zaaferowanego kolegę. Ten zaś czytał półgłosem:

— „Góra Chełmska". Bytom w 1886 roku. Motto z Horacego: „et mihi dulces ignoscent, si quid peccato stultus, amici"[137]. Peccato stultus — powtórzył ks. Michalski w zamyśleniu — jakież to błędy głupoty mają ci wybaczyć przyjaciele? Kogoż tu znowu opisałeś, przyznaj się — zapytał wesoło i szelmowsko zmrużył oczy.

— Ano, przeczytasz, to zobaczysz Myślę, że sobie piwa nawarzyłem i że niejeden konfrater oczy mi wydrapie. — Zdjął okulary i przecierał je długo i troskliwie. — Ale cóż, skoro mnie opęta furor scribendi[138], wtedy już nic nie widzę i nic nie słyszę — dokończył cicho.

Ks. Michalski przyglądał mu się z uwagą. Cenił sobie bardzo przyjaźń tego skromnego, łagodnego, spokojnego kapłana, którego uważał spośród wszystkich konfratrów śląskich za najmądrzejszego, najbardziej we wielkie talenta ubogaconego.

— Ale Norbert, przecież cię wszyscy znamy, ktoby się miał na ciebie obrazić? — powiedział z głębokim przekonaniem.

— Kto? ty pierwszy!

— Ja?

— Tak, proboszcz z Lipin — uśmiechnął się ks. Bonczyk. — Daj, przeczytam ci — Wziął zieloną książeczkę, kartkował w niej chwilę a potem czytał:

A ludek już przeczuwa, że jemu tu dają,

---

137 „i dla mnie jest słodki, i przepraszam jeśli zrobię głupi błąd, moi przyjaciele".

138 Gorączka pisania.

Co na dziś najlepszego dla pątników mają.
Z dala już poglądają: „Kto na kazalnicy?”
Przebaczmyż tej prostocie, wszyscyśmy grzesznicy!
„Proboszcz z Lipin! Michalski! to młot na chachary,
Na kocendry, prezmuty, na ludzi bez wiary,
Złym i dobrym znajomy; których nie słów gradem,
Tych naucza wzorowym swej trzody przykładem!”
Jako chrzan, jeśli dobry, już to nos i oczy
Wprzód, niż go skosztowano, łzy grubymi moczy:
Tak lud płakał, a szczerze, jeszcze przed kazaniem,
Szczerzej jeszcze i głośniej, gdy ksiądz jeździł na nim.

— No i co ty na to, Józefie? Widzę, że się śmiejesz?

— Boś to bardzo szykownie usadził, bardzo mi się to podoba — ks. Michalski aż się rumieni z ukontentowania — zaraz musimy to uczcić dobrym winem.

— I nic nie jesteś obrażony?

— Ale o co?

— No, przy dobrej woli mógłbyś się obrazić o ten młot na chachary i...

— To mi się najbardziej podoba! To ci się zaś udało! Jeszcze dziś zabiorę się do tej książki. Więc proszę, wypijmy, twoje zdrowie, zacny nasz poeto! — brzęknęły kieliszki napełnione jasnozłotym płynem. Gospodyni zakrzątnęła się przy stole stawiając na białym obrusie koszyczek z świeżymi rogalikami i kajzerkami. Zapachniało kawą. — Nie myśl, że cię puszczę przed obiadem — zastrzegł się z góry lipiński proboszcz.

— Ano, co robić, słodka niewola. A jak tam z twoim kościołem? Skończysz do odpustu?

— Myślę. Po obiedzie możemy zajrzeć na budowę. Teraz powiedz, co nowego przywiózł przeor franciszkanów z Rzymu.

— Ponoć Leon XIII na ostatnim tajnym konsystorzu wystąpił bardzo ostro, ponownie uskarżając się na uszczuplenie i ograniczenie swej świeckiej władzy. Na Watykanie mówi się teraz dużo o jego pracy nad nową encykliką i o nowym biskupie Mantui, Józefie Sarto. Słyszałeś już pewnie o nim?

— Słyszałem, słyszałem, iż to nasz rodak, Ślązak z Opolskiego. Głośno o nim wszędzie. A ty pewnie dowiedziałeś się o nim jeszcze ciekawszych rzeczy, co?

— O tak. Ale zaraz, może ci najpierw powiem o tym twoim kawalerze, no, jak mu tam...

— Hadaszek.

— No właśnie. Otóż onegdaj z wieczora przylatuje moja gospodyni i mówi rozzłoszczona, że jakiś andrus uparł się, iż musi koniecznie z bytomskim proboszczem mówić, i to zaraz, już. Mówię Marcie, no to go wpuść, ja już schodzę do kancelarii. A baba na to, iż chłopiec wygląda jej na chachara i złodzieja, który ino patrzy, aby co ukraść. Pytam się, czy może jest pijany, a ona, że nie, że nie czuć go nawet gorzałą, ale że wygląda tak, jakby się z kimś bił, obszarpany, na głowie jakaś skrwawiona szmata, jedno oko podbite. Zszedłem na dół, prawdziwie, gospodyni miała rację, chłopak nie wzbudzał zaufania swoim wyglądem. Pytam się, o co chodzi, i tak powoli dowiedziałem się wszystkiego. Nie taka to długa ani skomplikowana historia, raczej nader prosta, zwyczajna. Za chropaczowskim lasem zachciało się synkowi pić, gorąc był, wszedł do tej karczmy koło kopalni na piwo, ale przy szynkwasie spotkał jakiegoś kamrata, który był z innymi kumplami, i z jednego piwa zrobiło się dziesięć piw, nie brakło i wódki, twój Hadaszek wygadał się, że ma tyle talarów przy sobie, a ponieważ z dobrawoli nie chciał z nich dać kumplom na piwo, to mu sami wzięli oporządziwszy go chwacko kuflem po głowie. No i chłopak przeleżał nieprzytomny do rana następnego dnia, potem próbował odnaleźć tych uczciwych kamratów, no a w końcu przywędrował do mnie. No cóż, żal mi go było. Gdy opowiadał, to nie wiele brakowało, a byłby się rozpłakał. Przysięgał, że już gorzały do ust nie weźmie. I że te talary zwróci co do feniga.

— Hm, ciekaw jestem z czego — odezwał się ks. Michalski sceptycznie — A gdzie on się teraz podziewa?

— Jest w Starych Tarnowicach na kopalni.

— Co? jak?

— Ano tak. Gdy mi powiedział, że pójdzie gdzieś szukać roboty, że będzie robił jak wół, byle jak najprędzej oddać te skradzione talary, to sobie przypomniałem dawnego kolegę z Wrocławia, który jest teraz nadsztygarem w Tarnowicach. Spotkałem go niedawno w Bytomiu, opowiadał mi, że stawiają nowy szyb w jego kopalni i że mogę mu posłać dobrych, uczciwych cieśli i murarzy, jak bym takich miał. Że sobie dobrze zarobią, talara albo

i dwa na szychtę, bo robota idzie na akord. Posłałem mu dwóch z mojej parafii, a trzeciego — z twojej. Józefie. No i co, stary? Co o tym myślisz?

— Żeś uczciwie postąpił. Hadaszek to na pewno dobry synek, jego matka to święta niewiasta, myślę, że po raz drugi nas nie zawiedzie.

— A o chorągiew dla Czeladzi też się już nie martw, jedna strona jest już gotowa, jak mi wielebna matka zdradziła, do odpustu macie chorągiew w Lipinach!

Ale była już gotowa tydzień przed odpustem. Stała w kancelarii na probostwie, szumna i złota, a obok niej leżały trzy szerokie. również złotem lamowane wstęgi dla chorążych. Jednym z nich miał być Michał Grzomba, drugim Jan Pliszka, a na trzeciego nie mogli się jeszcze zdecydować. Kandydatów na tak honorową służbę było dużo, a nikogo nie chciano ukrzywdzić.

Na trzy dni przed odpustem wrócił Gustlik Hadaszek do domu. Najpierw poszedł na farę, jak to obiecał bytomskiemu proboszczowi.

— No i co, smyku? Już wróciłeś? Tyś nawarzył wtedy piwa, no, no — witał ks. Michalski Hadaszka.

— Przeboczcie, wielebny księże proboszczu, ale to już się więcej mi nie przydarzy. A ks. proboszczowi Bonczykowi oddałem już te talary.

— Co, wszystkie? tyłeś zarobił?

— Zarobiłem więcej, matce żech doł resztę, 15 talarów.

— No, toś się musiał dobrze napocić.

— Ano, lekko to tam nie było w taki gorąc i pod ziemią, no i na akord. Ala jakoś mi tam szło, boch sobie wyrzezoł taki mały krzyżyk na moich narzędziach... jakeście to wtedy padali na kozaniu... o tym niewolniku w Hiszpanii... — mówił nieskładnie.

— Aha, wiem — potwierdzi! ks. Michalski patrząc uważnie na chłopaka — no, to dobry z ciebie karlus. Pilnuj się tylko przed złymi kamratami. A co teraz będziesz robił?

— W poniedziałek po odpuście jada nazod do Tarnowic.

— No to widzisz, jak się wszystko dobrze zakończyło. Jak przyjedziesz na drugi raz, to się znowu pokaż. Aha — przypomniał sobie ks. Michalski — chodź, obejrzyj sobie jeszcze z bliska tę chorągiew dla Czeladzi.

Hadaszek obejrzał i poszedł. A ksiądz proboszcz już wiedział, kto będzie trzecim chorążym przy sztandarze Stowarzyszenia Czeladzi.

Parafia lipińska dowiedziała się o tym dopiero w dniu odpustu. Ten i ów podnosił się na palce, by dojrzeć wzruszoną twarz trzeciego chorążego. Gustlik Hadaszek opasany szeroką, błyszczącą wstęgą kroczył wyprostowany obok powiewającej na wietrze chorągwi.

„Gość Niedzielny", nr 41/1957, s. 6; nr 42/1957, s. 5 – 6.

Rok 1958

JADWIGA KUCIANKA

O modlitewniku mojej babki

Wertyko[139] stało między dwoma oknami paradne i bogate, lśniące jasnożółtą politurą, zdobne w przeróżne wymyślne gałeczki, ślimacznice i kute, mosiądzowe zameczki. Szafka ta była najzacniejszym meblem w izbie babki (odziedziczyła ją później ciotka Agnieszka) i po dziś dzień jest nim jeszcze w starych śląskich rodzinach.

Na wertyko stał krzyż kolędowy i świeczniki, zaś na pierwszym planie bieliło się i złociło praskie Dzieciątko przyniesione skądś z odpustu. Ponieważ figurka była nieduża, podłożono pod nią pudełko z dziadkowych cygar nakryte płócienną serwetką. Za tym praskim Dzieciątkiem, a raczej za owym cygarowym postumencikiem składała babka dwie swoje książki do nabożeństwa, jedna była jej, jeszcze po matce, a naszej prababce, starej Szołtysiczce z Dębu, a druga po dziadku, któremu się dużo za wcześnie zmarło.

Ale to nie były jedyne książki nabożne naszej babki, miała ich więcej, może pięć, a może i siedem. Leżały w górnej szufladzie wertyka w szufladzie, która wcale nie pachniała jabłkami, jak to się czyta w pięknych powieściach,

---

139 Bieliźniarka.

bo przecież jabłek się u nas w ogóle nie przechowywało, były drogim przysmakiem od wielkiego święta. Szuflada babki pachniała raczej jakąś ostrą maścią, która miała ulżyć zreumatyzowanym kolanom i łokciom.

Do tej szuflady nam, wnukom, wstęp był wzbroniony.

— Tam nie mocie nic do szukanio — mówiła babka — to som książki do rzykanio a nie do śpiewanio — i zamykała nam szufladę przed nosem — jak urośniecie, to je spokopicie.

Urośliśmy, zaznajomiliśmy się z treścią książeczek, które były „do rzykanio". Książki dewocyjne, nazwalibyśmy je teraz naukowym terminem. Tak, pamiętam, miały niecodzienne tytuły, długie, staroświeckie, jak u Reja lub Kochanowskiego. Na przykład „Pasek serafickiego patriarchy, świętego ojca Franciszka dla braci i sióstr jego opieki szukających", albo „Wiadomość o szkaplerzu męki Pańskiej z dodatkiem stosownego nabożeństwa", albo „Ołtarz, czyli książka do nabożeństwa dla ludu pospolitego".

Z książeczek do śpiewania leżących za praskim Dzieciątkiem wolno nam było korzystać. Ale nie zawsze. Padał deszcz, gdy się szło na różaniec, to babka mówiła:

— Zostow książka, bo zmoknie i się zniszczy. Weź ino różaniec, to ci starczy.

No i musiało wystarczyć.

Szliśmy z pielgrzymką do Piekar, książki zostawały na wertyko z obawy, że moglibyśmy je zostawić w jakiejś kalwaryjskiej kaplicy.

Karlik, starszy i odważniejszy, no i mężczyzna, przekonywał babkę, że nie zagubimy, że przecież po drodze musimy śpiewać. Starka była nieubłagana.

— Stracicie, a to są pamiątki po matce nieboszczce po starzyku, jak będziecie mieć swoje książki, to sobie możecie z nimi chodzić do Piekor, do Panewnik i ledakaj.

Ale do swoich książek nam jeszcze daleko. Karlik chodził do drugiej, a ja dopiero do pierwszej klasy. Tym samym do własnych „Dróg do nieba" mieliśmy jeszcze dobre trzy lata czasu.

A swoją drogą babka miała rację, gdy podając nam książki na niedzielne nieszpory lub na majowe, upominała nas, chyba po raz stopięćdziesiąty.

— Nie ślińcie palców, nie zaginejcie rogów, nie klękajcie na książce. Książeczki były rzeczywiście bardzo pamiątkowe i bardzo cenne. Cenne ze

względu na swój wiek, obydwie skończyły już przecie po sto lat, cenne, bo są najautentyczniejszym dokumentem polskości naszej śląskiej ziemi i naszej śląskiej braci.

Wiedzieliśmy już o tym przed wojną. Karlik miał na ten temat referat w gimnazjum św. Jacka, a w rok później zaciągnęli go do wojska i zginął w niemieckim mundurze tęskniący w każdym liście z dalekiego frontu za roratnią pieśnią, za kolędą, gorzkimi żalami, za rezurekcyjnym hymnem, tęskniący w rytm roku liturgicznego, który dla niego skończył się dużo, dużo za wcześnie.

Tak, określenie: dokument polskości jest ważne i obowiązujące. Ale przy tych książkach, przy tych dewocyjnych książkach dla pospolitego ludu, to określenie ma stuprocentowe pokrycie. Wniosek prosty: pospolity lud, czyli autentyczna, rodzima ludność używała języka polskiego w domu i w kościele, jeżeli trzeba było wydawać dla niej książki w języku polskim.

Rok wydania: 1840. Jeszcze daleko do wiosny ludów, jeszcze daleko do poezji Lompy, Bończyka, Ligonia. Miejsce wydania: Opole, prastary gród piastowski, tu apostołował Wojciech, tu wydano w XVI wieku pierwszy polski Ordónek Górniczy. Autor: ukryty pod kryptonimem księdza P. H. — należy przypuszczać, że to Piotr Hawryłowicz. No i tytuł, o długim oddechu — Kancyonał katolicki zawierający modlitwy i pieśni na zbudowanie i rozmnożenie pobożności w domach i w kościele, jakoli podczas innych zwyczajnych odpraw kościelnych podług rytuału diecezji wrocławskiej.

„Ułożycier" języka Reja zapewnia nas w przedmowie, iż „Kancyonał zawiera modlitwy i pieśni — między ostatnimi też i wiela starożytnych — Litanie i psalmy, które licznym potrzebom wygadzają, a z umysłem Kościoła naszego ściśle się zgadzają".

Jakież to modlitwy odmawiali nabożni, śląscy pradziadkowie?

O, jest tu wcale ładny wybór. Prócz nabożeństwa porannego i wieczornego, prócz modlitw mszalnych, spotykamy tu modlitwę podróżnych, modlitwę tych, co już „powrócili z drogi" (widać, że nasi przodkowie nie siedzieli za piecem, ale i za chlebem, i z pącią przemierzali piękną Bożą ziemię), są modlitwy stołowe, są modlitwy podczas suszy, podczas grzmotu i mokra, podczas wojny, w czasie drogości i głodu, w czasie obierania papieża, albo biskupa. Iluż to papieży obrano w ciągu tych stukilkunastu lat? W roku wydania owego Kancyonału panował Pius VIII, a teraz mamy już dwunastego z rzędu Piusa papieża.

A oto próbka jednej z modlitw: „Wybadanie sumnienia we wieczór”.

„Zaś dzień minął. Jakżem go zaczął i skończył? Nie byłże on dniem straconym dla wieczności? Czy bym mógł dzisiaj kolej dni moich spokojnie i z radością zakończyć? Nie potrzebaż mi dzisiaj jakiego słowa, albo postępku żałować? Czy to, com mówił, albo czynił, było Bogu miło i na zbawienie spółbraci mojej pożyteczno? Czym w powołaniu moim wiernie pracował, a tak cześć i chwałę Boga rozmnażał? Używając dóbr doczesnych czy wspominałem na Dawcę wszech dobrego i byłem mu wdzięczny? Nie stałem że nader zuchwalcą w dobrym powodzeniu, albo niecierpliwym i m rukliwym w d olegliwościach? Nie byłoż goryczy, nienawiści, zemsty, wzgardy, złośliwej radości w sercu i w uściech moich? Czy mogąc, nadgrodziłem krzywdę innym uczynioną? Czym gotów jest oną nadgrodzić?“

Nie trudno nie dostrzec wielkiej wnikliwości w tej autokontroli, którą parali się nasi dziadkowie. Nam, ich wnukom, żyjącym w epoce egzystencjalistów i sputników wyszłoby z pewnością na zdrowie takie cowieczorne „wybadanie sumnienia“.

A jakież to pieśni śpiewano przed wiekiem w domach i kościołach Opola, Bytomia, Piekar, Chorzowa, Załęża i Mysłowic? Te same, co i dziś. Stwierdźmy sami: w adwentowym czasie — Gwiazdo morza, któraś Pana; O Gospodzie uwielbiona; Po upadku człowieka grzesznego; Urząd zbawienia ludzkiego.

Na gody — W żłobie leży; Anioł pasterzom mówił; jest już również Karpiński — Bóg się rodzi, moc truchleje, z tym, że w ostatniej zwrotce mamy pewne innowacje pruskiego cenzora: Podnieś rączkę, Boże Dziecię, pobłogosław nas łaskawie.

Wśród postnych pieśni widzimy: Jużem dość pracował; Ogrodzie oliwny — 37 zwrotek; Stała Matka Boleściwa; na Wielkanoc oczywiście: Chrystus zmartwychwstań jest — pieśń znana od sześciuset lat — Wesoły nam dziś dzień — i kilka innych.

Ducha św. wielbiono tak jak i dziś przez Veni creator; na Boże Ciało śpiewano: Zróbcie Mu miejsce; Twoja cześć, chwała; na błogosławieństwo też te pieśni, które nam są znane; podczas Mszy św. rozbrzmiewało potężne Boże, Stwórco nasz Panie; a na żałobnej — Boże sędzio sprawiedliwy. Nie brak: Kto się w opiekę; są i Godzinki do Panny Maryjej,

i litania do św. Jana Nepomuckiego, którego z wielką poezją nazywa się pieczęcią milczenia i Studnią pocieszenia; są i nieszpory, choć w innym niż obecnie zestawieniu psalmów.

Ale nie brak i takich pieśni, których my nie znamy, na przykład pieśń przy pracy. Są w niej momenty bardzo aktualne i bardzo pocieszające, dla nas zagonionych i zaharowanych.

Bóg Stwórca przykazał, że na kawałek chleba
w pocie czoła swego zarabiać sobie trzeba.
Każdego wydzielił, jak gospodarz robotą,
chcąc, abyśmy wszyscy pracowali z ochotą.
Każdy w stanie swoim, pan, równie jak poddany,
robić to powinien, do czego powołany.
Ta jest wola Boża, jak Apostoł powiada:
Kto nie chce pracować, niechaj też nie jada.

Nie lada psycholog jest autorem tej prostej starożytnej pieśni. Rejestr pieśni zawartych w książce opolskiej kończy pieśń „na pogrzebie księdzów" i „na pogrzebie szkolnego nauczyciela", w której również nie brak bardzo trafnych sformułowań, jak na przykład w tej zwrotce:

Rozumiałeś łagodnością, jakoteż surowością, one gnać do nauki.
Ciebie, jak się obawiały, tak i ściśle miłowały, z chęcią słuchały.
Ciebie czasu rannego, jakoteż wieczornego, widziały.
Jakoś Boga modlitwami czcił, wychwalał, takeś ich serca rozpalał, by to samo czyniły.

Jaka była droga tej książki do nabożeństwa z Opola do Załęża, za figurkę praskiego Dzieciątka na wertyko, nie da się ściśle ustalić. Powstało na ten temat dużo mniej lub więcej fantastycznych hipotez między wnukami, ale najprawdopodobniej przywiózł ją dziadek z Opola czasu służby wojskowej w pruskim garnizonie.

Natomiast druga książka z dni wczesnej młodości, książka babki, jest prostej proweniencji: została zakupiona, może za 95 fenigów, przez Szołtysiczkę z Dębu w Piekarach na odpuście. Rok jej wydania również bardzo zacny, anno domini 1857, a więc w zeszłym roku obchodziła stuletnie urodziny. Wydana została przez sławnego pana Teodora Heneczka w Piekarach, ściślej, jak głosi napis, w N. Piekarach. Czyli w Niemieckich Piekarach. Tylko prusacka buta mogła nazwać tę śląską Jasną Górę, to miasto polskich wydawnictw, to miasto Zwiastuna Górnośląskiego

i Fieckowego Tygodnika Maryańskiego Deutsch-Piekar. Ale darujmy im tę niebotyczną pychę.

Tytuł książki: Zbiór najpotrzebniejszych i powszechnie używanych pieśni i modlitw z książek przez cenzurę duchowną i rządową aprobowanych wyjęty i starannie ułożony.

Owszem, bardzo starannie. Bo też z pana Heneczka był wytrawny wydawca, wiedział, że spis, że podział systematyczny, że ponumerowanie pieśni, to sprawy ważne, ułatwiające korzystanie z modlitewnika. Kancyonał opolski nie ma spisu i nie jest tak przejrzyście ułożony.

Objętościowo jest mniejsza od swej opolskiej towarzyszki, tamta liczyła 418 stron, ta, tylko 164, ma za to dużo więcej pieśni, ponad osiemdziesiąt. Już przy spisie pieśni mszalnych widzimy różnicę: Kancyonał opolski wykazuje tylko jedną — Boże Stwórco — tu widzimy jeszcze trzy inne: Z pokłonem; Co nam nakazuje; Na Twe słowo.

Podobnie, gdy chodzi o pieśni postne, jest ich tu jedenaście, wszystkie dobrze znane: Wisi na krzyżu; Ach mój Jezu; Krzyżu święty; Jezu Chryste, Panie miły.

Wśród pieśni godowych brak wiersza Karpińskiego, jest za to 15 zwrotek — A wczora z wieczora. Największa różnica rzuca się w oczy przy spisie pieśni Maryjnych: czternaście tytułów (wielkanocnych — tylko cztery): Idźmy, tulmy się, Dnia każdego; Witaj święta i poczęta; jest i różańcowa przepiękna pieśń o świętej Pannie, której darem są różańcowe tajemnice, jest i antyfona, i modlitwa św. Bernarda i litania loretańska, której nadaremno szukaliśmy w opolskim kancjonale. Nie dziwota. Książka wydana w Piekarach, w Maryjnym grodzie, do którego od wieku podążają rozśpiewane procesje, bajecznie kolorowe dzięki śląskim strojom, sztandarom i chorągwiom, dzięki majonym figurkom i obrazom.

Śląski górnik znalazł w piekarskim modlitewniku nie tylko pieśń o tym szczęśliwym, który sobie patrona Józefa ma za opiekuna (który z naszych Józków i Zeflików wiedział o tym, że ta pieśń ma już setkę lat?), ale miał tu przede wszystkim pieśń do swej zawodowej patronki, Barbary świętej. Co dzień o świcie rozbrzmiewała w cechowni na Kleofasie, na Rozbarku, na Szarleju, na lipińskiej Matyldzie, na pszowskiej Annie i na innych śląskich kopalniach pochwała tej, która na obrazach, z prosta malowanych, schodziła z kielichem w ręku ku górnikom, odciętym od świata ogniem i wodą w dalekich sztolniach. Głowy naszych pradziadów chyliły się w po-

kłonie przed tą, która z wiatykiem, w kapłańskiej posłudze, konających wspierała.

Niechaj i głowy wnuków pochylą się kornie. Niechaj ich serca, rytmem znojnej pracy bijące, i ich umysły ubogacone rozleglejszą wiedzą, przeniknie prosta a głęboka nabożność ich przodków, których spracowane dłonie splatały się tak często nad pożółkłymi kartami książek do nabożeństwa.

„Gość Niedzielny", nr 16/1958, s. 4 – 5; nr 17/1958, s. 4.

JADWIGA KUCIANKA

Wiosenny widok

Wrocławskiej ulicy Katedralnej

Jak wstążka na wiatr puszczona biegnie uliczka Katedralna falistym zakrętem między jasnymi domkami kanoników kapitulnych. Domki to zabytkowe, malowane ciepłożółtym i szaroniebieskim kolorem, zdobne girlandami, gzymsami i fryzami. A wśród tych kamieniczek bieleją kolumny pałacu wrocławskich biskupów wieńczone jońskimi głowicami.

Raz po raz cichy urok uliczki przecina czerwony, zielony i srebrny błysk śmigającej taksówki wrocławskiej. Raz po raz ostra czerń sutanny mocnym akcentem kładzie się na jej wiosenną słoneczność.

Stara Odra ciasnym, troskliwym ramieniem opasuje ulicę. Stara Odra była kiedyś młoda, kiedyś, gdy jej mostami pędziły poczty rycerskie Henryka Brodatego, kiedyś, gdy na Tumskim Ostrowie drobne stopy dwunastoletniego dziewczęcia znaczyły ślad wielkiej, katolickiej kultury. Oto ona: księżna śląska, małżonka Henryka Brodatego, Jadwiga trzebnicka. Stoi na kamiennym cokole, u wejścia na most Tumski, z nieodłącznym swym atrybutem na ręce, klasztorem trzebnickim. i jak dobra gospodyni, od progu witająca gościa, zaprasza na ulicę Katedralną.

Ileż tu pięknych, starodawnych świątyń przy tej miniaturowej uliczce. Oto kościół Piotra i Pawła, o którym wspomina już dokument księcia śląskiego, Bolesława Wstydliwego, z roku 1175. Ściany z surowej cegły zdobią dwie płaskorzeźby wielkich apostołów.

Tuż obok wielki, wspaniały kościół św. Krzyża z kłującą niebo strzelistą iglicą, o którym napisano, iż „jest jednym z najpiękniejszych i najcenniejszych pomników polskiej, gotyckiej architektury". Kolegiatę świętokrzyską, która składa się z dwu kościołów, z górnego i dolnego — pod wezwaniem św. Bartłomieja — ufundował w XIII wieku książę piastowski, Henryk IV Prawy, jako pokutę za zatarg z biskupem wrocławskim.

Legenda niesie, że kiedy kopano fundamenty, znaleziono olbrzymi korzeń w kształcie krzyża i oznajmiono księciu, że widać niebo życzy sobie, aby kościół stanął pod wezwaniem Krzyża świętego, a nie Bartłomieja apostoła, jak ślubował książę. Piastowicz zafrasował się, aż w końcu postanowił w tym miejscu wystawić dwa kościoły, jeden górny, drugi dolny, aby uczcić Krzyż święty i nie obrazić Bartłomieja.

I znów o kilka kroków inny kościół, mała świątyńka oddana pod opiekę św. Idziego, ufundowana przez wielkiego magnata śląskiego Piotra Włosta, który, jak głosi legenda, wystawił w śląskiej ziemi kilkadziesiąt kościołów.

A oto i katedra wrocławskiej archidiecezji, zamykająca ulicę Katedralną

Teraz zaś jest wieczór. Wiosenny zmierzch siódmej godziny spłynął na uliczkę bramowaną tajemniczym szumem starej Odry. Jakaś kobieta poważnym, statecznym ruchem wznosi ręce, w których trzyma długi drążek, i w tym momencie blask pierwszej wigilijnej gwiazdy zawisł w zmroku. Kobieta idzie powoli dalej, wznosi i opuszcza ręce, a nad jej głową zapalają się coraz to nowe światła niebieskich, romantycznych, gazowych latarni.

Rankiem, gdy nad Tumskim Ostrowiem wstanie wiosenne słońce, kobieta rozpocznie na nowo swą wędrówkę gasząc z wieczora zapalone światła. Inna kobieta, uzbrojona w miotłę będzie pracowicie wydobywała piękno jezdni i chodnika spod kurzu i śmiecia. Przypatrzmy się jej na sekundę: jak gorliwie, jak dokładnie czyni swą powinność.

W tej chwili podchodzi ku niej jakiś ksiądz. Na czarnej sutannie ciemna opończa z kapturem. Pilne dłonie kobiety spoczęły na stylisku miotły w bezruchu. Opowiada coś, kiwa głową, nieśmiało zaprzecza i znowu skrupulatnie zamiata, gdy ksiądz odchodzi ku murarzom po drugiej stronie chodnika. Odbudowują arcybiskupi pałac, który zamieniony zostanie na muzeum sztuki kościelnej Dolnego Śląska.

Murarze skupiają się wokół księdza pochylonego nad „kalfasem” z murarską zaprawą. Raptem głośny wybuch śmiechu, aż podniósł się czerwony, ceglasty pył. Śmieje się ośmiu murarzy i ksiądz, którego opończa jest z lewej strony obielona wapnem. Ksiądz odwraca się, jeszcze coś mówi przez ramię do majstra i kieruje się ku katedrze. Tak, to on. Włodarz wrocławskiej diecezji. Wrocławski biskup stoi w tym samym miejscu, na którym stał przed blisko tysiącem lat Bolesław Chrobry zakładający biskupstwo śląskie. Jaka ogromna, ciężarem odpowiedzialności brzemienna spuścizna wieków.

Wczoraj, przed tym samym portalem wrocławskiej katedry stał biskup Kominek z Gołubiewem, autorem „Bolesława Chrobrego”. Zdali się jacyś podobni do siebie, jacyś pierwotni, mocni, krzepcy, nieustępliwi. Twarze te same, jak braci, ciemne a wyraziste, twardo obrysowane, krechą czarnych, nawisłych brwi ucharakteryzowane. Woje tej samej sprawy, tej samej idei, iż ziemie Chrobrego, Ziemie Zachodnie, to ziemie wieczyście polskie.

„Gość Niedzielny”, nr 21/1958, s. 7; nr 22/1958, s. 6.

❋ ❋ ❋

J. KUCIANKA

Mąż prawy

Jako męża dobrego, szczególnej stałości i religijności, prostoty i wielkiej wstrzemięźliwości przedstawiają dawne kroniki Nankera, z rycerskiego rodu Kołdów, pieczętującego się herbem Oksza.

Był on ostatnim biskupem Polakiem na stolicy wrocławskiej, nieustępliwym na zakusy czeskich i niemieckich magnatów. Był przyjacielem króla Łokietka a przeciwnikiem groźnego Niemca na tronie czeskim, Jana Luksemburczyka, na którego rzucił klątwę.

Maż wielkiej ascezy, ciągłych postów, modlitw nieustannych, umartwień różnorakich, bez względu na wiek podeszły. Kroniki podają nam wieść, że świątobliwy biskup przyjechawszy do Nysy na wizytację, boso odprawił pielgrzymkę po wszystkich nyskich kościołach adorując wielkopiątkowe groby. Ten dzień 4 kwietnia 1341 roku był chłodny i dotkliwe zimno kąsało stopy wielkiego dostojnika.

Umarł „w woni świętości”, przy słodkim śpiewie aniołów, który dał się słyszeć wielu ludziom, jak zeznaje kronikarz.

Kolebka jego stała na Górnym Śląsku, między Bytomiem a Piekarami. Niech dumą zabiją serca parafian od Piotra-Pawła w Kamieniu, bo w cieniu ich starego, trzynastowiecznego kościoła urodził się ten wielki mąż.

Oby Kamień pod Bytomiem przeszedł do Wielkiej Historii Kultury Katolickiej na tych samych prawach co Kamień w Opolskiem, który wydał Jacka Odrowąża.

Już kiedyś w Rzymie zabiegano o wyniesienie Nankera na ołtarze. Może dzieła tego ma dokonać po Nankerze biskup Polak, biskup Górnoślązak na wrocławskiej stolicy? Dzieli ich pięć wieków w upływie czasu i historii, ale nie dzieli ich nic w pojmowaniu katolickiej i polskiej racji stanu.

A oto tabliczka pod obrazem biskupa w katedrze wrocławskiej, której tekst pobudza zwiedzających do głębokiej refleksji: ŚWIĄTOBLIWEMU BISKUPOWI. WIELKIEMU POLAKOWI, MĘŻOWI NIEUSTRASZONEGO CHARAKTERU, OBROŃCY POLSKOŚCI, DOBROCZYŃCY UBOGICH, ROZTROPNEMU RZĄDCY DIECEZJI, NANKEROWI KOŁDA, HERBU OKSZA, UR. 1270 W OSADZIE KAMIEŃ NA GÓRNYM ŚLĄSKU. ZM. W 1341 W NYSIE, BISKUPOWI KRAKOWSKIEMU W LATACH 1320—1326, BISKUPOWI WROCŁAWSKIEMU W LATACH 1326 — 1341 Z PROŚBĄ O MODLITWĘ, O WYNIESIENIE NA OŁTARZE. DUCHOWIEŃSTWO I WIERNI ARCHIDIECEZJI WROCŁAWSKIEJ TEN WIZERUNEK UMIESZCZAJĄ W MIEJSCU SPOCZYNKU DROGICH SZCZĄTKÓW.

„Gość Niedzielny”, nr 29/1958, s. 3.

JADWIGA KUCIANKA

Wrocławska Panienka

Daleko Jej do sławy Jasnogórskiej Królowej i do miru, jakim się cieszy nasza Piekarska Panienka. Dopiero od kilku lat znajduje się w katedrze wrocławskiej — ale do Polski przywędrowała już przed trzema wiekami.

Przywiózł Ją w darze od papieża Jakub Sobieski, syn Trzeciego Jana, co to pod Wiedniem bił pogana. Królewicz Jakub mieszkał na zamku w Oławie i tam zamieszkała z nim Madonna ze słonecznej Italii.

A teraz, po tylu latach, po tylu zawieruchach wojennych, Madonna z prywatnej książęcej kaplicy awansowała do godności Opiekunki ludu wrocławskiego grodu.

Spogląda na nas z obrazu łaskami słynącego. Wkoło wota. Dziesiątki, setki pozłacanych serduszek, ryngrafów, broszek, sznurów korali i perełek. Dziesiątki, setki drobnych darów od tych, co odeszli stąd obdarowani łaską pokoju, pociechy, przebaczenia.

Spogląda na nas spod złotej blachy welonu oblicze ciemne, jak to, co cięte było szwedzką szablą, ale nie tak surowe, władcze, ale bardzo miłosierne, bardzo litościwe. Pochyla głowę ta Wrocławska Panienka, jakby w gotowości słuchania każdej prośby, każdej skargi. Oczy Jej duże, czarne, wodzą za nami wzrokiem zadumanym, przedziwnie głębokim, przenikającym na wskroś. Ręce Jej nie piastują Syneczka, ale splecione gestem prośby serdecznej orędują za tymi, którzy o to proszą.

I my prosimy Cię, Panienko Wrocławska, na Tumskim Ostrowie władzę sprawująca, za ludem Twoim dolnośląskim, od Legnicy, od Kłodzka, od Żagania, i za ludu tego pasterzami.

Strzeż, ochraniaj ziemie nadodrzańskie, tak srodze wojenną pożogą doświadczone. Zapal na nich nowy ogień, ogień miłości, który ogarnie wszystkie serca i zespoli je w jedno wielkie, chrobre plemię piastowskie.

„Gość Niedzielny", nr 33/1958, s. 2.

JADWIGA KUCIANKA

Służka z Drepanon

Od Bizancjum wieje wiatr. Swym chyżym skrzydłem dotyka morskich wód, burzy je i wzdyma. U wybrzeży, pod skałami pieni się wieczysty gniew fal.

Samotna, biała droga idzie po wydłużonej pochyłości i ginie w przejrzystym, przedwieczornym niebie, co łukiem lekko napiętym pochyla się nad ziemią.

W oddali, od strony Nikomedii podnosi się obłok pyłu. Głuchy rytmiczny stukot końskich kopyt przebija się przez szary tuman. W zapadającej ciemności krótkimi błyskami migocą złote i srebrne łuski zbroic. Wiatr niesie brzęk uprzęży i strzępy rozmów.

— Zaprawdę, Sewerusie, widziałeś Wiktorię?

— Widziałem. Stała ode mnie nie dalej, jak ty oszczepem rzucisz. Jak prawdziwa matka armii miała na głowie hełm żołnierski, w złotej i srebrnej blasze tłoczony, u przyczółka zaś juweliami[140] sadzony. Z jej ramion królewskich spływał prosty płaszcz rzymskich legionistów. W świcie jej nie zoczyłeś ani jednej niewieściej twarzy. Otaczali ją oficerowie, generałowie i zwyczajna żołnierska brać. A wszyscy wpatrzeni w nią byli z wielką czcią i miłością.

— Byłali piękniejsza, niż Zenobia?

— Czy piękniejszą była, nie wiem. Ale na pewno była odważniejsza. Nie splamiłaby się nigdy sromotną ucieczką, jak Zenobia.

Głośny, rubaszny śmiech żołnierski wybuchnął na wzmiankę o tej ucieczce. Każdy z legionistów, co brał udział w niedawnej wyprawie przeciwko pysznej, wschodniej władczyni zagrażającej rzymskiemu imperium, wiedział o tym rozpaczliwym kroku Zenobii. Pustynne piaski niedobrze ukryły ślady wielbłądzich nóg, które niosły osaczoną królowę aż do Eufratu. Tam dosięgnął ją pościg Aureliana.

— Pytałeś, Kryspusie, czy Wiktoria piękniejszą jest niżeli Zenobia. Chcesz wiedzieć, gdzie widziałem oblicze godne, by je wieńczył diadem Augusta?

— Mów, Laktancjuszu, wszak wszystkim wiadomo, że nie masz większego znawcy piękności niewieściej nad ciebie — zakpił dobrotliwie stary Sewerus, który kochał skromnego a dzielnego młodzieńca.

— Słuchajcie tedy. Gdy rok temu jechałem do Konstancjusza pod Palmynę z listami, zatrzymałem się w Drepanon, w gospodzie, do której teraz zmierzamy. Gospoda jest nędzna, wino liche, lecz podają je zaiste

---

[140] Juwelia – klejnoty.

boskie ręce. Dziewczę, co usługuje w tej gospodzie, jest piękne jak Wenus milońska.

— Laktancjuszu, co słyszę? Dziewkę służebną chcesz wieńczyć diademem Augusta.

— Na Jowisza, prawdę mówię! — krzyknął zapalczywie młodzieniec — Helena, bo takie jej imię, w niczym nie ustępuje piękności owej greckiej Heleny, którą Parys Menelausowi ukradł.

— Laktancjuszu, a czy ta twoja Helena też rozpęta wojnę? czy też popłynie krew, jak ongiś pod Troją?

— Nie kpij, Kryspusie! Helena z Drepanon jest prostą chłopką. Lecz jest tak piękna i dobra, i czysta, że mogłaby należeć do towarzyszek Diany.

— Nie pamiętam, Laktancjuszu, abyś kiedykolwiek mówił z takim ogniem o białogłowie. — Stary Sewerus spojrzał bystro na młodego następcę dowódcy. — Czy to nie są przypadkiem zdradzieckie strzały z kołczanu boga Amora?

— O, nie, Sewerusie. — Laktancjusz spoważniał. — Znasz mnie i wiesz, że kocham żonę moją. A Domicja, jeśli bogi będą łaskawe, obdarzy mnie wnet potomkiem — dokończył cicho. — Widzisz — podjął po przerwie — piękność Heleny jest jak piękność białej, smukłej kolumny, którą w Panteonie stworzyły ręce mistrza. Ujrzysz ją raz, a nie zapomnisz nigdy. Dary bogów obaczysz nieraz tam, gdzie... — przerwał, bo w tej chwili spostrzegł nadjeżdżającego oficera. Ściągnął cugle swego konia i ruchem ręki zatrzymał mały oddział. Ścichł gwar rozmów.

— Laktancjuszu, kiedy będziemy u celu?

— Już jesteśmy, panie. Gospoda stoi za tym zagajnikiem. Pchnąłem żołnierza, by zapowiedział nasz przyjazd.

— Dobrze, ruszajmy tedy.

Oficer pozostał w tyle. Legioniści mijali go z szacunkiem. Kochali oni swego młodego dowódcę, Konstancjusza Chlorusa, za niepospolitą siłę, za wielką odwagę, za mądrość i szlachetność głęboką. Szanowali go za życie czyste i surowe, jakie przystało prawdziwemu Rzymianinowi. Wiedzieli, że Konstancjusza, potomka cezara Klaudiusza Goticusa, czeka wielka i świetna przyszłość.

— Klnę się na sandały Diany — zwykł był mawiać osiwiały Sewerus, który młodość swą spędził w ustawicznych pochodach pod wodzą Klaudiusza Goticusa — że obwołają go cezarem, jak obwołali dziada jego.

Gospoda w Drepanon była niska i ciasna. Mur, co ją ongiś otaczał, poszczerbił nadmorski, ostry wiatr. Kamienne płyty dziedzińca słońce i deszcz skruszyły do cna. Chwasty wybujałe wysoko rosły wokoło, pachnąc silnie a natrętnie o tej przedwieczornej godzinie.

Wąska sień prosto z dziedzińca prowadziła do jedynej obszernej izby, w której szpary w murze zastępowały okna. Biała cembrowina studni świeciła w zapadającym mroku. Zaskrzypiał studzienny, zardzewiały łańcuch. Żołnierze poili rozkulbaczone konie i myli kurzem pokryte twarze. W głębi podwórza, w szopie, gdzie pochmurne niebo spoglądało dziurawym dachem, pachniało siano. Przy rozpalonym ognisku gotowano prostą, żołnierską strawę.

Laktancjusz razem z Konstancjuszem weszli do izby. Płonące łuczywo rozświetliło gołe ściany, stół długi i dwie ławy. W rogu izby widoczne były wąskie drzwi, przesłonięte ciemną, zgrzebną materią. Spod ściany, gdzie stały beczki i kubły, przykusztykał niski. garbaty człowieczek z siwą, skołtunioną brodą, co zarastała mu oba policzki aż po wąskie szparki załzawionych starczych oczu.

— Witam was, czcigodni panowie, witam — chrapliwy, rwący się głos i ręce drżące zapraszające na ławę — niechaj bogowie strzegą dróg waszych.

— Bądź pozdrowiony, Dioklesie! — Laktancjusz powitał wesoło staruszka. — Podaj mi swoje najlepsze wino, podaj owoce i co tylko masz pod dachem. I słuchaj, Dioklesie — Laktancjusz nachylił się do ucha starego człeka i ściszył głos — czy twoja wdzięczna służka, Helena, już cię opuściła?

— O nie, panie. Przyrządza dla was wino. — Nie — Diokles zaśmiał się chrapliwie trzęsąc brodą — nie, ona mnie, starego, samotnego człowieka nigdy nie opuści, bo ona jest dobra. O, widzicie, panie, właśnie nadchodzi.

Laktancjusz podniósł głowę. Helena stała w wąskich odrzwiach, wysoka i smukła w swej fałdzistej, greckiej szacie. Jedną ręką trzymała glinianą kruż a drugą, wzniesioną nad głową podtrzymywała zgrzebną zasłonę drzwi. Białych ramion nie uciskały srebrne i błyszczące obręcze, ze smukłej szyi nie zwisały dźwięczące łańcuchy, ani uszy obciążone były kunsztownymi kolcami. A mimo to z całej jej postaci bił promienny blask. Bogaty węzeł włosów mienił się jak stare złoto z egipskich świątyń. Usta

i oczy, tajemnicze i połyskliwe jak perły z dalekich Indii, uśmiechały się słodko. Uśmiechały się niewinnie, jakoby nic nie wiedziały o mocy czaru, który rzucały na ludzkie serca.

— Witajcie pod t ym dachem! — Grecka mowa subtelnym, melodyjnym dźwiękiem rozebrzmiała w nędznej izbie zamieniając ją, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, w kosztowny, marmurowy pałac. — Odpocznijcie po waszej wędrówce i nabierzcie sił do dalszej drogi. — Helena skłoniła się wdzięcznie i podnosząc kruż nalewać poczęła wina do kubków.

Laktancjusz westchnął głośno. Zwilżył wargi językiem, przetarł dłonią oczy jakoby ze snu i dopiero teraz odpowiedział na powitanie Heleny.

— Bądź pozdrowiona, piękna Heleno. Niechaj wszyscy bogowie Olimpu strzegą twej piękności! — Laktancjusz podszedł do stołu rozglądając się za Konstancjuszem, o którym całkowicie zapomniał. I zdumiał się spojrzawszy na niego. Oficer stał wyprostowany pod ścianą nie spuszczając oczu z Heleny. A w oczach tych gorzało morze płomieni, żar miłości, co wybuchnęła nagle z całą siłą serca i zmysłów nieskażonych rozpustnym życiem. Blada zazwyczaj twarz była jeszcze bledsza. Usta zacisnęły się mocno, kurczowo, jakby w obawie, że rzucą słowa chybkie jak błysk miecza i niepojęte jak morskie głębiny.

Laktancjusz podniósł kubek do ust. Ale nie pił. Patrzył na Helenę. Spotrzegł, że oczy jej zwrócone są ku Konstancjuszowi z wyrazem serdecznego oddania. Z takim wyrazem, z jakim Domicja spoglądała na niego, Domicja, jego wierna żona. A przecież Helena i Konstancjusz widzą się po raz pierwszy. Tak, na pewno...

Laktancjusz wychylił wino jednym haustem i szybko skierował się do sieni. Na dziedzińcu stary Diokles siedział wśród żołnierzy i grzebiąc palcami w kudłatej brodzie opowiadał zmyślone historie. Żołnierze siedzieli cicho, aby nie uronić nic ze skrzekliwego, rwącego się głosu starucha.

— ...i wtedy Amor wyjął ze swego kołczanu złotą strzałę, co zabłysła w słońcu jak ogień, napiął lekko łuk i puścił cięciwę. Strzała furknęła i zatopiła się głęboko w sercu pięknej Lavinii, aż trysnęły krople czerwonej krwi, a piękna Lavinia...

— Tak, to, co on opowiada, to zdarzyło się w tamtej izbie — pomyślał Laktancjusz, poderwał się gwałtownie z kamienia, na którym przysiadł, i skierował się na powrót ku sieni gospody.

Zatrzymał się u progu. Chybotliwy płomień łuczywa czerwonym i złotym blaskiem oświetlał izbę, to gasnąc, to znowu strzelając jasno z świeżą siłą. Izba zdała się zaczarowana. I zaczarowanymi zdali się Laktancjuszowi mąż i kobieta, co stali naprzeciw siebie z dłońmi splecionymi, obcy całemu otaczającemu ich światu.

Laktancjusz wrócił ku żołnierzom. Dojrzało w nim postanowienie.

— Dioklesie, pleciesz duby smalone, miast poczęstować twoich gości winem! — zawołał gromko do starego. — Przyzwij Helenę, niech usłuży rzymskim legionistom.

— Już, panie, już spieszę — Diokles pokusztykał ku gospodzie, a żołnierze dobywać poczęli swe kubki rozochoceni i gadatliwi.

— A teraz, Kryspusie, przyjrzyj się Helenie i powiedz, czy w czymś skłamałem.

Helena wyszła z sieni niosąc dwa gliniane dzbany cicho bulgoczące winem. Spoglądała z uśmiechem na legionistów, co zamilkli wpatrując się w nią jak urzeczeni. Laktancjuszowi zdawało się, że Helena nie widzi nikogo, że patrzy tylko w obraz Konstancjusza, który się wyrył w jej sercu.

Diokles usadowił się znowu wśród żołnierzy. Tuż za nim wyszedł z gospody i Konstancjusz. Patrzył długą chwilę na Helenę usługującą żołnierzom, a potem skierował się wąską dróżką ku skałom, za którymi gniewnie szumiało morze.

Laktancjusz poszedł za nim. Lecz w pewnej chwili przystanął, jakby chciał zawrócić.

— Na Jowisza! przecież to nie moja rzecz! — pomyślał gwałtownie — ani mi ona siostrą, ani żoną, abym bronił jej czci. Narażę się tylko Konstancjuszowi, a ten jest ci wszakże dla mnie jako druh wierny i przyjaciel, a nie wódz i przełożony.

Ale nie zawrócił. Siłą wewnętrzną pchany przyspieszył kroku i zrównał się z Konstancjuszem.

— Kto to? Laktancjusz?

— Tak, to ja. Wybacz, panie, lecz chciałem, jeśli pozwolisz i jeśli posłuchać raczysz — słowa są dla języka jak ciężkie, lepkie grudy ziemi — pomówić z tobą o ...Helenie — dokończył cicho, jakby prosząc o przebaczenie, że wdziera się w święte i tajemnicze głębie serca.

— Laktancjuszu!

— Nie gniewaj się! Słuchaj, słuchaj, nie krzywdź Heleny! Jest mi zupełnie obcą, lecz kocham jej piękność, szanuję jej dobroć, uwielbiam jej dziewiczość — o nie krzywdź jej, Konstancjuszu!

Cisza głęboka jak morze. Szum fal umilkł i wiatr stłumił swój głośny lot, a gwiazdy mrugające wśród chmur zastygły w niemym oczekiwaniu.

— Laktancjuszu, Helena będzie moją żoną. — Słowa Konstancjusza są spokojne, lecz spokój ten pulsuje wezbranym gwałtownie potokiem uczucia.

— Nie może być... — Laktancjusz krztusił się słowami, które uwięzły w gardle — zapominasz, panie, że ona jest prostą służebnicą, a ty, ty, Konstancjuszu, potomku cesarza, ty, który...

— Zamilknij! Nie zapominam, kim jest Helena. Wywyższę ją, podniosę ku sobie. Będzie mi prawowitą małżonką. Tak postanowiłem, gdy ją ujrzałem. I to wykonam.

Rzymskie imperium zażywało dni spokoju i triumfu. Rzymskie legiony otaczała gloria niezliczonych zwycięstw. Rzymski cesarz, Klaudiusz Lucjusz Aurelian nadał sobie słuszny przydomek „Restitutor orbis”[141]. Wiktoria, potężna władczyni na zachodzie w Hiszpanii i Galii, umarła. Wszechwładna królowa wschodu Zenobia, upokorzona i zgnębiona, w ustroniu nad Tybrem pędziła samotne życie. Franków nad Renem pokonał Probus. Przeciwko buntującej się Persji gotowano świeże siły. Rzymskie imperium stanowiło potęgę niespożytą i zdało się, że nie będzie końca dniom triumfów i zwycięstw.

Był rok 274. Generał Konstancjusz Chlorus stał z wielką armią nad bystro płynącymi falami Aary. W oddali błyszczały śnieżne wierzchołki Alp. Konstancjusz gotował się do ostatniej rozprawy z Germanami.

Doszło do niej w mroźny dzień lutego. Rzymskie legiony kierowane sprawną dłonią swego młodziutkiego generała odniosły świetne zwycięstwo nad germańskimi plemionami.

Kilkunastu heroldów na rączych koniach wiozło wieść o tym triumfie w głąb imperium. Jeden z nich obrał daleką drogę do Naissus w głębi Illyrii. Na popasie w Akwilei spotkał się z gońcem z Naissus, który spieszył do Konstancjusza. Powitali się, bo nie byli sobie obcy.

---

[141] Odnowiciel świata.

— Wiozę naszemu panu, oby go bogi strzegły, wieść radosną! — zawołał jeden.

— I ja spieszę z niegorszą nowiną do Heleny, małżonki Konstancjusza. Wielkie zwycięstwo...

— Zwycięstwo, mówisz? — przerwał mu szybko goniec z Naissus — a ja ci powiem coś innego. Helena powiła syna pierworodnego Konstancjuszowi Chlorusowi.

W tym mroźnym dniu lutego, gdy generał Konstancjusz odniósł zwycięstwo nad Germanami, w słonecznym Naissus Helena zrodziła chłopię, któremu nadano imię Konstantyna.

W kolebce z drzewa cedrowego, co wyrosło w nieznanej afrykańskiej ziemi, złożono niemowlę. Przed przeszło pół wiekiem w tej samej kolebce leżał chłopak, którego po upływie lat okrzyknięto cezarem. Był to pradziad Konstantyna, Klaudiusz Goticus.

Helena pochyla się nisko nad kolebką. W skurczonej i pomarszczonej twarzyczce szuka ukochanych rysów, rysów małżonka, i znajduje je. Bo miłość jest wnikliwa i czuje to, co nie jest widome. Miłość Heleny, która zapłonęła jasnym i ciepłym ogniem w zajezdnej izbie w Drepanon, na widok małego dziecięcia zda się wzrosła w dwójnasób.

Mały Konstantyn śpi. Helena prostuje swą postać. Tak jak w Drepanon spowija ją fałdzista, grecka szata. Nie masz juwelii na szyi i ramionach. Tylko na białej ręce, co była kiedyś szorstka i zaczerwieniona od szorowania stągwi i dzbanów, złoci się misternymi sploty wąż — obrączka.

Rozmarzone spojrzenie wędruje ponad kołyską dziecka, przez białą terasę, ponad ogrodem pachnącym ku zielonym winnicom pokrywającym cały obszar aż po widnokrąg. Młody, wiosenny dzień uśmiecha się końcem.

— Oby wrócił jak najrychlej, pan mój i małżonek — proszą rozmarzone oczy — niech się razem ze mną cieszy naszym dziecięciem.

Wśród kolumn ganku, co wokoło obiega marmurowy pałac, słychać szelest sandałów.

— To ty, Domicjo? Tak wcześnie — Helena zbliża się ku młodej, bladej kobiecie i wita ją serdecznie.

— I ty, Heleno, kochasz ranną godzinę — Domicja mówi syryjskim narzeczem. Laktancjusz poznał ją w bogatym domu antiocheńskiego mędrca.

— Twój synek śpi?

— Śpi... spójrz jak lekko drgają małe usteczka.

— Bóg nasz, Jezus Chrystus, niechaj go ma w swojej opiece — głos Domicji tchnie powagą i żarliwością.

— Domicjo, znam cię od roku, kocham cię, a ciągle mi się zdaje, że nie znam cię wcale — Helena mówi z cichym wyrzutem. — Jesteś nieraz skryta i tajemnicza i często słyszę z twych ust słowa, których nie pojmuję. Nie znam również twego boga, nigdy o nim nie słyszałam, czemu nie chcesz mi opowiedzieć o nim?

— Bóg ten, Heleno, Bóg chrześcijan, jest jedynym Bogiem prawdziwym i dlatego nie godzi się dla pustej ciekawości opowiadać o nim, jak się prawi o Jowiszu i Baalu. Jeżeli ci o nim opowiem, Heleno, będziesz musiała go pokochać i uznać. I na pewno pokochasz go, bo serce masz dobre i czyste — dokończyła ufnie.

— Mów, Domicjo, znam twoją mądrość i roztropność. Wiem, że nie skłaniasz ucha ku czczym, pustym rozmowom.

Słońce ogniem oblało winnice i wpadło w pachnącą wiosną ziemię, gdy Helena wyszła do ogrodu. Z szerokiej alei zboczyła na wąską ścieżkę, gdzie wśród zielonych oliwek stała ławka. Usiadła wsparłszy głowę o pień oliwki. Przymknęła oczy. Opowiadanie Domicji jak barwna wstęga ponownie rozwijać się poczęło przed jej oczyma. Lecz najmocniej utkwiła jej scena z lichej izdebki nazaretańskiej, w której młoda dzieweczka przyjmowała Boskie poselstwo. Scena ta przypomniała jej własne losy.

— Może to prawda, że i ja choć nie chrześcijanka jestem pod opieką tego Boga, który wywyższa nędzarzy, a poniża bogaczy. Byłam nędzną sługą, a postawił mnie w marmurowym pałacu nad wieloma sługami... dziwny Bóg, który kocha żebraków, który, aby zwyciężyć, nie walczył mieczem, ale cierpiał okrutnie i śmierć poniósł. — Westchnęła głęboko, bo fala współczucia ogarnęła jej dobre serce.

— Heleno, co widzę, zmartwienie cię trapi? — zza zakrętu wysunął się Diokles. Brodę ma jak dawniej skołtunioną, lecz suknia na nim cała i czysta

— O czymże dumasz?

— Dioklesie, czy widziałeś w długim swym życiu takich, którzy by z radością przyjmowali cierpienia a nawet śmierć?

— Widziałem, Heleno To mędrcy. Bo mądrością wielką jest przyjmowanie nieszczęścia tym samym sercem, jakim przyjmuje się szczęście.

— Powiedz jeszcze, Dioklesie, czy bogowie, czy bóg — poprawiła się w zamyśleniu — może zsyłać cierpienie na tego, którego miłuje?

— Którego nienawidzi, chciałaś powiedzieć?

— Nie, którego miłuje.

— Aj, Heleno, pleciesz. O takim bogu nie słyszałem. A może... czekaj... nie, nie wiem. Jestem stary, głupi człek, nic więcej. Ale to wiem, że życie jest skarbem wielkim, i nieważne jest to, czy pędzi się je w Drepanon, czy w Naissus. Słuchasz. Heleno? — urwał się starczy, skrzekliwy głos. Półślepe oczy wpatrzyły się żałośnie w piękną twarz kobiety, na którą padł cień wielkiego a niepojętego smutku.

- -

Już nigdy potem cień smutku nie powstał na jasnej twarzy Heleny. Dzień za dniem wschodził opromieniony słońcem miłości. Szlachetny i łagodny Konstancjusz przywiązany był mocno do swej dobrej i pięknej żony i swego jedynego syna.

Konstantyn wzrastał i rozwijał się w ciepłych promieniach rodzicielskiej, obopólnej miłości. Szanował ojca za żołnierską odwagę, wierność i siłę. Lecz z matką łączyły go więzy silniejsze, więzy tak trwałe, że je śmierć tylko zerwać może.

Atoli smutek znalazł któregoś dnia drogę do słonecznego pałacu w Naissus. Przyszedł cicho, jak zapowiedź przyszłego, wielkiego nieszczęścia.

— Pani, Laktancjusz prosi o posłuchanie — służebna przystanęła u drzwi komnaty, w której Helena schylona nad pergaminem pisze list do męża. Konstancjusz przebywał od dłuższego czasu w Galii, dokąd go powołał cezar Dioklecjan.

— Proś, Nuno, proś go zaraz! — Helena podniosła się żywo na spotkanie dawnego przyjaciela — Laktancjuszu, bądź pozdrowiony, tak bardzo się cieszę!

— Witaj, Heleno! — Oficer przyklęknął z szacunkiem. Blask świec zatkniętych w złote kandelabry pada na jego schyloną głowę. Siwe pasma włosów zamigotały blado.

— Laktancjuszu, co się stało?! — Helena ze zdumieniem wpatruje się w srebrne pasma włosów, które jeszcze niedawno były jak skrzydło kruka.

— Heleno, Domicja umarła... Laktancjusz opadł ciężko na ławkę — umarła za swojego Boga... — głosiła w Galii jego naukę, to wiesz, tam zginęła od miecza...

Z oczu Heleny płyną łzy. Wyciąga drżącą dłoń i delikatnie gładzi pasma włosów, które siwizną przyprószył ból.

W drzwiach stanął Konstantyn. Na młodzieńczej, skupionej twarzy płonie rumieniec silnego wewnętrznego przeżycia.

— Matko, wiem, co się stało!— głos jest stłumiony hamowanym wzruszeniem. — Wiem wszystko od dawna! Wiem, jak nieszlachetnie, nieludzko poczyna sobie cesarz Maksymilian prześladując chrześcijan! Ach, matko, gdybym to ja miał władzę, to wówczas, wówczas... — młodzieńczy głos załamał się. Głowa Konstantyna w niemocy i bezradności spoczęła na sercu matki.

Laktancjusz wysunął się bezszelestnie z komnaty.

Wrócił znów po miesiącu. Wracał z Galii z Moguntiacum, gdzie odebrał listy Konstancjusza Chlorusa skierowane do Heleny. Wiedział, co zawierają te listy. I dlatego podjął się tej bolesnej misji, aby stać blisko Heleny, gdy trafi w nią piorun nieszczęścia.

Przez ogród, gankiem między kolumnami dostał się na terasę. Zmierzch zapadał. W komnacie Heleny przez podniesioną kotarę widać światło świec. Pada ciepłym blaskiem na twarz piękną jeszcze i młodą. Od dwudziestu lat Helena jest żoną Konstancjusza i szczęście tych długich lat widać wyraźnie na twarzy spokojnej i gładkiej, nie porysowanej rylcem cierpienia.

Laktancjusz zaczerpnął tchu i szeleszcząc zwojem listów wszedł do komnaty.

— Ach, dziś, Laktancjuszu, przybywasz chyba z lepszymi wiadomościami, niż ostatnio — Helena uśmiecha się, lecz uśmiech jej gaśnie powoli pod poważnym a smutnym spojrzeniem Laktancjusza.

— Nie, pani. Wtedy przyszedłem z własnym bólem, dziś zaś przychodzę, by tobie ból zadać. Lecz wiedz, że masz we mnie wiecznego druha, co cierpienie twoje przyjmie jak własne, na swoje barki.

— Laktancjuszu... mów wyraźniej ...

— Usiądź, Heleno i opanuj się. Niechaj serce twoje odważnie przyjmie bezlitosne pchnięcie. Oto listy — Helena wyciąga rękę. Łamie pieczęcie i rozwija pergamin.

— Konstancjusz Chlorus, cezar Galii, Hiszpanii i B rytanii pierwszej małżonce, Helenie pozdrowienie... — biała dłoń drży silnie. Serce trzepoce głośno jak ptak ściśnięty znienacka garścią. Twarz powleka bladość.

Laktancjusz nie spuszcza z niej wzroku. Czuje dotkliwie, jak każde słowo tego listu kolcem ostrym wbija się w serce Heleny.

Skończyła czytać. W dłoni kurczowo ściśniętej nadal trzyma złowrogie pismo. Lecz oczy są zamknięte. Usta martwe, bez oddechu. Laktancjuszowi zdało się nagle, że odeszła w krainę cieni. Poruszył się zdjęty trwogą. Wtedy Helena podniosła ociężałe powieki. Spojrzał w czarne, rozszerzone źrenice i ujrzał w nich niewysłowioną mękę.

— Pani — przemówił szeptem — jeszcze jest jeden list... — czuje się w tej chwili nędznym katem, co znęca się nad swą ofiarą. Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem. Choć usta jej milczały, wyczytał na bladych wargach beznadziejnie smutne pytanie: I cóż może być jeszcze gorszego?

— Twój syn, Heleno, musi cię... — urwał i szybko podskoczył ku niej. Podniosła obie ręce w górę i załamała je z cichym, przejmującym okrzykiem. Rozluźnione pasmo włosów opadło martwo na skronie. Omdlała z bólu skłoniła się ciężko ku ziemi, jak pszeniczny łan pod uderzeniem wichru.

Ból nie załamał serca żony, lecz serce matki skruszało w męce. Żądza władzy zaćmiła szlachetny umysł Konstancjusza Chlorusa. W Mediolanie obwołano go cezarem zarzucając mu na ramiona szkarłatny płaszcz rzymskich imperatorów. I wtedy to cezar Maksymilian zażądał, aby Konstancjusz oddalił swą żonę Helenę która była niskiego pochodzenia, a poślubił jego córkę Teodorę. Zażądał również, aby Konstantyn, syn Heleny, opuścił matkę i udał się jako zakładnik na dwór cezara Dioklecjana w Nikomedii.

Diademem pereł przepasano czoło Konstancjusza. Kto do niego przystępował, ten zginał kolana w niemej adoracji. Na forach poustawiano

jego posągi, przed którymi składali ofiary. Konstancjusz stał się sacer i sacratissimus[142] i zapomniał o pięknej Helenie, swojej wiernej małżonce.

Laktancjusz zawiózł ją do Drepanon. I opuścił. Bo Helena chciała pozostać sama ze swoim bólem. Jedna jeszcze myśl podtrzymywała jej ducha, że syn Konstantyn z niedalekiej Nikomedii zajrzy czasem do matki. Lecz i ta pociecha była jej odjęta.

Cezar Dioklecjan upodobał sobie w szlachetnym młodzieńcu i zabrał go ze sobą do Palestyny, a później do Persji i Egiptu, gdzie toczyły się walki.

Odwieczny szum fal leczył zranione serce Heleny. Żyła samotnie pogrążona w rozpamiętywaniu swych losów. Różnorodne uczucia jak wiosenne burze przechodziły, pustoszyły umysł i serce i odchodziły pozostawiając niemoc i pustkę. A z pustki tej na nowo rodził się bunt przeciwko ślepemu fatum, co rządzi światem, i rodził się gniew przeciwko temu, który podniósłszy ją wysoko, strącił w tym głębszą otchłań poniżenia.

Lecz ciągle go kochała. Okrutna myśl o jego zdradzie ustępowała przed myślą o jego wiernej, długoletniej miłości. W czarne noce, gdy błogosławiony brat śmierci, sen, nie nadchodził, otulała się w chusty i szła brzegiem morza, wpatrzona w szumiącą głębię. Atoli myśl o śmierci, która położyłaby kres jej męce, nie postała w jej głowie. Chciała żyć dla syna. Syn był iskierką, co migotała w ciemnościach pogrążających jej duszę. Chwilami zdawało się, że i ta iskierka zgaśnie pod gwałtownymi nawrotami rozpaczy i beznadziei. Lecz żyła, trwała.

Wtedy to, w latach, gdy cierpienie i nędze ryły zmarszczki na gładkim czole, wokół zgasłych oczu i bladych warg, przypomniały się Helenie opowiadania Domicji o pr awdziwym, jedynym Bogu, Jezusie Chrystusie. O Bogu, który kocha biednych i poniżonych, który poniósł za nich straszną śmierć. Przed oczyma udręczonej kobiety powstał obraz innej kobiety, która patrzyła na mękę jedynego Syna.

W nędznym Drepanon, wśród pustkowia skał chłostanych morskimi falami, w sercu wzgardzonym i poniżonym kiełkowało życie Boże.

Wokół pałacu w Jorku, w samym sercu Brytanii, gromadzą się żołnierze. Jest głęboka noc, lecz w mieście nikt nie śpi. Sierp księżyca zwisa z granatowego nieba sypiąc srebrną poświatą. Nie słychać głośnych

---

[142] Świętym i najświętszym.

rozmów ni nawoływań. Tylko czasem krzyknie przeraźliwie zbudzony z nagła ptak.

W głębi pałacu, w olbrzymiej sali przedzielonej szeregiem kolumn zgromadziła się starszyzna. Wszystkie głowy są odkryte, wszystkie spojrzenia biegną ku prostemu, żołnierskiemu posłaniu ze skór, na którym dogorywa cezar Konstancjusz Chlorus.

U wezgłowia, dziećmi otoczona klęczy Teodora. W nogach posłania stoi wyprostowany, z troską w oblicze ojca wpatrzony, Konstantyn. Przed chwilą konający przytomnym, podniesionym głosem mianował go swym następcą.

Młodziutki cezar wyruszył w triumfalnym pochodzie do Galii, do Augusta Trevirorum[143] gdzie założył swą rezydencję.

Jeden z najpiękniejszych pałaców rozkazał przystroić w złoto, w perskie drogocenne zasłony, w sprzęty z afrykańskiego cedru i z indyjskiej kości słoniowej. Kunsztowne kruże greckie i posągi zdobiły ganki. Wonności z Arabii spalały się w marmurowych konchach.

Miasto całe z wielkim napięciem czekało na tę, którą spośrod tysiąca wybrał boski imperator,

Laktancjusz zapukał do jej drzwi. On sprawował poselstwo, tak jak kiedyś, przed czternastu laty.

Zapukał mocniej do drzwi. W sieni rozległy się kroki. Potem skrzyp zawiasów.

— Laktancjuszu! — postarzała kobieta pochyla się ku klęczącemu. Srebrny włos okala oblicza szlachetne i piękne tą pięknością, jaką pozostawia po sobie głębokie cierpienie.

— Heleno, przybywam znowu jako poseł, lecz poseł szczęsnych wieści, a nie złowieszczych. Pozwól, niech pierwszy uczczę w tobie — Julii Flavii Helenie — rzymską imperatorową.

Radosne wzruszenie ogarnia opuszczoną kobietę. Usta jej szepczą słowa podzięki za ten widomy cud, za cud wiernej, oddanej miłości synowskiej. Bo nie powrót do bogactwa i godności, które nietrwałe są jako przędza pająka, lecz powrót do syna wzrusza Helenę.

Żegnał ją szum morza pieniącego się u skał.

---

[143] Trewir.

Witał ją syn w szkarłatnym płaszczu cezara wśród niezliczonych tłumów. Nadał jej godność Augusty i wprowadził do bogatego pałacu. Otoczył troską, szacunkiem i miłością. On, imperator rzymskiego cesarstwa, był jej posłuszny. Wydawał edykty, z których promieniał jej szlachetny duch. Budował świątynie nowemu Bogu. Otaczał opieką jego wyznawców.

Służka z Drepanon — wywyższona i poniżona przez męża — przez ręce syna sprawowała dobre i sprawiedliwe rządy nad światem.

„Gość Niedzielny", nr 37/1958, s. 6 – 7; nr 38/1958, s. 6 – 7; nr 39/1958, s. 6 – 7.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

O pracy kulturalnej naszych ojców

Wiek XIX, lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte. Niemieckie państwo wojuje z Francją, w Polsce pod zaborami, po styczniowym powstaniu, rozkwita ideologia pozytywizmu a na Górnym Śląsku, za mysłowickim Kątem trzech cesarzy, wre praca w polskich organizacjach. Jak grzyby po deszczu powstają w śląskich miastach i wsiach, w Bytomiu i w Dąbrówce, w Rudzie i w Michałkowicach, w Bieruniu i w K amieniu, polskie towarzystwa, związki, kasyna, koła i kółka, do których garnie się młody i stary, robotnik i włościanin.

Skąd ten entuzjazm do pracy organizacyjnej, do pracy społeczno-kulturalnej w szeregach braci robotniczej? Co za magnes ciągnie ich tak przemożnie po ciężkiej szychcie, po znojnej młócce, do salki szkolnej lub parafialnej na zebranie? To — duch polski, mowa polska.

Ligoń z Król-Huty, Kołodziej z Siemianowic, Kania z Siołkowic i Jasionowski z Piekar przekazali nam w swych literackich wspomnieniach, jak ochoczo spieszono na zgromadzenia, jak się tam mądrze i wesoło zabawiano, a wszystko pięknie po polsku, że zdumiałby się sam Sienkiewicz, gdyby na pruski Śląsk zawitał.

Uczono się z zapałem religijnych i świeckich pieśni, które nieraz wychodziły spod pióra Ligonia, Hajdy, Kani. Cierpliwie przepisywano i wkuwano role komedyjek i poważnych obrazów scenicznych, za które

potem zbierano gorące oklaski. Jest rzeczą na ogół znaną, że teatr amatorski cieszył się na Śląsku ogromnym powodzeniem. Każde towarzystwo za punkt honoru sobie stawiało urządzenie w ciągu roku dwóch, a nawet trzech przedstawień amatorskich.

Towarzystwo bytomskich Alojzjanów odegrało „pierwszy teatr" w roku 1875. Tą bytomską prapremierą był „Kulturnik" Karola Miarki. W kilka lat później wystawiono Ligoniowy „Los sieroty" — w styczniu, w k wietniu odegrano sztukę „Łobzowianie i Amerykanie", a w listopadzie „Karpackich górali". Do trzech razy sztuka! A nie było to wcale takie proste, jeśli się weźmie pod uwagę ostre przepisy cenzury pruskiej. Ileż to razy trzeba było słać listy do opolskiej rejencji, aby zezwolono na odegranie sztuczki! Ileż to razy trzeba było tłumaczyć polski tekst na niemiecki, czasem w dwu egzemplarzach — a maszyn do pisania nie znano — aby sumienny cenzor nie pominął jakiegoś patriotycznego wezwania — z serii grosspolnische Propaganda — i z czystym sumieniem mógł napisać swoje imprimatur.

Jaka szkoda, że z tych teatrów amatorskich naszych dziadków poginęły cierpliwie przepisywane teksty ról, a zachowały się tylko frapujące tytuły: Fatalna szafa, Posag w kominie, Błażek opętany, Werbel domowy i wiele innych.

Prócz aplauzu widzów żniwowali nasi samorodni artyści i srebrne a czasem i złote marki, które płynęły do kasy towarzystwa. Kupowano nową chorągiew za 80 marek, przesyłano 50 marek do Piekar na budowę kalwarii, innym razem wspierano aktorskim trudem zdobytymi groszami nowobudujący się kościół, i tak na przykład bytomscy Alojzjanie ofiarowali nie mniej, tylko 245 marek na witraż do nowego kościoła św. Trójcy. Ot, mieli gest nasi dziadkowie.

W czytelniach kółek i towarzystw prowadzonych przez specjalnie mianowanych bibliotekarzy zapoznawano się bliżej z Mickiewiczem, Polem, Lenartowiczem, wogóle poezja była dla tych naszych przodków w wyższej cenie, niż jest dziś dla nas. Uczono się historii polskich królów, entuzjazmowano się Sobieskim, zdumiewano się nad dolą Jana Kazimierza, co w Śląsku szukał schronienia przed szwedzkim potopem. I pilnie czytano bieżące czasopisma, które abonowano nieraz w kilku egzemplarzach, oczywiście Katolika, Gazetę Górnośląską, Opiekuna Katolickiego. Z Leszna przychodził Przyjaciel Ludu, z Torunia Gazeta Toruńska, później rozchwytywano i bytomskie Światło, i Orędownika. Jak

widać, wcale ładny wybór, można było tęgo politykować o zdarzeniach współczesnych; może ten i ów pokusił się o referat na aktualny temat. Była to dziewiętnastowieczna prasówka.

Takim aktualnym tematem było na przykład sprowadzenie zwłok Adama Mickiewicza do K rakowa. Wówczas to, w niedzielę 6 lipca 1890 roku, we wszystkich polskich towarzystwach na Śląsku urządzono uroczyste posiedzenia ku uczczeniu Wieszcza, z referatami, z deklamacjami i z pieśniami.

Jedno z rocznych sprawozdań bytomskich Alojzjanów zdradza nam liczbę odbytych posiedzeń towarzystwa. A więc: posiedzeń 56, a na nich — odczytów 81, wykładów różnej treści 28, deklamacji 42. Na posiedzenia uczęszczało przeciętnie 42 członków (z 64 zapisanych).

Gdy proboszcz bytomskiej Panny Marii, Norbert Bonczyk, zakładał w roku 1871 Towarzystwo św. Alojzego, taki ogłosił program: „Na tom was tu zgromadził, abyście czas na dobrem spędzali a pieniędzy nie utracili. Następnie dlatego, abyście się próżno nie błąkali. Chcę wam dobrego ducha do serca wlewać. Tu się macie pouczać i nie tylko słuchać, ale i rozważać".

Tak tedy uczono się, rozprawiano o ważnych wydarzeniach w świecie, ale i nie zapominano o wesołej zabawie, jak nas o tym również stare statystyki informują. Szczególniejszym wzięciem cieszyły się capstrzyki z pochodniami, urządzane na pożegnanie starego a powitanie nowego proboszcza, na uczczenie różnych jubileuszy i rocznic. Piękna i miła była tradycja wzajemnych wizyt wśród poszczególnych towarzystw. I tak Kółko Królewskohuckie odwiedzało Koło chorzowskie, chorzowianie wizytowali michałkowiczan, Alojzjanie piekarscy odwiedzali Radzionków, Alojzjanie lipińscy — Orzegów, a Bytomiacy spieszyli chętnie do Rudy, gdzie wywędrował ich lubiany bardzo prezes, ksiądz Franciszek Klein. Owe wizyty odbywały się oczywiście przy niedzieli, w uroczystym pochodzie, z pieśnią i z chorągwią na wietrze. Kroniki notują również uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod kościół w Łagiewnikach, na której to uroczystości zgromadziły się wszystkie okoliczne Kółka polskie i towarzystwa.

A ileż urządzono nabożnych i przyjemnych pąci, do dalekiej Częstochowy, do bliskich Piekar i do św. Anny na Chełmskiej Górze. Zaś do Starowiejskiej Matki Bożej w Raciborzu spieszyli Alojzjanie z Rydułtów, i z Biertułtowic.

Warto tu również wspomnieć o uroczystych Kolędach, które kończyły całoroczną pracę towarzystwa, i o pierwszych Jasełkach, którymi pochwalił się Rozbark przed siedemdziesięciu przeszło laty, w roku 1886.

Wszystkie te ciekawostki i wiele jeszcze innych zawierała mała, cieniutka broszurka nazwana szumnym tytułem „Książki pamiątkowej wydanej z powodu 25–letniego istnienia Towarzystwa św. Alojzego w Bytomiu roku 1896". Ale najciekawsze są strony ostatnie, które podają spis polskich towarzystw na Górnym Śląsku. Prócz spisu znajdujemy tu także nazwiska członków należących do zarządu. I to jest właśnie najciekawsze. Nazwiska, to żywi ludzie, choćby już dawno pomarli.

Godność prezesa piastują zazwyczaj księża, oni też zwykle są założycielami poszczególnych towarzystw. Wśród nazwisk zastępców, sekretarzy, skarbników i bibliotekarzy nie tak trudno spotkać naszych dziadów, wujów, ojców, a niejeden z tych ojców wychował swych synów na wielkich ludzi.

Inne z tych nazwisk, jak na przykład nazwisko Kołodzieja i Jasionowskiego, należą do skarbca naszej śląskiej, samorodnej literatury i zasłużyły na głęboki szacunek wnuków.

A może niejedno z tych nazwisk należy jeszcze do ludzi żyjących — pozdrawiamy ich ze czcią — może niejedna babka przypomni sobie swego zmarłego już męża i powie wnuczce ze łzą w oku: to był twój starzyk.

Tak, to byli nasi dziadkowie. Oni tworzyli na pruskim Śląsku, osaczonym ze wszech stron bismarkowymi zakazami i nakazami, polską i katolicką kulturę. Byli młodzi jako i my, ale nie znali nudy, nie znali pijaństwa, nie mieli na nie czasu ani ochoty, bo pochłaniało ich Kółko, Towarzystwo, Związek.

Prócz Towarzystwa Alojzjanów wielką popularnością cieszyło się Towarzystwo Katolickich Robotników, w innej miejscowości nazwane Związkiem Chrześcijańskich Robotników albo też Towarzystwem Chrześcijańskich Przemysłowców. Znane były kółka i kasyna Polskie oraz Koła Śpiewackie, z których najpokorniejszym stał się później Sokół.

A oto statystyka górnośląskich miejscowości, w których kwitło polskie życie organizacyjne. Statystyka niepełna, bo, jak stwierdza anonimowy autor, niektóre towarzystwa nie nadesłały sprawozdań.

Z wieku i urzędu pierwszeństwo należy się bytomianom. Zapisało się ich 145, przeważnie z Rozbarku, do Tow. Św. Alojzego, założonego przez

ks. Bonczyka 25 marca 1871 roku. Prezesowali różni księża, w sukurs im spieszył J. Jurczyk, sekretarzował K. Pytlik, kasjerem był W. Spyra, pewnie krewniak Jakuba Spyry, pierwszego lekarza rodowitego rozbarczanina, który jeszcze jako student wygłaszał referaty na zebraniach Towarzystwa.

Z księży, którzy piastowali godność prezesów u Alojzjanów, wspomnijmy dwu: księdza Franciszka Kleina, „za którego staraniem — jak mówi kronikarz — zajęło się Towarzystwo częstszym odgrywaniem teatrów polskich. Pozwalał do Piekar, do Lipin, Miechowic, Szarleja na częste wycieczki, w których sam uczestniczył i których koszta nieraz z własnej kieszeni płacił". I drugiego księdza–prezesa, Józefa Katrynioka, urodzonego w Rogowach pod Pszowem czasu powstania styczniowego. Był młodym, dopiero co wyświęconym, gdy zjawił się wśród bytomskich górników i rolników, których zdobył wstępnym bojem. „Któż nie kochał księdza Katrynioka, kto go poznał? — czytamy — Dusza w nim była piękna, serce szczere i otwarte, a takie gorące dla sprawy Boga i ludu swojego, że swoim ciepłem rozgrzewało serca chłodne i obojętne i zapalało do działania zbawiennego. Czasy jego prezesostwa były czasami największego rozkwitu Towarzystwa. Sala posiedzeń była zawsze zapełniona, gdy ksiądz–prezes miał przybyć na zebranie. Wszystko to sprawiała miłość. Ksiądz Katryniok kochał członków, jak kochał cały swój lud katolicki i polski. Miłość budzi miłość, a przeto też członkowie kochali serdecznie swojego prezesa". Co za piękne świadectwo zostawił po sobie syn rogowskiego chłopa! Oglądamy jego fotografię w jubileuszowej książeczce: młoda, uśmiechnięta dziarsko twarz, jak twarz żołnierza, który się nikogo nie boi, i oczy spokojne, patrzące pewnie, prawie że zuchwale. Ta odwaga, która bije z całej jego postaci, oddała niejedną usługę Towarzystwu borykającemu się z pruskimi urzędnikami opolskiej rejencji.

Ks. Katryniok był później wikarym w Piekarach i u św. Barbary w Królewskiej Hucie; na każdej placówce odwiedzała go wiernie młodzież bytomska. Najliczniej zjawiła się, wraz ze starszymi członkami i z członkami wszystkich polskich towarzystw, na pogrzebie młodego kapłańskiego entuzjasty, którego tyfus skosił w trzydziestej wiośnie życia.

Prócz Towarzystwa św. Alojzego istniała w Bytomiu jeszcze druga organizacja, której założycielem jest również ks. Bonczyk — Kasyno Polskie, powstałe w rok po Alojzjanach, w 1872. Wsławił się tu dzielnie ks.

dziekan Myśliwiec jako prezes. Jego zastępca – Szymon Juraszek, kasjer — Piotr Spyra. Widać, cała rodzina Spyrów wyżywała się w polskich organizacjach.

Trzecia organizacja bytomska, to Sokół. Rok założenia 1895. Założycieli mamy tu więcej: Tucholski, Majchrzakowski, Kwiatkowski, Kramer i Sopora. Członków 60. Prezesem jest Paweł Dąbek, zastępcą Stanisław Sztykowski, sekretarzem, Mateusz Nowak, kasjerem, Kazimierz Pietrzykowski.

I czwarta polska organizacja w Bytomiu — (Bytom ma ich najwięcej. Trzeba pamiętać, że to miasto było centralnym punktem ruchu polskiego na Górnym Śląsku) — Kółko Rolnicze Włościańskie w Rozbarku, założone przez redaktora Katolika Adama Napieralskiego. Sekretarzuje Kasper Tokarz, pieczę nad kasą trzyma Łukasz Pogorzałek.

Godzi się tu przypomnieć nazwiska członków honorowych bytomskich Alojzjanów, tym bardziej, że widzimy tu nazwisko zasłużonego zbieracza pieśni polskich na Śląsku, Łukasza Walisa, maszynisty z Rozbarku, ojca niedawno zmarłego Stanisława Walisa, dyrektora Muzeum Śląskiego w Chorzowie. Wśród honorowych członków jest i Józef Gallus, współpracownik Katolika, również rozbarczanin, wspomniany już lekarz, Jakub Spyra oraz trzech rozbarskich rębaczy Feliks Musialik, Jan Pakosz i August Zębok. Pewnie po szychcie tęgo pracowali w organizacji, skoro wybrano ich spośród dziesiątków innych górników na członków honorowych.

Rozbark, nad którym pieczę w starym kościółku sprawował Jacek z Kamienia, był najbardziej polską, najruchliwszą i najsprawniejszą organizacyjnie dzielnicą Bytomia.

W Bielszowicach założono Tow. św. Alojzego w 1893, w Biertułtowach w 1894, założycielem i prezesem jest proboszcz z Rydułtów, ks. P. Bernert, jego zastępcą L. Zarzecki, sekretarzem P. Gojny, kasjerem L. Dziwoki. Członków, w tak niedużej wsi, przystąpiło aż 95.

W Bieruniu Nowym jest od 1894 roku Kasyno Katolicko-Obywatelskie założone nie przez księdza, ale przez dwóch miejscowych kupców: Walentego Trojaka i Antoniego Chrósta. Oni też prezesują 28 członkom. Sekretarz — Jan Hudzikowski, kasjer — Jan Hajda.

Natomiast pod opieką św. Walentego w Bieruniu Starym rozwija się Tow. Alojzjanów składające się z 30 członków. Zgromadził ich ks. dziekan

Schumann, prowadzi ks. kapitan Hartmann, zastępuje przesa L. Gawlik, sekretarzem jest Jan Kocurek, skarbnikiem Walenty Góralczyk.

Biskupice też mają swoje Tow. św. Alojzego, założone, jak notuje kronikarz, „przez kilku młodzieńców przy pomocy księdza proboszcza Spendla". Młodzież widać wcale samodzielna, skoro prezesem wybiera jednego spośród siebie, Stanisława Mrózka, proboszcza mianując jedynie protektorem. Członków 53. Sekretarz J. Radziejewski, kasjer, P. Jędruś.

W Bogucicach istnieje od roku 1891 Związek Katolickich Robotników pod opieką św. Józefa, o imponującej cyfrze 150 członków. Założył go ks. Ludwik Skowronek, wydawca „Drogi do nieba". Jest również prezesem swoich robotników. A jego zastępcą, Pronobis, sekretarzem, Marcol, kasjerem Kimmel.

Drugie towarzystwo polskie w Bogucicach, to Koło Śpiewackie Lutnia, założone przez kilku młodzieńców.

Chorzów Stary jest drugim po Bytomiu ośrodkiem, w którym praca organizacyjna zatoczyła szerokie kręgi i znalazła licznych entuzjastów. Stara, dwunastowieczna wieś, podobnie jak Rozbark pyszniąca się krasą i bogactwem włościańskich strojów, miała dla swych bambrów i górników aż trzy organizacje. Towarzystwo św. Alojzego, założone przez radcę duchownego, ks. Kanię, który budował nową, wspaniałą świątynię, liczyło 71 członków. Prezesem został ks. wikary H. Drózd, jego zastępcą St. Kucia, sekretarzował P. Pokorski a skarbnikiem był W. Bacia.

Drugą organizacją w parafii Marii Magdaleny jest Towarzystwo Katolickich Robotników. Powstało ono z Czytelni Polskiej, która na terenie Chorzowa istniała od roku 1884, założona przez lic. teologii, St. Radziejewskiego. Ksiądz Kubis przechrzcił ową Czytelnię na Towarzystwo Katolickich Robotników liczące 130 członków. Ks. wikary Drózd i tuta] był prezesem, a godnego zastępcę miał w Janie Przełożnym. Protokółował na posiedzeniach hutnik Karol Kucia, ojciec siedmiu synów, a kasą Towarzystwa opiekował się Józef Zmarzły.

Koło śpiewacze, założone przez kilku członków Towarzystwa Katolickich Robotników, to trzecia organizacja starochorzowska. Na dyrygenta zaproszono pana Łukasika z Bytomia, który był w tej profesji specem, a Jan Kucia, krewniak poprzednio wymienionych, został skarbnikiem. Późniejszymi przewodniczącymi tego rozśpiewanego Koła starochorzowskiego byli: Paweł Dittmann, Piotr Probiez i Karol Niesłony.

W Dębie Towarzystwo Alojzego założył ks. wikary Kubis. Czterdziestu przeszło Alojzjanom prezesował Ryszard Gajowski, sekretarzował Antoni Białas, a funkcję skarbnika pełnił Paweł Legomiński.

W Dąbrówce Wielkiej powołał Alojzjanów do życie ks. Ruechl, w Starym Dębieńsku koło Czerwionki uczynił to ks. Zielonkowski. Dla Gliwic i okolicy założył ks. Przyniczyński Tow. Katolickich Robotników. Liczyło ono blisko czterystu członków. Prezesem był ks. Alfons Richter, jego zastępcą P. Loga, sekretarzem E. Głuchnik, kasjerem Melchior Wiesiołek.

Działacz śląski, redaktor Gazety Opolskiej, Bronisław Koraszewski, jest założycielem Towarzystwa Polsko-Katolickiego w G roszowicach. Siedemdziesięciu przeszło członków wybrało do zarządu Teodora Strzelczyka, Franciszka Pańczyka, Jana Żura i Jana Iwańskiego.

Filip Robota, nauczyciel, również działacz śląski, organizuje Towarzystwo Polskie Oświata w Gostomii. Rządy w tej Oświacie sprawują: T. Francki, Fr. Bobias, Jędrzej Hupka i W. Spiler.

W Kamieniu podpiekarskim mężów i młodzieńców setkę pod opiekę św. Alojzego oddał ks. proboszcz Józef Krupa. On też był prezesem Towarzystwa razem z Mikołajem Franielczykiem; protokółował P. Danecki, nad kasą pieczę miał Robert Tomanek.

Bardzo wcześnie, bo już w roku 1869, powstało Towarzystwo Katolickich Robotników w Katowicach. Zakłada je nauczyciel Kuczera. Prezesem zostaje ksiądz Hęciński, sekretarzem Niemiec, kasjerem Rudzki, 238 katowiczan przystąpiło do tej organizacji.

Również ponad dwustu członków liczyło Towarzystwo Górnośląskich Przemysłowców w Katowicach założone w dwadzieścia trzy lata później przez A. Lewandowskiego i przez niego kierowane. Do zarządu, w charakterze zastępcy prezesa, sekretarza i kasjera wstąpili: W. Okulicz, I. Kużaj, Jan Budniok. Ci sami tworzyli również zarząd katowickiego Sokoła powstałego w roku 1896. Natomiast Towarzystwa Alojzjanów w Katowicach nie było.

Na Klimzowcu Andrzej Ochman zakłada w styczniu 1894 roku Towarzystwo Katolickie Polskich Robotników. Jest ich 72, powierzonych opiece Józefa Robotnika. Zarząd stanowili: prezes Tomasz Rusek i jego zastępca, Jan Nowak, sekretarz Michał Wołczyk i kasjer Antoni Tkocz.

W Kochłowicach istniało Towarzystwo Alojzjanów od roku 1890, założone przez księdza Boehma.

Liczyło tylko 43 członków. W zarządzie zasiedli: ks. Heisig, B. Pindur, I. Burzyk i T. Wilk.

Królewska Huta (dzisiaj Chorzów-Miasto), podobnie jak Bytom, należała do centrów polskiego życia organizacyjnego na Śląsku. Tu działał Karol Miarka i Juliusz Ligoń. Między parafią św. Barbary i św. Jadwigi istniała szlachetna rywalizacja objawiająca się w kształtowaniu form życia towarzyskiego, w ilości posiedzeń, odegranych przedstawień teatralnych, w werbowaniu nowych członków.

Towarzystwo św. Alojzego przy parafii św. Barbary powstało 6 listopada 1892 r. — przy parafii św. Jadwigi — w dwa tygodnie później, 20 listopada. W Barbarze liczyło 120 członków, w Jadwidze — 127. I tu, i tam założycielami są przewielebni księża proboszczowie. W Barbarze ks. Łukaszczyk tworzy zarząd w następującym składzie: ks. Hachulski, Ferster, Krawczyk i Mikula; w Jadwidze, ks. prob. Tylla powołuje na prezesa ks. Namysłę, na jego zastępcę Oceloka, na sekretarza Kuliga, na kasjera Ludwika Pandra.

Prócz tego ks. prob. Łukaszczyk zakłada jeszcze w r. 1886 Związek Chrześcijańskich Robotników liczący, jak na owe czasy, astronomiczną cyfrę tysiąca dwustu członków. Temu związkowi ks. Łukaszczyk prezesował osobiście. Jego zastępcą był ks. Flasza, kasjerem Suchy, zaś nazwisko nieśmiertelnego sekretarza nie zostało uwiecznione.

Najwcześniejszą organizacją na terenie Król-Huty i dla polskości najbardziej zasłużoną było Kółko Towarzyskie, założone w roku 1872 przez Karola Miarkę. W tym to Kółku, liczącym 160 członków, rozkwitła Ligoniowa muza. Niejeden jego wiersz opiewa chwile „błogie i rzewne" spędzone wśród braci Polaków w Kółku. Do zarządu tego towarzystwa należeli: prezes, Jan Szeja, jego zastępca, A. Heblik, sekretarz, Łukasz Kłyk, kasjer, Franciszek Wołczyk.

Piątą Polską organizacją królewsko-hucką było Towarzystwo Chrześcijańskich Przemysłowców, powstałe staraniem R. Kotuły, któremu do pomocy stanął zarząd w osobach: Józefa Klichowskiego, Karola Pawliczka, Emila Szewczyka i Karola Okońskiego.

Pod protektoratem Stolarza z Nazaretu już od roku 1891 działa w Łabędach Związek św. Józefa, powołany do życia przez ks. P. Hadamczyka. Liczy 118 członków. Zarząd: ks. proboszcz Ignacy Ledwoch

prezesem, Franciszek Szukała zastępcą prezesa, P. Osmann sekretarzem, J. Gross skarbnikiem.

W Łaziskach Górnych istniał Katolicki Związek Ludowy założony 3 maja 1896 r. Jego założycielem i prezesem był Mikołaj Woźnicki, zastępcą prezesa Mateusz Muszer, sekretarzem Józef Happeta, ławnikami Janko i Józef Jaszczykowie.

W Lipinach sławetny ks. proboszcz Józef Michalski w trosce o dobro duszne hutników z Silesii i górników z Matyldy zakłada aż dwa towarzystwa: Związek Katolickich Robotników (oczywiście pod opieką św. Józefa) oraz Alojzjanów. Związek Robotników liczy 226 członków, a zarządzają nim, wymieniając nazwiska wedle ważności sprawowanych funkcji, następujący Lipiniacy: ksiądz Ronczka, Mueller, Poploc i W. Stobrawa.

U Alojzjanów w zarząd weszli: Pisarek, A. Radomsk; i J. Kokot.

W Michałkowicach Towarzystwo św. Alojzego było nader liczne: 416 członków. Pewnie pysznili się bardzo, gdy tak wielką gromadą maszerowali z pącią do Piekar. Prezesem tych czterech setek — i założycielem — był ks. proboszcz Rother, jego zastępcą Tomasz Wilk, sekretarzem Andrzej Guzy, skarbnikiem Szymon Malordy.

W Opolu wspomniany już redaktor Gazety Opolskiej, Bronisław Koraszewski, podobnie jak w Groszowicach, zakłada Towarzystwo Polsko-Katolickie. 256 Opolan wybrało do zarządu Jana Reimana, Tomasza Baronia, W. Ligudę i W. Kandziorę.

Orzegów ma swój Związek Katolicko-Ludowy liczący 60 obywateli. Założył go ks. kuratus Włóczka. Zarząd stanowili: Jan Świerczeński prezes, I. Podeszwa i A. Smercek, kasjer.

W Piekarach istniały trzy organizacje polskie: Towarzystwo Katolickich Robotników, Towarzystwo Przemysłowców i Towarzystwo św. Alojzego. Dane statystyczne zachowały się tylko po Alojzjanach, których do życia powołał wspomniany już ks. Józef Katryniok. Członków, jak na Piekary, było niewiele, bo tylko 53. Prezesował im Maksymilian Jasionowski, samorodny poeta śląski, w którego spuściźnie literackiej znajduje się niejeden piękny wiersz, a nawet ciekawa, śląska opowieść. Jasionowskiego Piekarzanie dobrze pamiętają, umarł dopiero w zeszłym roku, dożywszy późnej starości. Zastępcą prezesa był Franciszek Habrajski, protokóły skrzętnie gromadził Franciszek Szreter, a kasjerem był Karol Ciszek.

Racibórz miał swoje Towarzystwo Polsko-Górnośląskie od roku 1888, założone przez M. Lewandowskiego. Zarząd stanowili: W. Siara, L. Raczek, K. Trawiński i K. Śmieszek.

Związkowi Katolicko-Polskich Robotników w Radlinie, w pięknej, rybnickiej ziemi, patronowała — zamiast Józefa Barbara święta, orędowniczka górników. Założycielem Związku był ks. proboszcz Józef Reszka, a późniejszym prezesem ks. proboszcz Ring z Jedłownika. Niestrudzonym, energicznym wiceprezesem był przez długie lata Franciszek Kominek, wuj wrocławskiego biskupa. Funkcję skarbnika spełniał jeszcze jeden Kominek, Ignacy, a funkcje sekretarza Józef Kowol.

Natomiast Związek Katolickich Robotników w Radoszowach prócz opieki Barbary, przyjmuje jeszcze patronat Karola Boromeusza. Ks. Miczka powołuje Związek do życia. W zarządzie zasiedli: R. Jureczko, G. Pustek, W. Szczyra i J. Cebula.

W Radzionkowie istniało towarzystwo Katolickich Robotników i Towarzystwo Alojzjanów, założone w 1890 r. przez A. Szymkowiaka. Bliższych danych brak.

W Reptach Starych działają Alojzjanie od roku 1891. Ich założycielem i prezesem jest ks. proboszcz L. Ciupka, jego zastępcą W. Śliwa, sekretarzem J. Mularczyk, kasjerem W. Kosmol.

Towarzystwo Alojzjanów w Rudzle Śląskiej powołuje do życia w maju roku 1890 ks. proboszcz Franciszek Klein, znany już ze swej działalności na terenie Bytomia. Pomiędzy rudzkimi i bytomskimi Alojzjanami następuje ścisła współpraca, Towarzystwa odwiedzają się wzajemnie z pocztami sztandarowymi, wymieniają prelegentów, uraczają się nawzajem amatorskimi teatrami. Po śmierci ks. Kleina prezesem zostaje ks. proboszcz Buchwald. W zarządzie zasiada trzech Franciszków: wiceprezes Franciszek Mrzygłód, sekretarz Franciszek Schlis i skarbnik Franciszek Witkowski.

Druga organizacja polska w Rudzie, to Towarzystwo Chrześcijańskich Przemysłowców założone przez A. Sieronia i Fr. Kaisera, rok 1892. I tutaj prezesem jest ks. proboszcz Buchwald. Towarzystwo liczyło 84 członków. W zarządzie figurowali: A. Sieroń, M. Hoffmann i P. Bek.

W Roździeniu—Szopienicach w latach osiemdziesiątych-dziewięćdziesiątych działało Kasyno Katolickie. (Brak bliższych danych).

Do Towarzystwa Alojzjanów w Rybniku należało 155 członków. Powstało ono w roku 1891 z inicjatywy ks. Franciszka Miczki. Zarząd

stanowili Jan Kłósek, wiceprezes Franciszek Malcherczyk, sekretarz Franciszek Gittner i skarbnik Florian Piecha.

Siemianowice, notowane jako Laurahuta, szczycą się bardzo sprawnie działającym Towarzystwem św. Alojzego o imponującej cyfrze 230 członków. Powołał ich do życia dnia 3 maja 1886 roku ks. Kubot. Późniejszym prezesem był ks. proboszcz Świder, jego zastępcą Piotr Kołodziej podobnie jak Ligoń i Jasionowski gorliwie parający się poezją. Spod jego pióra wyszło kilkanaście wcale udanych, wesołych komedyjek, które zyskały sobie od razu sceny amatorskie, a autorowi przyniosły zasłużoną sławę. Sekretarzem Alojzjanów siemianowickich był P. Śmiłowski, skarbnikiem St. Polok.

W Siołkowicach opolskich istniało Towarzystwo Polsko-Katolickie Oświata, założone przez Em. Pierzkę. W zarządzie pracowali: F. Toma, Michał Koszny, A. Psykała i A. Toma. Entuzjastą pracy w polskiej Oświacie był również Jakub Kania, zmarły niedawno samorodny Poeta Opolszczyzny, który w dowód swych zasług przyjęty został do Związku Literatów.

Proboszcz królewskohucki, ks. Łukaszczyk, zakłada Towarzystwo św. Alojzego w Świętochłowicach, gdzie budowano w tych latach, 1891-93, nowy kościół Piotra-Pawła. Do zarządu powołano na stanowisko prezesa ks. Kiebla, na wiceprzewodniczącego W. Mieczyka, na sekretarza W. Fritza, na skarbnika Józefa Czaję.

W Szombierkach Towarzystwo Alojzjanów zakłada W. Matuszowicz, prezesem jest ks. kuratus Włóczka, sekretarzem P. Gorzelik, skarbnikiem Fr. Pruchnik.

W Zaborzu ks. proboszcz Schoeneich zakłada dwa towarzystwa — Alojzjanów oraz Związek Katolickich Robotników pod opieką św. Barbary. Do Związku tego należy 350 członków, do Alojzjanów tylko 80. W jednym i drugim stanowisko prezesa piastuje ks. Cieślik. Prócz niego u Alojzjanów w zarządzie pracowali: A. Modrzyk, A. Szczepanik i A. Donnerstag. W Związku Robotników zarząd stanowili: K. Piecha. M. Piguła, i P. Ochman.

Prócz tych dwu organizacji istniało jeszcze w Zaborzu Kółko Rolnicze.

Na terenie Zabrza pracowały dwie organizacje: Towarzystwo Alojzjanów założone przez ks. proboszcza Neumana z następującymi osobami w zarządzie: ks. Gniłka, Ignacy Czaplok, J. Szarf i Karol Ploetzner — oraz Związek Katolickich Robotników istniejący od marca 1889 roku, a liczący ponad 300 obywateli. Założyciele Związku: J. Gąsior i K. Wieczorek.

Oni też sprawowali funkcje prezesów, zaś sekretarzem był A. Gotszal, a skarbnikiem Błażej Dłubacz.

Towarzystwo św. Alojzego w Załężu założone zostało przez kilku inteligentnych młodzieńców w maju 1895 roku. Liczyło 70 członków. W zarządzie widzimy jako prezesa Pawła Nieroba, jako wiceprzezesa Stefana Giebla, sekretarzem jest Franciszek Labus, kasjerem. K. Szweda.

I ostatnia miejscowość w naszej statystyce — Zawadzkie na Opolszczyźnie, gdzie ks. proboszcz J. Wajda organizuje Towarzystwo Katolickich Robotników w lipcu 1891 roku. Do towarzystwa wstępuje 172 robotników, do zarządu wybrano: K. Bógdoła, A. Łysika i Ignacego Bralicha.

Autor Książeczki pamiątkowej o bytomskich Alojzjanach ubolewa nad tym, że nie wszystkie polskie towarzystwa na Śląsku przysłały mu bliższe dane o swym istnieniu. Oskarża o tę opieszałość kilka miejscowości, między nimi Głogówek, Marklowice, Mikołów, Nową Wieś i Strzelce, gdzie również istniały Towarzystwa Alojzjanów i Kółka polskie.

Może się to wydać małoważne albo wprost śmieszne, że cytuje się tutaj kilkadziesiąt nazwisk, nazwisk ludzi, którzy niczego nie wymyślili, nie wykonali żadnej wysokiej normy, nie byli racjonalizatorami ani przodownikami. Wprost przeciwnie, czasem byli to emeryci i in walidzi niezdatni już do wydajnej pracy na kopalni i w hucie. A jednak warto i trzeba wspomnieć tych ludzi, bo oni byli najprawdziwszymi pracownikami „kultury i sztuki", choć tylko niezręcznie, bez wprawy protokółowali na posiedzeniach, zapisywali, kto, kiedy i gdzie, i jaką odegrał sztukę amatorską, kto wygłosił referat, kto deklamację, choć tylko sumowali dochody i rozchody organizacji, planowali wycieczki, pącie i poświęcenia sztandarów.

Co za cenna książeczka! Mała, bo formatu modlitewnika, cienka, bo zaledwie 64 strony licząca, a ukazuje nam kawał polskiej i katolickiej kultury na Śląsku, tworzonej rękami naszych dziadków i ojców, rękami od młota, kilofa i pługa.

„Gość Niedzielny", nr 41/1958, s. 7; nr 42/1958, s. 7; nr 43/1958, s. 16; nr 44/1958, s. 7; nr 45/1958, s. 7.

Byliśmy u pierwszego prymasa kardynała Hlonda

Ku jego czci przyjechała w dziesiątą rocznicę śmierci setka Ślązaków jako delegacja tej ziemi, na której stała kołyska Prymasa, by przenieść trumnę prymasowską z tymczasowego pomieszczenia do k aplicy Prymasów Polskich.

Murarze kręcą się jeszcze przy świeżych murach, usuwają resztki rusztowań, sprzątają narzędzia. Przyciąga oczy lśniąca srebrną łuską kopuła kaplicy, przypominająca kaplicę zygmuntowską na Wawelu. Jej szczyt wieńczy herb kardynalski.

Śląska delegacja wchodzi do archikatedry i honorową strażą otacza trumnę, na której czerwienieje biret. Oczy krewnych Prymasa Hlonda z Brzęczkowic i Mysłowic wilgotnieją. Może w tej chwili żywo przypominają sobie dwunastoletnie chłopię z Brzęczkowic, które wyrusza w świat po wiedzę, wyposażone na drogę ładunkiem rzetelnej pobożności przez dobrą matkę?

W warszawskiej katedrze wychodzi do ołtarza dwunastu biskupów. Jest między nimi i śląski biskup, Herbert Bednorz. Ze stall podnosi się śpiew kilkudziesięciu księży. Prócz kapituły warszawskiej jest i gnieźnieńska, poznańska i łowicka. Są i klerycy warszawskiego seminarium duchownego śpiewający pod kierunkiem swego profesora. Uroczyście rozbrzmiewają melodie żałobnej jutrzni w świątyni, której natychmiastową odbudową ze straszliwych ruin zajął się Prymas Hlond. Dzieła nie dokończył, jako ci średniowieczni budowniczowie gotyckich tumów, przekazujący swym następcom zbożny trud. Ale w tej katedrze, a nie gnieźnieńskiej, ani poznańskiej chciał spocząć: „Na razie pochowajcie mnie gdziekolwiek — mówi przed śmiercią — a potem znajdźcie jakiś skromny kącik w katedrze św. Jana. Chciałbym być pochowany w Warszawie dlatego, że jestem pierwszym prymasem, który przyszedł do Warszawy". (Dawniej prymasowie mieli swą stolicę w Gnieźnie).

Do mszy pontyfikalnej wyszedł biskup Warszawy, ks. Choromański. Potem stanął na ambonie biskup Poznania, ks. Baraniak, ten, który był zmarłemu Prymasowi najbliższy, który jako jego kapelan towarzyszył mu do ostatniej chwili życia.

Biskup kaznodzieja przytacza kilkakroć żywy, piękny tekst przemówień Prymasa Hlonda — i zdaje się, jakoby zmarły Kardynał przemawiał do słuchaczy osobiście jako nabożny arcypasterz, jako głęboki myśliciel i wielki społecznik.

Po kazaniu rozpoczęło się castrum doloris[144]. Jest to jakoby pięć konduktów żałobnych. Pięciu biskupów po kolei odprawiało te egzekwie przy trumnie Prymasa: bp Baraniak, bp Kaczmarek z Kielc, bp Świrski z Siedlec, bp Bernacki z Gniezna i bp Choromański. A potem trumna, w której leżał syn śląskiego kolejarza, spoczęła na barkach śląskich górników i wysoko wzniesiona ponad tłumy Warszawiaków płynęła nawą świętojańskiej katedry. Złożono ją w podziemiach nowej kaplicy, której marmurowe wnętrze, czarne i szare, urzeka swym pięknem. Tej kaplicy prymasów polskich patronuje jasnogórska Królowa Polski.

Było już koło południa; rześkie powietrze październikowego dnia owiało wychodzących z katedry.

Biskup Bednorz rozmawia ze swymi byłymi parafianami z Brzezin. Inni księża naradzają się nad godziną odjazdu. Decyzja zapada, za dwie godziny. Można coś przekąsić, coś obejrzeć w nowej Warszawie. Potem się okazało, iż młodsze dziewczęta zwiedzały sklepy, a niewiasty stateczniejsze — kościoły.

JADWIGA KUCIANKA

„Gość Niedzielny", nr 46/1958, s. 6.

JADWIGA KUCIANKA

Wrocław oddaje hołd Odrowążom

Gołębie szurnęły raz i drugi roztrzepotaną, świegotliwą chmurą nad tłumami ludzi. Gołębie dominikańskie zamieszkałe w kopule czesławowej kaplicy. Wystarczyło wznieść oczy do góry, by dojrzeć trójkątny szczyt kościoła, urzekający, wspaniały gotyk, a nad nim i na nim to gruchające bractwo — i zapytać w zdumieniu: Kraków? nie Kraków?

---

144 Castrum doloris [łac. zamek boleści'], jednorazowy uroczysty wystrój katafalku, związany z ceremonią żałobną zmarłych dostojników świeckich i kościelnych.

Świątynia prawie że taka sama jak krakowska Święta Trójca, gołębie podobnie, nawet ten tramwaj ocierający się nieomal o mur kościelny, jak to jest na ulicy Dominikańskiej przy plantach. Tylko że krakowscy dominikanie szczycą się czcigodnymi relikwiami św. Jacka, tu zaś towarzysz Jackowy, brat najmilszy obrał sobie mieszkanie, Czesław błogosławiony. On to sprawuje pieczę nad odrzańskim grodem, nad Wrocławiem.

Wystarczy ucho otworzyć na żywe gadki w tłumie, by spotkać się z historią, tą średniowieczną i współczesną.

— Wszystkie kule ogniste, co Tatarzy miotali, spadały daleko za grodem, bo na wałach stał Czesław i modlił się — poucza czterdziestoletni ojciec swego dziesięciolatka.

— Pani Romańska widziała tę bombę, co leżała metr od kaplicy — opowiada ktoś — niewypał. Nikt nie miał odwagi usunąć jej stamtąd.

— To Romańska tak wcześnie do Wrocławia przyjechała?

— O, Romańska mogłaby opowiadać. Gdy przyszli dominikanie z Krakowa i zaczęli na taczkach gruz wywozić, tak długo suszyła głowę Józkowi, aż jej też takie taczki zmajsterkował i razem z Antosiem, co jest teraz za inżyniera w Pa-Fa-Wagu, pomagała ojcom. A nie tylko ona. Inksze też.

— A co z tą bombą? z tym niewypałem? — naglił ktoś ciekawy.

— Leżała jak pies przy budzie. Błogosławiony Czesław strzegł swej kaplicy do końca. Uprzątnęli ją potem.

Błogosławiony Czesław strzegł twego sanktuarium. Sklepienia kościoła św. Wojciecha legły w gruzach, wnętrze całe spłonęło do szczętu, a w marmurowej kaplicy z alabastrowym sarkofagiem Błogosławionego wszystko pozostało nietknięte.

Tłum przed kościołem pęcznieje. Faluje. Przed główną bramą, na ulicy św. Katarzyny, samochody z trudem przebijają się przez ciasno stłoczonych ludzi, a tramwaj dzwoni rozpaczliwie.

— Tak, teraz to na pewno oni — podniecenie wśród czekających, gremialne wyciąganie szyi w kierunku Tumskiego Ostrowia.

— Nie widzi pani? to już szósty biskup.

— Nie, moja droga, piąty. A ten, co się tu patrzy, to przecież ksiądz kanonik od Marii Magdaleny.

— Żaden kanonik, co mi tu pani będzie opowiadała. Nie poznam się na biskupich „filetach", czy co? O, siódmy wychodzi z tamtego auta. Przecież to, Panienko Najświętsza, nasz ksiądz biskup Baziak. No, popatrzże, moja złota, czy mnie oczy nie mylą?

Wrocławianie często mają okazję witać biskupów z innych diecezji, i to od razu w większej liczbie. Dopiero wiosną tego roku zjechało ich kilku w czasie Tygodnia Katolickiej Kultury Ziem Zachodnich, a teraz, jesienią, przybyli znowu na Uroczystości Zakończenia Roku św. Jacka. W dominikańskim kościele pontyfikował w tych dniach biskup gnieźnieński, ks. Bernacki, biskup opolski, ks. Jop, wrocławski sufragan, bp Wronka, zaś dziś w niedzielę, 9 listopada, stanie przy nowopoświęconym ołtarzu krakowski arcybiskup, ks. Baziak.

Wielki to dzień dla parafii św. Wojciecha u dominikanów. Poświęcenie domu Bożego, który tyle lat smucił i straszył przechodzących okropnymi ruinami. Teraz, pod świeżymi murami, wąską bruzdą w zbitym, kilkutysięcznym tłumie posuwają się biskupi razem z włodarzem wrocławskim, dokonując radosnego obrządku poświęcenia.

— Które to z rzędu poświęcenie kościoła w ciągu wieków? — zadaje retoryczne pytanie historia, która tu, we Wrocławiu jest wszędzie widoma, żywa, natrętna.

Kościół św. Wojciecha istniał już w XI wieku. Prawdopodobnie był z drzewa. Był pierwszym po katedrze kościołem starego Wrocławia. Wytrwał lat kilkadziesiąt, pokąd nie strawił go ogień. Fundatorem drugiego z kolei św. Wojciecha był brat Piotra Włosta. Znamy rok poświęcenia tego kościoła: rok 1112. A potem nadeszły zagony tatarskie. Kościół stanął znowu ruiną. Nie na długo, bo już w roku 1330 nowe gotyckie mury poświęca święty Ślązak z Kamienia, biskup wrocławski, Nanker, ostatni biskup-Polak w tym grodzie.

Strzępiaste, duże kropidło podnosi się godnym ruchem w rękach biskupa — takim samym ruchem, jak przed sześciuset z górą laty na tym samym miejscu. Wielki Apostole, Wojciechu, spraw, by twego domu nie zdmuchnęła żadna więcej burza dziejowa.

Do świętego Apostoła Słowiańszczyzny kieruje też swe podniosłe słowa kaznodzieja. Ambona u dominikanów jest niziutka, tymczasowa. Wierni w kościele widzą tylko połyskującą mitrę i pastorał w ruchu. Ale za to silny, jasny głos biskupa z Kielc, ks. Czesława Kaczmarka, dociera

wszędzie, głosząc chwalbę trzech potężnych mężów: Wojciecha, Jacka i Czesława. Ich zbożny trud ukształtował oblicze naszego polskiego Śląska. Czym byli Piotr i Paweł dla Rzymu, dla zachodniej kultury, tym byli Jacek i Czesław dla ziem wschodnich. Napięta cisza towarzyszy słowom biskupa Czesława, gdy się zwraca do gospodarza wrocławskiej katedry, ks. biskupa Kominka, aby zabiegał o uroczyste mianowanie Czesława Odrowąża patronem nadodrzańskiego grodu.

Definitywne zakończenie świętego Jackowego Roku nastąpiło po południu w katedrze. Co gorliwsi spieszyli do katedry już na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości. U sióstr Notre-Dame na ulicy Marcina w tę niedzielę godziny posiłków i modlitw uległy zmianie, aby tylko wielebne zakonniczki mogły rychło znaleźć miejsce w katedrze. A nie była to wcale taka łatwa sprawa z wynalezieniem dobrego miejsca. Każdy chciał widzieć prezbiterium, w którym znowu można było dojrzeć czerwone piuski, alumnów w wykrochmalonych komżach, a przede wszystkim coś nowego, nie spotykanego — rekwizyty z filharmonii, instrumenty i stojaki z nutami przed pustymi jeszcze krzesłami.

Z chóru zagrzmiało ustami duchownych seminarzystów In hoc Hyacinthi jubilo[145]. Potem z ambony ks. biskup Kominek, jako gospodarz tej starej, czcigodnej katedry, powitał swych braci w biskupstwie i kapłaństwie oraz wszystkich zgromadzonych. Przypomniał, jak to przed rokiem, u grobu wielkiego Odrowąża w Krakowie rozpoczynaliśmy Rok Jackowy, dziś zaś kończymy go u grobu drugiego Odrowąża. Czesława. „Jacek wczoraj, dziś i jutro", to tytuł przemówienia zeszłorocznego. Tytuł przemówienia dzisiejszego pozostanie ten sam, tylko myśli będą nieco inne, bardziej wrocławskie, śląskie.

Od razu wziął słuchaczy żywym przykładem.

O 200 kroków stąd, u Matki Boskiej na Piasku, młodzi uczeni przeprowadzają badania wykopaliskowe. Grzebią, kopią bez końca. Pytałem, czemu to tak długo trwa? i padła odpowiedź nabrzmiała treścią: odkrywamy korzenie polskiej kultury, a one tkwią bardzo głęboko. Trzeba się solidnie natrudzić.

Odtworzenie kultury XIII wieku nie wymaga jednak takiego trudu, takiego grzebania w ziemi. Gdy Jacek chodził po ulicach Wrocławia, stała

---

[145] In hoc Hyacinthi iubilo - początek hymnu z Nieszporów na uroczystość św. Jacka.

już niejedna nasza świątynia: katedra, św. Krzyż, św. Wojciech, Matka Boża. Były to czasy rozkwitu wielkiej kultury, wielkiej pracy. A do tej pracy wprzęgły się wielkie umysły: Jadwiga trzebnicka, Jacek, Czesław. Kulturę, którą szerzyli, symbolizuje hasło klasztorne, ciągle, ciągle aktualne: ora et labora — módl się i pracuj.

Jacek Odrowąż, to postać centralna tych czasów. Niestrudzony wędrowiec pomiędzy Rzymem a Kijowem, pomiędzy Zachodem a Wschodem. Zakłada klasztory, ale w żadnym z nich nie zasiada z pastorałem w ręku jako władzę mający. Żądza wielkiej przygody, żądza Boga, pcha go ciągle naprzód. Zakłada klasztory — co to właściwie znaczy? Klasztory, to były na tamte czasy pałace kultury w najbardziej autentycznym tego słowa znaczeniu. Promieniowały kulturą.

Teraz biskupi kaznodzieja wspomina o swym smutku, a nawet gniewie, który go ogarnął nad lekturą książki, Tragedie Schlesiens, 1945—46. Okładkę tomu zdobią biskupie herby — ale to książka niedobra. Szkaluje nasz naród, pomawia nas o barbarzyństwo. Autor tej książki na 100 stronach opisuje stolicę wrocławską trzynastego wieku — die Blütezeit des Bistums Breslau[146] — lecz o dziwo, ani razu nie wspomina Jacka, Czesława i Nankera.

Jacek Odrowąż niósł kulturę nie z mieczem w ręku, ale z różańcem i — kielnią murarską. Różaniec i kielnia, symbole modlitwy i pracy, symbole naszych ojców i dziadów, symbole prawdziwej kultury.

Gdyby tak Jacek — mówi ksiądz biskup — zbudził się ze swego siedemsetletniego snu i przeszedł ze swym kosturem pielgrzymim w dłoni nasze odzyskane ziemie zachodnie, ucieszyłby się z tego, że jego bracia dominikanie wrócili znowu do Raciborza, Prudnika, Gdańska, Wrocławia. Nie mają wprawdzie tych bogactw, co mieli ongiś, ale ożywia ich ten sam duch apostolski, co przed wiekami. Prowadzi ich przecie jackowe hasło: da mihi animas et caetera tolle[147].

Ziemie Zachodnie zamieszkują wszystkie polskie pokolenia — na wzór dwunastu judzkich pokoleń — lwowskie, wileńskie, warszawskie, krakowskie, śląskie, poznańskie — ale ten stan rzeczy nic by Odrowąża nie

---

[146] Czas rozkwitu diecezji wrocławskiej.
[147] Daj mi duszę i pomóż zdobyć inne.

zdziwił. Wszakci zmierzył swą stopą całą polską ziemię, zna wszystkie jej pokolenia.

Znam was wszystkich — powiedziałby do nas — nic się nie zmieniliście. Pracujecie i modlicie się jako dawniej. Tylko że byliście kmiotkami, a teraz pracujecie w kopalniach Wałbrzycha, w hutach Bielawy i Dzierżoniowa. W istocie pozostaliście tym samym narodem, który głosi chwałę Chrystusa i jego Matki — tu Jacek wzniósłby w górę swe atrybuty: monstrancję i statuę Maryi.

Po przemówieniu ks. biskupa śpiewały chóry z katedry i od św. Marcina. Potem czcigodny ojciec Dominikanin naszkicował postać Jacka jako apostoła nie tylko Polski, ale wszystkich ludów słowiańskich.

Szybko — cicho pozajmowane zostały w prezbiterium krzesła za stojakami z nutami. Lekko brzęczały instrumenty. Przed ołtarzem wyrósł chór Filharmonii Wrocławskiej. Charakterystyczne stuknięcie pałeczki dyrygenta-kompozytora Wiłkomirskiego — i po starej katedrze rozlały się dźwięki Kantaty o św. Jacku.

Chór filharmonii niektóre partie Kantaty deklamował rytmicznie. Solowe partie śpiewali artyści Opery Gdańskiej.

Katedra opróżnia się powoli, bardzo powoli. Jeszcze dużo ludzi klęczy zasłuchanych, zamodlonych. Na dworze mrok. Grupa studentów przechodzi Tumski Most. Pod nim połyskliwa tafla — to zielone oczy Odry, które przed siedmiuset laty urzekły Jacka Odrowąża.

„Gość Niedzielny”, nr 49/1958, s. 5 i 7.

JADWIGA KUCIANKA

Wrocławski opłatek z J. Kasprowiczem

Szli wolno brzegami Starej Odry pogrążeni w rozmowie. Śnieg skrzypiał pod nogami, fioletowy i niebieski w zagłębieniach. W dole wąskim pasem pieniła się prawie czarna rzeka skuta z obydwu stron lodem. Dochodziły stamtąd okrzyki robotników wykuwających przeręble.

Kasprowicz przystanął. Spojrzał w dół ku Odrze.

— Słyszysz? oni mówią po polsku — zwrócił się do swego towarzysza.

Nic dziwnego. Mówiłem ci o tym. Na każdym kroku, tu we Wrocławiu, spotkasz się z językiem polskim — odpowiedział żywo zagadnięty. — Pewnie w śródmieściu wszyscy szwargoczą, w urzędach, sklepach, ale tu na przedmieściach, gdzie mieszkają robotnicy i biedota, panuje nasza mowa.

— Wiesz co, zejdę na chwilę do nich! Poczekaj na mnie, Józek.

— Ależ, Jasiu, nie teraz!

Rostek złapał kolegę za łokieć — Nie bądź w tak gorącej wodzie kąpany. Jeszcze się z nimi dość nagadasz.

— Nie należy marnować żadnej okazji — Kasprowicz zachmurzył się groźnie — tych samych ludzi mogę już nie spotkać, a przecież chodzi o każdego Polaka. Pozwól, tylko chwilę z nimi porozmawiam, pięć minut — uśmiechnął się zniewalająco.

— Pięć minut? chciałeś powiedzieć pięćdziesiąt?! — zakpił lekko Rostek. — Znamy się na tym. Jak zaczniesz mówić, a potem odpowiadać i przekonywać, sam wiesz, Jasiu, jak to długo trwa. Nie gniewaj się, ale na nas naprawdę czas — wyjął zegarek z kieszonki, spojrzał — widzisz, dochodzi piąta. Za godzinę rozpoczynamy.

Kasprowicz nacisnął kapelusz głębiej na czoło i strzepnął śnieg z rękawa.

— No to chodźmy — powiedział chmurnie, jeszcze nie przejednany.

Krążek zachodzącego słońca słał ostatnie czerwone blaski na ośnieżone czuby drzew, na dachy kamienic i wieże kościołów prawie tak licznych, jak w samym Krakowie. Najśmielej bodła niebo włócznia świętokrzyskiej kolegiaty, tuż obok niej bliźniacze wieże katedry i Panny Maryi na Piasku, dalej św. Maciej, Michał i Mikołaj. Pną się też ku niebu gotyckie szczyty świątyń pod wezwaniem polskich apostołów, biskupa Stanisława i Wojciecha, a tam, od Świdnicy, widać kościół Bożego Ciała, w którym siedzieli Kawalerowie maltańscy.

— Gdy patrzę na to miasto najeżone wieżami kościołów na kształt rycerskich kopii starodawnej chorągwi stojącej w rynsztunku — odezwał się Kasprowicz cicho — zda mi się, że słyszę szum skrzydeł polskiej husarii. Przecież tu, na tych nadodrzańskich ziemiach płynęła polska krew najobficiej. Tu, święte ciało naszej ojczyzny szarpała najzjadliwiej, chytrze,

podstępnie, potężna, a zachłanna Germania. Aż zwyciężyło słowiańskie plemię... — student wrocławskiego uniwersytetu, wielokrotny wygnaniec zza kordonu, zwiesił posępnie głowę.

— I ja patrzę często na to miasto, i dumam długo — wyznał Rostek — i przypominają mi się słowa Pisma świętego o tym, że kamienie wołać będą. Przecież tu, we Wrocławiu, kamienie kościołów wołają o polskość tego grodu! Nigdzie, nawet w Krakowie, nie odczułem tego tak silnie. Bywa, że wracam z wykładu i, zamiast myśleć o bliskim egzaminie z anatomii, myślę o historii, o wielkich mężach, którzy kroczyli tu, tymi ulicami nad Starą Odrą. Którzy zakładali tu fundamenta kultury polskiej i katolickiej. Bolesław Chrobry tworzy tutaj biskupstwo, Piastowicze budują zamki, świątynie i klasztory, ot taki Henryk Brodaty i jego świątobliwa małżonka, Jadwiga. Albo działalność polskich dominikanów, Ślązaków Odrowążów. Miał o nich ostatnio ciekawy wykład Olek Skowroński — dodał już bez podniecenia, zwyczajnym głosem — Skowroński, wiesz ten kleryk z Górnego Śląska, trochę poeta, którego ci przedstawiłem.

— Wiem, pamiętam — potwierdził Kasprowicz trochę nieprzytomnie i nagle, łapiąc Rostka za ramię, krzyknął — a ja wierzę, że to miasto będzie znowu polskie. Że Śląsk wróci kiedyś do macierzy. Wiesz, na kim buduję moją wiarę?! wiesz Józek? — pytał gorączkowo — na tamtych w dole, co rąbią lód na rzece! I na tych biedakach z Grabiszyna, z Sępolna i z innych przedmieść Wrocławia, na tych robociarzach i rzemieślnikach, parobkach i woźnicach. Jeszcze niejeden Żelazny Kanclerz połamie na nich zęby!

— A o nas, Jasiu, zapominasz? o przyszłej, polskiej inteligencji? czy nas nie doceniasz? — badał kolegę student medycyny,

— Doceniam. Nasze zadania są wielkie. Jesteśmy ostrogą, co kłuje i bodzie, i do zrywu prowadzi. Ale nas jest mało i bez tego ludowego zaplecza nic nie dokonamy.

Niebo nad nimi pociemniało. Cicho zaczął padać śnieg dużymi płatkami. — Gdzie my właściwie jesteśmy, Józek? — Kasprowicz rozejrzał się dookoła — nie mogąc się jeszcze zorientować w tym dużym mieście.

— O, to kościół dominikański przed nami. Święty Wojciech.

— Czy to w tym kościele jest sarkofag jakiegoś naszego polskiego świętego? — zaciekawił się Kasprowicz.

— Tak, tu właśnie jest ciało bł. Czesława Odrowąża. Chodź, wstąpimy, będziesz miał znowu jedną historyczną pamiątkę na swym

koncie. — Rostek już otwierał bramę, strzepywał śnieg z kapelusza — to tam, na prawo, w tej kaplicy za kratą. — Uklęknął, ale zaraz sięgnął do kieszonki po zegarek — za piętnaście szósta... trzeba będzie wziąć sanki, żeby się nie spóźnić — pomyślał machinalnie.

Kasprowicz rozglądał się ciekawie w przyćmionym, barokowym wnętrzu kaplicy. Wkoło czarny, połyskliwy marmur, a nad ołtarzem, jakby zawieszony w powietrzu, biały, alabastrowy sarkofag.

— Jasiu, idziemy? — Rostek już się niecierpliwił.

— Idziemy. — Kasprowicz wyszedł z kaplicy i rzucił okiem po dużym, gotyckim kościele. Raptem coś przykuło jego uwagę, zrobił kilka szybkich kroków w kierunku bocznego ołtarza, przed którym płonęły małe lampki. — Szopka, stajenka — szepnął wzruszony. Odwrócił się do towarzysza, pokiwał nań ręką. — Chodź, Józek, popatrz. Tak samo było u nas na Kujawach.

Rostek przypatrzył się zdziwiony Kasprowiczowi. Promieniał cały, uśmiechał się jak dziecko.

— Ogromnie mi się to zawsze podobało — mówił poeta cicho — te szopki, jasełka, kolędy i te wczesne msze o zimowym brzasku, roraty.

Rostek stał milczący, onieśmielony. I jego powoli ogarniało wzruszenie. Wspomnienia Wielkopolanina i w nim budziły przeżycia z lat młodych. Wieś podraciborska, niebogata, i chałupa włościańska, niebogata, a w niej pobożni rodzice, co chcieli go widzieć księdzem. Ciasne Wojnowice, z polską jeszcze szkołą, tak sercu miłą, z rektorem Franciszkiem, deklamującym poetycznym głosem Hymn Jana z Czarnolasu: Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary...

Zegar na kościele zaczął wydzwaniać godzinę. Rostek poderwał się na równe nogi. Wyszli na ulicę.

— Hej tam, jesteście wolni? tak? no to kłusem na Uniwersytecką.

Wsiedli migiem. Konie ruszyły z kopyta. Płozy sunęły z poświstem po wysrebrzonej drodze. Dzwoneczki dzwoniły. Znad Odry podnosił się styczniowy księżyc.

— Co za romantyczna podróż — Kasprowicz odetchnął głęboko mroźnym powietrzem, ale zaraz potem postawił kołnierz i opatulił się szczelnie kusym, studenckim paltocikiem. Śnieg prószył ostro. — A makówki będą? — spytał rzeczowo.

— Będą. Już ci mówiłem. — roześmiał się Rostek.

— No to dobrze. —

W kilka minut stanęli przed dużą, miejską kamienicą.

— To tu, jesteśmy. — Rostek płacił dorożkarzowi za przyspieszony kurs, a Kasprowicz otrzepywał jego i siebie z grudek śniegu.

Wbiegli na schody. W korytarzu powitały ich rozochocone głosy.

— Przyszli. Są, już tylko na was czekamy.

W dużej salce zgromadziło się kilkunastu mężczyzn. Przeważała młodzież uniwersytecka, studenci teologii, medycyny, filozofii i lit eratury. Było też kilka starszych panów dyskutujących z jakimś kanonikiem.

Na długim, poskładanym stole bieliły się obrusy i opłatki przewiązane czerwoną wstążką. Pachniało piernikami i jedliną. W rogu pokoju stała przystrojona jodełka, wyrosła w trzebnickich lasach.

— Olek, urządziłeś wszystko pierwszorzędnie — szepnął Rostek z uznaniem do kolegi w sutannie — niech tam kto jeszcze świeczki zaświeci.

Potem wyszedł młodym sprężystym krokiem na środek sali i ukłonił się szarmancko.

— Jako prezes naszego Towarzystwa Górnośląskiego witam serdecznie wszystkich miłych gości. Czcigodnego księdza kanonika, szanownych panów profesorów oraz naszego drogiego mecenasa, doktora Chłapowskiego. I was witam, koledzy z uniwersyteckiej ławy. — Rostek ukłonił się ponownie i eleganckim ruchem obciągnął marynarkę.

— Starym, polskim zwyczajem obchodzimy dziś opłatek. Zeszliśmy się, by pokolędować, by posłuchać pięknych wierszy, by odetchnąć atmosferą świąteczną, radosną. Poproszę kolegę Skowrona o poprowadzenie dzisiejszego wieczoru kolędowego.

Młody teolog podniósł się zza stołu i podszedł do fortepianu. Po kilku głośnych, burzliwych pasażach popłynęła spod jego palców melodia kolędy: Wśród nocnej ciszy. Studenci zaczęli śpiewać, profesorowie im wtórowali.

Skowronowi płonęły chude policzki alumna. Grał z coraz większym zapałem zapatrzony w płomyki świec na choince. Aż raptem urwał. Przy fortepianie stał już wyczekująco Wiktor Loos. Zadeklamował przejętym głosem, piękną polszczyzną — on, student pruskiego uniwersytetu, piątego kursu — kolędę Karpińskiego: Bóg się rodzi, moc truchleje.

Posypały się oklaski.

Otwarły się drzwi z korytarza. Janitorowa razem ze stróżką wniosły olbrzymią donicę. Zapachniało słodko makówkami.

Rostek mrugnął porozumiewawczo na Kasprowicza.

— A co, nie mówiłem? — rzucił wesoło.

Zrobił się gwar, przesuwano krzesła, dzwoniono łyżkami i talerzami.

Makówki znikały szybko. Pierniki też. Na choince zapalono nowe świeczki.

— Mili goście, drodzy koledzy — Rostek podniósł się z krzesła, otrzepał kruszyny piernika z rękawa — co prawda nie przewidzieliśmy na dzisiaj żadnego referatu, ale chciałem powiedzieć kilka słów o naszym towarzystwie i, za pozwoleniem, o jego aktualnym prezesie. Otóż krótko: cel Towarzystwa Górnośląskiego we Wrocławiu — budzić ducha narodowego wśród młodzieży, uczyć dziejów ojczystych i utrzymywać ducha religijnego wśród członków. A to, co powiem o prezesie — Rostek wskazał z ukłonem na siebie — nie jest nowe dla moich kolegów, ale może być pouczające dla naszych gości. Jestem Górnoślązak spod Raciborza. Syn włościanina. Dom i szkoła ludowa nauczyły mnie mowy ojczystej. W gimnazjum w Raciborzu zrobiono ze mnie Niemca. Uległem bez oporu pruskiemu szałowi narodowemu, który ogarnął całą Germanię po zwycięskiej wojnie z Francją w roku 1870 — 1871. Uważałem się za Niemca, powoli zapominałem mowy ojczystej. — Rostek mówi sucho, streszczająco, jakby nie o sobie mówił. A jednak jego słowa czynią wrażenie. — Uświadomienie narodowe przyszło na mnie nagle. Byłem przed maturą, gdy wpadła mi do ręki książka Józefa Chociszewskiego, „Piśmiennictwo Polskie". Uczyniła na mnie głębokie wrażenie. Dowiedziałem się, że naród polski posiada wielkich pisarzy, bohaterskich mężów i wspaniałą kulturę. Poznałem, że niemieccy profesorowie kłamali nazywając naród polski Sklavenvolk[148] i Barbaren[149]. Pojechałem w największej tajemnicy do Krakowa. Zaczerpnąłem pełną piersią u tej krynicy ducha polskiego. Wzruszony chodziłem po Wawelu, po Skałce, po krakowskim rynku, gdzie przysięgał Kościuszko. Byłem i na jego kopcu, całowałem świętą, polską ziemię i wiozłem ją w chusteczce na Górny Śląsk. A studia na niemieckim uniwersytecie rozpocząłem już jako

---

[148] Ludzie bezwolni.

[149] Barbarzyńcy.

Polak, uświadomiony, wierny, niezłomny. Na świadectwie maturycznym z polskiego miałem „gut”[150], zaś z niemieckiego — „befriedigend”[151].

Skończył. Nie było żadnych oklasków. Panowała cisza przerywana skwierczeniem świec na choince. Aleksander Skowroński usiadł znowu do fortepianu. Po pokoju rozległy się delikatne dźwięki mazurków Chopina.

— A może teraz, po spowiedzi Górnoślązaka — odezwał się Rostek — usłyszymy coś z konfesji Wielkopolanina? — naszego poety? — Rostek spoglądał prosząco i wyczekująco na Kasprowicza.

— Prosimy, prosimy — zachęcał dr Chłapowski.

— Może nie dzisiaj, może kiedy indziej — wykręcał się Kasprowicz — może na dzisiaj to wystarczy — zbliżył się do Rostka ze złożoną kartką — na twoje ręce, Józku — powiedział jakby schrypnięty.

Rostek rozłożył papier. Przeczytał jednym tchem. Rozluźnił węzeł krawatu pod brodą.

— Koledzy, to bardzo piękne, to piękny wiersz, dziękujemy ci bardzo, Jasiu — plątał się wzruszony pan prezes. — Wiktor, może nam wszystkim przeczytasz.

Wiktor Loos wziął kartkę do ręki. Deklamował.

Śród niewoli, śród ucisku,
Trzeba nam wiary w zbawienie,
A w słonecznym spłynie błysku
I rozwieje nocne cienie
Wolność złota.
Tak, wiary nam trzeba i pracy,
By rozegnać czarne chmury.
Więc dalej, bracia Ślązacy,
Podnieście głowy do góry.
Niech ochota
We Waszym sercu na wieki zagości,
A i Wy ujrzycie poranek wolności[152].

---

150 Dobry.

151 Zadowalający.

152 Jan Kasprowicz złożył ten wiersz na ręce Józefa Rostka w roku 1882 we Wrocławiu.

Gdy Wiktor podniósł oczy znad kartki, zobaczył że wszyscy stoją. Dr Chłapowski przecierał energicznie szkła okularów, ksiądz kanonik manipulował dyskretnie chusteczką koło zaczerwienionych oczu. Olek Skowroński, Józek Gregor, Romek Rychły, Chrząszcz, Pendziałek i Tylla byli wyraźnie wzruszeni i podnieceni.

Nagle ktoś z obecnych zaintonował silnym głosem mazurek Dąbrowskiego. Skowron podskoczył do fortepianu. Potężnie rozlała się po sali jego melodia.

Janitorowa ze stróżką stanęły w rozwartych drzwiach. Spuściły ręce wzdłuż płóciennych, nakrochmalonych fartuchów i przyłączyły się do śpiewu.

„Gość Niedzielny", nr 51-52/1958, s. 8 – 9 i 11.

❋ ❋ ❋

Rok 1959

Nieprzerwana rozmowa o świętości

Rozmowę tę prowadzi ze swymi czytelnikami już przez ćwierć wieku literatka niemiecka Ida Friederike Görres. A. Skowronek pisze o niej w swym artykule: „Katoliczka i pastor rozmawiają o świętości" (Gość Niedz. 1959 nr 9).

Ida Fryderyka Görres

I. F. Görres nie jest w Polsce tak znana jak inna katolicka pisarka niemiecka, Gertruda Le Fort. A warto zaznajomić się bliżej z tą, która ma w swym literackim dorobku ponad dwadzieścia książek o tematyce katolickiej. Niektóre z nich wyszły już dawno poza granice Niemiec i doczekały się tłumaczenia na język angielski, francuski, holenderski i węgierski.

Urodziła się w Czechach, w Ronsperg, w roku 1901, z domu Coudenhove. Wiele lat spędza w Dreźnie i w Lipsku. W bawarskim Fryburgu kończy sławną Soziale Frauenschule,

potem studiuje historię powszechną i historię Kościoła w Wiedniu. W roku 1935 wychodzi za mąż. Mieszka stale, od dwudziestu lat w Stuttgarcie, pisze, wygłasza referaty, dyskutuje, nie zna spoczynku, choć trapi ją od bardzo dawna bolesna choroba ograniczająca swobodę ruchów.

Po pierwszej wojnie światowej, jako dwudziestolatka, rozpoczyna swą prężną, kierowniczą działalność wśród młodzieży katolickiej. Należy również do czołówki, która prowadzi ożywczą. intelektualną organizację, Quicborn. Organizacja ta, jak faktyczne żywe źródło, niestrudzenie zdobywała młode Niemcy dla katolicyzmu. Nawet w trudnych latach panowania hitlerowskiego nacjonalizmu.

Ale przede wszystkim I. F. Görres jest pisarką. Na polu literackim wypowiedziała się najprawdziwiej i najgłębiej. Utarło się powiedzenie, że ten lub ów pisarz jest autorem jednej książki, choć napisał ich wiele. Chodzi wtedy o to, że we wszystkich swych książkach powracał on zawsze do tego samego tematu, ciągle na nowo omawiał jeden, pasjonujący go problem. Problemem, który powraca w każdej nowej pozycji I. F. Görres, jest świętość. I to nie tylko świętość świętych, kanonizowanych bohaterów, ale przede wszystkim świętość każdego z ludzi, świętość, do której każdy z nas jest powołany.

Rok 1931 przynosi pierwszą książkę trzydziestoletniej wówczas autorki. Jest nią — Rozmowa o świętości (Gespräch über die Heiligkeit), rozmowa o świętym życiu Elżbiety z Turyngii. Tytuł tego pierwszego dzieła jest brzemienny, nieodwracalny, rzutuje na całą dalszą twórczość Görres. Weszła w zaczarowany jakby krąg świętości i już się z niego nie wydostanie. Wszystko, co odtąd opuści jej warsztat, będzie stało pod znakiem „świętości".

Herbert Górski[153], krytyk i znawca spuścizny literackiej I. F. Görres, wyróżnia w jej twórczości kilka nurtów. Ale właściwie to można mówić o dwóch, jasnych i dominujących. Pierwszy z nich dotyczy rozważań o świętości: jaka jest jej istota, forma, sens. Ten nurt charakteryzuje filozoficzne dociekanie i zadumanie.

Natomiast nurt drugi działa w konkrecie. Autorka przedstawia życie wielkich ludzi bożych, życie, które całkowicie upływa na realizacji świętości.

---

[153] Herbert Górski: Gespräch über die Heiligkeit.

„Rozmowa o świętości” należy do nurtu pierwszego. Piękna to książka, głęboko przemyślana, a napisana z prawdziwą pasją. „Nic tak nie oburza, jak pewność niektórych ludzi, którzy brak temperamentu, a więc stęchłą mierność, uważają za doskonałość chrześcijańską — pisze autorka. Oni to często wydają okrzyk zgorszenia: ‚jak tak można’! pod adresem tych, co szczerze zmagają się ze złem. Owi ‚porządni’ ludzie uważają się za lepszych i czystszych tylko z tego powodu, że nie znają walki, bo jej w ogóle nie podejmują, bo brak im inicjatywy, odwagi, bo zadowalają się miernością, miast potykać się o coraz większą doskonałość własnej osobowości. Oni też uchylają się od ciężaru odpowiedzialności za postępowanie drugich, naszych bliźnich, aby przypadkiem nie utracić błogiego spokoju i zadowolenia. Niedobry to spokój. Kiedy nareszcie zrozumieją wszyscy, że właśnie niepokój jest atrybutem świętości? że szukanie i błądzenie, a nie pewność i zadufanie, charakteryzują prawdziwie pobożnego człowieka”.

Taki jest tok rozważań autorki, która trzeźwo i twardo atakuje wszystko, co syte i zadowolone, zmurszałe i zakurzone, stęchłe i skostniałe — atakuje ową dziwaczną, nieświeżą, przedwczorajszą pobożność. Świętość musi być współczesna, nieodgrzewana, nie może się wlec w ogonie, musi trzymać rękę na pulsie, musi tętnić życiem dzisiejszym, a nie wczorajszym.

Pasja autorki przy lekturze tej książki udziela się czytelnikowi. Ale nie tylko przy tej książce, przy następnych też, które co roku opuszczają warsztat literacki I. F. Görres.

Von der Last Gottes[154] — jak sam tytuł wskazuje, mowa tu o cierpieniu, które przecież organicznie łączy się z świętością. Sens cierpienia, temat wiecznie aktualny, wiecznie dyskutowany. Zapominamy, że miarą cierpienia jest nadmiar łaski bożej — mówi autorka. (Alle Last Gottes der Gnaden Überlast ist).

Z pojęciem świętości łączy się również miłosierdzie względem drugich, o którym mowa w następnej książce: Des Andern Last[155]. Naszym pierwszorzędnym obowiązkiem i naszym najszlachetniejszym zadaniem jest miłość bliźniego realizowana przez uczynki miłosierdzia, przez Caritas.

---

[154] O brzemieniu Boga.
[155] Jeden drugiego brzemiona noście.

Wszystkie te głębokie myśli, które stają się naszą własnością, wypowiada autorka w formie dialogu lub listu. Formę dialogu przekłada nad wszystkie inne, uważając, że rozmowa jest ciągłym wznoszeniem się, że od jednej odpowiedzi ku drugiej temat nabiera głębi i jasności, że przez sprzeciw nabiera rumieńców życia, a przez powtórzenie ostrości i klarowności.

W drugim nurcie twórczości Görres spotykamy się z ucieleśnioną świętością. Spotykamy tu św. Joannę d'Arc, Radegundis z Turyngii, Teresę z Lisieux i siedemnastowieczną Angielkę, Marię Ward.

Autorka indagowana o to, dlaczego poświęciła się wyłącznie studiowaniu i opisywaniu życia świętych, odpowiada: „Święty jest dla mnie najważniejszym człowiekiem. Nie tylko w Kościele — ale — najważniejszym człowiekiem na świecie! Bo on daje definitywną odpowiedź na trudne pytanie: co to jest człowiek? Święty stanowi ostateczną relację: człowiek jest sanctificabilis — jest powołany ku świętości.

Pierwszym zamiarem autorki jest ukazanie świętych w pełni człowieczeństwa. Ani na jotę nie odstąpi przy nich od tego, co ludzkie, nie popełni gwałtu na pełnej osobowości przez oddzielenie świętości od człowieczeństwa. Bo świętość, mówi Görres, to pełnia człowieczeństwa, a święty — to prawdziwy człowiek, stworzony na wzór i podobieństwo boże.

Już sam tytuł książki, której bohaterem jest Teresa od Dzieciątka Jezus, mówi nam o intencjach pisarki: Das verborgene Antlitz[156]. Zakryte, a raczej sfałszowane jest oblicze i życie małej karmelitanki, życie które trzeba odtworzyć na nowo, z wszystkimi załamaniami i cieniami, aby plastyczniej wystąpiła prawda. Prawdziwe oblicze Świętej ukryte zostało pod kilkoma warstwami welonów, spreparowanych przez „nabożną" bojaźń i mierność. Trzeba zedrzeć bezlitośnie zasłonę ckliwości i sentymentalności z życia Teresy, bo tylko wtedy stanie się nam ona naprawdę przykładem i wzorem pobożności w czasach współczesnych.

Najciekawszą bodaj książką — może dlatego, że sama postać bohaterki jest urzekająca — jest powieść o założycielce Instytutu Błogosławionej Maryj Dziewicy, angielskich zakonnic. Das grosse Spiel der

---

[156] Ukryta twarz.

Maria Ward[157] — to naprawdę wielka gra, gra o wielką stawkę, gra, której partnerami są, z jednej strony książęta Kościoła wraz z papieżem, a z drugiej, niezłomna, wytrwała i święta kobieta. Maria Ward żyje trzysta lat temu, lecz jej sposób myślenia, jej poczynania, cały jej program życiowy jest na wskroś dwudziestowieczny. Wyprzedziła swą epoką o trzy wieki, zwiastując typ nowej, odważnej i samodzielnej kobiety.

Papież Pius XII w swej pracy o apostolacie świeckim nazwał Marię Ward „niezrównaną kobietą, darowaną Kościołowi w godzinach ciemności i przemocy przez katolicką Anglię". Niezrównana w odwadze, cierpliwości i cierpieniu, które pod postacią ciężkiej choroby towarzyszy jej przez całe prawie życie. Po trzykroć pielgrzymuje do Rzymu prosząc papieża o uznanie swego zgromadzenia — miast uznania, doczekuje się rozwiązania zakonu i potępienia całej swej działalności. Dopiero w pół wieku po jej śmierci papież zatwierdza regułę angielskich zakonnic. Pionierska praca szlachcianki angielskiej nie była daremna.

Lektura książki o Marii Ward podnosi człowieka na duchu, że nie wszystko stracone, jeżeli spotyka nas ustawiczna klęska, a cel, ku któremu dążymy, miast się przybliżać, oddala się i zaciemnia. Staje się zrozumiałym paradoks, że klęska przybliża zwycięstwo. I zrozumialsze staje się dla nas życie świętych tak najeżone klęskami, dzięki książkom I. F. Görres. Dążę do tego — wyznaje autorka — by święci przestali być dla nas wyłącznie pięknie brzmiącymi imionami i promiennymi, ale tajemniczymi gwiazdami na firmamencie. W świętych musimy dojrzeć naszych najbliższych krewnych, musimy z nimi współżyć jako z naszymi starszymi braćmi i siostrami. Boć kiedyś złączymy się z nimi faktycznie, jeżeli w pełni zrealizujemy swój program życiowy, program świętości.

JADWIGA KUCIANKA

„Gość Niedzielny", nr 17/1959, s. 5.

[157] Wielka gra Marii Ward.

Złote ręce

Mówi się o niej, że ma dobre ręce. Że ma pracowite, niestrudzone, cudowne ręce. Mówi się, że ma złote ręce.

Tak, to jest poetycka przenośnia, ale bardzo trafna, bardzo wnikliwie charakteryzująca te ręce jedyne — ręce matki.

Złoto, kruszec najszlachetniejszy, najcenniejszy, najpiękniejszy. A ręce matki, czyż nie są najszlachetniejsze, najcenniejsze i najpiękniejsze? To nie znaczy wcale, że są one wypielęgnowane, delikatne, białe — nie, wprost przeciwnie. Te złote ręce są z reguły szorstkie i zaczerwienione, o palcach zgrubiałych i popękanych. Wiadomo, dlaczego: drzewo, które się łupie na podpałkę, nie wydelikaca rąk, żrące mydliny też nie, ani obieranie ziemniaków i jarzyn, ani mycie podłóg, naczyń, okien i sto różnych innych nie nazwanych zajęć, które od świtu do nocy realizują złote ręce.

Czynią wprost cuda w swej niestrudzonej zapobiegliwości, są naprawdę bezcenne i niezastąpione. Ale czy się o tym pamięta? tak na codzień, w nawale własnych trosk, między biurem, szkołą a domem? nie, wcale się nie pamięta, a w najlepszym wypadku — bardzo rzadko, i bardzo rzadko dając wyraz tej pamięci.

Aż pewnego dnia następuje olśnienie, bolesne i tragiczne: tylko jej ręce złote mogły temu wszystkiemu podołać, żadne inne! Ani moje, ani siostry, ani brata, ani nawet ojca ręce nie mogą uchwycić wszystkich tych wątków, które się splatają wokół zwyczajnego, harmonijnego dnia w rodzinie.

A tymczasem złote ręce unieruchomiła choroba, nagła, nieprzewidziana. Zrazu wszystko jeszcze jakoś leci, może prawem i siłą tajemną, nadaną wszystkiemu przez złote ręce, ale raptem krach na całego. Nie wiadomo, od czego zacząć, a co skończyć. Jedna robota goni drugą, ręce opadają — moje ręce, ręce ojca — bo daleko naszym dłoniom do złota jej matczynych rąk.

I po raz nie wiem który pada to samo pytanie: ale jak ona temu wszystkiemu dała radę? jak to robiła? to, co wydawało się przedtem tak proste, samo przez się zrozumiałe, teraz urasta do problemu! Czy kiedykolwiek przedtem wpadło nam do głowy, że czynienie zakupów może kosztować tyle trudu i wysiłku? przecież po niej nie można było tego poznać — a w każdym razie, nie dała nam tego odczuć. Złote ręce taszczyły siatkę

z bochenkiem chleba, wybierały twarde główki kapusty, czekały cierpliwie swej kolejki u rzeźnika, potem jeszcze w mleczarni pakowały coś do napęczniałej siatki — złote ręce dwoiły się i troiły i nigdy niczego nie zapomniały. Zawsze jeszcze to i tamto załatwiały po drodze. Niby to takie proste, zwyczajne, to „załatw po drodze" — a tymczasem to prawdziwa łamigłówka! Bo tak: do szewca po drodze, po drodze do pralni i na pocztę, po drodze także oddać żelazko do naprawy i odebrać lekarstwo w aptece. Jak najskładniej i najekonomiczniej przebrnąć przez tę zdradliwą szaradę pt. „Po drodze"?

Jej złote ręce znały ten kunszt — i sto innych jeszcze. Boć przecie królestwo jej dłoni było rozległe, a może nawet nieobeszłe. Tak, to znowu poetyckie słowo, ale oparte na konkrecie. Oto on, pierwszy lepszy: pod oknem w pokoju maszyna do s zycia, stara „Singerka" po babc e, pamiętająca czasy pruskich Wilhelmów. Spod tego głośno terkoczącego grata złote ręce wyczarowywały wprost z niczego ładne fartuszki, bluzki i sukienki, firanki, serwetki i wesołe, kolorowe zasłonki. Trzeba podkreślić, że naprawdę wprost z niczego, bo przed wojną było bezrobocie, a potem była wojna, a jeszcze potem pieniądze rozchodziły się na pilniejsze potrzeby. A jednak maszyna pod oknem niespożycie a skutecznie terkotała — i to nie tylko na nasze, ściśle rodzinne zamówienie — trzeba to sprawiedliwie zaznaczyć — ale jeszcze zaopatrywała i dalszą familię, począwszy od spodenek dla trzyletniego kuzynka Andrzeja a skończywszy na flanelowej spódnicy dla ciotki Marty.

Nierzadko szmatki, szpilki i nici ustępowały miejsca książce. Rodziewiczówna luzowała Orzeszkową, Gąsiorowski Kraszewskiego, zaś Trylogia sienkiewiczowska była bezkonkurencyjna. Nieobce jej były powieści Szczuckiej, Dobraczyńskiego i Huenermanna. Złote ręce w szczelnie zapchanym dniu umiały znaleźć lukę na intelektualną rozrywkę.

A oto inny rejon jej nieobeszłego królestwa: ogródek, zwyczajny działkowy ogródek pod dymiącą hałdą przy szybie św. Elżbiety. Właśnie pod dymiącą, która jej tyle trosk sprawiała, a jednak nie zniechęciła do pracy na grządkach. Złote ręce siały równiutko pod sznurek, podlewały, okopywały, plewiły, aż gliniasta, ciężka gleba, zniewolona ich wytrwałym czarem, dawała obfite plony w postaci krągłej sałaty, pękatych strąków groszku i jasnoczerwonej, słodkiej marchwi. Ale największą jej dumą były kwiaty — kto zdoła przytoczyć ich wszystkie pachnące nazwy! — które

przez okrągły rok pyszniły się na grządkach i w domu w wazonach, a nieraz stroiły i Pańskie ołtarze.

Pańskie ołtarze... trzeba się chwilę zastanowić — czy nie tu tkwi sedno sprawy, czy nie tu leży rozwiązanie łamigłówki: jak ona sama jedna temu wszystkiemu, co się składa na zwyczajny, harmonijny dzień w rodzinie, zaradziła?

Tak, właśnie tu, nie gdzie indziej słyszę jasną odpowiedź. Tu, przed Pańskim ołtarzem złote ręce utrwalały swą szlachetność i cudowność. Tu uczyły się cierpliwości, wytrwałości, pracowitości. Tu zdobyły kunszt wiecznej młodości, wbrew przekroczonej pięćdziesiątce, młodości, ujawniającej się radosnym umiłowaniem pracy.

Rytm jej pracy dyktował rytm roku liturgicznego: roratnie msze, kolędowanie przed żłóbkiem, droga krzyżowa i gorzkie żale, wiosenne dni krzyżowe, majowe nabożeństwa i czerwcowe; a potem rozpoczynał się okres pąci, pielgrzymek i trwał aż po październikowe, różańcowe zmierzchy. A kto zliczy wszystkie nowenny, odmawiane nie tylko w różańcowy miesiąc?

Paciorkom różańca złote ręce pozostały najwierniejsze. Nawet straszna choroba nie położyła kresu tej wiernej miłości. Zdrowaśki i ojczenasze nieustannie neutralizują ciężar Pańskiego krzyża. Tak właśnie chrześcijańska pokora i mądrość nazywać każe chorobę. Długą, przewlekłą. Ona spętała ręce bezwładem i niemocą. Ona odebrała im energię, harmonię i siłę. Ale tylko zewnętrznie, powierzchownie, tylko w sensie fizycznym. Bo w istocie, rozumując głęboko po bożemu, te unieruchomione ręce właśnie teraz działają najenergiczniej, najskuteczniej, najszlachetniej wprost cudownie, mocą swego cierpienia. Mocą niepojętą wprawdzie na zwyczajny, ludzki rozum, ale z całą pewnością istniejącą i działającą.

O skutkach działalności tego cierpienia trudno powiedzieć tak od razu trafnie i jasno — robi to za nas bezbłędnie niebieski sejsmograf — ale o tym jestem przekonana, że właśnie to cierpienie unieruchomionych złotych rąk kieruje zdalnie naszym rodzinnym, pracowitym dniem, że ono cementuje

nadszarpnięte życie domu, przekazując mu w sposób zastępczy blask i ciepło matczynych rąk. Malarze wszystkich krajów i czasów odsłaniali nieśmiertelne piękno matczynych rąk. Opiewali je poeci we wszystkich językach. I ja śpiewam pochwałę złotych rąk śląskiej matki.

JADWIGA

„Gość Niedzielny", nr 48/1959, s. 5.

J. KUCIANKA

Diamentowy jubileusz

Śląska katedra Chrystusa Króla jest jedną z najmłodszych wśród katedr polskich. Ani jej się równać z takimi świątyniami, jak wawelska, w której koronowano królów polskich, jak wrocławska, którą opromienia blask świętości Jacka, Czesława i Jadwigi, nie równać jej się z katedrą warszawską, w której spoczywa pierwszy prymas polski, kardynał Hlond, a cóż dopiero wspominać świątynię najczcigodniejszą, świętowojciechową w Gnieźnie.

A jednak nasza młoda katedra w dziwny sposób awansowała. Spłynął na nią blask nie złotych koron królewskich i świętych aureoli, ale blask diamentowych godów kapłańskich najstarszego biskupa w Polsce, Ks. Stanisława Adamskiego.

Z pokłonem czci i szacunku dla Najstarszego w rodzinie kapłanów śląskich pospieszyli do katedry Chrystusa Króla w dniu św. Stanisława jego bracia w kapłaństwie i synowie i córki w duszpasterskim włodarzeniu. Przyszli podziwiać czysty i szlachetny diament jego kapłaństwa.

Najpierwszym wśród gości na diamentowych godach biskupa Adamskiego był Prymas, kardynał Wyszyński. W naszej górnośląskiej katedrze stanął on po raz pierwszy. Po raz pierwszy oglądali go górnicy z Koniakowa, górnicy z Chorzowa i matki z Mikołowa.

Książęta Kościoła przybyli z całej Polski, z wszystkich tych sławnych tumów, o których mówi historia.

Te liczne mitry biskupie stanowiły iście godną i drogocenną oprawę diamentu Jubilata. Ale nie tylko one. W prezbiterium głowa przy głowie, ramię przy ramieniu siedzieli i stali księża diecezji katowickiej, młodzi wikarzy i doświadczeni proboszczowie, duszpasterze małych wiejskich ośrodków i wielkomiejskich parafii, wszyscy naznaczeni niezatartym znamieniem kapłaństwa. A większość z nich to znamię przyjęła przez ręce biskupa Adamskiego. Przez trzydzieści prawie lat te ręce namaszczały sakramentalnie alumnów śląskiego seminarium.

A w k ościele i wokół kościoła wierni, mniej lub więcej żarliwi w wypełnianiu nakazów Chrystusa, mniej lub więcej posłuszni swoim duszpasterzom siedzącym tam, w prezbiterium, ale w tej chwili zjednoczeni tą samą chwalebną intencją oddania hołdu Włodarzowi w d iamentowej aureoli.

Oto żywa sceneria diamentowych godów: biskupi, księża i wierni, oto widzowie, a równocześnie i aktorzy wielkiego jubileuszu, aktorzy, bo wspólna im rola intensywnego współuczestnictwa w Ofierze pochwalnej i dziękczynnej za długie rządy biskupa Stanisława w diecezji katowickiej.

Już go wnoszą do katedry, starca czcigodnego i szlachetnego. Witają go krótkie, zwięzłe przemówienia matek, ojców i dzieci w bramie kościoła. Witają go tysiące serdecznych spojrzeń w twarzach napiętych ciekawością.

Ludzie stoją, gdzie się da i nie da. Nawet wiszą na podobieństwo barokowych aniołów, jak ci na przykład, co powdrapywali się na konfesjonały. Już tu i ówdzie trzeszczy złowieszczo jakaś deska, jakieś krzesło nadmiernie obciążone. Już i tak pękła w zakrystii niewąska szybka i zleciał klosz z lampy rozhuśtanej drzewcem chorągwi.

Ludzie przybyli do k atedry bardzo wcześnie, choć uroczystości jubileuszowe rozpoczynały się o godz. 18.00. Kobiety z Mysłowic, które o drugiej były w rynku, uwiedzione pokusą katowickich wystaw poszły je oglądać. Srodze potem tego żałowały, bo brakło dla nich miejsc siedzących. Byli i tacy mędrcy, co przynieśli ze sobą składane krzesełka, a dwóch obrotnych młodzieniaszków taskało do katedry wcale ładny kamyk, który miał posłużyć za podium. (Tylko czy go potem odnieśli tam, gdzie trzeba? to był przecie budulec, boć nasza katedra ciągle jeszcze w budowie).

Ale wejdźmy z powrotem do katedry. Jubilat już na tronie po ewangelicznej stronie ołtarza; srebrna głowa odcina się ostro od czerwieni tła. Biskupi sadowią się w stallach — czy aby nie braknie miejsc?

Biskup Bednorz sprawuje obowiązki gospodarza domu, wita wszystkich diamentowych weselników po kolei, wedle stanu i urzędu. Potem rozpoczyna się homagium, stara ceremonia składania pokłonu z ucałowaniem biskupiego pierścienia. Homagium składają: kapituła, dziekani jako przedstawiciele całego diecezjalnego kleru i kanclerz kurii.

Arcybiskup E. Baziak z Krakowa rozpoczyna Mszę pontyfikalną. Służą mu śląscy alumni.

Na ambonie stoi Prymas Polski. Szare masy przestają falować, zastygają w słuchaniu i patrzeniu. Po raz pierwszy z tej królachrystusowej ambony padają słowa tak znamienne dla Prymasa: „Najmilsze Dzieci Boże". Cóż, że te Dzieci noszą wąsy, łysinę lub mają zmarszczki i siwe włosy. Dla jego prymasowskiego serca są to wszystko Boże Dzieci, którym on ojcem i pasterzem najodpowiedzialniejszym. Rozpoczyna w słowach ciepłych, jak się zwykło określać ten styl przemawiania. „Przybyliśmy z braterską usługą do waszego biskupa, i do was, do miasta pracy i ludzi pracy, aby dać wyraz głębokiej czci dla waszej miłości, dla waszych cnót, których przykład dajecie całej Polsce".

Potem prosto, jasno a j akoś dziwnie urzekająco jął opowiadać o kapłaństwie Chrystusowym, o Szymonie Piotrze, który widział Chrystusa-czlowieka na codzień, który widział jego ręce umęczone pracą, który widział, jak Jezus zgłodniały jadł podpłomyki, opowiadał o Piotrze-Opoce, który wbrew tej całej zwyczajności i codzienności wyznał to, czego mu ani ciało, ni krew nie objawiły — wyznał Jezusa: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. I zwracając się do biskupa Jubilata mianował go kaznodzieja Piotrem-Stanisławem, prawdziwym synem Piotra-Opoki, któremu również ani krew, ani ciało nie objawiły tajemnicy ołtarza, lecz łaska Chrystusa Pana podniosła prawdziwego kapłana z posadzki katedry poznańskiej.

Potem słuchacze mocą prymasowskiego słowa przeżywali tę niesłychaną i niepojętą dziwność Kościoła, który nie jest postawiony na to, by tworzyć ziemskie życie, a jednak silnie nas wiąże z tą ziemią, nakazując pracę, nie ganiąc sprawiedliwie zdobytego dobrobytu, chroniąc mądrymi prawami doczesne bytowanie człowieka — równocześnie ciągle na nowo przypominając, że nie samym chlebem żyje człowiek.

I ta jeszcze bardziej niepojęta dziwność zamknięta w nakazie miłowania bliźniego, którym jest każdy człowiek, bez względu na swe przekonania. Będziesz miłował bliźniego swego, tego, co stoi koło ciebie,

choć go nie znasz, tego, co ma lepsze ubranie niż ty, tego, co wskoczył przed tobą do tramwaju, któremu się lepiej w życiu powodzi — tego będziesz miłował.

Dziwność Kościoła, to nakaz szukania nieba wśród wszechogarniającej doczesności, to nakaz praktykowania sprawiedliwości wśród niesprawiedliwości, to nakaz poszanowania prawa wśród bezprawia, to nakaz przestrzegania porządku, przede wszystkim zaś dziwnością Kościoła jest jednoznaczne przykazanie miłości bliźniego.

Mijały minuty i kwadranse, a wśród ciasno stłoczonych ludzi panowało milczenie, zasłuchanie i przeżywanie.

Oto znowu kaznodzieja powraca myślą do Jubilata, wskazując na dziwność w jego życiu. Bo czy to naprawdę nie dziwne, że do ludzi pracy i do miasta pracy przyszedł jako arcypasterz ten, który doskonale wiedział, co znaczy praca i jej owoce?

Mówi się, że Kościół nie jest wrażliwy na potrzeby ludu — ks. biskup Adamski jest żywym przykładem tego, że Kościół dba również o doczesność.

Zresztą trudno wyliczyć wszystkie prace, które ożywiały myśl, serce i dłonie biskupa Adamskiego, oświadczył Prymas. I zaraz potem wyznał, że pamięta naszego biskupa z kursów społecznych i że zawsze zadziwiał go sumiennością i wrażliwością na sprawy tej ziemi.

Na zakończenie swego jubileuszowego kazania przypomniał Prymas postać pierwszego Prymasa Polski, syna ziemi śląskiej, ks. kardynała Hlonda. Myśli o nim nieraz, myśli o tym, że dała go Polsce ta ziemia, którą usiłowano oderwać od ojczyzny, i w zdarzeniu tym widzi odpowiedź i wydźwięk tęsknoty ziemi śląskiej do Polski.

Od tronu celebransa rozbrzmiewa początek Ofiarowania — od kościoła z entuzjazmem śpiewany hymn o Matce Piekarskiej, Opiekunce śląskiego ludu. Drżą zawieszone na filarach herby biskupów polskich i ten najgłówniejszy, wysoko pod stropem Katedry, herb biskupa Stanisława w połączeniu z herbem miasta Katowic i herbem Odrowążów.

Na śpiew prefacyjny powstają biskupi w stallach.

Po Mszy św. przemawia biskup Jubilat, jak zawsze mocno, pewnie, stanowczo. Aż dziw bierze, skąd w tym czcigodnym starcu taka potęga słowa. Wyraża swą wielką radość, że widzi tylu braci kapłanów, dziękuje Prymasowi za przybycie i za kaznodziejski trud.

Na końcu dziękuje „ukochanemu śląskiemu ludowi”, nam, szarym, bezimiennym tłumom wiernych, którym przewodzi ponad ćwierć wieku. Z prośbą o prymasowskie błogosławieństwo dla wszystkich zwraca się do kardynała. Pochyla się morze głów jak pod podmuchem potężnego wichru. Choć nikt nie klęka, bo nie ma gdzie, wszyscy z prawdziwym przejęciem przyjmują to potrójne błogosławieństwo ojca Kościoła w Polsce. I z jeszcze większym przejęciem śpiewają Te Deum, dziękując dobremu Bogu, że pozwolił biskupowi Adamskiemu dożyć tak niecodziennego jubileuszu.

Ostatnie śpiewne akcenty diamentowych godów to „My chcemy Boga” i „Boże coś Polskę”. Biskupi i kapłani w procesyjnym pochodzie opuszczają katedrę. Wierni usiłują uczynić to sarno, ale trwa to znacznie dłużej. Zegarki wskazują już godzinę dziewiątą wieczorem, a w katedrze jeszcze ludno. Miejsca w prezbiterium opuszczone przez księży obsiadły zaraz modłą pątniczą utrudzone trzygodzinnym staniem kobiety, podziwiając z bliska wspaniałość tronu Jubilata. Dziesiątki z nich uklękły wokół ołtarzowych stopni przygotowując się na przyjęcie eucharystycznego Pana w intencji naszego Biskupa. Może niejedna z nich modli się o łaskę dożycia godów najostatniejszych, żelaznych? Może Pan Bóg nie będzie głuchy na te prośby? Ale nie nam wglądać w niebieskie księgi.

„Gość Niedzielny”, nr 49/1959, s. 5.

❋ ❋ ❋

Rok 1960

Pokłon Abirona – syna Rechaba z Kany

Przez dziury szałasu migotały gwiazdy. Wiatr, który z nagła wczorajszej nocy przyleciał zza gór, zerwał w kilku miejscach liche poszycie. Abiron wpatrywał się teraz w czarne i tajemnicze oczy nocy roziskrzone blaskiem grudniowych gwiazd. Sen go się nie imał. Tuż obok chrapał głośno i pomrukiwał przez sen stary i ślepy Samael. Ongiś, w młodości, był jednym z najzamożniejszych gazdów betlejemskich. Lecz pewnego dnia przyszła niemoc okrutna. Bielmo zasnuło jedno oko, potem drugie, ślepy bogacz

rychło stał się nędzarzem. Z licznego stada bydła pozostała mu mała trzódka owiec, których strzeże Abiron, syn Rechaba z Kany. Z wielkiego folwarku w Betlejem ostał się ten tu lichy, wiatrem podszyty szałas pasterski.

— Bogaty i mądry gazda, Samael z Betlejem, jest pasterzem w górach... ślepotą i biedą nawiedził go Jehowa... — szeptali betlejemczycy ze zgrozą.

Szeptali, póki nie zapomnieli. A zapomnieli rychło. Bo dość biedy swojej, własnej, ma każdy, biedy, co i w jasny dzień nie opuszcza człeka, i nocą sen z powiek przepędza.

Abiron westchnął głośno. Troska nieustępliwa kamieniem ciężkim gniotła mu serce. Troska spędzała sen z powiek. A nad nim tak radośnie migotały gwiazdy, radośnie, swawolnie zaszczekał gdzieś pies na hali, radosne były i niefrasobliwe rozmowy pasterzy czuwających niedaleko.

— Rzekłem mu tedy, wy jesteście plemię służalcze, plemię kramarzy i poganiaczy osłów — Abiron rozpoznaje skrzekliwy głos Rubena — osłów i wielbłądów, a my, pasterze z gór, my jesteśmy narodem wolnym i cesarskie rozporządzenia nic nas nie obchodzą!

— Dobrześ powiedział, dobrze, Ruben!

— Tak, niech wiedzą, że my nie jesteśmy jako oni, groszoroby, dusigrosze i pasibrzuchy!

— Co nas obchodzą jakieś dekrety i spisy ludności.

— Nie znamy cesarza rzymskiego ani żadnego króla, jesteśmy wolni jako ptacy niebiescy!

Te głośne i gorące pokrzyki przerwał czyjś spokojny, rozważny głos. Abiron natężył ucha; tak, to głos Ozeasza. Ozeasz jest wśród nich najstarszy, starszy od Samaela, ale nie ślepy; silny jako libijski bawół, a mądry jak król Salomon. Ozeasz wstawił się za nim, Abironem, gdy przed laty przywędrował do tej odległej judzkiej ziemi, hen znad tyberiadzkiego morza. Ruben — pamięta to dobrze — mówił wtedy:

— Cóż nam przyjdzie z tego młokosa, syna kupca z Kany? leże nasze twarde a chleb ciemny. Niech lepiej idzie do Betlejem i otworzy kramik z owczym serem i figami. Nigdy z kupca nie zrobisz pasterza! — wołał zgryźliwie.

Tak samo jak Ruben myślał i Helon i Eliab i inni, ale Ozeasz nakazał im posłuch.

— Abiron, syn Rechaba z Kany zostanie między nami tak długo, jak zechce.

I Abiron został w górach. Od tego dnia minęły trzy lata, trzy długie lata. Ruben z początku dokuczał mu kramikiem, kpił z niego, że chudy, że słaby, niejeden raz pytał ciekawie, czemu opuścił rodzinną Kanę i uszedł w świat.

— Ukradłeś wielbłąda? A może zabiłeś tuczonego wołu? — drwił niemiłosiernie. Ale z czasem i on polubił cichego i zamkniętego w sobie chłopca.

Abiron przewrócił się na bok, podciągnął nogi pod brodę i nakrył plecy skórą. Ziąb brał coraz dotkliwszy, a sen nie nadchodził. Myśli wędrowały do dalekiego ojczystego kraju, który opuścił przed laty w tę grudniową, gwiazdami rozmigotaną noc.

— Bracie drogi, nie odchodź od nas — prosiła Leja płaczliwie — niedobrze ci będzie samemu w świecie...

— Niegorzej niż tu, wierz mi i nie lamentuj tak bardzo. Wrychle zapomnisz. Masz twoje dzieci, męża masz, trosk ci nie zabraknie.

Żegnali go na progu domostwa, Leja płakała żałośnie jak nad grobem ojca. Leja była mu matką, bo matki rodzonej nie pamiętał wcale.

Długo wędrował brzegami Jordanu, spotykał obcych ludzi, obce twarze, a przed oczyma trwała tylko jedna i ta sama twarz dziewczęca, przed którą uciekał, a którą i nienawidził, i miłował. Piękna Noemi z Kany wzgardziła sercem i ręką Abironka, przenosząc nad to bogactwo, stroje i manele przygodnych zalotników.

— Stała się jako inne jawnogrzesznicą — szeptali w Kanie. I Abiron uciekał przed tymi szeptami, uciekał przed niewinną i szlachetną wprzódy twarzą, którą kaził grzech.

Raptem ocknął się. Podniósł głowę, nadsłuchiwał. Czuwający pasterze mówili o czymś w wielkim podnieceniu, słychać było tupot nóg, krzątaninę i gorączkowe nawoływania.

— Coś się przytrafiło — myśli Abiron i potykając się o leżącego Samaela wyskakuje z szałasu.

— Hej, a co tam? co się stało? gdzie tak wszyscy pędzą? — pyta zdumiony.

— Do Betlejem! Spiesz się, Abironku, Mesjasza powitać! — zawołał Helon radośnie, pakując w sakwę serki i chleba bochen.

— Mesjasza? — dziwi się Abiron i wytrzeszcza oczy na szykujących się do drogi pasterzy. — Mesjasza? skąd o tym wiecie.

— Anioł mówił! Był tu, gdy spałeś.

— Ja wcale nie spałem... ale anioła nie widziałem i nic nie słyszałem. Może wam się przyśniło?

— Tyś spał, a nam, czuwającym, miało się coś przyśnić?! Widzicie go! — rozeźlił się Helon — Zapytaj zresztą Ozeasza albo Rubena, oni mówili z Aniołem i dowiedzieli się wszystkiego, I śpiesz się, bo się spóźnisz. Nie widzisz, jaka łuna goreje nad Betlejem?

Abiron obejrzał się. Teraz dopiero zauważył czerwone i złote, jako o świcie, niebo.

— Przecie dopiero północ minęła — szepnął, z lękiem patrząc na jasno świecące gwiazdy. — I słońce nie może przecie wzejść w tamtej stronie, nad Betlejem, gdzie co wieczora zapada... — zdumiewał się w cichości.

— Ozeasz! Ruben! gdzie jesteście? — Abiron podskoczył do drugiego, trzeciego szałasu, ale wszystkie były już puste. Nawet psy opuściły trzody i pogoniły za pasterzami. Tylko przy dogasającym ognisku ktoś się jeszcze krzątał. — Eliab, to ty. Czy już wszyscy poszli?

— Poszli. Pewnie. A co ty tu jeszcze robisz? Ja zawróciłem, by zabrać skór kilka; Małemu będzie chłodno w żłobie.

— A ja o niczym nie wiem... nic nie słyszałem... — Abiron powtarzał te słowa monotonnie, w jakimś zapamiętaniu.

— Co masz wiedzieć? Nie mówili ci. Mesjasz się urodził, idziemy Go witać. Leży w stajni, we żłobie. Ozeasz prowadzi, on zna drogę. Anioł mu powiedział. Spiesz się a nie marudź. — Eliab uporał się ze skórami, narzucił je sobie na plecy i prostując się słuchał chwilę, zdumiony i radosny — Słyszysz, jak Anieli śpiewają? Słyszysz? — i nie zwlekając dłużej pobiegł szybko ścieżką po zboczu, w dolinę, nad którą płonęło czerwone niebo.

Abiron słuchał. Przez cichą, gwiezdną noc płynęła muzyka. Cudowna, nieziemska. Płynęła z gór, prosto z gorejącego nieba.

— Miły Boże — ocknął się Abiron — bo się jeszcze spóźnię i nie zdążę powitać Mesjasza. — Porwał czyjąś leżącą na ziemi gunię[158], narzucił ją sobie na ramiona, wskoczył do pierwszego z brzegu szałasu i zdjął

---

[158] Gunia – męskie odzienie wierzchnie górali.

z haka szałamaje[159]. — Zagram Mesjaszowi nasze pieśniczki — pomyślał radośnie i popędził w ślady Eliaba.

Na zakręcie stanął raptownie.

— Samael został w szałasie — przypomniał sobie — nie trafi sam do groty Narodzenia! Muszę po niego zawrócić. — Obejrzał się za siebie. Od hali, na której stały pasterskie szałasy, dzielił go już szmat drogi. — Jeżeli teraz zawrócę, stracę znowu kawał czasu i spóźnię się. A choćbym nawet zabrał Samaela, to ze ślepcem nie dojdę rychlej niż przed świtaniem. I tak spóźnimy się oba... ee, co tam, stary śpi, dowie się o wszystkim dopiero z rana — pocieszył się i szybko ruszył przed siebie.

Nagle znowu przystanął. Wydało mu się, że ktoś za nim woła. Obejrzał się, nadstawił uszu.

— Tak, na pewno, ktoś mnie woła — szepnął — ale to nie może być Samael? jego słaby, starczy głos nie dobiegnie tak daleko... kto mnie woła? — namyślał się chwilę, potem spojrzał z żalem przed siebie, na migocące w dolinie światełka Betlejemu — spóźnię się, ale wrócę po Samaela, nie może być inaczej — zadecydował żałośnie i szybko zawrócił w góry. Szałamaje zadzwoniły leciutko.

W zajeździe Elizeusza, na przedmieściu Betlejemu, panował ruch i rwetes przez całą noc. Nowi przybysze ciągle napływali, a we wszystkich już izbach leżeli pokotem umęczeni podróżni, których dekret cesarza Augusta wyrwał z rodzinnych domów, znad morza Tyberiadzkiego, z Gerazy, z gór Hebronu, i rzucił w uciążliwą i długą wędrówkę.

Jeszcze było ciemno na dworze, gdy jedna z leżących w izbie kobiet podniosła się i przechodząc ostrożnie ponad śpiącymi wyszła na podwórze. Przy studni stały już dwie dziewki służebne ze stągwiami i czerpały wodę. Kobieta poprosiła o czerpak, chlusnęła sobie wodą w twarz i wytarła się rańtuchem[160].

— Gdzie jest teraz wasz gospodarz — zwróciła się do dziewcząt — czy jeszcze śpi?

---

159 Szałamaja – dawny instrument dęty drewniany z grupy aerofonów stroikowych, ze stroikiem podwójnym; podobny do oboju.

160 Rańtuch – kobiece nakrycie głowy. Występowało w formie sporych rozmiarów chusty, najczęściej wełnianej.

— O nie! — zawołała jedna z nich. — Wstał przed nami i już pogania nas do roboty! A wy skąd? Też do spisu?

— Tak, do spisu — rzekła krótko podróżna, nieskora do gawędy. — Powiedzcie, gdzie gospodarz.

— A, tam, w izbie — odparła urażona dziewka i odwróciła się plecami.

— Chodźcie, zaprowadzę was do niego — odezwała się druga służebna i wziąwszy stągiew na ramiona poszła wolno ku stajniom.

— Słuchaj — podróżna dotknęła lekko ramienia młodej dziewczyny — powiedz mi, czy wasz gospodarz nie potrzebuje kogoś do pomocy... Choćby tylko na kilka dni... macie tylu gości, mogłabym wam pomóc... — mówiła nieśmiało i bezradnie.

— Myślę, że was nie przyjmie — ucięła dziewczyna krótko, patrząc w bladą twarz nieznajomej — jesteście zmizerowana jak po ciężkiej niemocy, i... macie dziecko... widziałam was wczoraj z tym małym, ślicznym chłopczykiem — dodała ciepło. — A Elizeusz nie przyjmuje służebnych z dziećmi... — dokończyła cicho.

Nieznajoma podróżna spuściła głowę. Spod lichej, postrzępionej chusty wysunęło się lśniące pasmo jasnych włosów.

— Nie martwcie się — pomogę wam — służebna postawiła stągiew na stopniu i wzięła kobietę za rękę. — Chodźcie, pokażę wam drogę do innej gospody. Tam zapytajcie o Rechaba, syna Jonatana, on wam pomoże, to człowiek miłosierny.

Podróżna podziękowała i zawróciła do izby. Wzięła śpiące dziecko na ręce, nakryła je chustką i poszła w kierunku wskazanym przez służebną. Niebo na wschodzie różowiało. Świt zaglądał w okienka betlejemskich domów.

Nagle na zakręcie drogi ukazało się kilku biegnących i żywo gestykulujących ludzi. Kobieta poznała po guniach i skórach zwisających z ramion, że to pasterze z gór. Usunęła się na bok, by zrobić miejsce biegnącym. Ale ci zatrzymali się przed nią i otoczyli ją kołem.

— Czego chcecie, puśćcie mnie! — zawołała trwożnie tuląc dziecko do siebie.

— Nie bój się, niewiasto! Mesjasz przyszedł na świat!

— Idź prosto przed siebie a dojdziesz do stajenki i zobaczysz Dzieciątko.

— Owinięte jest w pieluszki i położone w żłobie! — wołali jeden przez drugiego radośnie podnieceni.

— Mesjasz, mówicie, przyszedł na świat? — spoglądała chwilę zdumiona i nierozumiejąca na ich rozjaśnione twarze, a potem i jej oczy zapłonęły szczęściem. Zrozumiała, sercem uciśnionych pojęła, że Mesjasz Zbawiciel długo oczekiwany zstąpił na ziemię, by zbawić ludzi, biednych, udręczonych ludzi. — Idę, już idę — krzyknęła jasnym, dźwięcznym głosem — idę Mu się pokłonić, idę Mu usłużyć.

W jednej chwili zapomniała o wszystkich swoich troskach i cierpieniach. Zapomniała o swym nędznym, shańbionym życiu, o wiecznej, gorzkiej wędrówce za chlebem.

— Mesjasz przyszedł na świat — myślała radośnie i tuliła chłopca w ramionach — Mesjasz przyszedł, nareszcie! Skończy się ludzka niedola, hańba, przekleństwo...

Biegła szybko po nierównej, polnej drodze, choć jej śpiące dziecko ciążyło w ramionach. Już z daleka dojrzała otwarte wrota stajenki i żłób kamienny, przy którym stał wół i osioł.

Weszła zadyszana do środka groty, przecisnęła się między bydlątkami i pochyliła się nisko nad leżącym w żłobie dzieckiem.

— Śpi... — doleciał ją czyjś szept. Podniosła oczy, rozejrzała się w mroku stajni. Dopiero teraz dostrzegła klęczącą u żłobu młodziutką kobietę i stojącego za nią mężczyznę.

— Śpi — przytaknęła — zmęczone nieboże... Mesjasz... Zbawiciel świata, o którym mówili prorocy — szeptała radośnie, wpatrzona w śpiące w żłobie Dziecię — Spotkałam pasterzy, pokazali mi drogę — tłumaczyła Pannie Maryi — i przyszłam Mu się pokłonić, przyszłam Mu posłużyć.

Maryja skinęła głową i uśmiechnęła się do kobiety. Potem szepnęła coś do Józefa. Mężczyzna odszedł w głąb stajni, przyniósł stamtąd wiązkę słomy, kożuch barani i przygotował pod ścianą wygodny barłóg.

— Złóżcie wasze dziecko — odezwał się do nieznajomej — cięży wam.

Kobieta podziękowała, położyła chłopca i nakryła ciepło. Potem osunęła się na kolana u żłobu przyciskając czoło do jego kamiennej krawędzi.

— Synu Boży, Zbawicielu, Dzieciątko — szeptała gorąco — przyjm moje służby. Nędzna jestem, grzechem zhańbiona, przez wszystkich wzgardzona... ulituj się nade mną. Zbawicielu świata, daj pociechę

i przebaczenie. Serce moje i mojego syneczka niosę Ci w darze, a nic ponad to nie posiadam.

Maryja patrzyła miłosiernym okiem na klęczącą kobietę i prosiła razem z nią Nowonarodzonego za słabymi udręczonymi ludźmi.

Nagle znowu szmer jakiś powstał u wrót stajenki. Maryja podniosła oczy ku wchodzącym. W progu stali dwaj pasterze, starzec ślepy prowadzony przez młodego juhasa, z którego ramion zwisały szałamaje.

— Podejdźcie bliżej — zachęca Maryja onieśmielonych — oto Dzieciątko śpi.

Abiron podprowadził Samaela aż do żłobu. Starzec uklęknął nieporadnie i wyciągnął swą ślepą twarz ku Dzieciątku. Zmierzwiona, siwa broda trzęsła się z przejęcia. Niewidzące oczy lśniły wilgocią. Serce zabiło serdecznym zwierzeniem.

— Co z tego, że byłem kiedyś bogaczem — Syneczku Boży — najmożniejszym i najdufniejszym gazdą betlejemskim, a teraz jestem największym nędzarzem... Co z tego, że kiedyś stad moich strzegło piętnastu najemników, a teraz jestem jednym z nich, tym najlichszym... Co z tego, że jestem ślepcem, jeżeli dożyłem przyjścia Zbawiciela świata i mogę Mu złożyć pokłon — głośne, radosne westchnienie podnosi starczą, zapadłą pierś pasterza — i dlatego dziękuję Ci, Mesjaszu, że choć zabrałeś mi światłość oczu moich, dozwoliłeś mi teraz oglądać światłość niebieską Twego przyjścia... mnie, nędzarzowi i ślepcowi... — Sękata, chuda ręka szuka żłobu, a potem gładzi delikatnie szorstki kamień.

Abiron ukląkł tuż obok starca. Złożył brzęczące lekko szałamaje na ziemi i wpatrzył się zdumiony, jasnym spojrzeniem w śpiące niemowlę.

— Takiś biedny, maleńki, takiś opuszczony — dziwił się — a Synem Najwyższego jesteś? chłodu i głodu zaznasz, może i ból przeniknie Twe serce, jako i nasze, ludzkie przenika. — Spojrzał na Samaela, który roztrzęsioną dłonią gładził żłób, a potem dostrzegł głowę kobiety wspartą nieruchomo o przeciwną krawędź skalnej kołyski Mesjasza. Wystrzępiona chusta osunęła się na ramiona.

Pod ścianą stajni zaszeleściła słoma. Spod skór wyjrzała kędzierzawa główka. Chłopak patrzył wokoło okrągłymi oczyma dziecka. Szukał twarzy matki.

Nieznajoma uniosła powoli głowę. Rozmodlone, nie widzące jeszcze oczy spoczęły na twarzach pasterzy.

— Noemi! — głośny, nieopanowany krzyk wyrwał się z ust Abirona.

Kobieta zadrżała i skuliła się cała w jakiejś trwodze i nagłym wstydzie. Głos pasterza rozbrzmiewał w jej uchu wspomnieniem pięknego dzieciństwa, wspomnieniem pięknej, dobrej miłości, od której uciekła w ciemności, niepokój, upodlenie. W grzech. Przymknęła oczy i trwała w bezruchu, zda się, martwa.

— Noemi — tym razem był to szept, niepewny, lękliwy — Noemi, tyżeś to, ty naprawdę? ty sama?

Kobieta otwarła oczy. Dojrzał w nich bezmiar cierpienia i miłość, wielką, niepojętą.

— Nie, nie, Abironie, nie jestem sama — mówiła zwolna, potrząsając głową. — Tam, widzisz, widzisz, Abironku? — Wskazała oczyma ku ścianie stajenki, skąd wyciągało ku niej ręce rozbudzone chłopię.

Przez twarz pasterza przebiegi krótki skurcz. Wargi zadrżały niewypowiedzianym słowem strasznej skargi. Pochylił głowę — i nagle ujrzał wpatrzone w siebie, w głąb swego serca, oczy Boga złożonego na sianie. Oczy te były nieodgadnione, głębokie, mądre. Biła z nich siła tajemnicza i moc. Abiron czuł, jak światło tych oczu przenika go uśmierzając ból, gasząc nienawiść, budząc nową miłość w zastygłym sercu. Zatonął w tych boskich oczach cały, bez kresu miary, jak człek, co zewsząd wodą zieloną otoczony idzie na dno jeziora. I wtedy wszystko zrozumiał. Szept radosny, dławiący wzruszeniem wypłynął na jego usta.

— Wiem już, Zbawicielu, wiem... już rozumiem, czego ode mnie chcesz. Tak, myślałem, że przyjdę za późno, a przyszedłem w samą porę, tak, jak Ty chciałeś, jak Ty postanowiłoś. Tak, rozumiem... i dziękuję Ci za to, że nie przyszedłem wcześniej z wszystkimi pasterzami, że się spóźniłem... — przeniósł wzrok z Bożej Dzieciny na Noemi, potem na jej syna i znowu spojrzał w oczy Zbawiciela — pewno, że starczy chleba na troje, i sera starczy, i miodu garnuszek...

— Dziecię już nie śpi — odezwała się Maryja ogarniając miłosnym spojrzeniem gromadkę biednych, udręczonych ludzi klęczących u żłóbka.

Na placach i ulicach Betlejemu rozpoczynał się codzienny, zwyczajnych ruch. Kupcy otwierali kramiki, służebne nosiły wodę we stągwiach, dzieci i koty wychodziły na przyzby mrużąc oczy ku słońcu. W drzwiach stajni Elizeusza ryczał osioł swój poranny hymn.

JADWIGA KUCIANKA

„Gość Niedzielny", nr 2/1960, s. 4 – 5.

J. KUCIANKA

Stuletni a nowy

O kościele św. Piusa w Rudzie Śl.

Nie, to nie błąd drukarski w tytule. To naprawdę stuletni a nowy kościół. O tym wiedzą w Rudzie najlepiej.

Dotąd nie mieli z tym kłopotu. Gdy mówili o starym kościele, wiadomo było, że chodzi o kościół jezuitów. Gdy była mowa o nowym kościele, był nim św. Józef. A teraz, od niedawna nastąpiło pomieszanie pojęć. Teraz, gdy rudzianie mówią o tym trzecim kościele, używają określenia stary, potem się poprawiają: nowy, w końcu sumują jednym tchem „starynowy".

Ale większość mówi po prostu: u Piusa; „u Piusa X jest Msza św. wieczorna". I jedynie to określenie jest jasne, niedwuznaczne i najwłaściwsze.

Może trochę historii o tym pierwszym kościele na Rudzie i wtedy wyjaśni się określenie: stary kościół. Właściwie tak, stary, nawet bardzo stary wśród okolicznych kościołów, bo liczący sobie równych sto lat.

Wybudowano go w roku 1860. W Lipinach, Chropaczowie, Orzegowie nie było wtedy jeszcze domów Bożych. Ale wybudowano go — jak potwierdzają starzy rudzianie — przede wszystkim z myślą o wiernych, aby nie musieli pielgrzymować na Mszę niedzielną aż do Biskupic. Zakłady huty „Berta" znajdowały się wówczas tuż za kościołem.

Kościół poświęcono stolarzowi z Nazaretu św. Józefowi. Wśród jego murów gromadziła się często brać alojzjańska, bardzo ruchliwa na terenie Rudy, szczególnie za patronatu księdza Franciszka Kleina.

Gdy po roku 1900 wzniesiono wspaniałą świątynię romańską, oddaną również pod opiekę św. Józefa, świetność kościoła zaczęła powoli zanikać.

Świadczy o tym dobitnie i to, że zaczęto go po prostu nazywać kaplicą, niesłusznie i niesprawiedliwie.

W latach późniejszych służył młodzieży gimnazjalnej do jej szkolnych nabożeństw.

Lecz oto nastąpił renesans Józefa I. Osłabionym murom stulatka wstrzyknięto świeży zastrzyk cementu, spięto je mocno stalowymi klamrami i naprawiono dach. Potem zabrano się do wnętrza. Cała parafia była zmobilizowana. Na apel z ambony znoszono marmurowe blaty, puszki olejnych farb, deski i kawałki dykty. Prym w robotach wiódł artysta Wiktor Ostrzołek, urzędując na drabinie, albo też zagrzebany wśród stert rulonów-projektów.

Ambona w kościele św. Piusa X w Rudzie Śl.

I w ten sposób wśród starych józefowych murów rodził się nowy kościół z ofiarnej pracy całej parafii, kościół św. Piusa X.

Bo któż to widział, by w tej samej miejscowości były dwa kościoły św. Józefa, a w całej diecezji nie było ani jednego kościoła pod wezwaniem eucharystycznego papieża?

Rozpoczął On swe rządy na Rudzie w dniu swego święta, 3 września 1959 roku. Wtedy na marmurową, katakumbową bryłę ołtarza ufundowanego przez pierwszokomunijne dzieci, zstąpił po raz pierwszy Pan Jezus, a spod złoto-czarnego ramienia krzyża na ambonie padły pierwsze kaznodziejskie słowa. I po raz pierwszy także zapłonęła lampka na ołtarzu św. Barbary, wykutym w węglu, a ufundowanym oczywiście przez rudzkich parafian.

Ale te rządy Piusa X zaczęte na jesieni były, jeśli rzec prawdę, nieoficjalne. Prawdziwej mocy prawnej nabrały dopiero z dniem 16 lutego 1960 roku, z dniem, w którym święty Papież osobiście zawitał do domu bożego nazwanego jego imieniem. Dotąd jego wizerunek widniał tylko w kolorowym witrażu. Teraz cząsteczka jego świętego ciała zamknięta w pięknym relikwiarzu świadczy o jego faktycznej obecności.

Piękny relikwiarz ma kształt krzyża. Ksiądz biskup Adamski trzyma go we wzniesionej ręce, jakby chciał wszystkim pokazać, z czym, a może,

z kim dziś przybywa do r udzkiej parafii. W imieniu parafii witają go najmłodsi, Danusia, Anielka i mały Bernard w czerwonym pióropuszu górnika. Nie deklamują w rymach stereotypowych, pobożnych banałów, lecz mówią krótko i dobitnie, z czego się cieszą i co przyrzekają włodarzowi diecezji.

Cieszą się z powodu św. Piusa X, który przecie był, no i jest, przyjacielem dzieci, a przyrzekają mu wierność i wytrwałość w eucharystycznej służbie.

Dobrze, że księdza biskupa Adamskiego niosą na tronie, bo łatwo go dojrzeć ze wszystkich stron kościoła.

Księża zapełniają prezbiterium, a na ambonę wchodzi rudzki proboszcz. Ambona jest rzeczywiście oryginalna i bardzo nowoczesna, jak zresztą całe wnętrze kościoła. Przykuwa wzrok przecinającymi się płaszczyznami złoto-czarnych trójkątów i krzyżem o wydłużonych ramionach

Kaznodzieja skłania głowę w stronę biskupa i braci kapłanów w prezbiterium, a potem wita braci i siostry na kościele. Rozpoczyna stwierdzeniem, że w kalendarzu kościelnym na dzień dzisiejszy nie przypada nic nadzwyczajnego, że jest feria, to znaczy dzień pusty, bez specjalnego święta — ale dla rudzkiej rodziny parafialnej dzień ten nie tylko, że nie jest pustym, ale wręcz przeciwnie, jest wielką, radosną uroczystością, pełną nastroju i ważnej treści.

Podkreśla jeszcze raz dobitnie — jest wielkim dniem, po którym sobie wiele obiecujemy. Dlaczego wielkim? Bo dzisiaj w t ym kościele witamy gościa przybyłego z Rzymu, św. papieża Piusa X. I witamy ojca wielkiej rodziny diecezjalnej, biskupa ordynariusza, który, mimo wieku sędziwego i choroby, przyjechał, by wziąć udział w naszej rodzinnej uroczystości.

— Jesteśmy dumni — wyznaje rudzki proboszcz w imieniu parafian — z naszego kościoła św. Piusa X, bo jest to pierwszy w diecezji i pierwszy w całym kraju dom boży poświęcony temu papieżowi. Papieżowi eucharystycznemu, jak zwykliśmy go nazywać. I nie obawiam się przesady, gdy powiem, że ten Święty jest kochany przez cały świat. Żył współcześnie z nami, śledziliśmy jego świętą karierę, jeśli tak rzec można, pamiętamy jego beatyfikację i niedawną kanonizację. A na pewno ktoś z was, starszych, podczas pielgrzymki do Rzymu, widział tego papieża na własne oczy.

Spoglądam po twarzach ludzi siedzących w ławkach. Jest między nimi sporo takich, co już przekroczyli siódmy krzyżyk. A przed wojną nie było wcale taką rzadkością, że ten i ów za własne oszczędności peregrynował do świętego miasta.

Równocześnie rejestruję fakt, że ławki w tym nowoczesnym kościele nie są brązowe, jak na całym świecie, ale i czarne, i modre, a niektóre nawet pomalowane są odważnie na czerwono.

Kaznodzieja wspomina ciekawy szczegół z historii, jeszcze współczesnej, kościoła Piusa X, ongiś, św. Józefa. Że z tego właśnie kościoła wiele pokoleń, wiele roczników wyruszyło do pierwszej komunii św., że to był punkt zborny dla pierwszokomunijnych dzieci przez długie lata. Stąd i słusznie się stało, że eucharystyczny papież patronuje temu Domowi.

Oby ten pochód eucharystyczny, rozpoczęty tak dawno, nie tylko nie ustał nigdy, ale wręcz potężniał i ogarniał coraz szersze rzesze rudzkich parafian! Oby opieka Piusa X wspomagała wysiłki wiernych i duszpasterzy, aby nasza parafia stała się naprawdę parafią eucharystyczną — tym nabożnym życzeniem kończy rudzki proboszcz swoje kazanie.

Teraz biskup ordynariusz zabiera głos. Mówi jak zwykle pewnie i dobitnie.

— Cieszę się bardzo i bardzo Panu Bogu dziękuję, że wolno mi było dożyć tego dnia i przybyć do tego pierwszego w naszej diecezji kościoła Piusa X. Przynoszę wam relikwie tego wielkiego świętego i zanim wręczę je waszemu proboszczowi, pobłogosławię was nimi po raz pierwszy. Niech potężna opieka św. Piusa X przemieni życie w waszych rodzinach i uświęci wasze dzieci, młodzież i starców.

Biskup podnosi złoty krzyż z małym kryształowym okienkiem, które ochrania drobną cząsteczkę ciała Świętego i błogosławi szerokim gestem. Potem oddaje relikwiarz w ręce proboszcza.

Od stopni ołtarza notariusz kurii biskupiej odczytuje dekret prymasa Polski:

„Przychylając się do prośby kapłanów i wiernych w Rudzie Śląskiej, do prośby popartej przez biskupa diecezji, niniejszym życzliwie zamieniamy tytuł kościoła św. Józefa na kościół św. Piusa X...”.

Dla uświetnienia chwili ks. notariusz Domin podaje ten dekret do wiadomości wszem wobec w oryginale łacińskim, a potem ks. Starosta w tłumaczeniu polskim.

Podobnie dzieje się przy odczytywaniu metryki dołączonej do świętych relikwii. Ciekawy to dokument: dokładny i szczegółowy opis samego puzderka i relikwii w nim umieszczonych oraz wyraźne instrukcje ich użycia. Przestrzega się np. przed frymarczeniem świętymi szczątkami, które uznane zostały za jedynie prawdziwe i czci godne.

Kapłani w prezbiterium podchodzą po kolei do tronu biskupa i przyklękając całują relikwiarz.

Rozpoczęła się uroczysta Msza św. z asystą za wszystkich dobroczyńców tego starego nowego kościoła, a piękne głosy stuosobowego chóru rudzkiego zaintonowały Kyrie.

Na ofiarowanie siostry Boromeuszki rozpoczęły pochód ku świętym relikwiom. Za nimi ruszyli wszyscy wierni, najpierw ci z ławek, potem ci stojący w przejściach i pod ścianami we wielkim porządku. Hołd ten trwał aż do końca nabożeństwa, ale jeszcze i potem, gdy już kościół opustoszał, podchodzili ludzie, by ucałować autentyczne szczątki wyjęte z trumny eucharystycznego Papieża.

I ostatnie refleksje spod sklepienia tego nowoczesnego domu bożego: Znany architekt, Baur[161] pisze, że w nowoczesnym budownictwie kościelnym rzeczy najistotniejsze w kościele — ołtarz, balaski i ambona — otrzymują właściwe im znaczenie.

Można to powiedzieć i o kościele Plusa X w Rudzie Śląskiej. Bo tam właśnie te trzy elementy — ołtarz, balaski i ambona — najmocniej przyciągają wzrok i zapadają w pamięć.

„Gość Niedzielny”, nr 12/1960, s. 5.

[161] Hermann Baur był szwajcarskim architektem specjalizującym się w architekturze kościołów.

Księcia Apostołów ucieczka betlejemska

— A to co znowu? Skąd się ten tu wziął? — odźwierna pochyla się nad leżącym pod ścianą, zbliża pochodnię i w jej blasku przygląda się śpiącemu. — Dziecko jeszcze, i nie włóczęga, bo odzienie schludne — uspakaja się — ale zbudzić trzeba, tu nie gospoda. Hej, mały — tarmosi chłopaka — wstawaj, gadaj, coś za jeden i co tu robisz.

Chłopiec mruga sennymi oczami, które razi światło. Raptem rozwarł powieki i z lękiem wpatrzył się w twarz nieznajomej.

— Kto ty jesteś? — Pyta cicho.

— Ani twoja ciotka, ani babka — odźwierna śmieje się rubasznie rozbrojona niewinnym wzrokiem małego — to ty mi tu zaraz gadaj, coś za jeden i co robisz, po nocy w pałacu arcykapłana.

— W pałacu arcykapłana? — chłopiec poderwał się na nogi, resztki snu starł z twarzy ruchem dłoni — nie wiedziałem... pierwszy raz jestem w Jeruzalem.

— Na święto Paschy? razem z krewniakami?

— Tak, tak, — wyrostek przytakuje głową.

— I pewnie z Galilei, bo mówisz inaczej niż nasze dzieci.

— Tak, zgadłaś — dziwi się chłopak — z Kafarnaum, znad jeziora Genezaret. To bardzo daleko.

— No, myślę. Pewnie twój ojciec jest rybakiem, a ty, jak dorośniesz, też będziesz rybakiem? — służącą bawi rozmowa z przygodnym, młodocianym towarzyszem.

— Już jestem! — Chłopak pręży się dumnie — już mnie ojciec zabrał dwa razy na nocne połowy. Mam przecie dwanaście lat!

— Oho, to bardzo dużo. A ułowiłeś jaką rybę?

— Myślisz, że nie? razem z drugimi zarzuciłem sieć, a potem, to aż się rwała! Ojciec chwalił mnie przed matką.

— No tak, a teraz zapewne martwi się o ciebie i szuka po całym mieście. Kiedy się zgubiłeś?

— Ja się wcale nie zgubiłem — zaprzeczył energicznie — chcesz, to ci wszystko opowiem — chłopiec popatrzył wyczekująco na dobroduszną, tłustą twarz służebnej.

— Dobrze, opowiadaj. Teraz po nocy i tak nie mógłbyś wracać do ojców, bo nie trafisz, no i ujęliby cię strażnicy albo żołnierze. Słyszysz, jak tam hałasują na dziedzińcu? przywiedli przed godziną skazańca.

— Ja wiem, o kim mówisz... O Jezusie z N azaretu. Ja wszystko widziałem... — Chłopiec posmutniał nagle i rozejrzał się wystraszony po izbie, — Ja tam też byłem...

— Gdzie? gdzie byłeś? co ty opowiadasz? — kobieta aż się jąka z przejęcia — poszedłeś na górę Oliwną? do ogrodu Getsemani? razem ze strażą?

— Nie, nie ze strażą — zaprzecza chłopak gorąco — byłem już we wieczerniku, gdzie Nauczyciel spożywał Paschę razem ze swoimi uczniami. Bo dwaj bracia mojego ojca są uczniami Jezusa. Nazywają się Andrzej i Szymon. A Szymon jest wśród nich starszym i jego słuchają — dodaje z dumą. Nagle oczy chłopca zapalają się jak dwie pochodnie. — Gdy Go napadła banda, Szymon dobył miecza i rzucił się na jednego takiego dużego — chłopcu aż dech zapiera — gdybyś to widziała...

— Pst, mów ciszej — odźwierna podchodzi niespokojnie ku drzwiom i patrzy na dziedziniec, tłoczny, hałaśliwy, czarny i czerwony w blasku wielkiego ogniska.

— A potem cała straż upadła przed Nim na kolana jak przed Bogiem. Długo leżeli na ziemi, myślałem, że już pomarli. Potem Jezus kazał się związać i oni Go pojmali, powalili, powrozem powiązali — chłopak krzywi się, hamuje nagły płacz.

— No, no, nie becz — kobieta obciera po kryjomu tłustą twarz brudnymi palcami, pochyla się nad chłopcem i klepie go po ramieniu — taki duży chłop, a będzie płakał. No i nie powiedziałeś wcale, jak ci na imię — próbuje zagadnąć o czymś innym.

— Elim.

— Widzisz, Elim, nie ma kogo żałować, to był burzyciel ludu, słyszałam o nim niejedno, tu, w pałacu arcykapłańskim. Możesz mi wierzyć, to był złoczyńca i...

— Kłamiesz! — Elim wrzasnął jak dziki ptak i podskoczył z zaciśniętymi piąstkami ku kobiecie.

— O, patrzcie. Jaki czupurny kogucik — sapnęła odźwierna lekko wystraszona.

— W tej samej chwili krzykliwe pianie koguta przecięło czarną noc.

— Oho, świt niedaleko, najlepiej będzie — zwróciła się do chłopca — jak się znowu położysz i pośpisz. Zbudzę cię i odprowadzę do krewnych, gdy przyjdzie nowa zmiana na bramę.

— Nie chcę, ja już sobie teraz pójdę — wymamrotał Elim nadąsany.

— Obraziłeś się na mnie? — roześmiała się hałaśliwie — o tego Jezusa?

— Nie śmiej się — zwrócił na nią roziskrzone gniewnie oczy — ty nic nie wiesz! Cała Galilea mówi, że to Mesjasz. Czynił cuda, uzdrowił moją babkę, co była sparaliżowana, i żonę Abirona, chodził po naszym morzu, a fala była taka wysoka jak ten pałac! — podniósł chude ramiona i zakreślił nimi strzępiaste grzbiety fal jeziora Genezaret. — Błogosławił wszystkie dzieci, mnie też. I dlatego chcę zostać, tak jak stryj Szymon... — nie dokończył. Ponowny wrzask koguta napełnił mroczną izbę.

Odźwierna przydusiła dymiącą żagiew łuczywa i ziewnęła głośno.

— Ładnie opowiadasz, Elim, ale już mnie setnie sen morzy i ziąb idzie po kościach. Zdrzemnę się, a ty zrób to samo. Tam, w kącie, jest stary płaszcz, okryj się nim i śpij.

— Nie mogę. Muszę uważać.

— Uważać? na co? — kobieta rozwarła zaspane oczy.

— Przyszedłem tu prosto z ogrodu Getsemani, jak mówisz, za stryjem Szymonem. Szedł jeszcze z drugim uczniem Jezusa. Tyś pobiegła za nimi, a ja wskoczyłem do twojej izby i ukryłem się tu, w kącie.

— Aha... więc jednak się nie pomyliłam... — odźwierna przypomina sobie jasno scenę sprzed godziny. Barczysty, silny chłop, a kroczył niepewnie jak zbrodzień. Popatrzyła mu ciekawie w twarz, a gdy umknął, pobiegła za nim wołając: „Pewnie i ty jesteś spośród uczniów tego człowieka”. Ale on krzyknął szybko: „Nie jestem”. I dał nura w tłum pachołków przy ognisku.

— Czy myślisz, że on już wyszedł wtedy, gdy się zdrzemnąłem? — głos chłopca wyrwał kobietę z zamyślenia. W tej też chwili posłyszała

ciężkie, człapiące, wcale nie żołnierskie kroki w krużganku. Stanęła w drzwiach.

— Patrz, Elim, czy to on?

— Nie, chyba nie — chłopak patrzy z natężeniem w twarz zbliżającego się mężczyzny — a jednak, to on, stryj Szymon, ale co mu się stało? płacze, patrz jak strasznie płacze! — chłopiec ukrył twarz na ramieniu odźwiernej, jakby to była matka. Drżał cały.

— Czekaj, otworzę mu bramę — wzięła łuczywo i podeszła do Szymona, ujrzała spazmatycznie wykrzywioną twarz lśniącą od łez, usłyszała głośne, wstrząsające łkanie. Otwarła szybko wrota. Brama skrzypiąc w zawiasach zamknęła się za uczniem Nazarejczyka.

Odźwierna wracała zamyślona do swej izby. Nagle potknęła się. Nogi omotało cos miękkiego.

— Zgubił swój płaszcz — pochyliła się, podniosła z ziemi obszerną opończę — zabierz to — zwróciła się do Elima stojącego na progu jak słup soli — to płaszcz twojego stryja. I chodź do izby, zimno, — wzdrygnęła się cała. — Co za okropna noc!

Elim przewiesił sobie płaszcz przez ramię. Chwilę stał niezdecydowany, potem ruszył szparko ku bramie.

— Pójdę za nim. Będę pilnował, aby go nie spotkało co złego.

Brama skrzypnęła po raz drugi. Tłusta, zaczerwieniona od zimna twarz dotknęła policzka dziecka.

— Uważaj, pilnuj się, omijaj straże — ostrzegała — I niech cię Bóg prowadzi — wyszeptała na koniec nieśmiało.

Przystanął za bramą, rozejrzał się i wsłuchał czujnie w ciszę śpiącego miasta. Złowił uchem odgłos oddalających się kroków Szymona i pobiegł w tamtym kierunku. Księżyc świecił jasno, malując ulicę w ostre, czarne i srebrne plamy. Koguty piały nowy dzień, choć na niebie nie było śladu jutrzenki. Elim zwolnił zlekka zadyszany. Dogonił Szymona, który już nie szedł ociężale, ale parł przed siebie jak ścigane ranne zwierzę. Chłopiec patrzył za nim ze strachem. Nic nie rozumiał z tej ucieczki. Nagle przystanął i jednym susem ukrył się w załomie muru. Szymon dobiegł do bramy miasta. Od razu przyskoczyło doń dwóch strażników.

— Hej, a ty gdzie pędzisz? — do uszu zmartwiałego chłopca dobiegł okrzyk żołnierza.

— Otwórzcie bramę, wypuśćcie mnie! —- zniekształcony płaczem, niemęski głos Szymonowej prośby rani Elima jak grot.

— A gdzie ci tak spieszno? zbroiłeś co? gonią cię?

— Nie..., puszczajcie z miasta.

— Czekaj, nie pali się, — żołnierz podszedł do Szymona, poświecił mu w twarz pochodnią — alboś pijany mocnym winem, albo obłąkany. — Odwrócił się do towarzysza — otworzymy bramę, co? jeśli zbieg, nie uciecze daleko. Zda się, że to człowiek jakimś straszliwym nieszczęściem ugodzony — dokończył szeptem.

Elim posuwał się ostrożnie wzdłuż muru. Szymonową opończę zwinął ciasno pod pachą, aby mu nie przeszkadzała. Dusił dłońmi głośno bijące serce, bo myślał, że jego stukot dobiegnie wrażych uszu strażników. Wpił się wzrokiem jak sęp w szparę wolno otwierającej się bramy i skoczył, zanim wrota zamknęły się za Szymonem.

— Wszelki duch! co to było? — strażnik z łoskotem zawarł odrzwia — Widziałeś? — rozglądał się z bojaźnią dookoła.

— Nie... tak — drugiego żołnierza też obleciał strach — pewnie jakiś wściekły pies, może kocur. Chodź, napijemy się wina. Paskudna noc!

A noc za jerozolimską bramą była piękna jak Salomonowa szata. Księżycowe srebro sypało się z nieba szczodrzej niż w zaułkach miasta. Miesiąc świecił tak pewnie, jakby nie wiedział, że wkrótce wzejdzie słońce i położy kres jego panowaniu. Elim szedł po świetlistej drodze z taką czcią, jakby kroczył po krużgankach jerozolimskiej świątyni. Serce przestało bić trwogą, biło teraz radością wolnego, szerokiego i jakże pięknego świata.

Smutkiem napełniał go tylko mroczny cień idącego przed nim Szymona. Chłopak sądził, że Szymon zwróci uwagę na popłoch, jaki powstał przy bramie po jego karkołomnym skoku, pozna go i przywita. Ale stryj nie odwrócił głowy, nie przystanął ani na chwilę pogrążony w sobie. Elim więc towarzyszył mu cicho jak jego drugi cień, wierny i czujny.

Wskazówki na zegarze nocy przesuwały się zwolna. Zwolna miesiąc i gwiazdy traciły swój blask, a niebo nasycało się szarością brzasku. Uczeń Nazareńczyka nic z tych przemian nie dostrzegał. Oczy ćmiły mu ciągle łzy, parł przed się jak ślepiec obłąkany, niepomny celu swej drogi. Serce trawiła

rozpacz. Szalała jak burza na morzu galilejskim, pieniła się i wyła głusząc wszelką inną myśl. Zdradził! Zdradził! Zdradził Mistrza. Zdradził swego Boga. Zaparł się Go nie raz, nie dwa, ale po trzykroć. A przysięgał miłowanie. Przysięgał, że Go nigdy nie opuści, choćby się Go i inni wyparli. Zdradził! Tchórz! Tchórz! Ten wyraz jak tępy świder szarpie wnętrzności Szymona, prawego, prostego, uczciwego chłopa.

Szymon chwieje się. Nogi odmawiają posłuszeństwa, pada wśród drogi jak maszt złamany wichurą. Łzy mieszają się z piachem polnym, rozdygotane wargi przyciskają się do ziemi, jakby jej chciały wykrzyczeć całą rozpacz zdrady. Zdrady Mistrza i zdrady szczytnego powołania. Głośne łkanie trzęsie twardymi barami, co stawiały opór burzom i nawałnicom morskim. Kupa łachmanów, którymi wiatr pomiata.

Elima ogania nowe przerażenie. Doskakuje do stryja, łapie jego rękę, tuli w swoich łapkach, całuje bezradnie żylastą dłoń. Woła cicho: stryju Szymonie, stryju Szymonie, choć wie, że to daremne. Złe moce opanowały tego, którego podziwia, którego chce naśladować.

— Co się stało, mój mały? czy to twój ojciec? — Elim podnosi wystraszoną twarz. Widzi nad sobą poczciwe, zatroskane oczy wieśniaka.

— Zesłabł w drodze — mówi wolno.

— Do miasta niedaleko. Może tam pobiegniesz, pomoc sprowadzisz, albo choćby i osła. Ja tu poczekam.

— Co to za miasto? — Elim nie może się zdecydować. Nie chce zostawić Szymona na łasce obcego.

— To Betleem.

— Betleem?! — woła chłopak głośno, zdziwiony i uradowany.

Szymon nieruchomieje. Łkanie, co rozrywa piersi, ustaje. Podnosi głowę i zrywa się na nogi jak koń dźgnięty żelazem.

— Betleem, Betleem — powtarza jak zaczarowany, nie spuszczając wzroku z bielejącego w oddali miasta. A potem zaczyna biec jak zawodnik biegnący o wieniec. Elim z trudem za nim podąża. Płaszcz wuja ciąży mu bardzo, a nogi też już dotkliwie dokuczają.

Na drodze pojawiają się pierwsi podróżni, kupcy, wieśniacy, żebracy. Przystają zdumieni i z lękiem lub ze śmiechem spoglądają na te niezwyczajne biegi.

Słońce strzeliło pierwszymi promieniami, gdy dotarli do rozwartych bram Betleemu. Ale Szymon nie skierował się ku miastu, lecz skręcił nagle

na prawo. Polna droga biegła wśród pagórków, wśród bielejących, skalistych grot ku zielonym, rozległym pastwiskom. Dobiegało stamtąd pohukiwanie pasterzy, ich śpiewki i piskliwe granie.

Szymon zamachał ręką na jednego z pastuchów. Rozmawiał z nim chwilę, a potem skierował się tam, gdzie wskazywało wyciągnięte ramię pasterza.

Stanął przed grotą. Przetarł twarz dłonią, jakby przepędzał sen. Pochylił się ku stopom — Elim dostrzegł, że zzuł sandały — i wszedł powoli do środka. Chłopak skradał się za nim cichcem. Jeszcze nic nie rozumiał.

— Może szuka kryjówki przed jerozolimskimi żołdakami? — myślał. Wziął sandały stryja, związał rzemyki, aby się nie wysunęły, i wetknął głowę ostrożnie do groty. Ale nic nie dojrzał. W grocie panował mrok. Wszedł więc do środka; zapachniało mocno i ciepło sianem i słomą. Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, rozejrzał się. Szymon klęczał przed kamiennym żłobem. Czoło wsparł na krawędzi, oczy zamknął, zdawało się, że śpi, utrudzony wielce.

Elim z trudem powstrzymał okrzyk. Nagle zrozumiał. Przypomniał sobie wszystko. To wszystko, co mu matka i ciotka w Betsaidzie opowiadała o narodzeniu Jezusa. Pastuszki, anieli, stajenka i żłób z Dzieciątkiem. Ten oto żłób, którego każdej chwili może dotknąć ręką.

Chłopak ukląkł. Cieszył się, że tu doszedł, cieszył się na myśl, że to wszystko opowie matce. Cieszył się, że stryj nareszcie znalazł spokój i przestał płakać. Zaczął się modlić, lecz już za chwilę zmorzył go sen.

Gdy znowu otwarł oczy, mrok groty prześwietlały skośne smugi słońca. Szymon stał nad nim, patrząc badawczo w jego twarz.

— Elim? to ty? — spytał niedowierzająco.

— Tak, stryju, to ja — odpowiedział chłopak trochę z lękiem i trochę z radością, że został nareszcie zauważany.

— Nic nie rozumiem. Z nieba spadłeś?

Elim roześmiał się głośno. Zaczął opowiadać. A Szymon kręcił głową. W końcu zapytał.

— Czy wiesz, co to za grota?

— Wiem, stryju.

— To uklęknij, pomodlimy się.

Gdy wyszli z groty, czerwony krąg słońca wspierał się na najbliższym betleemskim pagórku. Białe chmurki na niebie i białe owce na pastwiskach były jak pieśń wieczorna wznoszona ku Stwórcy.

Szymon przymykał i odmykał powieki czerwone i opuchłe od płaczu. Wreszcie zrezygnował i zamknął oczy przed blaskiem słońca.

— Dobrze, że tu jesteś, chłopcze — odezwał się — jestem jak ślepiec i bez twej pomocy nie trafiłbym z powrotem do Jerozolimy.

— Z powrotem do Jerozolimy? kiedy, stryju? — zaniepokoił się Elim.

— Zaraz, synku. Przed nocą musimy tam być. Bo tam moje miejsce. Przy Nim, zmarłym czy żywym. Przy Nim, chociażem zdradził. Przy Nim na zawsze. Na zawsze.

Elim rozsupłał rzemyki u sandałów, wytrzepał je dokładnie i wzuł na popękane stopy Księcia Apostołów.

Jadwiga Kucianka

„Gość Niedzielny”, nr 15/1960, s. 4 – 5.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

W Miasteczku Śląskim bije dzwon

Tomek przywarł wrota kuźni. Na dworze ciemniało, od nakielskich borów dął ostro wiatr i sypał drobnym, kłującym śniegiem. Marcowa noc zapowiadała się nieustępliwie mroźna i wcale nie wróżyła stojącej za progiem wiosny.

— Przyłożę jeszcze kilka szczap, inaczej zmarzniecie, dziadku! — zwrócił się chłopak do siedzącego pod ścianą mężczyzny.

— Zwijaj się, zwijaj, nie będziemy tu przecie nocować — zamruczał stary Cyran. — Ino patrzeć, a wpadnie tu twój ojciec i dostanie się tobie i mnie za wszystkie czasy! Tomek, a t e wielkie obcęgi, na którą półkę należą, hę? — powstał z ławy wysoki i groźny wskazując palcem przed

siebie — i ty, synku, chcesz być kowalskim czeladnikiem, a nie wiesz, gdzie...

— Wiem, wiem, dziadku — chłopak podskoczył żywo, przesunął ciężkie narzędzia — zrobione!

— Za moich czasów panował tu większy porządek — gderał jeszcze stary pod nosem i patrzył podejrzliwie po kątach. — A to, co znowu? Tomek, chodź no tu, smyku, tyś to zrobił? ty sam? — pochylił się nad skrzynią i uważnie przyglądał się stożkowatej ulepionej z gliny formie. Potem podniósł ją ostrożnie pod światło i z wyraźnym zadowoleniem obracał w palcach.

Tomek czekał z niepokojem. Na jego twarzy malowała się i duma, i niepewność. Czekał z biciem serca, co powie Józef Cyran, mądry mistrz kowalski, ba, znany w okolicy ludwisarz, który kiedyś w młodości lał dzwony we Wrocławiu, a teraz tę tajemniczą sztukę przekazywał Tomkowi Siwcowi, swemu wnukowi.

— Co tu dużo gadać — odchrząknął stary mistrz — bierzesz się tęgo do rzeczy. Z tej formy wyszedłby godny dzwoneczek. A ojciec, widział to? — zwrócił się nagle do czeladnika.

— Nie, robiłem to w ukryciu, Ciągle się ze mnie śmieją...

— Durnie! trutnie! błazny! — rozgniewał się Cyran — jeszcze my im pokażemy! — Położył formę z powrotem na skrzyni i wydobył fajkę zza kapoty. Ubił tytoń w cybuchu, ubił jeszcze raz i zapalił drewienkiem podanym mu przez Tomka. Dobrą chwilę pykał głośno, z przejęciem, jakby chciał wypykać z siebie całą nagłą złość przeciwko głupim, zazdrosnym i nieżyczliwym ludziom. Potem wrócił na ławę i patrzył z odległości na gliniany dzwon.

— Tomek, powiedz, z czego się składa cała ta forma. Powtórz wszystko, co do słowa, czego cię ostatni raz nauczyłem — rozpoczął mistrz egzaminowanie. — Widzę po tym, co zrobiłeś, żeś wszystko dobrze zmiarkował, ale nic ci nie zaszkodzi powtórka. Zaczynaj.

Tomek stanął przed swym miniaturowym dziełem. Odetchnął.

— Forma dzwonu musi być, — nie—przerwał sobie i poprawił się szybko — forma dzwonu ma trzy części: pierwsza wewnętrzna, którą nazywamy jądro albo rdzeń. Druga środkowa, którą nazywamy koszulką, czyli fałszywym dzwonem, i trzecia zewnętrzna, która jest bardzo ważna i nazywa się płaszczem.

— Rdzeń budujemy z gliny niepalonej, lekkiej i przepuszczającej powietrze. Potem bierzemy jeszcze lepszą, szlachetniejszą glinę i oblepiamy nią równo wszystkie ściany. Gładzimy długo, dokładnie — Tomek pomaga sobie rękami, widać, że jest bardzo przejęty — zanim przygotujemy warstwę popiołu, może być także...

— Jak grubą warstwę? — przerwał mu Cyran.

— Może być na palec, na dwa. aż do pięciu — tłumaczy chłopak — to zależy od tego, jakie grube mają być ściany dzwonu.

— Dobrze. Dobrze zapamiętałeś, wystarczy. A jak myślisz — stary zrobił chytrą minę — co się będzie teraz dalej działo z tą formą? no, weź ten twój dzwonek do ręki.

— Teraz, dziadku. — wykrzyknął chłopak — trzeba się będzie pozbyć tej koszulki, tego fałszywego dzwonu z środka, bo tam przecież będziemy lali metal...

— Jaki znowu metal! — Cyran nie darował niczego, był wymagającym nauczycielem.

— Stop metali, miedzi, cyny, ołowiu... — poprawia się prędko Tomek.

— No, a jakim sposobem pozbędziemy się fałszywego dzwonu? no, pomyśl?

— Bo gdybyśmy rozpalili jądro wewnętrzne— — namyśla się chłopiec głośno.

— No dobrze, dobrze — zachęcał stary

... to wtedy stopiłaby się warstwa łoju na koszulce... — przerwał, przyjrzał się dokładnie swej formie — ale, dziadku, przecież glinka mogłaby popękać, a wtedy...

— No, widzę, że z ciebie będzie jakiś filozof, a nie uczciwy mistrz kowalski — w uchylonych wrotach kuźni stał Piotr Siwiec, ojciec Tomka i patrzył z niechęcią to na syna, to na dziada. — W domu już wszyscy po wieczerzy, matka z m yciem statków czeka, a w y tu bajdurzycie. Tomek, ganiaj do domu. Już cię nie ma! — krzyknął ostro. — A wam już tyle razy mówiłem — zwrócił się do Cyrana — byście chłopakowi w głowie nie zawracali tymi dzwonami!! Wszyscy się z niego śmieją i za głupka mają! gdzie i komu będzie on lał dzwony? na świecie ciągle wojna, trzeba lać kule armatnie a kuć miecze i topory, aby zarobić parę srebrnych groszy!

— Pietrek, nie mów tak, wojna już się skończyła. A jak się wszystko gruntownie uspokoi i nastaną lepsze czasy, wybudujemy kościół w Miasteczku. A jakiż może być kościół bez dzwonów?

— No i może Tomek będzie lał dzwony do tego naszego kościoła, co?

— A czemu nie? — stary mistrz poderwał się szparko, wyprostował zgarbione plecy — obejrzyj sobie dobrze tę formę, Tomek ma jasno w głowie, a jego palce są zwinne i zmyślne. Widzisz ten dzwon?

— Ee, glina i t yle. — Siwiec był nieprzejednany. — Lepiej, miast marnować czas nad tymi balakwastrami, poszedłby ku rudnikom i na kruszcu zarobił trochę grosza.

— A ty tylko grosze i grosze! — rozeźlił się stary — Nie był takim twój ojciec nieboszczyk, świeć, Panie, nad jego duszą, nie był! Ale za to Tomek wdał się w niego jota w jotę. Nie myśli o zbijaniu talarów w kabzę, ale o szlachetnym rzemiośle, które raduje serce i umysł człowieka.

— Żeby tylko nie poszedł kiedyś z torbami słuchając waszych nauk! — Siwiec podszedł do paleniska, chwycił hak i ze złością rozrzucał czerwony żar, jakby szukał w nim złotych talarów. Potem podniósł klapę nad piecem. sprawdził lufciki i poprawił rygle okiennic. Na końcu, aby dać upust resztkom złości, uderzył młotem w kowadło, aż zadźwięczały wszystkie haki, ośki i gwoździe w skrzynkach. Spłoszona mysz wyskoczyła skądś z kąta i jak strzała pomknęła ku wrotom. Kowal zaklął z cicha.

— Roi się od tego plugastwa, jeszcze nas pożżerają. No, idziemy. Zamykam kuźnię.

Trzydziestoletnia wojna już się skończyła. Już piąty rok mijał od zawarcia pokoju westfalskiego, ale prawdziwy pokój nie zawitał jeszcze na ziemi. Niemieckie potężne cesarstwo zrujnowane było doszczętnie. Nikt nie odbudowywał popalonych wsi i miasteczek, nikt nie naprawiał zerwanych mostów i rozkopanych gościńców. Po lasach grasowały bandy rozswawolonych landsknechtów[162] i innych opryszków. Ten i ów margrabia, którego uważano tu zawsze za intruza, nie wracał do nie swoich przecie, a zagrabionych Polsce posiadłości na Śląsku. Wolał siedzieć jeszcze we Wiedniu i czekał spokojniejszych czasów. Ślązacy oderwani od ojczyzny, odczuwali tym dotkliwiej gorzkie owoce wojny.

---

[162] Landsknecht – żołnierz zaciężnych formacji piechoty.

Miasteczko Śląskie, przysiadłe na trakcie do Lublińca niedaleko Tarnowskich Gór i Żyglina, też jakoś długo nie mogło przyjść do siebie po bezlitosnych kontrybucjach wojennych to Szweda, to znów cesarskiego żołdactwa. Przed wojną, na miasteczkowych polach, pod Jasiową Górą, pod Teliną, pod Dębieńcem i na Szlomie kopano szyby, wydobywano kruszce ołowiane i rudę żelazną. Turkotały wozy naładowane cennym kruszcem, bogacili się mieszczanie, Szymek Pękaty budował nowe domostwo, Maciej Garcarczyk i Maciej Nowak stawiali gumna jak pałace, Dymas Pośpiech kupił dwa konie, nawet w nędznej zagrodzie Szymików stały dwie krowy, a na stół wjeżdżała raz po raz micha mięsa, a nie samych tylko krup.

Myślano już o budowaniu swojego własnego kościoła, takiego jak w Żyglinle, gdy nagle zaczęło się to całe zamieszanie z lutrami. Żygliński kościół opanowali protestanci, nasłani predykanci[163] i beamtrzy[164] z urzędów górniczych namawiali na niemiecką wiarę. Było z tego kupa biedy i waśni, a w końcu przyszła ta strasznie długa wojna.

— Tego domu to już Liszka nie odbuduje — Piotr Siwiec zatrzymał się na drodze. Obok, wśród zawalisk i ruin płonęło światłem małe okienko. — Jeszcze ich kiedyś na śmierć zasypie, ledwo się to kupy trzyma.

— Mogliby drudzy pomóc Wojtkowi — odezwał się Cyran — sam nie poradzi.

— Każdy ma dość własnej biedy — mruknął Siwiec niechętnie.

— No, Pietrek, już ty się nie masz czego skarżyć! Tobie wojna tak dokumentnie nie dokuczyła jak drugim. I kruszce bez przerwy dobywasz za Radłokiem, podczas gdy drugim woda chlupocze w szybikach.

— Tak gadacie, jakbyście mi zawiścili...

— Co to, to nie, znasz mnie przecież — Cyran wpatrywał się bacznie w chmurną twarz zięcia, szanowanego w Miasteczku kowala i radnego. — Widzisz, Pietrek, to mi się w tobie nie podoba, że jesteś taki łakomy i nieżyczliwy, taki nieskory, by drugim pomóc.

— To nieprawda! — krzyknął Siwiec ugodzony do żywego — kto pomógł niedawno Tobolikowi, kto?

— Tobolikowi pomogłeś nie z twojej własnej kabzy, ale z kasy gminnej... i Tobolik, jak mi mówiono, zapłacił ci za tę przysługę.

---

[163] Predykant – kaznodzieja protestancki.

[164] Beamtrzy – urzędnicy, funkcjonariusze.

— E, ludzie wszystko lepiej wiedzą...

— Tak, ludzie wszystko widzą. A Pan Bóg jeszcze lepiej.

Szli chwilę w milczeniu. Wiatr dął im w plecy, przeginał drzewa na drodze i skrzypiał zawiasami we wrotach. Śnieg już nie padał. Na niebie przebłyskiwały gwiazdy, nad Żyglinem płonął jasno Orion. Cyran nie spuszczał oka ze srebrnej gwiazdy. Wiodła go ona, jak ongiś trzech mędrców, do wytkniętego celu. Odezwał się znowu.

— Widzisz, Pietrek, najbardziej mnie boli to, że tak dokuczasz Tomkowi. Nie chcesz chłopca zrozumieć. Złości cię to, że Tomek nie lubi kuć mieczy i toporów. Wyzywasz go od m azgajów i bab. A sam dobrze wiesz, że chłopiec ma głowę na karku, że umie rachować jak sam pan hrabia. Mnie się to akurat podoba, co ciebie mierzi — Cyran stanął, obrócił się cały ku Piotrowi i złapał go mocno za łokieć — mnie się to podoba — powtórzył — że Tomek nie chce robić zbrodniczych narzędzi, które przelewają niewinną krew ludzką. Tomek chce lać dzwony, co służą Bożej chwale i ludzkiej potrzebie. Dzwony, pięknie grające dzwony — w głosie starego ludwisarza zabrzmiała tęsknota. Może wspomniał swą młodość czeladniczą, radosną i pracowitą pod okiem wrocławskiego mistrza Bartłomieja? — Pietrek, słuchaj uważnie — Cyran wpatrywał się znowu w uwodzicielskie światło Oriona — cobyś powiedział na to, gdybyśmy Tomka wysłali na naukę do Wrocławia?...

— Macie chyba gorączkę? na naukę! to kosztuje bite talary! — pokrzykiwał Siwiec nieprzytomnie.

— Mam ja kilkanaście takich bitych talarów uciułanych na chrześcijański pochówek ale chętnie je daruję na naukę Tomka. Będziesz miał o jedną gębę mniej do misy — dodał Cyran chytrze.

— Ale Tomek już mi w kuźni pomaga, jest najstarszym moim synem — kowal jeszcze się nie godził, ale w jego głosie brzmiało ustępstwo i niepewność. — A skąd się dowiecie, czy Bartłomiejowa kuźnia we Wrocławiu jeszcze istnieje? zapominacie o wojnie.

— Już ty to wszystko zostaw na mojej głowie, Pietrek, dobrze? — klepnął go rozochocony po plecach — Zobaczysz, że z naszego Tomka wyrosną ludzie! No co, zgoda między nami?

— A Tomek co na to powie? — kręcił jeszcze kowal.

— Tomek? to ty nie wiesz? zaraz go o to zapytamy!

Skrzypnęła furtka. Setny kundel wyskoczył na drogę i z radosnym ujadaniem rzucił się ku idącym.

Weszli do sieni i z tupotem strzepywali śnieg z butów. Otwarły się drzwi izby. Otoczyło ich światło i zapach topionej słoniny.

— A, jesteście! — witała ich kowalowa żona — już chciałam gnać Tomka do karczmy, bo was tak długo nie było widać.

— We wielkim poście do karczmy? co ty też wygadujesz, niewiasto — Cyran grzał ręce nad ogniem i rozglądał się po izbie. Była przestronna, jasno bielona, czysta jak we dworze. Za piecem stało szerokie łoże uginające się pod olbrzymią pierzyną. Dziad podszedł bliżej, pochylił się nad dwiema czarnymi główkami i naznaczył je krzyżem.

— Agnieszka gdzie? jeszcze nie śpi? — pytał.

— Będzie dziś spała u babki w komorze, bo bardzo kaszle — tłumaczyła Siwcowa stawiając skwarki i kluski na stole.

— Pewnie gdzieś znowu goniła po lesie i zaziębiła się — Siwiec wytarł dłonie w szmatę i sięgnął po łyżkę. — Co ona tak goni po tym lesie? jeszcze nie lato i do grzybów i borówek daleko.

— Ano — przytaknęła kowalowa zgodliwie i dyplomatycznie.

Cóż, czy miała zdradzić mężowi, że Agnieszka szukała po lesie pierwszych wiosennych kwiatuszków dla Tomka? pierwiosnków i krokusów, których główki są jak prawdziwe dzwoneczki? Dziś właśnie przyniosła cały pęk, biały i modry, delikatny i kruchy jak szkło. Tomek aż podskoczył z uciechy. Siedzi teraz u babki w komorze i maluje swoje dzwony podpatrując kształty kwiatów. Aha, trzeba mu powiedzieć, że ojciec już wrócił. Stary jakoś nie może znieść ołowianej sztabki do rysowania w rękach chłopca.

Weszła do komory zamykając drzwi za sobą. Objaśniła knot w oliwnej lampce i rozglądnęła się. Tomek już nie malował, Agnieszka jeszcze nie spała. Siedzieli na łóżku babki wpatrzeni w nią jak w cudowny obraz. Babka opowiadała:

— ... święty Józef zarzucił już tobołek na kark osła, gdy przybieżała Najświętsza Panienka prosząc przymilnie: jeszcze o tym, Józefie, zapomniałeś, a Dzieciątko bardzo lubi tę zabawkę. I podała mu srebrzysty dzwoneczek, który ozwał się jak skowronek.

Król Melchior podarował Jezusowi ten dzwonek. Było to wtedy, gdy Dzieciątko znużone głodem i chłodem stajenki żałośnie zapłakało. Król

Melchior pochylił się nad żłóbkiem a zawieszony na jego koronie dzwoneczek zadzwonił nagle. Dzieciątko przestało płakać i sięgnęło rączką po srebrzysty wisiorek. Od tej chwili, gdy tylko Jezusek krzywił usta do płaczu, Matka Boska wyciągała dzwoneczek, potrząsała nim kilkakroć, a Dzieciątko znowu się śmiało.

— Ach, jakie to ładne, babeczko — Agnieszki oczka błyszczą jak gwiazdy. Daleko im do snu. — A teraz jeszcze o tych nie ochrzczonych dzwonach, które z wieży uciekły! Obiecała nam babka, prawda, Tomku? — mrugała ku starszemu bratu, pewna jego pomocy.

— Tak, babko, obiecywaliście nam wczora... _

— Adyć pamiętam. Już zaczynam, tylko się inaczej ułożę, ręka mi ścierpła.

— Nie, moi złoci! — wtrąciła się nie zauważona dotąd kowalowa. — Dość tego na dzisiaj. Babka też się muszą wyspać.

— Zostaw, Elżbieto, jeszcze mi daleko do spania.

— Mamuliczko — Agnieszka przymila się do matki — tylko ta jedna bajeczka, jedyna, a potem będziemy zaraz spać.

— Już ja was znam! — śmieje się matka — po tej jednej zaraz druga, po tej drugiej trzecia, po tej trzeciej jeszcze jedna, taka tylko króciuteńka...

— No to dobrze, to tylko tę krótką o dzwonach, co leciały we Wielki Czwartek do Rzymu — uprzykrza się Agnieszka — albo o tym dzwonie klasztornym, który sam zadzwonił, gdy umierał pobożny braciszek.

— Wszystko znasz już na pamięć, a jeszcze ci mało! Dzwony i dzwony! ale wam też tego ta babka naopowiadała! — spojrzała serdecznie na mądrą i dobrą twarz swej matki, żony mistrza kowalskiego, co we Wrocławiu lał dzwony. Tomek po dziadku i po babce odziedziczył tę słabość ku dzwonom. — No, dzieci, na dziś koniec. Pacierz i spać!

Ledwo Tomek głowę przytknął do poduszki, ujrzał nad sobą lecące dzwony. Płakały. Wszystkie dzwony ze wszystkich kościołów świata, duże i małe leciały do Rzymu i płakały. Płakały zamiast dzwonić. I Tomek też płakał w biały płócienny zagłówek, bo Chrystus umarł na krzyżu. A potem niebo zaczęło wschodem różowieć w jakimś pachnącym ogrodzie i nagle odezwały się potężne dzwony śpiewając Alleluja, Chrystus zmartwychwstał. Były to dzwony z katedry św. Piotra na Watykanie. Dołączyły się do grania wszystkie dzwony zgromadzone w świętym mieście. A granie to było tak piękne, że nawet zamilkły na chwilę chóry anielskie w niebie śpiewające

bez ustanku: Święty, Święty, Święty, A potem wszystkie dzwony zaczęły wracać do swych krajów, do swych kościołów. Na Śląsk wracało ich bardzo, bardzo dużo, aż został w końcu jeden tylko, nieduży, nowy, pięknie błyszczący. Kierował się prosto do Miasteczka i zawisł nad placem, na który zwożono budulec na kościół. Teraz dopiero Tomek poznał, że to jest przecież jego własny dzwon, ten sam, do którego zrobił formę i który malował z wieczora. Poznał go po kształcie odpatrzonym z krokusa i po ozdobie, która biegła krawędzią dzwonu, a była odmalowana z matczynej wstążki. Tomka opanowała taka radość, że głośno zakrzyknął.

— Co ci to, synku? — babka pochyliła się nad wnukiem i przytuliła go do siebie. — Miałeś niedobry sen?

Tomek otworzył oczy. Za oknem szarzało. W kuchni matka rozpalała ogień, a przy studni w podwórzu dzwoniły wiadra. Na rękach babki szeleściły sucho perełki różańca.

— Brzydko ci się śniło, Tomku? — pytała jeszcze raz.

— O nie, babko — westchnął zachwycony i opowiedział jej cały swój sen.

Gdy skończył, powiedziała:

— Widzisz, Tomek, jestem już bardzo stara i nie taka już zdrowa jak w młodych latach. Ale tak mi się zdaje, że dobry Bóg pozwoli mi doczekać twojego pierwszego dzwonu. I jeszcze mi się zdaje, że twój, synku, dzwon zawiśnie na wieży naszego kościoła — niechby go nareszcie postawili — i zadzwoni na m oim pogrzebie. — Odszukała na różańcu przerwaną tajemniczkę i zaczęła się dalej modlić.

— A ty pośpij jeszcze krzynę. Już ja cię w porę obudzę — dodała.

Około południa gruchnęła po miasteczku wieść, że bernardyn ze znanego wszystkim Krakowa dwukonną bryką po kweście zjechał. Stołeczny, królewski gród podwawelski był przecież siedzibą arcypasterza diecezji krakowskiej, której integralną częścią była ziemia śląska. Kwestarz kazał wszem wobec ogłosić, iż z wieczora, w chałupie radnego Piotra Siwca, kowala, opowiadać będzie nowiny z całego świata.

Zawrzało na hałdach i szybach, na drogach i w opłotkach. Co zasobniejsze gospodynie szykowały połcie słoniny i kiełbasy, sery i jaja. Warzono piwo. Ten i ów z górników odkładał co foremniejsze kawałki ołowiu i cyny, wiadomo bowiem było, że w klasztornych ludwisarniach z kruszców tych powstawały wcale misterne świeczniki, misy i kubki. Ludzie chętni byli

w dawaniu, pomni starej jak świat prawdy, iż lepiej skarbić sobie skarby w niebie, niźli gromadząc w komorze żyć w strachu przed złodziejem, ogniem i wojną. Kwestarzy, tych wysłanników braci klasztornej, ogromnie szanowano nie tylko za ich świątobliwą profesję, ale i za umiejętność leczenia ludzi i bydła zioły rozmaitymi. Nade wszystko zaś ludzie łakomi byli świeżych nowin ze świata i dlatego co dowcipniejszy kwestarz wstrzymywany był po domach i trzy dni z rzędu a nawet dłużej.

Stary Cyran chodził po obejściu jakiś zadumany, słowem do nikogo się nie odezwał, a tylko ciągle niespokojnie na drogę wyglądał. Gdy wreszcie późnym popołudniem dojrzał brykę kwestarza, widomie się rozpogodził i szedł wraz z Piotrem witać wielebnego gościa.

Posadzono go za stołem nakrytym białym płótnem, pod świętymi obrazami umajonymi kolorowymi kwiatami i suszonym, pachnącym zielem. Dzieci siedziały za piecem ciekawe i ciche jak trusie. Kobiety wniosły jadło i napitek w pięknych misach i konwiach.

Kwestarz pomodlił się głośno i nabożnie po łacinie, pobłogosławił boże dary i pożywiał się skąpo, widać było, że nie jadło mu na myśli, ale inne, tajemnicze sprawy. Gdy w końcu bernardyn, łyknąwszy tęgo piwa, z ławy podnosić się zaczynał, odciągnął go Cyran do izdebki babki pod pozorem poufnej rozmowy.

A do kowalowej chaty pod ten czas zaczęli walić miasteczkowiczanie, baby i chłopy, starzy i otroki. Wrychle okazało się, że ani w izbach, ani w sieni nie pomieści się tyle ludzi, i pan mistrz, po krótkim namyśle, kazał wywlec wozy ze stodoły, a na klepisku poustawiać wszystkie zydle i ławy. Ludzie rzucili się do przestronnego gumna, zapanował rwetes i gwar jak na odpuście. Młodzi, jak kury na grzędzie, poobsiadali grodzie i drabiny, że ino trzeszczało a kurzyło się przesuszonym sianem i słomą.

— Chłopcy, uważajcie tam! Nie zaprószcie mi gdzie ognia! nie połamcie drabin! — wołał Siwiec raz po razu, upychając pod ścianami ciągle jeszcze nadchodzących łudzi i przepędzając do domu co mniejsze pędraki. — Chyba się całe Miasteczko zwaliło krom chorych i dzieci — myślał wodząc oczyma po ludziach — będzie ich tu ze trzysta. — Potem nakazał parobkowi wnieść stół i krzesło z poręczami dla bernardyna i zapalił jeszcze jeden kaganek, aby było widniej.

— Ale co oni tam tak długo z dziadem uradzają? — niecierpliwił się coraz więcej — chyba pójdę i do drzwi zastukam, czy posnęli, czy co?

W tej jednak chwili okienko w komorze babki pociemniało, a z sieni wyszedł spiesznie kwestarz. Cyran oświetlał mu drogę, rozpromieniony i uśmiechnięty, jakby się był litrem miodu samopas uraczył.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — krzyknął gromko bernardyn.

— Na wiek wieków, amen. — zagrzmiała w odpowiedzi cała stodoła.

Kwestarz usadowił się za stołem, obciągnął kaptur i związał go sznurem pod brodą. Przez wrota, których nie dało się domknąć, bo ludzie tam gęsto stali, szedł ciąg, aż płomienie lamp kładły się i podskakiwały. Zakonnik rozglądnął się dookoła i z uznaniem pokiwał głową.

— Ho, ho, sporo was się tutaj zgromadziło, moi mili. Widać, żeście tu, na Śląsku, świata ciekawi, zarówno niewiasty, jako i mężowie, Ano, powiem wam, co tylko wiem i co byście wiedzieć radzi, ku pożytkowi waszych serc i umysłów, a bez jakiejkolwiek obrazy boskiej. Zanim wam jednak opowiem, jako się godzi i należy, o miłościwie nam panującym ojcu św. Aleksandrze VII, opiekunie zakonników, przyjacielu wszelakiej nauki i wiedzy, tudzież o nieszczęśliwym naszym królu polskim, wielu klęskami doświadczonym, nabożnym a łaskawym Janie Kazimierzu, pozwólcie, że przedstawię wam dzieje zakonu, którego habit noszę — odkaszlnął i tak mówił dalej:

— Dwieście prawie lat mija, odkąd nasze zgromadzenie krzewi się w ziemi polskiej. Założycielem jego jest św. Bernard, któremu uczniem i przyjacielem najmilszym był św. Jan Kapistran. On ci Kapistran przybył na życzenie papieża i cesarza do ziemi austriackiej, czeskiej i śląskiej, głosząc wszędy kazania, werbując zakonników i zakładając klasztory. Być może, że i przez wasze Miasteczko przechodził. Pamiętam — Bernardyn chwilę się zastanawiał — że dwa, czy też trzy lata temu, gdy byłem na kweście w Mysłowicach, tamtejsi ludzie pokazywali mi miejsce w rynku, na którym Jan Kapistran kazał do ich pradziadków. Mówił po łacinie, a miejscowy pleban tłumaczył to na polski język. Tak też było i w Krakowie, gdzie Kapistran przybył prosto ze Śląska. A taka była sława świętości tego męża, że król Kazimierz Jagiellończyk z matką swoją, z kardynałem Oleśnickim i z dworem całym wyszedł mu naprzeciw. Nie minął ani rok, a na przedmieściu Krakowa, Stradomiu, z rozkazu królewskiego stanął kościół i klasztor Bernardynów. Za dwa lata nasi bracia włodarzyli już i w Warszawie, a za lat pięćdziesiąt mieli w ziemi polskiej, na Litwie i na Rusi 26 klasztorów.

Kwestarz przerwał, powiódł wzrokiem po zasłuchanych twarzach, natknął się na siedzącego niedaleko Cyrana i coś sobie przypomniał. Uśmiechnął się do starego i do Tomka, wyglądającego zza pleców dziada.

— Doszło do moich uszu — począł na nowo swą opowieść — że Miasteczko Śląskie słynie nie tylko ze swoich dzielnych górników i rudników, ale że macie wśród was równie tęgich kowali, a nawet ludwisarza — tu zakonnik skłonił głowę w kierunku mistrza Cyrana. — Tak wam tedy opowiem o wielkiej uroczystości w Krakowie, na którą przybyli mistrze od młota i kowadła i najsławniejsi ludwisarze nie tylko z Polski, ale także i z zagranicy, z Czech i państwa niemieckiego, a w szczególności z Norymbergii. A było to przed stu laty z okładem. Starzy krakowianie żywo jeszcze o tym opowiadają, co im przekazali ich ojcowe. Panował wówczas w Polsce król Zygmunt I, gospodarz mądry zapobiegliwy, a bardzo w naukach wszelkich obeznany. Interesowała go także sztuka odlewnictwa, z której słynęły Niderlandy, kędy lano dzwony olbrzymy. Kiedyś dowiedział się król, że w katedrze kolońskiej znajduje się dzwon ważący 25 ton i że gdy ten się odezwie, słychać go w całej okolicy na trzy mile. Król Zygmunt nie namyślał się długo. Kazał sprowadzić z Norymbergii mistrza Hansa Behema, rodzonego brata Sebalda Behema, sławnego już naonczas w całej Europie ludwisarza. Kazał dla mistrza Hansa pobudować kamienicę wielką w Krakowie, i tak się to wszystko zaczęło. Mistrz robił formy, próbował, szykował różne mieszanki miedzi, ołowiu i cyny, poniektórzy mówią, że i srebrne grosze i talary złote w tajemnicy przetapiał i do mieszanki dolewał, aż nareszcie odlał dzwon olbrzymi, największy w całej polskiej ziemi. Zawieszono go w katedrze na Wawelu i Zygmuntem nazwano ku czci mądrego króla. A głos dzwonu jest wspaniały i potężny. Gdy zadzwonią w Zygmunta na Boże Narodzenie to słychać aż do Wielkanocy.

— Ooo, to ci dopiero! — wyrywały się okrzyki zdumienia i podziwu.

— Od godów do Wielkanocy! Dziwejcie się ludkowie!

Bernardyn odczekał chwilę, aż minęło to głośne zadziwienie, a potem dorzucił, z chytrym uśmieszkiem w brodzie.

— Wielkanoc nie oznacza tu, jak sobie w tej chwili myślicie, Zmartwychwstania Pańskiego, ale jest to taka sobie nieduża wieś o trzy mile od Krakowa.

Ten i ów zmiarkował od razu krotochwilę kwestarza i roześmiał się głośno.

Tomek Siwiec słuchał wszystkiego jak oczarowany. Policzki mu płonęły i oczy, a w głowie dzwonił dzwon tak potężny, jak Zygmunt. Cyran odwrócił się ku niemu, chciał o coś spytać i zaniepokoił się raptem.

— Masz chyba gorączkę?— chwycił wnuka za rękę, była jak ogień. — Idziemy do domu, jesteś chory. — Wstał ze stołka i skierował się do wyjścia rozglądając się za kowalową.

— Nie, dziadku — zaprzeczył chłopak — nic mi nie jest — ale nie sprzeciwiał się długo i przepychał się za starym ku wrotom. Odprowadzały ich zdziwione spojrzenia. Ale już w następnej chwili wszyscy zwrócili się znowu ku zakonnikowi, który wiódł dalej swoją gawędę.

Była już późna noc, gdy miasteczkowianie opuszczali kowalowe gumno. Rozchodzili się gwarnie i z ochotą, a Tomkowi, który majaczył w gorączce, zdawało się, że to ludzie walą ze wszystkich stron do Miasteczka na p oświęcenie nowego dzwonu, który on, Tomasz Siwiec, a nie żaden mistrz Hans, samodzielnie ulał. Rzucał się w łóżku, śmiał się, wymachiwał rękami, mówił o dzwonach i dzwonach.

Kwestarz wydobył z sakwy leki i zioła, w kociołku nad paleniskiem bulgotał wrzątek, nabierał cynową łyżką, to z tego mieszka, to znów z drugiego, potem przez płócienko przelewał i studził i czymś białym, pachnącym zaprawiał, a potem sam Tomka poił i czuwał przy nim, aż dobry sen zmożył chorego.

Nazajutrz młody czeladnik był znowu zdrowy. Gorączka, jak raptem przyszła, tak i odeszła. Babka uprosiła u Bernardyna owe zioła i powtarzała sobie półgłosem w komorze, jak się je zbiera, suszy i przygotowuje w potrzebie.

Zakonnik pobył w Miasteczku jeszcze dwa dni, aż do środy, a w czwartek o świcie wyruszył w drogę.

Nie był sam. Towarzyszył mu Tomek Siwiec, który u krakowskich sławnych ludwisarzy miał się uczyć pięknej sztuki odlewania dzwonów.

Babka, błogosławiąc go na drogę, powtarzała:

— Prędzej, synku, nie umrę, aż nie wrócisz z Krakowa i zrobisz dzwon dla naszego kościoła, żeby mi zadzwonił przy konaniu.

Bryka kwestarza była już o trzy mile za Miasteczkiem, a w kowalowej chacie wszystko jeszcze, prócz starego Cyrana, chodziło smętne i markotne. Matka chlipała w zapaskę, babce łzy kapały na różaniec, a Siwiec, zamiast iść do kuźni, pętał się to z sieni do izby, to znów z gumna do stajni.

W końcu wybuchną!:

— Zmarnują mi synka w świecie! Taki był z niego dobry kowal, a będzie marny konwisarz!

Cyran nie odzywał się. Milczał przezornie. Wiedział, że to żal za synem ćmi ojcu myśl i mądre rozeznanie.

— Zamiast kuć rzetelne koła i lemiesze z dobrego żelaza, będzie przetapiał cynowe łyżki, talerze i konwie dla pijaków w karczmie? Konwisarz — rzucił jeszcze raz ze złością i trzasnął drzwiami.

— No, poszedł do kuźni — oświadczył dziad z ulgą. — Jeszcze mi będziesz dziękował, Pietrku, oj dziękował, za tego... konwisarza — dodał z uśmiechem przypominając sobie młodość, gdy i jego częstowano tym przezwiskiem.

W Miasteczku był dzień chorych. Żygliński proboszcz odwiedzał z Panem Jezusem swe zreumatyzowane, sparaliżowane i wiekiem sterane owieczki. Babka Cyranowa też czekała tych odwiedzin. Już ósmy miesiąc nie ruszyła się z łóżka tknięta paraliżem od lewej strony serca. Prawa ręka sama musiała sobie radzić z paciorkami różańca.

Agnieszka przygotowała stolik, poprawiła kwiatki w dzbanuszku, obciągnęła jedwabną, haftowaną chustkę na głowie babki. Siwe, lśniące pasma włosów wymykały się spod miękkiej tkaniny strojąc czoło starki w srebrny diadem.

— Agnieszka, jeszcze ciaśniej zwiąż mi chustkę — rozkazała.

— Babko, ale tak jest ładnie — wnuczka przygładziła lekko białe pasmo na skroni — prawda, mamo, że babka dobrze wyglądają?

— Już ty mnie nie strój jak do ślubu! Idź lepiej do dzieci, niech tak nie hałasują i niech się nie bawią świecami!

Agnieszka rzuciła ostatni raz uważnym okiem po komorze babki, wygładziła obrus na stole, zerknęła ku piecowi, gdzie matka gotowała winną polewkę dla księdza proboszcza, i wybiegła przed dom.

— Antek, Józek! — krzyknęła rozkazująco — mówiłam, żeby nie wychodzić na drogę. Czy ksiądz proboszcz doszli już do Pękatego?

— Prawie, co weszli! Zaraz będą u nas!

— No to już brać świece i klękać w sieni! A Zośka gdzie?

— Tu jestem! — najmłodsza pociecha kowalów wychodziła na czworakach z psiej budy — Burek ma pięć szczeniąt a nie trzy, jak mówił Józek.

— Zośka, jak ty wyglądasz? — Agnieszka już — już podnosiła rękę do klapsa, gdy posłyszała dzwonek ministranta. Wzięła małą szybko na ręce i wbiegła do sieni. Chłopcy z zapalonymi świecami klęczeli już na progu.

— Nie tak blisko, bo podpalicie księdza? — rzuciła się do skrzyni, wyjęła świeży fartuch i ustroiła weń Zosię. Chlapnęła wodą na umorusane rączki, wytarła, obciągnęła sterczące warkoczyki — Pan Jezus do nas przychodzi, zapomniałaś, co ci mówiłam?

— Nie, ale Burek wyskoczył i...

— Już dość o Burku! Klęknij i mów po cichu pacierz.

— A moja świeczka. Agnieszko? — przypomniała sobie mała.

— Teraz już się nie kręć! Słyszysz? — W sieni rozległy się kroki. Drobne, ministranta i ciężkie, proboszcza. Przeszli przez kuchnię i weszli do izby babki. Potem ministrant wyszedł i zamknął drzwi. Postawił swą latarkę na podłodze i obejrzał się na Antka. Kiwnął na niego, raz, potem drugi, ale Agnieszka ruchem głowy nakazała bratu, by się nie ważył ruszyć z klęczek.

Zza drzwi słychać było skrzypienie łóżka i niewyraźny głos babki, który wyznawał Bogu wszechmogącemu, Najświętszej Panience, archaniołowi Michałowi, Janowi Chrzcicielowi i wszystkim innym świętym, a także żyglińskiemu proboszczowi, drobne, drobniusieńkie przewiny z całego miesiąca. Nie wyznawała długo, bo niedużo było tych przewin i po chwili, gdy przebrzmiał gruby głos proboszcza, co chorą rozgrzeszał, otworzyły się drzwi, by córka i wnuki widzieć mogli, jak Pan Jezus wstępuje w duszę ich sparaliżowanej babki.

Potem zdjął ksiądz proboszcz stułę i komżę i rzucił święte szatki ministrantowi. U Siwców kończył zwykle swe obchody, lubił pogawędzić z babką, której złe choróbsko nie odjęło myśli mądrej i pogodnej.

— To na przyszły miesiąc obchodzicie rocznicę śmierci waszego męża?

— A tak, księże proboszczu, ani się człowiek nie obejrzał, a rok przeleciał — przytaknęła starka. — I cięgiem żałuję, iż nieboszczyk nie doczekał powrotu Tomka, ani też naszego kościoła w Miasteczku.

— No, kościół macie na bezrok gotowy, jak mi się widzi. Zabraliście się tęgo do rzeczy — rzekł proboszcz z uznaniem. — Widzę, że prawie wszyscy mężczyźni, i młodzi i starzy, pomagają przy zwózce drzewa i ciesiołce. Dzisiaj dojrzałem przy pile i Wawrzyna Wodarczyka i tego starego, kulawego Błażeja, no, jak mu tam, mieszka na Chmielniku?

— A, Jarząbek, — przypomniała babka w lot — będzie ze dwa lata starszy ode mnie, a jeszcze przy pile, no, no, — kiwała z podziwem srebrną głową.

Gdy zmiarkowała, że jedwabna chustka znowu jej się obsunęła, zrzuciła ją z głowy i burknęła:

— Agnieszka, gdzie moja stara chustka? Ksiądz, proboszcz darują, ale nie mogę tego ścierpieć na głowie. Schowajcie mi to do trumny!

Zapachniało anyżkiem i goździkami. Siwcowa postawiła przed proboszczem dymiący kubek, a drugi podała babce. Złapała go mocno i przechyliła do ust.

— Dobre, — pochwaliła — Wojtek nieboszczyk nie cierpiał piwa, ale taką polewkę pijałby trzy razy do dnia. Aha, Wojtek — przypomniała sobie — ponoć Wojtek Luboś funduje krzyż na dwa metry do babińca?

— Ano tak — poświadczył proboszcz — przyniósł zeszły piątek spory trzos talarów. A Tobolik, ten z Dębiny, też dał mieszek srebrnego grosza. No, a co będzie z dzwonem? Tomka jak nie widać, tak nie widać z tego Krakowa — żartował.

— Już księdzu proboszczowi mówiłam, że na wiosnę wraca. Jak tylko skończy tę muzykę. Jak to znowu biją te dzwony, Agnieszka? Jakie to są te melodie? jak na gloria, na prefację, na Salve Regina...

— Jak na pater noster, i na Te Deum — podpowiadała Agnieszka.

— Co też to za wielki kunszt, ulać taki dzwon, by dzwonił pod te różne melodie! — wzdychała — i Tomek musi to wszystko pojąć.

— A was, babko, duma rozpiera, że macie takiego wnuka! — śmiał się proboszcz.

— Nie wypieram się wcale. W naszym rodzie zawsze znajdzie się taki, co nie poprzestanie na zwyczajnym kowalstwie.

— A mnie się coś widzi, że Tomek ani na ludwisarstwie nie stanie, ale pójdzie dalej — powiedział żygliński proboszcz nie spuszczając oczu z babki. — Rozumiecie, co mam na myśli?

— Rozumiem, rozumiem księże proboszczu — mówiła babka wolno — ale to już nie nasza wola, tylko wola Boska.

- -

Tomek Siwiec wrócił z wiosną roku Pańskiego 1666 do Miasteczka Śląskiego. W tych to dniach błogosławieństwo dni krzyżowych spłynęło na zieleniejące pola i na szyby górników kopiących węgiel, i na sztolnie rudników dobywających kruszce ołowiu i rudę żelazną. Miasteczko kwitnęło dobrobytem i słonecznym pokojem. Na wschodnich rubieżach Polski dzielne hetmany biły wrażego Turka, ale na Śląsku powoli zapominano o wojnie. Dzieci nie bawiły się już w żołnierzy i rozbójników, ale w kowali, cieśli i woźniców. Tomek przemierzył kawał śląskiej ziemi, wszędzie widział białe dyle nowych płotów i nowych chałup. A w rodzinnym mieście czekał go nowy kościół.

Wznosił się nad niskimi zagrodami, jasny, lekki, jakby oderwany od ziemi. Spiczasty, ostry dach prostą linią przecinał niebo. W okna niedokończonej jeszcze wieżyczki zaglądała czerwona tarcza słońca. Zachodziło za lublinieckie bory, wróżąc pogodne dni.

Tomek stał i patrzał. Kościół wydał mu się piękniejszy, niż wszystkie kościoły krakowskie razem wzięte, piękniejszy niż sama katedra na Wawelu. Spojrzał wokoło, czy nikt nie widzi, i wytarł rękawem mokre oczy. A potem uklęknął i ucałował żółty piach na drodze.

Ściemniało zupełnie, gdy mijał kuźnię. Zajrzał przez zamknięte wrota, przypomniał dziada Cyrana i małą glinianą formę dzwonu. Uśmiechnął się.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — krzykliwy glos jakiegoś wyrostka wyrwał go z zadumy. A potem dosłyszał jeszcze, jak chłopak, pędząc ku chałupie, wolał głośno:

— Mamo! kwestarz idzie! braciszek! mamo!

Ruszył szybko przed siebie, kryjąc głowę i twarz w kapturze.

Gdy stanął na progu izby w tym zakonnym przyodziewku świętego ojca Bernarda, buchnął ku niemu płacz, śmiech i krzyk. Ściskano go, całowano, twarz miał mokrusieńką od łez matczynych, siostrzanych i swoich. W końcu dostał się w mocne ramiona ojca, ale w tej samej chwili usłyszał głos babki. Jednym skokiem był w komorze.

Bardzo silne musiało być jeszcze to serce osiemdziesięcioletniej, sparaliżowanej kobiety, skoro nie pękło od nadmiaru nagłej, nieoczekiwanej

radości. Kazała przynieś lampę jedną i drugą, aby w pełnym świetle oglądać wnuka w brunatnym habicie i zdrową ręką gładzić szorstki mankiet.

Nazajutrz Tomek powiesił habit na kołku i przebrał się w kapotę ojca. Nie była wcale za duża, może tylko w barach trochę luźna. W kuźni znalazł się dla niego nowy, skórzany fartuch, ale ani tego dnia, ani też następnego nie zdążył go przypasać, ludzie walili do kuźni jak w dym, witać młodego ludwisarza, co poszedł w bernardyny. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca...

Na świętego Wojciecha, biskupa i męczennika, patrona dziada Cyrana, zabrał się Tomek, teraz już brat Gaudenty, do zbożnego dzieła. Przy kościele wznoszono już szeroką, masywną dzwonnicę, w której miało zabić serce jego dzwonu. Żygliński proboszcz wstępował teraz prawie co dnia do kuźni i przyglądał się ciekawie przygotowaniom młodego ludwisarza. Wszystko robił sam, nie chciał wyręczać się czeladnikami. Mieszał glinę, rozcierał każdą grudkę, dosypywał lekkiego, srebrnego popiołu. Kruszce miedzi i cyny, które mu przywożono, badał dokładnie w palcach i patrzył długo pod światło.

— Od tego wszystkiego zależy, czy dzwon nie pęknie, czy będzie gładkie miał ściany i piękny, czysty ton — mawiał do proboszcza, gdy ten się dziwił jego żmudnej dokładności.

Lato było już w pełni i zboża żółciły się na polach, gdy przed kuźnią, na mocno ubitej ziemi wyrosła z gliny lekka a mocna forma dzwonu. Górnicy nie zeszli dziś do szybów, w sztolniach nie było rudników, niewiasty odbiegły od garnków. Kto żyw, biegł tego słonecznego ranka przed Siwcową kuźnię, drapał się na płoty i wozy, by dojrzeć narodziny dzwonu.

Tomek-Gaudenty był tego dnia w habicie, narzucił nań tylko swój kowalski fartuch, a szerokie rękawy podwinął za łokcie i spiął klamerkami. Czeladnicy kowalscy wraz ze swym mistrzem, Piotrem Siwcem, strojni w białe koszule paradowali jak od wielkiego święta. Skórzane fartuchy wyglansowali aż do połysku, jak i buty z wysokimi cholewami. Czupryny, zazwyczaj rozczochrane i zmierzwione, były gładko ułizane, bądź wodą, bądź też i masłem.

Na twarzach rumieńce, w oczach podniecenie, w ruchach gorączkowa niecierpliwość.

Proboszcz żygliński skropił obficie święconą wodą glinianą formę, narzędzia ludwisarskie złożone rzędem na skrzyni i z daleka machnął

kropidłem w stronę olbrzymiej kadzi zawieszonej nad paleniskiem. W tej kadzi bulgotał i warzył się do ostatka tajemniczy metal, z którego miał powstać dźwięczny dzwon.

Młody ludwisarz w skupieniu po raz ostatni badał formę, a potem długo przyglądał się bańkom tworzącym się na połyskliwej tafli płynnego kruszcu. Potem przeżegnał się, dał znak ojcu i czeladnikom. Wyrwano czop kadzi. Sycząc i skwiercząc runął strumień żelaznego ukropu w gliniane ściany. Ludzie wstrzymali oddech.

Czy lekka, krucha forma nie pęknie pod naporem wrzącej lawy?

Piotr Siwiec czeka w naprężeniu. Czuje, jak serce wali mu młotem. Jego syn dopiął tego, w co on, ojciec, nie chciał nigdy uwierzyć. Nie wierzył dziadowi Cyranowi, ranił go boleśnie swą niewiarą, a teraz oto, na jego oczach i oczach całego Miasteczka, rodzi się dzwon. Rodzi się dzwon, wyczarowany pracowitością i wytrwałością jego pierworodnego.

Tomek nie spuszcza oka z zapełniającej się powoli formy. Pot spływa mu ciurkiem z czoła, nie ociera go, zajęty jedną, wszechwładną myślą. Oto spełnia się marzenie jego chłopięcych snów. Jaka szkoda, że dziadek, jego pierwszy nauczyciel, jego wierny wspólnik i opiekun, nie doczekał tego dnia chwalebnej próby wnuka w rodzinnym Miasteczku.

Daje ponownie znak. Zrywa się syczący strumień, forma wypełniona już po brzegi. Nigdzie nie pękła ani zarysowała się. Trzyma w swych kruchych ścianach tężejącą masę, nadaje jej kształt na wieki. A sama za chwilę, spełniwszy do końca swoje wielkie zadanie, rozpadnie się pod uderzeniem młota w bezużyteczne, niepotrzebne już nikomu skorupy.

Tomek podchodzi do ojca. Udaje, że nie dostrzega łez w zaczerwienionych oczach kowala. Uśmiecha się bezradnie, jakby przepraszał za to, co dzieje się przed kuźnią.

— Dobra forma. Strzymała tę śpiżową strawę — żygliński proboszcz podszedł do młodego ludwisarza i klepnął go poufale po plecach. — Chciałbym mieć taki żołądek. Wtedy nie buntowałby mi się po lada tłustej polewce.

— Ani też po kwaśnym piwie! — dorzucił kowal ze śmiechem.

— No, no, panie majster — pogroził proboszcz palcem — żebym wam tylko nie przypomniał z czyjej beczki było to piwo! No, i co dalej, nasz zacny ludwisarzu — zwrócił się do Tomka — długo jeszcze będą trwały te ceremonie? Ciekaw jestem końca twojego dzieła, jak i ci wszyscy tutaj,

którzy nie myślą rozejść się do domów, jakby to dzisiaj było święto a nie zwyczajny dzień roboczy.

Tak było naprawdę. Ludzie nie rozchodzili się, stali grupkami pogwarzając, kręcili się po kuźni, oglądali z bliska formę i pytali Tomka o szczegóły.

Aż w końcu uderzyły młoty w glinianą skorupę. Nie stawiała oporu. Pękła i rozleciała się w kawałki, niepotrzebna już nikomu.

Oczom zgromadzonych ukazał się dzwon. Połyskiwał złotawo, tajemniczo, i zdał się wszystkim jak żywy.

Chwilę trwała cisza, a potem poderwał się w niebo jubel i gwar. Podrzucono czapki w górę, brano się w ramiona, podskakiwano jak w tańcu i wiwatowano ku czci Tomka. Ogromna radość i duma ogarnęła ludzi z Śląskiego Miasteczka.

Te wesołe krzyki dobiegły i do izby babki Cyranowej. Na skrzywionej paraliżem twarzy zajaśniał uśmiech takiego szczęścia, jakby babka dojrzała rozwarte niebo, wszystkich świętych i cherubinów, i swego męża nieboszczyka wśród nich. Rozpłakała się głośno, wspomniawszy na zmarłego.

— Nie doczekałeś, Wojciech, dzisiejszego dnia, choć tak bardzo tego chciałeś, ale ani chybi patrzysz się na wszystko, tam, z góry. A jeśli się nie patrzysz — przemawiała głośno do swego męża — to ci wszystko niezadługo opowiem. Bo teraz już na mnie czas, — najwyższy czas... — Stara kobieta zamknęła oczy i wsłuchała się w nierówne bicie swego serca.

W wigilię Bartłomieja apostoła, 23 sierpnia roku Pańskiego 1666, kościół w Miasteczku Śląskim był gotowy. W przestronnej, mocno pobudowanej dzwonnicy zawieszono nowy dzwon. Gdy po raz pierwszy silnym i pięknym dźwiękiem zabiło jego serce, serce babki Cyranowej przestało bić na zawsze.

„Gość Niedzielny”, nr 20/1960, s. 6; nr 21/1960, s. 6; nr 22/1960, s. 6; nr 23/1960, s. 6; nr 24/1960, s. 6.

JADWIGA KUCIANKA

Historyjka o konkursie, o żłobie i słomie

Anka postanowiła, że tym razem dzieci o wszystkim się dowiedzą. Są już na tyle „dorosłe", by zrozumieć i godnie przyjąć wielką tajemnicę. Pozostaje tylko do ustalenia, kto im o tym powie, czy ona, czy też babcia. A może Józek? Czemu nie? niechże się raz wreszcie włączy faktycznie w akcję świadomego wychowania swoich dzieci.

Ale Józek oświadczył od razu, że się do tego nie nadaje, że nie ma zdolności pedagogicznych i że w ogóle. To było właściwie do przewidzenia.

Anka zwróciła się więc do swojej matki.

— A może by im tak babcia powiedziała? — pytanie rzucone było niepewnie. Anka wiedziała, że matka wcale nie pochwala tak zwanych nowoczesnych metod wychowawczych.

— Co mam im powiedzieć? — babcia miała taką minę, jakby absolutnie nie domyślała się, o co chodzi.

— No, że będą miały braciszka albo siostrzyczkę, czy ja wiem — denerwowała się Anka.

— Dzieci już wiedzą.

— Jakto? skąd? mama im mówiła?

— Mówiłam — babcia mówi zwyczajnym głosem, ale minę ma triumfującą.

— O, to dobrze! Bardzo mamie dziękuję — Anka uśmiecha się wdzięcznie — właściwie chciałam im wszystko sama powiedzieć, ale jakoś nie mogłam się zdecydować. Ewa zadaje czasem takie dziwne pytania.

— Właściwie, bałam się, że Ewunia dowie się o tym gdzieś na ulicy od starszej koleżanki, i to w sposób niewłaściwy, szkodliwy. Wiesz, powiedziałam im po prostu, że na gwiazdkę w tym roku będą miały żywe Dzieciątko.

— Coś podobnego!

— Adaś uwierzył dosłownie. Miałaś widzieć jego entuzjazm! W pewnej chwili oświadczył, że zbuduje prawdziwy, duży żłóbek — przy pomocy tatusia, oczywiście — taki, jaki widział w Syryni u cioci Agnieszki. Że przecież skoro już będzie prawdziwe dzieciątko, to nie może być kołyska ani wózek, tylko prawdziwy żłóbek.

— No, wyobrażam sobie, jaki z tego może być ambaras — śmieje się Anka. — A Ewa, mamo? jak Ewa zareagowała?

Anka poważnieje. Jej ośmioletnia córa, samodzielna, myśląca, dociekliwa, wprawiła ją nieraz w kłopot swymi dobitnymi sformułowaniami, czy to na temat religii, czy też gdy chodziło o inne poważne sprawy.

— Ewa przyjęła to bardzo poważnie. Długo nic nie mówiła, a potem szepnęła mi do ucha, widocznie żeby Adaś nie słyszał: „Czy mamusia jest bardzo chora. Czy ją bardzo boli?" Podpatrzyła kiedyś, jak zażywałaś proszki. Wytłumaczyłam jej to i owo — streszcza babcia, dodając z lekkim wyrzutem — powinnaś była, Aniu, zauważyć, że dzieci bardzo się zmieniły od pewnego czasu.

— Zmieniły? dlaczego? — Ania jest zaskoczona. Raptem coś sobie przypomina: Ewa zrezygnowała wspaniałomyślnie z nowych butów do łyżew na gwiazdkę. A Adaś powiedział, nie dalej jak wczoraj, że wcale mu się już nie podoba ten elektryczny pociąg, który ma Michaś od sąsiadów... że wolałby na gwiazdkę kolorowe bajeczki.

— Ach, to tak! — mówi Ania — teraz już rozumiem. Widzi mama, byłam za bardzo sobą zajęta i tym małym, które się ma narodzić, nie poświęcałam im ostatnio wiele uwagi — tłumaczy się zawstydzona.

Za to dzieci poświęcały jej całą swoją dziecięcą uwagę, gotowe w każdej chwili do pomocy i do drobnych ofiar. Hamowały swoją zbytnią hałaśliwość i karciły się nawzajem za natarczywość w pytaniach. Nie grymasiły przy zupkach, nie napraszały się jak zwykle o łakocie. Chodziły bez szemrania po mleko i po bułki. I czyściły buciki, i myły ręce bez upominania. Adaś nawet udawał bohatersko, że pokochał cowieczorne szorowanie nóg, żeby tylko mamusia się nie martwiła.

Oczywiście tatuś też na tym wszystkim skorzystał; dzieci przynosząc mleko, kupowały i Dziennik w Ruchu — dawniej często o tym zapominały, albo po prostu twierdziły, że był ogonek. Przynosiły „Giewonty" o każdej porze dnia, pilnowały, by zapałki były na swoim miejscu, no a przede wszystkim nie grzebały w papierach tatusia — bo o to i mamusia się gniewała.

Już w ubiegłym roku chodziły na roraty, ale nie za często. A teraz to było wprost nie do uwierzenia, wstawały o wpół do szóstej, dzień w dzień, i maszerowały piętnaście minut do kościoła! Nie raz w deszczu, bo taka już ta nasza obecna zima.

— To niezdrowo, za mało śpią — mruczał Józek — to pachnie dewocją — dodawał już znacznie ciszej w obawie przed babcią. Ale w końcu sam wybrał się z nimi trzy, a może nawet cztery razy na roraty, rzekomo dlatego, że babci groziła grypa.

Tuż przed św. Mikołajem Adaś oświadczył kategorycznie, że w tym roku nie wyśle listu do św. Mikołaja.

— Proszę bardzo — rzucił tatuś zza Dziennika — ale dlaczego? przestałeś kochać św. Mikołaja? — żartował.

— Wcale nie — mały bliski był płaczu — tylko że Ewunia powiedziała, że teraz ważniejsze są buciki dla naszego dzieciątka, a nie czekoladki dla mnie i dla Ewy.

— Ach tak, słusznie, bardzo słusznie — Józek trzeźwo przytakiwał, ale wzruszoną twarz ukrył przezornie za płachtą gazety. Tylko Ania nie wytrzymała i uściskała swego małego bohatera.

Minęła pierwsza i druga niedziela adwentu. Zbliżała się trzecia, radosna, różowa, jak mawiały dzieci. W tę niedzielę właśnie miał się odbyć ów konkurs, tak gorąco oczekiwany przez dzieci. Babcia — bo któż inny wpadłby na taką myśl? — była jego autorem. Ewa i Adam, każde z osobna miały wymyślić imię świętego i świętej, które ściśle łączyłoby się z nowonarodzonym Dzieciątkiem Jezus.

— Ale wykluczone są imiona trzech świętych króli — zastrzega się babcia, aby utrudnić zadanie.

— A czy mogą być imiona pastuszków? — upewnia się Adaś.

— Jakie na przykład? — babcia jest nieufna i wietrzy bliskie niebezpieczeństwo.

— Bartek! Maciek! Kuba! — strzela chłopak jak z procy.

Ewunia krzywi się. Babcia zastanawia się dyplomatycznie, jak wyjść obronną ręką z tej opresji. Nareszcie wymyśliła.

— Widzisz, Adasiu, to są właściwie imiona apostołów, Bartłomiej, Maciej, Jakub, bardzo ładne, naprawdę — dodaje z przekonaniem widząc posmutniałą twarzyczkę malca — ale Apostołowie nie mają nic wspólnego z małym Dzieciątkiem. Zresztą, nie martw się. Jeszcze masz dużo czasu. Konkurs daleko. Jeszcze wymyślisz.

Potem zaczęło się wertowanie Miarkowych Żywotów Świętych i przeglądanie wszystkich obrazków w książeczkach do nabożeństwa. Ania podejrzewała nawet, że Adaś zwierzył się ze swego zmartwienia księdzu

wikaremu. I poważnie dyskutowała ze swym pięciolatkiem, który wprost przytłaczał ją swoją wiedzą hagiograficzną.

To było w ogóle bardzo dziwne, że wszystkie dzieci Ani przyszły na świat tuż przed wigilią. Stąd imiona Ewy i Adama.

Ania sądzi, że to pewnie dlatego, że zawsze, od niepamiętnych czasów marzyła o tym, by zasiadać do stołu wigilijnego w gronie dzieci, które tak prawdziwie i głęboko przeżywają Boże Narodzenie. Sama była jedynaczką. Z nikim, z żadnym rówieśnikiem nie mogła dzielić swej świątecznej radości z szopki, z choinki, z podarków. No i te kolędy śpiewane tak chudo, tylko z mamą, czasem z tatą. Już wtedy właśnie Ania postanowiła, że u niej, w jej własnym domu, będzie inaczej. Tam nie będzie dziecka, tam będą dzieci. I może dlatego właśnie po raz trzeci oczekiwanie swoje łączy z czasem adwentowym.

No i nareszcie jest ta trzecia niedziela adwentu, dzień wielkiego konkursu. Adam chodzi po mieszkaniu z miną tryumfatora i z nieukrywaną litością patrzy na Ewunię. A Ewunia spokojnie przygotowuje karteczki do losowania imion.

Po nieszporach zasiadają wszyscy do stołu. Nawet tatuś. Twierdzi, że przedstawia sobą jednoosobowe jury, że będzie mieszał owe „Losy".

— Ale ja będę ciągnął! I Ewunia też! — upewnia się Adaś.

— Oczywiście, synu.

Babcia otwiera konkursowe zebranie. Prosi, by najpierw Ewunia, a potem Adaś, przedstawili swoich świętych kandydatów. Potem owe imiona wypisze się na kartkach i odbędzie się ciągnienie losów.

Ewa, zawsze nader spokojna, jest tym razem mocno zaangażowana. Wstaje z krzesła, jak do prawdziwego referatu, i recytuje cienko:

— Wybrałam imię św. Teresy, tej od Dzieciątka Jezus, i imię św. Krzysztofa, który nosił na swoich plecach malutkie Dzieciątko Jezus.

Babcia jest zaskoczona. Ania i Józek też.

— Ale wymyśliła! — dziwi się Józek. Po prostu przypuszczał, że padnie imię Maryi i Józefa, no, może i Gabriela, co zwiastował.

— Czy mogę już powiedzieć moje imiona? — niecierpliwi się Adaś.

— Zaraz, chwileczkę — mówi babcia — musimy się zastanowić, czy przyjmujemy kandydatów Ewuni. Co ty na to, Aniu?

— Owszem, zgadzam się. Dobrze wymyślone.

— A tatuś?

— Zgadza się również.

Ewa promienieje.

— A ja wybrałem św. Agnieszkę i Franciszka! — dwa głośne strzały najmłodszego. Czy też aby celne?

— Jakiego św. Franciszka? — babcia ostrożnie bada teren. — Czy tego z Asyżu?

— Ale dlaczego? a dlaczego św. Agnieszka? co ona ma wspólnego z dzieciątkiem betlejemskim? — niecierpliwi się jednoosobowe jury.

— Bo św. Agnieszka, tatusiu, trzyma owieczkę, o tu, popatrz — Adaś pokazuje barwny obrazek świętej — a przecież owieczki przyszły razem z pastuszkami do stajenki, prawda, babciu?

— Tak jest — zapada nieodwołalny werdykt babuni.

Ania przyciąga do siebie synka i ściska go.

— Ślicznie to wymyśliłeś.

— No, no, jeszcze bez gratulacji — odzywa się tatuś-sceptyk. — Proszę jeszcze o bliższe szczegóły do św. Franciszka z Asyżu.

— Bo św. Franciszek pierwszy zbudował stajenkę! — chłopak aż podskakuje z uciechy — stajenkę z wołem, z osłem...

— i z owieczkami — dodaje Józek cicho, niepomny groźnego spojrzenia babci.

— A tak, tatusiu, zapytaj się księdza wikarego. Jeżeli mi nie wierzysz! — Adaś zdradza się niebacznie ze swoich konszachtów z księdzem, o które go Ania słusznie podejrzewała.

— Imiona Adasia jednogłośnie przyjmujemy — oznajmia babcia. — Teraz losowanie.

Do Józkowego kapelusza wrzucono cztery karteczki z wypisanymi imionami. Najpierw ciągnie Adam. Przeczytał: Teresa od Dzieciątka Jezus. Potem Ewunia. Czyta: św. Agnieszka. Losowanie było nieważne, nie było męskiego imienia.

Drugie losowanie też unieważniono, bo dla odmiany wyciągnięto dwa męskie imiona. Dopiero przy trzecim ciągnieniu Józek tak energicznie przemieszał losy, że wypadło wszystko dobrze: Adaś wyciągnął z kapelusza św. Krzysztofa, a Ewa św. Agnieszkę. I wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Ania martwiła się tylko tym żłóbkiem, który Adam majsterkował.

— A jeżeli drzazga wejdzie naszemu dzieciątku do raczki? — perswadowała ostrożnie.

— Drzazga? ależ mamusiu, to będzie jeszcze oheblowane!

I faktycznie heblował — a babcia trzęsła się nad nim, żeby sobie palca nie uciął — potem raszplował, w końcu sklejał i zbijał. Józek mu pomagał i dowcipkował sobie z niepokojów Ani.

— Ty sądzisz, że to conajmniej madejowe łoże, a tymczasem to kołyska betlejemskiego królewicza!

Na dwa dni przed wigilią Adaś przytaskał ćwierć snopka słomy. Część rozsypał na ulicy i w klatce schodowej.

— To do żłóbka — oznajmił dumnie. Informacja była zbyteczna. Wszyscy się tego domyślili, gdy ujrzeli w drzwiach chochoła, pod którym ginął przedszkolak.

Dociekliwy umysł ojca pragnął innych informacji.

Gdzież on tu w mieście zgrandził ten snopek? — deliberował.

— Skąd to masz? — rozpoczął pojednawczo.

— Od Pawełka. Jego tatuś pracuje w pegeerze. Pawełek go prosił, żeby przywiózł dla mnie słomy do żłóbka.

— Aha. — Sprawa była jasna. Jak ta słoma.

W wigilię, wcześnie rano, Ania powiła dziewczynkę. Agnieszkę. Tak nakazywały wyniki konkursu.

Dość gładko wyperswadowano Adasiowi, że dziewczynki nie można kłaść do żłóbka. Że gdyby był chłopiec, to czemu nie. Ale dziewczynka?

Najpierw się bardzo chmurzył, nawet ubieranie choinki go nie cieszyło, ani cichcem przez babcię podsuwane makówki do k osztowania. A potem nagle poweselał.

Równie nagle rozpłakała się Agnieszka w łóżeczku. Nic nie pomagało uspakajanie, ani noszenie małej, ani karmienie, ani przeciągłe nucenie Ewy i babuni na przemian. Niemowlę płakało coraz głośniej i kręciło się coraz rozpaczliwiej w swoich poduchach. Już Józek chciał gonić po lekarza. Dopiero gdy Agnieszkę na nowo przewinięto, okazało się, że leży goluśka na szorstkiej, kłującej słomie.

— Adam, chodź no tutaj — Józek rozpoczął surowe dochodzenie. — Jak mogłeś to zrobić? — I już ręka podniosła się do sprawiedliwego wymiaru kary, ale uwięziła ją w powietrzu replika babci.

— Józek, przecież dziś wigilia!

— Dobrze, wigilia. Ale dlaczego się go trzymają takie głupie kawały?

— Tatusiu, nie pozwolicie położyć mi jej do żłóbka. A sam twierdziłeś, że żłóbek jest bardzo wygodny — broni się Adam — więc dałem jej przynajmniej troszkę słomy. Przecież się urodziła w wigilię, tuż przed prawdziwym Dzieciątkiem. A ono też leżało na słomie. I pewnie też je kłuło. I może nawet płakało — prawda, babciu? —nieodparte, tradycyjne wezwanie o pomoc pod adresem tej, której decyzji i tatuś musiał się zwykle podporządkować.

Tym razem również.

„Gość Niedzielny", nr 51/1960, s. 3 – 4.

Rok 1961

JADWIGA KUCIANKA

Maryjne żniwobranie we Wrocławiu

Zaczęło się od tego, że na posiedzeniu Komisji Maryjnej Episkopatu Polskiego powzięto uchwałę tej treści: w archidiecezji wrocławskiej odbędą się Dni Maryjne. Odbędą się w ścisłym związku z Wielką Nowenną, aby dopomóc w realizowaniu Jasnogórskich ślubowań. Odbędą się w archidiecezji wrocławskiej, która szczyci się posiadaniem najliczniejszych i najstarszych sanktuariów maryjnych.

Uchwała zapadła w Warszawie. We Wrocławiu przystąpiono od razu do jej realizacji. Powstał sztab maryjny złożony z księży, alumnów i zakonnic. Szybkie palce wystukiwały na maszynach pierwsze konspekty Dni Maryjnych. Alumni rozjeżdżali się po dolnośląskich sanktuariach maryjnych w charakterze reporterów z notatnikiem i kamerą fotograficzną. Na konferencjach omawiano cały materiał i selekcjonowano. Dzwoniły telefony na nutę Dni Maryjnych. Na Tumskim Ostrowiu, długo przedtem, nim zaczęły się oficjalne Dni Maryjne, gorące umysły i nieznużone dłonie pracowały nad ich ukształtowaniem. Szef tego maryjnego sztabu, ks. biskup

ordynariusz, pilnował, doglądał i przynaglał, w myśl przysłowia o pańskim oku, co konia tuczy.

Program krystalizował się coraz bardziej. Klerycy-graficy gotowali już pędzle, redisy, tusz i bristol, aby na pięknych plakatach podać wrocławianom do wiadomości plan pobożnych imprez maryjnych. W zaimprowizowanych ciemniach klerycy-fotograficy stwarzali istne cuda. Ich kunszt można podziwiać na wystawie maryjnej w dolnym kościele św. Krzyża.

Owoc dojrzał żniwobrania. Maryjne żniwobranie ustalono na dni 13—20 sierpnia. Hasło Dni Maryjnych: Matka Boska na Śląsku. Cele Dni Maryjnych — tych jest sporo. Zaskakują. Rzutują w przyszłość, bazując na przeszłości. Oto te najbardziej sugestywne.

Wskrzesić kult wszystkich maryjnych sanktuariów na Śląsku, żeby zabłysły świetnością jako za czasów piastowskich. Nawiązać do dawnych tradycji religijnych łączących się z miejscami pątniczymi. Rozbudzić na Śląsku maryjną religijność, która jest rysem polskiej religijności. Wskrzesić i ukształtować kościelny śpiew ludowy, doprowadzić do renesansu Godzinek i pieśni maryjnych z Bogurodzicą na czele. Przez Maryję dojść do żarliwego życia sakramentalnego.

Program całego tygodnia jest imponujący i imponująco został wykonany. Poszczególne odsłony wprowadzą nas w to wrocławskie misterium maryjne.

Rozpoczęło się w niedzielę, 13 sierpnia: w starej katedrze, we wrocławskich pięknych kościołach i we wszystkich świątyniach dolnośląskiej archidiecezji. Z setek ambon głoszono kazania inauguracyjne: Śląsk ku czci Najświętszej Panienki.

Na ulicy Katedralnej mnóstwo ludzi. Przez most Tumski napływają ciągle nowi, pojedynczo, gromadą, w odświętnym charakterze. Te tłumy na Katedralnej przypominają odpustową niedzielę w Szopienicach lub na Rozbarku. Brak oczywiście straganów i karuzeli. Wrocławianie przyszli tu po co innego: kierują się nieomylnie do dolnego kościoła św. Krzyża, gdzie otwarto wystawę dolnośląskich sanktuariów maryjnych. Wystawa jest imponująca. Alumni wrocławskiego seminarium pod okiem swego rektora urządzili ją i technicznie i ideowo na celująco. Warto tej interesującej imprezie poświęcić godzinę, dwie, nawet trzy — nie byłyby zmarnowanym czasem.

Następny dzień, wigilia Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, to dzień matek. One pierwsze, w te Dni Maryjne, gromadzą się, by uczcić Matkę Boga. Różaniec, msza święta, nauka stanowa o Maryi, Matce pięknej miłości, pieśni maryjne — wszystko z przepełnionego żarliwością serca, ukoronowane Apelem Jasnogórskim. Potem, przy kilkunastu konfesjonałach, odbywały się długo osobiste, pokutne rozmowy.

Nazajutrz sceneria identyczna, zmieniają się tylko aktorzy. Ławki i ganki katedry zapełniają ojcowie. W skupieniu słuchają kazania — Ojciec, kapłanem rodziny — i podobnie jak ich żony i matki poprzedniego wieczora, skupiają się przy konfesjonałach.

W środę wieczorem, po matkach i ojcach, po rodzicach, kolej na dzieci w hołdowaniu Maryi. W ławkach ciasno, kolorowo i dziwnie wesoło, co nie oznacza wcale braku skupienia. Przeciwnie, dzieci z wielkim zapałem śpiewają Godzinki do Najświętszej Maryi Panny. Swoją drogą warto się zastanowić nad tym przedsięwzięciem i pokusić się o szerszą propagandę tych starodawnych maryjnych pieśni.

Na ten wieczór przypadała jeszcze jedna świetna impreza: hołd wszystkich chórów miasta Wrocławia, miasta, które liczy ponad trzydzieści kościołów. Hołd ten wyrażono wspólnym odśpiewaniem maryjnych nieszporów i chorału gregoriańskiego „Missa de Beata" w czasie ofiary mszalnej, celebrowanej przez biskupa Jakiela z Przemyśla. Kazanie było ściśle dostosowane do śpiewaczej braci — O Matce Boskiej w pieśni i muzyce. Ponieważ zaś w chórach skupia się przeważnie młodzież, uraczono ją jeszcze na zakończenie nauką stanową bardzo ciekawą i wręcz praktyczną: w jaki sposób Maryja może się stać naszym ideałem, w naszej epoce na wszystkich płaszczyznach naszego życia.

W czwartek, 17 sierpnia, już w rannych godzinach złożyli uroczyste homagium Maryi księża wrocławskiej archidiecezji. Przybyli z bliska i z daleka, niektórzy już poprzedniego dnia, w imponującej liczbie. Siedemset pięćdziesiąt biretów zapełniło katedrę. Na parafiach pozostały tylko skąpe dyżury — pogotowia dla duszpasterskiej posługi.

Wrocławianie, stłoczeni w kaplicach i krużgankach katedry, przeżywali niecodzienne emocje, spoglądając na tyle setek księży modlących się wspólnie w czasie Mszy świętej i śpiewających gregoriankę „De Angelis". Ks. biskup sufragan pontyfikował, ks. biskup ordynariusz głosił słowo boże o Hetmance, o Królowej kapłanów, Maryi.

Słowa— „podniosły”, „wzruszający” — są bardzo wyświechtane i należą wręcz do terminologii drętwej mowy. Ale jak tedy określić akt oddania się kilkuset księży, starych i młodych, gorliwych i mniej gorliwych Najświętszej Pannie? Trudno, to była faktycznie podniosła i wzruszająca chwila. Brać kapłańska wrocławskiej archidiecezji razem ze swymi biskupami łączyła się ważnym i odpowiedzialnym paktem z Maryją.

Nazajutrz, po odejściu rodziny kapłańskiej przyjmowała Matka Boska bliskie krewne tejże rodziny, siostry zakonne. Skrzydła sióstr Notre-Dame, Jadwiżanek, Józefitek, Boromeuszek, Urszulanek, Służebniczek dystyngowaną bielą i czernią wypełniły nawy katedralne. Dobrze, że i o tych pomyślano, które trudzą się przy łóżkach paralityków, niedołężnych starców, dzieci upośledzonych, które stoją na tych posterunkach, gdzie brak wszelkiego splendoru i głośnego uznania, gdzie nikt nie zazdrości ni posady, ni pensji.

Natomiast wieczorem przybyli nie tyle już krewni rodziny kapłańskiej, ile „powinowaci”, ich najbliżsi ‚współpracownicy’ — ministranci. Nawet człek bez wyobraźni może sobie wyobrazić, jak wdzięczny, barwny i rodzajowy tworzyli obrazek w swych świeżych komeżkach i czerwonych kołnierzach. Wspaniale, zresztą nie może być inaczej, recytowali Mszę świętą i równie wspaniale śpiewali swój hymn ministrancki.

Na sobotę, 19 sierpnia przypadały uroczystości centralne Dni Maryjnych. Na afiszu, pod czerwonym inicjałem S można było przeczytać: Spotkanie Episkopatu Polskiego z ludem Wrocławia. Godzina 18-ta, powitanie księży biskupów u bramy katedry, procesyjne wprowadzenie do katedry. Chór śpiewa „Gaude Mater Polonia”, porządkiem kierują wyznaczeni księża profesorowie, słowo powitalne z ambony głosi ksiądz biskup ordynariusz, mszę celebruje O. Generał paulinów z Częstochowy. Wierni śpiewają pieśni maryjne. Po mszy św. każdy z biskupów przemawia siedem minut do zgromadzonych.

O godzinie piątej po południu wszystkie miejsca siedzące i „widzące” były już zajęte w katedrze. Zaś parę minut przed szóstą żadną siłą ludzką nie można się było przebić przez mur ludzi do wnętrza kościoła. Wewnątrz głowa przy głowie, nie było mowy o jakimkolwiek przyklęknięciu na znak biskupiego błogosławieństwa. Dziw, że ludzie w tym wzajemnym dobrowolnym ucisku śpiewali nabożnie i — co trzeba szczególnie jakoś podkreślić — śpiewali rytmicznie, jak w Mysłowicach lub w Piekarach.

Rzecz o tyle znamienna, że na Górnym Śląsku kultura ludowego śpiewu kościelnego sięga dawnych czasów, tu natomiast, na D olnym Śląsku, wytwarza się dopiero tradycję wspólnego śpiewu wśród ludzi przybyłych z różnych stron Polski i przywykłych do rodzimych melodii. Nie ulega wątpliwości, że na tym polu starania duchowieństwa, wiernych i organistów dają wyniki na piątkę.

Gospodarz archidiecezji wita swych gości, dwudziestu biskupów siedzących w stallach, wita jasnogórskich ojców paulinów i swoją kapitułę oraz uciśnione masy w kościele, którym wyraża i podziw, i współczucie z powodu ogromnej niewygody. Wita również francuską mową gości zagranicznych, francuskich księży i katolików świeckich przybyłych do Wrocławia. Wśród nich można nawet dojrzeć ciemną twarz murzyna w błyszczących okularach.

Potem czyta ksiądz biskup telegram Ojca Świętego nadesłany z Rzymu na Wrocławskie Dni Maryjne, i drugi telegram, skierowany przez Księdza Prymasa z Gniezna.

Tak, jak nakazuje program, Ojciec Generał z Częstochowy rozpoczyna uroczystą celebrę, a wierni śpiewają pieśni maryjne. W stallach księża biskupi myślą zapewne o skutecznym skondensowaniu treści swych siedmiominutowych przemówień. Inauguruje je ks. biskup z Gniezna, Bernacki, wyrażając swój podziw dla podniesionych z ruin kościołów, dla odnowionego dziedzictwa świętowojciechowego. Powiedział pięknie, że właśnie ten pierwszy apostoł Słowian przypieczętował na wieki jedność Śląska z Polską.

W imieniu diecezji warszawskiej przemówił ksiądz biskup Jerzy Modzelewski podkreślając delikatnie, że cześć Maryi na Śląsku to nie monopol zastrzeżony wyłącznie dla ludu śląskiego, że lud warszawski jest w równym stopniu maryjny, choćby tylko wspomnieć coroczną pieszą pielgrzymkę Warszawiaków na Jasną Górę.

Ksiądz profesor „dyrygujący" biskupami jest nieubłagany i pilnie strzeże siedmiominutowego postanowienia dyscyplinarnego.

Po Gnieźnie i Warszawie, kolej z wieku i urzędu na diecezję krakowską. Reprezentuje ją ksiądz biskup Karol Wojtyła. Stwierdza, że łatwo jest mówić we Wrocławiu o Krakowie i w Krakowie o Wrocławiu. Łatwo dlatego, bo wyrastamy z tego samego korzenia, który sięga głęboko w glebę wspólnoty historycznej i religijnej. Zaś wspólnota religijna to

równocześnie wspólnota maryjna. Przykłady: najstarsza świątynia Krakowa, rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu, to pierwotny kościół pod wezwaniem Maryi Panny. Kaplica Zygmuntowska w katedrze, to kaplica maryjna, nie wspominając już kościoła Mariackiego. Trzeba natomiast wspomnieć o współczesnej chwalbie Bożej Matki. Oto fakty świeżej daty: trzy koronacje obrazów maryjnych: na Piasku u Karmelitów, w kościele Dominikanów i u Franciszkanów, koronacja znanej „Smętnej Dobrodziejki". Maryjny Kraków pozdrawia maryjną ziemię dolnośląską — kończy krakowski sufragan.

Jego miejsce za mikrofonem zajmuje biskupi delegat diecezji przemyskiej, ks. Wojciech Tomaka. Ludzie jeszcze gorliwiej wyciągają szyje i podnoszą się na palce, ludzie, którzy urodzili się przecież na tej ziemi, o której mówi ten biskup. Nic dziwnego, że niektórzy placzą.

Przyjechałem znad małego Sanu nad wielką rzekę Odrę. Przywożę wam pozdrowienia ze starej diecezji na wschodzie Polski, pozdrowienia od naszego biskupa i od naszych ludzi. My, tam na wschodzie pamiętamy stale o was tu, na zachodzie. Włączamy się w wasze troski i radości, interesujemy się serdecznie waszymi osiągnięciami. Na zakończenie wezwał wzruszonych ludzi do wspólnego, głośnego „Zdrowaś".

Ze stolicy Hozjusza, z Włocławka, przybył ksiądz biskup Antoni Pawłowski, z diecezji, której patronuje św. Józef, opiekun robotników.

Bursztynowym szlakiem związana jest wasza piastowska ziemia z naszą, kaliską. Wy macie stary Wrocław, my mamy jeszcze starszy Kalisz — licytował się patriotycznie. Kalisz obchodził 18 wieków swego istnienia, miasto zwane praojcem grodów polskich, miasto, w którym znajduje się sławne sanktuarium św. Józefa. W tym sanktuarium pamiętamy o was, wy, w waszych, maryjnych, pamiętajcie o nas.

Najbliższą sąsiadką diecezji wrocławskiej jest diecezja opolska. Biskup Franciszek Jop przekazuje wrocławianom pozdrowienia Opolan. A potem podkreśla, że te Dni Maryjne nie mają nic wspólnego z żadną manifestacją, że są to Dni żarliwego skupienia i rozmodlenia we wszystkich kościołach i kaplicach dolnośląskich. Że po prostu w ciągu tych Dni spotykamy się z Maryją w połowie millenistycznego szlaku i polecamy się jej na dalszą drogę.

Ksiądz biskup Tomasz Wilczyński opowiedział słuchaczom o swej warmijskiej diecezji. Jest to również jedna z najstarszych diecezji polskich,

liczy lat 718, na jej ziemiach leżą historyczne pola grunwaldzkie. Stolicą diecezji był przed wojną Frombork, obecnie Olsztyn, miasto wojewódzkie. Diecezja liczy milion ludzi, mnóstwo z wileńszczyzny, ma 410 księży i szczyci się swym warmijskim sanktuarium maryjnym, Świętą Lipką.

O diecezji najrozleglejszej, największej i najmłodszej mówił ksiądz biskup Wilhelm Pluta, ordynariusz gorzowski. Teren jego diecezji stanowi siódmą część całej Polski, zamieszkują go dwa miliony katolików i blisko tysiąc kapłanów. I ta diecezja, choć w przeważnej części poewangelicka, ma swoją maryjną stolicę, a jest nią Rokitno. Mało kto o tym wie, że Matka Boska na cudownym obrazie rokitniańskim nosi na swym płaszczu polskiego orła.

Dużo nas łączy z diecezją wrocławską — mówił biskup z Gorzowa. — Mamy ten sam lud, ze wschodu i z całej Polski, mamy księży ze wschodu i z całej Polski. Nasze sąsiedzkie diecezje łączy także osoba samego biskupa, jesteśmy z tej samej diecezji, z tego samego seminarium śląskiego, a urodziliśmy się właśnie w dawnej diecezji wrocławskiej, z której powstała diecezja katowicka, opolska i częściowo gorzowska.

Biskup Pluta przekroczył na pewno siedmiominutowy limit, ale jeżeli ma się największą diecezję w Polsce i najwięcej kłopotów?

Z Sandomierza przybył ks. biskup Piotr Gołębiowski. Wskazał na jeden tylko, ale bardzo znamienny węzeł łączący Wrocław z Sandomierzem, na pewną unię personalną — na bł. Czesława. Przybył on w swej pracy apostolskiej aż do Sandomierza. Tak więc dwa miasta oddają szczególną cześć Czesławowi: Wrocław przed trumną z relikwiami apostoła, a Sandomierz przed obrazem Czesława umieszczonym w bazylice katedralnej.

Największa polska świątynia Maryjna, co do wielkości jedenasta w świecie świątynia, która pomieści 20 tysięcy ludzi, to kościół Mariacki w Gdańsku — tak informował biskup gdański, ks. Lech Kaczmarek.

Nawiązując do licznych sanktuariów maryjnych na Śląsku, takie wyraził życzenie: Życzę, aby każdy z was stanowił takie odrębne, zindywidualizowane sanktuarium maryjne.

Ostatni przemówił ordynariusz diecezji młodej, liczacej sobie dopiero 35 lat, biskup częstochowski, ks. Goliński. — Jesteśmy ciągle jeszcze, jak to młode małżeństwo, na dorobku — mówił swobodnie — mamy 242

parafie, ale gdyby to było możliwe, zaraz w poniedziałek założyłbym trzydzieści nowych parafii.

Podobnie jak jego przedmówcy zapewniał Wrocławian: Wasze wielkie i małe radości, wasze wielkie i małe smutki są skrupulatnie rozpatrywane na Jasnej Górze, przed Tą, która jeszcze nigdy nikogo nie opuściła i o nikim nie zapomniała.

Na zakończenie wszyscy biskupi równocześnie udzielają swego błogosławieństwa. Wierni śpiewają Apel jasnogórski. Apel ten rozlega się w tej chwili we wszystkich kościołach Wrocławia i w całej dolnośląskiej ziemi.

Nazajutrz, wczesnym niedzielnym rankiem, dwudziestu biskupów rozjeżdża się po sanktuariach maryjnych wrocławskiej archidiecezji, aby równocześnie o tej samej porze odprawić uroczyste nabożeństwa przed cudownymi obrazami.

W Katedrze wrocławskiej pontyfikuje i głosi słowo boże ksiądz infułat Milik. Przy wspaniałych organach śpiewa chór katedralny Bogurodzicę, potem Gregoriankę. Wierni spoglądają serdecznie na dostojnego celebransa, którego pamiętają z pierwszych, ciężkich lat powojennych.

Po południu katedra znowu zapełnia się szczelnie wiernymi. Przy ołtarzu wrocławskiej Madonny zgromadziły się delegacje wiejskie z wieńcami żniwnymi. Parafialny chór z Długołęki śpiewał chorały maryjne, a wiejscy proboszczowie, podobnie, jak dnia poprzedniego biskupi, mówią krótko o swej pracy duszpasterskiej. Nie jest to wcale takie proste. Jeden z proboszczów, z ziemi strzegomskiej, ma taką placówkę: dwa tysiące parafian rozrzuconych po siedmiu wioskach, i cztery kościoły, wszystkie podniesione z ruin.

Po poświęceniu żniwnych wieńców, kolej na ślub młodej, wrocławskiej pary. Ślub ten wmontowano jako praktyczną ilustrację hasła: Rodzina Bogiem silna.

Hasło to swą treścią nie odbiega wcale od Dni Maryjnych, mówi ksiądz proboszcz katedry błogosławiąc ślub Andrzeja i Reginy. Ci młodzi ludzie to piękny symbol młodego Wrocławia, trwale związani z miastem nad Odrą — domem rodzinnym, szkołą i miejscem pracy.

Kończą się Wrocławskie Dni Maryjne. Biskup Ordynariusz składa z ambony całotygodniowe sprawozdania maryjne. Streszcza również „imprezy", które tego dnia wizytował w różnych miastach swojej diecezji.

— Jak wczoraj w naszej katedrze, tak dzisiaj w kościele Aniołów Stróżów w Wałbrzychu uczciło Maryję tysiące wiernych — informował biskup. — Tamtejszy ksiądz proboszcz powiedział mi, że w tym maryjnym tygodniu księża spowiadali bez końca, że komunii św. rozdano sześć tysięcy. A o to właśnie chodziło, o silny zwrot ku niebu. Takie zwroty właśnie pogłębiają nasz stosunek do religii.

— Z Wałbrzycha pojechaliśmy na Krzeszów — informuje dalej ksiądz biskup — tam odprawiał biskup krakowski, tam oczekiwały nas dalsze rzesze pątników. Potem droga wiodła do Wambierzyc, gdzie celebrowali biskupi opolscy i gdzie przybyły pielgrzymki od Bytomia i Zabrza. Potem jeszcze Bardo i powrót do Wrocławia, aby podziękować Bożej Matce za owoce tego tygodnia.

Poniesiono obraz Częstochowskiej w procesji. W dziękczynnej procesji. „Gwiazdo śliczna, wspaniała", śpiewali Wrocławianie, a biskup im błogosławił.

„Gość Niedzielny", nr 39/1961, s. 5 – 6.

JADWIGA KUCIANKA

Wspomnienie o rzetelnym pracowniku

Rzetelnym pracownikiem nauki polskiej nazwał Konstantego Prusa, bibliografa i historyka śląskiego Stanisław Pigoń, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Było to w roku 1946; usłyszałyśmy wtedy po raz pierwszy, że prócz Prusa — klasyka, autora Lalki, istnieje Prus Konstanty, pisarz śląski żyjący w Mikołowie. Stawiałyśmy wtedy pierwsze kroki na polu samodzielnych badań nad literacką przeszłością Śląska. Tematyka prac seminaryjnych u prof. Pigonia wiązała nas z bogatą spuścizną naszej rodzimej dzielnicy — a niejedną z nas wiązała ściśle z osobą Konstantego Prusa.

Poznałyśmy wtedy, że to był istotnie rzetelny pracownik. Jego wiadomości były rzetelne: obiektywne, zgodne z prawdą, rzeczowe.

Ale to był nie tylko rzetelny pracownik — to był również żarliwy pracownik. Zagadnienia, któreśmy przed nim stawiały, wchłaniały go

całkowicie. To była nie tylko pomoc w ustaleniu i ustawieniu jakiejś śląskiej kwestii, to było samorzutne i żarliwe włączenie się w pasjonujący nas problem.

Żarliwość Prusa była wręcz apostolska, misyjna, gdy chodziło o wyrwanie z mroków przeszłości jakiegoś śląskiego pisarza lub działacza. Był maksymalistą na tym polu, chciał jak najwięcej nazwisk uchronić od niepamięci i uratować dla kultury polskiej na Śląsku.

Leży przede mną kilka listów Prusa: arkusiki zasypane drobnym, zagęszczonym pismem od brzegu do brzegu kartki. Pytałam Prusa o pewnych dziewiętnastowiecznych Ślązaków, którzy nieraz zamieniali kilof na pióro nie dla poetyckich laurów, ale z wyraźnej, konkretnej potrzeby. Nazwiska, które wyławiałam z pożółkłych stron Zwiastuna Górnośląskiego, Gazety Górnośląskiej i Katolika, nazwiska, które przedstawiały dla mnie potencjalną, nieodkrytą jeszcze wartość artystyczną, dla Prusa były wartością żywą, pulsowały nie historią, ale intensywnym życiem.

Pamięć miał wybitną, nieobeszłą i niezawodną. Bywało, że wspominałam Winklera z Chropaczowa lub Szendzielorza z Michałkowic, a on już mi przerywał, cytując jakiś fragment wiersza, jakieś zdarzenie związane z danym człowiekiem.

I żałował okrutnie, że nie może pokazać mi innych wierszy michałkowickiego poety, które miał w swych zbiorach, a które niemieccy kulturtraegerzy[165] zamienili w kupę popiołu.

Swoich książek gromadzonych przez pół wieku żałował najbardziej i najserdeczniej o nich wspominał, jak o żywych, kochanych istotach. W takich chwilach pusty, biedny i zimny pokój na Żwirki i Wigury w Mikołowie jakoś się przemieniał, nazwiska autorów, tytuły książek zapełniały lichą izbę, podnosząc jej ciepłotę o kilkanaście stopni.

Tak, właśnie zimno najbardziej dokuczało staremu człowiekowi i przeszkadzało w pracy niestrudzonemu pracownikowi. List z lutego 1953 roku tak rozpoczyna: „W moim pokoju jest tak zimno, że prawie wcale pracować nie mogę. Siedzę cały, ciepło ubrany, w palcie, z czapką baranią na głowie, i z rękami w kieszeniach. No i tylko czytam, bo jak tu pisać w tym mrozie? i palę fajkę niemal bez przerwy, bo już stwierdziłem, że ksiądz z kadzidłem w kościele i ja z moją dymiącą fajką w mieszkaniu wytwarzamy

[165] Kulturträger – nosiciel kultury.

znacznie więcej ciepła, niż te liche kaloryfery". I kończy z humorem tę swoją zwyczajną skargę: „Za to mam tyle dymu w mieszkaniu, że możnaby w nim śmiało niejednego śledzia uwędzić — ale skąd tu wziąć śledzia? to delikates".

Wszyscy, którzy znali pana Prusa, podziwiali jego pogodę ducha, jego humor, który ratował go w dniach starości samotnej i biednej.

Żegnamy serdecznie i z wielkim szacunkiem dziennikarza i pisarza, bibliografa i historyka, żegnamy rzetelnego i żarliwego pracownika, człowieka odważnego, dobrego i radosnego.

„Gość Niedzielny", nr 50/1961, s. 8.

Rok 1962

JADWIGA KUCIANKA

Papież Klemens VIII w Bytomiu

Taką ciekawostkę historyczną podaje swoim czytelnikom Zwiastun Górnoszląski w roku I868 a więc prawie że przed stu laty. Zacny ten tygodnik, jeden z pierwszych polskich pism na Górnym Śląsku wychodził w Piekarach, ściślej, tak jak chcieli urzędnicy pruskiej regencji, w „Niemieckich" Piekarach.

Jego naczelnym redaktorem był ks. B. Purkop, książęco-biskupi komisarz i dziekan. Nakładcą i drukarzem oczywiście Teodor Heneczek, bezkonkurencyjny na owe czasy wydawca. Zwiastun miał format Gościa Niedzielnego i tak jak Gość podawał swe informacje na ośmiu stronach. A kosztował w Państwie Pruskim dziewięć srebrnych groszy, a w Państwie Austriackim dziewięć fenigów. Natomiast na miejscu był tańszy, kosztował osiem srebrnych groszy. Trzeba pamiętać, że siła kupna tego srebrnego grosza była wielka: starzy ludzie dobrze pamiętają, że za pięć groszy można było skonsumować solidnego śledzia. Tak więc, po konkretnym przeliczeniu, jeden numer Zwiastuna Górnoszląskiego kosztował tyle, co dwa słone śledzie. Raczej drogo.

Ale za to jakie wiadomości podawał Zwiastun za tych osiem — dziewięć fenigów! Tak ciekawe, że jeszcze teraz, po stu latach, są świeże i zaskakujące. I to nawet nie te z dalekiego świata, że w San Francisko trzęsienie ziemi, a w Moskwie przygotowania do wojny, o czym świadczy zakup 150 pow ozów lazaretowych w Warszawie, nie, dużo ciekawsze są informacje z własnego podwórka, z Chorzowa, z Rybnika, z Zabrza, z Raciborza, z Mysłowic, z Lublińca — o właśnie, choćby ta korespondencja z Lublińca. Kto by przypuszczał, że z Lublińca wyruszyło kilku ochotników do wojska papieskiego. Że „Górne Szląsko" kosztem pojedynczych osób i także niektórych parafii utrzymuje 22 żołnierzy w Armii Rzymskiej, płacąc rocznie 135 talarów na każdego żołnierza.

A jaka była „linia ideologiczna" piekarskiego Zwiastuna?

Pewnie że wolelibyśmy, aby nie była tak czołobitna w stosunku do pruskiego cesarza Wilhelma, ale cóż, godło pruskie nie zdradzało jeszcze wtedy ponurych konturów swastyki, a sam Wiluś cieszył się mirem opiekuna chrześcijańskiego państwa.

Ale jak to właściwie było z tym pobytem papieża Klemensa VIII w Bytomiu? Otóż dla ścisłości dodać trzeba, że papież ten nie był jeszcze wtedy papieżem, został nim dopiero za trzy lata, ale poza tym wszystkie inne fakty historyczne siedzą mocno.

To było tak. Nasz bojowy i mądry kanclerz wielki koronny i hetman, Jan Zamoyski, obronił Kraków przed oblężeniem austriackiego arcyksięcia Maksymiliana, który wyciągnął rękę po polską koronę. Zamoyski, jak nakazywała ówczesna racja stanu, posadził na polskim tronie Zygmunta III Wazę, a potem rozpoczął pościg za austriackim książątkiem, które nie okazywało zadowolenia z takiego wyboru króla. Pod Byczyną (dziś pow. Kluczbork) Roku Pańskiego 1588 wojska Maksymiliana dostały solidne lanie, a on sam znalazł się w niewoli. Wielki kanclerz trzymał go przez rok w zamku krasnostawskim w ziemi chełmińskiej i byłby go tam pewnie dłużej gościł, gdyby nie interwencja cesarza Rudolfa II u papieża.

Nie było innej rady, papież Sykstus V wysłał swego legata do Polski, aby starał się o uwolnienie arcyksiążęcego więźnia.

Przybocznym legatem papieskim był pięćdziesięciodwu letni kardynał, Hipolit Aldobrandini, który mając lat 55 został Klemensem VIII.

Dziennikarz — felietonista Zwiastuna Górnoszląskiego pisze, że w rękopisach Vallicellano[166] w Rzymie przechowywana jest dokładna relacja poselstwa Hipolita kardynała Aldobrandiniego do Polski. Zajrzyjmy do tego rzymskiego diariusza posługując się żółtymi kartami Zwiastuna.

Droga kardynała — legata wiodła z Rzymu na Trydent, przez Tyrol, Linz, Wiedeń, Morawy i Śląsk.

Dwór kardynalski był wcale liczny, oto jak się prezentował: O. Jan Franciszek Bordino, teolog kardynalski, pewnie dzisiejszy kapelan. (O. Bordino głosił w Bytomiu przez cały post każdego dnia wieczorem kazanie). Michał Mercati, szambelan kardynalski. Monsigniore Bianchetto i monsigniore Tolesano. Krewniacy kardynała, kapitan Franciszek Aldobrandini i siostrzeniec, Cintio Pissari. Liczne sługi domowe, paziowie i żołnierze.

Na ostatnim etapie drogi zatrzymał się legat apostolski w Koźlu, skąd po odprawieniu bardzo rannej mszy świętej wyruszył na Bytom. W Bytomiu stanął późnym wieczorem dnia 30 grudnia 1588 roku

Jak wyglądał nasz bytomski gród przed czterystu laty? Oto jak go ujrzeli i jak nam go wiernie przekazali przybysze z Włoch, z środowiska bogatego i wyrafinowanego pod względem artyzmu i kultury użytkowej.

„Bytom w Szląsku, nad granicą Polski, jest to drewniane miasteczko mające tylko ratusz murowany, w którym stanął Kardynał, ale ciasne miał mieszkanie, bo nie więcej tylko salkę,... a co gorsza, bez drzwi, okien i pieców, co wszystko kazał dorobić własnym kosztem, wraz z kaplicą do odprawiania mszy w domu i kuchnią z desek na podwórzu. Mieszkańcy są prawie wszyscy lutrzy, prócz niewielkiej liczby katolików, którzy mają kościółek za bramą, gdzie legat czasem odprawiał mszę, zaś monsig. Bianchetto i o. Bordino co dzień, acz bardzo niewygodnie, bo dla tęgich mrozów trzeba było mieć ciągle na ołtarzu naczynie z węglem, żeby nie zamarzło w kielichu”.

Na lichą gospodę trafił przyszły papież — bez drzwi, okien i pieców, a do tego staropolska, mroźna zima.

Prócz dworu legata papieskiego stanął w Bytomiu i dwór austriacki, bardzo wielki i świetny, jak zanotował włoski skryba. Należało do niego

---

[166] Kościół Santa Maria in Vallicella, znany jako Nowy Kościół związany z dziełem św. Filipa Nereusza.

ośmiu wysokich urzędników, komisarzy, którzy mieli swoich ordynansów. Na czele delegacji austriackiej stali: książę Sabionetta i dwaj biskupi, jawaryński i ołomuniecki. Nazwisko tego ostatniego jest nam znane, ks. Pawłowski.

Czy i ten dwór dla większej wygody pobudował w Bytomiu piece, kuchnie i kaplice, o tym kronikarz nie wspomina.

Wspomina natomiast, że nigdy przedtem Bytom nie był tak ludny, jak właśnie w czasie tych rozmów na wysokim szczeblu, między delegacją cesarza Rudolfa II i króla polskiego Zygmunta III, których wysokim arbitrem był sam legat apostolski.

Tak tedy obozowali w Bytomiu Niemcy, Węgrzy, Włosi, no i Polacy, a z uroczystym homagium, czołobitnym pokłonem, dojeżdżali do rzymskiego kardynała biskupi i wielcy panowie.

W Zwiastunie podano dokładnie, dzień za dniem, co działo się w Bytomiu w ową lutą zimę 1589 roku.

„Dnia 6 stycznia poszedł legat odprawić mszę św. w kościółku za bramą wraz z biskupami, ołomunieckim i jawaryńskim, w towarzystwie swych dworzan i licznych katolików. Pamiętny to dzień świętych trzech Królów w rocznikach bytomskich!

Dnia 10 stycznia przyjmował kardynał pana Rosenberga, wicekróla czeskiego, mającego ze sobą do 400 koni i cokolwiek piechoty.

Dnia 21 stycznia powracającego z Będzina kardynała przyjmowali komisarze cesarscy z wielką kawalkadą w Bytomiu. (Trzeba tu dodać, że rozmowy dyplomatyczne toczyły się częściowo i w Będzinie, dokąd legat papieski kilkakrotnie dojeżdżał).

Dnia 28 stycznia przybył wielki kanclerz, Jan Zamoyski, w towarzystwie dwóch magnatów polskich, trębaczy, polskiej piechoty, Tatarów, hajduków i innych żołnierzy. Mieli na co patrzeć Bytomianie.

Dnia 7 lutego bawił kardynał w Będzinie, skąd nie czekając wieczerzy, w godzinę po zachodzie słońca wyjechał do Bytomia, gdzie dnia 9 lutego od wojewody wołyńskiego, Janusza, księcia Ostrogskiego otrzymał w podarunku łosia z Litwy, podobnego z wzrostu do konia, z kształtu do jelenia, z sierści do osła, z nóg do wołu, a mającego mięso zbliżające się w smaku do bawolego. Część tego mięsa zawiózł kardynał do Włoch.

Podług swego zwyczaju pojechał kardynał dnia 12 lutego odprawić mszę św. do kościółka za bramą w towarzystwie niektórych komisarzy

cesarskich. Gdy wracając pieszo przechodził przez środek placu, zbiegło się mnóstwo ludu przypatrywać się sukni kardynalskiej, jej ogonowi niesionemu przez paziów, prałatom w rokietach[167] i innym osobliwościom, które bardzo zadziwiały mieszczan.

Tego dnia przypadła niedziela zapustna, każdy więc naród udał się wedle zwyczaju, lubo niedobrego, na zabawy. I tak Niemcy zaczęli pić po szynkach, Węgrzy nakładać maski i ścigać się konno, z Włochów jedni biegali do pierścienia, drudzy ucinali szyję gęsi, inni, przebrawszy się za błaznów, tańczyli balet, wyrabiali różne figle i sztuki łamane przy odgłosie lutni.

Mieszczanie przypatrywali się tym zabawom z wielką ciekawością.

Dnia 14 lutego kardynał posłał do Krakowa po postne pokarmy na wielki post, mianowicie po oliwę, której, lubo flaszka kosztowała 8 juliuszów, chciał, aby dwór jego nie jadał po polsku z olejem, ale po włosku z oliwą.

W popielec, dnia 15. lutego poszedł kardynał do kościółka za bramą, gdzie odprawił mszę św. i posypał głowy popiołem wszystkim dworskim i katolikom miejscowym, na którą to ceremonię zeszli się nawet innowiercy.

Po mszy św., odśpiewawszy litanie, wrócił pieszo do domu z krzyżem niesionym przed sobą.

Kardynał piękny dał przykład katolikom bytomskim co do ścisłego zachowania katolickiego wielkiego postu.

Powróciwszy do Rzymu, wyniesiony został kardynał Hipolit Aldobrandini w roku 1592, zatem trzy lata później, do papieskiej godności pod imieniem Klemensa VIII. Co za zaszczytna dla Bytomia pamiątka!”

Tak, pamiątka na pewno zaszczytna i stąd warta odświeżenia. Przecież warto wiedzieć o tym, że jeden z papieży był w Polsce, na Śląsku, w Bytomiu, gdzie podejmowano go sarmackim specjałem, prawie że narodowym, pieczenią z dzika.

---

[167] Rokieta – komża z podbiciem fioletowym, noszona przez prałatów i kanoników. W zależności od przywilejów czy zwyczaju kapituły kolor ten może być inny.

Dla historycznej ścisłości dodajmy, że kardynał wywiązał się z powierzonej mu misji dyplomatycznej i zawarł w dniu 9 marca 1589 roku tak zwaną w podręcznikach historii bytomsko-będzińską umowę, mocą której arcyksiążę Maksymilian zrzekł się wszelkich praw do korony polskiej.

„Gość Niedzielny", nr 7/1962, s. 5 i 7.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

Elżbieta Kawa pisarka w habicie

Była filologiem i pedagogiem, była filozofką i literatką, była intelektualistką i dyplomatką.

Była energiczna i łagodna, stanowcza i wyrozumiała, wesoła i zamknięta w sobie, była ogromnie zdyscyplinowana a przy tym szalenie kobieca. Była przecież i poetką, wrażliwą i uczuciową.

Miała szerokie horyzonty, otwarte spojrzenie, zdecydowaną postawę, mobilizującą otoczenie.

Była zakonnicą ze zgromadzenia sióstr szkolnych Notre-Dame. Nazywała się Elżbieta Kawa, w zakonie — siostra Erentrudis. Urodziła się na Górnym Śląsku, w Mysłowicach.

Czasem prześladuje nas jakaś postać. Czasem czyjeś życie, choć dawno zakończone, włącza się w nurt naszego codziennego bytowania i ożywia je intensywnie, dodaje mu innych, trwalszych wartości.

Tak było i w tym wypadku.

Brzmią mi jeszcze w uszach zdania sformułowane w nieoficjalnej, małej, prawie że kameralnej „ankiecie" na temat osoby Elżbiety Kawy. Zdania cenne dla swego ładunku szczerości i życzliwości.

Te wartościujące zdania wypowiedzieli ludzie znający i pamiętający siostrę Erentrudis: jej krewne, kuzynka z Bytomia i siostrzenica z Wrocławia, jej uczennica z Gliwic, znajomi księża i wrocławskie notredamki.

Szczególnie żywo scharakteryzowała Matkę Dyrektorkę siostra kucharka z u licy św. Marcina we Wrocławiu, gdyż pamięta ją jeszcze z pierwszego, gliwickiego etapu.

Na wstępie zestawiłam wszystkie te zdania, które zyskały rangę opinii i prawdziwego sądu potomnych. Zestawiłam lapidarne określenia, które stanowią zespól cech charakteryzujących ową zakonnicę. Niektóre wydają się sprzeczne — wesoła i zamknięta w sobie, wymagająca i wyrozumiała — ale to sprzeczność pozorna tylko, w istocie jedna cecha uzupełnia drugą tworząc wielopłaszczyznową całość.

Wszystkie te cechy są in plus, wszystkie dodatnie i wcale nie dlatego, że o zmarłych nie mówi się nic złego, ale po prostu na tej zasadzie, że negatywów brak. A jeżeli były, to widocznie tak minimalne, iż nie utrwaliły się w ludzkiej pamięci.

Zresztą, mówiąc po ludzku, jakieś tam wady i potknięcia były na pewno: jakieś zniecierpliwienie. Jakiś gniew nagły, może i szybka próżność — ale te mankamenty spełniały rolę cienia, który jeszcze wyraźniej rysował całą posiać.

Może byłoby prościej przy próbie charakterystyki Elżbiety Kawy otworzyć nasz „Skarbiec" i wyszukać spis cnót kardynalnych, albo jeszcze lepiej — siedem darów Ducha Świętego. Posiadała je chyba wszystkie, w jakim zaś natężeniu, o tym nie nam sądzić bezbłędnie.

Miała dar mądrości, bo limitowała prawdy wiekuiste. Miała dar rozumu, bo zgłębiła prawdy ziemskie sformułowane w dziełach naukowych przez człowieka. Miała dar umiejętności w postępowaniu z ludźmi i w rozrządzaniu dobrami tego świata, ściślej w kierowaniu zakonnym mieniem. Miała dar rady jako pedagog, jako dyrektorka szkoły, jako asystentka matki generalnej w Rzymie. Miała dar mocy.

Chyba nie zbłądzimy, jeśli ten piąty dar Ducha Świętego potraktujemy jako najbardziej reprezentatywny dla siostry Erentrudis.

W moich zamiarach nie leży wcale stawianie Elżbiety Kawy na piedestale nieosiągalnej doskonałości. Przeciwnie, chodzi o t o, aby pozostała żywa i bliska, w zasięgu wiernego i trwałego naśladownictwa. W tym wypadku naśladownictwo jak najbardziej wskazane!

Siostra Erentrudis była apostołką apostołującą nowoczesnymi metodami: za pośrednictwem prasy i szkolnej katedry.

Ale zanim to nastąpiło... był rok 1882. Walka kulturna jeszcze dawała się we znaki na Śląsku. Probostwa najeżdżali pruscy urzędnicy finansowi, otwierano szkoły, zwane interesująco „Simultanschule”[168]. Taką właśnie szkołę otwarto w Mysłowicach i do niej uczęszczała Elżbieta Kawa, córka Anny i Jana.

Starzy Kawowie pochodzili z Brzezinki, potem przenieśli się do Mysłowic, gdzie otwarli sklep z tytoniem.

W roku 1881 urodziła się pierwsza córka, Maria, w rok później, w 1882 dnia 29 marca, druga córka, Elżbieta, wpisana została do mysłowickich ksiąg parafialnych. Ks. Edward Kleemann, którego Norbert Bończyk portretuje w „Górze Chełmskiej” jako dobrego kapłana i Polaka, był wówczas proboszczem w Mysłowicach.

Osiemnaście lał radosnego dzieciństwa i swobodnej młodości spędziła Elżbieta w Mysłowicach. Dom kupiecki był zasobny, ale też bardzo bogobojny. Rodzice Elżbiety odznaczali się ofiarną pobożnością, nie szczędzili grosza tam, gdzie chodziło o uczynki miłosierdzia i o splendor kościoła. A trzeba pamiętać, że w tym właśnie czasie budowano kościół Serca Jezusowego w Mysłowicach i zapewne pobożna rodzina kupiecka przyczyniła się do zakupu niejednej cegły.

Dalekie, lecz bardzo znajome echa tych lat przeżytych w nadgranicznym miasteczku pobrzmiewają w książce E. Kawy poświęconej życiu Edith Stein. Matka tej sławnej już w świecie zakonnicy żydowskiej pochodziła również z rodziny kupieckiej w nadgranicznym śląskim miasteczku, w Lublińcu, i w sklepie, wśród kupujących, mówiących po polsku i po niemiecku, zdobywała pierwsze doświadczenia życiowe.

W roku 1900 Kawowie opuścili Mysłowice i przenieśli się do Wrocławia. Starsza córka. Maria, obrała studia muzyczne, młodsza, Elżbieta miała wyższe aspiracje: studiuje filozofię, sztuki piękne i germanistykę. Nie tylko na Uniwersytecie wrocławskim. Wyjeżdża do Freiburga, do Monachium, a później przez pewien czas studiuje w Anglii, w Osfordzie.

Przez kilka lat kształciła się i zdobywała wiedzę zamkniętą w podręcznikach naukowych i głoszoną z katedr uniwersyteckich. Czy nie

---

[168] Simultanschule – szkoła dla wszystkich wyznań, w której uczniowie uczą się razem, niezależnie od ich przynależności religijnej.

nosiła się z myślą o jakiejś wielkiej karierze naukowej? Na przełomie dwudziestego wieku tylko minimalny procent kobiet zdobywał wyższe wykształcenie. Do nich należała również Edith Stein, młodsza o dziewięć lat od Elżbiety. Poznały się we Wrocławiu i zaprzyjaźniły serdecznie. Klasyczne „bratnie dusze", nastawione na wysoki, podniebny lot.

Ten wysoki, podniebny lot rozpoczęła Elżbieta w roku 1908. W tym roku, 10 września, dwudziestosześcioletnia dama złożyła śluby zakonne w klasztorze sióstr Notre-Dame we Wrocławiu. Nie sama jednak, lecz razem ze swą siostrą Marią.

Dwie córki mieli Kawowie i obydwie obrały klasztor. Ojciec tego uroczystego dnia zaślubin córek z niebem nie doczekał, ale za to z Górnego Śląska, jak wspomina p. Siedlecka z Bytomia, zjechało tyle krewniaków, że w dwudziestu dorożkach z biedą się pomieścili.

Po pięknych uroczystościach nastąpiły lata cichego dojrzewania według surowego klasztornego harmonogramu. Modlitwa, skupienie, medytacja, umartwienia, nauka, zdobywanie wielkiej sztuki współżycia z bliźnim, którego habit nie od razu czynił istotą doskonałą na codzień.

Po pierwszej wojnie światowej siostra Erentrudis z rozporządzenia klasztornej władzy zaczyna działać samodzielnie. Najpierw przez krótki czas w Bytomiu, potem w Gliwicach. W Gliwicach pokazała swój lwi pazur zmagazynowanej, prężnej energii. Buduje klasztor, jak to miały zwyczaj czynić bogobojne księżne średniowieczne. Gromadzi wokół siebie zakonnice-architektki, zakonnice-artystki i malarki, przede wszystkim gromadzi fundusze.

Siostra Erentrudis prócz energii wykazuje również zmysł organizacyjny; wie, do kogo się zwrócić o pomoc, i wie, w jaki sposób to uczynić, aby było skuteczne.

W ukończonym gmachu znajduje pomieszczenie gimnazjum, szkoła gospodarcza, szkoła przedszkolanek, internat, dom sióstr i kaplica.

Siostra Erentrudis jest równocześnie wychowawcą i wykładowcą, dyrektorem szkoły i matką przełożoną domu zakonnego. Z wszystkiego wywiązuje się sumiennie i z radością. Jeżeli na apostolskie działanie dnia nie starczy — od czegóż noc? Spać i odpoczywać będziemy po śmierci, mawiała do strofujących ją przyjaciół. Albo też, indagowana, że niewiele pozostało jej czasu na rzeczy osobiste, odpowiadała, że to wcale nie jest

istotne, że sprawy osobiste nie istnieją, gdy chodzi o królestwo Boże na ziemi.

Może to brzmi zbyt górnolotnie, sztucznie i nieprzekonywująco, ale jeżeli to była prawda? jeżeli za fasadą słów kryło się głębokie przeżycie religijne?

A że było istotnie, o tym świadczą nie tylko ludzie, którzy ją znali. Pozostali jeszcze inni wiarogodni świadkowie — jej książki.

Jest ich sporo. Kilkanaście tytułów. Najpierwsze powstały w latach dwudziestych i trzydziestych. Są to zbiory krótkich, poetycko ujętych rozważań na tematy odwieczne, głęboko ludzkie, rozpatrzone na płaszczyźnie religijnej. Dobroć. Miłość. Radość i cierpienie. Samotność. Czekanie. Klęska. Poznanie. Harmonia. Tęsknota. Zapal. Wierność. Zysk i strata. Powołanie. Ofiara.

Żeby oddać ducha jej poezji można użyć nie tak znowu banalnego określenia: poetka sumienia.

Elżbieta Kawa pisze po niemiecku i ja ko zjawisko literackie należy bezsprzecznie do literatury niemieckiej. Ale ponieważ zjawisko to wyrosło z gleby śląskiej i na podłożu religijnym, trzeba je objąć zasięgiem naszego serdecznego zainteresowania.

Z tego pierwszego okresu pochodzi również zbiór poezji pt. Ręce. Znajdziemy tu ręce matki, dziecka i starca, ręce żony i narzeczonej, ręce utrudzone, pomagające i ofiarujące, ręce Stwórcy, kapłana i Matki Bolesnej.

Poezje te wydano ponownie po w ojnie w bogatej oprawie ilustracyjnej. Każdy wiersz uzupełniony jest odpowiednią fotografią.

Wiersze „Żegnające ręce" zilustrowane są sceną „Zaśnięcia" Stwoszowskiego z ołtarza mariackiego.

Książki ukazały się nie pod zakonnym, ale pod rodzinnym nazwiskiem autorki, za specjalnym zezwoleniem matki generalnej, a dochód z nich płynął na utrzymanie starej matki, która podczas inflacji wszystko utraciła.

Po drugiej wojnie światowej matka Erentrudis znalazła się w Berlinie.

Fascynują ją wielkie osobowości w Kościele. Wielkie, właśnie przez wielkość swej ofiary. Do monografii o św. Morusie i św. Jadwidze dochodzą dalsze: Pius X, Pius XII, św. Elżbieta, Marta Teresa Gerhardiner — założycielka szkolnych sióstr, Charitas Pirekheimer — apostołka wolności wiary i sumienia, oraz rzecz o Edith Stein napisana urzekająco, może i dlatego, że autorka znała ją i kochała.

Znała również blisko wielką pisarkę katolicką Gertrudę von Le Fort. Odwiedzała ją w czasie swoich częstych podróży służbowych. Bo dla siostry Erentrudis nastał okres wojażowania prawie że po całym świecie, wszędzie tam, gdzie trzeba było zwizytować zakłady sióstr Notre-Dame. Została bowiem w roku 1956 powołana do Rzymu na odpowiedzialne stanowisko generalnej asystentki.

Podróże wizytatorskie objęły przeszło 12 tysięcy zakonnic Notre-Dame w czterech częściach świata: w Europie, w Ameryce, w Afryce, w Azji.

Celem jej ostatniej wizytacji zakonnej była Szwecja. W drodze powrotnej do R zymu zatrzymała się w Berlinie. Wśród znajomych i przyjaciół w wydawnictwie św. Morusa opowiadała z werwą o swych wrażeniach ze Szwecji.

Ucieszyła się wiadomością, że niebawem ukaże się w druku jej nowa książką o Newmanie, na którą długo nie było wydawcy. Zaznaczyła wesoło, że siedem lat czekała na ukazanie się Newmana w druku i nareszcie się doczekała; że zawsze uczyła swe uczennice cnoty cierpliwości: choćbyście nie wiem jakie cnoty posiadały, jeżeli nie macie cierpliwości, wszystko na nic.

To spotkanie w wydawnictwie odbyło się w dniu św. Klemensa, 23 listopada 1959 roku. W tydzień później Elżbieta Kawa nie żyła. Nastąpił zawał serca. Serce pracujące tak wydajnie przez 77 lat wypowiedziało służbę.

Umierała całkiem świadomie. W niedzielne przedpołudnie, gdy dzwony Berlina wzywały katolików na mszę św., wezwała do siebie siostry zakonne, by rozpoczęły modlitwy za konających. Towarzyszyła im w tych modlitwach aż do południa, póki nie skonała. Pogrzebano ją w Berlinie na cmentarzu św. Mateusza[169].

Na dwa lata przed śmiercią, na zaproszenie swych śląskich krewniaczek, przyjechała Elżbieta do Polski. Bardzo podobał jej się Wrocław i odbudowane z ruin kościoły.

W czasie wędrówki po Wrocławiu wzruszyła ją ogromnie nazwa jednej z ulic: aleja Słowackiego. Powiedziała wówczas do towarzyszącej jej siostrzenicy, że widzi w tym jakąś głęboką sprawiedliwość dziejową, iż

---

[169] Wycinek z prasy berlińskiej.

Słowacki, który był przecież za swego życia we Wrocławiu, który odwiedzał tutaj swoją matkę, „zamieszkał” dzięki tej ulicy na stałe we Wrocławiu.

Trzeba tu dodać, że Siostra — poetka znała i kochała poezje Słowackiego, a szczególnie ceniła Anhellego.

Ceniła sobie również poprawną polszczyznę i na jej prośbę przesłano jej swego czasu do Berlina gramatykę języka polskiego.

A oto wesoła anegdotka na ten temat. Podczas spotkania z kardynałem Wyszyńskim kardynał odezwał się do siostry Erentrudis po włosku, nie znając widocznie bliżej jej rodowodu. A wesoła notre damka, świadoma wielkiej niespodzianki, z szelmowskim uśmiechem odpowiedziała mu po polsku.

Jeszcze jedna anegdotka. Cytuję je dlatego, bo doskonale charakteryzują człowieka, bo zmniejszają dystans dzielący nas od niego, bo utrwalają w pamięci daną osobę.

Na jej przyjazd z Rzymu przygotowały krewniaczki, jak się godzi, wspaniałą ucztę we Wrocławiu. Było wszystko, czego dusza zapragnie, ale nie było tego, o co prosiła asystentka generałki. Któż mógł przypuszczać, że upomni się o niekraszone ziemniaki z kwaśnym mlekiem?

Czas rozstać się z Elżbietą Kawą, wielką zakonnicą i ciekawą pisarką. Przeglądam jeszcze raz jej spuściznę literacką: dwadzieścia tysięcy nakładu, trzydzieści, pięćdziesiąt — może w sumie będzie sto tysięcy? A sto tysięcy nakładu to conajmniej dwieście tysięcy czytelników faktycznych i tyleż potencjonalnych. Oby jak najwięcej! Oby jak najwięcej ludzi urzekła swą współczesną świątobliwością, pulsującą na kartach jej książek, śląska notredamka.

„Gość Niedzielny”, nr 17/1962, s. 5 – 6.

JADWIGA KUCIANKA

Życie miałem wesołe, szczęśliwe...

Na jubileusz 50-lecia pracy naukowej prof. Stanisława Pigonia

„Życie miałem wesołe, szczęśliwe, walczyłem, pracowałem, uczyłem, służyłem Ojczyźnie". Tak scharakteryzował, z trochę żartobliwym uśmiechem, prof. Pigoń swoje życie.

Ta krótka charakterystyka zaskakuje i daje dużo do myślenia. Przywykliśmy uważać, że życie szczęśliwe, wesołe, to używanie, to ciągłe przyjemności, to brak kłopotów i wysiłków. Szczęśliwe życie, to dla zwykłego śmiertelnika po prostu pasmo dni spokojnych i sytych.

U prof. Pigonia inaczej. Całkiem inaczej. Przez szczęście rozumie walkę, pracę i naukę. Zaś te trzy wartości sprowadza do prostego równania: służba Ojczyźnie.

O tej jego szczęśliwej i wiernej służbie mówiono na akademii Jubileuszowej w Krakowie dnia 10 marca 1962 r.

Ulica Sławkowska tętniła ożywionym, sobotnim ruchem, tłumy u rzeźnika, tłumy u piekarza, a naprzeciw kościoła św. Marka, w auli gmachu Polskiej Akademii Nauk — tłumy polonistów z całej Polski z polonistyczną generalicją na czele: prof. Klemensiewicz, prof. Krzyżanowski, prof. Wyka, prof. Zgorzelski, prof. Żółkiewski. Znalazł się również w tym polonistycznym klanie dostojnik Kościoła, ks. bp Karol Wojtyła.

Koledzy, przyjaciele, a przede wszystkim wychowankowie prof. Pigonia zameldowali się tak licznie, aby złożyć widomy hołd swemu profesorowi. Choć to może brzmi zbyt patetycznie, ale przecież właśnie chodziło o hołd, o oddanie zasłużonej w pełni czci mistrzowi i nestorowi nauki i kultury polskiej.

Prof. Klemensiewicz przemówił jako honorowy gospodarz. Użył przepięknego, barwnego i trafnego porównania, które na zawsze zwiąże się

z sylwetką prof. Pigonia syna podkarpackiego chłopa: Wkład prof. Pigonia do nauki polskiej to długa skiba odwalona ostrym pługiem badacza.

Prof. Klemensiewicz nakreślił sylwetkę profesora, naukowca i badacza, ale przede wszystkim sławił — człowieka. Sławił człowieka uczulonego na wartości moralne, człowieka, który te wartości umiał wydobywać i ukazywać we wszystkich swych pracach, drobnych i wielkich, który swym wychowankom umiał wpoić ten właśnie szlachetny stosunek do wartości moralnych dzieła literackiego i jego twórcy.

O niełatwym starcie życiowym tego chłopskiego syna, który miał „dwie gołe ręce, więcej nic“, który po raz pierwszy zobaczył miasteczko, gdy miał dziesięć lat, mówił rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stefan Grzybowski. Ukazał twardą i upartą pracę Pigonia, którą wiernie zilustrować można wierszem Broniewskiego: „nie głaskał mię nikt po głowie, nie piłem ptasiego mleka” — ukazał tę pigoniową drogę życiowa, tak serdecznie nam bliską i z wielkim wzruszeniem odczytywaną na kartach książki „Z Komborni w świat”.

Następni czcigodni mówcy, wybrani do tego jubileuszowego hołdu jako delegaci polskich ośrodków uniwersyteckich z Warszawy, Lublina, Łodzi, Torunia, Poznania i Wrocławia, w różnoraki sposób podnosili zasługi wielkiego polonisty. Ale najczęściej padało słowo pracowitość, najczęściej tę właśnie zapoznaną dziś cnotę sławiono.

Nikt nie mówił o talencie, o nadzwyczajnych darach nieba — lecz wszyscy, jakby się zmówili, głosili pochwałę pracowitości.

„Jesteś dla nas, dla braci polonistycznej, od półwiecza klasycznym symbolem lipy rozłożystej, brzmiącej życiem pszczół, niestrudzonych pracownic. Pracuj i ucz nas swej pracy jak najdłużej”.

Tak, prof. Pigoń uczył nas rzetelnej pracy. Rzetelnej, nawet to określenie nam przyswoił, bo używał go często, a używał jako najwyższej miary pochwały i odznaczenia.

W imieniu Katedry historii i literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego przemówił prof. Markiewicz. Przemówił jako jeden z wychowanków Profesora. Bo trzeba pamiętać, jak o tym wspomniano kilkakrotnie podczas akademii, że wielką zasługą prof. Pigonia są i te zastępy samodzielnych pracowników naukowych, które w okresie jego trzydziestoletniej obecności na wszechnicy krakowskiej opuszczały jego seminaria.

Henryk Markiewicz najtrafniej chyba określił kapitał w jaki nas wyposażył na samodzielną drogę naukową i pedagogiczną profesor — wychowawca. Ten nasz polonistyczny kapitał, to wysoka moralność i rzetelność poznawcza. Owej wysokiej moralności uczył nas Profesor nie w jakichś programowych wypowiedziach, ale uczył po prostu własną pracą, własnym żywym przykładem.

Uczył odpowiedzialności, wierności i pokory wobec słowa pisanego. Każdy szczegół, każdy ułamek tekstu literackiego jest ważny, powtarzał tylekroć na seminariach poświęconych analizie Króla-Ducha Słowackiego. Uczył cierpliwości, wytrwałości i sumienności w podjętej pracy. Wymagał zwięzłości, jasności i trzeźwości oceny.

Wymagał od nas wysokiego plonu moralnego, który pozwalał nam prosto patrzeć w oczy Profesora. Te pigoniowe oczy odkrywały bezlitośnie, czasem szyderczo, wszelką blagę i bufonadę.

Trzeba mi się przyznać, że pod tekst przemówienia prof. Markiewicza podkładam własne słowa oparte na kanwie własnych, krakowskich przeżyć.

Nie da się zaprzeczyć, że prof. Pigoń oddziałał na nas bardzo mocno. Swoim osobistym, głęboko odpowiedzialnym stosunkiem do naszych prac, mniej lub więcej udanych, swoimi bardzo streszczonymi pochwałami, swoimi często bezpośrednimi i cierpkimi uwagami. Ale równocześnie przy swoim ogromnym wpływie pozwalał nam iść własnym torem, nie naginał do swoich założeń i przekonań. Był bardzo rad, gdy na seminariach ktoś ostro nacierał w dyskusji, a ktoś inny dzielnie się bronił i kruszył kopie w ważnej sprawie.

W taki sposób uczył nas kochać literaturę polską.

Prof. Markiewicz powiedział pięknie na zakończenie, że nieprawdę mówią wiadomości, które głoszą, że prof. Pigoń przeszedł w stan spoczynku. Jak dawniej jego osobowość promieniowała poza seminaria literackie, tak i teraz czuje się jego ciągłą obecność w uniwersytecie krakowskim.

Następne przemówienie, to adres hołdowniczy tej autentycznej, szarej braci polonistycznej, pełniącej swe obowiązki na odpowiedzialnym posterunku nauczycielskim i bibliotekarskim. Nauczyciele i bibliotekarze rozrzuceni po wszystkich kątach Polski przez usta swej delegatki zapewnili profesora, że trwają wiernie w służbie obywatelskiej, do której ich zaprawił

własnym przykładem. Że wiernie wypełniają swe polonistyczne obowiązki, nie zawsze pełne blasku, częściej żmudne i niewdzięczne.

I znowu jedno zdanie rzucone przez prelegentkę budzi wiele żywych wspomnień. Rzeczywiście wydeptaliśmy wyraźne ścieżki z naszych krakowskich tymczasowych mieszkań, z burs studenckich, z internatów, do mieszkania prof. Pigonia na Garbarskiej.

Profesor mieszkał na parterze, na prawo od wejścia. Dzwoniło się do drzwi pierwszy raz z lękiem, drugi raz już pewniej, a za trzecim razem tak, jak by się dzwoniło do własnego mieszkania.

Pigoń otwierał i swoim schrypniętym głosem zapraszał do wejścia.

Duży pokój, którego wszystkie ściany od podłogi po sufit zastawione były półkami na książki. Przy oknie, na wąskim, wolnym pasemku ściany, krzyż i fotografia ojca, chłopa „glebae adscripti”[170].

Czy to był tylko egoizm młodości, który pozwalał nam przerywać pracę Profesora i kraść mu jego cenny czas? — nie tylko.

Przede wszystkim wchodziło tu w grę nasze wielkie zaufanie i przywiązanie do Profesora. Pukaliśmy do jego drzwi nie tylko o poradę ściśle filologiczną. Nierzadko chodziło o skomplikowane sprawy osobiste, nad którymi Pigoń nachylał się tak czujnie i troskliwie, jakby to były cenne fredrowskie faksymilia.

W pierwszych latach powojennych, 1946 — 48. prof. Pigoń nie raz rozwiązywał nasze kłopoty bytowe, gdy chodziło o zdobycie locum w domu akademickim lub o uzyskanie jakiegoś stypendium, czy też innej formy zapomogi koniecznej do życia. Rozumiał nas, rozumiał to, że się zwracamy właśnie do niego. Nie był chłodny ani wyniosły, jakby przystało sławnemu profesorowi, był niesłychanie przystępny i życzliwy.

I tym nas czarował. Widział człowieka. Będąc naukowcem, badaczem, pisarzem, pozostał zwyczajnym człowiekiem. Książka, tekst dzieła naukowego nie przesłoniły mu drogi do ludzkiego serca.

Oczywiście z perspektywy lat szesnastu trudno pojąć, dlaczego „Nową Heloizę” Rousseau wypożyczyliśmy akurat z biblioteki pigoniowej, a nie z Jagiellonki! Ale chyba nam już profesor darował te nieporadne, młodzieńcze alibi.

---

[170] „Przypisani do gleby”.

Dla ścisłości trzeba i o tym wspomnieć, że prof. Pigoń był kuratorem wskrzeszonej przy końcu r. 1942 Bratniej Pomocy Studentów U.J. — sławnego i kochanego „Bratniaka". Kuratorem był do roku 1948. Zaś za „prawdziwie ojcowską opiekę" został odznaczony przez młodzież U.J. złotą odznaką Bratniej Pomocy.

Stanisław Pigoń przez dziesięć lat działał na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, „najmilszym mieście". Nie dziwota, że dla sławnego mickiewiczologa miasto Adama, miasto filaretów, stało się miastem najmilszym. W imieniu byłych uczniów wileńskich, tzw. „Pigonistów", przemówił do Pana Profesora prof. Czesław Zgorzelski. Zwrócił się do prof. Pigonia z takim wyznaniem:

„Jeszcze dziś miarą Twej oceny zwykliśmy oceniać nasze własne prace. Jeszcze ciągle jesteś dla nas najwyższym autorytetem, myślimy często, co byś Ty *o* tym powiedział, jak ocenił. Zawsze będziesz dla nas przykładam odważnej, mocnej postawy życiowej, twardej, pigoniowej po prostu postawy".

Każdy mówca w swym krótkim wystąpieniu dorzucił jakiś nowy, trafnie i pięknie uchwycony szczegół do charakterystyki Profesora. Choćby ta „pigoniowa" postawa życiowa. To istotnie synonim bezkompromisowości i twardego dążenia do celu, ale nie za wszelką cenę! A w każdym razie nie za cenę wartości moralnych.

Stefan Otwinowski w imieniu Związku Literatów Polskich, jako prezes oddziału tego Związku, dziękował Pigoniowi za jego czujną uwagę intelektualną, która towarzyszy stale nurtowi literatury polskiej, dziękował Profesorowi za jego przysłowiowe dobre serce, co kierowało w ten nurt młode talenty dla dobra kultury polskiej.

Potem z wielkim ładunkiem emocji i widocznego wzruszenia padły na salę słowa wspomnień okupacyjnych. W tym nieludzkim czasie, po powrocie z obozu prof. Pigoń za cenę życia miał odwagę być w dalszym ciągu polskim uczonym.

Pani Michałowska w imieniu uczniów tajnego, okupacyjnego Uniwersytetu Jagiellońskiego składała Profesorowi hołd za odwagę. Dla czterdziestu tajnych studentów wędrował Pigoń po różnych mieszkaniach krakowskich, po ulicy Szlak, Karmelickiej, Botanicznej i innych.

„Uczył nas i kształcił a równocześnie widział w nas wspólników w utrzymaniu ciągłości polskiej nauki i kultury. To była nasza forma walki z okupantem".

„Gdy chodzi o samą naukę — opowiadała Michałowska — nie było dla nas żadnej taryfy ulgowej. Profesor nie popuszczał dyscypliny, kto wie, czy nie więcej od nas wymagał niż w czas spokojny. Był dla nas w tych zakłamanych latach niemieckiej, zakłamanej nauki synonimem najwyższych wartości moralnych. I wywołał w nas prąd miłości, a więc wartości najwyższej.

Prof. Kazimierz Wyka wygłosił zasadniczy referat o plonie naukowym i o warsztacie naukowym Stanisława Pigonia. Główny nurt dorobku naukowego Profesora związany jest z twórczością i z osobą Mickiewicza. W roku 1911 ukazała się pierwsza praca z tego zakresu. „O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego", zaś w pół wieku później — również rzecz o Mickiewiczu, pod znamiennym tytułem „Zawsze o Nim".

Zawsze wiernym pozostał Pigoń problematyce moralnej, czy pisał o ruchu filareckim, o skautingu, czy też o wstrzemięźliwości i wychowaniu narodowym.

Już przed pierwszą wojną światową interesowała go orkanowa, chłopska spuścizna. Później nadeszło zainteresowanie Fredrą i Żeromskim.

Literatura ludowa czyli twórczość samorodnych poetów miała w Pigoniu nie tylko wielkiego znawcę, ale i możnego orędownika. Nasze prace seminaryjne, magisterskie i doktorskie bazowały często na surowym materiale niewyszkolonych chłopów i robotników i często związane były z polskością ziemi śląskiej.

Bibliograficzna rejestracja prac pigoniowych — powiedział prof. Wyka — więcej mówi niż jakiekolwiek słowo pochwalne. 1200 pozycji bibliograficznych to ogrom. Wygląda na to, że jest to produkcja kombinatu filologicznego, nie zaś jednego człowieka — konkludował z uśmiechem.

Również bardzo swoistej, faktycznie oryginalnej polszczyźnie prof. Pigonia poświęcił mówca swą uwagę. Przy charakteryzowaniu tego indywidualnego języka i stylu Profesora użył, trochę żartobliwie, określenia „pigonizm".

„Zawsze bardzo się nam podobała Twoja polszczyzna, jakoś zawiesista, rzetelna, obrazowa, trochę archaiczna. Zawsze nas czarowała".

Wypada prof. Wyce przyklasnąć. Język Pigonia rzeczywiście urzekał. Zastanawialiśmy się często w czasach krakowskich, na czym to polega. Wysławialiśmy oryginalne pigoniowe zwroty z jego książek i z jego wykładów, były klarowne, rzeczowe, nie strojne, bardzo powściągliwe w wyrazie i w niczym nie przypominały choćby na przykład wylewnej retoryki młodopolskich pisarzy. I dochodziliśmy do wniosku, że ten język przyniósł po prostu Profesor ze swej chłopskiej, rzetelnej gleby, że wyssał go z macierzyńskiego chleba, jak mówi poeta.

Z referatu prof. Wyki zacytować wypada jeszcze i to zdanie, które mówi o historycznej roli prof. Pigonia, odegranej dzięki jego osobowości.

„Choć losy jego pozostają indywidualne, są one równocześnie losami pewnej warstwy społecznej, są losami jego pokolenia".

Na końcu prof. Wyka podziękował swemu starszemu koledze z Wszechnicy Jagiellońskiej za to, że był dobrym gospodarzem i współgospodarzem polonistycznej sprawy, że właśnie tak, jak na dobrego gospodarza, można nań było liczyć w dobrej i złej sprawie.

Ostatnie delegatki w szkolnych mundurkach, wywodzące się z najmłodszej generacji „polonistycznej", uczennice krakowskiego liceum, złożyły Profesorowi kwiaty w podzięce za te wszystkie piękne książki o Mickiewiczu, z których się uczą miłości ku polskiej literaturze.

Odznaczono już prof. Pigonia złotą odznaką miasta Krakowa za to, co zrobił dla nauki polskiej. Teraz wręczano mu księgę pamiątkową, piękne i cenne dzieło kolegów, przyjaciół i uczniów, a równocześnie, dzięki szacie graficznej, dzieło prawdziwego kunsztu drukarskiego.

Ośrodek polonistyczny przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach również przygotował i przekazał Profesorowi Księgę Pamiątkową. Dobrze się stało, że Górny Śląsk, z którym przed pół wiekiem łączyły Pigonia narodowo-wychowawcze więzy, w taki sposób uczcił jubileusz.

Teraz przyszła kolej na stos depesz jubileuszowych, które nadeszły do Krakowa z całej Polski i z zagranicy w różnojęzycznej szacie. Owe depesze to także świadectwo ogromnej, ludzkiej życzliwości i wdzięczności dla Profesora.

W depeszach tych, które z konieczności odczytywano w skrócie, padały gęsto wielkie słowa: Mistrz Polonistyki, Nestor polskiej kultury, Obywatel, Patriota, Wychowawca narodu. Ale były i skromne, a przy tym urzekające sformułowania.

W piśmiennym homagium jubileuszowym zameldowali się literaci i naukowcy: Jan Parandowski, Juliusz Wiktor Gomulicki, Kazimiera Iłłakowiczówna, Stefania Skwarczyńska, Krassowski,. Kotarbiński, Górski i Szweykowski oraz Tymon Terlecki z obczyzny.

Obok depeszy Biblioteki Polskiej z Londynu znalazła się i depesza uczniów gimnazjalnych z Jasła i gratulacje moskiewskiego akademika Winogradowa.

Pochwala Pigonia rozbrzmiewała w języku francuskim z Sorbony i z Brukseli, w języku włoskim z Bolonii, w językach słowiańskich z Moskwy, z Pragi i z Sofii.

Tak uczciły europejskie uniwersytety Profesora Almae Matris Cracoviensis.

A teraz nareszcie prof. Pigoń otrzymał prawo głosu. Podniósł się ze swego honorowego, jubileuszowego stolca, zza bajecznie kolorowej bariery kwiatów, które w ciągu tych przemówień składano i stawiano na stole.

Zabrał głos zwyczajnie, jak na seminaryjnej dyskusji, choć może należało oczekiwać jakiejś podniosłej, jubileuszowej nuty. Nic, to nie byłoby właśnie w pigoniowym stylu!

Powiedział wesoło, że długo kazano mu siedzieć na cenzurowanym i słuchać tego wszystkiego, co tu o nim mówiono, a co nigdy nie przyszło by mu do głowy!

„Słuchałem tego wszystkiego z historyczną rezerwą. I przypomina mi się żywo bajka Konopnickiej ‚O krasnoludkach i o sierotce Marysi', gdzie żabie chóry głośno koncertują, a Półpanek, sądząc, że to ku jego czci, pękł z pychy.

Ja nie pęknę — oświadczył Profesor ze śmiechem — może stąd, że mam grubszą skórę a może dlatego, że jestem solidnie zaopatrzony w zmysł samokrytyki.

Myślę trzeźwo, że bardzo duży odsetek tych pochwał pod moim adresem położyć muszę na karb życzliwości kolegów, a nie na grunt własnej zasługi: Nasza sława, sława polonistów, może przetrwać zaledwie jedną generację. (Te słowa Profesora skwitowano na sali głośnym pomrukiem, chyba oburzonego zaprzeczania). Zdradzę — ciągnął Profesor — że bardzo często przy egzaminach zabawiam się postawieniem sondującego pytania o jakiegoś polskiego historyka literatury. I zazwyczaj bywa

tak, że delikwenci nie znajdują różnicy między Romanem Piłatem a Ponckim Piłatem.

Jeszcze o Stanisławie Tarnowskim coś tam wiedzą — pewnie dlatego, że Boy o nim pisał — kpił sobie Profesor.

Kto wie, czy któryś z moich młodszych kolegów za lat kilka nie zapyta o mnie przy jakimś egzaminie, a student nie odróżni Pigonia od Bystronia".

Tak to sobie, trochę gorzkawo, zażartował Profesor w czasie swego jubileuszowego wystąpienia. Ale w następnym momencie poważniejąc, przemówił filozoficznie, że to święto dzisiejsze, to święto odejścia. Odchodzi się z czynnej służby, rzucając okiem poza siebie na swą dotychczasową pracę. Odzywa się trzeźwa refleksja; jak to jest właściwie z tym twoim dorobkiem? jak się przedstawia bilans twojej pracy?

„Bardzo długo byłem szarym człowiekiem — Profesor sięgnął pamięcią do dawnych lat — wyrosłem na twardym podglebiu. Wszystko, co chciałam osiągnąć, musiałem wydzierać pazurami.

Dzisiejsza wieś z radiem i telewizją jest zupełnie inna niż ta, z której wyszedłem. W gimnazjum, między synami adwokatów i lekarzy, znalazłem się bez jakiegokolwiek kapitału domowego. Nie wiedziałem, co to jest gotyk, co Rembrandt, musiałem ciężko dorabiać się na polu wiedzy i przedzierać się przez gąszcz trudności w każdym zakresie.

Jeżelim nie utonął w tym gąszczu, zawdzięczam to polskim uczelniom! Jak ongiś Grzegorz z Sanoka z garnuszkiem żaka u pasa, przybyłem do Krakowa i Kraków mnie przygarnął. Dużo zawdzięczam temu miastu".

Nastąpiła chwila przerwy. Profesor rozmyśla zapewne nad dalszym tekstem, a słuchacze rozważali może to ostatnie zdanie: „Dużo zawdzięczam temu miastu". Tak, i my, absolwenci Jagiellońskiej Wszechnicy, ci sprzed wojny i powojenni, dużo zawdzięczamy Wielkiej, Polskiej Stolicy, miastu narodowych pamiątek. To miasto dla nas, Ślązaków, było przede wszystkim Polską. Nie cząstką Polski, ale jej ekstraktem.

Profesor podjął na nowo głos.

„Nie przyniosłem z domu rodzinnego żadnego kapitału wiedzy ogólnej, ale za to przyniosłam inny ważny kapitał z tego wiejskiego środowiska i dużo wyssałem z macierzystego chleba.

Pierwsza rzecz, to podziw. Podziw do wszystkiego, co mnie otaczało. Ja się dziwiłem od urodzenia, wbrew temu mędrcowi, który oświadczył, nil mirandum[171], że nic go zadziwić nie zdoła.

Ten stały podziw, tę umiejętność podziwu zaszczepić chciałem moim uczniom. Uczyłem ich żywego zaciekawienia problematyką, ludźmi, światem.

Druga rzecz, którą wyniosłem jako kapitał z mojego środowiska, to osobliwy stosunek do pracy. To kult pracy. Szanuję rzetelną pracę. Żywię na pierwszym miejscu respekt do pracy na wsi, na roli.

Rolnik musi wykazać cierpliwość, staranność, troskliwość, jeśli chce wydobyć plony z jałowej ziemi, jeśli chce, by coś powstało z niczego.

Wyniosłem z domu tę fanatyczną pracowitość. Nie chciałem zmarnować ani jednej chwili w życiu na rzecz błahą, zbyteczną. Taką wytrwałość i zaciekłość w pracy widziałem również u moich profesorów, u Łosia, u Chrzanowskiego.

I właśnie dla nich, dla tych pracowników nauki, którzy odeszli, przyjmuję jako zakład dzisiejsze pochwały. Ten hołd przyjmuję nie dla siebie tylko, lecz dla nich.

Jubileuszowa akademia została zakończona. Prof. Pigoń wydostał się zza prezydialnego stołu, by uczestniczyć w dużo serdeczniejszym ceremoniale ściskania rąk tych wszystkich, którzy podchodzili do niego. A dla każdego z tych podchodzących Profesor znajdował właściwe słowa świadczące o jego bardzo żywej i usłużnej pamięci.

W pewnej chwili prof. Lehr-Spławińskl konfidencjonalnym tonem odezwał się do Profesora: „Jakoś to przetrzymałeś".

I przypomniało mi się zdanie z Profesora listu, w którym ów czekający go jubileusz nazywa „egzekwiami"[172]. Pisze: „Nie taję, że mnie ta ceremonia peszy i przeraża. Nie lubię".

Czas najwyższy pożegnać Profesora — Jubilata.

Ale i czas najwyższy powiedzieć choćby tylko we wielkim skrócie, co łączyło Stanisława Pigonia z Górnym Śląskiem.

---

[171] Nic dziwnego.

[172] Egzekwie (łac. *exequiae*) – w Kościele katolickim ceremonie pogrzebowe ze wszystkimi obrzędami.

Nic prostszego jak otworzyć książkę, o której Autor wyznał: „nie kryję, że ta książeczka mi miła".

Ta książeczka jest miła wielu ludziom. Ukazała się w 1946 w ciągu niespełna roku I i II wydanie zostało wyczerpane. Autobiograficzna książka o młodości Pigonia: „Z Komborni w świat" znalazła rzesze entuzjastycznych czytelników i doczekała się, mimo różnych złych losów, czwartego wydania. Zaś godna jest wydań następnych, nie dlatego tylko, że jest wielkim i żywym dokumentem historycznym, ale dlatego, że ukazuje indywidualną, pasjonującą sylwetkę człowieka. Człowieka pracy i walki. Szczęśliwego i niestrudzonego poszukiwacza.

Narodowa praca Pigonia na Śląsku rozpoczęła się w roku 1909, z ramienia akademickiego koła Eleusis. Koło to organizowało kursy robotnicze we wszystkich zaborach, a nawet i w Westfalii. Początkowo ideologią Elsów była praca etyczno-wychowawcza — „Zebranie zaczynało się chwilą cichego skupienia, odczytaniem fragmentu ewangelii i rozwinięciem we wspólnej pogadance myśli, które on nasunął. Z kolei następowała lektura któregoś z utworów poetyckich czy filozoficznych".

Powoli program etyczno-wychowawczy objął i pracę narodowo-polityczną. Najwyraźniej zaznaczyło się to w działalności Elsów na Śląsku wśród górników. Pigoń przyjeżdżał do Rybnika, Bielszowic, do Zabrza i Rudy. Właśnie W. Janas, nauczyciel z Rudy. Zamordowany bestialsko przez Grenzschutz[173] w czasie plebiscytu, był wychowankiem Elsów.

Pigoń poznał z bliska, pokochał i zapamiętał na zawsze wielu Ślązaków, „szarych szeregowców polskości".

Zainteresowanie Śląskiem i życzliwość ku Ślązakom przetrwała u Profesora nienaruszona przez wszystkie burze dziejowe. Stawiając pierwsze samodzielne kroki na polonistycznym gruncie krakowskim, byliśmy świadomi tej towarzyszącej nam wiernie życzliwości Profesora. Po ludzku mówiąc, życzliwości osobiście niezasłużonej wcale i trudno wypłacalnej.

Ani razu podczas długiej akademii we wnikliwych i szczerych przemowach nie padło słowo religijność, religijność Prof. Pigonia. Bardzo blisko byliśmy klimatu tego słowa przy pochwałach wysokiej moralności Profesora, ale to nie jest jeszcze to samo.

---

[173] Grenzschutz, niemieckie formacje zbrojne, używane do walki z polskim ruchem narodowowyzwoleńczym.

Łamy pisma religijnego uprawniają do takich rozmyślań i tłumaczą je poniekąd. Ale zdaję sobie w pełni sprawę z moich niekompletnych kompetencji i z tego, że sprawa jest zbyt ważna, by mogła być rozstrzygnięta w ramach kilku zdań. Pozostawiam ją godniejszym piórom — i zwrócę się jeszcze raz do wspomnień „Z Komborni w świat", do tego etapu, gdzie Pigoń uległ atmosferze Seminarium Duchownego we Lwowie i chciał zostać prawowiernym alumnem.

W swoim liście do biskupa lwowskiego, ks. Bandurskiego, w liście, który wzrusza bezwzględnie szczerą, neoficką postawą, tak pisze:

„Perspektywa teologii stała przede mną już po maturze.

Alem wtedy na teologię nie poszedł. Nie mogłem.

W gimnazjum zobojętniałem religijnie. Nie był to stan jakiejś wrogiej wojowniczości z Kościołem, ale pospolita, niedołężna obojętność, wychłodzenie ducha. Z tym nie mogłem iść na teologię.

Dwa lata uniwersyteckiej pracy dużo mię nauczyły. Jakoś się przecie usadowiłem w Krakowie... Tu odzyskałem wiarę. Przyszedłem do niej przez Mickiewicza, Słowackiego, Lutosławskiego. Ukochanie wieszczów pociągnęło mię do Eleusis, choć długo i ciężko przyszło mi wojować ze zmysłową swoją naturą. Przez Eleusis wróciłem do Kościoła, do sakramentów św. Droga więc otwarła mi się prosta.

Otóż nie zataję i skrupułów.

Wiara ma przyszła przez literaturę, nietrudno dopatrzyć się w niej znamion nieprawowierności, a pozbyć się tego nie mogę, bo to wynika z głębszego pociągu duchowego.

Trudno mi to wyraźnie ująć, bo powtarzam, że czuję się katolikiem".

Wyznania tego Profesor nigdy nie wycofał.

Mało tego. Wyznanie to promieniowało z osobowości Profesora — nie w programowych wystąpieniach, bo nie było na nie okazji, ale ze sposobu życia, ze sposobu wychowywania, i nauczania w salach uniwersyteckich.

Profesorze,

Bóg zapłać za wszystko, co nam dałeś — dajesz.

I szczęść Boże w dalszej pracy, oby jak najdłużej.

Na zakończenie wrócę do początku: „Życie miałem wesołe, szczęśliwe, walczyłem, pracowałem, uczyłem — służyłem ojczyźnie"!

Przypomnę Jana Kochanowskiego Pieśń o dobrej sławie:
A jeśli komu droga otwarta do nieba — tym, co służą Ojczyźnie.

„Gość Niedzielny”, nr 27/1962, s. 5 – 6; nr 28/1962, s. 5 i 8.

J. KUCIANKA

Z ziemi włoskiej do Polski

W podręcznikach historii, w encyklopediach i wypisach szkolnych nazywamy ich — bohaterami narodowymi. Ta formułka językowa zawiera w sobie niewymierny ładunek szalonego entuzjazmu, poświęcenia bez granic, ducha rycerskiego, zawiera w sobie bezcenny ładunek krwi przelanej szczodrze i dobrowolnie. Bili się za waszą i naszą wolność Per una causa santa. Za świętą wspólną sprawę.

Bili się w ziemi włoskiej, w ziemi francuskiej, w ziemi polskiej. Nosili białe płaszcze lansjerów, mundury legionistów, nakładali czerwone koszule garibaldczyków, albo też po prostu szli na bój w swej chłopskiej sukmanie, która w ten sposób awansowała do rangi żołnierskiego munduru. Mówili różnymi językami, ale łączyło ich odwieczne braterstwo broni, broni wymierzonej w tego samego tyrana. Znali nawzajem niektóre tylko wyrazy, wyrazy — ogniwa, wyrazy — zwrotniki i to im wystarczyło. Wyrazy na uroczystą nutę: ojczyzna, wolność, święta sprawa.

Widzimy ich wizerunki na starych, dziewiętnastowiecznych sztychach, na grottgerowskich obrazach. Oto ci, co śnili sen o szpadzie. A sen był krótki: najpierw konspiracyjne spotkania, dech zapierające plany, potem nocne pochody wśród wrażych patroli nadgranicznych, a w brudnej mgle przedświtu potyczka, świst kuli i — koniec snu o szpadzie. Rozpoczynała się rzeczywistość: w celi więziennej, w cytadeli warszawskiej i na wielkiej drodze wśród pustyni syberyjskiej. Kajdany, knuty, głód i wszy. Akcesoria znane z pieśni patriotycznych, układanych i śpiewanych w dniach niewoli.

Taki był w ogromnym skrócie wiek dziewiętnasty, wiek bohaterski, wiek powstań, wiosny ludów, ciągłych zrywów narodowych. Nie odeszliśmy odeń zbyt daleko jak by się zdawać mogło. Tak, to prawda, że wiek atomowy, że podróże kosmiczne, ale jeszcze trwa żywa pamięć powstań

śląskich, dwudziestowiecznych przecie, i ostatniej, krwawej hekatomby powstania warszawskiego. Choć mamy bohatera węgla i stali, któż zaręczy, że w narodowej potrzebie, w obronie granic, nie przemieni się on w bohatera krwi?

Stoimy na progu stuletniej rocznicy powstania styczniowego. Odbędą się obchody, akademie, w odczytach i prasie uczcimy pomięć bohaterów. Imię jednego z nich padło niedawno z ust papieża, Jana XXIII podczas powitania biskupów polskich. Pamięć tego powstania jest Ojcu św. bliska i serdeczna.

W pierwszej chwili nic nie pojmujemy: papież — i powstaniec naszej styczniowej insurekcji? gdzie Rzym, gdzie Krym? — ale po t ym oszołomieniu następuje radosne zrozumienie. Bo sprawa jest jasna. Bo Francesco Nullo jest równocześnie bohaterem narodowym Włoch i Polski.

Prof. Pigoń uśmiecha się mądrze, gdy wspomina dzieje sprzed pól wieku: „Dobrze się nam przysłużyła ta grupa zapaleńców, która z narażeniem może nie życia, ale wolności, pod oczyma zaborców stawiała pomnik polskiemu powstańcowi z ziemi włoskiej. Wieść o tej patriotycznej inicjatywie wraz z fotografią dotarła aż do Bergamo i wzbudziła żywe zainteresowanie. Któż mógł wówczas przypuszczać, że ta ryzykancka sprawa pomnikowa przyda nam się obecnie? że zainteresuje również najwyższego Dostojnika Kościoła?”.

Mówi się czasem barwnie, że koło historii cofa się. I w tym wypadku cofnęło się. Po raz drugi w naszych dziejach oddaje nam przysługę „błogosławiona terra bergamasca”. Po raz drugi, dokładnie po stu latach, jakiś inny zuchwały Bergameńczyk okazuje przed światem swój sentyment do narodu, którego granice państwa, wbrew wszelkiemu prawu, nie uznawane są przez nieprzyjazne mocarstwa. Naraża swój wielki autorytet, ale tym razem nie dla przegranej, powstańczej sprawy.

Zapoznajmy się bliżej z tą grupa zapaleńców z roku 1908, o której wspomina prof. Pigoń. Przewodzi jej Tadeusz Korzon, zasłużony historyk polski (1839—1918), więzień polityczny, który, choć pozbawiony katedry uniwersyteckiej, wydał setki rozpraw, a z jego doskonałego podręcznika historii powszechnej dotąd się korzysta. Obok uczonego historyka widzimy doktora medycyny, Stefana Buchowieckiego, lekarza w Olkuszu, późniejszego generała brygady. Trzecim zapaleńcem jest Aleksander Janowski, jeden z głównych pionierów polskiego krajoznawstwa, redaktor

czasopisma „Ziemia". Czwartym Antoni Minkiewicz, polityk i minister w rządzie Paderewskiego. I jeszcze kilku innych patriotów z W arszawy i z Olkusza.

Epicki incydent pomnikowy tak się przedstawia: w Warszawie, w porozumieniu z Olkuszem, powstał tajny komitet w przededniu zbliżającej się pięćdziesiątej rocznicy powstania styczniowego. Postanowiono uczcić pamięć odważnego górala z Bergamo, generała Franciszka Nullo, którego prochy spoczywały na cmentarzu w Olkuszu. Zamówiono pomnik u kamieniarza w Dąbrowie Górniczej i w pierwszych dniach lipca 1908 roku, w dzień targowy, gdy na drogach ludno od pieszych i jadących, przewieziono go na furze siana do Olkusza. Potem, już w biały dzień, prawie że na oczach rosyjskiej policji, postawiono pomnik nad grobem powstańca. Napis przykryto darnią, żeby nie budzić podejrzeń władzy.

Z odszukaniem mogiły nie było kłopotu, choć to już pól wieku minęło od pogrzebu, który odbył się z wszelkimi honorami należnymi generałowi. Na rozkaz generała rosyjskiego, księcia Szachowskoj była i kompania żołnierzy, i były salwy, a potem, na rozkaz tegoż samego generała, mogiłę powstańczą zrównano z ziemią i wzbroniono surowo postawienia najmarniejszego krzyża, by w ten sposób pamięć o Bergamończyku zaginęła.

Ale właśnie w ten sposób nie zaginęła. Przetrwała żywa tradycja. Czyjeś dłonie składały na tym miejscu kwiaty i wieńce, nawet w dobie największego ucisku. Dzieci olkuskie wiedziały, gdzie ta mogiła z ziemią zrównana i kto w niej spoczywa.

Pomnik postawiony na grobie Nulla w 1908 roku przedstawia pień drzewa jakby strzaskanego od pioruna. Symbol życia zerwanego nagle, znienacka.

Przypomina się inny, sugestywny obraz literacki, pień sosny strzaskanej w „Ludziach bezdomnych" Żeromskiego i w ogóle nad tą mogiłą przypomina się Żeromski z jego wielką miłością Polski.

Żeromskiemu nie był obcy Bergameńczyk. Zresztą nie mogło być inaczej. Zajrzyjmy do dzieł zbiorowych, do tomu nowel „Sen o szpadzie". Na stronie 34 utwór pt. „Nullo". Czytamy: „Nullo dla Włoch życie narażał, a dla Polski je oddał...

Zapomniana siostra narodów dobrze pamięta imię tego, co bez wahania rzucił się ze swej słonecznej wyżyny w otchłań boleści — za boleści cudze — przyszedł na niskie pola niewoli, ażeby z nich nie odejść.

Uboga siostra narodów pamięta każdego, kto w dniach jej męki palec w wodzie umoczył, ażeby zwilżyć jej wargi zeschnięte. Jakżeby miała o tym zapomnieć, co dla niej wyrzekł się widoku ziszczonego snu o Italii wolnej i potężnej, co za sprawę przegraną dał się w sztuki porąbać? Jego krew z naszą się krwią złączyła, a jego proch pośród naszych leży mogił.

Dziś... młoda Polski generacja zatęskniła do świstu moskiewskiej kuli i do ran pruskiego bagnetu. Ta generacja uczy się, ćwiczy na polu broni i z zaciśniętymi zębami czeka.

Wśród tych to szeregów imię Franciszka Nullo wymawiane jest ze czcią szczególną. Jest to imię bohatera zaprawdę — nazwa jedyna, którą Europa krwią wypisała na karcie naszego powstania".

Te wzniosłe słowa pisał Żeromski w roku 1913 jako przedmowę do włoskiej monografii o Franciszku Nullo. Tekst ten znalazł się potem w kilku włoskich czasopismach.

Żeromski wcale nie przesadził z tą czcią dla włoskiego powstańca wśród młodej generacji. Dowody: legioniści z roku 1914, gdy tylko przeszli granice Królestwa, maszerując starym, powstańczym szlakiem, oddali hołd jego prochom na cmentarzu olkuskim. W rok później, w styczniu 1915, można już było uroczyście uczcić narodowego bohatera, bo zaborca opuścił długo okupowany kraj: nad zrównaną z ziemią mogiłą zabrzmiała salwa ułanów, a góral z Podhala, z Białego Dunajca, Andrzej Galica pisarz, senator i generał, przemówił do bergameńskiego górala — generała jak do brata. Zaś na leśnej polanie krzykawieckiej, w tym miejscu, gdzie kula strzaskała odważnego dowódcę, wzniesiono wysoki krzyż. (W roku 1939 stanął tam pomnik dłuta Jaźwieckiego z Krakowa).

A dalsze dowody czci dla Franciszka Nullo to różne obchody w rocznicę jego śmierci. Szły wtedy z wolnej Polski do zacnego miasta Bergamo uroczyste adresy z licznymi podpisami, zaś Bergamo rewanżowało się podobnymi uroczystościami, w których brała liczny udział kolonia emigrantów polskich we Włoszech. Warto dokładniej przypomnieć przynajmniej jeden z tych patriotycznych jubileuszy, z roku 1923, w sześćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego. Pod przewodnictwem Żeromskiego zawiązał się komitet, który urządził w Olkuszu wspaniałą manifestację, przy udziale licznych rzesz społeczeństwa. Do Olkusza przybyło ponad 80 delegacji różnych organizacji, przybyli przedstawiciele

polskiego rządu, zaś rząd włoski i miasto Bergamo reprezentował Bergameńczyk, hr. Guido Roncalli di Montorio.

Sprawozdania z tych obchodów jubileuszowych ukazały się w naszej prasie i w prasie włoskiej. Specjalne numery jubileuszowe o styczniowej insurekcji wydały u nas „Polska Zbrojna", a we Włoszech gazeta bergameńska, „Rivista di Bergamo".

W tymże roku dwudziestym trzecim ukazała się także piękna książka pióra Karoliny Firlej-Bielańskiej „Nullo i jego towarzysze". Autorka zgromadziła mnóstwo materiału archiwalnego, czerpiąc nie tylko ze źródeł polskich, ale docierając do samego Bergamo. Przedmowę do tej ciekawej książki napisał znów nie kto inny, tylko Stefan Żeromski. I nie inaczej, tylko swym palącym i urzekającym słowem.

„Trzeba wszystkie mogiły przychodniów do naszej przegranej wówczas sprawy, kondotierów[174] zgubionego w puszczy powstania, prześwietlić latarnią wolności. Radosny skutek zawiera w sobie to podnoszenie umarłych. Okazuje się dzisiaj, że chybioną polityką była chytrość polska, usiłująca omamić wroga, a doskonałą była polityka beznadziejnej walki. Okazuje się dzisiaj, że pakty międzynarodowe zawiera się nie tylko za cenę złota, żelaza, nafty, zboża lub budulca, lecz właśnie najskuteczniej za cenę wymienną krwi bohaterów, z jednej i drugiej strony wylanej. Francesco Nullo patrzył na nieśmiertelny legion Adama Mickiewicza — legion, o którym nasi historycy i myśliciele mówili i pisali z drwinami — i poszedł spłacić dług Polsce. Spłacił go zaś uczciwie. A oto dzisiaj, skoro tylko podniesiona została jego ofiara ku powszechnemu uwielbieniu i pokazana czcigodnym robotnikom i górnikom Zagłębia — którzy, rzekomo, dbają tylko o swój interes klasowy — to robotnicy z Olkusza nocą odrabiają swój dzień pracy, ażeby uczcić bohatera w dniu jego rocznicy — a cała włoska ziemia — niechętnie, rzekomo, względem nas usposobiona, nie przekupiona naszym węglem — poczuwa się do braterstwa z nami.

---

[174] Kondotier – we Włoszech w okresie od XIV do XVI w.: dowódca oddziałów wojsk najemnych w służbie miast lub dworów książęcych; dawniej: żołnierz najemny; najemnik; w przenośni: człowiek służący obcej sprawie dla własnych korzyści.

Żywa krew Franciszka Nullo wre w kielichu jego ofiary, jakoby w żyłach tętniących a upojenie braterstwem, które napełniło jego serce, jednoczy oba narody".

Zaiste żywa to krew, skoro po s tu latach sprawia nowy cud braterstwa, skoro na jej wspomnienie, wywołane przez najwyższego dostojnika Kościoła, radosny prąd przebiega polskie serca.

Takie nas więzy krwi, więzy narodowej „świętej sprawy" na długim etapie historycznym, łączą z krajem rodzinnym Angello Roncalli, Jana XXIII, papieża.

Ten adres hołdowniczy skierowany do Franciszka Nullo, który z dalekiej ziemi włoskiej przyszedł się położyć w ziemię polską, adres do bohatera narodowego, republikanina, lansjera śmierci, garibaldczyka, jednego z „Tysiąca" śmiałków walczących przeciwko stutysięcznej, regularnej armii austriackiej — ten adres napisany został od końca. A miał się chyba tak rozpocząć: Francesco Nullo urodził się 11 marca 1826 roku w Bergamo, w sławnej ziemi lombardzkiej. Piękno ziemi bergameńskiej rozłożonej u stóp Alp opiewało wielu poetów. Sławiono złotopszeniczne poła w dolinach i urodzajne winnice na zboczach. Piękne kościoły, zamki, miasta i wsie, *zaś* nade wszystko lud góralski, nieraz biedny, a zawsze rycerski. Z ludu tego pochodziła matka Franciszka, Angela Nullo-Magni, kobieta dzielna, patriotka, którą Garibaldi, według słów Żeromskiego uważał za siostrę.

Wychowała syna w poszanowaniu wielkich ideałów, którymi żyła tamta epoka. Po jego śmierci tak go scharakteryzowała w liście do Garibaldiego: „Mój Franciszek był nie tylko wielkim patriotą, ale najlepszym synem, który mi cnotą swą i ofiarnością w życiu publicznym i prywatnym dawał wiele pociechy".

Pochodził z ludu, był góralem bergameńskim. Gdy mowa o góralach, o ludziach zrodzonych w trudniejszych warunkach, zakładamy od razu, i nie bez słuszności, jakąś wrodzoną szlachetność, dumę, odwagę. W te cnoty Franciszek Nullo był bogato wyposażony. Współcześni mu tak go opisują: „Marsowy, jak mało kto z wyglądu, nie znoszący pustej gadaniny, bardzo małomówny, umiejący ocenić sprawiedliwie i dokładnie patriotyzm drugich, odważny aż do zuchwalstwa, energiczny aż do zaciekłości, republikanin".

A ten republikanin, który miał wygląd najszlachetniej urodzonego księcia krwi, był po prostu kupcem z profesji. I to dobrym kupcem, który znal

i kochał swą pracę. Lata młodości Franciszka, to lata nauki pojmowanej jako święty obowiązek.

Ukończył szkołę handlową w Mediolanie, poznał kilka obcych języków i rozpoczął pracę w przemyśle włókienniczym. Wkrótce dał się poznać jako światły racjonalizator: unowocześnił warsztat tkacki i otrzymał za swój pomysł medal.

Potem nadeszła gorąca wiosna ludów — rok 1848 — i zagarnęła swym podmuchem Franciszka i jego braci. Sen o wolności, o zjednoczeniu narodu włoskiego, stawał się prawdą. Naród burzył się radośnie, Garibaldi gromadził wojska powstańcze przeciwko zaborczym władcom. Mickiewicz organizował legion Polski w Rzymie.

W Rzymie na Watykanie od dwóch lat panował Pius IX, który dwukrotnie przyjmował Mickiewicza roztrząsając z nim palące sprawy wolności ludów. Potem pobłogosławił sztandar Legionu Polskiego, który miał walczyć za Włochy, który przez oswobodzenie bratniego narodu szukał drogi do wolnej ojczyzny. Według nieśmiertelnej narodowego katechizmu formuły Mickiewicza: „Kto idzie za wolnością, niech opuści ojczyznę i odważy serce swoje, bo kto opuści ojczyznę, aby bronił wolności z narażeniem życia swego, ten obronił ojczyznę i będzie żył wiecznie".

Legion Polski w drodze z Rzymu do Mediolanu witany był manifestacyjnie we wszystkich miejscowościach. Dziennik wychodzący we Florencji pisał dnia 16 kwietnia 1848 roku: „Wszystkie miasta włoskie pozdrawiają po bratersku oddział polski idący ku Lombardii", zaś na murach kamienic florenckich rozklejano afisze podobnej treści: „Obywatele, wychodźcy polscy pod dowództwem swego wielkiego poety, Adama Mickiewicza idą do Lombardii, aby tam walczyć obok naszych braci za wielką sprawę, wspólną Polsce i Włochom".

W maju Legion Mickiewicza dotarł do Mediolanu i stanął na tym samym placu, na którym przed pół wiekiem jenerał Dąbrowski odbył przegląd pierwszego legionu polskiego we Włoszech.

O właśnie, bo nasze braterstwo krwi z narodem włoskim sięga już roku 1797, epoki Napoleona. Wtedy to owe pierwsze legiony polskie, te od „Mazurka Dąbrowskiego", biły się nad Tybrem, nad Po[175], nad Adygą. Biły

[175] Włoska nazwa rzeki Pad.

się zwycięsko, w odróżnieniu od zmagań legionu Mickiewicza, który krwawił w wąwozach Tyrolu i przy obronie Rzymu.

Tam, przy obronie Rzymu wsławił się również Francesco Nullo walczący w szeregach Garibaldiego, w bohaterskim pułku „Lansjerów śmierci". Tam poznał z bliska polskich „szaleńców i straceńców", o których piękna legenda przetrwała wśród ludu bergameńskiego. Bielańska, autorka książki „Nullo i jego towarzysze", wyznaje niejednokrotnie, że w Bergamo, w mieście i na wsi, „La signoria polacca"[176] witana była zawsze serdecznie i życzliwie, że prześcigano się w okazywaniu przyjaźni osobie, która była jakoby symbolem narodu, walczącego ongiś o wolność Italii.

Krwawe zmagania roku 1848 nie przyniosły wyzwolenia uciemiężonym narodom. Mocarstwa zaostrzyły system swych rządów, w więzieniach i na wygnaniu znaleźli się bohaterowie. Nullo zakosztował i wygnańczego, i więziennego chleba. Dzięki amnestii powrócił do Bergamo i przez dziesięć lat pracuje twardo w swoich warsztatach. Zdobywa poważanie, bogactwo — i od razu znów wszystko to rzuca, na wezwanie Garibaldiego.

W 1859 garibaldczycy rozpoczynają ponownie walkę przeciwko Austriakom. Powstaje sławny zastęp „Tysiąca", który dnia 5 moja 1860 roku wyrusza na oswobodzenie Sycylii.

Włoscy poeci opiewają ten zastąp „Tysiąca" bohaterów, z którymi Francesco Nullo szarżował na barykady w Palermo.

On z wyżyn San Ferma
Czerwonych koszul mężny zastęp wiedzie
W bramy Palerma.
Czyn bohaterski spełniając najprościej,
jako ci z bajki rycerze ogromni,
z chorągwią w ręku na płonącym moście — któż go zapomni!

Zdobył klika orderów za waleczność, bił się w dziesięciu bitwach; otrzymuje stopień majora, potem pułkownika, należy do sztabu Garibaldiego, u jego boku jako tryumfator wyswobadza włoskie prowincje, z nim razem dzieli więzienną celę w forcie Fenestrelle — jego imię sławi cała Italia. I właśnie wtedy, gdy w sławie, dobrobycie i w wolnej ojczyźnie mógłby zażywać zasłużonej czci, docierają do niego pierwsze wieści o wybuchu

---

[176] Osoba z polski.

powstania w Polsce. Decyzja następuje szybka i jasna: trzeba ruszyć z ziemi włoskiej do Polski, by walczyć u boku tych, którzy ginęli za wolność Italii. Tak decyduje nie tylko bohaterski wojownik, tak myśli również szlachetny kupiec, który chce spłacić dług braterstwa i krwi.

Nullo rzuca myśl, która od razu wywołuje entuzjazm wśród jego towarzyszy. Nie długo trwają narady, czas nagli, tam, w Polsce biją się, trzeba się spieszyć. Piętnastu Bergameńczyków opuszcza ziemię rodzinną. Niektórzy z nich na zawsze. W paszporcie, w rubryce cel podróży, wpisano: w celach handlowych. Bo czyż można było pod okiem ciągle jeszcze groźnie warującej Austrii wpisać „per una causa santa"? na świętą wyprawę narodową?

Powtórzmy za Żeromskim imiona piętnastu Bergameńczyków, którzy przyszli do nas bić się za naszą wolność.

Francesco Nullo,
Paolo Mazzoleni,
Elia Marchetti,
Angello Christofoli,
Luigi Testa,
Febo Archangeli,
Alessandro Venanzio,
Settimo Pattelli,
Giovanni Belotti,
Ambrogio Giupponi,
Ajace Sacchi,
Giuseppe Dilani,
Fermo Calderini,
Emanuele Maironi,
Luigi Caroli.

Luigi Caroli, wielki magnat, finansuje biedniejszym tę patriotyczną wyprawę.

Przez całe Włochy idzie gorąca fala sympatii do powstańczej Polski. Powstają komitety „Pro Polonia". Miasta włoskie wysyłają adresy do parlamentu włoskiego domagając się czynnej interwencji dla Polski.

Bergamo już 20 marca 1863 r. wysyła pismo do Parlamentu Narodowego, którego tekst jest tak piękny, jakby go sam Mickiewicz układał: „Ludy Europy spoglądają wzruszone na o braz narodu

szlachetnego: Polski, która, po wiekach walki prowadzonej siłą oręża i poświęcenia, toczy dziś powstańczy bój, straszliwy i ostatni.

Miłujcie się jak bracia, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Oto wielkie hasło narodów naszego wieku. Myśmy odczuli pierwsi, ile pokrzepienia daje taki związek, myśmy pierwsi ujrzeli synów wszystkich narodów w naszych szeregach, usłyszeli życzenia i pozdrowienia wszystkich ludów. A więc nie dar to winny Włochy Polsce, lecz spłacenie świętego długu braterstwa i miłości.

Włochy powinny interweniować, gdziekolwiek toczy się walka o wolność i niepodległość, gdziekolwiek jest despotyzm do obalenia".

Żadne z mocarstw nie kwapiło się z pomocą. Gorzej, przeszkadzało tym śmiałkom, którzy przekradali się przez granice do powstańczych szeregów. I tak na przykład piętnastka Bergameńczyków nie od razu powąchała proch, a jeżeli mimo wszelkich przeszkód znalazła się wśród powstańców, to tylko dzięki góralskiej zaciętości i odwadze.

Giovanni Belotti, którego siostra była narzeczoną Franciszka Nullo, w liście do matki barwnie opisuje te pełne wojennego animuszu przygody. Przybyli do K rakowa, ale zanim jeszcze ujrzeli wojska carskie, zaopiekowała się nimi austriacka policja i po prostu odstawiła ich z powrotem do granicy. Niektórzy z nich już po drodze wyskakiwali z pociągu i piechotą wracali do Krakowa, reszta zaś dojechała do Szwajcarii i po przebyciu tam dla niepoznaki kilku dni, znowu, tym razem już ostrożniej, dojeżdżała do Krakowa. Honorni, uparci Bergameńczycy.

Frasnciszka Nullo powitano w Krakowie serdecznie i z należytą czcią. Sława jego wojennych czynów dotarła do Polski. Mianowano go generałem i przekazano dowództwo nad Legią cudzoziemską.

Nocą, dnia trzeciego maja, małe grupki powstańców wymykały się z Krakowa przez bramę Floriańską. Pokazuje to wiernie stara, dziewiętnastowieczna litografia.

Generał Nullo chciał opanować Kielce, potem Olkusz. Wcześnie rano, dnia 5 maja wkroczył ze swoim odziałem do wsi Krzykawka niedaleko Sławkowa. Powstańcy, zmordowani nocnym, forsownym marszem, rozłożyli się na polanie w pobliskim lesie. A w lesie zaczaiła się piechota carska i z ukrycia zaczęła prażyć ogniem. Zanim jeszcze zaczęła się regularna bitwa, zdradziecko wysłana kula raniła generała Nullo, który na przedzie zagrzewał do walki swych wojaków, „nie większych jak ich strzelby".

Rana była śmiertelna. Bohatera dziesięciu sławnych bitew, którego nie imały się kule na ziemi italskiej, dosięgła śmierć, zanim jeszcze uderzył na wroga.

Z rozkazu kniazia Szachowskiego odszukano na pobojowisku zwłoki generała zsieczone okrutnie kozackimi szablami. Potem był pogrzeb z honorami wojskowymi... potem mogiłę z ziemią zrównano, aby zaginęła wieść o bohaterze z Bergamo.

A jego druhowie z Bergamo? — wzięto ich do niewoli. Elia Marchetti umarł z ran w szpitalu w Chrzanowie. Drugich przez Olkusz i Częstochowę przewieziono do cytadeli warszawskiej na sąd wojskowy. Skazano na 12 lat katorgi syberyjskiej.

Luigi Caroli nie powrócił z Syberii. „Magnat, bożyszcze kobiet, idący w sybirską drogę w zawszonym kożuchu, śpiący wśród zbrodniarzy na plugawych dylach pieresyluszki — pisze o nim Żeromski — cóż mu damy za jego sny o z aalpejskim słońcu, gdy kostniejącymi oczyma patrzał aż do śmierci okrutnej w śniegi pustyni sybirskiej?"

Luigi Caroli pozostał w Kadani za Nerczyńskiem. Umarł w tej samej celi, w której umierali przed nim dekabryści. Miał 28 lat.

Nie powrócił także do Italii Giovanni Belotti. Znalazł miejsce wiecznego spoczynku we wspólnej, powstańczej mogile, w ziemi lubelskiej, pod Batorzem.

Bergamo ze czcią — jak relikwie — przechowuje pamiątki po tych rycerzach: szable, płaszcze, pożółkłe rapiery, wyblakłe listy, skrawki pokrwawionych bandaży.

A wśród pamiątek po Franciszku Nullo zachował się obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który wielki generał otrzymał w Krakowie.

- - - -

Rok 1963

JADWIGA KUCIANKA

Przygody Marka z Chin

Rzecz o Maksymilianie Jasionowskim

Źródła:

1. Korespondencja z Jasionowskim i kontakty osobiste.
2. Bronisław Koraszewski. Poezja górnośląska. Praca 1900, nr 1
3 (Dr Schwed) Słowo wstępne do poematu „Nad Brynicą", Polska Zachodnia 1927, nr 167.
4. Ernest Reiss, U nestora poetów ludowych, Powstaniec Śląski 1937, nr 33.
5. Jadwiga Kucianka, Samorodni pisarze Śląska, „Gość Niedzielny" 1952, nr 41.
6. Antoni Wróbel, Maksymilian Jasionowski, w rocznicę śmierci, Gwarek l958. nr 20.

Ostrzegam czytelnika, że to nie będzie wcale pasjonująca, awanturnicza nowelka, jak by mógł sugerować tytuł. Że główny bohater bynajmniej nie jest Chińczykiem. Wprost przeciwnie, urodził się wśród nas, na Śląsku, w Piekarach. I nie nazywał się wcale Marek.

Maksymilian Jasionowski z Piekar

Piekarzanie powinni go nawet pamiętać: mieszkał na przeciw kościoła Mariackiego, szczupły, siwy staruszek niedużego wzrostu, trzymający się prosto, z wąsem i z uśmiechem na twarzy, z laską i z reumatyzmem w starych palcach.

Piekarzanie powinni go nawet obowiązkowo pamiętać. I nie tylko Piekarzanie. Bo to nie był zwyczajny staruszek i zwyczajny zjadacz chleba. Choć to zabrzmi trochę patetycznie, trzeba o nim powiedzieć: to był człowiek idei. To był człowiek na swój sposób wielki.

Na czym polega wielkość Maksymiliana Jasionowskie*go?*

Kim był właściwie Maksymilian Jasionowski?

Był górnikiem z profesji a pisarzem z wyboru i z wyroków nieba. Był działaczem społecznym, prelegentem, organizatorem towarzystw, był aktorem w sztukach przez siebie napisanych, był tłumaczem swoich utworów, był bibliotekarzem, był racjonalizatorem na kopalni, był wreszcie bardzo często bezrobotnym, biednym człowiekiem.

Czy starczyło życia na tak różnorodną działalność? Chyba tak, bo Jasionowski przeżył lat dziewięćdziesiąt. Przeżył Bismarcka i Kulturkampf, przeżył strajk generalny z roku 1889, przeżył pierwszą wojnę światową, plebiscyt i powstania śląskie, przeżył okres dwudziestolecia — na śmiesznie małej rencie górniczej 31 złotych miesięcznie, — przeżył drugą wojnę światową i trudny okres powojenny z jeszcze lichszą emeryturą. I doczekawszy Października 1956 roku — zasnął w Panu.

Dobrze pamiętam jego jasną, schludną izbę przy ulicy Żymirskiego, pod numerem 173. Było tam zawsze porządnie wysprzątane — Jasionowski nie znosił nieładu wokół siebie — wyszorowana podłoga, błyszczące okna, w oknach mirty w doniczkach, tak popularne swego czasu w śląskich izbach. W szafie i na półce wzorowo poukładane książki i zeszyty. Na stole świeży obrus. A jeszcze, zanim Jasionowski rozkładał na nim swoje papiery, zdmuchiwał przezornie nie istniejące kruszyny.

Na tym stole rozłożył również swoje dwa dyplomy. Nie byle jakie. Tym można było zastrzelić niejednego wytrawnego rozmówcę.

Oto wierny tekst pierwszego dyplomu: „Prezydium Polskiej Akademii Literatury stwierdza, że p. Maksymilian Jasionowski zarządzeniem Pana ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego dnia 4 listopada 1937 roku został odznaczony Srebrnym Wawrzynem Akademickim za szerzenie zamiłowania do literatury polskiej. Prezydium Polskiej Akademii literatury: Prezes Wacław Sieroszewski, wiceprezes Leopold Staff, sekretarz generalny Kaden Bandrowski".

Drugi dyplom nadszedł kilka dni później. „Rzeczypospolita Polska — nadaje Maksymilianowi Jasionowskiemu w Piekarach Śląskich — Srebrny Krzyż Zasługi, za zasługi na polu pracy społecznej. 11 listopada 1937 r. Prezes Rady Ministrów — Sławoj-Składkowski".

Srebrny Wawrzyn i Srebrny Krzyż Zasługi dla syna przesławnej ziemi piekarskiej.

Urodził się 12 października 1857 roku w domu sołtysa Gruszki — dzisiejsza ulica Powstańców — w Piekarach. Jego ojciec, Jan Jasionowskl

pochodził z Lubszy, a matka, Maria z domu Bruckner, z Mysłowic. Maksymilian był jednym z pięciorga ich dzieci. Jego wykształcenie, to piekarska szkoła powszechna, a potem wytrwałe, zawzięte samouctwo, zdobywane dzięki polskiej prasie i polskiej książce. Bo dom Jasionowskich był świadomie polski: abonowano polskie gazety i w różnoraki sposób zdobywano dzieła pisarzy polskich oraz podręczniki historii Polski. Jasionowski pisze o tym ciekawie w jednym ze swoich listów.

Jako młody chłopak rozpoczyna pracę na nie istniejącej już dzisiaj kopalni „Cecylia" w Szarleju.

Ma dopiero 22 lata, gdy go zagarnie groźna fala strajku skierowana przeciwko właścicielom hut i kopalń, przeciwko niemieckim baronom i hrabiom. Jest rok 1889, rok generalnego strajku górniczego, który wybuchł w całych Niemczech. Po strajku na kopalni „Cecylia" wydalono z pracy kilkudziesięciu górników, dla postrachu, aby zahamować rewolucyjne zapędy. I nie tylko rewolucyjne. Także narodowe, bo górnicy prócz poprawy warunków pracy i płacy żądali także praw dla wzgardzonego w szkole i w urzędzie języka polskiego.

Młody, chłonny umysł Jasionowskiego dojrzewa w tej szkole buntu społecznego i narodowego. Dojrzewa do czynu konspiracyjnego. Zespól górników równych mu zapałem i odwagą, gdy tylko ucichły echa strajku, organizuje w Piekarach tajny komitet Polski.

„Komitet składał się z ludzi, którym sprawa robotnicza bardzo na sercu leżała" — pisze Jasionowski. — Pracował tajnie, gdyż policja pruska miała baczne oko na wczesny ruch ludowy. „Schodziliśmy się, członkowie Komitetu Polskiego, nieomal w każdą niedzielę w ogrodzie oberżysty Wojtasa w Szarleju, i tam, z dala od innych ludzi, omawialiśmy sprawy robotnicze. Z okolicznych kopalń okręgu bytomskiego, z Królewskiej Huty i z dalszej okolicy przybywali górnicy. W altanie tego ogrodu odbywały się narady, notowano wszelkie niedomagania i nieporządki po kopalniach Górnego Śląska. Co tam Komitet uchwalił, posyłałem do „Pracy".

Tygodnik „Praca", „Czyli porządek chrześcijański pomiędzy ludźmi", to organ Związku wzajemnej pomocy dla robotników górnośląskich. Wychodził jako bardzo poczytny dodatek „Katolika" od roku 1890 do 1910. I w tym właśnie dwudziestoleciu był Jasionowski korespondentem „Pracy" z polecenia redaktora Adama Napieralskiego. Ponieważ te korespondencje nie tylko, że dotykały problemów łatwo zapalnych, ale były również

z ogniem pisane, konieczny się okazał jakiś ochronny pseudonim. Tak się narodził „Marek z Chin”.

A czemu właśnie „Marek”? no bo przecież przysłowie mówi, „Kręci się jak Marek po piekle”, zaś Jasionowski miał się odtąd ustawicznie kręcić po piekle panującym w górnośląskich zakładach przemysłowych, nastawionych na minimalny zarobek robotnika i maksymalny zysk Donnersmarków i innych Hohenzolernów. Niedługo a stał się sławny w całym Śląsku wśród górniczej braci. Otrzymywał mnóstwo korespondencji od pokrzywdzonych kamratów z prośbą o radę, o pomoc, o poruszenie danej sprawy na łamach tygodnika. Górnicy zapraszali Marka z Chin na swoje kopalnie, hutnicy do swoich hut, by osobiście zorientował się, jakie u nich fatalne porządki, jaki wyzysk i jakie twarde germanizowanie. I by potem o t ym wszystkim odważnie napisał.

Jasionowski pisał odważnie i odważnie wędrował po hutach i kopalniach. Nie było to takie proste i łatwe. Wymagało dużo sprytu i talentu gimnastycznego w obliczu myszkujących żandarmów pruskich. Nieraz dochodziło do wręcz humorystycznych sytuacji, jak wspominał Jasionowski. Jakieś przekradanie się przez dziury w płocie na teren kopalni, jakieś załgiwanie strażników w markowni i w końcu owo tajne spotkanie pokrzywdzonych z popularnym korespondentem. Czasem miało ono miejsce w łaźni, czasem i na dole, w podszybiu. A czasem nie dochodziło do spotkania, ktoś dojrzał, ktoś doniósł i trzeba było czmychać co koń wyskoczy.

Ale Jasionowskiego pociągało ryzyko. Im ryzykowniejsza była sprawa, tym chętniej nastawiał karku. Wprost wyżywał się w tych wyprawach. W taki sposób zwiedził prawie wszystkie śląskie zakłady przemysłowe, pompatycznie nazywane przez swych niemieckich właścicieli: Hohenzollerngrube w Zabrzu, Schlesiengrube w Chropaczowie, Deutschlandgrube w Świętochłowicach, Brandenburggrube w Rudzie, Heinitzgrube w Bytomiu, Georggrube w Małej Dąbrówce, Paulusgrube przy Chebziu oraz rożne bismarkhuty, laurahuty i donnersmarkhuty.

Początkowo korespondencje Marka przedstawiały tylko stosunki na kopalniach, dopiero później zajął się Jasionowski również dolą hutników, przymuszony do tego następującą korespondencją z roku 1892.

„Z dębskiego werku, Panie Marku, łazicie po Śląsku, aleście sobie jakoś górników upodobali, bo jeno ich nawiedzacie. Albo my, hutnicy, też

nie wasi rodacy? albo sobie myślicie, że u nas jest dobrze? Bądźcie tak dobrzy, a przyjdźcie też do naszej Beldony[177], to posłyszycie i poznacie nasze niedole".

Marek tłumaczy się dowcipnie, że dlatego wędruje po kopalniach, bo na górnictwie lepiej się zna, „znam wszystkie prześpiegi górnicze i mam skarbnika do pomocy". Ale w efekcie włączył w plan swoich wojaży huty i fabryki śląskie. Plonem tych wojaży jest przeobfita korespondencja na lamach „Pracy", napisana żywo, z werwą, czasem z kpiną, czasem z żółcią, zawsze interesująco i alarmująco, bo przecież chodziło o skuteczne zapobieganie ludzkiej krzywdzie.

Oto próbki z lat 1892—1894.

Ja, Marek z Chin, zaszedłem pod czas południowy do kopalni „Laury". Wierzchowych robotników zastałem spożywających chleb. Zszedłem na dół, na główną sztrekę[178] zwaną Kettenzug. Co tam widzę? Oto każdy ciskacz, co przy tym Kettenzugu pracuje, w jednej ręce trzyma chleb, w drugiej łopatę albo miotłę, wszyscy czyszczą sztreke. Pytam się, co to znaczy, ale ostrożnie, aby mnie jaki przełożony nie dojrzał. Odpowiadają mi: to pan zarządca kopalni nakazał, abyśmy sztrekę pucowali przez południową pauzę. Choć pracujemy rano od wpół do siódmej do piątej wieczorem, mamy tylko tę jedną pauzę trwającą pół godziny, w której nam jeszcze każą tak pracować.

Hej, panie zarządco, podług jakiego to prawa?"

Albo korespondencja o hucie Bismarcka w Hajdukach, której właściciele w ciągu jednego roku mieli przeszło pół miliona marek zysku.

„Gdy przed paru laty panowie uznali za potrzebne robotnika głaskać, to poniektóry robotnik dostał kufel piwa i cygaro. Co prawda, za centnary[179], które już panom zrobił, zasłużył na więcej niż tyle, albowiem nie tylko panom zarobku przymnożył, ale i swoje zdrowie zniszczył, i siły stargał.

A czy który już oszczędził jaką większą sumę? niech się który, co ma zaoszczędzone tysiące odezwie i powie, ile zdołał „uszporować"? Panowie podają, ile zarobili i oszczędzili — 500.325 marek — niech i robotnicy podadzą, wtedy będzie obraz całkowity i pełny... Maszynę, gdy ma więcej

---

177 Huta Baildon S.A. − huta żelaza, położona w Katowicach, w dzielnicach Dąb i Załęże.

178 Sztreka – poziome wyrobisko korytarzowe w kopalni.

179 Centnar, cetnar – pozaukładowa jednostka masy wynosząca ok. 50 kg.

ciągnąć niż zwyczajnie, próbują różnie, by się nie popsuła. Robotnika nikt nie pyta, czy potrafi tyle zrobić, tylko rób, ile ci nałożą, choć byś zaraz upadł nieżywy".

Albo w innym miejscu: „A jakoż się dzieje z różnymi podpisami lub wyborami? Jeśli robotnik podług piszczałki pana nie skacze, to go wypędzą z roboty, a potem bieda i nędza go czeka. Potem mówią, że robotnicy są socjalistami. Jeżeli kiedyś nasz robotnik stanie się socjalistą, to można powiedzieć, że z 10 takich przynajmniej *9* — panowie zrobili socjalistami".

Marek upomina się także o prawa dla języka polskiego, o to, by wszelkie rozporządzenia władz tłumaczyć na język zrozumiały dla robotników: „Przylepiali nam tu nowe prawa, porządek roboczy, ale cóż z tego, kiedy tylko po niemiecku, a my tego nie rozumiemy. Nie omylę się, gdy powiem, że na dwudziestu, może jeden coś niecoś z tego rozumie. Tedy robotnicy zaszli do obermajstra i pytali, co tam w tym nowym prawie jest. Ten nam tak odpowiedział: Już 25 lat niemiecka mowa istnieje (pewnie we szkołach), toście się mogli dawno po niemiecku nauczyć.

Poszli tedy do drugiego i proszą, aby to na polskie przetłumaczył, a ten powiada: Tu nie ma Polski".

Dlatego Marek ciągle nawołuje, by przy wyborach na knapszafttowych[180], na starszych dozorców, na zastępców gminnych wybierali swoich kamratów, znających położenie robotników, nie zaś obcych przybyszów, wrogich polskiemu żywiołowi na Śląsku. By agitacja była skuteczniejsza, układa chwytliwe wierszyki: ... a z tego taki sens wynika, nie obierajcie, ludzie, Luccka. Kogóż obrać, czyż nie wiecie? Zna go każde niemal dziecię. Błażej Jaroń się nazywa. Wszystkim wam dowozi mleka.

Popularność Marka rosła. Jego wyprawy w teren i korespondencje z terenu nie były daremne. Robotnicy coraz odważniej — jak to wynika z listów nadesłanych do redakcji „Pracy" — upominali się o prawa ułożone dla nich, a zamknięte w martwych, nieużytych paragrafach niemieckich kodeksów. Ale i władze pruskie nie zasypywały gruszek w popiele i coraz nieustępliwiej deptały po markowych piętach. Coraz częstsze były donosy, że pisze do polskich gazet, że pracuje w tajnych polskich organizacjach, że buntuje robotników.

---

[180] Ludzie obsługujący kasę chorych.

Marek stal się ostrożniejszy, swoje wyprawy urządzał znienacka, metodą błyskawiczną — ale nie myślał ich zaprzestać. Zasmakował w przygodzie, ryzyko było mu konieczne do życia.

Z tych wypraw terenowych przywiózł sobie pewnego dnia zdobycz ani to społeczną, ani polityczną, z którą związał się na całe życie. Franciszka Długoszówna z Zabrza została jego żoną. Był rok 1896.

W rok później przyszła kryska na Matyska, czyli na nieulęknionego Marka z Chin. Na kopalni „Cecylia" szczególniej zawziął się na Jasionowskiego jego wróg nr. 1, sztygar Herr Schrayer, który śledził każdy krok Marka i skrupulatnie gromadził materiał obciążający przeciwko niemu. No i stało się to, co się prędzej — później stać musiało: Jasionowski dostał papiery, sławny „Entlassungsschein", i dostąpił niebywałego zaszczytu, że Herr Steiger osobiście wyrzucił go z kopalni, jako „gefaehrliches und schaedliches Gesindel".

Jeszcze po wielu, wielu latach, gdy Jasionowski wspominał te dzieje, podrywał się żywo z krzesła i demonstrował wyraziście tę scenę rozegraną na placu przed cechownią. Wyglądało to barwnie i wesoło, trochę jak z repertuaru Zagłoby, ale wtedy, w roku 1897 nie było to wcale a wcale wesołe.

Bo Jasionowski nie tylko że nie był już swobodnym kawalerem nie troszczącym się zbytnio o regularną wypłatę — ale na dobitek dokładnie w tym samym dniu, w którym zwolniono go z pracy, został ojcem rodziny. Gdy wrócił z ostatniej szychty jako bezrobotny hajer, na progu przywitał go krzyk pierworodnego niemowlęcia.

Co było robić? trzeba było natychmiast rozglądnąć się za inną robotą. A to nie było łatwe. Nie tylko z powodu tej nieszczęsnej markowej działalności w terenie i na łamach „Pracy", ale głównie dlatego, że nazwisko jego figurowało na „czarnej liście", która była rozesłana do wszystkich górnośląskich zakładów przemysłowych. Gdziekolwiek się Jasionowski zgłaszał po pracę, wydobywano złowieszczą listę i pokazywano petentowi drzwi. Bolesna i upokarzająca była dla dzielnego Marka z Chin ta wędrówka od kopalni do kopalni, na tych samych terenach, na których do niedawna buszował jako robotniczy korespondent. Z jednej strony spotykało go współczucie kamratów, z drugiej kpina i szyderstwo niemieckich urzędników.

Nie było żadnego wyjścia: Jasionowski musiał opuścić górnośląską ziemię za chlebem, jak to wielu rodaków przed nim i po nim uczyniło. Wyjeżdżają w Karkonosze, gdzie nie kursuje czarna lista. W rejencji legnickiej, w Miedzianej koło Jeleniej Góry, otrzymuje pracę w kopalni rudy miedzi jako rębacz. Praca jest twarda, ale tęsknota za domem jeszcze twardsza. Źle mu bez społecznego i narodowego działania, jakim tętnił Górny Śląsk. Po roku więc wraca do Piekar i z nowymi już dokumentami osobistymi, na których nie ma niebezpiecznych adnotacji, zgłasza się na kopalnię w Mysłowicach.

Na kopalni mysłowickiej pracuje przez półtora roku, potem próbuje się dostać bliżej Piekar. Przez pewien czas jest zatrudniony w „Laurahucie" w Siemianowicach, aż w końcu podejmuje znowu swój górniczy trud na kopalni w Radzionkowie. Warunki pracy były znośne, do domu nie za daleko, wydawało się, że życie Jasionowskiego popłynie na spokojniejszej fali.

Tymczasem nowa niedola już czeka za progiem. Jest rok 1902. „Sprawa Wrzesińska", sprawa dzieci polskich katowanych w pruskiej szkole dotarła na Śląsk i rozpaliła umysły. Jasionowski nie myśli milczeć, choć go roztropniejsi przestrzegają. Tłumaczy im, że sprawa Wrześni, to także ich sprawa, sprawa Górnego Śląska, więc trzeba mówić. I mówi głośno o niemieckiej zbrodni we Wrześni na zebraniu robotniczym w publicznym lokalu. Za kilka dni otrzymuje pozew do Sądu, a za kilka tygodni zapada w Bytomiu wyrok: cztery miesiące więzienia za obrazę rządu i cesarza niemieckiego.

Sąd doskonale wie, kogo karze i za co karze. Jasionowski musi pokutować nie tylko za sprawę Wrześni, ale też za korespondencję Marka z Chin w „Pracy".

Karę odsiaduje we więzieniu w Oleśnie, gdzie znajdowały się oddzielne cele dla niebezpiecznych zbrodniarzy. Taką właśnie celę przydzielono Jasionowskiemu. Ten etap życia uwiecznił zbrodniarz polityczny w obszernym poemacie „W więzieniu".

W pojedynczej celi siedzę, położeniem mym się biedzę.
I myśl moja w próżni ginie, myśl o ziomkach, o rodzinie.
Dumam o ich tam niedoli, o ich życiu, mej niewoli,
że mnie w ciasnej celi duszą, a zaś moi tam żyć muszą
w ciągłym bólu, niedostatku. Boli mnie, iże w ostatku
może stronią od nich ludzie chwiejni, śmiejąc się w obłudzie...

A malutka moja córka szuka mnie tam śród podwórka,
skwapliwie po kątach lata, pyta: mamo, a gdzież tata?

Epos Jasionowskiego jak nakazują poetyckie kanony, ma szeroki, epicki oddech. Poeta przedstawia swoich więziennych towarzyszy, potem opisuje dzień więzienny godzina po godzinie. Wiersze nie zawsze są smutne, czasem krasi je krotochwilny humor fredrowski.

Zajęknął dzwonek, to wolna godzina
dla wszystkich więźniów, więc jakby dziecina
tej wolnej chwili każdy z nich się cieszy.
I wszystko raźno na podwórze spieszy.
Ale nas. sześciu, z pojedynczych celi
Na to podwórze puścić nie zechcieli.
Osobnych w celi, osobnego rodu,
więc nas popchnęli bokiem do ogrodu.
Piękny to ogród pana inspektora
a i owocu jest w nim ilość spora:
agrest, jagody, wiśnie, piękne śliwy,
jabłka i gruszki. A to raj prawdziwy.
Idziem gęsiego tak jeden za drugim,
postępujemy łańcuchem dość długim.
Ale na owoc nie patrzaj, broń Boże.
Chodź, a swą głowę schyl pięknie w pokorze.
Lecz jak to zawsze bywa po zwyczaju,
że Ewa bawiąc z nami wspólnie w raju
zerwała owoc, owoc zakazany
i rozpętała tym wszystkie szatany.
Ujrzał inspektor, jak sięgała śliwy,
moment to dla niej bardzo nieszczęśliwy,
wpadł na nią. gromi, z ogrodu ją pędzi,
ale na szczęście nas jakoś oszczędził.
— „Nieszczęsna baba. Złodziej to prawdziwy,
sięga po cudze i zrywa mi śliwy.
Po owoc żaden nie sięgnął mężczyzna
tylko ta baba. Każdy mi z was przyzna,
że nader jest słuszne moje uniesienie,
za to ją skażę na ciemne więzienie”.

Zwraca cię do mnie i prędziutko pyta:
„Czemu to inny owocu nie chwyta?”
— „Hm, odpowiadam, toć po owoc z drzewa
raju nie sięgał Adam, tylko Ewa.

Po opuszczeniu więzienia Jasionowski wraca na radzionkowską kopalnię. Jest rzeczą zrozumiałą, że pruskie władze górnicze przyjmują z rezerwą powracającego więźnia politycznego. Ta rezerwa nie trwa zbyt długo. Rozpoczyna się drugi etap nieustannych szykan ze strony pracodawców. Wietrzą w nim wroga, nazywają wichrzycielem — i jako takiego zwalniają z pracy w przededniu wyborów do Rady Zakładowej kopalni.

Była to perfidna gra. Niemcy zorientowali się, że Jasionowski ma za sobą wszystkich górników, że tym samym kandydatura na radcę załogi, na męża zaufania, jest z góry przesądzona. A Jasionowski jako mąż zaufania byłby dla nich stokroć groźniejszym przeciwnikiem, do tego nie można było w żadnym wypadku dopuścić. Wolą więc unicestwić tę niebezpieczną kandydaturę we właściwy sobie sposób.

Jasionowskiego czeka nowe, przymusowe bezrobocie. Nie myśli się jednak poddawać, choćby dlatego, że w domu gromadka dzieci znacznie się powiększyła i porcje chleba nie wystarczają. Jasionowski sposobi się do długofalowej walki ze swymi pracodawcami. Wnosi skargę o niesprawiedliwe, nie umotywowane zwolnienie przez sąd z pracy. Tym razem powiodło się, krzywdzący wyrok uchylono i Jasionowski powraca na radzionkowską kopalnię. Nie na długo jednak, sam o tym dobrze wiedział. Po kilku trudnych miesiącach, pełnych szykan i docinków na codzień ze strony służalczych urzędników pruskich, doręczają mu trzeci już na radzionkowskiej kopalni „Entlassungsschein", W umotywowaniu nic nowego: za krytykę stosunków na kopalni, za polską agitację.

Jasionowski zaciął się, sposobi nową petycję do sądu pracy — wygrywa. Wraca na kopalnię. Szykany, prześladowania, Entlassungsschein... I tak w kółko, systematycznie, z precyzją, jak w zegarku. Pruska machina wynaradawiania i unicestwiania wartościowych jednostek działała bezbłędnie.

W ciągu dziesięciu lat na kopalni w Radzionkowie kilka zwolnień, kilka przewodów sądowych, dłuższe i krótsze etapy bezrobocia i szykany, szykany.

„Dłużej już nie szło wytrzymać — powtarzał Jasionowski wspominając tamte, bardzo złe czasy — trzeba się było pożegnać z kopalnią".

To nie była łatwa decyzja. Górniczy stan, choć niebezpieczny i zdradliwy jak rzadko która inna profesja, ma swoje uroki wiążące nieraz na całe życie. Poza tym Jasionowski jest jeszcze młody, skończył co dopiero 43 lata, mógłby jeszcze śmiało z dziesięć lat popracować, choćby na powierzchni, bo do oficjalnej emerytury jeszcze daleko. A z czegoś trzeba żyć, przypominają o tym żona i dzieci. Skończyły się nawet dziennikarskie honoraria, liche w tamtych czasach, bo odważna „Praca" przestała się ukazywać.

Za poradą przyjaciół Jasionowski zostaje „pisarzem wniosków"! Prywatnym, nie zameldowanym oficjalnie u władz. Pracy miał nawet dużo, bo dużo było ludzi biednych, skrzywdzonych przez władze pruskie i szukających drogą zażaleń, oskarżeń i petycji swoich ludzkich praw. Nie zawsze ci ludzie byli niepiśmienni, byli po prostu nieobyci ze stylem urzędowych pism. A zdarzało się przecież nieraz, że wniosek nie napisany według twardych, urzędowych reguł wędrował po prostu do kosza.

Tymczasem na świecie rozpętała się pierwsza wojna światowa. Z śląskich hut i kopalń pruski cesarz ściągał daninę krwi. Na miejsca pracy opróżnione przez zmobilizowanych przyjmowano teraz wszystkich zgłaszających się, bez wyboru. W taki sposób wrócił Jasionowski do pracy na kopalni. Pech chciał, że znowu na niedługo.

W śląskich kopalniach, w okropnych warunkach, pracowali jeńcy rosyjscy. Głodzono ich i bito jak psy. Jasionowski należał do tych, którzy przynosili jeńcom gotowane kartofle, soli przygarść — na omastę już nie stało. Lecz raz był świadkiem katowania jeńca. Nie wytrzymał. Rzucił się z furią na żandarma — w połowie szychty otrzymał „Kuendigung". Dobrze, że tak się skończyło. Mogło być gorzej.

Wrócił do swego „biura" pisarza wniosków.

W roku 1918, po klęsce pruskiego cesarstwa, powstawały w śląskich zakładach pracy, opuszczonych przez niemieckich hrabiów i baronów, Rady Robotnicze. Jasionowskiego powołano jako przewodniczącego Rady Robotniczej w P iekarach. Rozpoczęła się gorączkowa robota. Nie tylko narodowa. Po wojnie panoszył się głód w śląskich domach, trzeba mu było

natychmiast zapobiec. Jasionowski nawiązał kontakty z Wielkopolską i z poznańskich wsi sprowadzał Piekarzanom kartofle i mąkę.

Temperatura gorączkowej pracy wzrosła w okresie plebiscytu. Jasionowski wracał do domu tylko na noc. Jak do „Szlafhauzu", mawiał. Akcja plebiscytowa pochłonęła go całkowicie. Nareszcie można będzie otwarcie pokazać Europie, że Śląsk jest polski. Piekarzanie w 90% głosowali za przyłączeniem do „Starej Polski".

Ani Piekarzanie, ani Rybniczanie, ani też Opolanie nie doczekali się sprawiedliwości przez wypełnienie kartek wyborczych. Zrozumieli, że tylko zbrojny czyn może tu zadecydować. Święte tradycje listopadowej i styczniowej insurekcji odżyły w trzech śląskich powstaniach. Zasiew śląskich pisarzy ludowych, Ligoniów, Kaniów, Jasionowskich, Damrotów i Jaroniów, zasiew polskiej prasy na Śląsku, „Katolika", „Gazety Opolskiej", „Górnoślązaka", zasiew polskich towarzystw I teatrów amatorskich wydał krwawy plon. Najkrwawszy pod Górą św. Anny.

Podczas trzeciego powstania Jasionowskiego powołano do pracy w Ekspozyturze Emigracyjnej Naczelnej Rady Ludowej, która reprezentowała na Śląsku polską, odrodzoną władzę. Prócz tego pracował w Bytomskiej Radzie Powiatowej. Ani jemu, ani jego towarzyszom nie wpadło wówczas do głowy, że Bytom, centrum ruchu polskiego, może pozostać poza granicami niepodległej Polski.

A tak się stało. Wielu polskich działaczy na Śląsku nie mogło przeboleć tej krzywdy. Zgorzkniało i wycofało się z pierwszych szeregów pracowników społecznych i narodowych.

Jasionowski też się powoli wycofywał. Do swego biura podań, w którym przetrwał do roku 1933. Nie dostał mu się żaden honorowy urząd, żadna intratna posada. Dostała mu się tylko renta starcza w wysokości 31 zł. polskich miesięcznie.

Nie doczekał, ani w okresie dwudziestolecia, ani też później, książkowego wydania swoich wierszy gromadzonych skrzętnie i po wielokroć przepisywanych w szkolnych zeszytach, porządnie segregowanych i numerowanych. Choć ich pilnował z pilnością skąpca, bo stanowiły dla niego żywy skarb, nie upilnował. Uległy rozproszeniu, zaginęły. Z trzydziestu kilku sztuk teatralnych pozostały nieledwie tytuły. W całości przetrwały tylko utwory, które drukowała śląska prasa.

Tak tedy los nie był litościwy dla spuścizny literackiej Maksymiliana Jasionowskiego. Gdy rozmowa schodziła na ten temat, zwykle cichy i spokojny człek stawał się gwałtownie rozżalony, gwałtownie oskarżał, bożej sprawiedliwości wzywał — czemu dziwić się nie należy. Na czyjeś ciche prośby i namowy, by spróbował odtworzyć zaginione utwory, jeżył się srodze i bodaj słusznie, mówiąc, że nie cofa się wskazówek zegara, ani dawno przebrzmiałej historii.

Dawno przebrzmiała historia... kiedy to było? kiedy się odbyły jego literackie prymicje? — gdy miał 25 lat, w roku 1892. Wysłał wtedy do „Gwiazdy Piekarskiej" swój pierwszy, wygładzony i wypolerowany wiersz: „Pielgrzymka do Matki Boskiej Piekarskiej". Następny wiersz, który przyniósł sławę początkującemu poecie, „Szląska kraino nasza ulubiona", wszedł do zbioru pieśni polskich Józefa Gallusa; był śpiewany przez młodzież alojzjańską i na zebraniach „Kółek Polskich". Ludzie starej daty pamiętają jeszcze pieśń.

Szląska kraino nasza ulubiona,
Od nieprzyjaciół polskości wzgardzona,
na twe wspomnienie dusza moja rośnie,
jak woniejące ziele w pięknej wiośnie.
Jeszcze twe wierne nie wymarły syny,
chętnie bronimy swej szląskiej krainy,
każdy z nas mocno przy swej wierze stoi,
bo się nikogo, tylko Boga boi.
Bo każdy Polak mówi sam do siebie,
iż jeszcze dobry Pan Bóg jest na niebie,
że z dobrotliwej, świętej jego woli
zrobi raz koniec tej naszej niedoli...

Ówczesnemu cenzorowi nie spodobali się ci „nieprzyjaciele polskości" i dlatego w druku ukazało się nic nie znaczące, nielogiczne, ale rymowo współbrzmiące zdanie: „Od nieprzyjaciół chciwości wzgardzona".

Właściwego rozpędu literackiego nabrał Jasionowski dopiero w kilka lat później, zniewolony do tego wydarzeniem, o którym wspominał ze słusz-**ną** dumą. Było to w roku 1895. Przemawiał wówczas nad grobem Damrota, którego znał osobiście, którego poezje uwielbiał i którego uważał za swego poetyckiego ojca duchownego. Żegnał Damrota swoim wierszem:

„Twoje szlachetne i wzniosłe pienia

obudziły ludek zwiedziony.
On już odrzuca rozpacz. zwątpienia,
bo pieśnią twoją krzepiony.
A chociaż w niego wciąż biją fale,
choć burza gromy nań ciska,
to on nie zwątpi już w przyszłość wcale,
on wytrwa — broniąc ogniska.

Po tej wzniosłej recytacji młodego, piekarskiego górnika podszedł redaktor Adam Napieralski i powiedział równie wzniośle: „Niech nam pan zastąpi Damrota".

Damrota na pewno nie zastąpił. To było rzucone na wyrost. Ale te słowa dodały mu wiary, zmobilizowały go, stały się dlań bodźcem i nakazem na długie lat dziesiątki przeżyte w walce, w biedzie, w zapomnieniu. Te słowa zadecydowały o jego nie zwyczajnym życiu, był górnikiem, był żarliwym działaczem wielu stowarzyszeń, był ojcem rodziny, był pisarzem wniosków, był społecznikiem — a gdy został sam, gdy nareszcie mógł się cieszyć samotnością, przestawał istnieć dla świata, zapominał o wszelkich szykanach na kopalni: rozpoczynało się odwieczne, niepojęte misterium tworzenia. Misterium białej, czystej karty, która niepokoi, kusi, fascynuje. Misterium poetyckiego natchnienia, które starożytni przekazali koapetencji skrzydlatych muz.

Mieli swoje muzy i domorośli śląscy poeci. Muzy te wprawdzie nie latały podniebnym szlakiem, ale jednak podnosiły na swych skrzydłach ponad ziemią ludzi od kilofa, pługa i kowadła.

Bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że Jasionowski po ciężkiej szychcie zasiadał nad swoim zeszytem i nieraz do białego rana mozolił się i trudził ze słowem opornym?

Jakże inaczej, jak nie poetyckim natchnieniem wytłumaczyć powstanie tak pięknego utworu, jakim jest poemat „Nad Brynicą", poemat gorąco patriotyczny i proroczy, że rzeka, która kiedyś była granicą, popłynie polskim krajem. Trzeba pamiętać, że utwór powstał w roku 1901.

Miły, błogi mi strumyku, ty bystra krynico,
ciebie kocha każdy Ślązak,luba nam Brynico.
Uwijasz się, mijasz łany, mijasz polskie chatki,
by najprędzej wpaść w objęcia Wisły — twojej matki.
Po obydwóch brzegach twoich leżą polskie łany,

po obydwóch brzegach siedzi polski lud kochany,
co go chytrze chcą wygubić — trzeba wyznać z żalem —
siepacze kraju naszego. Prusak wraz z Moskalem.
Po obydwóch brzegach twoich pale w ziemię wbili,
a na palach tych drapieżne orły swe stawili,
które swymi drapieżnymi i ostrymi szpony
grożą nam spokojnym ludziom het, w obydwie strony...
Próżne, wrogu, twe zamiary, polski lud tu będzie
i na zawsze polskie łany dla siebie powiedzie.
Choć jesteśmy rozerwani twymi kordonami,
po Brynicy obu brzegach my zawsze ci sami...
Nad Brynicą leci czajka, nieustannie skrzeczy,
że granica nad Brynicą, głośno temu przeczy.
Przelatuje w obie strony ptaszek ten swawolny,
przeczy, skrzeczy głośnym tonem, będzie ten kraj wolny.

W dalszych partiach poemat pobrzmiewa rewolucyjną nutą:

Bo się ludy porozumią,
i swych panów pychę stłumią,
dadzą sobie zgodnie ręce,
zrobią koniec ludzkiej męce!
Lecą w przepaść liczne trony,
królowie tracą korony,
poszła pycha, siła, sława,
lud zdobywa swoje prawa.

W dorobku twórczym Jasionowskiego znajdujemy także prozę; nowele, a nawet powieści. Bo i na ten trudny gatunek literacki starczyło mu oddechu. Pierwsza z powieści, „Kara Boska, czyli krzywda nagrodzona", zachowała się w manuskrypcie, w grubym brulionie. Druga powieść „W jednej godzinie" ukazała się w odcinkach w „Gazecie Katolickiej".

Trzeci utwór prozą nowelę „Walka o byt" drukowała „Gazeta Robotnicza".

Z jednej strony „Gazeta Katolicka", z drugiej — „Gazeta Robotnicza"? jak to możliwe? jak to Jasionowski godził?

Mówi, że nie łamał sobie nad tym głowy. Że to nie było żadnym problemem. Że chodziło mu tylko o biednego, wyzyskiwanego przez Niemców Górnoślązaka.

„Jestem z ludu i dla ludu pracuję. Jestem Polakiem i katolikiem, chociaż niektórzy księża uważali mnie za socjalistę z powodu moich ciętych korespondencji do „Pracy". Ale to byli ci sami, co i Miarki nie lubili, i ruchu narodowego na Śląsku".

To szczere wyznanie charakteryzuje mentalność Maksymiliana Jasionowskiego. Mentalność zapewne dziewiętnastowieczną, stąd nie sposób przykładać do niej dwudziestowiecznych kryteriów.

Ale swoimi racjonalizatorskimi pomysłami wybiegał na pewno w wiek dwudziesty. Z dumą rozkładał na stole rysunki techniczne wykonane przejrzyście i precyzyjnie, choć do żadnego technikum mechanicznego nie uczęszczał. Jeden z jego wynalazków — Wettertueren na kopalni — przyjął i opatentował „Das Kaiserliche Patentamt". Za ten projekt zapłacono mu uczciwie i szczodrze. Po raz pierwszy w życiu miał wówczas pełną kaletę. I po raz ostatni.

Drugi pomysł racjonalizatorski dotyczył maszyny do prania. Problem współczesnej, popularnej pralki nie zainteresował jednak cesarskiego urzędu patentowego i na tym projekcie Jasionowski nic nie zarobił.

Jasionowski sprząta ze stołu swoje skarby: rysunki techniczne, dyplomy, Srebrny Krzyż Zasługi.

„Ten krzyż otrzymałem za to, że walczyłem o język polski na Śląsku. — Tak mi powiedzieli, gdy mnie nim dekorowali. A głównie mieli na uwadze tę sprawę z biskupem Koppem" — tłumaczy Jasionowski.

Jak to było? Otóż w roku 1893 przypadł Jasionowskiemu nie byle jaki zaszczyt w udziale: dwudziestosześcioletniego górnika poetę mianowano delegatem ludu górnośląskiego i wysłano, razem z innymi działaczami, do Wrocławia, na audiencję do księcia-biskupa wrocławskiego. W ważnej misji, aby przypomnieć ordynariuszowi rozległej diecezji, że na Śląsku ludzie modlą się po polsku.

Jasionowski, w eleganckim stroju górnika, przemówił doskonale po niemiecku — w obronie mowy polskiej. „By książe-biskup nie rugował języka polskiego ze szkól i kościoła, by nie przykładał ręki do germanizacji Śląska, bo tam mieszkają sami Polacy".

I jeszcze jedną ważną audiencję wspomina Jasionowski chętnie. Było to rok wcześniej w 1892 „Katolik" obchodził dwudziestopięciolecie swego istnienia i z tej okazji wydano piękny, na jedwabiu, numer jubileuszowy z czołobitnym adresem dla Ojca św. Leona XIII. Z polecenia redakcji

Jasionowski wręczył ten dar jubileuszowy papieżowi na specjalnej audiencji wyznaczonej pielgrzymce z Górnego Śląska. W zamian za to Leon XIII przekazał nabożnemu ludowi śląskiemu swoje apostolskie błogosławieństwo.

Mimo tych zaszczytów młodemu działaczowi nie przewróciło się w głowie. Nie zależało mu na honorach, co przemijają jako śniegi. Nie otaczał się pochlebcami, ani też szukał możnych protektorów. Był bardzo dumny. Nie umiał schlebiać, nie umiał zabiegać o czyjeś łaski, nie umiał się reklamować. Gdyby znał ten kunszt, zapewne więcej jego utworów znalazłoby się na łamach śląskiej prasy. I mniej byłoby biedy w domu przy ulicy Mariackiej.

Był również nadzwyczaj prawdomówny, a nawet ostry w swoich sądach. A to bynajmniej nie zjednywa ludzkiej sympatii. Dlatego nie miał zbyt wielu bliskich znajomych.

Ale miał jednego, wielkiego przyjaciela: Wawrzyńca Hajdę. Szczycił się przyjaźnią człowieka, którego nazwano śląskim Wernyhorą. Piękna to była przyjaźń dwóch piekarskich górników poetów, starca i młodzieńca, mistrza i ucznia, przyjaźń godna natchnionego pióra.

Jasionowski żegnał zmarłego wierszem:

Cnotą, przykładem, wiodłeś braci wielu,
jak trza pracować na ojczystej niwie.
Wiodłeś ich chętnie do pewnego celu
ucząc życzliwie.
A znojne były, bracie, prace twoje,
lecz ty, podniósłszy serce
swoje w górę,
lud rozbudziłeś wiodąc go na boje
wśród groźnej chmury.
Wzniosłeś przed nami za pomocą bożą
sławetny sztandar wiary i języka.
A choć złe siły nad ludem się srożą
wróg w końcu zmyka.
Głosząc: nam pracy nie wolno porzucić,
w zarodku tłumiąc zgubny jad zwątpienia,
spieszyłeś braci z letargu wciąż cucić,
koić cierpienia.

Wawrzyniec Hajda zaprawił Jasionowskiego do pracy narodowej i społecznej. Był mu najpierw nauczycielem, zanim stał się przyjacielem. Obudził w nim żarliwość, bez której nie ma skutecznego działania. Jasionowski wciaga sie do pracy w towarzystwie piekarskich alojzjanów, sekretarzuje im i prowadzi czytelnię, pracuje w „Kółku Polskim", wygłasza prelekcje z przeszłości Piekar. Materiał ten stanowić będzie kiedyś dość pokaźną monografię historyczną tego sławnego miasta śląskiego.

Jasionowski stał się nie tyle prawą ręką Hajdy, co raczej bystrymi oczyma ślepca-myśliciela. Hajda przekazywał mu wszelkie umiejętności, które sam kiedyś zdobywał samorodnym trudem. Uczył go nawet skomplikowanej sztuki czytania i pisania nut, a nawet komponowania łatwych piosenek. Umiejętność ta bardzo się Jasionowskiemu przydała przy tworzeniu repertuaru dla amatorskich zespołów teatralnych, tak popularnych wówczas na Śląsku.

Nie sposób zakończyć barwnego filmu z życia Marka z Chin nie wspominając jego zasługi na tym polu. Wprawdzie daleko mu do popularności i scenicznej smykałki Piotra Kołodzieja, sławnego autora „Wycużnika", w każdym razie i jego wkład stanowi nie lichy przyczynek do dziejów teatru ludowego na Górnym Śląsku.

Był autorem, aktorem, reżyserem, i tłumaczem swoich sztuk. Tłumaczem na język niemiecki. Była to smutna i twarda konieczność, prawnie zarządzona przez władze pruskie: cenzor z urzędu prędzej nie wydał zezwolenia na odegranie jakiejś sztuki teatralnej, póki nie doręczono mu jej egzemplarza w niemieckim tłumaczeniu.

Jasionowski pisał komedie i humoreski, bardzo chętnie wystawiane przez samorodne zespoły oraz wieloaktowe dramaty religijne, oparte na tekście biblijnym, jak na przykład dramat „Rut". Z komedyjek znane były „Dwie doktórki" i „Pan Chrupała", z widowisk religijnych — popularne jasełka pod tytułem „W Betleem".

Jeszcze po drugiej wojnie światowej, blisko już osiemdziesięcioletni pisarz tworzy dramat o tematyce okupacyjnej „Krwawy obrazek", z życia śląskiej rodziny górniczej. Ale to był już jego ostatni wielki wyczyn poetycki.

Równie popularne w śląskim środowisku były różnorakie deklamacje chórowe, które poeta układał doraźnie, na zamówienie, czy to alojzjanów, czy też później Kongregacji Mariańskiej w Piekarach. O wielkim kunszcie

i o opanowaniu arkanów poetyckich świadczy taka właśnie chórowa deklamacja pod tytułem „Kantata leśnych ptaków”.

Kukułka: Siedzę biedna kukułeczka w gniazdku, w samotności
czekam na inne ptaszki, dzisiejszych moich gości.
Musim wspólnie z ptaszkami urządzić śpiewu próbę,
by pieśnią uczcić orła w świąteczną jego dobę.
Niech się szczebiot razem z pieśnią harmonijnie składa,
niech będzie serenada.

Moja wdzięczna serenada o Marku z Chin, o piekarskim poecie, dobiega końca. Tak jak końca dobiegło jego długie życie, trochę w smutku, trochę w zapomnieniu: był obcy współczesnemu światu i jego kulturze, trwał ciągle w pięknej, lecz minionej epoce kółek towarzyskich i teatrów amatorskich. A tu za drzwiami, u sąsiadów, radio, a obok w kamienicy kino, i następne, na następnej ulicy. A gdzieś w Warszawie pierwsze odbiorniki telewizyjne.

Był nam obcy, lecz nie jest nam obca jego poezja. Co dziwniejsze, ciągle aktualna.

Niźli Niemiec Śląsk dostanie i nami zawładnie,
prędzej Wisła w biegu stanie, księżyc na nas spadnie.

„Gość Niedzielny”, nr 8/1963, s. 4 – 5; nr 9/1963, s. 4; nr 10/1963, s. 5 i 7.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

Narodowa sprawa spod znaku Heroda

(W 40-tą rocznicę śmierci Wawrzyńca Hajdy)

Zdawałoby się, że piekarska kalwaria jest na ogół znana śląskim pątnikom, których strudzone nogi zginają się czternaście razy przy obchodach drogi krzyżowej i piętnaście razy przy dróżkach Maryjnych. A jednak prócz tych 29 całkiem pobożnych kaplic jest kilka mniej uczęszczanych i znanych. Do nich należy także kaplica króla Heroda przedstawiająca pogrom dziatek betlejemskich.

Herodowa kaplica ma swoją historię, wcale ważną i piękną.

W jej murach młodzież piekarska schodziła się potajemnie na zebrania i odprawiała narodowe „dziady" pod okiem węszących żandarmów. Rozbrzmiewały polskie wiersze i zakazane pieśni, opatrzone przez władze pruskie etykietką „streng verboten"[181]. Ku kamiennym twarzom brodatych, herodowych siepaczy ulatywały słowa wypowiadane w duchu iście proroczym przez ślepego górnika, przez „śląskiego Wernyhorę", Wawrzyńca Hajdę.

Zaklinał młodych słuchaczy mocą poezji Słowackiego: „Niech żywi nie tracą nadziei". Niech nie tracą nadziei, że Polska zmartwychwstanie, że Brynica przestanie być granicą, że Górny Śląsk wróci do macierzy.

A miało to nastąpić dopiero ćwierć wieku później, bo wskazówki na zegarze dziejów minęły zaledwie rok 1890.

Hajda zaklinał swych słuchaczy nie tylko poezją Słowackiego, ale także własnymi wierszami. Ślepe oczy nie mogły prowadzić ołówka po papierze, więc Hajda dyktował swym uczniom słowa, zrodzone poza barierą widzialnego świata. Jakie to były wiersze? Ile ich było? — W braku jasnej odpowiedzi na te pytania zawiera się zła dola, jaka spotkała samorodną spuściznę poetycką piekarskiego poety.

Niestrudzony zbieracz i badacz kulturalnego dorobku ślązaków, Stanisław Wallis, zajął się schedą literacką Hajdy, ale zmarł, zanim ogłosił legendy górnicze Hajdy, które wydał w roku 1938 Ludwik Łakomy, ale jest tego niewiele. Niewiele. Jeśli się zważy, że według niesprawdzonej wieści, Hajda jest autorem dwustu poetyckich utworów. Byłaby to cyfra zawrotna. Nawet tak płodny pisarz śląski, jak Juliusz Ligoń, napisał zaledwie sto kilkanaście wierszy.

Ale Wawrzyniec Hajda był nie tylko samorodnym poetą, był także samorodnym kompozytorem; układał melodie do pieśni religijnych i towarzyskich, grał na skrzypcach i na wiolonczeli. Do żadnego konserwatorium nie chodził, nad pojęciem różnorodnych tonacji muzycznych sam się biedził. Kiedy przed ociemniałym inwalidą górniczym zamknął się świat barw, otwarł

---

[181] Surowo zabronione.

się przed nim drugi świat, świat dźwięków i melodii. Laska ślepca wiodła go w tę tajemną krainę. Poznawał mus tworzenia.

Podobnie się miała rzecz z innym poetą-górnikiem, z Danielem Szędzielorzem z Michałkowic: kiedy zwały węgla pogruchotały mu kości, kiedy przed młodym wiarusem zamknęły się długie szlaki pielgrzymek i wędrówek, wesołych zabaw i tańców, wtedy otwarł się przed nim zaczarowany świat poezji. Laska chromego powiodła go ku wielkiej sztuce poetyckiej. Odkrywał magię słowa i przymus tworzenia w słowie.

Na pruskim Śląsku, w najgorszych warunkach kulturalnych i socjalnych, w pogardzie i nędzy, dojrzewały samorodne talenty. Pruscy urzędnicy przejeżdżający przez Górny Śląsk w latach czterdziestych XIX wieku patrzyli z pogardą na bosych kmiotków, na wychudłe dzieci i pisali potem w swoich sprawozdaniach, że Górnoślązacy to rasa bezwartościowa, skazana na wymarcie.

Pomylili się pruscy obserwatorzy. Zresztą często się mylili co do Górnoślązaków. Z bosych kmiotków zrodzili się synowie, którzy nie tylko, że nie dopuścili do wymarcia górnośląskiej rasy, ale uszlachetnili ją swoim trudem oświatowym i literackim.

Wśród samorodnych pisarzy robotniczego Śląska wybijają się na czoło dwie trójki, jedna z pierwszej połowy, druga — z drugiej połowy XIX wieku. Do pierwszej trójcy należy nestor poetów śląskich, wieszcz-wiarus z Królewskiej Huty, Juliusz Ligoń, urodzony w roku 1823, Daniel Szędzielorz z Michałkowic urodzony w 1836 r. oraz Wawrzyniec Hajda z roku 1844.

Do drugiej trójcy poetów urodzonych po roku 1850 należą: Jan Ligoń, syn Juliusza, Piotr Kołodziej z Siemianowic i M aksymilian Jasionowski z Piekar.

Wawrzyniec Hajda urodził się w Rudnych Piekarach koło Tarnowskich Gór, dnia 8 sierpnia 1844 r oku. Jest to rok znamienny w dziejach Śląska, rok, który zapoczątkował wielką odnowę moralną a zarazem i narodową mas ludowych. W dniu Matki Boskiej Gromnicznej tegoż roku, w Piekarach, ks. proboszcz Alojzy Fiecek dał hasło do rozpoczęcia ruchu trzeźwości, który jak płomień ogarnął śląskie wsie i miasta. W sukurs Fieckowi pospieszyli co dzielniejsi śląscy duchowni: Szafranek z Bytomia, Stabik z Michałkowic, Purkop z Woźnik i Włodarski z Pyskowic, późniejszy biskup wrocławski. W każdej parafii zakładano bractwo

wstrzemięźliwości, głoszono misje, zapraszano z Krakowa sławnych kaznodziei. Nie trwało zbyt długo, a zaczęto zamykać rozsiane gęsto po Śląsku gorzelnie i karczmy z braku klientów.

Alarm Fieckowy był na czasie. Trzeba było coś robić przeciwko obojętności władz pruskich i przeciwko zbrodniczej głupocie dziedziców śląskich, którzy doprowadzali lud do systematycznego pijaństwa. W dniu wypłat przetrwał zwyczaj, zakorzeniony i ugruntowany przez nie tak dawny jeszcze przymus pańszczyźniany, że robotnik wykupywał swój oficjalny przydział wódki w gorzelni dziedzica. Dziedzic nie myślał oświecać swych robotników, w jego interesie leżało pijaństwo podwładnych, bo talary płynące z gorzelni przyfolwarkowych najskuteczniej zapełniały jego kasę. Że lud wpadał w coraz większą nędzę? że moralność zanikała coraz bardziej? że okrutne epidemie dziesiątkujące wygłodniałą ludność stąd brały początek? — to nie było troską władcy Prus, który zagrabił Śląsk i doprowadził do tego stanu biedną ludność.

Podczas jednej z takich głodowych epidemii, gdy zaraza kosiła wynędzniałych ludzi, pomarli oboje Hajdowie. Należeli do tych najbiedniejszych. Wprawdzie stary Hajda pracował jako robotnik kopalniany, ale trudno było za to wyżyć familijnej gromadce. Osierociałe dzieci na własną rękę poszły za chlebem. Dwunastoletni Wawrzyn, wraz ze swym bratem, wybrał Piekary, znaczne już wtedy miasteczko. Brat poszedł na kopalnię „Nowa Helena" w Szarleju, a Wawrzyniec na służbę do piekarskiego siodłaka, Cieśli. Wypasał bydło, przygotowywał karmę — ale nie myślał o zawodzie parobka. Chciał, jak starszy brat, pokosztować znojnego, ale zacnego chleba górniczego. Gdy tylko ukończył 14 lat, wiek uprawniający do pracy w przemyśle, poszedł na kopalnię w Szarleju. A za pierwsze, samodzielnie zarobione mareczki, jak chce piękna fama utwierdzona przez Jasionowskiego, kupił polskie książeczki. Ile ich było i jakie? można snuć domysły.

Był to rok 1858, a już trzy lata wcześniej, w r 1855, „Gwiazdka Cieszyńska" pisała obszernie o literaturze śląskiej:

„Od tylu lat drukarnie śląskie w niepraktykowanych ilościach egzemplarzy, prawie masami, rozsyłają tłumy broszur i małych pisemek, które zasiadły na pułapie w chacie kmiecia... Drobne takie rzeczy, jak np. Historia o szlachetnej Meluzynie, o świętobliwej Genowefie, o szewcowej zmienionej w księżniczkę, o kruszcach śrebrnych itp. kilku doczekało się

wydań, są pilnie czytane, utrzymują się ciągle i stanowią rzeczywiste jądro tamtejszej literatury; nie pojawiają się one na półkach księgarskich, lecz z bud jarmarcznych na całą rozchodzą się okolicę".

Autor zachwala także dopiero co wydaną drukiem książeczkę Józefa Lompy, „O pobożnej i błogosławionej Petronelli", pisząc, że „20 tysięcy egzemplarzy tej broszurki niewiele wymaga czasu, aby się wokół rozbiegło". Gdzie jak gdzie, ale w Piekarach nie miał Hajda kłopotu z nabyciem wydawnictw. „Czym jest Lipsk dla całych Niemiec, tym są Piekary dla górnośląskiego ludu polskiego, także mu bowiem dostarczają prawie wszystkich książek do nabożeństwa i innych, treści religijnej i moralnej" — pisał anonimowy autor w r. 1868 w „Zwiastunie Górnośląskim".

Ta sprawa, to znowu wiekopomna zasługa ks. Fiecka, który w pełni docenił rolę słowa drukowanego i książką polską wydawaną masowo chciał podnieść oświatę i moralność wśród ludu górnośląskiego. Początkowo, w r. 1842, drukował we Wiedniu — i to własnym nakładem — „Żywoty Świętych" Piotra Skargi, bo na Górnym Śląsku nie było jeszcze tak poważnej oficyny drukarskiej, która by się podjęła takiego wydawnictwa. Ale już przemyśliwał nad tym, by założyć u siebie, w Piekarach, firmę wydawniczą. Książki na pewno znajdą licznych nabywców, sądził słusznie, przecież rok rocznie nawiedzały Matkę Boską Piekarską tysięczne rzesze pątników. Podobnie zresztą było i w Częstochowie, gdzie w murach klasztoru Jasnogórskiego prosperowała starodawna i sławna drukarnia rozsyłająca swe wydawnictwa przez ręce pielgrzymów po całej Polsce.

Wtedy właśnie nadarzył się ks. Fieckowi drukarz rodem z Częstochowy, Teodor Heneczek, człowiek zręczny i przedsiębiorczy, który założył w Piekarach pierwszą ważniejszą na Górnym Śląsku oficynę księgarską. Tak więc, od roku 1847, zaczęły się pojawiać na straganach odpustowych pod kalwarią, obok różańców, medalików i świętych obrazków, wszelakie Meluzyny, Gryzeldy i Petronelle wabiące oko barwną okładką i wstrząsającym tytułem zachęcającym do kupna.

A Hajdę nie było co zachęcać do kupna. Młody, bystry górnik należał do tych, którzy woleli wydać mareczkę na książeczkę, niż na funt kiełbasy. W książce polskiej był od dawna zakochany. Tej miłości nie nauczyła go szkoła — bo wcale do niej nie chodził; wprzęgnięty do przymusowej pracy na chleb już w dzieciństwie, nie miał kiedy korzystać z błogosławieństwa szkoły. Miłość tę wyssał z mlekiem matczynym, tak jak i matczyna książka

do nabożeństwa była dla niego pierwszym elementarzem. Upartym, mozolnym ślabikowaniem nauczył się na niej czytać w bardzo wczesnym dzieciństwie.

Modlitewnik matki, gruby kancjonał kupiony na jakimś odpuście, metalową klamrą spinający godzinki, litanie, kolędy i akty strzeliste, przechowywany w skrzyni wśród świątecznych ubiorów jak skarb prawdziwy, był mu pierwszym przewodnikiem w zaklęte królestwo słowa pisanego.

Po kilku latach miłość ku książce przeszła i na polskie czasopisma: w roku 1861 zaczął się ukazywać w Chełmnie na Pomorzu „Przyjaciel Ludu" mądrze redagowany przez „majsterka", Ignacego Danielewskiego. Na Górnym Śląsku nie wychodziło wówczas żadne polskie czasopismo, więc czytelnicy złaknieni wieści z dalekiego świata abonowali „Przyjaciela". Zyskał on sobie wielką popularność, która przetrwała nawet wtedy, gdy pojawiły się rodzime pisma polskie. Do „Przyjaciela" przesyłano korespondencje ze Śląska a Ligoń drukował w nim swoje poetyckie pierwociny.

Potem przyszła kolej na „Zwiastuna Górnośląskiego". Zaczął on wychodzić we własnym Hajdowym mieście, w Piekarach, prawie że na następnej ulicy, w drukarni pana Heneczka, którego Piekarzanie bardzo szanowali i znajomość z nim bardzo sobie cenili. Dopiero znacznie później, gdy Heneczek zmienił politykę, zmieniły się i uczucia dla niego.

„Zwiastuna" powitano entuzjastycznie i pokochano na wyrost, po kilkunastu latach śląskiej posuchy prasowej. Dał temu wyraz i Ligoń, i Szędzielorz, który pierwszy swój wiersz opublikował w „Zwiastunie". Na łamach „Zwiastuna" spotykamy także nazwisko Hajdy, ale tylko w popularnym dziale zagadek. Hajda, podobnie jak inni światli Górnoślązacy, należał do zaprzysiężonych entuzjastów rebusów. Tu można było wykazać się swoją wszechstronną wiedzą zdobytą pilną lekturą książek. Materiał zagadek dotyczył nieraz trudnych zagadnień z historii Polski lub z dziejów powszechnych, a trafne rozwiązanie było świadectwem niebylejakiego oczytania autora.

Po „Przyjacielu" i po „Zwiastunie" przyszła kolej na „Katolika" i „Gazetę Górnośląską". Czy Hajda rzeczywiście nie żałował grosza na te bądź co bądź drogie abonamenty? — nie, nie żałował. Potwierdza to wierny zapis Jasionowskiego: „Mimo małego zarobku łożył na tak poważne dzienniki i do trzech talarów kwartalnie, nie licząc zakupu dzieł literackich".

I to jakich literackich! Jasionowski notuje skrzętnie: „Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego, Sienkiewicza i innych”.

Po Ligoniu bibliofilu, który płakał serdecznie, gdy pruscy żandarmi pakowali jego książki do worków jak kartofle, po Szędzielorzu, który w Stabikowej bibliotece zapominał o bożym świecie, spotykamy w Hajdzie trzeciego wielkiego miłośnika polskiej literatury; za pruskie talary zarobione pod ziemią kupował polskie książki. To była jego krwawica, zbiory biblioteczne, którymi się szczycił i którymi służył drugim.

Według Kudery wpływ książek polskich tak głęboko urobił światopogląd Hajdy, że nosił on się z myślą wzięcia udziału w powstaniu styczniowym. „Chodził nad granicę obok Piekar przechodzącą i jakiegoś ratunku wyglądał. Ale ponieważ ratunek nie przyszedł, przynajmniej za Polskę się modlił”.

Bardzo to możliwe, że gdyby wtedy, w roku 1863, trafili do Piekar emisariusze zza kordonu, Hajda i jemu podobni młodzi zapaleńcy przystaliby do nich, jak to miało miejsce w okręgu rybnickim.

W roku 1873, gdy się już zbliżał pod trzydziestkę, pomyślał Hajda o ożenku. Znalazł sobie żonę w Nowej Wsi pod Tworogiem, Paulinę Badroszównę. Okazała się ona dzielną towarzyszką, śmiało stawiającą czoła ciężkim próbom, których nie szczędziło im życie.

Pierwszy grom uderzył w młode małżeństwo w sześć tygodni po ślubie: Hajda oślepł wskutek wypadku na kopalni. Był rębaczem, umieszczał i zapalał nabój dynamitowy w caliźnie węgla. Naboje nie były jeszcze wówczas tak finezyjnie wykonane jak dziś: albo wybuchały przed czasem, zanim jeszcze górnicy zdążyli uciec, albo nie wybuchały wcale i trzeba je było wyjmować ze skały, co groziło również niebezpieczeństwem.

Nabój Hajdy wybuchł przedwcześnie i wypalił na zawsze bystre oczy. Ciemności panujące w kopalni ogarnęły bezpowrotnie młodego górnika. Chyba nietrudno uzmysłowić sobie tragizm tego trzydziestoletniego ślepca rozmiłowanego tak bardzo w książce! Ta sprawa była przesądzona: już żaden kształt pisanego słowa nie dotrze nigdy do porażonych ogniem źrenic. Ani też ręka nie poprowadzi ołówka przy próbach wierszowania.

Po długim pobycie w szpitalu podleczonego inwalidę wysłano do zakładu dla ociemniałych we Wrocławiu. Tam wyuczono go zastępczego zawodu, wyplatania koszyków i krzeseł z trzciny, aby w dalszym życiu mógł

w jakiś sposób zarabiać na utrzymanie rodziny. A dalsze życie zapowiadało się bardzo smutnie.

Żona porodziła mu siedmiu synów; wszystkie dzieci umierały w pacholęctwie. W izbie na zmianę stały, to kołyska, to trumienka. Oboje rodzice byli srodze utrapieni, ale całkowicie poddani woli bożej. Ks. proboszcz Nehrlich nieraz wychwalał na kazaniu ich chrześcijańską postawę wobec cierpienia i stawiał Hajdów za przykład drugim. Szczególniej poważał ślepca, który mimo kalectwa, był „swobodnego usposobienia",

Jasionowski tak charakteryzuje stosunek Hajdy do spraw wiary:

„Hajda należał do ludzi na wskroś religijnych. Należał do Trzeciego Zakonu św. Franciszka, codziennie uczęszczał na mszę św. i prędzej nie wyszedł z kościoła, aż wszystkich mszy nie wysłuchał. Nieraz trudno było mu iść i wypadek mógłby się zdarzyć w drodze, on się tym jednak nie odstraszał".

Lub inny zapis Jasionowskiego:

„Hajda mówił zwykle: O, moi kochani, czym byłbym ja, człowiek ułomny i ślepy, który promyka Boskiej jasności nie widzę, gdyby mnie religia nie krzepiła. Bez religii byłbym ja martwym głazem. Religia mnie tylko w ułomności mojej podtrzymuje".

To, co się zwykło mówić o oczyszczającej i uszlachetniającej roli cierpienia, w całej prawdzie spełniło się w postawie życiowej Hajdy. Z bystrego i inteligentnego człowieka dzięki srogim utrapieniom przemienił się w mądrego nauczyciela i głębokiego myśliciela. Wpatrzony w swój wewnętrzny świat, skupiony w sobie, przemyślał wiele spraw, na które zwyczajny zjadacz chleba po prosto nie ma czasu. Owoce tych rozmyślań przekazał później swoim uczniom przygotowując ich do ofiarnego życia dla wielkiej idei.

Bardzo wcześnie nawiązał Hajda kontakty z młodzieżą zorganizowaną w polskich kółkach towarzyskich. Tu dopiero odżył zapominając niejako o swoim kalectwie. Polskie Stowarzyszenia, nazywane krótko „kółkiem" lub „kasynem", mają na Górnym Śląsku swą piękną historię. Te prymitywne „kółka" spełniały właściwie na Śląsku rolę uniwersytetów ludowych, niosąc oświatę młodym i starym. I nie tylko oświatę. Wykłady z dziejów narodu polskiego, z literatury pięknej, to nie były tylko odczyty przekazujące pewien zasób wiadomości; prelekcja o królu Sobieskim i o Kościuszce, o Kochanowskim i o Mickiewiczu działały jak apel

patriotyczny i stanowiły zarzewie narodowego odrodzenia pruskich Górnoślązaków.

Na wykłady w kółkach towarzyskich zapraszano redaktorów polskich pism na Śląsku, Karola Miarkę i ks. Radziejewskiego z „Katolika", ks. Przyniczyńskiego z „Gazety Górnośląskiej", znanego lekarza Chłapowskiego z Królewskiej Huty, pisarza Chociszewskiego i red. Koraszewskiego. Jednak najczęstszymi prelegentami byli miejscowi księża, piastujący zazwyczaj rolę prezesów i miejscowi, co światlejsi, nieraz bardzo oczytani robotnicy.

Dla samorodnych pisarzy kółka stanowiły specjalny teren działania: tu następowały spotkania literackie między autorem a czytelnikami, tu ćwiczono pieśni ułożone przez nich, tu omawiano realizację sztuk teatralnych również przez nich utworzonych. Juliusz Ligoń wyżywał się na terenie kółka w Królewskiej Hucie, Szędzielorz żył tylko dla „Gwiazdy Michałkowskiej", Kołodziej, dla siemianowickiego kółka. Pisano wiersze na otwarcie kółka, na imieniny prezesa, na jego odejście lub przyjście. Każdą rocznicę kółka uświetniano deklamacjami i chórowymi występami, nieraz teatrem amatorskim.

Przy kółkach powstawały automatycznie czytelnie i zespoły amatorskie. Żarliwy bibliotekarz zabiegał o coraz to nowe książki i kompletował bieżące czasopisma. Zaś teatr amatorski, to chyba znowu jakaś wspaniała, odrębna karta w dziejach ruchu narodowego na Śląsku. W ówczesnej prasie śląskiej aż się roi od sprawozdań teatralnych w różnych miejscowościach. Najruchliwsze zespoły znajdowały się w Królewskiej Hucie, Bytomiu, Lipinach, Siemianowicach, Szopienicach, Załężu, Dębie, Mikołowie i w Rudzie.

Rok 1869 to rok narodzin kółek towarzyskich: Miarka zakłada „Kasyno Katolickie" w Królewskiej Hucie, zaś ks. Bonczyk „Kasyno Polskie" w Bytomiu. Podobne towarzystwa powstały jeszcze w tym samym roku w Mysłowicach, Siemianowicach, Pszczynie i Żorach.

W dwa lata później ks. Bonczyk pomyślał o organizacji specjalnie dla młodzieży i utworzył Towarzystwo św. Alojzego w r. 1871. Alojzjanie przyjęli się nieomal w każdej śląskiej parafii.

„Kółko Polskie" powstało w Piekarach w r. 1876. Założył je ks. Bernard Purkop, „godny następca ks. Fiecka, kapłan zacny, pracowity, skromny i cichy, ale mimo to interesujący się żywo różnymi sprawami

publicznymi", jak go charakteryzuje Konstanty Prus. Dziełem Purkopa było także powołanie do życia „Zwiastuna Górnośląskiego”.

W inauguracji Kółka wziął udział ks. Przyniczyński, nieoficjalny mecenas śląskich stowarzyszeń.

Wawrzyniec Hajda stał się duszą piekarskiego Kółka. Od razu zorganizował sekcję śpiewaczą, wystarał się o nuty, o teksty różnych pieśni, świeckich i religijnych, wydobył cudem fundusze na zakup instrumentów muzycznych. Oczarował młodzież swym entuzjazmem i pociągnął ją za sobą.

Pruskie władze dla ślepca-inwalidy przewidziały tylko spokojne zajęcie — wyplatanie krzeseł z trzciny. A tymczasem exgórnik wsparty na kiju dwoił się i troił przy zajęciach wcale nie spokojnych: chodził ustawicznie na próby chórowe, dyrygował, grał na skrzypcach, szkolił młodych śpiewaków i muzyków, ćwiczył trudne kompozycje na kilka głosów. Kompozycje, których sam był twórcą.

A komponował na różne okazje, pod różny tekst: raz chodziło o imieniny prezesa, to znów o jubileusz papieża, kiedy indziej wypadało uczcić rocznice narodowego święta. Jedną z takich uroczystości wspomina żywo Jasionowski, bo sam brał w niej udział. W roku 1883 obchodzono uroczyście w kółkach polskich na Śląsku 200 rocznicę odsieczy wiedeńskiej. Prasa śląska pisała na ten temat, a Ligoń tworzył prawdziwą epopeę o królu Janie, który cieszył się wśród Górnoślązaków szczególniejszym mirem. Może między innymi dlatego, że przechodził przez śląskie miejscowości idąc na Wiedeń i stara tradycja powiązała z jego pobytem różne miłe wypadki?

Piekary należą do tych uprzywilejowanych miejscowości, w których stanęły na popas wojska polskiego króla, zaś on sam modlił się przed cudownym obrazem o zwycięstwo nad Turkiem. Pozostawił też piekarskiemu kościołowi cenną pamiątkę — kielich mszalny.

„Kółko Polskie” w Piekarach czuło się więc specjalnie zobowiązane do przygotowania wielkiej uroczystości z udziałem znacznych gości.

A Hajda komponował. Odcięty od żywego świata barw łapał wrażliwym uchem dźwięki, które wiązał w melodie piękne jak oratoria. Piekarski chór mieszany wykonywał tę kompozycję zdumiewając przybyłych gości. Ale co ich mogło więcej zdumiewać, czy samorodni śpiewacy

robotniczej profesji, czy też ich ślepy dyrygent, poeta i kompozytor w jednej osobie?

Wśród gości znajdował się ks. Radziejewski, redaktor „Katolika", „wraz z licznym zastępem inteligencji", jak pisze Jasionowski.

Po kilku latach „Kółko Polskie" przechrzczono na niemieckie „Gemuetlichkeit", aby uniknąć stałych i uciążliwych szykan policyjnych. Trzeba pamiętać, że były to czasy Kulturkampfu i wojujący germanizatorzy nie przebierali w środkach. Niemiecka nazwa towarzystwa była czczą etykietką, bo w Kółku nadal obowiązywał język polski i podczas uroczystych prelekcji, i w c zasie zwyczajnych posiedzeń. Protokóły pisano w dalszym ciągu po polsku.

Jednak nie wszyscy rozumieli i pochwalali tę dyplomację. Widzimy to dokładnie w korespondencjach nadsyłanych do „Gazety Górnośląskiej" w roku 1880. Na skargę korespondenta z Piekar, który się żali, że ostatnimi czasy nie wszyscy przychodzą do Kółka, pada replika utrzymana w dość ostrym tonie:

„Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — wiedzą i to, dlaczego do „Gemuetlichkeit" mało kto chodzi. Że niemieckiego języka nie znamy, dlatego też na klasy dzielić się nie damy. Gdyby było pozostało „Kółko Polskie", jakie był założył ks. Przyniczyński, to nie 60, jak obecnie, ale najmniej 500 liczyłoby członków".

W dwa numery później ukazała się obszerna korespondencja wyjaśniająca politykę Kółka, kto wie, czy nie inspirowana przez Hajdę.

Kto stowarzyszenia „Gemuetlichkeit" u nas nie zna, temu niech służy następujące doniesienie. Korespondent żali się, iż nazwę „Kółko" odmieniono w „Gemuetlichkeit", zapewne dlatego, że słowa „Gemuetlichkeit", które na polskie „przyjemność" znaczy, nie rozumie, będąc może człowiekiem niespokojnym, niezgodnym, z innymi się rad procesującym. Dlatego korespondent myśli, że „Kółko" przez ks. Przyniczyńskiego założone przestało być takowym, nie wiedząc o tym, że statuta, na pierwszym zgromadzeniu przez ks. Przyniczyńskiego podane i przyjęte, nie zostały odmienione, tylko nazwa towarzystwa, a to z powodu policji. A więc „Kółko" czyli „Gemuetlichkeit" przez ks. P. założone trwać będzie, chociaż korespondent i jemu podobni jego członkami nie będą. Co do języków zaś i innych wiadomości, to im człowiek ich więcej posiada, tym też większą posiada u ludzi powagę i wartość, niżeli ten, który ciemny a pouczać się nie

dający. — Kto zaś chce się przekonać, co się w „Gemuetlichkeit" dzieje, tego zapraszam, aby przybył, a usłyszy naukę historii kościelnej albo powszechnej, lub też o cywilizacji starych narodów, a wszystko w polskim języku; może się też pobawić czytaniem książek religijnych lub gazet... potem dla odmiany teatrem, majówką itp. Każdy mi też przyzna, że lepiej 50 członków zgadzających się, aniżeli 500 głupio zarozumiałych. — To odpowiedź korespondentowi, a myślę, że dalej nie będzie rzucał kamieni na dach cudzy..." (Gaz. Górnośl. 1890. nr 16).

Takie rzeczy mogły się były tylko na Górnym Śląsku zdarzyć, że pod niemiecką, przyjemną nazwą kryła się organizacja o wybitnie antyniemieckich założeniach.

Świadectwa działalności piekarskiego kółka „Gemuetlichkeit" nie trzeba daleko szukać; w dwa miesiące później, w tymże roczniku „Gazety Górnośląskiej" zamieszczono sprawozdanie z przedstawienia teatralnego, które się odbyło w Piekarach, na sali p. Kaula. Odegrano sztukę należącą do żelaznego repertuaru śląskich zespołów amatorskich, pt. „Żyd w beczce". Przed rozpoczęciem przedstawienia, jak informuje sprawozdawca teatralny, „wykonano piękny śpiew polski. Szkoda tylko, że nie było widać śpiewaków", ubolewał korespondent.

Piękny śpiew polski był na pewno dziełem Hajdy.

Korespondencję kończy taka konkluzja: „Publiczność była licznie zebrana, co świadczy, jak chętnie popiera nasze „Kółko". Życzymy mu pod przewodnictwem dzielnego ks. Świdra dalszego pomyślnego rozwoju".

Ks. Andrzej Świder, rodem z Piekar, wyświęcony w r. 1873, z powodu ostrego kursu kulturkampfu nie miał żadnej posady, więc swoją młodość i energię spalał w działalności młodzieżowej. Ale ani jego opieka, ani zabiegi Hajdy, ani nawet niewinnie dla pruskiego ucha brzmiąca nazwa kółka „Gemuetlichkeit", nie były w stanie zapobiec smutnemu losowi polskiej organizacji. Prędzej — później musiało dojść do jej likwidacji, jak to miało miejsce w innych miejscowościach w okresie kulturkampfu. Likwidatorem kółka na terenie Piekar był ks. Sobota, który po śmierci ks. Purkopa przez dwa lata zarządzał parafią. Nie myślał on kruszyć kopii o dobro pol[skiego] towarzystwa z pruską władzą. Ks. Kudera bardzo ostro osądza germanizatorskie posunięcia ks. Soboty, przytaczając świadectwo ówczesnych konfratrów, którzy na odpuście w Żyglinie nie chcieli usiąść do stołu z „takim Prusakiem".

Choć oficjalne życie organizacyjne w duchu polskim w Piekarach zamarło, przetrwało ono tym intensywniej i głębiej pojmowane w konspiracji. Dom Hajdy stał się punktem zbornym dla uświadomionych narodowo ludzi z Piekar i z okolicy. Po staremu, choć w szczuplejszym gronie, prowadzono pracę oświatową, odczyty i pogawędki, pielęgnowano śpiew chórowy, deklamacje, tylko z przedstawieniami teatralnymi trzeba się było na razie pożegnać, nad czym wszyscy serdecznie ubolewali.

Policja pruska węszyła, wchodziła nieoczekiwanie do domu Hajdy na zwiady i, zbita z tropu szczególnie głośnym i jazgotliwym strojeniem instrumentów, odchodziła jak niepyszna. A ustawy pruskie nie przewidywały przecie żadnych sankcji karnych za prywatne koncertowanie, za „Hausmusik", jak tłumaczył jowialnie pan Hajda.

Tymczasem nad Piekarami zawisła nowa groźna chmura godząca w starodawny śpiew ludowy w kościele. Hajda, wielki miłośnik muzyki, wstrząśnięty był tymi perfidnymi atakami na kulturę polską pielęgnowaną serdecznie, choć nie zawsze świadomie, w polskim śpiewie ludowym. W głowie nie mogło mu się pomieścić, że piękne Godzinki, kolędy, Gorzkie Żale zastąpione zostaną obcobrzmiącymi, wręcz wrogimi tekstami w kościele odwiedzanym rokrocznie przez tysięczne rzesze pątników.

Próbowano zażegnać niebezpieczeństwo; Hajda dwukrotnie wystąpił na czele deputacji złożonej z najzacniejszych obywateli piekarskich. Pierwsze pertraktacje nastąpiły wtedy, gdy ks. Kozak, godny współpracownik ks. Soboty, wprowadził na gwałt msze szkolne z obowiązkowym śpiewem niemieckim przy udziale grona nauczycielskiego.

Ślepy mędrzec tłumaczył żarliwie swej władzy duchownej, którą przecie szanował, że „niegodziwością jest zmuszanie polskich dzieci do niemieckiej modlitwy". Ale ani żarliwość pobożnego pieśniarza, ani zdecydowana postawa deputacji, nie zmieniły postanowienia księdza. Piekarskie dzieci musiały śpiewać niemieckie pieśni, które w większości były dla nich całkowicie niezrozumiałe.

Drugi atak był znacznie boleśniejszy i wywołał nawet reperkusje w prasie. Tym razem chodziło o nabożeństwo majowe, cieszące się na Śląsku, jak i w całej Polsce, ogromnym wzięciem. Starodawną litanię loretańską, antyfonę i majowe pieśni miał zastąpić śpiew chórowy w języku łacińskim, pieczołowicie przygotowywany przez grono niemieckich

nauczycieli, którym ogromnie zależało na wyrugowaniu polszczyzny z centralnego ośrodka życia społecznego, z domu Bożego.

I po raz drugi ruszyła delegacja Piekarzan z Hajdą na czele na plebanię, tym razem do ks. Figla, który opiekował się tym niemieckim zespołem chórowym. Znowu mądry ślepiec przedkładał pochopnemu księdzu, że takie postępowanie „to jest drażnienie polskiej ludności przywykłej do polskiego nabożeństwa majowego". Nic nie wskórano. Ks. Figiel oświadczył autorytatywnie, że już na pierwszym majowym będzie śpiewał chór po łacinie.

W Piekarach zawrzało. O niczym innym nie mówiono, tylko o tej sprawie. Cała okolica zaczęła się tym interesować. Ostatecznie sprawa kościoła piekarskiego nie była tylko sprawą piekarskiej parafii, ale całego ludu śląskiego pielgrzymującego do cudownego obrazu.

Na pierwszym majowym w kościele zgromadziły się tłumy jakby na odpust Szkaplerznej. I gdy z chóru rozbrzmiewały łacińskie pienia, na kościele lud zgromadzony zaśpiewał potężnie litanię loretańską. Nie trzeba chyba dodawać, kto był górą w tym nieszczęsnym pojedynku śpiewnym, który trwał przez całe nabożeństwo. Po nabożeństwie ks. Figiel gromił ludzi z ambony, że „to nie śpiew, ale ryk" i że odtąd nabożeństwa majowe zostaną wstrzymane. I rzeczywiście słowa dotrzymał; w tym roku 1885 nie odbyło się już ani jedno nabożeństwo maryjne. Kara była dotkliwa, smutek w parafii maryjnej bardzo wielki.

12 maja, w 37 numerze „Katolika" opublikowano obszerną korespondencję z Piekar, której żarliwość i przejęcie wskazują jeżeli już nie na autorstwo, to w każdym razie na inspirację Hajdy.

„Z krwawym sercem i ze łzą w oku donoszę smutną, bardzo smutną wiadomość. Wiadomo zapewne wszystkim, że nasza wioska, chociaż się nazywa Niemieckie Piekary, jest zupełnie czysto polską, jak i cała okolica, i nie masz w naszej parafii katolika, co by nie znał polskiego języka, chociaż jest wielu, co także i po niemiecku mówią; ale kilka tysięcy nie zna wcale niemieckiego języka.

Wiadomo także wszystkim, że na całym Górnym Śląsku wyrzucono prawie całkiem nasz ojczysty język polski ze szkoły, sądów i urzędów, został tylko dom rodzinny i kościół dla tego daru bożego.

Znalazło się tu kilkunastu ludzi, co lekceważąc sobie język ojczysty, zaprzawszy się swego pochodzenia polsko-górnośląskiego i chcąc się jakoś

nad swych braci wywyższyć i komuś się tam przypodobać — postanowili śpiew nasz ojczysty i z kościoła powoli wyprzeć, a zastąpić go niemieckim i łacińskim. Jak długo nasz kościół istnieje, używano w nim zawsze w dodatkowym nabożeństwie języka polskiego. Od zaprowadzenia zaś nabożeństwa majowego odprawiało się to nabożeństwo wyłącznie po polsku".

Teraz korespondent opisuje dokładnie to bojowe nabożeństwo majowe, ten dramatyczny śpiew ludu, który nazwano rykiem.

„Tak, to był ryk zbolałego ludu, który czuł, że mu się wielki skarb wydziera! Dlatego też ze zranionym sercem, ze zbolałymi wnętrznościami i łzami w oczach zaryczał z całej siły, jakby natchniony przez wyższą siłę: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko". I dalej, kiedy owi panowie zamilkli na chórze, było tylko słychać rzewny, a silny głos ludu: „O Pani, o Pani, o Pani nasza".

Kościół zadrżał i zadrżały w nim popioły ks. kanonika Fiecka, tego prawdziwego ojca ludu górnośląskiego i prawdziwego sługi Matki Boskiej. I wspomniały się może wtenczas ludowi słowa tego prawdziwego kapłana Chrystusowego: „Ludu górnośląski, tak długo będziesz miał wiarę świętą katolicką, jak długo będziesz miał język ojczysty polski".

O, ty świątobliwy mężu, który stoisz przed niebieskim tronem, błagajże za nami tę Matkę, której już tu, na ziemi, byłeś wybrańcem, żeby nie dopuściła w swej świątyni do krzywdy ludu górnośląskiego! abyśmy ją mogli chwalić i wielbić w tym języku polskim, jak nasi przodkowie, jak nam Bóg przeznaczył".

Ostatni akord tej wzruszającej supliki jest równie piękny i przekonywujący szczerością porównania:

„Lud tak się boi o język ojczysty, jak matka, której chcą dziecko zabrać".

Czy walka Hajdy z łacińskim śpiewem w murach kościoła była słuszna? — na owe czasy, jak najbardziej. Kościół był jedynym jeszcze „urzędem". w którym oficjalnie i głośno rozbrzmiewała polska mowa, wyrugowana całkowicie ze szkoły i z innych publicznych urzędów. Dla Hajdy i dla wszystkich światłych Górnoślązaków było jasne, że śpiew łaciński torował drogę niemczyźnie. Trzeba więc było bronić wszelkimi siłami tej twierdzy polskości zamkniętej w murach kościoła i to nie tylko przeciw władzy świeckiej, ale nieraz i przeciw duchownej.

Tragiczna walka Piekarzan o polski śpiew kościelny znalazła swój smętny epilog w sądzie bytomskim. Przed kratkami przedefilowało kilkudziesięciu „rewolucjonistów" — znowu z Hajdą na czele. Choć prokurator grzmiał i groził wszystkim karą więzienia, jeżeli nie wskażą spośród siebie prowodyrów, nikt nikogo winą nie obciążał, wszyscy jednogłośnie przyznawali się do „zbrodni zbiorowej", do wspólnego śpiewu. Po trzech kwartałach śledztwo umorzono, nie tyle z braku winnych, ile z nadmiernej ilości złoczyńców, których postawa była zdecydowana: albo wszyscy pójdą do więzienia, albo nikt. Dla wszystkich nie starczyłoby może nawet cel więziennych w bytomskim okręgu, poza tym taka liczba więźniów mogłaby zachwiać potężnie więziennym budżetem, nie mówiąc już wcale o wzburzonej nadmiernie opinii społeczeństwa śląskiego. Sam widok ślepca, prowadzonego niby w procesji przez towarzyszy, wśród tłumów i ciekawych, i zaangażowanych do gmachu bytomskiego sądu, nastrajał opinię ludności szkodliwie dla władz pruskich.

Do tej bezkrwawej kampanii Hajda jeszcze nieraz powracał, a szczególnie barwnie przedstawiał, jak wspomina Jasionowski, który miał wtedy osiemnaście lat, humorystyczny dialog z p rzysięgłym tłumaczem, niezbyt obeznanym w arkanach gramatyki języka polskiego, którego Hajda świadomie zwodził swymi odpowiedziami.

Należy żałować, że ta cała przygoda nie stała się bodźcem literackim ani dla Hajdy, ani dla Jasionowskiego i nie została upamiętniona choćby tylko w rymowanej gawędzie.

Rolę bodźców literackich w skromnej twórczości Hajdy spełniały najczęściej, jak to było również u Ligonia, różne mniej lub więcej ważne daty kalendarzowe, nawet nie historyczne. Zbliżające się imieniny księdza prezesa, odejście prezesa i powitanie nowego, czyjeś prymicje, jakiś jubileusz, radośniki i chrzciny lub też gody małżeńskie, to były nader konkretne tchnienia poetyckiej muzy Hajdy. Że tak było naprawdę, świadczą o tym zachowane dokumenty.

Mam przed sobą cienki, szkolny zeszyt, cenny dla swej starości i zawartości. Bardzo niewprawna ręka, na pewno lepiej obyta z kilofem niż z piórem, wpisała do kajetu kilka wierszy Hajdy z lat 1900 — 1910. Należy przypuszczać, że zeszyt należał do któregoś z uczniów Hajdy i że ów uczeń pod dyktando swego mistrza zapisywał w nim rymowane utwory. Potem

uczono się tych utworów na pamięć i śpiewano je, najczęściej na melodię skomponowaną również przez Hajdę.

Zeszyt zawiera trzy utwory poświęcone ks. prezesowi A. Plewni, jeden wiersz prymicyjny dedykowany ks. S. Opiłce. Hymn na 25-letni jubileusz papiestwa Leona XIII i Wiersz odśpiewany na letniej zabawie w Tychach przez „Związek Mariański z Piekar". Zapoznajmy się z tym ostatnim utworem, jako że głosi pochwałę znanego na Śląsku Ks. Kapicy.

Cóż jest, że nas się tyle zgromadziło?
Czy się co w Tychach wielkiego zdarzyło?
Że het, aż z Piekar, od polskiej granicy
przyszliśmy tutaj do księdza Kapicy.
Oto znękane pracą i trudami
w walkach, utarczkach z dusznymi wrogami,
by sił pokrzepić w tej światowej wrzawie,
krzepim się tutaj w tej letniej zabawie.
Że ksiądz Kapica sławny na Śląsk cały
w kapłańskich cnotach, w wierze jak mur stały,
raczy nas przyjąć i pokrzepić ducha,
gdyż jego uwag każdy mile słucha.
Że świetnie spełnił te nasze nadzieje,
niech mu się za to wszystko dobrze dzieje.
Związek Piekarski, Proboszczu Tychowski,
życzy ci życia długiego bez troski.
I nasz ksiądz Prezes wraz z księdzem Kapicą,
którzy nas swoją obecnością szczycą,
którzy nam miłą zabawę sprawili,
żeby najdłużej między nami żyli.
Lecz nas ogarnia i smutek w tej dobie,
że wracać musim przy zwykłym sposobie
do domów naszych, a tu nam tak miło,
słodko nam, wiecznie tu by się bawiło.
Niech tej zabawy pamięć nas zachęca
do pilnej pracy i do cnót przynęca.
Niech księża wszyscy, lud i my wraz z nimi
żyjem w miłości jednością złączeni.

Za utwór najbardziej dojrzały pod względem artystycznym należałoby uważać „Pochwałę pieśni” znaną też pt. „Oda do pieśni”. Utwór ten, jako jeden z nielicznych wykazuje, że Hajda umiał także tworzyć z wyraźnej potrzeby serca, a nie tylko na społeczne zamówienie. „Oda do pieśni” jest równocześnie jakimś poetyckim credo ślepego kompozytora.

Nawet bez głębszej analizy można się w „Odzie” dopatrzyć wpływów młodopolskich, szczególnie w zakresie słownictwa. Takich niecodziennych zwrotów poetyckich nie było dotąd u Ligonia ani u Szędzielorza. Jedynie w poezji Jana Nikodema Jaronia spotykamy takie wycyzelowane formy.

Utwór ten znany był Jasionowskiemu i Kuderze. Stanisław Wallis podaje go w całości w swych opublikowanych materiałach.

Niech śpiew radosny tutaj zabrzmi w koło!
Niech falą płynie w dal raźno, wesoło!
Niech orlim lotom bije w nieba sklepienie!
Niech echem rozbrzmi dźwięcznych głosów pienie!
Śpiew jest naszego życia upiększeniem,
Śpiew jest serc naszych błogiem ucieszeniem.
Śpiew jest balsamem na troski, boleści,
Śpiew słodzi życia naszego gorzkości.
Wraz więc śpiewajmy, choć dola przygniata,
śpiew niech nas wszystkich bratnim węzłem splata.
Boga, bliźniego. Miłość nasza, górą,
śpiew w zgodzie, w spójni! Tym hasłem więc, hura!
Gdzie łzy i smutek, boleści, cierpienia,
tam śpiew wesoły wraz w radość zamienia.
I w sobie wielkie skarby nieba kryje.
Cześć mu i sława! Niechaj nam śpiew żyje!
Niebian rozkoszą śpiew w wszech wieków pory.
Niech i nas wznosi w bogowidne sfery.
Toć niebo z ziemią w jedną harmoniją
łączy akordem. Nechaj nam śpiew żyje!
Leć, pieśni, roznieś rozdźwięków twych tony
na okrąg ziemski, na wsze świata strony.
Czarownym echem roztrąć świata bóle,
tron twój promienny wznieś w ziemskim padole.
Żyj droga pieśni, jak władna królowa,

przed tobą smutek, żal się wszelki chowa.
W gwiaździstych światach i ziemskiej krainie
niech chwała twoja nigdy nie przeminie.
Niech, pieśni moja, krociowe wiwaty
nucą ci dolne i nadziemskie światy.
W lat miliony niech się smutek kryje.
Żyj nam, nasz śpiewie!
Niechaj nam śpiew żyje!

Piękny, poetycki zwrot, że „śpiew jest balsamem na troski, boleści" znajdował nazbyt prawdziwe i częste potwierdzenie w kolejach życia Hajdy. Po czternastu latach wspólnej doli i niedoli umarła wierna towarzyszka Hajdy, nie przeżywszy śmierci swoich synów. Ślepiec został pozbawiony swej najbliższej współpracowniczki, lektorki i sekretarki.

Choć dom opustoszał całkowicie. Hajda nie został sam. Zaopiekowali się nim przyjaciele, szczególniej zacna rodzina Skorupow.

Zaś w dwa lata później znalazła się ofiarna białogłowa, zdecydowana spędzić życie u boku ślepca. Maria Olesiówna z Wielowsi. Znany i kochany na Śląsku za swą młodzieżową, narodową działalność ks. Katryniok, serdeczny przyjaciel Hajdy, udzielił ślubu niemłodej już parze.

Jeszcze raz przyszło Hajdzie przeżyć ten sam cios, śmierć żony, w latach głodowych podczas pierwszej wojny światowej. Lecz znowu nie został sam, znowu znalazła się szlachetna rodzina Gracków, która przyjęła schorowanego starca do swojego grona i otoczyła go należytym szacunkiem.

Z tak srodze i stale doświadczanego serca wytryska wspaniała pieśń, do kogóż innego jak nie do niezawodnej Matki Pocieszenia, pieśń śpiewana po dzień dzisiejszy w ziemi śląskiej, drukowana w milionowych nakładach „Skarbca". Takiej nieśmiertelnej sławy nie doczekał żaden utwór śląskich pisarzy samorodnych.

Matko Pocieszenia, ziemi naszej Pani,
Królów swych korony, lud Ci złożył w dani.
Wraz z koroną serca dajem
Starych ojców obyczajem.
Hołd Ci niesiem uwielbienia,
Święta Matko Pocieszenia, nie opuszczaj nas.

I melodia tego utworu jest urzekająca, harmonijnie współbrzmiąca z poetyckim tekstem. Trudno wprost uwierzyć, że taka doskonała kompozycja powstała w absolutnie nie wyszkolonym umyśle prostego górnika. Chyba w tym wypadku ocieramy się o geniusz. Podobnie sądził anonimowy recenzent „Polski Zachodniej" sprzed 25 lat, autor artykułu „Śląski talent kompozytorski, którym nikt się nie zajął". Autor uczestniczył w akademii urządzonej w Piekarach ku uczczeniu 15 rocznicy śmierci Wawrzyńca Hajdy i był oszołomiony tym, co usłyszał. Usłyszał zaś kilka utworów Hajdy wykonanych przez chór, w którym wystąpili uczniowie Hajdy, weterani „Kółka" piekarskiego.

„Wieczór poświęcony pamięci Wawrzyńca Hajdy... wykazał wszechstronny artyzm tego niezwykłego talentu, pozwolił przekonać się o wyjątkowo nieprzeciętnej indywidualności człowieka, który wyszedł z ludu i w nim pozostał.

...Rzeczy te zadziwiają bogactwem inwencji melodyjnej, strukturą formalną i wreszcie — co najważniejsze — szczerością wypowiedzenia.

...wyczuł prawidłowość formy pieśni, przyswoił ją sobie i posłużył się nią po mistrzowsku. Harmonia Hajdy, powstała niezawodnie „ze słuchu" I to na pewno absolutnego, jest czysto konsonansowa[182], ale i zdumiewa śmiałością figuracji, samodzielnego prowadzenia głosów".

Zachwycony recenzent muzyczny nawołuje gorąco odpowiednich naukowców, by się zajęli twórczością Hajdy i wykazali bezspornie, że był geniuszem.

Nawoływanie anonimowego wielbiciela Hajdy sprzed ćwierć wieku pozostało bez echa. I dziś daremnie pytać w księgarniach muzycznych o kompozycje Wawrzyńca Hajdy.

Najwięcej utworów Hajdy, zarówno poetyckich jak i muzycznych, powstało w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W piekarskiej parafii za rządów świątobliwego ks. Leopolda Nerlicha nastały nareszcie spokojne czasy. Nerlich poważał Hajdę za pobożność i za autorytet, jakim się cieszył wśród ludzi. Przychylnym sercem witał wszelkie jego poczynania organizacyjne, bo wiedział, że przyczyniają się one do podwyższenia poziomu kulturalnego i moralnego Górnoślązaków.

---

[182] Konsonans (łac. *consonans*) – interwał uważany za zgodnie brzmiący.

Najwyższym tętnem zabiło odrodzone życie narodowe w Piekarach w Towarzystwie Alojzjanów, które założył ks. Katryniok w r. 1889. Ks Katryniok miał za sobą świetną praktykę duszpasterską wśród młodzieży bytomskiej, pod czujnym kierunkiem ks. Bonczyka. Sam młody i wesoły, z entuzjazmem i przekonaniem wpajał w Alojzjanów programowe hasło z kunsztem haftowane na niezliczonych sztandarach młodzieży alojzjariskiej w śląskich parafiach. Hasło rzucone przez ks. Bonczyka:

Te, młodzieży, wznoś sztandary. Broń języka, broń twej wiary!
Kto te ojców skarby spodli, darmo się do Boga modli!

Aby się więc daremnie nie modlić, szkolono się systematycznie w zakresie wiedzy o Polsce i o Kościele, przyswajano sobie polskie pieśni i utwory poetyckie, urządzano przedstawienia teatralne — wszystko według pięknej tradycji „Kółka Polskiego".

Bawiono się także ochoczo na majówkach i przeróżnych wieczornicach, według radosnej, wierszowanej recepty Hajdy:

Cieszyć się, jak kto może,
wiara nie broni nam;
byle obrazy Boże
nie miały miejsca tam.
I tańczyć nie zaszkodzi,
byle nie złamać nóg.
Wszak my to ludzie młodzi,
nie czas do łzawych dróg.

Wiersz utrzymany w żywym rytmie, siedmio — i sześciozgłoskowy na zmianę, o wyraźnej tendencji pieśniarskiej, wykazuje w rymach i budowie strofiki nie bylejaki kunszt.

Ciekawe byłoby prześledzenie losów pewnej popularnej pieśni mszalne], która była konkursowym dziełem Hajdy. Około roku 1900 ogłosili jezuici w swym miesięczniku „Posłaniec Serca Pana Jezusa" konkurs na pieśń mszalną ku czci Serca Jezusowego. Wówczas Hajda spróbował swoich sił w szlachetnym biegu literackim i napisał trzynastozwrotkowy utwór, którego pierwsza strofa brzmi:

W tym przybytku zgromadzeni, w skrusze, do Ciebie, Panie,
mnóstwem grzechów obarczeni wznosim nasze błaganie.
Ach, zlitujże się nad nami, prosim Cię ze łzami,
przez najdroższe Serce Boże niech Twa łaska nas wspomoże.

Problem zawiera się w pytaniu: czy jest to ta sama pieśń, po różnych z biegiem lat wstawkach i przeróbkach, którą znamy ze „Skarbca": W tej świątyni zgromadzeni Boże, Stwórco, Panie. Mnóstwem grzechów obciążeni czynim ich wyznanie.

Być może, że jest to pierwotny utwór Hajdy, który przez mniej lub więcej śmiałe zabiegi korektorskie zmienił swój oryginalny kształt.

Programowe hasło Alojzjanów rzucone przez ks. Bonczyka poszerzył Hajda następującym utworem utrzymanym w tonie patriotycznego imperatywu:

Pan Bóg cię stworzył polskiej ziemi synem,
bądź więc Polakiem myślą, mową. czynem.
Miłość Ojczyzny, pobożność, oświata
niech twoje życie w jeden węzeł splata.
Choćbyś, człowiecze, miał wszystko na święcie,
miał honor, sławę i pieniędzy krocie,
choćby przed tobą bił czołem świat cały,
wszystko mniej warte, niż szelążek mały.
Lecz kochać Boga, Ojczyznę miłować,
w mowie się polskiej kształcić, postępować,
żyć nienagannie, być we wierze stały,
ach, to są skarby droższe, niż świat cały.

Duchowne prezesury zmieniały się w towarzystwie Alojzjanów; po ks. Katrynioku przyszedł ks. Abramski, po Abramskim, późniejszym pośle do parlamentu, prezesował ks. Syguła — tylko Hajda trwał niezmiennie na swym posterunku światłego i uwielbianego przez młodzież wychowawcy. Jego uczniom przydano z czasem piękną nazwę „Hajdowców".

O społecznym i narodowym wyrobieniu Hajdowców zaświadczyły wybory do parlamentu w roku 1893. Była to trudna rozgrywka, starannie i chytrze obmyślona przez pruskich dyplomatów. Przeciwko długoletniemu i bardzo zasłużonemu posłowi ziemi górnośląskiej, majorowi Szmuli, który przez swe odważne wystąpienia w obronie praw ludności polskiej stał się niewygodnym niemieckiemu rządowi, wysunięto kandydaturę piekarskiego proboszcza, ks. Nerlicha. Stało się to zupełnie bez jego udziału, a nawet wbrew jego woli, jak pisze ks. Kudera.

„Było to po prostu nadużycie osoby i stanowiska ks. Nerlicha jako proboszcza miejsca odpustowego, który był pokojowo usposobiony i któremu o posłowaniu wcale się nie śniło”.

Niemcy byli pewni, że zwycięży kandydatura popularnego proboszcza i że w ten sposób pozbędą się groźnego przeciwnika, Szmuli. A jednak w swej wykrętnej dyplomacji przechytrzyli.

W pierwszej chwili zapanował chaos, śląscy wyborcy byli w kropce. Nie chcieli skrzywdzić ks. Nerlicha, ale nie mogli także zrezygnować z dzielnego i wypróbowanego majora. Oglądano się na wyborców w Piekarach, a tam Hajdowcy objęli już zdecydowane stanowisko przecinko kandydaturze ulubionego księdza proboszcza! Hajdowcy tłumaczyli wszystkim machinacje pruskiej polityki i nakazywali agitację na rzecz dotychczasowego posła ludowego, który stał wiernie przy polskiej sprawie.

Dzięki dojrzałości narodowej i politycznemu wyrobieniu wychowanków Hajdy, zwyciężyła sprawa polska w tych sławnych wyborach. Wraz z upadkiem oficjalnego kandydata centrowego, ks. Nerlicha. Niemcy ponieśli dotkliwą klęskę. Tym dotkliwszą, że pewni byli swego zwycięstwa. Major Szmula zwyciężył cyfrą 21.887 głosów, czas gdy na ks. Nerlicha padło tylko 10.120 głosów.

Po wyborach, jak należało się spodziewać, nastały niewesołe czasy dla Towarzystwa Alojzjanów, gdzie prym wiódł Hajda i Hajdowcy. Księża piekarscy, jak też i okoliczni duchowni, którzy z konfraterskiego obowiązku głosowali za ks. Nerlichem, mieli im za złe ich opozycję. Odtąd na zebraniach Alojzjanów nie zjawiali się wikarzy, za to w kościele modlono się głośno i prowokacyjnie za „zdrajców parafii”. Gorzej, wyrzucono sztandar towarzystwa z kościoła! A podczas poświęcenia kalwarii wzbroniono Alojzjanom wzięcia udziału w uroczystym pochodzie.

Na te dotkliwe dyskryminacje poskarżył się Hajda wierszykiem:

Tak, gdy były te wybory,
równali cię do potwory.
Gdyś dał głos według sumienia,
Już nie ma dla cię zbawienia.

Ponieważ nie stało w Towarzystwie Alojzjanów duchownego prezesa, wybrano świeckiego. Został nim Maksymilian Jasionowski, według wyraźnego życzenia Hajdy, który w młodym dwudziestoletnim górniku widział swego następcę.

Prezesura Jasionowskiego nie trwała jednak długo, gdyż w roku 1897 kardynał Kopp „wydał niesłychany, niczym nie usprawiedliwiony i wcale nie legalny rozkaz, aby rozwiązano wszystkie towarzystwa św. Alojzego", jak pisze ks. Kudera.

Historia, jak widać, lubi się powtarzać. Najpierw, z rozporządzania Bismarcka w czasie Kulturkampfu prześladowano „Kółka Polskie", teraz znów innym dekretem uderzono w polską działalność Towarzystw Alojzjańskich.

W Piekarach nie od razu dano za wygraną. Hajda nie mógł ani nie chciał dopuścić, by tak pięknie rozwijające się życie organizacyjne poszło w niwecz. I tak jak kiedyś przedłużono żywot „Kółka" przydaniem niemieckiej nazwy „Gemuetlichkeit", tak teraz Towarzystwo św. Alojzego przemieniono na „Kasyno Katolickie" i działano dalej. Ale to działanie pod kuratelą miejscowej policji było z roku na rok trudniejsze. Nie zezwalano na przedstawienia teatralne z najbardziej błahych powodów, szykanowano właścicieli gospód, którzy ważyli się użyczać swych pomieszczeń na zebrania członków Kasyna. Nawet karano ich więzieniem i wydalano z pracy, jako element wrogi państwu; coraz częściej stosowane określenie, „staatsfeindlich", oznaczało niesłychanie groźnych zbrodniarzy politycznych.

Z drugiej strony faworyzowano i wszelkimi sposobami wspomagano niemieckie organizacje. „Kriegerverein" porósł do tego stopnia w piórka, że zaczął się rządzić w kalwaryjskiej parafii jak szara gęś, dokuczając członkom Kasyna dotkliwiej, niż sama policja. Jasionowski wspomina żałośnie, jaki to okrutny dyshonor spotkał ich podczas uroczystości jubileuszowych 25-lecia sakry papieskiej Leona XIII w roku 1903. Hajda utworzył z tej okazji podniosły wiersz i skomponował do niego melodię, a członkowie Kasyna ćwiczyli długo i wytrwale, aby swym występem podczas akademii zaćmić inne towarzystwa. Tymczasem do ich występu w ogóle nie doszło. Na mocy urzędowego zakazu.

A podczas wieczornego capstrzyku, prezes „Kriegervereinu" Szaumkel taki wyznaczył porządek, że członkowie Kasyna znaleźli się na samym końcu pochodu i to w kompletnych ciemnościach, gdyż właśnie dla nich brakło pochodni! „Kasyno kann doch in Schatten gehen"[183] oświadczył złośliwie prezes stowarzyszenia byłych żołnierzy pruskich.

---

[183] Kasyno niech nadal chodzi w ciemności.

Takimi szykanami, mniej lub więcej ostrymi, jątrzono członków Kasyna, zniechęcano ich do działania i paraliżowano to działanie. Ale wszystkie te perfidne gierki nie wyprowadzały z równowagi poety-ślepca i nie wpływały w żadnej mierze na jego stosunek do sprawy. Krzepił swych wychowanków opowieściami o znacznie cięższej doli narodu polskiego pod rozbiorami i podnosił na duchu gorącą wiarą w niedaleką lepszą przyszłość.

Mówił: „Przyjdzie i dla nas czas inny, przyjdzie lepsza dola".

Ale na razie dola była zła, jak najgorsza. W całych Piekarach zabrakło dla członków Kasyna jakiegokolwiek lokalu publicznego, gdzie można by było urządzić zebranie. Na mecenat i protektorat księży piekarskich też już nie było co liczyć. I wtedy to właśnie król Herod zaopiekował się polskimi wygnańcami i użyczył im schronienia w swojej kaplicy.

Hajda powiedział do swoich wychowanków, co Jasionowski skrzętnie z a n o t o w a ł: „Pójdźcie, chłopcy, do Heroda, bo to odważny człowiek, on się siandary nie boi. Piszą, że dał wymordować dzieci betlejemskie, ale wierzcie mi, że Prusak tysiąckrotnie gorszy od Heroda, zabiwszy i zabijając milionowe dusze polskich dziatek".

Wawrzyniec Hajda w chwili powitania gen. Szeptyckiego 26 VI 1922

Dla zmylenia tropiącej policji gromadzono się również w innych miejscach, na przykład w piekarni Augustyna Głazowskiego przy ul. Kalwaryjskiej, lub też w jego stodole na zapłociu. Także w mieszkaniu Francszka Gracka odbyło się niejedno zebranie, przy którym uczestniczyła czynnie gospodyni domu, Karolina Grackowa, mądra i odważna białogłowa, która podczas powstań śląskich dała świadectwo swej polskości.

W pogodne i ciepłe dni lata gromadził Hajda swych wychowanków na rozległych łąkach nad Brynicą. Tam nareszcie można było sobie pofolgować w głośnym, polskim śpiewie.

Ślepy poeta, kompozytor, filozof i pedagog fascynował młodzież. Jego nauka urzekała młode umysły. A nauka nie była ani zwyczajna, ani łatwa. Gdy się czyta zapiski ucznia Jasionowskiego, odzywają się w oddali

echa filareckich ideałów podjęte w sto lat później przez elsów[184]. I choć nigdzie Jasionowski nie wymienia Adama Mickiewicza, jego duchowy, głęboki wpływ jest widoczny w naukach Hajdy.

Czy elsowie z krakowskiego ośrodka uniwersyteckiego dotarli też do Piekar? Prof. St. Pigoń w swoich wspomnieniach (Z Komborni w świat, Kraków 1947) wylicza tylko Zabrze, Rudę, Bielszowice i Rybnik. W każdym razie program wychowawczy Wawrzyńca Hajdy przypomina żywo działalność elsów zakorzenioną w ideologii Mickiewicza.

Hajda wychowywał nie tylko w duchu narodowym. Jego kulturę umysłową i artystyczną urabiało głębokie przeżycie religijne, graniczące chwilami z mistycyzmem. Możnaby te sprawy tłumaczyć dramatycznymi kolejami życia Hajdy, można też wziąć pod uwagę dziedzictwo ojców. Stanisław Pigoń podczas swych narodowych pielgrzymek po Górnym Śląsku odkrył te odrębne znamiona duchowe Górnoślązaków i tak o nich pisze:

„U większości tych ludzi uderzał mnie zawsze jakiś głęboki, wrodzony pociąg do mistycyzmu; nigdzie w środowisku ludowym nie spotkałem tego rysu w stopniu tak wysokim".

Tą głęboko przeżywaną religijnością, która uodporniała Hajdę na różnorakie klęski i niepowodzenia, tłumaczyć należy ogromny nacisk, jaki kładł na problemy etyczne i na wyrobienie moralne wśród swych wychowanków. Uczył prawdziwej cnoty, tępił wady i narowy, podnosił wartość cierpienia i wyrzeczenia.

Prócz tego łatwo stwierdzić, że model wychowawczy Hajdy zakładał harmonijną jedność i współzależność spraw narodowych z problemami etyczno-religijnymi, jak to już miało miejsce w ideologii filomackiej i mickiewiczowskiej.

---

184 Eleusis – stowarzyszenie o zabarwieniu religijno-filozoficznym (nawiązujące w nazwie do greckiego miasta Eleusis, słynnego z misteriów kultu Demeter i Persefony), założone przez Wincentego Lutosławskiego oraz Joachima Sołtysa w 1902 roku. Miało duży wpływ ideowy na powstałe później harcerstwo. Członkowie Eleusis nazywali się elsami (od greckich słów: *Eleutheroi laon soteres* – wolni wybawiciele ludów).

Oto kilka fragmentów z wypisów Jasionowskiego, który w odróżnieniu od swego mistrza nie wykazywał znamion tak silnie ugruntowanej i tak bardzo emocjonalnej religijności.

„Być narodowcem, czyli miłośnikiem swojego narodu, to znaczy więcej miłować powszechne dobro, niż swoją wygodę, więcej miłować, niż samego siebie, a to mogą tylko wspaniałomyślne serca, zwyczajni zaś ludzie uważają chleb i miły, święty spokój za najwyższe dobro i cel żywota.

O, moi kochani młodzieńcy, weźcie do swojego serca słowa moje i bądźcie miłośnikami narodu, a brzydkie samolubstwo odpychajcie precz od siebie, albowiem samolub ma zawsze ciasne serce i naród się w nim nie zmieści. Łakomca i skąpiec ma myśl poziomą i krótkie ręce i ani jedną, ani też drugimi narodu nie obejmie, za wysokie i za dalekie to dla niego rzeczy. Ślamazarny, lubieżnik, rozkosznik, tchórz bojaźliwy tudzież niestały i niestateczny, skąd wiatr wieje — stąd płaszcz, nie będzie nigdy narodowcem; zawsze znajdzie tysiące wymówek, rozwag, wątpliwości, względów, gdzie trzeba stateczności i stałości.

Człowiek nieoświecony i poziomego umysłu nie widzi daleko, naród i narodowość są poza jego widnokręgiem. Próżny i zarozumiały pyszałek gardzi tym, co swoje, a wychwala cudze; cudzą mowę, cudzy kraj, cudze obyczaje. Słodziutki a nieszczery pochlebca będzie zawsze szukał przyjaźni wszystkich i u wszystkich znajdzie pogardę i niechęć.

Również wielkich obowiązków wymaga się od prawego syna narodu, szczególniej gdy naród jego jest zaniedbany, nieszczęśliwy, uciśniony i nieoświecony. Gdy ów budzi swój naród ze snu i śmierci, niechaj nie dba na krzyki i wymówki drzemiących, by im dał pokój i pozwolił dalej spać. Gdy czegoś dobrego i użytecznego dokona, niechaj nie czeka na uznanie, a niewdzięcznością niechaj się nie da odstraszyć od dalszego działania. To spotyka go od rodaków, od obcych zaś, od ciemiężców swego narodu, od jego wyrodnych synów i zaprzańców dozna prześladowania, rozmaitych krzywd, bo i życie swoje nadstawić musi być gotowym.

Takich i tym podobnych rzeczy ku chwale Bożej tudzież ku chwale i dobru swego narodu dokonują tylko wybrani.

Każdego katolika winny zdobić cnoty, jak: wiara, nadzieja, miłość, prawdomówność, dotrzymywanie danego raz słowa, punktualność i syzyfowa praca, a przy tym oszczędność, troska o oświatę, o uczciwą książkę i gazetę.

Kochajcie się w czytaniu. Ale cóż to jest dobre czytanie? Porządne czytanie polega na tym, aby nie było dorywcze, nie przerzucało się z przedmiotu na przedmiot, aby czytający nie lekceważył zrozumienia małoważnych na pozór szczegółów, aby wreszcie uzupełnił wiadomości niedokładne o ile możności...

Nie chodzi o to, byście, czytając, mieli się stać uczonymi, ale starajcie się być oświeconymi. Zrozumiano to już doskonale, że nie na samych uczonych świat stoi, ale że na ogólnej oświacie społeczeństwa byt swój opierają.

Czytaniem dobrej lektury podłożycie mocniejszy grunt do poznania religii i narodowości, które są jako rodzone siostry, bo obie są jednego i tego samego pochodzenia od Boga, obie dążą do jednego celu, mianowicie do moralnej doskonałości człowieka.

Religia jest aniołem bożym wiodącym nas do Boga. a narodowość jest duchem i kwiatem narodu".

Równie pięknie i wzniośle rozwija Hajda myśli o mowie ojczystej, o języku polskim.

„Wiedzcie, że to jest język najpiękniejszy w świecie, że należy go koniecznie i troskliwie pielęgnować; dlatego, nawet gdy naród znajduje się w niewoli, to jednak o ile uszlachetni i zachowa swój język, posiądzie poniekąd tym samym klucz do wolności".

Nauki i wskazania Hajdy — wychowawcy nie są ujęte w jednolitej formie; miejscami przypominają wyciągi z jakichś artykułów, miejscami trącą zwięzłością cudzych maksym. W całości przeważa jednak jakiś biblijny, śpiewny styl, znany z mickiewiczowskich Ksiąg pielgrzymstwa. Można się też dopatrzyć wpływów „Naśladowania" Tomasza à Kempis i to nie tylko w formie zewnętrznych nakazów nauczyciela do ucznia, ale także w materii udzielanych rad i wskazówek.

Z takim prozatorskim, filozoficznym dorobkiem nauczyciela — wychowawcy nie spotykamy się u żadnego z samorodnych pisarzy śląskich. Wprawdzie Juliusz Ligoń w swoich rymowanych powiastkach dla ludu występuje jako moralizator a nawet mentor próbujący naprawić złe obyczaje, nie zgłębia jednak tych zagadnień i nie formuje ich w programową naukę.

Natomiast przydomek Wernyhory ugruntowały częste i żarliwe wypowiedzi Hajdy, które głosiły zdecydowanie zmartwychwstanie Polski. Tekst tych wypowiedzi zawdzięczamy również notatkom Jasionowskiego.

„Hajda wierzył i głosił, że gdy serca Polaków w miłości do Ojczyzny zagrają dzwonowym grzmotem, to wtedy dla Polski godzina wolności uderzy. Wierzył i głosił, że się stanie cud, że złoty róg wolności donośnym echem zagrzmi niedługo i w tym zapomnianym zakątku Polski — na Śląsku. Wierzył i głosił, że Śląsk po sześciowiekowej męce skruszy kajdany i zmartwychwstanie lud silny, zahartowany, zwycięski i wytrwały. Że zmartwychwstanie ku jasnej, promiennej przyszłości, na zawsze połączony z Polską. Że u nóg Śląska legnie powalony bałwan krzyżackiej przemocy, zdruzgotany sprawiedliwością dziejową i sądem Boga".

Z tych wypowiedzi wynika jeszcze jedno, że nie tylko wieszcz Adam patronował duchowo śląskim pisarzom i działaczom, ale że także piewca grobów wawelskich i autor „Wesela", Stanisław Wyspiański, zapłodnił ich wyobraźnię.

Wychowawcza działalność Hajdy, która widać na piekarskim gruncie, trafiła na dobrą rolę, wydała bogate owoce. W roku 1937, Jan Hanszla zestawił w „Katoliku" listę uczniów Wawrzyńca Hajdy. Lista zawiera blisko sześćdziesiąt nazwisk, wcale znanych i szanowanych. Prawie wszystkie z nich okryły się chwałą i krwią w powstaniach śląskich.

Uczniowie Hajdy wykazali pełne wyrobienie polityczne nie tylko w akcji plebiscytowej, ale i na różnorodnych odpowiedzialnych placówkach w odrodzonej Polsce. W dalszym ciągu obowiązywały ich słowa Nauczyciela, który po utworzeniu województwa śląskiego powiedział:

„Osiągnęliśmy to, czegośmy od daw na oczekiwali, to jest niepodległość. Teraz chodzi o dalszą budowę i o wykonanie gmachu stojącego na nowym fundamencie".

Hajdowcy z prawdziwym poświęceniem i niejednokrotnie z wielkim samozaparciem stawiali gmach nowej Polski na Śląsku. Dla przykładu: Franciszek Świder pracował w prasie śląskiej, Wiktor Polak rządził świętochłowicką gminą i, podobnie jak Jasionowski zajmował się twórczością poetycką. Jan Ludyga, bracia Ciskowie działali w dalszym ciągu w polskich organizacjach, przede wszystkim w „Sokole". Szczególnie Karol Cisek, zakrystian u piekarskiej Matki Bożej, zasłynął jako świetny mówca i piewca niedawnej przeszłości na Pruskim Śląsku.

Jemu i innym hajdowcom zawdzięczamy również informacje o znakomitych ludziach, którzy byli gośćmi Hajdy. Spośród posłów, redaktorów i profesorów przypomnijmy trzy znane osobistości.

W roku 1909 przyjmował Hajda w stodole Głazowskiego wielkiego męczennika za sprawę narodową i katolicką, arcybiskupa Simona.

Arcybiskup w swej podróży do Rzymu specjalnie wybrał sobie drogę przez Górny Śląsk, aby poznać tę ziemię i ludzi walczących z germanizmem.

W trzy lata później, w roku 1912, przybyła do Piekar genialna odkrywczyni radu, Maria Curie-Skłodowska wraz z mężem. Towarzyszył im poseł Korfanty. W relacji Kudery ta niecodzienna wizyta miała następujący przebieg:

„Maria Curie-Skłodowska nadzwyczaj żywo interesowała się kulturalnym dorobkiem Hajdy. Musiał jej i towarzyszom śpiewać utwory własnej kompozycji wraz z uczniami, sam zaś deklamował dużo wierszy okolicznościowych, których był autorem. Maria Curie-Skłodowska była zachwycona, nie mogąc się nadziwić, że Hajda jest człowiekiem prostym, samoukiem. Mężowi, nie rozumiejącemu polskiego języka, tłumaczyła wszystko na język francuski, on sam zaś ciągle mówił: „Brawo, brawo, monsieur Hajda". Hajda interesował się bardzo odkryciem Curie-Skłodowskiej, tak iż musiała mu ona wyjaśnić całą teorię i zastosowanie praktyczne radu. Wiele godzin spędzono w podniosłym nastroju przy polskim śpiewie, deklamacji i miłej rozmowie".

Trzecim znakomitym gościem Hajdy był „błękitny generał", Józef Haller, którego postać wywołuje przed oczyma uroczą i historyczną już scenę zaślubin Polski niepodległej z morzem. Haller odwiedził Hajdę dwukrotnie; podczas drugiej wizyty Hajda leżał już w śmiertelnej chorobie. Generał uklęknął więc przed łóżkiem i tak żegnał czcigodnego ślepca, prosząc go o błogosławieństwo dla siebie i dla odrodzonej ojczyzny.

Ani Juliusz Ligoń, ani Daniel Szędzielorz nie doczekali wolnej ojczyzny. Jedynie Hajda mógł powitać wojsko polskie już nie w niemieckich, ale w polskich Piekarach. Wielu ludziom znana jest fotografia przedstawiająca tę scenę: chudego ślepca stojącego przed wysokim generałem. Ale fotografia nie oddaje wiernie tej sceny, bo żywi jeszcze ludzie pamiętają, że z niewidzących oczu Hajdy płynęły łzy. Żywi ludzie pamiętają także odpowiedź generała Szeptyckiego na powitanie Hajdy.

Odpowiedź tę w różnych wersjach zanotowali śląscy historycy i kronikarze. Zanotował ją również świadek naoczny, Jasionowski.

„Panie Hajdo, nie będziecie niestety widzieli wojska polskiego, za którym tak tęskniliście, ale za chwilę usłyszycie tętent koni ułanów polskich. I niech Wam to przynajmniej będzie nagrodą za Waszą miłość i pracę dla ojczyzny".

Znamienne skojarzenie: tętent koni, którego oczekiwać kazał jako znaku Wernyhora Wyspiańskiego, stał się także dla śląskiego Wernyhory radosnym symbolem zwycięstwa sprawy, o którą walczył. Umarł w kilka miesięcy potem, dnia 27 marca 1923 roku. Wycieńczony organizm żył tak długo, jak długo ożywiała go tęsknota za polskim Śląskiem. Gdy tęsknota została spełniona, serce przestało bić.

Społeczeństwo śląskie zgotowało mu wspaniały pogrzeb, manifestując zarazem w tych pierwszych dniach wolności swoją radość z powrotu do ojczyzny. Prasa śląska pisała o działalności Hajdy. Dla większego splendoru i dla głębszej wymowy, wyłamano z fundamentów kościoła piekarskiego kamień, który umieszczono jako pomnik nad grobem Hajdy. W złotych literach pięciowiersza wyrażono zwięzłym skrótem to, co trzeba zapamiętać o Hajdzie.

Niestrudzony pracownik narodowy,
szerzyciel oświaty i obrońca wiary.
Pozbawiony przez pół wieku oczu ciała
przenikał wszystko i wszystkich
oczyma wielkiej i świetlanej duszy.

„Przyszli Niemce" i wydali wojnę polskim nagrobkom na cmentarzach. Sprofanowano grób Hajdy, jak też i groby innych śląskich działaczy. Lecz, jak zawsze, znaleźli się odważni, niebaczni na ryzyko ludzie, którzy przechowywali potłuczone tablice, jak cenne relikwie. Dzięki nim nagrobne tablice wróciły po zawierusze wojennej na przynależne im miejsca.

Czterdzieści lat upływa, od śmierci Hajdy. W tym czasie wzrosło w Piekarach i na całym Śląsku nowe pokolenie. Czy temu nowemu pokoleniu będą odpowiadały stare nauki ślepego filozofa? Chyba tak, skoro wyrosły one z wiecznie młodej i płodnej ideologii Mickiewicza.

Źródła:
1) Nie opublikowane materiały M. Jasionowskiego, J. Kudery i St. Wallisa.

2) Artykuły w czasopismach i wspomnienia ludzi żyjących.

„Gość Niedzielny” nr 16/1963, s. 6 – 7; nr 17/1963, s. 4; nr 18/1963, s. 6; nr 19/1963, s. 3; nr 20/1963, s. 6; nr 21/1963, s. 4; nr 22/1963, s. 6; nr 23/1963, s. 4; nr 24/1963, s. 6; nr 26/1963, s. 6.

❋ ❋ ❋

Wiersze Józefa Lompy w Pawonkowskim Kancjonale

Jubileuszowy rok nauczyciela z Lubszy zezwala na to, by pochylić się z uwagą nad każdym, choć i drobnym szczegółem związanym z twórczością tego pionierskiego ducha w dziejach odrodzenia narodowego na Śląsku.

Dorobek piśmienniczy Lompy, poza podręcznikami i powieściami o Gryzeldach i Meluzynach, obejmuje także sporą ilość wierszy, religijnych i świeckich. W ocenie badaczy literatury wiersze te są prymitywne, chropowate i nieudolne i nie wykazują większej kultury artystycznej.

Ale cóż, kiedy te liche wiersze, mimo ich wyraźnych braków co do formy i treści, znalazły uznanie u śląskich odbiorców równie prostych i maluczkich duchem. Gdzie znajdujemy na to potwierdzenie? gdzie szukać świadectwa popularności poetyckich utworów Lompy? — w śpiewnikach. W ludowych śpiewnikach, zbiorkach pieśni świeckich, które na użytek towarzystw polskich wychodziły na Śląsku masowo, szczególnie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Dla przykładu wypada zacytować przynajmniej jeden utwór Lompy, który jako „Piosneczka żniwna” znany był szerszemu ogółowi:

Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy pilnuje!
Niech ostrzy skłaniające się kosy,
Niech ścina raźno złote kłosy.
Oto słońce świeci nad nami,
Ptaszęta się bawią śpiewami.
Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy pilnuje.
Hojnego dawcę wychwalajcie!

Dzięki jemu za dary dawajcie!
On chętnie skłoni ucha swego
Śpiewaniu serca dziękczynnego.
Dzień zbieży a wieczór nastanie,
Po pracy słodkie spoczywanie.
Pracujcież podczas dniowej pory,
Czas bowiem jest szybki i spory,
Zwierzęta roboty nie znają.
Ptaszki też w gumna nie zbierają.
Lecz ludzie nie zwierzę, nie ptacy,
Ludzie są stworzeni do pracy.
Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy pilnuje,
Niech ostrzy skłaniające się kosy.
Niech ścina raźno złote kłosy.

„Piosneczkę żniwną" opublikował Lompa w „Zbiorze wierszy" w r. 1842 (zeszyt 2); w podtytule zaopatrzył ją informacją, „z rosyjskiego", co by oznaczało, że poeta, który występował także jako tłumacz, zrymował ten utwór na kanwie jakiejś rosyjskiej pieśni, może ludowej, zasłyszanej przypadkowo.

„Piosneczka żniwna" zrobiła niemałą karierę, bo znalazła się we wszystkich śpiewnikach, tak popularnych na Śląsku, opracowanych i wydanych przez Józefa Gallusa z Bytomia: w „Pieśniach polskich używanych na Górnym Śląsku" z roku 1893, w „Śpiewniku polskim" z roku 1905 i w „Najnowszym śpiewniku polskim" wydanym około 1914 roku. Zamieszczali ją także w swych pieśniowych zbiorkach inni wydawcy, jak na przykład Jan Kwiatkowski, który opublikował ją w „Zupełnym śpiewniczku kieszonkowym" z roku 1911, zawierającym aż 763 pieśni. Pieśni te stanowiły żelazny repertuar polskich towarzystw na Śląsku i niejedną z nich, czy to krakowiaka Wasilewskiego, czy też dumkę Zaleskiego, pamiętają nasi dziadkowie i ojcowie.

Jeszcze większą karierę, bo nie tylko w ziemi śląskiej, zrobiła inna pieśń Józefa Lompy, która znacznie wcześniej, nieomal pół wieku przed publikacjami Gallusa trafiła do popularnego śpiewnika wydanego w Lipsku a przeznaczonego dla odbiorców ogólnopolskich. Mowa tu o j ednym z pierwszych polskich śpiewników szkolnych dedykowanych przez autora

„wesołej a niewinnej młodzieży naszej", jak przyjemnie opiewa podtytuł. Autorem śpiewnika był znany działacz, pisarz, trochę poeta i kompozytor, Gustaw Gizewiusz.

Działał on na Mazurach w tym samym czasie co Lompa na Śląsku, w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku; nieraz jego oświatowe poczynania zestawia się z pracą nauczyciela z Lubszy. Z profesji urzędowej był kaznodzieją ewangelicko-polskim urodzonym w Piszu, ale do słowników i encyklopedii przeszedł jako niestrudzony obrońca języka polskiego na Mazurach, autor wielu publikacji antygermanizacyjnych, dokumentujących polskość ziemi mazurskiej i jej mieszkańców. Pod wpływem idei romantyzmu, podobnie jak Lompa, interesował się literaturą ludową i cenił ją bardzo; zbierał pieśni gminne, podania i gadki mazurskie.

Przynaglony własną, wewnętrzną ideą, że młodzieży naszej w ramach szkolnych lekcji trzeba koniecznie pokazać znajomość polskich pieśni, pokonał niezliczone przeszkody i opory pruskich władz szkolnych i wydał w roku 1846 swój „Śpiewnik szkolny", który, jak informują biografowie Gizewiusza, cieszył się znacznym powodzeniem. Śpiewnik zawiera kilkadziesiąt pieśni, przeważnie tłumaczeń z języka niemieckiego, choć nie brak i utworów rdzennie polskich, na przykład pieśni Kochanowskiego i Kniaźnina, no i Józefa Lompy. Z tych niemieckich przekładów niektóre pieśni trafiły także do śląskich śpiewników towarzyskich i przyjęły się całkowicie jako pieśni ludowe, na przykład utwór L. H. Hoelty'ego, „Poczciwym zawsze, prawym bądź do samej śmierci swej", z melodią Mozarta, tłumaczony przez J. D. Minasowicza, znanego w owym czasie profesora warszawskiego i redaktora „Tygodnika Muzycznego".

Z tworów rymowanych Józefa Lompy wybrał Gizewiusz wiersz religijny, „Do przyrody" („Natura"), który ukazał się w trzecim zeszycie „Zbioru wierszy" Lompy, w roku 1843, a więc w trzy lata przed wydaniem „Śpiewnika szkolnego". Do wiersza tego skomponował Gizewiusz melodię i podretuszował miejscami nieporadne strofy Ślązaka, może i za jego wiedzą i zgodą.

Naturo święta! ciebie zwierzęta leśne wysławiają.
Naturo święta! ciebie ptaszęta wietrzne opiewają.
Kwiat na murawie, robaczek na trawie, cuda twe zwiastuje.
Wszystek świat głosi twoje rozkoszy, za nie ci dziękuje.

Zewsząd to brzmienie, to chwały pienie: „Wielki jest Stworzyciel”.
Który jest wszędzie, na wieki będzie, Ojciec-Pocieszyciel!

Na przykładzie oryginalnego tekstu, choćby tylko drugiej zwrotki, można zaobserwować Gizewiuszowe zabiegi kosmetyczne. Oto pierwotny tekst Lompy:

Murawy głoszą poranną rosą.
Mały robak, pszczoła.
Jest do zdziwienia, lecz większy ziemia głosi cud, gdy woła.

Tak więc dzięki działaczowi narodowemu na Mazurach, uroczyste dystychy śląskiego nauczyciela były znane nie tylko na Górnym Śląsku, ale w całym zaborze pruskim, na Pomorzu i w Wielkim Księstwie Poznańskim. „Śpiewnik szkolny i domowy” Gizewiusza należy dziś do białych kruków i zaledwie kilka egzemplarzy przechowało się w bibliotekach polskich.

Ale do jeszcze większych rzadkości należy rękopiśmienny odpis tego śpiewnika dokonany na Śląsku, w Pawonkowie. Ów unikalny egzemplarz znajduje się w zbiorach Biblioteki Śląskiej a pochodzi z księgozbioru Stanisława Wallisa, niestrudzonego zbieracza śląskich rarytasów piśmienniczych.

Cenny manuskrypt sprzed przeszło stu lat jest właściwie kancjonałem kościelnym zawierającym pieśni religijne niemieckie i polskie, z olbrzymią przewagą tych ostatnich. Kancjonał pochodzi ze starej, szesnastowiecznej parafii, z Pawonkowa koło Lublińca. Należał prawdopodobnie do organisty — może do kilku z kolei — który mógł być równocześnie nauczycielem w Pawonkowie. Skrybenci, spod których pióra wyszedł ów kancjonał, zapisywali w nim wprawdzie swe nazwiska, ale są one zbyt zatarte, by można było ręczyć za ich poprawne brzmienie. W jednym wypadku występuje prawdopodobnie Fr. Brzezinka, w drugim, Gorzel, junior.

W drugiej części kancjonału. po pieśniach do ściśle kościelnego użytku, karta tytułowa głosi: „Pieśni szkolne wyjęte z Śpiewnika dla szkól G. Gizewiuszowego. Pisał Fr. Brzezinka (?), 1853 r.” A więc zaledwie w siedem lat po wydaniu tej publikacji w Lipsku znalazła się ona w odpisie na Śląsku, w małej, lublinieckiej wiosce! Odpis świadczy i o popularności „Śpiewnika” i o tym, że oryginalne dzieło nie było zbyt łatwo osiągalne; może ze względów finansowych, a może z powodu pruskiej dystrybucji wydawniczej, kierowanej wymogami cenzury?

Cierpliwy skryptor przepisał z Gizewiuszowego śpiewnika 34 pieśni wraz z nutami. Jako pieśń numer 20, na stronie 44 kancjonału, wykaligrafował pięknie i wiernie podniosłe inwokacje „Do natury" i zaopatrzył je poprawnym nazwiskiem autora, nie tak, jak Gizewiusz, który w swych polonistycznych zabiegach zapędził się tak daleko, że nazwisko poety z Lubszy podał w niespotykanej i humorystycznej wersji: „Józef Ląpa".

Ale nie w tym rzecz; sedno sprawy tkwi w założeniu, że niewątpliwie pożyteczną i budującą rzeczą jest śledzenie wartości kulturalnych krążących po wszystkich dzielnicach Polski w la tach niewoli, z których, jak z soków odżywczych sycili się nasi ojcowie. Widać to choćby na owym znikomym przykładzie dystychów Górnoślązaka napisanych w Lubszy a wydanych staraniem Mazura w Lipsku, które trudem skryptorów i kantorów wiejskich trafiły z powrotem w odręcznym zapisie na ziemię lubliniecką.

J. KUCIANKA

„Gość Niedzielny", nr 44/1963, s. 5 – 6; nr 46/1963, s. 6.

Rok 1964

Medalem niepodległości odznaczona

Nieraz się czyta w historycznych rozprawach, że powstania śląskie są owocem długofalowego uświadamiania narodowego Górnoślązaków, że są owocem cierpliwej i upartej walki z reżimem germanizacyjnym. Tę prawdę historyczną można prześledzić w losach niejednej śląskiej rodziny. Oto jedna z wielu, rodzina Walczuchów z Rudy. Jej potomkowie żyją w Katowicach, w Zabrzu i w Chorzowie. Pradziad rodu urodzony w epoce wiosny ludów wychował dzieci i wnuków na dzielnych Polaków, na przyszłych żołnierzy powstań śląskich.

W „Gazecie Górnośląskiej" z roku 1882 zamieszczona jest korespondencja z Poręby przy Rudzie, w której czytamy wielką pochwałę rodu Walczuchów: „Nie mogę pominąć, aby nie pochwalić tak zacnych,

w całej okolicy ogólnie poważanych i szanowanych obywateli, panów – braci Walczuchów. ... od dawna wiele pracują nad oświatą ludową, to też — dawniej głośna Poręba — dziś całkiem inaczej wygląda, a do tego ci Panowie z pewnością wiele się przyczynili". Do tej korespondencji załączona jest nota redakcyjna informująca, że „jest czterech braci Walczuchów, trzech ma agenturę «Gazety Górnośląskiej» a czwarty tak sobie urządził, że każdy komornik jego obowiązany jest abonować «Gazetę Górnośląską» — a płaci o te marki mniej komornego. To są więc pochwały godni wiarusy!" (nr 24).

Nie jest to jedyna drukowana wzmianka o braciach Walczuchach, którzy oprócz agentury „Gazety Górnośląskiej" prowadzili także kolportaż „Katolika" i „Moniki" jak o tym informuje „Katolik" w r. 1878. Oto imiona czterech braci Walczuchów: Benedykt, Emanuel, Franciszek i Wawrzyniec. Wszyscy czterej, prócz działalności oświatowej, próbowali pióra: często ograniczało się to tylko do rymowanych rozwiązań zagadek i do korespondencji z terenu. Jeden z braci, który wraz z pielgrzymką słowiańską zwyczajem wielu innych pobożnych Górnoślązaków pielgrzymował do Rzymu, wydrukował w „Gazecie Górnośląskiej" w r. 1881 obszerny i zajmujący w swej szczerej wypowiedzi reportaż z tej pąci. Natomiast Wawrzyńcowi Walczuchowi należy się niewątpliwie laur poetycki za jego samorodną poezję, która nie raz zadziwia pięknem formy i odważną, patriotyczną tematyką. Wawrzyniec pisze wiersze programowe, aktualne, na przykład: wita redaktora odpowiedzialnego „Katolika" wracającego z więzienia za przestępstwa prasowe (r. 1878), płacze nad rudzką osieroconą parafią, którą jezuici dekretem Bismarcka musieli opuścić (r. 1881), w obliczu milczącej ambony i ciemnego ołtarza we wzruszających strofkach zastanawia się nad tym „Czym jest kapłan?" (r.1882). Lecz niezwykle piękną nutą narodową rozbrzmiewa wiersz pt. „Chluba Polaka", którego nie powstydziłby się ani Ligoń, ani też Jasionowski:

Jestem Polakiem, wyznam to śmiele,
Rodu się mego nie wstydzę,
Choć nieprzyjaciół zewsząd mam wiele
Stąd, że swą kocham Ojczyznę.
Nie wątpię jednak w nacisku takim,

Lecz stąd się chlubię, żem jest Polakiem.
W czymże Ojczyzna moja kochana
Tak wielce się zawiniła?
Czyż męczenników krwią nie jest zlana,
Czy mało świętych zrodziła?
Że takiej ziemi jestem rodakiem,
Z tego się chlubię, bom jest Polakiem.
Królowa Polski, Panna Maryja,
Co ku Polakom z miłości
W tylu się miejscach już osiedliła,
I chętnie wpośród nas gości.
Przeto się cieszę w szczęściu takiem
I stąd się chlubię, żem jest Polakiem.

W dalszych strofkach chlubi się rudzki poeta Janem Sobieskim i Wiedniem, oraz mową polską, najdroższą i jedyną. Tym swoim śmiałym wyznaniem: „Jestem Polakiem", złożonym w dobie ucisku germanizacyjnego, wyprzedził Wawrzyniec Walczuch o lat dziesięć poetę z Małego Dobrzenia, Franciszka Wilczka, spod którego pióra wyszła podobna deklaracja rozpoczynająca się od słów: „Ja jestem Polakiem z całej mojej duszy".

Działalność narodowa czterech braci Walczuchów nie ograniczała się jednak tylko do poez ji, do publikacji prasowych i do k olportowania czasopism; byli oni również oddani całą duszą pracy organizacyjnej. Na terenie Rudy rozwijały się świetnie polskie towarzystwa, Alojzjanie i Przemysłowcy, o czym świadczą sprawozdania z zebrań, z uroczystych obchodów i z przedstawień teatralnych, zamieszczane w korespondencjach prasowych. Władze niemieckie coraz ostrzej redagowanymi rozporządzeniami administracyjnymi i szykanami policyjnymi paraliżowały tę działalność. strasząc ludność i obficie sypiąc grzywnami. Najdotkliwsze było rozporządzenie o wynajmie lokali, według którego polskie towarzystwa w zasadzie nie mogły być użytkownikami obszerniejszych pomieszczeń. Czterej bracia Walczuchowie, jak wielu innych działaczy śląskich z Piekar czy też z Siemianowic, znajdujących się w podobnym potrzasku, znaleźli furtkę: ponieważ rozporządzenie władz nie dotyczyło pomieszczeń prywatnych, trzeba było ten moment wykorzystać dla dobra organizacji. Los padł na Emanuela Walczucha, który był człowiekiem materialnie niezależ-

nym i bardzo zamożnym, był bowiem właścicielem dwóch kamienic. Postanowiono w jednej z tych kamienic wyburzyć ściany mniejszych izb i w ten sposób uzyskano wspaniałą, obszerną salę, całkiem „prywatną", do której, jak na razie, pruska policja nie miała wstępu. Rudzkie towarzystwa znalazły w Walczuchowym domu spokojny azyl. Tam urządzono bibliotekę i czytelnię, tam odbywały się narady i próby teatralne, natomiast przy liczniejszych zgromadzeniach i wiecach ludowych przenoszono się na duże, elegancko utrzymane podwórze łączące obie kamienice. Z biegiem czasu z bezpiecznego „domu kultury polskiej" braci Walczuchów korzystały nie tylko miejscowe towarzystwa, ale organizacje z całej pobliskiej okolicy, od Zaborza i Zabrza. O tych wydarzeniach przetrwała wieść nie tylko w rocznikach starych śląskich gazet, ale przede wszystkim w pamięci ludzi starych, których relacje przeszły w usta wnuków i prawnuków.

Wśród takich narodowo-konspiracyjnych wielkich spraw wzrastało młode pokolenie Walczuchów. Nic dziwnego, że odziedziczyło ono po ojcach ów sensus polonicus i rozwinęło go w dwójnasób, nie cofając się przed ofiarą krwi i mienia dla wyśnionej ojczyzny. Choć to brzmi bardzo patetycznie, tak było naprawdę. Świadczy o tym życiorys żyjącej jeszcze córki Emanuela Walczucha, Marty Cimorkowej, której nazwisko pruscy urzędnicy wykoszlawili na „Zimorek". Osiemdziesięcioletnia staruszka ułożyła swój życiorys nie dlatego, by uważała swoje życie za specjalnie bohaterskie i godne pamięci, ale po prostu dlatego, że chodziło o bodziec do podwyższenia emerytury.

Życiorys Walczuchowej córki zawiera przeszło trzy strony maszynopisu i sięga w lata i zdarzenia opisywane poprzednio. „Z czasów, kiedy chodziłam do szkoły, utkwiły mi mocno w pamięci takie wydarzenia, jak częste zebrania i narady u mojego ojca w sprawie polskiej gazety, częste przebywanie u rodziców ks. Przyniczyńskiego (redaktora „Gazety Górnośląskiej"), Polaka, przez władze niemieckie prześladowanego niejednokrotnie". Potem jest mowa o wyburzeniu izb mieszkalnych celem uzyskania obszernego lokalu, jest wzmianka o podwórkowych wiecach pod gołym niebem, które swym silnym romantyzmem i posmakiem zakazanej przygody zapadły głęboko w pamięć dzieci, ukrytych wówczas gdzieś za płotem lub chlewikiem.

Potem jest wyznanie, pod którym mogłaby się podpisać niejedna nasza matka i babka: „Byłam karana w szkole za mowę polską i musiałam

kilkanaście a nawet kilkaset razy wypisywać na tabliczce lub w zeszycie: „Ich darf nicht polnisch sprechen". (Nie wolno mi mówić po polsku). Te dyscyplinarne metody pruskich nauczycieli nie zdały się na nic; Marta Walczuchówna wzrastała na świadomą swego polskiego pochodzenia Górnoślązaczkę. Wybrała, tak jak jej ojciec i wujowie, wcale nie popłatną służbę narodową.

„Z pracą narodową, świadomą i dobrze mi już zrozumianą, zetknęłam się po raz pierwszy oficjalnie na pierwszym wiecu kobiet w Bytomiu, w »Ulu«. Widocznym owocem tego wiecu było utworzenie w Zaborzu nieoficjalnie istniejącej biblioteki i czytelni kobiet, ulokowanej u mego wuja Józefa. Podczas czytania książek i gazet odbywały się pogawędki i wieczory dyskusyjne. Rewizje za zakazanymi książkami i materiałem agitacyjnym nie były rzadkością. Raz podczas takiej rewizji, nie chcąc narazić na szwank całej dobrej sprawy i chcąc zaoszczędzić przykrości wszystkim innym, zmuszona byłam podać się za kierowniczkę czytelni. Ukarano mnie wtedy karą w wysokości 30 marek, rzekomo za to, że świecono lampami naftowymi zamiast świecami".

Trzydzieści marek to było dużo, to stanowiło połowę miesięcznego zarobku śląskiego robotnika. Po tej pierwszej rewizji i grzywnie nastąpiły dalsze, dotkliwsze, aż doszło do rozprawy sądowej w Zabrzu i Gliwicach, za polską agitację. Córki Emanuela Walczucha bronili wówczas trzej znani działacze: K. Wolny, późniejszy marszałek Sejmu Śląskiego, poseł Kocykuski i adwokat Różański.

Następne strony życiorysu Marty Cimorkowej poświęcone są plebiscytowi i powstaniom. Skończyły się wiece i dyskusje, rozpoczęła się prawdziwa walka: Marta pod pseudonimem „Tośki" działa w Polskiej Organizacji Wojskowej w Porębie i w Zaborzu, szkoli się sama i szkoli drugich, jest sanitariuszką, potem kucharką, której pieczy powierzono oddziały powstańcze stacjonujące w Zaborzu. Ten etap jej życia najlepiej został sformułowany w piśmie urzędowym załączonym do życiorysu, wystawionym we Lwowie w r 1936 przez komendantkę oddziału żeńskiego Pol. Org. Wojskowej na okręg Zabrski, Halinę Wojciechowską-Sołowijową.

„Stwierdzam, że Marta Cimorkowa z d. Walczuch... służyła sprawie polskiej z całą ofiarnością i poświęceniem przez osobisty udział w charakterze męża zaufania, stałe pieniężne subwencjowanie celów Organizacji Wojskowej, skupowanie i przechowywanie broni, udzielanie

własnego mieszkania na zebrania organizacyjne i przeprowadzanie kursów szkoleniowych".

W powstaniach wzięła udział prawie cała rodzina: mąż Marty, Teofil Cimorek, jej siostra, Otylia Walczuch i sześciu braci Walczuchów. Nawet stary ojciec, Emanuel Walczuch, pomagał sprawie powstańczej, jak mógł. Walczyli pod Górą św. Anny, gdzie wpadli w ręce Niemców, dopiero po sześciu ciężkich dniach odbiła ich grupa powstańców.

Po powstańczej, bohaterskiej walce nastąpiła tragedia: granica podziału Śląska przebiegła bezmyślną, krzywdzącą linią po rudzkich polach, oddzielając Rudę centralną od Rudy-Poręby, Walczuchowie, dekretem europejskich dyplomatów zostali po „tamtej" stronie. I nawet pogodziwszy się z klęską chcieli zostać naprawdę, przecież Poręba nie przestała być dla nich ojczystą, polską ziemią — ale to było niemożliwe. Nastały dla nich złe dni, dni niemieckiego odwetu i pomsty. Znane to dzieje, które zbrodniczą ręką wypisywali „Heimatstreuerzy"[185] wpadający pośród nocy do polskich domów, niszczący i rabujący wszystko, co popadło w rękę. Marta wraz ze swymi dziećmi niejedną noc spędziła w polu lub na dachu rodzicielskiego domu. Te straszne, odwetowe noce i dni tak przepaliły jej serce, że wielka epopeja ludu śląskiego, zamknięta w ramach trzech powstań, przetrwała w umyśle niestrudzonej bojowniczki w bolesnym symbolu drogi krzyżowej.

„Jedną wielką drogą krzyżową mogę nazwać ten okres. Za przynależenie do tajnych organizacji, za udział w powstaniach i plebiscycie, Niemcy w sposób niemożliwy do opisania mścili się na mnie i na mojej rodzinie".

By uniknąć dalszych prześladowań i by ratować życie, trzeba się było salwować ucieczką. Uchodzą wszyscy: starzy Walczuchowie, ich dzieci i ich wnuki. Po „tamtej" stronie pozostaje całe mienie, które pracą i oszczędnością urosło w spory majątek. Widomym jego znakiem, cztery solidne Walczuchowe kamienice, które stoją do dziś. Niemcom przypadł w udziale kąsek nie lada po upartych Polakach, oszacowano go na 130.000 zł w dawnej walucie.

W biednej, zmartwychwstałej ojczyźnie czekała uciekinierów smutna dola: „Przez trzy i pół roku mieszkałam z rodziną — mąż, i czworo małych dzieci — w klasie, w szkole w Nowym Bytomiu". Trudno było o mieszkania,

---

[185] „Wierni ojczyźnie".

łatwiej było o Medale Niepodległości, którymi odznaczeni zostali Marta i Teofil Cimorkowie.

Ani ich zraziła, ani zniechęciła ta biedna Polska: Marta rozpoczęła działalność w Towarzystwie Polek, Teofil w Związku Powstańców, dzieci, wzorem dziadka, zajęły się kolportażem polskich czasopism. Było z roku na rok coraz lepiej, lecz nieubłagana historia z nie-mieckimi odwetowcami, tym razem spod znaku swastyki, powtórzyła się na nowo w r. 1939. Cimorkowa, pięćdziesięcioletnia kobieta, otrzymuje urzędowe zawiadomienie, że, jako Polka, musi zamiatać ulice. Zabrano jej mieszkanie, dając w zamian wilgotną izbę w suterenie. Z mieszkaniem i mieniem przepadł także piękny Medal Niepodległości.

A gdy na nowo wróciła niepodległość, dawna bojowniczka powitała ją tak radośnie, jak jej wnuki. Stary nałóg pchnął ją znowu w szeregi organizacyjne, do Związku Weteranów powstań śląskich. Na jej legitymacji figuruje wysoka cyfra, 21.331. Czy z tych dwudziestu kilku tysięcy powstańców śląskich żyje jeszcze przynajmniej połowa? I czy dotrą do nich nasze pełne czci pozdrowienia? Pozdrawiamy ich słowami „Pieśni o dobrej sławie" Jana Kochanowskiego: „A jeśli komu droga otwarta do nieba — tym, co służą ojczyźnie"... *JADWIGA KUCIANKA*

Źródła: Życiorys Marty Cimorkowej i relacje p. Aleksandra Widery z Rudy Śląskiej.

„Gość Niedzielny", nr 8/1964, s. 5 – 6.

❋ ❋ ❋

JADWIGA KUCIANKA

Morcinkowe opowieści

Niczyja chyba młodość nie upływa bez młodzieżowych opowieści; nęcą one wielką przygodą na dalekich morzach i nieznanych wyspach, w rozległych pustyniach i groźnych puszczach, w dziwnych, egzotycznych krajach. Ich bohaterowie zachwycają wielką odwagą w obliczu równie wielkich niebezpieczeństw.

Każdemu dzieckiem roiło się być Robinsonem albo przynajmniej Piętaszkiem, każdy mniej lub więcej wyobraźnię miał zajętą opowieściami Coopera, Londona i Karola May'a. W nieznane kraje prowadzili także boha-

terowie Sieroszewskiego i Umińskiego, nie wspominając już pary czarujących przyjaciół, Stasia i Nel. Serce młodzieży zdobywała sobie Domańska i Rodziewiczówna, również Gomulicki, choć jego przygody były tylko przygodami niebieskiego mundurka. Potem Kornel Makuszyński rozsłonecznił swoim humorem młodzieżowy świat przygód. A na Śląsku, w zadymionym słońcu, rodziły się inne słoneczne historie, przetykane gęsto pasmami cienia, głodem i chłodem śląskich dzieci.

Chyba niczyje młode lata, przypadające na okres dwudziestolecia pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową, nie obeszły się bez opowieści Gustawa Morcinka. Pierwsze spotkanie następowało zazwyczaj w szkolnej ławce, na lekcji języka polskiego, nad rozłożoną czytanką Żebroka, a dalsze, dyktowane już indywidualnymi potrzebami serca i umysłu, miały miejsce w szkolnej bibliotece, gdzie na półkach, oprawne w szary papier, stały słoneczne, bo dobre książki: Serce za tamą, Byli dwaj bracia, Chleb na kamieniu, Narodziny serca, Gwiazdy w studni, Łysek z pokładu Idy, W zadymionym słońcu, Duńskie serce, Ludzie są dobrzy, Uśmiech na drodze, Gołębie na dachu, Po kamienistej drodze, W najmłodszym lesie i Miasteczko nad rzeką. Nie wszystkie z nich zapadły w pamięć opisem jakiejś przygody lub też wizerunkiem czyjejś postaci, ale niektóre przetrwały w wyobraźni niezrównanym kształtem artystycznego obrazu, bądź to z głębin sztolni, bądź też z głębin ludzkiego serca, podanego na dłoni. I niewiele potrzeba, wystarczy lekki bodziec zewnętrznych wrażeń lub skojarzeń, aby wyobraźnia zapłodniona Morcinkowymi opowieściami ożyła na nowo, a co ważniejsze, była pomocna w realizowaniu dobra i uśmiechu na drodze.

Gustaw Morcinek wszedł do literatury polskiej w r 1931 swą górniczą epopeją – Wyrąbanym chodnikiem. Kilof śląskiego górnika zadzwonił na caliźnie, która od kilku wieków odgradzała tę starą, piastowską dzielnicę od ojczyzny. Powstał przestronny chodnik, rzetelnie podparty stemplami literackiego trudu debiutującego pisarza, chodnik, co nie tylko wprowadził Śląsk do Polski, ale równocześnie Polskę zbliżył Śląskowi. O tej swojej powieści tak pisał Morcinek w r. 1929 do Władysława Orkana: „Teraz siedzę nad powieścią zakrojoną na obszerne powieścidło. Rzecz dzieje się na Śląsku naszym (Cieszyńskim) i Górnym. Czas od roku 1867 — do 1923. Będą w niej górnicy, hutnicy i chłopi, kopalnie, huty, maszyny i trochę

zboża, walki z naporem czeskim i niemieckim, powstania i wszystko, co tylko Śląskiem jest. Może mi się uda coś zmajstrować".

Udało się majstrowanie, bo powieść otrzymała pierwszą nagrodę na Śląskim Konkursie Literackim; po raz pierwszy literatura polska zaludniła się górnikami, hutnikami a także bezrobotnymi ze Śląska. Wątek powieści snuje się nie tylko wokół kopalń i hut, ale biegnie również na bieda-szyby, hałdy i opuszczone cegielnie, gdzie nierzadko szukają zarobku, schronienia i ciepła Morcinkowi bohaterowie: Molendy, Koczwary, Kubiczki i Szymiczki. Ludzie ci, jak na ogół wszyscy ludzie bardzo ciężkiej pracy, nie odznaczają się ujmującymi manierami ani w słowie, ani w geście, ale pod szorstką powłoką kryją niezwykłą prawość charakteru i ogromną wrażliwość na dobro i zło. Cechy te wydobywa autor z wielkim kunsztem na zewnątrz i podstawia pod światło, aby zabłysły jak ten szlachetny kruszec węgla, co jest zarówno symbolem jak i owocem ich pracy.

Chwilami sceneria się zmienia: ziemia w zadymionym słońcu ustępuje miejsca uśmiechniętej, zielonej ziemi cieszyńskiej. Miejsce kominów Katowic i Królewskiej Huty zajmują świerkowe stoki Czantorii i Ochodzitej. To Ondraszkowa dziedzina. A w proletariacki tłum przemysłowego Śląska mieszają się gazdy i gaździnki z Buczka i z Istebnej; rozbrzmiewa wesoła, urocza gwara cieszyńska i góralskie przyśpiewki.

Ale lud góralski nie był nowością w literaturze polskiej: Orkan, Witkiewicz, Tetmajer już mu tam zrobili należne miejsce. Nowością był właśnie górnik i jego podziemna praca oddechem nagłej śmierci owiana. Pracę tę Morcinek dobrze znał i wcale nie taił, że zna ją z własnego doświadczenia, o czym informował również w swoich listach Orkana: „...sam ongiś, w latach pacholęcych będąc górnikiem, i pochodząc ze środowiska górniczego, znam życie i pracę górnika, jak mało który". Tę Morcinkową wiedzę o górniczym żywocie pięknie scharakteryzowała Zofia Kossak: „Jak Conrad (Korzeniowski) posiadł i przejrzał treść morza, tak on posiadł treść kopalni". I dlatego tak nas urzekają swym niesamowitym realizmem śmiertelne potyczki w kopalnianych przodkach, gdzie wybuchają gazy, pożary, gdzie woda zrywa tamy a spod strzelającego stropu przebłyskuje błędny ognik Skarbnikowej lampy.

Górniczy temat, który Morcinek wprowadził do literatury, nazwano tematem egzotycznym. Dla nas, którzyśmy się urodzili i wzrastali wśród tej egzotyki, nie temat sam był nowością, niejednokrotnie podejmowany

w relacjach ojca, dziadka i sąsiadów, nowością było jego tak pełne i dojmu-jące, w doskonałym kształcie artystycznym zamknięte przeżycie.

Ale Gustaw Morcinek był nie tylko górnikiem z zawodu. Jeszcze jedna szlachetna profesja miała w nim swego przedstawiciela — nauczycielska dola. Przez szesnaście lat, od r. 1921 do 1936, uczył Morcinek w skoczowskiej szkole, w miasteczku nad rzeką, tych chłopców, których intrygowały i mobilizowały gołębie na dachu, Bajanowy wyczyn lotniczy, przygody „Robinsona Krużołka", narciarskie zawody i różne wesołe jasełkowe historie, których byli równocześnie autorami i wykonawcami. Ten wdzięczny a żywiołowy materiał ze skoczowskiej szkoły stał się tworzywem niejednej Morcinkowej opowieści młodzieżowej. Morcinek znał i kochał młodzież, zawód pedagogiczny traktował poważnie, a kunszt powieściowej narracji opanował znakomicie: harmonijny zespół tych trzech czynników sprawił, że spod jego pióra wyszły doskonałe książki młodzieżowe. Ze względu na swą wartość, nie tylko artystyczną, ale i moralną, zajmują one w całym dorobku twórczym Morcinka poważne miejsce. Nietrudno odkryć, że są to powieści z tezą, która w takiej czy innej formie przekazuje niczym nie zachwianą wiarę w małego człowieka, co wyrasta w cieniu hałd i hutniczych parkanów proletariackiego osiedla. A ta wiara wcale nie jest taka łatwa, jeśli się zważy, że mały bohater na początku swojej powieściowej kariery jest złodziejem, przemytnikiem, włóczęgą i nicponiem, co „narodziny serca", nowego, szlachetnego, przeżywa na długiej i przykrej drodze.

(Dokończenie nastąpi)[186]

„Gość Niedzielny", nr 12/1964, s. 5 i 7.

[186] W następnych numerach „Gościa" nie znaleziono dalszego ciągu artykułu.

JADWIGA KUCIANKA

Ślubowane pielgrzymki

Stanęli zbitą ciżbą pod chórem kościelnym, chłopcy po stronie lekcji, dziewczęta po stronie ewangelii, i huknęli głośno, radośnie, starodawną pieśnią:

Obróć serce Jezusowi
swojemu miłośnikowi,
widząc, że cię umiłował.
Ciało i Krew za cię wydał.
Ach, witaj, Prawdo przedwieczna,
Witaj, miłości serdeczna,
witaj, żywocie zbawienia,
a serc naszych pocieszenia.

Pieśń liczy znacznie więcej zwrotek i choć niektóre z nich rażą zawiłą składnią i rymem prymitywnym, w zespołowym wykonaniu młodzieży syryńskiej hymn brzmi imponująco, prawie że jak „Bogurodzica" Stuligrosza[187].

Stara, oryginalna melodia, chociaż trudna, prowadzona jest równo i rytmicznie.

Potem z młodzieżowej ciżby wystąpili wybrańcy losu przeznaczeni do zaszczytnej funkcji chorążych oraz nosicieli trzech figur wielkanocnych: paschału, krzyża z przewieszoną stułą i Chrystusa Zmartwychwstałego.

Wysypali się na dziedziniec kościelny i szybko, składnie, uformowali długi pochód.

Wszystko było jak z barwnej ilustracji Tetmajerowych obrazów wsi polskiej: krzyże, figury, chorągwie rozkołysane wiatrem i jedwabne wstęgi mieniące się w słońcu. A na drugim planie wielkanocna sceneria, dopiero zieleniejące pola i drzewa, i niebo blade, wiosenne.

W tym prawie że teatralnie wyreżyserowanym obrazie ludowym nie stało tylko bajecznie kolorowych strojów ludowych. I tylko widok zgrabnie

[187] Nie chodzi o autorstwo „Bogurodzicy", lecz o wykonanie tego utworu przez chór męski i chłopięcy pod dyrekcja Stefana Stuligrosza.

skrojonych płaszczy dziewcząt syryńskich, a także ich modne fryzurki przypominały postronnemu obserwatorowi wiek telewizorów i sputników.

Z wieży kościelnej odezwały się dzwony a złotem błyszczące trąby wiejskiej kapeli podały wysoką, radosną rutę podchwyconą przez młodzież: Wesoły nam dzień dziś nastał...

Młodzieżowa procesja, procesja syryńskich pacholąt, ruszyła w ów słoneczny poniedziałek wielkanocny w nabożną drogę. Nieodmiennie, jak przed stu, dwustu a nawet trzystu laty. Przeszli, śpiewając swobodnie, wesoło, obok pięknej szkoły, obok nowego cmentarza, obok zagród wiejskich wzniesionych malowniczo wśród sadów i ogrodów, w kierunku Lubomii, drogą wiodącą ku starej lipie, aby zatrzymać się pod krzyżem, który kiedyś wyznaczał granice wsi.

Kiedyś, bo z biegiem lat Syrynia się rozrosła i wszystkie cztery krzyże zakreślające nabożnym kręgiem jej granice, znalazły się w środku wsi.

Syryńska stara lipa, tak jak i jasna sylwetka nowoczesnego kościoła parafialnego, widoczna jest z wielkiej odległości i ze wszystkich stron. Należy ona do krajobrazu całej okolicy i stanowi jego najciekawszy i najczcigodniejszy element.

Czy rodowód starej lipy jest królewski i czy sięga czasów Sobieskiego? — można w to wątpić. W każdym razie o tej pięknej lipie, jak o wszystkich stuletnich lipach w Polsce, przetrwały legendy trochę dziwne, trochę niesamowite: O sabatach czarownic, o duchach spokoju szukających, o nieszczęśliwych hrabinach. Tych gminnych wieści najbardziej dopraszają się dzieci z centrum przemysłowego zagłębia, z Bytomia, z Rudy i z Wirku, które przyjeżdżają do uroczej Syryni na kolonie letnie.

W koronie syryńskiej lipy, tak olbrzymiej, jak koło karuzeli w Wesołym Miasteczku, brzęczą letnią porą tysiące pszczół. Dobrze jest odpoczywać w jej głębokim cieniu pachnącym, lipowym kwieciem, a wzrokiem wodzić po szerokiej, równinnej ziemi raciborskiej położonej nad Odrą.

Piękna i bogata jest ta piastowska dzielnica dawnych książąt raciborskich, zdobna jeszcze dziś uroczymi zakątkami w głębi gęstych lasów, piękne są i chędogie jej wsie, których rodowód sięga trzynastego wieku. Syrynia wspomniana jest po raz pierwszy w dokumencie z roku 1303. W dwa lata później, w 1305 roku, mała wioska zdobyła się na własny kościół, w którym proboszcz z Lubomii odprawiał niedzielne nabożeństwa.

Ten pierwszy kościółek syryński przetrwał dwa stulecia. Zaś w 1510 roku stanął w centrum wsi przepiękny drewniany kościół zachwycający po dziś dzień swą szlachetną architekturą oczy uważnego widza, czułego na prawdziwą sztukę.

Patronem syryńskiego kościoła jeszcze przed drugą wojną światową był książę Lichnowski z Kuchelnej. Lichnowski, bywający częstym gościem u cesarza niemieckiego Wilhelma II, do tego stopnia unosił się nad pięknem architektury syryńskiego kościoła, że zaintrygował cesarza i skłonił go do podróży do małej wioski podraciborskiej. W roku 1913 Wilhelm II przyjechał przez Wodzisław, Pszów i przez Pszowskie Doły do Syryni i oglądał długo drewniany, piastowską sztuką zbudowany kościółek.

A dzisiaj niedzielny spacerowicz w katowickim parku Kościuszki może oglądać drewnianą świątynię poświęconą Michałowi Archaniołowi, którą przed 450 laty stawiali syryńscy cieśle i budowniczowie.

Spod syryńskiej lipy najlepiej widać położoną w dolinie Lubomię, której kościół św. Marii Magdaleny był przez długie wieki kościołem parafialnym dla okolicznych wsi. Łubomia była własnością Panien Dominikanek w Raciborzu, gdyż świątobliwa księżniczka Ofka, wstępując do klasztoru, w swym panieńskim wianie wniosła znaczne majętności, między innymi i Lubomię.

Z prawej strony Lubomii, z leśnej gęstwiny wystrzelają na horyzoncie trzy kominy pszowskiej kopalni. Wspaniała świątynia Pszowskiej Matki Boskiej jest stąd niewidoczna. Ale rowerkiem w niecałą godzinę można się wspięć pod wysokie wzgórze kościelne i podziwiać prawdziwą bazylikową architekturę domu bożego sprzed dwóch wieków.

Historia Pszowskiej Panienki sięga roku 1722, kiedy to pszowscy pielgrzymi przynieśli ze swojej pąci do Częstochowy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz służył zrazu jako feretron[188], który dziewczęta pszowskie maiły kwiatami i obnosiły w procesjach, ale już po pewnym czasie zwyczajna kopia Jasnogórskiej Pani zaczęła słynąć łaskami. Nastąpiła przedziwna metamorfoza, której nie sposób przetłumaczyć w kategoriach zwyczajnego, logicznego myślenia. Matka Boska Częstochowska przemieniła się w Matkę Boską Pszowską, do której ściągać

[188] Feretron – przenośny, obustronnie namalowany obraz religijny w ozdobnych ramach lub figura na podstawie służący do obnoszenia podczas procesji.

poczęły tłumy pielgrzymów. Według statystyki ze starej kroniki, w 1728 roku, a więc w sześć lat po przyniesieniu obrazu do Pszowa, nawiedziło Pszowską Matkę Boską od dnia 28 marca do 14 maja — cztery tysiące pielgrzymów, „z Śląska, Polski i Moraw" jak notuje kronikarz. Cyfra zawrotna, jeśli się zważy, że ówczesne wsie liczyły przeciętnie niewiele ponad dwieście mieszkańców.

W piękny, letni dzień można jeszcze spod lipy dojrzeć Pogrzebień, który też należał do klasztornego wiana księżniczki Ofki, można także wypatrzeć wieżę kościoła w Brzeziu i w Nieboczowach, a z drugiej strony — w Rogowie, w Zawadzie i Bukowie. A wszystko to poprzecinane ciemnymi pasmami lasów i jasnymi rozlewiskami stawów, które miejscami wyglądają jak małe jeziora.

Widnokrąg wieńczą wieże kościelne i kominy fabryczne książęcego ongiś grodu, Raciborza. Jeszcze przed dwudziestu laty „byli tu Niemce" i opiewali pragermańskość miasta Ratibor. Dziś młodzież syryńska, ta właśnie, która w tej chwili bierze udział w starodawnej procesji pacholczej, jeździ do Raciborza nie tylko do pracy, ale przede wszystkim do szkół, by zdobyć średnie wykształcenie lub też cenzus do wykonywania szlachetnego zawodu nauczycielskiego.

Czy śnił o tym zasłużony bojownik o polskość ziemi raciborskiej, redaktor Ignacy Maćkowski? Czy wydawca „Nowin Raciborskich", pisma odważnego, na wskroś polskiego, marzył kiedykolwiek o tym, że Racibórz będzie miał kiedyś kilkanaście polskich szkól, a wśród nich szkołę pedagogiczną i studium nauczycielskie? że we wszystkich urzędach, nie tylko w kościołach, będzie rozbrzmiewała mowa polska, przez Niemców wyszydzana i pogardzana?

„Nowiny Raciborskie" ukazały się po raz pierwszy w roku 1889. Były one dla ziemi raciborskiej tym, czym był „Katolik" dla okręgu przemysłowego. Krzewiły polskość, występowały w obronie uciskanego języka polskiego, przeciwstawiały na wszelkie sposoby wojującej niemczyźnie odwieczną piękność tej ziemi i jej mieszkańców. Redaktor Maćkowski, podobnie jak Karol Miarka, przesiadywał ciągle we więzieniu „za obrazę majestatu króla pruskiego", ale gdy tylko opuszczał kryminał, od razu na nowo podejmował działalność narodową i odważnymi odezwami dopingował ludność znad Odry, szczególniej matki, by uczyły swe dzieci mowy polskiej i strzegły wiary ojców.

Kilkadziesiąt roczników „Nowin Raciborskich" to niezbity dokument polskości tych ziem. „Nowiny" zamieszczały mnóstwo korespondencji z terenu, właśnie z tych wiosek, które oglądać można spod lipy syryńskiej, z Lubomii, z Brzezia, z Pszowa, a także z Płoni, z Kornowacu i z Olzy. Korespondencje te świadczą niejednokrotnie w sposób dramatyczny o stopniu świadomości narodowej mieszkańców tych wsi. Na przykład korespondencja z Syryni, z roku 1892 mówi o małym bohaterze, o uczniu szkolnym, Janku Gorzolnioku. Janek chodził po wsi z listą i zbierał wśród Syryniaków podpisy „za polską mową". „Nowiny Raciborskie", podobnie jak inne ówczesne pisma górnośląskie, przygotowywały bowiem zbiorową petycję do sejmu pruskiego w Berlinie w obronie praw języka polskiego na Śląsku.

Janek Gorzolniok zebrał na swoją listę imponującą ilość podpisów — 137— ale za to nazajutrz otrzymał w szkole równie imponującą ilość razów trzcinką nauczyciela-germanizatora, którego niemiecka kultura wyładowała się w tym paroksyzmie wściekłości na odważnym wiejskim dziecku. Chłopak omdlał podczas tej chłosty, ale dla pokrzywdzonych rodziców nie było żadnej drogi apelacji w szkolnym inspektoracie. Mogli sobie tylko jeszcze więcej zaszkodzić.

Inna korespondencja z terenu, również z roku 1892, z dnia 16 lipca, podaje informację wiążącą się bezpośrednio z materią powyższego artykuliku. Mianowicie anonimowy korespondent pisze, że „w niedzielę poświęcono w Syryni dwa krzyże, jeden przy wjeździe do wsi, od strony Pszowa, drugi przy kościele. Pierwszy wystawiła gmina, a na drugi złożyli się robotnicy nasi w Westfalii zatrudnieni''. (Stąd wywodzi się nazwa „Westfaloki", przydawana niektórym Syryniakom, do dziś aktualna i w gwarze miejscowej obowiązująca).

To właśnie te krzyże, do których pielgrzymuje młodzież syryńska rok rocznie we wszystkie niedziele powielkanocne.

Gdzie szukać początków tej przepięknej tradycji? — W odległym wieku szesnastym.

Wówczas to, pewnego nieszczęśliwego roku, z nastaniem wiosny nawiedziła wioski nadodrzańskie okrutna epidemia cholery. Zaraza kosiła ludzi, a szczególniej zawzięła się na młode, nieodporne organizmy. Co było począć? Trzeba było jakoś przebłagać zagniewane niebiosa. Inicjatywa ekspiacyjna wyszła z grona młodych.

Ślubowano wzmożoną pobożność i surowe przestrzeganie obyczajów. Śluby te znalazły widomy wyraz w przebłagalnych procesjach w czasie wielkanocnym oraz w obostrzonej dyscyplinie osobistej, obowiązującej w tym czasie.

Czym wytłumaczyć moc i siłę kilkusetletniego prawa, nie popartego żadnym obowiązującym oficjalnie kodeksem karnym? czym wytłumaczyć niewątpliwą atrakcyjność surowego obyczaju?

Chyba tylko tradycją. Tradycją przekazywaną z dziada na wnuki, z matki na syny. Tradycją pojętą wysoko, jako sumę niewymiernych wartości duchowych i kulturalnych. Przed taką tradycją, która wyrabia w młodzieży, choćby tylko w minimalnym stopniu pion moralny, wypada pochylić czoła i życzyć serdecznie aby przetrwała jak najdłużej.

Szesnastowieczne śluby pacholąt ziemi raciborskiej przetrwały burze i zamieszki dziejowe i znajdują żywy odzew w sercach młodzieży zrodzonej na tejże ziemi w wieku dwudziestym.

Cień syryńskiej starej lipy staje się coraz głębszy. Wielkanocne słonce świeci blado i z ukosa ozłaca grube pąki na bezlistnych gałęziach. Z wysokich bruzd na polach idzie mocny zapach świeżo zoranej ziemi. Przypominają się piękne metafory o ziemi — matce, o ziemi — żywicielce.

Przebłagalna procesja syryńskich pacholąt doszła już okrężną drogą z powrotem do kościoła, aby swym młodym śpiewem zasilić nieszporne psalmy dorosłych. Jeszcze z oddali ostro połyskują trąby utrudzonych muzykantów. Wieże kościołów raciborskich na horyzoncie zatarły się we mgle. W przyszłą niedzielę, gdy młodzi pątnicy wyruszą do krzyża na starodawnym trakcie pszowskim, krzewy w ogrodach i czereśnie przydrożne staną już całe w swej majowej krasie. A skowronki na „Sieroczce" zmieszają swe trele z wiejską kapelą przygrywającą w marszowym rytmie: Wesoły nam dzień dziś nastał, którego z nas każdy żądał.

„Gość Niedzielny", nr 30/1964, s. 6; nr 31/1964, s. 3.

JADWIGA KUCIANKA

Osiem premier w katowickim teatrze amatorskim

Dzieje śląskiego teatru amatorskiego, to piękna karta w historii odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku. Karta gęsto zapisana, a nie całkiem jeszcze odkryta, prawie nie znana młodemu pokoleniu, a w ułomkach zaledwie zachowana w pomięci naszych ojców i dziadków.

Obfite materiały do historii śląskiej sceny amatorskiej rozrzucone są po ówczesnych czasopismach, głównie w „Katoliku" i w „Gazecie Górnośląskiej" a później w „Gazecie Opolskiej", bądź to w formie zapowiedzi teatralnych, bądź też reportaży z urządzanych spektakli. Tym anonimowym sprawozdawcom teatralnym zawdzięczamy całą naszą wiedzę o ówczesnym repertuarze, o częstotliwości premier, o ilości widzów, a przede wszystkim o samych zespołach amatorskich. Działały one nie samodzielnie, lecz przy rozmaitych „Kółkach", „Czytelniach" i w towarzystwie Alojzjanów. Polskie życie organizacyjne, rozwijające się coraz szerzej i docierające do wszystkich większych miejscowości śląskich, na planie najbliższym stawiało scenę: scena przemawiała najlepiej, najszybciej kształtowała światopogląd i najskuteczniej naprawiała to, co zdążyła zepsuć pruska szkoła.

O samorodnych artystów nie było kłopotu. To rzecz na ogół znana, że Górnoślązacy wyżywali się z powodzeniem na scenie, w deklamacji, w tańcu i w śpiewie. W „Katoliku" z r. 1884, w korespondencji od Bytomia czytamy taką opinię: „Robotnicy i rzemieślnicy odgrywają teatra amatorskie i jest to rzecz podziwienia godna i dowodzi, jakie talenta ma lud polski od Pana Boga. Gdzieindziej tylko ludzie uczeńsi takie rzeczy potrafią". (nr 35 z dn. 6 V).

I druga, jeszcze chwalebniejsza charakterystyka z tegoż samego rocznika „Katolika", tym razem od Królewskiej Huty. (dziś Chorzów):

„Pankowie, którzy też przyszli na teatr polski, mówili: «Nie myśleliśmy, że nasi ludzie tak pięknie grają, to jak uczeni aktorzy, tak rozumieją każdą rolę, tak w słowach i głosie i rolach dokładnie wyrażają charakter tych osób, które przedstawiają, że aż się dziwić trzeba». Tak, tak,

moi pankowie, tu widzicie, że lud polski zdatny do kultury, lecz na podstawie języka ojczystego, wtenczas wszystko gładko idzie, na niemieckie sztuki, w niemieckim języku, nigdy by tak nie odegrali. Widzicie też, że nie jest „waserrpolnisch" coście słyszeli" (nr 7 z dn. 25 I).

Tymczasem sprawa polskiego teatru na niemieckim Śląsku nie była wcale prosta. Niemieckie władze miejscowe, zarówno policyjne, jak i administracyjne, instruowane odgórnymi, tajnymi rozporządzeniami, stwarzały mnóstwo trudności, aby tylko zapobiec polskim przedstawieniom. Gdy nie pomagały „prawne" kruczki, wywierano nacisk na właścicieli sal i większych lokali, grożąc im odebraniem koncesji, w wypadku udostępnienia pomieszczeń polskim towarzystwom. Dochodziło do tego, że mniej bojowi organizatorzy i im presariowie wycofywali się po prostu złamani tymi ustawicznymi szykanami. Inni natomiast, jeszcze bardziej zdopingowani wymyślnymi przeszkodami amtowych[189] i policmajstrów, zwracali się wprost do rejencji w Opolu, skąd zazwyczaj nadchodził, choć po długiej zwłoce, upragniony świstek — Genehmigung[190] — zezwalający na polskie przedstawienia.

„Katolik" niejednokrotnie, otwarcie i odważnie występował w tej sprawie, uświadamiając i zachęcając do dalszej pracy narodowej, choć te wystąpienia trzeba było potem opłacać długimi i kosztownymi procesami sądowymi. Oto jeden z artykułów na ten temat z r. 1884:

„Urzędnicy w niektórych miejscach robią różne przeszkody naszym teatrom. Niechaj sobie amatorzy każą dać odpowiedzi urzędów na piśmie i niech prześlą do redakcji »Katolika«. My się trzymamy prawa i żądamy od urzędników, aby i oni trzymali się prawa. A prawo pozwala na teatra amatorskie, czy się odbywają w języku niemieckim, czy polskim, czy francuskim, czy włoskim, czy innym. Nie mają też urzędnicy prawa żądać tłumaczenia sztuk na niemieckie, tylko podanie o pozwolenie musi być po niemiecku, więcej prawo o języku urzędowym niemieckim nie wymaga. Czy się przedstawienia w języku polskim podobają, czy nie, o to nie chodzi. Polityczne względy też tu miejsca nie mają. My się nie wdajemy w politykę, nikomu nie wolno tu z nami postępować z powodów politycznych. Tylko chodzi o prawo obywatelskie, konstytucyjne. Wobec prawa są wszyscy

---

189 Urzędników państwowych.

190 Pozwolenie.

równi. Jako mają prawo odgrywania teatrów wszyscy obywatele w Prusach, tak i my mamy to prawo. Nie żądamy dla siebie więcej jak inni, lecz nie pozwolimy, aby nam mniej praw dawano, lub prawa odejmowano". Jak wynika z przytoczonego fragmentu, „Katolik" był faktyczną i jedyną w owym czasie trybuną ludu, z której padały słowa prawdy, odważne i nie baczne na następstwa; był dokładnie redagowany w duchu jego założyciela, niezapomnianego redaktora Karola Miarki, zmarłego przed dwu laty.

Jakby dla załagodzenia tej ostrej wypowiedzi, autor w końcowych słowach swego artykułu zwraca uwagę na stronę moralną, wychowawczą, jaką odgrywa teatr dla ludu:

„Teatra nasze nikomu nie szkodzą, lecz owszem, wiele dobrego robią, pouczają, kształcą, uszlachetniają, od złych zabaw ludzi odwodzą. Ludzie czują, że to dobra dla nich rzecz, i setkami przybywają na te przedstawienia. Zawsze i wszędzie odbywają się te zabawy przyzwoicie, spokojnie i są wzorem i przykładem zabaw ludowych". (nr 29 z dn. 11 IV).

Terminy przedstawień teatralnych dyktował zazwyczaj kalendarz liturgiczny: najwięcej spektakli odbywało się w okresie Bożego Narodzenia, w drugie święto i w święto Trzech Króli, potem w drugie święto Wielkanocy i w Zielone Świątki. Specjalnymi okazjami były jubileusze i rocznice poszczególnych towarzystw. Dla przykładu: w okresie Bożonarodzeniowym w r. 1884, w ciągu jednej tylko niedzieli, odbyły się różne przedstawienia różnych zespołów w czterech miejscowościach: w Królewskiej Hucie, w Lipinach, Bobrku i Załężu. A w drugie święto Wielkanocy tegoż roku teatra amatorskie odbyły się w Bytomiu, Królewskiej Hucie i w Siemianowicach.

Specjalnymi okazjami do urządzania przedstawień były jubileusze i rocznice poszczególnych towarzystw a także jakieś nagłe, często tragiczne wypadki, jak na przykład wielki pożar w Dębie, które wymagały natychmiastowej pomocy finansowej, tej zaś udzielały znakomicie pełne kasy teatralne. O pożarze w Dębie w maju 1884 roku, pisze „Katolik": „Połowa wsi się spaliła w poniedziałek, a wiatr był srogi, domy drewniane po większej części. Spaliły się domy z rzeczami, szafami, żywnością, chlewy, wozy — wszystko. Wielu pozostało tylko w jednym ubraniu codziennym O ratowaniu ani myśleć nie było można, tak szybko się ogień szerzył. Pewnie ani jeden nie był zabezpieczony od ognia. Bieda i nędza wielka, ani domu, ani odzieży, ani łóżka, ani żywności" (nr 40 z dn. 23 V).

„Kotolik” apelował o składanie ofiar i równocześnie informował, że zespół teatralny przy „Kółku” we wsi Chorzowie urządzi w ogrodzie pana Sosny teatr, specjalnie na pogorzelców z Dębu, w niedzielę 25 maja; w tę samą niedzielę wystąpili również amatorzy z Załęża z przedstawieniem, zwołanym nagle, w tym samym celu. „Niech każdy więc — wołał „Katolik” — z ofiarą idzie, aby nie tylko miał zabawę, lecz aby i dobry uczynek zrobił. Więc jedni do Chorzowa, drudzy do Załęża!”.

Do najprężniejszych ośrodków amatorskiego ruchu teatralnego należały następujące miejscowości w przemysłowym centrum Śląska: Bobrek, Bytom, Królewska Huta, Lipiny, Łagiewniki, Ruda, Siemianowice, Szopienice, Zaborze, oraz Katowice wraz z Dębem i Załężem. Początek tego ruchu przypada na lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia; przetrwała wieść, że Jan Gajda, samorodny malarz i pisarz urodzony w Ciasnem w powiecie lublinieckim, który założył w Lubecku a potem w Żorach kółko towarzyskie, organizował przedstawienia amatorskie. Jednakże według najwcześniejszej, źródłowej informacji palmę pierwszeństwa przyznać należy Mysłowicom, gdzie w r. 1868 odbyła się Śląska prapremiera teatralna. Donosił o tym „Zwiastun Górnośląski”.

„Towarzystwo Katolickiej Czeladzi Rzemieślniczej w Mysłowicach odegra w niedzielę 15 łistopada, na sali hotelu p. Grunwalda w Mysłowicach komedyą: **Amerykanie**. Cena biletów: poprzednio 5 sgr[191], przy kasie 6 sgr". (nr 46).

Była to sztuka pisarza poznańskiego, Władysława Łebińskiego, skierowana przeciwko masowej emigracji chłopów polskich do Ameryki.

Ówczesny repertuar teatralny był niezmiernie urozmaicony, grywano sztuki klasycznych pisarzy polskich, Kamińskiego, Korzeniowskiego, Fredry i Anczyca, a takie utwory śląskich pisarzy, Miarki, Kołodzieja, Ligonia, Simona i Szędzielorza. Dla przykładu zapoznajmy się z repertuarem teatrów katowickich z jednego tylko roku, 1884, a więc z repertuarem sprzed osiemdziesięciu lat. W ciągu tego roku odbyło się osiem premier: trzy sztuki wyszły spod piór pisarzy ogólnopolskich — Anczyca, Kamińskiego i Wdowiszewskiego, również trzy zostały napisane przez śląskich twórców samorodnych pochodzących z Siemianowic, przez Kołodzieja i Simona, dwie pozostałe są anonimowe.

---

[191] Sgr – srebrny grosz pruski.

Należy przypuszczać, że tych premier było znacznie więcej, lecz nie można ustalić tytułów wystawionych sztuk, gdyż ówcześni sprawozdawcy teatralni, nieświadomi tego, że tworzą źródłowe dokumenty dla przyszłych pokoleń, postępowali po macoszemu z omawianymi utworami scenicznymi, nie zawsze podając ich nazwy, a już zupełnie pomijając autorów. Pierwszy taki anonimowy teatr urządził zespól z Dębu w styczniu, na gościnnym występie w Załężu. Z łamów „Katolika" wiadoma jest tylko zapowiedź spektaklu i jego recenzja. Oto Zapowiedź: „W niedzielę 20 bm. odegrają na cel dobroczynny członkowie »Związku Robotników« z Dębu teatr amatorski w Załężu, w ogrodzie cesarskim — Kaisergarten — w sali p. Wauera". Po tej krótkiej zapowiedzi z 11 stycznia, ukazuje się 1 lutego pochlebne sprawozdanie z przedstawienia — na nieszczęście, całkowicie anonimowe: „W Załężu odegrali amatorowie z Dębu teatr. Byli i Niemcy, i nie chcieli wierzyć, iżby prości ludzie tak umieli grać, a tu niektórzy po pierwszy raz byli na scenie. Ludzi było jakie 700. Członkowie »Związku« w Dębie i »Czytelni« w Załężu, pomagają sobie po bratersku. Teraz odegrają teatr Załężanie, w niedzielę 3 lutego".

Program zapowiedzianego spektaklu zespołu załęskiego zachował się w obszernym ogłoszeniu w styczniowym numerze „Katolika".

„Uwiadamia się publiczność Załęża i okolicy, że 3 lutego nowozałożona »Czytelnia« urządza chrześcijańską duchową zabawę, i to teatr polski, na sali p. Grünfelda w Załężu. Tam to człowiek znajdzie uciechy pełne cztery miechy. Będą grane dwie, bardzo ładne, tu jeszcze nie znane sztuki: **Wycużnik**, znany z „Katolika", lecz każdy ciekawy, jak wygląda na scenie. A druga sztuka, także zajmująca, **Dzieci w jaskini zbójców**. Zaręcza się że każdy, przybywszy na teatr, otrzyma swoje miejsce do siedzenia według zapłaty. Dochód przeznaczony będzie na zakupienie książek do »Czytelni« w Załężu". (nr 3).

Po tej styczniowej, optymistycznej zapowiedzi ukazało się w lutym smętne odwołanie przedstawienia:

„Zapowiedzianego teatru amatorskiego nie pozwoliła policja odegrać. Mieliśmy nadzieję do ostatniej chwili, że nadejdzie pozwolenie, bo starano się telegrafem o takowe, lecz daremnie. Co za przyczyny i paragrafy podano, i czy jakie podano, nie wiemy". (nr 12).

Pozwolenie, o które starano się telegrafem z rejencji opolskiej w miesiącu styczniu, nadeszło szczęśliwie w maju, jak to wynika z ponownej zapowiedzi zamieszczonej w „Katoliku":

„W Załężu odbędzie się teatr amatorski po polsku, w niedzielę 18 maja, wieczorem o godzinie 8, u p. Grünfelda. Odegra się: 1) **Wycużnik**, 2) **Dzieci w ja skini zbójców**. Te same sztuki miały już 3 lutego być odegrane, lecz nie dostaliśmy wtedy pozwolenia. Tym razem goście daremnie nie przybędą". (nr 38).

Obrazek wiejski, **Wycużnik**, Piotra Kołodzieja, najpłodniejszego i najbardziej utalentowanego komediopisarza śląskiego, drukowany w odcinkach w r. 1883 w „Katoliku" a potem wydany osobno, przewędrował prawie wszystkie śląskie sceny amatorskie, radując i pouczając. Jak już tytuł wskazuje, zmieniony w późniejszych wydaniach — **Na wymiarze** — autor poruszył odwieczny problem starych ojców „na wycugu", którym młodzi niejednokrotnie skąpią chleba i dachu nad głową, choć odziedziczyli po nich cały majątek. W sztuce Kołodzieja ta sprawa została oryginalnie i dowcipnie przedstawiona, gdyż stary ojciec na wymiarze wykpił młodych, chciwych i nieuczciwych: zamiast obiecywanych talarów zostawił im w spadku dwa kije, na które całkowicie zasłużyli.

Ten wiejski obrazek urozmaica dziewięć śpiewów; to rzecz nader istotna, gdyż piosenki były szczególnie pożądane przez śląską publiczność, która je sobie w lot przyswajała i wprowadzała na zawsze w rodzinne progi. Największą sympatią widzów spośród person teatralnych **Wycużnika**, cieszył się Kubuś, chłopak stajenny, wesoły i rozśpiewany, który nadzwyczaj udał się autorowi. Świadczy o tym niejedno sprawozdanie teatralne.

Autor drugiego utworu scenicznego odegranego w Załężu jest nieznany, podobnie jak i sama sztuka. Wiadomo jednak z wcześniejszych recenzji publikowanych w „Katoliku", że **Dzieci w jaskini zbójców** cieszyły się niemałą popularnością, jak to wynika choćby z następującego tekstu: „ ... Dzieci grały jak starzy, a zbóje byli jakoby malowani, z brodami wielkimi, dzikimi oczami, z flintami, pałaszami, sztyletami u pasa, w butach, a przywódca wyglądał, jak jaki generał". (r. 1883 nr 91).

Następna premiera odbyła się znowu zaraz w następnym miesiącu, czerwcu w Załężu, lecz tym razem w wykonaniu zespołu amatorskiego z Dębu. „Katolik" informował:

„W niedziele 15 (czerwca) odegrają członkowie »Związku Chrześcijańskiego« (z Dębu) na sali p. Wauera, w »Kaisergarten« w Załężu teatr amatorski na pogorzelców z Dębu. **Taniec nad wszystko** i **Takich więcej**. O godzinie 4-tej odbędzie się koncert a po przedstawieniu taniec. Przybywajcie, Bracia wiarusy, abyście dali dowód miłości bliźniego, gdyż czym więcej przybędzie na teatr, tym więcej dostanie się wsparcia biednym pogorzelcom". (1884 nr 44).

Autorem pierwszej komedii, **Taniec nad wszystko**, jest Maciej Simon z Siemianowic. Komedia cieszyła się przez pewien czas nadzwyczajnym wzięciem; wystarczy wspomnieć, że w roku 1884 odegrana była w pięciu różnych miejscowościach przez pięć różnych zespołów: 2 czerwca w Bobrku, 10 czerwca w Rudzie, 26 lipca w Wielkiej Dąbrówce, 9 sierpnia w Siemianowicach, a piąty spektakl odbył się w omawianym Załężu. Jeden z anonimowych sprawozdawców teatralnych z Rudy zastanawia się nad powodzeniem tej sztuki i pisze: „ ...Agata prawdziwie potrafiła zapanować nad Kazimierzem, o co też mężatkom najwięcej chodzi. Publiczność okazała swe zadowolenie, za każdorazowym spuszczeniem zasłony sypały się oklaski". (Katolik 1884 nr 44).

Autorem drugiej sztuki scenicznej, **Takich więcej**, jest uczony krakowski, Wincenty Juliusz Wdowiszewski, który oprócz naukowych rozpraw pisał komedyjki na potrzeby teatrów ludowych. Ponieważ utwór **Takich więcej** pozbawiony był śpiewów, którymi widownia bardzo się cieszyła, Juliusz Ligoń ułożył specjalnie do tej sztuki sześć piosenek. W taki sposób powstała spółka literacka Wdowiszewski — Ligoń, czyli uczony krakowski i poeta śląski.

Na miesiąc październik zapowiedziana została następna premiera, tym razem w samych Katowicach; „Katolik" nawoływał wszystkich:

„Do Katowic! Do Katowic! na teatr amatorski! Taki okrzyk radości powinien się wyrwać z piersi każdego wiarusa w dzień 28 bm. (października). Odegrana tu bowiem będzie sztuka nader piękna pt. **Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale**. Spodziewać się należy, że gra będzie wyśmienita, gdyż o ile mi wiadomo, to zebrały się do niej najlepsze siły amatorskie. Sztuka ta przeplatana jest ładnymi śpiewami, którym będzie wtórowała sławna tutejsza kapela p. Reschdorfa. Komu więc czas i kieszeń pozwoli: niechaj przybywa, choć i z dalszej okolicy, a pewno nie będzie tego

żałował, szczególnie, że dochód przoznaczony jest na cel dobroczynny, tj. na budowę lokalu »Towarzystwa Czeladzi Katolickiej«". (1884 nr 81).

Podobny apel zamieściła również „Gazeta Górnośląska" — tymczasem pruska władza przelękła się „ładnych śpiewów" z **Krakowiaków i górali** Jana Nep. Kamińskiego i nie udzieliła „Genehmigung". „Katolik" zamieścił krótką informację:

„W Katowicach zakazano w ostatniej chwili teatru amatorskiego — wiatr tu często wieje od moskiewskiej granicy". (1884 nr 84).

Organizatorzy nie dali za wygraną i czynili dalsze starania u władz. Powiodło im się, może po prostu dlatego, że sprawa miała już precedens, gdyż w sierpniu tegoż roku wystawiło **Zabobon** „Kółko Towarzyskie" w Królewskiej Hucie. Odwołane przedstawienie zapowiedziano ponownie; w zapowiedzi tej dziwi mile, że zapraszano gości spod wszystkich zaborów:

„Przypominamy mieszkańcom Prus, Austrii i Polski, że w naszym granicznym mieście odbędzie się teatr amatorski w „Reichshalle", a odegramy wielką sztukę, **Krakowiacy i Górale**". (1884 nr 89).

Sztuka była naprawdę „wielką" i spośród wszystkich utworów scenicznych Kamińskiego najbardziej lubianą i najczęściej wystawianą na wszystkich polskich scenach, we Lwowie, Krakowie i w Warszawie. Kamiński był dyrektorem teatru we Lwowie i pozostawił po sobie około 160 różnych oper, wodewili i dramatów; na Śląsku wystawiano jeszcze inne jego utwory, na przykład **Szlachtę czynszową** i **Skalmierzanki**.

Katowicka premiera **Zabobonu, czyli Krakówiaków i Górali** udała się znakomicie, jak o tym czytamy w recenzji „Katolikowej";

„Po przezwyciężeniu trudności, odegrano w niedzielę teatr amatorski polski. I czemuż to robią władze miejskie tyle trudności tak pięknej, miłej i niewinnej a pouczającej i uszlachetniającej zabawie. Władze miejskie są obywatelskie i powinny ułatwiać obywatelom wszystko dobre i prawe. Burmistrz sam byłby się cieszył, widząc doskonałą grę aktorów i aktorek, prześliczny śpiew panien, melodie muzyki chwytające za serce. — Dzięki składamy amatorom za ich trudy, nadzwyczaj piękna sztuka pozostanie nam na zawsze w pamięci. Prosimy powtórzyć grę w Szopienicach, gdzie już dawno nie było teatru. Tylko trzebaby zbudować osobną salę, choć z desek, bo tu wszędzie mało miejsca". (Nr 91).

Być może, że recenzent ma rację, że niemiecki burmistrz Katowic cieszyłby się barwnym widowiskiem, ale pod jednym warunkiem, że nie

rozumiałby wogóle polskiego tekstu. Przecież w Nowych Krakowiakach Kamińskiego — taki jest drugi tytuł utworu — rozebrzmiała pieśń, która jak płomień ogarnęła wszystkich Górnoślązaków, młodych i strych, dotarła do wszystkich Kółek, a potem do wszystkich śląskich śpiewników towarzyskich, pieśń kryptopolityczna, której piękne, poetyckie strofy podzwaniały wyraźnymi akcentami patriotycznymi, na które tak bardzo uczulone były serca pruskich poddanych na Górnym Śląsku. Przypomnijmy tę piosenkę:

Serce nie sługa, nie zna, co to pany.
nie da się okuć przemocą w kajdany:
Miłością żyje, w niej szuka rokoszy,
Bez niej usycha, jak róża bez rosy.
Śpiewa w klateczce więziona ptaszyna,
Że była wolna, sobie przypomina;
A choć jej ptasznik daje dość żywności,
Jednak przez szczeble wzdycha do wolności.

Chwytliwa przenośnia poetycka o więzionej w klatce ptaszynie odpowiadała całkowicie pojęciom Górnoślązaków wzdychających do wolności narodowej, tym bardziej, że piosenka przyjęła się w wyraźniejszej odmianie rozpoczynającej się od słów: „Polak nie sługa, nie zna co to pany". Nic też dziwnego, że utwór ten znalazł się na indeksie pieśni zakazanych, osądzony w Sądzie Ziemskim w Bytomiu w r. 1912. Nie bez znaczenia w ogólnym i entuzjastycznym przyjęciu piosenki była jej melodia, którą skomponował znany polski kompozytor zwany „ojcem opery polskiej", Karol Kurpiński.

Tej samej niedzieli, gdy w centrum Katowic rozbrzmiewały śpiewy z **Krakowiaków i Gorali**, odbyło się także przedstawienie w Załężu, kilkakrotnie anonsowane w „Katoliku":

„Załęże. Towarzystwo „Czytelni Ludowej" będzie obchodzić rocznicę istnienia swego 16 listopada, a w ten dzień odegrają członkowie teatr polski. Członkowie „Czytelni" mieli wielkie kłopoty z przyczyny teatru (...) Zobaczycie trzy piękne sztuki, w których wiele śpiewów będzie. A parę czeskich, które na teatr wydacie, z pewnością nie będziecie żałować". (1884 nr 86).

Celowo nie podano tytułów sztuk, co często praktykowano, aby wzbudzić większą ciekawość czytelników. Dopiero je zdradzono w ostatniej

zapowiedzi, tuż przed wyznaczonym spektaklem, że „...na sali p. Grünfelda przedstawione będą: **Gorzałka**, **Sekretarz i kucharz** i **Pan fabrykant mioteł**". (nr 89*).*

Pierwszą sztukę napisał Władysław Ludwik Anczyc, autor drugiej sztuki jest nieznany, a trzecia wyszła znowu spod pióra Piotra Kołodzieja; **Pan fabrykant mioteł**, jak wynika z tytułu, jest „humoreską ze śpiewami, w jednym akcie, podług **Chłopa milionowego**". Humoreska znana już była czytelnikom „Katolika", gdyż ukazywała się na jego łamach w odcinkach w r. 1884. Konstanty Prus, który należał do przyjaciół i entuzjastów Kołodzieja, przestawił jego życie i twórczość, na którą składa się blisko dwadzieścia sztuk scenicznych.

Wł. L. Anczyc należy do pisarzy, którzy całkiem świadomie poświęcili się twórczości dla ludu, dla sceny amatorskiej. Pozostawił po sobie rozśpiewane widowiska, żywe, barwne, narodowe, do których wątki czerpał spośród ludu krakowskiego, wśród którego żył. Anczyc, jak o tym pisał „Katolik" w r. 1883, po śmierci pisarza, dość wcześnie został przyjęty przez Górnoślązaków:

„W Krakowie umarł Anczyc, człowiek zacny, któremu Bóg dał wielki talent i dar pięknego pisania dla ludu. Był on z początku aptekarzem, lecz wnet przeszedł pomiędzy pisarzy i autorów. Wydawał w Warszawie gazetę dla ludu, „Kmiotek", (...) napisał wiele nader pięknych sztuk ludowych, teatralnych, np. **Łobzowianie**, **Chłopi arystokraci**, które na Górnym Śląsku odgrywamy też w teatrach amatorskich". (nr 60).

Łobzowian wystawili Alojzjanie w Bytomiu w r. 1883 (w dziesięć lat później powtórzyli to widowisko), a w r. 1884 członkowie „Zorzy" we Wielkiej Dąbrówce wystąpili aż z dwiema premierami Anczyca: w lipcu odegrali **Łobzowian** a we wrześniu **Flisaków**.

Gorzałkę napisał Anczyc w r. 1862, jako próbkę teatralnego przedstawienia dla włościan, jak informuje w podtytule. Próbka widocznie się udała, bo znalazła się również w żelaznym repertuarze śląskich teatrów amatorskich i była wystawiana nie tylko w przemysłowym okręgu, w Katowicach, Łagiewnikach, i w Radzionkowie, ale także w Rybnickiem, w Radoszowach, gdzie odegrana została przez członków „Związku Robotniczego im. św. Barbary i św. Karola", o czym donosiły „Nowiny Raciborskie" w r. 1894. Jak już tytuł sygnalizuje, sztuka była wybitnie umoralniająca, skierowana przeciwko pladze pijaństwa wśród ludu.

Po przedstawieniu **Gorzałki** w Załężu, w „Katoliku” ukazała się wypowiedź jednego z widzów, Boguciczanina, który napisał:

„Widziałem ja różne przedstawienia teatralne amatorskie polskie i zawsze się ubawiłem i pouczyłem. Lecz żadne mnie tak nie rozczuliło, jak sztuka **Gorzałka** odegrana w Załężu. Oczy płakały, kiedym usłyszał śpiew dziatek na scenie i innych, a serce skakało z radości, skorom się dowiedział, że te śpiewy sami amatorzy ułożyli. Muszę moją radość obwieścić w „Katoliku”. Słyszę, że amatorzy mają wielkie trudności z teatrami ze strony policji i landrata. Urzędnicy powinni takim rzeczom dopomagać, bo to ludzi poucza, od złego odwodzi i czyni lepszymi”. (nr 95).

W **Gorzałce** rzeczywiście zamieścił Anczyc tylko jedną pieśń w zakończeniu, było to więc stanowczo za mało na śląskie wymagania i trzeba było sztukę we własnym zakresie uśpiewnić. Kto z Załężan jest autorem tych piosenek, tekstów i melodii, to pozostanie już zapewne tajemnicą. Może też była to praca kolektywna całego zespołu teatralnego.

Do innych swoich widowisk, na przykład w **Łobzowianach** lub **Flisakach,** Anczyc ułożył więcej śpiewów, które przyjęły się na Śląsku jako samodzielne piosenki przedrukowywane potem anonimowo w śpiewnikach.

Do najbardziej ulubionych należał krakowiak:

Na krakowskim brzegu
Stoją dwie mogiły,
Idź do boju śmiało,
Krakowiaczku miły.

oraz **Marsz strzelców**:

Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały,
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg.

Obydwie pieśni były na Śląsku zakazane przez pruskie sądownictwo.

Wspominając zainteresowania kulturalne naszych niedalekich jeszcze przodków, bo z poprzedniej generacji, warto jeszcze zwrócić uwagę na niektóre szczegóły, czasem wręcz paradoksalne i humorystyczne; i tak na przykład, polskim widowiskom teatralnym często patriotycznym lub kryptopolitycznym, towarzyszyły oficjalne orkiestry niemieckie, nierzadko wojskowe; anczycowym, rewolucyjnym krakowiakom przygrywali Bawarczycy i Saksończycy odbywający służbę wojskową w jednostkach stacjonujących na Górnym Śląsku, zupełnie obcy polskiej kulturze, lecz wchłaniający ją w siebie w narodowych melodiach.

Podobnie paradoksalna sytuacja rzuca się w oczy, jeśli zważymy, że te polskie spektakle urządzano w różnych salach pompatycznie z niemiecka nazwanych: „Reichshalle", „Kaisergarten" i z swego założenia świadomie przeznaczonych do innych celów, służących germanizacji.

Ostatnie spostrzeżenie dotyczy obszernego programu teatralnego każdorazowego spektaklu, na który z reguły przypadały dwie lub trzy sztuki sceniczne. Świadczyłoby to o wielkiej chłonności śląskich widzów, którzy, podobnie jak starzy Grecy, gromadzili się nie dlatego, by zobaczyć jedną, określoną sztukę, ale by wziąć udział w teatrze narodowym.

„Gość Niedzielny", nr 36/1964, s. 6; nr 38/1964, s. 6; nr 39/1964, s.3.

Karta z dziejów współczesnych pewnego sztandaru[192]

Z pojęciem sztandaru łączą się rzeczy wzniosłe: poświęcenie, heroizm, bohaterstwo posunięte do granic ofiary z życia. Sztandar jest symbolem wielkich ideałów, jest symbolem wierności: składa się nań przysięgę i dochowuje się wiary jego hasłom. Sama treść wyrazu — sztandar jest przebogata i wywołuje natychmiastowe skojarzenia: powstają przed oczyma barwne, matejkowskie obrazy polskiej husarii ruszającej do ataku wśród łopotu proporców. Przypominają się hufce Jana Trzeciego, które zdobywają pod Wiedniem zielone sztandary proroka zaniesione potem ojcu świętemu w darze. Usłużna wyobraźnia odtwarza także wzruszającą postać śmiertelnie ranionego chorążego, który ostatkiem sił zrywa z drzewca płótno sztandaru i kryje je na piersi, by potem paść spokojnie martwą twarzą ku matce ziemi. Postać i scena tylokrotnie przekazywana nam przez różne epoki pędzlem i piórem. Ten bohaterski akt żołnierski ujął regulamin wojskowy z roku 1786 w krótką definicję: Chorąży nie opuszcza sztandaru. Choćby i życie miał utracić. (Enc. Staropolska).

---

[192] Artykuł nie został podpisany przez autorkę. Wiadomość, że jej autorem jest Jadwiga Kucianka zaczerpnięto z artykułu Krystyny Heski-Kwaśniewicz *Bibliografia praz Jadwigi Kucianki* zamieszczonym w: „Śląskich Studiach Historyczno-Teologicznych" IV (1971), s. 305.

A gdy jeszcze wspomnieć oddziały legionistów i powstańców, tych listopadowych, styczniowych i śląskich, dla których dworskie panienki a później także i wiejskie dziewczęta wyszywały białe orły na sztandarach roniąc przy tym łzy za wojakami — historia sztandaru urośnie niepomiernie.

Od wyrazów: sztandar, chorągiew, proporzec, roją się foliały naszych polskich dziejów, począwszy od kronik Galla i Długosza, a skończywszy na powieściach Kraszewskiego, Sienkiewicza, Reymonta i Żeromskiego. A ileż to wierszy, świeckich i religijnych, żołnierskich i rewolucyjnych, popularnych później jako pieśni, we wzniosłych słowach opiewa ów kawałek materiału przymocowany do drzewa? Przypomnijmy kilka z brzegu, tych żołnierskich: „Naprzód, drużyno strzelecka, sztandar do góry swój wznieś", „Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały", „W krwawym polu srebrne ptaszę", albo, „A kto chce rozkoszy użyć", gdzie w dalszych zwrotkach nad zabitym ułanem tylko „chorągiewki zafurczały", no i jeszcze na koniec piosenka śląskich powstańców, „Znam ja jeden śliczny zamek'" — gdzie miła białe orły wyszywa.

Natomiast z pieśni religijnych najwspanialszy jest stary hymn łaciński „Vexilla regis" — „Lśni sztandar Króla z górnych stron". Sztandar przeszedł także do hymnów katolickich stowarzyszeń, choćby tylko przypomnieć piękną pieśń, „Błękitne rozwińmy sztandary".

Symbolika religijna i hagiograficzna, szczególniej gdy chodzi o rycerskich świętych, też się nie obywa bez tego wzniosłego eksponatu: mamy archanioła Michała z chorągwią, mamy świętego Floriana, mamy także świętego Jerzego z proporczykiem, potykającego się ze smokiem.

Trzeba jednak przyznać, że wszystkie te piękne skojarzenia sztandarowe wytworzone na materiale malarskim i literackim należą do przeszłości. Nie są tworem współczesnym. Dzień dzisiejszy nie furkocze romantycznie proporcami ani łopoce wojennymi chorągwiami. Dzień dzisiejszy nie przewiduje żadnych ballad ani epopei na temat sztandaru. Ale czasem historia pisze się sama, bez udziału autora i jest tak fantastyczna i urzekająca, jakby ją ułożył nie lada mistrz pióra. Oto jedna z nich, pochodząca z nie tak dawnych jeszcze dni, żywcem zaczerpnięta z listu pisanego we Wiedniu, w maju 1963 roku. Jest to historia starochorzowskiego sztandaru żeńskiej młodzieży katolickiej, który czyjaś troskliwa ręka chciała uchronić przed zniszczeniem w dniach niemieckiej okupacji. Sztandar wywędrował z parafialnego kościoła i trafił na rozlegle szlaki wojenne.

Pani Maria S., Polka urodzona i zamieszkała we Wiedniu, tak relacjonuje te wydarzenia:

,.Sztandar ten w czasie wojny, w roku 1942, znalazł mój brat Paweł B. w samochodzie wojskowym oddanym mu do r emontu. W samochodzie znajdowały się różne szmaty, w których był umieszczony ów sztandar. Brat mój natychmiast przyniósł mi ten sztandar do przechowania. Ja zaś, jako urodzona we Wiedniu, ale z ojca Polaka, ze czcią przechowywałam go czekając zakończenia wojny i stosownej chwili.

Wyższy Boży los chciał, że sztandar cudownie ocalał po raz drugi. Mianowicie dnia 17 października 1944 r. mieszkanie moje i brata, znajdujące się na 1 piętrze, zostało całkowicie zbombardowane w domu na Rautenstrauchgasse. Prawie wszystkie rzeczy zostały roztrzaskane. Na szczęście byłam nieobecna, gdyż pracowałam na poczcie. Po przybyciu na miejsce stwierdziliśmy, że cała podłoga runęła z pierwszego piętra na parter, lecz ocalał tylko kawałek podłogi z pierwszego piętra, na którym trzymała się jeszcze przy ścianie szafa, w której był ten sztandar umieszczony. Przy pomocy ludzi udało się zdjąć szafę. Sztandar ponownie cudownie ocalał i był nieuszkodzony.

Wielkie, ostatnie historyczne zdarzenia zwołania Soboru w Rz ymie przez Ojca św. Jana XXIII, przyczyniły się do przejazdu przez Wiedeń ks. kardynała Prymasa polskiego, Stefana Wyszyńskiego i księży biskupów, którym mogłam wręczyć osobiście do rąk sztandar".

List kończą pozdrowienia pani Marii S. i jej męża. Tadeusza S., oraz brata Pawła B. wraz z rodziną.

Po dwudziestu czterech latach sztandar wrócił do Starego Chorzowa.

Koniec historii. Nie trzeba nic dodawać, można najwyżej znane przysłowie łacińskie — i krążki mają swój los — przekształcić w nowe powiedzonko: i sztandary mają swój los.

„Gość Niedzielny", nr 41/1964, s. 3.

JADWIGA KUCIANKA

Abecadło o chlebie

Redakcja bytomskiego „Katolika" mieściła się w okazałym budynku, niedaleko nowowybudowanego kościoła św. Trójcy, przy szerokiej i ludnej za dnia ulicy. Nad bramą wejściową wisiała duża tablica, „Redakcja Katolika", wyróżniająca się swym polskim napisem spośród wszystkich niemieckich tablic w mieście. W pierwszej izbie na piętrze, zastawionej stołami, kręciło się kilku ludzi. W mniejszej, przyległej do niej, siedział za biurkiem młody człowiek, liczący niewiele ponad lat dwadzieścia. Ze szczupłej twarzy bila niezwyczajna w tym wieku powaga i szlachetna dobroć. Pogrążony był w czytaniu gęsto zapisanych stroniczek listu. Na osobnej kartce widać było zdania biegnące w równej, długiej kolumnie — Ładny wierszyk, bardzo ładny — po twarzy przeleciał uśmiech — poślę go zaraz do drukarni; choć nic na ten temat nie wspomniał, chyba jednak o tym myślał — Sięgnął po dzwonek leżący na biurku, ale zanim zadzwonił, zapukano do drzwi, w których stanął po chwili mężczyzna z dużą paką.

— Panie redaktorze, przesyłka z Poznańskiego, z Antonina! — zawołał od progu wymachując czapką.

— To świetnie, to od ks. Radziejewskiego, zawsze o nas pamięta przed świętami! — Koraszewki podniósł się żywo zza biurka, by pomóc w windowaniu paczki na stół — Ale jak wyście, panie Gallus, teraz po nocy się do niej dorwali? Poczta już dawno zamknięta.

Gallus roześmiał się.

— Pan Redaktor zapomina o Winklerze, o tym naszym znajomym kolejarzu. Byłem akurat na dworcu sprawdzić jeszcze raz ten pociąg do Szobiszowic, żebyśmy jutro za późno nie przyjechali, a tu Winkler przychodzi i gada, że dopiero co widział w wagonie pocztowym wielgachną pakę dla „Katolika". Pytam, skąd, a on, że w pociągu wrocławskim, ani chybi, że z Poznania. No to mówię, pogadaj tam z tym beamtrem[193], weźmiemy wózek i wio do redakcji. I tak zrobiliśmy. Byłem pewny — Gallus spojrzał porozumiewawczo w kierunku Koraszewskiego — że jeszcze

[193] Beamter – urzędnik.

kogoś zastanę w redakcji, że to jeszcze za młoda pora na spoczynek dla pana redaktora.

— Toście dobrze myśleli, panie Józku, ktoby tam chodził spać z kurami! Wiadomo, kto w „Katoliku" pracuje, tego czas nie interesuje — dowcipkował Koraszewski. Widać było od razu, że towarzystwo młodego, równego mu wiekiem robotnika śląskiego jest mu miłe — Ale zabierajmy się do tych wielkopolskich skarbów! Chyba się domyślacie, co tam jest?

— Pewnie, poczułem, jak niosłem po schodach. Urobek nagromadzony w księgach ciąży prawie tak samo, jak ten z dołu, z kopalni.

— O, ładnieście to powiedzieli. Kto wie, jeszcze na jakiego pisarza wyrośniecie albo redaktora?

— Redaktora? — roześmiał się Gallus — dobrze wycelowane! Bo teraz redaktory polskich pism cięgiem w areszcie siedzą. Jak to pisał „Katolik", że „Redaktor pisma polskiego teraz prędzej do cechu przyjętym być nie może, póki nie przejdzie przez więzienie. To jest dowodem, że gorliwie broni sprawy i odważnie, nie dla zysku, lecz z poświęcenia".

— Widzę, że i pamięć macie świetną? — dziwił się szczerze Koraszewski.

— Nienajgorszą, chwalić Boga. Toż, wracając do rzeczy, panie redaktorze, za pana, jako ten odpowiedzialny redaktor, posiedziałbym w kozie miesiąc albo i dwa, ale dłużej nie, bo na to by moja stara w domu nie zezwoliła. Ta by dopiero pokazała żandarmom!

— Wiem, wiem, dla niej żadna pickelhauba[194] nie straszna. Żeby się takie tu na Śląsku, na kamieniu rodziły! Ale oto i prezenta od naszego zacnego ks. Radziejewskiego — W rozwartym kartonie leżały równo a ciasno poukładane książki. Nowe, świeże, tajemnicze. Zarówno wielkopolskiemu inteligentowi, jak i śląskiemu robotnikowi zaświeciły się do nich oczy. Polskie książki, drukowane w Krakowie, w Warszawie, w Poznaniu, pod trzema różnymi zaborami, a w tym samym jedynym języku ojczystym. Koraszewski sięgnął po pierwszą z brzegu, ruchem ręki wskazując, by i Gallus zaspokoił swoją ciekawość.

„Malowniczy opis Polski, czyli geografia ojczystego kraju, ułożył Józef Chociszewski" — przeczytał półgłosem tytuł książki a potem przeglądał ryciny zdobiące tekst — tego przydałoby się więcej, trzeba

---

194 Pikielhauba – skórzany niemiecki hełm zakończony charakterystycznym szpikulcem.

będzie koniecznie zamówić. A wy, panie Józku, co tam macie? a, śpiewnik widzę. Pewnie od Cybulskiego z Poznania?

— Tak, z Poznania — potwierdził Gallus. — U nas, w „Katoliku" też byśmy mogli wydać coś takiego, prawda, panie redaktorze!

— Prawda, trzeba nad tym pomyśleć i to jak najprędzej. O, a tu widzę kilka elementarzy. Ładniej wydane niż nasze, papier lepszy, obrazki kolorowe, a jakie patriotyczne wierszyki!

— Panie redaktorze, nie śmiem prosić, ale taki elementarz by mi się przydał — odezwał się Gallus nieśmiało — dla mojej małej.

— Dla waszej córeczki? a, tego to nie wiedziałem, że dzieci na Śląsku już w kołysce uczą się na elementarzu! — śmiał się Koraszewski.

— Bo pan redaktor dopiero od roku na Śląsku! — odparował Gallus — a moja panna, to ino patrzeć, jak zacznie na tabulce mazać. Wszystkie literki abecadła umie już szykownie rozpoznać.

— Abecadła? — powtórzył Koreszewski machinalnie i od razu przypomniał sobie pismo porzucone na biurku. — Niech pan posłucha, panie Józku, dostałem dzisiaj list od pana Bełzy z Warszawy, a do tego listu dołączony był jego wierszyk „Dla dzieci polskich abecadło o chlebie".

ABC
Chleba chcę,
Lecz i wiedzieć mi się godzi,
Z czego też to chleb się rodzi?
DEF
Naprzód siew,
Rolnik orze ziemię czarną
I pod skibę rzuca ziarno.

Koraszewski przerwał recytowanie i zamyślił się nad czymś głęboko. Potem podszedł do paczki z książkami i zaczął je przeliczać — Dziesięć... dwadzieścia..., trzydzieści. Trzydzieści — powtórzył — to dużo, to powinno starczyć — Potem odwrócił się do Gallusa. Jego twarz promieniała radością — Mam pomysł! zrobimy konkurs dla dzieci. A te książki Radziejewskiego będą jako nagrody,

— Dla dzieci? konkurs? — w glosie Gallusa czuć było pewna rezerwę.

— Tak, konkurs. Rozpiszemy go w „Katoliku" albo nie, lepiej będzie zamieścić go w dodatku, w „Rodzinie". „Rodzinę" dzieci czytają, nieraz mi

o tym mówiono — Widać było wyraźnie, jak nowa myśl coraz intensywniej zajmowała redaktora — Zaraz w następnym numerze podamy warunki konkursu, zrobimy tak, aby...

— Przepraszam, panie redaktorze, że przerywam, ale w jakiej materii będzie ten konkurs? — Gallus żywił w dalszym ciągu wyraźne wątpliwości — niech pan redaktor nie zapomina, że nasze dzieci uczą się w niemieckich szkołach, że tam im tylko wiedzę o niemieckim państwie wykładają. A niektóre, jeśli rodzice nie dbają, to nawet po polsku czytać nie umieją.

Koraszewski otwarł usta, ale nic nie odpowiedział. Podszedł do okna i zapatrzył się w ciemności nocy.

Dziewczynka strzepnęła mokrą, pierwszym śniegiem przyprószoną zapaskę, a z kieszeni wydobyła paczuszkę równo zawiniętą w chusteczkę. Położyła ją na stole i poczęła uważnie rozwijać.

— Paułinko, wróciłaś ze szkoły? — z sieni od podwórza dobiegł głos matki.

— Tak, mamo, jestem. Już idę.

— Nie rozbieraj się jeszcze, idź na pól godziny z Krasulą; obiad będzie później, bo dopiero przystawiłam kartofle. A gazetę ojcu przyniosłaś? nie zapomniałaś?

— Przyniosłam. Leży na stole — Paułinka prostowała i gładziła lekko pomięte strony „Katolika". Przeczytała nagłówki pisane dużym drukiem, potem ostrożnie odwróciła pierwszą stronę. Do środka włożony był dodatek mniejszego formatu, „Rodzina". Nagłówek pisma zdobiła ilustracja przedstawiająca rodzinę, ojca, matkę i dzieci zgromadzone w izbie przy stole, na którym leżały gazety i książki. Paulinka dokładnie obejrzała obrazek, choć znała go na pamięć, i zaczęła szukać wierszyków, które stale w tym piśmie drukowano.

— „Dla dzieci polskich abecadło o chlebie" — przeczytała po cichu i powoli. A potem jeszcze raz, już pewniej i głośniej — „Dla dzieci polskich..."

— Paułinka, co to robisz? — Szołtysikowa weszła do izby — gazetę sobie czyta a miała paść krowę!

— Już lecę, mamo, tylko tu taki ładny wierszyk!

— Dam ja ci wierszyki! Nie słyszysz, krasula z głodu ryczy.

— Mamo, mogę wziąć ze sobą gazetę? ten mały dodatek?

— Ani mi się waż! zgubisz, podrzesz, byłoby piekło, jak ojciec wróci. Przeczytasz sobie potem — pocieszyła córkę, spostrzegłszy jej osowiałą twarzyczkę.

— Ałe ja chciałam się tego wierszyka na pamięć nauczyć, bo tam piszą na dole, że...

— Paula, jak mi zaraz nie pójdziesz z krową — przerwała. Dziewczynki już nie było, tylko od podwórka dobiegł stukot drewniaków na kamiennych płytach.

Szołtysikowa przechodząc koło stołu zatrzymała się nad rozłożoną gazetą. Wyłowiła wzrokiem wierszową kolumnę i z podziwem przeczytała całe „Abecadło o chlebie". Bardzo jej się spodobało. Już rozumiała córkę i jej rozżalenie. U spodu wiersza drobnym drukiem widniała informacja:

„Pierwsze dzieci, które się tego abecadła nauczą na pamięć, a w dowód tego przyślą nam poświadczenie od jakiej poważnej osoby, najlepiej od ks. proboszcza lub kapelana, otrzymają po książeczce, jaka dla nich będzie stosowną".

— Paulinka nauczy się na pewno — pomyślała z niejaką dumą o swej jedenastoletniej, pierworodnej córze.

Wieczorem tego dnia Paulinka umiała cały wierszyk Bełzy na pamięć. Wyrecytowała go głośno przed wszystkimi i tylko przy ostatniej, ósmej zwrotce się potknęła. Chciała, żeby jej koleżanki w klasie, które nie mają „Katolika", też się tego wierszyka nauczyły na pamięć, ale ojciec już kiedyś surowo zapowiedział, że do szkoły nie wolno zabierać polskiej gazety. Nie było rady, trzeba było wiersz przepisać do zeszytu, żeby inne dzieci mogły go sobie odpisać. Zrobiły to nazajutrz trzy dziewczynki i jeden chłopiec: Kasia Lech, Helenka Stera, Matylda Morys i Bernard Fąfara. Matylda przepisywała ostatnia, na ostatniej pauzie. Nie zauważyła, mimo ostrzegawczych syków, nadchodzącego nauczyciela.

— Pokaż, co tam piszesz — posłyszała nad sobą groźny rozkaz — Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Daj mi zaraz ten zeszyt! — Dziewczynka skuliła się, pewna natychmiastowej, dotkliwej kary. Ale nauczyciel oglądał powoli, ze wszystkich stron kajet Paulinki.

— „Deutschheft, Pauline Scholtysik, Volksschule in Zalenze" — czytał nie głośno, ale w zamarłej klasie wszyscy aż nazbyt dobrze go słyszeli — Zeszyt do języka niemieckiego, niemieckiej uczennicy. Tak pisze na okładce. A co jest w środku? — ryknął, aż szyby w oknach jęknęły — polski

wiersz! zakazany polski wiersz. Za to powinno się was zamknąć do więzienia, razem z waszymi rodzicami! I z całym bytomskim «Katolikiem», co was podżega do rewolucji przeciwko dobremu cesarzowi!" — W klasie fruwały dobrze dzieciom znane epitety: Banditen i dummes[195], polnischen Gesindel[196]. Dopiero dzwonek ogłaszający koniec lekcji przerwał burzę. Pan nauczyciel sapał z utrudzenia i może dlatego wymierzył dzieciom stosunkowo małą karę: trzykrotne przepisywanie czytanki o wielkim królu Fryderyku.

Po lekcjach dzieci miały polski Katechizm. Ks. wikary dowiedział się w szczegółach o całej awanturze z wierszykiem.

— A teraz, Paulinko, powiedz nam ten wierszyk tak ładnie, jak tylko umiesz. Dzieci, proszę o ciszę — rozkazał ks. wikary. I w tej samej klasie, gdzie przed chwilą huczały gromy przeciwko niewinnym polskim rymom, rozebrzmiał jasny i dźwięczny glos dziewczynki;

G HJ
Ziarno w lot
Zakiełkuje w ziemi łonie
I kłos buja na zagonie...
M NO
Każde źdźbło
Za obrotem kół kamienia
W białą mąkę się zamienia.

Po katechizmie dzieci hurmem wybiegły na drogę i przez cale Załęże niosły się piękne słowa o chlebie z Bełzowego wierszyka.

- -

Redaktor Koraszewski promieniał i szczerze żałował, że się swego czasu nie próbował założyć z Gallusem o wyniki dziecięcego konkursu. Zaraz w pierwszym tygodniu po ogłoszeniu konkursu nadeszło do redakcji kilkanaście listów podpisanych przez miejscowych duchownych z różnych okolic Śląska. Po zliczeniu nazwisk dzieci, które pierwsze stanęły na starcie, okazało się, że jest ich znacznie więcej niż książek przeznaczonych na nagrody. Zawodników było 52, nagród tylko 30, nie, nawet mniej, bo jeden

---

[195] dummes – ogłupiały.
[196] polnischen Gesindel – Polski motłoch.

elementarz zabrał Gallus. Trzeba więc było dokupić resztę książek z wydawnictwa „Katolika”.

Potem ułożył do następnego numeru „Rodziny” takie słowa:

„Szanownym Księżom Dobrodziejom, Proboszczom i Kapelanom, którzy raczyli pośredniczyć w przesłuchiwaniu dzieci i w ten sposób okazali troskliwość o zachowanie języka ojczystego naszego ludu, składamy z wdzięcznością jak najserdeczniejsze »Bóg zapłać«.

Co się zaś tyczy dzieci, to spodziewamy się, że gdy się abecadła tak pięknie nauczyły, to i czytania polskiego łatwo się nauczą. Uczcie się więc, kochane i dobre dziatki, czytać po polsku i szanujcie język ojców waszych”.

Paulince mocno biło serce, gdy otwierała ten numer „Rodziny”. Od razu spostrzegła długą listę nazwisk dzieci, „co się dobrze nauczyły Abecadła Polskiego” i w mig wyłowiła swoje nazwisko: Paulina Szołtysik z Załęża. Zakręciła się w kółko z wielkiej uciechy i gubiąc drewniane pantofle pobiegła w podwórze szukać matki. W kilka dni potem nadeszła z „Katolika” nagroda konkursowa, piękna książeczka polska.

Książeczka, w której były wiersze, nie dochowała się do naszych czasów. Zaginęła w bałaganie kilkakrotnych przeprowadzek podczas pierwszej wojny światowej. Ale na kartach pożółkłego od starości rocznika „Rodziny” z lat 1889—1900 przetrwało nazwisko Pauliny Szołtysik, naszej babki z Załęża.

Bronisław Koraszewski, 1864 -1924, ur. na Kujawach. W tym roku przypadają dwie rocznice związane z jego życiem: rocznica urodzenia i rocznica śmierci. Koraszewski był w latach 1888 – 1890 redaktorem „Górnoślązaka” i "Głosu Ludu Górnośląskiego” w Królewskiej Hucie, potem redagował „Katolika” w Bytomiu a we wrześniu 1890 r. założył w Opolu "Gazetę Opolską”, którą kierował przez 30 lat. Był znanym i kochanym działaczem ludowy.

„Gość Niedzielny”, nr 52/1964, s. 7; nr 1/1965, s. 6.

Rok 1965

JADWIGA KUCIANKA

Pokłosie Prof. St. Pigonia

W okresie żniw, gdy pola już uprzątnięto, chodziliśmy „na kłoski". Także na Śląsku, w centrum przemysłowego zagłębia, gdzie pola wciśnięte były miedzy hałdy i parkany zakładów fabrycznych. Zbieraliśmy zapomniane lub też świadomie przez litościwego gospodarza pozostawione kłosy zbożowe dla biednych. Schylaliśmy się po każdą wplątaną w rżysko słomę uwieńczoną drobnym, czasem i grubym kłosem. Potem, w domu, z żytnich, pszennych i jęczmiennych ziaren paliła babka kawę lub mełła mąkę na żur.

Wielki polski uczony. Profesor Stanisław Pigoń, chłopskie dziecko, też kiedyś chodził „na kłoski" na rżyska w Komborni. A potem przez pól wieku na polu pracy naukowej trudził się innym pokłosiem: zbierał kłos po kłosie — fakty naukowe. Z chęcią schylał się po każdy napotkany, nie dostrzeżony lub nie doceniony fakt kultury narodowej, który ze znawstwem i troską prawdziwego badacza ustawiał w taki sposób, aby jak najlepiej służył nauce polskiej.

W dniu 24 listopada 1964 r. uniwersytet Jagielloński uczcił półwiecze pracy naukowej Profesora Pigonia. W murach Almae Matris Jagiellonicae zgromadzili się ludzie nauki, przyjaciele i uczniowie Profesora, by wziąć udział w uroczystym odnowieniu doktoratu, który przed 50 laty otrzymał Profesor w murach tej samej czcigodnej uczelni. Uroczystość to niecodzienna, jak niecodziennym jest fakt nieprzerwanej pracy twórczej Uczonego. Podkreślił to rektor Klimaszewski w swym wstępnym przemówieniu.

Odnowienie doktoratu jest czymś wyjątkowym, czymś nowym na naszej uczelni. Czymś nowym i wyjątkowym jest także stała, pół wieku już trwająca aktywność Profesora Pigonia na polu pracy literackiej. Uroczyste odnowienie doktoratu ma więc stanowić wyraz hołdu dla wielkiego

uczonego i szlachetnego nauczyciela, który przysporzył chwały Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i który wychował kilka pokoleń polonistów.

Prorektor Wyka, dawny uczeń Profesora, odtworzył scenę promocji, która miała miejsce w tejże samej auli uniwersyteckiej w styczniu 1914 r. Przypomniał nazwiska znanych a odeszłych już w cień śmierci profesorów: Chrzanowskiego, Łosia, Sobieskiego i Kostanockiego, którzy dokonali aktu promocji. W ich obecności młody doktór złożył przysięgę na skrzyżowane berła Wszechnicy Jagiellońskiej, ślubując wierność nauce.

Uśmiechnąwszy się w stronę Profesora siedzącego w todze i birecie pod strażą pedelów[197] trzymających godła uniwersyteckie, zdradził profesor Wyka tajniki zapisu zawierającego stopnie egzaminów doktorskich profesora: przy egzaminie z literatury celująco, przy filozofii — dostatecznie.

Widocznie egzaminator był wymagający i cenił swój przedmiot, wyjaśnił mówca słuchaczom reagującym śmiechem na te miłe drobiazgi z życia Wielkiego Uczonego.

Następnie w dużych skrótach naszkicował mówca losy chłopskiego syna przedzierającego się uparcie na wyżyny kultury narodowej. Przedstawił początek jego drogi naukowej, od pracy doktorskiej o Księgach Narodu i Pielgrzymstwa aż po osiemnastą z kolei książkę o znamiennym tytule: „Zawsze o Nim". Mickiewicz stanął na początku tej drogi i towarzyszył Profesorowi, stale, skupiając jego uwagę na coraz to nowych a ciekawych szczegółach swej twórczości. To Pigoń właśnie przy całym bogactwie wiedzy o Mickiewiczu zainaugurował naukowe podejście do jego dzieł.

Później nastąpił rozrost warsztatu naukowego. Profesor zwrócił się i do innych pisarzy, do tych, którzy byli doznaniem literackim jego młodości, do Fredry, Orkana, Żeromskiego, do naszych klasyków, niby to dobrze znanych, a jednak, jak się okazuje, nieznanych. Dopiero Pigoń ich ukazuje w pełni. Mocne ramię Profesora wydobywa wszystkie tajemnice ich warsztatu literackiego. Profesor sięga również, poszerzając swe horyzonty badawcze, do zagadnień literatury ludowej, bliskiej mu tożsamością chłopskiego rodowodu. Nie tylko pisze własne książki, ale kieruje pracowniami edytorskimi, z których wychodzą zbiorowe wydania dzieł

---

[197] Pedel – woźny, zwykle w odniesieniu do woźnego w zakładzie naukowym, w placówkach szkolnictwa wyższego.

klasyków polskich. Dziwi i zdumiewa, że ten olbrzymi dorobek twórczy jest dziełem jednego uczonego, a nie jakiegoś całego kombinatu uczonych.

Co w pracach i książkach Profesora uderza najbardziej? co stanowi o ich niezmiernej wartości naukowej? Nie tylko to, że Uczony umie odnaleźć fakt naukowy, ale umie go również oprawić w swoje sądy i wnioski. Oprawa to umiejętna, świadcząca o rozleglej wiedzy i rzetelności. Znamy także wszyscy Pigoniową polszczyznę, na którą składa się styl i język trochę staroświecki, obrazowy a trafny. Jest to polszczyzna soki z ziemi czerpiąca. Cała praca naukowa profesora uderza rzadko spotykaną jednolitością. Od samego początku aż do końca stanowi jedną całość; jest jak zdrowy pień, tylko słoi w nim ciągle przybywa.

Pod koniec swego pięknego przemówienia naszkicował Kazimierz Wyka sylwetkę Pigonia-Nauczyciela, który, surowy i wymagający, jest równocześnie wzorem rozsądku i życzliwości: nie pozwala zadusić żadnego ziarna, pomaga w jego wzroście. Tą drogą zdobywa szacunek i wdzięczność uczniów, niejednokrotnie późniejszych pracowników nauki. Oby ich pracy również towarzyszył stale rzetelny i uparty trud cechujący ich Nauczyciela.

Potem Nauczyciel odezwał się do swych uczniów reprezentujących trzy pokolenia polonistów: pierwsze z okresu dwudziestolecia, drugie z czasów wojny i okupacji i t rzecie, ostatnie, studiujące w Polsce Ludowej. W czarnej todze, na tle królewskich portretów Kazimierza i Jagiełły, wśród mężów znakomitych wyczarowanych pędzlem Matejki — Kopernik, Skarga, Konarski — sylwetka Profesora wydała się jakaś nikła, daleka i obca. Ale gdy przemówił, stał się znowu bliski, ten sam, co dawniej, za katedrą na Gołębiej i za biurkiem na Garbarskiej.

Stoję tu przed wami w kłopocie uczuć — wyznał na wstępie — Okoliczność taka jak dzisiejsza wzrusza, raduje, ale i smuci. Aby mówić o radości, sięgnąć mi trzeba do Kwiatków św. Franciszka. Tam znajduję przykłady radości doskonałej, bliskiej mojej radości. Co stanowi jej źródło? Praca. Możność sumiennej a ciągłej, nieprzerwanej pracy. Przed 50 laty ślubowałam służbę nauce. To, że spełniłem te śluby, że pracowałem i ciągle pracować mogę, jest moją najwyższą radością. Jak również i to, że moje ślubowanie, moje wszystkie prace, poświadczone zostały przez moją Uczelnię. Dziś chciałbym te śluby powtórzyć i chciałbym, żeby nie były próżne.

Następnie przypomniał profesor dalsze radości swego życia. Śladem Grzegorza z Sanoka przyszedł do Krakowa wyposażony w garnuszek żakowski. Przyszedł w czas niefortunny, w interregnum, ale doczekał swego profesora Ignacego Chrzanowskiego. Ten ukończył jego formowanie i jako człowieka, i jako naukowca.

On mnie radą do usług publicznych sposobił.

Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił, powtórzył Profesor za Sędzią z „Pana Tadeusza".

Znamienne było wyznanie Profesora, że na swej drodze spotykał zawsze ludzi dobrych i życzliwych. Dzięki temu doczekał rozlicznych honorów i zaszczytów. Między innymi zaszczytu rektora. — Piastowałem to samo berło, co Piotr Skarga, berło wprawdzie drewniane, z drzewa gruszy, ale rzeźbione ślicznie — mówił, wspominając życia radości. Potem zwrócił się ku smutkom. Bo symfonia życia splata się zarówno z radości jak i ze smutków.

Najbardziej zadziwia smutek pierwszy, zawarty w następującej wypowiedzi Profesora, najlepiej charakteryzującej jego osobowość: — Paliło mi się w sercu i w głowie, gdy po przysiędze doktorskiej opuszczałem tę aulę. I oto upłynęło pół wieku. Z tego, co zamierzałem, zrobiłem niedużo. Jakieś zaczęte, połamane pomysły...

Nie dokończył Profesor tej myśli, której przecie fakty przeczą.

Drugi smutek był smutkiem Nauczyciela, który przez szereg lat siał ziarno wiedzy, co nie wzeszło, zaduszone przemocą. Był wychowawcą tragicznego pokolenia młodzieży, które zagarnęła wojna.

— Olbrzymia większość tych jasnych, inteligentnych głów nie żyje — mówił Profesor z nie tajonym smutkiem — druga połowa wybrała żołnierską tułaczkę i teraz piszą do mnie z Ameryki, z Australii, z Konga. Ten dorobek siewcy — nauczyciela zmarnowany został tragedią wojny.

Dalszy smutek Profesora płynął ze wspomnienia okrutnego w dziejach nauki polskiej, wydarzenia, gdy niemiecki okupant w pierwszych dniach wojny wywiózł do obozu grono profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wielu z nich nie powróciło, śmierć znalazł także Ignacy Chrzanowski.

Może rozpamiętywanie tych smutków sprawiło, że Profesorowi wyrwały się na usta słowa o bliskim końcu jego drogi, o dojściu do kresu.

Słowa, które nie licowały z przysłowiową tężyzną Profesora, z jego wytrwałością i uporem w ciągłej, systematycznej pracy.

Z powagą i ze wzruszeniem, które udzieliło się słuchaczom, formułował Profesor słowa ostatnie, słowa pożegnania:

— Trzeba skończyć myślą o tej Matce, w której murach jesteśmy. Wypada zaś pożegnać ją mądrym słowami starożytnych: Vale in aeternum[198].

Uroczystość rozpoczęta pieśnią Gaude Mater[199] zakończyła się radosnym Gaudeamus[200]. Profesor zszedł z podwyższenia i od razu utonął w gronie przyjaciół. Zewsząd wyciągały się dłonie do uścisku i naręcza kwiatów, a nawet bukiety zbożowych kłosów. Długi szereg osób ustawił się w kolejce do Profesora, do jego ręki uśmiechu i życzliwego słowa.

We wszystkich tych wspomnieniach radości i smutków nie stało miejsca na doznania z kręgu najbliższego, z kręgu rodziny. A jednak doszło do tego mimochodem, gdy wrocławski wnuczek Profesora wygłosił dziadkowi wierszyk, w którym zabrzmiały najmilsze rymy dzieciństwa „lata" i „splata".

Oby się spełniły te „najdłuższe lata" wraz z wieńcem radości, który się w nich splata.

„Gość Niedzielny", nr 6/1965, s. 3 – 4.

198 Żegnaj na zawsze.

199 *Gaude Mater Polonia - Raduj się, matko Polsko* – polski średniowieczny hymn ku czci św. Stanisława ze Szczepanowa.

200 Gaudeamus igitur (łac. *Radujmy się więc*) – studencka pieśń hymniczna śpiewana obecnie w czasie uroczystości akademickich.

JADWIGA KUCIANKA

Wrocławska wigilia Tysiąclecia

Z miast starych a młodych zarazem nie masz chyba w Rzeczypospolitej godniejszego ponad Wrocław, by zainaugurować uroczystości jubileuszowe Tysiąclecia chrztu Polski. Miasto stare, bo piastowskie, i młode, bo z ruin powstałe i niesłychanym wysiłkiem ludzkim przez dwadzieścia lat wszczepiane w żywy organizm państwa. Miasto nad wyraz piękne, uroku pełne podczas dnia i o zmroku, gdy światła neonów wraz z wieżami kościołów odbijają się w Odrze. Szczególnie urzeka, zarówno wiewem historii jak i poezji, Tumski Ostrów. I rzec by można bez nijakiej przesady, że jak sercem Krakowa jest Wawel, tak sercem Wrocławia Ostrów Tumski. Miastu temu przypadł w udziale zaszczyt odprawienia millenistycznej wigilii. Złożyły się na nią „Uroczystości 20-lecia polskiej organizacji życia katolickiego na Ziemiach Zachodnich", jak opiewał oficjalny tytuł programu. „Poprzez 20-lecie chcemy spojrzeć na Tysiąclecie, i na odwrót, poprzez Tysiąclecie Polski patrzeć będziemy na 20-lecie odrodzonego życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych" — mówił ks. Prymas na Jubileuszowej Sesji Episkopatu Polski.

Już dwa dziesiątki lat przeminęły od dnia, gdy prymas Hlond, stojąc wśród dymiących ruin Wrocławia, układał dla tego nie istniejącego miasta i opustoszałej diecezji śmiały i jasny schemat organizacji życia katolickiego według polskiej racji stanu. Niedługo potem, na skutek jego starań przy Watykanie, nastąpił historyczny podział Ziem Odzyskanych na di ecezje Wrocławską, Opolską, Gorzowską i Warmijską.

„Zegar dziejów wybił godzinę, która na pamięć przywodzi owe w historii Kościoła radosne zdarzenia sprzed przeszło dziewięciu stuleci, kiedy to za Bolesława Chrobrego, w łączności z metropolią Gnieźnieńską powstały wśród pierwszych biskupstw polskich biskupstwa we Wrocławiu i Kołobrzegu" — jak czytamy w pierwszym liście pasterskim ks. Infułata K. Milika, administratora apostolskiego wrocławskiej diecezji. List ten, „...który, niby wici wzywające do zgodnego i czujnego zaszeregowania się na placówkach Bożych", dobrze oddaje aurę tamtych trudnych historycznych już dni. Tekst tego unikalnego dokumentu w mądrze pomyślanej oprawie plastycznej, na którą składają się kamienne relikty

zniszczonych rzeźb katedralnych wraz ze wstrząsającą „Kroniką oblężenia Wrocławia" Paula Peikerta, został udostępniony publiczności na „Wystawie dwudziestolecia dorobku duszpasterskiego Archidiecezji Wrocławskiej". Otwarciem tej wystawy w kościele św. Krzyża w dniu 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia, zainaugurowano uroczystości dwudziestolecia. Następnie, w dniach od 23 do 29 sierpnia odbył się Tydzień Wykładów osnutych wokół centralnego zagadnienia „Kościół a Ziemie Zachodnie". W archikatedrze wrocławskiej przemawiali nie tylko duchowni pracownicy nauki, ale i świeccy. Oto kilka tytułów szczególnie ciekawych referatów: „Walka Kościoła o prawa narodu do istnienia i rozwoju"; „Zasługi chrześcijaństwa dla polskości Ziem Zachodnich w XIX i XX wieku"; „Wpływ Kościoła na kształtowanie więzi społecznej na Ziemiach Zachodnich".

Całkiem słusznie część uroczystości wrocławskiego Dwudziestolecia odbyła się w Trzebnicy, w sanktuarium piastowskiej patronki archidiecezji, św. Jadwigi, gromadząc tłumy okolicznej ludności. Tam obradowała Komisja Duszpasterska Episkopatu Polski. Tam oczekiwano i witano Księdza Prymasa. Powitanie z Wrocławianami nastąpiło tego samego dnia wieczorem, na P lacu Katedralnym, gdzie przy udziale całego Episkopatu odbyła się Msza święta dziękczynna, za „Dwadzieścia lat polskiego życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich". Celebransem był Ks. Infułat Karol Milik, kaznodzieją Ks. Prymas. Uczestnikami mszalnej ofiary i słuchaczami słowa, były tłumy Wrocławian zalegające plac katedralny.

Nazajutrz, 1 września, rozpoczęły się uroczystości centralne z otwarciem Jubileuszowej Sesji Episkopatu Polski w archikatedrze. W prezbiterium za stołem prezydialnym zasiadł Ks. Prymas z gronem Komisji Głównej Episkopatu, w stallach zajęło miejsce sześćdziesięciu biskupów, w nawie głównej zaproszeni goście, duchowni i świeccy z różnych ośrodków naukowych i kulturalnych; nie brakło też zagranicznych obserwatorów z Rzymu i z Niemieckiej Republiki Federalnej. Nawy boczne zapełnili gęstą, lecz zdyscyplinowaną ciżbą Wrocławianie.

Według tekstu programu obradom Sesji przewodniczył Ks. Prymas, w istocie za stołem prezydialnym najgodniejsze miejsce zajęła Matka Boska Częstochowska, której obraz umieszczony tuż obok widoczny był ze wszystkich stron. Również widoczną była głowa św. Jana Chrzciciela,

patrona katedry, rzeźbiona w srebrze, ogólnym rysunkiem przypominająca herb miasta Mysłowic.

Gdy umilkła melodia hymnu „Gaude, Mater Polonia", wzywającego Matkę Polskę „w zacne potomstwo płodną" do radości, Ks. Prymas rozpoczął przemówienie inauguracyjne. Nawiązując do wrocławskiego Dwudziestolecia, mówił o zbliżającym się Te Deum, o zakończeniu Wielkiej Nowenny, o bliskim już Magnificat Polski. Potem sięgnął wspomnieniem w pierwsze lata okupacji, relacjonując rozmowę z ks. J. Zieją, który już wtedy, wbrew wszelkiej nadziei, wierzył, że zachodnie granice Polski przebiegną innym szlakiem, obejmując piastowskie ziemie, na których uderza nas dzisiaj ta sama co w Poznaniu, Gnieźnie i Krakowie architektura, duch ten sam i myśl ta sama — wyrażając to samo. Warto wydobywać z popiołów przeszłość — mówił — by żyć nią. Łańcuch nieprzerwany splata nas z przeszłością. Naród nie zestarzał się w ciągu dziesięciu wieków, jest młody, idzie ku przyszłości, ku jutru. Poprzez Ostrów Tumski od dawnych szlaków dziejowych skierowani jesteśmy na północ, wschód i południe, ku Polsce jutra. Supliką do świętych Piastowiczów zadomowionych we wrocławskiej diecezji Ksiądz Prymas zakończył przemówienie.

Głos przejął Ks. arcyb. Kominek, składając relację o dwudziestoleciu Kościoła na Ziemiach Zachodnich, o budowaniu duchowym i materialnym.

Kościół w swych dziejach podejmuje często budowanie od podstaw — mówił — takie budowanie podjęte też zostało na Ziemiach Zachodnich. Pomocny tu był bardzo kult św. Czesława, który przetrwał tuż obok, u dominikanów. Kościół, który towarzyszył Polsce przez tysiąc lat, tym bardziej towarzyszył nam przez te lat Dwadzieścia na Ziemiach Zachodnich. Oto wymowne cyfry: 153 dekanaty wiążą sieć parafialną, w której pracuje 3737 duszpasterzy; 5846 sióstr zakonnych nadaje piętno temu życiu. Są one chlubą Kościoła. 1630 święceń w ciągu Dwudziestolecia, obecnie 205 alumnów. Trzeba również podkreślić, że tam, gdzie potrzeba, udziela się opieki duszpasterskiej w języku niemieckim.

Wielki polski uczony, prof. Józef Kostrzewski ujął za serce słuchaczy już swoim wyglądem, pełnym dostojeństwa i powagi. Dawny Els, towarzysz prof. St. Pigonia w pracy narodowej, rozpoczął swój wykład pt. „Kościół u progu pierwszego i drugiego Tysiąclecia kultury polskiej" od wspomnienia plejady nazwisk myślicieli i społeczników: W. Lutosławskiego, K. Liberta,

J. Popławskiego, M. Konopnickiej, którzy na schyłku XIX i z początkiem XX wieku piórem i czynem pracowali dla Śląska. Wielka polska publicystyka, literatura i nauka przybliżyła te opuszczone ziemie Polsce i zainteresowała nimi cały naród. Świadectwem tego żywego, zbiorowego zainteresowania była szeroko zakrojona akcja oświatowa i efektywna działalność społeczna. Wystarczy wspomnieć pomoc żywnościową i odzieżową dla Śląska podczas klęsk głodowych, zorganizowaną przez Warszawę i inne ośrodki.

Jednakże w XIX wieku — mówił Profesor z naciskiem — nie chodziło o przyłączenie tych ziem do Polski, chodziło tylko o to, by im pomóc. Dopiero wielkie zbrodnie niemieckie wzbudziły myśli o rewindykacji ziem Zachodnich i Północnych.

Rzeczowy i ścisły tok wykładu wprowadzał słuchaczy w obręb procesów dziejowych, mocą których powstawały zręby państwa polskiego i dojrzewała wspólnota narodowa; od Mieszka, który walczył o „być albo niebyć" tych ziem, który ustalał granice arcybiskupstw i diecezji, równolegle z tym wytyczając granice osad i wsi, poprzez coraz głębszą organizację życia społecznego, ekonomicznego i religijnego w następnych wiekach, aż po epokę rozbiorów i niewoli. Kościół brał udział w tych procesach dziejowych i dawał trwałe świadectwo jedności terytorialnej.

Ostatnim mówcą na Jubileuszowej Sesji Episkopatu Polski we Wrocławiu był metropolita krakowski, arcybp K. Wojtyła. Wprowadził słuchaczy w ciekawe a rozległe zagadnienie związków ziemi Wrocławskiej i Krakowskiej. Prelegent ujął temat w dwa równoległe nurty płynące z Krakowa do Wrocławia i z Wrocławia do Krakowa, określając je jako Communio Ecclesiarum i Communio Sanctorum. Będąc na tropach Communio Ecclesiarum, łączności kościelnej, wspomniał o translacji biskupów z jednej stolicy na drugą, np. biskupa Nankiera z Krakowa do Wrocławia, o wymianie uczonych i profesorów. Wrocław dostarczał ich Krakowowi i vice versa. Kraków posyłał ich, np. biskupa Jana Kurzona, do Wrocławia. W ramach Communio Ecclesiarum mieści się także epoka Henryków, Brodatego, Pobożnego i Probusa, którzy byli książętami śląskimi i krakowskimi.

Jeszcze ciekawiej przedstawia się Communio Sanctorum, łączność poprzez świętych, pomiędzy ziemią wrocławską i krakowską. Oto kapituła krakowska zabiegała w Rzymie o kanonizację św. Jadwigi, księżnej śląskiej,

zaś kapituła wrocławska czyniła starania o kanonizację św. Stanisława, biskupa krakowskiego. Albo inny przykład: święci Odrowążowie. Jacek udaje się do Krakowa. Czesław do Wrocławia, zaś Bronisława łączy w sobie i Wrocław, i Kraków.

Po krótkim odczytaniu adresów telegramów nadeszłych z Francji, z Belgii, z Włoch, z Niemiec Zachodnich i z USA od Polonii zagranicznej z okazji Wrocławskiego Dwudziestolecia, odśpiewaniem hymnu „Boże coś Polskę" zakończono uroczystą Sesję. Dalsze obrady Episkopatu odbywały się w Seminarium Duchownym.

Następnego dnia, 2 września, odbyło się wieczorem Nabożeństwo Maryjne w kościele Najśw. Maryi Panny na Piasku. Program przewidywał konferencję poznańskiego arcybiskupa Baraniaka na temat: „Postać Prymasa Polski Kardynała Hlonda, założyciela polskiej organizacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich i czciciela Matki Boskiej" oraz kazanie Maryjne Ks. Prymasa. Centralnym punktem tego Maryjnego spotkania była intronizacja Obrazu Matki Boskiej Zwycięskiej z Mariampola wraz z uroczystym aktem oddania Archidiecezji Wrocławskiej i Ziem Zachodnich Matce Boskiej. Do okrutnie zrujnowanego podczas wojny kościoła wprowadzono nareszcie Patronkę i Gospodynię.

Nazajutrz na ulicy Katedralnej i św. Jadwigi panował zwyczajny, codzienny ruch. Tłumy odpłynęły, uroczystości minęły, jedynie koło kościoła św. Krzyża było nadal niecodziennie. Pojedynczy ludzie lub w grupach znikali w p odziemiach kościoła, gdzie znalazła pomieszczenie Wystawa dwudziestolecia dorobku duszpasterskiego Archidiecezji Wrocławskiej.

„Gość Niedzielny", nr 41/1965, s. 5 i 7.

Rok 1966

Pieśniarz z Michałkowic

W 50-lecie śmierci Daniela Szędzielorza (1836—1916)

Zimą 1908 r., późnym wieczorem, spłonęła w Michałkowicach, w zasobnej wsi pod Katowicami, jedna z chłopskich chałup. Ogień zaprószył się od lampki olejnej świecącej w dolnej izbie, gdzie żarna mełły zboże na mąkę. Przy silnym mrozie i porywistym wietrze dom, kryty słomianym dachem, płonął jak żagiew, od piwnic aż po strych. Na strychu zaś płonęła wielka, drewniana skrzynia, obita na rogach i po bokach cienką blachą cynkową. Zazwyczaj w skrzyni takiej przechowywano w śląskich domach podręczny warsztacik szewski — ale w tej skrzyni nie było ani kopyta, ani też młotka i gwoździ. Tam były skarby. Wprawdzie nie brzęczące talary, a jednak bezcenne zbiory nie wymierne złotem, ni srebrem.

Wokoło kupy zgliszcz, w gryzącym dymie, kusztykał o kiju nieduży chłopek, niemłody już, i rozpaczliwie wypatrywał czegoś pośród żarzących się szczap. Wypatrywał owej skrzyni, tusząc skrycie, iż blachą spięte drewno stawi opór płomieniom. Szukał daremnie, i tego dnia, i następnego, wraz z drugimi, gdy pogorzelisko stwardniało na mrozie. Okrutny żywioł strawił wszystko. Starzy Michałkowiczanie pamiętający ten pożar mówili, że dlatego nic się nie uratowało, bo przecież płonęły same papiery, gazety i książki.

Tak było naprawdę. Chałupa, która wówczas spłonęła w Michałkowicach, nie była zwyczajną chałupą. Była na swój sposób bezcenna, jako kawałek kultury polskiej na Śląsku. Pod jej słomianym dachem mieściła się biblioteka z ciekawym zbiorem książek i z czytelnią górnośląskich czasopism, zaś w owej skrzyni na strychu leżały we wielkim porządku zeszyty i luźne kartki zapisane równym pismem — dorobek całego życia ludowego pieśniarza z Michałkowic, Daniela Szędzielorza. Mówiono o nim zwięźle, „Daniel-poeta", a to określenie zamykało w sobie wielką, choć krótkotrwałą sławę, jaką cieszył się wśród współczesnych. Jej szczyt przypada na lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku, kiedy to w koresponden-

cjach prasowych wymieniając nazwisko Szędzielorza poprzedzano je przymiotnikiem „znany", z góry zakładając, że wszyscy o nim słyszeli: „...tego z pewnością szanowni czytelnicy znają, chociaż nie z osoby, lecz przez jego korespondencje, które nam już tak często podawał", czytamy w „Gazecie Górnośląskiej" 1884 r. Tę popularność potwierdza ks. Franciszek Ziegler, autor wspomnienia pośmiertnego: „Kim on był, wiedzą nie tylko sami Michałkowiczanie, ale też po całym obwodzie przemysłowym jest znane imię jego". Podobnie pisze Konstanty Prus, którego z poetą wiązała przyjaźń: „Szędzielorz cieszył się wielkim poważaniem, osobliwie wśród górników, w całej bliższej i dalszej okolicy". Po kilkunastu latach sława Daniela — poety przetrwała już tylko w rodzinnej wiosce, i to wśród ludzi starszych, jak o tym wspomina Michałkowiczanin, Jan Lissowski, żalący się: „Głucho jest o Danielu-poecie, choć dawniej stawiano go na równi z Ligoniem i Kołodziejem".

Swą niebywałą popularność zawdzięczał Szędzielorz licznym wierszom okolicznościowym układanym w konwencji pieśniarskiej pod znane melodie. Wiersze przyjmowały się szybko jako piosenki towarzyskie w polskich organizacjach na Śląsku. I nie tylko na Śląsku, ale także za oceanem, w stowarzyszeniach ludowych Polonii amerykańskiej, jak wolno wnosić z przedruków w tamtejszej prasie, które potwierdzają niezwykłą karierę michałkowickiego rymopisarza: nawet „kowal-rymotwórca", Juliusz Ligoń z Królewskiej Huty nie zdobył takiego rozgłosu.

Szędzielorz jest autorem blisko pół setki wierszy, tyluż, jeśli nie więcej, wypowiedzi publicystycznych, kilku dialogów oraz jednej sztuki teatralnej. Niczego nie pisał do szuflady, jak np. Jan Ligoń lub Jasionowski, wszystko od razu drukował (z wyjątkiem utworu scenicznego); drukował prawie że we wszystkich ówczesnych czasopismach śląskich: w „Zwiastunie Górnośląskim", w „Katoliku", w „Gazecie Górnośląskiej", w „Górnoślązaku" w „Głosie Ludu Górnośląskiego", w „Gwieździe Piekarskiej" i w „Kurierze Górnośląskim", oraz w prasie pozaśląskiej, np. w krakowskim „Diable". Rejestr tych tytułów okazałby się na pewno dłuższy, gdyby nie całkowite zniszczenie niektórych czasopism; z ustnej relacji wiadomo, że Szędzielorz pisywał także do „Wiarusa Katolickiego" wychodzącego w Królewskiej Hucie oraz do „Gazety Opolskiej", której wczesne roczniki nie dochowały się. Prócz tego pisywał do rozmaitych, popularnych na Śląsku kalendarzy. Jednak do powszechnej znajomości jego krakowiaków i mazurków

przyczyniły się najwięcej różnorodne wydawnictwa śpiewnikowe, propagowane przez zespoły towarzyskie, w których programowo uprawiano kult polskiej piosenki.

Szędzielorz pochodził z Michałkowic, ze starej wioski w dawnym powiecie bytomskim, gdzie już około roku 1274 wybudowano kościół. Wioska leżała w centrum przemysłu, granicząc blisko z innymi wiejskimi osadami, z Chorzowem, z Wełnowcem, z Siemianowicami i z Przełajką. Tuż za Przełajką biegła granica między zaborami, pruskim i rosyjskim, a na horyzoncie widać było Czeladź z historycznym wzgórzem św. Doroty. Dla Szędzielorza, podobnie jak dla Hajdy i Jasionowskiego, „Dorotka" była symbolem Macierzy. Kopalnie w okolicach Michałkowic należące do najstarszych w śląskim przemyśle, zatrudniały wraz z hutami cynku biedniejszą ludność rolniczą, z której dość szybko wykształcił się odrębny, samodzielny stan robotniczy. Proces ten można zaobserwować w rodzinie Szędzielorzów, gdzie jeden syn, Mikołaj, przejąwszy ojcowiznę, pozostał rolnikiem, zaś drugi, Daniel, uzyskawszy pracę w przemyśle, stał się górnikiem. Dane ze „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego" z r. 1885 wprowadzają nas szczegółowo w topografię Michałkowic.

Rodzice Daniela Szędzielorza byli jeszcze typowymi przedstawicielami wsi, chłopami. Jego ojciec, Jan Szędzielorz, zasiedziały rolnik z Michałkowic, ożenił się z Franciszką Chorzelą, pochodzącą także z chłopskiej rodziny, z pobliskich Siemianowic. Z małżeństwa tego urodziło się dwóch synów, Daniel i Mikołaj. Daniel ujrzał światło dziennie w dzień Nowego Roku, 1 stycznia 1836. W dzieciństwie, jak wszystkie wiejskie dzieci, pasał krowy i kozy na rozległych łąkach między Małą Dąbrówką a Przełajką. Naukę pobierał przez osiem lat w Michałkowicach, gdzie z dawien dawna była szkoła, „ ... która od r. 1804 mieściła się w nowo wybudowanym budynku — jak pisze Kudera — Uczęszczały do niej dzieci z Michałkowic, Bytkowa, Maciejowic, Siemianowic, Przełajki i Bańgowa, w liczbie około stu". Nauczycielami w trzyoddziałowej szkole michałkowickiej byli rektor Kaucor i ks. Stabik; Stabik, który później mianowany został inspektorem szkolnym tego okręgu, uczył według ułożonych przez siebie podręczników. W gromadzie wiejskich wyrostków Daniel niczym się specjalnie nie wyróżniał, chyba tylko oryginalnym, biblijnym imieniem mądrego proroka.

Lata szkolne Szędzielorza, tak jak i Hajdy, przypadły na lata głodu i zarazy na Górnym Śląsku. Jak notują historycy, po ulewnych, nie kończących się deszczach i powodziach, nastąpiła długotrwała posucha, zaś naturalnym następstwem tych kataklizmów był nieurodzaj, głód, a w końcu szeroko grasująca zaraza, co skosiła 50 tysięcy Ślązaków. Wonczas to — 1847–48 — społeczeństwo polskie spod innych zaborów solidarnie wspomagało polską ludność na Śląsku, w przeciwieństwie do władz pruskich, które nie tylko, że bezczynnie przyglądały się tej katastrofie, ale wręcz hamowały wszelką akcję ratowniczą w myśl zasady, że polska rasa prędzej czy później powinna wyginąć. Zaraza dotknęła swym czarnym skrzydłem i Michałkowice, gdzie między innymi pomarli oboje Płaczkowie, osierocając Maryjkę, przyszłą żonę Daniela.

Wskutek tej ciężkiej sytuacji gospodarstwo Szędzielorzów podupadło i Daniel od razu po ukończeniu nauki szkolnej, podobnie jak inni pisarze śląscy, rozpoczął pracę w górnictwie, na pobliskim „Ficinusie". Zresztą godziło się, by dojrzały i zdrowy chłopak zarabiał na swe utrzymanie i pomagał rodzicom. Tym bardziej, że gleba michałkowicka, miejscami ciężka i mokra glina, nie przysparzała bogactw. Daniel do tego stopnia zżył się z górniczym zawodem, że kiedy według postanowienia ojca miał odebrać przynależną sobie część ojcowizny i osiąść na roli, wolał zrzec się swego udziału, poprzestając jedynie na długoterminowych spłatach brata Mikołaja, który przejął gospodarstwo. Do tej decyzji przyczyniła się też nie mało bratowa, niewiasta chciwa i swarliwa, która do tego stopnia uprzykrzała życie nie wadzącemu nikomu Danielowi, iż ten opuścił rodzinny dom, osiadając kątem u obcych.

Po kilkunastu latach, około roku 1860, podobnie jak w życiorysie Hajdy, górnicza kariera nagle się zerwała: przy strzelaniu ściany zwały, węgla znienacka runęły na chwackiego rębacza. Z knapszaftowego[201] lazaretu w Siemianowicach po kilku miesiącach wyszedł kulawy i z bezwładną ręką, zaś dyrekcja kopalni przydzieliła mu pracę na powierzchni, przy wadze. Zarobek był tu lichy, ani marki na dniówkę, więc Daniel rozglądał się za lepszym zajęciem. Znalazł je w „Laura-Hucie" w Siemianowicach, gdzie pracował jego przyjaciel, Tomasz Wilk, pełniący zaszczytną funkcję śpiewaka przykościelnego w michałkowickiej „diecezji".

---

[201] Knapszaft – kasa chorych.

Z tego wczesnego okresu datuje się także serdeczna zażyłość z Piotrem Kołodziejem, siemianowickim komediopisarzem.

Z ożenkiem inwalidy nie było łatwo, nie było co się oglądać za posażną panną, to też Daniel zdecydował się na najbiedniejszą dziewczynę we wsi, sierotę Maryjkę Płaczek. Przez kilka lat ciężko harowali oboje, to w przemyśle, to znów na „pańskim" lub u bogatych siodłoków, zanim dorobili się własnego kąta na „Rzepusowym", za 400 zaoszczędzonych marek. W ostatni dzień roku 1865, 31 grudnia urodził się Danielowi pierwszy syn, którego ochrzczono Janem, bo piękna tradycja chciała, by pierworodny nosił miano dziada. W dwa lata później przyszedł na świat Antoni, później jeszcze dwie córki, Elżbieta i Maria. Elżbieta wzięła sobie za męża syna Tomasza Wilka, Henryka, i w ten sposób węzły przyjaźni, które łączyły pisarza ze śpiewakiem, umocniły w dwójnasób więzy pokrewieństwa. Ród Szędzielorzów rozrósł się w Michałkowicach, Daniel doczekał licznej gromadki wnuków, z których niektórzy, jak Julia i Paweł, żyją do dziś i z szacunkiem wspominają dziadka-poetę.

Jak wszyscy śląscy twórcy ludowi był Szędzielorz samoukiem, co zdobywał wiedzę systematyczną lekturą w Stabikowej bibliotece. „Daniel cięgiem na farze siedzieli — wspominają z niejaką dumą wnuki — i cięgiem stamtąd gazety i książki znosili", „Wraz z nim korzystał i Kołodziej z tych książek, które wielmożny ks. proboszcz nam ofiarował", jak czytamy w jednym z dialogów Szędzielorza wydrukowanym w „Zwiastunie Górnośląskim" w r. 1870. Stamtąd dowiadujemy się również o akcji oświatowej i propagandowej ks. Stabika na rzecz „Zwiastuna Górnośląskiego", pierwszego polskiego pisma na Górnym Śląsku od Wiosny Ludów, z którym proboszcz michałkowicki ściśle współpracował i do którego wciągnął potem i Szędzielorza. Słusznie więc pisze Szramek o Stabiku; „Jak słońce wiosenne wywabia kwiaty z grudki ziemi, tak on budził wśród ludu talenta z uśpiewania. Daniel Szędzielorz z Michałkowic i Piotr Kołodziej z Siemianowic, to najwybitniejsi literaci ludowi z jego szkoły".

Pierwszy wiersz Szędzielorza wydrukowany w r. 1869, „Do Redaktora Zwiastuna", to tekst wprawdzie jeszcze nie „najwybitniejszy", ale godny uwagi jako pochwała polskiego pisma, słowa drukowanego; pochwała, którą pieśniarz tyle razy będzie głosił, ile razy pojawiać się będzie nowa gazeta na Śląsku. A równocześnie ten wierszyk sprzed blisko stu laty jest dokumentem historycznym, bo ukazuje śląskie społeczeństwo w pierwszym

zetknięciu się z falą kulturkampfu, podczas którego dojrzewała i hartowała się postawa ludu.

Właściwa praca kulturalna rozpoczęła się w Michałkowicach dopiero w ramach polskiego stowarzyszenia, którego głównym organizatorem stał się Szędzielorz, popularny już wtedy jako wioskowy rymotwórca na jubileuszach, weselach i radośnikach, oraz z pierwszych drukowanych wypowiedzi poetyckich w „Zwiastunie", „Katoliku" i w „Gazecie Górnośląskiej". W czerwcu 1882 r. założył Szędzielorz wraz z towa-rzyszami „Kółko Polskie" w Michałkowicach na wzór nowopowstałego Związku Chrześcijańsko-Ludowego w Siemianowicach. Ale zanim jeszcze Kółko zostało prawnie ukonstytuowane, rozleciało się na skutek gorliwości lokalnych władz niemieckich, które spowodowały nagłą rewizję polityczną w mieszkaniu ks. Wańdziocha, sprawującego patronat nad organizującym się stowarzyszeniem. Donosiła o tym „Gazeta Górnośląska": w Michałkowicach odbyła policja dn. 9 lipca w południe w mieszkaniu ks. wikariusza Wańdziocha rewizję na rozkaz sądu okręgowego w Katowicach, śledząc za gazetami, mianowicie za pismami w językach słowiańskich. Zabrano wszystkie pisma nawet kilka egzemplarzy wychodzącego w Hali pisma „Natur" (.-.) Jak wielu przypuszcza, do rewizji przyczyniło się pewno to, że ks. Wańdzioch był prezesem nowozałożonego Kółka". Metoda zastraszenia zastosowana przez pruskie władze poskutkowała połowicznie, gdyż michałkowiccy zapaleńcy odstąpili wprawdzie od indywidualnych zamiarów organizacyjnych, a przynajmniej dyplomatycznie je zataili, ale w zamian za to przystąpili gremialnie do Związku w Siemianowicach, kierując się radą podaną w „Gazecie Górnośląskiej": „Kilku miało tu chęć założenia Kółka, gdy tymczasem sprawa ta została odłożona na później. Członkowie tutejsi mając pod ręką Siemianowice powinni dokładać wszelkich sił i starań, aby założony tamże Związek utrzymać i podpierać. Z czasem do tego i tu przyjść może, lecz obecnie o tym wcale nie myślimy".

Istniała wprawdzie w Michałkowicach od stycznia 1882 r. Czytelnia Ludowa, którą założył Paweł Pierszala i którą reklamował w pismach, ale Czytelnia się nie przyjęła. Dlaczego? Wyjaśnia to korespondencja przewodniczącego michałkowickiej gminy, Jadwiszczoka, opublikowana w „Katoliku", w marcu tegoż roku: „...w naszych Michałkowicach kilkadziesiąt egzemplarzy „Katolika" biorą, którego i ja od początku aż do teraz czytam, a oprócz tego czytają i inne pisma katolickie; bo my czytamy

tylko takie pisma i książki, które nam są przez naszych czcigodnych księży z ambony zalecane. Gdyby ta czytelnia także była z ambony zalecona, to byśmy się także do niej garnęli".

W Związku Siemianowickim Szędziolorz wraz z Kołodziejem zajęli się przede wszystkim zorganizowaniem sceny amatorskiej, która w pobliskiej Królewskiej Hucie istniała już od r. 1870. Prócz tego Szędziolorz przyjął urząd rymopisarza Towarzystwa, do którego funkcji należało rymowanie zaproszeń i sprawozdań teatralnych oraz upamiętnienie wierszem co uroczystszych spotkań organizacyjnych. Na jedno z takich spotkań opisanych wierszem, przybył ks. red. Przyniczyński, wygłaszając pogadankę dla 16 wiarusów i udzielając instrukcji reżyserskich amatorom sceny.

Wielce się cieszył Związek Chrześcijański
Nowozałożony w gminie siemianowski.
Że go odwiedziły czcigodne osoby.
By oceniały nasze pierwsze próby,
W których się ćwiczą członki Związku tego.
Chcąc odegrać sztukę teatru pierwszego,
Na który to siły swoje poświęcają.
Gdyż w języku polskim serca ich pałają. (...)

Na „sztukę teatru pierwszego" serc pałających polskością złożyły się dwa utwory sceniczne, „Błogosławieństwo Matki" K. Miarki i „Słowiczek" W. Bełzy. Szędziolorz zrymował i zapowiedź spektaklu i sprawozdanie z niego. Potem posypały się następne przedstawienia, w ciągu jednego półrocza przygotowano aż osiem sztuk. Związek liczył już 190 członków, a Szędziolorz należał do czołówki, jak o tym świadczy publiczna pochwała w prasie: „...ten nam się bardzo przysługuje dla dobra Związku naszego, bo raz po raz nam jaką nową piosenkę ułoży, lub do którejś z gazet o Związku naszym jaki wierszyk napisze". Terminowanie przy Związku Siemianowickim trwało klika miesięcy, zaś w rok od nieudanej próby założenia własnej organizacji poczęto się na nowo wokół tego krzątać, wzywając ku pomocy ks. red. Fr. Przyniczeńskiego, który ogłaszał w „Gazecie Górnośląskiej": „Bracia! jeżeli sobie życzycie gdzieś mieć Kółko, Czytelnię i t.p., z chęcią przybędę i takowe założę". Do Michałkowic przybył Przyniczyński latem 1883 r. dwukrotnie, aby dobrze wypenetrować teren

pod polską organizację. Szędziolorz witał go wierszowanymi oracjami jako tego, co „Otworzył źródło dla ludu oświaty".

Na zebraniu zapadła uchwała, aby nowe stowarzyszenie nazwać „Szkółką". Ta nazwa jednakże się nie przyjęła, uchwalono inną, bardziej poetycką, podsuniętą przez Szędzielorza, pt. Gwiazda Michałkowska. Dzięki patronatowi red. Przyniczyńskiego, który konferował z amtowym, Gwiazda została uznana przez władze i rozpoczęła swe istnienie. Długo oczekiwane i przygotowane wydarzenie opisał Szędzielorz rymami.

Gwiazda Michałkowska rozpoczęła swoją działalność społeczną, kulturalną i narodową na tej samej płaszczyźnie i w tej samej formie, co inne podobne stowarzyszenia w okolicy: akcję oświatową propagowała poprzez bibliotekę i odczyty, akcję kulturalną poprzez scenę amatorską i kult polskiej pieśni, wraz z tańcem narodowym. O wszystkim na bieżąco donosiła prasa zasilana korespondencjami Szędzielorza. Zabiegi wokół zorganizowania własnego zespołu teatralnego, który miał przed całą okolicą poświadczyć o żywotności Gwiazdy, poczyniono z początkiem r. 1884. Zakupiono ze składek członkowskich „binę teatralną", przez którą należy rozumieć całe wyposażenie sceny amatorskiej, podium wraz z budką suflerską, kurtyną, kulisami i innymi drobniejszymi rekwizytami. Wydatek nie lada, ale nie mogło być inaczej, skoro wszystkie znaczniejsze towarzystwa w okolicy, Kółko Polskie w Królewskiej Hucie, Związek w Siemianowicach i Związek w Rozdzieniu, posiadały podobny sprzęt. W niedzielę 24 lutego 1884 r. odbyła się inauguracja sezonu teatralnego w Michałkowicach. Wystawiono dwie komedyjki Kołodzieja, „Bogatą wdowę" i „Pana fabrykanta mioteł". Szędzielorz zapraszał na tę premierę tymi słowy: „Często się nas pytają: jakoż ta Gwiazda w Michałkowicach świeci? dobrze? — na to daję odpowiedź: przybądźcie jak najliczniej w niedzielę 24 lutego na salę do p. Blocha, a zobaczycie światło naszej Gwiazdy. Światło Gwiazdy Michałkowickiej w tym roku zabłysło z desek scenicznych jeszcze kilka razy. Po raz drugi podczas świąt wielkanocnych, gdy odegrano „Wycużnika" Kołodzieja i „Stawkę" Miarki. „Teatr wypadł dobrze, lecz dochodu spodziewano się większego" — donosił krótko recenzent w prasie. Dochód z kasy teatralnej był sprawą pilną, gdyż członkowie Gwiazdy zamówili w Poznaniu u Szpetkowskiego chorągiew za 300 marek. Poświęcenie miało nastąpić w rocznicę założenia towarzystwa.

W reportażu z tej ludowej zabawy, która gromadziła tłumy żądne kulturalnej i polskiej rozrywki, czytamy: „ ... Pląsy, tańce i różne gry, a w końcu sztuczne ognie na zielonej murawie, wypadły ku zadowoleniu wszystkich. W końcu wesoły i ochoczy taniec, który się przeciągnął dość długo, zadowolnił lubowników tegoż do reszty. Nadmienić wypada, że do tej uciechy i zabawy wielce przyczynili się; ks. Przyniczyński, kilku panów z Bytomia, stowarzyszenie z Siemianowic przybyłe ze swą chorągwią, członkowie stowarzyszenia z Dębu, członkowie Jutrzenki z Łagiewnik, członkowie Zorzy z Wielkiej Dąbrówki, p. Nowak, reprezentant Czytelni w Bobrku itp.”. Ukoronowaniem imprezy było powtórzenie zimowego spektaklu, „Pana fabrykanta mioteł”. Szerokim echem odbiła się ta zabawa w całej okolicy, o czym świadczy między innymi wypowiedź korespondenta z Łagiewnik, którego najbardziej zdumiał gremialny udział rolników michałkowickich występujących w strojach narodowych.

Na następny z kolei spektakl zespołu amatorskiego Gwiazdy, zapowiedziany znowu wierszami Szędzielorza, złożyły się dwie sztuki: „Dziesięć tysięcy marek” Kołodzieja i „Błażek opętany” Anczyca. W sumie młody zespół michalkowicki przygotował w ciągu jednego półrocza sześć sztuk, w tym cztery Piotra Kołodzieja. Latem tego roku 1884 urządziło jeszcze towarzystwo koncert muzyki popularnej w s iemianowickim „Pszczelniku”, na który przybyły także okoliczne organizacje, a na październik zapowiedziano nową premierę, „Wójta oszukanego” Szędzielorza. Komedyjka „Wójt oszukany, czyli kara za pychę” była niewątpliwie dużym osiągnięciem artystycznym pisarza, który się nią szczycił, jak to wynika z rymowanych zapowiedzi teatralnych. Ten trudny gatunek literacki był w szczególnym poszanowaniu wśród Górnoślązaków zarażonych w swej masie wirusem teatru, dlatego też samorodni twórcy tak często próbowali swoich sił na tym polu. Szędzielorza komedyjka, nigdzie nie drukowana, była znana wyłącznie z ręcznych odpisów zespołu amatorskiego; jej zasadniczą osnowę możemy jednakże wyprowadzić z prasowej zapowiedzi przedstawienia.

Nie wiadomo, czy autor sięgnął jeszcze raz do formy dramatu; nic na to nie wskazuje. Trzeba raczej sądzić, że pozostał przy publicystyce i przy wierszach, które były naprawdę lubiane. Autor nie tylko, że drukował je w prasie, ale również deklamował na zebraniach towarzyskich w części rozrywkowej. Wspomina o tym Prus oraz ks. Ziegler, który był przez kilka lat

wikarym w Michałkowicach. Jemu także zawdzięczamy żywy portret Daniela — poety, tym cenniejszy, że nie zachowała się żadna fotografia. „Był robotnikiem małego wzrostu i chromał na jedną nogę. Ale w tej małej i skromnej postaci mieszkał nadzwyczajny duch. Gdy po poważnej mowie ks. prezesa na zgromadzeniach robotników parafii michałkowickiej Daniel Szędzielorz zaczął przemawiać złotym humorem, jeszcze na stołku stojąc, aby go wszyscy mogli widzieć, przyszło niejednemu na myśl, że temu chłopakowi małemu a z takim rozumem i dowcipem, nie darmo imię mądrego Daniela dano. Tak też dopomogła siła Daniela Szędzielorza niemało do tego, że robotnikom ówczesnym podobało się we związku, który liczył w krótkim czasie przeszło 400 członków".

Wciągnięcie w szeregi organizacji polskiej w zaborze pruskim tak wielkiej liczby członków, choćby tylko na jakiś okres, na pewno nie było rzeczą łatwą i nie było skutkiem osobistego czaru i „złotego humoru", ale efektem wytrwałej pracy oświatowej — choćby tylko funkcji bibliotekarza, sprawowanej systematycznie przez kilkanaście lat. Tak jak bibliotekę Kółka w Królewskiej Hucie zasilił Fr. Chłapowski, tak ks. Stabik dał początek michałkowickiemu księgozbiorowi. Wynika to z wypowiedzi drukowanych Szędzielorza, oraz z późniejszych relacji, że książki z plebanii często trafiały do szafy bibliotecznej Towarzystwa. Krótko przed śmiercią wezwał ks. Stabik Szędzielorza do siebie — scenę tę zapamiętali żyjący Szędzielorzowie z opowieści dziadka — pożegnał się z nim serdecznie i pytał, jaką by chciał po nim pamiątkę. Pytanie było retoryczne, bo Stabik dobrze wiedział, że pisarzowi śmieją się oczy ku szafom z książkami. Otrzymał sporą ich część w darze i zrobił z nich dobry użytek, wypożyczając je w ramach organizacji. Z biegiem lat michałkowicka organizacja zmieniała swoje nazwy, ale księgozbiór trwał. Gdy Gwiazda po długim czasie kulturalnego promieniowania zgasła, w jej miejsce powstało w r. 1892 Towarzystwo Alojzjanów. Gdy i ono przestało istnieć z rozkazu Kurii Wrocławskiej, Szędzielorz trwał na stanowisku bibliotekarza bez odmiany do roku 1894. Dopiero wtedy ustąpił tego miejsca swemu synowi, Janowi. Obserwujemy tu pewne zjawisko dziedziczności zawodu bibliotekarza, nie tylko w tym wypadku, ale również w wypadku Ligoniów, gdzie Jan po ojcu Juliuszu został bibliotekarzem w Kółku Towarzyskim. Gdy w latach późniejszych życie organizacyjne, otamowane zewsząd germanizacyjnymi ustawami, płynęło powolnym nurtem grożąc zamarciem, Szędzielorz

w trosce o księgozbiór przeniósł go do własnego domu, gdzie w jednej z izb urządził bibliotekę publiczną a nawet czytelnię czasopism, które leżały rozłożone na szerokim stole. Z biblioteki korzystali nie tylko Michałkowiczanie, ale nawet ludzie z Siemianowic, Bankowa i Przełajki.

Ks. Ziegler w swym wspomnieniu o poecie wystawił także świadectwo jego muzie: „Dany też był Szędzielorzowi w wysokim stopniu dar poetycki. Kwiaty jego poezji nie mają nic sztucznego, lecz podobne są one, jak to prostemu robotnikowi przystoi, polnym kwiatom, bo były naturalne, śliczne. Gdziekolwiek się miała odprawić jaka uroczystość, czy to w Związku, czy w parafii, czy w rodzinie. Danielowi nie było trudno ułożyć kilka wierszy i nimi uprzyjemnić uroczystość. We wierszach tych objawia całą piękną duszę swą".

Słowa księdza wikarego znajdują potwierdzenie w drukowanych tekstach. Wszystkie one przynależą do poezji służebnej, nastawionej na aktualny użytek, na pilną potrzebę, bądź to ku rozrywce, bądź ku pouczeniu.

Start pisarski Szędzielorza nastąpił w r. 1869 w „Zwiastunie Górnośląskim", gdzie ukazały się trzy jego wiersze, jeden dialog, kilka korespondencji i tyleż rozwiązań zagadek; jak wszyscy śląscy pisarze pasjonował się odkrywaniem historycznej lub literackiej niewiadomej, pogłębiając w ten sposób swoją wiedzę a równocześnie dając jej publiczne świadectwo, nieraz w gronie osób wykształconych nauczycieli i duchownych. W „Zwiastunie" zasygnalizował Szędzielorz swoje pisarskie możliwości i nadał im kierunek, którego trzymał się do końca: służba oświacie ludowej, celem podniesienia etyki i wyrobienia politycznego. Występował zawsze jako prawy obywatel i moralizator, obojętne, czy pod postacią poety, kronikarza, czy też publicysty. Gdyby całą jego schedę poetycką podzielić według ukazywanych zagadnień, uzyskalibyśmy kilka zasadniczych grup: wiersze oświatowe, społeczne, religijne, obyczajowe i górnicze. Wiersze oświatowe wysuwają się na plan pierwszy: Szędzielorz rozpoczął od pochwały prasy we wierszu „Do Redaktora »Zwiastuna«", następnie witał „Katolika", potem „Gazetę Górnośląską", zaś najładniejsze strofki dedykował „Głosowi Ludu Górnośląskiego", wychodzącemu w Królewskiej Hucie pod redakcją Br. Koraszewskiego:

Jako słoneczka pierwsze ranne zorze,
Budzą nas ze snu — my opuścim łoże,
Tak też to pismo do was się odzywa:

Wstańcie, Rodacy, polski „Głos” was wzywa!
Z początkiem roku już tego nowego,
Ujrzycie promyk pisemka polskiego.
Bracia Rodacy! Światłości potrzeba,
By mieć byt dobry i dostatek chleba.
Jeśli zaś kiedy, to szczególnie teraz,
Polskim czytaniem człek ożyje nieraz. (...)

O zainteresowaniach tematyką oświatową i o jej gwałtownej potrzebie w społeczeństwie najdobitniej świadczy ilość wierszy poświęconych temu zagadnieniu. U Szędzielorza ciągle napotykamy na apele reklamujące polską prasę na Śląsku i wzywające do ofiarności na rzecz polskich wydawnictw.

Równie liczna jest grupa wierszy społeczno-religijnych, w k tórych dominuje troska o zachowanie wiary i etyki katolickiej zagrożonej Kulturkampfem. Często stosowane określenia: wiara ojców i obyczaj ojców, mówią o tym samym i oznaczają to samo: konieczność utrzymania starych tradycji i starych kryteriów moralności, nie tyle jednak w obawie o poziom moralności indywidualnej, co grupowej, dotyczącej całego środowiska. Z tą tematyką łączą się organicznie utwory skierowane przeciw pijaństwu i rozrzutności i nakazujące pracowity, oszczędny, solidny styl życia. W związku z plagą pijaństwa dochodzi także do głosu ważny problem utrzymania ojcowizny. Szędzielorz nie darował nawet nowej modzie, występując ostro przeciw kobietom, które „siebie i dzieci z pańska przystrajały”, gardząc starą, szacowną odzieżą chłopską. Najpierw nowa moda zakorzeniła się u bogatych, w pałacach i dworach, potem trafiła i pod wiejskie strzechy, gdzie dotąd panował niepodzielnie stary ład.

Jednakże nie te wiersze przyniosły mu szeroką wziętość, lecz piosenki układane na nutę krakowiaka i mazura. Weszły one w stały repertuar pieśni towarzystw śląskich a teksty ich rozpowszechniły się i zachowały w rozmaitych wydawnictwach śpiewnikowych, często anonimowo. Tu przypomnijmy trzy najpopularniejsze piosenki: „Krakowiaka”, „Kwaternicę piekielną” i „Stacha nieuka”, przy czym pamiętać trzeba, że teksty te przekazują mnóstwo rysów obyczajowych podpatrzonych w śląskiej społeczności. „Krakowiak”, który trafił do gazet polonijnych w Ameryce, zewnętrznie nawiązuje do znanej piosenki ludowej, z tym, że śląski autor sześć zwrotek pierwowzoru pomnożył trzykrotnie, przydając

własną, oryginalną treść. Być może, że jest to jego własny portret, zważywszy, że górnik- poeta, przeszedłszy na emeryturę, został znowu po trosze chłopem, któremu dzięki zapobiegliwości żony i dzieci niezgorzej się wiodło. „Kwaternicę" włączył Adolf Ligoń do komedyjki przez siebie opracowanej „Śmierć za życia", przyczyniając się w ten sposób do jej popularności. Śpiewano ją na melodię „Mazura" „Piękna nasza Polska cała". Pod ten sam wzorzec kompozycyjny ułożył Szędzielorz „Stacha nieuka", lekki, miły dla ucha wiersz, nasycony kpiną i satyrą na lenistwo i próżniactwo.

Nie chciał chodzić Stach do szkoły.
Bo niemiła mu nauka,
Nie dla niego te mozoły,
Więc rzemiosła sobie szuka, (...)
Chciałby zostać Stach stolarzem,
Lecz od hebla ręce bolą,
Może byłby kominiarzem,
Ale sadze twarz tak smolą.
Radby zostać Stach młynarzem,
Lecz wór z mąką suknie bieli,
Mógłby zostać i piekarzem,
Lecz trza w nocy wstać z pościeli. (...)
Stach próżnując wciąż się włóczy,
Ubiegał się za rzemiosłem,
Lecz żadnego się nie uczył
I na zawsze został osłem!

Nie da się ukryć, że autor tego wierszyka, tych kilkunastu migawkowych, na zasadzie kontrastu złożonych obrazków różnych rzemiosł, doszedł wcale daleko w rzemiośle poetyckim. Tu także wspomnieć wypadnie o wierszach górniczych, z których kilka cieszyło się sławą lubianych piosenek: „Górnik", „Śpiew górników", „Do górników" i „W dzień św. Barbary".

Spośród śpiewniczków, w których znalazły się teksty Szędzielorza, na szczególną uwagę zasługują dwa, zredagowane przy jego współudziale: „Pieśni Towarzyskie. Zebrało Towarzystwo Katolickich Robotników parafii Michałkowickiej" z r. 1896 oraz śpiewnik wydany dziesięć lat później, w r. 1906, pt.: „Pieśni Towarzyskie. Zebrało Towarzystwo Katolickich

Robotników z Wełnowca i Bytkowa". Pierwsza książeczka zachowała się w rodzinie Szędzielorzów, druga u alojzjanina Balucha na Wełnowcu. Niezmiernie cenny jest także „Kalendarz Ludowy Ilustrowany na rok 1889, opracowany przez Górnoślązaków", czyli przez trzech pisarzy samorodnych: Juliusza Ligonia, Daniela Szędzielorza i Piotra Kołodzieja. W kalendarzu tym, którym od r azu zainteresowały się władze pruskie i doprowadziły do jego konfiskaty, zamieścił Szędzielorz cztery wiersze, nigdzie dotąd nie publikowane. Najciekawszy z nich i najdłuższy, pt. „Ks. Antoni Stabik, proboszcz michałkowski", przedstawia jeden z odcinków działalności społecznej tego popularnego na Śląsku duchownego, mianowicie jego kampanię antyalkoholową, prowadzoną wspólnie z innymi księżmi.

W pomoc mu przybyli potężni rycerze,
I stoczyli walkę, lecz ich tylko czterze;
Na czele stanął, chorągiew rozwija,
Alojzy Fiecek, maleńki księżyna,
A z nim na czele mąż dobrego mienia:
Dzielny ksiądz Szafranek, proboszcz z Bytomia,
Z księdzem Markiefką, z boguckim farażem,
I zaczęli walkę z owym smokiem razem.

Wiersz płynie swobodnie epickim tokiem, którym Szędzielorz — kronikarz często się posługiwał. Utwory kronikarskie, na których treść składają się rozmaite mniejsze i większe wydarzenia lokalne z zasięgu parafii i organizacji, ciekawią nas ze względu na wizerunek środowiska i epoki, jeszcze nie tak odległej, bo żyli w niej nasi dziadkowie i rodzice, a jednak tak różnej od współczesnej nam. Szędzielorz prozą i wierszem opisuje zakładanie towarzystw, poświęcanie kaplic i kościołów, figur i chorągwi, przedstawia odejścia i przyjścia duszpasterzy: żegna ks. prezesa Wandziocha, wita ks. Rothera, cieszy się prymicjami Walentego Ciopalskiego z Michałkowic, pamięta o wszystkich jubileuszach kościoła parafialnego i jego proboszcza, ks. Stabika, oraz o papieskich i biskupich rocznicach włodarzenia. W tej religijno-społecznej mieszance okolicznościowej uchwycone zostały na gorąco formy i wydarzenia z dziejów kultury masowej, często rozrywkowej, które w określonym czasie pasjonowały wszystkich, zatrudniając ręce i umysły: ćwiczono chóralne pieśni, układano

teksty oracji i napisów na bramy, stawiano bramy i przygotowywano banderie[202], chorągwie, pochodnie, lampiony i sztuczne ognie.

Sądząc powierzchownie, można by mniemać, że Szędzielorz był tylko kronikarzem swej wioski, Michałkowic. Ale ponieważ takich wiosek, o podobnym układzie społecznym i tym samym rytmie życia było na Śląsku znacznie więcej, pisarstwo Szędzielorza urasta do rangi dokumentu historycznego przekazującego wiedzę o pewnej epoce. Epoce interesującej jak wszystkie inne z dziejów państw i narodów, gdzie życie, otamowane rozporządzeniami zaborczego rządu, płynie nurtem tajemnym, podskórnym, a mimo to płodnym narodowo i politycznie w przebiegu dalszych wypadków. W wypadku Śląska ostatecznym rezultatem tego łańcucha rozwojowego były śląskie powstania. Szędzielorz już ich nie doczekał. Zmarł jak większość pisarzy ludowych na progu niepodległości, do której oni wszyscy tęsknili. Wspomnienie pośmiertne ks. Fr. Zieglera ukazało się w „Katoliku", który tyle razy drukował Szędzielorzowe rymy.

J. K.

Źródła. Materiały publikowane w prasie śląskiej; Fr. Ziegler: Daniel Szędzielorz (Wspomnienie pośmiertne), „Katolik" 1916, dod. do nr 25; J. Lissowski: Zapommany Daniel-poeta, „Powstaniec" 1938, nr 41; Relacje żyjących, głównie wnuczek pisarza, Julii Szędzielorz (ur. 1897) i Agnieszki Gałęziowskiej z d. Wilk (ur. 1912).

„Gość Niedzielny", nr 37/1966, s. 5; nr 38/1966, s. 2; nr 39/1966, s. 6; nr 40/1966, s. 4; nr 41/1966, s. 7.

Rok 1967

Szczegół do biografii ks. Norberta Bonczyka

1967 roku minęła 130 rocznica urodzin ks. Norberta Bonczyka (1837-1893), bytomskiego proboszcza, autora „Starego kościoła miechowskiego" i „Góry chełmskiej", a także założyciela młodzieżowej organizacji polskiej, znanej pod nazwą Towarzystwa Alojzjanów. Życie i twórczość Bonczyka

[202] Banderia – orszak konny asystujący uroczystemu pochodowi.

posłużyły już do wielu mniejszych i większych opracowań, począwszy od dwóch pionierskich monografii ks. Jana Kudery i ks. Emila Szramka, które ukazały się w r. 1918, w dwudziestą piątą rocznicę śmierci poety. Tu odkryjemy jeden drobny, lecz nie znany szczegół, dotyczący stosunków pomiędzy nim, a najstarszym ludowym pieśniarzem górnośląskim, Juliuszem Ligoniem (1823-1889).

Szczegół ów zaczerpnięty został z zachowanych listów Ligonia, pisanych do najmłodszego syna Rudolfa, ożenionego z siostrzenicą ks. Bonczyka, Marią Buskówną z Królewskiej Huty. Gdy w r. 1887 obchodził bytomski proboszcz srebrny jubileusz kapłaństwa, poeta-kowal uczcił go rymami, składającymi się aż na trzy odrębne wiersze. Czytamy o tym w liście datowanym z Królewskiej Huty dnia 16 lipca 1887 r.

„Na Jubileuszu ks. Proboszcza Bontzyka byłem. W kościele było najprzód polskie, potem niemieckie kazanie, poczem solenne nabożeństwo a po nim Te Deum, w końcu Jubilat przemówił po polsku i po niemiecku.

Po południu był w ogrodzie koncert, byłem tam ze starzykiem i krewnymi przy stole, ksiądz też przyszedł i dziękował mi za »Życzliwość«, którą mu przesłałem, piękną, na pięknym papierze. Napisałem też ks. Przyniczyńskiemu do »Opiekuna«, którego ci w opasce posłałem, i członkom Towarzystwa św. Alojzego, co ci załączam, gdyż o to mię prosili; a pomimo, że napisałem każde odmiennie, ksiądz poznał i powiedział mi: »Wszyscy poszli po rozum do Ligonia«".

Tak więc mamy trzy utwory – „Życzliwość", przesłaną przez autora osobiście, następnie wiersz zamieszczony w „Opiekunie Katolickim" (1887-1894) wydawanym przez ks. Przyniczyńskiego w Bytomiu, oraz powinszowanie złożone przez Towarzystwo bytomskich Alojzjanów — a z tych trzech tekstów, jak dotad, tylko jeden jest znany, mianowicie ostatni, przekazany przez Alojzjanów. Został on wydrukowany w wydawnictwie „Katolik" sumptem członków Towarzystwa, jako osobna i ozdobna ulotka, której egzemplarz zachował się w archiwum rodzinnym Ligoniów (prócz tego zachowała się także jego rękopiśmienna kopia, sporządzona przez Alojzjanina, Feliksa Musiolika, (por. „Zaranie Śląskie" 1962, z 3, s. 623).

Tekst wiersza zatytułowanego „Przewielebnemu IMC[203] ks. Proboszczowi Norbertowi Bontzekowi na 25 -letni jubileusz kapłaństwa, składają z miłości i wdzięczności członkowie Towarzystwa św. Alojzego", ułożony jest w formie logogryfu[204], a gr aficznie w kształcie krzyża i zaopatrzony datą „W Bytomiu 4 lipca 1887", bez podpisu autora. Poeci ludowi, nie tylko śląscy, lubowali się w układaniu rymowanych logogryfów, czego świadectwem publikacje w ówczesnej prasie. A oto tekst Ligoniowego logogryfu jubileuszowego, zawierającego nazwisko jubilata: .

Pan Bóg udzielił dożyć dnia z łaski swej
Jubileuszu Proboszcza naszego.
Niech On Rzewnie Brzmi
Echem Radości Tej
Jaka dziś pała w sercach z nas każdego,
Dla Przewielebnego Ojca Duchownego.
Przyjm, nasz Pasterzu, członków Alojzego
Szczerą życzliwość, jaka
Z serca wychodzi,
Bóg Ojciec Niech Tu Zawsze dnia Każdego
W tych pracach dla nas
Niebem wynagrodzi.

J. KUCIANKA

„Gość Niedzielny", nr 53/1967, s. 3.

---

203 IMC – skrót nazwy zgromadzenia zakonnego: Instytut Misyjny Najświętszej Maryi Panny Pocieszycielki.

204 Logogryf – zagadka literowa lub sylabowa, w której po ustawieniu ich we właściwej kolejności otrzymuje się rozwiązanie.

Rok 1968

Stuletnia rocznica „Zwiastuna Górnośląskiego”

W 1868 r. w Wydawnictwie Dzieł Katolickich w Piekarach, w dniu 31 stycznia, ukazał się pierwszy numer polskiego pisma ludowego nazwanego „Zwiastunem Górnośląskim”. Tytuł „Zwiastun” był dobrze obmyślony, gdyż tygodnik zwiastował — po długim czasie posuchy prasowej — polskie słowo na Górnym Śląsku.

Od „Dziennika Górnośląskiego”, wydawanego w okresie Wiosny Ludów w Piekarach, potem w Bytomiu, i od „Tygodnika Mariańskiego” ks. A. Fiecka mijało dwadzieścia lat. Wprawdzie nie była to absolutna izolacja od pr asy polskiej, bowiem w tym samym czasie docierał tu np. chełmiński „Przyjaciel Ludu” i „Gwiazdka Cieszyńska”, ale rodzimej, bliskiej gazety nie stało.

Tę dotkliwą lukę wypełnił najpierw „Zwiastun Górnośląski”, w rok później w 1869. „Katolik” a w kilka lat potem „Gazeta Górnośląska”. „Zwiastun” wychodził przez cztery lata, od 1868 do 1871 r., i bez względu na taką czy inną linię ideową, krytycznie podnoszoną przez badaczy, zapoczątkował ciągły rozwój polskiej prasy na Śląsku.

Począł wychodzić w Piekarach, w miejscowości o tradycjach drukarskich, o której na jego właśnie łamach pisał ks. N. Bończyk: „Czym jest Lipsk dla całych Niemiec, tym są Niemieckie Piekary dla górnośląskiego ludu polskiego: też bowiem dostarczają ostatniemu prawie wszystkich książek, do nabożeństwa i innych...” Miejsce nie tylko ze względów technicznych dobrze było obrane, ale także ze względów emocjonalnych, zważywszy, że przedstawiało „Loretto górnośląskie”, posługując się znowu określeniem Bończyka.

Myśl założenia polskiego pisma z wyraźnym przeznaczeniem dla mas ludowych na Śląsku, posługujących się językiem polskim jako macierzystym, wyszła pośrednio z środowiska kurialnego we Wrocławiu, a bezpośrednio od pyskowickiego dziekana, późniejszego biskupa wrocławskiego Adriana Włodarskiego, który jej realizację zlecił dwom ludziom: drukarzowi Teodorowi Heneczkowi i proboszczowi piekarskiemu oraz

dziekanowi, ks. Bernardowi Purkopowi. Pierwszy słynął z niebywałej przedsiębiorczości, drugi, jako książęco-biskupi komisarz odznaczał się rozwagą, umiarem i szeroką orientacją w zakresie aktualnej problematyki kościelnej. Program pisma podany w pierwszym numerze ujęty został w kilku punktach, precyzujących w hieratycznej kolejności przyszłą zawartość tygodnika:

„1. Artykuły dotyczące się Kościoła rzymsko-katolickiego.
2. Przegląd spraw politycznych, krajowych i zagranicznych.
3. Wiadomości gospodarskie, industryjne, astronomiczne i różne należące do domowych potrzeb, na koniec literatura, kronika i prywatne doniesienia".

Założenia jasne, na pierwszy plan wysuwające problematykę religijną i ściśle kościelną. Zastanawia tylko, dlaczego zostały tak stenograficznie sformułowane a równocześnie pozbawione tradycyjnego w tym wypadku artykułu wstępnego od Redakcji. Otóż odpowiedź: dokładny program pisma przedstawił Prospekt wydawniczy rozesłany pomiędzy przyszłych odbiorców, głównie duchowieństwo, i chociaż Prospekt ów jest niedostępny, zasadnicze założenia programowe są nam znane: red. Purkop przypomniał je w „Powtórnej odezwie do przewiel. duchowieństwa", zamieszczonej w numerze 11 „Zwiastuna" pod koniec pierwszego kwartału. Przynaglony nie najlepszą sytuacją finansową pisma, na nowo przedkładał jego wzniosłe zadania, chcąc w ten sposób zmobilizować duchowieństwo do mecenatu nad nim.

Jak wynika z t ekstu „Powtórnej odezwy", „Zwiastun" miał być organem kościelnym o charakterze dydaktycznym, wprowadzającym w arkana aktualnej polityki i sytuacji na świecie. Przy czym zakładał po stronie czytelników nie bierną postawę, lecz aktywną, nawet bojową: „Już czas ze snu się obudzić. Teraz powinno być hasłem: walczyć a walczyć ciągle. A »Zwiastun« ma być przedstawicielem tej nieustającej walki między ludem", — jak czytamy w innym miejscu. W każdym razie oręż podniesiony przeciwko prądom liberalizmu wiejącym poprzez Europę rychło okazał się koniecznym w bliższej potrzebie, mianowicie w walce z Kulturkampfem, zagrażającym nie tylko sprawie kościelnej, ale i narodowej.

O sprawach narodowych nie mogło być mowy w założeniach programowych pisma choćby ze względu na warunki polityczne i społeczne na Pruskim Śląsku. Na takie założenia otwarcie głoszone nie pozwoliły

sobie nawet późniejsze, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych powstające tygodniki — pewnie i z tego powodu, że nie dysponowały one odpowiednimi funduszami, które wystarczyłyby na nieuniknione a długotrwałe procesy prasowe i grzywny sądowe. Sądząc jednak z przyjęcia, z jakim „Zwiastun" spotkał się na Śląsku, stwierdzić należy, że uznano go niedwuznacznie za pismo p o l s k i e . A fakt ten równocześnie z drugiej strony określa stopień pewnej orientacji politycznej czytelników, którzy prawidłowo ocenili sprawy języka polskiego, jego funkcję, stawiając je na płaszczyźnie spraw ściśle narodowych.

Już w trzecim numerze redakcja ogłosiła trzy wypowiedzi na powitanie „Zwiastuna". Wyszły one z trzech środowisk, wręcz symbolicznych a w ybitnie reprezentatywnych dla układu społecznego na ziemi śląskiej, mianowicie ze środowiska nauczycielskiego, z grona duchownych oraz ze środowiska ludowego. Wypowiedź Karola Miarki reprezentuje środowisko nauczycielskie, wypowiedź akademików-teologów zrzeszonych w towarzystwie Polskich Górnoślązaków we Wrocławiu reprezentuje środowisko księży, zaś Juliusz Ligoń, kowal-rymotwórca, jako autor trzeciej wypowiedzi, to najbardziej powołany przedstawiciel ludu śląskiego. Powyższe trzy wypowiedzi faktycznie reprezentują głosy na powitanie pisma, gdyż wywołał je sam prospekt wydawniczy, zapowiadający ukazanie się tygodnika.

Korespondencja Miarki „Z powiatu pszczyńskiego" oraz korespondencja akademików wrocławskich znajdują się na pierwszej stronie numeru, natomiast list Ligonia — petitem na stronie ostatniej. Dziś oczywiście z pewnej perspektywy możnaby zgłosić zastrzeżenia co do zastosowanej przez redakcję kolejności druku, ale nie ulega wątpliwości, że byłoby znacznie gorzej, gdyby wypowiedź kowala w ogóle nie została ogłoszona. Ba, redakcja zdawała sobie nawet sprawę z ważności tej wypowiedzi, o czym świadczy nota. w jaką ją zaopatrzyła: „Jaki postęp i chęć czytania pism dla ludu jest na Śląsku, okazuje list od zacnego Ślązaka, który redakcja otrzymała; takowy umieszczamy dla zbudowania i zachęcenia".

W ślad za teologami śląskimi z Wrocławia pośpieszyli z powitaniem polskiego tygodnika śląscy teologowie z Ołumuńca, których piękny list wcale patriotyczny, datowany w niedzielę mięsopustną 1868 r., znalazł się w 10 numerze „Zwiastuna" z dnia 13 marca.

Do stałych współpracowników „Zwiastuna”, zasilających pismo wierszami, artykułami bądź też korespondencjami należeli: na pierwszym miejscu Karol Miarka, następnie księża, Bernard Purkop z Piekar, Norbert Bończyk z Bytomia, Antoni Stabik z Michałkowic, Antoni Sobota z Starych Reptów, P. Łukaszczyk z Królewskiej Huty oraz alumni, Augustyn Świątek i E. Szulczyk, a spoza Górnego Śląska ks. Matuszyński z Cieszyńskiego, ks. Jan Nepomucen Pawłowski z Granowa w Poznańskim, ks. Porawski z Leszna i ks. M. Smoleński. Równie liczne było grono współpracownikow-nauczycieli, by wymienić najważniejszych: Filipa Robote z Prudnika, Raska z Marklowic, Ottona Parczyka z Pstrążnej i Jana Dirbacha z powiatu oleskiego. Szczególnie interesująco przedstawia się grono pisarzy ludowych wśród których najznamienitszy to Juliusz Ligoń, autor kilku wierszy i kilku cennych Korespondencji z Zawadzkiego, Daniel Szędzielorz górnik z Michałkowic, który właśnie w „Zwiastunie” debiutuje, oraz kilkunastu innych rymopisarzy, próbujących swych sił w wierszowanych rozwiązaniach zagadek. Widzimy tu Wawrzyńca Hajdę, górnika z Piekar, Wilhelma Sterra, maszynistę z Szarleja, Wawrzyńca Walczucha, górnika z Rudy i Alberta Zioba, kowala z Łagiewnik. Uwagę przyciąga także nazwisko Antoniego Flaka, robotnika ze Starego Chorzowa, który swoje korespondencje i artykuły drukował już w chełmińskim „Przyjacielu Ludu".

Miarka dzięki wrodzonej żyłce dziennikarskiej i dzięki rzutkiej postawie jako redaktor, a przede wszystkim dzięki doskonałej znajomości terenu i ludzi, dla których pismo było przeznaczone, w krótkim stosunkowo czasie wydobył je z początkowego impasu, zyskując dlań stały i wierny krąg odbiorczy, jak na owe czasy wcale duży, a przy tym wykazujący wybitne tendencje zwyżkowe. Nie trudno to wykazać przy pomocy kilku cyfr: przy założeniu nakład pisma wynosił około 500 egzemplarzy, po upływie roku nakład wzrósł w dwójnasób zaś w szczytowym okresie rozwoju osiągnął cyfrę 3.000 egzemplarzy. Jeszcze plastyczniej przebieg tej linii rozwojowej można przedstawić na przykładzie jednej miejscowości, choćby Królewskiej Huty, która, jak się okazało, była oczkiem w głowie redaktora i gdzie Przewielebne Duchowieństwo, to najwięksi dobrodzieje i protektorowie „Zwiastuna”, jak przyznawał Miarka, dziękując za „wspaniałą troskliwość i staranność” o parafian. W 3 numerze „Zwiastuna” doniesiono, że w Królewskiej Hucie 33 górników „zapisało sobie” tygodnik, po upływie kwartału liczba abonentów wzrosła sześciokrotnie, osiągając cyfrę 180 odbiorców

głównie dzięki inicjatywie tamtejszego wikarego, ks. Józefa Michalskiego, jak o tym informowała redakcja. Po roku, w styczniu 1869, do Królewskiej Huty docierało 256 egzemplarzy pisma, czyli cyfra wyjściowa wzrosła prawie ośmiokrotnie. Już nie tak wysokie liczby wypadnie zanotować przy innych miejscowościach, ale i z nimi warto się zapoznać, aby w ten sposób określić najściślejszy i najintensywniejszy krąg odbiorców „Zwiastuna", którego ośrodkiem są Piekary, Bytom i Królewska Huta, a więc przemysłowe centrum Śląska. Chorzów Stary liczył 55 abonentów, Bytom ponad 40, Radzionków 30, Gliwice 36, Łabędy 37, Repty 30, Michałkowice 26, Siemianowice 56, Bogucice kilkudziesięciu abonentów, Lędziny 31 i Zawadzkie około 10. Oczywiście trzeba i o tym pamiętać, że cyfra abonentów nie jest równoznaczna z cyfrą faktycznych czytelników pisma; tę osiągnęlibyśmy chyba pomnażając cyfrę abonentów conajmniej przez pięć. Do takiej hipotezy upoważniałyby niektóre spostrzeżenia Ligonia czynione w Zawadzkim.

J.K.

„Gość Niedzielny", nr 35/1968, s. 3 i 6.

❋ ❋ ❋

Rydel na Śląsku

(W pięćdziesięciolecie śmierci)

Wielu sławnych, a także i mniej sławnych pisarzy polskich z różnych epok literackich, z oświecenia, z romantyzmu, z pozytywizmu i z okresu Młodej Polski interesowało się Śląskiem, dając wyraz swoim zainteresowaniom bądź to piórem, bądź też żywą działalnością społeczną, polityczną lub kulturalną. Niektórzy z nich trafiali na Śląsk przypadkowo, tranzytem, podczas podróży na zachód lub południe Europy — często byli to powstańcy i zesłańcy — inni przyjeżdżali celowo, by na miejscu sprawdzić, porównać i poszerzyć swoją wiedzę o „Starej Polsce" oderwanej od Macierzy. Jeszcze inni zaświadczyli swą obecność na Śląsku w pismach poświęconych zarówno przeszłości jak i teraźniejszości tej ziemi. Ale byli i tacy, co przetrwali wśród Ślązaków wyłącznie w utworach, które znalazły

tu szeroki i natychmiastowy oddźwięk, często na scenie amatorskiej lub też w pieśni zaangażowanej patriotycznie.

Warto przypomnieć choć kilka najbardziej błyszczących nazwisk spośród tych, którzy stanowią poszczególne ogniwa związków Śląska z Polską. Oto pierwszy z nich. Franciszek Karpiński, autor sielanek i pieśni religijnych. Przejeżdżał w 1769 r. przez Cieszyńskie, portretując przygodnie, choć wiekuiście chłopa, który go pouczył, że nie mówi się Oderberg lecz Bogumin. Ale trwale pozostał wśród Ślązaków, rozmiłowanych w śpiewie, dzięki pieśniom z kancjonałów — Kiedy ranne wstają zorze, Bóg się rodzi — oraz ze śpiewników towarzyskich, gdzie występuje „Laura i Filon".

W następnych latach zetknęli się z ziemią śląską i opisali ją w swych dziełach trzej luminarze oświecenia: Stanisław Staszic, Hugo Kołłątaj i Julian Ursyn Niemcewicz. Ten ostatni wręcz pasjonujące podał relacje z trasy podróży w r. 1821, wiodącej m. in. przez Tarnowskie Góry i Gliwice. I tak w Starych Tarnowicach był na nabożeństwie i słuchał polskiego kazania, podziwiając „czystość języka w każącym", a potem, szukając dalszych pamiątek polskości, poszedł na cmentarz gdzie odnalazł grób jakiegoś mieszczanina nazwiskiem Szpaczek. Natomiast nazwiska parafian śląskich obyczajem umieszczane na tabliczkach w ławkach kościelnych choć rdzennie polskie, wykazywały już ślady zniemczenia. Podobnie frapujących szczegółów dostarcza Wincenty Pol ze swojej wycieczki na Śląsk w r. 1847. Uzupełnia je znakomicie Kraszewski, wojażujący kilkakrotnie przez śląską ziemię. A związał się z nią wielorakimi więzami, z których najtrwalsze i najżywsze stanowi obfita korespondencja śląska. Nawet oślepły górnik z Piekar, Wawrzyniec Hajda, nawiązał w r. 1880 listowny kontakt z autorem „Starej baśni". Słowacki dwukrotnie był we Wrocławiu, lecz zajęty górniejszymi regionami — regionu śląskiego nie odkrywał. Dopiero znowu poetyckie pióro Marii Konopnickiej, współpracującej z „Gwiazdką Cieszyńską", uzupełniło tę lukę. Nieoceniona „Gwiazdka Cieszyńska", co lat dziewięćdziesiąt świeciła nad tym krajem! Ona to właśnie, obok innych pism śląskich, jest skarbnicą wiedzy o rozległych i rozmaitych kontaktach literackich i kulturalnych Śląska z Polską. Z jej szpalt raz po raz wybiegają ku nam świetne nazwiska, także młodopolskich pisarzy, jak np. Wyspiańskiego, Kasprowicza oraz twórcy „Betlejem polskiego", Lucjana Rydla.

W tym roku mija pięćdziesiąta rocznica jego śmierci, i jak każda wielka rocznica — tym bardziej że chodzi o autora dobrze znanego ze sceny śląskiej — i ta skłania do rozważań. Temat tych rozważań przypadkowo podsunęła żyjąca w Bronowicach siostra poety, Anna Rydlówna, pisząca w swym liście do „Tygodnika Powszechnego" (1968/30): „Często był Rydel zapraszany na Śląsk przez organizacje patriotyczne i wyjeżdżał tam z odczytami, mającymi na celu utrzymanie polskości tej dzielnicy". Zaś w liście do autorki niniejszych rozważań siostra znakomitego pisarza komunikowała: „Przypominam sobie również, że był przed kilku laty w Bronowicach ks. proboszcz Franciszek Trombala, dawny słuchacz wykładów mego brata na Śląsku". (List z 13. VIII. 68). Spróbujmy pójść śladami tych przekazów, by zobaczyć poetę i dramatopisarza w roli działacza oświatowego i pedagoga. Pierwszej dokumentacji dostarcza „Gwiazdka Cieszyńska", gdzie z początkiem czerwca 1905 roku zamieszczono odezwę Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, zapowiadającą wakacyjny kurs uniwersytecki w Cieszynie. Wśród prelegentów widzimy dra Lucjana Rydla z Krakowa, który zgłosił następujący temat: „Odrodzenie w Polsce. Czasy Zygmuntów i Batorego pod względem kulturalno-cywilizacyjnym, społeczno-politycznym, religijnym, filozoficznym". Na wyczerpanie materiału autor przewidywał cztery godziny wykładu. Odbyły się one w sierpniu, jak wynika z dalszych relacji prasowych, i chociaż „Gwiazdka" nie podaje, jaka była frekwencja, na podstawie sprawozdań z poprzedniego kursu można by ustalić, że liczba słuchaczy dochodziła do dwóch setek. (Na pierwszym tego rodzaju kursie uniwersyteckim w r. 1904 jednym z prelegentów był Jan Kasprowicz, omawiający twórczość Adama Mickiewicza, przy udziale 177 słuchaczy).

O tym, jak się prezentował utalentowany dramatopisarz za profesorską katedrą, pamiętają dotąd jego słuchacze. Oto wspomnienia jednego z nich, ks. Franciszka Trombali z Karwiny, obecnego proboszcza w Gliwicach: „Mówił z wielką swadą, ze znawstwem przedmiotu, ilustrował wyjątkami z pism. I co najważniejsze, że nie padał przed nimi (pisarzami) plackiem, lecz podchodził do całokształtu zagadnienia ich twórczości bardzo rzeczowo, nie szczędząc także krytyki". (List z 31. VIII. 68).

Ks. Trombala opisuje późniejszy kolejny przyjazd Rydla do Cieszyna, który miał miejsce podczas ferii w 1911 roku, kiedy to sam autor wspomnień

był po siódmej gimnazjalnej, „z całkiem przyzwoitym wąsikiem, podkręcanym ustawicznie, by się podobać cieszyńskim podlotkom”. Oto jego relacja.

„W lipcu onegoż roku (1911) młody profesor gimnazjum cieszyńskiego Engelbert Kermel (zmarł na suchoty 1916 r.) sprowadził na spółkę z kolegą swym gimnazjalnym ks. Emanuelem Grimem, Lucjana Rydla z wykładami o Młodej Polsce. Wykłady odbywały się w małej salce w Domu Narodowym i były bojkotowane przez protestantów, ponieważ poeta nie krył się ze swymi katolickimi przekonaniami. Krytycznie odniósł się do części utworów Przybyszewskiego i Kasprowicza, pozytywnie do Żeromskiego, entuzjastycznie do przyjaciela, Wyspiańskiego. On właśnie podsunął nam, przyszłym ośmioklasistom gimnazjalnym — kolegom Musiołowi, Wojnarowi i mnie — byśmy się pokusili na wystawienie po maturze „Wesela” na des kach sceny Domu Narodowego w Cieszynie, cośmy też uskutecznili we wrześniu 1912 r. Byłem bałamutem Racheli, poetą Przerwą Tetmajerem. Gościli bardzo Rydla wówczas profesorowie Kermel, Galicz i Zych, którzy spowodowali poprzednio wystawienie jego smutnego dramatu „Na zawsze”.

Warto tu dodać, że z owym dramatem wystąpiła już w r. 1909 w Gruszowie trupa amatorska bogumińsko - dąbrowska, którą „Dziennik Cieszyński” nazywa „znakomitą”. Natomiast do repertuaru frysztackiego kółka amatorskiego należało „Zaczarowane koło”, stosunkowo najpopularniejsze na Śląsku spośród innych sztuk Rydla; bowiem znano tu jeszcze ze sceny amatorskiej „Bodenhain” oraz „Z dobrego serca”.

I na zakończenie tych rozważań jeszcze jeden cytat z listu cieszyńskiego słuchacza prelekcji Lucjana Rydla: „Poeta, aczkolwiek sytuowany bardzo skromnie, nie przyjął ofiarowanego mu honorarium, lecz przeznaczył je na potrzeby Macierzy Szkolnej”.

Gdy chodzi o teren górnośląski, należałoby tu wspomnieć jedną z wczesnych inscenizacji „Zaczarowanego Koła”, z którą w 1910 r. wystąpiło w Katowicach towarzystwo „Czytelnia dla Kobiet”, bardzo ruchliwe i zasłużone w zakresie sceny amatorskiej.

(Źródła: Gwiazdka Cieszyńska 1905, nr 23, 32, 33, Dziennik Cieszyński 1906 nr 118, 1909 nr 60, 1911 nr 51, nr 223 , i dalsze roczniki; Głos Ziemi Cieszyńskiej 1958 nr 41; Listy Anny Rydlówny i ks. prob. Trombali).

J.K.

„Gość Niedzielny", nr 51/1968, s. 6.

❋ ❋ ❋

„Bliskiej mi Ziemi Śląskiej..."

Pamięci profesora Stanisława Pigonia

Powyższe słowa, wyjęte są z dedykacji, którą Stanisław Pigoń wpisał wrocławskiemu Arcybiskupowi w swoją ostatnią książkę „Z przędziwa pamięci". Dedykacja, będąca pięknym i zaszczytnym dla śląskiego regionu wyznaniem, nosi datę 10 grudnia 1968 roku. W niewiele dni potem jej Autor już nie żył; zmarł tydzień przed Bożym Narodzeniem, w środę 18 grudnia, o godzinie 18, w Krakowie przy alejach Słowackiego 52. W piątek trumnę jego przewieziono do kościoła akademickiego św. Anny, gdzie stała do następnego dnia, jak to jest w zwyczaju, gdy umiera miejscowy duszpasterz; jako wychowawca kilku pokoleń studentów polskiej filologii niechybnie zasłużył sobie na to niezwyczajne wyróżnienie. Tam też, w sobotę 21 grudnia, odprawił krakowski Kardynał[205] nabożeństwo żałobne żegnając Profesora w imieniu rodziny, kolegów i wychowanków, on sam, także wychowanek, nie mniej niż inni dotknięty tą śmiercią i bezradny wobec niej, jak to podkreślił w przemówieniu. Po nabożeństwie wszyscy uczestnicy pogrzebu spotkali się znowu u bramy rakowickiego cmentarza. Nad grobem, według życzenia Profesora nie było stadnych przemówień.

Zmarł przy pracy, przy biurku, na którym został arkusz papieru do połowy zapisany drobnym, równym pismem. Konspekt artykułu? repliki? do „Pamiętnika Literackiego", czy do „Ruchu Literackiego", gdzie Profesor w ciągu ostatnich miesięcy występował kilkakrotnie, zdumiewając wnikliwością wywodu, jak np. w studium o III części „Dziadów", ciętością repliki, jak w sporze z K. Górskim o „święcone gody", i właściwym sobie humorem,

[205] Chodzi o kardynała Karola Wojtyłę.

jak w artykule o Fredrze, „Co tu kłopotu z tą Ciotunią". Zwykło się mówić, że śmierć wyrywa pióro w pół słowa, tu, musiała poczekać, aż myśl jasna, precyzyjna wyłoni się w pełnym zdaniu zakończonym kropką. W ostatnich latach kilka razy zaglądała do tego pokoju i wobec zwartego w sobie, upartego, żelaznego pracownika jakby traciła celność uderzenia i wycofywała się. Na krótko i niedaleko. Profesor wiedział o tym i pamiętał, skoro w listach określał siebie jako „człowieka odchodzącego", pisząc: „boć czas mi przecież nie długi", albo „jadę już nie na pełnym biegu, ale jakoś się trzymam. Jak długo?" Naglił też, jak ktoś kierujący się innym kalendarzem: „nie wypadnie czekać długo — Wszak prawda?" albo: „nie przeciągać sprawy, odrabiać zadanie szybko". Zwłoki nie cierpiał. Pewnie dlatego, że niczego nie odkładał, co ważne i pilne, przygotował się też wcześniej na godne Święta, przyjmując z rąk przyjaciela jezuity w dniu Matki Boskiej Loretańskiej posiłek, który miał się okazać wiatykiem.

Na biurku profesora, doręczona przez jedną z uczennic, stoi strojna choinka, której radosna, wigilijna funkcja nie będzie w tym roku spełniona. Daremne są także wszystkie owe świąteczne życzenia, których adresaci dzielą się ze swoim Nauczycielem opłatkiem; aby wyrazić sprzeciw wobec tej daremności, córka Profesora ułamuje drobinkę i kładzie ją w ojcowskie palce splecione na krzyżu. W klapę marynarki wpięto jedno tylko odznaczenie wydobyte z pudełka, gdzie pośród innych leży także krzyż Virtuti Militari przewiązany sznurkiem z obozowym numerem, odznaczenie, które Profesor cenił sobie najwyżej, z którego był dumny, jak sam mawiał — Złotą Odznakę Bratniej Pomocy, przyznaną Kuratorowi za długoletnią, jakże skuteczną opiekę nad studencką bracią. Opieki tej sięgającej w mrok okupacji, szczególnie rozwiniętej w pierwszych latach powojennych, doznało wielu, w rozmaitych formach; kartkuję w dzienniczku z tamtych lat i czytam, że podczas ostrej zimy, w lutym 1947 roku, gdy w Akademiku przestano palić z braku węgla, Profesor zabiegał o opał. Równocześnie, aby doraźnie zapobiec biedzie, postarał się o to, że w naszej bibliotece seminaryjnej na Gołębiej, solidnie opalonej, można było przebywać do godziny 22.

Profesor interweniował, nie raz, nie dwa i nie tylko w sprawach chleba, opału, przydziału unrowskich paczek, mieszkań akademickich, stypendiów. Służył „bratnią pomocą" braci studenckiej i wtedy, gdy chodziło o biedy znacznie dotkliwsze, o wewnętrzne tarapaty familijne, sercowe lub

światopoglądowe. Uważał to bowiem za swój obowiązek nauczyciela i wychowawcy: „Miałem ambicję, żeby przysług takich bliźnim, a przede wszystkich mym uczniom nie skąpić" — pisał w liście z lipca 1962 r. A w innym miejscu: „Dla człowieka odchodzącego pociechą jest, że jakąś drobną monetę zostawia w skarbcu ludzkiej pamięci. W stopie metalu, z którego się tę monetę wybija, nie najmniejszym składnikiem staje się ta odrobina przysługi, jaką człowiek za życia mógł drugim wyświadczyć". Świadczył więc dobro do końca swoich dni, nie pamiętając na tak częstą, niemal zwyczajową ludzką niewdzięczność: „łatwo byłoby mi przymieszać tu goryczy, wspominając niejeden wypadek, kiedy tej przysługi dość cynicznie nadużywano lub odpłacono dotkliwą niewdzięcznością. Ale pamięć o tym zduszam w sobie i wymazuję".

W listach tych, które jak wszystkie tego rodzaju formy wypowiedzi cenne są dla swej bezpośredniości, szczerości i niezamierzonej literackości, a które prócz tego najdłużej — a może zawsze — zachowują drobinki życia, rytm serca i ciepło rąk piszącego, przedłużając jakoby jego żywą obecność wśród nas, stale przewija się temat śląski. Tak się bowiem ułożyło życie Profesora, że ziemia śląska stała mu się bliską; poznał ją na początku swej drogi naukowej, w latach 1912—1914, i wrócił do niej na końcowym odcinku tej drogi, znaczonym trzykrotnym pobytem w Katowicach: w roku 1963 z okazji Zjazdu Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, potem jesienią 1965 roku i wiosną 1966, obligowany pracą naukową z dziedziny śląskiego pisarstwa ludowego, która powstała z jego zamysłu. Katowickie spotkania miały miejsce po upływie półwiecza.

W uroczej książce „Z Komborni w świat", której żywot notabene wcale interesujący — z jednej strony cztery wydania, z drugiej „zamrożenie i przykry areszt" jak donosił Profesor w 1952 r. — opisane zostało spotkanie z Śląskiem. Z Śląskiem pruskim, pod zaborem. Z Śląskiem górników i robotników zagarniętych szlachetną i głęboką nauką Wincentego Lutosławskiego, tajnie głoszoną w kołach Eleusis.

„Zjeżdżało się najczęściej do J. Wiechuty w Zaborzu, który wyszedłszy z górników uniezależnił się i prowadził własną piekarnię. Zebrania bywały już to u niego, już też u innych, czasami dość daleko mieszkających członków. Mieliśmy bowiem członków w Zabrzu, Rudzie, Rybniku, Bielszowicach i w in nych miejscowościach. Zbrodziłem wtedy szmat Śląska, poznałem sporo ludzi miejscowych, szarych szeregowców

polskości. Byli między nimi wspaniali szermierze, Ślązacy zarówno jak i Ślązaczki".

Niektórzy z nich dotąd żyją i wspominają Profesora, np. Franciszek Wiechuła z Piotrowic i Józef Gołąbek z Mysłowic, zaś najznamienitszy z nich, Maksymilian Basista z Rybnika, zmarł niedawno. Profesor pięknie ich wszystkich sportretował, Kulpoków, Fojtów, Rybarzów, Wycisków, Sołtysów, Przybyłów i Janasów, jakże odmiennych od zwyczajnych zjadaczy chleba i niewolników grosza! „Wyszedłszy z szychty", zaledwie obmywszy się, schodzili się młodzi i starsi, częstokroć już mocno leciwi górnicy, posłuchać polskiego słowa i poezji. Czytaliśmy im wieszczów, to znów ustępy z dziejów Polski, objaśniając w miarę możności. U większości tych ludzi uderzał mnie zawsze jakiś głęboki, wrodzony pociąg do mistycyzmu; nigdzie w środowisku ludowym nie spotkałem tego rysu w stopniu tak wysokim. Rozprawy o naturze Boskiej, o preegzystencji, o życiu pośmiertnym, także o zjawiskach spirytystycznych, gotowi byli ludzie ci prości prowadzić do późnej nocy bez znużenia".

Znalazł się tu także żywy portrecik Ślązaczki, wprawdzie anonimowej, ale stanowiącej dzięki trafnie podpatrzonym rysom wizerunek wszystkich ówczesnych kobiet śląskich, nie mniej niż ich mężowie zaangażowanych w sprawy narodowe.

„Pamiętam jedną. Zaszedłem do niej wcześnie za dnia, kiedy mąż był jeszcze na robocie. Nie znała mię oczywiście.

— Na jaki też kościół zbierają? — zapytała, wziąwszy mię najwyraźniej za księdza, czy braciszka, co winienem naturalnie swej nieodstępnej pelerynie. Gdyśmy się już porozumieli, jęła mi opowiadać o warunkach miejscowych życia i pracy narodowej. Zdumiony byłem mocą świadomości i zaciętym uporem narodowym tej prostej, sękatej kobieciny".

W innym miejscu Profesor wspomina zbiorowe pielgrzymki śląskie do Krakowa i Częstochowy, wspomina też przygodę w Mysłowicach, bardzo podobną do tej, którą miał w tym miasteczku w roku 1863, a więc pół wieku przedtem, J. I. Kraszewski.

„Jechało się na taką wyprawę śląską zawsze z ryzykiem: trzeba było przemycić przed oczyma strażników granicznych spore częstokroć paczki druków (śpiewniki narodowe, broszury polityczne). Czasem się to udawało. Peleryna i tutaj oddawała usługi nieocenione. Często-gęsto jednakże emisariusz wpadał; transport niszczono, a winowajca musiał co najmniej

przespać jedną noc na pryczy więziennej w Mysłowicach, zanim go odstawiono z powrotem do granicy austriackiej. Trzeba go było na jakiś czas zastąpić innym. Wypraw samych nie można było zaprzestać, zwłaszcza gdyśmy zaczęli wydawać pismo, na czytelników śląskich i westfalskich przede wszystkim obliczone, gdyśmy wznowili miesięcznik ludowy „Iskrę".

Przy tej właśnie „Iskrze", szukając autorów i współpracowników, spotkał się Profesor z Heleną Dulowską, przyszłą Profesorową Pigoniową, którą także zagarnęła praca narodowa na Śląsku.

Do tych śląskich drukowanych wspomnień dorzućmy tu jedno nie ogłoszone dotąd, skierowane do śląskich naukowców i studentów polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach w r. 1966.

„Pamiętam, przed pięćdziesięciu paru laty, jako młody student zajeżdżałem w te strony zapraszany i gościnnie przyjmowany przez górników. Zdarzyło mi się, że rankiem musiałem ze Świętochłowic przejechać kawał drogi tramwajem. Wozy nabite były górnikami dojeżdżającymi do miejsc pracy. W wozie zagadywałem do tego, to owego po polsku. Orientowali się, żem nie swojak. Odbąkiwali mi pól słówkami. Na stacji końcowej wysiadłem, a ze mną kilku pasażerów. Gdyśmy już byli na ulicy bez tłumu, jeden z nich mi powiada: — „No, to oni są ale odważny! Tu u nas to nie godzi się w wozach rozmawiać po polsku". Nie powiedział: nie wolno, ale: nie godzi się; uważał taką mowę za niewłaściwa, nie za nieostrożną. Tak już tu ciążył ten zakaz. Polskość kryła się, ledwie dyszała pod uciskiem. Człowiek ubrany po inteligencku i rozmawiający publicznie po polsku był osobliwością. (...) Otóż w takich to warunkach dokonał się radosny dziw obudzenia się narodowego. Dziś tutaj nie godzi się mówić inaczej niż po polsku; jesteśmy we własnym domu. Dzisiaj możemy dzieje tej przebudzonej narodowości badać naukowo; dzisiaj możemy stwierdzić, że jej tylowiekowe przyduszenie było przykryte pozorami. Polskość ludu śląskiego jest plenna i pod wrogim naporem trwała od wieków.

Tu się otwiera wasze zadanie, młodzi koledzy poloniści: wydobywać na jaw jej przez tyle czasu trwałą żywotność! Świadectw znajdziecie niemało: w obyczajach, w pojęciach, w obrzędach, w pieśniach. Tylko ich szukać i umieć na nie należycie spojrzeć. (...) A któż inny ma ich szukać, ma je odsłonić i wskazać. Jeżeli nie poloniści, poloniści tutejszego regionu. Twórczość ludowa, rdzenna, plemienna, jak złota żyła przechodzi spodem całej ziemi polskiej, nie omija ziemi śląskiej".

Odczyt zakończony tak wyraźnym apelem pod adresem przyszłych śląskich historyków literatury nie dziwi w ustach Autora „Literatury ludowej" i „Wyboru pisarzy ludowych". I ten właśnie moment, by „odsłonić obszar pisarstwa samorodnego, wyrastającego samorzutnie na śląskich niskich rozłogach chłopskich i robotniczych", pisarstwa, które jest „oczywistym, niezaprzeczalnym przejawem zadeptywanej, a przecież budzącej się do życia świadomości narodowej, świadectwem żywiołowego wołania wysyłanego ku Polsce", ten moment podnosił Profesor stale: już wtedy, gdy w roku 1947 przydzielał w swoim seminarium magisterskim prace o ludowych pisarzach śląskich i potem, gdy z nietajonym zainteresowaniem i życzliwością śledził dalsze badania w tym kierunku. Często się spierał, w trosce o pełnię i trafność ustaleń, argumentując swoim charakterys-tycznym obrazowym językiem: „Kryterium takie to jak kopyto na but: nie to dobre, przy którym but ładnie wygląda, ale to, przy którym jest wygodny", pisał w liście z 1953 r., przeciwstawiając się dotychczasowym ocenom śląskiego piśmiennictwa. „Rzecz główna jest w tym, żeby pisarz ludowy wyrażał swój stan społeczny; wtedy jest pełnowartościowym pisarzem-wyrazicielem". Zżymał się na tych, co zdradzili swój stan, utracili przyrodzony charakter, nie zdobywając w zamian innego, a przy tym lekką aluzją sięgał czasów współczesnych: nie znosił bowiem fałszu i obłudy.

Ukazywał ciągle nowe tematy, które należało podjąć, dokumentujące więzy Śląska z Polską: śląskie pielgrzymki do Krakowa i Częstochowy; polskie podróże po Śląsku; wspólne podłoże pieśni ludowej. Ostatni temat szczególnie go pasjonował, stąd stale do niego wracał: „Stwierdzić, że w pieśni ludowej nie było kordonu między Polakami z Rzeczypospolitej a ze Śląska. Te same śpiewano na Litwie, co i na Śląsku. Kolczaste druty zaborców szły swoją drogą, a pod nimi rosła niwa tych samych kwiatów i wiatry swobodnie przenosiły ich nasionka tu i tam".

Sygnalizował szczegóły pominięte a godne uwagi, np. odezwę Konopnickiej o dzieciach uwięzionych Elsów śląskich lub korespondencję Orkana i Morcinka. Jeszcze ostatni list z dnia 11 grudnia 1968 r., a więc tydzień przed śmiercią, przynosi taką właśnie wiadomość, świadczącą o ciągłych zainteresowaniach Śląskiem, w trosce o właściwe ukazanie „życia umysłowego i narodowego Ślązaków-górników". Z okazji 700-lecia św. Jadwigi, księżnej Śląska, podsuwał myśl nowego hagiograficznego ujęcia, w oparciu o prace źródłowe z ostatnich czasów.

Składam troskliwie listy Profesora, fotografie i wycinki z gazet, zamykam dzienniczek z lat krakowskich studiów. Przeglądam jeszcze kartki tegorocznego diariusza poświęcone Profesorowi. Przeżycia z dnia 19 grudnia, z ostatniej „rozmowy" z Panem Profesorem, zamykają zdania: „Obok w pokoju, najbliżsi. Profesorowa pisze nekrolog. — Skąd to jej opanowanie, które mocniej wzrusza i bardziej ściska serce niż płacz? — Rzetelnie sprawdza daty i fakty, tak jak Profesor czuła na precyzję i prawdę słowa: Urodzony 27 września 1885 roku, w Komborni w ziemi rzeszowskiej... wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego... profesor w Poznaniu, rektor Uniwersytetu w Wilnie, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności, Polskiej Akademii Nauk, Kurator Bratniej Pomocy, więzień Sachsenhausen... Podpisani: żona, dzieci, wnuki i prawnuki. Jest jeszcze brat i siostra. Pozostawił nie tylko książki i wychowanków, ale cały ród, jak biblijny patriarcha.

J. K.

„Gość Niedzielny", nr 5/1969, s. 5 – 7.

Rok 1970

Andrzej Kubiczek – pierwszy proboszcz Ostroga Raciborskiego

W znanej i cennej publikacji ks. Jana Kudery „Obrazy Ślązaków wspomnienia godnych" brak obok portretu proboszcza piekarskiego, ks. Alojzego Fiecka, wizerunku innego żarliwego i rzutkiego duszpasterza, działającego w tym samym czasie na ziemi raciborskiej, ks. Andrzeja Kubiczka. Zasłynął on jako społecznik i kaznodzieja ludowy, a przede wszystkim jako twórca fundacji dla studiującej młodzieży, oraz wielu fundacji o charakterze oświatowym i charytatywnym. Jego biografowie, widząc w nim wybitną indywidualność, jaką nieraz wydaje środowisko ludowe, charakteryzują go jako człowieka głębokiej wiedzy i bogatych doświadczeń, mocno związanego z regionem, z którego wyszedł, ofiarnego

i konsekwentnego w realizacji planów życiowych, przy tym praktycznego i oszczędnego w wyborze środków. Wierny i wytrwały w obranym zawodzie, mierzył siły na zamiary zarówno w osobistym życiu codziennym, jak i na ambonie, w szkole, w konfesjonale i przy łożu chorego. Dla swego pogodnego i towarzyskiego usposobienia oraz dla wręcz królewskiej gościnności cieszył się szerokim mirem, nie tylko wśród duchownych, ale także wśród parafian, z Ostrogu, Płoni, Bosacu i innych okolicznych wsi. Był faktycznie tym, którego określamy trochę staroświeckim terminem — dobroczyńcą ubogich. Napisano o nim, że nie zdarzyło się, żeby wyszedł kiedykolwiek z domu nie wypełniwszy wprzódy kieszeni kamizelki monetami, które na ulicy i w podwórkach wędrowały do zgłodniałych. A gdy nie stało grosza, zabierał biednych lub przygodnych przyjaciół na plebanię, ku nietajonemu zmartwieniu gospodyni, która nie zawsze wiedziała, czym nakarmić gości, czasem w liczbie dziesięciu a nawet i więcej. Niechybnie w tych gestach naśladował świętych, których „Żywoty" stanowiły jego stałą, ulubioną lekturę.

Urodził się 21 listopada 1774 r., w Bieńkowicach Raciborskich, w biednej rodzinie chłopskiej. Obecny proboszcz tamtejszy pisze z ubolewaniem w swym liście: „Nie ma ksiąg metrykalnych z roku 1774 i nie można podać imion jego rodziców, którzy byliby pomostem do stwierdzenia, z której chałupy pochodził. W Bieńkowicach są jeszcze Kubiczkowie, można z całą pewnością twierdzić, że rodzice byli rolnikami i na pewno nie zamożnymi".

Aby więc ulżyć rodzicom, opiekę nad chłopcem przejął wuj w Raciborzu, a po nim dwaj prałaci — wszyscy oni nieznani z imienia. Później nastąpiły lata nauki, najpierw w Rudach Raciborskich[206] u cystersów, potem w Głubczycach a w końcu we Wrocławiu, gdzie dwudziestoczteroletni bieńkowiczanin w dniu 24 marca 1798 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Tegoż roku został wikarym w Ucieszkowie w powiecie kozielskim, a w 1805 wikarym przy kolegiacie Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny w Raciborzu. Tu po kilku latach, jako starszemu wikaremu, zlecono duszpasterstwo w pobliskim Ostrogu, w kościele św. Jana Chrzciciela, podległym kapitule kolegiackiej. Po kasacie zakonów, która objęła także

[206] Rudy Raciborskie – nazwa potoczna. W rzeczywistości Rudy Wielkie (dzisiaj Rudy) nigdy oficjalnie nie nosiły nazwy Rudy Raciborskie.

raciborską kolegiatę, aby zaradzić duszpasterskim potrzebom, utworzono z dotychczasowej lokalii[207] na Ostrogu samodzielną parafię, liczącą wraz z kilkoma okolicznymi wsiami 2 tys. mieszkańców. Kubiczek został jej administratorem, a od r . 1820 proboszczem. Zamieszkał obok kościoła, w chałupie, którą zaadaptował na plebanię, i mimo propozycji, by objął parafię z lepszymi beneficjami, nie opuścił dotychczasowej placówki, zżyty mocno z ludowym środowiskiem, rdzennie polskim. Znał jego potrzeby i wiedział, jak je zaspokajać, i tak np. na szkołę w Ostrogu przeznaczył 100 tal., a szkole w Płoni w dniu jej poświęcenia w r. 1838 przesłał 50 tal. Dalszych sto talarów darował bibliotece parafialnej. Zabiegał również o fundusze na utrzymanie stałych wikarych w miejscowościach, gdzie ich dotąd nie było, szczególniej jako dziekan dekanatu raciborskiego, którym został w r. 1834, po rezygnacji ks. Jana Żołądka.

Wielką troskliwością otoczył swój kościół parafialny, mały, stary, drewniany, pochodzący z 1642[208] r., wybudowany dawnym a z acnym zwyczajem przez ówczesnego właściciela Raciborza, hrabiego Jerzego Oppersdorfa z Głogówka. Początkowo nosił się z zamiarem wystawienia nowego, murowanego, który by bez trudu pomieścił parafian z wszystkich odległych wiosek. Studiował w tym celu publikacje z zakresu architektury i wyposażenia wnętrz, podobnie jak piekarski Fiecek uprawiał niezmordowanie kwestę, pisał listy do władz świeckich i kościelnych, ale funduszów wciąż było mało. Tymczasem nie można było liczyć na formalne zezwolenie na rozpoczęcie budowy. Nie pozostawało nic innego jak ze zgromadzonych funduszy odrestaurować od zewnątrz i wewnątrz stary kościółek, co też nastąpiło definitywnie w 1827 r. Ks. Augustyn Weltzel, autor historii

---

[207] Lokalia – kościelna jednostka administracyjna, którą dziś można przyrównać do filii, wydzielona decyzją biskupa część obszaru parafii, z własnym duszpasterzem oraz własnym zarządem majątkowym; w sprawach duszpasterskich zależna częściowo od parafii macierzystej. Tworzenie lokalii, następowało zwykle z inicjatywy społeczności mieszkańców i stanowiło wstęp do utworzenia w danej miejscowości samodzielnej parafii.

[208] Ciągle jeszcze trwają spory co do dokładnej daty powstania kościoła na Ostrogu. W 1307 r. kościół był drewniany i nie posiadał praw parafialnych. Prawdopodobnie drewniany kościół pochłonął wielki pożar w 1574 r. Są natomiast dowody, iż kościół uległ pożarowi w 1637 r. Kościół został odbudowany przez hrabiego Jerzego Oppersdorfa, właściciela raciborskich posiadłości zamkowych. W 1649 r. biskup dokonał konsekracji nowego kościoła oraz trzech ołtarzy. (Wikipedia – 7 I 2016)

archiprezbiteratu raciborskiego, dokładnie notuje, że zakupiono organy, dzwony i trzy ołtarze. Podaje nawet szczegółowy rachunek, obrazujący poszczególne pozycje. Być może, że z tych samych funduszy powstała jeszcze na c mentarzu kaplica pod wezwaniem św. Jana Nepomucena, w której potem złożono doczesne szczątki proboszcza. Kaplica stuletnia cudownym sposobem uniknęła celnych bomb zimą 1945 roku i stoi do dziś, wraz z grobem ks. Kubiczka. Może on ją salwował, podobnie jak błogosławiony Czesław osłonił w tej samej zawierusze swoją kaplicę u wrocławskich dominikanów? Tak przynajmniej chce legenda, licząca sobie już ponad dwadzieścia lat.

W biografii ks. Andrzeja Kubiczka podkreślić wypada jego wyraźne zainteresowania naukowe; od r. 1824 należał do Bractwa Literackiego założonego w Raciborzu w 1343 r., i można chyba twierdzić, że był jednym z jego istotnie czynnych członków. Był zorientowany na bieżąco w nowościach wydawniczych, szczególnie z zakresu teologii, przy tym regularnie zasilał swój księgozbiór, który testamentem przekazał bibliotece parafialnej. Na specjalną uwagę zasługują jego dwie fundacje dla młodzieży akademickiej, jedna w wysokości 1000 talarów dla biednych studentów z rodzinnych Bieńkowic, druga dla dopiero co założonego konwiktu teologicznego we Wrocławiu, o łącznej sumie 4500 marek.

O głębokim instynkcie społecznym i o szerokim umyśle świadczą jego wręcz pionierskie zamysły organizacyjne, zmierzające do polepszenia warunków bytowych kleru śląskiego. I tak zapisem testamentarnym otrzymała Kuria biskupia we Wrocławiu sumę 3000 marek jako fundusz zakładowy dla otwarcia dwóch inwestycji: kasy zapomogowej dla chorych i emerytowanych księży oraz funduszu stypendialnego dla duchownych pracujących w szczególnie trudnych warunkach. Najbardziej znamienne jest to, że swoim głównym spadkobiercą uczynił Kubiczek najbiedniejszy kościół w okolicy, kościół w Chałupkach, z myślą o zainstalowaniu tam stałego wikarego, którego dotąd parafia nie mogła utrzymać. Pierwszym korzystającym od 1849 r. z tej fundacji był ks. Maurycy Golucki.

Pierwszy proboszcz Ostrogu zmarł 6 kwietnia 1845 r., na puchlinę wodną, jak notują biografowie. Oni też podają, odpowiednio komentując tę informację, że w pogrzebie wzięło udział 50 duchownych. Istotnie, cyfra wysoka, nie tylko na owe czasy. Na końcu warto podkreślić drobny szczegół: Kubiczek pisał się zawsze „Kubiczek", w odróżnieniu od

zgermanizowanej formy „Kubitschek", ogólnie wówczas stosowanej i odgórnie wprowadzanej przez pruskie urzędy.

(A. Meer, Charakterbilder aus dem Clerus Schlesiens. Wrocław 1884. — A. Weltzel, Geschichte des Ratiborer Archipresbyterats. Racibórz 1885).

Jadwiga Kucianka

„Gość Niedzielny", nr 45/1970, s. 5.

❋ ❋ ❋

UZUPEŁNIENIE

Po tragicznej i niespodziewanej śmierci dr Jadwigi Kucianki ukazało się kilka publikacji jej poświęconych. W numerze 15/1970 z dnia 12 kwietnia ukazała się notatka redakcyjna informująca o tragicznej śmierci śp. dr Jadwigi Kucianki.

❋ ❋ ❋

ŚP. DR JADWIGA KUCIANKA

W środę, 4 marca 1970 r., w godzinach wieczornych zginęła z rąk nieznanego mordercy śp. Dr Jadwiga Kucianka, córka Józefa i Pauliny z domu Bernhardt, adiunkt Uniwersytetu Śląskiego, lat 45, panna, zamieszkała w Siemianowicach przy ul. Zgrzebnioka 41. Ciało zamordowanej znaleziono w czwartek, 5 marca 1970 r. o godz. 6,30 w Siemianowicach-Bytkowie, obok stacji telewizyjnej.

W środę, 11 marca 1970 r., odbył się pogrzeb w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach o godz. 15.00.

Nagła śmierć znanej w kołach naukowych autorki wielu opublikowanych i nie opublikowanych rozpraw i przyczynków historycznych z dziedziny: Samorodni Pisarze Śląscy oraz poważnego zbioru utworów literackich, świadczących o jej dojrzałym artyźmie i rzetelnym kunszcie

pisarskim, śmierć w tak przerażających okolicznościach, dotknęła boleśnie wszystkich, którzy ją znali osobiście czy też poprzez jej drukowane lub w listach zawarte, a zawsze piękne i jasne słowo.

Od 25 lat Dr Jadwiga Kucianka współpracowała z redakcją Gościa Niedzielnego i dobrze jest znana wszystkim naszym Czytelnikom, choć w czasie studiów uniwersyteckich niejednokrotnie używała pseudonimu Jadwiga Bernhardt lub kryptonimu Jadzia. Toteż wielka rzesza czytelników jej prac, koleżanek i kolegów, przyjaciół i znajomych oraz niezwykła liczba ludzi wstrząśniętych tragiczną jej śmiercią wzięła udział w obrzędach pogrzebowych.

W katedrze odśpiewano liturgiczne modlitwy; potem odprawiono Mszę Przenajświętszą. O godz. 16.30 orszak pogrzebowy wyruszył na cmentarz przy ulicy Sienkiewicza.

Wspomnienie pośmiertne ukaże się na łamach naszego tygodnika w późniejszym terminie.

„Gość Niedzielny", nr 15/1970, s. 8.

❋ ❋ ❋

26 kwitnia 1970 r. w numerze 17 na s. 2. publicysta i poeta śląski Krystian Prynda opublikował *Tren* poświęcony pamięci zmarłej.

KRYSTIAN PRYNDA

TREN

Pamięci dr Jadwigi Kucianki zamordowanej w dniu 4 marca 1970

Jeszcze się ziemia czarnym ogniem pali
I łuną wilgotną w odległym zasnięciu
oczy zaciemnia blaskiem niezmąconym

Zieleń przyćmiona ciężkim wyciem konarów
od bólu wysączonych liści
opada w poszum wyciszonej głębi

W porze odejścia pęka nienasycona kora
słodycz żywiczna krzepnie trwogą dżdżu
jak gdyby nieruchomością pogmatwanych
gałązek wstrząsnąć chciała niebem

W porze odejścia pochyla się słońce
do kresu strwożonego dnia
W porze odejścia
w stężonym krzyku nocy
skamieniałe ptaki skrzydlatym całunem
otulają prawdę niedosłowionej tragedii

W porze odejścia
w dzień spowity kirem
czerń się dopełnia w ciągłe słowa wspomnień
i pozostaje tylko
ciszy kształt nagły
przerwany żegnającą ręką

Katowice 6 marca 1970 r.

„Gość Niedzielny", nr 17/1970, s. 2.

14 marca 1971 r. naczelny redaktor „Gościa Niedzielnego" Józef Gawor opublikował zapowiedziany wcześniej artykuł poświęcony zmarłej Jadwidze.

Śp. dr Jadwiga Kucianka (w rocznicę)

W rocznicę tragicznej śmierci wieloletniej współpracowniczki naszego pisma, śp. Jadwigi Kucianki, członka jednej z komisji Polskiej Akademii Nauk, wykładowcy Literatury śląskiej na Uniwersytecie Śląskim, chcielibyśmy przjpomnieć naszym czytelnikom jej sylwetkę, naszkicowaną w przemówieniu nad trumną w dzień pogrzebu 11.3.1970 r. w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Śp. J. Kucianka podpisywała swoje

publikacje drukowane w naszym tygodniku zazwyczaj pseudonimem Jadwigi Bernhardt.

1.

Bezradne i głębokie milczenie ogarniające nas w obliczu tajemnicy śmierci, przejmującą ciszę, jaka opanowała nas na wieść o przerażającym zgonie śp. Jadwigi Kucianki przerywa donośny głos Chrystusa Pana, skierowany ongiś do Marty, idącej razem z Panem na cmentarz w Betanii:

„Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we mnie. nie umrze na wieki! Jan 11.25—26.

— Czy wierzysz w to? — zakończył Chrystus Pan ten jedyny w swym rodzaju dialog na temat śmierci z ciężko doświadczoną Martą

— Tak Panie, ja wciąż wierzę! — odparła Marta".

Odpowiedź tę powtarzają za nią wszystkie pokolenia ludzi Nowego Testamentu, ludzi dobrej woli.

Wyraźne zapewnienie Pana upoważnia nas do twierdzenia, że śmierć każdego człowieka jest radykalną zmianą w nie kończącym się procesie życia, jest tajemniczą chwilą przełomową, w której Bóg — Dawca wszelkiego życia — jakby przejmuje inicjatywę z rąk stworzonego człowieka w swoje nie stworzone ręce, jak to uczynił Chrystus Pan Zmartwychwstały, zdumiewając swoich najbliższych, na jaką to inicjatywę stać Boga-Człowieka.

2.

Trumnę śp. Jadwigi otacza rodzina, otaczają studentki i studenci Uniwersytetu Śląskiego, najmłodszej uczelni wyższej na naszych ziemiach, jej przyjaciele, koleżanki i koledzy, czytelnicy jej prac naukowych i jej twórczości literackiej.

Kim była?

Nasuwa się tu jej własne określenie wzięte z tytułu jednego z jej opublikowanych opowiadań „Służka z Drepanon"; zmieniając go nieco, mamy prawo nazwać ją Służką Słowa.

Aby zrozumieć całą głębię tego zwrotu, trzeba nam sięgnąć po informację do Nowego Testamentu.

Chrystus Pan tak scharakteryzował swoje własne słowo:

„Słowa, które ja wam powiedziałem, są duchem i życiem!"

„Nie przyszedłem bowiem po to, aby świat sądzić, ale by świat zbawić! Kto gardzi mną i nie przyjmuje słów moich, ten ma swego sędziego: słowo, które powiedziałem, ono to będzie go sądzić w dniu ostatecznym" Jan 12,48.

Słowo Pana jest wiec: duchem — życiem — sędzią. To określenie trzech nowych pojęć, które Chrystus przynosi ludziom, proponując im ich przyjęcie. W przekładzie na współczesny język można je ująć tak: duch — oznacza najwyższą wartość, życie — żywą, egzystencjalną prawdę, a wiec istotny kształt rzeczywistości, sędzia to po prostu skrzyżowanie słów ludzkich. „Nie przyszedłem bowiem po to, aby świat sądzić, ale by świat zbawić! Kto gardzi mną i nie przyjmuje słów moich, ten ma swego sędziego: słowo, które powiedziałem, ono to będzie go sądzić w dniu ostatecznym" Jan 12,48.

Słowo Pana jest wiec: duchem — życiem — sędzią. To określenie trzech nowych pojęć, które Chrystus przynosi ludziom, proponując im ich przyjęcie. W przekładzie na współczesny język można je ująć tak: duch — oznacza najwyższą wartość, życie — żywą, egzystencjalną prawdę, a wiec istotny kształt rzeczywistości, sędzia to po prostu skrzyżowanie słów ludzkich ze słowem Bożym, czy raczej względnie równocześnie konfrontacja Bożego słowa ze słowem ludzkim. Chrystus Pan, charakteryzując w ten sposób swoje własne słowo, ujawnia jego wagę, znaczenie oraz tajemniczą i niepojętą moc. Jako reprezentant nowego człowieczeństwa i całej ludzkości tym samym wyznaczył nowe wymiary ludzkiego słowa, podniósł je do wysokiej godności.

Kim jest sługa czy służka słowa?

Sługą słowa nazywamy człowieka, który odczuwa, przeżywa i podejmuje brzemię słowa; oddaje temu słowu swoje uzdolnienia bez reszty; poświęca mu wszystek swój czas.

Śp. Jadwiga Kucianka spełniła każdy z wymienionych warunków w stopniu chwalebnym. Uważała słowo nie tylko za środek przekazu takiej czy innej informacji, za wyraz wąziutkiego skrawka prawdy, zawartej w naukowych określeniach, więc prawdy zawsze niepewnej co do swego losu w przyszłości. Pojmowała swoją służbę słowu bardzo poważnie, tak, że stała się przekazicielką prawdy przylegającej w jakiś sposób do wymiarów słowa nadanych mu przez Chrystusa Pana. Słowa kształtowane jej

wysiłkiem i talentem uprawniają nas do wyrażenia przekonania, że okażą się dla niej bardzo łaskawym sędzią, sędzią wynagradzającym.

3.

Całościowa ocena człowieka jest dla nas nieosiągalna. Potrafimy dostrzec tylko częściowo rozmiary jego osobowości. Trzeba było mądrego, głębokiego i doświadczonego spojrzenia oczu śp. profesora Stanisława Pigonia, aby ocenić walory osobowości śp. Jadwigi Kucianki. Za jego inspiracją Zmarła podjęła trud naukowego opracowania twórczości samorodnych pisarzy śląskich. Poświęciła się tej pracy nie tylko ze znawstwem przedmiotu badań literackich, ale ponadto z jakąś wzruszającą pokorą, nazywając siebie samą dłużniczką ziemi śląskiej. Mawiała, że oczy bolą od wertowania w dawnych rocznikach gazet i czasopism i gdyby nie stała pomoc jej matki w szperaniu w źródłach, nie pokonałaby olbrzymiego materiału stanowiącego źródło pracy badawczej. W Uniwersytecie Śląskim rozwijała działalność naukową w tym samym kierunku, wdrażając młodzież akademicką w nową dziedzinę badań literackich nad samorodnymi pisarzami śląskimi. Jej też przysługuje godność pionierki tych badań jako autorce pierwszej antologii samorodnych pisarzy śląskich, wydanej przez Ossolineum we Wrocławiu.

Obok pracy naukowej śp. Jadwiga Kucianka była znana ze swej twórczości literackiej jako autorka opowiadań historycznych, miniatur literackich, reportaży i recenzji. Czytelnicy jej artystycznej twórczości znają piękno jej słowa i zwartość kompozycyjną każdego z jej utworów. Nie szczędzili jej wyrazów uznania. W lot zdobyła sobie popularność w ich kołach. Tęskniła zawsze za powrotem do beletrystyki jak to sama określiła. Praca naukowa pochłaniała ją w ostatnich latach całkowicie, nie dopuszczając do twórczości literackiej. Dowód to nie tylko jej dwustronnych uzdolnień, ale także potwierdzenie zasady, że nie można służyć dwom panom równocześnie.

We wspomnieniu pośmiertnym poświeconym śp. prof. St. Pigoniowi napisała m. in. następujące słowa:

„Zwykło się mówić, że śmierć wyrywa pióro w pół słowa, tu musiała poczekać, aż myśl jasna i precyzyjna wyłoni się w pełnym zdaniu zakończonym kropką”. Tak było niespełna półtora roku temu, w grudniu 1968 r *w* Krakowie.

W Katowicach przeciwnie — śmierć nie poczekała. Wytrąciła nagłe pióro z pracowitej ręki śp. Jadwigi, przerywając jej twórczość literacką i pracę naukową.

Nie tylko odeszła od nas niespodziewanie pracowita i wierna służka słowa, przekazicielka prawdy przylegającej do słowa Chrystusowego, ale ponadto zgasły na zawsze oczy, tak pełne dobroci i życiowego spojrzenia na ludzi i świat.

W 1945 r. opublikowała szkic pt. „Grecki Wazon". Jest to jakby epitafium dla zmarłej przedwcześnie koleżanki, którą nazywa Lilą. Zakończenie szkicu sprzed 25 laty brzmi dziś nad trumną autorki jakby jej własne wyznanie zza grobu.

„Czemuś odeszła, Lilu? Miałaś teraz dopiero pokazać, co umiesz... chociaż nie, ty już pokazałaś, co umiesz — Ale jednak mogłabyś jeszcze więcej dobrego ludziom wyświadczyć — nieprawda, tyś już dużo, dosyć dobrego ludziom wyświadczyła!

A więc odeszłaś już po zapłatę Lilu, tyś już sobie na wieczność zasłużyła? Tak prędko? — Ty szczęśliwa!

I naraz dzieje się dziwna rzecz: postacie na czarnej powierzchni wazonu ożywają — lecz miast szczęku oręża, słychać triumfalną pieśń. Zaś wzniesiona twarz rycerskiej niewiasty w powiewnej białej szacie uśmiecha się radosnym uśmiechem Lili.

— Tyżeś to, Lilu, ty?

— Dlaczego jesteście smutni? — Pan mnie zawołał, bo mojej pracy było już dosyć aby otrzymać zapłatę. Czy to powód do skutku? Słyszysz tę pieśń triumfu? Tam wiedzie moja droga, a nie kędy ziemi wygnańczej smutne stoją chaty".

Ks. J. Gawor

„Gość Niedzielny" nr 11-12/1971, s. 4.

W roku następnym koleżanka ze studiów Józefa Hennelowa poświęciła artykuł zmarłej Jadwidze Kuciance na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Dwa lata temu

Wspomnienie o Jadwidze Kuciance

Poznałyśmy się na pierwszym roku filologii polskiej UJ. Drobna, jasna blondynka rychło zwróciła na siebie ogólną uwagę, gdy rozeszła się wiadomość, że jej pierwszą poważną pracę seminaryjną uznał profesor Pigoń od razu za odpowiadającą warunkom pracy magisterskiej. Tak więc Jadwiga jedna z pierwszych wśród nas — równo po czterech latach — skończyła studia i zniknęła z mego pola widzenia. Wiedziałam tylko, że pracuje w szkolnictwie — wówczas obowiązywały nakazy pracy. Po wielu latach odnalazłam jej nazwisko w programie sesji ku czci prof. Pigonia — miała na niej wygłosić referat „Stanisław Pigoń jako badacz literatury ludowej". Miała już wtedy tytuł doktora, otwarty przewód habilitacyjny, stanowisko adiunkta przy Katedrze Historii Literatury Polskiej katowickiej WSP. Ale przede wszystkim miała już poważne nazwisko jako badacz samorodnej literatury śląskiej.

Gdy się przegląda dorobek jej prac pisarskich — tak naukowych jak publicystycznych i literackich: prawie dwie setki — uderza zdumiewająca konsekwencja zainteresowań. Ślązaczka z dziada pradziada, z rasowej robotniczej rodziny, od pokoleń oddającej się działalności oświatowej i społecznej, poświęciła całą uwagę twórczości pisarzy ludowych Śląska i jego samorodnej kulturze. Jej pierwsza praca seminaryjna — uznana za magisterską — poświęcona była Juliuszowi Ligoniowi; praca doktorska — pisarzom samorodnym Górnego Śląska w XIX i XX wieku; habilitacja — obrazowi Śląska w rękopisach XVIII- i XIX-wiecznych podróżników. Śledziła, kontakty pisarzy ze Śląskiem — Sienkiewicza, Konopnickiej, Rydla, Norwida; badała rozwój amatorskiej sceny swego regionu i śpiewniki górnośląskie, w których widziała antologię pieśni gminnych. W roku 1968 ukazała się jej książka „Śląscy pisarze ludowi (1800—1914). Antologia poezji i prozy”, której odkrywczość podkreślił Stanisław Pigoń:

„Na samorodnych pisarzy ludowych śląskich różni badacze miejscowi zwracali uwagę raz po raz (...) Ale właśnie przygodnie i cząstkowo. To tak

jakby niektórzy z rolników orzących glebę ponad zasypanym Herkulanum znajdywali i pokazywali ten jakiś posążek, ów fibulę itp. Kucianka pierwsza zawołała: tam pod spodem jest miasto! I wytyczyła nawet jego rozmiary...!"

Wszystko, co publikowała, dotyczyło jej Śląska. Od początku wiedziała, co chce robić. Umiała się o ten swój kawałek ziemi, o jego kulturalne i literackie problemy kłócić i spierać. Nie miała kompleksów przed popularyzacją, tak jak nie miała ich w żadnej postaci, jeśli chodziło o szczerość osobistej postawy: pracując naukowo i dydaktycznie w śląskich wyższych uczelniach, wykładała także w Seminarium Duchownym w Tarnowskich Górach, współpracowała z „Gościem Niedzielnym" i Wydawnictwem św. Jacka.

Zimą roku 1969/1970 niespodziewanie otrzymałam od niej list: przysłała swoje uwagi na marginesie różnych publikacji w „Tygodniku". Tak odnowiłyśmy kontakty. W marcu 1970, wróciwszy z urlopu, zastałam znowu list od niej: żywy, pogodny, pełen planów na przyszłość. *Na dobrą sprawę* — pisała — *to ty powinnaś być pracownikiem wyższej uczelni... a ja powinnam mieć liczne dziatki i w przerwach od nich uprawiać na łamach „Gościa Niedzielnego" beletrystykę i publicystykę dla mas ludowych. Za którą tą* gałęzią *literacką bardzo tęsknię i pocieszam się, że wrócę do niej na emeryturze. Pierwsza powieść, którą napiszę i do której mam już niemal gotowe rozdziały, będzie nosiła tytuł „Żywot* i *sprawy Stanisława Pigonia". Druga będzie sagą rodziny górnośląskiej (naszej, bo typowa), sięgająca końcy XVIII wieku. Tylko kto mi to wydrukuje — nie wiem, bo będzie napisane z pozycji takich, jak Pan Bóg przykazał.*

Przeczytałam ten list i zaczęłam przeglądać „Przekrój", w którym wśród : „Zmarłych", zobaczyłam nekrolog Jadwigi Kuciariki. Pomyślałam: „...to bzdura, to pomyłka, przecież Jadwiga właśnie do mnie napisała". Ale ten list czekał na mnie w skrzynce od 26 lutego. Upłynęło naprawdę wiele minut; zanim zrozumiałam; Potem dowiedziałam się szczegółów. 4 marca Jadwiga wracała z posiedzenia Rady Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego. Już nie doszła do domu. Jej morderca dotąd pozostał nie wykryty.

Pożegnałam już wielu ludzi z moich roczników i młodszych ode mnie, ale niczyje życie nie wydało się przerwane tak straszliwie, tak bardzo w połowie drogi — chociaż to nieprawda, bo przecież było już pełne

i owocowało. Czytelniczka, która przysłała nam do redakcji biograficzny szkic o Jadwidze pióra Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz (odbitka ze „Studiów Śląskich"), pisze o niej jako o człowieku *„prawdziwie dobrym, wiernym w słowach i czynach swym przekonaniom".* Ta ocena „wierna" przystaje mi w pełni do osoby Jadwigi — i jako człowieka, i jako badacza kultury ludowej jej Śląska.

JOZEFA HENNELOWA

„Tygodnik Powszechny", nr 8/1972, s. 2.

Jedenaście lat po tragicznej śmierci koleżanka „po fachu" Krystyna Heska-Kwaśniewicz opublikowała na łamach „Gościa Niedzielnego" wspominkowy artykuł poświęcony śp. Dr Jadwidze Kuciance.

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Ze stali są nasze duchy...

PAMIĘCI JADWIGI KUCIANKI (1924—1970)

Każde oddalenie w czasie pozwala dojrzeć ludzkie dokonanie z perspektywy a więc obiektywniej i wtedy można ocenić, czy dzieło ludzkie maleje czy rośnie; taką siłą posiada czas.

Minęło już jedenaście lat od tragicznej śmierci Jadwigi Kucianki, doktora nauk humanistycznych, adiunkta Uniwersytetu Śląskiego, naukowca, publicystki, bliskiej współpracowniczki „Gościa, Niedzielnego". Jej twórczość naukowa i pisarska stanowi zamkniętą kartę, całość, którą już można opisać i ocenić.

Była Jadwiga Kucianka z pewnością zjawiskiem niepowtarzalnym ze względu na swą żarliwość i autentyzm. Rodowita Ślązaczka, rozmiłowana we wszystkim co śląskie, odkrywała dla kultury polskiej dorobek śląskich twórców ludowych i dzięki swym publikacjom włączała go w świadomość narodową. I to jest jej największą i niepodważalną zasługą. To ona odsłoniła całe złoża polskiej literatury samorodnej na Śląsku i uczyniła je przedmiotem uważnej refleksji naukowej, o czym tak pięknie napisał jej mistrz i opiekun, prof. Stanisław Pigoń: *(...) Na samorodnych pisarzy ludowych*

śląskich różni badacze miejscowi zwracali uwagę raz po raz; przypominano działalność to tego, to owego. Ale właśnie przygodnie i cząstkowo. To tak jakby niektórzy z rolników orzących glebę ponad zasypanym Herkulanum znajdowali i pokazywali: ten jakiś posążek, ów fibulę itp. Kucianka pierwsza zawołała: tam pod spodem jest miasto! I wytyczyła nawet jego rozmiary w rezultacie dłuższego, osobnego badania. Po tym stwierdzeniu do odkopywania stanie zapewne więcej ochotników, odsłonią się może nowe znaleziska. Zasługi odkrywczyni to wszelako nie zasłoni i jej zdobycz jest historyczna (Z wyznań śląskich. „Poglądy" 1963, nr 3). To stwierdzenie nie straciło i nie straci już swej aktualności, aczkolwiek nie we wszystkim sąd Stanisława Pigonia okazał się słuszny; do pracy nad śląską literaturą ludową nie stanął zastęp ochotników. Więcej już nikt tego zagadnienia nie podjął. Ponieważ badania regionalistyczne znalazły się w ogóle w impasie, ten sam los spotkał również samorodną twórczość ludową. Książka Kucianki („Śląscy pisarze ludowi [1800 —1914], Antologia poezji i prozy", Wrocław 1968) stanowi dzisiaj pozycję nieosiągalną na rynku księgarskim. Nie znalazły także kontynuatora rozpoczęte przez Kuciankę badania nad rozwojem sceny amatorskiej na Śląsku wiążące się z zamiarem opracowania samorodnej twórczości scenicznej. Tak więc śmierć badaczki zamknęła etap studiów nad piśmiennictwem ludowym na Śląsku, które przecież stanowiło tak ważny dowód polskości tych ziem i świadomości narodowej żyjącej tu ludności. I fakt ten podnosi rangę dokonania.

Jadwiga Kucianka pochodziła ze starej, śląskiej rodziny robotniczej o bogatych tradycjach patriotycznych i kulturalnych. Jej dziadkowie byli działaczami oświatowymi, babki występowały na scenach amatorskich, młodsze pokolenie rodzinne zaangażowało się w „Sokole" i harcerstwie — ale przede wszystkim byli to ludzie głęboko, prawdziwie religijni i taka atmosfera kształtowała Jadwigę w dzieciństwie i w młodości. Fakt ten zaciążył znacząco na jej biografii i pisarstwie, w którym równolegle biegną dwa nurty: śląskoznawczy i religijny.

W jej dorobku najwięcej miejsca zajmują publikacje ogłaszane w „Gościu Niedzielnym" (ponad 120 prac), którego w latach 1945—1970 była wierną współpracowniczką — bez względu na koniunkturę. Pisać zaczęła bardzo wcześnie, bo mając zaledwie 21 lat. Ten początek drogi pisarskiej łączy się właśnie z „Gościem", w którym w 8 numerze 1945 r. pod

pseudonimem Jadwiga Bernhardt (nazwisko panieńskie matki) opublikowała swe pierwsze opowiadanie pt. „Boże Ciało w Emaus”[209]. Ono właśnie zapoczątkowało nurt religijny w p isarstwie Jadwigi Kucianki. Przeważały w nim opowiadania oparte na motywach Nowego Testamentu, legendy hagiograficzne, najczęściej związane z życiem i działalnością polskich świętych, były także popularne szkice literackie poświęcone dziejom kultu religijnego na Śląsku. Owa beletrystyka i publicystyka świadczyła o dużej kulturze literackiej a także erudycji autorki oraz łatwości pisania; znać też było duże zaangażowanie uczuciowe piszącej świadczące, że za wypowiedzią literacką stało autentyczne przeżycie religijne.

Obok tego publikowała Kucianka w „Gościu Niedzielnym” popularyzatorskie szkice i drobne eseje poświęcone śląskiej historii i kulturze. Często były to pierwsze zarysy opracowanych później artykułów naukowych. Tu także pojawiła się po raz pierwszy późniejsza teza doktorska (Samorodni pisarze Śląska. Gość Niedzielny R.25/1952 nr 41 s. 25). Pisała tu także o Norbercie Bończyku, J. Rostku, K. Prusie, M. Jasionowskim, J. Gallusie, D. Szedziełorzu i innych.

Współpraca z „Gościem” nie była więc w życiu Kucianki epizodem lecz elementem stale w nim obecnym i ważnym nie tylko ze względu na odbiorcę lecz także na samą autorkę. „Gość Niedzielny”, zwłaszcza w latach powojennych, był na Śląsku pismem bardzo popularnym i poczytnym, miał też grono współpracowników dobrze znających pisarskie rzemiosło. Teksty w nim drukowane trafiały do szerokiego grona odbiorcy śląskiego, który znajdował w nim zrozumienie własnych problemów a także poszerzał swą wiedzę o historii, literaturze i kulturze ojczystej, jak to napisał znany pisarz ludowy Rafał Urban: ,,My autochtoni, czytamy tylko „Gościa”, „Trybunę” (R. Urban: Autobiografia. „Odra” 1943, nr 27). Dodajmy i to, że teksty J. Kucianki, choć czasem nawet bardzo popularne, nigdy nie miały cech chałtury, zawsze rzetelne pod względem merytorycznym, pisane bardzo piękną i staranną polszczyzną, były chyba dla autorki nie mniej ważne od obszernych artykułów naukowych. Pisała wszak o tym co było jej najdroższe: o Bogu i o Śląsku. Szkice te zebrane w jeden tom ujawniłyby do-

---

209 *Boże Ciało w Emaus* to druga publikacja Jadwigi Kucianki na łamach „Gościa Niedzielnego” po opublikowanym wcześniej artykule *Triumf i łzy...*

piero całe swe piękno i bogactwo. Są one następną niezaprzeczalną i nie przemijającą zasługą autorki „Pieśni zakazanych na Górnym Śląsku". Obok „Poglądów", „Przekroju",, „Zarania Śląskiego", „Sobótki", „Kwartalnika Opolskiego" i innych czasopism oraz wydawnictw ogólnopolskich w jej bibliografii zawsze figuruje „Gość Niedzielny" — nawet w okresie najintensywniejszej pracy naukowej – temu tygodnikowi była zawsze wierna.

Jadwiga Kucianka żyje we wszystkim co z miłością i znawstwem pisała o Śląsku, żyje w pamięci ludzi którzy zaznali jej dobroci. Każdy kto chce zrozumieć, dlaczego wciąż zadeptywana polskość na Śląsku nieustannie budziła się i podnosiła do życia, zacząć musi od lektury książki Jadwigi Kucianki „Śląscy pisarze ludowi ".

Krystyna HESKA-KWAŚNIEWICZ

„Gość Niedzielny", nr 50/1981, s. 4 – 6.

❋ ❋ ❋

POSŁOWIE AUTORA OPRACOWANIA

Pomimo tego iż od 1974 roku mieszkam w Opolu i z tym miastem związane jest całe życie już mojej rodziny, to wspomnienia ciągle uciekają do mego rodzinnego Chorzowa, z którego pochodziła też śp. dr Jadwiga Kucianka.

Od lat dziecięcych pamiętam, że w mojej rodzinie systematycznie kupowano „Gościa Niedzielnego", a mój śp. Ojciec parał się amatorsko oprawianiem całych roczników tego tygodnika. Z lat młodzieńczych pamiętam też czytane artykuły Jadwigi Bernhard a później Jadwigi Kucianki. W pamięci mej utkwił też jak zadra fakt tragicznej śmierci autorki publikacji, które starałem się zebrać w jeden tom dla upamiętnienia Jej dorobku pisarskiego. W zamieszczonym powyżej artykule Krystyny Heska-Kwaśniewicz można przeczytać takie zdanie: „Szkice te zebrane w jeden tom ujawniłyby dopiero całe swe piękno i bogactwo". Niniejsza publikacja czyni zadość temu życzeniu. Sądzę, że ujawni ona w całej krasie talent, bogactwo pisarskie i zapalczywość badawczą Autorki. Niech będzie też hołdem rodowitej Chorzowiance.

Opole, Środa Popielcowa 10 lutego 2016 r.

ALFABETYCZNY SPIS ARTYKUŁÓW

Abecadło o chlebie 677
Andrzej Kubiczek – pierwszy proboszcz Ostroga Raciborskiego 725
Apostolskie święcone 148
Betlejem na hałdzie 186
„Bliskiej mi Ziemi Śląskiej...” 719
Błogosławiona pomyłka 165
Boże Ciało w Emmaus 18
Bronisława, Jacek i Kinga 117
Bunt Tarnogórzan 378
Byliśmy u pierwszego prymasa kardynała Hlonda 477
Cegły są – brak cegiełek 169
Chrzest ognia i krwi 27
Człek miły, pełen wesela... 58
Diamentowy jubileusz 498
Donna Francesca Romana 366
Dziw przy opolskiej skale 78
Elżbieta Kawa pisarka w habicie 564
Feralna trzynastka 295
Gdy ciężkie dni nawiedziły Lipiny 266
Gdy legenda prawdą się stała 216
Gość turyńskiej księżny 275
Gwiazdy skrzą się w Bogucickiej kuźni 131
Herold Wielkiego Króla 64
Historia niebieskiej koperty 81
Historia żorskiej pieczęci 135
Historyjka o konkursie, o żłobie i słomie 543
I rosły serca pokrzepione pieśnią... 304
I uczynił jej sprawiedliwość... 24
Intrygi brata Brunona 126
Jacka Odrowąża chwalba na Rozbarku 419
Jak Florian święty do Polski przybył 212
Jak Mikołowianie nad świętowojciechowym kościołem radzili 181

Jak Pius X poznał się z Piusem XI 227
Jak św. Tomasz kury kradł 50
Jako Dobry Pasterz pod Złotym Groniem gazdowanie rozpoczął 354
Jako imć Milewicz w peregrynacjach dalekich cudownej góry szukał ... 398
Jerzy i Aleksandra 249
Jesienne troski 177
Kanclerz i żebrak 260
Karta z dziejów współczesnych pewnego sztandaru 674
Kazanie umierających dzwonów 61
Klasztor nad rybnicką wodą 90
Knurowskiego pana zmartwychwstanie 100
Kościół, który wyszedł na ulicę 225
Król galerników 35
Królewska wizyta u Piekarskiej Pani* 390
Krystka z Odrowążów 42
Krzyż mysłowickiej księżniczki 69
Krzyż z wiejskiego kościółka* 350
Księcia Apostołów ucieczka betlejemska 516
Księdza Norberta wizyta u lipińskiego sąsiada 426
Legenda o Matce Boskiej Starowiejskiej 121
List do zmarłej matki 335
Ludzie idą „na stacje” 290
Majowa Panienka w kuźni hutniczej 22
Maryjne żniwobranie we Wrocławiu 549
Mąż prawy 448
Medalem niepodległości odznaczona* 647
Młodość Malleolusa 299
Morcinkowe opowieści 653
Na krakowskich plantach jest niedziela 179
Nad Pogonią płoną łuny... 86

* Artykuły nieujęte w *Bibliografii prac Jadwigi Kucianki* autorstwa Krystyny Heska-Kwaśniewicz zamieszczonej w: „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” IV (1971) s. 299-308.

Narodowa sprawa spod znaku Heroda 612
Narodziny śląskiej Jerozolimy 109
Nieprzerwana rozmowa o świętości 490
Nox magna 320
O Atalii, żonie Helona z Betlejem 340
O basinym tysiączku i weselnym kapeluszu 271
O czym prawił wodzisławski pleban 95
O goździkowym proboszczu i diabelskim kamieniu* 194
O modlitewniku mojej babki 440
O pracy kulturalnej naszych ojców 464
O wrocławskiej krzywej wieży i o dwu murarczykach 171
Ofiara Godulan 284
Orężna pąć 160
Osiem premier w katowickim teatrze amatorskim 663
Ostatnie słowo powie Bóg 31
Papież Klemens VIII w Bytomiu 559
Pieśniarz z Michałkowic 694
Płaszcz Panny Maryi powiewa nad Gliwicami 144
Pokłon Abirona – syna Rechaba z Kany 502
Pokłosie Prof. St. Pigonia 684
Przedziwny kaznodzieja 328
Przygody Marka z Chin 594
Rydel na Śląsku 715
Samorodni pisarze Śląska 346
Służka z Drepanon 450
Spętany Bóg* 292
Spotkanie na półpiętrze 231
Spór o świeczkę 309
Spór 104
Strażnik doskonały 46
Stuletni a nowy 511
Stuletnia rocznica „Zwiastuna Górnośląskiego” 711
Styczniowa burza nad Brzezinami 237
Swetoniusz 313
Sylwester i Konstanty* 279

Szaleństwo Soni.....252
Szczegół do biografii ks. Norberta Bonczyka.....708
Ślubowane pielgrzymki.....657
Triumf i łzy.....14
Trudna droga.....152
„Trzy Maryje poszły”.....200
Trzy noce w Damaszku.....206
U ruin chorzowskiego zamku.....74
U złotych wrót.....40
Upominek św. Bonawentury.....140
Uratowani ogniem.....156
W Miasteczku Śląskim bije dzwon.....523
W świetle roratniej latarki*.....352
Wędrówki Piekarskiej Panienki.....113
Węgiel czy chleb?... 222
Wielkanocny apokryf o skradzionej amforze.....373
Wiersze Józefa Lompy w Pawonkowskim Kancjonale*.....643
Wiosenny widok.....446
Wojsko śląskiej monarchini.....54
Wrocław oddaje hołd Odrowążom.....478
Wrocławska Panienka.....449
Wrocławska wigilia Tysiąclecia.....689
Wrocławski opłatek z J. Kasprowiczem.....483
Wspomnienie o rzetelnym pracowniku.....557
Z ziemi włoskiej do Polski.....583
Zakład przegrany z zyskiem.....242
Złote ręce.....495
Życie miałem wesołe, szczęśliwe... 571

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE 5
Autorka felietonów 5
Lustracja na Uniwersytecie Śląskim 6
Niespodziewana śmierć 7
Treść publikacji w „Gościu Niedzielnym” 9
Uwagi wydawcy 11
Felietony Jadwigi Kucianki 13
ROK 1945 14
Triumf i łzy 14
Boże Ciało w Emmaus 18
Majowa Panienka w kuźni hutniczej 22
I uczynił jej sprawiedliwość... 24
Chrzest ognia i krwi 27
Ostatnie słowo powie Bóg... 31
Król galerników 35
U złotych wrót 40
Krystka z Odrowążów 42
Strażnik doskonały 46
Jak św. Tomasz kury kradł 50
Wojsko śląskiej monarchini 54
Człek miły, pełen wesela... 58
Kazanie umierających dzwonów 61
Herold Wielkiego Króla 64
ROK 1946 69
Krzyż mysłowickiej księżniczki 69
U ruin chorzowskiego zamku 74
Dziw przy opolskiej skale 78
Historia niebieskiej koperty 81
Nad Pogonią płoną łuny... 86
Klasztor nad rybnicką wodą 90
O czym prawił wodzisławski pleban 95
Knurowskiego pana zmartwychwstanie 100

Spór 104
Narodziny śląskiej Jerozolimy 109
Wędrówki Piekarskiej Panienki 113
Bronisława, Jacek i Kinga 117
Legenda o Matce Boskiej Starowiejskiej 121
Intrygi brata Brunona 126
Gwiazdy skrzą się w Bogucickiej kuźni 131
Rok 1947 135
Historia żorskiej pieczęci 135
Upominek św. Bonawentury 140
Płaszcz Panny Maryi powiewa nad Gliwicami 144
Apostolskie święcone 148
Trudna droga 152
Uratowani ogniem 156
Orężna pąć 160
Błogosławiona pomyłka 165
Cegły są – brak cegiełek 169
O wrocławskiej krzywej wieży i o dwu murarczykach 171
Jesienne troski 177
Na krakowskich plantach jest niedziela 179
Jak Mikołowianie nad świętowojciechowym kościołem radzili 181
Betlejem na hałdzie 186
Rok 1948 194
O goździkowym proboszczu i diabelskim kamieniu* 194
„Trzy Maryje poszły” 200
Trzy noce w Damaszku 206
Jak Florian święty do Polski przybył 212
Gdy legenda prawdą się stała 216
Węgiel czy chleb?... 222
Kościół, który wyszedł na ulicę 225
Jak Pius X poznał się z Piusem XI 227

* Artykuły nieujęte w *Bibliografii prac Jadwigi Kucianki* autorstwa Krystyny Heska-Kwaśniewicz zamieszczonej w: „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” IV (1971) s. 299-308.

Spotkanie na półpiętrze 231
Rok 1949 237
Styczniowa burza nad Brzezinami 237
Zakład przegrany z zyskiem 242
Jerzy i Aleksandra 249
Szaleństwo Soni 252
Kanclerz i żebrak 260
Gdy ciężkie dni nawiedziły Lipiny 266
O basinym tysiączku i weselnym kapeluszu 271
Gość turyńskiej księżny 275
Rok 1950 279
Sylwester i Konstanty* 279
Ofiara Godulan 284
Ludzie idą „na stacje” 290
Spętany Bóg* 292
Feralna trzynastka 295
Młodość Malleolusa 299
I rosły serca pokrzepione pieśnią... 304
Rok 1951 309
Spór o świeczkę 309
Swetoniusz 313
Nox magna 320
Przedziwny kaznodzieja 328
List do zmarłej matki 335
Rok 1952 340
O Atalii, żonie Helona z Betlejem 340
Samorodni pisarze Śląska 346
Rok 1954 350
Krzyż z wiejskiego kościółka* 350
Rok 1955 352
W świetle roratniej latarki* 352
Rok 1957 354
Jako Dobry Pasterz pod Złotym Groniem gazdowanie rozpoczął 354

Donna Francesca Romana 366
Wielkanocny apokryf o skradzionej amforze 373
Bunt Tarnogórzan 378
Królewska wizyta u Piekarskiej Pani* 390
Jako imć Milewicz w peregrynacjach dalekich cudownej góry szukał ... 398
Jacka Odrowąża chwalba na Rozbarku 419
Księdza Norberta wizyta u lipińskiego sąsiada 426
Rok 1958 440
O modlitewniku mojej babki 440
Wiosenny widok 446
Mąż prawy 448
Wrocławska Panienka 449
Służka z Drepanon 450
O pracy kulturalnej naszych ojców 464
Byliśmy u pierwszego prymasa kardynała Hlonda 477
Wrocław oddaje hołd Odrowążom 478
Wrocławski opłatek z J. Kasprowiczem 483
Rok 1959 490
Nieprzerwana rozmowa o świętości 490
Złote ręce 495
Diamentowy jubileusz 498
Rok 1960 502
Pokłon Abirona – syna Rechaba z Kany 502
Stuletni a nowy 511
Księcia Apostołów ucieczka betlejemska 516
W Miasteczku Śląskim bije dzwon 523
Historyjka o konkursie, o żłobie i słomie 543
Rok 1961 549
Maryjne żniwobranie we Wrocławiu 549
Wspomnienie o rzetelnym pracowniku 557
Rok 1962 559
Papież Klemens VIII w Bytomiu 559
Elżbieta Kawa pisarka w habicie 564
Życie miałem wesołe, szczęśliwe... 571

Z ziemi włoskiej do Polski 583
Rok 1963 594
Przygody Marka z Chin 594
Narodowa sprawa spod znaku Heroda 612
Wiersze Józefa Lompy w Pawonkowskim Kancjonale* 643
Rok 1964 647
Medalem niepodległości odznaczona* 647
Morcinkowe opowieści 653
Ślubowane pielgrzymki 657
Osiem premier w katowickim teatrze amatorskim 663
Karta z dziejów współczesnych pewnego sztandaru 674
Abecadło o chlebie 677
Rok 1965 684
Pokłosie Prof. St. Pigonia 684
Wrocławska wigilia Tysiąclecia 689
Rok 1966 694
Pieśniarz z Michałkowic 694
Rok 1967 708
Szczegół do biografii ks. Norberta Bonczyka 708
Rok 1968 711
Stuletnia rocznica „Zwiastuna Górnośląskiego” 711
Rydel na Śląsku 715
„Bliskiej mi Ziemi Śląskiej...” 719
Rok 1970 725
Andrzej Kubiczek – pierwszy proboszcz Ostroga Raciborskiego 725
UZUPEŁNIENIE 729
ŚP. DR JADWIGA KUCIANKA 729
TREN 730
Śp. dr Jadwiga Kucianka (w rocznicę) 731
Dwa lata temu 736
Ze stali są nasze duchy 738
POSŁOWIE AUTORA OPRACOWANIA 741
ALFABETYCZNY SPIS ARTYKUŁÓW 742

PISARSTWO JADWIGI KUCIANKI NA ŁAMACH „GOSCIA NIEDZIELNEGO”